BOLESŁAW PRUS

Faraon

wolnelektury.pl

FUNDACJA nowoczesna Polska

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

BOLESŁAW PRUS

Faraon

Faraon

TOM I

WSTĘP

W północno-wschodnim kącie Afryki leży Egipt, ojczyzna najstarszej cywilizacji w świecie. Przed trzema, czterema, a nawet pięcioma tysiącami lat, kiedy w środkowej Europie odziani w surowe skóry barbarzyńcy kryli się po jaskiniach, Egipt — już posiadał wysoką organizację społeczną, rolnictwo, rzemiosła i literaturę. Nade wszystko zaś wykonywał olbrzymie prace inżynierskie i wznosił kolosalne budowle, których szczątki budzą podziw w technikach nowożytnych.

Egipt — jest to żyzny wąwóz między pustynią Libijską i Arabską. Głębokość jego wynosi kilkaset metrów, długość sto trzydzieści mil, średnia szerokość zaledwo milę. Od zachodu — łagodne, ale nagie wzgórza libijskie, od wschodu strome i popękane skały arabskie są ścianami tego korytarza, którego dnem płynie rzeka — Nil.

Z biegiem rzeki, na północ, ściany wąwozu zniżają się, a w odległości dwudziestu pięciu mil od Morza Śródziemnego nagle rozchodzą się, i Nil, zamiast płynąć ciasnym korytarzem, rozlewa się kilkoma ramionami po obszernej równinie mającej kształt trójkąta. Trójkąt ten, zwany Deltą Nilową, ma za podstawę brzeg Morza Śródziemnego, zaś u wierzchołka, przy wyjściu rzeki z wąwozu, miasto Kair tudzież gruzy przedwiekowej stolicy, Memfisu.

Gdyby kto mógł wznieść się o dwadzieścia mil w górę i stamtąd spojrzeć na Egipt, zobaczyłby dziwną formę kraju i osobliwe zmiany jego koloru. Z tej wysokości, na tle białych i pomarańczowych piasków, Egipt wyglądałby jak wąż, który w energicznych skrętach posuwa się przez pustynię do Morza Śródziemnego i — już zanurzył w nim trójkątną głowę, ozdobioną dwojgiem oczu: lewym — Aleksandrią[1], prawym — Damiettą[2].

Przemiana, Rzeka

Długi ten wąż w październiku, kiedy Nil zalewa cały Egipt, miałby błękitną barwę wody. W lutym, kiedy miejsce opadających wód zajmuje wiosenna roślinność, wąż byłby zielony, z błękitną pręgą wzdłuż ciała i mnóstwem błękitnych żyłek na głowie, z powodu kanałów, które przecinają Deltę. W marcu błękitna pręga zwęziłaby się, a ciało węża, skutkiem dojrzewania zbóż, przybrałoby kolor złoty. Wreszcie w początkach czerwca Nilowa pręga byłaby bardzo cienka, a ciało węża zrobiłoby się szare, jakby przysłonięte krepą skutkiem suszy i pyłu.

Zasadniczą właściwością klimatu egipskiego jest upał: w styczniu bywa dziesięć stopni ciepła, w sierpniu dwadzieścia siedem; niekiedy gorąco sięga czterdziestu siedmiu stopni, co u nas odpowiada temperaturze rzymskiej łaźni. Nadto — w sąsiedztwie Morza Śródziemnego, nad Deltą, deszcz pada ledwie dziesięć razy na rok, zaś w Górnym Egipcie raz na dziesięć lat.

W tych warunkach Egipt, zamiast kolebką cywilizacji, byłby pustynnym wąwozem, jakich pełno wśród Sahary, gdyby co roku nie wskrzeszały go wody świętej rzeki Nilu. Od końca czerwca do końca września Nil przybiera i zalewa prawie cały Egipt; od końca października do końca maja roku następnego opada i stopniowo odsłania coraz niższe płaty gruntu. Wody rzeki są tak przesycone mineralnymi i organicznymi szczątkami, że kolor ich staje się brunatnawym, więc w miarę opadania wód na zalanych gruntach osadza się muł żyzny, który zastępuje najlepsze nawozy. Ten muł i gorący klimat sprawia, że Egipcjanin, zamknięty między pustyniami, może mieć trzy zbiory w ciągu roku i około trzystu ziarn[3] z jednego ziarna zasiewu!

Ale Egipt nie jest jednostajną płaszczyzną, lecz krajem falistym; niektóre jego grunta[4] tylko przez dwa lub trzy miesiące piją błogosławione wody, inne nie widzą jej przez cały rok; wylew bowiem nie dosięga pewnych punktów. Niezależnie od tego — trafiają się lata małych przyborów, a wówczas część Egiptu nie otrzymuje zapładniającego mułu. Nareszcie, skutkiem upałów, ziemia prędko wysycha i trzeba ją zlewać jak w doniczkach.

[1] *Aleksandria* — miasto założone przez Aleksandra Wielkiego po podboju Egiptu, położone nad Morzem Śródziemnym, w zachodniej części delty Nilu.

[2] *Damietta* — miasto we wschodniej części delty Nilu, ok. 200 km na płn. od Kairu.

[3] *ziarn* — dziś raczej: ziaren.

[4] *grunta* — dziś raczej: grunty.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że naród zamieszkujący dolinę Nilu musiał albo zginąć, jeżeli był słabym, albo uregulować wody, jeżeli posiadał geniusz. Starożytni Egipcjanie mieli geniusz, więc stworzyli cywilizację.

Już przed sześcioma tysiącami lat spostrzegli, że Nil przybiera, gdy słońce ukazuje się pod gwiazdą Syriuszem, a zaczyna opadać, gdy słońce zbliża się do gwiazdozbioru Wagi. Spostrzeżenia te popchnęły ich do obserwacji astronomicznych i mierzenia czasu.

Aby zachować wodę przez cały rok, wykopali w swoim kraju długą na kilka tysięcy mil sieć kanałów. Aby zaś ubezpieczyć się od nadmiernych wylewów, wznosili potężne tamy i kopali zbiorniki, spomiędzy których sztuczne jezioro Moeris[5] zajmowało trzysta kilometrów kwadratowych powierzchni, przy dwunastu piętrach głębokości. Nareszcie wzdłuż Nilu i kanałów pobudowali mnóstwo prostych, ale skutecznych machin hydraulicznych, za pomocą których można było czerpać wodę i wylewać ją na pola położone o jedno lub dwa piętra wyżej. I jeszcze, jako dopełnienie wszystkiego, trzeba było co roku oczyszczać zamulone kanały, poprawiać tamy i budować wysoko położone drogi dla wojsk, które w każdej porze musiały odbywać marsze.

Organizm

Te olbrzymie prace wymagały, obok wiadomości z astronomii, miernictwa, mechaniki i budownictwa — jeszcze doskonałej organizacji. Czy to umocnienie grobli, czy oczyszczenie kanałów musiało być robione i zrobione w pewnym czasie, na wielkiej przestrzeni. Stąd powstała konieczność utworzenia armii robotniczej, liczącej dziesiątki tysięcy głów, działającej w oznaczonym celu i pod jednym kierunkiem. Armii, która musiała mieć mnóstwo małych i wielkich dowódców, mnóstwo oddziałów wykonywających rozmaite prace, skierowane do jednolitego rezultatu, armii, która potrzebowała wiele żywności, środków i sił pomocniczych.

Egipt zdobył się na taką armię pracowników i jej zawdzięcza swoje wiekopomne dzieła. Zdaje się, że stworzyli ją, a następnie nakreślali jej plany — kapłani, czyli mędrcy egipscy; rozkazywali zaś królowie, czyli faraonowie. Skutkiem tego naród egipski w czasach wielkości tworzył jakby jedną osobę, w której stan kapłański odegrywał[6] rolę myśli, faraon był wolą, lud — ciałem, a posłuszeństwo — cementem.

Tym sposobem sama przyroda Egiptu, domagająca się wielkiej, ciągłej i porządnej roboty, stworzyła szkielet społecznej organizacji tego kraju: lud pracował, faraon kierował, kapłani układali plany. I jak długo te trzy czynniki dążyły zgodnie do celów wskazanych przez naturę, tak długo społeczność mogła kwitnąć i dokonywać swoich dzieł wiecznotrwałych.

Łagodny i wesoły, a bynajmniej nie wojowniczy lud egipski dzielił się na dwie klasy: rolników i rzemieślników. Między rolnikami musieli być jacyś właściciele drobnych kawałków gruntu, przeważnie jednak byli dzierżawcy ziem należących do faraona, kapłanów i arystokracji. Rzemieślnicy wyrabiający odzież, sprzęty, naczynia i narzędzia byli samodzielnymi; pracujący zaś przy wielkich budowlach tworzyli jakby armię.

Każda z tych specjalności, a głównie budownictwo wymagało sił pociągowych i motorów: ktoś musiał czerpać po całych dniach wodę z kanałów lub przenosić kamienie z kopalń tam, gdzie były potrzebne. Te najcięższe mechaniczne zajęcia, a przede wszystkim — prace w kamieniołomach, wykonywali przestępcy skazani przez sądy lub schwytani na wojnie niewolnicy.

Rodowici Egipcjanie mieli barwę skóry miedzianą[7], czym chełpili się, gardząc jednocześnie czarnymi Etiopami, żółtymi Semitami i białymi Europejczykami. Ten kolor

[5] *jezioro Moeris* (gr.) — dziś: jezioro Karun, położone w centrum oazy Fajum, ok. 80 km na płd.-zach. od Kairu. W starożytności miało powierzchnię kilkakrotnie większą niż obecne 230 km². Na rozkaz faraonów XII dynastii przekopano w obniżeniu płaskowyżu libijskiego kanał łączący naturalne jezioro z Nilem, dzięki czemu wykorzystano je jako zbiornik do odprowadzania niebezpiecznego nadmiaru wód podczas przyborów rzeki. Powiększenie jeziora, budowa tamy oraz systemu kanałów irygacyjnych zwiększyły tereny uprawne o tysiące hektarów, tworząc z oazy Fajum jeden z najżyźniejszych rejonów Egiptu.

[6] *odegrywać* — dziś: odgrywać.

[7] *Rodowici Egipcjanie mieli barwę skóry miedzianą* — podział na cztery rasy to interpretacja malowideł egipskich dokonana pod wpływem teorii rasowych z czasów autora. Na opublikowanej na początku XIX w. rycinie rekonstruującej fresk z grobowca Setiego I przedstawiono białoskórego Libijczyka (wschód), czarnoskórego Nubijczyka (południe), żółtoskórego Syryjczyka (zachód) oraz miedzianoskórego Egipcjanina jako reprezentujących ludy wszystkich części świata. Współczesne pomiary i badania wykazały, że budową ciała ani genetycznie starożytni Egipcjanie zasadniczo nie różnili się od współczesnych mieszkańców Egiptu. Miedziany odcień skóry na malowidłach egipskich zapewne wynikał z konwencji.

skóry, pozwalający odróżnić swojego od obcego, przyczyniał się do utrzymania narodowej jedności silniej aniżeli religia, którą można przyjąć, albo język, którego można się wyuczyć.

Z biegiem czasu jednak, kiedy państwowy gmach zaczął pękać, do kraju coraz liczniej napływały obce pierwiastki. Osłabiały one spójność, rozsadzały społeczeństwo, a nareszcie zalały i rozpuściły w sobie pierwotnych mieszkańców kraju.

Faraon rządził państwem przy pomocy armii stałej i milicji czy policji tudzież mnóstwa urzędników, z których powoli utworzyła się arystokracja rodowa. Tytularnie był on prawodawcą, naczelnym wodzem, najbogatszym właścicielem, najwyższym sędzią, kapłanem, a nawet synem bożym i bogiem. Cześć boską odbierał nie tylko od ludu i urzędników, ale niekiedy sam sobie stawiał ołtarze i przed swymi własnymi wizerunkami palił kadzidła.

Obok faraonów, a bardzo często ponad nimi stali kapłani: był to zakon mędrców kierujący losami kraju.

Dziś prawie nie można wyobrazić sobie nadzwyczajnej roli, jaką stan kapłański odegrywał w Egipcie. Byli oni nauczycielami młodych pokoleń, wróżbitami, a więc doradcami ludzi dorosłych, sędziami zmarłych, którym ich wola i wiedza gwarantowała nieśmiertelność. Nie tylko spełniali drobiazgowe obrządki religijne przy bogach i faraonach, ale jeszcze leczyli chorych jako lekarze, wpływali na bieg robót publicznych jako inżynierowie tudzież na politykę jako astrologowie, a nade wszystko — znawcy własnego kraju i jego sąsiadów.

Władza

W historii Egiptu pierwszorzędne znaczenie mają stosunki, jakie istniały między stanem kapłańskim a faraonami. Najczęściej faraon ulegał kapłanom, składał bogom hojne ofiary i wznosił świątynie. Wówczas żył długo, a jego imię i wizerunki, ryte na pomnikach, przechodziły od pokolenia do pokolenia, pełne chwały. Wielu jednak faraonów panowało krótko, a niektórych znikały nie tylko czyny, ale nawet nazwiska. Parę razy zaś trafiło się, że upadała dynastia, a *klaff*[8], czapkę faraonów otoczoną wężem, przywdziewał kapłan.

Upadek, Obcy

Egipt rozwijał się, dopóki jednolity naród, energiczni królowie i mądrzy kapłani współdziałali sobie[9] dla pomyślności ogółu. Lecz nadeszła epoka, że lud skutkiem wojen zmniejszył się liczebnie, w ucisku i zdzierstwie utracił siły, napływ zaś obcych przybyszów podkopał rasową jedność. A gdy jeszcze w powodzi azjatyckiego zbytku utonęła energia faraonów i mądrość kapłanów, i dwie te potęgi rozpoczęły między sobą walkę o monopol obdzierania ludu, wówczas Egipt dostał się pod władzę cudzoziemców, i światło cywilizacji przez kilka tysięcy lat płonące nad Nilem — zagasło.

Poniższe opowiadanie odnosi się do XI wieku przed Chrystusem, kiedy upadła dynastia dwudziesta, a po synu słońca, wiecznie żyjącym Ramzesie XIII[10], wdarł się na tron

[8]*klaff* — właśc. *klaft*, gr. *nemes*, nie czapka, lecz wykonana z jednego kawałka materiału, wiązana w charakterystyczny sposób chusta osłaniająca czoło i całą głowę, z odsłonięciem uszu, zawiązana z tyłu na wysokości karku, z końcami opadającymi z przodu na ramiona. Klaft w złoto-błękitne pasy, z przymocowanym do wzmacniającego pasa na czole emblematem kobry, stanowił królewskie nakrycie głowy. Jednym z najbardziej znanych przykładów przedstawienia klaftu jest Wielki Sfinks w Gizie.

[9]*współdziałać sobie* — dziś: współdziałać ze sobą.

[10]*kiedy upadła dynastia dwudziesta, a po […] Ramzesie XIII wdarł się na tron […] San-amen-Herhor* — według dzisiejszej wiedzy ostatnim władcą dwudziestej dynastii egipskiej był Ramzes XI, panujący w latach 1114–1085 p.n.e. Wskutek ogólnego rozprężenia i konfliktu wewnętrznego w państwie po 19 latach jego panowania realną władzę w południowej części państwa, Górnym Egipcie, przejął Herhor, arcykapłan Amona w Tebach, zaś w części północnej, Dolnym Egipcie, jej namiestnik Smendes. Ramzes XI sprawował władzę już tylko tytularnie. Po jego śmierci wygasła XX dynastia i rozpoczął się Trzeci Okres Przejściowy, a Egipt faktycznie rozpadł się po raz kolejny na dwie części. Ramzes XI był ostatnim faraonem, który miał spocząć w Dolinie Królów, jednak miejsca jego pochówku nie odnaleziono. W wyniku błędnych interpretacji w XIX w. za ostatnich władców XX dynastii egiptolodzy uważali Ramzesa XII i Ramzesa XIII, dziś zaprzecza się ich istnieniu.

i czoło swoje ozdobił *ureusem*[11] wiecznie żyjący syn słońca San-amen-Herhor[12], arcykapłan Amona[13]...

ROZDZIAŁ I

W trzydziestym trzecim roku szczęśliwego panowania Ramzesa XII Egipt święcił dwie uroczystości, które prawowiernych jego mieszkańców napełniły dumą i słodyczą.

W miesiącu Mechir, w grudniu, wrócił do Teb[14], obsypany kosztownymi darami, bożek Chonsu[15], który przez trzy lata i dziewięć miesięcy podróżował w kraju Buchten[16], uzdrowił tam córkę królewską imieniem Bent-res[17] i wypędził złego ducha nie tylko z rodziny króla, ale nawet z fortecy Buchtenu.

Zaś w miesiącu Farmuti, w lutym, pan Górnego i Dolnego Egiptu, władca Fenicji i dziewięciu narodów, Mer-amen-Ramzes XII[18], po naradzeniu się z bogami, którym jest równy, mianował swoim erpatrem, czyli następcą tronu, dwudziestodwuletniego syna Chamsem-merer-amen-Ramzesa.

Wybór ten wielce uradował pobożnych kapłanów, dostojnych nomarchów[19], waleczną armię, wierny lud i wszelkie żyjące na ziemi egipskiej stworzenie. Starsi bowiem synowie faraona, urodzeni z królewny chetyjskiej[20], za sprawą czarów, których zbadać nie można, byli nawiedzeni przez złego ducha. Jeden syn, dwudziestosiedmioletni, od czasu pełnoletności nie mógł chodzić, drugi przeciął sobie żyły i umarł, a trzeci przez zatrute wino, którego nie chciał się wyrzec, wpadł w szaleństwo i mniemając, że jest małpą, całe dnie przepędzał na drzewach.

---

[11] *ureus* — wizerunek uniesionej, gotowej do ataku kobry, symbol bogini Wadżet, sprawującej boską opiekę nad faraonem i legitymizującej jego władzę. Ureus umieszczano na koronie lub diademie władcy, ponad czołem, oraz jako amulet i element dekoracyjno-magiczny budowli, sprzętów i biżuterii.

[12] *wdarł się na tron i czoło swoje ozdobił ureusem […] San-amen-Herhor* — Inaczej niż w powieści, Herhor sprawował silną i niezależną władzę, lecz tylko na terenie Górnego Egiptu. Podobnie jak jego następcy na urzędzie arcykapłana Amona w Tebach, nigdy nie koronował się na faraona, nie używał oficjalnych tytułów władcy i formalnie był wasalem jedynego władcy całego, zjednoczonego Egiptu, którym po śmierci Ramzesa XI został Smendes, pierwszy faraon XXI dynastii.

[13] *Amon* — główny bóg Teb, samoistny stwórca, dawca życia i obrońca sprawiedliwości dla uciśnionych. Od czasów Nowego Państwa, po przeniesieniu stolicy do Teb, utożsamiany z bogiem słońca Re, stał się najwyższym bóstwem panteonu i narodowym bogiem Egiptu.

[14] *Teby* — największe miasto starożytnego Górnego Egiptu, położone nad Nilem, ok. 800 km na południe od Morza Śródziemnego. Główny ośrodek kultu Amona, z wielkim kompleksem świątyń tego bóstwa, jego żony, bogini Mut, oraz Montu, lokalnego boga wojny. Na początku Średniego Państwa, jako siedziba władcy-zjednoczyciela, Teby stały się stolicą państwa. Ponownie zostały stolicą pięćset lat później, kiedy władcy tebańscy pokonali obcych najeźdźców i kolejny raz zjednoczyli kraj, zapoczątkowując epokę Nowego Państwa. Mimo przeniesienia rezydencji faraonów do Delty w czasach XIX dynastii, Teby stanowiły, obok Memfis, największe miasto Egiptu. Po drugiej stronie Nilu w skalistej Dolinie Królów znajdowało się miejsce pochówku faraonów Nowego Państwa.

[15] *Chonsu* — egipskie bóstwo lunarne (związane z księżycem). Przedstawiany jako człowiek z dyskiem księżycowym na głowie lub jako postać z głową sokoła. W Tebach uznawany za syna Amona i Mut, tworzył z nimi triadę (trójcę).

[16] *kraj Buchten* — Bachtan, prawdopodobnie w północnej Syrii. Nazwa znana tylko z opowieści o księżniczce Bentresz. Według niektórych hipotez być może chodzi o znacznie odleglejszą Baktrię, w Afganistanie.

[17] *uzdrowił tam córkę królewską imieniem Bent-res* — opowieść o cudownym uzdrowieniu księżniczki Bentresz, siostry żony faraona Ramzesa II, pochodzi z inskrypcji na steli w świątyni Chonsu zbudowanej w Tebach przez Ramzesa III (1186–1155 p.n.e.). Inskrypcja powstała kilkaset lat później, za panowania perskiego lub w epoce ptolemejskiej.

[18] *Mer-amen-Ramzes XII* — *Mer-amen* (*Meri Amon*) oznacza „umiłowany przez Amona" i jest częścią rozbudowanego imienia. Starożytni Egipcjanie nie używali numerów przy imionach władców; podczas obejmowania władzy faraonowie przyjmowali imię tronowe.

[19] *nomarcha* (z gr. *nomarchos*) — zarządca *nomu*, czyli okręgu, jednostki administracyjnej starożytnego Egiptu. Ogółem państwo składało się z 42 nomów: Dolny Egipt był podzielony na 20 nomów, zaś Egipt Górny na 22 nomy. Sam podział, nazwy, obszary i stolice poszczególnych nomów pozostawały bez większych zmian od czasów predynastycznych.

[20] *chetyjski* (daw.), dziś: *hetycki* — należący do ludu Hetytów (w powieści: Chetów), którzy przywędrowali do Anatolii (dziś Turcja) ok. 2000 r. p.n.e. Hetyci założyli tam państwo, które w XIV–XIII w. p.n.e. osiągnęło szczyt potęgi, stało się drugim imperium Bliskiego Wschodu i rywalizowało z Egiptem o dominację w Syrii. Około roku 1190 p.n.e. najazdy tzw. Ludów Morza, których inwazję udało się odeprzeć Egiptowi, spowodowały nagły upadek państwa hetyckiego. Powstały liczne państewka późnohetyckie w południowo-wschodniej Anatolii i północnej Syrii, które przetrwały do VIII w. p.n.e. Kiedy B. Prus tworzył swoją powieść, wiedza o Hetytach była uboga: uważano, że ich państwo znajdowało się na terenach północnej Syrii i wiedziano, że faraon Ramzes II podpisał traktat pokojowo-sojuszniczy z władcą Hetytów, poślubiając jego córkę.

Dopiero czwarty syn, Ramzes, urodzony z królowej Nikotris, córki arcykapłana Amenhotepa[21], był silny jak wół Apis[22], odważny jak lew i mądry jak kapłani. Od dzieciństwa otaczał się wojskowymi i jeszcze będąc zwyczajnym księciem, mawiał:

Ambicja

— Gdyby bogowie, zamiast młodszym synem królewskim, uczynili mnie faraonem, podbiłbym, jak Ramzes Wielki[23], dziewięć narodów, o których nigdy w Egipcie nie słyszano, zbudowałbym świątynię większą aniżeli całe Teby, a dla siebie wzniósłbym piramidę, przy której grób Cheopsa[24] wyglądałby jak krzak róży obok dojrzałej palmy.

Otrzymawszy tak pożądany tytuł erpatra, młody książę poprosił ojca o łaskawe mianowanie go dowódcą korpusu Menfi[25]. Na co jego świątobliwość Ramzes XII, po naradzie z bogami, którym jest równy, odpowiedział, iż uczyni to, jeżeli następca tronu złoży dowód, że potrafi kierować masą wojsk na stopie bojowej.

W tym celu zwołaną została rada pod prezydencją ministra wojny San-amen-Herhora, który był arcykapłanem największej świątyni — Amona w Tebach.

Rada postanowiła:

Następca tronu w połowie miesiąca Misori (początek czerwca) zbierze dziesięć pułków rozlokowanych wzdłuż linii, która łączy miasto Memfis z miastem Pi-Uto[26] leżącym w Zatoce Sebenickiej[27].

Z dziesięciotysięcznym korpusem, przygotowanym do boju, zaopatrzonym w obóz i machiny wojenne następca uda się na wschód, ku gościńcowi, który biegnie od Memfis do Chetem[28], na granicy ziemi Gosen[29] i pustyni egipskiej.

W tym czasie jenerał[30] Nitager, naczelny wódz armii, która strzeże bram Egiptu od najazdu azjatyckich ludów, ma wyruszyć od Gorzkich Jezior[31] przeciw następcy tronu.

Obie armie: azjatycka i zachodnia, zetkną się w okolicach miasta Pi-Bailos[32], ale — na pustyni, ażeby pracowity rolnik ziemi Gosen nie doznał przeszkód w swoich zajęciach.

Następca tronu zwycięży, jeżeli nie da się zaskoczyć Nitagerowi, a więc — jeżeli zgromadzi wszystkie pułki i zdąży ustawić je w szyku bojowym na spotkanie nieprzyjaciela.

W obozie księcia Ramzesa znajdować się będzie sam jego dostojność Herhor, minister wojny, i o biegu wypadków złoży raport faraonowi.

---

[21] *arcykapłan Amenhotep* — namiestnik i najwyższy kapłan Amona w Tebach za panowania Ramzesa IX i dwóch jego następców. Na początku panowania Ramzesa XI usiłował zagarnąć władzę i został z użyciem wojska usunięty z urzędu przez działającego na rozkaz faraona namiestnika Nubii. Niewykluczone jednak, że autor przypadkowo nadał znane egipskie imię postaci według niego fikcyjnej.

[22] *wół Apis* — święty byk Apis, symbol siły i męstwa, uważany za wcielenie Ptaha, głównego boga Memfisu. Apisa czczono w sanktuarium, a po śmierci świętego zwierzęcia wybierano kolejne, kierując się szczególnymi znakami, jakie musiały występować na jego ciele.

[23] *Ramzes Wielki* — Ramzes II (1304–1237 p.n.e.), trzeci faraon XIX dynastii, najwybitniejszy władca okresu Nowego Państwa, często uważany za największego i najpotężniejszego faraona w całej historii Egiptu. Panował 66 lat, umacniając i poszerzając odziedziczone imperium. Poprowadził kilka kampanii wojennych w Syrii, w Libii i Nubii. Z królem Hetytów Hattusilisem III wynegocjował i zawarł traktat o pokoju i współpracy, najstarszy zachowany traktat w historii. Wsławił się budową monumentalnych świątyń i pomników w całym kraju.

[24] *grób Cheopsa* — piramida Cheopsa (Chufu, ok. 2580 p.n.e.), drugiego faraona IV dynastii. Największa z piramid na płaskowyżu Giza, licząca 149 m wysokości.

[25] *korpus Menfi* — czyli korpus memficki. Grecka nazwa miasta „Memfis" pochodzi od egipskiego Menfe.

[26] *Pi-Uto* (egipskie: Per-Wadżet, gr.: Buto) — miasto nad ujściem sebenickiego ramienia Nilu do Morza Śródziemnego, 160 km na północ od Memfis. Stolica 5. nomu Dolnego Egiptu. Centrum kultu bogini Wadżet, protektorki Dolnego Egiptu.

[27] *Zatoka Sebenicka* — ujście do Morza Śródziemnego jednego z ramion Nilu, nazwanego od gr. nazwy miasta Sebennytos, stolicy 12. nomu Dolnego Egiptu.

[28] *Chetem* (egipskie *chetem*: warownia) — faraonowie zbudowali sieć ufortyfikowanych placówek broniących Egiptu także od wschodu; w Biblii jako jeden z przystanków podczas wędrówki Izraelitów z delty Nilu na półwysep Synaj wymieniono Etam, „na skraju pustyni".

[29] *ziemia Gosen* — obszar we wschodniej części delty Nilu, biblijna ziemia Goszen, gdzie zamieszkiwali Hebrajczycy w czasie tzw. niewoli egipskiej, i skąd wyprowadził ich Mojżesz.

[30] *jenerał* — dziś popr.: generał.

[31] *Gorzkie Jeziora* — Małe i Wielkie Jezioro Gorzkie, dwa słonowodne jeziora na południu Przesmyku Sueskiego łączącego Egipt z półwyspem Synaj, przez które przebiega naturalna granica między Egiptem a Azją. Obecnie stanowią część trasy Kanału Sueskiego.

[32] *Pi-Bailos* — dziś: Bilbeis, miasto we wschodniej części Delty Nilu, położone ok. 85 km na północny-wschód od Memfis oraz ok. 80 km na zachód od Przesmyku Sueskiego, a 20 km na południe od Az-Zakazik.

Granicę ziemi Gosen i pustyni stanowiły dwie drogi komunikacyjne. Jedną był kanał transportowy od Memfis do jeziora Timsah[33], drugą — szosa. Kanał znajdował się jeszcze w ziemi Gosen, szosa już w pustyni, którą obie drogi otaczały półkolem. Z szosy prawie na całej przestrzeni widać było kanał.

Niezależnie od sztucznych granic sąsiadujące krainy różniły się pod każdym względem. Ziemia Gosen pomimo falistości gruntu wydawała się równiną, pustynię zaś składały wapienne wzgórza i doliny piaszczyste. Ziemia Gosen wyglądała jak olbrzymia szachownica, której zielone i żółte poletka odgraniczały się barwą zbóż i palmami rosnącymi na miedzach; zaś na rudym piasku pustyni i jej białych wzgórzach płat zieloności albo kępa drzew i krzaków wyglądały jak zabłąkany podróżny.

Na płodnej ziemi Gosen z każdego pagórka tryskał ciemny gaj akacji, sykomorów[34] i tamaryndusów[35], z daleka przypominających nasze lipy, wśród których kryły się pałacyki z rzędami przysadzistych kolumn albo żółte lepianki chłopów. Niekiedy obok gaju bieliło się miasteczko z domami o płaskich dachach albo ponad drzewa ciężko wznosiły się piramidalne bramy świątyń, niby podwójne skały, upstrzone dziwnymi znakami.

W pustyni, spoza pierwszego szeregu trochę zielonych pagórków, wyzierały nagie wzgórza, zasłane stertami głazów. Zdawało się, że przesycony nadmiarem życia kraj zachodni z królewską hojnością rzuca na drugą stronę kanału zieleń i kwiaty; lecz wiecznie głodna pustynia pożera je w następnym roku i przerabia na popiół.

Odrobina roślinności, wygnanej na skały i piaski, trzymała się miejsc niższych, dokąd za pomocą rowów, przebitych w nasypie szosy, można było doprowadzać wodę z kanału. Jakoż między łysymi wzgórzami, w pobliżu szosy, piły rosę niebieską ukryte oazy, gdzie rósł jęczmień i pszenica, winny krzew, palmy i tamaryndusy.

W takich miejscach żyli i ludzie — pojedynczymi rodzinami, którzy, spotkawszy się na targu w Pi-Bailos, mogli nawet nie wiedzieć, że sąsiadują ze sobą na pustyni.

Szesnastego Misori koncentracja wojsk była prawie skończona. Dziesięć pułków następcy tronu, które miały zluzować azjatyckie wojska Nitagera, już zebrały się na gościńcu, powyżej miasta Pi-Bailos, z obozem i częścią wojennych machin.

Ruchami ich kierował sam następca. On zorganizował dwie linie zwiadów, z których dalsza miała śledzić nieprzyjaciół, bliższa — pilnować własnej armii od napadu, który był możliwym w okolicy pełnej wzgórz i wąwozów. On, Ramzes, w ciągu tygodnia sam objechał i obejrzał maszerujące różnymi traktami pułki pilnie bacząc: czy żołnierze mają porządną broń i ciepłe płaszcze na noc, czy w obozach znajduje się dostateczna ilość sucharów, mięsa i suszonych ryb. On wreszcie rozkazał, aby żony, dzieci i niewolników wojsk, idących na granicę wschodnią, przewieziono kanałem, co wpłynęło na zmniejszenie obozów i ułatwiło ruchy właściwej armii.

Najstarsi jenerałowie podziwiali wiedzę, zapał i ostrożność następcy tronu, a nade wszystko jego pracę i prostotę. Swój liczny dwór, książęcy namiot, wozy i lektyki zostawił on w Memfis; a sam w odzieży prostego oficera jeździł od pułku do pułku, konno, na sposób asyryjski, w towarzystwie dwu adiutantów.

Dzięki temu koncentracja właściwego korpusu poszła bardzo szybko i wojska w oznaczonym czasie stanęły pod Pi-Bailos.

Inaczej było z książęcym sztabem, z greckim pułkiem, który mu towarzyszył, i kilkoma wojennymi machinami.

Sztab, zebrany w Memfis, miał drogę najkrótszą, więc wyruszył najpóźniej, ciągnąc za sobą ogromny obóz. Prawie każdy oficer, a byli to panicze wielkich rodów, miał lektykę z czterema Murzynami, dwukolny wóz wojenny, bogaty namiot i mnóstwo skrzynek z odzieżą i jedzeniem tudzież dzbanów pełnych piwa i wina.

---

[33]*jezioro Timsah (arab.)* — Jezioro Krokodyli, słonowodne jezioro położone na Przesmyku Sueskim, na północ od Gorzkich Jezior. Obecnie przez jego wschodnią część przebiega trasa Kanału Sueskiego.

[34]*sykomorów* — dziś popr.: sykomor; *sykomora* — jeden z gatunków figowca, drzewo powszechne w Egipcie, Palestynie i Syrii. Z trwałego i lekkiego drewna wyrabiano skrzynie, trumny i inne cenne sprzęty. Owoce jadalne, ale mniej smaczne niż owoce figowca pospolitego.

[35]*tamaryndus* — tamarynd a. tamaryndowiec, drzewo tropikalne ze wschodniej Afryki. Daje smaczne owoce, cenione jest też jego drewno.

Prócz tego za oficerami wybrała się w podróż liczna trupa śpiewaczek i tancerek z muzyką; każda zaś, jako wielka dama, musiała mieć wóz, zaprzężony w jedną lub dwie pary wołów, i lektykę.

Gdy ciżba ta wylała się z Memfis, zajęła na gościńcu więcej miejsca aniżeli armia następcy tronu. Maszerowano zaś tak powoli, że machiny wojenne, które zostawiono na końcu, ruszyły o dobę później, aniżeli był rozkaz. Na domiar złego, śpiewaczki i tancerki zobaczywszy pustynię, wcale jeszcze niestraszną w tym miejscu, zaczęły bać się i płakać. Więc, dla uspokojenia ich, trzeba było przyśpieszyć nocleg, rozbić namioty i urządzić widowisko, a potem ucztę.

Nocna zabawa, w chłodzie, pod gwiaździstym niebem, na tle dzikiej natury, tak podobała się tancerkom i śpiewaczkom, że oświadczyły, iż odtąd będą występować tylko w pustyni. Tymczasem następca tronu, dowiedziawszy się w drodze o sprawach swego sztabu, przysłał rozkaz, ażeby jak najprędzej zawrócono kobiety do miasta i przyśpieszono pochód.

Przy sztabie znajdował się jego dostojność Herhor, minister wojny, lecz tylko w charakterze widza. Nie prowadził za sobą śpiewaczek, ale też i nie robił żadnych uwag sztabowcom. Kazał wynieść swoją lektykę na czoło kolumny i stosując się do jej ruchów, posuwał się naprzód albo odpoczywał pod cieniem wielkiego wachlarza, którym osłaniał go adiutant.

Jego dostojność Herhor był to człowiek czterdziestokilkuletni, silnie zbudowany, zamknięty w sobie. Rzadko odzywał się i równie rzadko spoglądał na ludzi spod zapuszczonych[36] powiek.

Jak każdy Egipcjanin miał obnażone ręce i nogi, odkrytą pierś, sandały na stopach, krótką spódniczkę dokoła bioder, a z przodu fartuszek w pasy niebieskie i białe. Jako kapłan, golił zarost i włosy i nosił skórę pantery zawieszoną przez lewe ramię. Nareszcie, jako żołnierz, nakrywał głowę małym gwardyjskim hełmem, spod którego na kark spadała chusteczka, również w białe i niebieskie pasy.

Na szyi miał potrójny łańcuch złoty, a pod lewym ramieniem, na piersiach, krótki miecz w kosztownej pochwie.

Lektyce jego, dźwiganej przez sześciu czarnych niewolników, stale towarzyszyło trzech ludzi: jeden niósł wachlarz, drugi topór ministra, a trzeci skrzynkę z papirusami. Był to Pentuer, kapłan i pisarz ministra, chudy asceta, który w największy upał nie nakrywał ogolonej głowy. Pochodził z ludu, lecz pomimo niskiego urodzenia zajmował ważne stanowisko w państwie dzięki wyjątkowym zdolnościom.

Chociaż minister ze swymi urzędnikami znajdował się na czele sztabowej kolumny i nie mieszał się do jej ruchów, nie można jednak twierdzić, ażeby nie wiedział, co się dzieje poza nim. Co godzinę, niekiedy co pół godziny, do lektyki dostojnika zbliżał się — to niższy kapłan, zwyczajny „sługa boży", to żołnierz maruder, to przekupień albo niewolnik, który niby obojętnie przechodząc obok cichego orszaku ministra, rzucał jakieś słówko. Słówko to zaś Pentuer niekiedy zapisywał, ale najczęściej pamiętał, bo pamięć miał nadzwyczajną.

Na te drobnostki nikt nie zważał w zgiełkliwym tłumie sztabowców. Oficerowie ci, wielcy panicze, zanadto byli zajęci bieganiem, hałaśliwą rozmową lub śpiewem, ażeby mieli patrzeć, kto zbliża się do ministra; tym więcej, że wciąż mnóstwo ludzi snuło się wzdłuż szosy.

Piętnastego Misori sztab następcy tronu, wraz z jego dostojnością ministrem, przepędził noc pod gołym niebem w odległości jednej mili od pułków ustawiających się już do boju w poprzek szosy, za miastem Pi-Bailos.

Przed pierwszą z rana, która odpowiada naszej godzinie szóstej, wzgórza pustynne przybrały kolor fioletowy. Spoza nich wychyliło się słońce. Ziemię Gosen zalała różowość, a miasteczka, świątynie, pałace magnatów i lepianki chłopów wyglądały jak iskry i płomienie, w jednej chwili zapalone wśród zieloności.

Niebawem zachodni horyzont oblała barwa złota. I zdawało się, że zieloność ziemi Gosen rozpływa się w złocie, a niezliczone kanały, zamiast wody, toczą roztopione srebro. Świt

[36] *zapuszczony* (tu daw.) — opuszczony, przymknięty; *zapuścić powieki* (daw.) — opuścić powieki, przymknąć oczy.

Ale wzgórza pustyni zrobiły się jeszcze mocniej fioletowymi, rzucając długie cienie na piaski i czarność na rośliny.

Straże stojące wzdłuż szosy doskonale mogły widzieć wysadzone palmami pola za kanałem. Na jednych zielenił się len, pszenica, koniczyna, na innych — złocił się dojrzewający jęczmień drugiego posiewu. Jednocześnie z chat, ukrytych między drzewami, zaczęli wychodzić do roboty rolnicy, ludzie nadzy, barwy miedzianej, którzy za cały ubiór mieli krótką spódniczkę na biodrach i czepek na głowie.

Jedni zwrócili się do kanałów, aby oczyszczać je z mułu albo czerpać wodę i wylewać na pola za pomocą machin podobnych do żurawi przy studniach. Inni rozproszywszy się między drzewami zbierali dojrzałe figi i winogrona. Snuło się tam sporo nagich dzieci i kobiet w białych, żółtych lub czerwonych koszulach bez rękawów.

I był wielki ruch w tej okolicy. Na niebie drapieżne ptactwo pustyni uganiało się za gołębiami i kawkami ziemi Gosen. Wzdłuż kanału huśtały się zgrzytające żurawie z kubełkami płodnej wody, a ludzie, którzy zbierali owoce, ukazywali się i znikali między zielonością drzew jak barwne motyle. Zaś w pustyni, na szosie, już zamrowiło się wojsko i jego służba. Przeleciał oddział konnych uzbrojony w lance[37]. Za nim pomaszerowali łucznicy w czepkach i spódniczkach; mieli oni łuki w garści, sajdaki[38] na plecach i szerokie tasaki u prawego boku. Łucznikom towarzyszyli procarze niosący torby z pociskami i uzbrojeni w krótkie miecze.

O sto kroków za nimi szły dwa małe oddziałki piechoty: jeden uzbrojony we włócznie, drugi w topory. Ci i tamci nieśli w rękach prostokątne tarcze, na piersiach mieli grube kaftany, niby pancerze, a na głowie czepki z chusteczkami zasłaniającymi kark od upału. Czepki i kaftany były w pasy: niebieskie z białym lub żółte z czarnym, co robiło żołnierzy podobnymi do wielkich szerszeni.

Za przednią strażą, otoczona oddziałem toporników, posuwała się lektyka ministra, a za nią, w miedzianych hełmach i pancerzach, greckie roty, których miarowy krok przypominał uderzenia ciężkich młotów. W tyle było słychać skrzypienie wozów, ryk bydła i krzyki woźniców, a z boku szosy przemykał się brodaty handlarz fenicki w lektyce zawieszonej między dwoma osłami. Nad tym wszystkim unosił się tuman złotego pyłu i gorąco.

Nagle od straży przedniej przycwałował konny żołnierz i zawiadomił ministra, że zbliża się następca tronu. Jego dostojność wysiadł z lektyki, a w tejże chwili na szosie ukazała się garstka jeźdźców, którzy zeskoczyli z koni. Po czym jeden z jeźdźców i minister zaczęli iść ku sobie, co kilka kroków zatrzymując się i kłaniając.

— Bądź pozdrowiony, synu faraona, który oby żył wiecznie — odezwał się minister.

— Bądź pozdrowiony i żyj długo, ojcze święty — odparł następca. A potem dodał:

— Ciągniecie tak wolno, jakby wam nogi upiłowano, a Nitager najpóźniej za dwie godziny stanie przed naszym korpusem.

— Powiedziałeś prawdę. Twój sztab maszeruje bardzo powoli.

— Mówi mi też Eunana — tu Ramzes wskazał na stojącego za sobą oficera obwieszonego amuletami — że nie wysyłaliście patroli do wąwozów. A przecież na wypadek rzeczywistej wojny nieprzyjaciel z tej strony mógł was napaść.

— Nie jestem dowódcą, tylko sędzią — spokojnie odpowiedział minister.

— A cóż robił Patrokles?

— Patrokles z greckim pułkiem eskortuje machiny wojenne.

— A mój krewny i adiutant, Tutmozis[39]?

— Podobno jeszcze śpi.

Ramzes niecierpliwie uderzył nogą w ziemię i umilkł. Był to piękny młodzieniec, z twarzą prawie kobiecą, której gniew i opalenizna dodawały wdzięku. Miał na sobie obcisły kaftan w pasy niebieskie i białe, tegoż koloru chustkę pod hełmem, złoty łańcuch na szyi i kosztowny miecz pod lewym ramieniem.

— Widzę — odezwał się książę — że tylko ty jeden, Eunano, dbasz o moją cześć.

Obwieszony amuletami oficer schylił się do ziemi.

---

[37] *oddział konnych uzbrojony w lance* — anachronizm.

[38] *sajdak* — wyposażenie łucznika składające się z futerału na łuk oraz futerału na strzały (kołczanu).

[39] *Tutmozis* — gr. Totmes, egip. Dżehutimes, imię noszone przez czterech faraonów Nowego Państwa, m.in. wielkiego zdobywcę Totmesa III.

— Tutmozis jest to próżniak — mówił następca. — Wracaj, Eunano, na swoje stanowisko. Niech przynajmniej przednia straż ma dowódcę.

Potem spojrzawszy na świtę, która już go otoczyła, jakby wyrosła spod ziemi, dodał:

— Niech mi przyniosą lektykę. Jestem zmęczony jak kamieniarz.

— Czyliż[40] bogowie mogą męczyć się!... — szepnął jeszcze stojący za nim Eunana.

— Idź na swoje miejsce — rzekł Ramzes.

— A może rozkażesz mi, wizerunku księżyca, teraz zbadać wąwozy? — cicho spytał oficer. — Proszę cię, rozkazuj mi, bo gdziekolwiek jestem, serce moje goni za tobą, aby odgadnąć twoją wolę i spełnić ją.

— Wiem, że jesteś czujny — odparł Ramzes. — Już idź i uważaj na wszystko.

— Ojcze święty — zwrócił się Eunana do ministra — polecam waszej dostojności moje najpokorniejsze służby.

Ledwie Eunana odjechał, gdy na końcu maszerującej kolumny zrobił się jeszcze większy tumult. Szukano lektyki następcy tronu, ale — nie było jej. Natomiast ukazał się, rozbijając greckich żołnierzy, młody człowiek dziwnej powierzchowności. Miał na sobie muślinową koszulkę, bogato haftowany fartuszek i złotą szarfę przez ramię. Nade wszystko jednak odznaczała się jego ogromna peruka, składająca się z mnóstwa warkoczyków, i sztuczna bródka, podobna do kociego ogona.

Był to Tutmozis, pierwszy elegant w Memfis, który nawet podczas marszu stroił się i oblewał perfumami.

— Witaj, Ramzesie! — wołał elegant, gwałtownie rozpychając oficerów. — Wyobraź sobie, że gdzieś podziała się twoja lektyka; musisz więc usiąść do mojej, która wprawdzie nie jest godną ciebie, ale nie najgorszą.

— Rozgniewałeś mnie — odparł książę. — Śpisz zamiast pilnować wojska.

Zdumiony elegant zatrzymał się.

— Ja śpię?... — zawołał. — Bodaj język usechł temu, kto mówi podobne kłamstwa. Ja, wiedząc, że przyjedziesz, od godziny ubieram się, przygotowuję ci kąpiel i perfumy...

— A tymczasem oddział posuwa się bez komendy.

— Więc ja mam być komendantem oddziału, w którym znajduje się jego dostojność minister wojny i taki wódz jak Patrokles?

Następca tronu umilkł, a tymczasem Tutmozis zbliżywszy się do niego szeptał:

— Jak ty wyglądasz, synu faraona?... Nie masz peruki, włosy i odzienie pełne kurzu, skóra czarna i popękana jak ziemia w lecie?... Najczcigodniejsza królowa-matka wygnałaby mnie ze dworu zobaczywszy twoją nędzę...

— Jestem tylko zmęczony.

— Więc siadaj do lektyki. Są tam świeże wieńce róż, pieczone ptaszki i dzban wina z Cypru. Ukryłem też — dodał jeszcze ciszej — Senurę w obozie...

— Jest?... — spytał książę. Błyszczące przed chwilą oczy zamgliły mu się.

— Niech wojsko idzie naprzód — mówił Tutmozis — a my tu zaczekajmy na nią...

Ramzes jakby ocknął się.

— Dajże mi spokój, pokuso!... Przecież za dwie godziny bitwa...

— Co to za bitwa!...

— A przynajmniej rozstrzygnięcie losów mego dowództwa.

— Żartuj z tego — uśmiechnął się elegant. — Przysiągłbym, że już wczoraj minister wojny posłał raport do jego świątobliwości z prośbą, ażebyś dostał korpus Menfi. Pokusa, Wódz, Wojna

— Wszystko jedno. Dziś nie potrafiłbym myśleć o czym innym aniżeli o armii.

— Okropny jest w tobie ten pociąg do wojny, na której człowiek nie myje się przez całe miesiące, ażeby pewnego dnia zginąć... Brr!... Gdybyś jednak zobaczył Senurę... Tylko spojrzyj na nią...

— Właśnie dlatego nie spojrzę — odparł Ramzes stanowczo.

W chwili gdy spoza greckich szeregów ośmiu ludzi wyniosło ogromną lektykę Tutmozisa dla następcy tronu, od straży przedniej przyleciał jeździec. Zsunął się z konia i biegł tak prędko, aż dzwoniły mu na piersiach wizerunki bogów lub tabliczki z ich imionami. Był to rozgorączkowany Eunana.

Wszyscy zwrócili się do niego, co zdawało się robić mu przyjemność.

[40] *czyliż* (daw.) — czy, czyż.

— Erpatre, najwyższe usta! — zawołał Eunana, schylając się przed Ramzesem. — Kiedy, zgodnie z twoim boskim rozkazem, jechałem na czele oddziału, pilnie bacząc na wszystko, spostrzegłem na szosie dwa piękne *skarabeusze*[41]. Każdy ze świętych żuków toczył przed sobą glinianą kulkę[42] w poprzek drogi, ku piaskom...

— Więc cóż? — przerwał następca.

— Rozumie się — ciągnął Eunana, spoglądając w stronę ministra — że jak nakazuje pobożność, ja i moi ludzie, złożywszy hołd złotym wizerunkom słońca, zatrzymaliśmy pochód. Jest to tak ważna wróżba, że bez rozkazu nikt z nas nie ośmieliłby się iść naprzód.

— Widzę, że jesteś prawdziwie pobożnym Egipcjaninem, choć rysy masz hetyckie — odpowiedział dostojny Herhor. A zwróciwszy się do kilku bliżej stojących dygnitarzy dodał:

— Nie pójdziemy dalej gościńcem, bo moglibyśmy podeptać święte żuki. Pentuerze, czy tym wąwozem, na prawo, można okolić szosę?

— Tak jest — odparł pisarz ministra. — Wąwóz ten ma milę długości i wychodzi znowu na szosę, prawie naprzeciw Pi-Bailos.

— Ogromna strata czasu — wtrącił gniewnie następca.

— Przysiągłbym, że to nie skarabeusze, ale duchy moich fenickich lichwiarzy — odezwał się elegant Tutmozis. — Nie mogąc z powodu śmierci odebrać pieniędzy, zmuszają mnie, abym za karę szedł przez pustynię!...

Świta książęca z niepokojem oczekiwała decyzji, więc Ramzes odezwał się do Herhora:

— Cóż o tym myślisz, ojcze święty?

— Spojrzyj na oficerów — odparł kapłan — a zrozumiesz, że musimy iść wąwozem.

Teraz wysunął się dowódca Greków, generał Patrokles, i rzekł do następcy:

— Jeżeli książę pozwolisz, mój pułk pójdzie dalej szosą. Nasi żołnierze nie boją się skarabeuszów. Świętokradztwo

— Wasi żołnierze nie boją się nawet grobów królewskich — odpowiedział minister. — Nie musi tam być jednak bezpiecznie, skoro żaden nie wrócił. Wierzenia, Religia

Zmieszany Grek usunął się do świty.

— Przyznaj, ojcze święty — szepnął z najwyższym gniewem następca — że taka przeszkoda nawet osła nie zatrzymałaby w podróży.

— Bo też osioł nigdy nie będzie faraonem — spokojnie odparł minister.

— W takim razie ty, ministrze, przeprowadzisz oddział przez wąwóz! — zawołał Ramzes. — Ja nie znam się na kapłańskiej taktyce, zresztą muszę odpocząć. Chodź ze mną, kuzynie — rzekł do Tutmozisa i skierował się w stronę łysych pagórków.

ROZDZIAŁ II

Jego dostojność Herhor natychmiast polecił swemu adiutantowi, który nosił topór, objąć dowództwo straży przedniej w miejsce Eunany. Potem wysłał rozkaz, ażeby machiny wojenne do rzucania wielkich kamieni zjechały z szosy ku wąwozowi, a żołnierze greccy aby ułatwiali im przejście w miejscach trudnych. Wszystkie zaś wozy i lektyki oficerów świty miały ruszyć na końcu.

Kiedy Herhor wydawał rozkazy, adiutant noszący wachlarz zbliżywszy się do pisarza Pentuera szepnął:

— Chyba już nigdy nie będzie można jeździć tą szosą...

— Dlaczego? — odparł kapłan. — Ale skoro dwa święte żuki przeszły nam drogę, nie wypada iść nią dalej. Mogłoby się zdarzyć nieszczęście.

— Już i tak jest nieszczęście. Albo nie uważałeś, że książę Ramzes rozgniewał się na ministra, a nasz pan nie należy do tych, którzy zapominają...

— Nie książę na naszego pana, ale nasz pan na księcia obraził się i zgromił go — Władza

[41] *skarabeusz* — rodzaj dużych, czarnych chrząszczy o metalicznym połysku. Toczące kulkę nawozu skarabeusze symbolizowały wędrówkę słońca po niebie i ponowne narodziny. Pod postacią skarabeusza czczono słonecznego boga Chepri. Bardzo popularne były amulety, pierścienie i pieczęcie w kształcie skarabeuszy, wytwarzane z kamienia, metali, kości słoniowej.

[42] *Każdy ze świętych żuków toczył przed sobą glinianą kulkę* — skarabeusze odżywiają się nawozem, a w utoczonej z niego kulce samica składa jajo, z którego rozwija się młode.

odrzekł Pentuer. — I dobrze zrobił. Bo młodemu księciu już dziś wydaje się, że będzie drugim Menesem[43]...

— Chyba Ramzesem Wielkim?... — wtrącił adiutant.

— Ramzes Wielki słuchał bogów, za co we wszystkich świątyniach ma chlubne napisy. Ale Menes, pierwszy faraon Egiptu, był burzycielem porządku i tylko ojcowskiej łagodności kapłanów zawdzięcza, że jego imię jest wspominane... Chociaż nie dałbym jednego utena[44] miedzi, że mumia Menesa nie istnieje.

— Mój Pentuerze — mówił adiutant — jesteś mędrcem, więc rozumiesz, że nam wszystko jedno, czy mamy dziesięciu panów, czy jedynastu...

— Ale ludowi nie wszystko jedno, czy ma wydobywać co roku górę złota dla kapłanów, czy dwie góry złota: dla kapłanów i dla faraona — odpowiedział Pentuer i oczy mu błysnęły.

— Rozmyślasz o niebezpiecznych sprawach — szepnął adiutant.

— A ileż razy ty sam gorszyłeś się zbytkami dworu faraona i nomarchów?... — spytał zdziwiony kapłan.

— Cicho... cicho!... jeszcze będziemy mówili o tych rzeczach, ale nie teraz.

Pomimo piasku machiny wojenne, do których przyprzężono po dwa woły, szybciej toczyły się po pustyni aniżeli po szosie. Przy pierwszej z nich szedł Eunana, zakłopotany i rozmyślający nad tym: dlaczego minister pozbawił go dowództwa przedniej straży? Czy chce mu powierzyć jakieś wyższe stanowisko?

Wyglądając tedy nowej kariery, a może dla zagłuszenia obaw, które miotały jego sercem, pochwycił drąg i gdzie był głębszy piasek, podpierał balistę albo krzykiem zachęcał Greków. Ci jednak mało zwracali na niego uwagi.

Już dobre pół godziny orszak posuwał się krętym wąwozem o ścianach nagich i spadzistych, gdy straż przednia znowu zatrzymała się. W tym miejscu znajdował się inny wąwóz, poprzeczny, środkiem którego ciągnął się dość szeroki kanał.

Goniec, wysłany do ministra z wiadomością o przeszkodzie, przywiózł polecenie, ażeby kanał natychmiast zasypać.

Około setki żołnierzy greckich z oskardami i łopatami rzuciło się do roboty. Jedni odrąbywali kamienie ze skał, drudzy wrzucali je do rowu i przysypywali piaskiem.

Wtem z głębi wąwozu wyszedł człowiek z motyką mającą formę bocianiej szyi z dziobem. Był to chłop egipski, stary, zupełnie nagi. Przez chwilę z najwyższym zdumieniem patrzył na robotę żołnierzy, nagle skoczył między nich wołając:

— Co wy dokazujecie, poganie, przecież to kanał?...

— A ty jak śmiesz złorzeczyć wojownikom jego świątobliwości? — zapytał go, już obecny w tym miejscu, Eunana.

— Widzę, że musisz być wielkim i Egipcjaninem — odparł chłop — więc odpowiem ci, że ten kanał należy do potężnego pana: jest on ekonomem u pisarza przy takim, co nosi wachlarz jego dostojności nomarchy Memfis. Baczcie więc, ażeby was nieszczęście nie spotkało!...

— Róbcie swoje — rzekł protekcjonalnym tonem Eunana do żołnierzy greckich, którzy zaczęli przypatrywać się chłopu. Nie rozumieli jego mowy, ale zastanowił ich ton.

— Oni wciąż zasypują!... — mówił chłop z rosnącym przerażeniem. — Biada wam, psubraty! — zawołał, rzucając się na jednego z motyką.

Grek wyrwał motykę, uderzył chłopa w zęby, aż krew wystąpiła mu na usta. Potem znowu zabrał się do sypania piasku.

Oszołomiony ciosem chłop stracił odwagę i zaczął błagać:

— Panie — mówił — ależ ten kanał ja sam kopałem przez dziesięć lat nocami i w święta! Nasz pan obiecał, że jeżeli uda mi się przeprowadzić wodę do tej dolinki, zrobi mnie na niej parobkiem, odstąpi piątą część zbiorów i da wolność... Słyszycie?... Wolność mnie i trojgu dzieciom, o bogowie!...

Wzniósł ręce i znowu zwrócił się do Eunany:

---

[43] *Menes* — utożsamiany z Narmerem, ok. 3100 p.n.e., pierwszy władca I dynastii, uważany za twórcę państwa, zjednoczyciela dwu krajów: Górnego i Dolnego Egiptu. Według tradycji założył miasto Memfis, leżące pomiędzy obiema krainami.

[44] *uten* a. *deben* — jednostka wagi, około 91 gramów. W czasach opisywanych w powieści monet jeszcze nie znano. Wartość towaru wyrażano w jednostkach wagowych miedzi, srebra lub złota.

— Oni mnie nie rozumieją, ci zamorscy brodacze, potomstwo psów, bracia Fenicjan i Żydów. Ale ty, panie, wysłuchasz mnie... Od dziesięciu lat, kiedy inni szli na jarmark albo na tańce, albo na świętą procesję, ja wykradałem się w ten niegościnny wąwóz. Nie chodziłem na grób matki mojej, tylkom kopał; zapomniałem o zmarłych, ażeby moim dzieciom i sobie choć na jeden dzień przed śmiercią dać wolność i ziemię... Wy bądźcie moimi świadkami, o bogowie, ile razy zaskoczyła mnie tutaj noc... Ile ja tu razy słyszałem płaczliwe głosy hien i widziałem zielone oczy wilków. Alem nie uciekał, bo gdzież bym nieszczęsny uciekł, gdy na każdej ścieżce czyhał strach, a w tym kanale wolność trzymała mnie za nogi. Raz, o tam, za załamem, wyszedł na mnie lew, faraon wszystkich zwierząt. Motyka wypadła mi z ręki. Więc ukląkłem przed nim i rzekłem te słowa, jak mnie widzicie: „Panie — czyliż raczyłbyś mnie zjeść... jestem przecież tylko niewolnikiem!" Lew drapieżca ulitował się nade mną; omijał mnie wilk; nawet zdradzieckie nietoperze oszczędzały biedną moją głowę, a ty, Egipcjaninie...

Chłop umilkł, spostrzegł zbliżający się orszak ministra Herhora. Po wachlarzu poznał, że musi to być ktoś wielki, a po skórze pantery, że kapłan. Pobiegł więc ku niemu, ukląkł i uderzył głową o piasek.

— Czego chcesz, człowieku? — zapytał dostojnik.

— „Światło słoneczne, wysłuchaj mnie! — zawołał chłop. — Oby nie było jęków w twojej komnacie i nieszczęście nie szło za tobą! Oby twoje czyny nie załamały się i oby cię prąd nie porwał, gdy będziesz płynął Nilem na drugi brzeg..."

— Pytam, czego chcesz? — powtórzył minister.

— „Dobry panie — prawił chłop — przewodniku bez kaprysów, który zwyciężasz fałsz, a stwarzasz prawdę... Który jesteś ojcem biedaka, mężem wdowy, szatą nie mającego matki... Pozwól, abym miał sposobność rozgłaszać imię twoje jako prawo w kraju... Przyjdź do słowa ust moich... Słuchaj i zrób sprawiedliwość, najszlachetniejszy ze szlachetnych..."[45]

— On chce, ażeby nie zasypywano tego rowu — odezwał się Eunana.

Minister wzruszył ramionami i posunął się w stronę kanału, przez który rzucono kładkę. Wówczas zrozpaczony chłop pochwycił go za nogi.

— Precz z *tym*!... — krzyknął jego dostojność, cofnąwszy się jak przed ukąszeniem żmii.

Pisarz Pentuer odwrócił głowę; jego chuda twarz miała barwę szarą. Ale Eunana schwycił i ścisnął chłopa za kark, a nie mogąc oderwać go od nóg ministra, wezwał żołnierzy. Po chwili jego dostojność, oswobodzony, przeszedł na drugą stronę rowu, a żołnierze prawie w powietrzu odnieśli chłopa na koniec maszerującego oddziału. Dali mu kilkadziesiąt kułaków, a zawsze zbrojni w trzciny podoficerowie odliczyli mu kilkadziesiąt kijów i nareszcie — rzucili u wejścia do wąwozu.

Pozycja społeczna, Niewola, Bieda

Zbity, pokrwawiony, a nade wszystko przestraszony nędzarz chwilę posiedział na piasku, przetarł oczy i nagle zerwawszy się począł uciekać w stronę gościńca jęcząc:

— Pochłoń mnie, ziemio!... Przeklęty dzień, w którym ujrzałem światło, i noc, w której powiedziano: „narodził się człowiek..." W płaszczu sprawiedliwości nie ma nawet skrawka dla niewolników... I sami bogowie nie spojrzą na taki twór, który ma ręce do pracy, gębę tylko do płaczu, a grzbiet do kijów... O śmierci, zetrzyj moje ciało na popiół, ażebym jeszcze i tam, na polach Ozyrysa[46][47], po raz drugi nie urodził się niewolnikiem...

[45] *Światło słoneczne, wysłuchaj mnie! [...] Słuchaj i zrób sprawiedliwość, najszlachetniejszy ze szlachetnych...* — gadanina chłopa autentyczna. [przypis autorski]

[46] *Ozyrys* (mit. egipska) — jeden z najważniejszych bogów Egiptu. Brat i mąż Izydy, panował jako władca ziemi. Zabity przez swego brata, Seta, został wskrzeszony przez Izydę, z którą przed powtórną śmiercią spłodził Horusa. Następnie panował w świecie pozagrobowym, sądząc zmarłych. Odradzał się w swoim synu Horusie, który przejął po nim władzę ziemską. Jako umierający i powracający do życia był bogiem wegetacji, odradzającej się przyrody i wiecznego życia. Przedstawiany w postaci człowieka w koronie władcy i z insygniami królewskimi, owiniętego w bandaże na kształt mumii.

[47] *pola Ozyrysa* — kraina zmarłych, do której po śmierci trafiali sprawiedliwi. Żyzne pola tej krainy zapewniały dostatni żywot wieczny, ale zmarli musieli je uprawiać.

ROZDZIAŁ III

Dyszący gniewem książę Ramzes wdzierał się na pagórek, a za nim Tutmozis. Elegantowi przekręciła się peruka, sztuczna bródka odpadła, więc niósł ją w rękach. Pomimo zmęczenia byłby blady na twarzy, gdyby nie warstwa różu.

Wreszcie książę zatrzymał się na szczycie. Od wąwozu dolatywał ich zgiełk żołnierstwa i łoskot toczących się balist; przed nimi rozciągał się ogromny płat ziemi Gosen, wciąż kąpiącej się w blaskach słońca. Zdawało się, że to nie ziemia, ale złoty obłok, na którym marzenie wymalowało krajobraz farbami ze szmaragdów, srebra, rubinów, pereł i topazów.

Następca wyciągnął rękę.

— Patrz — zawołał do Tutmozisa — tam ma być moja ziemia, a tu moje wojsko... I otóż tam — najwyższymi budowlami są pałace kapłanów, a tu — najwyższym dowódcą wojsk jest kapłan!... Czy można cierpieć coś podobnego?...

— Tak zawsze było — odparł Tutmozis, lękliwie oglądając się dokoła.

— To fałsz! Znam przecież dzieje tego kraju zasłonięte przed wami. Dowódcami wojsk i panami urzędników byli tylko faraonowie, a przynajmniej energiczniejsi spośród nich. Tym władcom nie schodziły dnie na ofiarach i modlitwach, lecz na rządzeniu państwem...

— Jeżeli jest taka wola jego świątobliwości... — wtrącił Tutmozis.

— Nie jest wolą mojego ojca, ażeby nomarchowie rządzili samowolnie w swoich stolicach, a etiopski[48] namiestnik prawie uważał się za równego królowi królów. I nie może być wolą mego ojca, ażeby jego armia obchodziła dwa złote żuki, dlatego że ministrem wojny jest kapłan.

— Wielki to wojownik!... — szepnął coraz bardziej wylękniony Tutmozis.

— Jaki on tam wojownik!... Że pobił garstkę zbójców libijskich, którzy powinni uciekać na sam widok kaftanów egipskich żołnierzy? Ale zobacz, co robią nasi sąsiedzi. Izrael zwłoczy ze składaniem haraczu i płaci coraz mniej. Chytry Fenicjanin co roku wycofuje po kilka okrętów z naszej floty. Przeciw Hetytom musimy na wschodzie trzymać wielką armię[49], a koło Babilonu[50] i Niniwy[51] kipi ruch, który czuć w całej Mezopotamii.

I jakiż jest ostateczny skutek rządów kapłańskich? Ten, że kiedy jeszcze mój pradziad miał sto tysięcy talentów rocznego dochodu i sto sześćdziesiąt tysięcy wojska, mój ojciec ma ledwie pięćdziesiąt tysięcy talentów[52] i sto dwadzieścia tysięcy wojska... A co to za wojsko!... Gdyby nie korpus grecki, który trzyma ich w porządku jak brytan owce, już dziś egipscy żołnierze słuchaliby tylko kapłanów, a faraon spadłby do poziomu nędznego nomarchy.

— Skąd ty to wiesz?... Skąd takie myśli?... — dziwił się Tutmozis.

— Alboż nie pochodzę z rodu kapłanów?! Przecież uczyli mnie, gdym jeszcze nie był następcą tronu. O, gdy zostanę faraonem po moim ojcu, który oby żył wiecznie, położę im na karkach nogę obutą w spiżowy sandał... A najpierwej sięgnę do ich skarbnic, które zawsze były przesycone, ale od czasów Ramzesa Wielkiego zaczęły puchnąć i dzisiaj są tak wydęte złotem, że spoza nich nie widać skarbu faraona.

— Biada mnie i tobie! — westchnął Tutmozis. — Masz zamysły, pod którymi ugiąłby się ten pagórek, gdyby słyszał i rozumiał. A gdzie twoje siły... pomocnicy... żołnierze?... Przeciw tobie stanie cały naród, prowadzony przez potężną klasę... A kto za tobą?

---

[48] *etiopski namiestnik* — chodzi o Nubię, rejon na południe od I katarakty nilowej, tj. dzisiejszy południowy Egipt i północny Sudan. Podbitą Nubią rządził namiestnik faraona, mający do dyspozycji sformowane z miejscowych wojowników wojska garnizonowe. W czasach Nowego Państwa oddziały nubijskie pełniły rolę elitarnych sił strażniczych i policyjnych w całym państwie egipskim. Grecy w czasach antycznych używali nazw: Etiopia, Etiopowie na określenie wszystkich terenów i ludów na południe od Egiptu.

[49] *Izrael zwłoczy ze składaniem haraczu… przeciw Hetytom musimy na wschodzie trzymać wielką armię* — po atakach Ludów Morza i załamaniu cywilizacji epoki brązu, Palestyna i Syria uwolniły się spod hegemonii egipskiej. Potężne państwo Hetytów faktycznie już nie istniało, ale funkcjonowały dziesiątki małych państewek.

[50] *Babilon* — wielkie miasto w środkowej Mezopotamii (dziś: Irak), nad Eufratem. W tym czasie był stolicą państwa Babilonii.

[51] *Niniwa* — miasto w północnej Mezopotamii (dziś: Irak), nad Tygrysem, od trzeciego tysiąclecia p.n.e. ważne centrum kultu bogini Isztar. Za panowania Sennacheryba (705–682 p.n.e.) ustanowiona nową stolicą państwa asyryjskiego. W czasach opisywanych w powieści miała niewielkie znaczenie polityczne, zaś stolicą Asyrii było miasto Assur (Aszur).

[52] *talent* — starożytna jednostka wagi, używana w Mezopotamii, przyjęta na Bliskim Wschodzie, następnie przez Greków i Rzymian. Zależnie od kraju talent był równy od 27 do 32 kilogramów. Dzielił się na 60 min.

Książę słuchał i zamyślił się. Wreszcie odparł:

— Wojsko...

— Znaczna część jego pójdzie za kapłanami.

— Korpus grecki...

— Beczka wody w Nilu.

— Urzędnicy...

— W połowie należą do nich.

Ramzes smutnie potrząsnął głową i umilkł.

Ze szczytu nagim i kamienistym spadkiem zeszli na drugą stronę wzgórza. Wtem Tutmozis, który wysunął się trochę naprzód, zawołał:

— Czy urok padł na moje oczy?... Spojrzyj, Ramzesie!... Ależ między tymi skałami kryje się drugi Egipt...

— Musi to być jakiś folwark kapłański, który nie opłaca podatków — z goryczą odpowiedział książę.

U ich stóp, w głębi, leżała żyzna dolina mająca formę wideł, których rogi kryły się między skałami. W jednym rogu widać było kilka chat dla służby i ładny domek właściciela czy rządcy. Rosły tu palmy, wino, oliwki, drzewa figowe z powietrznymi korzeniami, cyprysy, nawet młode baobaby. Środkiem płynęła struga wody, zaś na stokach wzgórz, co kilkaset kroków, widać było nieduże sadzawki.

Zeszedłszy między winnice, pełne dojrzałych gron, usłyszeli kobiecy głos, który wołał, a raczej śpiewał na tęskną nutę:

— Gdzie jesteś, kureczko moja, odezwij się, gdzie jesteś, ulubiona?... Uciekłaś ode mnie, choć sama poję cię i karmię czystym ziarnem, aż wzdychają niewolnicy... Gdzież jesteś, odezwij się!... Pamiętaj, że cię noc zaskoczy i nie trafisz do domu, w którym wszyscy ci usługują; albo przyleci z pustyni rudy jastrząb i poszarpie ci serce. Wtedy na próżno będziesz wołała twojej pani, jak teraz ja ciebie... Odezwijże się, bo rozgniewam się i odejdę, a ty będziesz musiała wracać za mną piechotą...

Śpiew zbliżał się w stronę podróżnych. Już śpiewaczka była od nich o kilka kroków, gdy Tutmozis wsunąwszy głowę między krzaki zawołał:

— Spojrzyj no, Ramzesie, ależ to prześliczna dziewczyna!...

Książę, zamiast patrzeć, wpadł na ścieżkę i zabiegł drogę śpiewającej. Było to istotnie piękne dziewczę z greckimi rysami twarzy i cerą słoniowej kości. Spod welonu na głowie wyglądały ogromne, czarne włosy, skręcone w węzeł. Miała na sobie białą szatę powłóczystą, którą z jednej strony unosiła ręką; pod przejrzystą zasłoną widać było dziewicze piersi, z kształtu podobne do jabłek.

— Kto ty jesteś, dziewczyno? — zawołał Ramzes. Z czoła zniknęły mu groźne bruzdy, oczy zaiskrzyły się.

— O Jehowo[53]!... ojcze!... — krzyknęła przerażona, bez ruchu zatrzymując się na ścieżce. Powoli jednak uspokoiła się, a jej aksamitne oczy przybrały zwykły wyraz łagodnego smutku.

— Skądeś się tu wziął?... — zapytała Ramzesa trochę drżącym głosem. — Widzę, że jesteś żołnierz, a tu żołnierzom wchodzić nie wolno.

— Dlaczego nie wolno?

— Bo to jest ziemia wielkiego pana, Sezofrisa...

— Ho! ho!... — uśmiechnął się Ramzes.

— Nie śmiej się, bo wnet zbledniesz. Pan Sezofris jest pisarzem pana Chairesa, który nosi wachlarz nad najdostojniejszym nomarchą Memfisu... A mój ojciec widział go i padał przed nim na twarz.

— Ho! ho! ho!... — powtarzał, wciąż śmiejąc się, Ramzes.

— Słowa twoje są bardzo zuchwałe — rzekła, marszcząc się, dziewczyna. — Gdyby z twarzy nie patrzyła ci dobroć, myślałabym, że jesteś greckim najemnikiem albo bandytą.

— Jeszcze nim nie jest, ale kiedyś może zostać największym bandytą, jakiego ta ziemia nosiła — wtrącił elegancki Tutmozis, poprawiając swoją perukę.

— A ty musisz być tancerzem — odparła już ośmielona dziewczyna. — O!... jestem nawet pewna, że widziałam cię na jarmarku w Pi-Bailos, jak zaklinałeś węże...

[53] *Jehowa* — Jahwe, imię narodowego Boga Żydów.

Obaj młodzi ludzie wpadli w doskonały humor.

— A któż ty jesteś? — zapytał dziewczyny Ramzes, biorąc ją za rękę, którą cofnęła.

— Nie bądź taki śmiały. Jestem Sara, córka Gedeona, rządcy tego folwarku.

— Żydówka?... — rzekł Ramzes i cień przesunął mu się po twarzy.

— Cóż to szkodzi... co to szkodzi!... — zawołał Tutmozis. — Czy myślisz, że Żydówki są mniej słodkie od Egipcjanek?... Są tylko skromniejsze i trudniejsze, co ich miłości nadaje wdzięk nadzwyczajny.

— Więc jesteście poganami — rzekła Sara z godnością. — Odpocznijcie, jeżeliście zmęczeni, narwijcie sobie winogron i odejdźcie z Bogiem. Nasza służba nierada takim gościom.

Chciała odejść, lecz Ramzes ją zatrzymał.

— Stój... Podobałaś mi się i nie możesz tak nas opuszczać.

— Zły duch cię opętał. Nikt w tej dolinie nie śmiałby przemawiać w taki sposób do mnie... — oburzyła się Sara.

— Bo widzisz — wtrącił Tutmozis — ten młodzik jest oficerem kapłańskiego pułku Ptah[54] i pisarzem u pisarza takiego pana, który nosi wachlarz nad noszącym wachlarz za nomarchą Habu[55].

— Pewnie, że musi być oficerem — odparła Sara, w zamyśleniu patrząc na Ramzesa. — Może nawet sam jest wielkim panem?... — dodała, kładąc palec na ustach.

— Czymkolwiek jestem, twoja piękność przewyższa moje dostojeństwo — odparł Ramzes namiętnie. — Powiedz — rzekł nagle — czy prawda, że wy... jadacie wieprzowinę?...

Sara spojrzała na niego obrażona, a Tutmozis wtrącił:

— Jak to widać, że nie znasz Żydówek!... Dowiedz się zatem, że Żyd wolałby umrzeć aniżeli jeść świńskie mięso, którego ja wreszcie nie uważam za najgorsze...

— Ale koty zabijacie? — nalegał Ramzes, ściskając ręce Sarze i patrząc jej w oczy.

— I to bajka... podła bajka!... — zawołał Tutmozis. — Mogłeś mnie zapytać o te rzeczy, zamiast gadać brednie... Miałem przecie trzy Żydówki kochankami...

— Dotychczas mówiłeś prawdę, ale teraz kłamiesz — odezwała się Sara. — Żydówka nie będzie niczyją kochanką! — dodała dumnie.

— Nawet kochanką pisarza u takiego pana, który nosi wachlarz nad nomarchą memfijskim?... — zapytał drwiącym tonem Tutmozis.

— Nawet...

— Nawet kochanką tego pana, który nosi wachlarz?...

Sara zawahała się, lecz odparła:

— Nawet.

— Więc może nie zostałaby kochanką nomarchy?...

Dziewczynie opadły ręce. Ze zdziwieniem spoglądała kolejno na obu młodych ludzi; usta jej drżały, a oczy zachodziły łzami.

— Kto wy jesteście?... — pytała zatrwożona. — Zeszliście tu z gór, jak podróżni, którzy chcą wody i chleba... Ale mówicie do mnie jak najwięksi panowie... Coście wy za jedni?... Twój miecz — zwróciła się do Ramzesa — jest wysadzany szmaragdami, a na szyi masz łańcuch takiej roboty, jakiego w swoim skarbcu nie posiada nasz pan, miłościwy Sezofris...

— Odpowiedz mi lepiej, czy ci się podobam?... — spytał z naleganiem Ramzes, ściskając jej rękę i tkliwie patrząc w oczy.

— Jesteś piękny jak anioł Gabriel, ale ja boję się ciebie, bo nie wiem, kto ty jesteś...

Wtem, spoza gór, odezwał się dźwięk trąbki.

— Wzywają cię — zawołał Tutmozis.

— A gdybym ja był taki wielki pan jak wasz Sezofris?... — pytał książę.

— Ty możesz być... — szepnęła Sara.

— A gdybym ja nosił wachlarz nad nomarchą Memfisu?...

---

[54] *pułk Ptah* — czyli korpus Menfi, memficki. Ptah był głównym bogiem miasta Memfis. Korpusy wojsk egipskich nosiły nazwy głównych bóstw: armia Ramzesa Wielkiego walcząca w bitwie pod Kadesz składała się z korpusów „Amon", „Re", „Ptah" i „Set".

[55] *nomarcha Habu* — zarządca położonego na południowo-wschodnim krańcu Delty 8. nomu Dolnego Egiptu o nazwie A-bet, na terenie którego miały odbyć się manewry.

— Ty możesz być nawet i tak wielkim...

Gdzieś na wzgórzu odezwała się druga trąbka.

— Idźmy, Ramzesie!... — nalegał zatrwożony Tutmozis.

— A gdybym ja był... następcą tronu, czy poszłabyś do mnie, dziewczyno?... — pytał książę. Oświadczyny

— O Jehowo!... — krzyknęła Sara, upadając na kolana.

Teraz w rozmaitych punktach grały trąbki gwałtowną pobudkę.

— Biegnijmy!... — wołał zdesperowany Tutmozis — Czy nie słyszysz, że w obozie alarm?...

Następca tronu prędko zdjął łańcuch ze swej szyi i zarzucił go na Sarę.

— Oddaj to ojcu — mówił — kupuję cię od niego. Bądź zdrowa... Zmysły

Namiętnie pocałował ją w usta, a ona objęła go za nogi. Wyrwał się, odbiegł parę kroków, znowu wrócił i znowu piękną jej twarz i krucze włosy pieścił pocałunkami, jakby nie słysząc niecierpliwych odgłosów armii.

— W imieniu jego świątobliwości faraona wzywam cię — idź ze mną!... — krzyknął Tutmozis i schwycił księcia za rękę.

Zaczęli biec pędem w stronę głosu trąbek. Ramzes chwilami zataczał się jak pijany i odwracał głowę. Wreszcie zaczęli wdrapywać się na przeciwległy pagórek.

„I ten człowiek — myślał Tutmozis — chce walczyć z kapłanami!..."

ROZDZIAŁ IV

Następca tronu i jego towarzysz biegli z ćwierć godziny po skalistym grzbiecie wzgórza, coraz bliżej słysząc trąbki, które wciąż gwałtowniej i gwałtowniej wygrywały alarm. Nareszcie znaleźli się w miejscu, skąd można było ogarnąć wzrokiem całą okolicę.

Na lewo ciągnęła się szosa, za którą dokładnie było widać miasto Pi-Bailos, stojące za nim pułki następcy tronu i ogromny tuman pyłu, który unosił się nad nacierającym ze wschodu przeciwnikiem.

Na prawo ział szeroki wąwóz, środkiem którego pułk grecki[56] ciągnął wojenne machiny. Niedaleko od szosy wąwóz ten zlewał się z drugim, szerszym, który wychodził z głębi pustyni.

Otóż w tym punkcie działo się coś niezwykłego. Grecy z machinami stali bezczynnie niedaleko połączenia obu wąwozów; lecz na samym połączeniu, między szosą a sztabem następcy, wyciągnęły się cztery gęste szeregi jakiegoś innego wojska, niby cztery płoty najeżone iskrzącymi włóczniami.

Mimo bardzo spadzistej drogi książę cwałem zbiegł do swego oddziału, do miejsca, gdzie stał minister wojny otoczony oficerami.

— Co się tu dzieje?... — groźnie zawołał. — Dlaczego trąbicie alarm zamiast maszerować?...

— Jesteśmy odcięci — rzekł Herhor.

— Kto?... przez kogo?...

— Nasz oddział przez trzy pułki Nitagera, które wyszły z pustyni.

— Więc tam, blisko szosy, stoi nieprzyjaciel?...

— Stoi sam niezwyciężony Nitager...

Zdawało się, że w tej chwili następca tronu oszalał. Skrzywiły mu się usta, oczy wyszły z orbit. Wydobył miecz i pobiegłszy do Greków krzyknął chrapliwym głosem:

— Za mną na tych, którzy nam zastąpili drogę!...

— Żyj wiecznie, erpatre!... — zawołał Patrokles, równie dobywając miecza. — Naprzód, potomkowie Achillesa!... — zwrócił się do swoich żołnierzy. — Pokażmy egipskim krowiarzom, że nas zatrzymywać nie wolno!

Trąbki zagrały do ataku. Cztery krótkie, ale wyprostowane szeregi poszły naprzód, wzbił się tuman pyłu i krzyk na cześć Ramzesa.

W parę minut Grecy znaleźli się wobec pułków egipskich i — zawahali się.

[56]*pułk grecki* — obecność greckich oddziałów najemnych w armii egipskiej jest poświadczona dopiero za panowania Psametycha I (664–610 p.n.e.), który nawiązał bliższe stosunki ze światem helleńskim.

— Naprzód!... — wołał następca, biegnąc z mieczem w ręku. Grecy zniżyli włócznie. W szeregach przeciwnych zrobił się jakiś ruch, i przeleciał szmer i — również zniżyły się włócznie.

— Kto wy jesteście, szaleńcy?... — odezwał się potężny głos ze strony przeciwnej.

— Następca tronu!... — odpowiedział Patrokles.

Chwila ciszy.

— Rozstąpić się!... — powtórzył ten sam wielki głos co pierwej.

Pułki armii wschodniej z wolna otworzyły się jak ciężkie podwójne wrota i — grecki oddział przeszedł.

Wówczas do następcy zbliżył się siwy wojownik w złocistym hełmie i zbroi i nisko skłoniwszy się rzekł:

— Zwyciężyłeś, erpatre. Tylko wielki wódz w ten sposób wydobywa się z kłopotu.

— Ty jesteś Nitager, najwaleczniejszy z walecznych!... — zawołał książę.

W tej chwili zbliżył się do nich minister wojny, który słyszał rozmowę, i rzekł cierpko:

— A gdyby po waszej stronie znalazł się równie niesforny wódz, jak erpatre, czym zakończylibyśmy manewry?

— Dajże spokój młodemu wojownikowi! — odparł Nitager. — Czyliż nie wystarcza ci, że pokazał lwie pazury, jak przystało na dziecię faraonów?...

Tutmozis słysząc, jaki obrót przybiera rozmowa, zwrócił się do Nitagera:

— Skąd wziąłeś się tutaj, dostojny wodzu, jeżeli główne twoje siły znajdują się przed naszą armią?

— Wiedziałem, jak niedołężnie maszeruje oddział z Memfis, gdy następca gromadzi pułki pod Pi-Bailos. No i dla śmiechu chciałem przyłapać was, paniczyków... Na moje nieszczęście znalazł się tu następca i popsuł mi plany. Tak zawsze postępuj, Ramzesie, naturalnie, wobec prawdziwych nieprzyjaciół.

— A jeżeli, jak dziś, trafi na trzy razy większą siłę?... — zapytał Herhor.

— Więcej znaczy odważny rozum aniżeli siła — odpowiedział stary wódz. — Słoń jest pięćdziesiąt razy mocniejszym od człowieka, a jednak ulega mu lub ginie z jego ręki...

Herhor słuchał w milczeniu.

Manewry uznano za skończone. Następca tronu w towarzystwie ministra i wodzów pojechał do wojsk pod Pi-Bailos, przywitał weteranów Nitagera i pożegnał swoje pułki, rozkazując im iść na wschód i życząc powodzenia. Następnie otoczony wielką świtą wracał szosą do Memfis, wśród tłumów z ziemi Gosen, które z zielonymi gałązkami i w świątecznych szatach pozdrawiały zwycięzcę.

Gdy gościniec skręcił ku pustyni, tłum przerzedził się; a gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie sztab następcy z powodu skarabeuszów wszedł do wąwozu, na szosie już nie było nikogo.

Wtedy Ramzes skinął na Tutmozisa i wskazując mu łysy pagórek, szepnął:

— Pójdziesz tam, do Sary...

— Rozumiem.

— I powiesz jej ojcu, że oddaję mu folwark pod Memfisem.

— Rozumiem. Pojutrze będziesz ją miał.

Po tej wymianie zdań Tutmozis cofnął się ku maszerującym za świtą wojskom i zniknął.

Prawie naprzeciw wąwozu, do którego z rana wjechały machiny wojenne, o kilkanaście kroków za szosą rosło nieduże, choć stare drzewo tamaryndowe. W tym miejscu zatrzymała się straż poprzedzająca książęcą świtę.

— Czy znowu spotykamy się ze skarabeuszami?... — zapytał ze śmiechem następca tronu ministra.

— Zobaczymy — odparł Herhor.

Jakoż zobaczyli: na wątłym drzewie wisiał nagi człowiek.

— Cóż to znaczy? — zawołał wzruszony następca.

Pobiegli do drzewa adiutanci i przekonali się, że wisielcem jest ów stary chłop, któremu wojsko zasypało kanał.

— Słusznie powiesił się — krzyczał między oficerami Eunana. — Czybyście uwierzyli, że ten nędzny niewolnik ośmielił się schwytać za nogi jego dostojność ministra!...

Ramzes usłyszawszy to zatrzymał konia. Następnie zsiadł i zbliżył się do złowrogiego drzewa.

Chłop wisiał z głową wyciągniętą naprzód; miał usta szeroko otwarte, dłonie zwrócone do widzów, a w oczach zgrozę. Wyglądał jak człowiek, który chce coś powiedzieć, ale mu głosu zabrakło.

— Nieszczęśliwy — westchnął ze współczuciem książę.

Gdy wrócił do orszaku, kazał sobie opowiedzieć historią chłopa, a później przez długi czas jechał milczący.

Przed oczyma wciąż stał mu obraz samobójcy, a w sercu nurtowało uczucie, że temu pogardzonemu niewolnikowi stała się wielka krzywda. Tak niezmierna krzywda, że nad nią mógł zastanawiać się nawet on, syn i następca faraona.

Gorąco było nieznośne, kurz wysuszał wargi i kłuł oczy ludziom i zwierzętom. Zatrzymano oddział na krótki postój, a tymczasem Nitager kończył rozmowę z ministrem.

— Moi oficerowie — mówił stary wódz — nie patrzą pod nogi, tylko przed siebie. I może dlatego nigdy nie zaskoczył mnie nieprzyjaciel.

— Tym przypomniałeś mi, wasza dostojność, że powinienem zapłacić pewne długi — odparł Herhor i kazał zgromadzić się oficerom i żołnierzom, jacy byli pod ręką.

— A teraz — rzekł minister — zawołajcie Eunanę.

Obwieszony amuletami oficer znalazł się tak prędko, jakby od dawna czekał na to wezwanie. Na jego twarzy malowała się radość, z trudem hamowana przez pokorę.

Herhor, ujrzawszy przed sobą Eunanę, zaczął:

— Z woli jego świątobliwości, wraz ze skończeniem manewrów, najwyższa władza wojskowa znowu przechodzi w moje ręce.

Obecni pochylili głowy.

— Władzy tej wypada mi użyć przede wszystkim na wymiar sprawiedliwości...

Oficerowie zaczęli spoglądać po sobie.

— Eunano — ciągnął minister — wiem, że zawsze byłeś jednym z najpilniejszych oficerów... Pochlebstwo

— Prawda mówi przez wasze usta, dostojny panie — odparł Eunana. — Jak palma czeka na rosę, tak ja na rozkazy zwierzchników. A gdy ich nie otrzymuję, jestem jak sierota w pustyni, szukająca drogi swojej.

Okryci bliznami oficerowie Nitagera z podziwem przysłuchiwali się wartkiej wymowie Eunany i myśleli w sobie: „Ten będzie wywyższony nad innych!"

— Eunano — mówił minister — jesteś nie tylko pilny, ale i pobożny; nie tylko pobożny, ale i czujny jak ibis nad wodą. Bogowie też zleli na ciebie wielkie dobrodziejstwa: dali ci wężową przezorność i wzrok jastrzębia...

— Czysta prawda płynie z ust waszej dostojności — wtrącił Eunana. — Gdyby nie mój dziwny wzrok, nie wypatrzyłbym dwu świętych skarabeuszów...

— Tak — przerwał minister — i nie uratowałbyś naszego obozu od świętokradztwa. Za ten czyn, godny najpobożniejszego Egipcjanina, daję ci...

Tu minister zdjął z palca złoty pierścień. Nagroda

— Daję ci ten oto pierścień z imieniem bogini Mut[57], której łaska i roztropność będą ci towarzyszyły do końca ziemskiej wędrówki, jeżeli na nią zasłużysz.

Jego dostojność wręczył pierścień Eunanie, a obecni wydali wielki okrzyk na cześć faraona i zaszczękali orężem. Kara

Ponieważ minister nie ruszył się, więc i Eunana stał i bystro patrzył mu w oczy, jak wierny pies, który otrzymawszy z ręki pańskiej jeden kąsek, jeszcze kręci ogonem i czeka.

— A teraz — zaczął znowu minister — przyznaj się, Eunano, dlaczego nie powiedziałeś, gdzie poszedł następca tronu, gdy wojsko z trudem maszerowało przez wąwóz?... Popełniłeś zły czyn, musieliśmy bowiem trąbić alarm w sąsiedztwie nieprzyjaciela.

— Bogowie są moimi świadkami, żem nic nie wiedział o najdostojniejszym księciu — odparł zdziwiony Eunana.

Herhor potrząsnął głową.

[57] *Mut* — bogini-pramatka, żona Amona z triady tebańskiej. Przedstawiana pod postacią sępa, później jako kobieta w nakryciu głowy ze skrzydłami sępa.

— Nie może być, ażeby człowiek obdarzony takim jak ty wzrokiem, który o kilkadziesiąt kroków widzi wśród piasku święte skarabeusze, nie dostrzegł tak wielkiej osoby, jaką jest następca tronu.

— Zaprawdę nie widziałem!... — tłumaczył się Eunana, bijąc się w piersi. — Zresztą nikt mi nie kazał czuwać nad księciem.

— Czyliż nie uwolniłem cię od dowództwa przedniej straży?... Czyliż wyznaczyłem ci jakie zajęcie? — pytał minister. — Byłeś zupełnie wolny, właśnie jak człowiek powołany do śledzenia rzeczy ważnych. A czy wywiązałeś się z tego zadania?... Zaiste, za podobny błąd w czasie wojny musiałbyś umrzeć śmiercią...

Nieszczęsny oficer pobladł.

— Ale ja mam dla ciebie serce ojcowskie, Eunano — mówił dostojny pan — i pamiętając na wielką usługę, jaką oddałeś armii przez wypatrzenie symbolów świętego słońca, skarabeuszów, wyznaczam ci, nie jak surowy minister, ale jako łagodny kapłan, bardzo małą karę. Otrzymasz pięćdziesiąt kijów.

— Wasza dostojność...

— Eunano, umiałeś być szczęśliwym, bądź teraz mężnym i przyjmij to drobne upomnienie, jak przystało na oficera armii jego świątobliwości.

Ledwie skończył dostojny Herhor, już starsi rangą oficerowie położyli Eunanę w wygodnym miejscu, obok szosy. Potem jeden usiadł na karku, drugi na nogach, a dwaj inni wyliczyli mu w obnażone ciało pięćdziesiąt giętkich trzcin.

Nieustraszony bojownik nie wydał jęku, owszem — nucił pieśń żołnierską, a po ukończeniu ceremonii sam chciał się podnieść. Ale schorzałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Więc padł twarzą w piasek i musiano go odwieźć do Memfisu na dwukolnym wozie, na którym leżąc i uśmiechając się do żołnierzy rozmyślał, że nie tak prędko zmienia się wiatr w Dolnym Egipcie jak fortuna w życiu biednego oficera.

Gdy po krótkim postoju orszak następcy tronu wyruszył w dalszą drogę, jego dostojność Herhor siadł na konia i jadąc obok jego dostojności Nitagera, rozmawiał półgłosem o ludach azjatyckich, a przede wszystkim o rozbudzeniu się Asyrii.

Wówczas dwaj słudzy ministra: adiutant niosący wachlarz i pisarz Pentuer, zaczęli też rozmowę.

— Co myślisz o przygodzie Eunany? — spytał adiutant.

— A ty co myślisz o chłopie, który się powiesił? — rzekł pisarz.

— Zdaje mi się, że dla chłopa dzień dzisiejszy jest najlepszym, a powróz koło szyi najmiększym, jaki spotkał w życiu — odparł adiutant. — Myślę też, że Eunana od tej pory będzie bardzo troskliwie pilnował następcy tronu.

— Mylisz się — rzekł Pentuer. — Eunana od tej pory nigdy nie dojrzy skarabeusza, choćby był wielkim jak wół. Co się zaś tyczy owego chłopa, czy nie sądzisz, że jemu jednak musiało być źle, bardzo źle... bardzo źle na świętej ziemi egipskiej!

Pozycja społeczna

— Nie znasz chłopów, więc tak mówisz...

— A któż ich lepiej zna?... — odparł posępnie pisarz. — Czyliż nie wyrosłem między nimi?... Czy nie widziałem, jak mój ojciec nawodniał grunta[58], oczyszczał kanały, siał, zbierał, a nade wszystko — jak płacił podatki. O, ty nie wiesz, co to jest dola chłopa w Egipcie!

— Za to wiem, co jest dola cudzoziemca — odpowiedział adiutant. — Mój pradziad czy prapradziad był jednym z wielkich między Hyksosami[59], ale został tu, bo przywiązał się do ziemi. I co powiesz: nie tylko jemu odebrano majątek, ale jeszcze i na mnie ciąży plama pochodzenia!... Sam widzisz, co nieraz znoszę od rodowitych Egipcjan, choć mam znaczne stanowisko. Jakże więc mogę litować się nad egipskim chłopem, który widząc moją żółtawą cerę, nieraz mruczy pod nosem: „poganin!... cudzoziemiec!...” Chłop zaś nie jest ani poganinem, ani cudzoziemcem.

[58] *grunta* — dziś raczej: grunty.

[59] *Hyksosi* — grupa plemion przybyłych w XVIII–XVII w. p.n.e. z Azji Zachodniej, które przez powolną infiltrację osiedliły się na wschodnich terenach Delty. Zorganizowały się, obrały władcę i stopniowo opanowały cały Dolny Egipt. Hyksosi założyli nową, XIV dynastię faraonów, rządząc Egiptem przez ponad sto lat, choć ich władza nad Górnym Egiptem była nominalna. Ok. 1560 p.n.e. książętom tebańskim udało się pokonać przybyszów i ponownie zjednoczyć kraj, co stanowiło zakończenie Drugiego Okresu Przejściowego i początek Nowego Państwa. Dawniej uważano, że opanowanie Egiptu przez Hyksosów było nagłym najazdem.

— Tylko niewolnikiem — wtrącił pisarz. — Niewolnikiem, którego żenią, rozwodzą, biją, sprzedają, niekiedy mordują, a zawsze każą mu pracować, obiecując w dodatku, że i na tamtym świecie również będzie niewolnikiem.

Adiutant wzruszył ramionami.

— Dziwny ty jesteś, choć tak mądry! — rzekł. — Przecie widzisz, że każdy z nas zajmuje jakieś stanowisko — niskie, mniej niskie lub bardziej niskie, na którym musi pracować. A czy martwi cię to, że nie jesteś faraonem i że twoim grobem nie będzie piramida?... Wcale nie myślisz o tym, bo rozumiesz, że taki jest porządek świata. Każdy pełni swoje obowiązki: wół orze, osioł dźwiga podróżnych, ja chłodzę jego dostojność, ty za niego pamiętasz i myślisz, a chłop uprawia ziemię i płaci podatki. Cóż więc nam z tego, że jakiś wół urodzi się Apisem, któremu cześć oddają, a jakiś człowiek faraonem lub nomarchą?...

— Temu chłopu zniszczono jego dziesięcioletnią pracę... — szepnął Pentuer.

— A twojej pracy nie niszczy minister?... — spytał adiutant. — Któż wie, że to ty rządzisz państwem, nie zaś dostojny Herhor?...

— Mylisz się — rzekł pisarz — on rządzi naprawdę. On ma władzę, on ma wolę, a ja... tylko wiadomości... Mnie wreszcie nie biją ani ciebie, jak owego chłopa...

— Ale za to zbili Eunanę, a i nam może się dostać. Trzeba więc być mężnym i cieszyć się ze stanowiska, jakie wyznaczono człowiekowi. Tym bardziej że, jak ci wiadomo, nasz duch, nieśmiertelny *Ka*[60], w miarę oczyszczania się wstępuje na wyższe szczeble, aby za tysiące czy miliony lat, razem z duszami faraonów i niewolników, nawet razem z bogami — rozpłynąć się w bezimiennym a wszechmocnym ojcu życia.

— Mówisz jak kapłan — odparł z goryczą Pentuer. — Ja to raczej powinienem mieć ten spokój!... Lecz zamiast niego mam ból w duszy, bo odczuwam nędzę milionów... Współczucie

— Któż ci każe?

— Oczy moje i serce. Jest ono jak dolina między górami, która nie może milczeć, kiedy słyszy krzyk, lecz odpowiada echem.

— A ja tobie mówię, Pentuerze, że za dużo myślisz o rzeczach niebezpiecznych. Nie można bezkarnie chodzić po urwiskach gór wschodnich, bo lada chwilę spadniesz; ani błądzić po zachodniej pustyni, gdzie krążą lwy zgłodniałe i zrywa się wściekły chamsin[61].

Tymczasem waleczny Eunana jadąc na wozie, który mu tylko odnawiał boleść, aby pokazać, jak jest mężnym, zażądał jedzenia i picia. A gdy spożył suchy placek, natarty czosnkiem, i wypił kwaśne piwo z wysmukłego garnuszka, poprosił woźnicy, aby mu gałązką spędzał muchy z poranionego ciała.

Tak leżąc na workach i pakach, na skrzypiącym wozie, twarzą zwrócony do ziemi, biedny Eunana jękliwym głosem zaczął opiewać ciężką dolę niższego oficera:

— „Z jakiejże to racji mówisz, że lepiej być oficerem aniżeli pisarzem? Przyjdź i patrz na moje sine pręgi i popękane ciało, a ja ci przez ten czas opowiem dzieje udręczonego oficera.

Jeszcze byłem chłopcem, kiedy przyniesiono mnie do koszar. Na śniadanie dostawałem pięścią w brzuch, aż mnie mdliło, na obiad kułak w oczy, aż mi się gęba rozdziawiała, a ku wieczorowi miałem już głowę okrytą ranami i prawie rozszczepioną.

Chodź, niech ci opowiem, jak odbyłem podróż do Syrii. Jedzenie i picie musiałem dźwigać w rękach, objuczony jak osioł. Szyję miałem zesztywniałą jak szyja osła, a kręgi pacierzowe spękane. Piłem zgniłą wodę, a wobec wroga byłem jako złapany ptak.

Wróciłem do Egiptu, ale tu jestem jak drzewo, które robak toczy. Za byle co kładą mnie na ziemi i biją jak w książkę tak, że od kijów jestem prawie połamany. Jestem chory i muszę się kłaść, muszą mnie wozić na wozie, a tymczasem służący kradnie mi płaszcz i ucieka...

Dlatego, o pisarzu! zmień swoje zdanie o szczęściu oficera."[62]

Tak śpiewał mężny Eunana, a jego pieśń, pełna łez, przetrwała państwo egipskie.

---

[60] *nasz duch, nieśmiertelny Ka* — według Egipcjan jeden z kilku składników duchowych człowieka. Najbliższa pojęciu ducha jako czynnika ożywającego ciało.

[61] *chamsin* — gwałtowny, gorący i suchy wiatr pustynny wiejący w północnej Afryce i na Półwyspie Arabskim, pojawiający się najczęściej od kwietnia do czerwca. Porywy chamsinu wywołują burze piaskowe i pyłowe.

[62] *Z jakiejże to racji mówisz, że lepiej być oficerem aniżeli pisarzem? […] Dlatego, o pisarzu! zmień swoje zdanie o szczęściu oficera.* — autentyczne. [przypis autorski]

ROZDZIAŁ V

W miarę jak świta następcy tronu zbliżała się do Memfis, słońce pochylało się ku zachodowi, a od niezliczonych kanałów i dalekiego morza zrywał się wiatr nasycony chłodną wilgocią. Szosa znowu zbliżyła się do żyznych okolic, a na polach i w zaroślach było widać nieprzerwane szeregi ludzi pracujących, choć na pustynię już padał różowy blask, a szczyty gór paliły się płomieniem.

Wtem Ramzes zatrzymał się i zawrócił konia. Natychmiast otoczyła go świta, podjechali wyżsi dowódcy i z wolna, równym krokiem zbliżyły się szeregi maszerujących pułków.

W purpurowych promieniach zachodzącego słońca książę wyglądał jak bożek; żołnierze patrzyli na niego z dumą i miłością, dowódcy z podziwem.

Podniósł rękę, wszystko umilkło, a on zaczął mówić:

— Dostojni wodzowie, mężni oficerowie, posłuszni żołnierze! Dziś bogowie dali mi poznać słodycz rozkazywania takim jak wy. Radość przepełnia moje książęce serce. A ponieważ wolą moją jest, ażebyście wy, wodzowie, oficerowie i żołnierze, zawsze dzielili moje szczęście, więc przeznaczam: po jednej drachmie[63] dla każdego żołnierza z tych, którzy poszli na wschód, i tych, którzy wracają z nami od wschodniej granicy. Oprócz tego po jednej drachmie żołnierzom greckim, którzy dziś, pod moją komendą, otworzyli nam wyjście z wąwozu, i — po jednej drachmie żołnierzom tych pułków dostojnego Nitagera, którzy chcieli nam odciąć drogę do gościńca...

W wojsku zawrzało.

— Bądź pozdrowiony, wodzu nasz!... bądź pozdrowiony, następco faraona, który oby żył wiecznie!... — wołali żołnierze, a Grecy najgłośniej.

Książę mówił dalej:

— Do podziału między niższych oficerów armii mojej i dostojnego Nitagera przeznaczam pięć talentów. Nareszcie do podziału między jego dostojność ministra i naczelnych wodzów przeznaczam dziesięć talentów...

— Ja zrzekam się mojej części na rzecz wojska — odpowiedział Herhor.

— Bądź pozdrowiony, następco!... bądź pozdrowiony, ministrze!... — wołali oficerowie i żołnierze.

Czerwony krąg słońca już dotknął piasków zachodniej pustyni. Ramzes pożegał wojsko i galopem pocwałował do Memfis, a jego dostojność Herhor, wśród radosnych okrzyków, wsiadł do lektyki i również kazał wyprzedzić maszerujące oddziały.

Kiedy odsunęli się tak, że pojedyncze głosy zlały się w jeden wielki szmer, niby szum wodospadu, minister wychyliwszy się do pisarza Pentuera rzekł:

— Pamiętasz ty wszystko?

— Tak, dostojny panie.

— Twoja pamięć jest jak granit, na którym piszemy historię, a twoja mądrość jak Nil, który wszystko zalewa i użyźnia — mówił minister. — Przy tym bogowie obdarzyli cię największą ze wszystkich cnót — roztropną pokorą...

Pisarz milczał.

— Ty więc dokładniej niż inni możesz ocenić postępki i rozum następcy tronu, który oby żył wiecznie.

Minister chwilę spoczął. Tak dużo mówić nie było w jego zwyczaju.

— Powiedz mi zatem, Pentuerze, i zapisz to: czy godzi się, ażeby następca tronu wobec wojska wypowiadał swoją wolę?... Tak czynić może tylko faraon albo zdrajca, albo... lekkomyślny młodzieniec, który z równą łatwością popełnia gwałtowne czyny, jak wyrzuca bezbożne słowa.

Słońce zaszło i w chwilę później zapadła noc gwiaździsta. Nad nieprzeliczonymi kanałami Dolnego Egiptu zaczęła zgęszczać się srebrna mgła, którą łagodny wiatr zanosił aż na pustynię, chłodził strudzonych żołnierzy i nasycał rośliny, już konające z pragnienia.

— Albo powiedz mi, Pentuerze — ciągnął minister — i zbadaj: skąd następca weźmie dwadzieścia talentów na dotrzymanie wojsku obietnicy, którą dziś tak nieopatrznie uczynił? Zresztą skądkolwiek weźmie pieniądze, wydaje mi się, a zapewne i tobie, rzeczą niebezpieczną, ażeby następca robił podarunki armii, właśnie w tym dniu, kiedy jego

[63] *drachma* — starożytna grecka moneta, na ogół srebrna.

świątobliwość nie ma czym zapłacić żołdu wracającym ze Wschodu pułkom Nitagera. Nie pytam cię o zdanie o tej rzeczy, bo je znam, jak i ty znasz moje najtajniejsze myśli. Proszę cię tylko, ażebyś zapamiętał, co widziałeś, dla opowiedzenia tego w kolegium kapłańskim.

— Czy prędko będzie zwołane? — spytał Pentuer.

— Nie ma jeszcze powodu. Spróbuję pierwej uspokoić rozhukanego byczka za pomocą ojcowskiej ręki jego świątobliwości... A szkoda byłaby chłopca, bo ma duże zdolności i energię południowego wichru. Tylko jeżeli wicher, zamiast zdmuchiwać nieprzyjaciół Egiptu, zacznie kłaść jego pszenicę i wyrywać palmy!...

Minister umilkł, a jego orszak utonął w ciemnej alei drzew prowadzącej do Memfisu.

W tym czasie Ramzes dojeżdżał do pałacu faraona.

Gmach ten stał na wzgórzu za miastem, wśród parku. Rosły tu osobliwe drzewa: baobaby z południa, cedry, sosny i dęby z północy. Dzięki sztuce ogrodniczej żyły one po kilkadziesiąt lat i dosięgały znacznej wysokości.

Cienista aleja prowadziła z dołu do bramy, która miała wysokość trzypiętrowej kamienicy. Z każdej strony bramy wznosiła się potężna budowla niby wieża, w formie ściętej piramidy, szeroka na czterdzieści kroków, wysoka na pięć piętr[64]. Wśród nocy wyglądało to jak dwa olbrzymie namioty z piaskowca. Dziwne te gmachy miały na parterze i piętrach kwadratowe okienka, a dachy płaskie. Ze szczytu jednej takiej piramidy warta śledziła ziemię, z drugiej — dyżurny kapłan patrzył w gwiazdy.

Na prawo i na lewo od wież, zwanych pylonami, ciągnęły się mury, a raczej długie, piętrowe budynki z wąskimi oknami i płaskim dachem, po którym chodziły warty. Po obu stronach bramy głównej siedziały dwa posągi, dosięgające głowami pierwszego piętra; u stóp posągów znowu chodziły warty.

Kiedy książę w towarzystwie kilku jeźdźców zbliżył się do pałacu, wartownik, pomimo ciemności, poznał go. Za chwilę wybiegł z pylonu urzędnik dworski, ubrany w białą spódnicę, ciemną narzutkę i perukę, z wielkości podobną do kaptura.

— Pałac już zamknięty? — spytał książę.

— Prawdę rzekłeś, dostojny panie — odparł urzędnik. — Jego świątobliwość ubiera bogów do snu.

— A potem co będzie robił?

— Raczy przyjąć ministra wojny, Herhora.

— No?...

— Później jego świątobliwość popatrzy się w wielkiej sali na balet, a następnie przyjmie kąpiel i odprawi modlitwy wieczorne.

— Mnie nie kazano przyjąć? — pytał następca.

— Jutro po radzie wojennej.

— A królowe co robią?

— Pierwsza królowa modli się w pokoju zmarłego syna, a wasza dostojna matka przyjmuje posła fenickiego, który przywiózł jej dary od kobiet z Tyru[65].

— Są i dziewczęta?

— Podobno jest kilka. Każda ma na sobie kosztowności za dziesięć talentów.

— A któż się tam włóczy z pochodniami? — rzekł książę, wskazując ręką na dół parku.

— Zdejmują z drzewa brata waszej dostojności, który tam siedzi od południa.

— I nie chce zejść?

— Owszem, teraz zejdzie, bo poszedł po niego błazen pierwszej królowej i obiecał, że zaprowadzi go do karczmy, gdzie piją paraszytowie[66], otwieracze ciał zmarłych.

— A o manewrach dzisiejszych już słyszeliście co?

— Mówili w ministerium, że sztab został odcięty od korpusu.

— I jeszcze co? Plotka

[64] *piętr* — dziś raczej: pięter.

[65] *Tyr* — dziś: *Sur*, miasto portowe na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w dzisiejszym Libanie. W starożytności jedno z największych fenickich miast kupieckich, słynne z wytwarzania drogocennego purpurowego barwnika. Tyryjczycy prowadzili szeroko zakrojony handel morski, założyli wiele kolonii na wybrzeżach Morza Śródziemnego (m.in. Kartaginę).

[66] *paraszytowie* (z gr. *paraschistes*) — przygotowujący zwłoki zmarłych do balsamowania i pochówku.

Urzędnik wahał się.

— Mów, co słyszałeś.

— I jeszcze słyszeliśmy, że z tego powodu wasza dostojność kazałeś odliczyć pewnemu oficerowi pięćset kijów, a przewodnika powiesić.

— Wszystko kłamstwo!... — odezwał się półgłosem jeden z adiutantów następcy.

— Żołnierze też mówią między sobą, że to musi być kłamstwo — odparł śmielej urzędnik.

Następca zwrócił konia i pojechał do dolnej części parku, gdzie znajdował się jego pałacyk. Była to właściwie jednopiętrowa altana, wzniesiona z drzewa. Miała formę ogromnego sześcianu z dwoma werandami: dolną i górną, które wkoło otaczały budynek i wspierały się na mnóstwie słupów. Wewnątrz płonęły kagańce, więc można było widzieć, że ściany składają się z desek rzeźbionych jak koronka i że są zabezpieczone od wiatru zasłonami z różnobarwnych tkanin. Dach budowli tej był płaski, otoczony balustradą; na nim stało parę namiotów.

Serdecznie powitany przez półnagich służących, z których jedni wybiegli z pochodniami, drudzy padli przed nim na twarz, następca wszedł do domu. W mieszkaniu na parterze zdjął zakurzoną odzież, wykąpał się w kamiennej wannie i narzucił na siebie białą togę, rodzaj wielkiego prześcieradła, które zapiął pod szyją, a w pasie przewiązał sznurem. Na pierwszym piętrze zjadł kolację złożoną z pszennego placka, garstki daktylów i kielicha lekkiego piwa. Potem wszedł na taras budowli i położywszy się na kanapie okrytej lwią skórą kazał służbie odejść i natychmiast przysłać na górę Tutmozisa, gdy przyjedzie.

Około północy stanęła przed domem lektyka i wysiadł z niej adiutant Tutmozis. Gdy ciężko wszedł na taras ziewając, książę zerwał się z kanapy.

— Jesteś?... I cóż?... — zawołał Ramzes.

— Więc ty jeszcze nie śpisz?... — odparł Tutmozis. — O bogowie, po tyludniowej mordędze!... Myślałem, że będę się mógł przedrzemać choćby do wschodu słońca.

— Cóż Sara?...

— Będzie tu pojutrze albo ty u niej na folwarku, z tamtej strony rzeki.

— Dopiero pojutrze!...

— Dopiero?... Proszę cię, Ramzesie, ażebyś się wyspał. Zbyt wiele zebrało ci się w sercu czarnej krwi, skutkiem czego do głowy uderza ci ogień.

— Cóż jej ojciec?... Ojciec, Handel

— To jakiś uczciwy człowiek i rozumny. Nazywa się Gedeon. Kiedy mu powiedziałem, że chcesz wziąć jego córkę, upadł na ziemię i zaczął wydzierać sobie włosy. Rozumie się, przeczekałem ten wylew ojcowskiej boleści, trochę zjadłem, wypiłem wina i — przystąpiliśmy nareszcie do układów. Zapłakany Gedeon najpierwej przysiągł, że woli widzieć córkę swoją trupem aniżeli czyjąkolwiek kochanką. Wówczas powiedziałem, że pod Memfis, nad Nilem, dostanie folwark, który przynosi dwa talenty rocznego dochodu i nie płaci podatków. Oburzył się. Wtedy oświadczyłem, że może jeszcze dostać co roku talent złotem i srebrem. Westchnął i wspomniał, że jego córka przez trzy lata kształciła się w Pi-Bailos. Postąpiłem jeszcze talent. Teraz Gedeon, wciąż niepocieszony, nadmienił, że traci bardzo dobre miejsce rządcy u pana Sezofrisa. Powiedziałem, że tej posady rzucać nie potrzebuje, i dorzuciłem mu dziesięć krów dojnych z twoich obór. Czoło wyjaśniło mu się trochę, więc wyznał mi, pod największym sekretem, że na jego Sarę zwrócił już uwagę pewien strasznie wielki pan, Chaires, który nosi wachlarz nad nomarchą Memfisu. Ja zaś obiecałem mu dodać byczka, mniejszy łańcuch złoty i większą bransoletę. Tym sposobem twoja Sara będzie cię kosztowała: folwark i dwa talenty rocznie gotowizną, a dziesięć krów, byczka, łańcuch i bransoletę złotą jednorazowo. To dasz jej ojcu, zacnemu Gedeonowi; jej zaś samej — co ci się podoba.

— Cóż na to Sara? — spytał książę.

— Przez czas układów chodziła między drzewami. A gdyśmy zakończyli sprawę i zapili dobrym winem żydowskim, powiedziała ojcu... — wiesz co?... Że gdyby jej nie oddał tobie, weszłaby na skałę i rzuciłaby się głową na dół. Teraz chyba będziesz spał spokojnie — zakończył Tutmozis.

— Wątpię — rzekł następca, opierając się o balustradę i patrząc w najpustszą stronę parku. — Czy wiesz, że w drodze spotkaliśmy powieszonego chłopa...

— O!... to gorsze od skarabeuszów — syknął Tutmozis.

— Powiesił się sam z rozpaczy, że wojsko zasypało mu kanał, który przez dziesięć lat kopał w pustyni.

— No, ten człowiek już śpi twardo... Więc chyba pora i nam...

— Ten człowiek był skrzywdzony — mówił książę — trzeba znaleźć jego dzieci, wykupić i dać im kawałek ziemi w dzierżawę.

Tajemnica, Dobro, Współczucie

— Ale trzeba to zrobić w wielkiej tajemnicy — wtrącił Tutmozis — bo inaczej zaczną się wieszać wszyscy chłopi, a nam, ich panom, żaden Fenicjanin nie pożyczy miedzianego utena.

— Nie żartuj. Gdybyś widział oblicze tego chłopa, nie zasnąłbyś jak i ja...

Wtem z dołu, spomiędzy gęstwiny, odezwał się głos niezbyt silny, lecz wyraźny:

— Niech błogosławi cię, Ramzesie, jedyny i wszechmocny Bóg, który nie ma imienia w ludzkim języku ani posągów w świątyniach.

Obaj młodzi ludzie, zdumieni, wychylili się.

— Kto jesteś?... — zawołał książę.

— Jestem skrzywdzony lud egipski — powoli i spokojnie odpowiedział głos.

Potem wszystko ucichło. Żaden ruch, żaden szelest gałęzi nie zdradził ludzkiej obecności w tym miejscu.

Na rozkaz księcia wybiegła służba z pochodniami, spuszczono psy i przeszukano wszystkie zarośla otaczające dom następcy. Ale nie było nikogo.

— Kto to mógł być?... — pytał Tutmozisa wzruszony książę.

— Może duch tego chłopa?...

— Duch?... — powtórzył adiutant. — Nigdy nie słyszałem gadających duchów, choć nieraz trzymałem straż przy świątyniach i grobach. Prędzej przypuszczałbym, że ten, który odezwał się do nas, jest jakimś twoim przyjacielem.

— Dlaczegóż by się ukrywał?

— A co ci to szkodzi? — rzekł Tutmozis. — Każdy z nas ma dziesiątki, jeżeli nie setki niewidzialnych wrogów. Dziękuj więc bogom, że masz choć jednego niewidzialnego przyjaciela.

— Nie zasnę dziś... — szepnął wzburzony książę.

— Dajże spokój!... Zamiast biegać po tarasie, usłuchaj mnie i legnij. Widzisz, sen — to poważne bóstwo i nie wypada mu gonić za tymi, którzy biegają jelenim krokiem. Gdy się zaś położysz na wygodnej kanapie, sen, który lubi wygodę, siądzie przy tobie i okryje cię swoim wielkim płaszczem, który zasłania ludziom nie tylko oczy, ale i pamięć.

To mówiąc, Tutmozis posadził Ramzesa na kanapie, potem przyniósł podstawkę z kości słoniowej w formie księżyca na nowiu i położywszy księcia, umieścił mu głowę na podporze... Następnie opuścił płócienne ściany namiotu, sam położył się na podłodze i — w kilka minut zasnęli obaj.

ROZDZIAŁ VI

Do pałacu faraona pod Memfisem wchodziło się przez bramę osadzoną między dwoma pięciopiętrowymi wieżami, czyli — pylonami. Zewnętrzne ściany tych budowli, wzniesionych z szarego piaskowca, od dołu do góry były okryte płaskorzeźbami.

Na szczycie bramy wznosił się herb czy symbol państwa: skrzydlata kula, spoza której wychylały się dwa węże. Poniżej siedział rząd bogów, którym faraonowie składali ofiary. Na bocznych słupach wyrzeźbiono również wizerunki bogów, w pięciu kondygnacjach, jedna nad drugą, a u dołu — hieroglificzne napisy.

Na ścianach każdego pylonu główne miejsce zajmowała płaskorzeźba Ramzesa Wielkiego, który w jednej ręce miał podniesiony topór, a drugą trzymał za włosy gromadę ludzi związanych w pęk niby pietruszka. Powyżej króla stały lub siedziały znowu dwie kondygnacje bogów; jeszcze wyżej szereg ludzi niosących ofiary, a pod samym szczytem pylonów wizerunki skrzydlatych wężów, przeplatane wizerunkami skarabeuszów.

Sztuka, Pozycja społeczna

Te pięciopiętrowe pylony o ścianach zwężających się ku górze, trzypiętrowa brama, która je łączyła, płaskorzeźby, w których porządek mieszał się z ponurą fantazją, a pobożność z okrucieństwem, robiły przygnębiające wrażenie. Zdawało się, że trudno tu wejść, niepodobna wyjść, a żyć — ciężko.

Z bramy, przed którą stało wojsko i tłum drobnych urzędników, wchodziło się na dziedziniec otoczony krużgankami, wspartymi na piętrowych słupach. Był to ozdobny ogródek, w którym hodowano aloesy, małe palmy, drzewa pomarańczowe i cedry w wazonach, wszystko wyciągnięte w szeregi i dobrane według wzrostu. Na środku tryskała fontanna; ścieżki wysypano kolorowym piaskiem.

Tu, pod krużgankami, siedzieli lub przechadzali się wyżsi urzędnicy państwa, szepcząc po cichu.

Z dziedzińca, przez wysokie drzwi, szło się do sali wspartej na dwunastu kolumnach trzypiętrowych. Sala była duża, lecz z powodu grubości kolumn wydawała się ciasną. Oświetlały ją drobne okienka w ścianach i duży prostokątny otwór w suficie. Panował tu chłód i cień, prawie zmrok, który jednak nie przeszkadzał widzieć żółtych ścian i słupów pokrytych kondygnacjami malowideł. W górze — liście i kwiaty, niżej bogowie, jeszcze niżej ludzie, którzy nieśli ich posągi lub składali ofiary, a między tymi grupami szeregi hieroglifów.

Wszystko to było malowane wyraźnymi, prawie ostrymi kolorami: zielonym, czerwonym i niebieskim.

W tej sali, z wzorzystą posadzką mozaikową, stali w ciszy, białych szatach i boso — kapłani, najwyżsi urzędnicy państwa, minister wojny Herhor tudzież wodzowie: Nitager i Patrokles, wezwani do faraona.

Jego świątobliwość Ramzes XII, jak zwykle przed naradą, składał ofiary bogom w swojej kaplicy. Ciągnęło się to dość długo. Co chwilę z dalszych komnat wbiegał jakiś kapłan albo urzędnik, komunikując wiadomości o przebiegu nabożeństwa.

— Już pan złamał pieczęć do kaplicy... Już myje święte bóstwo... Już go ubiera... Już zamknął drzwi...

Na twarzach obecnych, pomimo ich dostojeństw, malował się niepokój i zgnębienie. Tylko Herhor był obojętny, Patrokles niecierpliwy, a Nitager od czasu do czasu mącił uroczystą ciszę swoim potężnym głosem. Za każdym tak nieprzyzwoitym odezwaniem się starego wodza dworacy poruszali się niby spłoszone owce, a potem spoglądali na siebie, jakby mówiąc:

„To gbur, całe życie ugania się za barbarzyńcami, więc można mu wybaczyć..."

W dalszych komnatach odezwał się dźwięk dzwonków i chrzęst broni. Do sali weszło dwoma rzędami kilkunastu gwardzistów w złotych hełmach i napierśnikach, z obnażonymi mieczami, potem dwa szeregi kapłanów, a nareszcie ukazał się faraon, niesiony na tronie, otoczony obłokami dymu z kadzielnic.

Władca Egiptu, Ramzes XII, był to człowiek blisko sześćdziesięcioletni, z twarzą zwiędłą. Miał na sobie białą togę[67], na głowie czerwono-biały kołpak ze złotym wężem, w ręku długą laskę.

Kiedy orszak ukazał się, wszyscy upadli na twarz. Tylko Patrokles, jako barbarzyńca, poprzestał na niskim ukłonie, a Nitager przyklęknął na jedno kolano, lecz wnet podniósł się.

Lektyka zatrzymała się przed baldachimem, pod którym na wzniesieniu stał tron hebanowy. Faraon z wolna zeszedł z lektyki, chwilę popatrzył na obecnych, a potem, usiadłszy na tronie, utkwił oczy w gzyms sali, na którym była wymalowana różowa kula z niebieskimi skrzydłami i zielonymi wężami.

Na prawo od faraona stanął wielki pisarz, na lewo sędzia z laską, obaj w ogromnych perukach.

Na znak dany przez sędziego wszyscy usiedli albo uklękli na podłodze, zaś pisarz odezwał się do faraona:

— Panie nasz i władco potężny! Twój sługa Nitager, wielki strażnik granicy wschodniej, przyjechał, aby złożyć ci hołdy, i przywiózł haracz od pobitych narodów: wazę z zielonego kamienia pełną złota, trzysta wołów, sto koni i wonne drzewo teszep.

— Nędzny to haracz, mój panie — odezwał się Nitager. — Prawdziwe skarby znaleźlibyśmy dopiero nad Eufratem, gdzie pysznym, choć jeszcze słabym królom bardzo potrzeba przypomnieć czasy Ramzesa Wielkiego.

[67] *toga* — długa męska szata noszona przez Rzymian. Tu w znaczeniu: długa szata.

— Odpowiedz słudze memu Nitagerowi — rzekł do pisarza faraon — że jego słowa będą wzięte pod pilną uwagę. A teraz zapytaj go: co sądzi o wojskowych zdolnościach syna mego i następcy, z którym wczoraj miał zaszczyt zetrzeć się pod Pi-Bailos?

— Nasz władca, pan dziewięciu narodów, zapytuje cię, Nitagerze... — zaczął pisarz.

Wtem, ku największemu zgorszeniu dworaków, wódz przerwał szorstko:

— Sam słyszę, co mówi pan mój... Ustami zaś jego, kiedy zwraca się do mnie, mógłby być tylko następca tronu, nie zaś ty, wielki pisarzu.

Pisarz z przerażeniem spojrzał na śmiałka, ale faraon rzekł:

— Mówi prawdę mój wiemy sługa Nitager.

Minister wojny ukłonił się.

Teraz sędzia obwieścił wszystkim obecnym: kapłanom, urzędnikom i gwardii, że mogą wyjść na dziedziniec, i sam wraz z pisarzem, skłoniwszy się tronowi, pierwsi opuścili salę. Został w niej tylko faraon, Herhor i dwaj wodzowie.

— Nakłoń uszy swoje, władco, i wysłuchaj skargi — zaczął Nitager. — Dziś z rana kapłan-urzędnik, który z twego rozkazu przyszedł namaścić włosy moje, powiedział mi, ażebym idąc do ciebie zostawił sandały w przysionku. Tymczasem wiadomo jest nie tylko w Górnym i Dolnym Egipcie, ale u Hetytów[68], w Libii, Fenicji i w kraju Punt[69], że dwadzieścia lat temu dałeś mi prawo stawania przed tobą w sandałach.

— Mówisz prawdę — rzekł faraon. — Do mego dworu zakradły się różne nieporządki.

— Tylko rozkaż, królu, a moi weterani zaraz zrobią ład — pochwycił Nitager.

Na znak dany przez ministra wojny wbiegło kilku urzędników: jeden przyniósł sandały i obuł Nitagera, inni naprzeciw tronu ustawili kosztowne taborety dla ministra i wodzów.

Gdy trzej dostojnicy usiedli, faraon zapytał:

— Powiedz mi, Nitagerze, czy sądzisz, że mój syn będzie wodzem?... Ale mów szczerą prawdę.

— Na Amona z Teb, na sławę moich przodków, w których płynęła krew królewska, przysięgam, że Ramzes, twój następca, będzie wielkim wodzem, jeżeli mu pozwolą bogowie — odparł Nitager. — Młody to jest chłopak, jeszcze pacholę, a jednak z wielką umiejętnością zebrał pułki, zaopatrzył i marsz im ułatwił. Najwięcej zaś podoba mi się, że nie stracił głowy, kiedy mu przeciąłem drogę, lecz poprowadził swoich do ataku. On będzie wodzem i zwycięży Asyryjczyków, których dziś trzeba pobić, jeżeli nasze wnuki nie mają zobaczyć ich nad Nilem.

— Cóż ty na to, Herhorze? — zapytał faraon.

— Co się tyczy Asyryjczyków, myślę, że dostojny Nitager za wcześnie kłopocze się nimi. Jeszcze jesteśmy chorzy po dawnych wojnach i musimy pierwej dobrze się wzmocnić, zanim rozpoczniemy nową — mówił minister. — Co się zaś tyczy następcy tronu, Nitager sprawiedliwie mówi, że młodzian ten posiada zalety wodza: jest przezorny jak lis i gwałtowny jak lew. Mimo to wczoraj popełnił dużo błędów...

— Kto z nas ich nie popełnia!... — wtrącił milczący dotąd Patrokles.

— Następca — ciągnął minister — mądrze prowadził główny korpus, ale zaniedbał swój sztab, przez co maszerowaliśmy tak wolno i nieporządnie, że Nitager mógł zabiec nam drogę...

— Może Ramzes liczył na waszą dostojność? — spytał Nitager.

— W rządzie i wojnie na nikogo nie liczy się: o jeden niedopatrzony kamyk można się przewrócić — rzekł minister.

---

[68] *Hetyci* — lud, który przywędrował do Anatolii (dziś Turcja) ok. 2000 r. p.n.e. Hetyci założyli tam państwo, które w XIV–XIII w. p.n.e. osiągnęło szczyt potęgi, stało się drugim imperium Bliskiego Wschodu i rywalizowało z Egiptem o dominację w Syrii. Około roku 1190 p.n.e. najazdy tzw. Ludów Morza, których inwazję udało się odeprzeć Egiptowi, spowodowały nagły upadek państwa hetyckiego. Powstały liczne państewka późnohetyckie w południowo-wschodniej Anatolii i północnej Syrii, które przetrwały do VIII w. p.n.e. Kiedy B. Prus tworzył swoją powieść, wiedza o Hetytach była uboga: uważano, że ich państwo znajdowało się na terenach północnej Syrii i wiedziano, że faraon Ramzes II podpisał traktat pokojowo-sojuszniczy z władcą Hetytów, poślubiając jego córkę.

[69] *Punt* — kraina we wschodniej Afryce, na południowy wschód od Egiptu, skąd Egipcjanie sprowadzali drogą morską aromatyczne żywice, złoto, heban, kość słoniową, skóry żyraf, lampartów oraz dzikie zwierzęta. Najprawdopodobniej na wybrzeżu dzisiejszej Erytrei.

— Gdybyś wasza dostojność — odezwał się Patrokles — nie zepchnął kolumny z gościńca z powodu tych tam skarabeuszów...

— Jesteś wasza dostojność cudzoziemcem i poganinem — odparł Herhor — więc tak mówisz. My zaś, Egipcjanie, rozumiemy, że gdy lud i żołnierze przestaną szanować skarabeusza, synowie ich przestaną się bać *ureusa*. Z lekceważenia bogów urodzi się bunt przeciw faraonowi...

— A od czego topory? — przerwał Nitager. — Kto chce zachować głowę na plecach, niech słucha najwyższego wodza.

— Jakaż więc jest twoja ostateczna myśl o następcy? — spytał faraon Herhora.

— Żywy obrazie słońca, synu bogów — odparł minister. — Każ Ramzesa namaścić, daj mu wielki łańcuch i dziesięć talentów, ale wodzem korpusu Menfi jeszcze go nie mianuj. Książę na ten urząd jest za młody, za gorący, niedoświadczony. Czy więc możemy uznać go równym Patroklesowi, który w dwudziestu bitwach zdeptał Etiopów i Libijczyków? A czy możemy stawiać go obok Nitagera, którego samo imię od dwudziestu lat przyprawia o bladość naszych wrogów ze wschodu i północy?

Faraon oparł głowę na ręku, pomyślał i rzekł:

— Odejdźcie w spokoju i łasce mojej. Uczynię, jak nakazuje mądrość i sprawiedliwość.

Dostojnicy skłonili się głęboko, a Ramzes XII, nie czekając na świtę, przeszedł do dalszych komnat.

Kiedy dwaj wodzowie znaleźli się sami w przysionku, Nitager odezwał się do Patroklesa:

— Tu, widzę, rządzą kapłani jak u siebie. Ale jaki to wódz ten Herhor!... Pobił nas, nim przyszliśmy do słowa, i nie da korpusu następcy...

— Mnie tak pochwalił, że nie śmiałem się odezwać — odparł Patrokles.

— Zresztą on daleko widzi, choć nie wszystko mówi. Za następcą wcisnęliby się do korpusu rozmaite paniczyki, co to ze śpiewaczkami jeżdżą na wojnę, i oni zajęliby najwyższe posady. Naturalnie starzy oficerowie zaczęliby próżnować z gniewu, że ich awans ominął; eleganci musieliby próżnować dla zabaw, i — korpus popękałby, nawet nie uderzywszy o nieprzyjaciela. O, Herhor to mędrzec!...

— Bodajby nas nie kosztowała więcej jego mądrość aniżeli niedoświadczenie Ramzesa — szepnął Grek.

Przez szereg komnat pełnych kolumn i ozdobionych malowidłami, gdzie w każdych drzwiach kapłani i pałacowi urzędnicy składali mu niskie ukłony, faraon przeszedł do swego gabinetu. Była to dwupiętrowa sala o ścianach z alabastru, na których złotem i jaskrawymi farbami odmalowano najznakomitsze wypadki panowania Ramzesa XII, a więc: hołdy składane mu przez mieszkańców Mezopotamii, poselstwo od króla Buchtenu i triumfalną podróż bożka Chonsu po kraju Buchten.

W sali tej znajdował się malachitowy[70] posążek Horusa[71] z ptasią głową, ozdobiony złotem i klejnotami, przed nim ołtarz w formie ściętej piramidy, broń królewska, kosztowne fotele i ławki tudzież stoliki zapełnione drobiazgami.

Gdy faraon ukazał się, jeden z obecnych kapłanów spalił przed nim kadzidło, a jeden z urzędników zameldował następcę tronu, który niebawem wszedł i nisko ukłonił się ojcu. Na wyrazistej twarzy księcia było widać gorączkowy niepokój.

— Cieszę się, erpatre — rzekł faraon — że wracasz zdrowym z ciężkiej podróży.

— Obyś wasza świątobliwość żył wiecznie i dziełami swoimi napełnił oba światy — odparł książę.

— Dopiero co — mówił faraon — moi radcy wojenni opowiadali mi o twojej pracy i roztropności.

Twarz następcy drżała i mieniła się. Wpił wielkie oczy w faraona i słuchał.

— Czyny twoje nie zostaną bez nagrody. Otrzymasz dziesięć talentów, wielki łańcuch i dwa greckie pułki, z którymi będziesz robił ćwiczenia.

Książę osłupiał, lecz po chwili zapytał stłumionym głosem:

---

[70] *malachit* — ceniony kamień półszlachetny o zielonej barwie.

[71] *Horus* — bóg nieba, czczony pod postacią sokoła, jeden z najstarszych i najważniejszych bogów Egiptu. Syn Ozyrysa i Izydy, który po śmierci ojca jako następca tronu walczył z Setem o władzę nad światem żywych. Jako bóstwo królewskie był opiekunem faraonów i państwa egipskiego. Według innych wierzeń, syn boga słońca Re, czczony wspólnie z nim jako bóstwo solarne.

— A korpus Menfi?...

— Za rok powtórzymy manewry, a jeżeli nie popełnisz żadnego błędu w prowadzeniu wojska, dostaniesz korpus.

— Wiem, to zrobił Herhor!... — zawołał następca, ledwie hamując się z gniewu.

Obejrzał się wkoło i dodał:

— Nigdy nie mogę być sam z tobą, mój ojcze... Zawsze między nami znajdują się obcy ludzie...

Faraon z lekka poruszył brwiami i jego świta znikła jak gromada cieniów.

— Co masz mi do powiedzenia?

— Tylko jedno, ojcze... Herhor jest moim wrogiem... On oskarżył mnie przed tobą i naraził na taki wstyd!...

Mimo pokornej postawy książę gryzł wargi i zaciskał pięści.

— Herhor jest moim wiernym sługą, a twoim przyjacielem. Jego to wymowa sprawiła, że jesteś następcą tronu. To ja — nie powierzam korpusu młodemu wodzowi, który pozwolił odciąć się od swojej armii.

— Połączyłem się z nią!... — odparł zgnębiony następca. — To Herhor kazał okrążać dwa żuki...

— Chcesz więc, ażeby kapłan wobec wojska lekceważył religię?

— Mój ojcze — szeptał Ramzes drżącym głosem — ażeby nie zepsuć pochodu żukom, zniszczono budujący się kanał i zabito człowieka. Władza

— Ten człowiek sam podniósł rękę na siebie.

— Ale z winy Herhora.

— W pułkach, które tak umiejętnie zgromadziłeś pod Pi-Bailos, trzydziestu ludzi umarło ze zmęczenia, a kilkuset jest chorych.

Książę spuścił głowę.

— Ramzesie — ciągnął faraon — przez usta twoje nie przemawia dostojnik państwa, który dba o całość kanałów i życie robotników, ale człowiek rozgniewany. Gniew zaś nie godzi się ze sprawiedliwością jak jastrząb z gołębiem.

— O mój ojcze! — wybuchnął następca — jeżeli gniew mnie unosi, to dlatego że widzę niechęć dla mnie Herhora i kapłanów...

— Przecież sam jesteś wnukiem arcykapłana, kapłani uczyli cię... Poznałeś więcej ich tajemnic aniżeli którykolwiek inny książę...

— Poznałem ich nienasyconą dumę i chęć władzy. A że ukrócę to... więc już dziś są moimi wrogami... Herhor nie chce mi dać nawet korpusu, gdyż woli rządzić całą armią...

Wyrzuciwszy te niebaczne słowa następca struchlał. Ale władca podniósł na niego jasne spojrzenie i odparł spokojnie:

— Armią i państwem rządzę ja. Ze mnie płyną wszelkie rozkazy i wyroki. Na tym świecie jestem wagą Ozyrysa i sam ważę sprawy moich sług: następcy, ministra czy ludu. Nieroztropnym byłby ten, kto by sądził, że nie są mi znane wszystkie gwichty[72].

— Jednak gdybyś, ojcze, patrzył na bieg manewrów własnymi oczami...

— Może zobaczyłbym wodza — przerwał faraon — który w stanowczej chwili rzuca wojsko i ugania się po krzakach za izraelską dziewczyną. Ale ja o takich błahostkach nie chcę wiedzieć.

Książę upadł do nóg ojcu, szepcąc:

— Tutmozis powiedział ci o tym, panie?...

— Tutmozis jest dzieciakiem jak i ty. On już robi długi, jako szef sztabu w korpusie Menfi, i myśli w swym sercu, że oko faraona nie dosięgnie jego spraw w pustyni.

ROZDZIAŁ VII

W kilka dni później książę Ramzes został wezwany przed oblicze najczcigodniejszej matki swojej, Nikotris, która była drugą żoną faraona, ale dziś największą panią w Egipcie.

Bogowie nie omylili się, powołując ją na rodzicielkę króla. Była to osoba wysoka, dość pełna i pomimo czterdziestu lat, jeszcze piękna. Nade wszystko w oczach, twarzy i całej

[72] *gwicht* (daw., z niem.) — ciężarek u wagi, odważnik.

postaci jej był taki majestat, że nawet gdy szła samotna, w skromnej szacie kapłanki, ludzie schylali przed nią głowy.

Dostojna pani przyjęła syna w gabinecie wyłożonym fajansowymi płytami. Siedziała na inkrustowanym krześle, pod palmą. U jej nóg, na stołeczku, leżał mały piesek; z drugiej strony klęczała czarna niewolnica z wachlarzem. Królewska małżonka miała na sobie muślinowy płaszcz, haftowany złotem, a na peruce obrączkę ozdobioną klejnotami w formie lotosu.

Kiedy książę nisko ukłonił się, piesek obwąchał go i znowu położył się, a pani skinąwszy głową zapytała:

— Z jakiegoż to powodu, Ramzesie, żądałeś ode mnie posłuchania?

— Jeszcze przed dwoma dniami, matko.

— Wiedziałam, że jesteś zajęty. Ale dziś oboje mamy czas, i mogę cię wysłuchać.

— Tak mówisz do mnie, matko, jakby owionął mnie nocny wiatr pustyni, i już nie mam odwagi przedstawić ci mojej prośby.

— Więc zapewne chodzi o pieniądze?

Ramzes zmieszany spuścił głowę.

— Dużo ci też potrzeba?

— Piętnaście talentów...

— O bogowie! — zawołała pani — wszak parę dni temu wypłacono ci dziesięć talentów ze skarbu. Przejdź się, moja dziewczynko, po ogrodzie, musisz być zmęczona — rzekła monarchini do czarnej niewolnicy. Gdy zaś zostali oboje z synem, zapytała księcia:

— Więc twoja Żydówka jest aż tak wymagająca?

Ramzes zarumienił się, ale podniósł głowę.

— Wiesz, matko, że tak nie jest — odparł. — Ale obiecałem nagrodę wojsku i... nie mogę jej wypłacić!...

Królowa przypatrywała mu się ze spokojną dumą.

— Jak to niedobrze — odezwała się po chwili — kiedy syn robi postanowienia, nie naradziwszy się z matką. Właśnie, pamiętając o twoim wieku, chciałam ci dać niewolnicę fenicką, którą przysłał mi Tyr, z dziesięcioma talentami posagu. Ale ty wolałeś Żydówkę.

— Podobała mi się. Tak pięknej nie ma między twymi służebnicami, matko, ani nawet między kobietami jego świątobliwości...

— Ależ to Żydówka!...

— Nie uprzedzaj się, matko, błagam cię... To jest fałsz, że Żydzi jedzą wieprzowinę i zabijają koty...

Dostojna pani uśmiechnęła się.

— Mówisz jak chłopiec z najniższej szkoły kapłańskiej — odparła, wzruszając ramionami — a zapominasz o tym, co powiedział Ramzes Wielki: „Lud żółty jest liczniejszym i bogatszym od nas; działajmyż przeciw niemu, lecz ostrożnie, aby nie stał się jeszcze silniejszym..." Nie sądzę więc, ażeby dziewczyna z tego ludu była właściwa na pierwszą kochankę następcy faraona.

— Czyliż słowa Ramzesa mogą odnosić się do córki nędznego dzierżawcy!... — zawołał książę. — Gdzie wreszcie są ci Żydzi u nas?... Trzy wieki temu jak opuścili Egipt, a dzisiaj tworzą śmieszne państwo, rządzone przez kapłanów...

— Widzę — odpowiedziała dostojna pani, z lekka marszcząc brwi — że twoja kochanka nie traci czasu... Bądź ostrożny, Ramzesie!... Pamiętaj, że wódz ich, Messu[73], jest to kapłan zdrajca, którego w naszych świątyniach po dziś dzień przeklinają... Pamiętaj, że Żydzi wynieśli więcej skarbów z Egiptu, aniżeli była warta praca ich kilku pokoleń: zabrali nam nie tylko złoto, ale i wiarę w Jedynego i nasze święte prawa, które dziś ogłaszają za własne. Nareszcie wiedz o tym — dodała z mocą — że córki tego ludu wolą śmierć aniżeli łoże obcego człowieka. A jeżeli oddają się, nawet nieprzyjacielskim wodzom, to chyba w tym celu, ażeby albo zjednać ich dla swojej polityki, albo zabić...

— Wierz mi, matko, że wszystkie te wieści rozgłaszają kapłani. Nie chcą oni dopuścić do podnóżka tronu ludzi innej wiary, którzy mogliby służyć faraonowi przeciw nim...

[73] *wódz ich, Messu, jest to kapłan zdrajca* — biblijny Mojżesz, który został przygarnięty przez córkę faraona i wychowany jako książę Egiptu, a następnie na polecenie boga Jahwe wyprowadził Izraelitów z Egiptu. Izraelici mieli zabrać ze sobą drogocenne przedmioty pod pozorem pożyczki od Egipcjan.

Monarchini podniosła się z krzesła i założywszy ręce na piersiach, ze zdumieniem przypatrywała się synowi.

— Więc to prawda, co mi mówiono, że jesteś wrogiem kapłanów — rzekła. — Ty, ich ukochany uczeń?...

— Jeszcze muszę mieć ślady ich kijów na plecach!... — odparł książę.

— Ależ twój dziad, a mój ojciec, mieszkający z bogami, Amenhotep, był arcykapłanem i posiadał rozległą władzę w kraju.

— Właśnie dlatego, że mój dziad był władcą i ojciec jest nim, ja nie mogę znieść władzy Herhora...

— Na to stanowisko wprowadził go twój dziad, święty Amenhotep...

— A ja go strącę.

Matka wzruszyła ramionami.

— I to ty — odezwała się ze smutkiem — chcesz dowodzić korpusem?... Ależ ty jesteś rozpieszczona dziewczyna, nie mąż i wódz...

— Jak to?... — przerwał książę, z trudnością powstrzymując się od wybuchu.

— Nie poznaję syna mego... Nie widzę w tobie przyszłego pana Egiptu!... Dynastia w twojej osobie będzie jak nilowe czółno bez steru... Wypędzisz z dworu kapłanów, a któż ci zostanie?... Kto będzie twoim okiem w Dolnym i Górnym kraju, kto za granicą?... A przecież faraon musi widzieć wszystko, na cokolwiek pada boski promień Ozyrysa...

— Kapłani będą moimi sługami, nie ministrami...

— Oni też są najwierniejszymi sługami. Dzięki ich modłom ojciec twój panuje trzydzieści trzy lat i unika wojen, które mogłyby być zgubnymi...

— Dla kapłanów.

— Dla faraona, dla państwa!... — przerwała. — Czy ty wiesz, co się dzieje z naszym skarbem, z którego w jednym dniu bierzesz dziesięć talentów, a żądasz jeszcze piętnastu?... Czy wiesz, że gdyby nie ofiarność kapłanów, którzy dla skarbu nawet bogom zabierają prawdziwe klejnoty, a podsuwają sztuczne, czy wiesz, że dobra królewskie byłyby już w rękach Fenicjan?...

— Jedna szczęśliwa wojna zaleje nasze kasy jak przybór Nilu nasze pola.

Wielka pani roześmiała się.

— Nie — rzekła — ty, Ramzesie, jesteś jeszcze takim dzieckiem, że nawet nie można poczytywać za grzech twoich słów bezbożnych. Proszę cię, zajmij się greckimi pułkami i jak najprędzej pozbądź się żydowskiej dziewczyny, a politykę zostaw... nam...

— Dlaczego mam pozbyć się Sary?

— Bo gdybyś miał z nią syna, mogłyby powstać zawikłania w państwie, które i tak ma dość kłopotów. Na kapłanów — dodała pani — możesz gniewać się, byleś ich publicznie nie obrażał. Oni wiedzą, że trzeba wiele wybaczyć następcy tronu, osobliwie jeżeli ma tak burzliwy charakter. Ale czas uspokoi wszystko, na chwałę dynastii i pożytek państwu.

Książę rozmyślał. Nagle odezwał się.

— Więc nie mogę rachować na pieniądze ze skarbu?

— W żadnym razie. Wielki pisarz już dziś musiałby wstrzymać wypłaty, gdybym mu nie dała czterdziestu talentów, które mi Tyr przysłał.

— I co ja zrobię z wojskiem!... — mówił książę, niecierpliwie trąc czoło.

— Oddal Żydówkę i poproś kapłanów... Może ci pożyczą.

— Nigdy!... Wolę wziąć od Fenicjan.

Pani wstrząsnęła głową.

— Jesteś erpatrem, rób, jak chcesz... Ale ostrzegam cię, że musisz dać duży zastaw, a Fenicjanin, gdy raz stanie się twoim wierzycielem, już cię nie puści. Oni są podstępniejsi od Żydów.

— Na pokrycie takich długów wystarczy cząstka mego dochodu.

— Zobaczymy. Szczerze chciałabym ci pomóc, ale nie mam... — mówiła pani, ze smutkiem rozkładając ręce. — Czyń więc, jak ci wypada, ale pamiętaj, że Fenicjanie w naszych majątkach są jak szczury w spichlerzach: gdy jeden wciśnie się przez szczelinę, inni przyjdą za nim.

Ramzes ociągał się z wyjściem.

— Czy jeszcze powiesz mi co? — zapytała.

— Chciałbym tylko zapytać... Moje serce domyśla się, że ty, matko, masz jakieś plany względem mnie. Jakie?...

Monarchini pogłaskała go po twarzy.

— Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz!... Dziś jesteś swobodnym jak każdy młody szlachcic w tym kraju, więc korzystaj... Ale, Ramzesie, przyjdzie czas, że będziesz musiał pojąć małżonkę, której dzieci będą książętami krwi królewskiej, a syn twoim następcą. O tych czasach ja myślę...

— I co?...

— Jeszcze nic określonego. W każdym razie mądrość polityczna mówi mi, że twoją małżonką powinna być córka kapłana...

— Może Herhora?... — zawołał książę ze śmiechem.

— Cóż by w tym było nagannego? Herhor bardzo prędko zostanie arcykapłanem w Tebach, a jego córka ma dopiero lat czternaście.

— I zgodziłaby się zająć przy mnie miejsce Żydówki?... — z ironią zapytał Ramzes.

— Musiałbyś się postarać, ażeby ci zapomniano dzisiejszy błąd.

— Całuję stopy twoje, matko, i odchodzę — rzekł Ramzes, chwytając się za głowę. — Tyle tu słyszałem dziwnych rzeczy, że zaczynam się bać, ażeby Nil nie popłynął w stronę katarakt albo piramidy nie przeszły na pustynię wschodnią.

— Nie bluźnij, dziecko moje — szepnęła pani, z trwogą patrząc na syna. — W tym kraju widywano dziwniejsze cuda...

— Czy nie te — spytał z gorzkim uśmiechem syn — że ściany królewskiego pałacu podsłuchiwały swoich panów?

— Widywano śmierć faraonów po kilkumiesięcznym panowaniu i upadki dynastii, które rządziły dziewięcioma narodami.

— Bo ci faraonowie dla kadzielnicy zapomnieli o mieczu — odparł książę.

Ukłonił się i wyszedł.

W miarę jak kroki następcy cichły w ogromnym przysionku, twarz dostojnej pani mieniła się: miejsce majestatu zajęła boleść i trwoga, a w wielkich oczach błysnęły łzy. Dama

Pobiegła przed posąg bogini, uklękła i nasypawszy indyjskiego kadzidła na węgle zaczęła mówić:

— O Izis[74] — Izis — Izis — po trzykroć wymawiam imię twoje. O Izis, która rodzisz węże, krokodyle i strusie, po trzykroć niech będzie pochwalone imię twoje... O Izis, która chronisz ziarna zbożowe od zabójczych wichrów, a ciała ojców naszych od niszczącej pracy czasu, o Izis, ulituj się i chroń mojego syna... Po trzykroć niech będzie wymawiane imię twoje i tu... i tam... i tam... I dziś, i zawsze, i na wieki wieków, dopóki świątynie naszych bogów będą przeglądały się w wodzie Nilu.

Modląc się tak i łkając, monarchini pochyliła się i dotknęła czołem ziemi. A w tej chwili rozległ się nad nią cichy szept:

— Głos sprawiedliwego zawsze jest wysłuchany.

Dostojna pani zerwała się i pełna zdumienia zaczęła oglądać się dokoła. Ale w pokoju nie było nikogo. Tylko ze ścian patrzyły na nią malowane kwiaty, a znad ołtarza posąg bogini, pełen nadziemskiego spokoju.

ROZDZIAŁ VIII

Książę wrócił do swojej willi stroskany i wezwał Tutmozisa.

— Musisz mnie — rzekł Ramzes — nauczyć, jak dostaje się pieniądze...

— Aha!... — roześmiał się elegant. — Oto jest mądrość, której nie uczą w najwyższych szkołach kapłańskich, ale w której ja mógłbym zostać prorokiem...

— Tam wykładają, ażeby nie pożyczać pieniędzy — wtrącił książę.

— Gdybym nie lękał się, ażeby warg moich nie splamiła bezbożność, powiedziałbym, że niektórzy kapłani marnują czas... Biedni ludzie, chociaż święci!... Nie jedzą mięsa, poprzestają na jednej żonie albo całkiem unikają kobiet i — nie wiedzą: co to jest pożyczać... Jestem kontent, Ramzesie — prawił Tutmozis — że ten rodzaj mądrości poznasz

[74] *Izis* a. *Izyda* — bogini przyrody, pełna dobroci patronka macierzyństwa, rodziny, sztuki i magii. Siostra i żona Ozyrysa, matka Horusa. Często przedstawiana jako matka siedząca z małym dzieckiem, Horusem, na ręku. Jako żona władcy Ozyrysa wyobrażana z symbolem tronu na głowie.

przy moich radach. Już dziś rozumiesz, jakich cierpień staje się źródłem brak pieniędzy. Człowiek potrzebujący pieniędzy nie ma apetytu, zrywa się przez sen, na kobiety patrzy ze zdziwieniem, jakby pytał: na co one są? W najchłodniejszej świątyni biją mu ognie do twarzy, a w największy upał, wśród pustyni, czuje dreszcz chłodu. Patrzy przed siebie jak obłąkany, nie słyszy, co do niego mówią, najczęściej chodzi w przekręconej peruce, której zapomniał napoić wonnościami, a uspokaja się tylko przy dzbanie mocnego wina, i to na krótko. Bo ledwie nieborak odzyska zmysły, znowu zaczyna czuć, jakby mu się ziemia rozstępowała pod nogami. Pieniądz

Widzę to — ciągnął elegant — po twoim niespokojnym chodzie i bezładnym wyrzucaniu rękoma, że w tej chwili doznajesz rozpaczy z powodu braku pieniędzy. Wkrótce jednak doznasz innych uczuć, jak gdyby ci zdjęto z piersi wielkiego sfinksa. Później ulegniesz słodkiemu stanowi zapomnienia o swoich poprzednich kłopotach i teraźniejszych wierzycielach, a potem...

Ach, szczęśliwy Ramzesie, czekają cię nadzwyczajne niespodzianki!... Bo gdy upłynie termin, a wierzyciele zaczną odwiedzać cię pod pozorem składania hołdu, będziesz jak jeleń ścigany przez psy albo jak dziewczyna egipska, która czerpiąc wodę z rzeki zobaczy sękaty grzbiet krokodyla.

— Wszystko to wygląda bardzo wesoło — przerwał, śmiejąc się, Ramzes — ale nie przynosi ani jednej drachmy...

— Nie kończ! — przerwał Tutmozis. — W tej chwili idę po fenickiego bankiera Dagona, a wieczorem, choćby ci jeszcze nie dał pieniędzy, odzyskasz spokój.

Wybiegł, wsiadł do małej lektyki i, otoczony służbą tudzież takimi jak sam letkiewiczami[75], zniknął w alejach parku.

Przed zachodem słońca do domu następcy tronu przyjechał Fenicjanin Dagon, najznakomitszy bankier w Memfis. Był to człowiek w sile wieku, żółty, suchy, ale dobrze zbudowany. Miał niebieską tunikę, na niej biały płaszcz z cienkiej tkaniny, ogromne włosy własne, ściśnięte złotą obrączką, i dużą czarną brodę, również własną. Bujny ten zarost imponująco wyglądał obok peruk i przyprawnych bródek egipskich elegantów.

Mieszkanie następcy roiło się arystokratyczną młodzieżą. Jedni na dole kąpali się i namaszczali, inni grali w szachy[76] i arcaby[77] na piętrze, inni, w towarzystwie kilku tancerek, pili pod namiotami na tarasie. Następca nie pił, nie grał, nie rozmawiał z kobietami, tylko chodził po jednej stronie tarasu, niecierpliwie wypatrując Fenicjanina. Gdy go zobaczył wyjeżdżającego z alei w lektyce na dwu osłach, zeszedł na pierwsze piętro, gdzie był nie zajęty pokój.

Po chwili we drzwiach ukazał się Dagon, przyklęknął na progu i zawołał:

— Pozdrawiam cię, nowe słońce Egiptu!... Obyś żył wiecznie, a twoja sława oby dosięgła tych dalekich brzegów, kędy dobijają fenickie statki...

Na rozkaz księcia podniósł się i mówił z gwałtowną gestykulacją.

— Kiedy dostojny Tutmozis wysiadł przed moją lepianką (lepianką jest mój dom wobec twoich pałaców, erpatre!), taki bił blask z jego twarzy, że zaraz krzyknąłem do żony: — Tamaro, dostojny Tutmozis nie od siebie przychodzi, ale od kogoś wyższego niż on sam, jak Liban jest wyższym od nadmorskich piasków. A żona pyta się: — Skąd wiesz, panie mój, że dostojny Tutmozis nie przychodzi od siebie?... — Stąd, że nie mógł przyjść z pieniędzmi, bo ich nie ma, i nie przyszedł po pieniądze, bo ja ich nie mam... — W tej chwili ukłoniliśmy się oboje dostojnemu Tutmozisowi. A gdy nam opowiedział, że to ty, najdostojniejszy panie, chcesz piętnastu talentów od swego niewolnika, ja zapytałem żony: — Tamaro, czy źle nauczyło mnie moje serce? — Dagonie, jesteś tak mądry, że powinieneś być doradcą następcy tronu... — odpowiedziała moja żona.

Ramzes kipiał z niecierpliwości, ale słuchał bankiera. On, który burzył się wobec własnej matki i faraona! Pieniądz

[75] *letkiewicz* (daw.) — człowiek lekkomyślny, niepoważny.

[76] *grali w szachy* — szachy były w Egipcie nieznane (powstały w Azji setki lat później). Chodzi najpewniej o *senet*, egipską grę rozgrywaną pionami na prostokątnej planszy 3x10 pól, bardzo popularną od zamierzchłych czasów, lecz w przeciwieństwie do szachów częściowo losową. Inną grę planszową, *mehen* (wąż), rozgrywano na planszy w kształcie zwiniętego w spiralę węża.

[77] *arcaby* (daw.) — warcaby. Warcaby w dzisiejszym kształcie są znane od XII w. n.e., ale uważa się, że pochodzą od gry *senet*, rozgrywanej w Egipcie już w XXVI w. p.n.e.

— Kiedyśmy — prawił Fenicjanin — zastanowili się i zrozumieli, że ty, panie, chcesz moich usług, taka w nasz dom wstąpiła radość, że kazałem dać służbie dziesięć dzbanów piwa, a moja żona, Tamar, kazała, ażebym ja jej kupił nowe zausznice. Wesele moje tak się wzmogło, że kiedym tu jechał, nie pozwoliłem oślarzowi bić osłów. A kiedy niegodne moje stopy dotknęły waszej posadzki, książę, wydobyłem złoty pierścień (większy niż ten, który dostojny Herhor dał Eunanie!) i podarowałem ten złoty pierścień waszemu niewolnikowi, który mi nalał wody na ręce. Za pozwoleniem waszej dostojności, skąd pochodzi ten dzban srebrny, z którego poleli mi ręce?...

— Sprzedał mi go Azariasz, syn Gabera, za dwa talenty.

— Żyd?... Wasza dostojność z Żydami handluje?... A co na to powiedzą bogowie?... Antysemityzm, Handel

— Azariasz jest kupcem jak wy — odparł następca.

Usłyszawszy to, Dagon oburącz schwycił się za głowę, zaczął pluć i jęczeć:

— O Baal Tammuz!... o Baaleth!... o Astoreth![78]... Azariasz, syn Gabera, Żyd, ma być takim kupcem jak ja!... O nogi moje, po coście mnie tu przyniosły?... O serce, za co cierpisz taki ból i naigrawanie?... Najdostojniejszy książę — krzyczał Fenicjanin — zbij mnie, utnij mi rękę, jeżeli będę fałszował złoto, ale nie mów, że Żyd może być kupcem. Prędzej upadnie Tyr, prędzej miejsce Sydonu[79] zajmie piasek, aniżeli Żyd zostanie kupcem. Oni mogą doić swoje chude kozy albo pod egipskim batem mieszać glinę ze słomą, ale nigdy handlować. Tfu!... tfu!... nieczysty naród niewolników!... Rabuśniki, złodzieje...

W księciu, nie wiadomo dlaczego, gniew zawrzał, lecz i wnet uspokoił się, co wydało się dziwnym samemu Ramzesowi, który dotychczas wobec nikogo nie uważał za potrzebne hamować się.

— A więc — odezwał się nagle następca — czy pożyczysz mi, zacny Dagonie, piętnaście talentów?

— O Astoreth!... piętnaście talentów?... To jest tak wielki ciężar, że ja musiałbym usiąść, ażeby o nim dobrze pomyśleć.

— Więc siadaj.

— Za talent — mówił Fenicjanin, wygodnie siadając na krześle — można mieć dwadzieścia złotych łańcuchów albo sześćdziesiąt pięknych krów dojnych, albo dziesięciu niewolników do roboty, albo jednego niewolnika, który potrafi czy to grać na flecie, czy malować, a może nawet leczyć. Talent to straszny majątek!...

Księciu błysnęły oczy.

— Więc jeżeli nie masz piętnastu talentów... — przerwał książę.

Przestraszony Fenicjanin nagle zsunął się z krzesła na podłogę.

— Kto w tym mieście — zawołał — nie ma pieniędzy na twój rozkaz, synu słońca?... Prawda, że ja jestem nędzarz, którego złoto, klejnoty i wszystkie dzierżawy niewarte twojego spojrzenia, książę. Ale gdy obejdę naszych kupców i powiem, kto mnie wysłał, do jutra wydobędziemy piętnaście talentów choćby spod ziemi. Gdybyś ty, erpatre, stanął przed uschniętą figą i powiedział: „Dawaj pieniędzy!...” — figa zapłaciłaby okup... Tylko nie patrz tak na mnie, synu Horusa, bo czuję ból w dołku sercowym i miesza mi się umysł — mówił błagającym tonem Fenicjanin.

— No, usiądź, usiądź... — rzekł książę z uśmiechem.

Dagon podniósł się z podłogi i jeszcze wygodniej rozparł się na krześle.

— Na jak długo książę chce piętnastu talentów? — zapytał.

— Zapewne na rok.

— Powiedzmy od razu: na trzy lata. Tylko jego świątobliwość mógłby oddać w ciągu roku piętnaście talentów, ale nie młody książę, który co dzień musi przyjmować wesołych

[78] *O Baal Tammuz!… o Baaleth!… o Astoreth!* — wielkie bóstwa czczone przez Fenicjan. *Baal* (hebr.) — dosł.: Pan, tytuł bóstw używany również w zastępstwie imienia głównego boga ludów zachodniosemickich (Palestyny, Fenicji, Syrii), władcy świata, boga burzy i deszczu; *Tammuz* — starożytny mezopotamski bóg umierającej i odradzającej się przyrody, którego kult rozpowszechnił się na Bliskim Wschodzie; *Baaleth* (hebr.) a. *Baalat* — Pani, tytuł bogini Astarte jako głównego bóstwa fenickiego miasta Byblos; *Astoreth* (hebr.) a. *Astarte*, a. *Asztarte* — zachodniosemicka bogini miłości, płodności i wojny, królowa niebios, utożsamiana z mezopotamską boginią Isztar.

[79] *Sydon* — miasto nad Morzem Śródziemnym, w dzisiejszym Libanie. Jedno z najstarszych i najważniejszych fenickich miast kupieckich, rywalizujące z Tyrem.

szlachciców i piękne kobiety... Ach, te kobiety!... Czy prawda, za pozwoleniem waszego dostojeństwa, że książę wziąłeś do siebie Sarę, córkę Gedeona?

— A ile chcesz procentu? — przerwał książę.

— Drobiazg, o którym nie mają potrzeby mówić wasze święte usta. Za piętnaście talentów da książę pięć talentów na rok, a w ciągu trzech lat ja wszystko odbiorę sam, tak że wasza dostojność nawet nie będzie wiedzieć...

— Dasz mi dzisiaj piętnaście talentów, a za trzy lata odbierzesz trzydzieści?...

— Prawo egipskie dozwala, ażeby suma procentów wyrównała pożyczce — odparł zmieszany Fenicjanin.

— Ale czy to nie za dużo?

— Za dużo?... — krzyknął Dagon. — Każdy wielki pan ma wielki dwór, wielki majątek i płaci tylko wielkie procenta. Ja wstydziłbym się wziąć mniej od następcy tronu; a i sam książę mógłby kazać mnie zbić kijami i wypędzić, gdybym ośmielił się wziąć mniej...

— Kiedyż przyniesiesz pieniądze?

— Przynieść?... O bogowie! tego jeden człowiek nie potrafi. Ja zrobię lepiej: ja załatwię wszystkie wypłaty księcia, ażebyś wasza dostojność nie potrzebował myśleć o takich nędznych sprawach.

— Alboż ty znasz moje wypłaty?

— Trochę znam — odparł niedbale Fenicjanin. — Książę chce posłać sześć talentów dla armii wschodniej, co zrobią nasi bankierzy w Chetem[80] i Migdolu[81]. Trzy talenty dostojnemu Nitagerowi i trzy dostojnemu Patroklesowi, to załatwi się na miejscu... A Sarze i jej ojcu Gedeonowi ja mogę wypłacać przez tego parcha[82] Azariasza... Tak nawet będzie lepiej, bo oni oszukaliby księcia w rachunkach...

Ramzes niecierpliwie zaczął chodzić po pokoju.

— Więc mam ci dać rewers na trzydzieści talentów? — zapytał.

— Jaki rewers?... Po co rewers?... Co ja bym miał z rewersu?... Mnie książę odda w dzierżawę na trzy lata swoje folwarki w nomesach: Takens[83], Ses[84], Neha-Ment[85], Neha-Pechu[86], w Sebt-Het[87], w Habu[88]...

— Dzierżawa?... — rzekł książę. — Nie podoba mi się to...

— Więc z czego ja odbiorę moje pieniądze... moje trzydzieści talentów?...

— Zaczekaj. Muszę najpierwej zapytać dozorcy stodół, ile przynoszą mi rocznie te majątki.

Interes

— Po co wasza dostojność ma zadawać sobie tyle pracy?... Co wie dozorca?... On nic nie wie, jakem uczciwy Fenicjanin. Każdego roku jest inny urodzaj i inny dochód... Ja mogę stracić na tym interesie, a wtedy dozorca nie zwróci mi...

— Ale widzisz, Dagonie, mnie się zdaje, że te majątki przynoszą daleko więcej aniżeli dziesięć talentów rocznie...

— Nie chce książę zaufać mi, dobrze. Ja, na wasz rozkaz, mogę opuścić folwarki w Ses... Nie jest książę jeszcze pewny mego serca?... No, więc ja jeszcze ustąpię Sebt-Het... Ale po co tu dozorca? On księcia będzie uczył mądrości?... O Astoreth! ja bym stracił sen i apetyt, gdyby jaki dozorca, poddany i niewolnik, śmiał poprawiać mojego miłościwego pana. Tu potrzebny tylko pisarz, który napisze, że wy, najdostojniejszy panie, oddajecie mi w dzierżawę na trzy lata folwarki w tym, tym i tym nomesie. I potrzeba

[80] *Chetem* (egipskie *chetem*: warownia) — faraonowie zbudowali sieć ufortyfikowanych placówek broniących Egiptu także od wschodu; w Biblii jako jeden z przystanków podczas wędrówki Izraelitów z delty Nilu na półwysep Synaj wymieniono Etam, „na skraju pustyni".

[81] *Migdol* (z hebr.: wieża, warowne miasto) — zapewne wymienione w Biblii Migdal-Gad w Judzie lub Migdal-El, kilkadziesiąt km na wschód od nadmorskich miast fenickich.

[82] *parch* — strup na skórze wywołany chorobą grzybiczą; tu: daw. pogardliwe określenie osoby narodowości żydowskiej.

[83] *Takens* — Ta-Seti, 1. nom Górnego Egiptu, najdalej wysunięty na południe.

[84] *Ses* — zapewne *Set*, 11. nom Górnego Egiptu, na południe od dzisiejszego Asjut.

[85] *Neha-Ment* — zapewne Am-Chent, 18. nom Dolnego Egiptu, w południowo-wschodniej części Delty, lub Atef-Chent, 20. nom Górnego Egiptu, graniczący od północy z obszarem oazy Fajum.

[86] *Neha-Pechu* — Am-Pehu, 19. nom Dolnego Egiptu, w północno-wschodniej części Delty.

[87] *Sebt-Het* — Ka-Heseb, 11. nom Dolnego Egiptu, w centralnej części Delty.

[88] *Habu* — *A-bet*, 8. nom Dolnego Egiptu, w południowo-wschodniej części Delty.

szesnastu świadków, że mnie spotkał taki honor od księcia. Ale po co służba ma wiedzieć, że ich pan pożycza ode mnie pieniądze?...

Znudzony następca wzruszył ramionami.

— Jutro — rzekł — przynieś pieniądze i sprowadź sobie pisarza i świadków. Ja o tym myśleć nie chcę.

— Ach, jakie mądre słowa! — zawołał Fenicjanin. — Obyś, najdostojniejszy panie, żył wiecznie...

ROZDZIAŁ IX

Po lewej stronie Nilu, na brzegu północnym przedmieścia Memfis, znajdował się folwark, który następca tronu oddał na mieszkanie Sarze, córce Żyda Gedeona.

Była to posiadłość na trzydzieści pięć morgów[89] rozległa, tworząca niewielki kwadrat, który ze szczytu domu ogarniało się wzrokiem jak na dłoni. Grunta folwarku leżały na wzgórzu i dzieliły się na cztery kondygnacje. Dwie najniższe i najobszerniejsze, które Nil zawsze zalewał, były przeznaczone pod uprawę zbóż i jarzyn. Na trzeciej kondygnacji, która czasami nie ulegała wylewom, rosły palmy, figi i inne drzewa owocowe. Na czwartej, najwyższej, był ogród zasadzony drzewami oliwnymi, winem, orzechami i kasztanami słodkimi, wśród których znajdował się dom.

Dom był drewniany, jednopiętrowy, jak zwykle z tarasem, nad którym wznosił się płócienny namiot. Na dole mieszkał czarny niewolnik Ramzesa, na górze Sara ze swoją krewną i służącą Tafet. Dom był otoczony murem z niepalonej cegły, za którym w pewnej odległości znajdowały się budynki dla bydła, parobków i dozorców.

Pokoje Sary nie były duże, ale wykwintne. Na podłogach leżały dywany, we drzwiach i oknach zwieszały się zasłony w różnokolorowe pasy. Były tu rzeźbione łóżka i krzesła, inkrustowane skrzynie na odzież, trójnożne i jednonożne stoliki, na których stały wazony z kwiatami, wysmukłe dzbany do wina, szkatułki z flaszeczkami perfum, złote i srebrne czarki i kielichy, fajansowe wazy i misy, brązowe kagańce. Każdy choćby najdrobniejszy sprzęt czy naczynie było ozdobione rzeźbą lub kolorowym rysunkiem; każda sztuka odzieży — haftem i frędzlami.

Już dziesięć dni mieszkała w tym ustroniu Sara, z obawy i wstydu kryjąc się przed ludźmi, tak że ze służby folwarcznej prawie nikt jej nie widział. W zasłoniętym buduarze szyła, tkała płótno na małym warsztacie lub zwijała wieńce z żywych kwiatów dla Ramzesa. Niekiedy wymykała się na taras i ostrożnie rozchyliwszy ściany namiotu wyglądała na Nil pełen łodzi, których wioślarze śpiewali wesołe pieśni; albo podniósłszy oczy, patrzyła z trwogą na szare pylony królewskiego zamku, który milczący i posępny górował nad drugim brzegiem rzeki. Wówczas znowu uciekała do swoich robót i wołała Tafet.

— Siedź tu, matko — mówiła — co ty tam robisz na dole?...

— Ogrodnik przyniósł owoce, a z miasta przysłali chleby, wino i ptaszki; musiałam to odebrać.

— Siedź tu i rozmawiaj, bo mnie strach ogarnia...

— Głupiutka z ciebie dziecina! — odparła, śmiejąc się, Tafet. — Do mnie także pierwszego dnia strach wyglądał z każdego kąta; ale jak wyszłam za mur, wszystko się skończyło. Kogo ja się tu mam bać, gdzie wszyscy padają przede mną na kolana? Przed tobą chybaby stawali na głowach!... Wyjdź do ogrodu, jest piękny jak raj... Wyjrzyj w pole, gdzie zbierają pszenicę... Siądź w łódkę rzeźbioną, której przewoźnicy usychają z tęsknoty, ażeby cię zobaczyć i przewieźć po Nilu...

— Boję się...

— Czego?...

— Albo ja wiem?... Dopóki szyję, myślę, że jestem w naszej dolince i że zaraz przyjdzie ojciec. Ale kiedy wiatr uchyli zasłonę okna i spojrzę z góry na ten wielki... wielki kraj, zdaje mi się... Wiesz co?... Że mnie porwał sęp i zaniósł do swego gniazda na skale, skąd zejść nie można...

[89] *morg* a. *morga* (daw.) — hist. miara powierzchni ziemi, równa 0,56 hektara, używana w Europie w XIX w.

— Ach, ty... ty!... Gdybyś widziała, jaką dziś wannę przysłał książę, miedzianą wannę!... A jaki trójnóg na ognisko, jakie garnki i rożny!... A gdybyś wiedziała, że ja dziś dwie kury posadziłam i niedługo będziemy mieli pisklęta...

Po zachodzie słońca, gdy nikt nie mógł jej widzieć, Sara bywała śmielszą. Wówczas wychodziła na taras i patrzyła na rzekę. A gdy z daleka ukazała się łódź oświetlona pochodniami, które na czarnej wodzie rzeźbiły krwawe i ogniste smugi, Sara obu rękoma przyciskała swoje biedne serce, które drżało jak złapany ptak. Tam płynął do niej Ramzes, a ona nie umiałaby powiedzieć, co się z nią dzieje. Czy radość, że zbliża się ten piękny, którego poznała w dolince, czy trwoga, że znowu zobaczy wielkiego władcę i pana, który ją onieśmielał.

Jednego dnia, w wigilię szabasu, przyszedł na folwark ojciec, pierwszy raz od jej osiedlenia się w tym miejscu. Sara z płaczem rzuciła się do niego; sama umyła mu nogi, a na głowę wylała wonności, okrywając go pocałunkami. Gedeon był to człowiek już szpakowaty, o surowych rysach. Miał na sobie długą do kostek koszulę, u dołu obszytą kolorowym haftem, a na niej żółty kaftan bez rękawów, rodzaj kapy spadającej na piersi i plecy. Głowę nakrywał niewielką czapką, zwężającą się u góry.

— Jesteś?... jesteś! — wołała Sara i znowu zaczęła całować jego ręce i głowę.

— Ja sam dziwię się, że tu jestem! — odparł smutnie Gedeon. — Skradałem się do ogrodu jak złodziej. Przez całą drogę z Memfis zdawało mi się, że wszyscy Egipcjanie pokazują mnie palcami, a każdy Żyd pluje...

— Przecież, ojcze, sam mnie oddałeś księciu?... — szepnęła Sara.

— Oddałem, bo cóż miałem robić? Zresztą mnie się tylko tak zdaje, że mnie pokazują i opluwają. Z Egipcjan, kto mnie zna, kłania mi się tym niżej, im sam jest wyższy. Przez czas, kiedy tu jesteś, nasz pan, Sezofris, mówił, że trzeba mi dom powiększyć; pan Chaires darował mi stągiew najlepszego wina, a sam najdostojniejszy nasz nomarcha przysyłał do mnie zaufanego sługę pytać: czy ty jesteś zdrowa i czy ja nie zostałbym u niego rządcą?

— A Żydzi?... — spytała Sara.

— Co Żydzi!... Oni wiedzą, że ja nie ustąpiłem z dobrej woli. No, a każdy chciałby, żeby jemu tylko taki gwałt robili. Niechaj nas wszystkich Pan Bóg sądzi. Lepiej powiedz: jak ty się masz?

— Na łonie Abrahama nie będzie jej lepiej — odezwała się Tafet. — Cały dzień znoszą nam owoce, wina, chleby i mięso, czego dusza zapragnie. A jaką wannę mamy!... cała miedziana. A jakie naczynia kuchenne!...

— Trzy dni temu — przerwała Sara — był u mnie Fenicjanin Dagon. Nie chciałam go widzieć, ale tak się napierał...

— Dał mi złoty pierścionek — wtrąciła Tafet.

— Powiedział mi — mówiła Sara — że jest dzierżawcą u mego pana, darował mi dwie bransolety na nogi, zausznice z pereł i szkatułkę wonności z kraju Punt.

— Za co on ci to darował? — zapytał ojciec.

— Za nic. Tylko prosił, ażebym o nim dobrze myślała i niekiedy powiedziała mojemu panu, że Dagon jest najwierniejszym jego sługą.

— Ty bardzo prędko zbierzesz całą skrzynię zausznic i bransolet — odparł z uśmiechem Gedeon. — Ach — dodał po chwili — zbierz prędko wielki majątek i uciekajmy do naszej ziemi, bo tu nam zawsze bieda. Bieda, kiedy jest źle, a jeszcze większa bieda, kiedy jest dobrze.

— A co by powiedział pan mój? — zapytała Sara ze smutkiem.

Ojciec potrząsnął głową.

— Nim rok minie, pan twój porzuci cię, a inni mu dopomogą. Gdybyś była Egipcjanką, wziąłby cię do swego domu, ale Żydówkę...

— Porzuci?... — powtórzyła Sara z westchnieniem.

— Co martwić się przyszłymi dniami, które są w ręku Boga? Przyszedłem spędzić u ciebie szabas...

— A ja mam doskonałe ryby, mięso, placki i wino koszerne[90] — szybko wtrąciła Tafet. — Kupiłam też w Memfis siedmioramienny świecznik i świece woskowe... Będzie kolacja lepsza niż u samego pana Chairesa.

[90] *koszerny* — w religii żydowskiej: nadający się do spożycia zgodnie z żydowskimi przepisami religijnymi.

Gedeon wyszedł z córką na taras. Gdy zostali we dwoje, rzekł:

— Mówiła mi Tafet, że ciągle siedzisz w domu. Dlaczego? Trzeba wyjrzeć przynajmniej do ogrodu.

Sara wstrząsnęła się.

— Boję się — szepnęła.

— Dlaczego ty się masz bać twego ogrodu?... Przecież ty tu jesteś pani, wielka pani.

— Raz wyszłam do ogrodu w dzień... Zobaczyli mnie jacyś ludzie i zaczęli mówić między sobą: „Patrzcie, to ta Żydówka następcy tronu, przez którą opóźnia się przybór!..."

— Głupi oni są — wtrącił Gedeon. — Alboż to raz Nil o cały tydzień spóźnił się z wylewem? Więc tymczasem wychodź sobie wieczorami.

Sara otrząsnęła się jeszcze gwałtowniej.

— Nie chcę... nie chcę!... — zawołała. — Innego dnia wyszłam wieczór, tam, między oliwne drzewa. Nagle z bocznej ścieżki wysunęły się, jak cienie, dwie kobiety... Przestraszona, chciałam uciekać... Wtedy jedna z nich, młodsza i niższa, schwyciła mnie za rękę mówiąc: „Nie uciekaj, musimy ci się przypatrzyć..." A druga, starsza i wyższa, stanęła o kilka kroków przede mną i spojrzała mi w oczy... Ach, ojcze, myślałam, że się w kamień obrócę... Co to była za kobieta... co za spojrzenie!...

— Kto to mógł być? — spytał Gedeon.

— Ta starsza wyglądała na kapłankę.

— I nic do ciebie nie mówiła?

— Nic. Tylko kiedy, odchodząc, skryły się za drzewami, słyszałam, zapewne głos starszej, która powiedziała tylko te wyrazy: „Zaprawdę, jest ładna..."

Gedeon zamyślił się.

— Może to były — rzekł — jakieś wielkie panie ze dworu?...

Słońce zachodziło, a na obu brzegach Nilu zbierały się gęste tłumy ludzi, niecierpliwie czekających na sygnał o przyborze, który istotnie opóźnił się. Już od dwu dni wiał wiatr z morza i rzeka pozieleniała; już słońce minęło gwiazdę Sotis[91], ale w studni kapłańskiej w Memfisie woda nie podniosła się nawet na grubość palca. Ludzie byli zaniepokojeni, tym bardziej że w Górnym Egipcie, według sygnałów, wylew szedł prawidłowo, a nawet zapowiadał się doskonale.

— Cóż więc zatrzymuje go pod Memfisem? — pytali stroskani rolnicy, z utęsknieniem czekając na sygnał.

Gdy na niebie ukazały się gwiazdy, Tafet w jadalnym pokoju nakryła stół białym obrusem, postawiła świecznik z siedmioma zapalonymi świecami, przysunęła trzy krzesła i oświadczyła, że zaraz poda szabasową kolację.

Wtedy Gedeon nakrył głowę i wzniósłszy nad stołem obie ręce mówił zapatrzony w niebo:

— Boże Abrahama, Izaaka, Jakuba, który wyprowadziłeś lud nasz z ziemi egipskiej, który niewolnikom i wygnańcom dałeś ojczyznę, który z synami Judy zawarłeś wieczne przymierze... Boże Jehowa, Boże Adonai, pozwól nam spożywać bez grzechu płody wrogiej ziemi, wydobądź nas ze smutku i strachu, w jakim jesteśmy pogrążeni, i powróć nad brzegi Jordanu, który opuściliśmy dla twojej chwały...

W tej chwili zza muru odezwał się głos:

— Jego dostojność Tutmozis, najwierniejszy sługa jego świątobliwości i następcy tronu...

— Oby żyli wiecznie!... — odezwało się kilka głosów z ogrodu.

— Jego dostojność — mówił znowu głos pojedynczy — zasyła pozdrowienia najpiękniejszej róży spod Libanu!

Gdy umilkł, rozległ się dźwięk arfy[92] i fletu.

— To muzyka!... — zawołała Tafet, klaszcząc w ręce. — Będziemy obchodzili szabas przy muzyce...

Sara i jej ojciec, z początku przerażeni, zaczęli się śmiać i zasiedli do stołu.

— Niech sobie grają — rzekł Gedeon — nie zepsuje nam apetytu ich muzyka.

---

[91] *Sotis* (gr.) — gwiazda Syriusz, najjaśniejsza gwiazda nocnego nieba. Pierwsze po okresie niewidoczności pojawienie się Syriusza na wschodnim horyzoncie tuż przed wschodem słońca zbiegało się w czasie z początkiem przyboru wód Nilu. Dzień ten wyznaczał w starożytnym Egipcie początek nowego roku.

[92] *arfa* (daw.) — harfa.

Flet i arfa odegrały zwrotkę, po której odezwał się głos tenorowy śpiewając:

— „Jesteś piękniejsza od wszystkich dziewcząt, jakie przeglądają się w wodach Nilu. Włosy twoje czarniejsze od piór kruka, oczy spoglądają łagodniej od oczu łani, która tęskni za swoim koziołkiem. Wzrost twój jest jako wzrost palmy, a lotos zazdrości tobie wdzięku. Piersi twoje są jak winne grona, których sokiem upajają się królowie."

Znowu odezwał się flet i arfa, a po nich pieśń:

— „Przyjdź i spocznij w ogrodzie. Służba, która do ciebie należy, przyniesie liczne naczynia i piwa wszelkich gatunków. Przyjdź, uświęcimy noc dzisiejszą i świt, który po niej nastąpi. W moim cieniu, w cieniu figi rodzącej słodkie owoce, twój kochanek spocznie po twojej prawicy; a ty go upoisz i powolną będziesz wszelkim jego żądaniom..."

...Flet i arfa — po nich znowu śpiew:

— „Ja jestem milczącego umysłu, nigdy nie mówię, co widzę, i słodyczy moich owoców nie psuję czczym paplaniem...[93]"

ROZDZIAŁ X

Wtem śpiew umilkł, zagłuszony wrzawą i szelestem jakby wielu biegnących.

— Poganie!... wrogowie Egiptu!... — wołał ktoś. — Śpiewacie, kiedy wszyscy nurzamy się w strapieniu, i chwalicie Żydówkę, która czarami swoimi zatrzymała bieg Nilu...

— Biada wam! — wołał inny. — Depczecie ziemię następcy tronu... Śmierć spadnie na was i dzieci wasze!...

— Ustąpimy, ale niech wyjdzie do nas Żydówka, abyśmy jej przedstawili nasze krzywdy...

— Uciekajmy!... — krzyknęła Tafet.

— Gdzie? — spytał Gedeon.

— Nigdy! — odparła Sara, na której twarz łagodną wystąpił rumieniec gniewu. — Czyliż nie należę do następcy tronu, przed którym ci ludzie padają na twarz?...

I zanim ojciec i służąca opamiętali się, wybiegła na taras cała w bieli, wołając do tłumu za murem:

— Oto jestem!... Czego chcecie ode mnie?...

Gwar na chwilę ucichł, lecz znowu odezwały się groźne głosy:

— Bądź przeklęta, cudzoziemko, której grzech zatrzymuje wody Nilu!...

W powietrzu świsnęło kilka kamieni rzuconych na oślep; jeden uderzył w czoło Sarę.

— Ojcze!... — zawołała, chwytając się za głowę.

Gedeon porwał ją na ręce i zniósł z tarasu. Wśród nocy widać było nagich ludzi w białych czepkach i fartuszkach, którzy przełazili mur.

Na dole Tafet krzyczała wniebogłosy, a niewolnik Murzyn schwyciwszy topór stanął w jedynych drzwiach domu, zapowiadając, że rozwali łeb każdemu, kto ośmieli się wejść.

— Dajcie no kamieni na tego psa nubijskiego! — wołali do gromady ludzie z muru.

Lecz gromada nagle ucichła, gdyż z głębi ogrodu wyszedł człowiek z ogoloną głową, odziany w skórę pantery.

— Prorok!... ojciec święty!... — zaszemrano w tłumie.

Siedzący na murze poczęli zeskakiwać.

— Ludu egipski — rzekł kapłan spokojnym głosem — jakim prawem podnosisz rękę na własność następcy tronu?

— Tam mieszka nieczysta Żydówka, która powstrzymuje przybór Nilu... Biada nam!... nędza i głód wisi nad Dolnym Egiptem.

— Ludzie złej wiary czy słabego rozumu — mówił kapłan — gdzieżeście słyszeli, ażeby jedna kobieta mogła powstrzymać wolę bogów? Co rok, w miesiącu Tot, Nil zaczyna przybierać i do miesiąca Choiak rośnie. Czy działo się kiedy inaczej, choć nasz kraj zawsze był pełen cudzoziemców, niekiedy obcych kapłanów i książąt, którzy, jęcząc w niewoli i ciężkiej pracy, z żalu i gniewu mogli rzucać najstraszliwsze przekleństwa. Ci z pewnością pragnęli na nasze głowy zwalić wszelakie nieszczęścia, a niejeden oddałby życie, ażeby albo słońce nie weszło nad Egiptem o porannej godzinie, albo Nil nie przybrał

[93] *Jesteś piękniejsza od wszystkich dziewcząt [...] i słodyczy moich owoców nie psuję czczym paplaniem...* — autentyczne. [przypis autorski]

w początkach roku. I co z ich modlitw?... Albo nie zostały wysłuchane w niebiosach, albo obcy bogowie nie mieli siły wobec naszych. Jakim więc sposobem kobieta, której między nami jest dobrze, mogłaby ściągnąć klęskę, której najpotężniejsi wrogowie nasi sprowadzić nie potrafili?...

— Ojciec święty mówi prawdę!... Mądre są słowa proroka!... — odezwano się w tłumie.

— A jednak Messu, wódz żydowski, zrobił ciemność i pomór w Egipcie!... — zaoponował jeden głos.

— Który to powiedział, niech wystąpi naprzód!... — zawołał kapłan. — Wzywam go, niech wystąpi, jeżeli nie jest wrogiem egipskiego ludu...

Tłum zaszemrał jak wicher z daleka płynący między drzewami; ale naprzód nie wystąpił nikt.

— Zaprawdę mówię — ciągnął kapłan — że między wami krążą źli ludzie niby hieny w owczarni. Nie litują się oni nad waszą nędzą, ale chcą was popchnąć do zniszczenia domu następcy tronu i buntu przeciw faraonowi. Gdyby zaś udał się ich nikczemny zamiar, a z waszych piersi gdyby zaczęła płynąć krew, ludzie ci ukryliby się przed włóczniami jak w tej chwili przed moim wezwaniem...

— Słuchajcie proroka!... Chwała ci, mężu boży!... — wołał tłum, pochylając głowy. Pobożniejsi upadali na ziemię.

— Słuchaj mnie, ludu egipski... Za twoją wiarę w słowa kapłana, za posłuszeństwo faraonowi i następcy, za cześć, jaką oddajecie słudze bożemu, spełni się nad wami łaska. Idźcie do domów waszych w pokoju, a może, nim zejdziecie z tego pagórka, Nil zacznie przybierać...

— Oby się tak stało!... Tłum

— Idźcie!... Im większą będzie wiara i pobożność wasza, tym prędzej ujrzycie znak łaski...

— Idźmy!... idźmy!... Bądź błogosławiony, proroku, synu proroków...

Zaczęli rozchodzić się, całując szaty kapłana. Wtem ktoś krzyknął:

— Cud!... spełnia się cud!...

— Na wieży w Memfis zapalono światło... Nil przybiera!... Patrzcie, coraz więcej świateł!... Zaprawdę, przemawiał do nas wielki święty... Żyj wiecznie!...

Zwrócono się do kapłana, ale ten zniknął wśród cieniów.

Tłum niedawno rozjątrzony, a przed chwilą zdumiony i przejęty wdzięcznością, zapomniał i o swoim gniewie, i o kapłanie cudotwórcy. Opanowała ich szalona radość i zaczęli biec pędem ku brzegowi rzeki, nad którym już zapłonęły liczne ogniska i rozlegał się wielki śpiew zebranego ludu:

— „Bądź pozdrowiony, o Nilu, o święta rzeko, która objawiłaś się na tej ziemi. Przychodzisz w pokoju, aby dać życie Egiptowi. O boże ukryty, który rozpraszasz ciemności, który skrapiasz łąki, aby przynieść pokarm niemym zwierzętom. O drogo, schodząca z niebios, ażeby napoić ziemię, o przyjacielu chleba, który rozweselasz chaty... Ty jesteś władcą ryb, a gdy zstąpisz na nasze pola, żaden ptak nie ośmieli się dotknąć zbiorów. Ty jesteś twórcą zboża i rodzicielem jęczmienia; ty dajesz odpoczynek rękom milionów nieszczęśliwych i na wieki utrwalasz świątynie[94]."

W tym czasie oświetlona łódź następcy tronu przypłynęła od tamtego brzegu, wśród okrzyków i śpiewów. Ci sami, którzy pół godziny temu chcieli wedrzeć się do willi księcia, teraz padali przed nim na twarz albo rzucali się w wodę, aby całować wiosła i boki statku, który przywiózł syna władcy Egiptu.

Wesoły, otoczony pochodniami Ramzes w towarzystwie Tutmozisa wszedł do domu Sary. Na jego widok Gedeon rzekł do Tafet:

— Boję się bardzo o moją córkę, ale jeszcze bardziej nie chcę spotykać się z jej panem...

Przeskoczył mur i wśród ciemności, przez ogród i pola, poszedł w stronę Memfisu.

Na dziedzińcu wołał Tutmozis:

[94] *Bądź pozdrowiony, o Nilu [...] ty dajesz odpoczynek rękom milionów nieszczęśliwych i na wieki utrwalasz świątynie* — autentyczne. [przypis autorski]

— Witaj, piękna Saro!... Spodziewam się, że nas dobrze podejmiesz za muzykę, którą ci przysłałem...

W progu ukazała się Sara z obwiązaną głową, wsparta na Murzynie i służebnicy.

— Co to znaczy? — zapytał zdumiony książę.

— Straszne rzeczy!... — zawołała Tafet. — Poganie napadli twój dom, a jeden uderzył kamieniem Sarę...

— Jacy poganie?...

— A ci... Egipcjanie! — objaśniła Tafet.

Książę rzucił jej spojrzenie pełne wzgardy. Lecz wnet opanowała go wściekłość.

— Kto uderzył Sarę?... Kto rzucił kamień?... — krzyknął, chwytając za ramię Murzyna.

— Tamci znad rzeki... — odparł niewolnik.

— Hej, dozorcy!... — wołał zapieniony książę — uzbroić mi wszystkich ludzi na folwarku i dalej na tą zgraję!...

Murzyn znowu pochwycił swój topór, dozorcy zaczęli wywoływać parobków z zabudowań, a kilku żołnierzy ze świty księcia machinalnie poprawiło miecze.

— Na miłość boską, co chcesz uczynić?... — szepnęła Sara, wieszając się na szyi księcia.

— Chcę pomścić cię... — odparł. — Kto uderza w moją własność, we mnie uderza...

Tutmozis pobladł i kręcił głową.

— Słuchaj, panie — odezwał się — a jakże po nocy i w tłumie poznasz ludzi, którzy dopuścili się zbrodni?

— Wszystko mi jedno... Motłoch to zrobił i motłoch będzie odpowiadał...

— Tak nie powie żaden sędzia — reflektował Tutmozis. — A przecie ty masz być najwyższym sędzią...

Książę zamyślił się; jego towarzysz mówił dalej:

— Zastanów się, co by jutro powiedział nasz pan, faraon?... A jaka radość zapanowałaby między wrogami Egiptu, ze wschodu i zachodu, gdyby usłyszeli, że następca tronu, prawie pod królewskim pałacem, napada w nocy swój lud?...

— O, gdyby mi ojciec dał choć połowę armii, umilkliby na wieki wrogowie nasi we wszystkich stronach świata!... — szeptał książę, uderzając nogą w ziemię.

— Wreszcie... przypomnij sobie tego chłopa, który się powiesił... Żałowałeś go, gdyż umarł człowiek niewinny, a dzisiaj... Czy podobna, ażebyś sam chciał zabijać niewinnych?...

— Dość już!... — przerwał głucho następca. — Gniew mój jest jak dzban pełen wody... Biada temu, na kogo się wyleje... Wejdźmy do domu...

Wylękniony Tutmozis cofnął się. Książę wziął Sarę za rękę i wszedł z nią na pierwsze piętro. Posadził ją obok stołu, na którym stała nie dokończona kolacja, i zbliżywszy świecznik zerwał jej opaskę z głowy.

— Ach — zawołał — to nawet nie jest rana, tylko siniak?... Uroda

Przypatrywał się Sarze z uwagą.

— Nigdy nie myślałem — rzekł — że możesz mieć siniaka... To bardzo zmienia twarz...

— Więc już ci się nie podobam?... — cicho zapytała Sara, podnosząc na niego wielkie oczy pełne trwogi.

— Och, nie!... wreszcie to przejdzie...

Potem zawołał Tutmozisa i Murzyna i kazał opowiedzieć wypadki wieczorne.

— On nas obronił — rzekła Sara. — Stanął z toporem we drzwiach...

— Zrobiłeś tak?... — spytał książę niewolnika, bystro patrząc mu w oczy.

— Czyliż[95] miałem pozwolić, ażeby do twego domu, panie, wdzierali się obcy ludzie?

Książę poklepał go po kędzierzawej głowie.

— Postąpiłeś — rzekł — jak człowiek mężny. Daję ci wolność. Jutro dostaniesz wynagrodzenie i możesz wracać do swoich.

Murzyn zachwiał się i przetarł oczy, których białka połyskiwały. Nagle upadł na kolana i uderzając czołem w posadzkę, zawołał:

[95] *czyliż* (daw.) — czy, czyż.

— Nie odpędzaj mnie od siebie, panie!...

— Dobrze — odparł następca. — Zostań przy mnie, ale jako wolny żołnierz. Takich mi właśnie potrzeba — dodał, patrząc na Tutmozisa. — Ten nie umie mówić jak dozorca domu ksiąg, ale gotów walczyć...

I znowu zaczął wypytywać o szczegóły najścia, a gdy Murzyn opowiedział mu o zjawieniu się kapłana i jego cudzie, książę schwycił się za głowę, wołając:

— Jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem w Egipcie!... Niedługo nawet w moim łóżku będę znajdował kapłanów... Skąd on?... Co on za jeden?...

Tego Murzyn nie umiał objaśnić. Powiedział jednak, że zachowanie się kapłana było bardzo życzliwe dla księcia i dla Sary; że napadem kierowali nie Egipcjanie, ale ludzie, których kapłan nazwał wrogami Egiptu i bezskutecznie wzywał ich, aby wystąpili naprzód.

— Dziwy!... dziwy!... — mówił w zamyśleniu książę, rzuciwszy się na łóżko. — Mój czarny niewolnik jest dzielnym żołnierzem i pełnym rozsądku człowiekiem... Kapłan broni Żydówki dlatego, że jest moją... Co to za osobliwy kapłan?... Lud egipski, który klęka przed psami faraona, napada na dom następcy tronu, pod dowództwem jakichś wrogów Egiptu?... Muszę ja to sam zbadać...

ROZDZIAŁ XI

Skończył się miesiąc Tot i zaczynał miesiąc Paofi, druga połowa lipca. Woda Nilu z zielonawej zrobiła się białą, a potem czerwoną i wciąż przybierała. Królewski wodowskaz w Memfisie był zapełniony prawie na wysokość dwu ludzi, a Nil rósł co dzień na dwie pięści. Najniższe grunta były zalane, z wyższych spiesznie zbierano len, winogrona i pewien rodzaj bawełny. Gdzie z rana było jeszcze sucho, tam ku wieczorowi pluskały fale.

Zdawało się, że gwałtowny, choć niewidzialny wicher dmie w głębi rzeki. Orze na niej szerokie zagony, wypełnia pianą bruzdy, potem na chwilę wygładza powierzchnię wody, a po chwili skręca ją w przepaściste wiry.

Znowu orze, znowu wygładza, skręca, napędza nowe góry wody, nowe smugi pian i wciąż podnosi szeleszczącą rzekę, wciąż zdobywa nowe płaty ziemi. Niekiedy woda dosięgnąwszy pewnej granicy, przekracza ją, w oka mgnieniu wlewa się w nizinę i tworzy błyszczące jeziorko tam, gdzie przed chwilą rozsypywały się w proch zwiędłe trawy.

Choć przybór dosięgnął ledwie trzeciej części swej miary, już całe wybrzeże było zalane. Co godzinę jakiś folwarczek na wzgórzu robił się podobnym do wyspy, z początku odgraniczonej od innych tylko wąskim kanałem, który stopniowo rozszerzał się i coraz bardziej odcinał domostwo od sąsiadów. Nieraz, kto wyszedł do pracy piechotą, wracał czółnem.

Łódek i tratew ukazywało się na Nilu coraz więcej. Z jednych łapano ryby w sieci, na innych przewożono zbiory do stodół albo ryczące bydło do obór, na innych odwiedzano znajomych, ażeby wśród śmiechu i krzyku zawiadomić ich (na co patrzyli wszyscy), że Nil przybiera. Niekiedy łodzie, skupione jak stado kaczek, rozbiegały się na wszystkie strony przed szeroką tratwą, która z Górnego Egiptu niosła w dół olbrzymie bryły kamienne, wyrąbane w nadbrzeżnych kopalniach.

W powietrzu, jak ucho sięgło, rozlegał się szelest przybierającej wody, krzyk spłoszonego ptactwa i wesołe śpiewy ludzkie. Nil przybiera, będzie dużo chleba!

Przez cały ten miesiąc toczyło się śledztwo w sprawie napadu na dom następcy tronu. Każdego ranka łódź z urzędnikami i milicją przybijała do jakiegoś folwarku. Odrywano ludzi od pracy, zasypywano ich podstępnymi pytaniami, bito kijem. Ku wieczorowi zaś wracały do Memfisu dwie łódki: jedna niosła urzędników, druga więźniów.

Tym sposobem wyłowiono kilkuset przestępców, z których połowa nie wiedziała o niczym, połowie zaś groziło więzienie lub kilka lat pracy w kamieniołomach. Niczego jednak nie dowiedziano się ani o przewódcach napadu, ani o owym kapłanie, który skłonił lud do rozejścia.

W księciu Ramzesie kojarzyły się niezwykle sprzeczne przymioty. Był on gwałtowny jak lew i uparty jak wół. Obok tego miał wielki rozum i głębokie poczucie sprawiedliwości.

Widząc, że śledztwo prowadzone przez urzędników nie wydaje rezultatu, książę pewnego dnia sam popłynął do Memfisu i kazał sobie otworzyć więzienie.

Było ono zbudowane na wzgórzu, otoczone wysokim murem i składało się z wielkiej liczby budynków kamiennych, ceglanych i drewnianych. Budowle te po większej części były tylko wejściami lub mieszkaniami dozorców. Więźniowie zaś mieścili się w podziemnych jaskiniach wykutych w wapiennej skale.

Kiedy następca przekroczył bramę, spostrzegł gromadkę kobiet, które myły i karmiły jakiegoś więźnia. Nagi ten człowiek, podobny do szkieletu, siedział na ziemi, trzymając ręce i nogi w czterech otworach kwadratowej deski, która zastępowała kajdany.

— Dawno ten człowiek tak cierpi? — zapytał książę.

— Dwa miesiące — odparł nadzorca.

— A długo jeszcze ma siedzieć?

— Miesiąc.

— Cóż on zrobił?

— Zelżył urzędnika zbierającego podatki.

Książę odwrócił się i ujrzał drugą gromadę, złożoną z kobiet i dzieci. Między nimi był stary człowiek.

— Czy to są więźniowie?

— Nie, najdostojniejszy panie. To jest rodzina oczekująca na zwłoki przestępcy, który ma być uduszony... O, już prowadzą go do izby... — mówił nadzorca.

Po czym zwróciwszy się do gromadki rzekł:

— Bądźcie jeszcze chwilkę cierpliwi, kochani ludzie, zaraz dostaniecie ciało.

— Bardzo dziękujemy ci, zacny panie — odparł stary człowiek, zapewne ojciec delikwenta. — Wyszliśmy z domu wczoraj wieczór, len został nam w polu, a tu rzeka przybiera!...

Książę pobladł i zatrzymał się.

— Wiesz — zwrócił się do nadzorcy — że mam prawo łaski?

— Tak, erpatre — odpowiedział nadzorca, kłaniając się, a potem dodał: — Według praw, na pamiątkę twojej bytności w tym miejscu, synu słońca, dobrze prowadzący się, a skazani za obrazę religii lub państwa powinni otrzymać ulgi. Spis tych ludzi będzie złożony u stóp waszych w ciągu miesiąca.

— A ten, którego mają w tej chwili dusić, czy nie ma prawa korzystać z mojej łaski?

Nadzorca rozłożył ręce i pochylił się w milczeniu.

Ruszyli z miejsca i przeszli kilka dziedzińców. W drewnianych klatkach, na gołej ziemi, roili się w ciasnocie przestępcy skazani na więzienie. W jednym budynku rozlegały się straszne krzyki: bito dla wydobycia zeznań.

— Chcę zobaczyć oskarżonych o napad na mój dom — rzekł głęboko wzruszony następca.

— Jest ich z górą trzystu — odparł nadzorca.

— Wybierzcie, zdaniem waszym, najwinniejszych i wypytajcie ich w mojej obecności. Nie chcę jednak, ażeby mnie poznali.

Otworzono następcy tronu izbę, w której prowadził czynności urzędnik śledczy. Książę kazał mu zająć zwykłe miejsce, a sam usiadł za słupem.

Niebawem zaczęli ukazywać się pojedynczo oskarżeni. Wszyscy byli chudzi; porosły im duże włosy i brody, a oczy miały wyraz spokojnego obłąkania.

— Dutmoze — rzekł urzędnik — opowiedz, jak to napadliście na dom najdostojniejszego erpatre.

— Powiem prawdę, jak na sądzie Ozyrysa. Było to wieczorem tego dnia, kiedy Nil miał zacząć przybór. Moja żona mówi do mnie: „Chodź, ojcze, pójdziemy na górę, skąd prędzej można zobaczyć sygnał w Memfisie." Więc poszliśmy na górę, skąd łatwiej można zobaczyć sygnał w Memfisie. Wtedy do mojej żony zbliżył się jakiś żołnierz i mówi: „Pójdź ze mną w ten ogród, to znajdziemy winogron albo i co jeszcze." Więc moja żona poszła w ogród z owym żołnierzem, a ja wpadłem w wielki gniew i zaglądałem do nich przez mur. Czy jednak rzucali kamienie do domu księcia, powiedzieć nie mogę, gdyż z powodu drzew i ciemności nic nie widziałem.

— A jakże mogłeś puścić żonę z żołnierzem? — spytał urzędnik.

— Za pozwoleniem waszej dostojności, a cóż ja miałem zrobić? Przeciem ja tylko chłop, a on wojownik i żołnierz jego świątobliwości...

— A kapłana widziałeś, który do was przemawiał?

— To nie był kapłan — odparł chłop z przekonaniem. — To musiał być sam bóg Num[96], bo wyszedł z pnia figowego i miał baranią głowę.

— A widziałeś, że miał baranią głowę?

— Za pozwoleniem, dobrze nie pamiętam, czy ja sam widziałem, czy tak mówili ludzie. Oczy zasłaniała mi troska o moją żonę.

— Kamienie rzucałeś do ogrodu?

— Po cóż bym rzucał, panie życia i śmierci? Gdybym trafił żonę, sobie zrobiłbym niepokój na cały tydzień, a gdyby żołnierza, dostałbym pięścią w brzuch, ażby mi język wylazł. Przeciem ja tylko chłop, a on wojownik wiecznie żyjącego pana naszego.

Następca wychylił się spoza kolumny. Odprowadzono Dutmoze, a wprowadzono Anupa. Był to chłop niski, na plecach miał jasne blizny od kijów.

— Powiedz, Anupa — zaczął znowu urzędnik — jak to było z tym napadem na ogród następcy tronu?

— Oko słońca — odparł chłop — naczynie mądrości, ty wiesz najlepiej, że ja napadu nie robiłem. Tylko przyszedł do mnie sąsiad i mówi: „Anupa, chodź na górę, bo Nil przybiera." A ja mówię: czy aby przybiera? A on mówi: „Jesteś głupszy od osła, bo przecież osioł usłyszałby muzykę na górze, a ty nie słyszysz." Ja zaś odpowiadam: głupi jestem, bom się pisać nie uczył, ale za pozwoleniem, co innego jest muzyka, a co innego przybór. A on na to: „Gdyby nie było przyboru, ludzie nie mieliby z czego cieszyć się, grać i śpiewać." Więc poszliśmy, mówię waszej sprawiedliwości, na górę, a tam już muzykę rozpędzili i ciskają w ogród kamienie...

— Kto ciskał?

— Nie mogłem zmiarkować. Ludzie ci nie wyglądali na chłopów; prędzej na nieczystych paraszytów, którzy rozpruwają zmarłych do balsamowania.

— A kapłana widziałeś?

— Za pozwoleniem waszej czujności, to nie był kapłan, ale chyba jakiś duch, który pilnuje domu księcia następcy (oby żył wiecznie!...).

— Dlaczego duch?

— Bo czasami tom go widział, a czasem gdzieś mi się podziewał.

— Może go ludzie zasłaniali?

— Z pewnością, że go czasem ludzie zasłaniali. Ale za to raz był wyższy, a inny raz niższy.

— Może właził na pagórek i złaził z niego?

— Bez zawodu musiał włazić i złazić, ale może wydłużał się i skracał, gdyż był to wielki cudotwórca. Ledwie rzekł: „Zaraz Nil przybierze" — i wnet Nil zaczął przybierać.

— A kamienie rzucałeś, Anupa?

— Gdzież bym śmiał rzucać kamienie w ogród następcy tronu?... Przecie ja prosty chłop i ręka uschłaby mi po łokieć za takie świętokradztwo.

Książę kazał przerwać śledztwo. A gdy wyprowadzono oskarżonych, odezwał się do urzędnika:

— Więc ci ludzie należą do najwinniejszych?

— Rzekłeś, panie — odparł urzędnik.

— W takim razie jeszcze dzisiaj trzeba uwolnić wszystkich. Ludzie nie mogą być więzieni za to, że chcieli przekonać się, czy święty Nil przybiera lub że słuchali muzyki.

— Najwyższa mądrość mówi przez twoje usta, erpatre — rzekł urzędnik. — Kazano mi znaleźć najwinniejszych, więc wybrałem tych, jakich znalazłem. Ale nie w mojej mocy jest powrócić im wolność.

— Dlaczego?

— Spojrzyj, najdostojniejszy, na tą skrzynię. Jest ona pełna papirusów, na których spisano akta sprawy. Sędzia z Memfisu co dzień otrzymuje raporty o jej przebiegu i donosi jego świątobliwości. W cóż obróciłaby się praca tylu uczonych pisarzy i wielkich mężów, gdyby oskarżonych uwolnić?

— Ależ oni są niewinni! — zawołał książę.

---

[96] *Num*, właśc. *Chnum* — bóg opiekuńczy wylewów Nilu, czczony szczególnie w Górnym Egipcie. Twórca ludzi, których uformował z gliny na kole garncarskim. Przedstawiany jako człowiek z baranią głową.

— Napad był, a więc było przestępstwo. Gdzie jest przestępstwo, muszą być przestępcy, a kto raz dostał się w ręce władzy i jest opisany w aktach, nie może odejść bez jakiegoś rezultatu. W szynku człowiek pije i płaci; na jarmarku coś sprzedaje i otrzymuje; w polu sieje i zbiera; w grobach dostaje błogosławieństwa od zmarłych przodków. Jakim więc sposobem ktoś, przyszedłszy do sądu, wróciłby z niczym jak podróżny, który zatrzymuje się w połowie swej drogi i zwraca stopy do domu, nie osiągnąwszy celu?

— Mądrze mówisz — odparł następca. — Powiedz mi jednak, czy i jego świątobliwość nie miałby prawa uwolnić tych ludzi?

Urzędnik złożył ręce na krzyż i schylił głowę.

— On, równy bogom, wszystko, co chce, uczynić może: uwolnić oskarżonych, nawet skazanych, a nawet zniszczyć akta sprawy, co spełnione przez zwykłego człowieka byłoby świętokradztwem.

Książę pożegnał urzędnika i polecił nadzorcy, ażeby na jego koszt lepiej karmiono oskarżonych o napad. Następnie, rozdrażniony, popłynął na drugą stronę ciągle rozszerzającej się rzeki, do pałacu, ażeby prosić faraona o umorzenie nieszczęsnej sprawy.

Tego jednak dnia jego świątobliwość miał dużo ceremonii religijnych i naradę z ministrami, więc następca nie mógł się z nim widzieć. Wówczas książę udał się do wielkiego pisarza, który po ministrze wojny najbardziej znaczył we dworze. Stary ten urzędnik, kapłan jednej ze świątyń w Memfis, przyjął księcia grzecznie, ale zimno, a wysłuchawszy go, odparł:

— Dziwno mi, że wasza dostojność podobnymi sprawami chcesz niepokoić naszego pana. Jest to to samo, co gdybyś prosił o nietępienie szarańczy, która spadła na pole.

— Ależ to są ludzie niewinni!...

— My, dostojny panie, wiedzieć o tym nie możemy, gdyż o winie lub niewinności rozstrzyga prawo i sąd. Jedno dla mnie jest pewnym, że państwo nie może ścierpieć, ażeby wpadano do czyjegoś ogrodu, a tym bardziej, ażeby podnoszono rękę na własność następcy tronu.

— Sprawiedliwie mówisz, ale — gdzież są winni?... — spytał książę.

— Gdzie nie ma winnych, muszą być przynajmniej ukarani. Nie wina, ale kara następująca po zbrodni uczy innych, że tego spełniać nie wolno.

— Widzę — przerwał następca — że wasza dostojność nie poprzesz mojej prośby u jego świątobliwości.

— Mądrość płynie z ust twoich, erpatre — odpowiedział dygnitarz. — Nigdy nie potrafię udzielać panu memu rady, która powagę władzy naraziłaby na szwank...

Książę wrócił do siebie zbolały i zdumiony. Czuł, że kilkuset ludziom dzieje się krzywda, i widział, że ratować ich nie może. Jak nie potrafiłby wydobyć człowieka, na którego upadł obelisk albo kolumna świątyni.

„Za słabe są moje ręce do podniesienia tego gmachu" — myślał książę z uciskiem w duszy. Pierwszy raz uczuł, że od jego woli jest jakaś nieskończenie większa siła: interes państwa, który uznaje nawet wszechmocny faraon, a przed którym ugiąć się musi on, następca!

Zapadła noc. Ramzes nie kazał[97] służbie nikogo przyjmować i samotny chodził po tarasie swojej willi, dumając:

Polityka

„Straszna rzecz!... Tam rozstąpiły się przede mną niezwyciężone pułki Nitagera, a tu — nadzorca więzienia, urzędnik śledczy i wielki pisarz zabiegają mi drogę... Czymże oni są?... Nędznymi sługami mojego ojca (oby żył wiecznie!), który każdej chwili może ich strącić do rzędu niewolników i zesłać w kamieniołomy. Ale dlaczego ojciec mój nie miałby ułaskawić niewinnych?... Państwo tak chce!... I cóż to jest państwo?... Co ono jada, gdzie sypia, gdzie jego ręce i miecz, którego się wszyscy boją?..."

Spojrzał w ogród i między drzewami, na szczycie wzgórza, zobaczył dwie olbrzymie sylwetki pylonów, na których płonęły kagańce straży. Przyszło mu na myśl, że ta straż nigdy nie śpi i że pylony nigdy nie jedzą, a jednak są. Odwieczne pylony, potężne jak mocarz, który je wznosił, Ramzes Wielki.

Poruszyć te gmachy i setki im podobnych; zmylić tą straż i tysiące innych, które czuwają nad bezpieczeństwem Egiptu; okazać nieposłuszeństwo prawom, które pozostawił

[97] *nie kazać* (tu daw.) — zabronić.

Ramzes Wielki i inni, jeszcze więksi przed nim mocarze, a które dwadzieścia dynastii uświęciło swoim poszanowaniem...

W duszy księcia, pierwszy raz w życiu, poczęło zarysowywać się jakieś niejasne, ale olbrzymie pojęcie — państwa. Państwo jest to coś wspanialszego od świątyni w Tebach, coś większego od piramidy Cheopsa, coś dawniejszego od podziemi Sfinksa, coś trwalszego od granitu. W tym niezmiernym, choć niewidzialnym gmachu ludzie są jako mrówki w szczelinie skalnej, a faraon jak podróżny architekt, który ledwie zdąży osadzić jeden głaz w ścianie i już odchodzi. A ściany rosną od pokolenia do pokolenia i budowa trwa dalej.

Jeszcze nigdy on, syn królewski, nie czuł tak swojej małości jak w tej chwili, kiedy jego wzrok wśród nocy błądził ponad Nilem, między pylonami zamku faraona i niewyraźnymi, lecz przepotężnymi sylwetkami memfijskich świątyń.

Wtem, spomiędzy drzew, których konary dotykały tarasu, odezwał się głos:

— Znam twoją troskę i błogosławię cię. Sąd nie uwolni oskarżonych chłopów. Ale sprawa ich może upaść i wrócą w pokoju do swych domów, jeżeli dozorca twego folwarku nie będzie popierał skargi o napad.

— Więc to mój dozorca podał skargę?... — spytał zdziwiony książę.

— Prawdę rzekłeś. On podał ją w twoim imieniu. Ale jeżeli nie przyjdzie na sąd, nie będzie pokrzywdzonego; a gdzie nie ma pokrzywdzonego, nie ma przestępstwa.

Krzaki zaszeleściły.

— Stójże! — zawołał Ramzes. — Kto jesteś?...

Nikt nie odpowiedział. Tylko zdawało się księciu, że w smudze światła pochodni, palącej się na pierwszym piętrze, mignęła naga głowa i skóra pantery.

— Kapłan?... — szepnął następca. — Dlaczego on kryje się?...

Lecz w tej chwili przyszło mu na myśl, że ów kapłan mógłby ciężko odpowiadać za udzielanie rad tamujących wymiar sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ XII

Większą część nocy Ramzes przepędził w gorączkowych marzeniach. Raz ukazywało mu się widmo państwa jako niezmierny labirynt o potężnych ścianach, których nie można przebić. To znowu widział cień kapłana, którego jedno mądre zdanie wskazało mu sposób wydobycia się z labiryntu. I otóż najniespodziewaniej wystąpiły przed nim dwie potęgi: interes państwowy, którego dotychczas nie odczuwał, choć był następcą tronu, i — kapłaństwo, które chciał zetrzeć i uczynić swoim sługą.

Była to ciężka noc. Książę przewracał się na łożu i zadawał sobie pytanie: czy on nie był ślepym i czy dopiero dzisiaj nie odzyskał wzroku, ażeby przekonać się o swoim nierozsądku i nicestwie[98]? Jakże inaczej przedstawiały mu się w tych godzinach przestrogi matki, powściągliwość ojca w wypowiadaniu najwyższej woli, a nawet surowe postępowanie ministra Herhora?

„Państwo i kapłaństwo!..." — w półśnie powtarzał książę oblany zimnym potem.

Tylko bogowie niebiescy wiedzą, co by nastąpiło, gdyby miały czas rozwinąć się i dojrzeć myśli, jakie tej nocy zakiełkowały w duszy księcia. Może, zostawszy faraonem, należałby do najszczęśliwszych i najdłużej panujących władców? Może imię jego, ryte w podziemnych i nadziemnych świątyniach, przeszłoby do potomności, otoczone najwyższą chwałą? Może on i jego dynastia nie straciliby tronu, a Egipt uniknął wielkiego wstrząśnienia w najgorszych dla siebie czasach?

Ale jasność dzienna rozproszyła mary krążące nad rozpaloną głową księcia, a dni następne bardzo zmieniły jego pojęcia o nieugiętości państwowych interesów.

Pobyt księcia w więzieniu nie pozostał bez następstw dla oskarżonych. Urzędnik śledczy natychmiast zdał raport najwyższemu sędziemu, sędzia powtórnie przejrzał sprawę, sam zbadał kilku obwinionych i w ciągu paru dni uwolnił większą ich część, a resztę jak najprędzej oddał pod sąd.

Gdy zaś, w imieniu poszkodowanego na własności księcia, nie zjawił się oskarżyciel, pomimo wywoływań go w sali sądowej i na rynku, sprawa o napad upadła i resztę oskarżonych wypuszczono.

[98] *nicestwo* — nicość; marność, bezwartościowość, niemoc.

Wprawdzie jeden z sędziów zrobił uwagę, że wedle prawa dozorca książęcego folwarku powinien mieć proces o fałszywą skargę i w razie dowiedzenia mu ponieść taką karę, jaka groziła oskarżonym. Kwestię tę jednak pominięto milczeniem.

Dozorca folwarku usunął się z oczu sądowi, wysłany przez następcę do nomesu Takens, a niebawem znikła gdzieś cała skrzynia aktów sprawy o napad.

Dowiedziawszy się o tym, książę Ramzes poszedł do wielkiego pisarza i z uśmiechem zapytał:

Władza, Polityka

— Cóż, dostojny panie, niewinni zostali uwolnieni, akta ich w świętokradzki sposób zniszczone i mimo to powaga władzy nie naraziła się na szwank?

— Mój książę — odparł ze zwykłym chłodem wielki pisarz — nie rozumiałem, że jedną ręką podajesz skargi, a drugą chcesz je usunąć. Wasza dostojność byłeś obrażonym przez motłoch, więc naszą rzeczą było ukarać go. Jeżeli jednak ty przebaczyłeś, państwo nie ma nic do dodania.

— Państwo!... państwo!... — powtarzał książę. — Państwo to *my* — dodał, przymrużając oczy.

— Tak, państwo to faraon i... jego najwierniejsi słudzy — odpowiedział pisarz.

Dosyć było tej rozmowy z tak wysokim dostojnikiem, ażeby w duszy następcy zatrzeć budzące się a potężne, choć jeszcze niejasne pojęcie o znaczeniu „państwa". Więc państwo nie jest odwiecznym i niewzruszonym gmachem, do którego po jednym kamieniu chwały dodawać powinni faraonowie, ale jest raczej kupą piasku, którą każdy władca przesypuje, jak mu się podoba. W państwie nie ma tych ciasnych drzwi, zwanych prawami, w których przejściu każdy musi uchylić głowę, kimkolwiek jest: chłopem czy następcą tronu. W tym gmachu są rozmaite wejścia i wyjścia: wąskie dla małych i słabych, bardzo obszerne, a nawet wygodne dla silnych.

„Jeżeli tak jest — zakiełkowała nowa myśl w księciu — to ja zrobię porządek, jaki mnie się podoba!..."

W tej samej chwili przypomniał sobie dwu ludzi: oswobodzonego Murzyna, który nie czekając na rozkaz, był gotów oddać życie za własność księcia, i — nieznajomego kapłana.

„Gdybym miał więcej podobnych im, wola moja znaczyłaby w Egipcie i za Egiptem!..." — rzekł do siebie i poczuł niepokonaną chęć odnalezienia owego kapłana.

Był on prawdopodobnie i tym samym, który powstrzymał tłum od napadu na dom księcia. Z jednej strony doskonale znał prawo, z drugiej — umiał kierować tłumami.

— Nieoceniony człowiek!... Muszę go mieć...

Od tej pory książę, w czółenku prowadzonym przez jednego wioślarza, zaczął zwiedzać chaty w bliskości swego folwarku. Ubrany w tunikę i wielką perukę, z kijem w ręku, na którym była wycięta miara, książę wyglądał jak inżynier śledzący przybór Nilu.

Chłopi chętnie udzielali mu wszelkich objaśnień, dotyczących zmian kształtu gruntów skutkiem wylewu, a zarazem prosili, aby rząd wymyślił jakieś łatwiejsze sposoby czerpania wody aniżeli żuraw z wiadrem. Opowiadali też o napadzie na folwark następcy tronu i o tym, że nie znają ludzi, którzy rzucali kamienie. Wreszcie przypominali sobie kapłana, co tak szczęśliwie usunął zbiegowisko; ale kto by on był? nie wiedzieli.

— Jest tu — mówił pewien chłop — w naszej okolicy kapłan, który kuruje na oczy, jest taki, co goi rany i składa złamane ręce i nogi. Jest paru kapłanów, którzy uczą pisać i czytać; jest, co gra na podwójnym flecie, i nawet ładnie gra. Ale tamten, który objawił się w ogrodzie następcy tronu, nie jest żadnym z nich, i oni sami nic o nim nie wiedzą. Z pewnością musiał to być bożek Num albo jakiś duch czuwający nad księciem, który oby żył wiecznie i zawsze miał apetyt.

„A może to naprawdę jaki duch!..." — pomyślał Ramzes. W Egipcie zawsze łatwiej o złe czy dobre duchy aniżeli o deszcz.

Woda Nilu z czerwonej zrobiła się brunatną, a w sierpniu, w miesiącu Hator, dosięgnęła połowy swej wysokości. W nadbrzeżnych tamach otworzono śluzy i woda gwałtownie zaczęła wypełniać kanały tudzież olbrzymie jezioro sztuczne, Moeris, w prowincji Fajum słynącej z pięknych róż. Egipt Dolny przedstawiał jakby odnogę morską, gęsto zasianą pagórkami, na nich ogrodami i domami. Komunikacja lądowa całkiem ustała, a łódek na wodzie krążyło takie mnóstwo: białych, żółtych, czerwonych i ciemnych, że wyglądały jak liście w jesieni. Na najwyższych punktach kraju kończono zbierać pewien

rodzaj bawełny i po raz drugi kosić koniczynę, a zaczynano zrywać owoce tamaryndowe i oliwki.

Pewnego dnia, płynąc wzdłuż zalanych folwarków, książę spostrzegł ruch niezwykły. Na jednej z czasowych wysepek rozlegał się między drzewami głośny krzyk kobiet.

„Zapewne ktoś umarł..." — pomyślał książę.

Od drugiej wyspy na paru czółenkach odpływały zapasy zboża i kilka sztuk bydła, a ludzie stojący pod gospodarskimi budynkami grozili i złorzeczyli ludziom w łódkach.

„Jakiś spór sąsiedzki..." — rzekł do siebie następca.

W kilku dalszych folwarkach było spokojnie, a mieszkańcy, zamiast pracować albo śpiewać, siedzieli na ziemi, milcząc.

„Musieli skończyć robotę i odpoczywają."

Za to od innej wysepki odbiło czółno z kilkorgiem płaczących dzieci, a jakaś kobieta wszedłszy po pas w wodę wygrażała pięściami.

„Wiozą dzieci do szkoły" — myślał Ramzes. Wypadki te jednak poczęły go interesować.

Na sąsiedniej wyspie znowu rozlegał się krzyk. Książę przysłonił ręką oczy i zobaczył leżącego na ziemi człowieka, którego bił kijem Murzyn.

— Cóż się tu dzieje?... — zapytał Ramzes wioślarza.

— Czyliż nie widzicie, panie, że biją nędznego chłopa?... — odparł przewoźnik, śmiejąc się. — Musiał coś zbroić, więc chodzi mu ból po kościach.

— A cóż ty jesteś?

— Ja?... — odparł z pychą wioślarz. — Ja jestem wolny rybak. I bylem oddał, co należy, z połowu do jego świątobliwości, mogę pływać po całym Nilu, od pierwszej katarakty do morza. Rybak jest jak ryba albo dzika gęś, a chłop jak drzewo: karmi panów swoimi owocami i nigdzie nie może uciec, tylko skrzypi, gdy na nim dozorcy psują korę.

O ho! ho!... spojrzyjcie no tam... — zawołał znowu zadowolony rybak. — Hej!... ojciec!... a nie wypijaj wszystkiej wody, bo będzie nieurodzaj...

Wesoły ten wykrzyknik odnosił się do grupy osób spełniających bardzo oryginalną czynność. Kilku ludzi gołych trzymało za nogi innego człowieka i nurzało mu w wodzie głowę po szyję, po piersi, wreszcie po pas. Obok stał jegomość z laską, ubrany w poplamioną tunikę i perukę z baraniej skóry. Nieco dalej krzyczała wniebogłosy kobieta, którą za ręce trzymali ludzie.

Przemoc

Bicie kijem było tak upowszechnione w szczęśliwym państwie faraonów jak jedzenie i spanie. Bito dzieci i dorosłych, chłopów, rzemieślników, żołnierzy, oficerów i urzędników. Kto żył, dostawał kije, z wyjątkiem kapłanów i najwyższych dostojników, bo tych już nie miał kto bić. Książę więc dość spokojnie patrzył na chłopa bitego kijem; ale zastanowił go chłop nurzany w wodzie.

— Ho! ho!... — śmiał się tymczasem wioślarz — a to go poją!... Zgrubieje tak, że żona będzie musiała nadsztukować mu opaskę.

Książę kazał przybić do brzegu. Tymczasem chłopa wydobyto z rzeki, pozwolono mu wykaszlać wodę i znowu schwycono go za nogi, pomimo nieczłowieczych wrzasków żony, która zaczęła kąsać ludzi trzymających ją.

— Stój! — krzyknął książę do oprawców, którzy ciągnęli chłopa.

— Czyńcie waszą powinność! — zawołał przez nos jegomość w baraniej peruce. — Kto jesteś, zuchwalcze, który ośmie...

W tej chwili książę zwalił go przez łeb swoją miarą, która na szczęście była lekka. Mimo to właściciel poplamionej tuniki aż usiadł na ziemi, a obmacawszy perukę i głowę, spojrzał na napastnika zamglonymi oczyma.

— Odgaduję — rzekł naturalnym głosem — że mam honor rozmawiać ze znakomitą osobą... Oby ci, mój panie, zawsze towarzyszył dobry humor, a żółć nigdy nie rozlewała się po kościach...

— Co wy robicie z tym człowiekiem?... — przerwał książę.

— Pytasz, mój panie — odparł jegomość, znowu przez nos — jak cudzoziemiec, nie znający ani miejscowych zwyczajów, ani ludzi, do których odzywa się zbyt poufale. Wiedz przeto, że jestem poborcą jego dostojności Dagona, pierwszego bankiera w Memfisie.

A jeżeli jeszcze nie zbladłeś, dowiedz się, że dostojny Dagon jest dzierżawcą, pełnomocnikiem i przyjacielem następcy tronu (oby żył wiecznie!) i że ty dopuściłeś się gwałtu, o czym zaświadczą moi ludzie, na gruntach księcia Ramzesa...

— Więc to... — przerwał książę, lecz nagle zatrzymał się. — Więc jakim prawem katujecie w podobny sposób książęcego chłopa?

— Bo nie chce łotr płacić podatków, a skarb następcy jest w potrzebie...

Pomocnicy urzędnika, wobec katastrofy, jaka spotkała ich pana, wypuścili swoje ofiary i stali bezradni niby członki ciała, któremu ucięto głowę. Uwolniony chłop znowu zaczął pluć i wytrząsać wodę z uszu, ale za to żona jego przypadła do wybawcy.

— Kimkolwiek jesteś — jęczała, składając ręce przed księciem — czy bogiem, czy nawet posłańcem faraona, posłuchaj o naszej nędzy. Jesteśmy chłopami następcy tronu (oby żył wiecznie!) i zapłaciliśmy wszystkie podatki: w prosie, pszenicy, kwiatach i skórach bydlęcych. Tymczasem ostatniej dekady przyszedł do nas ten oto człowiek i każe sobie znowu dać siedm mierzyc pszenicy... „Jakim prawem? — pyta mój mąż — przecie podatki już zapłacone?" A on mego męża wali na ziemię, kopie nogami i mówi: „Takim prawem, że dostojny Dagon kazał." — „Skądże wezmę? — odpowiada mój chłop — kiedy nie mamy żadnego zboża i już z miesiąc karmimy się ziarnami albo korzonkami lotosu, o które także coraz trudniej, bo wielcy panowie lubią bawić się kwiatami lotosu."

Zatchnęła się i zaczęła płakać. Książę czekał cierpliwie, aż się uspokoi, ale unurzany chłop mruczał:

— Ta baba swoim gadaniem nieszczęście na nas sprowadzi... A mówiłem, że nie lubię, jak mi się baby mieszają do interesów.

Tymczasem urzędnik podsunąwszy się do wioślarza spytał go po cichu, wskazując na Ramzesa:

— Kto jest ten chłystek?...

— Bodaj ci język usechł — odparł wioślarz. — Czy nie widzisz, że to musi być wielki pan: dobrze płaci i tęgo wali.

— Ja zaraz poznałem — szeptał urzędnik — że to musi być ktoś wielki. Młodość zeszła mi na ucztach ze znakomitymi panami.

— Aha! jeszcze ci nawet po tych ucztach zostały sosy na odzieniu — odburknął wioślarz.

Kobieta, wypłakawszy się, prawiła dalej:

— Dzisiaj zaś przyszedł ten pisarz ze swoimi ludźmi i mówi do mego chłopa: „Kiedy nie masz pszenicy, oddaj nam dwu synków, a dostojny Dagon nie tylko daruje ci ten podatek, ale jeszcze za każdego chłopca co roku zapłaci po drachmie..."

— Biada mi z tobą! — wrzasnął topiony chłop. — Zgubisz nas wszystkich gadulstwem... Nie słuchaj jej, dobry panie — zwrócił się do Ramzesa. — Jak krowa myśli, że ogonem odstraszy muchy, tak babie zdaje się, że językiem odpędzi poborców... A nie wiedzą, że obie są głupie...

— Tyś głupi! — przerwała baba. — Słoneczny panie, który masz postać królewską...

— Biorę was na świadków, że ta kobieta bluźni... — rzekł półgłosem urzędnik do swoich ludzi.

— Kwiecie pachnący, którego głos jest jak dźwięk fletu, wysłuchaj mnie!... — błagała kobieta Ramzesa. — Więc mój mąż powiedział temu urzędnikowi: „Wolałbym stracić dwa byczki, gdybym je miał, aniżeli oddać moich chłopców, choćbyście mi za każdego płacili po cztery drachmy na rok. Bo jak dziecko wyjdzie z domu na służbę, nikt go już nie zobaczy..."

— Bodajbym się udusił!... bodaj ryby jadły ciało moje na dnie Nilu!... — jęczał chłop. — Przecie ty cały folwark zmarnujesz swoimi skargami... kobieto...

Urzędnik widząc, że ma poparcie strony głównie zainteresowanej, wystąpił naprzód i zaczął znowu przez nos:

— Od czasu jak słońce wschodzi za pałacem królewskim, a zachodzi nad piramidami, działy się w tym kraju różne dziwowiska... Za faraona Semempsesa[99] ukazywały się około

[99] *Semempses* (gr.) — Semerchet (ok. 2890–2870 p.n.e), przedostatni faraon I dynastii.

piramidy Kochom[100] zjawiska cudowne i dżuma spadła na Egipt. Za Boetosa[101] rozwarła się ziemia pod Bubastis[102] i pochłonęła wielu ludzi... Za panowania Neferchesa[103] wody Nilu przez jedenaście dni były słodkie jak miód[104]. To widziano i wiele innych rzeczy, o których wiem, bo jestem pełen mądrości. Ale nigdy nie widziano, ażeby z wody wyszedł jakiś nieznany człowiek i w majątkach najdostojniejszego następcy tronu bronił zbierania podatków...

— Milcz! — krzyknął Ramzes — i wynoś się stąd. Nikt wam nie zabierze dzieci — dodał do kobiety.

— Łatwo mi wynieść się — odparł poborca — bo mam lotne czółno i pięciu wioślarzy. Ale dajże mi, wasza dostojność, jakiś znak do pana mego, Dagona...

— Zdejmij perukę i pokaż mu znak na swoim łbie — rzekł książę. — A Dagonowi powiedz, że mu takie same znaki porobię na całym ciele...

— Słyszycie bluźnierstwo?... — szepnął poborca do swoich ludzi, cofając się ku brzegowi wśród niskich ukłonów.

Wsiadł w czółno, a gdy jego pomocnicy odbili i odsunęli się na kilkadziesiąt kroków, wyciągnąwszy rękę, począł wołać:

— Oby was kurcz złapał za wnętrzności, buntownicy, bluźniercy!... Stąd prosto jadę do następcy tronu i opowiem mu, co się dzieje w jego dobrach...

Potem wziął kij i zaczął okładać swoich ludzi za to, że nie ujęli się za nim.

— Tak będzie z tobą!... — wołał, grożąc Ramzesowi.

Książę dopadł swego czółna i wściekły kazał wioślarzowi gonić za zuchwałym urzędnikiem lichwiarza. Ale jegomość w baraniej peruce rzucił kij i sam wziął się do wioseł; jego zaś ludzie pomagali mu tak gorliwie, że pościg stał się niepodobnym.

— Prędzej sowa dogoni jaskółkę aniżeli my ich, mój piękny panie — rzekł, śmiejąc się, wioślarz Ramzesa. — Ale co wy, to nie musicie być miernikiem, tylko oficerem, może nawet z gwardii jego świątobliwości. Zaraz walicie w łeb! Znam się na tym, sam przez pięć lat byłem w wojsku. Zawsze waliłem w łeb albo w brzuch i nie najgorzej działo mi się na świecie. A jak mnie kto zwalił, zaraz rozumiałem, że musi być wielki... W naszym Egipcie (oby go nigdy nie opuszczali bogowie!) strasznie ciasno: miasto przy mieście, dom przy domu, człowiek przy człowieku. Kto chce jako tako obracać się w tej ciżbie, musi walić w łeb.

Przemoc

— Jesteś żonaty? — spytał książę.

— Phy! jak mam kobietę i miejsce na półtorej osoby, tom żonaty, ale zresztą kawaler. Byłem przecie w wojsku i wiem, że kobieta jest dobra raz na dzień, i to nie zawsze. Zawadza.

— A może byś ty poszedł do mnie w służbę? Kto wie, czybyś żałował tego...

— Za pozwoleniem waszej dostojności, ja zaraz zmiarkowałem, że wy moglibyście dowodzić pułkiem, pomimo młodej twarzy. Ale w służbę do nikogo nie pójdę. Jestem wolny rybak; dziad mój był (za przeproszeniem) pastuchem w Dolnym Egipcie, zaś nasz ród pochodzi od Hyksosów. Prawda, że wytrząsa[105] się z nas głupie chłopstwo egipskie, ale mnie na to śmiech bierze. Chłop i Hyksos, mówię waszej dostojności, to niby wół i byk. Chłop może chodzić za pługiem czy przed pługiem, ale Hyksos nikomu nie będzie służył. Chyba w wojsku jego świątobliwości, bo to wojsko.

Rozochocony wioślarz ciągle mówił, ale książę już go nie słuchał. W jego duszy coraz głośniej odzywały się pytania bardzo bolesne, gdyż zupełnie nowe. Więc te wysepki, około których przepływał, należały do jego majętności?... Dziwna rzecz, on wcale nie wiedział, gdzie są i jak wyglądają jego folwarki. Więc w jego imieniu Dagon obłożył chłopów nowymi opłatami, a ten szczególny ruch, na jaki patrzył, jadąc wzdłuż brzegów, to było

[100] *piramida Kochom* — znajdująca się 3 km od wioski Kahun, na skraju oazy Fajum, piramida faraona XII dynastii Senusereta II (1897–1878 p.n.e.).

[101] *Boetos* (gr.) — Hetepsechemui (ok. 2850 p.n.e.), założyciel II dynastii faraonów egipskich.

[102] *Bubastis* (gr.) — Per-Bastet, miasto we wschodniej Delcie, w pobliżu dzisiejszego Az-Zakazik. Centrum kultu bogini miłości i płodności Bastet, stolica 18. nomu Dolnego Egiptu.

[103] *Neferches* (gr.) — Chasechemui (przed 2686 p.n.e.), ostatni faraon II dynastii.

[104] *Za faraona Semempsesa ukazywały się… Za Boetosa rozwarła się ziemia… Za panowania Neferchesa wody Nilu przez jedenaście dni były słodkie jak miód.* — zaczerpnięte z historii Egiptu spisanej w III w. p.n.e. przez kapłana egipskiego Manethona.

[105] *wytrząsać się* — natrząsać się, wyśmiewać się.

zbieranie podatków?... Chłop, którego bito na brzegu, widać nie miał czym płacić. Dzieci, które rzewnie płakały w łodzi, były sprzedane, po drachmie za głowę, na cały rok. A ta kobieta, która po pas weszła w wodę i klęła, to ich matka...

„Kobiety są bardzo niespokojne — mówił do siebie książę. — Sara jest najspokojniejsza z kobiet, inne jednak lubią dużo gadać, płakać i wrzeszczeć..."

Przyszedł mu na myśl chłop, który łagodził uniesienia swojej żony. Jego topili — i nie gniewał się; jej nic nie robili i pomimo to wrzeszczała.

„Kobiety są bardzo niespokojne!... — powtarzał. — Tak, nawet moja czcigodna matka... Cóż to za różnica pomiędzy ojcem i matką! Jego świątobliwość wcale nie chce wiedzieć, że opuściłem armię dla dziewczyny, ale królowa lubi zajmować się nawet tym, że wziąłem do domu Żydówkę... Sara jest najspokojniejszą kobietą, jaką znam. Za to Tafet gada, płacze i wrzeszczy za cztery..."

Głód

Potem przypomniał sobie książę słowa żony chłopa, że już miesiąc nie jedzą zboża, tylko ziarna i korzonki lotosu. Ziarno jego jest jak mak; korzenie — takie sobie. On nie jadłby tego nawet przez trzy dni z rzędu. Wreszcie kapłani, zajmujący się leczeniem, radzą zmieniać pokarm. Jeszcze w szkole mówiono mu, że trzeba jadać mięso obok ryb, daktyle obok pszenicy, figi obok jęczmienia. Ale przez cały miesiąc żywić się ziarnami lotosu!... No, a koń, krowa?... Koń i krowa lubią siano, a jęczmienne kluski trzeba im gwałtem pchać w gardło. Zapewne więc i chłopi wolą karmić się ziarnami lotosu, a pszenne lub jęczmienne placki, ryby i mięso jedzą bez smaku. Zresztą najpobożniejsi kapłani, cudotwórcy, nigdy nie dotykają mięsa ani ryb. Widocznie magnaci i synowie królewscy potrzebują mięsa jak lwy i orły, a chłopi — trawy jak wół.

Pozycja społeczna

Tylko... to nurzanie w wodzie za podatki?... Eh, alboż to on raz, kąpiąc się z towarzyszami, pakował ich pod wodę, a nawet sam się nurzał?... Co przy tym było śmiechu!... — Nurzanie — zabawa. A co się tyczy bicia kijem, ileż razy jego w szkole bito kijem?... Jest to bolesne, ale widać nie dla wszelkiego stworzenia. Bity pies wyje i gryzie; bity wół nawet nie obejrzy się. Tak samo wielkiego pana bicie może boleć, ale chłop krzyczy tylko dlatego, ażeby wykrzyczeć się przy okazji. Nawet nie wszyscy krzyczą, a żołnierze i oficerowie śpiewają pod kijami.

Mądre te uwagi nie potrafiły jednak zagłuszyć drobnego, ale dokuczliwego niepokoju w sercu następcy. Oto jego dzierżawca Dagon nałożył niesprawiedliwy podatek, którego chłopi już płacić nie mogli!

W tej chwili księciu nie chodziło o chłopów, ale — o matkę. Jego matka musi wiedzieć o gospodarce Fenicjanina. Co ona powie na to synowi, jak spojrzy na niego, jak szyderczo uśmiechnie się? A nie byłaby kobietą, gdyby mu nie przypomniała:

— Wszak mówiłam, Ramzesie, że ten Fenicjanin zrujnuje twoje majątki?...

„Gdyby zdrajcy kapłani — myślał książę — ofiarowali mi dziś dwadzieścia talentów, jutro wypędziłbym Dagona, moi chłopi nie dostawaliby kijów i nie byliby nurzani w wodzie, a matka nie żartowałaby ze mnie... Dziesiąta... setna część tych bogactw, jakie leżą w świątyniach i pasą chciwe oczy gołych łbów, na całe lata zrobiłaby mnie człowiekiem niezależnym od Fenicjan..."

Sprawiedliwość, Pozycja społeczna, Chłop, Władza

W tej chwili błysnęło w duszy Ramzesa dosyć dziwne pojęcie, że — między chłopstwem i kapłanami istnieje jakiś głęboki antagonizm.

„Przez Herhora — myślał — powiesił się tamten chłop na granicy pustyni... Na utrzymanie kapłanów i świątyń ciężko pracuje ze dwa miliony ludu egipskiego... Gdyby majątki kapłańskie należały do skarbu faraona, ja nie musiałbym pożyczać piętnastu talentów i moi chłopi nie byliby tak strasznie uciskani... Oto gdzie jest źródło nieszczęść Egiptu i słabości jego królów!..."

Książę czuł, że chłopom dzieje się krzywda, więc doznał niemałej ulgi odkrywszy, że sprawcami złego są — kapłani. Nie przyszło mu do głowy, że jego sąd może być mylny i niesprawiedliwy.

Zresztą on nie sądził, tylko oburzał się. Gniew zaś człowieka nigdy nie zwraca się przeciw niemu samemu; jak głodna pantera nie żre własnego ciała, lecz kręcąc ogonem i tuląc uszy, dokoła siebie wypatruje ofiary.

ROZDZIAŁ XIII

Wycieczki następcy tronu, podjęte w celu odkrycia kapłana, który ocalił Sarę, a księciu udzielił porady prawnej, miały nieoczekiwany rezultat.

Kapłan nie znalazł się, natomiast między egipskim chłopstwem zaczęły o Ramzesie krążyć legendy.

Jakiś człowiek pływał wieczorami ode wsi do wsi w drobnym czółenku i opowiadał chłopom, że następca tronu uwolnił ludzi, którym za napad na jego dom groziły kopalnie. Oprócz tego zbił urzędnika, który od chłopów chciał wydobyć niesprawiedliwy podatek. Dodawał w końcu nieznany człowiek, że książę Ramzes znajduje się pod szczególną opieką boga Amona z pustyni zachodniej, który jest jego ojcem.

Prosty lud chciwie słuchał wieści, raz dlatego, że zgadzały się z faktami, po wtóre, że opowiadający je człowiek sam wyglądał na ducha: przypływał nie wiadomo skąd i znikał.

Książę Ramzes wcale o swoich chłopach nie mówił z Dagonem, nawet nie wzywał go do siebie. Czuł wstyd wobec Fenicjanina, od którego wziął pieniądze i jeszcze nieraz mógł ich potrzebować.

Ale w kilka dni po awanturze z pisarzem Dagona bankier sam odwiedził następcę tronu, trzymając coś zasłoniętego w rękach. A gdy wszedł do pokoju księcia, ukląkł, rozwiązał białą chustkę i wyjął z niej prześliczny złoty kielich.

Kielich był wysadzany różnokolorowymi kamieniami i pokryty płaskorzeźbą, która na podstawie przedstawiała zbieranie i tłoczenie winogron, a na czaszy — ucztę.

— Przyjmij ten kielich, dostojny panie, od niewolnika twego — mówił bankier — i używaj go sto... tysiąc lat... do skończenia wieków.

Ale książę zrozumiał, o co chodzi Fenicjaninowi. Nie dotykając przeto złotego daru, rzekł z twarzą surową:

— Czy widzisz, Dagonie, te purpurowe blaski wewnątrz kielicha?...

— Zaprawdę — odparł bankier — jakżebym nie miał widzieć tej purpury, która dowodzi, że kielich jest z najczystszego złota.

— A ja ci mówię, że to jest krew dzieci zabieranych rodzicom — odpowiedział gniewnie następca tronu.

Odwrócił się i wyszedł do dalszych pokojów.

— O Astoreth! — jęknął Fenicjanin. Usta mu posiniały, a ręce zaczęły drżeć tak, że ledwie zdążył owinąć swój kielich w białą chustę.

W parę dni później Dagon popłynął ze swoim kielichem do folwarku Sary. Ubrał się w szaty przetykane złotem, w gęstej brodzie miał szklaną kulkę, z której ciekły wonności, a do głowy przypiął dwa pióra.

— Piękna Saro — zaczął — oby Jehowa zlał na twoją rodzinę tyle błogosławieństw, ile dziś płynie wody w Nilu. My, Fenicjanie, i wy, Żydzi, jesteśmy przecie sąsiadami i braćmi. Ja zaś takim żarem miłosnym płonę do ciebie, że gdybyś nie należała do najdostojniejszego pana naszego, dałbym za ciebie Gedeonowi (oby zdrów był!) dziesięć talentów i pojąłbym cię za prawą małżonkę. Taki jestem namiętny!...

— Niech mnie Bóg zachowa — odparła Sara — ażebym potrzebowała mieć innego pana aniżeli ten mój, który jest. Ale skądże to, zacny Dagonie, przyszła ci ochota nawiedzić dzisiaj służebnicę pańską?

— Powiem ci prawdę, jakbyś była Tamarą, żoną moją, która, choć rodowita córka Sydonu, choć wniosła mi duży posag, jest już stara i niewarta zdejmować ci sandałów...

— W miodzie, płynącym z ust waszych, jest dużo piołunu — wtrąciła Sara.

— Miód — prawił Dagon siadając — niech będzie dla ciebie, a piołun niech moje zatruwa serce. Pan nasz, książę Ramzes (oby żył wiecznie!), ma lwie usta i sępią przebiegłość. Raczył mi wypuścić w dzierżawę swoje majątki, co żołądek mój napełniło radością; ale nie ufa mi tak, że ja ze zgryzoty po całych nocach nie sypiam, tylko wzdycham i łzami oblewam łoże moje, w którym obyś ty wespół ze mną spoczywała, Saro, zamiast mojej małżonki Tamary, która pożądliwości już we mnie rozbudzić nie może.

— Nie to chcieliście mówić — przerwała zarumieniona Sara.

— Ja już nie wiem, co chcę mówić od czasu, gdym ujrzał ciebie i gdy nasz pan, śledząc moje czynności na folwarkach, pobił kijem i odebrał zdrowie mojemu pisarzowi, który zbierał od chłopów podatek. Przecie ten podatek nie dla mnie, Saro, tylko dla naszego

pana... Przecie nie ja będę jadł figi i pszenne chleby z tych dóbr, tylko ty, Saro, i nasz pan... Przecie ja dałem pieniądze panu, a tobie klejnoty, więc dlaczego podłe chłopstwo egipskie ma zubożać naszego pana i ciebie, Saro?... Ażebyś zaś zrozumiała, jak mocno wzburzasz moją krew dla siebie, i ażebyś dowiedziała się, że z tych pańskich majątków ja nic mieć nie chcę, tylko wam wszystko oddaję, weźmij[106], Saro, ten kielich szczerozłoty, wysadzany kamieniami i okryty rzeźbą, której dziwiliby się sami bogowie...

To mówiąc, Dagon wydobył z białej chusty kielich nie przyjęty przez księcia.

Pochlebstwo

— Ja nawet nie chcę, Saro — mówił — ażebyś ty ten złoty kielich miała w domu i dawała z niego pić naszemu panu. Ty oddaj ten szczerozłoty kielich twojemu ojcu Gedeonowi, którego kocham jak brata. I ty, Saro, powiedz ojcu twemu takie słowa: „Dagon, twój bliźnięcy brat, nieszczęśliwy dzierżawca majątków następcy tronu, jest zrujnowany. Więc pij, mój ojcze, z tego kielicha i myśl o twoim bliźniaczym bracie Dagonie, i proś Jehowy, ażeby nasz pan, książę Ramzes, nie rozbijał jemu pisarzów[107] i nie buntował chłopów, którzy już i tak nie chcą płacić podatku." Ty zaś, Saro, wiedz o tym, że gdybyś kiedy dopuściła mnie do poufałości ze sobą, dałbym tobie dwa talenty, a twemu ojcu talent. I jeszcze wstydziłbym się, że daję ci tak mało, boś ty warta, ażeby pieścił cię sam faraon i następca tronu, i dostojny minister Herhor, i najwaleczniejszy Nitager, i najbogatsi bankierowie feniccy. W tobie jest taki smak, że ja, gdy widzę cię — omdlewam, a gdy cię nie widzę, zamykam oczy i oblizuję się. Ty jesteś słodsza od fig, bardziej pachnąca od róż... Ja bym dał tobie pięć talentów... Weź ten kielich, Saro...

Sara usunęła się ze spuszczonymi oczyma.

— Nie wezmę kielicha — odparła — bo pan mój zabronił mi od kogokolwiek przyjmować darów.

Dagon osłupiał i patrzył na nią zdziwionymi oczyma.

— Ty chyba nie wiesz, Saro, co jest wart ten kielich?... Wreszcie ja daję go twojemu ojcu, memu bratu...

— Nie mogę przyjąć... — szepnęła Sara.

— Gwałtu!... — krzyknął Dagon. — Więc ty, Saro, zapłacisz mi za ten kielich innym sposobem, nie mówiąc twojemu panu... Przecie taka piękna jak ty kobieta musi posiadać złoto i klejnoty i powinna mieć swego bankiera, który by jej dostarczał pieniądze, kiedy jej się podoba, nie zaś tylko wówczas, gdy jej pan zechce?...

— Nie mogę!... — szepnęła Sara, nie ukrywając wstrętu dla Dagona.

Fenicjanin w okamgnieniu zmienił ton i rzekł, śmiejąc się:

— Bardzo dobrze, Saro!... Ja tylko chciałem przekonać się, czy ty jesteś wierna naszemu panu. I widzę, że jesteś wierna, chociaż głupi ludzie gadają...

— Co?... — wybuchnęła Sara, rzucając się ku Dagonowi z zaciśniętymi pięściami.

— A cha! cha!... — śmiał się Fenicjanin. — Jaka szkoda, że tego nie słyszał i nie widział nasz pan... Ale ja jemu kiedy opowiem, gdy będzie dobrze usposobiony, że ty nie tylko jesteś mu wierna jak pies, ale nawet nie chciałaś przyjąć złotego kielicha, ponieważ on nie kazał ci przyjmować prezentów... A ten kielich, wierz mi, Saro, skusiłby niejedną kobietę... I niemałą kobietę...

Dagon posiedział jeszcze chwilę, podziwiając cnotę i posłuszeństwo Sary, wreszcie pożegnał się z nią bardzo czule, wsiadł w swoją łódź z namiotem i odpłynął do Memfis. Im czółno dalej odsuwało się od folwarku, z twarzy Fenicjanina znikał uśmiech, a występował wyraz gniewu. A gdy dom Sary ukrył się za drzewami, Dagon powstał i podniósłszy ręce do góry począł wołać:

Przekleństwo

— O Baal Sydon[108], o Astoreth!... pomścijcie moją zniewagę nad przeklętą córką Judy... Niech przepadnie jej zdradziecka piękność jak kropla deszczu w pustyni... Niechaj choroby stoczą jej ciało, a szaleństwo opęta duszę... Niech jej pan wygna ją z domu jak parszywą świnię... A jak dzisiaj odtrąciła mój kielich, tak niech przyjdzie czas, ażeby ludzie odtrącali jej wyschłą rękę, gdy będzie żebrać, spragniona, o kubek mętnej wody...

[106] *weźmij* — dziś: weź.

[107] *pisarzów* — dziś popr.: pisarzy.

[108] *Baal Sydon* — „Pan Sydonu", tytuł boga. *Baal* używane również w zastępstwie imienia głównego boga ludów zachodniosemickich (Palestyny, Fenicji, Syrii), władcy świata, boga burzy i deszczu.

Potem pluł i mruczał niezrozumiałe a straszne wyrazy, aż na chwilę czarny obłok zakrył słońce, a woda w pobliżu łodzi poczęła mącić się i wydymać w duże fale. Gdy skończył, słońce znowu zajaśniało, ale rzeka jeszcze niepokoiła się, jakby poruszył ją nowy przybór.

Wioślarze Dagona zlękli się i przestali śpiewać; lecz oddzieleni od swego pana ścianą namiotu, nie spostrzegli jego praktyk.

Od tej pory Fenicjanin nie pokazywał się następcy tronu. Lecz gdy pewnego dnia książę przyszedł do swojej willi, zastał w pokoju sypialnym piękną szesnastoletnią tancerkę fenicką, która za cały strój miała złotą obręcz na głowie i delikatny jak pajęczyna szal na ramionach. Kapłan, Kobieta, Czary

— Któż ty jesteś? — zapytał książę.

— Jestem kapłanką i twoją służebnicą, a przysłał mnie pan Dagon, ażebym wypłoszyła twój gniew na niego.

— Jakże potrafisz to zrobić?

— O tak... Siądź tutaj — mówiła, sadowiąc go na fotelu — ja stanę na palcach, ażeby zrobić się wyższą aniżeli twój gniew, i tym szalem, który jest poświęcony, będę odpędzać od ciebie złe duchy... A kysz!... a kysz!... — szeptała, tańcząc wkoło Ramzesa. — Niech moje ręce zdejmą ponurość z włosów twoich... niech moje pocałunki przywrócą jasne spojrzenie oczom twym... niech bicie mego serca napełni muzyką uszy twoje, panie Egiptu... A kysz!... a kysz!... on nie wasz, ale mój... Miłość potrzebuje takiej ciszy, że wobec niej nawet gniew musi umilknąć...

Tańcząc, bawiła się włosami Ramzesa, obejmowała go za szyję, całowała w oczy. Wreszcie zmęczona siadła u nóg księcia i oparłszy głowę na jego kolanach, bystro przypatrywała mu się, dysząc rozchylonymi ustami.

— Już nie gniewasz się na twego sługę Dagona?... — szeptała, głaszcząc twarz księcia.

Ramzes chciał ją pocałować w usta, lecz zerwała się z jego kolan i uciekła, wołając:

— O, nie, nie można!...

— Dlaczego?

— Jestem dziewicą i kapłanką wielkiej bogini Astoreth... Musiałbyś bardzo kochać i czcić moją opiekunkę, zanim byłoby ci wolno pocałować mnie.

— A tobie wolno?...

— Mnie wszystko wolno, bo ja jestem kapłanka i przysięgłam zachować czystość.

— Więc po cóżeś tu przyszła?

— Rozpędzić gniew twój. Zrobiłam to i odchodzę. Bądź zdrów i zawsze dobry!... — dodała z przejmującym wejrzeniem.

— Gdzie mieszkasz?... jak się nazywasz?... — pytał książę.

— Nazywam się Pieszczota. A mieszkam... Ech, po co mam mówić. Jeszcze nieprędko przyjdziesz do mnie.

Skinęła ręką i znikła, a książę, jak odurzony, nie ruszył się z fotelu[109]. Gdy zaś po chwili wyjrzał oknem, zobaczył bogatą lektykę, którą czterej Nubijczycy szybko nieśli w stronę Nilu.

Ramzes nie żałował odchodzącej: zdziwiła go, ale nie porwała.

„Sara jest spokojniejsza od niej — myślał — i ładniejsza. Zresztą... zdaje mi się, że ta Fenicjanka musi być zimna, a jej pieszczoty wyuczone."

Lecz od tej chwili książę przestał gniewać się na Dagona, tym bardziej że gdy raz był u Sary, przyszli do niego chłopi i dziękując za opiekę oświadczyli, że Fenicjanin już nie zmusza ich do płacenia nowego podatku.

Tak było pod Memfisem. Za to w dalszych folwarkach książęcy dzierżawca wetował sobie straty.

ROZDZIAŁ XIV

W miesiącu Choiak, od połowy września do połowy października, wody Nilu stanęły najwyżej i zaczął się nieznaczny opad. W ogrodach zbierano owoce tamaryndowe, daktyle i oliwki, a drzewa zakwitły po raz drugi.

[109] *fotelu* — dziś popr. forma D. lp: fotela.

W tym czasie jego świątobliwość Ramzes XII opuścił swój słoneczny pałac pod Memfisem i z wielką świtą, na kilkudziesięciu strojnych statkach popłynął do Teb dziękować tamtejszym bogom za dobry wylew, a zarazem złożyć ofiary w grobach wiecznie żyjących przodków.

Najdostojniejszy władca bardzo łaskawie pożegnał syna swego i następcę; ale kierunek spraw państwowych, na czas nieobecności, powierzył Herhorowi.

Książę Ramzes tak mocno odczuł ten dowód monarszej nieufności, że przez trzy dni nie wychodził ze swojej willi i nie przyjmował pokarmów, tylko płakał. Później przestał się golić i przeniósł się na folwark Sary, ażeby uniknąć stykania się z Herhorem i dokuczyć matce, którą uważał za przyczynę swoich nieszczęść.

Zaraz na drugi dzień w tym ustroniu odwiedził go Tutmozis, ciągnąc za sobą dwie łodzie muzyków i tancerek, a trzecią napełnioną koszami jadła i kwiatów tudzież dzbanami wina. Ale książę kazał odjechać precz muzyce i tancerkom, a wziąwszy do ogrodu Tutmozisa, rzekł:

— Zapewne wysłała cię tu matka moja (oby żyła wiecznie!) w celu oderwania mnie od Żydówki?... Otóż powiedz jej dostojności, że choćby Herhor został nie tylko namiestnikiem, ale nawet synem mego ojca, ja robić będę to, co mi się podoba... Znam się na tym... Dziś chcą mnie pozbawić Sary, a jutro władzy... Przekonam ich, że ja nie wyrzekam się niczego.

Książę był rozdrażniony, Tutmozis wzruszał ramionami, wreszcie odparł:

— Jak wicher odnosi ptaka na pustynię, tak gniew wyrzuca człowieka na brzegi niesprawiedliwości. Czy możesz dziwić się kapłanom, że nie cieszą się, iż następca tronu związał swoje życie z kobietą innej ziemi i wiary? Prawda, że nie podoba im się Sara, tym więcej, że masz ją jedną; gdybyś posiadał kilka kobiet rozmaitych, jak wszyscy młodzi szlachcice, nie zwracano by uwagi na Żydówkę. Lecz cóż oni zrobili jej złego?... Nic. Owszem, nawet jakiś kapłan bronił jej przed rozjuszonym tłumem napastników, których tobie podobało się wydobyć z więzienia...

— A moja matka?... — wtrącił następca.

Tutmozis roześmiał się.

— Twoja czcigodna matka — prawił — kocha cię jak własne oczy i serce. Jużci i jej nie podoba się Sara, ale wiesz, co mi raz powiedziała jej dostojność?... Oto, ażebym odbił ci Sarę!... Widzisz, jaki zrobiła sobie żart?... Na co ja odpowiedziałem równie żartem: Ramzes darował mi sforę gończych psów i dwa konie syryjskie, gdy mu się sprzykrzyły; może więc kiedyś odda mi i swoją kochankę, którą będę musiał przyjąć zapewne z dodatkiem...

— Ani myśl o tym. Nikomu dziś nie oddałbym Sary właśnie dlatego, że z jej powodu mój ojciec nie mianował mnie namiestnikiem.

Tutmozis kręcił głową.

— Bardzo się mylisz — odparł. — Tak się mylisz, że aż mnie to przestrasza. Czyliżbyś naprawdę nie rozumiał powodów niełaski, które zna każdy oświecony człowiek w Egipcie?...

— Nic nie wiem...

— Tym gorzej — mówił zakłopotany Tutmozis. — Nie wiesz więc, że od czasu manewrów żołnierze, osobliwie greccy, w każdym szynku piją za twoje zdrowie...

— Na to przecież dostali pieniądze.

— Tak, ale nie na to, ażeby wołać na cały głos, że gdy nastąpisz po jego świątobliwości (oby żył wiecznie!), rozpoczniesz wielką wojnę, po której zajdą zmiany w Egipcie... Jakie zmiany?... I kto, za życia faraona, ośmieli się mówić o planach jego następcy?...

Teraz książę sposępniał.

— To jedno, ale powiem ci i drugie — prawił Tutmozis — bo złe jak hiena nigdy nie chodzi w pojedynkę. Czy wiesz, że między chłopstwem śpiewają o tobie pieśni, jak uwolniłeś napastników z więzienia, a co gorsza, znowu mówią, że gdy nastąpisz po jego świątobliwości, będą zniesione podatki?... Trzeba zaś dodać, że ile razy między chłopstwem zaczynano gadać o niesprawiedliwości i podatkach, zawsze następowały rozruchy. I albo zewnętrzny nieprzyjaciel wpadał do osłabionego państwa, albo Egipt dzielił się na tyle części, ilu było nomarchów... Sam wreszcie osądź: czy jest rzeczą stosowną, ażeby

w Egipcie jakieśkolwiek imię częściej było wymawiane aniżeli faraona?... I ażeby ktokolwiek stawał między ludem a naszym panem?... Gdybyś zaś pozwolił, opowiedziałbym ci, jak na tą sprawę zapatrują się kapłani...

— Ależ, rozumie się, mów...

— Otóż jeden wielce mądry kapłan, który ze szczytu świątyni Amona zajmuje się dostrzeganiem niebieskich obrotów, wymyślił taką przypowieść.

Faraon jest słońcem, a następca tronu księżycem. Gdy za świetlanym bogiem z daleka posuwa się księżyc, mamy jasność we dnie i jasność w nocy. Gdy księżyc chce być zanadto blisko słońca, wówczas znika sam i noce są ciemne. Ale jeżeli zdarzy się tak, że księżyc stanie przed słońcem, wtedy robi się zaćmienie, wielki popłoch dla świata.

— I — wszystkie te paplaniny — przerwał Ramzes — dochodzą do uszu jego świątobliwości?... Biada głowie mojej!... Bodajbym nigdy nie był synem królewskim!...

— Faraon, jako bóg ziemski, wie o wszystkim; ale jest zanadto potężny, aby miał zważać na pijackie okrzyki żołnierstwa albo na szepty chłopów. On rozumie, że każdy Egipcjanin odda za niego życie, a ty najpierwej.

— Prawdę rzekłeś!... — odparł stroskany książę. — W tym wszystkim jednak widzę nową nikczemność i obłudę kapłanów — dodał, ożywiając się. — Więc to ja zasłaniam majestat pana naszego, bo uwalniam niewinnych z więzienia albo nie pozwalam memu dzierżawcy dręczyć chłopów niesprawiedliwym podatkiem?... Ale kiedy jego dostojność Herhor rządzi armią, mianuje dowódców, układa się z obcymi książęty[110], a memu ojcu każe spędzać dni na modlitwach...

Tutmozis zasłonił uszy i tupiąc nogami zawołał:

— Milcz już, milcz!... każde twoje słowo jest bluźnierstwem... Państwem rządzi tylko jego świątobliwość, i cokolwiek dzieje się na ziemi, pochodzi z jego woli. Herhor zaś jest sługą faraona i robi to, co mu pan każe... Kiedyś sam przekonasz się... Oby słowa moje nie były źle zrozumiane!...

Książę tak sposępniał, że Tutmozis przerwał rozmowę i czym prędzej pożegnał przyjaciela. Gdy wsiadł do swej łódki, opatrzonej baldachimem i firankami, głęboko odetchnął i wypiwszy spory kielich wina, począł rozmyślać:

„Brr!... dziękuję bogom, że nie dali mi takiego charakteru, jaki ma Ramzes. Jest to najnieszczęśliwszy człowiek w najszczęśliwszych warunkach... Mógłby mieć najpiękniejsze kobiety z Memfisu, a pilnuje się jednej, aby dokuczyć matce! Tymczasem on nie matce dokucza, ale tym wszystkim cnotliwym dziewicom i wiernym żonom, które usychają z tęsknoty, że następca tronu, a w dodatku prześliczny chłopak, nie odbiera im cnoty albo nie zmusza do niewierności. Mógłby nie tylko pić, ale nawet kąpać się w najlepszym winie, a tymczasem woli nędzne piwo żołnierskie i suchy placek natarty czosnkiem. Skąd te chłopskie upodobania? nie rozumiem. Chyba czcigodna pani Nikotris w najniebezpieczniejszym czasie zapatrzyła się na jedzących robotników?...

Mógłby też od świtu do nocy nic nie robić. Gdyby chciał, nawet karmiliby go najznakomitsi panowie, ich żony, siostry i córki. Lecz on nie tylko sam wyciąga rękę po jadło, ale jeszcze na utrapienie szlachetnej młodzieży sam się myje, sam się ubiera, a jego fryzjer po całych dniach łapie ptaki w sidła i marnuje zdolności.

O Ramzesie! Ramzesie!... — westchnął elegant. — Czy podobna, ażeby przy takim księciu rozwinęła się moda?... My przecie od roku nosimy takie same fartuszki, a peruki utrzymują się tylko dzięki dworskim dygnitarzom, bo Ramzes wcale peruk nie chce nosić, co jest wielkim poniżeniem dla szlacheckiego stanu.

A wszystko to... brr!... robi przeklęta polityka... O, jak szczęśliwy jestem, że nie potrzebuję zgadywać: co myślą w Tyrze albo Niniwie, troszczyć się o żołd dla wojska, rachować: ilu ludzi przybyło czy ubyło Egiptowi i jakie można wybrać podatki? Straszna rzecz powiedzieć sobie, że mój chłop nie tyle mi płaci, ile ja potrzebuję i wydaję, lecz — na ile pozwala przybór Nilu. Ojciec Nil przecie nie pyta moich wierzycieli: co ja im jestem winien?..."

Tak rozmyślał wykwintny Tutmozis i złotym winem krzepił stroskanego ducha. A zanim czółno przypłynęło do Memfis, zmógł go tak ciężki sen, że niewolnicy musieli swego pana do lektyki przenieść na rękach.

[110] *książęty* — dziś popr.: książętami.

Po odejściu Tutmozisa, które wyglądało na ucieczkę, następca tronu głęboko zamyślił się, nawet poczuł trwogę.

Wiara, Wierzenia, Pobożność, Świętokradztwo

Książę był sceptykiem, jako wychowaniec najwyższych szkół kapłańskich i członek najwyższej arystokracji. Wiedział, że gdy jedni kapłani przez wielomiesięczne posty i umartwienia sposobią się do wywoływania duchów, inni — nazywają duchy przywidzeniem albo oszustwem. Widywał też, że święty wół, Apis, przed którym padał na twarz cały Egipt, dostawał nieraz tęgie kije od najniższych kapłanów, którzy mu podawali paszę i podstawiali krowy.

Rozumiał wreszcie, że jego ojciec, Ramzes XII, który dla pospólstwa był wiecznie żyjącym bogiem i wszechwładnym panem świata, jest naprawdę takim jak inni człowiekiem, tylko trochę więcej schorowanym niż inni starcy i bardzo ograniczonym przez kapłanów.

Wszystko to wiedział książę i z wielu rzeczy drwił w duchu, a nawet publicznie. Lecz cały jego libertynizm upadał wobec faktycznej prawdy, że — z tytułów faraona żartować nie wolno nikomu!...

Zdrada

Ramzes znał historię swego kraju i pamiętał, że w Egipcie wiele rzeczy przebaczono wielkim. Wielki pan mógł zepsuć kanał, zabić ukradkiem człowieka, drwić po cichu z bogów, brać prezenta[111] od posłów obcych mocarstw... Ale dwa grzechy były nieodpuszczalne: zdrada kapłańskich tajemnic i zdrada faraona. Człowiek, który popełnił jedno lub drugie, znikał, czasami po upływie roku, spośród sług i przyjaciół. Ale gdzie się podziewał i co się z nim działo?... o tym nawet mówić nie śmiano.

Otóż Ramzes czuł, że znajduje się na podobnej pochyłości, od czasu gdy wojsko i chłopi zaczęli wymawiać jego imię i rozprawiać o jakowychś jego planach, zmianach w państwie i przyszłych wojnach. Myśląc o tym, książę doznawał wrażenia, że jego, następcę tronu, bezimienny tłum nędzarzy i buntowników gwałtem pcha na szczyt najwyższego obelisku, skąd można tylko zlecieć i rozbić się na miazgę.

Później, gdy po najdłuższym życiu ojca zostanie faraonem, będzie miał prawo i środki dokonać wielu takich czynów, o których nikt w Egipcie nie pomyślałby bez zgrozy. Ale dziś musi naprawdę strzec się, aby go nie uznano za zdrajcę i buntownika przeciw zasadniczym ustawom państwa.

W Egipcie był jeden jawny władca: faraon. On rządził, on chciał, on myślał za wszystkich, i biada temu, kto ośmieliłby się wątpić głośno o wszechpotędze faraona albo mówić o jakichś swoich zamiarach czy choćby o zmianach w ogóle.

Plany robiły się tylko w jednym miejscu: w sali, gdzie faraon słuchał zdań członków rady przybocznej i wypowiadał jej swoje opinie. Wszystkie też zmiany mogły wyjść tylko stamtąd. Tam płonęła jedyna widoczna lampa mądrości państwowej, której blask oświetlał cały Egipt. Ale i o tym bezpieczniej było milczeć.

Wszystkie te uwagi z szybkością wichru przelatywały przez głowę następcy, gdy siedział na kamiennej ławce ogrodu Sary, pod kasztanem, i patrzył na otaczający go krajobraz.

Woda Nilu już odrobinę opadła i poczęła robić się przezroczystą jak kryształ. Ale jeszcze cały kraj wyglądał niby zatoka morska gęsto usiana wyspami, na których wznosiły się budynki, ogrody warzywne i owocowe, a gdzieniegdzie kępy drzew wielkich, służących do ozdoby.

Dokoła wszystkich tych wysp widać było żurawie z kubłami, za pomocą których nadzy ludzie miedzianej barwy, w brudnych przepaskach i czepkach, czerpali wodę z Nilu i kolejno wlewali ją do coraz wyżej położonych studzien.

Szczególniej jedna taka miejscowość odbiła się w pamięci Ramzesa. Był to stromy pagórek, na którego zboczu pracowały trzy żurawie: jeden wlewał wodę z rzeki do studni najniższej; drugi czerpał z najniższej i podnosił o parę łokci wyżej, do studni średniej; trzeci ze średniej przelewał wodę w studnię najwyższą, położoną już na szczycie pagórka. Tam zaś kilku równie nagich ludzi czerpało wodę konwiami i polewało zagony jarzyn albo za pomocą ręcznych sikawek skrapiało drzewa.

Praca, Robotnik

Ruchy żurawi, zniżających się i podnoszących, nachylenia kubłów, wytryski sikawek były tak rytmiczne, że ludzi, którzy je wywoływali, można było uważać za automaty.

[111] *prezenta* — dziś popr.: prezenty.

Żaden z nich nie przemówił do swego sąsiada, nie zmienił miejsca, nie obejrzał się, tylko pochylał się i wyprostowywał zawsze w ten sam sposób od rana do wieczora, od miesiąca do miesiąca, a zapewne od dzieciństwa do śmierci.

„I to takie twory — myślał książę, patrząc na pracę rolników — takie twory chcą zrobić mnie wykonawcą swoich przywidzeń!... Jakich zmian mogą oni żądać w państwie? Chyba, ażeby ten, kto czerpie wodę do niższej studni, przeszedł do wyższej albo zamiast polewać grzędy kubłem, skrapiał drzewa sikawką?..."

Gniew bił mu do głowy, a upokorzenie przygniatało go na myśl, że on, następca tronu, dzięki bajkom takich oto istot, całe życie kiwających się nad studniami mętnej wody, nie został namiestnikiem!

W tej chwili usłyszał między drzewami cichy szelest i — delikatne ręce oparły się na jego ramionach.

— Cóż, Saro? — spytał książę, nie odwracając głowy.

— Smutny jesteś, panie mój?... — odparła. — Nie tyle ucieszył się Mojżesz widokiem ziemi obiecanej, ile ja, gdyś powiedział, że sprowadzasz się tu, aby ze mną mieszkać. Lecz już dobę jesteśmy razem, a jeszcze nie widziałam twego uśmiechu. Nawet nie mówisz do mnie, ale chodzisz ponury, a w nocy nie pieścisz mnie, tylko wzdychasz.

— Mam zmartwienie.

— Powiedz mi je. Zgryzota jest jak skarb dany do przechowania. Póki strzeżemy jej sami, nawet sen ucieka od nas i dopiero wtedy robi się lżej, gdy znajdziemy drugiego stróża.

Ramzes objął ją i posadził przy sobie na ławce.

— Kiedy chłop — rzekł z uśmiechem — nie zdąży przed wylewem zebrać z pola, żona mu pomaga. Ona pomaga mu też doić krowy, nosi mu jadło za dom, myje go, gdy wróci od pracy. Stąd urosła wiara, że kobieta może ulżyć kłopotów mężczyźnie.

— Ty w to nie wierzysz, panie?...

— Książęcym troskom — odparł Ramzes — nie poradzi kobieta, nawet tak mądra i władna jak moja matka...

— Przebóg! jakież one są, powiedz mi? — nalegała Sara, tuląc się do ramienia następcy. — Według naszych podań, Adam opuścił raj dla Ewy; a przecie on był chyba największym królem najpiękniejszego królestwa...

Książę zamyślił się, po chwili zaczął:

— I nasi mędrcy uczą, że niejeden mężczyzna wyrzekł się dostojeństw dla kobiety. Ale nie słychać, ażeby który zyskał co wielkiego przez kobietę; chyba jaki wódz, któremu faraon oddał córkę wraz z dużym posagiem i urzędem. Ale pomóc do wydźwignięcia się czy to na wyższe stanowisko, czy choćby tylko z kłopotów, kobieta nie potrafi.

— Bo może nie kocha jak ja ciebie, panie... — szepnęła Sara.

— Wiem, że mnie kochasz na podziw... Nigdy nie żądałaś ode mnie darów ani opiekowałaś się takimi, którzy nie wahają się szukać kariery nawet pod łóżkami kochanek książęcych. Jesteś łagodniejsza od jagnięcia i cicha jak noc nad Nilem; pocałunki twoje są jak wonności z kraju Punt, a uścisk twój słodki jak sen strudzonego. Nie mam miary na twoją piękność ani słów na zalety. Jesteś dziwowiskiem między kobietami, których wargi są pełne niepokoju, a miłość kosztuje drogo. Lecz przy całej doskonałości swojej, w czym ty możesz ulżyć mym troskom? Czy sprawisz, aby jego świątobliwość zrobił wielką wyprawę na Wschód, a mnie mianował wodzem? Czy dasz mi choć aby korpus Menfi, o który prosiłem, albo uczynisz mnie w imieniu faraona rządcą nad Dolnym Egiptem? A czy sprawisz, aby wszyscy poddani jego świątobliwości myśleli i czuli jak ja, jego najwierniejszy?...

Sara spuściła ręce na kolana i smutnie szeptała:

— To prawda, że nie mogę... Nic nie mogę!...

— Owszem, wiele możesz... możesz mnie rozweselić — odparł uśmiechając się Ramzes. — Wiem, że uczyłaś się tańczyć i grać. Zdejm więc te powłóczyste szaty, które przystoją kapłankom pilnującym ognia, i ubierz się w przejrzysty muślin, jak... tancerki fenickie... I tak tańcz, i tak mnie pieść jak one...

Sara schwyciła go za ręce i z płomieniami w oczach krzyknęła:

— Ty wdajesz się z takimi wszetecznicami?... Powiedz... niech się dowiem o mojej nędzy... A potem odeślij mnie do ojca, w naszą dolinę pustynną, w której obym cię nie była ujrzała!...

— No, no... uspokój się — mówił książę, bawiąc się jej włosami. — Muszę przecież widywać tancerki, jeżeli nie przy ucztach, to na uroczystościach królewskich albo podczas nabożeństw w świątyni. Ale one wszystkie razem nie obchodzą mnie tyle co ty jedna, wreszcie... któraż z nich mogłaby dorównać tobie? Ty masz ciało jak posąg Izydy rzeźbiony z kości słoniowej, a z tamtych każda ma jakąś skazę. Jedne są zbyt tłuste, inne mają chude nogi albo brzydkie ręce, a jeszcze inne noszą przyprawne[112] włosy. Któraż z nich jest jak ty?... Gdybyś była Egipcjanką, wszystkie świątynie ubiegałyby się, aby posiadać cię za przodownicę swych chórów. Co mówię, gdybyś teraz ukazała się w Memfisie w przejrzystej sukni, kapłani pogodziliby się z tobą, byleś chciała przyjmować udział w procesjach. Uroda

— Nam, córkom Judy, nie wolno nosić nieskromnych sukien...

— Ani tańczyć, ani śpiewać?... Po cóżeś się tego uczyła?

— Tańczą nasze kobiety i dziewczęta same ze sobą, na chwałę Panu, nie zaś po to, aby w męskich sercach zasiewać ogniste ziarna pożądliwości. A śpiewamy... Zaczekaj, panie mój, ja ci zaśpiewam.

Podniosła się z ławki i odeszła w stronę domu. Wkrótce ukazała się z powrotem. Za nią młoda dziewczyna, o wylęknionych czarnych oczach, niosła arfę.

— Co to za dziewczyna? — spytał książę. — Czekaj no, ja gdzieś widziałem to spojrzenie?... Aha, kiedym tu był ostatnim razem, ta wystraszona dziewczyna przypatrywała mi się z krzaków...

— To moja krewna i służebnica, Ester — odparła Sara. — Mieszka u mnie już miesiąc, ale boi się was, panie, więc zawsze ucieka. Może być, że kiedy przypatrywała się wam spomiędzy krzaków.

— Możesz odejść, moje dziecko — rzekł książę do skamieniałej dziewczyny. A gdy skryła się za drzewami, dodał: — Ona także Żydówka?... A tenże stróż twego domu, który również patrzy na mnie jak baran na krokodyla? Żyd

— To jest Samuel, syn Ezdreasza, także mój krewny. Wzięłam go na miejsce Murzyna, któremuś, panie, dał wolność. Wszak, pozwoliłeś mi wybierać sługi?...

— Ależ tak. To już chyba i dozorca parobków jest Żydem, bo ma żółtą cerę i również patrzy tak pokornie, jak by żaden Egipcjanin nie potrafił.

— Tamten — odpowiedziała Sara — jest Ezechiel, syn Rubena, krewny mego ojca. Czy nie podoba ci się, mój panie?... To są bardzo wierni słudzy twoi.

— Czy podoba mi się! — rzekł markotny książę, bębniąc palcami w ławkę. — On nie po to tu jest, ażeby mi się podobał, lecz aby pilnował twego dobra... Nic mnie zresztą nie obchodzą ci ludzie... Śpiewaj, Saro.

Sara klękła na murawie u stóp księcia i wziąwszy na arfie parę akordów, zaczęła:

— Gdzież jest ten, który by nie miał troski? Gdzie ten, który zabierając się do snu, miałby prawo rzec: oto dzień, który spędziłem bez smutku? Gdzie człowiek, który by kładąc się do grobu powiedział: życie moje upłynęło bez boleści i trwogi jak pogodny wieczór nad Jordanem.

Lecz jakże wielu takich, którzy co dzień chleb swój oblewają łzami, a ich dom pełen westchnień.

Płacz jest pierwszym głosem człowieka na tej ziemi, a jęk ostatnim pożegnaniem. Pełen strapienia wchodzi w życie, pełen żalu zstępuje na miejsce odpoczynku, a nikt go nie pyta, gdzie by chciał zostać?

Gdzież jest ten, który nie zaznał goryczy bytu? Azali[113] jest nim dziecię, którego matkę śmierć porywa, albo niemowlę, któremu przynależną pierś głód wyssał pierwej, nim zdążyło przyłożyć usta swoje?

Gdzie jest człowiek pewny losu, który niezmrużonym okiem wyglądałby swego jutra? Czy ten, co pracując na roli, wie, że nie w jego mocy jest deszcz i nie on wskazuje drogę

[112] *przyprawny* (daw.) — sztuczny, dodatkowy.
[113] *azali* (daw.) — czy, czyż.

szarańczy? Czy kupiec, który bogactwo swe oddaje wiatrom, nie wiadomo skąd przychodzącym, a życie powierza fali nad głębią, która wszystko pochłania i nic nie zwraca?

Kondycja ludzka, Szczęście

Gdzie jest człowiek bez niepokoju w duszy? Jestli[114] nim myśliwiec, który goni prędką sarnę, a spotyka na swej drodze lwa śmiejącego się ze strzały? Jestli nim żołnierz, który w utrudzeniu idzie do sławy, a znajduje las ostrych włóczni i miecze ze spiżu, krwi łaknące? Jestli nim wielki król, który pod purpurą nosi ciężką zbroję, bezsennym okiem śledzi zastępy przemożnych sąsiadów, a uchem chwyta szmer kotary, aby we własnym namiocie nie powaliła go zdrada?

Przetoż serce ludzkie na każdym miejscu i o każdej porze jest przepełnione tęsknością. W pustyni grozi mu lew i skorpion, w jaskiniach smok, między kwiatami żmija jadowita. Przy słońcu chciwy sąsiad rozmyśla, jakby umniejszyć mu ziemi, w nocy przebiegły złodziej maca drzwi do jego komory. W dzieciństwie jest niedołężny, w starości pozbawiony mocy, w pełni sił okrążony niebezpieczeństwem jak wieloryb przepaścią wodną.

Przetoż, o Panie, Stworzycielu mój, ku Tobie zwraca się umęczona dusza ludzka. Tyś ją wywiódł na ten świat pełen zasadzek, Tyś w niej zaszczepił trwogę śmierci, Tyś zamknął wszelkie drogi spokoju, wyjąwszy tej, która do Ciebie prowadzi. A jak dziecię stąpać nie umiejące chwyta się szat matki, aby nie upaść, tak mizerny człowiek wyciąga ręce do Twego miłosierdzia i wydobywa się z niepewności.

Sara umilkła, książę zamyślił się i rzekł po chwili:

— Wy, Żydzi, jesteście naród posępny. Gdyby w Egipcie tak wierzono, jak uczy wasza pieśń, nikt nie śmiałby się nad brzegami Nilu. Możni ukryliby się ze strachu w podziemiach świątyń, a lud, zamiast pracować, uciekłby do jaskiń i stamtąd wyglądał zmiłowania, które by zresztą nie nadeszło.

Nasz świat jest inny: wszystko w nim można mieć, ale wszystko trzeba zrobić samemu. I nasi bogowie nie pomagają mazgajom. Schodzą na ziemię dopiero wówczas, gdy bohater, który odważył się na czyn nadludzki, wyczerpie wszystkie siły. Tak było z Ramzesem Wielkim, gdy rzucił się między dwa tysiące pięćset nieprzyjacielskich wozów, z których każdy dźwigał trzech wojowników. Dopiero wtedy nieśmiertelny ojciec Amon podał mu rękę i dokończył pogromu. Lecz gdyby, zamiast walczyć, zaczął czekać na opiekę waszego boga, już dawno nad brzegami Nilu Egipcjanin chodziłby tylko z kubłem i cegłą, a nędzni Hetyci z papirusami i kijmi[115]!

Dlatego, Saro, prędzej twoje wdzięki aniżeli twoja pieśń rozproszy moją troskę. Gdybym tak poczynał sobie, jak uczą żydowscy mędrcy, i czekał na pomoc z nieba, wino uciekałoby od moich ust, a kobiety od moich domów.

Nade wszystko zaś nie mógłbym być następcą faraona jak moi przyrodni bracia, z których jeden nie przejdzie pokoju bez oparcia się na dwu niewolnikach, a drugi skacze po drzewach.

ROZDZIAŁ XV

Na następny dzień Ramzes wysłał swego Murzyna z rozkazami do Memfis, a około południa od strony miasta do folwarku Sary przybiła duża łódź, napełniona greckim żołnierstwem w wysokich hełmach i połyskliwych pancerzach.

Na komendę, szesnastu ludzi uzbrojonych w tarcze i krótkie włócznie wysiadło na brzeg i uszykowało się we dwa szeregi. Już mieli maszerować do domu Sary, gdy zatrzymał ich drugi posłaniec księcia, który rozkazał żołnierzom zostać na brzegu, a tylko naczelnego ich wodza, Patroklesa, wezwał do następcy tronu.

Stanęli i stali bez ruchu jak dwa rzędy kolumn obitych błyszczącą blachą. Za posłańcem poszedł Patrokles, w hełmie z piórami i purpurowej tunice, na której miał złotą zbroję, ozdobioną na piersiach wizerunkiem głowy kobiecej najeżonej wężami, zamiast włosów.

Książę przyjął znakomitego jenerała w bramie ogrodu. Nie uśmiechnął się jak zwykle, nawet nie odpowiedział na niski ukłon Patroklesa, lecz z chłodną twarzą rzekł:

— Powiedz, wasza dostojność, greckim żołnierzom z moich pułków, że nie będę z nimi odbywał musztry, dopóki jego świątobliwość nasz pan nie mianuje mnie po raz drugi

[114] *jestli* (daw.) — czy jest; czyż jest.
[115] *kijmi* — dziś popr.: kijami.

ich wodzem. Zaszczyt ten utracili, wydając po szynkowniach godne pijaków okrzyki, które mnie obrażają. Zwracam też uwagę waszej dostojności, że greckie pułki są nie dość karne. W miejscach publicznych żołnierze tego korpusu rozprawiają o polityce, a mianowicie o jakiejś możliwej wojnie, co wygląda na zdradę stanu. O tych rzeczach mówić może tylko jego świątobliwość faraon i członkowie najwyższej rady. My zaś, żołnierze i sługi pana naszego, jakiekolwiek zajmujemy stanowiska, możemy tylko wykonywać rozkazy najmiłościwszego władcy i — zawsze milczeć. Proszę, abyś, wasza dostojność, uwagi te zakomunikował moim pułkom, i życzę waszej dostojności wszelkiego powodzenia.

— Będzie tak, jak powiedziałeś, wasza dostojność — odparł Grek. Obrócił się na pięcie i wyprostowany poszedł z chrzęstem do swojej łodzi.

Wiedział on o rozprawach żołnierzy w szynkowniach, a w tej chwili zrozumiał, że stała się jakaś przykrość następcy tronu, którego wojsko ubóstwiało. Gdy więc dosięgnął stojącej nad brzegiem garstki zbrojnych, przybrał minę bardzo zagniewaną i wściekle machając rękoma zawołał:

— Waleczni żołnierze greccy!... — parszywe psy, oby was trąd stoczył... Jeżeli od tej pory którykolwiek Grek wymówi w szynku imię następcy tronu, rozbiję mu dzban o łeb, a skorupy wpakuję do gardła i — won z pułku!... Będziesz jeden z drugim świnie pasł u egipskiego chłopa, a w twoim hełmie kury będą składały jaja. Taki los czeka głupich żołdaków, którzy nie umieją powściągać swego języka. A teraz — lewo — w tył — zwrot! — i marsz na czółno, bodaj was mór pobił! Żołnierz jego świątobliwości powinien przede wszystkim pić za zdrowie faraona i pomyślność dostojnego ministra wojny Herhora. Oby żyli wiecznie!...

— Niech żyją wiecznie!... — powtórzyli żołnierze.

Wszyscy siedli na statek pochmurni. Ale około Memfisu Patrokles rozpogodził zmarszczone czoło i kazał zaśpiewać pieśń o córce kapłana, która tak lubiła wojsko, że do łóżka kładła lalkę, a sama całą noc przepędzała w budce szyldwachów.

W takt tej pieśni najlepiej maszerowało się i najraźniej uderzały wiosła.

Nad wieczorem do folwarku Sary przybiła druga łódź, z której wysiadł naczelny rządca dóbr Ramzesa.

Książę i tego dostojnika przyjął w bramie ogrodowej. Może przez surowość, a może — aby nie zmuszać go do wchodzenia w dom swojej nałożnicy i Żydówki.

— Chciałem — rzekł następca — zobaczyć się z tobą i powiedzieć, że między moim chłopstwem krążą jakieś nieprzystojne gadaniny o zniżeniu podatków czy o czymś takim... Pragnę, ażeby dowiedzieli się chłopi, że ja im podatków nie zmniejszę. Jeżeli zaś który, mimo ostrzeżeń, uprze się w swej głupocie i będzie rozprawiał o podatkach, dostanie kije...

— Może lepiej, aby zapłacił karę... Utena czy drachmę, jak rozkaże wasza dostojność — wtrącił naczelny rządca.

— Owszem, niech płaci karę... — odparł książę po chwilowym zawahaniu się.

— A teraz może by dać kije pewnej liczbie niesforniejszych, ażeby lepiej pamiętali miłościwy rozkaz?... — szepnął rządca.

— Owszem, można dać niesforniejszym kije.

— Ośmielam się zrobić uwagę waszej dostojności — szeptał wciąż pochylony rządca — że chłopi przez pewien czas istotnie mówili o zniesieniu podatków, buntowani przez jakiegoś nieznanego człowieka. Ale od paru dni nagle ucichli...

— No, więc w takim razie można im nie dawać kijów — zauważył Ramzes.

— Chyba w formie zapobiegawczej?... — wtrącił rządca.

— Czy nie szkoda kijów?

— Tego towaru nigdy nam nie zabraknie.

— W każdym razie... z umiarkowaniem — upominał go książę. — Nie chcę... nie chcę, ażeby do jego świątobliwości doszło, że bez potrzeby dręczę chłopów... Za buntownicze gawędy trzeba bić i ściągać kary pieniężne, ale gdy nie ma powodu, można okazać się wspaniałomyślnym.

— Rozumiem — odparł rządca, patrząc w oczy księciu. — Niech tyle krzyczą, ile potrzeba, ażeby nie szeptali bluźnierstw...

Obie te mowy: do Patroklesa i do rządcy, obiegły Egipt. Po odjeździe urzędnika książę ziewnął i oglądając się dokoła znudzonym wzrokiem, rzekł do siebie:

„Zrobiłem, com mógł... A teraz nic nie będę robił, o ile potrafię..."

W tej chwili od strony budynków folwarcznych doleciał księcia cichy jęk i gęste uderzenia. Ramzes odwrócił głowę i zobaczył, że dozorca parobków, Ezechiel, syn Rubena, wali kijem jednego ze swoich podwładnych, uspakajając go przy tym:

— A cicho! a milcz, ty podłe bydlę!...

Bity zaś parobek, leżąc na ziemi, zatykał ręką usta, aby nie krzyczeć.

Książę w pierwszej chwili rzucił się jak pantera w stronę budynków. Nagle stanął.

— Cóż mu zrobię?... — szepnął. — Przecież to folwark Sary, a ten Żyd jest jej krewnym...

Przygryzł usta i skrył się między drzewami, tym bardziej że egzekucja była już skończona.

„Więc to tak gospodarują pokorni Żydzi?... — myślał książę. — Więc to tak?... Na mnie patrzy jak wystraszony pies, a bije parobków?... Czy oni wszyscy tacy?..."

I pierwszy raz zbudziło się w duszy Ramzesa podejrzenie, że i Sara pod pozorami dobroci może ukrywać obłudę.

W Sarze istotnie zachodziły pewne zmiany, przede wszystkim moralne.

Od pierwszej chwili, kiedy spotkała księcia w pustynnej dolince, Ramzes podobał się jej. Lecz uczucie to naraz umilkło pod wpływem ogłuszającej wiadomości, że ten piękny chłopiec jest synem faraona i następcą tronu. Gdy zaś Tutmozis ułożył się z Gedeonem o zabranie jej do domu księcia, Sara wpadła w stan oszołomienia.

Za żadne skarby, za cenę życia nie wyrzekłaby się Ramzesa, lecz — nie można powiedzieć, ażeby go kochała w tej epoce. Miłość potrzebuje swobody i czasu do wydania najpiękniejszych kwiatów; jej zaś nie zostawiono ani czasu, ani swobody. Jednego dnia poznała księcia, nazajutrz porwano ją, prawie nie pytając o zdanie, i przeniesiono do willi za Memfisem. A w parę dni została kochanką, zdziwiona, przerażona, nie pojmująca, co się z nią dzieje.

Nadto, zanim zdążyła oswoić się z nowymi wrażeniami, zatrwożyła ją niechęć okolicznego ludu do niej, do Żydówki, potem wizyta jakichś nieznajomych pań, wreszcie napad na folwark.

To, że Ramzes ujął się za nią i chciał rzucić się na napastników, przestraszyło ją jeszcze bardziej. Traciła przytomność na myśl, że znajduje się w ręku tak gwałtownego i potężnego człowieka, który, gdyby mu się podobało, miał prawo przelewać cudzą krew, zabijać...

Sara na chwilę wpadła w rozpacz; zdawało się jej, że oszaleje, słysząc groźne rozkazy księcia, który wezwał do broni służbę. Lecz w tym samym momencie zdarzył się drobny wypadek, jedno słówko, które otrzeźwiło Sarę i nowy kierunek nadało jej uczuciom.

Książę myśląc, że jest raniona, zerwał jej z głowy opaskę, lecz zobaczywszy stłuczenie, zawołał:

„To tylko siniak?... Jak ten siniak zmienia twarz!..."

Wobec tego słówka Sara zapomniała o bólu i trwodze. Ogarnął ją nowy niepokój: więc ona zmieniła się tak, aż to zdziwiło księcia?... A on tylko zdziwił się!...

Siniak zniknął w parę dni, ale w duszy Sary pozostały i rozrosły się nie znane dotychczas uczucia. Poczęła być zazdrosną o Ramzesa i bać się, aby jej nie porzucił.

I jeszcze jedna dręczyła ją troska: że ona czuje się wobec księcia sługą i niewolnicą. Ona była i chciała być jego najwierniejszą sługą, najbardziej oddaną niewolnicą, nieodstępną jak cień. Ale jednocześnie pragnęła, aby on ją, przynajmniej w chwili pieszczot, nie traktował jak pan i władca.

Przecież ona była jego, a on jej. Z jakiej więc racji on nie okazuje, że należy do niej choć trochę, lecz każdym słowem i ruchem daje poznać, że dzieli ich jakaś przepaść... Jaka?... Alboż nie ona trzymała go w swoich objęciach? Alboż nie on całował jej usta i piersi?...

Pies

Pewnego dnia przypłynął do niej książę z psem. Bawił tylko parę godzin, ale przez cały ten czas pies leżał u nóg księcia, na miejscu Sary, a gdy ona chciała tam usiąść, warknął na nią... A książę śmiał się i tak samo zatapiał palce w kudłach nieczystego zwierzęcia jak i w jej włosach. I pies tak samo patrzył księciu w oczy jak ona, z tą chyba różnicą, że patrzył śmielej niż ona.

Nie mogła uspokoić się i znienawidziła mądre zwierzę, które jej zabierało część pieszczot, wcale nie dbając o nie i zachowując się wobec pana z taką poufałością, na jaką ona

zdobyć się nie śmiała. Nawet nie potrafiłaby mieć tak obojętnej miny albo patrzeć w inną stronę, gdy na jej głowie leżała ręka następcy.

Niedawno znowu książę wspomniał o tancerkach. Wówczas Sara wybuchła. Jak to, więc on pozwoliłby się pieścić tym nagim, bezwstydnym kobietom?... I Jehowa, widząc to z wysokiego nieba, na potworne kobiety nie rzucił gromu?...

Wprawdzie Ramzes powiedział, że ona mu jest droższa nad wszystkie. Ale słowa jego nie uspokoiły Sary; ten tylko wywarły skutek, że postanowiła nie myśleć już o niczym poza obrębem swojej miłości.

Co będzie jutro?... o to mniejsza. A kiedy u nóg księcia śpiewała pieśń o utrapieniach, od kolebki do grobu ścigających ród ludzki, wypowiedziała w niej stan własnej duszy i swoją ostatnią nadzieję — w Bogu.

Na dziś Ramzes był przy niej, więc ma dosyć; ma wszystkie szczęścia, jakie jej mogło dać życie. Ale tu właśnie zaczęła się dla Sary najcięższa gorycz.

Książę mieszkał z nią pod jednym dachem, chodził z nią po ogrodzie, czasem brał do łódki i woził ją po Nilu. Ale ani na jeden włos nie stał się dla niej dostępniejszy niż wówczas, gdy był po drugiej stronie rzeki, w obrębie królewskiego parku.

Był z nią, ale myślał o czym innym, a Sara nawet odgadnąć nie mogła — o czym. Obejmował ją albo bawił się jej włosami, ale patrzył w stronę Memfisu, na ogromne pylony zamku faraona albo — nie wiadomo gdzie.

Czasem nawet nie odpowiadał na jej pytania albo nagle spojrzał na nią jak zbudzony, jakby dziwił się, że ją widzi obok siebie.

ROZDZIAŁ XVI

Tak wyglądały, zresztą dość rzadkie, chwile największego zbliżenia między Sarą i jej książęcym kochankiem. Wydawszy bowiem rozkazy Patroklesowi i naczelnemu rządcy dóbr, następca tronu większą część dnia przepędzał za folwarkiem, zazwyczaj na czółnie. I albo płynąc po Nilu chwytał siatką ryby, które tysiącami uwijały się w błogosławionej rzece; albo dostawał się na moczary i ukryty między wysokimi łodygami lotosów strzelał z łuku do dzikiego ptactwa, którego krzykliwe stada krążyły gęsto jak muchy. Lecz i wówczas nie opuszczały go myśli ambitne; więc z polowania zrobił sobie rodzaj kabały czy wróżby. Nieraz, widząc stado żółtych gęsi na wodzie, naciągał łuk i mówił:

— Jeżeli trafię, będę kiedyś jako Ramzes Wielki...

Pocisk cicho świsnął i przeszyty ptak trzepocząc skrzydłami wydawał tak bolesne krzyki, że na całym moczarze robił się ruch. Chmury gęsi, kaczek i bocianów porywały się w górę i zatoczywszy wielkie koło nad umierającym towarzyszem, spadały w inne miejsca.

Gdy ucichło, książę ostrożnie przesuwał łódkę dalej, kierując się chwianiem trzcin i urywanymi głosami ptaków. A gdy między zielonością spostrzegł płat czystej wody i nowe stado, znowu naciągał łuk i mówił:

— Jeżeli trafię, będę faraonem. — Jeżeli nie trafię...

Strzała tym razem uderzyła w wodę i odbiwszy się kilka razy od jej powierzchni znikła między lotosami. A roznamiętniony książę wypuszczał coraz nowe pociski, zabijając ptaki lub tylko płosząc stada. Z folwarku poznawano, gdzie jest, po wrzeszczących chmurach ptactwa, które co chwila zrywało się i krążyło nad jego łodzią.

Gdy nad wieczorem zmęczony wracał do willi, Sara już czekała w progu z miednicą wody, dzbanem lekkiego wina i wieńcami róż. Książę uśmiechał się do niej, głaskał po twarzy, lecz patrząc w jej pełne tkliwości oczy myślał:

„Ciekawym, czy ona potrafiłaby bić egipskich chłopów jak jej zawsze wylęknieni krewni?... O, moja matka ma słuszność, nie ufając Żydom, choć — Sara może być inna..."

Raz, wróciwszy niespodzianie, zobaczył na dziedzińcu przed domem bardzo liczną gromadę nagich dzieci, wesoło bawiących się. Wszystkie były żółte i na jego widok rozbiegły się z krzykiem jak dzikie gęsi na moczarze. Nim wszedł na taras domu, znikły, że nawet śladu nie zostało.

— Cóż to za drobiazg — spytał Sary — który tak przede mną ucieka?

— To dzieci twoich sług — odparła.

— Żydów?

— Moich braci...

— Bogowie! jakże mnożnym jest ten naród — roześmiał się książę. — A któż jest ten znowu?... — dodał wskazując na człowieka, który lękliwie wyglądał zza muru.

— To Aod, syn Baraka, mój krewny... On chce służyć tobie, panie. Czy mogę go przyjąć?...

Książę wzruszył ramionami.

— Twój jest folwark — odparł — możesz przyjmować wszystkich, kogo zechcesz. Tylko, jeżeli ci ludzie będą się tak mnożyli, niedługo opanują Memfis...

— Nie cierpisz braci moich?... — szepnęła Sara, z trwogą patrząc na Ramzesa i obsuwając mu się do nóg.

Książę zdziwiony spojrzał na nią.

— Ja o nich nawet nie myślę — odparł dumnie.

Drobne te zajścia, które ognistymi kroplami padały na duszę Sary, nie zmieniły dla niej Ramzesa. Zawsze był jednakowo życzliwy i pieścił ją jak zwykle, choć coraz częściej jego oczy biegły na drugą stronę Nilu i opierały się na potężnych pylonach zamku.

Wnet spostrzegł, że nie tylko on tęskni na swoim dobrowolnym wygnaniu. Pewnego dnia bowiem od tamtego brzegu odbiła strojna barka królewska, przepłynęła Nil w stronę Memfisu, a potem zaczęła krążyć tak blisko folwarku, że Ramzes mógł poznać osoby siedzące w niej.

Jakoż poznał pod purpurowym baldachimem swoją matkę między dworskimi damami, a naprzeciw niej, na niskiej ławce, namiestnika Herhora. Wprawdzie nie patrzyli na folwark, ale książę zgadł, że go widzą.

„Aha! — pomyślał, śmiejąc się. — Moja czcigodna matka i jego dostojność minister radzi by wywabić mnie stąd przed powrotem jego świątobliwości..."

Nadszedł miesiąc Tobi, koniec października i początek listopada. Nil opadł na wysokość półtora człowieka, co dzień odsłaniając nowe płaty czarnej, grząskiej ziemi. Gdziekolwiek ustąpiły wody, zaraz w tym miejscu ukazywała się wąska socha ciągniona przez dwa woły. Za sochą szedł nagi oracz, obok wołów poganiacz z krótkim batem, a za nim siewca, który brnąc po kostki w mule niósł w fartuchu pszenicę i rzucał ją pełnymi garściami.

Zaczynała się dla Egiptu najpiękniejsza pora roku — zima. Ciepło nie przechodziło piętnastu stopni, ziemia szybko pokrywała się szmaragdową zielonością, spomiędzy której wytryskały narcyzy i fiołki. Woń ich coraz częściej odzywała się wśród surowego zapachu ziemi i wody.

Już kilka razy statek, niosący czcigodną panią Nikotris i namiestnika Herhora, ukazywał się w pobliżu mieszkania Sary. Za każdym razem książę widział matkę swoją wesoło rozmawiającą z ministrem i przekonywał się, że w ostentacyjny sposób nie patrzą w jego stronę, jakby mu chcieli okazać lekceważenie.

— Poczekajcie! — szepnął rozgniewany następca — przekonam was, że i ja się nie nudzę...

Gdy więc jednego dnia, niedługo przed zachodem słońca, ukazała się na tamtym brzegu złocona łódź królewska, której purpurowy namiot zdobiły w rogach strusie pióra, Ramzes kazał przygotować czółno na dwie osoby i powiedział Sarze, że z nią popłynie.

— Jehowo! — zawołała, składając ręce. — Ależ tam jest wasza matka i namiestnik.

— A tu będzie następca tronu. Weź twoją arfę, Saro.

— Jeszcze i arfę?... — zapytała drżąc. — A jeżeli wasza czcigodna matka zechce mówić z tobą?... Chyba rzucę się w wodę!...

— Nie bądź dzieckiem, Saro — odparł śmiejąc się książę. — Jego dostojność namiestnik i moja matka bardzo lubią śpiew. Możesz więc nawet zjednać ich, jeżeli zaśpiewasz jaką ładną pieśń żydowską. Niech tam będzie co o miłości...

— Nie umiem takiej — odpowiedziała Sara, w której słowa księcia zbudziły otuchę. Może naprawdę jej śpiew podoba się potężnym władcom, a wówczas?...

Na dworskim statku spostrzeżono, że następca tronu siada z Sarą do prostej łodzi i nawet sam wiosłuje.

— Czy widzisz, wasza dostojność — szepnęła królowa do ministra — że on wypływa naprzeciw nam ze swoją Żydówką?...

— Następca znalazł się tak poprawnie w stosunku do swoich żołnierzy i chłopów i okazał tyle skruchy, usuwając się z granic pałacu, że wasza cześć możesz mu przebaczyć to drobne uchybienie — odparł minister.

— O, gdyby nie on siedział w tej łupince, kazałabym ją rozbić!... — rzekła z gniewem dostojna pani.

— Po co? — spytał minister. — Książę nie byłby potomkiem arcykapłanów i faraonów, gdyby nie szarpał tych wędzideł, jakie, niestety! narzuca mu prawo lub nasze, być może błędne, zwyczaje. W każdym razie dał dowód, że w ważnych wypadkach umie panować nad sobą. Nawet potrafi uznać własne uchybienia, co jest przymiotem rzadkim, a nieocenionym u następcy tronu.

To samo zaś, że książę chce nas drażnić swoją ulubienicą, dowodzi, że boli go niełaska, w jakiej znalazł się, zresztą z najszlachetniejszych pobudek.

— Ale ta Żydówka!... — szeptała pani, mnąc wachlarz z piór.

— Już dziś jestem o nią spokojny — mówił minister. — Jest to ładne, ale głupiutkie stworzenie, które ani myśli, ani potrafiłoby wyzyskać wpływu nad księciem. Nie przyjmuje prezentów i nawet nie widuje nikogo, zamknięta w swojej niezbyt kosztownej klatce. Z czasem może nauczyłaby się korzystać ze stanowiska książęcej kochanki i choćby tylko zubożyć skarb następcy o kilkanaście talentów. Nim to jednak nastąpi, Ramzes znudzi się nią...

— Bodajby przez twoje usta przemawiał Amon wszystkowiedzący.

— Jestem tego pewny. Książę ani przez chwilę nie szalał za nią, jak się to trafia naszym paniczom, którym jedna zręczna intrygantka może odebrać majątek, zdrowie, a nawet zaprowadzić ich do sali sądowej. Książę bawi się nią jak dojrzały człowiek niewolnicą. Że zaś Sara jest brzemienna...

— Czy tak?... — zawołała pani. — Skąd wiesz?...

— O czym nie wie ani jego dostojność następca, ani nawet Sara?... — uśmiechnął się Herhor. — My wszystko musimy wiedzieć. Ten zresztą sekret nie był trudny do zdobycia. Przy Sarze bowiem znajduje się jej krewna, Tafet, kobieta niezrównanej gadatliwości.

— Czy już wzywali lekarza?...

— Powtarzam, że Sara nic nie wie o tym, zaś poczciwa Tafet z obawy, aby książę nie zniechęcił się do jej wychowanicy, chętnie ukręciłaby głowę temu sekretowi. Ale my nie pozwolimy. Będzie to przecież dziecko książęce.

— A jeżeli syn?... Wiesz, wasza cześć, że mógłby narobić kłopotu — wtrąciła pani.

— Wszystko przewidziane — mówił kapłan. — Jeżeli będzie córka, damy jej posag i wychowanie, jakie przystoi panience wysokiego rodu. A jeżeli syn, wówczas zostanie Żydem...

— Ach, mój wnuk Żydem!...

— Nie trać pani do niego zbyt wcześnie serca. Posłowie nasi donoszą, że lud izraelski zaczyna pragnąć króla. Zanim więc dziecko urośnie, żądania ich dojrzeją, a wtedy... my im damy władcę i zaprawdę pięknej krwi!...

— Jesteś jak orzeł, który jednym spojrzeniem obejmuje wschód i zachód!... — odparła królowa, z podziwem patrząc na ministra. — Czuję, że mój wstręt do tej dziewczyny zaczyna słabnąć.

— Najmniejsza kropla krwi faraonów powinna wznosić się nad narodami jak gwiazda nad ziemią — rzekł Herhor.

W tej chwili czółenko następcy tronu płynęło zaledwie o kilkadziesiąt kroków od dworskiego statku, a małżonka faraona, zasłoniwszy się wachlarzem, przez jego pióra spojrzała na Sarę.

— Zaprawdę, ona jest ładna!... — szepnęła.

— Już drugi raz mówisz to, czcigodna pani.

— Więc i o tym wiesz?... — uśmiechnęła się jej dostojność.

Herhor spuścił oczy.

Na czółenku odezwała się arfa i Sara drżącym głosem zaczęła pieśń:

— Jak wielkim jest Pan, jakże wielkim jest Pan, twój Bóg, Izraelu!...

— Prześliczny głos!... — szepnęła królowa.

Arcykapłan słuchał z uwagą.

— Dni Jego nie mają początku — śpiewała Sara — a dom Jego nie ma granic. Odwieczne niebiosa pod Jego okiem zmieniają się jak szaty, które człowiek wdziewa na siebie i odrzuca. Gwiazdy zapalają się i gasną, jak iskry z twardego drzewa, a ziemia jest jak cegła, której przechodzień raz dotknął nogą, idąc wciąż dalej.

Jakże wielkim jest twój Pan, Izraelu. Nie masz takiego, który by Mu powiedział: „Zrób to!", ani łona, które by Go wydało. On uczynił niezmierzone otchłanie, ponad którymi unasza się, kędy chce. On z ciemności wydobywa światło, a z prochu ziemi — twory głos wydające.

On srogie lwy ma za szarańczę, ogromnego słonia waży za nic, a wieloryb jest przy Nim jak niemowlę.

Jego trójbarwny łuk dzieli niebiosa na dwie części i opiera się na krańcach ziemi. Gdzież jest brama, która by Mu dorównała wielkością? Na grzmot Jego wozu narody truchleją i nie masz pod słońcem, co ostałoby się przed Jego migotliwymi strzałami.

Jego oddechem jest wiatr północny, który otrzeźwia zemdlałe drzewa, a Jego dmuchnięciem jest chamzim, który pali ziemię.

Kiedy wyciągnie rękę swoją nad wody, woda staje się kamieniem. On przelewa morza na nowe miejsce jak niewiasta kwas do dzieży. On rozdziera ziemię niby zbutwiałe płótno, a łyse szczyty gór nakrywa srebrnym śniegiem.

On w pszenicznym ziarnie chowa sto innych ziarn i sprawia, że lęgną się ptaki. On z sennej poczwarki wydobywa złotego motyla, a ludzkim ciałom w grobach każe oczekiwać na zmartwychwstanie...

Zasłuchani w śpiew wioślarze podnieśli wiosła i purpurowy statek królewski z wolna płynął sam z biegiem rzeki. Nagle Herhor podniósł się i zawołał:

— Skręcić do Memfis!...

Wiosła uderzyły, statek zawrócił w jednym miejscu i z szumem zaczął wdzierać się w górę wody. Za nim goniła stopniowo milknąca pieśń Sary:

— On widzi ruch serca mszycy i ukryte ścieżki, po których chadza najsamotniejsza myśl ludzka. Lecz nie masz takiego, który by Jemu spojrzał w serce i odgadł Jego zamiary.

Przed blaskiem Jego szat wielkie duchy zasłaniają swoje oblicza. Przed Jego spojrzeniem bogowie potężnych miast i narodów skręcają się i schną jako liść zwiędły.

On jest mocą, On jest życiem, On jest mądrością, On twój Pan, twój Bóg, Izraelu!...

— Dlaczego wasza dostojność kazałeś odsunąć nasz statek? — zapytała czcigodna Nikotris.

— Czy wiesz, pani, co to jest za pieśń?... — odparł Herhor w języku zrozumiałym tylko dla kapłanów. — Przecież ta głupia dziewczyna na środku Nilu śpiewa modlitwę, którą wolno odmawiać tylko w najtajemniejszym przybytku naszych świątyń...

— Więc to jest bluźnierstwo?...

— Szczęście, że na tym statku znajduje się tylko jeden kapłan — mówił minister. — Ja tego nie słyszałem, a choćbym słyszał, zapomnę. Lękam się jednak, czy bogowie nie położą ręki na tej dziewczynie.

— Ale skądże ona zna tą straszną modlitwę?... Przecież Ramzes jej nie mógł nauczyć?...

— Książę nic nie winien. Ale nie zapominaj, pani, że Żydzi niejeden taki skarb wynieśli z naszego Egiptu. Dlatego między wszystkimi narodami ziemi traktujemy ich jak świętokradców.

Królowa wzięła za rękę arcykapłana.

— Ale memu synowi — szeptała, patrząc mu w oczy — nie stanie się nic złego?...

— Ręczę pani, że nikomu nie stanie się nic złego, skoro ja nie słyszałem i nie wiem... Ale księcia trzeba rozdzielić z tą dziewczyną...

— Łagodnie rozdzielić!... prawda, namiestniku? — pytała matka.

— Jak najłagodniej, jak najnieznaczniej, ale trzeba... Zdawało mi się — mówił arcykapłan jakby do siebie — że wszystko przewidziałem... Wszystko, z wyjątkiem procesu o bluźnierstwo, który przy tej dziwnej kobiecie wisi nad następcą tronu!...

Herhor zamyślił się i dodał:

— Tak, czcigodna pani! Można śmiać się z wielu naszych przesądów; niemniej prawdą jest, że syn faraona nie powinien łączyć się z Żydówką.

ROZDZIAŁ XVII

Od owego wieczoru, kiedy Sara śpiewała w łódce; statek dworski już nie ukazywał się na Nilu, a książę Ramzes począł nudzić się na dobre.

Nadchodził miesiąc Mechir, grudzień. Wody opadały niżej, ziemia rozlegała się coraz szerzej, trawa była co dzień wyższa i gęstsza, a wśród niej, jak barwne iskry, zapalały się kwiaty przerozmaitych kolorów, niezrównanego zapachu. Niby wyspy na zielonym morzu ukazywały się w ciągu jednego dnia kwieciste kępy: białe, niebieskie, żółte, różowe albo pstre kobierce, z których dyszała woń upajająca.

Mimo to książę nudził się, a nawet — czegoś lękał. Od wyjazdu ojca sam nie był w pałacu i nikt stamtąd u niego, nie wyłączając Tutmozisa, który po ostatniej rozmowie przepadł jak wąż w trawie. Czy szanowano jego samotność, czy chciano mu dokuczyć, czy wprost lękano się odwiedzać księcia dotkniętego niełaską?... Ramzes nie wiedział.

„A może ojciec i mnie odsunie od tronu, jak starszych braci?..." — myślał niekiedy następca i pot występował mu na czoło, a nogi ziębły.

Co on począłby w takim razie?

W dodatku — Sara była niezdrowa: chudła, bladła, wielkie oczy zapadały się, czasem z rana narzekała na mdłości.

— Pewnie kto czary rzucił na niebogę!... — jęczała chytra Tafet, której książę nie mógł znosić za jej gadulstwo i bardzo mizerne praktyki.

Parę razy na przykład widział następca, że Tafet wieczorami wyprawiała do Memfis ogromne kosze z jadłem, bielizną, nawet z naczyniami. Na drugi zaś dzień wniebogłosy narzekała, że w domu brak mąki, wina lub garnków. Od czasu bowiem, jak następca sprowadził się na folwark, wychodziło dziesięć razy więcej różnych produktów niż dawniej.

„Jestem pewny — myślał Ramzes — że ta gadatliwa jędza okrada mnie dla swoich Żydów, którzy w dzień znikają z Memfisu, ale w nocy roją się po najbrudniejszych zaułkach jak szczury!..."

W tych czasach jedyną rozrywką księcia było przypatrywać się zbieraniu daktyli.

Nagi chłop stawał pod wysoką, bezgałęzistą palmą, otaczał pień i siebie sznurem, jak luźną obręczą, i wchodził na drzewo piętami, całym ciałem odsadzony w tył. Sznur zaś utrzymywał go, przyciskając do drzewa. Potem sznurową obręcz posuwał na pniu o kilka cali wyżej, wspinał się, znowu posuwał sznur i w ten sposób, ciągle narażając się na złamanie karku, właził niekiedy o parę piętr[116] wysoko, na szczyt, gdzie rosła kępa dużych liści i daktyle.

Świadkiem tych ćwiczeń gimnastycznych był nie tylko książę, ale i dzieci żydowskie. Z początku nie było ich. Potem między krzakami i spoza muru zaczęły wychylać się kędzierzawe główki i czarne, błyszczące oczy. Potem spostrzegłszy, że książę nie płoszy ich, dzieci wyszły ze swych ukryć i bardzo powoli zbliżyły się do obrywanego drzewa. Najśmielsza dziewczynka podniosła z ziemi piękny daktyl i podała go Ramzesowi. Jeden z chłopców zjadł sam najmniejszy daktyl, a następnie dzieci poczęły już to same jeść, już częstować księcia owocami. Z początku przynosiły mu najlepsze, później gorsze, w końcu całkiem zepsute. Żyd

Przyszły władca świata zamyślił się i rzekł w duchu:

„Oni wszędzie wlezą i zawsze tak mnie będą częstować: dobrym na przynętę, zepsutym na podziękowanie!..."

Wstał i odszedł pochmurny, a dziatwa Izraela, jak rój ptaków, rzuciła się na pracę egipskiego chłopa, który wysoko, nad ich głowami, nucił piosenkę nie myśląc ani o swoich kościach, ani o tym, że zbiera nie dla siebie.

Niezrozumiała choroba Sary, częste jej łzy, zanikanie wdzięków, a nade wszystko Żydzi, którzy przestawszy się kryć, coraz głośniej gospodarowali na folwarku, do reszty obmierziły księciu ten piękny zakątek ziemi. Nie pływał już czółnem, nie polował, nie patrzył na zbieranie daktylów, lecz pochmurny błąkał się po ogrodzie lub z tarasu śledził zamek królewski.

Nie wezwany, nigdy nie wróciłby do dworu, ale już zaczął myśleć o wyjeździe do dóbr położonych w Dolnym Egipcie, obok morza.

---

[116] *piętr* — dziś popr.: pięter.

W takim nastroju ducha znalazł go Tutmozis, który pewnego dnia na paradnym dworskim statku przyjechał do następcy z wezwaniem od faraona.

Jego świątobliwość wracał z Tebów i pragnął, ażeby następca tronu wyjechał naprzeciw powitać go.

Książę drżał, bladł i rumienił się, gdy czytał łaskawy list pana i władcy. Był tak wzruszony, że nawet nie zauważył nowej kolosalnej peruki Tutmozisa, wydającej ze siebie piętnaście różnych zapachów, nie spostrzegł jego tuniki i płaszcza, delikatniejszego od mgły, ani sandałów zdobnych złotem i paciorkami.

Po niejakim czasie Ramzes ochłonął i nie patrząc na Tutmozisa rzekł:

— Cóżeś tak dawno nie był u mnie? Czy przestraszyła cię niełaska, w jaką wpadłem?...

— Bogowie! — zawołał elegant. — A kiedyżeś ty był w niełasce i u kogo? Każdy goniec jego świątobliwości zapytywał, jak się miewasz; zaś czcigodna pani Nikotris i jego dostojność Herhor kilka razy podpływali do twego domu licząc, że zrobisz ku nim choć sto kroków, gdy oni zrobili parę tysięcy... O wojsku już nie wspominam. Żołnierze twoich pułków jak palmy milczą podczas musztry i nie wychodzą z koszar, a dostojny Patrokles ze zmartwienia całe dnie pije i klnie...

A więc książę nie był w niełasce, a jeżeli i był, to już się skończyła!... Ta myśl podziałała na Ramzesa jak puchar dobrego wina. Szybko wykąpał się i namaścił, włożył nową bieliznę, wojskowy kaftan i hełm z piórami i poszedł do Sary, która, blada, leżała pod opieką Tafet.

Sara aż krzyknęła, zobaczywszy księcia tak ubranego. Usiadła i schwyciwszy go rękoma za szyję, poczęła szeptać:

— Ty odjeżdżasz, panie mój?... Ty już nie wrócisz!...

— A to dlaczego? — zdziwił się następca. — Czyliż raz odjeżdżałem i wracałem?...

— Pamiętam cię tak samo odzianym tam... w naszej dolince... — mówiła Sara. — O, gdzież te czasy!... Tak prędko przeszły, a tak dawno minęły.

— Ależ wrócę i przywiozę ci najznakomitszego lekarza.

— Po co?... — wtrąciła Tafet. — Ona jest zdrowa, pawica moja... jej trzeba tylko odpocząć... A lekarze egipscy wpędzą ją w prawdziwą chorobę...

Książę nawet nie spojrzał na gadatliwą kobietę.

— To był mój najszczęśliwszy miesiąc z tobą — mówiła Sara, tuląc się do Ramzesa — ale nie przyniósł mi szczęścia.

Na statku królewskim zatrąbiono, powtarzając sygnał dany w górze rzeki.

Sara wstrząsnęła się.

— O, czy słyszysz, panie, te straszne głosy?... Słyszysz i uśmiechasz się... i biada mi, wyrywasz się z moich objęć... Kiedy trąbki wołają, nic cię nie zatrzyma, a już najmniej twoja niewolnica....

— Chciałażbyś, ażebym zawsze słuchał gdakania kur folwarcznych?... — przerwał zniecierpliwiony książę. — Bądź zdrowa i wesoło czekaj na mnie...

Sara wypuściła go z objęć i spojrzała tak żałośnie, że następca złagodniał i pogłaskał ją.

— No, bądźże spokojna... — mówił. — Boisz się głosu naszych trąb... Alboż one wtedy złą były wróżbą?...

— Panie — odezwała się Sara — ja wiem, że oni cię tam zatrzymają... Więc zrób mi ostatnią łaskę... Dam ci — mówiła szlochając — dam ci klatkę gołąbków... One tu urodziły się i porosły... Więc... ile razy wspomnisz o słudze twej, otwórz klatkę i wypuść jednego ptaka... On mi wiadomość przyniesie od ciebie, a ja... ucałuję go... upieszczę, jak... jak... No, już idź!

Książę uścisnął ją i wyszedł do statku, polecając swemu Murzynowi, aby zaczekał na gołębie Sary i dopędził go w lekkim czółnie.

Na widok następcy odezwały się bębny i piszczałki, a osada podniosła wielki krzyk. Znalazłszy się między żołnierzami, książę głęboko odetchnął i przeciągnął ręce, jakby uwolnione z powrozów.

— No — rzekł do Tutmozisa — dokuczyły mi już i baby, i Żydzi... Ozyrysie!... lepiej każ mnie natychmiast upiec przy wolnym ogniu, ale nie osadzaj drugi raz na folwarku.

— Tak — potwierdził Tutmozis — miłość jest jak miód: ze smakiem można jej kosztować, ale niepodobna — kąpać się w niej. Brr!... aż mnie ciarki przechodzą, kie-

dy pomyślę, żeś blisko dwa miesiące spędził karmiony pocałunkami wieczór, daktylami z rana, a oślim mlekiem w południe...

— Sara jest bardzo dobra dziewczyna — wtrącił książę.

— Ja też nie mówię o niej, tylko o tych Żydach, którzy obsiedli folwark jak papirus moczary. Czy widzisz, że jeszcze wyglądają za tobą, a może nawet zasyłają ci pozdrowienia — prawił pochlebca.

Książę z niechęcią odwrócił się w inną stronę, a Tutmozis wesoło mrugnął na oficerów, jakby chciał im dać do zrozumienia, że Ramzes nieprędko rzuci ich towarzystwo.

Im bardziej posuwali się w górę rzeki, tym gęściej było ludu na obu brzegach i czółen na Nilu, tym więcej płynęło kwiatów, wieńców i bukietów rzucanych pod statek faraona.

O milę za Memfisem stały ciżby z chorągwiami, bogami i muzyką i rozlegał się wielki gwar, podobny do zgiełku burzy.

— Otóż i jego świątobliwość! — zawołał radośnie Tutmozis.

Oczom patrzących ukazał się jedyny widok. Środkiem szerokiego zakrętu płynęła ogromna łódź faraona, z przodem podniesionym jak łabędź. Z prawej i lewej strony, niby dwa olbrzymie skrzydła, sunęły niezliczone łódki poddanych, a z tyłu, niby bogaty wachlarz, roztaczał się orszak władcy Egiptu.

Tłum

Kto żył — krzyczał, śpiewał, klaskał lub rzucał kwiaty do stóp panu, którego nawet nikt nie widział. Dość było, że nad złocistym namiotem i pękami strusich piór powiewała czerwono-niebieska chorągiew, znak obecności faraona.

Ludzie w łódkach byli jak pijani, ludzie na brzegu jak oszaleli. Co chwilę jakieś czółno potrącało lub wywracało inne i ktoś wpadał w wodę, z której na szczęście uciekły krokodyle spłoszone niebywałym hałasem. Na brzegach popychano się, nikt bowiem nie patrzył na sąsiada, na ojca, na dziecko, ale obłąkane oczy wlepiał w złocisty dziób łodzi i namiot królewski. Nawet ludzie tratowani, kórym rozhukany tłum bezmyślnie gniótł żebra i skręcał stawy, nie mieli innego okrzyku nad ten:

— Żyj wiecznie, władco nasz!... Świeć, słońce Egiptu!...

Szał powitalny niebawem udzielił się i łodzi następcy tronu: oficerowie, żołnierze i wioślarze, zbici w jeden tłum, krzyczeli na wyścigi, a Tutmozis, zapominając o następcy tronu, wdarł się na wysoki przód statku i o mało nie wleciał w wodę.

Spotkanie

Wtem z królewskiej łodzi zatrąbiono i po chwili odpowiedziała trąbka ze statku Ramzesa. Drugi sygnał i — czółno następcy przybiło do wielkiej łodzi faraona.

Jakiś urzędnik wezwał Ramzesa. Między statki rzucono cedrowy mostek z rzeźbionymi poręczami i — książę znalazł się wobec ojca.

Widok faraona czy burza okrzyków huczących dokoła tak oszołomiły księcia, że nie mógł wypowiedzieć ani słowa. Upadł ojcu do nóg, a pan świata przycisnął go do swej boskiej piersi.

W chwilę później podniesiono boczne ściany namiotu i cały lud z obu brzegów Nilu ujrzał swego władcę na tronie, a na najwyższym stopniu klęczącego, z głową na ojcowskich piersiach, księcia Ramzesa.

Stała się taka cisza, że było słychać szelest chorągiewek na statkach. I nagle wybuchnął ogromny krzyk, większy aniżeli wszystkie dotychczasowe. Uczcił nim lud egipski pojednanie ojca z synem, pozdrawiał obecnego, witał przyszłego pana.

Jeżeli ktokolwiek rachował na niesnaski w świętej rodzinie faraona, mógł dziś przekonać się, że nowa gałąź królewska mocno trzyma się pnia.

Jego świątobliwość wyglądał bardzo mizernie. Po czułym przywitaniu syna kazał mu usiąść obok tronu i rzekł:

— Dusza moja rwała się do ciebie, Ramzesie, tym goręcej, im lepsze miałem wieści o tobie. Dziś widzę, że jesteś nie tylko młodzianem o lwim sercu, ale i mężem pełnym roztropności, który umie oceniać własne postępki, potrafi hamować się i ma poczucie interesów państwowych.

A gdy wzruszony książę milczał i całował ojcowskie nogi, pan mówił dalej:

— Dobrze postąpiłeś, zrzekając się dwu pułków greckich, należy ci się bowiem korpus Menfi, którego od dzisiaj jesteś wodzem...

— Ojcze mój!... — szepnął drżący następca.

— Nadto, w Dolnym Egipcie, z trzech stron otwartym na ataki nieprzyjaciół, potrzebny mi jest mąż dzielny i rozumny, który by wszystko dokoła widział, rozważył w sercu swoim i szybko działał w nagłych wypadkach. Z tego powodu, w tamtej połowie królestwa, ciebie mianuję moim namiestnikiem.

Ramzesowi obfite łzy popłynęły z oczu. Żegnał nimi swoją młodość, witał władzę, do której od wielu lat z tęsknością i niepokojem zwracała się jego dusza.

— Jestem już człowiek zmęczony i schorzały — mówił władca — i gdyby nie troska o twój młodociany wiek i przyszłość państwa, dziś jeszcze prosiłbym wiecznie żyjących przodków, aby mnie odwołali do swej chwały. Lecz z każdym dniem jest mi ciężej, i dlatego, Ramzesie, zaczniesz już podzielać ze mną brzemię władzy. Jak kokosz uczy swoje pisklęta wyszukiwać ziarn i chronić się przed jastrzębiem, tak ja nauczę ciebie pełnej trudów sztuki rządzenia państwem i śledzenia obrotów nieprzyjaciół. Obyś z czasem padł na nich jak orzeł na płoche kuropatwy!

Łódź królewska i jej strojny orszak przybiły pod pałac. Strudzony pan wsiadł do lektyki, a w tej chwili do następcy zbliżył się Herhor.

— Pozwól, dostojny książę — odezwał się — abym był pierwszym z tych, którzy radują się twoim wyniesieniem. Obyś z równym szczęściem przewodził wojskom, jak rządził najważniejszą prowincją państwa na chwałę Egiptu.

Ramzes mocno uścisnął mu rękę.

— Tyś to zrobił, Herhorze? — spytał.

— To ci się należało — odparł minister.

— Masz moją wdzięczność i przekonasz się, że jest coś warta.

— Jużeś mnie wynagrodził, mówiąc tak — odpowiedział Herhor.

Książę chciał odejść, Herhor jeszcze go zatrzymał.

— Małe słówko — rzekł. — Ostrzeż, następco, jedną z twych kobiet, Sarę, ażeby nie śpiewała pieśni religijnych.

A gdy Ramzes patrzył na niego zdziwiony, dodał:

— Wtedy, podczas przejażdżki na Nilu, dziewczyna ta śpiewała nasz najświętszy hymn, którego ma prawo słuchać tylko faraon i arcykapłani. Biedne dziecko mogło ciężko odpokutować za swoją umiejętność śpiewu i nieświadomość o tym, co śpiewa.

— Więc ona popełniłaby bluźnierstwo?... — spytał zmieszany książę.

— Mimowolne — odpowiedział arcykapłan. — Na szczęście, tylko ja słyszałem i sądzę, że między tą pieśnią i naszym hymnem jest podobieństwo bardzo odległe. W każdym razie niech jej już nigdy nie powtarza.

— No i powinna się oczyścić — wtrącił książę. — Czy dość będzie dla cudzoziemki, jeżeli ofiaruje świątyni Izydy trzydzieści krów?...

— Owszem, niech ofiaruje — odparł Herhor z lekkim grymasem. — Bogowie nie obrażają się za dary...

— Ty zaś, szlachetny panie — mówił Ramzes — racz przyjąć cudowną tarczę, którąm dostał od mego świętego dziada...

— Ja?... tarczę Amenhotepa?... — zawołał wzruszony minister. — Czyliżem jej godzien?...

— Mądrością dorównywasz memu dziadowi, a stanowiskiem dorównasz.

Herhor milcząc złożył głęboki ukłon. Owa złota tarcza wysadzona drogimi kamieniami, oprócz wielkiej wartości pieniężnej, miała jeszcze znaczenie amuletu; była więc królewskim darem.

Ale bardziej doniosłe znaczenie miały słowa księcia, że — Herhor stanowiskiem dorówna Amenhotepowi. Amenhotep był teściem faraona... Czyby następca już zdecydował się poślubić córkę jego, Herhora?...

Było to ulubione marzenie ministra i królowej Nikotris. Trzeba jednak przyznać, że Ramzes mówiąc o przyszłych dostojeństwach Herhora bynajmniej nie myślał o żenieniu się z jego córką, lecz — o daniu mu nowych urzędów, których było pełno w świątyniach i przy dworze.

ROZDZIAŁ XVIII

Od dnia kiedy został namiestnikiem Dolnego Egiptu, zaczęło się dla Ramzesa życie niesłychanie uciążliwe, jakiego nie domyślał się nawet, pomimo że urodził się i wyrósł wśród królewskiego dworu.

Wprost tyranizowano go, a katami byli interesanci różnych gatunków i rozmaitych klas społecznych.

Już w pierwszym dniu, na widok tłumu ludzi, którzy, cisnąc się i popychając, mimowolnie wydeptywali mu trawniki, łamali drzewa, nawet psuli mur otaczający, następca do swej willi zażądał warty. Ale trzeciego dnia musiał uciec ze swego domu w obręb właściwego pałacu, gdzie z powodu gęstej straży, a nade wszystko wysokich murów, dostęp dla zwykłych ludzi był utrudniony.

W ciągu dekady, poprzedzającej wyjazd, przed oczyma Ramzesa przesunęli się przedstawiciele całego Egiptu, jeżeli nie całego ówczesnego świata.

Najpierwej puszczano wielkich. Więc przychodzili pozdrawiać go: arcykapłani świątyń, ministrowie, posłowie feniccy, greccy, żydowscy, asyryjscy, nubijscy, których nawet ubiorów nie mógł spamiętać. Dalej szli naczelnicy sąsiednich nomesów, sędziowie, pisarze, wyżsi oficerowie korpusu Menfi i posiadacze ziemscy.

Ludzie ci nie żądali niczego, wypowiadali tylko swoją radość. Ale książę, słuchając ich od rana do południa i od południa do wieczora, czuł zamęt w głowie i drżenie we wszystkich członkach.

Potem przyszli reprezentanci niższych klas z darami: kupcy ze złotem, bursztynem, zagranicznymi tkaninami, pachnidłami i owocami. Potem bankierzy i wypożyczający na procenta[117]. Dalej — architekci z planami nowych budowli, rzeźbiarze z projektami posągów i płaskorzeźb, kamieniarze, fabrykanci naczyń glinianych, stolarze zwyczajni i ozdobni, kowale, giserzy, garbarze, winiarze, tkacze, nawet paraszytowie, którzy otwierali ciała zmarłych.

Jeszcze nie skończyła się procesja hołdowników, a już nadciągnęła armia proszących. Inwalidzi, wdowy i sieroty po oficerach domagali się pensji; szlachetni panowie — dworskich urzędów dla synów. Inżynierowie przynosili projekta nowych sposobów irygacji, lekarze środki przeciw wszelkim chorobom, wróżbici horoskopy. Krewni więźniów podawali prośby o zmniejszenie kary, skazani na śmierć o darowanie życia, chorzy błagali, aby następca dotknął ich lub udzielił im swej śliny.

Zgłaszały się wreszcie piękne kobiety tudzież matki dorodnych córek, pokornie i natrętnie prosząc, aby namiestnik przyjął je do swego domu. Niektóre oznaczały wysokość żądanej pensji, zachwalały swoje dziewictwo i talenta.

Po dziesięciu dniach przypatrywania się co chwilę nowym osobom i twarzom i wysłuchiwania próśb, które zaspokoić mógłby chyba majątek całego świata i boska potęga, książę Ramzes wyczerpał się. Nie mógł sypiać, był tak rozdrażniony, że irytował go brzęk muchy, i chwilami nie rozumiał: o czym mówią do niego?

W tym położeniu znowu Herhor przyszedł mu z pomocą. Możnym kazał zapowiedzieć, że książę już nie przyjmuje interesantów, a na lud, który, mimo kilkukrotnych wezwań do rozejścia się, wciąż czekał, wysłał kompanię numidyjskich żołnierzy z kijami. Tym udało się bez porównania łatwiej aniżeli Ramzesowi zadowolnić ludzką pożądliwość. Zanim bowiem minęła godzina, interesanci znikli z placu niby mgła, a ten i ów przez parę dni następnych okładał wodą głowę lub inną rozbitą część ciała.

Po tej próbie piastowania najwyższej władzy książę uczuł głęboką wzgardę dla ludzi i wpadł w apatię.

Dwa dni leżał na kanapie, z rękoma pod głową, bezmyślnie patrząc w sufit. Już nie dziwił się, że jego świątobliwy ojciec przepędza czas pod ołtarzami bogów, lecz nie mógł pojąć, jakim sposobem Herhor daje sobie radę z nawałem podobnych interesów, które, jak burza, nie tylko przewyższają siły człowieka, lecz nawet mogą zmiażdżyć.

„W jaki sposób przeprowadzić tu swoje plany, jeżeli tłum interesantów pęta naszą wolę, pożera myśli, wypija krew?... Po dziesięciu dniach jestem chory, po roku chyba bym ogłupiał!... Na tym urzędzie niepodobna robić żadnych projektów, lecz po prostu bronić się od szaleństwa..."

[117] *na procenta* — dziś popr.: na procent.

Był tak zatrwożony bezsilnością na stanowisku władcy, że — wezwał Herhora i jękliwym głosem opowiedział mu swoje strapienie.

Mąż stanu z uśmiechem słuchał biadań młodego sternika nawy państwowej, wreszcie rzekł:

— Czy wiesz, panie, że ten ogromny pałac, w którym mieszkamy, wzniósł tylko jeden budowniczy, imieniem Senebi, i w dodatku — umarł przed ukończeniem go?... A z pewnością zrozumiesz: dlaczego wiecznie żyjący ten architekt mógł wykonać swój plan, nigdy nie zmęczywszy się i zawsze mając wesoły umysł.

— Ciekawym?...

— Oto on sam nie robił wszystkiego; nie ciosał belek i kamieni, nie wygniatał cegły, nie nosił jej na rusztowania, nie układał i nie spajał. On tylko wymalował plan, a jeszcze i do tego miał pomocników.

Ty zaś, książę, wszystko chciałeś wykonać sam; sam wysłuchać i załatwić wszelkie interesa. To przechodzi człowiecze siły.

— Jakże miałem robić inaczej, jeżeli między proszącymi znajdowali się niewinnie pokrzywdzeni albo zasługa nie wynagrodzona? Przecież fundamentem państwa jest sprawiedliwość — odparł następca.

— Ilu książę możesz wysłuchać dziennie bez zmęczenia? — spytał Herhor.

— No... dwudziestu...

— Toś szczęśliwy. Ja słucham najwyżej sześciu lub dziesięciu, lecz nie są nimi interesanci, tylko — wielcy pisarze, nadzorcy i ministrowie. Każdy z nich nie donosi mi drobiazgów, lecz rzeczy najważniejsze, jakie dzieją się: w armii, w dobrach faraona, w sprawach religijnych, w sądach, w nomesach, w ruchach Nilu. Dlatego zaś nie donoszą mi błahostek, że każdy z nich, zanim przyszedł do mnie, musiał wysłuchać dziesięciu pisarzy mniejszych. Każdy mniejszy pisarz i dozorca zebrał wiadomości od dziesięciu podpisarzy i poddozorców, a tamci znowu wysłuchali raporty od dziesięciu niższych urzędników.

Tym sposobem ja i jego świątobliwość, rozmawiając tylko z dziesięcioma ludźmi dziennie, wiemy, co ważnego stało się w stu tysiącach punktów kraju i świata.

Wartownik, który czuwa na kawałku ulicy w Memfis, widzi tylko parę domów. Dziesiętnik zna całą ulicę, setnik oddział miasta, naczelnik całe miasto. Faraon zaś stoi ponad nimi wszystkimi, niby na najwyższym pylonie świątyni Ptah, i widzi nie tylko Memfis, ale jeszcze miasta: Sochem[118], On[119], Cherau[120], Turra, Tetaui[121], ich okolice i kawałek pustyni zachodniej.

Z tej wysokości jego świątobliwość nie spostrzega wprawdzie ludzi skrzywdzonych albo nie nagrodzonych, ale dojrzy tłum gromadzących się bez zajęcia robotników. Nie zobaczy żołnierza w szynkowni, ale pozna, czy pułk odbywa musztrę. Nie widzi, co gotuje na obiad jakiś chłop albo mieszczanin, ale dostrzeże pożar zaczynający się w dzielnicy.

Ten porządek państwowy — mówił ożywiając się Herhor — jest naszą chwałą i potęgą. A kiedy Snofru[122], jeden z faraonów najpierwszej dynastii, spytał pewnego kapłana, jaki by sobie pomnik wystawić? — ten odpowiedział:

Wyrysuj, panie, na ziemi kwadrat i połóż na nim sześć milionów głazów — one przedstawią lud. Na tej warstwie połóż sześćdziesiąt tysięcy kamieni ociosanych — to będą twoi niżsi urzędnicy. Na tym ułóż sześć tysięcy kamieni wygładzonych — to będą wyżsi urzędnicy. Na tym postaw sześćdziesiąt sztuk pokrytych rzeźbą — to będą twoi najbliżsi doradcy i wodzowie, a na szczycie połóż jedną bryłę ze złotym wizerunkiem słońca — a będziesz ty sam.

---

[118] *Sochem* — *Chem*, gr. *Letopolis*, stolica 2. nomu Dolnego Egiptu, ok. 30 km na północny zachód od Memfis.

[119] *On* (hebr.) — gr. *Heliopolis*, stolica 13. nomu Dolnego Egiptu, ok. 20 km na północ od Memfis.

[120] *Cherau* — na wschodnim brzegu Nilu, ok. 20 km na północ od Memfis.

[121] *Tetaui* — Iczitaui, miasto na zachodnim brzegu Nilu ok. 30 km na południe od Memfis, niedaleko dzisiejszego al-Liszt.

[122] *Snofru* (ok. 2613–2589 p.n.e.) — założyciel IV dynastii, przypisuje mu się budowę co najmniej trzech piramid: przebudowę zaczętej przez jego ojca schodkowej piramidy w Meidum, Piramidy Łamanej w Dahszur (5 km na południe od Memfis) oraz Czerwonej Piramidy w Dahszur, pierwszej typowej piramidy o kształcie ostrosłupa, w której został pochowany. Pierwszy grobowiec władców Egiptu o kształcie piramidy, kamienna piramida schodkowa, jaką opisuje autor, została wzniesiona kilkadziesiąt lat wcześniej w Sakkarze (5 km na północny zachód od Memfis) na polecenie władcy III dynastii Dżesera (Dżosera) (ok. 2667–2648 p.n.e.) przez architekta Imhotepa, mędrca-kapłana uznawanego także za twórcę egipskiej medycyny, czczonego później jako opiekun skrybów. Piramida Dżesera składa się z sześciu segmentów.

Tak też zrobił faraon Snofru. W ten sposób powstała najstarsza piramida schodowa — rzetelny obraz naszego państwa — z której urodziły się wszystkie inne. Są to budowle niewzruszone, z których szczytu widać krańce świata, a które będą podziwem najodleglejszych pokoleń.

W takim urządzeniu — ciągnął minister — spoczywa i nasza przewaga nad sąsiadami. Etiopowie byli równie liczni jak my. Lecz ich król sam troszczył się o swoje bydło, sam bił kijem poddanych i ani wiedział, ilu ich ma, ani potrafił zgromadzić ich, gdy wkroczyły nasze wojska. Tam nie było jednej Etiopii, ale wielka gromada ludzi nieuporządkowanych. Więc dzisiaj są naszymi wasalami.

Książę libijski sam sądzi każdą sprawę, szczególniej między ludźmi bogatymi, i tyle oddaje im czasu, że prawie nie może obejrzeć się za siebie. Toteż, pod jego bokiem, rodzą się całe bandy rozbójników, których my wytępiamy.

Wiedz jeszcze i o tym, panie, że gdyby w Fenicji był jeden wspólny władca, który by wiedział, co się dzieje, i rozkazywał we wszystkich miastach, kraj ten nie płaciłby nam ani utena danin. A co to za szczęście dla nas, że królowie Niniwy i Babelu mają tylko po jednym ministrze i tak są zmęczeni nawałem spraw, jak ty dzisiaj! Oni wszystko sami chcą widzieć, sądzić i rozkazywać, przez co na sto lat zawikłali sprawy państwa. Lecz gdyby znalazł się jaki nikczemny pisarz egipski, który poszedłby tam, wytłumaczył królom ich błędy w rządzeniu i zaprowadził naszą urzędniczą hierarchię, naszą piramidę, za kilkanaście lat Judea[123] i Fenicja wpadłyby w ręce Asyryjczyków, a za kilkadziesiąt lat — od wschodu i północy, lądem i morzem zwaliłyby się na nas potężne armie, którym moglibyśmy nie dać rady.

— Więc dzisiaj my napadnijmy ich, korzystając z nieładu! — zawołał książę.

— Jeszcze nie wyleczyliśmy się z poprzednich naszych zwycięstw — odparł zimno Herhor i zaczął żegnać Ramzesa.

— Alboż zwycięstwa osłabiły nas?... — wybuchnął następca. — Alboż nie zwieźliśmy skarbów?...

— A czy nie psuje się topór, którym ścinamy drzewo?... — zapytał Herhor i wyszedł.

Książę zrozumiał, że wielki minister chce spokoju za wszelką cenę, pomimo że sam jest naczelnikiem armii.

— Zobaczymy!... — szepnął do siebie.

Na parę dni przed wyjazdem Ramzes wezwany został do jego świątobliwości. Faraon siedział na fotelu w marmurowej sali, w której nie było nikogo, a czterech wejść strzegły nubijskie warty.

Obok fotelu[124] królewskiego stał taboret dla księcia i mały stolik założony dokumentami pisanymi na papirusie. Na ścianach były kolorowane płaskorzeźby przedstawiające zajęcia rolne, a w rogach sali sztywne posągi Ozyrysa, z melancholijnym uśmiechem na ustach.

Kiedy książę na rozkaz ojca usiadł, jego świątobliwość odezwał się:

— Masz tu, książę, twoje dokumenta, jako wódz i namiestnik. Cóż, podobno pierwsze dni władzy zmęczyły cię?...

— W służbie waszej świątobliwości znajdę siły.

— Pochlebca!... — uśmiechnął się pan. — Pamiętaj, że nie chcę, ażebyś się zapracowywał... Baw się, młodość potrzebuje rozrywki... Nie znaczy to jednak, ażebyś nie miał ważnych spraw do załatwienia.

— Jestem gotów.

— Po pierwsze... Po pierwsze odkryję ci moje troski. Skarb nasz źle wygląda: dopływ podatków jest co rok mniejszy, osobliwie z Dolnego Egiptu, a rozchody mnożą się...

Pan zamyślił się.

— Te kobiety... te kobiety, Ramzesie, pochłaniają bogactwa nie tylko śmiertelnych ludzi, ale i moje. Mam ich kilkaset, a każda chce posiadać jak najwięcej pokojówek, modystek, fryzjerów, niewolników do lektyki, niewolników do pokoju, konie, wioślarzy, nawet swoich ulubieńców i dzieci... Małe dzieci!... Kiedy wróciłem z Tebów, jedna z tych pań, której nawet nie pamiętam, zabiegła mi drogę i prezentując tęgiego trzyletniego

[123] *Judea* — górzysta południowa część historycznej Ziemi Izraela.
[124] *fotelu* — dziś popr.: fotela.

chłopaka żądała, abym mu wyznaczył majątek, gdyż ma to być mój syn... Trzyletni syn, czy uważasz, wasza dostojność?... Rzecz prosta, nie mogłem spierać się z kobietą, jeszcze w tak delikatnej sprawie. Ale — człowiekowi szlachetnie urodzonemu łatwiej być uprzejmym aniżeli znaleźć pieniądze na każdą podobną fantazję...

Pokiwał głową, odpoczął i mówił dalej:

— Tymczasem moje dochody od początku panowania zmniejszyły się do połowy, szczególniej w Dolnym Egipcie. Pytam się: co to znaczy?... Odpowiadają: lud zubożał, ubyło wielu mieszkańców, morze zasypało pewną przestrzeń gruntów od północy, a pustynia od wschodu, było kilka lat nieurodzajnych, słowem — awantura za awanturą, a w skarbie coraz płycej...

Proszę cię więc, ażebyś mi wyświetlił tą sprawę. Rozpatrz się, poznaj ludzi dobrze informowanych i prawdomównych i utwórz z nich komisję śledczą. Gdy zaś zaczną składać raporty, nie ufaj zbytecznie papirusowi, ale to i owo sprawdź osobiście. Słyszę, że masz oko wodza, a jeżeli tak jest, jedno spojrzenie nauczy cię, o ile są dokładnymi opowieści członków komisji. Ale nie śpiesz się ze zdaniem, a nade wszystko — nie wygłaszaj go. Każdy ważny wniosek, jaki ci dziś przyjdzie do głowy — zapisz, a po kilku dniach znowu przypatrz się tej samej sprawie i znowu zapisz. To nauczy cię ostrożności w sądach i trafności w ogarnianiu przedmiotów.

— Stanie się, jak rozkazujesz, wasza świątobliwość — wtrącił książę.

— Druga misja, którą musisz załatwić, jest trudniejsza. Coś się tam dzieje w Asyrii, co mój rząd zaczyna niepokoić.

Kapłani nasi opowiadają, że za Morzem Północnym jest piramidalna góra, zwykle okryta zielonością u spodu, śniegiem u szczytu, która ma dziwne obyczaje. Po wielu latach spokoju nagle zaczyna dymić, trząść się, huczeć, a potem wyrzuca z siebie tyle płynnego ognia, ile jest wody w Nilu. Ogień ten kilkoma korytami rozlewa się po jej bokach i na ogromnej przestrzeni rujnuje pracę rolników.

Otóż Asyria, mój książę, jest taką górą. Przez całe wieki panuje w niej spokój i cisza, lecz nagle zrywa się wewnętrzna burza, nie wiadomo skąd wylewają się wielkie armie i niszczą spokojnych sąsiadów.

Dziś około Niniwy i Babelu słychać wrzenie: góra dymi. Musisz więc dowiedzieć się: o ile ten dym zwiastuje nawałnicę i — obmyśleć środki zaradcze.

— Czy potrafię?... — cicho spytał książę.

— Trzeba nauczyć się patrzeć — mówił władca. — Jeżeli chcesz co dobrze poznać, nie poprzestawaj na świadectwie własnych oczu, ale zapewnij sobie pomoc kilku par cudzych.

Nie ograniczaj się na sądach samych Egipcjan: bo każdy naród i człowiek ma wyłączny sposób widzenia rzeczy i nie chwyta całej prawdy. Wysłuchaj zatem, co myślą o Asyryjczykach: Fenicjanie, Żydzi, Hetyci i Egipcjanie, i pilnie rozważ w sercu swym — co w ich sądach o Asyrii jest wspólnego.

Jeżeli wszyscy powiedzą ci, że od Asyrii idzie niebezpieczeństwo, poznasz, że ono idzie. Lecz jeżeli różni mówić będą rozmaicie, także czuwaj, bo mądrość każe przewidywać raczej złe aniżeli dobre.

— Mówisz, wasza świątobliwość, jak bogowie! — szepnął Ramzes.

— Stary jestem, a z wysokości tronu widzi się takie rzeczy, jakich nawet nie przeczuwają śmiertelni. Gdybyś słońce zapytał, co sądzi o sprawach świata, opowiedziałoby jeszcze ciekawsze nowiny.

— Między ludźmi, u których mam zasięgać zdania o Asyrii nie wspomniałeś, ojcze, Greków — wtrącił następca.

Pan pokiwał głową z dobrotliwym uśmiechem.

— Grecy!... Grecy!... — rzekł — wielka przyszłość należy do tego narodu. Przy nas są oni jeszcze dziećmi, ale jaka dusza w nich mieszka...

Pamiętasz ty mój posąg zrobiony przez greckiego rzeźbiarza?... To drugi ja, żywy człowiek!... Miesiąc trzymałem go w pałacu, lecz w końcu — darowałem świątyni w Tebach. Czy uwierzysz: strach mnie zdjął, ażeby ten kamienny *ja* nie powstał ze swego siedzenia i nie upomniał się o połowę rządów... Jakiż by zamęt powstał w Egipcie!...

Grecy!... Czy ty widziałeś wazy, jakie oni lepią, pałacyki, które budują... Z tej gliny i kamienia wypływa coś, co cieszy moją starość i każe zapominać o chorobie...

A mowa ich?... O bogowie, wżdy[125] to muzyka i rzeźba, i malowidło... Zaprawdę mówię, że gdyby Egipt mógł kiedy umrzeć jak człowiek, dziedzictwo po nim objęliby Grecy. I jeszcze wmówiliby w świat, że to wszystko jest ich dziełem, a nas — wcale nie było... A jednak są to tylko uczniowie naszych szkół wstępnych: cudzoziemcom bowiem, jak ci wiadomo, nie mamy prawa udzielać wyższych nauk.

— Mimo to, ojcze, zdajesz się nie ufać Grekom?

— Bo to szczególny naród: ani Fenicjanom, ani im nie można wierzyć. Fenicjanin, gdy chce, widzi i powie prawdę murowaną, egipską... Ale nigdy nie wiesz: kiedy on chce powiedzieć prawdę? Zaś Grek, prosty jak dziecko, zawsze mówiłby prawdę, ale — tego już nie potrafi.

Oni cały świat widzą inaczej niż my. W ich dziwnych oczach każda rzecz tak błyszczy, koloryzuje się i mieni jak niebo Egiptu i jego woda. Czy więc można polegać na ich zdaniu?

Sztuka, Kłamstwo

Za czasów dynastii tebeńskiej, daleko na północy, było miasteczko Troja, jakich u nas liczy się dwadzieścia tysięcy. Na ten kurnik napadali rozmaite greckie włóczęgi i tak dokuczyli niemnogim[126] mieszkańcom, że ci, po dziesięcioletnich niepokojach, spalili forteczkę i wynieśli się na inne miejsca.

Zwykła historia bandycka!... Tymczasem, patrz, jakie pieśni śpiewają Grecy o trojańskich walkach. Śmiejemy się z tych cudów i bohaterstw, boć nasz rząd miał dokładne sprawozdania o wypadkach. Widzimy bijące w oczy kłamstwa, a jednak... słuchamy tych pieśni jak dziecko bajek swej niańki, i — nie możemy się od nich oderwać!...

To są Grecy: urodzeni kłamcy, ale przyjemni, no i mężni. Każdy z nich prędzej poświęci życie, aniżeli powie prawdę. Nie dla interesu, jak Fenicjanie, ale z duchowej potrzeby.

— A co mam sądzić o Fenicjanach? — spytał następca.

— To są ludzie mądrzy, wielkiej pracy i odwagi, ale handlarze: dla nich całe życie mieści się w zarobku, byle dużym, największym!... Fenicjanin jest jak woda: wiele przynosi i wiele zabiera, a wciska się wszędzie. Trzeba dawać im jak najmniej, a nade wszystko czuwać, ażeby nie wchodzili do Egiptu szparami, po kryjomu.

Gdy im dobrze zapłacisz i dasz nadzieję jeszcze większego zarobku, będą wybornymi agentami. To, co dziś wiemy o tajemnych ruchach Asyrii, wiemy przez nich.

— A Żydzi?... — szepnął książę, spuszczając oczy.

— Naród bystry, ale posępni fanatycy i urodzeni wrogowie Egiptu. Dopiero gdy poczują na karkach podkuty gwoździami sandał Asyrii, zwrócą się do nas. Bodajby nie za późno. Ale posługiwać się nimi można... Rozumie się, nie tu, tylko w Niniwie i Babelu.

Faraon był już zmęczony. Więc książę padł przed nim na twarz, a otrzymawszy uściśnienie ojcowskie, udał się do matki.

Pani siedząc w swym gabinecie tkała cienkie płótno na suknie dla bogów, a jej damy służebne szyły i haftowały odzież albo robiły bukiety. Młody kapłan przed posągiem Izydy palił kadzidło.

— Przychodzę — rzekł książę — podziękować ci, matko, i pożegnać.

Królowa powstała i objąwszy syna za szyję, mówiła ze łzami:

— Jakeś ty się zmienił?... Jesteś już — mężczyzną!... Tak rzadko cię spotykam, że mogłabym zapomnieć twoich rysów, gdybym ich ciągle nie widziała w mym sercu. Niedobry!... Ja tyle razy z najwyższym dostojnikiem państwa jeździłam do folwarku myśląc, że nareszcie przestaniesz mieć urazę, a ty wyprowadziłeś naprzeciw mnie nałożnicę...

— Przepraszam... przepraszam!... — mówił Ramzes, całując matkę.

Pani wyprowadziła go do ogródka, w którym rosły osobliwe kwiaty, a gdy zostali bez świadków — rzekła:

— Jestem kobietą, więc obchodzi mnie kobieta i matka. Czy chcesz wziąć ze sobą tę dziewczynę w podróż?... Pamiętaj, że hałas i ruch, jaki cię będzie otaczał, jej i dziecku może zaszkodzić. Dla kobiet brzemiennych najlepszą jest cisza i spokój.

— Czy mówisz o Sarze? — spytał zdziwiony Ramzes. — Ona brzemienna?... Nic mi o tym nie wspomniała...

---

[125] *wżdy* (daw.) — przecież.

[126] *niemnogi* (daw.) — nieliczny.

— Może wstydzi się, może sama nie wie — odparła. — W każdym razie podróż...

— Ależ ja jej nie mam zamiaru brać!... — zawołał książę. — Tylko... dlaczego ona kryje się przede mną... jakby dziecko nie było moim?...

— Nie bądźże podejrzliwym!... — zgromiła go pani. — Jest to zwykła wstydliwość młodych dziewcząt... Wreszcie może ukrywała swój stan z obawy, abyś jej nie porzucił?...

— Przecież nie wezmę jej do mego dworu! — przerwał książę z taką niecierpliwością, że oczy królowej uśmiechnęły się, ale przysłoniła je rzęsami.

— No, nie wypada zbyt szorstko odpychać kobiety, która cię kochała. Wiem, że byt jej zapewniłeś. My jej też damy coś od siebie. I dziecko królewskiej krwi musi być dobrze wychowane i posiadać majątek...

— Naturalnie — odparł Ramzes. — Mój pierwszy syn, choć nie będzie posiadał praw książęcych, musi być tak postawiony, abym ja go się nie wstydził ani on nie miał żalu do mnie.

Po pożegnaniu się z matką Ramzes chciał jechać do Sary i w tym celu wrócił do swoich pokojów.

Wstrząsały nim dwa uczucia: gniew na Sarę, że ukrywała przed nim powody swej słabości, i — duma, że on ma być ojcem.

On ojcem!... Tytuł ten nadawał mu powagę, która jakby wspierała jego urzędy: wodza i namiestnika. Ojciec — to już nie młodzieniaszek, który z szacunkiem musi patrzeć na ludzi starszych od siebie.

Książę był zachwycony i rozrzewniony. Chciał zobaczyć Sarę, zgromić ją, a potem uściskać i obdarować. Gdy jednak wrócił do swojej części pałacu, zastał dwu nomarchów z Dolnego Egiptu, którzy przyszli zdać mu raport o nomesach[127]. A gdy wysłuchał ich, był już zmęczony. Nadto miał u siebie wieczorne przyjęcie, na które nie chciał się spóźnić.

„I znowu u niej nie będę — myślał. — Biedna dziewczyna, nie widziała mnie blisko dwie dekady..."

Wezwał Murzyna.

— Masz ty tą klatkę, którą dała ci Sara wówczas, kiedyśmy witali jego świątobliwość?

— Jest — odparł Murzyn.

— Weźże z niej gołębia i zaraz wypuść.

— Gołębie już zjedzone.

— Kto je zjadł?...

— Wasza dostojność. Powiedziałem kucharzowi, że ptaki te pochodzą od pani Sary; więc on tylko dla waszej dostojności robił z nich pieczenie i pasztety.

— A niechże was krokodyl pożre! — zawołał skłopotany książę.

Kazał przyjść do siebie Tutmozisowi i jego natychmiast wysłał do Sary. Opowiedział mu historią z gołębiami i ciągnął:

— Zawieź jej szmaragdowe zausznice, bransolety na nogi i ręce i dwa talenty. Powiedz, że gniewam się, iż ukrywała przede mną ciążę, ale jej przebaczę, gdy dziecko będzie zdrowe i ładne. Jeżeli zaś urodzi chłopca, dam jej drugi folwark!... — zakończył, śmiejąc się.

— Ale, ale... namów ją też, aby odsunęła od siebie choć trochę Żydów, a przyjęła choć paru Egipcjan i Egipcjanek. Nie chcę, aby mój syn przyszedł na świat w tym towarzystwie i może jeszcze bawił się z żydowskimi dziećmi. Nauczyliby go podawać ojcu najgorsze daktyle!...

ROZDZIAŁ XIX

Cudzoziemska dzielnica w Memfisie leżała w północno-wschodnim rogu miasta, blisko Nilu. Liczono tam kilkaset domów i kilkanaście tysięcy mieszkańców: Asyryjczyków, Żydów, Greków, najwięcej Fenicjan.

Był to cyrkuł[128] zamożny. Główną arterię tworzyła ulica szeroka na trzydzieści kroków, dość prosta, wybrukowana płaskimi kamieniami. Po obu stronach wznosiły się domy ceglane, piaskowcowe lub wapienne, wysokie na trzy do pięciu pięter. W piwnicach

[127] *nomes* (gr. *nomos*), dziś: *nom* — jednostka administracyjna starożytnego Egiptu.

[128] *cyrkuł* (daw., z łac. *circulus*: krąg, koło) — okręg, dzielnica.

były składy materiałów surowych, na parterach sklepy, na pierwszych piętrach mieszkania ludzi zamożnych, wyżej warsztaty tkackie, szewckie, jubilerskie, najwyżej — ciasne lokale wyrobników.

Budynki tej dzielnicy, jak zresztą w całym mieście, były przeważnie białe. Można jednak było widzieć kamienice zielone jak łąka, żółte jak łan pszenicy, niebieskie jak niebo lub czerwone jak krew.

W wielu zaś domach ściany frontowe były ozdobione obrazami przedstawiającymi zajęcia mieszkańców.

Na domu jubilera długie szeregi rysunków opiewały, że: jego właściciel wyrobione przez siebie łańcuchy i bransolety sprzedawał królom obcych narodów i obudzał[129] ich podziw. Ogromny pałac kupca pokryty był malowidłami opowiadającymi trudy i niebezpieczeństwa życia handlowego. Na morzu chwytają człowieka straszne potwory z rybimi ogonami — w pustyni skrzydlate i ogniem ziejące smoki, a na dalekich wyspach trapią go olbrzymy, których sandał większy bywa od fenickiego okrętu.

Lekarz na ścianie swojej pracowni przedstawiał osoby, które dzięki jego pomocy odzyskiwały utracone ręce i nogi, nawet zęby i młodość. Na budynku zaś, zajętym przez władze administracyjne dzielnicy, widać było — beczkę, do której ludzie rzucali złote pierścienie, pisarza, któremu ktoś szeptał do ucha, i rozciągniętego na ziemi penitenta, któremu dwaj inni ludzie bili skórę. Urzędnik

Ulica była pełna. Wzdłuż ścian mieścili się lektykarze, wachlarzownicy, posłańcy i robotnicy, gotowi ofiarować swoją pracę. Środkiem ciągnął się nieprzerwany łańcuch towarów dźwiganych przez tragarzy, osłów lub woły zaprzęgnięte do wozów. Na chodnikach snuli się wrzaskliwi przekupnie świeżej wody, winogron, daktylów, wędzonych ryb, a między nimi kramarze, kwiaciarki, muzykanci i różnego rodzaju sztukmistrze.

W tym ludzkim potoku, który płynął, roztrącał się, sprzedawał i kupował, krzycząc rozmaitymi głosami, wyróżniali się policjanci. Każdy miał brunatną koszulę do kolan, gołe nogi, fartuszek w niebieskie i czerwone pasy, krótki miecz przy boku i potężny kij w garści. Urzędnik ten spacerował po chodniku, niekiedy porozumiewał się ze swoim kolegą, najczęściej jednak stawał na przydrożnym kamieniu, ażeby lepiej ogarnąć tłum przelewający się u stóp jego.

Wobec takiej czujności złodzieje uliczni musieli działać bardzo roztropnie. Zwykle dwaj rozpoczynali między sobą bitwę, a gdy zebrał się tłum i policjanci okładali kijami zarówno swarzących się, jak i widzów, inni towarzysze kunsztu — kradli.

Prawie we środku ulicy stał zajazd Fenicjanina z Tyru[130], Asarhadona, w którym dla łatwiejszej kontroli byli obowiązani mieszkać wszyscy przyjeżdżający spoza granic Egiptu. Był to wielki dom kwadratowy, z każdego boku miał po kilkanaście okien i nie stykał się z innymi, więc można było obchodzić go i podglądać ze wszystkich stron. Nad główną bramą wisiał model okrętu, na frontowej ścianie były obrazy przedstawiające jego świątobliwość Ramzesa XII, jak składa bogom ofiary lub roztacza opiekę nad cudzoziemcami, między którymi Fenicjanie odznaczali się dużym wzrostem i mocno czerwoną barwą.

Okna były wąskie, zawsze otwarte i tylko w miarę potrzeby zasłaniane roletami z płótna lub kolorowych pręcików. Mieszkania gospodarza i podróżnych zajmowały trzy piętra, na dole mieściła się winiarnia i restauracja. Marynarze, tragarze, rzemieślnicy i w ogóle ubożsi podróżni jedli i pili w podwórku, które miało mozaikową posadzkę i płócienne dachy rozwieszone na słupkach, ażeby wszystkich gości można było mieć na oku. Zamożniejsi zaś i lepiej urodzeni ucztowali w galerii otaczającej podwórko.

W podwórzu zasiadano na ziemi, przy kamieniach zastępujących miejsce stołów. W galeriach, gdzie było chłodniej, znajdowały się stoliki, ławki i krzesła, nawet niskie z poduszek sofy, na których można było drzemać.

W każdej galerii był wielki stół założony chlebem, mięsiwem, rybami i owocami tudzież kilkugarncowe gliniane stągwie z piwem, winem i wodą. Murzyni i Murzynki roznosili gościom potrawy, usuwali stągwie próżne, dźwigali z piwnic pełne, a czuwający nad stołami pisarze skrupulatnie zapisywali każdy kawałek chleba, każdą główkę czosnku, i kubek wody. Na środku podwórza, na wzniesieniu, stali dwaj dozorcy z kijami, którzy

[129] *obudzać* — dziś: budzić.

[130] *Tyr* — wielkie miasto kupieckie w Fenicji (dziś: Sur w Libanie). [przypis autorski]

z jednej strony mieli oko na służbę i pisarzy, z drugiej — przy pomocy kija — łagodzili spory między uboższymi gośćmi różnych narodów. Dzięki temu urządzeniu kradzieże i bitwy trafiały się rzadko; częściej nawet w galeriach aniżeli na podwórku.

Sam gospodarz zajazdu, sławetny Asarhadon, człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, szpakowaty, ubrany w długą koszulę i muślinową narzutkę, chodził między gośćmi, aby dojrzeć, czy każdy ma, czego potrzebuje.

— Jedzcie i pijcie, synowie moi — mówił do greckich marynarzy — bo takiej wieprzowiny i piwa nie ma na całym świecie. Słyszę, pobiła was burza około Rafii[131]?... Powinniście bogom hojną złożyć ofiarę, że was ocalili!... W Memfis przez całe życie można nie widzieć burzy, ale na morzu łatwiej o piorun aniżeli o miedzianego utena... Mam miód, mąkę, kadzidła na święte ofiary, a tam, w kątach, stoją bogowie wszystkich narodów. W moim zajeździe człowiek może być sytym i pobożnym za bardzo małe pieniądze.

Zawrócił się i wszedł do galerii między kupców.

— Jedzcie i pijcie, czcigodni panowie — zachęcał, kłaniając się. — Czasy są dobre! Najdostojniejszy następca, oby żył wiecznie, jedzie do Pi-Bastu[132] z ogromną świtą, a z Górnego Królestwa przyszedł transport złota, na czym niejeden z was pięknie zarobi. Mamy kuropatwy, młode gąski, ryby prosto z rzeki i doskonałą pieczeń sarnią. A jakie wino przysłali mi z Cypru!... Niech zostanę Żydem, jeżeli kubek tej rozkoszy nie jest wart dwie drachmy!... Ale — wam, ojcom i dobrodziejom moim, oddam dziś po drachmie. Tylko dziś, ażeby zrobić początek.

— Daj po pół drachmy kubek, to skosztujemy — odparł jeden z kupców.

— Pół drachmy?... — powtórzył restaurator. — Pierwej Nil popłynie ku Tebom, aniżeli ja taką słodycz oddam za pół drachmy. Chyba... dla ciebie, panie Belezis, który jesteś perłą Sydonu... Hej, niewolnicy!... a podajcie dobrodziejom naszym większy dzban cypryjskiego...

Gdy odszedł, kupiec nazwany Belezisem rzekł do swoich towarzyszów:

— Ręka mi uschnie, jeżeli to wino warte pół drachmy. Ale niech go tam!... Będziemy mieli mniej kłopotu z policją.

Rozmowa z gośćmi wszelkich narodów i stanów nie przeszkadzała gospodarzowi zważać na pisarzy zapisujących jadło i napitki, na dozorców, którzy pilnowali służbę i pisarzy, a nade wszystko na podróżnego, który, we frontowej galerii usiadłszy z podwiniętymi nogami na poduszkach, drzemał nad garstką daktylów i kubkiem czystej wody. Podróżny ten miał około czterdziestu lat, bujne włosy i brodę kruczej barwy, zadumane oczy i dziwnie szlachetne rysy, których, zdawało się, nigdy gniew nie zmarszczył ani wykrzywiła trwoga.

„To niebezpieczny szczur!... — myślał gospodarz, patrząc na niego spod oka. — Ma minę kapłana, a chodzi w ciemnej opończy... Złożył u mnie klejnotów i złota za talent, a nie jada mięsa ani nie pije wina... Musi to być wielki prorok albo wielki złodziej!..."

Na podwórko weszli z ulicy dwaj nadzy psyllowie, czyli poskramiacze wężów, z torbą pełną jadowitego gadu, i zaczęli przedstawienie. Młodszy grał na fujarce, a starszy począł owijać się małymi i dużymi wężami, z których każdy wystarczyłby do rozpędzenia gości z oberży „Pod Okrętem". Fujarka odzywała się coraz piskliwiej, poskramiacz wyginał się, pienił, drgał konwulsyjnie i ciągle drażnił gady. Wreszcie jeden z węży ukąsił go w rękę, drugi w twarz, a trzeciego — najmniejszego — zjadł żywcem sam poskramiacz.

Goście i służba z niepokojem przypatrywali się zabawie poskramiacza. Drżeli, gdy drażnił gady, zamykali oczy, gdy wąż kąsał człowieka. Lecz gdy psyllo zjadł węża — zawyli z radości i podziwu...

Tylko podróżny z frontowej galerii nie opuścił swoich poduszek, nawet nie raczył spojrzeć na zabawę. A gdy poskramiacz zbliżył się po zapłatę, podróżnik rzucił na posadzkę dwa miedziane uteny, dając mu ręką znak, ażeby się nie zbliżał.

Przedstawienie ciągnęło się z pół godziny. Gdy psyllowie opuścili dziedziniec, do gospodarza przybiegł Murzyn obsługujący pokoje gościnne i coś szeptał zafrasowany. Potem, nie wiadomo skąd, ukazał się dziesiętnik policyjny i zaprowadziwszy Asarhadona do

[131] *Rafia* — dziś: Rafah, miasto blisko wybrzeża Morza Śródziemnego ok. 30 km na południe od Gazy, na granicy Egiptu i Izraela.

[132] *Pi-Bast* — Per-Bastet, gr. Bubastis, miasto we wschodniej Delcie, w pobliżu dzisiejszego Az-Zakazik, ok. 80 km na północ od Memfis. Stolica Am-Chent, 18. nomu Dolnego Egiptu.

odległej framugi długo z nim rozmawiał, a czcigodny właściciel zajazdu bił się w piersi, załamywał ręce albo chwytał się za głowę. Nareszcie kopnął Murzyna w brzuch, kazał podać dziesiętnikowi gęś pieczoną i dzban cypryjskiego, a sam zbliżył się do gościa z frontowej galerii, który wciąż zdawał się drzemać, choć oczy miał otwarte.

— Smutne mam nowiny dla ciebie, zacny panie — rzekł gospodarz, siadając obok podróżnego.

— Bogowie zsyłają na ludzi deszcz i smutek, kiedy im się podoba — odparł obojętnie gość.

— Gdyśmy się tu przypatrywali psyllom — ciągnął gospodarz targając szpakowatą brodę — złodzieje dostali się na drugie piętro i wykradli twoje rzeczy... Trzy worki i skrzynię, zapewne bardzo kosztowną!...

— Musisz zawiadomić sąd o mojej krzywdzie.

— Po co sąd?... — szepnął gospodarz. — U nas złodzieje mają swój cech... Poślemy po starszego, otaksujemy rzeczy, zapłacisz mu dwudziesty procent wartości i wszystko się znajdzie. Ja mogę ci dopomóc.

— W moim kraju — rzekł podróżny — nikt nie układa się ze złodziejami, i ja nie będę. Mieszkam u ciebie, tobie powierzyłem mój majątek i ty za niego odpowiadasz.

Czcigodny Asarhadon zaczął drapać się między łopatki.

— Człowieku z dalekiej krainy — mówił zniżonym głosem — wy, Hetyci, i my, Fenicjanie, jesteśmy braćmi, więc szczerze radzę ci nie wdawać się z egipskim sądem, bo on ma tylko jedne drzwi: przez które się wchodzi, ale nie ma tych, przez które się wychodzi.

— Bogowie przez mur wyprowadzą niewinnego — odparł gość.

— Niewinny!... Kto z nas jest niewinny w ziemi niewoli? — szeptał gospodarz. — Oto spojrzyj — tam dojada gęś dziesiętnik z policji; wyborną gąskę, którą sam chętnie zjadłbym. A wiesz, dlaczego oddałem, sobie od ust odjąwszy, ten frykas?... Bo dziesiętnik przyszedł wypytywać się o ciebie...

To powiedziawszy, Fenicjanin zezem spojrzał na podróżnego, który jednak ani na chwilę nie utracił spokoju.

— Pyta mnie — ciągnął gospodarz — pyta mnie dziesiętnik: „Co za jeden jest ten czarny, który dwie godziny siedzi nad garstką daktylów?..." Mówię: Bardzo zacny człowiek, pan Phut. — „Skąd on?..." — Z kraju Chetii[133], z miasta Harranu[134]; ma tam porządny dom o trzech piętrach i dużo pola. — „Po co on tu przyjechał?" — Przyjechał, mówię, odebrać od jednego kapłana pięć talentów, które jeszcze jego ojciec pożyczył.

A wiesz, zacny panie — prawił restaurator — co mi na to odpowiedział dziesiętnik?... Te słowa: „Asarhadonie, wiem, że jesteś wiernym sługą jego świątobliwości faraona, masz dobre jadło i niefałszowane wina, dlatego mówię ci — strzeż się!... Strzeż się cudzoziemców, którzy nie robią znajomości, unikają wina i wszelkich uciech i milczą. Ten Phut, harrańczyk, może być asyryjskim szpiegiem."

Serce we mnie zamarło, kiedym to usłyszał — ciągnął gospodarz. — Ale ciebie nic nie obchodzi!... — oburzył się widząc, że nawet straszne posądzenie o szpiegostwo nie zamąciło spokoju Chetyjczyka[135].

— Asarhadonie — rzekł po chwili gość — powierzyłem ci siebie i mój majątek. Pomyśl więc, aby mi oddano wory i skrzynię, gdyż w przeciwnym razie zaskarżę cię do tego samego dziesiętnika, który zjada gęś przeznaczoną dla ciebie.

— No... więc pozwól, abym wypłacił złodziejom tylko piętnaście procent wartości twoich rzeczy — zawołał gospodarz.

— Nie masz prawa płacić.

— Daj im choć trzydzieści drachm...

— Ani utena.

— Daj biedakom choćby dziesięć drachm...

---

[133]*kraj Chetii*, dziś popr.: *Hatti* — kraj Hetytów, obejmujący tereny Anatolii (Azja Mniejsza). Po upadku mocarstwa Hetytów ok. 1190 p.n.e. nazwa terenów późnohetyckich państewek południowo-wschodniej Anatolii i północnej Syrii.

[134]*Harran* — miasto w północno-wschodniej Mezopotamii, bogaty ośrodek kupiecki położony na skrzyżowaniu dróg handlowych.

[135]*Chetyjczyka* — dziś popr.: Hetyty.

— Idź w pokoju, Asarhadonie, i proś bogów, ażeby ci rozum przywrócili — odparł podróżny, zawsze z tym samym spokojem.

Gospodarz zerwał się z poduszek, sapiąc z gniewu.

„To gadzina!... — myślał. — On nie tylko po dług przyjechał... On tu jeszcze zrobi jakiś interes... Serce mówi mi, że to musi być bogaty kupiec, a może nawet restaurator, który, do spółki z kapłanami i sędziami, otworzy mi gdzie pod bokiem drugi zajazd... Bodaj cię pierwej spalił ogień niebieski!... bodaj cię trąd stoczył!... Skąpiec, oszust, złodziej, na którym uczciwy człowiek nic nie zarobi..."

Jeszcze zacny Asarhadon nie zdążył uspokoić się z gniewu, gdy na ulicy rozległy się odgłosy fletu i bębenka, a po chwili na podwórze wbiegły cztery prawie nagie tancerki. Tragarze i marynarze powitali je okrzykami radości, a nawet poważni kupcy spod galerii zaczęli przyglądać się ciekawie i robić uwagi nad ich pięknością. Tancerki ruchem rąk i uśmiechami powitały obecnych. Jedna zaczęła grać na podwójnym flecie, druga wtórowała jej na bębenku, a dwie najmłodsze tańczyły dokoła podwórka w taki sposób, że prawie nie było gościa, którego by nie zaczepiły ich muślinowe szale.

Pijący zaczęli śpiewać, krzyczeć i zapraszać do siebie tancerki, a między pospólstwem wyniknęła zwada, którą jednak dozorcy łatwo uspokoili, podniósłszy do góry swoje trzciny. Tylko jakiś Libijczyk, rozdrażniony widokiem kija, wydobył nóż; ale dwaj Murzyni schwycili go za ręce, zabrali mu kilka miedzianych pierścionków, jako należność za jadło, i wyrzucili go na ulicę. Tymczasem jedna tancerka została z marynarzami, dwie poszły między kupców, którzy ofiarowali im wino i ciastka, a najstarsza zaczęła obchodzić stoły i kwestować.

— Na świątynię boskiej Izydy!... — wołała. — Składajcie, pobożni cudzoziemcy, na świątynię Izydy, bogini, która opiekuje się wszelkim stworzeniem... Im więcej dacie, tym więcej otrzymacie szczęścia i błogosławieństw... Na świątynię matki Izydy!...

Rzucano jej na bębenek kłębki miedzianego drutu, niekiedy ziarnko złota. Jeden kupiec zapytał: czy można ją odwiedzić? na co z uśmiechem skinęła głową.

Gdy weszła do frontowej galerii, harrańczyk Phut sięgnął do skórzanego worka i wydobył złoty pierścień mówiąc:

— Istar[136] jest bogini wielka i dobra, przyjmij to na jej świątynię.

Kapłanka bystro spojrzała na niego i szepnęła:

— Anael, Sachiel...

— Amabiel, Abalidot — odpowiedział tym samym tonem podróżny.

— Widzę, że kochasz matkę Izydę — rzekła kapłanka głośno. — Musisz być bogaty i jesteś hojny, więc warto ci powróżyć.

Usiadła przy nim, zjadła parę daktylów i patrząc na jego dłoń, zaczęła mówić:

— Przyjeżdżasz z dalekiego kraju od Bretora i Hagita[137]... Podróż miałeś szczęśliwą...

Od kilku dni śledzą cię Fenicjanie — dodała ciszej.

Przyjeżdżasz po pieniądze, choć nie jesteś kupcem... Przyjdź do mnie dziś po zachodzie słońca...

Żądania twoje — mówiła głośno — powinny się spełnić...

Mieszkam na ulicy Grobów w domu pod „Zieloną Gwiazdą" — szepnęła.

— Tylko strzeż się złodziei, którzy czyhają na twój majątek — zakończyła, widząc, że zacny Asarhadon podsłuchuje.

— W moim domu nie ma złodziei!... — wybuchnął gospodarz. — Kradną chyba ci, którzy tu z ulicy przychodzą!...

— Nie złość się, staruszku — odparła szyderczo kapłanka — bo zaraz występuje ci czerwona pręga na szyi, co oznacza śmierć nieszczęśliwą.

Usłyszawszy to, Asarhadon splunął po trzykroć i cicho odmówił zaklęcie przeciw złym wróżbom. Gdy zaś odsunął się w głąb galerii, kapłanka zaczęła kokietować harrańczyka. Dała mu różę ze swego wieńca, na pożegnanie uścisnęła go i poszła do innych stołów.

Podróżny skinął na gospodarza.

---

[136] *Istar*, *Isztar* — babilońska i asyryjska bogini wojny, miłości i płodności, związana przede wszystkim z seksualnością. Pani Nieba, utożsamiana z gwiazdą zaranną (planetą Wenus). Stała się główną boginią Mezopotamii, spokrewnioną z zachodniosemicką Astarte.

[137] *Bretor i Hagit* — duchy północnej i wschodniej okolicy świata. [przypis autorski]

— Chcę — rzekł — ażeby ta kobieta była u mnie. Każ ją zaprowadzić do mego pokoju.

Asarhadon popatrzył mu w oczy, klasnął w ręce i wybuchnął śmiechem.

— Tyfon[138] opętał cię, harrańczyku! — zawołał. — Gdyby coś podobnego stało się w moim domu z egipską kapłanką, wypędziliby mnie z miasta. Tu wolno przyjmować tylko cudzoziemki.

— W takim razie ja pójdę do niej — odparł Phut. — Albowiem jest to mądra i pobożna niewiasta i poradzi mi w wielu zdarzeniach. Po zachodzie słońca dasz mi przewodnika, ażebym idąc nie zbłąkał się.

— Wszystkie złe duchy wstąpiły do twego serca — odpowiedział gospodarz. — Czy wiesz, że ta znajomość będzie cię kosztowała ze dwieście drachm, może trzysta, nie licząc tego, co musisz dać służebnicom i świątyni. Za taką zaś sumę, zresztą — za pięćset drachm, możesz poznać kobietę młodą i cnotliwą, moją córkę, która ma już czternaście lat i jako dziewczę rozsądne zbiera sobie posag. Nie włócz się więc nocą po nieznanym mieście, bo wpadniesz w ręce policji albo złodziei, lecz korzystaj z tego, co bogowie ofiarują ci w domu. Chcesz?...

— A czy twoja córka pojedzie ze mną do Harranu? — spytał Phut.

Gospodarz patrzył na niego zdumiony. Nagle uderzył się w czoło, jakby odgadł tajemnicę, i schwyciwszy podróżnego za rękę, pociągnął go do zacisznej framugi.

— Już wszystko wiem! — szeptał wzburzony. — Ty handlujesz kobietami... Ale pamiętaj, że za wywiezienie jednej Egipcjanki stracisz majątek i pójdziesz do kopalń. Chyba... że mnie weźmiesz do wspólki[139], bo ja tu wszędzie znam drogi...

— W takim razie opowiesz mi drogę do domu tej kapłanki — odparł Phut. — Pamiętaj, ażebym po zachodzie słońca miał przewodnika, a jutro moje worki i skrzynię, bo inaczej poskarżę się do sądu.

To powiedziawszy, Phut opuścił restaurację i poszedł do swego pokoju na górę.

Wściekły z gniewu Asarhadon zbliżył się do stolika, przy którym pili kupcy feniccy, i odwołał na stronę jednego z nich, Kusza.

— Pięknych gości dajesz mi pod opiekę!... — rzekł gospodarz, nie mogąc pohamować drżenia głosu. — Ten Phut prawie nic nie jada, każe mi wykupować od złodziei rzeczy, które mu skradziono, a teraz, jakby na urąganie z mego domu, wybiera się do egipskiej tancerki, zamiast obdarować moje kobiety.

— Cóż dziwnego? — odparł śmiejąc się Kusz. — Fenicjanki mógł poznać w Sydonie, tutaj zaś woli Egipcjanki. Głupi jest ten, kto na Cyprze nie kosztuje wina cypryjskiego, tylko piwo tyryjskie.

— A ja ci mówię — przerwał gospodarz — że to jest człowiek niebezpieczny... Udaje mieszczanina, choć ma postawę kapłana.

— Ty, Asarhadonie, wyglądasz jak arcykapłan, a jesteś tylko szynkarzem! Ława nie przestaje być ławą, choć ma na sobie lwią skórę.

— Ale po co on chodzi do kapłanek?... Przysiągłbym, że to wybieg i że gbur chetyjski[140], zamiast na ucztę do kobiet, uda się na jakieś zgromadzenie spiskowców.

— Złość i chciwość zamroczyły twój umysł — odrzekł z powagą Kusz. — Jesteś jak człowiek, który szukając dyni na figowym drzewie, nie widzi figi. Dla każdego kupca jest jasne, że jeżeli Phut ma odebrać pięć talentów od kapłana, to musi skarbić sobie łaski u wszystkich, którzy kręcą się przy świątyniach. Ale ty już nic nie rozumiesz...

— Bo mnie mówi serce, że to musi być asyryjski wysłaniec czyhający na zgubę jego świątobliwości...

Kusz z pogardą patrzył na Asarhadona.

— Więc śledź go, czuwaj nad każdym jego krokiem. A jeżeli co wykryjesz, może dostanie ci się jaka cząstka jego majątku.

---

[138] *Tyfon* — w mitologii greckiej najstraszliwszy z potworów, syn Gai i Tartaru. Łączony z egipskim Setem, bogiem burz, pustyń i obcych krajów, który po czasach Nowego Państwa i zawładnięciu Egiptem przez obce ludy w Trzecim Okresie Przejściowym i Okresie Późnym, został zdemonizowany i uznany za boga zła i chaosu.

[139] *wspólka* — dziś: spółka.

[140] *chetyjski* — dziś popr.: hetycki.

— O, teraz powiedziałeś mądre zdanie! — rzekł gospodarz. — Niech ten szczur idzie sobie do kapłanek, a od nich w miejsce nie znane mi. Ale ja za nim poślę moje źrenice, przed którymi nic się nie ukryje!

ROZDZIAŁ XX

Około dziewiątej godziny wieczorem Phut opuścił zajazd „Pod Okrętem" w towarzystwie Murzyna niosącego pochodnię. Pół godziny przedtem Asarhadon wysłał na ulicę Grobów zaufanego człowieka, rozkazując, aby pilnie zważał: czy harrańczyk nie wymknie się z domu pod „Zieloną Gwiazdą", a jeżeliby tak uczynił — dokąd pójdzie?

Drugi zaufany człowiek gospodarza szedł w pewnej odległości za Phutem; na węższych ulicach krył się pod domami, na szerszych — udawał pijanego.

Ulice były już puste, tragarze i przekupnie spali. Świeciło się tylko w mieszkaniach pracujących rzemieślników albo u ludzi bogatych, którzy ucztowali na płaskich dachach. W różnych stronach miasta odzywały się dźwięki arf i fletów, śpiewy, śmiechy, kucie młotów, zgrzytanie pił stolarskich. Czasem okrzyk pijacki, niekiedy wołanie o ratunek.

Ulice, którymi przechodził Phut i niewolnik, były po większej części ciasne, krzywe, pełne wybojów. W miarę zbliżania się do celu podróży, kamienice były coraz niższe, domy jednopiętrowe liczniejsze i więcej ogrodów, a raczej palm, fig i nędznych akacji, które wychylały się spomiędzy murów, jakby miały zamiar uciec stąd.

Na ulicy Grobów widok nagle zmienił się. Miejsce kamienic zajęły rozległe ogrody, a wśród nich — eleganckie pałacyki. Przed jedną z bram Murzyn zatrzymał się i zgasił pochodnię.

— Tu jest „Zielona Gwiazda" — rzekł i złożywszy Phutowi niski ukłon, zawrócił do domu.

Harrańczyk zapukał do wrót. Po chwili ukazał się odźwierny. Uważnie obejrzał przybysza i mruknął:

— Anael, Sachiel...

— Amabiel, Abalidot — odpowiedział Phut.

— Bądź pozdrowiony — rzekł odźwierny i szybko otworzył bramę.

Przeszedłszy kilkanaście kroków między drzewami, Phut znalazł się w sieni pałacyku, gdzie powitała go znajoma kapłanka. W głębi stał jakiś człowiek z czarną brodą i włosami, tak podobny do harrańczyka, że przybysz nie mógł ukryć zdziwienia.

— On zastąpi cię w oczach tych, którzy cię śledzą — rzekła z uśmiechem kapłanka.

Człowiek, przebrany za harrańczyka, włożył sobie na głowę wieniec z róż i w towarzystwie kapłanki poszedł na pierwsze piętro, gdzie niebawem rozległy się dźwięki fletu i szczęk pucharów. Phuta zaś dwaj niżsi kapłani zaprowadzili do łaźni w ogrodzie. Tam, wykąpawszy go i utrefiwszy włosy, włożyli na niego białe szaty.

Z łazienki wszyscy trzej znowu wyszli między drzewa; minęli kilka ogrodów, wreszcie znaleźli się na pustym placu.

— Tam — rzekł do Phuta jeden z kapłanów — są dawne groby, tam miasto, a tu świątynia. Idź, gdzie chcesz, i niechaj mądrość wskazuje ci drogę, a święte słowa bronią od niebezpieczeństw.

Dwaj kapłani cofnęli się do ogrodu, a Phut został sam. Noc bezksiężycowa była dość widna. Z daleka, otulony we mgłę, migotał Nil, wyżej iskrzyło się siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy. Nad głową podróżnego wznosił się Orion, a nad ciemnymi pylonami płonęła gwiazda Syriusz.

„U nas gwiazdy mocniej świecą" — pomyślał Phut. Zaczął szeptać modlitwy w nieznanym języku i skierował się ku świątyni.

Gdy odszedł kilkadziesiąt kroków, z jednego ogrodu wychylił się człowiek i śledził podróżnego. Lecz prawie w tej samej chwili spadła tak gęsta mgła, że na placu, oprócz dachów świątyni, nie można było nic dojrzeć.

Po pewnym czasie harrańczyk natknął się na wysoki mur. Spojrzał na niebo i począł iść ku zachodowi. Co chwilę przelatywały nad nim nocne ptaki i wielkie nietoperze. Mgła zrobiła się tak gęstą, że musiał dotykać ściany, aby jej nie zgubić. Wędrówka trwała dość długo, gdy nagle Phut znalazł się przed niską furtką, nabitą mnóstwem brązowych

gwoździ. Zaczął je liczyć od lewej ręki z góry, przy czym jedne mocno naciskał, inne zakręcał.

Gdy tym sposobem poruszył ostatni gwóźdź u dołu, drzwi cicho otworzyły się. Harrańczyk posunął się kilka kroków i znalazł się w ciasnej niszy, w której panowała zupełna ciemność.

Począł ostrożnie próbować nogą gruntu, aż trafił jakby na krawędź studni, z której wiał chłód. Tu usiadł i śmiało zsunął się w głąb przepaści, chociaż w tym miejscu i w tym kraju znajdował się dopiero pierwszy raz.

Przepaść jednak nie była głęboka. Phut równymi nogami stanął na pochyłej podłodze i wąskim korytarzem zaczął schodzić na dół z taką pewnością, jakby drogę znał od dawna.

W końcu kurytarza były drzwi. Przybysz znalazł po omacku kołatkę i trzy razy zapukał. W odpowiedzi odezwał się głos, nie wiadomo skąd pochodzący:

— Ty, który w nocnej godzinie zakłócasz spokój świętego miejsca, czy masz prawo tu wchodzić?

— Nie skrzywdziłem męża, kobiety ani dziecka... Rąk moich nie splamiła krew... Nie jadłem potraw nieczystych... Nie zabrałem cudzego mienia... Nie kłamałem i nie zdradziłem wielkiej tajemnicy — spokojnie odpowiedział harrańczyk.

— Jestżeś tym, którego oczekują, czy tym, za którego się podajesz? — zapytał głos po chwili.

— Jestem ten, który miał przyjść od braci ze Wschodu, ale to drugie imię jest także moje imię, a w mieście północnym posiadam dom i ziemię, jakom rzekł obcym — odpowiedział Phut.

Otworzyły się drzwi i harrańczyk wszedł do obszernej piwnicy, którą oświetlała lampka płonąca na stoliku przed purpurową zasłoną. Na zasłonie była wyhaftowana złotem skrzydlata kula z dwoma wężami.

Na boku stał kapłan egipski w białej szacie.

— Który tu wszedłeś — rzekł kapłan, wskazując ręką Phuta — czy wiesz, co opowiada ten znak na zasłonie?

— Kula — odparł przybysz — jest obrazem świata, na którym mieszkamy, a skrzydła wskazują, że świat ten unosi się w przestrzeni jak orzeł.

— A węże?... — spytał kapłan.

— Dwa węże przypominają mędrcowi, że kto by zdradził tę wielką tajemnicę, umrze podwójnie — ciałem i duszą.

Po chwili milczenia kapłan znowu zapytał:

— Jeżeliś jest w samej rzeczy Beroes (tu schylił głowę), wielki prorok Chaldei[141] (znowu schylił głowę), dla którego nie ma tajemnic na ziemi ani w niebie, racz powiedzieć słudze twemu: która gwiazda jest najdziwniejsza?

— Dziwnym jest Hor-set[142], który obchodzi niebo w ciągu dwunastu lat, gdyż dokoła niego krążą cztery mniejsze gwiazdy. Ale dziwniejszym jest Horka[143] obchodzący niebo w trzydzieści lat. Ma on bowiem nie tylko podwładne sobie gwiazdy, lecz i wielki pierścień, który niekiedy znika.

Wysłuchawszy tego egipski kapłan upadł na twarz przed Chaldejczykiem. Następnie wręczył mu purpurową szarfę i welon z muślinu, pokazał, gdzie stoją kadzidła, i wśród niskich ukłonów opuścił pieczarę.

Chaldejczyk został sam. Włożył szarfę na prawe ramię, zakrył twarz welonem i wziąwszy złotą łyżkę nasypał w nią kadzidła, które zapalił u lampki przed zasłoną. Szepcząc obrócił się trzy razy w koło, a dym kadzidła opasał go jakby potrójnym pierścieniem.

Przez ten czas w pustej pieczarze zapanował dziwny niepokój. Zdawało się, że sufit idzie w górę i rozsuwają się ściany. Purpurowa zasłona na ołtarzu chwiała się niby poru-

[141] *Chaldea* — równina na południowym krańcu Mezopotamii (dziś Irak), w delcie Tygrysu i Eufratu. Semicki lud Chaldejczyków, który od X w. p.n.e., w okresie słabości władców Babilonii, osiedlał się na tych terenach, przyswajał sobie miejscową kulturę i w VII p.n.e. przejął władzę, tworząc państwo nowobabilońskie. Dawniej Chaldeą nazywano wszystkie krainy i państwa mezopotamskie: Sumeru, Akkadu, Babilonii, prócz Asyrii. Kapłani chajdejscy słynęli w starożytności ze znajomości astronomii i astrologii.

[142] *Hor-set* — Planeta Jowisz. [przypis autorski]

[143] *Horka* — planeta Saturn. [przypis autorski]

szana przez ukryte ręce. Powietrze zaczęło falować, jakby wśród niego przelatywały stada niewidzialnych ptaków.

Chaldejczyk rozsunął szatę na piersiach i wydobył złoty medal pokryty tajemniczymi znakami. Pieczara drgnęła, święta zasłona poruszyła się gwałtowniej, a w różnych punktach izby ukazały się płomyki.

Wtedy mag wzniósł ręce do góry i zaczął mówić:

— „Ojcze niebieski, łaskawy i miłosierny, oczyść duszę moją... Ześlij na niegodnego sługę swoje błogosławieństwa i wyciągnij wszechmocne ramię na duchy buntownicze, abym mógł okazać moc Twoją...

Oto znak, którego dotykam w waszej obecności... Otom jest — ja — oparty na pomocy bożej, przewidujący i nieustraszony... Otom jest potężny i wywołuję was, i zaklinam... Przyjdźcie tu, posłuszne w imię Aye, Saraye, Aye, Saraye..."

W tej chwili z różnych stron odezwały się jakieś głosy. Około lampki przeleciał jakiś ptak, potem szata rudej barwy, następnie człowiek z ogonem, nareszcie kogut w koronie, który stanął na stoliku przed zasłoną.

Chaldejczyk znowu mówił:

— „W imię wszechmocnego i wiekuistego Boga... Amorul, Tanecha, Rabur, Latisten..."

Dalekie głosy odezwały się po raz drugi.

— „W imię prawdziwego i wiecznie żyjącego Eloy, Archima, Rabur, zaklinam was i wzywam... Przez imię gwiazdy, która jest słońcem, przez ten jej znak, przez chwalebne i straszne imię Boga żywego...[144]"

Nagle wszystko ucichło. Przed ołtarzem ukazało się ukoronowane widmo z berłem w ręku, siedzące na lwie.

— Beroes!... Beroes!... — zawołało widmo stłumionym głosem — po co mnie wywołujesz?

— Chcę, ażeby bracia moi z tej świątyni przyjęli mnie szczerym sercem i nakłonili ucha do słów, które przynoszę im od braci z Babilonu — odpowiedział Chaldejczyk.

— Niech się tak stanie — rzekło widmo i znikło.

Chaldejczyk został bez ruchu, jak posąg, z odrzuconą w tył głową, z rękoma wzniesionymi do góry. Stał tak przeszło pół godziny w pozycji niemożliwej dla zwykłego człowieka.

W tym czasie cofnął się kawał muru tworzącego ścianę pieczary i weszli trzej kapłani egipscy. Na widok Chaldejczyka, który zdawał się leżeć w powietrzu, oparty plecami o niewidzialną podporę, kapłani zaczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem. Najstarszy rzekł:

— Dawniej bywali u nas tacy, ale dziś nikt tego nie potrafi.

Obchodzili go ze wszystkich stron, dotykali zdrętwiałych członków i z niepokojem patrzyli na jego oblicze, żółte i bezkrwiste jak u trupa.

— Czy umarł?... — zapytał najmłodszy.

Po tych słowach pochylone w tył ciało Chaldejczyka wróciło do pionowej postawy. Na twarzy ukazał się lekki rumieniec, a wzniesione ręce opadły. Westchnął, przetarł oczy jak człowiek zbudzony ze snu, spojrzał na przybyłych i po chwili rzekł:

— Ty — zwrócił się do najstarszego — jesteś Mefres, arcykapłan świątyni Ptah w Memfis... Ty — jesteś Herhor, arcykapłan Amona w Tebach, najpierwszy mocarz po królu w tym państwie... Ty — wskazał na najmłodszego — jesteś Pentuer, drugi prorok w świątyni Amona i doradca Herhora.

— A ty niewątpliwie jesteś Beroes, wielki kapłan i mędrzec babiloński, którego przyjście oznajmiono nam przed rokiem — odparł Mefres.

— Powiedziałeś prawdę — rzekł Chaldejczyk. Uścisnął ich po kolei, a oni schylali głowy przed nim.

— Przynoszę wam wielkie słowa z naszej wspólnej ojczyzny, którą jest mądrość — mówił Beroes. — Raczcie ich wysłuchać i działajcie, jak potrzeba.

[144]...*i straszne imię Boga żywego* — zaklęcia magów. [przypis autorski]

Na znak Herhora Pentuer cofnął się w głąb pieczary i wyniósł trzy fotele z lekkiego drzewa dla starszych, a niski taboret dla siebie. Usiadł w bliskości lampki i wydobył z zanadrza mały sztylet i tabliczkę pokrytą woskiem.

Gdy wszyscy trzej zajęli fotele, Chaldejczyk zaczął:

— Do ciebie, Mefresie, mówi najwyższe kolegium kapłanów w Babilonie. Święty stan kapłański w Egipcie upada. Wielu z nich gromadzą[145] pieniądze i kobiety i pędzą życie wśród uciech. Mądrość jest zaniedbana. Nie macie władzy ani nad światem niewidzialnym, ani nawet nad własnymi duszami. Niektórzy z was utracili wiarę wyższą, a dla źrenic waszych zakryta jest przyszłość. Nawet dzieje się gorzej, bo wielu kapłanów czując, że siły ich ducha są wyczerpane, weszli[146] na drogę kłamstwa i zręcznymi sztukami zwodzą prostaków.

To mówi najwyższe kolegium: jeżeli chcecie powrócić na dobrą drogę, Beroes zostanie z wami przez kilka lat, ażeby za pomocą iskry przyniesionej z wielkiego ołtarza Babilonu rozniecić prawdziwe światło nad Nilem.

— Wszystko tak jest, jak mówisz — odparł zasmucony Mefres. — Zostań przeto między nami kilka lat, ażeby dorastająca młodzież przypomniała sobie waszą mądrość.

— A teraz do ciebie, Herhorze, słowa od najwyższego kolegium...

Herhor pochylił głowę.

— Skutkiem zaniedbania wielkich tajemnic kapłani wasi nie spostrzegli, że dla Egiptu nadchodzą złe lata. Grożą wam klęski wewnętrzne, które tylko cnota i mądrość oddalić może. Lecz gorsze jest, że gdybyście w ciągu następnych dziesięciu lat rozpoczęli wojnę z Asyrią, wojska jej rozgromią wasze, przyjdą nad Nil i zniszczą wszystko, co tu istnieje od wieków.

Taki złowrogi układ gwiazd, jaki dziś cięży nad Egiptem, zdarzył się pierwszy raz za dynastii czternastej[147], kiedy wasz kraj zdobyli i złupili Hyksosi. Trzeci raz powtórzy się on za pięćset lub sześćset lat od strony Asyrii i ludu Paras[148][149], który mieszka na wschód od Chaldei.

Kapłani słuchali przerażeni. Herhor był blady, Pentuerowi wypadła z rąk tabliczka. Mefres ujął wiszący na piersiach amulet i modlił się zeschłymi wargami.

— Strzeżcie się więc Asyrii — ciągnął Chaldejczyk — bo dziś jej godzina. Okrutny to lud!... gardzi pracą, żyje wojną. Zwyciężonych wbija na pale lub obdziera ze skóry, niszczy zdobyte miasta, a ludność uprowadza w niewolę. Odpoczynkiem ich jest polować na srogie zwierzęta, a zabawą — strzelać z łuku do jeńców lub wyłupywać im oczy. Cudze świątynie zamieniają w gruzy, naczyniami bogów posługują się przy swych ucztach, a kapłanów i mędrców robią swoimi błaznami. Ozdobą ich ścian są skóry żywych ludzi, a ich stołu — zakrwawione głowy nieprzyjaciół. Wojna, Okrucieństwo

Gdy Chaldejczyk umilknął, odezwał się czcigodny Mefres:

— Wielki proroku, rzuciłeś strach na dusze nasze, a nie wskazujesz ratunku. Może być, i z pewnością tak jest, skoro mówisz, że losy przez pewien czas będą dla nas niełaskawe; lecz — jakże tego uniknąć? Są w Nilu miejsca niebezpieczne, z których żadna łódź nie ocali się; toteż mądrość sterników omija groźne wiry. Toż samo z nieszczęściami narodów. Naród jest czółnem, a czas rzeką, którą w pewnych epokach mącą wiry. Jeżeli zaś drobna skorupa rybacza umie wywinąć się od klęski, dlaczego miliony ludu nie mogłyby w podobnych warunkach ujść zagłady?

— Mądre są słowa twoje — odparł Beroes — ale tylko w pewnej części potrafię na nie odpowiedzieć.

— Miałżebyś nie znać wszystkiego, co się stanie? — zapytał Herhor.

— Nie pytaj mnie o to, co wiem, a czego nie mogę powiedzieć. Najważniejszą rzeczą dla was jest utrzymać dziesięcioletni pokój z Asyrią, a to leży w granicy waszych sił.

---

[145] *Wielu z nich gromadzą* — dziś popr.: wielu z nich gromadzi.

[146] *wielu kapłanów [...] weszli [...] i zwodzą* — dziś popr.: wielu kapłanów weszło... i zwodzi.

[147] *dynastia czternasta* — panująca w Drugim Okresie Przejściowym przed przejęciem kontroli nad Deltą przez Hyksosów. Według części uczonych obejmująca królów rządzących Dolnym Egiptem równocześnie z władcami XIII dynastii (1802–1649 p.n.e.).

[148] *Paras* — hebr. nazwa Persji.

[149] *złowrogi układ gwiazd... powtórzy się za pięćset lub sześćset lat od strony Asyrii i ludu Paras* — Asyryjczycy na kilka lat zdobyli Egipt w 671 p.n.e., Persowie podbili go w 525 p.n.e.

Asyria jeszcze boi się was, nic nie wie o zbiegu złych losów nad waszym krajem i chce rozpocząć wojnę z ludami Północy i Wschodu, które siedzą dokoła morza. Przymierze więc z nią moglibyście zawrzeć dzisiaj...

— Na jakich warunkach? — wtrącił Herhor.

— Na bardzo dobrych. Asyria odstąpi wam ziemię izraelską aż do miasta Akka[150] i kraj Edom[151] aż do miasta Elath[152]. Zatem bez wojny granice wasze posuną się o dziesięć dni marszu na północ i dziesięć dni na wschód.

— A Fenicja?... — spytał Herhor.

— Strzeżcie się pokusy!... — zawołał Beroes. — Gdyby dziś faraon wyciągnął rękę po Fenicję, za miesiąc armie asyryjskie, przeznaczone na północ i wschód, zwróciłyby się na południe, a przed upływem roku konie ich pławiłyby się w Nilu...

— Ależ Egipt nie może wyrzec się wpływu na Fenicją! — przerwał z wybuchem Herhor.

— Gdyby się nie wyrzekł, sam przygotowałby własną zgubę — mówił Chaldejczyk. — Zresztą, powtarzam słowa najwyższego kolegium: „Powiedz Egiptowi — nakazywali bracia z Babilonu — ażeby na dziesięć lat przytulił się do swej ziemi jak kuropatwa, bo czyha na niego jastrząb złych losów. Powiedz, że my, Chaldejczycy, nienawidzimy Asyryjczyków bardziej niż Egipcjanie, gdyż znosimy ciężar ich władzy; lecz mimo to zalecamy Egiptowi pokój z tym ludem krwiożerczym. Dziesięć lat — mały to przeciąg czasu, po którym możecie nie tylko odzyskać dawne pozycje, ale i nas ocalić."

— To prawda! — rzekł Mefres.

— Rozważcie tylko — ciągnął Chaldejczyk. — Jeżeli Asyria z wami będzie prowadziła wojnę, pociągnie Babilon, który brzydzi się wojną, wyczerpie nasze bogactwa i zatrzyma pracę mądrości. Choćbyście nie ulegli, kraj wasz na długie lata będzie zniszczony i straci nie tylko dużo ludności, ale i te ziemie urodzajne, które bez waszych starań piasek zasypałby w ciągu roku.

— To rozumiemy — wtrącił Herhor — i dlatego nie myślimy zaczepiać Asyrii. Ale Fenicja...

— Cóż wam szkodzi — mówił Beroes — że asyryjski rozbójnik ściśnie fenickiego złodzieja? Na tym zyskają nasi i wasi kupcy. A jeżeli zechcecie posiadać Fenicjan, pozwólcie, ażeby osiedlali się na waszych brzegach. Jestem pewny, że najbogatsi z nich i najzręczniejsi uciekną spod władzy Asyryjczyków.

— Cóż by się stało z naszą flotą, gdyby Asyria osiedliła się w Fenicji? — pytał Herhor.

— Nie jest to naprawdę wasza flota, tylko fenicka — odparł Chaldejczyk. — Gdy więc zabraknie wam tyryjskich i sydońskich statków, zaczniecie budować własne i ćwiczyć Egipcjan w sztuce żeglarskiej. Jeżeli będziecie mieli rozum i dzielny charakter, wydrzecie Fenicjanom handel na całym zachodzie...

Herhor machnął ręką.

— Powiedziałem, co mi kazano — rzekł Beroes — a wy czyńcie, co wam się podoba. Lecz pamiętajcie, że ciąży nad wami dziesięć lat złowrogich.

— Zdaje mi się, święty mężu — wtrącił Pentuer — że mówiłeś i o klęskach wewnętrznych, jakie grożą Egiptowi w przyszłości. Co to będzie?... jeżeli raczysz odpowiedzieć słudze twemu.

— O to nie pytajcie mnie. Te rzeczy lepiej powinniście znać aniżeli ja, człowiek obcy. Przezorność odkryje wam chorobę, a doświadczenie poda lekarstwa.

— Lud jest strasznie uciskany przez wielkich! — szepnął Pentuer.

— Pobożność upadła!... — rzekł Mefres.

— Jest wielu ludzi, którzy wzdychają do wojny za granicą — dodał Herhor. — Ja zaś od dawna widzę, że jej prowadzić nie możemy. Chyba za dziesięć lat...

— Więc zawrzecie traktat z Asyrią? — spytał Chaldejczyk.

— Amon, który zna moje serce — mówił Herhor — wie, jak mi podobny traktat jest obmierzły... Tak jeszcze niedawno nędzni Asyryjczycy płacili nam daniny!... Lecz

[150] *Akka* — ważne nadmorskie miasto handlowe na południu Fenicji (dziś w północnym Izraelu).

[151] *Edom* — kraj ciągnący się na południe od Judei i Morza Martwego aż do Morza Czerwonego.

[152] *Elath*, dziś: *Ejlat* — miasto portowe na północnym krańcu Zatoki Akaba (Morze Czerwone), oddzielającej półwysep Synaj od półwyspu Arabskiego.

jeżeli ty, ojcze święty, i najwyższe kolegium mówicie, że losy są przeciwko nam, musimy zawrzeć traktat...

— Prawda, że musimy!... — dodał Mefres.

— W takim razie zawiadomcie kolegium w Babilonie o postanowieniu, a oni sprawią, że król Assar[153] przyśle do was poselstwo. Ufajcie mi, że układ ten jest bardzo korzystny: bez wojny zwiększacie swoje posiadłości!... Wreszcie — rozmyślało nad nim nasze kolegium kapłańskie.

— Oby spadły na was wszelkie błogosławieństwa: dostatki, władza i mądrość — rzekł Mefres. — Tak, trzeba dźwignąć nasz stan kapłański, a ty, święty mężu Beroesie, pomożesz nam.

— Trzeba nade wszystko ulżyć nędzy ludu — wtrącił Pentuer.

— Kapłani... lud!... — mówił jakby do siebie Herhor. — Tu przede wszystkim trzeba powściągnąć tych, którzy pragną wojny... Prawda, że jego świątobliwość faraon jest za mną, i zdaje mi się, żem pozyskał niejaki wpływ na serce dostojnego następcy (oby żyli wiecznie!). Ale Nitager, któremu wojna jest potrzebna jak rybie woda... Ale naczelnicy wojsk najemnych, którzy dopiero podczas wojny coś znaczą u nas... Ale nasza arystokracja, która myśli, że wojna spłaci fenickie długi, a im przyniesie majątek...

— Tymczasem rolnicy upadają pod nawałem prac, a robotnicy publiczni burzą się z powodu zdzierstwa przełożonych — wtrącił Pentuer.

— Ten zawsze swoje! — mówił zadumany Herhor. — Myśl ty sobie, Pentuerze, o chłopach i robotnikach, ty, Mefresie, o kapłanach. Nie wiem, co wam się uda zrobić, ale ja — przysięgam, że gdyby mój własny syn pchał Egipt do wojny, zetrę własnego syna.

— Tak uczyń — rzekł Chaldejczyk. — Zresztą, kto chce, niech toczy wojnę, byle nie w tych stronach, gdzie może zetknąć się z Asyrią.

Na tym posiedzenie zakończyło się. Chaldejczyk włożył szarfę na ramię i zasłonę na twarz, Mefres i Herhor stanęli po obu stronach jego, a za nimi Pentuer, wszyscy zwróceni do ołtarza.

Gdy Beroes skrzyżowawszy ręce na piersiach szeptał, w podziemiu zaczął się znowu niepokój i było słychać niby daleki zgiełk, który zdziwił asystentów. Wówczas mag odezwał się głośno:

— Baralanensis, Baldachiensis, Paumachiae, wzywam was, abyście byli świadkami naszych układów i wspierali nasze zamiary...

Rozległ się dźwięk trąb tak wyraźny, że Mefres schylił się do ziemi, Herhor obejrzał się zdziwiony, a Pentuer ukląkł, zaczął drżeć i zasłonił uszy.

Przysięga, Bóg

Purpurowa kotara na ołtarzu zachwiała się, a jej fałdy przybrały taką formę, jak gdyby spoza niej chciał wyjść człowiek.

— Bądźcie świadkami — wołał zmienionym głosem Chaldejczyk — niebieskie i piekielne moce. A kto by nie dotrzymał umowy albo zdradził jej tajemnicę, niech będzie przeklęty...

— „Przeklęty!..." — powtórzył jakiś głos.

— I zniszczony...

— „I zniszczony..."

— W tym widzialnym i tamtym niewidzialnym życiu. Przez niewysłowione imię Jehowa, na dźwięk którego ziemia drży, morze cofa się, ogień gaśnie, rozkładają się elementy natury...

W jaskini zapanowała formalna burza. Dźwięki trąb mieszały się z odgłosem jakby dalekich piorunów. Zasłona ołtarza prawie poziomo uniosła się i poza nią, wśród migotliwych błyskawic, ukazały się dziwne twory, na poły ludzkie, na poły roślinne i zwierzęce, skłębione i pomieszane.

Nagle wszystko ucichło i Beroes z wolna wzniósł się w powietrze, ponad głowy trzech asystujących kapłanów.

---

[153]*król Assar* — władcą Asyrii był wówczas Tiglat-Pileser I (1114–1076 p.n.e.), wsławiony szeregiem wypraw wojennych przeciwko plemionom aramejskim i państwom syrohetyckim zagrażającym jego państwu od zachodu. Podbił Syrię, zmusił fenicki Sydon i Byblos do płacenia daniny oraz złupił główne miasta Babilonii, której jednak nie udało mu się podporządkować.

O godzinie ósmej z rana harrańczyk Phut wrócił do fenickiego zajazdu „Pod Okrętem", gdzie już znalazły się jego worki i skrzynia zabrana przez złodziei. Zaś w kilka minut po nim przyszedł zaufany sługa Asarhadona, którego gospodarz zaprowadził do piwnicy i krótko spytał:

— Cóż?...

— Byłem przez całą noc — odparł sługa — na placu, gdzie jest świątynia Seta. Około dziesiątej wieczorem, z ogrodu, który leży o pięć posesji dalej aniżeli dom „Zielonej Gwiazdy", wyszło trzech kapłanów. Jeden z nich, z czarną brodą i włosami, skierował stopy swoje przez plac, do świątyni Seta. Pobiegłem za nim, ale zaczęła padać mgła i zginął mi z oczu. Czy wrócił pod „Zieloną Gwiazdę" i kiedy — nie wiem.

Gospodarz zajazdu, wysłuchawszy sprawozdania, stuknął się w czoło i zaczął mruczeć do siebie:

— Więc mój harrańczyk, jeżeli ubiera się w strój kapłana i chodzi do świątyni, musi być kapłanem. A jeżeli nosi brodę i włosy, musi być kapłanem chaldejskim. A jeżeli po kryjomu widuje się z tutejszymi kapłanami, więc jest w tym jakieś szelmostwo. Nie powiem o tym policji, bo mógłbym złapać się. Ale zawiadomię którego z wielkich Sydończyków, bo może być w tym interes do zrobienia, jeżeli nie dla mnie, to dla naszych.

Niedługo wrócił inny posłaniec, Asarhadon i z tym zeszedł do piwnicy i usłyszał następną relację:

— Przez całą noc stałem naprzeciw domu pod „Zieloną Gwiazdą". Harrańczyk tam był, upił się i wyrabiał takie krzyki, że aż policjant upominał odźwiernego...

— Hę?... — spytał gospodarz. — Harrańczyk był pod „Zieloną Gwiazdą" przez całą noc i ty go widziałeś?

— I nie tylko ja, ale policjant...

Asarhadon sprowadził pierwszego sługę i każdemu z nich kazał powtórzyć jego opowiadanie. Powtórzyli wiernie, każdy swoje. Z czego wynikło, że Phut harrańczyk przez całą noc bawił się pod „Zieloną Gwiazdą" ani na chwilę nie opuszczając jej, a jednocześnie — że późnym wieczorem szedł do świątyni Seta, z której nie wracał.

— O!... — mruczał Fenicjanin — w tym wszystkim kryje się bardzo wielkie szelmostwo... Muszę czym prędzej zawiadomić starszych gminy fenickiej, że ten Hetyta umie bywać jednocześnie w dwu miejscach. Zarazem poproszę go, ażeby wyniósł się z mego zajazdu... Nie lubię takich, którzy mają dwie postacie: jedną swoją, drugą na zapas. Bo taki człowiek jest albo wielki złodziej, albo czarownik, albo spiskowiec.

Ponieważ Asarhadon lękał się tych rzeczy, więc przeciw czarom zabezpieczył się modlitwami do wszystkich bogów, jacy ozdabiali jego szynkownię. Potem pobiegł do miasta, gdzie zawiadomił o fakcie starszego gminy fenickiej i starszego cechu złodziei. Nareszcie wróciwszy do domu wezwał dziesiętnika policji i oświadczył mu, że Phut może być człowiekiem niebezpiecznym. W końcu zażądał od harrańczyka, ażeby opuścił jego zajazd, któremu nie przynosi zysków, tylko podejrzenia i straty.

Phut chętnie zgodził się na propozycją i oświadczył gospodarzowi, że jeszcze dzisiejszego wieczora odpłynie do Tebów.

„Bodajżeś stamtąd nie wrócił!... — pomyślał gościnny gospodarz. — Bodajeś zgnił w kopalniach albo wpadł do rzeki na pastwę krokodylom."

ROZDZIAŁ XXI

Podróż księcia następcy zaczęła się w najpiękniejszej porze roku, w miesięcu Famenut (koniec grudnia, początek stycznia).

Woda spadła do połowy wysokości, odsłaniając coraz nowe płaty ziemi. Od Tebów płynęły do morza mnogie tratwy z pszenicą; w Dolnym Egipcie zbierano koniczynę i senes. Drzewa pomarańczowe i granaty okryły się kwiatami, a na polach siano: łubin, len, jęczmień, bób, fasolę, ogórki i inne rośliny ogrodowe.

Odprowadzony do przystani memfiskiej przez kapłanów, najwyższych urzędników państwa, gwardię jego świątobliwości faraona i tłumy ludu, książę namiestnik, Ramzes, wszedł do złocistej barki około dziesiątej rano. Pod pomostem, na którym stały kosztowne namioty, dwudziestu żołnierzy robiło[154] wiosłami; zaś pod masztem i na obu końcach

[154] *robić wiosłami* (daw.) — wiosłować.

łodzi zajęli miejsca najlepsi inżynierowie wodni. Jedni pilnowali żagla, drudzy komenderowali wioślarzami, inni nadawali kierunek statkowi.

Ramzes zaprosił do swej barki najczcigodniejszego arcykapłana Mefresa i świętego ojca Mentezufisa, którzy mieli mu towarzyszyć w podróży i pełnieniu władzy. Wezwał też dostojnego nomarchę Memfisu, który księcia odprowadzał do granic swojej prowincji.

Na kilkaset kroków przed namiestnikiem płynął piękny statek dostojnego Otoesa, który był nomarchą Aa[155], prowincji sąsiadującej z Memfisem. Zaś za księciem uszykowały się niezliczone statki, zajęte przez dwór, kapłanów, oficerów i urzędników.

Żywność i służba odjechały wcześniej.

Nil do Memfisu płynie między dwoma pasmami gór. Dalej góry skręcają na wschód i zachód, a rzeka dzieli się na kilka ramion, których wody toczą się ku morzu przez wielką równinę.

Gdy statek odbił od przystani, książę chciał porozmawiać z arcykapłanem Mefresem. W tej chwili jednak zerwał się taki okrzyk tłumu, że następca musiał wyjść spod namiotu i ukazać się ludowi.

Lecz wrzawa zamiast zmniejszyć się rosła. Na obu brzegach stały i wciąż zwiększały się tłumy półnagich wyrobników lub odzianych w świąteczne szaty mieszczan. Bardzo wielu miało wieńce na głowach, prawie wszyscy zielone gałązki w rękach. Niektóre grupy śpiewały, wśród innych rozlegał się łoskot bębnów i dźwięki fletów.

Gęsto ustawione wzdłuż rzeki żurawie z kubłami próżnowały. Natomiast krążył po Nilu rój drobnych czółenek, których osady rzucały kwiaty pod barkę następcy. Niektórzy sami skakali w wodę i płynęli za książęcym statkiem.

„Ależ oni tak mnie pozdrawiają jak jego świątobliwość!..." — pomyślał książę.

Sława, Tłum

I wielka duma opanowała jego serce na widok tylu strojnych statków, które mógł zatrzymać jednym skinieniem, i tych tysięcy ludzi, którzy porzucili swoje zajęcia i narażali się na kalectwo, nawet na śmierć, byle spojrzeć w jego boskie oblicze.

Szczególniej upajał Ramzesa niezmierny krzyk tłumu nie ustający ani na chwilę. Krzyk ten napełniał mu piersi, uderzał do głowy, podnosił go. Zdawało się księciu, że gdyby skoczył z pomostu, nawet nie dosięgnąłby wody, bo zapał ludu porwałby go i uniósł ku niebu jak ptaka.

Statek nieco zbliżył się ku lewemu brzegowi, postacie tłumu zarysowały się wyraźniej i książę spostrzegł coś, czego się nie spodziewał. Podczas gdy pierwsze szeregi ludu klaskały i śpiewały, w dalszych widać było kije, gęsto i szybko spadające na niewidzialne grzbiety.

Zdziwiony namiestnik zwrócił się do nomarchy Memfisu.

— Spojrzyj no, wasza dostojność... Tam kije są w robocie?...

Nomarcha przysłonił ręką oczy, szyja poczerwieniała mu...

— Wybacz, najdostojniejszy panie, ale ja źle widzę...

— Biją... z pewnością biją — powtarzał książę.

— To jest możliwe — odparł nomarcha. — Zapewne policja schwytała bandę złodziei...

Niezbyt zadowolony następca poszedł na tył statku, między inżynierów, którzy nagle skręcili ku środkowi rzeki, i z tego punktu spojrzał ku Memfisowi.

Brzegi w górze Nilu były prawie puste, czółenka znikły, żurawie czerpiące wodę pracowały, jak gdyby nic nie zaszło.

— Już skończyła się uroczystość?... — zapytał książę jednego z inżynierów, wskazując w górę rzeki.

— Tak... Ludzie wrócili do roboty — odparł inżynier.

— Bardzo prędko!...

— Muszą odzyskać czas stracony — rzekł nieostrożnie inżynier.

Następca drgnął i bystro spojrzał na mówiącego. Lecz wnet uspokoił się i wrócił pod namiot. Okrzyki nic go już nie obchodziły. Był pochmurny i milczący. Po wybuchu dumy uczuł pogardę dla tłumu, który tak prędko przechodzi od zapału do żurawi czerpiących błoto.

[155] *Aa* — Chensu, 2. nom Dolnego Egiptu, ze stolicą w Chem (powieści: Sochem, gr. Letopolis), ok. 30 km na północny zachód od Memfis.

W tej okolicy Nil zaczyna dzielić się na odnogi. Statek naczelnika nomesu Aa skręcił ku zachodowi i po godzinnej jeździe przybił do brzegu. Tłumy były jeszcze liczniejsze aniżeli pod Memfisem. Ustawiono mnóstwo słupów z chorągwiami i bram triumfalnych owiniętych zielenią. Między ludem coraz częściej można było napotkać obce twarze i ubiory.

Gdy książę wysiadł na ląd, zbliżyli się kapłani z baldachimem, a dostojny nomarcha Otoes rzekł do niego:

— Bądź pozdrowiony, namiestniku boskiego faraona, w granicach nomesu Aa. Na znak łaski swej, która jest dla nas niebieską rosą, chciej złożyć ofiarę bogu Ptah, naszemu patronowi, i przyjmij pod swoją opiekę i władzę ten nomes z jego świątyniami, urzędnikami, ludem, bydłem, zbożem i wszystkim, co się tu znajduje.

Następnie zaprezentował mu grupę młodych elegantów, pachnących, uróżowanych, ubranych w szaty haftowane złotem. Byli to bliżsi i dalsi krewni nomarchy, miejscowa arystokracja.

Ramzes przypatrzył im się z uwagą.

— Aha! — zawołał. — Zdawało mi się, że czegoś brakuje tym panom, i już widzę. Oni nie mają peruk...

— Ponieważ ty, najdostojniejszy książę, nie używasz peruki, więc i nasza młodzież ślubowała sobie nie nosić tego stroju — odparł nomarcha.

Po tym objaśnieniu jeden z młodych ludzi stanął za księciem z wachlarzem, drugi z tarczą, trzeci z włócznią i rozpoczął się pochód. Następca szedł pod baldachimem, przed nim kapłan z puszką, w której paliły się kadzidła — wreszcie kilka młodych dziewcząt rzucających róże na ścieżkę, którą książę miał przechodzić.

Lud w świątecznych strojach, z gałązkami w rękach, tworzył szpaler i krzyczał, śpiewał lub padał na twarz przed zastępcą faraona. Ale książę spostrzegł, że mimo głośnych oznak radości twarze są martwe i zakłopotane. Zauważył też, że tłum jest podzielony na grupy, którymi dyrygują jacyś ludzie, i że uciecha odbywa się na komendę. I znowu uczuł w sercu chłód pogardy dla tego motłochu, który nawet cieszyć się nie umie.

Z wolna orszak zbliżył się do murowanej kolumny, która odgraniczała nomes Aa od nomesu memfijskiego. Na kolumnie, z trzech stron, znajdowały się napisy dotyczące: rozległości, ludności i liczby miast prowincji, z czwartej strony stał posąg bożka Ptah, okręconego od stóp do piersi w powijaki, w zwykłym czepcu na głowie, z laską w ręku.

Jeden z kapłanów podał księciu złotą łyżkę z płonącym kadzidłem. Następca, odmawiając przepisane modlitwy, wyciągnął kadzielnicę na wysokość oblicza bóstwa i kilkakrotnie nisko się skłonił.

Okrzyki ludu i kapłanów wzmogły się jeszcze bardziej, choć między arystokratyczną młodzieżą widać było uśmieszki i drwinki. Książę, który od czasu pogodzenia się z Herhorem okazywał wielki szacunek bogom i kapłanom, lekko zmarszczył brwi, i w jednej chwili młodzież zmieniła postawę. Wszyscy spoważnieli, a niektórzy upadli na twarz przed kolumną.

„Zaprawdę! — pomyślał książę — ludzie szlachetnego urodzenia lepsi są aniżeli ten motłoch... Cokolwiek czynią, sercem czynią, nie jak ci, którzy wrzeszcząc na moją cześć, radzi by jak najprędzej wrócić do swoich obór i warsztatów..."

Teraz, lepiej niż kiedykolwiek, zmierzył odległość, jaka istniała pomiędzy nim i prostakami. I zrozumiał, że tylko arystokracja jest klasą, z którą łączy go wspólność uczuć. Gdyby nagle znikli ci strojni młodzieńcy i piękne kobiety, których płonące spojrzenia śledzą każdy jego ruch, ażeby natychmiast służyć mu i spełniać rozkazy, gdyby ci znikli, książę wśród niezliczonych tłumów ludu czułby się samotniejszym aniżeli w pustyni.

Ośmiu Murzynów przyniosło lektykę ozdobioną nad baldachimem strusimi piórami i książę, wsiadłszy w nią, udał się do stolicy nomesu, Sochem[156], gdzie zamieszkał w rządowym pałacu.

Pobyt Ramzesa w tej prowincji, o kilka mil zaledwie oddalonej od Memfisu, ciągnął się miesiąc. Cały zaś ten czas upłynął mu na przyjmowaniu próśb, odbieraniu hołdów, prezentacjach urzędników i ucztach.

[156] *Sochem* — Chem (gr. Letopolis), stolica Chensu, 2. nomu Dolnego Egiptu.

Uczty odbywały się podwójne: jedne w pałacu, w których przyjmowała udział tylko arystokracja, drugie — w dziedzińcu zewnętrznym, gdzie pieczono całe woły, zjadano setki sztuk chleba i wypijano setki dzbanów piwa. Tu raczyła się służba książęca i niżsi urzędnicy nomesu.

Ramzes podziwiał hojność nomarchy i przywiązanie wielkich panów, którzy dniem i nocą otaczali namiestnika, czujni na każde jego skinienie i gotowi spełniać rozkazy.

Nareszcie, zmęczony zabawami, książę oświadczył dostojnemu Otoesowi, że chce bliżej poznać gospodarstwo prowincji. Taki bowiem otrzymał rozkaz od jego świątobliwości faraona.

Życzeniu stało się zadość. Nomarcha poprosił księcia, aby usiadł do lektyki, niesionej tylko przez dwu ludzi, i z wielkim orszakiem zaprowadził go do świątyni bóstwa Hator[157]. Tam orszak został w przysionku, a nomarcha kazał tragarzom wnieść księcia na szczyt jednego z pylonów i sam mu towarzyszył.

Ze szczytu sześciopiętrowej wieży, skąd kapłani obserwowali niebo i za pomocą kolorowych chorągwi porozumiewali się z sąsiednimi świątyniami w Memfis, Athribis[158] i Anu[159], wzrok ogarniał w kilkumilowym promieniu prawie całą prowincję. Z tego też miejsca dostojny Otoes pokazywał księciu: gdzie leżą pola i winnice faraona, który kanał oczyszcza się obecnie, która tama ulega naprawie, gdzie znajdują się piece do topienia brązu, gdzie spichrze królewskie, gdzie bagna zarośnięte lotosem i papirusem, które pola zostały zasypane piaskiem i tak dalej.

Ramzes był zachwycony pięknym widokiem i gorąco dziękował Otoesowi za doznaną przyjemność. Lecz gdy wrócił do pałacu i wedle rady ojca zaczął notować wrażenia, przekonał się, że jego wiadomości o ekonomicznym stanie nomesu Aa nie rozszerzyły się.

Po paru dniach znowu zażądał od Otoesa wyjaśnień dotyczących administracji prowincją. Wówczas dostojny pan kazał zgromadzić się wszystkim urzędnikom i przedefilować przed księciem, który w głównym dziedzińcu siedział na wzniesieniu.

Więc przesuwali się około namiestnika wielcy i mali podskarbiowie, pisarze od zbóż, wina, bydła i tkanin. Naczelnicy mularzy i kopaczy, inżynierowie lądowi i wodni, lekarze różnych chorób, oficerowie pułków robotniczych, pisarze policji, sędziowie, dozorcy więzień, nawet paraszytowie i oprawcy. Po nich dostojny nomarcha przedstawił Ramzesowi jego własnych urzędników tej prowincji. Książę zaś z niemałym zdziwieniem dowiedział się, że w nomesie Aa i mieście Sochem posiada: osobnego woźnicę, łucznika, nosiciela tarczy, włóczni i topora, kilkunastu lektykarzy, paru kucharzy, podczaszych, fryzjerów i wielu innych służebników, odznaczających się przywiązaniem i wiernością, choć Ramzes wcale ich nie znał i nawet nie słyszał ich nazwisk.

Zmęczony i znudzony jałowym przeglądem urzędników, książę upadł na duchu. Przerażała go myśl, że on nic nie pojmuje, że więc jest niezdolny do kierowania państwem. Lecz nawet przed samym sobą lękał się przyznać do tego.

Bo jeżeli nie potrafi rządzić Egiptem, a inni poznają się na tym, co mu pozostanie?... Tylko śmierć. Ramzes czuł, że poza tronem nie ma dla niego szczęścia, że bez władzy — nie mógłby istnieć.

Lecz gdy parę dni odpoczął, o ile można było odpocząć w chaosie dworskiego życia, znowu wezwał do siebie Otoesa i rzekł mu:

— Prosiłem waszą dostojność, ażebyś mnie wtajemniczył w rządy swego nomesu. Zrobiłeś tak: pokazałeś mi kraj i urzędników, ale ja jeszcze nic nie wiem. Owszem, jestem jak człowiek w podziemiach naszych świątyń, który widzi dokoła siebie tyle dróg, że w końcu nie może wyjść na świat.

Nomarcha zafrasował się.

— Co mam robić?... — zawołał. — Czego chcesz ode mnie, władco?... Rzeknij tylko słowo, a oddam ci mój urząd, majątek, nawet głowę.

A widząc, że książę łaskawie przyjmuje te zapewnienia, prawił dalej:

---

[157] *Hator* a. *Hathor* — bogini nieba, miłości i radości. Żona Horusa z Edfu, utożsamiana z Izydą. Przedstawiana jako krowa lub kobieta z krowimi rogami.

[158] *Athribis* (gr.) — stolica 10. nomu Dolnego Egiptu, ok. 70 km na północ od Memfis.

[159] *Anu* — egipskie Junu, bibl. On, gr. Heliopolis, stolica 13. nomu Dolnego Egiptu, ok. 20 km na północ od Memfis.

— W czasie podróży widziałeś lud tego nomesu. Powiesz, że nie byli wszyscy. Zgoda. Każę, aby wyszła cała ludność, a jest jej: mężów, kobiet, starców i dzieci około dwustu tysięcy sztuk. Z wierzchołka pylonu raczyłeś oglądać nasze terytorium. Lecz jeżeli pragniesz, możemy z bliska obejrzeć każde pole, każdą wieś i ulicę miasta Sochem.

Nareszcie pokazałem ci urzędników, między którymi, prawda, że brakowało najniższych. Ale wydaj rozkaz, a wszyscy staną jutro przed twoim obliczem i będą leżeli na brzuchach swych.

Cóż mam więcej uczynić?... odpowiedz, najdostojniejszy panie!...

— Wierzę ci, że jesteś najwierniejszy — odparł książę. — Objaśnij mi więc dwie rzeczy: jedną — dlaczego zmniejszyły się dochody jego świątobliwości faraona, drugą — co ty sam robisz w nomesie?...

Otoes zmieszał się, a książę prędko dodał:

— Chcę wiedzieć: co tu robisz i jakimi sposobami rządzisz, gdyż jestem młody i dopiero zaczynam rządy...

— Ale masz mądrość starca! — szepnął nomarcha.

— Godzi się więc — mówił książę — ażebym ja wypytywał doświadczonych, a ty żebyś mi udzielał nauk.

— Wszystko pokażę waszej dostojności i opowiem — rzekł Otoes. — Ale trzeba nam wydostać się w miejsce, gdzie nie ma tej wrzawy...

Istotnie w pałacu, który zajmował książę, na dziedzińcach wewnętrznych i zewnętrznych, tłoczyło się takie mnóstwo ludzi, jak na jarmarku. Jedli oni, pili, śpiewali, mocowali się lub gonili, a wszystko na chwałę namiestnika, którego byli sługami.

Jakoż około trzeciej po południu nomarcha kazał wyprowadzić dwa konie, na których wraz z księciem wyjechali z miasta na zachód. Dwór zaś został w pałacu i bawił się jeszcze weselej.

Dzień był piękny, chłodny, ziemia okryta zielonością i kwieciem. Nad głowami jeźdźców rozlegały się śpiewy ptaków, powietrze było pełne woni.

— Jak tu przyjemnie! — zawołał Ramzes. — Pierwszy raz od miesiąca mogę zebrać myśli. A już zacząłem wierzyć, że w mojej głowie osiedlił się cały pułk wozów wojennych i od rana do nocy odbywa musztrę.

— Taki jest los mocarzy świata — odparł nomarcha.

Stanęli na wzgórzu. U stóp ich leżała ogromna łąka przecięta błękitną strugą. Na północy i na południu bieliły się mury miasteczek, za łąką, aż do krańca horyzontu, ciągnęły się czerwone piaski pustyni zachodniej, od której niekiedy wiało tchnienie upalnego wiatru jak z pieca.

Na łące pasły się niezliczone stada zwierząt domowych: rogate i bezrogie woły, owce, kozy, osły, antylopy, nawet nosorożce. Tu i ówdzie było widać kępy moczarów obrosłych roślinami wodnymi i krzakami, w których roiły się dzikie gęsi, kaczki, gołębie, bociany, ibisy i pelikany.

— Spojrzyj, panie — rzekł nomarcha — oto obraz naszego kraju Queneh[160], Egiptu. Ozyrys umiłował ten pasek ziemi wśród pustyń, zasypał go roślinnością i zwierzętami, aby mieć z nich pożytek. Potem dobry bóg przyjął na siebie ludzką postać i był pierwszym faraonem. A gdy poczuł, że mu ciało więdnie, opuścił je i wstąpił w swego syna, a następnie w jego syna.

Tym sposobem Ozyrys żyje między nami od wieków jako faraon i ciągnie korzyści z Egiptu i jego bogactw, które sam stworzył. Rozrósł się pan jak potężne drzewo. Konarami jego są wszyscy królowie egipscy, gałęźmi — nomarchowie i kapłani, a gałązkami — stan rycerski. Widzialny bóg zasiada na tronie ziemskim i pobiera należny mu dochód z kraju; niewidzialny przyjmuje ofiary w świątyniach i przez usta kapłanów opowiada swoją wolę.

— Mówisz prawdę — wtrącił książę. — tak jest napisano.

— Ponieważ Ozyrys-faraon — ciągnął nomarcha — nie może sam zajmować się ziemskim gospodarstwem, więc polecił czuwać nad swoim majątkiem nam, nomarchom, którzy z jego krwi pochodzimy.

---

[160] *Queneh* — właśc. Kemet, dosł: „Czarna Ziemia". Tak nazywali swój kraj Egipcjanie, od czarnego mułu pokrywającego pola uprawne, w odróżnieniu od jasnej barwy otaczających go pustyń.

— To jest prawda — rzekł Ramzes. — Nawet niekiedy słoneczny bóg wciela się w nomarchę i daje początek nowej dynastii. Tak powstały dynastia memfiska, elefantyjska, tebeńska, ksoicka...

— Rzekłeś, panie — mówił dalej Otoes. — A teraz odpowiem na to, o co mnie pytałeś.

Pytałeś: co ja tu robię w nomesie?... Pilnuję majątku Ozyrysa-faraona i mojej w nim cząstki. Spojrzyj na te stada: widzisz różne zwierzęta. Jedne dają mleko, inne mięso, inne wełnę i skóry. Podobnie ludność Egiptu: jedni dostarczają zbóż, inni wina, tkanin, sprzętów, budynków. Moją zaś rzeczą jest pobrać od każdego, co winien, i złożyć u stóp faraona.

W dozorowaniu tak licznych stad sam nie podołałbym; więc wybrałem sobie czujne psy i mądrych pasterzy. Jedni doją zwierzęta, strzygą, zdejmują z nich skóry, drudzy pilnują, aby złodziej nie pokradł ich lub nie poszarpał drapieżnik. Podobnież z nomesem: nie zdążyłbym zebrać wszystkich podatków i ustrzec ludzi od złego; więc mam urzędników, którzy robią, co jest słuszne, a mnie składają rachunki ze swych czynności.

— Wszystko jest prawdą — przerwał książę — znam to i rozumiem. Lecz nie mogę dojść: dlaczego zmniejszyły się dochody jego świątobliwości, pomimo że są tak pilnowane?

— Chciej przypomnieć sobie, wasza dostojność — odparł nomarcha — że bóg Set, choć jest rodzonym bratem słonecznego Ozyrysa, nienawidzi go, walczy z nim i psuje wszelkie jego dzieła. On zsyła śmiertelne choroby na ludzi i bydło, on sprawia, że przybór Nilu jest za mały lub zanadto gwałtowny, on na Egipt w porze gorącej rzuca tumany piasków.

Gdy rok jest dobry, Nil dosięga pustyni, gdy zły — pustynia przychodzi do Nilu, a wówczas i dochody królewskie muszą być mniejsze.

Spojrzyj, wasza cześć — mówił, wskazując na łąkę. — Liczne są te stada, ale za mojej młodości były liczniejsze. A kto temu winien? Nikt inny, tylko Set, któremu nie oprą się ludzkie siły. Ta łąka, dziś ogromna, była niegdyś jeszcze większą, i z tego miejsca nie widywano pustyni, która nas dziś przeraża.

Gdzie bogowie walczą, człowiek nie poradzi; gdzie Set zwycięża Ozyrysa, któż mu zabiegnie drogę?

Dostojny Otoes skończył; książę zwiesił głowę. Niemało nasłuchał się on w szkołach o łasce Ozyrysa i niegodziwościach Seta i jeszcze dzieckiem będąc, gniewał się, że z Setem nie zrobiono ostatecznych rachunków.

„Jak ja urosnę — myślał wówczas — a udźwignę włócznię, poszukam Seta i spróbujemy się!..."

I oto patrzył dziś na niezmierny obszar piasków, państwo złowrogiego boga, który umniejszał dochody Egiptu; ale o walce z nim nie myślał. Jak tu walczyć z pustynią?... Można ją tylko omijać albo w niej zginąć.

ROZDZIAŁ XXII

Pobyt w nomesie Aa tak zmęczył następcę tronu, że dla odpoczynku i zebrania myśli kazał zaprzestać wszelkich uroczystości na swoją cześć i zapowiedział, aby w czasie podróży ludność nigdzie nie występowała z powitaniami dla niego.

Orszak książęcy dziwił się, nawet trochę gorszył. Ale rozkaz został wykonany i Ramzes znowu odzyskał nieco spokojności w życiu. Miał teraz czas do musztrowania żołnierzy, co było jego najmilszym zajęciem, i mógł nieco skupić zwichrzone myśli.

Zamknięty w najodleglejszym kącie pałacu, książę począł zastanawiać się: o ile spełnił rozkazy ojca?

Własnymi oczyma obejrzał nomes Aa: jego pola, miasteczka, ludność i urzędników. Sprawdził też, że wschodni brzeg prowincji uległ najazdowi pustyni. Spostrzegł, że ludność robocza jest obojętna i głupia, robi tylko to, co jej każą, a i to niechętnie. Nareszcie przekonał się, że naprawdę wiernych i kochających poddanych znaleźć można tylko wśród arystokracji. Są oni bowiem albo spokrewnieni z rodem faraonów, albo należą do stanu rycerskiego i są wnukami żołnierzy, którzy walczyli pod Ramzesem Wielkim.

W każdym razie ci ludzie szczerze garnęli się do dynastii i gotowi byli służyć jej z prawdziwym zapałem. Nie jak chłopi, którzy odkrzyczawszy powitanie, czym prędzej biegli do swoich świń i wołów.

Główny jednak cel posłannictwa został nie rozstrzygnięty. Ramzes nie tylko jasno nie widział przyczyn zmniejszenia się królewskich dochodów, ale nawet nie umiał sformułować pytania: dlaczego jest źle i — jak poprawić złe? Czuł tylko, że legendowa wojna boga Seta z bogiem Ozyrysem niczego nie wyjaśnia i wcale nie podaje środków zaradczych.

Książę zaś, jako przyszły faraon, chciał mieć wielkie dochody, takie jak dawni władcy Egiptu. I kipiał gniewem na samą myśl, że wstąpiwszy na tron, może być równie ubogim jak ojciec, jeżeli nie uboższym.

— Nigdy!... — wołał książę, zaciskając pięści.

Dla powiększenia królewskich majątków był gotów rzucić się z mieczem na samego boga Seta i tak porąbać go w kawały, jak on zrobił ze swoim bratem Ozyrysem. Ale zamiast okrutnego bóstwa i jego legionów widział dokoła siebie: pustkę, ciszę i niewiadomość.

Pod wpływem tych szamotań się z własnymi myślami zaczepił raz arcykapłana Mefresa.

— Powiedz mi, święty ojcze, któremu znana jest wszelka mądrość: dlaczego dochody państwa zmniejszają się i w jaki sposób można by je powiększyć?

Arcykapłan wzniósł ręce do góry.

— Niech będzie błogosławiony — zawołał — duch, który podszepnął ci, dostojny panie, takie myśli!... O, bodajbyś poszedł śladem wielkich faraonów, którzy pokryli Egipt świątyniami, a za pomocą tam i kanałów zwiększyli obszar urodzajnych gruntów...

Starzec był tak wzruszony, że zapłakał.

— Przede wszystkim — odparł książę — odpowiedz mi na to, o co pytam. Bo czyliż można myśleć o budowaniu kanałów lub świątyń, gdy skarb pusty? Na Egipt spadło największe nieszczęście: jego władcom grozi ubóstwo. To przede wszystkim należy zbadać i poprawić, a reszta znajdzie się.

— O tym, książę, dowiesz się tylko w świątyniach, u stóp ołtarzy — mówił arcykapłan. — Tylko tam szlachetna ciekawość twoja może być zaspokojona.

Ramzes rzucił się niecierpliwie.

— Przed oczyma waszej dostojności świątynie zasłaniają cały kraj, nawet skarb faraona!... Jestem przecie kapłańskim uczniem, wychowałem się w cieniu świątyń, znam tajemnicze widowiska, na których przedstawiacie złość Seta, a śmierć i odradzanie się Ozyrysa, i cóż mi z tego?... Gdy ojciec spyta mnie: w jaki sposób napełnić skarbiec? — nic nie odpowiem. A raczej powinien bym go namawiać, ażeby jeszcze dłużej i częściej modlił się, niż to robi dotychczas!

— Bluźnisz, książę, bo nie znasz wysokich obrzędów religii. Gdybyś je poznał, odpowiedziałbyś na wiele pytań, które cię dręczą. A gdybyś widział to, co ja widziałem!... Uwierzyłbyś, że najważniejszą sprawą dla Egiptu jest podźwignąć jego świątynie i kapłanów...

„Starcy po raz drugi w życiu stają się dziećmi" — pomyślał książę i przerwał rozmowę. Arcykapłan Mefres był zawsze bardzo pobożny; lecz w ostatnich czasach posuwał się nawet do dziwactw w tym kierunku.

„Dobrze bym wyszedł — mówił do siebie Ramzes — oddawszy się w ręce kapłanów, dla asystowania ich dziecinnym obrządkom. A może Mefres kazałby i mnie całe godziny wystawać przed ołtarzem z podniesionymi rękami, jak to sam podobno robi, spodziewając się cudów!..."

W miesiącu Farmuti (koniec stycznia — początek lutego) książę pożegnał Otoesa, aby przenieść się do nomesu Hak[161]. Dziękował nomarsze i panom za wspaniałe przyjęcie, ale w duszy miał smutek czując, że nie wywiąże się z zadania, które włożył na niego ojciec.

Odprowadzony przez rodzinę i dwór Otoesa, namiestnik z orszakiem swym przeprawił się na prawy brzeg Nilu, gdzie powitał go dostojny nomarcha Ranuzer z panami i kapłanami. Gdy książę stanął na ziemi Hak, kapłani podnieśli w górę posągi bożka

[161] *Hak* — Hek-At, 13. nom Dolnego Egiptu, ze stolicą w Junu (w powieści: Anu, gr. Heliopolis), w pobliżu od wierzchołka Delty, 30 km na północ od Memfis. Centrum kultu Atuma-Re.

Atum[162], patrona prowincji, urzędnicy padli na twarz, a nomarcha podał mu złoty sierp, prosząc, aby jako zastępca faraona rozpoczął żniwo. W tej porze bowiem należało zbierać jęczmień.

Ramzes przyjął sierp, ściął parę garści kłosów i spalił je wraz z kadzidłem przed bogiem pilnującym granic. Po nim zrobił to samo nomarcha i wielcy panowie, a nareszcie zaczęli żniwo chłopi. Zbierali tylko kłosy, które pakowano w worki; słoma zaś zostawała w polu.

Wysłuchawszy nabożeństwa, które znudziło go, książę stanął na dwukolnym wozie. Wysunął się oddział wojska, za nim kapłani, dwaj panowie prowadzili za uzdy konie następcy, za następcą na drugim wozie jechał nomarcha Ranuzer, a za nim ogromny orszak panów i sług dworskich. Lud, zgodnie z wolą Ramzesa, nie wystąpił; lecz chłopi pracujący w polu, na widok procesji, upadali twarzami na ziemię.

W ten sposób, przeszedłszy kilka pontonowych mostów rzuconych na odnogi Nilu i kanały, książę nad wieczorem dojechał do miasta Anu, stolicy prowincji.

Przez kilka dni ciągnęły się uczty powitalne, składano namiestnikowi hołdy, przedstawiano mu urzędników. W końcu Ramzes zażądał przerwania uroczystości i prosił nomarchę o zaznajomienie go z bogactwami nomesu.

Przegląd zaczął się nazajutrz i trwał parę tygodni. Co dzień na podwórze pałacu, w którym mieszkał następca, przychodziły rozmaite cechy rzemieślnicze pod komendą cechowych oficerów, ażeby okazać księciu swoje wyroby.

Więc kolejno przeciągali fabrykanci broni z mieczami, włóczniami i toporami; fabrykanci instrumentów muzycznych z piszczałkami, trąbkami, bębnami i arfami. Po tych przyszedł wielki cech stolarski, który okazywał krzesła, stoły, kanapy, lektyki i wozy, ozdobione bogatymi rysunkami, wykładane różnokolorowym drzewem, perłową masą i kością słoniową. Potem niesiono metalowe naczynia kuchenne: ruszty do ognisk, rożny, dwuuszne garnki i płytkie rynki z pokrywami. Jubilerowie[163] popisywali się cudnej piękności pierścieniami ze złota, bransoletami na ręce i nogi, z elektronu, czyli mieszaniny złota i srebra, łańcuchami, wszystko to kunsztownie rzeźbione, wysadzane drogimi kamieniami lub różnokolorową emalią.

Zamknęli pochód garncarze niosący przeszło sto gatunków naczyń glinianych. Były tam wazy, garnki, misy, dzbany i kruże, najrozmaitszej formy i wielkości, pokryte malowidłami, ozdobione głowami zwierząt i ptaków.

Każdy cech składał księciu ofiary ze swoich najpiękniejszych wyrobów. Zapełniły one dużą salę, choć nie było między nimi dwu do siebie podobnych.

Po skończeniu ciekawej, lecz i nużącej wystawy jego dostojność Ranuzer spytał księcia: czy jest zadowolony?

Następca zamyślił się.

— Piękniejsze rzeczy — odparł — widziałem chyba w świątyniach albo w pałacach mego ojca. Ponieważ jednak mogą kupować je tylko ludzie bogaci, więc nie wiem, czy skarb państwa ma z nich dość wielkie dochody.

Nomarchę zdziwiła ta obojętność dla dzieł sztuki w młodym panu, a zaniepokoiła troska o dochody. Chcąc jednak zadowolnić[164] Ramzesa, zaczął od tej pory oprowadzać go po fabrykach królewskich.

Więc jednego dnia zwiedzili młyny, gdzie niewolnicy w kilkuset żarnach i stępach przygotowywali mąkę. Byli w piekarniach, gdzie wypiekano chleb i suchary dla wojska, tudzież w fabryce, gdzie robiono konserwy z ryb i mięsa.

Oglądali wielkie garbarnie i warsztaty sandałów, huty, gdzie topiono brąz na naczynia i oręże, potem cegielnie, cechy tkaczów[165] i krawców.

Zakłady te mieściły się we wschodniej części miasta. Ramzes z początku oglądał je ciekawie; ale bardzo prędko obrzydł mu widok robotników, którzy byli wystraszeni, chudzi, mieli chorowitą cerę i blizny od kijów na plecach.

Od tej pory bawił krótko w fabrykach; wolał przypatrywać się okolicom miasta Anu. Daleko, na wschodzie, widać było pustynię, wśród której w roku zeszłym odbywały się

[162] *Atum* — bóg stwórca, jako bóstwo solarne (słoneczne) powiązany z Re. Jedno z najstarszych i najważniejszych bóstw Egiptu. Przedstawiany jako król w koronie Górnego i Dolnego Egiptu.

[163] *jubilerowie* — dziś popr.: jubilerzy.

[164] *zadowolnić* — dziś popr.: zadowolić.

[165] *tkaczów* — dziś popr.: tkaczy.

manewry pomiędzy korpusem jego i Nitagera. Jak na dłoni widział gościniec, którym maszerowały jego pułki, miejsce, gdzie z powodu znalezienia skarabeuszów machiny wojenne musiały skręcić na pustynię, a może nawet i to drzewo, na którym powiesił się chłop kopiący kanał...

Z tamtego szczytu, w towarzystwie Tutmozisa, spoglądał na kwitnącą ziemię Gosen i złorzeczył kapłanom. A tam, między wzgórzami, spotkał Sarę, do której zapaliło się jego serce.

Dziś jakie zmiany!... Już przestał nienawidzieć kapłanów, od czasu gdy za sprawą Herhora dostał korpus i namiestnikostwo. Sara zaś zobojętniała mu jako kochanka, lecz natomiast coraz żywiej obchodziło go dziecię, którego miała zostać matką.

„Co ona tam robi? — myślał książę. — Już dawno nie miałem od niej wiadomości..."

A gdy tak patrzył na wschodnie wzgórza i rozpamiętywał niedawną przeszłość, stojący na czele jego świty nomarcha Ranuzer był przekonany, że książę spostrzegł jakieś nadużycia w fabrykach i medytuje nad sposobem ukarania go.

„Ciekawym, co on zobaczył? — mówił w sobie dostojny nomarcha. — Czy to, że połowę cegły sprzedano kupcom fenickim, czy że dziesięć tysięcy sandałów brakuje w składzie, czy może jaki podły nędznik szepnął mu co o metalowych butach?..."

I serce Ranuzera napełnił wielki niepokój.

Nagle książę odwrócił się do świty i wezwał Tutmozisa, który zawsze miał obowiązek znajdować się w pobliżu jego osoby.

Tutmozis przybiegł, następca odszedł z nim jeszcze dalej na stronę.

— Słuchaj — rzekł wskazując na pustynią. — Widzisz ty te góry?...

— Byliśmy tam zeszłego roku... — westchnął dworak.

— Przypomniałem sobie Sarę...

— Zaraz spalę kadzidło bogom! — zawołał Tutmozis — bom już myślał, że od czasu gdy jesteś namiestnikiem, wasza dostojność, zapomniałeś o swoich wiernych sługach...

Książę popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

— Wybierz — mówił — spośród darów, które mi złożono, wybierz kilka najpiękniejszych naczyń, sprzętów, tkanin, a nade wszystko bransolet i łańcuchów, i zawieź to Sarze...

— Żyj wiecznie, Ramzesie — szepnął elegant — bo jesteś szlachetnym panem...

— Powiedz jej — ciągnął książę — że mam serce zawsze pełne łaski dla niej. Powiedz, że chcę, aby pilnowała swego zdrowia i dbała o dziecko, które ma przyjść na świat. Gdy zaś zbliży się czas rozwiązania, a ja spełnię rozkazy ojca mego, powiedz Sarze, że przyjedzie do mnie i osiądzie w mym domu. Nie mogę ścierpieć, ażeby matka mojego dziecka tęskniła w samotności... Jedź, uczyń, com rzekł, i wracaj z dobrymi wiadomościami.

Tutmozis upadł na twarz przed szlachetnym władcą i natychmiast puścił się w drogę. Orszak księcia, nie mogąc odgadnąć treści rozmowy, zazdrościł Tutmozisowi łask pańskich, a dostojny Ranuzer czuł rosnący niepokój w swej duszy.

„Obym — mówił stroskany — obym nie potrzebował podnieść ręki na samego siebie i w kwiecie wieku osierocić dom... Po cóżem, nieszczęsny, przywłaszczając sobie dobra jego świątobliwości faraona, nie pomyślał o godzinie sądu?..."

Twarz jego zrobiła się żółta i nogi chwiały się pod nim. Ale książę, opanowany falą wspomnień, nie spostrzegł jego trwogi.

ROZDZIAŁ XXIII

Teraz w mieście Anu nastąpił szereg uczt i zabaw. Dostojny Ranuzer wydobył z piwnic najlepsze wina, z trzech sąsiednich nomesów zjechały najpiękniejsze tancerki, najsławniejsi muzycy, najosobliwsi sztukmistrze. Książę Ramzes miał czas doskonale zapełniony. Z rana musztra wojsk i przyjęcia dygnitarzy, później uczta, widowiska, polowania i znowu uczta.

Lecz w chwili gdy nomarcha Haku był pewny, że namiestnik już znudził się kwestiami administracyjnymi i ekonomicznymi, książę wezwał go do siebie i spytał:

— Nomes waszej dostojności należy do najbogatszych w Egipcie?...

— Tak... chociaż mieliśmy kilka lat ciężkich... — odparł Ranuzer i znowu serce w nim zamarło, a nogi zaczęły drżeć.

— To mnie właśnie dziwi — mówił książę — że z roku na rok zmniejszają się dochody jego świątobliwości. Czy nie mógłbyś mi tego objaśnić?

— Panie — rzekł nomarcha, schylając głowę do ziemi. — Widzę, że moi wrogowie w duszy twej zasieli[166] nieufność; cokolwiek bym więc powiedział, nie trafi do przekonania twego. Pozwól mi zatem nie zabierać już głosu. Niech tu raczej przyjdą pisarze z dokumentami, które będziesz mógł sam dotknąć ręką i sprawdzić...

Książę nieco zdziwił się nieoczekiwanym wybuchem, lecz przyjął propozycję. Owszem, uradował się nią. Sądził bowiem, że raporty pisarzów[167] wyjaśnią mu tajemnice zarządu.

Przyszli tedy na drugi dzień — wielki pisarz nomesu Hak tudzież jego pomocnicy, i przynieśli ze sobą kilkanaście zwojów papirusu, zapisanych na obie strony. Gdy rozwinięto je, utworzyły wstęgę, szeroką na trzy piędzi dużej ręki, długą na sześćdziesiąt kroków. Książę pierwszy raz widział tak olbrzymi dokument, w którym znajdował się opis jednej tylko prowincji i z jednego roku.

Wielki pisarz usiadł na podłodze z podwiniętymi nogami i zaczął:

— „W trzydziestym trzecim roku panowania jego świątobliwości Mer-amen-Ramzesa Nil opóźnił się z wylewem. Chłopi, przypisując to nieszczęście czarnoksięstwu cudzoziemców zamieszkałych w prowincji Hak, zaczęli burzyć domy niewiernych Żydów, Hetytów i Fenicjan, przy czym kilka osób zabito. Z rozkazu jego dostojności nomarchy winnych stawiono przed sąd, dwudziestu pięciu chłopów, dwóch mularzy i pięciu szewców skazano do kopalń, a jednego rybaka uduszono..."

— Co to za dokument? — przerwał książę.

— To sprawozdanie sądowe, przeznaczone dla stóp jego świątobliwości.

— Odłóż to i czytaj o dochodach skarbowych.

Pomocnicy wielkiego pisarza zwinęli odrzucony dokument, a podali mu inny. Dostojnik znowu zaczął czytać:

— „Dnia piątego miesiąca Tot przywieziono do spichrzów królewskich sześćset miar pszenicy, na co główny dozorca wydał pokwitowanie.

Dnia siódmego Tot wielki skarbnik dowiedział się i sprawdził, że z zeszłorocznych zbiorów ubyło sto czterdzieści ośm[168] miar pszenicy. W czasie sprawdzania dwaj robotnicy ukradli miarę ziarna i ukryli je między cegłą. Co gdy stwierdzono, oddani zostali pod sąd i zesłani do kopalń za podniesienie ręki na majątek jego świątobliwości..."

— A tamte sto czterdzieści ośm miar?... — spytał następca.

— Myszy zjadły — odpowiedział pisarz i czytał dalej:

— „Ósmego Tot przesłano dwadzieścia krów, ośmdziesiąt[169] cztery owiec na rzeź, które nadzorca wołów kazał oddać pułkowi Krogulec, za stosownym pokwitowaniem..."

Tym sposobem namiestnik dowiadywał się, dzień po dniu, ile jęczmienia, pszenicy, fasoli i ziarn lotosu zwieziono do spichrzów, ile oddano do młynów, ile skradziono i ilu robotników z tego powodu skazano do kopalń. Raport był tak nudny i chaotyczny, że w połowie miesiąca Paofi książę kazał przerwać czytanie.

— Powiedz mi, wielki pisarzu — spytał Ramzes — co ty z tego rozumiesz?... Co ty wiesz z tego?...

— Wszystko, co wasza dostojność rozkaże...

I zaczął znowu od początku, ale już z pamięci:

— Dnia piątego miesiąca Tot przewieziono do królewskich spichrzów...

— Dość! — zawołał rozgniewany książę i kazał im iść precz.

Pisarze upadli na twarz, potem szybko zabrali zwoje papirusów, znowu upadli na twarz i pędem wynieśli się za drzwi.

Książę wezwał do siebie nomarchę Ranuzera. Przyszedł z rękoma złożonymi na piersiach, ale spokojnym obliczem. Dowiedział się bowiem od pisarzów, że namiestnik nie może niczego dojść z raportów i że ich nawet nie wysłuchał.

— Powiedz mi, wasza dostojność — zaczął następca — czy i tobie czytają raporty?

— Co dzień...

— I ty je rozumiesz?

---

[166] *zasieli* — dziś popr.: zasiali.

[167] *pisarzów* — dziś raczej: pisarzy.

[168] *ośm* — dziś popr.: osiem.

[169] *ośmdziesiąt* — dziś popr.: osiemdziesiąt.

— Wybacz, najdostojniejszy panie, ale... czyliż mógłbym rządzić nomesem, gdybym tego nie rozumiał?

Książę stropił się i zamyślił. Może być, że naprawdę on tylko jest tak nieudolny?... A wówczas — w co się zamieni jego władza?...

— Siądź — rzekł po chwili, wskazując Ranuzerowi krzesło. — Siądź i opowiedz mi: w jaki sposób rządzisz nomesem?...

Dostojnik pobladł i oczy wywróciły mu się białkami do góry. Ramzes spostrzegł to i zaczął się tłumaczyć:

— Nie myśl, że nie ufam twej mądrości... Owszem, nie znam człowieka, który mógłby lepiej od ciebie sprawować władzę. Ale jestem młody i ciekawy: co to jest sztuka rządzenia? Więc proszę cię, abyś mi udzielił okruchów z twoich doświadczeń. Rządzisz nomesem — wiem o tym!... A teraz wytłumacz mi: jak się robi rząd?

Nomarcha odetchnął i zaczął:

— Opowiem waszej dostojności cały bieg życia mego, abyś wiedział, jak ciężką mam pracę.

Z rana, po kąpieli, składam ofiary bogu Atum, a potem wołam skarbnika i wypytuję go: czy należycie zbierają się podatki dla jego świątobliwości? Gdy mówi, że — tak, chwalę go; gdy zaś powie, że ci a ci nie zapłacili, wydaję rozkaz, aby nieposłusznych uwięziono.

Następnie wołam dozorcę królewskich stodół, aby wiedzieć ile przybyło ziarna. Jeżeli dużo, chwalę go; jeżeli mało, każę dać plagi winnym.

Później przychodzi wielki pisarz i mówi, czego z dóbr jego świątobliwości potrzebuje wojsko, urzędnicy i robotnicy — a ja każę wydać to za pokwitowaniem. Gdy wyda mniej, chwalę go, jeżeli więcej, rozpoczynam śledztwo.

Po południu przychodzą do mnie kupcy feniccy, którym sprzedaję zboże, a do skarbu faraona wnoszę pieniądze. Potem modlę się i zatwierdzam wyroki sądowe; zaś nad wieczorem policja donosi mi o wypadkach. Nie dalej jak onegdaj ludzie z mego nomesu wpadli na terytorium prowincji Ka[170] i znieważyli posąg boga Sebaka[171]. W sercu uradowałem się, nie jest to bowiem nasz patron; niemniej skazałem paru winnych na uduszenie, wielu do kopalń, a wszystkich na plagi.

Toteż w nomesie moim panuje cisza i dobre obyczaje, a podatki wpływają co dzień...

— Chociaż dochody faraona zmniejszyły się i u was — wtrącił książę.

— Prawdę rzekłeś, panie — westchnął dostojny Ranuzer. — Kapłani mówią, że bogowie rozgniewali się na Egipt za napływ cudzoziemców; ja jednak widzę, że bogowie nie gardzą fenickim złotem i drogimi kamieniami...

W tej chwili, poprzedzony przez służbowego oficera, wszedł na salę kapłan Mentezufis, aby zaprosić namiestnika i nomarchę na jakieś publiczne nabożeństwo. Obaj dostojnicy zgodzili się na zaprosiny, a nomarcha Ranuzer okazał przy tym tyle pobożności, że aż zadziwił księcia.

Kiedy Ranuzer wśród ukłonów opuścił towarzystwo, namiestnik odezwał się do kapłana:

— Ponieważ, święty proroku, jesteś przy mnie zastępcą najczcigodniejszego Herhora, proszę cię więc, ażebyś mi wytłumaczył jedną rzecz, która serce moje napełnia troską.

— Czy potrafię? — odparł kapłan.

— Odpowiesz, bo napełnia cię mądrość, której jesteś sługą. Rozważ tylko, co ci rzeknę.

Wiesz, po co wysłał mnie tutaj jego świątobliwość faraon...

— Ażebyś, książę, zapoznał się z bogactwem i rządami kraju — wtrącił Mentezufis.

— Czynię to. Wypytuję nomarchów, oglądam kraj i ludzi, słucham raportów pisarzy, ale nic nie rozumiem, a to zatruwa mi życie i dziwi mnie.

Bo kiedy mam do czynienia z wojskowością, wiem wszystko: ilu jest żołnierzy, koni, wozów, którzy oficerowie piją lub zaniedbują służbę, a którzy pełnią swoje obowiązki. Wiem też, co robić z wojskiem. Gdyby na równinie stał korpus nieprzyjacielski, ażeby go pobić, muszę wziąć dwa korpusy. Gdyby nieprzyjaciel stał w obronnej pozycji, nie wyruszyłbym bez trzech korpusów. Gdy wróg jest niewyćwiczony i walczy w bezładnych

[170] *Ka* — Ka-chem, 10. nom Dolnego Egiptu ze stolicą w Athribis, na południu Delty. Sąsiadujący z nomem 13. Hek-At.

[171] *Sebak* — dziś: Sobek, Sebek, bóg krokodyl, władający wodą. Centrum jego kultu była oaza Fajum.

tłumach, przeciw jego tysiącowi mogę wystawić pięciuset naszych żołnierzy i pobiję go. Gdy strona przeciwna ma tysiąc toporników i ja tysiąc, rzucę się na nich i pokonam, jeżeli będę miał do pomocy stu procarzy.

W wojsku, święty ojcze — ciągnął Ramzes — wszystko się widzi, jak palce u własnych rąk, i na każde pytanie ma się gotową odpowiedź, którą mój rozum ogarnia. Tymczasem w zarządzie nomesów ja nie tylko nic nie widzę, ale mam taki zamęt w głowie, że nieraz zapominam — po co tu przyjechałem?

Odpowiedz mi zatem szczerze, jak kapłan i oficer: co to znaczy? Czy nomarchowie mnie oszukują, czy ja jestem nieudolny?...

Święty prorok zamyślił się.

— Czy oni śmieliby oszukiwać waszą dostojność — odparł — nie wiem, bo nie przypatrywałem się ich czynom. Zdaje mi się jednak, że oni księciu dlatego nic nie mogą wytłumaczyć, ponieważ sami nic nie rozumieją.

Nomarchowie i ich pisarze — ciągnął kapłan — są jak dziesiętnicy w wojsku: każdy zna swoją dziesiątkę i zawiadamia o niej wyższych oficerów. Każdy też rozkazuje swojemu oddziałkowi. Ale ogólnego planu, jaki układają wodzowie armii, dziesiętnik nie zna.

Naczelnicy nomesów i pisarze zapisują wszystko, cokolwiek zdarzy się w ich prowincji, i te raporta przysyłają do stóp faraona. Lecz dopiero rada najwyższa wydobywa z nich miód mądrości...

— Ależ ja właśnie chcę tego miodu!... — zawołał książę. — Dlaczegóż mi nie dają...

Mentezufis potrząsnął głową.

— Mądrość państwowa — rzekł — należy do tajemnic kapłańskich, więc może ją zdobyć tylko człowiek poświęcony bogom. Tymczasem wasza dostojność, pomimo wychowania przez kapłanów, jak najbardziej stanowczo usuwasz się od świątyń...

— Jak to, więc jeżeli nie zostanę kapłanem, nie objaśnicie mnie?...

— Są rzeczy, które wasza dostojność możesz poznać i teraz, jako erpatre, są, które poznasz jako faraon. Ale są i takie, o których może wiedzieć tylko arcykapłan.

— Każdy faraon jest arcykapłanem — przerwał książę.

— Nie każdy. A jeszcze i między arcykapłanami są różnice.

— Więc — zawołał rozgniewany następca — wy rząd państwa ukrywacie przede mną... I ja nie będę mógł spełnić rozkazów mego ojca...

— To — mówił spokojnie Mentezufis — czego księciu potrzeba, możesz poznać, bo przecie masz najniższe święcenia kapłańskie. Rzeczy te jednak są ukryte w świątyniach, za zasłoną, której nikt nie odważy się uchylić bez odpowiednich przygotowań.

— Ja uchylę!...

— Niech bogowie bronią Egipt od takiego nieszczęścia!... — odparł kapłan, wznosząc ręce do góry. — Czyliż wasza dostojność nie wiesz o tym, że piorun zabije każdego, kto bez odpowiednich nabożeństw dotknąłby zasłony? Każ, książę, zaprowadzić do świątyni jakiego niewolnika lub skazańca, i niech tylko wyciągnie rękę, a natychmiast umrze.

— Bo wy go zabijecie.

— Każdy z nas umarłby tak samo jak najpospolitszy zbrodniarz, gdyby w świętokradzki sposób zbliżył się do ołtarzy. Wobec bogów, mój książę, faraon i kapłan tyle znaczy, co niewolnik.

— Więc cóż mam robić?... — spytał Ramzes.

— Szukać odpowiedzi na swoją troskę w świątyni, oczyściwszy się przez modły i posty — odparł kapłan. — Jak Egipt Egiptem żaden władca w inny sposób nie zdobył mądrości państwowej.

— Pomyślę o tym — rzekł książę. — Choć widzę z tego, że i najczcigodniejszy Mefres, i ty, święty proroku, chcecie mnie wciągnąć w nabożeństwa, jak mego ojca.

— Wcale nie. Jeżeli wasza dostojność, jako faraon, ograniczyłbyś się na komenderowaniu wojskiem, musiałbyś zaledwie kilka razy na rok przyjmować udział w nabożeństwach, bo w innych razach zastępowaliby cię arcykapłani. Lecz jeżeli chcesz poznać tajemnice świątyń, musisz składać cześć bogom, gdyż oni są źródłem mądrości.

Teraz już Ramzes wiedział, że albo nie spełni rozkazu faraona, albo musi poddać się woli kapłanów, co go przejmowało gniewem i niechęcią do nich.

Nie śpieszył się więc do tajemnic ukrytych w świątyni. Miał jeszcze czas na posty i pobożne zajęcia. Tym zaś gorliwszy zaczął przyjmować udział w ucztach, jakie na jego cześć wyprawiano.

Właśnie powrócił Tutmozis, mistrz we wszelkiej zabawie, i przywiózł księciu dobre wiadomości od Sary. Była zdrowa i pięknie wyglądała, co dziś mniej już obchodziło Ramzesa. Lecz kapłani postawili jego przyszłemu dziecku tak dobry horoskop, że książę był zachwycony.

Twierdzili na pewno, że dziecko będzie synem bardzo obdarowanym od bogów i jeżeli ojciec będzie go kochał, osięgnie[172] w życiu wielkie zaszczyty.

Książę śmiał się z drugiej części tej przepowiedni.

— Dziwna ich mądrość — mówił do Tutmozisa. — Wiedzą, że będzie syn, o czym ja nie wiem, choć jestem ojcem; a wątpią, czy go będę kochał, choć łatwo zgadnąć, że kochałbym to dziecię, gdyby nawet było córką.

A o zaszczyty dla niego niech będą spokojni. Ja się tym zajmę!...

W miesiącu Pachono (styczeń — luty) następca przejechał do nomesu Ka, gdzie był podejmowany przez nomarchę Sofra. Miasto Anu leżało o siedem godzin pieszej drogi od Atribis, ale książę przez trzy dni odbywał tę podróż. Na myśl o modlitwach i postach, jakie czekały go przy wtajemniczaniu się w sekreta[173] świątyń, Ramzes czuł coraz większą ochotę do zabaw; jego orszak odgadł to, więc następowała uciecha po uciesze.

Znowu na gościńcach, którymi przejeżdżał do Atribis, ukazały się tłumy ludu z okrzykami, kwiatami i muzyką. Szczególniej pod miastem zapał dosięgnął szczytu. Zdarzyło się nawet, że jakiś olbrzymi robotnik rzucił się pod wóz namiestnika. A gdy Ramzes zatrzymał konie, z gromady wystąpiło kilkanaście młodych kobiet i cały wóz oplotły mu kwiatami.

„Oni jednak kochają mnie!..." — pomyślał książę.

W prowincji Ka już nie zapytywał nomarchy o dochody faraona, nie zwiedzał fabryk, nie kazał sobie czytać raportów. Wiedział, że niczego nie zrozumie, więc odłożył te zajęcia do czasu, gdy zostanie wtajemniczonym. Tylko raz, gdy zobaczył, że świątynia boga Sebaka stoi na wysokim wzgórzu, oświadczył chęć wejścia na jej pylon i obejrzenia okolicy.

Dostojny Sofra natychmiast spełnił wolę następcy, który znalazłszy się na wieży spędził parę godzin z wielką uciechą.

Prowincja Ka była to żyzna równina. Kilkanaście kanałów i odnóg nilowych przecinało ją we wszystkich kierunkach niby sieć skręcona ze srebrnych i lazurowych sznurów. Melony i pszenica, siana w listopadzie, już dojrzewała. Na polach gęsto roili się nadzy ludzie, którzy zbierali ogórki lub sieli[174] bawełnę. Ziemia była pokryta budynkami, które na kilkunastu punktach skupiały się mocniej i tworzyły miasteczka.

Większość domów, osobliwie tych, które leżały wśród pól, były to gliniane lepianki przykryte słomą i palmowymi liśćmi. Za to w miastach domy były murowane, o płaskich dachach, i wyglądały jak białe sześciany podziurawione w miejscach, gdzie były drzwi i okna. Bardzo często na jednym takim sześcianie stał drugi nieco mniejszy, a na tym trzeci jeszcze mniejszy i każde piętro wymalowane było innym kolorem. Pod ognistym słońcem Egiptu domy te wyglądały jak wielkie perły, rubiny i szafiry rozrzucone wśród zieleni pól, otoczone palmami i akacjami.

Z tego miejsca Ramzes spostrzegł zjawisko, które go zastanowiło. Oto w pobliżu świątyń domy były najpiękniejsze, a w polach kręciło się najwięcej ludności.

„Folwarki kapłanów są najbogatsze!..." — przypomniał sobie i jeszcze raz przebiegł oczyma świątynie i kaplice, których z wieży było widać kilkanaście.

Ponieważ jednak pogodził się z Herhorem i potrzebował usług od kapłanów, więc nie chciał dłużej zajmować się tą sprawą.

---

[172] *osięgnie* — dziś popr.: osiągnie.
[173] *sekreta* — dziś popr.: sekrety.
[174] *sieli* — dziś popr.: siali.

W ciągu następnych dni dostojny Sofra urządził dla księcia szereg polowań posuwając się od miasta Atribis ku wschodowi. Nad kanałami strzelano do ptaków z łuku, chwytano je w ogromne potrzaski z sieci, które od razu zagarniały po kilkadziesiąt sztuk, albo na latających[175] swobodnie wypuszczano sokoły. Gdy zaś orszak księcia wkroczył do wschodniej pustyni, zaczęły się wielkie łowy z psami i panterą na czworonożne zwierzęta, których w ciągu kilku dni zabito lub schwytano paręset sztuk.

Gdy dostojny Sofra spostrzegł, że książę ma już dość zabaw pod otwartym niebem i noclegów w namiotach, przerwał polowanie i najkrótszymi drogami zawrócił swoich gości do Atribis.

Stanęli tu o czwartej po południu, a nomarcha zaprosił wszystkich do swego pałacu na ucztę.

Sam zaprowadził księcia do łazienki, asystował przy kąpieli i z własnej skrzyni wydobył wonności dla namaszczenia Ramzesa. Potem dozorował fryzjera, który uporządkował włosy namiestnikowi, wreszcie uklęknąwszy na podłodze błagał księcia o łaskawe przyjęcie od niego nowych szat.

Była tam świeżo utkana koszula pokryta haftem, fartuch wyszyty perłami i płaszcz przetykany złotem, bardzo mocny, ale tak delikatny, że można go było zamknąć w dwu rękach.

Następca łaskawie przyjął to, oświadczając, że jeszcze nigdy nie otrzymał tak pięknego podarunku.

Słońce już zaszło i nomarcha zaprowadził księcia do sali balowej.

Był to duży dziedziniec otoczony kolumnadą, wyłożony mozaiką. Wszystkie ściany były pokryte malowidłami przedstawiającymi sceny z życia przodków Sofry, a więc — wojny, morskie podróże i polowania. Nad budynkiem tym, zamiast dachu, unosił się olbrzymi motyl z różnobarwnymi skrzydłami, które poruszali ukryci niewolnicy dla odświeżenia powietrza.

W brązowych kagańcach, przybitych do kolumn, płonęły jasne pochodnie, wydzielając ze siebie[176] pachnące dymy.

Sala dzieliła się na dwie części: jedna była pusta, druga zapełniona stolikami i krzesłami dla biesiadników. W głębi wznosił się pomost, na którym, pod kosztownym namiotem z rozsuniętymi ścianami, stał stolik i łóżko dla Ramzesa.

Przy każdym stoliku znajdowały się wielkie wazony z palmami, akacjami i figami. Stół następcy otoczono roślinami iglastymi, które w sali rozlewały woń balsamiczną.

Zgromadzeni goście powitali księcia radosnym okrzykiem, a gdy Ramzes zajął miejsce pod baldachimem, skąd był otwarty widok na całą salę, orszak jego zasiadł do stołów.

Odezwały się arfy i zaczęły wchodzić damy w bogatych muślinowych szatach, z odsłoniętymi piersiami, błyszczące od klejnotów. Cztery najpiękniejsze otoczyły Ramzesa, inne zasiadły obok dostojników jego orszaku.

W powietrzu unosiła się woń róż, konwalij[177] i fiołków, a książę poczuł, że mu tętna biją w skroniach.

Niewolnicy i niewolnice w koszulach białych, różowych i błękitnych zaczęli roznosić ciasta, pieczony drób i zwierzynę, ryby, wino i owoce tudzież wieńce z kwiatów, które biesiadnicy kładli na głowy. Ogromny motyl coraz szybciej wachlował skrzydłami, a w pustej połowie sali rozpoczęło się widowisko. Po kolei występowały tancerki, gimnastycy, błazny, kuglarze i fechmistrze; gdy zaś który okazał niezwykły dowód zręczności, widzowie rzucali mu kwiaty ze swych wieńców lub złote pierścienie.

Kilka godzin ciągnęła się uczta, przeplatana okrzykami na cześć księcia, nomarchy i jego rodziny.

Ramzesa, który w postawie półleżącej siedział na łóżku okrytym lwią skórą ze złotymi szponami, obsługiwały cztery damy. Jedna wachlowała go, druga zmieniała mu wieńce na głowie, dwie inne przysuwały potrawy. Pod koniec uczty ta z nich, z którą książę najchętniej rozmawiał, przyniosła mu kielich wina. Ramzes wychylił połowę, resztę podał jej, a gdy wypiła, pocałował ją w usta.

---

[175] *latających* — dziś popr. forma B. lm r.nmos.: latające.

[176] *ze siebie* — dziś popr.: z siebie.

[177] *konwalij* — dziś popr.: konwalii.

Wówczas niewolnicy szybko zaczęli gasić pochodnie, motyl przestał poruszać skrzydłami, a w sali zrobiła się noc i cisza, przerywana nerwowym śmiechem kobiet.

Nagle rozległy się prędkie stąpania kilku ludzi i straszny krzyk:

— Puśćcie mnie!... — wołał ochrypnięty głos męski. — Gdzie jest następca?... Gdzie namiestnik?...

W sali zagotowało się. Kobiety płakały przerażone, mężczyźni wołali:

— Co to jest?... Zamach na następcę!... Hej, warta!...

Słychać było dźwięk tłuczonych naczyń i trzask krzeseł.

— Gdzie jest następca? — ryczał obcy człowiek.

— Warta!... Brońcie następcy!... — odpowiedziano z sali.

— Zapalcie światło!... — odezwał się młodzieńczy głos następcy. — Kto mnie szuka?... Tu jestem.

Wniesiono pochodnie. Na sali piętrzyły się wywrócone i połamane sprzęty, między którymi kryli się biesiadnicy. Na estradzie książę wydzierał się kobietom, które krzycząc oplątywały mu ręce i nogi. Obok księcia Tutmozis w potarganej peruce, z brązowym dzbanem w ręku, gotów był walić w łeb każdego, kto by się zbliżył. We drzwiach sali ukazało się kilku żołnierzy z obnażonymi mieczami.

— Co to jest?... Kto tu jest?... — wołał przerażony nomarcha.

Nareszcie spostrzeżono sprawcę zamętu. Jakiś olbrzym, nagi, okryty błotem, z krwawymi pręgami na plecach, klęczał na schodach estrady i wyciągał ręce do następcy.

— Oto morderca!... — wrzasnął nomarcha. — Bierzcie go!...

Tutmozis podniósł swój dzban, ode drzwi przybiegli żołnierze. Poraniony człowiek upadł twarzą na schody wołając:

— Miłosierdzia, słońce Egiptu!...

Już mieli go schwycić żołnierze, gdy Ramzes, wydarłszy się kobietom, zbliżył się do nędzarza.

— Nie dotykajcie go! — zawołał na żołnierzy. — Czego chcesz, człowieku?

— Chcę ci opowiedzieć o naszych krzywdach, panie...

W tej chwili Sofra zbliżywszy się do księcia szepnął:

— To Hyksos... spojrzyj, wasza dostojność, na jego kudłatą brodę i włosy... Jego wreszcie zuchwalstwo, z jakim się tu wdarł, dowodzi, że zbrodniarz ten nie jest urodzonym Egipcjaninem...

— Kto jesteś? — spytał książę.

— Jestem Bakura, robotnik z pułku kopaczy w Sochem. Nie mamy teraz zajęcia, więc nomarcha Otoes kazał nam...

— To pijak i wariat!... — szeptał wzburzony Sofra. — Jak on przemawia do ciebie, panie...

Książę tak spojrzał na nomarchę, że dygnitarz zgięty wpół cofnął się.

— Co wam kazał dostojny Otoes? — pytał namiestnik Bakury.

— Kazał nam, panie, chodzić brzegiem Nilu, pływać po rzece, stawać przy gościńcach i robić zgiełk na twoją cześć. I obiecał, że za to wyda nam, co się należy... Bo, panie, my już dwa miesiące nie dostawaliśmy nic... Ani placków jęczmiennych, ani ryb, ani oliwy do namaszczania ciała.

— Cóż wy na to, dostojny panie? — zapytał książę nomarchy.

— Niebezpieczny pijak... brzydki kłamca... — odparł Sofra.

— Jakiżeście to zgiełk robili na moją cześć?

— Jak rozkazano — mówił olbrzym. — Moja żona i córka krzyczały wraz z innymi: „oby żył wiecznie!", a ja skakałem do wody i ciskałem wieńce do statku waszej dostojności, za co miano mi płacić po utenie. Zaś kiedy wasza cześć raczyłeś wjeżdżać łaskawie do miasta Atribis, mnie naznaczono, abym rzucił się pod konie i zatrzymał wóz...

Książę zaczął się śmiać.

— Jako żywo — mówił — nie myślałem, że tak wesoło zakończymy ucztę!... A ileż ci zapłacono za to, żeś wpadł pod wóz?

— Obiecano mi trzy uteny, ale nie zapłacono nic ani mnie, ani żonie i córce. Również całemu pułkowi nie dano nic do jedzenia przez dwa miesiące.

— Z czegóż żyjecie?

— Z żebraniny albo z tego, co się zapracuje u chłopa. Więc w tej ciężkiej nędzy trzy razy buntowaliśmy się i chcieliśmy wracać do domu. Ale oficerowie i pisarze albo obiecywali nam, że oddadzą, albo kazali nas bić...

— Za ten zgiełk dla mnie? — wtrącił śmiejąc się książę.

— Prawdę mówi wasza cześć... Otóż wczoraj był bunt największy, za co jego dostojność nomarcha Sofra kazał nas dziesiątkować... Co dziesiąty brał kije, a ja dostałem najwięcej, bom duży i mam do wykarmienia trzy gęby: moją, żony i córki... Zbity, wydarłem się im, ażeby upaść na mój brzuch przed tobą, panie, i opowiedzieć nasze żale. Ty nas bij, jeżeliśmy winni, ale niech pisarze wydadzą nam, co się należy, bo z głodu pomrzemy — my, żony i dzieci nasze...

— To człowiek opętany!... — zawołał Sofra. — Racz spojrzeć, wasza dostojność, ile on mi szkody narobił... Dziesięciu talentów nie wziąłbym za te stoły, misy i dzbany...

Między biesiadnikami, którzy już odzyskali przytomność, zaczął się szmer.

— To jakiś bandyta!... — mówiono. — Patrzcie, to naprawdę Hyksos... Jeszcze w nim burzy się przeklęta krew jego dziadów, którzy najechali i zniszczyli Egipt... Takie kosztowne sprzęty... takie ozdobne naczynia porozbijane na proch!...

— Jeden bunt niezapłaconych robotników więcej sprawia szkody państwu, aniżeli warte są te bogactwa — surowo odezwał się Ramzes.

— Święte słowa!... Należy zapisać je na pomnikach — w tejże chwili odezwano się między gośćmi. — Bunt odrywa ludzi od pracy i zasmuca serce jego świątobliwości... Nie godzi się, ażeby robotnicy po dwa miesiące nie odbierali żołdu...

Z nieukrywaną pogardą spojrzał książę na zmiennych jak obłoki dworaków i zwrócił się do nomarchy.

— Oddaję ci — rzekł groźnie — tego skatowanego człowieka. Jestem pewny, że nie spadnie mu włos z głowy. Zaś jutro chcę zobaczyć pułk, do którego należy, i przekonać się, czy skarżący mówił prawdę.

Po tych słowach namiestnik wyszedł, zostawiając nomarchę i gości w wielkim strapieniu.

Na drugi dzień książę, ubierając się przy pomocy Tutmozisa, zapytał go:

— Czy robotnicy przyszli?

— Tak, panie. Od świtu czekają na twoje rozkazy.

— A ten... ten Bakura jest między nimi?

Tutmozis skrzywił się i odparł:

— Zdarzył się dziwny wypadek. Dostojny Sofra kazał go zamknąć w pustej piwnicy swego pałacu. Otóż ten hultaj, bardzo silny człowiek, wyłamał drzwi do drugiego lochu, gdzie stało wino, przewrócił kilka dzbanów bardzo kosztownych, a sam tak się spił, że...

— Że co?... — spytał książę.

— Że umarł.

Następca zerwał się z krzesła.

— I ty wierzysz — zawołał — że on sam zapił się na śmierć?...

— Muszę wierzyć, bo nie mam dowodów, że go zabito — odpowiedział Tutmozis.

— Ale ja ich poszukam!... — wybuchnął książę.

Biegał po komnacie i parskał jak rozgniewane lwiątko.

Gdy nieco uspokoił się, rzekł Tutmozis:

— Nie szukaj, panie, winy tam, gdzie jej nie widać, bo nawet świadków nie znajdziesz. Gdyby ktoś w rzeczy samej z rozkazu nomarchy zadławił tego robotnika, nie przyzna się. Sam umarły także nic nie powie, a zresztą, cóż by znaczyła jego skarga na nomarchę!... W tych warunkach żaden sąd nie zechce rozpocząć śledztwa...

— A jeżeli ja każę?... — spytał namiestnik.

— W takim razie przeprowadzą śledztwo i dowiodą niewinności Sofry. Po czym ty, panie, będziesz zawstydzony, a wszyscy nomarchowie, ich krewni i służba zostaną twoimi wrogami.

Książę stał na środku pokoju i myślał.

— Wreszcie — mówił Tutmozis — wszystko zdaje się przemawiać za tym, że nieszczęsny Bakura był pijak albo wariat, a nade wszystko — człowiek obcego pochodzenia. Bo czyliż rodowity i przytomny Egipcjanin, choćby przez rok nie pobierał żołdu i dwa razy

tyle dostał kijów, czy ośmieliłby się — wpadać do pałacu nomarchy i z takim wrzaskiem wzywać ciebie?...

Ramzes pochylił głowę, a widząc, że w drugim pokoju są dworzanie, rzekł zniżonym głosem:

— Czy ty wiesz, Tutmozisie, że od czasu jak wyruszyłem w tę podróż, Egipt zaczyna mi się wydawać jakiś inny. Niekiedy pytam samego siebie: czy ja jestem w obcym kraju? To znowu serce moje niepokoi się, jakbym miał na oczach zasłonę, poza którą dzieją się łotrostwa, których ja — nie mogę dojrzeć...

— Toteż i nie wypatruj ich, bo w końcu wyda ci się, żeśmy wszyscy powinni iść do kopalń — odparł ze śmiechem Tutmozis. — Pamiętaj, że nomarchowie i urzędnicy są pasterzami twego stada. Gdy który wydoi miarę mleka dla siebie albo zarznie owcę, przecie go nie zabijesz ani wypędzisz. Owiec masz za dużo, a o pastuchów trudno.

Namiestnik, już ubrany, przeszedł do sali poczekalnej, gdzie zebrała się jego świta: kapłani, oficerowie i urzędnicy. Następnie wraz z nimi opuścił pałac i udał się na dziedziniec zewnętrzny.

Był to obszerny plac zasadzony akacjami, pod cieniem których oczekiwali na księcia robotnicy. Na odgłos trąbki cały tłum zerwał się z ziemi i uszykował w pięć szeregów.

Ramzes, otoczony błyszczącym orszakiem dostojników, nagle zatrzymał się, chcąc najpierwej z daleka obejrzeć pułk kopaczy. Byli to ludzie nadzy, w białych czepcach na głowie i takichże przepaskach około bioder. W szeregach doskonale można było odróżnić brunatnych Egipcjan, ciemnych Murzynów, żółtych Azjatów i białych mieszkańców Libii tudzież wysp Morza Śródziemnego.

W pierwszej linii stali kopacze z oskardami, w drugiej z motykami, w trzeciej z łopatami. Czwarty szereg stanowili tragarze, z których każdy miał drąg i dwa kubełki, piąty również tragarze, lecz z wielkimi skrzyniami obsługiwanymi każda przez dwu ludzi. Przenosili oni wykopaną ziemię.

Przed szeregami co kilkanaście kroków stali majstrowie: każdy miał w rękach mocny kij i duży cyrkiel drewniany lub węgielnicę.

Kiedy książę zbliżył się do nich, zawołali chórem: „obyś żył wiecznie!", i uklęknąwszy uderzyli czołem o ziemię. Następca kazał im powstać i znowu przypatrzył się z uwagą.

Byli to ludzie zdrowi i silni, bynajmniej nie wyglądający na takich, którzy od dwu miesięcy utrzymywali się z żebraniny.

Do namiestnika przystąpił nomarcha Sofra ze swoim orszakiem. Ale Ramzes udając, że go nie spostrzegł, zwrócił się do jednego z majstrów:

— Jesteście kopaczami z Sochem? — zapytał.

Majster jak długi upadł twarzą na ziemię i milczał.

Książę wzruszył ramionami i zawołał do robotników:

— Jesteście z Sochem?

— Jesteśmy kopacze z Sochem!... — odpowiedzieli chórem.

— Dostaliście żołd?

— Żołd dostaliśmy — jesteśmy syci i szczęśliwi — słudzy jego świątobliwości — odparł chór, wybijając każdy wyraz.

— W tył zwrot!... — zakomenderował książę.

Odwrócili się. Prawie każdy miał na plecach głębokie i gęste blizny od kijów; ale świeżych pręg nie było.

„Oszukują mnie!..." — pomyślał następca. Kazał robotnikom iść do koszar i nie witając się ani żegnając z nomarchą, wrócił do pałacu.

— Czy i ty mi powiesz — rzekł w drodze do Tutmozisa — że ci ludzie są robotnikami z Sochem?...

— Wszakże oni sami to powiedzieli — odparł dworak. Książę zawołał, aby mu podano konia, i odjechał do wojsk obozujących za miastem.

Cały dzień musztrował pułki. Około południa na placu ćwiczeń, pod dowództwem nomarchy, ukazało się kilkudziesięciu tragarzy z namiotami, sprzętami, jadłem i winem. Ale książę odprawił ich do Atribis, a gdy nadszedł czas posiłku dla wojska, kazał sobie podać i jadł owsiane placki z suszonym mięsem.

Były to najemne pułki libijskie. Kiedy książę wieczorem kazał im odłożyć broń i pożegnał się z nimi, zdawało się, że żołnierze i oficerowie ulegli szaleństwu. Krzycząc: „żyj wiecznie!", całowali jego ręce i nogi, zrobili lektykę z włóczni i płaszczów, ze śpiewami odnieśli księcia do miasta, a w drodze kłócili się o zaszczyt dźwigania go na ramionach.

Nomarcha i urzędnicy prowincji, widząc zapał barbarzyńskich Libijczyków i łaskę dla nich następcy, zatrwożyli się.

— Oto jest władca!... — szepnął do Sofry wielki pisarz. — Gdyby zechciał, ci ludzie pobiliby mieczem nas i dzieci nasze...

Strapiony nomarcha westchnął do bogów i polecił się ich łaskawej opiece.

Późno w nocy Ramzes znalazł się w swym pałacu i tu powiedziała mu służba, że zmieniono mu pokój sypialny.

— Dlaczegóż to?

— Bo w tamtej sypialni widziano jadowitego węża, który skrył się tak, że nie można go znaleźć.

W skrzydle sąsiadującym z domem nomarchy znajdowała się nowa sypialnia. Był to czworoboczny pokój otoczony kolumnami. Miał alabastrowe ściany pokryte malowaną płaskorzeźbą przedstawiającą u dołu — rośliny w wazonach, wyżej — girlandy z liści oliwkowych i laurowych.

Prawie na środku stało wielkie łoże wykładane hebanem, kością słoniową i złotem. Pokój oświetlały dwie wonne pochodnie, pod kolumnadą znajdowały się stoliki z winem, jadłem i wieńcami z róż.

W suficie był wielki otwór czworoboczny zasłonięty płótnem.

Książę wykąpał się i legł na miękkim posłaniu, jego służba odeszła do dalszych komnat. Pochodnie zaczęły przygasać, po sypialni wionął chłodny wiatr nasycony wonią kwiatów. Jednocześnie w górze odezwała się cicha muzyka arf.

Ramzes podniósł głowę. Płócienny dach pokoju usunął się i przez otwór w suficie widać było konstelację Lwa, a w niej jasną gwiazdę Regulusa. Muzyka arf wzmogła się.

„Czy bogowie wybierają się do mnie w odwiedziny?..." — pomyślał z uśmiechem Ramzes.

W otworze sufitu błysnęła szeroka smuga światła; było ono mocne, lecz łagodne. W chwilę później ukazała się w górze lektyka w formie złotej łodzi, niosącej altankę z kwiatów: słupy były okręcone girlandami z róż, dach z fiołków i lotosów.

Na sznurach, spowitych zielonością, złota łódź bez szmeru opuściła się do sypialnej komnaty. Stanęła na podłodze, a spod kwiatów wyszła niepospolitej piękności naga kobieta. Ciało jej miało ton białego marmuru; od bursztynowej fali włosów płynęła woń upajająca.

Kobieta, wysiadłszy ze swej napowietrznej lektyki, uklękła przed księciem.

— Jesteś córką Sofry?... — spytał jej następca.

— Prawdę mówisz, panie...

— I mimo to przyszłaś do mnie?

— Błagać cię, ażebyś przebaczył memu ojcu... Nieszczęśliwy on!... od południa leje łzy i tarza się w popiele...

— A gdybym mu nie przebaczył, odeszłabyś?

— Nie... — cicho szepnęła.

Ramzes przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował. Oczy płonęły mu.

— Dlatego przebaczę mu — rzekł.

— O, jakiś ty dobry!... — zawołała, tuląc się do księcia. A potem dodała z przymileniem:

— Każesz wynagrodzić szkody, które wyrządził mu ten szalony robotnik?

— Każę...

— I mnie weźmiesz do swego domu...

Ramzes popatrzył na nią.

— Wezmę cię, bo jesteś piękna.

— Doprawdy?... — odparła, obejmując go za szyję. — Przypatrz mi się lepiej... Między pięknymi Egiptu zajmuję dopiero czwarte miejsce.

— Cóż to znaczy?

— W Memfis, czy koło Memfis, mieszka twoja najpierwsza.... Na szczęście tylko Żydówka!... W Sochem jest druga...

— Nic o tym nie wiem — wtrącił książę.

— O, ty gołąbku!... Więc zapewne nie wiesz i o trzeciej w Anu...

— Czy i ona należy do mego domu?...

— Niewdzięczniku!... — zawołała, uderzając go kwiatem lotosu. — Gotów jesteś za miesiąc o mnie powiedzieć to samo... Ale ja nie dam zrobić sobie krzywdy...

— Jak i twój ojciec.

— Jeszcześ mu nie zapomniał?... Pamiętaj, że odejdę...

— Zostań już... zostań!...

Na drugi dzień namiestnik raczył przyjąć hołdy i ucztę od nomarchy Sofra. Publicznie pochwalił jego zarząd prowincją i aby wynagrodzić szkody wyrządzone przez pijanego robotnika, darował mu połowę naczyń i sprzętów, które otrzymał w mieście Anu.

Drugą połowę tych darów zabrała córka nomarchy, piękna Abeb, jako dama dworu księcia. Nadto kazała sobie wypłacić z kasy Ramzesa pięć talentów na stroje, konie i niewolnice.

Wieczorem książę ziewając rzekł do Tutmozisa:

— Jego świątobliwość, ojciec mój, powiedział mi wielką naukę, że — kobiety dużo kosztują!

— Gorzej, gdy ich nie ma — odparł elegant.

— Ale ja mam ich cztery i nawet dobrze nie wiem, jakim sposobem. Mógłbym ze dwie odstąpić wam.

— Czy i Sarę?

— Tej nie, szczególniej jeżeli będzie miała syna.

— Jeżeli wasza dostojność przeznaczysz tym synogarlicom ładny posag, znajdą się dla nich mężowie.

Książę znowu ziewnął.

— Nie lubię słuchać o posagach — rzekł. — Aaa!... jakie to szczęście, że już wyrwę się od was i osiądę między kapłanami...

— Naprawdę, uczynisz tak?...

— Muszę. Nareszcie może dowiem się od nich, dlaczego faraoni biednieją... Aaa!... no — i odpocznę.

ROZDZIAŁ XXV

Tego samego dnia, w Memfisie, Fenicjanin Dagon, dostojny bankier następcy tronu, leżał na kanapie pod werendą swego pałacu. Otaczały go wonne krzaki iglaste, hodowane w wazonach. Dwaj czarni niewolnicy chłodzili bogacza wachlarzami, a on, bawiąc się młodą małpką, słuchał rachunków, które czytał mu jego pisarz.

W tej chwili niewolnik, uzbrojony w miecz, hełm, włócznię i tarczę (bankier lubił wojskowe ubiory), zameldował dostojnego Rabsuna, który był kupcem fenickim osiadłym w Memfis.

Gość wszedł, nisko kłaniając się, i w ten sposób opuścił powieki, że dostojny Dagon rozkazał pisarzowi i niewolnikom, ażeby wynieśli się spod werendy. Następnie, jako człowiek przezorny, obejrzał wszystkie kąty i rzekł do gościa:

— Możemy gadać.

Rabsun zaczął bez wstępu:

— Czy dostojność wasza wie, że przyjechał z Tyru książę Hiram?...

Dagon podskoczył na kanapie.

— Niech na niego i jego księstwo trąd padnie!... — wrzasnął.

— On mi właśnie wspomniał — ciągnął spokojnie gość — że między wami jest nieporozumienie...

— Co to jest nieporozumienie?... — krzyczał Dagon. — Ten rozbójnik okradł mnie, zniszczył, zrujnował... Kiedy ja posłałem moje statki, za innymi tyryjskimi, na zachód po srebro, sternicy łotra Hirama rzucali na nie ogień, chcieli je zepchnąć na mieliznę... No, i moje okręty wróciły z niczym, opalone i potrzaskane... Żeby jego spalił ogień niebieski!... — zakończył rozwścieczony bankier.

— A jeżeli Hiram ma dla waszej dostojności dobry interes? — spytał gość flegmatycznie.

Burza szalejąca w piersiach Dagona od razu ucichła.

— Jaki on może mieć dla mnie interes? — rzekł zupełnie spokojnym głosem.

— On to sam powie waszej dostojności, ale przecież pierwej musi zobaczyć się z wami.

— No, to niech on tu przyjdzie.

— On myśli, że wasza dostojność powinna przyjść do niego. Przecie on jest członkiem najwyższej rady w Tyrze.

— Żeby on tak zdechł, jak ja do niego pójdę!... — krzyknął znowu rozgniewany bankier.

Gość przysunął krzesło do kanapy i poklepał bogacza w udo.

— Dagonie — rzekł — miej ty rozum.

— Dlaczego ja nie mam rozumu i dlaczego ty, Rabsun, nie mówisz do mnie — dostojność?...

— Dagon, nie bądź ty głupi!... — reflektował gość. — Jeżeli ty nie pójdziesz do niego ani on do ciebie, to jakże wy zrobicie interes?

— Ty jesteś głupi, Rabsun! — znowu wybuchnął bankier. — Bo gdybym ja poszedł do Hirama, to, niech mi ręka uschnie, że straciłbym na tej grzeczności połowę zarobku.

Gość pomyślał i odparł:

— Teraz rzekłeś mądre słowo. Więc ja tobie coś powiem. Przyjdź do mnie i Hiram przyjdzie do mnie, i wy obaj u mnie obgadacie ten interes.

Dagon przechylił głowę i przymrużywszy oko filuternie zapytał:

— Ej, Rabsun!... Powiedz od razu: ile on tobie dał?

— Za co?...

— Za to, że ja przyjdę do ciebie i z tym parchem będę robił interes?...

— To jest interes dla całej Fenicji, więc ja na nim zarobku nie potrzebuję — odparł oburzony Rabsun.

— Żeby się tobie tak dłużnicy wypłacali, jak to prawda!

— Żeby mi się nie wypłacili, jeżeli ja co na tym zarobię! Niech tylko Fenicja nie straci! — zakrzyczał z gniewem Rabsun.

Pożegnali się.

Nad wieczorem dostojny Dagon wsiadł w lektykę niesioną przez sześciu niewolników. Poprzedzali go dwaj laufrowie[178] z kijami i dwaj z pochodniami; zaś za lektyką szło czterech służących uzbrojonych od stóp do głów. Nie dla bezpieczeństwa, lecz że Dagon od pewnego czasu lubił otaczać się zbrojnymi jak rycerz.

Wysiadł z lektyki z wielką powagą i podtrzymywany przez dwu ludzi (trzeci niósł nad nim parasol) wszedł do domu Rabsuna.

— Gdzież jest ten... Hiram? — zapytał dumnie gospodarza.

— Nie ma go.

— Jak to?... więc ja będę czekał na niego?

— Nie ma go w tym pokoju, ale jest w trzecim, u mojej żony — odparł gospodarz. — On teraz składa wizytę mojej żonie.

— Ja tam nie pójdę!... — rzekł bankier, siadając na kanapie.

— Pójdziesz do drugiego pokoju, a on w tej samej chwili także tam wejdzie.

Po krótkim oporze Dagon ustąpił, a w chwilę później, na znak gospodarza domu, wszedł do drugiej komnaty. Jednocześnie z dalszych pokojów wysunął się niewysoki człowiek z siwą brodą, ubrany w złocistą togę i złotą obręcz na głowie.

— Oto jest — rzekł gospodarz stojąc na środku — oto jest jego miłość książę Hiram, członek najwyższej rady tyryjskiej... Oto jest dostojny Dagon, bankier księcia następcy tronu i namiestnika w Dolnym Egipcie.

Dwaj dostojnicy ukłonili się sobie z założonymi na piersiach rękoma i usiedli przy oddzielnych stolikach, na środku sali. Hiram nieco odsunął togę, aby ukazać wielki złoty medal na swej szyi, w odpowiedzi na co Dagon zaczął bawić się grubym złotym łańcuchem, który otrzymał od księcia Ramzesa.

[178] *laufer* (daw., z niem.) — goniec.

— Ja, Hiram — odezwał się starzec — pozdrawiam pana, panie Dagon, życzę panu dużego majątku i powodzenia w interesach.

— Ja, Dagon, pozdrawiam pana, panie Hiram, i życzę panu tego samego, co pan mnie życzy...

— Już się pan chcesz kłócić?... — przerwał zirytowany Hiram.

— Gdzie ja się kłócę?... Rabsun, ty powiedz, czy ja się kłócę?...

— Lepiej niech wasze dostojności mówią o interesach — odparł gospodarz.

Po chwili namysłu Hiram zaczął:

— Przyjaciele pańscy z Tyru bardzo pozdrawiają pana przeze mnie.

— Oni tylko to przysłali mi? — spytał drwiącym tonem Dagon.

— Co pan chcesz, żeby oni panu przysyłali?... — odparł Hiram, podnosząc głos.

— Cicho!... Zgoda!... — wtrącił gospodarz.

Hiram kilka razy głębiej odetchnął i rzekł:

— To prawda, że nam potrzebna zgoda... Ciężkie czasy nadchodzą dla Fenicji...

— Czy morze zatopiło wam Tyr albo Sydon?... — spytał z uśmiechem Dagon.

Hiram splunął i zapytał:

— Coś pan taki zły dzisiaj?...

— Ja zawsze jestem zły, jak mnie nie nazywają — dostojnością...

— A dlaczego pan nie nazywasz mnie — miłością?... Ja przecie jestem książę!...

— Może w Fenicji — odparł Dagon. — Ale już w Asyrii u lada satrapy czekasz pan w sieniach trzy dni na posłuchanie, a kiedy cię przyjmą, leżysz na brzuchu jak każdy handlarz fenicki.

— A pan co byś robił wobec dzikiego człowieka, który może pana na pal wbić?... — zakrzyczał Hiram.

— Co ja bym robił, nie wiem — rzekł Dagon. — Ale w Egipcie ja sobie siedzę na jednej kanapie z następcą tronu, który dziś jest namiestnikiem.

— Zgoda, wasza dostojność!... Zgoda, wasza miłość!... — reflektował ich gospodarz.

— Zgoda!... zgoda, że ten pan jest zwyczajny fenicki handlarz, a mnie nie chce oddać szacunku... — zawołał Dagon.

— Ja mam sto okrętów!... — wrzasnął Hiram.

— A jego świątobliwość faraon ma dwadzieścia tysięcy miast, miasteczek i osad...

— Wasze dostojności utopicie ten interes i całą Fenicję!... — odezwał się już podniesionym głosem Rabsun.

Hiram zacisnął pięści, lecz umilkł i odpoczął.

— Musisz jednak przyznać, wasza dostojność — rzekł po chwili do Dagona — że z tych dwudziestu tysięcy miast jego świątobliwość niewiele ma naprawdę.

— Chcesz powiedzieć, wasza miłość — odparł Dagon — że siedm[179] tysięcy miast należy do świątyń i siedm tysięcy do wielkich panów?... Zawsze jednak jego świątobliwości zostaje siedm tysięcy na czysto...

— Nie bardzo! Bo jak z tego wasza dostojność odejmiesz ze trzy tysiące, które są w zastawie u kapłanów, i ze dwa tysiące w dzierżawie u naszych Fenicjan...

— Mówi prawdę wasza miłość — rzekł Dagon. — Zawsze jednak jego świątobliwości zostaje ze dwa tysiące miast bardzo bogatych...

— Czy was Tyfon opętał?... — wrzasnął z kolei Rabsun. — Będziecie teraz wyliczali miasta faraona, bodajby go...

— Psyt!... — szepnął Dagon, zrywając się z krzesła.

— Kiedy nad Fenicją wisi nieszczęście!... — dokończył Rabsun. Kłótnia

— Niechże ja się raz dowiem, jakie nieszczęście?... — przerwał Dagon.

— Więc daj mówić Hiramowi, to się dowiesz — odparł gospodarz.

— Niech gada...

— Czy wasza dostojność wiesz, co się stało w zajeździe „Pod Okrętem", u brata naszego, Asarhadona?... — zaczął Hiram.

— Nie mam braci pomiędzy szynkarzami!... — wtrącił szyderczo Dagon.

— Milcz!... — wrzasnął rozgniewany Rabsun i schwycił za rękojeść sztyletu. — Jesteś głupi jak pies, który szczeka przez sen...

[179] *siedm* — dziś popr.: siedem.

— Czego on się gniewa, ten... ten handlujący kośćmi?... — odparł Dagon i również sięgnął do noża.

— Cicho!... Zgoda!... — uspakajał ich sędziwy książę i także opuścił suchą rękę do pasa.

Przez chwilę wszystkim trzem drżały nozdrza i błyszczały oczy. Wreszcie Hiram, który uspokoił się najpierwej, zaczął znowu, jakby nigdy nic nie zaszło.

— Parę miesięcy temu stanął w zajeździe Asarhadona niejaki Phut, z miasta Harranu...

— Miał odebrać pięć talentów od jakiegoś kapłana — wtrącił Dagon.

— Cóż dalej? — spytał Hiram.

— Nic. Znalazł łaskę u jednej kapłanki i za jej radą pojechał szukać swego wierzyciela do Tebów.

— Masz rozum dziecka, a gadatliwość kobiety — rzekł Hiram. — Ten harrańczyk nie jest harrańczykiem, ale Chaldejczykiem, i nie nazywa się Phut, ale Beroes...

— Beroes?... Beroes?... — powtórzył przypominając sobie Dagon. — Gdzieś słyszałem to nazwisko...

— Słyszałeś!... — mówił z pogardą Hiram. — Beroes to najmędrszy kapłan w Babilonie, doradca książąt asyryjskich i samego króla...

— Niech on będzie doradcą, byle nie faraona, co mnie to obchodzi?... — rzekł bankier.

Rabsun podniósł się z krzesła i grożąc Dagonowi pięścią pod nosem, zawołał:

— Ty wieprzu, wypasiony na faraońskich pomyjach... Ciebie Fenicja tyle obchodzi co mnie Egipt... Gdybyś mógł, za drachmę sprzedałbyś ojczyznę... Psie trędowaty!

Dagon zbladł i odparł spokojnym głosem:

— Co gada ten kramarz?... W Tyrze są moi synowie i uczą się żeglarstwa; w Sydonie siedzi moja córka z mężem... Połowę mego mienia pożyczyłem radzie najwyższej, choć nie mam za to nawet dziesięciu procent. A ten kramarz mówi, że mnie nie obchodzi Fenicja!...

Rabsun, posłuchaj mnie — dodał po chwili. — Ja życzę twojej żonie i dzieciom, i cieniom twoich ojców, ażebyś ty o nich tyle dbał, ile ja o każdy okręt fenicki, o każdy kamień Tyru, Sydonu, a nawet Zarpath[180] i Achsibu[181]...

— Dagon mówi prawdę — wtrącił Hiram.

— Ja nie dbam o Fenicję!... — ciągnął bankier, zapalając się. — A ilu ja sprowadziłem tu Fenicjan, ażeby robili majątki, i — co mam z tego?... Ja nie dbam!... Hiram zepsuł mi dwa okręty i pozbawił mnie wielkich zarobków, a przecie, kiedy chodzi o Fenicję, ja usiadłem z nim w jednym pokoju...

— Bo myślałeś, że będziecie gadali o tym, ażeby kogo oszukać — rzekł Rabsun.

— Żebyś ty tak myślał o skonaniu, głupi!... — odparł Dagon. — Niby ja jestem dziecko i niby nie rozumiem, że jak Hiram przyjeżdża do Memfisu, to przecie on nie dla handlu przyjeżdża. Oj, ty Rabsun!... Tyś powinien ze dwa lata być u mnie chłopcem do zamiatania stajni...

— Dosyć!... — zawołał Hiram, uderzając pięścią w stolik.

— My nigdy nie skończymy z tym kapłanem chaldejskim — mruknął Rabsun z takim spokojem, jakby przed chwilą nie jego zwymyślano.

Hiram odchrząknął i zaczął.

— Ten człowiek ma naprawdę dom i grunta w Harranie i tam nazywa się Phut. Dostał listy od kupców chetyjskich do kupców sydońskich, więc w podróż zabrała go nasza karawana. Sam dobrze mówi po fenicku, płaci rzetelnie, nic osobliwego nie żąda, więc nasi ludzie nawet bardzo go polubili.

Ale — mówił Hiram podrapawszy się w brodę — gdy lew nakryje się skórą wołu, zawsze mu choćby kawałek ogona wylezie. Ten Phut był strasznie mądry i pewny siebie; więc naczelnik karawany po cichu zrewidował jego rzeczy. I nic nie znalazł, tylko medal bogini Astoreth. Dowódcę karawany medal ten kolnął w serce. Skąd Chetyjczyk ma fenicki medal?...

---

[180] *Zarpath* (hebr.) — Sarepta, miasto fenickie na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w połowie drogi pomiędzy Sydonem i Tyrem, dziś Sarafand w Libanie.

[181] *Achsib* — bibl. Akzib, miasto fenickie pomiędzy Tyrem a Akką, dziś w północnym Izraelu.

Więc gdy przyjechali do Sydonu, zaraz zameldował starszym, i od tej pory nasza tajna policja miała tego Phuta na oku.

Tymczasem jest to taki mędrzec, że gdy kilka dni posiedział w Sydonie, wszyscy go pokochali. Modlił się on i składał ofiary bogini Astoreth, płacił złotem, nie pożyczał pieniędzy, wdawał się tylko z Fenicjanami. I tak wszystkich otumanił, że dozór nad nim osłabł, a on spokojnie dojechał do Memfisu.

Tu znowu nasza starszyzna zaczęła czuwać nad nim, ale nic nie odkryła; domyślała się tylko, że musi to być wielki pan, nie zaś prosty mieszczanin harrański. Dopiero Asarhadon przypadkiem wyśledził, a nawet nie wyśledził, tylko wpadł na poszlaki, że ten niby Phut całą jedną noc przepędził w starej świątyni Seta, która tu wiele znaczy...

— Wchodzą do niej tylko arcykapłani na ważne narady — wtrącił Dagon.

— Jeszcze i to nic by nie znaczyło — prawił Hiram. — Ale jeden z naszych kupców wrócił miesiąc temu z Babilonu z dziwnymi wiadomościami. Za wielki prezent pewien dworzanin babilońskiego satrapy powiedział mu, że nad Fenicją — wisi bieda!...

„Was zabiorą Asyryjczycy — mówił ten dworzanin do naszego kupca — a Izraelitów wezmą Egipcjanie. W tym interesie nawet pojechał do tebańskich kapłanów wielki chaldejski kapłan Beroes i zawrze z nimi traktat."

Musicie wiedzieć — ciągnął Hiram — że kapłani chaldejscy uważają egipskich za swoich braci. A że Beroes ma wielkie znaczenie na dworze króla Assara, więc wieść o tym traktacie może być bardzo prawdziwa.

— Na co Asyryjczykom Fenicja?... — zapytał Dagon, gryząc paznogcie[182].

— A na co złodziejowi cudzy spichlerz?... — odparł Hiram.

— Co może znaczyć traktat Beroesa z egipskimi kapłanami?... — wtrącił zamyślony Rabsun.

— Głupi ty!... — odparł Dagon. — Faraon robi tylko to, co kapłani uradzą.

— Będzie i traktat z faraonem, nie bójcie się! — przerwał Hiram. — W Tyrze wiemy na pewno, że jedzie do Egiptu z wielką świtą i darami poseł asyryjski — Sargon... On niby to chce zobaczyć Egipt i ułożyć się z ministrami, ażeby w egipskich aktach nie pisano jako — Asyria płaci daninę faraonom. Ale naprawdę to on jedzie zawrzeć traktat o podział krajów leżących między naszym morzem a rzeką Eufratem.

— Oby ich ziemia pochłonęła! — zaklął Rabsun.

— Cóż ty o tym myślisz, Dagonie?... — spytał Hiram.

— A co byście wy zrobili, gdyby was naprawdę napadł Assar?...

Hiram zatrząsł się z gniewu.

— Co?... Wsiądziemy na okręty z rodzinami i skarbami, a tym psom zostawimy gruzy miast i gnijące trupy niewolników... Alboż nie znamy krain większych i piękniejszych od Fenicji, gdzie można założyć nową ojczyznę, bogatszą aniżeli ta?...

— Niech was bogowie bronią od takiej ostateczności — rzekł Dagon.

— Właśnie o to idzie, ażeby ratować dzisiejszą Fenicję od zagłady — mówił Hiram. — A ty, Dagonie, wiele możesz w tym interesie...

— Co ja mogę?...

— Możesz dowiedzieć się od kapłanów: czy był u nich Beroes i czy zawarł z nimi taką umowę?..

— Strasznie trudna rzecz! — szepnął Dagon. — Ale może ja znajdę takiego kapłana, który mnie objaśni.

— Możesz — ciągnął Hiram — na dworze faraona nie dopuścić traktatu z Sargonem?...

— Bardzo trudno... Ja sam temu nie wydołam...

— Ja będę z tobą, a złota dostarczy Fenicja. Już dziś zbiera się podatek.

— Sam dałem dwa talenty! — szepnął Rabsun.

— Dam dziesięć — rzekł Dagon. — Ale co dostanę za moją pracę?...

— Co?... No, dziesięć okrętów — odparł Hiram.

— A ty ile zarobisz? — spytał Dagon.

— Mało ci?... Więc dostaniesz piętnaście...

— Ja się pytam: co ty zarobisz? — nalegał Dagon.

[182] *paznogcie* — dziś popr.: paznokcie.

— Damy ci... dwadzieścia. Dosyć?...

— Niech będzie. Ale pokażecie mi drogę do kraju srebra?

— Pokażemy.

— I tam, skąd bierzecie cynę?

— No...

— I tam, gdzie rodzi się bursztyn — zakończył Dagon.

— Żebyś ty raz zdechł!... — odparł miłościwy książę Hiram, wyciągając do niego rękę. — Ale już nie będziesz chował złego serca dla mnie za tamte dwie krypy?...

Dagon westchnął.

— Będę pracował, ażeby zapomnieć. Ale... jaki ja miałbym majątek, gdybyście mnie nie odpędzili wtedy!...

— Dosyć! — wtrącił Rabsun. — Gadajcie o Fenicji.

— Przez kogo ty się dowiesz o Beroesie i traktacie? — spytał Dagona Hiram.

— Daj spokój. Niebezpiecznie mówić, bo do tego będą należeli kapłani.

— A przez kogo mógłbyś zepsuć traktat?

— Ja myślę... Ja myślę, że chyba przez następcę tronu. Mam dużo jego kwitów.

Hiram podniósł do góry rękę i odparł:

— Następca — bardzo dobrze, bo on zostanie faraonem, może nawet niedługo...

— Psyt!... — przerwał Dagon, uderzając pięścią w stół. — Żeby tobie mowę odjęło za takie gadanie!...

— Oto wieprz! — zawołał Rabsun, wygrażając bankierowi pod nosem.

— A to głupi kramarz! — odpowiedział Dagon z szyderczym uśmiechem. — Ty, Rabsun, powinieneś sprzedawać suszone ryby i wodę na ulicach, ale nie mieszać się do interesów między państwami. Wołowe kopyto umazane w egipskim błocie ma więcej rozumu aniżeli ty, który pięć lat mieszkasz w stolicy Egiptu!... Oby cię świnie zjadły...

— Cicho!... cicho!... — wtrącił Hiram. — Nie dacie mi dokończyć...

— Mów, boś ty mądry i ciebie rozumie moje serce — rzekł Rabsun.

— Jeżeli ty, Dagon, masz wpływ na następcę, to bardzo dobrze — ciągnął Hiram. — Bo jeżeli następca zechce mieć traktat z Asyrią, to będzie traktat, i w dodatku napisany naszą krwią, na naszych skórach. Ale jeżeli następca zechce wojny z Asyrią, to on zrobi wojnę, choćby kapłani przeciw niemu wezwali do pomocy wszystkich bogów.

— Psyt! — wtrącił Dagon — jeżeli kapłani bardzo zechcą, to będzie traktat... Ale może oni nie zechcą...

— Dlatego, Dagonie — mówił Hiram — my musimy mieć za sobą wszystkich wodzów...

— To można.

— I nomarchów...

— Także można.

— I następcę — prawił Hiram. — Ale, jeżeli tylko ty sam będziesz pchał go do wojny z Asyrią, to na nic. Człowiek, jak arfa, ma dużo strun i grać na nich trzeba dziesięcioma palcami, a ty, Dagonie, jesteś tylko jednym palcem.

— Przecież nie rozedrę się na dziesięć części...

— Ale ty możesz być jak jedna ręka, przy której jest pięć palców. Ty powinieneś zrobić to, ażeby nikt nie wiedział, że ty chcesz wojny, ale — ażeby każdy kucharz następcy chciał wojny, każdy fryzjer następcy chciał wojny, ażeby wszyscy łaziebnicy, lektykarze, pisarze, oficerowie, woźnice, ażeby oni wszyscy chcieli wojny z Asyrią i ażeby następca słyszał o tym od rana do nocy, a nawet, kiedy śpi...

— To się zrobi.

— A znasz ty jego kochanki? — spytał Hiram.

Dagon machnął ręką.

— Głupie dziewczęta — odparł. — One tylko myślą, ażeby ustroić się, wymalować i pachnidłami namaścić... Ale skąd się biorą te pachnidła i kto je przywozi do Egiptu, o tym już nie wiedzą.

— Trzeba mu podsunąć taką kochankę, ażeby o tym wiedziała — rzekł Hiram.

— Skąd ją wziąć?... — spytał Dagon. — A... mam!... — zawołał, uderzając się w czoło. — Znasz ty Kamę, kapłankę Astoreth?...

— Co?... — przerwał Rabsun. — Kapłanka świętej bogini Astoreth będzie kochanką Egipcjanina?...

— Ty byś wolał, ażeby ona była twoją?... — szydził Dagon. — Ona nawet zostanie arcykapłanką, gdy będzie trzeba zbliżyć ją do dworu...

— Prawdę mówisz — rzekł Hiram.

— Ależ to świętokradztwo!... — oburzał się Rabsun.

— Toteż kapłanka, która je popełni, może umrzeć — wtrącił sędziwy Hiram.

— Żeby nam tylko nie przeszkodziła ta Sara, Żydówka — odezwał się po chwili milczenia Dagon. — Ona spodziewa się dziecka, do którego książę już dziś jest przywiązany. Gdyby zaś urodził jej się syn, poszłyby w kąt wszystkie.

— Będziemy mieli pieniądze i dla Sary — rzekł Hiram.

— Ona nic nie weźmie!... — wybuchnął Dagon. — Ta nędzna odrzuciła złoty, kosztowny puchar, który jej sam zaniosłem...

— Bo myślała, że ją chcesz okpić — wtrącił Rabsun.

Hiram pokiwał głową.

— Nie ma się czym kłopotać — rzekł. — Gdzie nie trafi złoto, tam trafi ojciec, matka albo kochanka. A gdzie nie trafi kochanka, jeszcze dostanie się...

— Nóż... — syknął Rabsun.

— Trucizna... — szepnął Dagon.

— Nóż to rzecz bardzo grubiańska... — zakonkludował Hiram.

Pogładził brodę, zamyślił się, w końcu powstał i wydobył z zanadrza purpurową wstęgę, na którą były nanizane trzy złote amulety z wizerunkiem bogini Astoreth. Wyjął zza pasa nóż, przeciął wstęgę na trzy części i dwa kawałki z amuletami wręczył Dagonowi i Rabsunowi.

Potem wszyscy trzej ze środka pokoju poszli w kąt, gdzie stał skrzydlaty posąg bogini; złożyli ręce na piersiach, a Hiram zaczął mówić zniżonym głosem, lecz wyraźnie:

— Tobie, matko życia, przysięgamy wiernie dochować umów naszych i dopóty nie spocząć, dopóki święte miasta nie będą zabezpieczone od wrogów, których oby wytępił głód, zaraza i ogień...

Gdyby zaś który z nas nie dotrzymał zobowiązania albo zdradził tajemnicę, niech spadną na niego wszystkie klęski i sromoty... Niech głód skręca jego wnętrzności, a sen ucieka od krwią nabiegłych oczu... Niech ręka uschnie temu, kto by mu pośpieszył z ratunkiem, litując się jego nędzy... Niech na stole jego chleb zamieni się w zgniliznę, a wino w cuchnącą posokę... Niech dzieci jego wymrą, a dom niech mu zapełnią bękarty, które oplwają go i wypędzą... Niech skona, jęcząc przez wiele dni samotny, i niech spodlonego trupa nie przyjmie ziemia ani woda, niech go ogień nie spali ani pożrą dzikie bestie...

Tak niech się stanie!...

Po strasznej przysiędze, którą zaczął Hiram, a od połowy wykrzykiwali wszyscy głosami drżącymi wściekłością, trzej Fenicjanie odpoczęli zadyszani. Po czym Rabsun zaprosił ich na ucztę, gdzie przy winie, muzyce i tancerkach na chwilę zapomnieli o czekającej ich pracy.

Faraon

TOM II

ROZDZIAŁ I

Niedaleko miasta Pi-Bast[183] znajdowała się wielka świątynia bogini Hator[184].

W miesiącu Paoni (marzec-kwiecień), w dniu porównania wiosennego, około dziewiątej wieczór, gdy gwiazda Syriusz miała się ku zachodowi, pod bramą świątyni stanęli dwaj podróżni kapłani i jeden pokutnik. Szedł on boso, miał popiół na głowie i był przykryty grubą płachtą, którą twarz zasłaniał.

Pomimo widnej nocy fizjognomii[185] podróżnych nie można było poznać, stali bowiem w cieniu dwu olbrzymich posągów bóstwa z krowią głową, które pilnowały wejścia do świątnicy i łaskawymi oczyma strzegły nomesu Habu od pomoru, złego wylewu i południowych wiatrów.

Odpocząwszy nieco, pokutnik upadł piersiami na ziemię i długo modlił się. Potem podniósł się, ujął miedzianą kołatkę i uderzył. Potężny dźwięk metalowy obiegł wszystkie dziedzińce, odbił się od grubych murów świątyni i poleciał ponad łany pszenicy, nad gliniane chaty chłopów, nad srebrzyste wody Nilu, gdzie słabym okrzykiem odpowiedziało mu zbudzone ptactwo.

Po długiej chwili za bramą rozległ się szmer i pytanie:

— Kto nas budzi?

— Niewolnik boży, Ramzes — rzekł pokutnik.

— Po co przyszedłeś?

— Po światło mądrości.

— Jakie masz prawa?

— Otrzymałem niższe święcenie i na wielkich procesjach wewnątrz świątyni noszę pochodnię.

Brama szeroko otworzyła się. Na środku stał kapłan w białej szacie, który wyciągnąwszy rękę, rzekł powoli i wyraźnie:

— Wejdź. Niech razem z przestąpieniem tego progu spokój boży zamieszka w twojej duszy i niech spełnią się życzenia, o które w pokornej modlitwie błagasz bogów.

A gdy pokutnik upadł mu do nóg, kapłan, czyniąc jakieś znaki nad jego głową, szeptał:

— W imię Tego, który jest, był i będzie... Który wszystko stworzył... Którego tchnienie napełnia świat widzialny i niewidzialny i jest życiem wiecznym...

A gdy brama zamknęła się, kapłan wziął Ramzesa za rękę i wśród zmroku, pomiędzy ogromnymi kolumnami przysionka, zaprowadził go do przeznaczonego mieszkania. Była to mała celka oświetlona kagankiem. Na kamiennej posadzce leżała wiązka suchej trawy, w kącie stał dzban wody, a obok — jęczmienny placek.

— Widzę, że tutaj naprawdę odpocznę po przyjęciach u nomarchów!... — wesoło zawołał Ramzes.

— Myśl o wieczności — odparł kapłan i oddalił się.

Asceta

Księcia niemile dotknęła ta odpowiedź. Pomimo że był głodny, nie chciał jeść placka ani pić wody. Usiadł na trawie i, patrząc na swoje pokaleczone w podróży nogi, pytał się: po co on tu przyszedł?... po co dobrowolnie wyzuł się ze swej dostojności?...

Widząc ściany celi i jej ubóstwo, przypomniał sobie chłopięce lata spędzone w kapłańskiej szkole. Ile on tam dostał kijów!... ile nocy przepędził na kamiennej posadzce za karę!... Ramzes i teraz uczuł tą nienawiść i trwogę, jakiej wówczas doświadczał wobec surowych kapłanów, którzy na wszystkie jego pytania i prośby odpowiadali zawsze jednym: „Myśl o wieczności!..."

Po kilkumiesięcznym zgiełku wpaść w taką ciszę, zamienić dwór książęcy na ciemność i samotność, a zamiast uczt, kobiet, muzyki czuć dokoła siebie i nad sobą ciężar murów...

„Oszalałem!... oszalałem!... — mówił do siebie Ramzes.

---

[183] *Pi-Bast* — Per-Bast, gr. Bubastis, miasto we wschodniej Delcie, w pobliżu dzisiejszego Az-Zakazik, ok. 80 km na północ od Memfis. Centrum kultu bogini miłości i płodności Bastet. Stolica Am-Chent, 18. nomu Dolnego Egiptu.

[184] *Hator* a. *Hathor* — bogini nieba, miłości i radości. Utożsamiana z Izydą. Przedstawiana jako krowa lub kobieta z krowimi rogami.

[185] *fizjognomia* (daw.) — fizjonomia, twarz.

Była chwila, że chciał opuścić świątynię natychmiast, a potem przyszła mu myśl, że mogą nie otworzyć bramy. Widok brudnych nóg, popiołu, który sypał mu się z włosów, szorstkość pokutniczej płachty — wszystko to napełniało go obrzydzeniem. Gdyby choć miał swój miecz!... Ale czy w tym odzieniu i tym miejscu ośmieliłby się go użyć?...

Uczuł niepokonany strach i to go otrzeźwiło. Przypomniał sobie, że bogowie w świątyniach zsyłają na ludzi trwogę i że ona ma być wstępem do mądrości.

„Jestem przecie namiestnikiem i następcą faraona — pomyślał — cóż mi tu kto zrobi?..."

Podniósł się i wyszedł ze swej celi. Znajdował się w wielkim dziedzińcu otoczonym kolumnami. Gwiazdy jasno świeciły, więc zobaczył — na jednym końcu podwórza olbrzymie pylony, na drugim otwarte wejście do świątyni.

Poszedł tam. Ode drzwi panował mrok, a gdzieś bardzo daleko płonęło kilka lamp, jakby unoszących się w powietrzu. Wpatrzywszy się, dojrzał między wejściem i światłami cały las gęsto ustawionych, grubych kolumn, których wierzchołki rozpływały się w ciemności. W głębi, może o paręset kroków od niego, niewyraźnie widać było olbrzymie nogi siedzącej bogini i jej ręce oparte na kolanach, od których słabo odbijał się blask lamp.

Nagle usłyszał szmer. Z daleka, z bocznej nawy, wysunął się szereg białych figurek idących parami. Była to nocna procesja kapłanów, którzy oddawali hołd posągowi bogini śpiewając na dwa chóry:

Chór I. „Ja jestem Tym, który niebo i ziemię stworzył i wszystkie na nich stworzenia zrobił.

Chór II. Ja jestem Tym, który wody zrobił i wielką powódź stworzył, Tym, co wołu jego matce zrobił, który rodzicem jest.

Chór I. Ja jestem Tym, który niebo stworzył i tajemnice widnokręgów jego i dusze bogów w nie włożyłem.

Chór II. Ja jestem Tym, który gdy oczy otwiera, jasno się robi, a gdy je zamyka, ciemność się staje.

Chór I. Wody Nilu płyną, gdy rozkazuję...

Chór II. Ale bogowie nie znają jego imienia."[186]

Głosy, z początku niewyraźne, potężniały tak, że słychać było każde słowo; a gdy zniknął orszak, zaczęły rozpraszać się między kolumnami, słabnąć... Wreszcie umilkły.

„A jednak ci ludzie — pomyślał Ramzes — nie tylko jedzą, piją i zbierają bogactwa... Oni naprawdę spełniają służbę, nawet w nocy... Chociaż — co z tego przyjdzie posągowi!..."

Pobożność

Książę nieraz widywał posągi bóstw granicznych obrzucone błotem przez mieszkańców innego nomesu albo postrzelane z łuków i proc przez żołnierzy cudzoziemskich pułków. Jeżeli bogowie nie obrażają się o zniewagi, niewiele także muszą dbać o modlitwy i procesje.

„Kto zresztą widział bogów!..." — rzekł do siebie książę.

Ogrom świątyni, jej niezliczone kolumny, światła palące się przed posągiem, wszystko to pociągało Ramzesa. Chciał rozejrzeć się w tym tajemniczym bezmiarze i poszedł naprzód.

Wtem zdało mu się, że z tyłu głowy delikatnie dotknęła go jakaś ręka... Obejrzał się, nie było nikogo, więc szedł dalej.

Tym razem jakieś dwie ręce schwyciły go za głowę, a trzecia, duża, oparła się na plecach...

— Kto tu jest?... — zawołał książę i rzucił się między kolumny.

Lecz potknął się i omal nie upadł: coś schwyciło go za nogi.

Ramzesa znowu opanował strach, większy niż w celi. Zaczął uciekać bez pamięci, potrącając się o kolumny, które zastępowały mu drogę, a ciemność ogarniała ze wszech stron.

— O święta bogini, ratuj!... — szepnął.

[186] *Ja jestem Tym, który niebo i ziemię stworzył [...] Ale bogowie nie znają jego imienia.* — autentyczne. [przypis autorski]

W tej chwili zatrzymał się: o kilka kroków przed nim były wielkie drzwi świątyni, przez które zaglądało gwiaździste niebo. Odwrócił głowę — między lasem olbrzymich kolumn płonęły lampy, a blask ich słabo odbijał się od spiżowych kolan świętej Hator.

Książę wrócił do swej celi wzburzony i skruszony; serce rzucało się w nim jak ptak schwytany w sidła. Pierwszy raz od wielu lat upadł twarzą na ziemię i gorąco modlił się o łaskę i przebaczenie.

— Będziesz wysłuchany!... — odezwał się nad nim słodki głos.

Ramzes nagle podniósł głowę, lecz w celi nie było nikogo: drzwi zamknięte, mury grube. Modlił się więc jeszcze goręcej i tak usnął, z twarzą na kamieniach i rozkrzyżowanymi rękoma.

Kiedy na drugi dzień obudził się, był już innym człowiekiem: poznał moc bogów i otrzymał obietnicę łaski.

Od tej pory, przez długi szereg dni, z ochotą i wiarą oddawał się ćwiczeniom pobożnym. W swojej celi długie godziny spędzał na modlitwach, dał sobie ogolić włosy, przywdział strój kapłański i cztery razy na dobę uczęszczał do chóru najmłodszych kapłanów.

Jego życie przeszłe, wypełnione zabawami, budziło w nim odrazę, a niewiara, której nabył wśród rozpustnej młodzieży i cudzoziemców, napełniała go strachem. I gdyby mu dziś dano do wyboru: tron czy kapłański urząd? zawahałby się.

Pewnego dnia wielki prorok świątyni wezwał go do siebie, przypominając, że nie wszedł tu wyłącznie dla modłów, ale dla poznania mądrości. Pochwalił jego pobożne życie, powiedział, że jest już oczyszczony z brudów świata, i kazał mu zapoznać się ze szkołami istniejącymi przy świątyni.

Raczej przez posłuszeństwo aniżeli ciekawość książę prosto od niego udał się na zewnętrzny dziedziniec, gdzie mieścił się oddział czytania i pisania.

Była to wielka sala oświetlona przez otwór w dachu. Na matach siedziało kilkudziesięciu nagich uczniów z woskowanymi tabliczkami w rękach. Jedna ściana była z gładkiego alabastru, przed nią stał nauczyciel i różnokolorowymi kredkami pisał znaki.

Gdy książę wszedł, uczniowie (prawie wszyscy jednego wieku z nim) upadli na twarz. Nauczyciel zaś, skłoniwszy się, przerwał dotychczasowe zajęcie, aby wypowiedzieć chłopcom wykład o wielkim znaczeniu nauki.

— Moi kochani! — mówił. — „Człowiek, który nie ma serca do mądrości, musi zajmować się pracą ręczną i męczyć oczy. Ale ten, kto rozumie wartość nauk i kształci się w nich, może osiągnąć wszystkie władze, wszystkie dworskie urzędy. Pamiętajcie o tym."[187]

Przypatrzcie się nędznemu życiu ludzi, którzy nie znają pisma. „Kowal jest czarny, posmolony, ma palce pełne nagniotków, a pracuje dzień i noc. Kamieniarz zrywa sobie ramię, ażeby napełnić żołądek. Mularz[188] budujący kapitele w formie lotosu bywa strącany przez wicher ze szczytu dachu. Tkacz ma zgięte kolana, fabrykant broni ciągle podróżuje: ledwo przyjedzie do domu wieczorem, już musi go opuszczać. Malarzowi pokojowemu cuchną palce, a czas upływa mu na krajaniu gałganów. Zaś szybkobiegacz, ten, żegnając się z rodziną, powinien zostawić testament, bo naraża się na niebezpieczeństwo spotkania dzikich zwierząt lub Azjatów."

Pokazałem wam dolę różnych rzemiosł, bo chcę, ażebyście kochali sztukę pisania, która jest waszą matką, a teraz przedstawię wam jej piękności. Ona nie jest pustym słowem na ziemi, ona jest ważniejszą od wszelkich innych zajęć. Ten, który korzysta ze sztuki pisania, jest szanowanym od dzieciństwa; on spełnia wielkie posłannictwa. Lecz ten, który nie bierze w niej udziału, żyje w nędzy.

Nauki szkolne są ciężkie jak góry; ale jeden ich dzień wystarczy wam na całą wieczność. Więc prędko, jak najprędzej poznajcie się z nimi i pokochajcie... Stan pisarza jest książęcym stanem, jego kałamarz i księga dają mu przyjemności i bogactwa!...

Po szumnej przemowie o dostojeństwie nauk, czego od trzech tysięcy lat bez zmiany słuchali egipscy uczniowie, mistrz wziął kredkę i na alabastrowej ścianie zaczął pisać — alfabet. Każda litera wyrażała się za pomocą kilku symbolów hieroglificznych lub kilku

[187] *Człowiek, który nie ma serca do mądrości […] Pamiętajcie o tym.* — autentyczne. [przypis autorski]
[188] *mularz* (daw.) — murarz.

znaków demotycznych[189]. Rysunek oka, ptaka lub pióra oznaczał — A. Owca albo doniczka — B, człowiek stojący lub czółno — K, wąż — R, człowiek siedzący albo gwiazda — S. Obfitość znaków wyrażających każdą literę sprawiała, że nauka czytania i pisania była bardzo mozolnym zajęciem.

Toteż Ramzes zmęczył się samym słuchaniem, wśród którego jedyną rozrywkę stanowiło to, gdy nauczyciel kazał któremu z uczniów wyrysować lub nazwać literę i walił go kijem, gdy się omylił.

Pożegnawszy nauczyciela i wychowańców, książę ze szkoły pisarzy przeszedł do szkoły mierników. Tu uczono młodzież zdejmować plany pól, mających po największej części formę prostokątów, tudzież niwelować grunta za pomocą dwu łat i węgielnicy. W tym również oddziale wykładano sztukę pisania liczb, nie mniej zawikłaną jak hieroglify albo znaki demotyczne. Lecz najprostsze działania arytmetyczne stanowiły wyższy kurs i wykonywały się przy pomocy kulek.

Ramzes miał tego dosyć i dopiero po kilku dniach zgodził się odwiedzić szkołę lekarską.

Był to zarazem szpital, a raczej wielki ogród zasadzony mnóstwem drzew i zasiany wonnymi ziołami. Chorzy całe dnie przepędzali w powietrzu i słońcu, na łóżkach, w których zamiast materacy było wyciągnięte płótno.

Gdy książę wszedł tutaj, panowała największa czynność. Kilku pacjentów kąpało się w sadzawce wody bieżącej, jednego smarowano wonnymi maściami, jednego okadzano. Było kilku, których uśpiono za pomocą wzroku i pociągnięć rękami; jeden jęczał po nastawieniu zwichniętej nogi.

Pewnej ciężko chorej kobiecie kapłan podawał w kubku jakąś miksturę, mówiąc:

„Chodź, leku, chodź, wypędź to z mego serca, z tych moich członków, silny w czary przy tym leku."[190]

Następnie książę w towarzystwie wielkiego lekarza poszedł do apteki, gdzie jeden z kapłanów przygotowywał lekarstwa z ziół, miodu, oliwy, skórek wężowych i jaszczurczych, kości i tłuszczów zwierzęcych. Na zapytanie Ramzesa laborant nie oderwał oczu od swej pracy. Tylko wciąż ważył i rozcierał materiały, odmawiając przy tym modlitwę:

„Uzdrowiło Izydę, uzdrowiło Izydę, uzdrowiło Horusa... O Izydo, wielka czarodziejko, uzdrów mnie, wyzwól ze wszystkich złych, szkodliwych, czerwonych rzeczy, od gorączki boga i gorączki bogini...

O Schauagat', eenagate' synie! Erukate'! Kauaruschagate'!... Paparuka paparaka paparuka..."[191]

— Co on mówi? — spytał książę.

— Tajemnica... — odparł wielki lekarz, kładąc palec na ustach.

Gdy wyszli na pusty dziedziniec, Ramzes rzekł do wielkiego lekarza:

— Powiedz mi, święty ojcze: co to jest sztuka lekarska i na czym polegają jej sposoby? Bo ja słyszałem, że choroba jest to zły duch, który osiedla się w człowieku i dręczy go z głodu, dopóki nie dostanie właściwej sobie żywności. I że jeden zły duch, czyli choroba, karmi się miodem, inny oliwą, a inny — zwierzęcymi odchodami. Lekarz więc powinien — naprzód wiedzieć; jaki duch zamieszkał w chorym, a następnie — jakich ten duch potrzebuje pokarmów, ażeby nie trapił człowieka?...

Kapłan zamyślił się i odparł:

— Co to jest choroba, jakim sposobem spada na ludzkie ciało, o tym nie mogę powiedzieć ci, Ramzesie. Ale objaśnię ci, bo zostałeś oczyszczony, czym kierujemy się przy wydawaniu lekarstw.

---

[189] *Każda litera wyrażała się za pomocą kilku symbolów hieroglificznych lub kilku znaków demotycznych* — w piśmie hieroglificznym pojedynczy symbol wyrażał całe pojęcie lub wyraz (znaki ideograficzne), uściślał, o jaką klasę pojęcia chodzi (determinatywy) lub reprezentował wartość fonetyczną (szczególnie przy zapisie obcych imion i nazw). Pisma hieroglificznego używano zarówno do inskrypcji rytych w kamieniu, jak i oficjalnych tekstów na zwojach i kartach papirusowych. Do odręcznych zapisków na papirusie lub glinianych skorupkach stosowano uproszczone postacie znaków zwane pismem hieratycznym (gr.: kapłańskim), z którego z kolei w VII w. p.n.e. powstało jeszcze bardziej uproszczone pismo demotyczne (gr.: ludowe).

[190] *Chodź, leku, chodź…* — autentyczne. [przypis autorski]

[191] *O Schauagat'…* — autentyczne. [przypis autorski]

Wyobraź sobie, że człowiek jest chory na wątrobę. Otóż my, kapłani, wiemy, że wątroba znajduje się pod wpływem gwiazdy Peneter-Dewa[192] i że leczenie musi zależyć od tej gwiazdy.

Lecz tu mędrcy dzielą się na dwie szkoły. Jedni twierdzą, że potrzeba choremu na wątrobę podawać wszystko to, nad czym Peneter-Dewa ma władzę, a zatem: miedź, lapis-lazuli, wywary z kwiatów, przede wszystkim z werweny i waleriany, nareszcie różne części ciała turkawki i kozła. Inni zaś lekarze sądzą, że gdy wątroba jest chora, to właśnie trzeba ją leczyć środkami przeciwnymi. A ponieważ przeciwnikiem Peneter-Dewy jest Sebeg[193], więc lekarstwami będą: żywe srebro, szmaragd i agat, leszczyna i podbiał tudzież części ciała żaby i sowy utarte na proszek.

Lecz nie jest to jeszcze wszystko. Trzeba bowiem pamiętać o dniu, miesiącu i porze dnia, każdy bowiem z tych przeciągów czasu zostaje pod wpływem gwiazdy, która może wspierać lub osłabiać działanie lekarstwa. Trzeba nareszcie pamiętać: jaka gwiazda i jaki znak Zodiaku panuje nad chorym. Dopiero gdy lekarz wszystkie te rzeczy weźmie pod uwagę, może przepisać środek niezawodny.

— I czy wszystkim chorym pomagacie w świątyni?

Kapłan potrząsnął głową.

— Nie — rzekł. — Umysł ludzki, który musi ogarnąć tyle szczegółów, o jakich mówiłem, bardzo łatwo myli się. A co gorsza: duchy zawistne, geniusze innych świątyń, zazdrosne o swoją sławę, niejednokrotnie przeszkadzają lekarzowi i psują skutek lekarstw. Ostateczny więc wypadek może być rozmaitym: jeden chory całkiem przychodzi do zdrowia, inny tylko poprawia się, a trzeci pozostaje bez zmiany. Choć zdarzają się i tacy, którzy rozchorowują się jeszcze gorzej albo nawet umierają... Wola bogów!...

Książę słuchał z uwagą, w duchu jednak przyznał, że niewiele rozumie. Zarazem przypomniał sobie cel swojego przybycia do świątyni i nagle zapytał wielkiego lekarza:

— Mieliście, święci ojcowie, pokazać mi tajemnicę skarbu faraona. Czy mają być nią te rzeczy, które widziałem?

— Bynajmniej — odpowiedział lekarz. — Ale my nie znamy się na rzeczach państwowych. Dopiero ma tu zjechać święty kapłan Pentuer, wielki mędrzec, i on zdejmie z oczu twoich zasłonę.

Ramzes pożegnał lekarza jeszcze więcej zaciekawiony tym, co miano mu pokazać.

ROZDZIAŁ II

Świątynia Hator z wielką czcią przyjęła Pentuera, a niżsi jej kapłani wyszli na pół godziny drogi, aby powitać znakomitego gościa. Zjechało się wielu proroków, ojców świętych i synów bożych ze wszystkich cudownych miejsc Dolnego Egiptu w celu usłyszenia słów mądrości. W parę dni po nich przybyli: arcykapłan Mefres i prorok Mentezufis.

Składano Pentuerowi hołdy, nie tylko że był doradcą ministra wojny i, bez względu na młody wiek, członkiem najwyższego kolegium, ale że kapłan ten miał sławę w całym Egipcie. Bogowie dali mu nadludzką pamięć, wymowę i nade wszystko cudny dar jasnowidzenia. W każdej bowiem rzeczy i sprawie dostrzegał strony przed innymi ludźmi ukryte i umiał przedstawić je w sposób zrozumiały dla wszystkich.

Niejeden nomarcha lub wysoki urzędnik faraona, dowiedziawszy się, że Pentuer ma celebrować uroczystość religijną w świątyni Hator, zazdrościł najskromniejszemu kapłanowi, że usłyszy natchnionego przez bogów człowieka.

Duchowni, którzy na gościniec wyszli witać Pentuera, byli pewni, że dostojnik ten ukaże im się na wozie dworskim albo w lektyce niesionej przez ośmiu niewolników. Jakież było ich zdziwienie, gdy ujrzeli chudego ascetę, z obnażoną głową, który odziawszy się w grubą płachtę sam jeden podróżował na oślicy i przywitał ich z wielką pokorą.

Gdy go wprowadzono do świątyni, złożył ofiarę bóstwu i natychmiast udał się na obejrzenie placu, gdzie miała odbyć się uroczystość.

Od tej pory nie widziano go. Ale w świątyni i przyległych jej podwórzach zapanował ruch niezwykły. Zwożono rozmaite sprzęty kosztowne, ziarna, ubiory, spędzono kilkuset

[192] *gwiazda Peneter-Dewa* — planeta Wenus. [przypis autorski]
[193] *Sebeg* — planeta Merkury. [przypis autorski]

chłopów i robotników, z którymi Pentuer zamknął się na przeznaczonym mu dziedzińcu i robił przygotowania.

Po ośmiu dniach pracy zawiadomił arcykapłana Hatory, że wszystko jest gotowe.

Przez cały ten czas książę Ramzes, ukryty w swojej celi, oddawał się modlitwom i postom. Nareszcie pewnego dnia, o trzeciej po południu, przyszło po niego kilkunastu kapłanów uszykowanych we dwa szeregi i wezwali go na uroczystość.

W przysionku świątyni powitali księcia arcykapłani i wraz z nim spalili kadzidła przed olbrzymim posągiem Hatory. Potem skręcili w boczny korytarz, ciasny i niski, na końcu którego płonął ogień. Powietrze korytarza było przesycone wonią smoły gotującej się w kotle.

W sąsiedztwie kotła przez otwór w posadzce wydobywał się okropny jęk ludzki i przekleństwa.

— Co to znaczy?... — spytał Ramzes jednego z idących przy nim kapłanów.

Zapytany nic nie odpowiedział; na twarzach wszystkich obecnych, o ile je można było dojrzyć, malowało się wzruszenie i przestrach.

W tej chwili arcykapłan Mefres wziął do ręki wielką łyżkę i zaczerpnąwszy z kotła gorącej smoły rzekł podniesionym głosem:

— Tak niech ginie każdy zdrajca świętych tajemnic!...

To powiedziawszy wlał smołę w otwór posadzki, a z podziemiów odezwał się ryk...

— Zabijcie mnie... jeżeli w sercach macie choć odrobinę miłosierdzia!... — jęczał głos.

— Niech ciało twe stoczą robaki!... — rzekł Mentezufis, wlewając roztopioną smołę w otwór.

— Psy!... szakale!... — jęczał głos.

— Niech serce twoje będzie spalone, a proch wyrzucony na pustynię... — mówił następny kapłan, powtarzając ceremonię.

— O bogowie!... czyliż można tyle cierpieć — odpowiedziano z podziemi.

— Niech dusza twoja, z wizerunkiem swej hańby i występku, błąka się po miejscach, gdzie żyją ludzie szczęśliwi... — rzekł inny kapłan i znowu wlał łyżkę smoły.

— Oby was ziemia pożarła... Miłosierdzia!... dajcie mi odetchnąć...

Nim przyszła kolej na Ramzesa, głos w podziemiu już umilkł.

— Tak bogowie karzą zdrajców!... — rzekł do księcia arcykapłan świątyni.

Ramzes zatrzymał się i wpił w niego pełne gniewu spojrzenie. Zdawało się, że wybuchnie i porzuci tą gromadę katów; ale uczuł strach boży i w milczeniu poszedł za innymi.

Teraz dumny następca zrozumiał, że jest władza, przed którą uginają się faraonowie. Ogarnęła go prawie rozpacz, chciał uciec stąd, wyrzec się tronu... Ale milczał i szedł dalej, otoczony kapłanami śpiewającymi modlitwy.

„Oto już wiem — myślał — gdzie podziewają się ludzie niemili sługom bożym!..."

Refleksja ta nie zmniejszyła jego zgrozy.

Opuściwszy wąski korytarz, pełen dymu, procesja znowu znalazła się pod otwartym niebem, na wzniesieniu. Poniżej leżał ogromny dziedziniec, z trzech stron zamiast muru otoczony parterowym budynkiem. Od tego miejsca, gdzie stali kapłani, spuszczał się rodzaj amfiteatru o pięciu szerokich kondygnacjach, po których można było przechadzać się wzdłuż dziedzińca lub zejść na dół.

Na placu nie było nikogo, ale z budynków wyglądali jacyś ludzie.

Arcykapłan Mefres, jako najdostojniejszy w tym gronie, przedstawił księciu Pentuera. Łagodna twarz ascety tak nie godziła się z okropnościami, jakie miały miejsce w korytarzu, że książę zdziwił się. Ażeby cośkolwiek powiedzieć, rzekł do Pentuera:

— Wydaje mi się, że już kiedyś spotkałem was, pobożny ojcze?

— W roku zeszłym na manewrach pod Pi-Bailos. Byłem tam przy jego dostojności Herhorze — odparł kapłan.

Dźwięczny i spokojny głos Pentuera zastanowił księcia. On już gdzieś słyszał i ten głos, w jakichś niezwykłych warunkach. Ale kiedy i gdzie?...

W każdym razie kapłan zrobił na nim przyjemne wrażenie. Gdybyż mógł zapomnieć krzyków człowieka, którego oblewano wrzącą smołą!...

— Możemy zaczynać — odezwał się arcykapłan Mefres.

Pentuer wysunął się na przód amfiteatru i klasnął w ręce. Z parterowych budynków wybiegła gromada tancerek i wyszli kapłani z muzyką tudzież niewielkim posągiem bogini Hator. Muzyka szła naprzód, za nią tancerki wykonywające święty taniec, wreszcie posąg otoczony dymem kadzideł. W ten sposób obeszli dokoła dziedziniec i zatrzymując się co kilka kroków, prosili bóstwa o błogosławieństwo, a złych duchów o opuszczenie miejsca, gdzie ma odbyć się pełna tajemnic uroczystość religijna.

Gdy procesja wróciła do budynków, wystąpił Pentuer. Obecni dostojnicy, w liczbie dwudziestu lub trzydziestu osób, skupili się dokoła niego.

— Z woli jego świątobliwości faraona — zaczął Pentuer — i za zgodą najwyższych władz kapłańskich mamy wtajemniczyć następcę tronu, Ramzesa, w niektóre szczegóły życia państwa egipskiego, znane tylko bóstwom, rządcom kraju i świątyniom. Wiem, dostojni ojcowie, że każdy z was lepiej objaśniłby młodego księcia o tych rzeczach, albowiem napełnia was mądrość, a bogini Mut przemawia przez wasze usta. Że jednak na mnie, który wobec was jestem tylko uczniem i prochem, spadł ten obowiązek, pozwólcie, abym go spełnił pod waszym czcigodnym kierunkiem i dozorem.

Szmer zadowolenia rozległ się między uczczonymi w taki sposób kapłanami. Pentuer zwrócił się do księcia:

— Od kilku miesięcy, sługo boży, Ramzesie, jak zbłąkany podróżny szuka drogi w pustyni, tak ty szukasz odpowiedzi na pytanie: dlaczego zmniejszyły się i zmniejszają dochody świątobliwego faraona? Zapytywałeś nomarchów, a choć objaśnili cię wedle swojej możności, nie zadowolniłeś[194] się, pomimo że najwyższa mądrość ludzka jest udziałem tych dostojników. Zwracałeś się do wielkich pisarzy, lecz pomimo usiłowań, ludzie ci, jak ptaki z sieci, sami nie mogli wyplątać się z trudności, gdyż rozum człowieka, nawet ukształconego w szkole pisarzy, ogromu tych rzeczy ogarnąć nie jest w stanie. W końcu, zmęczony jałowymi objaśnieniami, zacząłeś przyglądać się gruntom nomesów, ich ludziom i dziełom ich rąk, ale nic nie dojrzałeś. Są bowiem rzeczy, o których ludzie milczą jak kamienie, ale o których opowie ci nawet kamień, jeżeli padnie na niego światło bogów.

Gdy tym sposobem zawiodły cię wszystkie ziemskie rozumy i potęgi, zwróciłeś się do bogów. Boso, z głową posypaną popiołem, przyszedłeś jako pokutnik do tej wielkiej świątyni, gdzie za pomocą modlitw i umartwień oczyściłeś ciało swoje, a wzmocniłeś ducha. Bogowie, a w szczególności potężna Hator wysłuchała twych próśb i przez niegodne moje usta da ci odpowiedź, którą obyś głęboko zapisał w sercu!...

„Skąd on wie — myślał tymczasem książę — że ja wypytywałem pisarzy i nomarchów?... Aha, powiedział mu o tym Mefres i Mentezufis... Zresztą oni wszystko wiedzą!..."

— Posłuchaj — mówił Pentuer — a odsłonię ci, za pozwoleniem obecnych tu dostojników, czym był Egipt czterysta lat temu, za panowania najsławniejszej i najpobożniejszej dynastii dziewiętnastej, tebeńskiej, a czym jest dziś...

Kiedy pierwszy faraon tamtej dynastii, Ramen-pehuti-Ramessu, objął władzę nad krajem, dochody skarbu państwa w zbożu, bydle, piwie, skórach, kruszcach i rozmaitych wyrobach wynosiły sto trzydzieści tysięcy talentów. Gdyby istniał naród, który wszystkie te towary mógłby nami wymienić na złoto, faraon miałby rocznie sto trzydzieści trzy tysiące min[195] złota. A że jeden żołnierz może dźwigać na plecach dwadzieścia sześć min ciężaru, więc dla przeniesienia tego złota trzeba by użyć około pięciu tysięcy żołnierzy.

Kapłani zaczęli szeptać między sobą, nie ukrywając zdziwienia. Nawet książę zapomniał o człowieku zamęczonym w podziemiach.

— Dziś — mówił Pentuer — roczny dochód jego świątobliwości, we wszystkich produktach tej ziemi, wart jest tylko dziewięćdziesiąt osiem tysięcy talentów. Za co można by dostać tyle złota, że do przeniesienia go potrzeba by tylko czterech tysięcy żołnierzy.

— O tym, że dochody państwa bardzo zmniejszyły się, wiem — wtrącił Ramzes — ale dlaczego?

— Bądź cierpliwym, sługo boży — odparł Pentuer. — Nie tylko dochód jego świątobliwości uległ zmniejszeniu...

---

[194] *zadowolnić* (daw.) — zadowolić.

[195] *mina* — 1,5 kilograma [jednostka wagi równa w zależności od czasu i miejsca 1/60 lub 1/100 talentu, czyli od ok. 0,5 kg do ok. 1,5 kg. Red. WL.]. [przypis autorski]

Za dziewiętnastej dynastii Egipt miał pod bronią sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Gdyby za sprawą bogów każdy ówczesny żołnierz zamienił się w kamyk wielkości winnego grona...

— To być nie może — szepnął Ramzes.

— Bogowie wszystko mogą — surowo rzekł arcykapłan Mefres.

— Albo lepiej — mówił Pentuer — gdyby każdy żołnierz położył na ziemi jeden kamyk, byłoby sto osiemdziesiąt tysięcy kamyków i spojrzyjcie, dostojni ojcowie, kamyki te zajęłyby tyle miejsca...

Wskazał ręką czerwonawej barwy prostokąt, który leżał na dziedzińcu.

— W tej figurze mieściłyby się kamyki rzucone przez każdego żołnierza z czasów Ramzesa I. Figura ta ma dziewięć kroków długości i około pięciu szerokości. Figura ta jest czerwona, ma barwę ciała Egipcjan, gdyż w owych czasach wszyscy nasi żołnierze składali się tylko z Egipcjan...

Kapłani znowu zaczęli szeptać. Książę sposępniał, zdawało mu się bowiem, że jest to przymówka do niego, który lubił cudzoziemskich żołnierzy.

— Dziś — ciągnął Pentuer — z wielkim trudem zebrałoby się sto dwadzieścia tysięcy wojowników. Gdyby zaś każdy z nich rzucił na ziemię swój kamyk, można by utworzyć taką oto figurę... Patrzcie, dostojni...

Obok pierwszego leżał drugi prostokąt, mający tę samą wysokość, ale znacznie krótszą podstawę. Nie miał też barwy jednolitej, lecz składał się z kilku pasów różnego koloru.

— Ta figura ma około pięciu kroków szerokości, lecz długa jest tylko na sześć kroków. Ubyła więc państwu ogromna ilość żołnierzy, trzecia część tej, jaką posiadaliśmy.

— Państwu więcej przyda się mądrość takich jak ty, proroku, aniżeli wojsko — wtrącił arcykapłan Mefres.

Pentuer skłonił się przed nim i mówił dalej:

— W tej nowej figurze, przedstawiającej dzisiejszą armię faraonów, widzicie, dostojni, obok barwy czerwonej, która oznacza rodowitych Egipcjan, jeszcze trzy inne pasy: czarny, żółty i biały. Przedstawiają one wojska najemnicze: Etiopów, Azjatów i Libijczyków tudzież Greków. Jest ich razem ze trzydzieści tysięcy, ale kosztują tyle, co pięćdziesiąt tysięcy Egipcjan...

— Należy czym prędzej znieść obce pułki!... — rzekł Mefres. — Drogie są, nieprzydatne, a uczą nasz lud bezbożności i zuchwalstwa. Dziś już wielu Egipcjan nie pada na twarz przed kapłanami, ba! niejeden posunął się do kradzieży w świątyniach i grobach...

Zatem precz z najemnikami... — mówił zapalczywie Mefres. — Kraj ma z nich same szkody, a sąsiedzi podejrzewają nas o nieprzyjacielskie zamysły...

— Precz z najemnikami!... Rozpędzić buntowniczych pogan!... — odezwali się kapłani.

— Gdy po latach, Ramzesie, wstąpisz na tron — mówił Mefres — spełnisz ten święty obowiązek względem państwa i bogów...

— Tak, spełnij!... Uwolnij twój lud od niewiernych!... — wołali kapłani.

Ramzes pochylił głowę i milczał. Krew uciekła mu do serca, czuł, że ziemia chwieje mu się pod nogami.

On ma rozpędzić najlepszą część wojska!... On, który chciałby mieć dwa razy większą armię i ze cztery razy tyle walecznych pułków najemnych!...

„Bez miłosierdzia są nade mną!..." — pomyślał.

— Mów, z nieba zesłany Pentuerze — odezwał się Mefres.

— Tak więc, święci mężowie — ciągnął Pentuer — poznaliśmy dwa nieszczęścia Egiptu: zmniejszyły się dochody faraona i jego armia...

— Co tam armia!... — mruknął arcykapłan, pogardliwie wstrząsając ręką.

— A teraz, za łaską bogów i waszym zezwoleniem, okażę wam: dlaczego tak się stało i z jakich powodów skarb i wojska będą zmniejszały się w przyszłości.

Książę podniósł głowę i patrzył na mówiącego. Już nie myślał o człowieku mordowanym w podziemiach.

Pentuer przeszedł kilkanaście kroków wzdłuż amfiteatru, za nim dostojnicy.

— Czy widzicie u stóp waszych ten długi a wąski pas zieloności, zakończony szerokim trójkątem? Po obu stronach pasa leżą wapienie, piaskowce i granity, a za nimi obszary piasku. Środkiem płynie struga, która w trójkącie rozdziela się na kilka odnóg...

— To Nil!... To Egipt!... — wołali kapłani.

— Uważajcie no — przerwał wzruszony Mefres. — Obnażam rękę... Czy widzicie te dwie niebieskie żyły, biegnące od łokcia do pięści?... Nie jestże to Nil i jego kanał, który poczyna się naprzeciw Gór Alabastrowych[196] i płynie aż do Fajum?... A spojrzyjcie na wierzch mojej pięści: jest tu tyle żył, na ile odnóg dzieli się święta rzeka za Memfisem. A moje palce czyliż nie przypominają liczby odnóg, którymi Nil wlewa się do morza?...

— Wielka prawda!... — wołali kapłani, oglądając swoje ręce.

— Otóż mówię wam — ciągnął rozgorączkowany arcykapłan — że Egipt jest... śladem ręki Ozyrysa... Tu na tej ziemi wielki bóg oparł rękę: w Tebach leżał jego boski łokieć, morza dosięgnęły palce, a Nil jest jego żyłami... I dziwić się, że ten kraj nazywamy błogosławionym!

— Oczywiście — mówili kapłani — Egipt jest wyraźnym odciskiem ręki Ozyrysa...

— Czyliż — wtrącił książę — Ozyrys ma siedem palców u ręki? Bo przecie Nil siedmiu odnogami wpada do morza...

Nastało głuche milczenie.

— Młodzieńcze — odparł Mefres z dobrotliwą ironią — czy sądzisz, że Ozyrys nie mógłby mieć siedmiu palców, gdyby mu się tak podobało?...

— Naturalnie!... — potakiwali kapłani.

— Mów dalej, znakomity Pentuerze — wtrącił Mentezufis.

— Macie słuszność, dostojnicy — zaczął znowu Pentuer. — Ta struga, ze swymi rozgałęzieniami, jest obrazem Nilu; wąski pasek murawy, obsadzony kamieniami i piaskiem, to Egipt Górny, a ten trójkąt, poprzecinany żyłkami wody, to wizerunek Egiptu Dolnego, najobszerniejszej i najbogatszej części państwa.

Otóż w początkach dziewiętnastej dynastii cały Egipt, od katarakt Nilowych do morza, obejmował pięćset tysięcy miar ziemi. Zaś na każdej miarze[197] ziemi żyło szesnastu ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci. Lecz przez czterysta lat następnych prawie z każdym pokoleniem ubywało Egiptowi po kawałku ziemi żyznej...

Mówca dał znak. Kilkunastu młodych kapłanów wybiegło z budynku i poczęli sypać piasek na rozmaite punkta[198] murawy.

— Za każdym pokoleniem — ciągnął kapłan — ubywało ziemi żyznej, a wąski jej pasek zwężał się coraz bardziej. Dziś — tu podniósł głos — ojczyzna nasza, zamiast pięciuset tysięcy miar, posiada tylko czterysta tysięcy miar... Czyli że przez ciąg panowania dwu dynastii Egipt stracił ziemię, która wykarmiała blisko dwa miliony ludzi!...

W zgromadzeniu znowu podniósł się szmer zgrozy.

— A wiesz, sługo boży, Ramzesie, gdzie podziały się te pola, na których niegdyś rosła pszenica i jęczmień albo pasły się stada bydła?... O tym wiesz, że — zasypał je piasek pustyni. Ale czy mówiono ci: dlaczego tak się stało?... Bo — zabrakło chłopów, którzy za pomocą wiadra i pługa od świtu do nocy walczyli z pustynią. Nareszcie, czy wiesz, dlaczego zabrakło tych robotników bożych?... Gdzie oni się podzieli? co ich wymiotło z kraju?... Oto — wojny zagraniczne. Nasi rycerze zwyciężali nieprzyjaciół, nasi faraonowie uwieczniali swoje czcigodne nazwiska aż nad brzegami Eufratu, a nasi chłopi, jak pociągowe bydło, nosili za nimi żywność, wodę i inne ciężary i po drodze marli tysiącami.

Toteż za te kości, rozrzucone po pustyniach wschodnich, piaski zachodnie pożarły nasze grunta, i dziś trzeba niezmiernej pracy i wielu pokoleń, ażeby powtórnie wydobyć czarną ziemię egipską spod mogiły piasków...

— Słuchajcie!... słuchajcie!... — wołał Mefres — jakiś bóg mówi przez usta tego człowieka. Tak, nasze triumfalne wojny były grobem Egiptu...

Ramzes nie mógł zebrać myśli. Zdawało mu się, że te góry piasku sypią się dziś na jego głowę.

---

[196] *Góry Alabastrowe* — w środkowej części Egiptu, na wschodnim brzegu Nilu w pobliżu Amarna, ok. 250 km na południe od Memfis, 50 km na południe od dzisiejszego al-Minja, znajdowały się eksploatowane przez Egipcjan od czasów Starego Państwa złoża trawertynu, jasnego kamienia zwanego egipskim alabastrem.

[197] *miarze* — dziś popr. forma Msc. lp: mierze.

[198] *punkta* — dziś popr.: punkty.

— Powiedziałem — mówił Pentuer — że potrzeba wielkiej pracy, ażeby odkopać Egipt i wrócić mu dawne bogactwa, które pożarła wojna. Ale czy my posiadamy siły do wykonania tego zamiaru?...

Znowu posunął się kilkanaście kroków wzdłuż amfiteatru, a za nim wzruszeni słuchacze. Jak Egipt Egiptem, jeszcze nikt tak dosadnie nie odmalował klęsk kraju, choć wszyscy wiedzieli o nich.

— Za czasów dziewiętnastej dynastii Egipt posiadał osiem milionów ludności. Gdyby każdy ówczesny człowiek, kobieta, starzec i dziecko, rzuciło na ten oto plac po ziarnie fasoli, ziarna utworzyłyby taką figurę...

Wskazał ręką na dziedziniec, gdzie w dwu rzędach, jeden przy drugim, leżało osiem wielkich kwadratów ułożonych z czerwonej fasoli.

— Figura ta ma sześćdziesiąt kroków długości, trzydzieści szerokości i jak widzicie, pobożni ojcowie, składa się z jednakowych ziarn[199]; niby ówczesna ludność, kiedy wszyscy byli z dziada-pradziada Egipcjanami.

A dziś, spojrzyjcie!...

Poszedł dalej i wskazał na inną grupę kwadratów rozmaitej barwy.

— Widzicie figurę, która ma także trzydzieści kroków szerokości, ale tylko czterdzieści pięć długości. Dlaczego? Bo jest w niej tylko sześć kwadratów, bo dzisiejszy Egipt nie ma już ośmiu, lecz tylko sześć milionów mieszkańców...

Zważcie przy tym, że gdy poprzednia figura składała się wyłącznie z czerwonej fasoli egipskiej, w tej obecnej są ogromne pasy z ziarn czarnych, żółtych i białych. Bo jak w armii naszej, tak i w narodzie znajduje się dziś bardzo wielu cudzoziemców: czarni Etiopowie, żółci Syryjczycy i Fenicjanie, biali Grecy i Libijczycy...

Przerwano mu. Kapłani słuchający zaczęli go ściskać, Mefres płakał.

— Nie było jeszcze podobnego proroka!... — wołano.

— W głowie nie mieści się, kiedy on mógł porobić takie rachunki!... — mówił najlepszy matematyk świątyni Hator.

— Ojcowie! — rzekł Pentuer — nie przeceniajcie moich zasług. W naszych świątyniach dawnymi laty zawsze w ten sposób przedstawiano gospodarkę państwową... Ja tylko odgrzebałem to, o czym trochę zapomniały następne pokolenia...

— Ale rachunki?... — spytał matematyk.

— Rachunki nieustannie prowadzą się we wszystkich nomesach i świątyniach — odparł Pentuer. — Ogólne sumy znajdują się w pałacu jego świątobliwości...

— A figury?... figury!... — wołał matematyk.

— Przecież na takie figury dzielą się nasze pola, a jeometrowie[200] państwowi uczą się o nich w szkołach.

— Nie wiadomo, co więcej podziwiać w tym człowieku: jego mądrość czy pokorę!... — rzekł Mefres. — O, nie zapomnieli o nas bogowie, jeżeli mamy takiego...

W tej chwili strażnik czuwający na wieży świątyni wezwał obecnych na modlitwę.

— Wieczorem dokończę objaśnień — mówił Pentuer — teraz powiem jeszcze niedużo słów.

Spytacie, czcigodni, dlaczego do tych obrazów użyłem ziarn? Bo jak ziarno rzucone w ziemię co roku przynosi plon swemu gospodarzowi, tak człowiek składa co roku podatki skarbowi.

Gdyby w którym nomesie zasiano o dwa miliony mniej ziarn fasoli niż w latach dawnych, następny jej zbiór byłby znakomicie mniejszy i gospodarze mieliby złe dochody. Podobnież w państwie: gdy ubędą dwa miliony ludności, musi zmniejszyć się wpływ podatków.

Ramzes słuchał z uwagą i odszedł milczący.

ROZDZIAŁ III

Kiedy wieczorem kapłani i następca wrócili na dziedziniec, zapalono kilkaset pochodni tak jasnych, że było widno jak w dzień.

---

[199] *ziarn* — dziś popr.: ziaren.

[200] *jeometrowie* (daw.) — dziś popr.: geometrzy; tu: specjaliści od pomiarów gruntu (geodeci).

Na znak Mefresa znowu wystąpiła procesja muzykantów, tancerek i młodszych kapłanów z posągiem bogini Hator z krową głową. A gdy odpędzono złe duchy, Pentuer znowu zaczął kazanie.

— Widzieliście, dostojnicy, że od czasów dziewiętnastej dynastii ubyło nam sto tysięcy miar ziemi i dwa miliony ludności. To wyjaśnia, dlaczego dochód państwa zmniejszył się o trzydzieści dwa tysiące talentów, i o tym wiemy wszyscy. Jest to przecie dopiero początek klęsk Egiptu i skarbu. Na pozór bowiem zostało jego świątobliwości jeszcze dziewięćdziesiąt osiem tysięcy talentów dochodu. Czy jednak sądzicie, że faraon otrzymuje cały ten dochód?

Za przykład opowiem wam, co jego dostojność Herhor odkrył w powiecie Zajęczym[201].

Za dziewiętnastej dynastii mieszkało tam dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy płacili podatku trzysta pięćdziesiąt talentów rocznie. Dziś mieszka zaledwie piętnaście tysięcy, i ci, naturalnie, płacą na rzecz skarbu tylko dwieście siedemdziesiąt talentów. Tymczasem faraon, zamiast dwustu siedemdziesięciu, otrzymuje sto siedemdziesiąt talentów!...

— Dlaczego?... — spytał dostojny Herhor — a oto, co pokazało śledztwo.

Za dziewiętnastej dynastii było w powiecie około stu urzędników i ci brali po tysiąc drachm rocznej pensji. Dziś na tym samym terytorium, pomimo ubytku ludności, znajduje się przeszło dwustu urzędników, którzy biorą po dwa tysiące pięćset drachm na rok.

Jego dostojności Herhorowi nie wiadomo, czy tak jest w każdym powiecie. To przecież pewne, że skarb faraona, zamiast dziewięćdziesięciu ośmiu, ma tylko siedemdziesiąt cztery tysiące talentów rocznie...

— Powiedz, ojcze święty: pięćdziesiąt tysięcy... — wtrącił Ramzes.

— I to objaśnię — odparł kapłan. — W każdym razie zapamiętaj, książę, iż skarb faraona oddaje dziś dwadzieścia cztery tysiące talentów urzędnikom, gdy za dynastii dziewiętnastej wydawał tylko dziesięć tysięcy.

Wielkie milczenie panowało wśród dostojników: niejeden bowiem miał krewnego na urzędzie, w dodatku dobrze płatnym.

Ale Pentuer był nieustraszony.

— Teraz — mówił — pokażę ci, następco, byt urzędników i dolę ludu za dawnych lat i dzisiaj.

— Czy nie szkoda czasu?... To przecie każdy sam może zobaczyć... — zaszemrali kapłani.

— Ja chcę to wiedzieć — rzekł stanowczo następca.

Szmer ucichł. Pentuer po stopniach amfiteatru zeszedł na dziedziniec, a za nim książę, arcykapłan Mefres i reszta kapłanów.

Zatrzymali się przed długą zasłoną z mat, która tworzyła jakby parkan. Na znak Pentuera przybiegło kilkunastu młodych kapłanów z jarzącymi pochodniami. Drugi znak — i część zasłony spadła.

Z ust obecnych wyrwał się okrzyk zdziwienia. Mieli przed sobą jasno oświetlony żywy obraz, do którego wchodziło około stu figurantów.

Obraz dzielił się na trzy kondygnacje: dolną, gdzie stali rolnicy, wyższą — urzędnicy, i najwyższą, gdzie znajdował się złoty tron faraona oparty na dwu lwach, których głowy były poręczami.

— Tak było — mówił Pentuer — za dynastii dziewiętnastej. Spojrzyjcie na rolników. Przy ich pługach widzicie woły lub osły, ich motyki i łopaty są brązowe, a więc mocne. Patrzcie, jacy to tędzy ludzie! Dziś podobnych można spotkać tylko w gwardii jego świątobliwości. Potężne ręce i nogi, piersi wypukłe, twarze uśmiechnięte. Wszyscy są namaszczeni oliwą, wykąpani. Ich żony zajmują się przygotowywaniem pokarmu i odzieży lub myciem sprzętów dla rodziny; dzieci — bawią się lub chodzą do szkoły.

Ówczesny chłop, jak widzicie, jadał chleb pszenny, bób, mięso, ryby i owoce, a pijał piwo i wino. Spojrzyjcie, jak piękne były dzbany i misy! Przypatrzcie się czepkom, fartuszkom i pelerynom mężczyzn: wszystko ozdobione różnokolorowym haftem. Jeszcze

[201] *powiat Zajęczy* — 15. nom Górnego Egiptu o nazwie Un (zając), ze stolicą w Hermopolis (gr.); ok. 230 km na południe od Memfis, ok. 30 km na południe od Al-Minja.

piękniej haftowano koszule kobiet... A czy uważacie, jak one starannie czesały się, jakie nosiły szpilki, zausznice, pierścienie i bransolety? Ozdoby te są robione z brązu i kolorowej emalii; trafia się jednak między nimi i złoto, choćby w postaci drucika.

Podnieście teraz oczy wyżej, na urzędników. Chodzą oni w pelerynach, ale każdy chłop w dniu świątecznym przywdziewał taką samą. Żywią się zupełnie tak samo jak chłopi, to jest dostatnio, ale skromnie. Sprzęty mają trochę ozdobniejsze od chłopskich i częściej trafiają się w ich skrzyniach złote pierścienie. Podróże odbywają na osłach lub wozach ciągnionych przez woły.

Pentuer klasnął i w żywym obrazie zapanował ruch. Chłopi zaczęli podawać urzędnikom kosze winogron, wory jęczmienia, grochu i pszenicy, dzbany wina, piwa, mleka i miodu, mnóstwo zwierzyny i liczne sztuki białych lub kolorowych tkanin. Urzędnicy odebrali te produkta[202], część ich zostawiali sobie, ale przedmioty najpiękniejsze i najkosztowniejsze odsunęli wyżej, dla tronu. Platforma, gdzie znajdował się symbol władzy faraona, była zasypana produktami tworzącymi jakby pagórek.

— Widzicie, dostojni — rzekł Pentuer — że w owych czasach, kiedy chłopi byli syci i zamożni, skarb jego świątobliwości ledwo mógł pomieścić dary poddanych. A teraz zobaczcie: co jest dzisiaj...

Nowe hasło, spadła druga część zasłony i ukazał się drugi obraz, w ogólnych zarysach podobny do poprzedniego.

— Oto są teraźniejsi chłopi — mówił Pentuer, a w głosie jego czuć było wzburzenie. — Ciało ich składa się ze skóry i kości, wyglądają jak chorzy, są brudni i już zapomnieli namaszczać się oliwą. Za to grzbiety ich są poranione kijami.

Nie widać przy nich wołów ani osłów, bo i na co, jeżeli pług ich ciągnie żona i dzieci?... Ich motyki i łopaty są drewniane, co łatwo psuje się i powiększa pracę. Odzieży nie mają żadnej, tylko kobiety chodzą w grubych koszulach i nawet we śnie nie widują tych haftów, jakimi stroili się ich dziadowie i babki.

Spojrzyjcie, co jada chłop. Czasem jęczmień i suszone ryby, zawsze ziarna lotosu, rzadko pszenny placek, nigdy mięsa, piwa lub wina. Spytacie: gdzie podziały się jego naczynia i sprzęty? Nie ma żadnych prócz dzbanka na wodę, bo też i nic więcej nie zmieściłoby się w norze, którą zamieszkuje...

Przebaczcie mi to, na co teraz zwrócę waszą uwagę. Tam kilkoro dzieci leżą na ziemi: oznacza to, że pomarły... Dziwna rzecz, jak często teraz umierają chłopskie dzieci — z głodu i pracy! I te są jeszcze najszczęśliwsze: inne bowiem, które zostały przy życiu, idą pod kij dozorcy albo sprzedają się Fenicjanom niby jagnięta...

Wzruszenie zatamowało mu głos. Lecz chwilę odpoczął i ciągnął dalej, wśród gniewnego milczenia kapłanów:

— A teraz spojrzyjcie na urzędników: jacy oni czerstwi, uróżowani, jak pięknie ubrani!... Żony ich noszą złote bransolety i zausznice, i tak cienkie szaty, że książęta mogliby im pozazdrościć. Wśród chłopów nie widać wołu ani osła; za to urzędnicy podróżują na koniach albo w lektykach... Piją zaś tylko wino, i to — dobre wino!...

Klasnął w ręce i znowu zrobił się ruch. Chłopi zaczęli podawać urzędnikom: wory zboża, kosze owoców, wino, zwierzęta... Przedmioty te urzędnicy jak pierwej[203] ustawiali obok tronu, ale — w ilości znacznie mniejszej. Na kondygnacji królewskiej już nie było pagórka produktów. Za to kondygnacja urzędników była zasypana.

— Oto jest Egipt dzisiejszy — mówił Pentuer. — Nędzni chłopi, bogaci pisarze, skarb nie tak pełny jak dawniej. A teraz...

Dał znak i stała się rzecz nieoczekiwana. Jakieś ręce poczęły zabierać: zboże, owoce, tkaniny z platformy faraona i urzędników. A gdy ilość towarów bardzo zmniejszyła się, te same ręce zaczęły chwytać i uprowadzać chłopów, ich żony i dzieci...

Widzowie ze zdumieniem patrzyli na szczególne zabiegi tajemniczych osób. Nagle ktoś zawołał:

— To Fenicjanie!... Oni nas tak obdzierają!...

---

[202] *produkta* — dziś popr.: produkty.

[203] *pierwej* (daw.) — najpierw, na początku; wcześniej.

— Tak jest, święci ojcowie — rzekł Pentuer. — To są ręce ukrytych między nami Fenicjan. Obdzierają oni króla i pisarzy, a chłopów zabierają w niewolę, gdyż im już nic wydrzeć nie można...

— Tak!... To szakale!... Przekleństwo im!... Wygnać nędzników!... — wołali kapłani. — Oni to najwięcej szkód wyrządzają państwu...

Nie wszyscy jednak wołali w ten sposób.

Gdy ucichło, Pentuer kazał zanieść pochodnie w inną stronę dziedzińca i tam zaprowadził swoich słuchaczy. Nie było tu żywych obrazów, ale jakby wystawa przemysłowa.

— Raczcie spojrzeć, dostojni — mówił. — Za dziewiętnastej dynastii te rzeczy przysyłali nam cudzoziemcy: z kraju Punt mieliśmy wonności, z Syrii złoto, żelazną broń i wozy wojenne. Oto wszystko.

Lecz wówczas Egipt wyrabiał... Spojrzyjcie na te olbrzymie dzbany: ile tu kształtów, a jakie rozmaite kolory!...

Albo sprzęty: to krzesełko wyłożone jest dziesięcioma tysiącami kawałków złota, perłowej masy i kolorowych drzew... Zobaczcie ówczesne szaty: jaki haft, jaka delikatność tkanin, ile kolorów... A miecze brązowe, a szpilki, bransolety, zausznice, a narzędzia rolnicze i rzemieślnicze... Wszystko to robione u nas, za dziewiętnastej dynastii.

Przeszedł do następnej grupy przedmiotów.

— A dziś — patrzcie. Dzbany są małe i prawie bez ozdób, sprzęty proste, tkaniny grube i jednostajne. Ani jeden z tegoczesnych wyrobów nie może równać się pod względem rozmiarów, trwałości czy piękności z dawnymi. Dlaczego?...

Posunął się znowu kilka kroków i otoczony pochodniami mówił:

— Oto jest wielka liczba towarów, które nam przywożą Fenicjanie z rozmaitych okolic świata. Kilkadziesiąt pachnideł, kolorowe szkła, sprzęty, naczynia, tkaniny, wozy, ozdoby, wszystko to przychodzi do nas z Azji i jest przez nas kupowane.

Czy rozumiecie teraz, dostojnicy: za co Fenicjanie wydzierali zboże, owoce i bydło pisarzom i faraonowi?... Za te właśnie obce wyroby, które zniszczyły naszych rzemieślników jak szarańcza trawę.

Kapłan odpoczął i ciągnął dalej:

— Pomiędzy towarami dostarczanymi przez Fenicjan jego świątobliwości, nomarchom i pisarzom pierwsze miejsce zajmuje złoto. Ten rodzaj handlu jest najdokładniejszym obrazem klęsk, jakie ci Azjaci wyrządzają Egiptowi.

Gdy kto bierze od nich złota za talent, obowiązany jest po trzech latach zwrócić dwa talenty. Najczęściej jednak Fenicjanie, pod pozorem umniejszenia kłopotów dłużnikowi, sami wyręczają go w wypłacie w ten sposób, że dłużnik, za każdy talent pożyczony, oddaje im w dzierżawę, na trzy lata, trzydziestu dwu ludzi i dwie miary ziemi...

Spojrzyjcie tam, dostojni — mówił, wskazując na lepiej oświetloną część dziedzińca. — Ten kwadrat ziemi, mający sto osiemdziesiąt kroków długości i tyleż szerokości, znaczy dwie miary; ta zaś gromada mężczyzn, kobiet i dzieci tworzy osiem rodzin. Wszystko to zaś razem: ludzie i grunt, idą na trzy lata w okropną niewolę. Przez ten czas ich właściciel — faraon czy nomarcha, nie ma z nich żadnego pożytku; po upływie zaś terminu odbiera ziemię wyjałowioną, a ludzi... najwyżej dwudziestu... Reszta bowiem zmarła w męczarniach!...

Obecni szemrali ze zgrozy.

— Powiedziałem, że dwie miary gruntu i trzydziestu dwu ludzi bierze Fenicjanin na trzy lat[204] dzierżawy, za pożyczenie jednego talentu złotem. Przypatrzcie się, jaki to kawał ziemi i jaka gromada ludzi, a teraz — spojrzyjcie na moją rękę...

Ten kawałek złota, który trzymam, ta bryłka mniejsza od kurzego jaja to talent!...

Czy wy oceniacie, dostojni, całą nikczemność Fenicjan w podobnym handlu? Ten mały kawałek złota naprawdę nie posiada żadnych cennych zalet: jest żółty, ciężki, nie śniedzieje i — na tym koniec. Ale człowiek nie odzieje się złotem i nie zaspokoi nim głodu ani pragnienia... Gdybym posiadał bryłę złota wielkości piramidy, będę obok niej takim nędzarzem jak Libijczyk błąkający się po zachodniej pustyni, gdzie nie ma daktyla ani wody.

Bogactwo

[204] *na trzy lat* — dziś: na trzy lata.

I patrzcie, za bryłkę tego jałowego materiału Fenicjanin bierze kawał ziemi, który może wykarmić i odziać trzydziestu dwu ludzi, a nadto — bierze i tych ludzi!... Przez lat trzy uzyskuje władzę nad istotami, które umieją uprawiać i obsiewać grunta, zbierać ziarno, robić mąkę i piwo, tkać odzież, budować domy i sprzęty...

Jednocześnie faraon czy nomarcha jest pozbawiony na trzy lata usług tych ludzi. Nie płacą mu oni podatku, nie noszą ciężarów za wojskiem, lecz pracują na dochody łakomego Fenicjanina.

Wiecie, dostojnicy, że obecnie nie ma roku, ażeby w tym czy owym nomesie nie wybuchnął bunt chłopów, wyniszczonych głodem, przeciążonych pracą, bitych kijami. I otóż część tych ludzi ginie, inni dostają się do kopalń, a kraj wyludnia się coraz bardziej, dlatego tylko że Fenicjanin dał komuś bryłkę złota!... Czy można wyobrazić sobie większe nieszczęście?... I czy w podobnych warunkach Egipt nie będzie co roku tracił ziemi i ludzi? Szczęśliwe wojny podkopały nasz kraj, ale dobija go fenicki handel złotem.

Na twarzach kapłanów malowało się zadowolenie: chętniej słuchali o przewrotności Fenicjan aniżeli o zbytkach pisarzy.

Pentuer chwilę odpoczął, potem zwrócił się do księcia.

— Od kilku miesięcy — mówił — z niepokojem zapytujesz, sługo boży, Ramzesie: dlaczego zmniejszyły się dochody jego świątobliwości? Mądrość bogów pokazała ci, że zmniejszył się nie tylko skarb, ale i wojsko, i że oba te źródła królewskiej potęgi zmniejszać się będą ciągle. I albo skończy się to na zupełnej ruinie państwa, albo — niebiosa ześlą Egiptowi władcę, który zatrzyma powódź klęsk od kilkuset lat zalewających ojczyznę.

Skarb faraonów był wówczas pełny, gdy mieliśmy dużo ziemi i ludności. Trzeba zatem wydrzeć pustyni te grunta urodzajne, jakie nam pożarła, a z ludu zdjąć te ciężary, które go osłabiają i zmniejszają liczbę mieszkańców.

Kapłani znowu zaczęli się niepokoić z obawy, aby Pentuer po raz drugi nie wspomniał o klasie pisarzy.

— Widziałeś, książę, na własne oczy i przy świadkach, że w tej epoce, gdy lud był syty, dorodny i zadowolony, skarb królewski był pełen. Gdy zaś lud zaczął wyglądać nędznie, gdy jego żony i dzieci musiały zaprzęgnąć się do pługa, gdy ziarna lotosu zastąpiły pszenicę i mięso, skarb — zubożał. Jeżeli więc chcesz doprowadzić państwo do tej potęgi, jaką posiadało przed wojnami dziewiętnastej dynastii, jeżeli pragniesz, aby faraon, jego pisarze i wojsko opływali w dostatki, zapewnij krajowi długoletnią spokojność, a ludowi dobrobyt. Niech znowu dorośli jedzą mięso i ubierają się w haftowane szaty, i niech dzieci, zamiast jęczeć pod plagami i umierać z pracy, bawią się lub chodzą do szkoły.

Pamiętaj wreszcie, że Egipt na piersiach swoich nosi jadowitego węża...

Obecni słuchali z ciekawością i obawą.

— Tym wężem, który wysysa krew ludu, majątki nomarchów, potęgę faraona, są Fenicjanie!...

— Precz z nimi!... — zawołali obecni. — Przekreślić wszystkie długi... Nie dopuszczać ich kupców i okrętów...

Uciszył ich arcykapłan Mefres, który ze łzami w oczach zwrócił się do Pentuera.

— Nie mam wątpliwości — mówił — że przez usta twoje odzywała się do nas święta Hator. Nie tylko dlatego, że człowiek nie potrafiłby być tak mądrym i wszystkowiedzącym jak ty, ale jeszcze, że spostrzegłem nad głową twoją płomyki w formie rogów.

Dziękuję ci za wielkie słowa, którymi rozproszyłeś naszą niewiadomość... Błogosławię cię i proszę bogów, aby — gdy mnie powołają na swój sąd, ciebie mianowali moim następcą...

Przeciągły okrzyk reszty słuchaczów[205] poparł błogosławieństwo najwyższego dostojnika. Kapłani tym więcej byli zadowoleni, że nieustannie wisiała nad nimi trwoga, aby Pentuer po raz drugi nie zaczepił o kwestię pisarzy. Ale mędrzec umiał być powściągliwym: wskazał wewnętrzną ranę państwa, lecz nie zaognił jej i dlatego odniósł zupełny triumf.

Książę Ramzes nie dziękował Pentuerowi, tylko przytulił jego głowę do swej piersi. Nikt jednak nie wątpił, że kazanie wielkiego proroka wstrząsnęło duszę następcy i jest ziarnem, z którego może wyrosnąć chwała i pomyślność Egiptu.

[205] *słuchaczów* — dziś raczej: słuchaczy.

Nazajutrz Pentuer, nie żegnając się, o wschodzie słońca opuścił świątynię i odjechał do Memfis.

Ramzes przez kilka dni z nikim nie rozmawiał: siedział w celi albo przechadzał się po cienistych korytarzach i rozmyślał. W jego duszy odbywała się praca.

W gruncie rzeczy Pentuer nie powiedział nic nowego: wszyscy narzekali na ubytek ziemi i ludności w Egipcie, na nędzę chłopów, nadużycia pisarzów[206] i wyzysk Fenicjan. Ale kazanie proroka uporządkowało w nim dotychczasowe bezładne wiadomości, nadało dotykalne formy i lepiej oświetliło pewne fakta[207].

Fenicjanie przerazili go: książę nie oceniał dotychczas ogromu nieszczęść wyrządzonych przez ten naród jego państwu. Zgroza była tym silniejszą, że przecie on sam własnych poddanych wypuścił w dzierżawę Dagonowi i — był świadkiem, w jaki sposób bankier wybierał od nich należności!...

Lecz to splątanie księcia z wyzyskiem Fenicjan wywołało dziwny skutek: Ramzes — nie chciał myśleć o Fenicjanach, a ile razy zapalił się w nim gniew na tych ludzi, tyle razy gasiło go uczucie wstydu. W pewnej części był on ich wspólnikiem.

Natomiast książę doskonale zrozumiał ważność ubytku ziemi i ludności i na te punkta[208] położył główny nacisk w swych samotnych medytacjach.

„Gdybyśmy posiadali — mówił w sobie — te dwa miliony ludzi, których Egipt utracił, można by za ich pomocą odzyskać od pustyni urodzajne grunta, nawet powiększyć obszary... A wówczas, pomimo Fenicjan, nasi chłopi mieliby się lepiej, a dochody państwa wzrosłyby..."

Ale skąd wziąć ludzi?

Wypadek nasunął mu odpowiedź. Pewnego wieczora książę przechadzając się po ogrodach świątyni spotkał gromadę niewolników, których jenerał[209] Nitager pochwycił na granicy wschodniej i przysłał bogini Hator. Ludzie ci byli doskonale zbudowani, pracowali więcej niż Egipcjanie, a ponieważ ich karmiono dobrze, więc byli nawet zadowoleni ze swego losu.

Na ich widok błyskawica oświeciła umysł następcy: prawie utracił przytomność ze wzruszenia. Egipt potrzebuje ludzi, dużo ludzi, setki tysięcy, a nawet milion i dwa miliony ludzi... I otóż ludzie są!... Trzeba tylko wkroczyć do Azji, zabierać wszystko, co się spotka na drodze i — odsyłać do Egiptu... Dopóty zaś nie kończyć wojny, dopóki nie zbierze się tylu, ażeby każdy chłop egipski miał swego niewolnika...

Tak urodził się plan prosty i kolosalny, dzięki któremu państwo miało pozyskać ludność, chłopi pomocników w pracy, a skarb faraona niewyczerpane źródło dochodu.

Książę był zachwycony, choć następnego dnia zbudziła się w nim nowa wątpliwość.

Pentuer z wielkim naciskiem głosił, a jeszcze dawniej Herhor twierdził to samo, że źródłem nieszczęść Egiptu były — zwycięskie wojny.

Z czego wypadłoby, że za pomocą nowej wojny nie można podźwignąć Egiptu.

„Pentuer jest wielki mędrzec i Herhor wielki mędrzec — myślał książę. — Jeżeli oni uważają wojnę za szkodliwą, jeżeli tak samo sądzi arcykapłan Mefres i inni kapłani, to może naprawdę wojna jest rzeczą niebezpieczną?...

I musi nią być, skoro tak utrzymuje tylu ludzi mądrych i świętych?"

Książę był głęboko strapiony. Wymyślił prosty sposób podźwignięcia Egiptu, a tymczasem kapłani utrzymywali, że właśnie to mogłoby do reszty zrujnować Egipt.

Kapłani, ludzie najmędrsi i najświętsi!

Lecz trafił się wypadek, który nieco ochłodził wiarę księcia w prawdomówność kapłanów, a raczej — rozbudził w nim dawniejszą do nich nieufność.

Raz szedł z jednym lekarzem do biblioteki. Droga wypadała przez ciasny i ciemny korytarz, z którego następca cofnął się ze wstrętem.

— Nie pójdę tędy!... — rzekł.

— Dlaczego?... — spytał zdziwiony lekarz.

— Czyliż nie pamiętacie, ojcze święty, że na końcu tego korytarza jest loch, w którym okrutnie zamęczyliście jakiegoś zdrajcę?...

---

[206] *pisarzów* — dziś raczej: pisarzy.
[207] *fakta* — dziś popr.: fakty.
[208] *punkta* — dziś popr.: punkty.
[209] *jenerał* — dziś popr.: generał.

— Aha!... — odparł lekarz. — Jest tu loch, do którego przed kazaniem Pentuera wlewaliśmy roztopioną smołę...

— I zabiliście człowieka...

Lekarz uśmiechnął się. Był to człowiek dobry i wesoły. Toteż widząc oburzenie księcia, rzekł po pewnym namyśle:

— Tak, nie wolno nikomu zdradzać świętych tajemnic... Rozumie się... Przed każdą większą uroczystością przypominamy to młodym kandydatom na kapłanów...

Ton jego był tak szczególny, że Ramzes zażądał objaśnień.

— Nie mogę zdradzać tajemnic — odparł lekarz — ale... Ale jeżeli wasza dostojność przyrzekniesz zachować to przy sobie, opowiem ci historię...

Ramzes przyrzekł, lekarz opowiedział:

— Pewien kapłan egipski, zwiedzając świątynie pogańskiego kraju Aram[210], przy jednej z nich spotkał człowieka, który wydał mu się bardzo tłustym i zadowolonym, choć nosił nędzne szaty.

„Wytłumacz mi — spytał kapłan wesołego biedaka — czym się to dzieje, że choć jesteś ubogi, jednak ciało twoje wygląda, jakbyś był przełożonym świątyni?"

Zaś ów człowiek obejrzawszy się, czy go kto nie podsłuchuje, odparł:

„Bo ja mam wielce żałosny głos, więc jestem przy tej świątyni męczennikiem. Gdy lud zejdzie się na nabożeństwo, ja włażę do lochu i jęczę, o ile mi sił starczy; za co dają mi wcale obfite jedzenie przez cały rok, a dzban piwa za każdy dzień męczeństwa."

Tak bywa w pogańskim kraju Aram — zakończył lekarz, kładąc palec na usta. — Pamiętaj, książę, coś mi obiecał i myśl o naszej smole roztopionej, co ci się podoba...

Opowiadanie to znowu poruszyło księcia. Czuł pewną ulgę, że w świątyni nie zamordowano człowieka, lecz i ocknęły się w nim wszystkie dawne podejrzenia do kapłanów.

Że oni łudzą prostaków, o tym wiedział. Pamiętał przecie, będąc w kapłańskiej szkole, procesję świętego wołu Apisa. Lud był pewny, że Apis prowadzi kapłanów; tymczasem każdy uczeń wiedział, że boskie zwierzę idzie tam, gdzie chcą kapłani.

Któż wie zatem, czy kazanie Pentuera nie było ową procesją Apisa, przeznaczoną dla niego? Tak przecie łatwo nasypać na ziemię fasoli czerwonej i różnokolorowej i również nietrudno ustawić żywe obrazy. O ileż wspanialsze widywał on przedstawienia, choćby walkę Seta z Ozyrysem, do której wchodziło kilkaset osób... A czyliż i w tym wypadku nie oszukiwali kapłani? Miała to być walka bogów, tymczasem prowadzili ją poprzebierani ludzie. Ginął w niej Ozyrys, a tymczasem kapłan udający Ozyrysa był zdrów jak nosorożec. Jakich tam nie pokazywano cudów!... Woda wznosiła się, biły pioruny, ziemia drżała i wyrzucała ogień. I to wszystko było oszukaństwem. Dlaczegóż by więc przedstawienie Pentuera miało być prawdą?

Zresztą książę miał silne poszlaki, że chciano go oszukać. Już był oszustwem człowiek jęczący w podziemiach, niby to oblewany smołą przez kapłanów. Ale mniejsza o niego. Ważnym było to, o czym książę przekonał się niejednokrotnie, że Herhor nie chciał wojny. Mefres także nie chciał wojny, a Pentuer był jednego pomocnikiem, drugiego ulubieńcem.

Taka walka toczyła się w księciu: to zdawało mu się, że wszystko rozumie, to znowu ogarniała go ciemność; raz był pełen nadziei, drugi raz wątpił o wszystkim. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień dusza jego przybierała i opadała jak wody Nilu przez ciąg całego roku.

Powoli jednak Ramzes odzyskał równowagę, a gdy nadszedł czas opuszczenia świątyni, miał już sformułowane pewne poglądy.

Przede wszystkim jasno pojmował, czego potrzeba Egiptowi: więcej gruntów i więcej ludzi.

Po wtóre wierzył, że najprostszym sposobem zdobycia ludzi jest — wojna z Azją. Pentuer jednak dowodził mu, że wojna może tylko powiększyć klęski państwa. Rodzi się tedy nowa kwestia: czy Pentuer mówił prawdę, czy kłamał?

Jeżeli mówił prawdę, pogrążał księcia w rozpaczy: Ramzes bowiem nie widział innego sposobu podźwignięcia państwa, tylko wojnę. Bez wojny Egipt z roku na rok będzie tracił

[210]*kraj Aram* — wzmiankowany w Biblii kraj Aram w środkowej Syrii lub Paddan-Aram nad górnym Eufratem w północnej Mezopotamii.

ludność, a skarb faraona będzie powiększał swoje długi. Aż cały ten proces skończy się jakąś okropną katastrofą, może nawet za przyszłego panowania.

A jeżeli Pentuer kłamał? Dlaczego by to robił? Oczywiście namówiony przez Herhora, Mefresa i całe ciało kapłańskie. Z jakiej jednak racji kapłani nie chcieli wojny, co mieli w tym za interes? Przecie każda wojna im i faraonowi największe przynosiła zyski.

Czy zresztą kapłani mogli go oszukiwać w sprawie tyle doniosłej? Prawda, że robili tak bardzo często, lecz w wypadkach drobnych, nie zaś kiedy chodziło o przyszłość i byt państwa. Nie można też twierdzić, że oszukiwali zawsze. Są oni przecie sługami bogów i stróżami wielkich tajemnic. W ich świątyniach mieszkają duchy, o czym Ramzes sam się przekonał pierwszej nocy po osiedleniu się w tym miejscu.

A jeżeli bóstwa nie pozwalają profanom zbliżać się do swoich ołtarzy, jeżeli tak pilnie czuwają nad świątyniami, dlaczego nie mieliby czuwać nad Egiptem, który jest największą ich świątynią?

Gdy w kilka dni później Ramzes po uroczystym nabożeństwie, wśród błogosławieństwa kapłanów, opuszczał świątynię Hator, nurtowały w nim dwa pytania:

Czy wojna z Azją naprawdę mogłaby zaszkodzić Egiptowi?

Czy kapłani w tej sprawie mogliby oszukiwać jego, następcę faraona?

ROZDZIAŁ IV

Konno, w towarzystwie paru oficerów, jechał książę do Pi-Bast, sławnej stolicy nomesu Habu[211].

Minął miesiąc Paoni, zaczynał się Epifi (kwiecień, maj). Słońce stało wysoko, zapowiadając najgorszą dla Egiptu porę upałów. Już w tym czasie kilka razy zrywał się straszny wiatr pustyni; ludzie i zwierzęta padali z gorąca, a na polach i drzewach zaczął osiadać szary pył, pod którym umierają rośliny.

Zebrano róże i przerabiano je na olejek; sprzątnięto zboża i drugi ukos[212] koniczyny. Żurawie z kubłami pracowały ze zdwojoną gorliwością, rozlewając brudną wodę po ziemi, aby ją przygotować do nowego siewu. Zaczynano też zrywać figi i winogrona.

Woda Nilu opadła, kanały były płytkie i cuchnące. Nad całym krajem unosił się delikatny pył, wśród potoków palącego słońca.

Mimo to książę jechał zadowolony. Znudziło go pokutnicze życie w świątyni; zatęsknił do uczt, kobiet i zgiełku.

Przy tym okolica, choć płaska i jednostajnie poprzerzynana siecią kanałów, była interesująca. W nomesie Habu mieszkała inna ludność; nie rodowici Egipcjanie, ale potomkowie walecznych Hyksosów, którzy ongi zdobyli Egipt i rządzili nim przez kilka wieków.

Prawowici Egipcjanie gardzili tą resztką wypędzonych zdobywców; ale Ramzes patrzył na nich z przyjemnością. Byli to ludzie rośli, silni, z dumną postawą i męską energią w fizjognomii[213]. Wobec księcia i oficerów nie padali na twarz jak Egipcjanie; przypatrywali się dostojnikom bez niechęci, ale i bez trwogi. Nie mieli także pleców okrytych bliznami po kijach; pisarze bowiem szanowali ich, wiedząc, że bity Hyksos oddaje plagi, a niekiedy morduje swego ciemiężcę. Wreszcie posiadali Hyksosowie łaskę faraona, ich bowiem ludność dostarczała najlepszych żołnierzy.

Im bardziej orszak następcy zbliżał się do Pi-Bast, którego świątynie i pałace jak przez muślin widać było przez mgłę pyłu, tym okolica stawała się ruchliwszą. Szerokim gościńcem i pobliskimi kanałami transportowano: bydło, pszenicę, owoce, wino, kwiaty, chleby i mnóstwo innych przedmiotów codziennego użytku. Potok ludzi i towarów dążących w stronę miasta, hałaśliwy i gęsty jak pod Memfisem w dni świąteczne, w tym miejscu był zjawiskiem zwykłym. Dokoła Pi-Bastu przez cały rok panował zgiełk jarmarczny, który uspakajał się tylko w nocy.

---

[211] *Pi-Bast, sławnej stolicy nomesu Habu* — Per-bast było stolicą Am-Chent, 18. nomu Dolnego Egiptu. A-bet (Habu), 8. nom Dolnego Egiptu, to nom sąsiedni.

[212] *ukos* — tu: pokos.

[213] *fizjognomia* (daw.) — fizjonomia, twarz.

Przyczyna tego była prosta: miasto cieszyło się posiadaniem starej i sławnej świątyni Astarty[214], czczonej przez całą Azję zachodnią i ściągającej tłumy pielgrzymów. Bez przesady można powiedzieć, że pod Pi-Bast codziennie obozowało ze trzydzieści tysięcy cudzoziemców: Saschu[215], czyli Arabów, Fenicjan, Żydów, Filistynów[216], Chetów[217], Asyryjczyków i innych. Rząd egipski życzliwie zachowywał się wobec pielgrzymów[218], którzy przynosili mu znaczne dochody; kapłani tolerowali ich, a ludność kilku sąsiednich nomesów prowadziła z nimi żwawy handel.

Już na godzinę drogi przed miastem widać było lepianki i namioty przybyszów rozbite na nagiej ziemi. W miarę zbliżania się do Pi-Bast liczba ich wzrastała i coraz gęściej roili się ich czasowi mieszkańcy. Jedni pod otwartym niebem przygotowywali pokarm, inni kupowali wciąż napływające towary, inni szli procesją do świątyni. Tu i ówdzie skupiały się wielkie gromady przed miejscami zabaw, gdzie popisywali się pogromcy zwierząt, zaklinacze węży, atleci, tancerki i kuglarze.

Ponad tym zgromadzeniem ludzi unosił się upał i wrzawa.

Przy miejskiej bramie powitali Ramzesa jego dworzanie tudzież nomarcha Habu z urzędnikami. Powitanie jednak było, mimo życzliwości, tak chłodne, że zdziwiony namiestnik szepnął do Tutmozisa:

— Cóż to znaczy, że patrzycie na mnie, jakbym przyjechał kary wymierzać?

— Bo wasza dostojność — odparł faworyt — masz oblicze człowieka, który przestawał z bogami.

Mówił prawdę. Czy to skutkiem ascetycznego życia, czy towarzystwa uczonych kapłanów, czy może długich rozmyślań, książę zmienił się. Wychudł, cera mu pociemniała, a z postawy i fizjognomii biła wielka powaga. W ciągu kilku tygodni postarzał się o kilka lat.

Na jednej z głównych ulic miasta tłoczyła się tak gęsta ciżba ludu, że policjanci musieli utorować drogę następcy i jego świcie. Ale ten lud nie witał księcia, tylko skupiał się dokoła niewielkiego pałacyku, jakby oczekując na kogoś.

— Co to jest? — spytał Ramzes nomarchy. Niemile bowiem dotknęła go obojętność tłumu.

— Tu mieszka Hiram — odparł nomarcha — książę tyryjski, człek wielkiego miłosierdzia. Co dzień rozdaje hojną jałmużnę, więc zbiega się ubóstwo.

Książę odwrócił się na koniu, popatrzył i rzekł:

— Widzę tu robotników królewskich. Więc i oni przychodzą po jałmużnę do fenickiego bogacza?

Nomarcha milczał. Na szczęście zbliżali się do pałacu rządowego i Ramzes zapomniał o Hiramie.

Przez kilka dni ciągnęły się uczty na cześć namiestnika; ale książę nie był nimi zachwycony. Brakło na nich wesołości i zdarzały się nieprzyjemne zajścia.

Raz jedna z książęcych kochanek, tańcząc przed nim, rozpłakała się. Ramzes pochwycił ją w objęcia i zapytał: co jej jest?

Z początku wzdragała się z odpowiedzią, lecz ośmielona łaskawością pana odparła, zalewając się jeszcze obficiej łzami:

— Jesteśmy, władco, twoje kobiety, pochodzimy z wielkich rodów i należy nam się uszanowanie...

— Prawdę mówisz — wtrącił książę.

— Ale tymczasem twój skarbnik ogranicza nasze wydatki. Owszem, chciałby nawet pozbawić nas dziewcząt służebnych, bez których przecie nie możemy umyć się ani uczesać.

Ramzes wezwał skarbnika i surowo zapowiedział mu, ażeby jego kobiety miały wszystko, co należy się ich urodzeniu i wielkim stanowiskom.

---

[214] *Astarte* a. *Asztarte* (dziś nieodm.) — zachodniosemicka bogini miłości, płodności i wojny, królowa niebios.

[215] *Saschu*, właśc. *Szasu* — egipska nazwa semickich koczowników, pasterzy bydła prowadzonych przez wodzów plemiennych, wędrujących na terenach półwyspu Synaj, południowego Izraela i Transjordanii.

[216] *Filistyni* — jedno z plemion tzw. Ludów Morza, które odparte w XII w. p.n.e od granic Egiptu zasiedliło wybrzeże Palestyny na zachód od Judei.

[217] *Chetów* — dziś popr.: Hetytów.

[218] *Rząd egipski życzliwie zachowywał się wobec pielgrzymów* — w czasach Nowego Państwa, po podboju przez Egipt Palestyny i Syrii, kult bogów z tego rejonu, w tym Astarte, czczonej jako wojowniczka, oraz Baala, kojarzonego z Setem, rozwinął się również wśród Egipcjan. Oddawali im cześć nawet faraonowie.

Skarbnik upadł na twarz przed księciem i obiecał spełniać rozkazy kobiet. Zaś w parę dni później wybuchnął bunt między dworskimi niewolnikami, którzy skarżyli się, że ich pozbawiają wina.

Następca kazał im wydawać wino. Lecz nazajutrz, w czasie przeglądu wojsk, przyszły do niego deputacje pułków z najpokorniejszą skargą, że zmniejszono im porcje mięsa i chleba.

Książę i tym razem polecił spełnić żądania proszących.

W parę dni później obudził go z rana wielki hałas pod pałacem. Ramzes spytał o przyczynę, a oficer dyżurny, objaśnił, że zebrali się robotnicy królewscy i wołają o zaległy żołd.

Wezwano skarbnika, na którego książę wpadł z wielkim gniewem.

— Co się tu dzieje?... — wołał. — Od chwili mego przyjazdu nie ma dnia, aby nie skarżono się na krzywdy. Jeżeli jeszcze raz powtórzy się coś podobnego, ustanowię śledztwo i położę kres waszym złodziejstwom!...

Drżący skarbnik znowu upadł na twarz i jęknął:

— Zabij mnie, panie!... Ale cóż poradzę, gdy twój skarbiec, stodoły i spiżarnie są puste...

Pomimo gniewu książę zmiarkował, że skarbnik może być niewinnym. Kazał mu więc odejść, a wezwał Tutmozisa.

— Słuchaj no — rzekł Ramzes do ulubieńca — dzieją się tu rzeczy, których nie rozumiem i do których nie przywykłem. Moje kobiety, niewolnicy, wojsko i robotnicy królewscy nie otrzymują należności lub są ograniczani w wydatkach. Gdym zaś spytał skarbnika: co to znaczy? — odpowiedział, że nic już nie mamy w skarbcu ani stodołach.

— Powiedział prawdę.

— Jak to?... — wybuchnął książę. — Na moją podróż jego świątobliwość przeznaczył dwieście talentów w towarach i złocie. Miałożby to być zmarnowane?...

— Tak jest — odparł Tutmozis.

— Jakim sposobem?... na co?... — wołał namiestnik. — Przecież na całej drodze podejmowali nas nomarchowie?...

— Ale myśmy im za to płacili.

— Więc to są filuci i złodzieje, jeżeli niby przyjmują nas jak gości, a potem obdzierają!...

— Nie gniewaj się — rzekł Tutmozis — a wszystko ci wytłumaczę.

— Siadaj.

Tutmozis usiadł i mówił:

— Czy wiesz, że od miesiąca jadam z twej kuchni, pijam wino z twoich dzbanów i ubieram się z twojej szatni...

— Masz prawo czynić tak.

— Alem nigdy tego nie robił: żyłem, ubierałem się i bawiłem na własny koszt, aby nie obciążać twego skarbu. Prawda, że nieraz płaciłeś moje długi. Była to jednak tylko część moich wydatków.

— Mniejsza o długi.

— W podobnym położeniu — ciągnął Tutmozis — znajduje się kilkunastu szlachetnej młodzieży twego dworu. Utrzymywali się sami, aby podtrzymać blask władcy; lecz dziś, podobnie jak ja, żyją na twój koszt, bo już nie mają czego wydawać.

— Kiedyś wynagrodzę ich.

— Otóż — mówił Tutmozis — bierzemy z twego skarbu, bo nas gniecie niedostatek, i — to samo robią nomarchowie. Gdyby mieli, wyprawialiby dla ciebie uczty i przyjęcia na swój koszt; ale że nie mają, więc przyjmują wynagrodzenie. Czy i teraz nazwiesz ich filutami?...

Książę chodził zamyślony.

— Za prędko potępiłem ich — odparł. — Gniew jak dym zasłonił mi oczy. Wstydzę się tego, com powiedział, niemniej jednak chcę, ażeby ani ludzie dworscy, ani żołnierze i robotnicy nie doznawali krzywdy...

A ponieważ moje zasoby są wyczerpane, trzeba więc pożyczyć... Chyba sto talentów wystarczy, jak myślisz?

— Ja myślę, że nam nikt nie pożyczy stu talentów — szepnął Tutmozis.

Namiestnik wyniośle spojrzał na niego.

— Także się to odpowiada synowi faraona? — spytał.

— Wypędź mnie od siebie — rzekł smutnym głosem Tutmozis — ale mówiłem prawdę. Dziś nikt nam nie pożyczy, bo i już nie ma kto...

— Od czegóż jest Dagon?... — zdziwił się książę. — Nie ma go przy moim dworze, czy umarł?

— Dagon mieszka w Pi-Bast, ale całe dnie wraz z innymi kupcami fenickimi przepędza w świątyni Astarty na pokucie i modłach...

— Skądże taka pobożność? Czy dlatego, że ja byłem w świątyni, to i mój bankier uważa za potrzebne naradzać się z bogami?

Tutmozis kręcił się na taburecie.

— Fenicjanie — rzekł — są zatrwożeni, nawet zgnębieni wieściami...

— O czym?

— Ktoś rozpuścił plotkę, że gdy wasza dostojność wstąpisz na tron, Fenicjanie zostaną wygnani, a ich majątki zabrane na rzecz skarbu...

— No, to mają jeszcze dosyć czasu — uśmiechnął się książę.

Tutmozis wciąż wahał się.

— Słychać — mówił zniżonym głosem — że zdrowie jego świątobliwości (oby żył wiecznie!...) mocno zachwiało się w tych czasach...

— To fałsz! — przerwał zaniepokojony książę. — Przecież wiedziałbym o tym...

— A jednak kapłani odprawiają w tajemnicy nabożeństwa za powrócenie zdrowia faraonowi — szeptał Tutmozis. — Wiem o tym z pewnością...

Książę stanął zdumiony.

— Jak to — rzekł — więc ojciec mój jest ciężko chory, kapłani modlą się za niego, a mnie nic o tym nie mówią?...

— Słychać, że choroba jego świątobliwości może przeciągnąć się z rok...

Ramzes machnął ręką.

— Ech!... słuchasz bajek i mnie niepokoisz. Powiedz mi lepiej o Fenicjanach, bo to ciekawsze.

— Słyszałem — ciągnął Tutmozis — tylko to, co i wszyscy, że wasza dostojność, przekonawszy się w świątyni o szkodliwości Fenicjan, zobowiązałeś się wypędzić ich.

— W świątyni?... — powtórzył następca. — A któż może wiedzieć, o czym ja przekonałem się i co postanowiłem w świątyni?...

Tutmozis wzruszył ramionami i milczał.

— Czyliżby zdrada i tam?... — szepnął książę. — W każdym razie zawołasz do mnie Dagona — rzekł głośno. — Muszę poznać źródło tych kłamstw i, przez bogi, położyć im koniec!...

— Dobrze uczynisz, panie — odparł Tutmozis — gdyż cały Egipt jest zaniepokojony. Już dziś nie ma u kogo pożyczać pieniędzy, a gdyby te pogłoski trwały dłużej, ustałby handel. Dziś już nasza arystokracja wpadła w biedę, z której nie widać wyjścia, a i twój dwór, panie, odczuwa niedostatek. Za miesiąc może to samo zdarzyć się w pałacu jego świątobliwości...

— Milcz — przerwał książę — i natychmiast zawołaj mi Dagona.

Tutmozis wybiegł, ale bankier zjawił się u namiestnika dopiero wieczorem. Miał na sobie białą płachtę w czarne pasy.

— Poszaleliście?... — zawołał następca na ten widok. — Zaraz ja cię tu rozchmurzę... Potrzebuję natychmiast stu talentów. Idź i nie pokazuj mi się, dopóki tego nie załatwisz.

Ale bankier zasłonił swoje oblicze i zapłakał.

— Co to znaczy? — spytał niecierpliwie książę.

— Panie — odparł Dagon klękając — weź mój majątek, sprzedaj mnie i moją rodzinę... Wszystko weź, nawet życie nasze... Ale sto talentów... skąd bym ja dostał dziś taki majątek?... Już ani z Egiptu, ani z Fenicji... — mówił wśród łkań.

— Set opętał cię, Dagonie! — roześmiał się następca. — Czyliż i ty uwierzyłbyś, że ja myślę o wygnaniu was?...

Bankier po raz drugi upadł mu do nóg.

— Ja nic nie wiem... ja jestem zwyczajny kupiec i twój niewolnik... Tyle dni, ile jest między nowiem i pełnią, wystarczyło, ażeby zrobić ze mnie proch i z mego majątku ślinę...

— Ależ wytłumacz mi, co to znaczy? — pytał niecierpliwie następca.

— Ja nie potrafię nic powiedzieć, a choćbym nawet umiał, mam wielką pieczęć na ustach... Dziś modlę się tylko i płaczę...

„Czy i Fenicjanie modlą się?" — pomyślał książę.

— Nie mogąc oddać ci żadnej usługi, panie mój — ciągnął Dagon — dam ci przynajmniej dobrą radę... Jest tu w Pi-Bast sławny książę tyryjski, Hiram. Człowiek stary, mądry i strasznie bogaty... Wezwij go, erpatre, i zażądaj sto talentów, a może on potrafi dogodzić waszej dostojności...

Ponieważ Ramzes żadnych objaśnień nie mógł wydobyć z bankiera, uwolnił go więc i obiecał, że wyśle poselstwo do Hirama.

ROZDZIAŁ V

Na drugi dzień rano Tutmozis z wielką świtą oficerów i dworzan złożył wizytę tyryjskiemu księciu i zaprosił go do namiestnika.

W południe przed pałacem zjawił się Hiram w prostej lektyce niesionej przez ośmiu ubogich Egipcjan, którym udzielał jałmużny. Otaczali go znakomitsi kupcy feniccy i ten sam tłum ludu, który co dzień wystawał przed jego domem.

Ramzes z niejakim zdziwieniem przywitał starca, któremu z oczu patrzyła mądrość, a z całej postaci powaga. Hiram miał na sobie biały płaszcz, na głowie złotą obrączkę. Ukłonił się namiestnikowi z godnością i wzniósłszy ręce nad jego głową odmówił krótkie błogosławieństwo. Obecni byli głęboko wzruszeni.

Gdy namiestnik wskazał mu fotel i kazał odejść dworzanom, Hiram odezwał się:

— Wczoraj sługa waszej dostojności, Dagon, powiedział mi, że książę potrzebujesz stu talentów. Zaraz wysłałem moich kurierów do Sabne-Chetam[219], Sethroe[220], Pi-Uto[221] i innych miast, gdzie stoją fenickie okręty, ażeby wyładowały wszystek towar. I myślę, że za parę dni wasza dostojność otrzyma tę drobną sumkę.

— Drobna! — przerwał książę ze śmiechem. — Szczęśliwy jesteś, wasza dostojność, jeżeli sto talentów nazywasz drobną sumką.

Hiram pokiwał głową.

— Dziad waszej dostojności — rzekł po namyśle — wiecznie żyjący Ramesses-sa-Ptah[222] zaszczycał mnie swoją przyjaźnią; znam też jego świątobliwość waszego ojca (oby żył wiecznie!) i nawet spróbuję złożyć mu hołd, jeżeli będę dopuszczony...

— Skądże ta wątpliwość?... — przerwał książę.

— Są tacy — odparł gość — którzy jednych dopuszczają, innych nie dopuszczają do oblicza faraonowego, ale mniejsza o nich... Wasza dostojność nie jesteś temu winien, więc ośmielę się zadać wam jedno pytanie... Jak stary przyjaciel waszego dziada i ojca.

— Słucham.

— Co to znaczy — mówił powoli Hiram — co to znaczy, że następca i namiestnik faraona musi pożyczać sto talentów, gdy jego państwu należy się przeszło sto tysięcy talentów?...

— Skąd?... — zawołał Ramzes.

— Jak to skąd?... Z danin od ludów azjatyckich. Fenicja winna wam pięć tysięcy, no i ja ręczę, że odda, jeżeli nie trafią się jakieś wypadki... Ale oprócz niej Izrael winien trzy tysiące, Filistyni i Moabici[223] po dwa tysiące, Chetowie trzydzieści tysięcy... Wreszcie nie

---

[219] *Sabne-Chetam* — biblijne Soan (egipskie *chetem* oznacza warowne miasto), gr. Tanis, miasto w północno-wschodniej części Delty, nad tanicką odnogą Nilu, w pobliżu jeziora Manzala, ok. 140 km na północny wschód od Memfis. Stolica 14. nomu Dolnego Egiptu. Za panowania XXI i XX dynastii było stolicą państwa.

[220] *Sethroe* — Herakleopolis Mikra, miasto w Dolnym Egipcie nad jeziorem Manzala, w 14. nomie Dolnego Egiptu, najdalej wysuniętym na północny wschód. Około 150 km na północny wschód od Memfis, ok. 30 km na południowy wschód od dzisiejszego Port Fuad.

[221] *Pi-Uto* — Buto, Per-Wadżet, miasto nad ujściem sebenickiej odnogi Nilu do jeziora Burullus, ok. 160 km na północny zachód od Memfis, ok. 100 km na wschód od dzisiejszej Aleksandrii. Stolica 5. nomu Dolnego Egiptu. Centrum kultu bogini Wadżet, protektorki Dolnego Egiptu.

[222] *Ramesses-sa-Ptah* — Ramzes Siptah (1197–1191 p.n.e.), zmarły stulecie wcześniej faraon XIX dynastii, objął tron w wieku 14 lat. Rządy w jego imieniu sprawowała macocha, Tauseret, która została jego następczynią jako ostatni władca tej dynastii. W XIX w. uważano, że Siptah to imię władcy XX dynastii, Ramzesa XI.

[223] *Moabici* — lud semicki zamieszkujący położoną na wschód od Morza Martwego krainę Moab.

pamiętam pozycji szczegółowych, ale wiem, że ogół wynosi sto trzy czy sto pięć tysięcy talentów.

Ramzes gryzł wargi; na jego ruchliwej twarzy widać było bezsilny gniew. Spuścił oczy i milczał.

— Więc to prawda!... — nagle westchnął Hiram, wpatrując się w namiestnika. — Więc to prawda?... Biedna Fenicja, ale i Egipt...

— Co mówisz, wasza dostojność? — zapytał książę, marszcząc brwi. — Nie rozumiem twoich biadań...

— Książę wiesz, o czym mówię, skoro nie odpowiadasz na moje pytanie — odparł Hiram i powstał, jakby z zamiarem odejścia. — Mimo to... nie cofnę obietnicy... Będziesz, książę, miał sto talentów.

Nisko ukłonił się, lecz namiestnik zmusił go do zajęcia miejsca.

— Wasza dostojność ukrywasz coś przede mną — rzekł głosem, w którym czuć było obrazę. — Chcę, ażebyś mi wytłumaczył: jaka to bieda grozi Fenicji czy Egiptowi...

— Nie wiedziałżebyś o tym, wasza dostojność? — pytał Hiram z wahaniem.

— Nic nie wiem. Spędziłem przeszło miesiąc w świątyni.

— Właśnie tam można było dowiedzieć się o wszystkim...

— Wasza dostojność mi powiesz! — zawołał namiestnik, uderzając pięścią w stół. — Nie lubię, ażeby bawiono się moim kosztem...

— Powiem, jeżeli wasza dostojność dasz mi wielkie przyrzeczenie, że nie zdradzisz się przed nikim. Chociaż... nie mogę uwierzyć, aby księcia następcy nie zawiadomiono o tym!...

— Nie ufasz mi? — zapytał zdumiony książę.

— W tej sprawie żądałbym przyrzeczenia od samego faraona — odparł Hiram stanowczo.

— A więc... przysięgam na mój miecz i sztandary naszych wojsk, że nikomu nie powiem o tym, co mi wasza dostojność odkryjesz.

— Dosyć — rzekł Hiram.

— Słucham.

— Książę wie, co w tej chwili dzieje się w Fenicji?

— Nawet i o tym nie wiem! — przerwał zirytowany namiestnik.

— Nasze okręty — szepnął Hiram — ze wszystkich krańców świata ściągają do ojczyzny, ażeby na pierwsze hasło przewieźć ludność i skarby gdzieś... za morze... na zachód...

— Dlaczego? — zdziwił się namiestnik.

— Bo Asyria ma nas wziąć pod swoje panowanie.

Książę wybuchnął śmiechem.

— Oszalałeś, czcigodny mężu?... — zawołał. — Asyria ma zabrać Fenicję!... A cóż my na to, my Egipt?

— Egipt już się zgodził.

Namiestnikowi krew uderzyła do głowy.

— Upał plącze ci myśli, stary człowieku — rzekł do Hirama spokojnym głosem. — Zapominasz nawet, że podobna sprawa nie mogłaby mieć miejsca bez pozwolenia faraona i... mego!

— I to nastąpi. Tymczasem zawarli układ kapłani.

— Z kim?... Jacy kapłani?...

— Z arcykapłanem chaldejskim, Beroesem, umocowanym przez króla Assara — odparł Hiram. — A kto z waszej strony?... Nie twierdzę na pewno, ale zdaje się, że jego dostojność Herhor, jego dostojność Mefres i święty prorok Pentuer.

Książę zbladł.

— Uważaj, tyryjczyku — rzekł — że oskarżasz o zdradę najwyższych dostojników państwa.

— Mylisz się, książę, to wcale nie jest zdrada: najstarszy arcykapłan Egiptu i minister jego świątobliwości mają prawo prowadzić układy z sąsiednimi mocarzami. Wreszcie, skąd wie wasza dostojność, że wszystko to nie dzieje się z woli faraona?

Ramzes musiał przyznać w duszy, że układ podobny nie byłby zdradą państwa, tylko — lekceważeniem jego, następcy tronu. Więc to w taki sposób traktują go kapłani, jego,

który za rok może być faraonem?... Więc dlatego Pentuer ganił wojny, a Mefres popierał go!...

— Kiedyż to się miało stać, gdzie?... — spytał książę.

— Podobno zawarli układ w nocy, w świątyni Seta za Memfisem — odpowiedział Hiram. — A kiedy?... Dobrze nie wiem, lecz zdaje się, że tego dnia, kiedy wasza dostojność wyjeżdżałeś z Memfisu.

„A, nędznicy!... — myślał namiestnik. — To oni tak szanują moje stanowisko... Więc oni mnie oszukiwali i opisem stanu państwa?... Jakiś dobry bóg budził moje wątpliwości w świątyni Hator..."

Po chwili wewnętrznej walki rzekł głośno:

— Niepodobna!... I dopóty nie uwierzę temu, co mówisz, wasza dostojność, dopóki nie dasz mi dowodu.

— Dowód będzie — odparł Hiram. — Lada dzień przyjeżdża do Pi-Bast wielki pan asyryjski, Sargon, przyjaciel króla Assara. Przyjeżdża tu pod pozorem pielgrzymki do świątyni Astoreth, złoży dary wam, książę, i jego świątobliwości, potem — zawrzecie układ... Naprawdę zaś przypieczętujecie to, co postanowili kapłani na zgubę Fenicjan, a może i własne nieszczęście.

— Nigdy! — rzekł książę. — Jakież to wynagrodzenie musiałaby Asyria dać Egiptowi...

— Oto jest mowa godna króla: jakie wynagrodzenie dostałby Egipt? Bo dla państwa każdy układ jest dobry, byle coś na nim zyskało... I to właśnie dziwi mnie — ciągnął Hiram — że Egipt zrobi zły interes: Asyria bowiem zagarnia, oprócz Fenicji, prawie całą Azję; a wam jakby z łaski zostawią: Izraelitów, Filistynów i półwysep Synaj... Rozumie się, że w takim razie przepadną należne Egiptowi daniny i faraon nigdy nie odbierze tych stu pięciu tysięcy talentów.

Namiestnik potrząsnął głową.

— Nie znasz — odparł — wasza dostojność, kapłanów egipskich: żaden z nich nie przyjąłby takiego układu.

— Dlaczego? Fenickie przysłowie mówi: lepszy jęczmień w stodole niż złoto w pustyni. Mogłoby się więc zdarzyć, że Egipt, gdyby czuł się bardzo słabym, wolałby darmo Synaj i Palestynę aniżeli wojnę z Asyrią. Ale otóż to mnie zastanawia... Bo nie Egipt, lecz Asyria dziś jest łatwa do pokonania: ma zatarg na północnym wschodzie, posiada mało wojsk, a i te są liche. Gdyby napadł ją Egipt, zniszczyłby państwo, zabrałby niezmierne skarby z Niniwy i Babelu i raz na zawsze utrwaliłby swoją władzę w Azji.

— Więc widzisz, że taki układ nie może istnieć — wtrącał Ramzes.

— W jednym tylko wypadku rozumiałbym podobne umowy, gdyby kapłani chcieli znieść władzę królewską w Egipcie... Do czego wreszcie dążą od czasów waszego dziada, książę...

— Znowu mówisz od rzeczy — wtrącił namiestnik. Ale w sercu uczuł niepokój.

— Może mylę się — odparł Hiram, bystro patrząc mu w oczy. — Ale posłuchaj, wasza dostojność...

Przysunął swój fotel do księcia i mówił zniżonym głosem:

— Gdyby faraon wydał wojnę Asyrii i wygrał ją, miałby:

Wielką armię przywiązaną do jego osoby.

Sto tysięcy talentów zaległych danin. Ze dwieście tysięcy talentów z Niniwy i Babelu.

Nareszcie — ze sto tysięcy talentów rocznie z krajów zdobytych.

Tak ogromny majątek pozwoliłby mu wykupić dobra zastawione u kapłanów i raz na zawsze położyć koniec ich mieszaniu się do władzy.

Ramzesowi błyszczały oczy. Hiram mówił dalej:

— Dzisiaj zaś armia zależy od Herhora, a więc od kapłanów, i z wyjątkiem pułków cudzoziemskich faraon, w razie walki, liczyć na nią nie może.

Nadto zaś, skarb faraona jest pusty, a większa część jego dóbr należy do świątyń. Król choćby na utrzymanie dworu musi co roku zaciągać nowe długi; a że Fenicjan już u was nie będzie, więc musicie brać od kapłanów... Tym sposobem za dziesięć lat jego świątobliwość (oby żył wiecznie!...) straci resztę swoich dóbr, a co później?...

Na czoło Ramzesa wystąpił pot kroplisty.

— Widzisz więc, dostojny panie — mówił Hiram — że w jednym wypadku kapłani

mogliby, a nawet musieliby przyjąć najsromotniejszy układ z Asyrią: jeżeli chodziłoby im o poniżenie i zniesienie władzy faraona... No — może istnieć i drugi wypadek: gdyby Egipt był tak słaby, że za wszelką cenę potrzebowałby spokoju...

Książę zerwał się.

— Milcz! — zawołał. — Wolałbym zdradę najwierniejszych sług aniżeli podobną niemoc kraju!... Egipt musiałby Asyrii oddać Azję... Ależ w rok później sam wpadłby pod jej jarzmo, bo podpisując hańbę, przyznałby się do bezsilności...

Chodził wzburzony, a Hiram patrzył na niego z litością czy współczuciem.

Nagle Ramzes zatrzymał się przed Fenicjaninem i rzekł:

— To fałsz!... Jakiś zręczny hultaj oszukał cię, Hiramie, pozorami prawdy i ty mu uwierzyłeś. Gdyby istniał taki traktat, układano by go w największej tajemnicy. A w takim razie, jeden z czterech kapłanów, których wymieniłeś, byłby zdrajcą nie tylko króla, lecz nawet swoich współspiskowców...

— Mógł przecie być ktoś piąty, który ich podsłuchiwał — wtrącił Hiram.

— I tobie sprzedał tajemnicę?...

Hiram uśmiechnął się.

— Dziwno mi — rzekł — że książę jeszcze nie poznałeś potęgi złota.

— Ależ zastanów się, wasza dostojność, że nasi kapłani mają więcej złota aniżeli ty, choć jesteś bogacz nad bogacze!...

— Ja jednak nie gniewam się, gdy mi przybędzie choćby drachma. Dlaczego inni mieliby odrzucać talenty?...

— Bo oni są sługami bogów — mówił rozgorączkowany książę — bo oni lękaliby się ich kary...

Fenicjanin uśmiechnął się.

— Widziałem — odparł — wiele świątyń różnych narodów, a w świątyniach duże i małe posągi: drewniane, kamienne, nawet złote. Ale bogów nie spotykałem nigdy...

— Bluźnierco!... — zawołał Ramzes. — Jam widział bóstwo, czułem na sobie jego rękę i słyszałem głos...

— Gdzie to było?

— W świątyni Hator: w jej przysionku i w mojej celi.

— W dzień?... — pytał Hiram.

— W nocy... — odparł książę i zastanowił się.

— W nocy — książę słyszał mowę bogów i — czuł — ich rękę — powtarzał Fenicjanin wybijając pojedyncze wyrazy. — W nocy wiele rzeczy można widzieć. Jak to było?...

— Byłem chwytany za głowę, ramiona i nogi, a przysięgam...

— Psyt!... — przerwał Hiram z uśmiechem. — Nie należy przysięgać nadaremnie.

Uporczywie wpatrywał się w Ramzesa swymi bystrymi i mądrymi oczyma, a widząc, że w młodzieńcu budzą się wątpliwości, rzekł:

— Ja ci coś powiem, panie. Jesteś niedoświadczony, otoczony siecią intryg, ja zaś byłem przyjacielem twego dziada i ojca. Otóż oddam ci jedną usługę. Przyjdź kiedy w nocy do świątyni Astoreth, ale... zobowiązawszy się do zachowania tajemnicy... Przyjdź sam, a przekonasz się, jacy to bogowie odzywają się i dotykają mas w świątyniach.

Pobożność, Wierzenia

— Przyjdę — rzekł Ramzes po namyśle.

— Uprzedź mnie, książę, którego dnia z rana, a ja powiem ci hasło wieczorne świątyni i będziesz tam dopuszczony. Tylko nie zdradź mnie ani siebie — mówił z dobrodusznym uśmiechem Fenicjanin. — Bogowie niekiedy przebaczają zdradę swoich tajemnic, ludzie nigdy...

Ukłonił się, a potem wzniósłszy oczy i ręce do góry zaczął szeptać błogosławieństwo.

— Obłudniku!... — zawołał książę. — Modlisz się do bogów, w których nie wierzysz?...

Hiram dokończył błogosławieństwa i rzekł:

— Tak jest: nie wierzę w bogów egipskich, asyryjskich, nawet fenickich, lecz wierzę w Jedynego, który nie mieszka w świątyniach i nie jest znane jego imię.

— Nasi kapłani wierzą także w Jedynego — wtrącił Ramzes.

— I chaldejscy także, a jednak i ci, i tamci sprzysięgli się przeciw nam... Nie ma prawdy na świecie, mój książę!...

Po odejściu Hirama książę zamknął się w najodleglejszym pokoju pod pozorem odczytywania świętych papirusów.

Prawie w oka mgnieniu w jego ognistej wyobraźni uporządkowały się nowo otrzymane wiadomości i utworzył się plan.

Przede wszystkim zrozumiał, że między Fenicjanami i kapłanami toczy się cicha walka na życie i śmierć. O co?... Naturalnie o wpływy i skarby. Prawdę rzekł Hiram, że gdyby Fenicjan zabrakło w Egipcie, wszystkie majątki faraona, nawet nomarchów i całej arystokracji, przeszłyby pod panowanie świątyń.

Ramzes nigdy nie lubił kapłanów i od dawna wiedział i widział, że większa część Egiptu już należy do kapłanów, że ich miasta są najbogatsze, pola najlepiej uprawiane, ludność zadowolona. Rozumiał też, że połowa skarbów należących do świątyń wydobyłaby faraona z nieustannych kłopotów i podźwignęłaby jego władzę.

Książę wiedział o tym i niejednokrotnie wypowiadał to z goryczą. Lecz gdy za sprawą Herhora został namiestnikiem i otrzymał dowództwo korpusu Menfi, pogodził się z kapłanami i we własnym sercu tłumił stare niechęci do nich.

Dziś wszystko to odżyło.

Więc kapłani nie tylko nie powiedzieli mu o swoich układach z Asyrią, ale nawet nie uprzedzili go o poselstwie jakiegoś Sargona?

Może wreszcie być, że ta kwestia stanowiła najwyższą tajemnicę świątyń i państwa. Lecz dlaczego ukrywali przed nim cyfrę danin zalegających u rozmaitych azjatyckich narodów?... Sto tysięcy talentów, ależ to suma, która mogła od razu poprawić majątkowy stan faraona... Dlaczegóż oni to ukrywali, o czym nawet wiedział tyryjski książę, jeden z członków rady tego miasta?...

Co za wstyd dla niego, następcy tronu i namiestnika, że dopiero obcy ludzie otwierają mu oczy!

Lecz była rzecz jeszcze gorsza: Pentuer i Mefres na wszelki sposób dowodzili mu, że Egipt musi unikać wojny.

Już w świątyni Hator nacisk ten wydawał mu się podejrzanym: wojna bowiem mogła dostarczyć państwu krocie tysięcy niewolników i podźwignąć ogólny dobrobyt kraju. Dzisiaj zaś wydaje się tym konieczniejszą, że przecież Egipt ma do odebrania sumy zaległe i do zdobycia nowe.

Książę podparł się rękoma na stole i rachował:

„Mamy — myślał — do odebrania sto tysięcy talentów danin... Hiram liczy, że złupienie Babilonu i Niniwy przyniosłoby ze dwieście tysięcy — razem trzysta tysięcy jednorazowo...

Taką sumą można pokryć koszta największej wojny, a zostanie jako zysk — kilkakroć sto tysięcy niewolników i sto tysięcy rocznej daniny z krajów na nowo podbitych.

Potem zaś — dokończył książę — obrachowalibyśmy się z kapłanami..."

Wojna, Przywódca

Ramzes był rozgorączkowany. Mimo to przyszła mu refleksja:

„A gdyby Egipt nie mógł przeprowadzić zwycięskiej wojny z Asyrią?..."

Lecz przy tym pytaniu zagotowała się w nim krew. Jak to Egipt, jak Egipt może nie zdeptać Asyrii, gdy na czele wojsk stanie on, Ramzes, on, potomek Ramzesa Wielkiego, który sam jeden rzucił się na chetyjskie[224] wozy wojenne i rozbił je!...

Książę wszystko mógł pojąć wyjąwszy tego, ażeby on mógł być pokonanym, mógł nie wydrzeć zwycięstwa największym mocarzom. Czuł w sobie bezmiar odwagi i zdziwiłby się, gdyby jakikolwiek nieprzyjaciel nie uciekł na widok jego rozpuszczonych koni. Przecież na wojennym wozie faraona stają sami bogowie, ażeby go zasłaniać tarczą, a nieprzyjaciół razić niebieskimi pociskami.

„Tylko... co ten Hiram mówił mi o bogach?... — pomyślał książę. — I co on ma mi pokazać w świątyni Astoreth?... Zobaczymy."

ROZDZIAŁ VI

Hiram dotrzymał obietnicy. Co dzień do książęcego pałacu w Pi-Bast przychodziły tłumy niewolników i długie szeregi osłów dźwigających: pszenicę, jęczmień, suszone mięso,

[224] *chetyjski* — dziś: hetycki.

tkaniny i wino. Złoto zaś i drogie kamienie przynosili kupcy feniccy pod dozorem urzędników domu Hirama.

Tym sposobem namiestnik w ciągu pięciu dni otrzymał przyrzeczone mu sto talentów. Hiram policzył sobie niewielki procent: jeden talent od czterech na rok i nie żądał zastawu, lecz poprzestał na kwicie księcia poświadczonym przez sąd.

Potrzeby dworu były hojnie zaopatrzone. Trzy kochanki namiestnika otrzymały nowe szaty, mnóstwo osobliwych pachnideł i po kilka niewolnic rozmaitej barwy. Służba miała obfitość jedzenia i wina, robotnicy królewscy odebrali zaległy żołd, wojsku wydawano nadzwyczajne porcje.

Dwór był zachwycony tym więcej, że Tutmozis i inni szlachetni młodzieńcy, na rozkaz Hirama, otrzymali od Fenicjan dość wysokie pożyczki, a nomarcha prowincji Habu i jego wyżsi urzędnicy dostali kosztowne prezenta[225].

Toteż uczta następowała po uczcie, zabawa po zabawie, mimo ciągle wzrastającego upału. Namiestnik, widząc powszechną radość, sam był zadowolony. Trapiła go tylko jedna rzecz: zachowanie się Mefresa i innych kapłanów. Książę myślał, iż dostojnicy ci będą mu robili wymówki za to, że zaciągnął tak wielki dług u Hirama wbrew naukom, jakie odebrał w świątyni. Tymczasem święci ojcowie milczeli i nawet nie pokazywali się u dworu.

— Co to znaczy — rzekł pewnego dnia Ramzes do Tutmozisa — że kapłani nie udzielają nam upomnień?... Przecież takich zbytków jak obecnie nie dopuszczaliśmy się nigdy. Muzyka gra od rana do nocy, a my pijemy od wschodu słońca i zasypiamy z kobietami w objęciach albo ze dzbanami[226] pod głową...

— Za co mieliby nas upominać? — odparł oburzony Tutmozis. — Czyliż nie przebywamy w mieście Astarty, dla której najmilszym nabożeństwem jest zabawa, a najpożądańszą ofiarą — miłość? Zresztą kapłani rozumieją, że po tak długich umartwieniach i postach należy ci się odpoczynek.

— Mówili ci to? — spytał z niepokojem książę.

— I nie raz. Wczoraj, nie dawniej, święty Mefres rzekł do mnie, śmiejąc się, że tak młodego człowieka, jak ty, więcej pociąga zabawa aniżeli nabożeństwo albo kłopoty rządzenia państwem.

Ramzes zamyślił się. Więc kapłani uważają go za lekkomyślnego młodzieniaszka, pomimo że on, dzięki Sarze, dziś — jutro zostanie ojcem?... Ale tym lepiej: będą mieli niespodziankę, gdy przemówi do nich swoim własnym językiem...

Co prawda książę samemu sobie robił lekkie wyrzuty: od chwili gdy opuścił świątynię Hatory, ani przez jeden dzień nie zajmował się sprawami nomesu Habu. Kapłani mogą przypuszczać, że albo jest zupełnie zadowolony objaśnieniami Pentuera, albo że — znudził się już mieszaniem do rządów.

— Tym lepiej!... — szeptał. — Tym lepiej!...

W jego młodej duszy, pod wpływem ciągłych intryg otoczenia albo podejrzeń o intrygi, zaczynał budzić się instynkt obłudy. Ramzes czuł, że kapłani nie domyślają się, o czym on rozmawiał z Hiramem i jakie plany rozsnuwał w swej głowie. Tym zaślepionym wystarczało, że on bawi się, z czego wnosili, że rządy państwem pozostaną w ich rękach.

„Bogowie tak zamącili ich rozum — mówił do siebie Ramzes — że nawet nie pytają się: dlaczego Hiram udzielił mi tak wielkiej pożyczki?... A może ten chytry tyryjczyk potrafił uśpić ich podejrzliwe serca?... Tym lepiej!... tym lepiej!..."

Robiło mu to dziwną przyjemność, gdy myślał, że kapłani oszukali się na jego rachunek. Postanowił i nadal utrzymywać ich w błędzie, więc bawił się jak szalony.

Istotnie kapłani, a przede wszystkim Mefres i Mentezufis, oszukali się i na Ramzesie, i na Hiramie. Przebiegły tyryjczyk udawał wobec nich człowieka bardzo dumnego ze swoich stosunków z następcą tronu, a książę z nie mniejszym powodzeniem grał rolę rozhulanego młodzika.

Mefres był nawet pewny, że książę poważnie myśli o wypędzeniu Fenicjan z Egiptu, a tymczasem i on sam, i jego dworzanie zaciągają długi, aby ich nigdy nie spłacić.

---

[225] *prezenta* — dziś popr.: prezenty.

[226] *ze dzbanami* — dziś popr.: z dzbanami.

Przez ten czas świątynia Astarty, jej liczne ogrody i dziedzińce roiły się od tłumu pobożnych. Co dzień, jeżeli nie co godzina, z głębi Azji, mimo strasznego upału, nadciągała do wielkiej bogini jakaś kompania pielgrzymów.

Pobożność, Obyczaje

Dziwni to byli pielgrzymowie[227]. Zmęczeni, zlani potem, okryci kurzem szli z muzyką, tańcząc i śpiewając niekiedy bardzo wszeteczne piosenki. Dzień upływał im na pijatyce, noc na wyuzdanej rozpuście ku czci bogini Astoreth. Każdą taką kompanię można było nie tylko poznać, ale wyczuć z daleka: nieśli bowiem ogromne bukiety ciągle świeżych kwiatów w rękach, a — zdechłe w ciągu roku koty w węzełkach.

Koty te oddawali pobożni do balsamowania lub wypychania paraszytom mieszkającym pod Pi-Bast, a następnie odnosili je z powrotem do domów, jako szanowne relikwie.

W początkach miesiąca Misori (maj — czerwiec) książę Hiram zawiadomił Ramzesa, że tego dnia wieczorem może przyjść do fenickiej świątyni Astoreth. Gdy po zachodzie słońca ściemniło się na ulicach, namiestnik, przypiąwszy krótki miecz do boku, włożył płaszcz z kapturem i nie dostrzeżony przez nikogo ze służby wymknął się do domu Hirama.

Stary magnat czekał na niego.

— Cóż — rzekł z uśmiechem — nie boisz się, wasza dostojność, wchodzić do fenickiej świątyni, gdzie na ołtarzu zasiada okrucieństwo, a służy mu przewrotność?

— Bać się?... — spytał Ramzes, patrząc na niego prawie z pogardą. — Astoreth nie jest Baalem ani ja dzieckiem, które można rzucić w rozpalony brzuch waszego boga.

— I książę wierzysz temu?

Ramzes wzruszył ramionami.

Obyczaje, Dziecko, Ofiara

— Naoczny i wiarogodny świadek — odparł — opowiadał mi o waszych ofiarach z dzieci. Pewnego czasu burza rozbiła wam kilkanaście statków. Natychmiast kapłani tyryjscy ogłosili nabożeństwo, na które zebrał się tłum ludu...

Książę mówił z widocznym wzburzeniem.

— Przed świątynią Baala, na wzniesieniu, siedział ogromny spiżowy posąg z głową wołu. Jego brzuch był rozpalony do czerwoności. Wtedy, na rozkaz waszych kapłanów, głupie matki fenickie zaczęły składać najpiękniejsze dzieci u stóp okrutnego boga...

— Samych chłopców — wtrącił Hiram.

— Tak, samych chłopców — powtórzył książę. — Kapłani skrapiali każde dziecko wonnościami, ubierali w kwiaty, a wówczas posąg chwytał je spiżowymi rękoma, otwierał paszczę i pożerał krzyczącego wniebogłosy... Za każdym razem z ust boga wybuchały płomienie...

Hiram śmiał się cicho.

— I wasza dostojność wierzysz temu?

— Opowiadał mi to, powtarzam, człowiek, który nigdy nie kłamie.

— Mówił to, co istotnie widział — odparł Hiram. — Czy jednak nie zastanowiło go, że żadna z matek, którym palono dzieci, nie płakała?

— Istotnie zadziwiła go ta obojętność kobiet, zawsze gotowych do wylewania łez, nawet nad zdechłą kurą. Dowodzi to jednak wielkiego okrucieństwa w waszym narodzie.

Stary Fenicjanin kiwał głową.

— Dawnoż to było? — spytał.

— Przed kilkoma laty.

— No — powoli mówił Hiram — jeżeli wasza dostojność zechcesz kiedy odwiedzić Tyr, będę miał zaszczyt pokazać wam taką uroczystość...

— Nie chcę jej widzieć!...

— Następnie zaś pójdziemy na inne podwórze świątyni, gdzie książę zobaczy bardzo piękną szkołę, a w niej — zdrowych i wesołych tych samych chłopców, których przed kilkoma laty spalono...

— Jak to?... — zawołał Ramzes — więc oni nie zginęli?...

— Żyją i rosną na tęgich marynarzy. Gdy wasza dostojność zostaniesz świątobliwością — obyś żył wiecznie! — może niejeden z nich będzie prowadził twoje okręty.

— Więc oszukujecie wasz lud?... — roześmiał się książę.

[227] *pielgrzymowie* — dziś popr.: pielgrzymi.

— My nikogo nie oszukujemy — odparł z powagą tyryjczyk. — Oszukuje każdy sam siebie, gdy nie pyta o objaśnienie uroczystości, której nie rozumie.

— Ciekawym... — rzekł Ramzes.

— Istotnie — mówił Hiram — jest u nas zwyczaj, że ubogie matki, chcące zapewnić dobry los swoim synom, ofiarowują je na usługi państwu. Rzeczywiście dzieci te są porywane przez posąg Baala, w którym mieści się piec rozpalony. Obrządek ten nie znaczy, że dzieci są naprawdę palone, lecz — że stały się własnością świątyni i tak zginęły dla swoich matek, jak gdyby wpadły w ogień.

Naprawdę jednak nie idą one do pieca, ale do mamek i nianiek, które je przez kilka lat wychowują. Gdy zaś podrosną, zabiera je szkoła kapłanów Baala i kształci. Najzdolniejsi z tych wychowańców zostają kapłanami lub urzędnikami, mniej obdarzeni idą do marynarki i nieraz zdobywają wielkie bogactwa.

Teraz chyba książę nie będziesz dziwił się, że matki tyryjskie nie opłakują swoich dzieci. Więcej powiem: teraz, panie, zrozumiesz, dlaczego w naszych prawach nie ma kar na rodziców zabijających swoje potomstwo, jak się to zdarza w Egipcie...

— Nikczemnicy znajdują się wszędzie — wtrącił namiestnik.

— Ale u nas nie ma dzieciobójców — mówił dalej Hiram — bo u nas dziećmi, których nie mogą wykarmić ich matki, zajmuje się państwo i świątynia.

Książę zamyślił się. Nagle uścisnął Hirama i zawołał wzruszony:

— Jesteście o wiele lepsi aniżeli ci, którzy opowiadają o was tak straszne historie... Bardzo cieszę się z tego...

— U nas jest niemało złego — odparł Hiram — ale wszyscy będziemy wiernymi sługami twoimi, panie, gdy nas zawołasz...

— Czy tak?... — spytał książę, bystro patrząc mu w oczy.

Starzec położył rękę na sercu.

— Przysięgam ci, następco egipskiego tronu i przyszły faraonie, że kiedykolwiek rozpoczniesz walkę z naszymi wspólnymi nieprzyjaciółmi, cała Fenicja, jak jeden mąż, pośpieszy ci z pomocą... Klejnot

A oto — weź na pamiątkę naszej dzisiejszej rozmowy.

Wyjął spod szat złoty medal pokryty tajemnymi znakami i, szepcąc modlitwy, zawiesił go na szyi Ramzesa.

— Z tym amuletem — mówił Hiram — możesz objechać cały świat... A gdziekolwiek spotkasz Fenicjanina, będzie ci służył radą, złotem, nawet mieczem... A teraz idźmy.

Upłynęło już kilka godzin po zachodzie słońca, ale noc była widna, gdyż wszedł księżyc. Straszliwy upał dzienny ustąpił miejsca chłodowi; w czystym powietrzu nie było szarego pyłu, który zatruwał oddech i gryzł w oczy. Na błękitnym niebie tu i ówdzie świeciły gwiazdy rozpływające się w powodzi księżycowych blasków.

Na ulicach ustał ruch, ale dachy wszystkich domów były napełnione bawiącymi się ludźmi. Zdawało się, że Pi-Bast jest jedną salą od brzegu do brzegu wypełnioną muzyką, śpiewem, śmiechem i dźwiękami pucharów.

Książę i Fenicjanin szli prędko za miasto, wybierając mniej oświetlone strony ulic. Mimo to ludzie ucztujący na tarasach niekiedy spostrzegali ich, a spostrzegłszy, zapraszali do siebie lub sypali im kwiaty na głowy.

— Hej, wy tam, nocne włóczęgi! — wołano z dachów. — Jeżeli nie jesteście złodziejami, których noc wywabiła na zarobek, przyjdźcie tu do nas... Mamy dobre wino i wesołe kobiety...

Dwaj wędrowcy nie odpowiadali na te uprzejme wezwania, śpiesząc swoją drogą. Nareszcie wyszli w stronę miasta, gdzie było mniej domów, a więcej ogrodów, których drzewa, dzięki wilgotnym podmuchom morskim, rozrastały się wyżej i bujniej aniżeli w południowych prowincjach Egiptu.

— Już niedaleko — rzekł Hiram.

Książę podniósł oczy i ponad zbitą zielonością drzew zobaczył kwadratową wieżę barwy niebieskawej, na niej — szczuplejszą, białą. Była to świątynia Astoreth.

Niebawem weszli w głąb ogrodu, skąd można było ogarnąć wzrokiem całą budowlę.

Składała się ona z kilku kondygnacji. Pierwszą — tworzył taras kwadratowy o bokach mających po czterysta kroków długości; spoczywał on na murze wysokości kilku metrów, pomalowanym na czarno. Przy boku wschodnim znajdował się występ, na który z dwu

stron prowadziły szerokie schody. Wzdłuż innych boków stały wieżyczki, po dziesięć przy każdym; między każdą parą wieżyczek znajdowało się po pięć okien.

Mniej więcej na środku tarasu wznosił się również kwadratowy budynek z bokami po dwieście kroków. Ten miał pojedyncze schody, wieże na rogach i był barwy purpurowej.

Na płaskim dachu tej budowli stał znowu kwadratowy taras, wysoki na parę metrów, barwy złotej, a na nim jedna na drugiej dwie wieże: niebieska i biała.

Całość wyglądała tak, jakby na ziemi postawił kto ogromną kostkę czarną, na niej mniejszą purpurową, na niej złotą, wyżej niebieską, a najwyżej srebrną. Na każde zaś z tych wzniesień prowadziły schody albo podwójne boczne, albo pojedyncze frontowe, zawsze od strony wschodniej.

Przy schodach i przy drzwiach stały na przemian wielkie sfinksy egipskie albo skrzydlate asyryjskie byki z ludzkimi głowami.

Namiestnik z przyjemnością patrzył na ten gmach, który przy blasku księżyca, na tle bujnej roślinności wyglądał prześlicznie. Był on wzniesiony w stylu chaldejskim i stanowczo różnił się od świątyń egipskich, naprzód — systemem kondygnacji, po wtóre — pionowymi ścianami. U Egipcjan każda poważna budowla miała ściany — pochyłe, jakby zbiegające się ku górze.

Ogród nie był pusty. W różnych punktach widać było domki i pałacyki, płonęły światła, rozlegał się śpiew i muzyka. Między drzewami od czasu do czasu mignął cień zakochanej pary.

Nagle zbliżył się do nich stary kapłan: zamienił kilka słów z Hiramem i, złożywszy niski ukłon księciu, rzekł:

— Racz, panie, udać się ze mną.

— I niech bogowie czuwają nad waszą dostojnością — dorzucił Hiram, zostawiając ich.

Ramzes poszedł za kapłanem. Nieco z boku świątyni, między największym gąszczem, stała kamienna ławka, a może o sto kroków od niej niewielki pałacyk, pod którym rozlegały się śpiewy.

— Tam modlą się? — zapytał książę.

— Nie!... — odparł kapłan, nie ukrywając niechęci. — To zbierają się wielbiciele Kamy, naszej kapłanki, pilnującej ognia przed ołtarzem Astoreth.

— Któregoż ona dziś przyjmie?

— Żadnego, nigdy!... — odparł zgorszony przewodnik. — Gdyby kapłanka od ognia nie dotrzymała ślubu czystości, musiałaby umrzeć.

— Okrutne prawo! — rzekł książę.

— Racz, panie, zaczekać na tej ławce — odezwał się zimno kapłan fenicki. — A gdy usłyszysz trzy uderzenia w spiżowe blachy, idź do świątyni, wejdź na taras, a stamtąd do purpurowego gmachu.

— Sam?...

— Tak.

Książę usiadł na ławce, w cieniu oliwki, i słuchał śmiechów kobiecych rozlegających się w pałacyku.

„Kama? — myślał. — Ładne imię!... Musi być młoda, a może jest piękna, i ci głupi Fenicjanie grożą jej śmiercią, gdyby... Czy w ten sposób pragną zapewnić sobie posiadanie choćby kilkunastu dziewic na cały kraj?..."

Śmiał się, ale było mu smutno. Nie wiadomo dlaczego żałował tej nieznanej kobiety, dla której miłość była wejściem do grobu.

„Wyobrażam sobie Tutmozisa, gdyby go mianowano kapłanką Astoreth!... Musiałby biedak umrzeć, zanim przed boginią wypaliłaby się jedna lampa..."

W tej chwili pod pałacykiem rozległ się dźwięk fletu i odegrał jakąś tęskną melodię, której towarzyszyły głosy kobiet śpiewających:

— Aha-a!... aha-a! — jakby przy kołysaniu dzieci.

Ucichł flet, umilkły kobiety, a odezwał się piękny głos męski greckim językiem:

— Kiedy na ganku błyśnie twoja szata, bledną gwiazdy i milkną słowiki, a w moim sercu budzi się taka cisza jak na ziemi, gdy ją powita biały świt...

— Aha-a!... aha-a!... aha-a! — nuciły kobiety i flet znowu odegrał zwrotkę.

— A gdy rozmodlona udajesz się do świątyni, fiołki otaczają cię wonnym obłokiem, motyle krążą około twoich ust, palmy przed twoją pięknością schylają głowy...

— Aha-a!... aha-a!... aha-a!...

— Gdy cię nie widzę, patrzę na niebo, ażeby przypomnieć sobie słodki spokój twojego oblicza. Daremna praca! Niebo nie posiada twojej pogody, a jego żar jest zimnem wobec płomieni, które spopieliły moje serce.

— Aha-a!... aha-a!...

— Jednego dnia stanąłem między różami, które blask twoich spojrzeń obleka w białość, szkarłaty i złoto. Każdy ich listek przypomniał mi jedną godzinę, każdy kwiat — jeden miesiąc przepędzony u twoich stóp. A krople rosy to moje łzy, którymi poi się okrutny wiatr pustyni.

Daj znak, a porwę cię i uniosę do mojej miłej ojczyzny. Morze oddzieli nas od prześladowców, mirtowe gaje ukryją nasze pieszczoty i czuwać będą nad naszym szczęściem litościwsi dla zakochanych bogowie.

— Aha-a!... aha-a!...

Ramzes przymknął oczy i marzył. Przez zapuszczone rzęsy już nie widział ogrodu, tylko powódź księżycowego światła, wśród której rozpływały się czarne cienie i śpiew nieznanego człowieka do nieznanej kobiety. Chwilami ten śpiew tak go ogarniał, tak głęboko wdzierał mu się w duszę, że Ramzes miał chęć zapytać się: czy to nie on śpiewa, a nawet czy — on sam nie jest tą pieśnią miłosną?...

W tym momencie jego tytuł, władza i ciężkie zagadnienia państwowe, wszystko wydawało mu się nędznym drobiazgiem wobec tej nocy księżycowej i tych okrzyków zakochanego serca. Gdyby mu dano do wyboru: całą potęgę faraona czy ten duchowy nastrój, w jakim znajdował się obecnie, wolałby swoje rozmarzenie, w którym zniknął cały świat, on sam, nawet czas, a została tęsknota lecąca w wieczność na skrzydłach pieśni.

Wtem książę ocknął się, śpiew umilkł, w pałacyku pogasły światła, a na tle jego białych ścian ostro odbijały czarne, puste okna. Można było myśleć, że tu nikt nigdy nie mieszkał. Nawet ogród opustoszał i ucichł, nawet lekki wiatr przestał poruszać listkami.

Raz!... dwa!... trzy!... Ze świątyni odezwały się trzy potężne odgłosy spiżu.

„Aha! muszę tam iść..." — pomyślał książę, dobrze nie wiedząc, gdzie ma iść i po co.

Skierował się jednak w stronę świątyni, której srebrzysta wieża górowała nad drzewami, jakby wzywając go do siebie.

Szedł odurzony, pełen dziwacznych zachceń. Między drzewami było mu ciasno: pragnął wejść na szczyt tej wieży i odetchnąć, ogarnąć wzrokiem jakiś szerszy horyzont. To znowu przypomniawszy sobie, że jest miesiąc Misori, że już rok upłynął od manewrów w pustyni, uczuł tęsknotę za pustynią. Jakżeby chętnie siadł na swój lekki wóz zaprzęgnięty w parę koni i leciał gdzieś naprzód, gdzie nie byłoby tak duszno, a drzewa nie zasłaniały widnokręgu.

Był już u stóp świątyni, więc wszedł na taras. Cicho i pusto, jakby wszyscy wymarli; tylko z daleka szemrała woda fontanny. Na drugich schodach rzucił swój burnus i miecz, jeszcze raz spojrzał na ogród, jakby mu żal było księżyca, i wszedł do świątyni. Ponad nim wznosiły się jeszcze trzy kondygnacje.

Spiżowe drzwi były otwarte, z obu stron wejścia stały skrzydlate figury byków z ludzkimi głowami, na których twarzach panował dumny spokój.

„To królowie asyryjscy" — pomyślał książę, przypatrując się ich brodom, splecionym w drobne warkoczyki.

Wnętrze świątyni było czarne jak najczarniejsza noc; ciemność tę potęgowały jeszcze białe smugi księżycowego światła wpadające przez wąskie a wysokie okna.

Bogini

W głębi paliło się dwie lampy przed posągiem bogini Astoreth. Jakieś dziwne oświetlenie z góry sprawiało, że posąg był doskonale widzialny. Ramzes patrzył. Była to olbrzymia kobieta ze strusimi skrzydłami. Miała na sobie długą, fałdzistą szatę, na głowie spiczastą czapkę, w prawej ręce parę gołębi. Jej piękna twarz i spuszczone oczy miały wyraz takiej słodyczy, takiej niewinności, że księcia ogarnęło zdumienie: była to bowiem patronka zemsty i najbardziej wyuzdanej rozpusty.

Fenicja ukazała mu jeszcze jedną ze swych tajemnic.

„Osobliwy naród! — pomyślał. — Ich ludożerczy bogowie nie zjadają, a ich wszeteczeństwem opiekują się dziewicze kapłanki i bogini z dziecięcą twarzą..."

Wtem uczuł, że po nogach prędko przesunęło mu się coś jakby wielki wąż. Ramzes cofnął się i stanął w smudze księżycowego światła.

„Przywidzenie!..." — rzekł do siebie.

Prawie w tej chwili usłyszał szept:

— Ramzesie!... Ramzesie!...

Niepodobna było poznać: czyj to głos — męski czy kobiecy i skąd pochodzi.

— Ramzesie!... Ramzesie!... — rozległ się szept, jakby od podłogi.

Książę wszedł w miejsce nieoświetlone i nasłuchując pochylił się. Nagle poczuł na swej głowie dwie delikatne ręce.

Zerwał się, aby je złapać, ale schwycił tylko powietrze.

— Ramzesie!... — szepnięto z góry.

Podniósł głowę i uczuł na ustach kwiat lotosu, a gdy wyciągnął ku niemu ręce, ktoś lekko oparł się na jego ramionach.

— Ramzesie!... — zawołano od ołtarza.

Książę odwrócił się i osłupiał. W smudze światła, o parę kroków stał prześliczny człowiek, zupełnie podobny do niego. Ta sama twarz, oczy, młodzieńczy zarost, ta sama postawa, ruchy i odzienie.

Książę przez chwilę myślał, że stoi przed wielkim lustrem, jakiego nawet faraon nie posiadał. Wnet jednak przekonał się, że jego sobowtór nie jest wizerunkiem, ale żywym człowiekiem.

W tej chwili uczuł pocałunek na szyi. Znowu odwrócił się, lecz nie było nikogo, a tymczasem i jego sobowtór zniknął.

— Kto tu jest?... Chcę wiedzieć!... — zawołał rozgniewany książę.

— To ja... Kama... — odpowiedział słodki głos.

I w świetlnej smudze ukazała się prześliczna kobieta, naga, w złotej przepasce około bioder.

Ramzes pobiegł i schwycił ją za rękę. Nie uciekła.

— Ty jesteś Kama?... Nie, ty jesteś... Tak, ciebie kiedyś przysłał do mnie Dagon, ale wówczas nazywałaś się Pieszczotą...

— Bo ja jestem i Pieszczota — odpowiedziała naiwnie.

— Ty mnie dotykałaś rękoma?...

— Ja.

— Jakim sposobem?...

— A o, takim... — odpowiedziała, zarzucając mu ręce na szyję i całując go.

Ramzes pochwycił ją w objęcia, ale wydarła mu się z siłą, której nie można było podejrzewać w tak drobnej postaci.

— Więc to ty jesteś kapłanka Kama?... Więc to do ciebie śpiewał dzisiaj ten Grek... — mówił książę, namiętnie ściskając jej ręce. — Co za jeden ten śpiewak?...

Kama pogardliwie wzruszyła ramionami.

— On jest przy naszej świątyni — rzekła.

Ramzesowi płonęły oczy, rozszerzały się nozdrza, szumiało mu w głowie. Ta sama kobieta przed kilkoma miesiącami zrobiła na nim małe wrażenie, ale dziś gotów był dla niej popełnić szaleństwo. Zazdrościł Grekowi, a jednocześnie czuł nieopisany żal na myśl, że gdyby ona została jego kochanką, musiałaby umrzeć.

— Jakaś ty piękna — mówił. — Gdzie mieszkasz?... Ach, wiem, w tamtym pałacyku... Czy można cię odwiedzić?... Naturalnie, jeżeli przyjmujesz wizyty śpiewaków, musisz i mnie przyjąć... Czy naprawdę jesteś kapłanką pilnującą ognia?...

— Tak.

— I wasze prawa są tak okrutne, że nie pozwalają ci kochać?... Ech, to są pogróżki!... Dla mnie zrobisz wyjątek...

— Przeklęłaby mnie cała Fenicja, zemściliby się bogowie... — odparła ze śmiechem.

Ramzes znowu przyciągnął ją do siebie, ona znowu wydarła się.

— Strzeż się, książę — mówiła z wyzywającym spojrzeniem. — Fenicja jest potężna, a jej bogowie...

— Co mnie obchodzą twoi bogowie albo Fenicja... Gdyby ci włos spadł, zdeptałbym Fenicję jak złą gadzinę...

— Kama!... Kama!... — odezwał się od posągu głos.

Przeraziła się.

— O widzisz, wołają mnie... Może nawet słyszeli twoje bluźnierstwa...

— Bodajby nie usłyszeli mego gniewu!... — wybuchnął książę.

— Gniew bogów jest straszniejszy...

Szarpnęła się i znikła w cieniach świątyni. Ramzes rzucił się za nią, lecz nagle cofnął się. Całą świątynię, między ołtarzem i nim, zalał ogromny, krwawy płomień, wśród którego zaczęły ukazywać się potworne figury: wielkie niedoperze[228], gady z ludzkimi twarzami, cienie...

Płomień szedł prosto na niego całą szerokością gmachu, a oszołomiony nie znanym sobie widokiem książę cofał się wstecz. Nagle owionęło go świeże powietrze. Odwrócił głowę — był już na zewnątrz świątyni, a jednocześnie spiżowe drzwi z łoskotem zatrzasnęły się przed nim.

Przetarł oczy, rozejrzał się. Księżyc z najwyższego punktu na niebie zniżał się już ku zachodowi. Obok kolumny Ramzes znalazł swój miecz i burnus. Podniósł je i zeszedł[229] ze schodów jak pijany.

Kiedy późno wrócił do pałacu, Tutmozis, widząc jego pobladłą twarz i mętne spojrzenie, zawołał z trwogą:

— Przez bogi! gdzieżeś to był, erpatre?... Cały twój dwór nie śpi zaniepokojony...

— Oglądałem miasto. Ładna noc...

— Wiesz — dodał spiesznie Tutmozis, jakby lękając się, aby go kto inny nie uprzedził. — Wiesz, Sara powiła ci syna...

— Doprawdy?... Chcę, ażeby nikt z orszaku nie niepokoił się o mnie, ile razy wyjdę na przechadzkę.

— Sam?...

— Gdybym nie mógł wychodzić sam, gdzie mi się podoba, byłbym najnieszczęśliwszym niewolnikiem w tym państwie — odparł cierpko namiestnik.

Oddał miecz i burnus Tutmozisowi i poszedł do swojej sypialni, nie wzywając nikogo. Jeszcze wczoraj wiadomość o urodzeniu się syna napełniłaby go radością. Lecz w tej chwili przyjął ją obojętnie. Całą duszę wypełniły mu wspomnienia dzisiejszego wieczoru, najdziwniejszego, jaki dotychczas poznał w życiu.

Jeszcze widział światło księżyca, w uszach rozlegała się pieśń Greka. A ta świątynia Astarty!...

Nie mógł zasnąć do rana.

ROZDZIAŁ VII

Na drugi dzień książę wstał późno, sam wykąpał się i ubrał, i kazał przyjść do siebie Tutmozisowi.

Wystrojony, namaszczony wonnościami elegant ukazał się natychmiast, pilnie przypatrując się księciu, aby poznać, w jakim jest humorze, i odpowiednio do tego ułożyć swoją fizjognomię.

Ale na twarzy Ramzesa malowało się tylko znużenie.

— Cóż — spytał Tutmozisa, ziewając — czy jesteś pewny, że urodził mi się syn?

— Mam tę wiadomość od świętego Mefresa.

— Oho!... Od jakże to dawna prorocy zajmują się moim domem?

— Od czasu kiedy wasza dostojność okazujesz im swoją łaskę.

— Tak?... — spytał książę i zamyślił się. Przypomniał sobie wczorajszą scenę w świątyni Astoreth i porównywał ją z podobnymi zjawiskami w świątyni Hator.

„Wołano na mnie — mówił do siebie — i tu, i tam. Ale tam moja cela była bardzo ciasna i grube mury, tu zaś wołający, a właściwie Kama mogła schować się za kolumnę i szeptać... Wreszcie tu było strasznie ciemno, a w mojej celi widno..."

Nagle rzekł do Tutmozisa:

— Kiedyż się to stało?

---

[228] *niedoperz* — dziś popr.: nietoperz.

[229] *zeszedł* — dziś popr.: zszedł.

— Kiedy urodził się dostojny syn twój?... Podobno już z dziesięć dni temu... Matka i dziecko zdrowe, doskonale wyglądają... Przy urodzeniu był sam Menes, lekarz twojej czcigodnej matki i dostojnego Herhora...

— No, no... — odparł książę i znowu myślał:

„Dotykano mnie tu i tam jednakowo zręcznie... Czy była jaka różnica?... Zdaje się, że była, może dlatego, że tu byłem, a tam nie byłem przygotowany na zobaczenie cudu... Ale tu pokazano mi drugiego *mnie*, czego tam nie potrafili zrobić... Bardzo mądrzy są kapłani!... Ciekawym, kto mnie tak dobrze udawał, bożek czy człowiek?... O, bardzo mądrzy są kapłani i nawet nie wiem, którym z nich lepiej wierzyć: naszym czy fenickim?..."

— Słuchaj, Tutmozis — rzekł głośno — słuchaj, Tutmozis... Trzeba, ażeby tu przyjechali... Muszę przecie zobaczyć mego syna... Nareszcie już nikt nie będzie miał prawa uważać się za lepszego ode mnie...

— Czy zaraz mają przyjechać dostojna Sara z synem?...

— A niech przyjadą jak najprędzej, jeżeli tylko zdrowie im pozwoli. W granicach pałacu jest dużo wygodnych budowli. Trzeba wybrać miejsce wśród drzew, zaciszne i chłodne, gdyż nadchodzi czas upałów... Niechże i ja pokażę światu mego syna!...

I znowu wpadł w zadumę, która nawet zaczęła niepokoić Tutmozisa.

„Tak, mądrzy są! — myślał Ramzes. — Że lud oszukują, nawet grubymi sposobami, o tym wiedziałem. Biedny święty Apis! ile on ukłuć dostaje w czasie procesji, kiedy chłopi leżą przed nim na brzuchach... Ale ażeby oszukiwali mnie, temu bym nie uwierzył... Głosy bogów, niewidzialne ręce, człowiek oblewany smołą, to były przegrywki!... Po czym nastąpiła pieśń Pentuera: o ubytku ziemi i ludności, o urzędnikach, Fenicjanach, a wszystko — ażeby obmierzić mi wojnę..."

— Tutmozisie — rzekł nagle.

— Padam przed tobą na twarz...

— Trzeba powoli ściągnąć pułki z nadmorskich miast — tutaj... Chcę zrobić przegląd i wynagrodzić ich wierność.

— A my, szlachta, nie jesteśmyż ci wierni? — spytał zmieszany Tutmozis.

— Szlachta i wojsko to jedno.

— A nomarchowie, urzędnicy?...

— Wiesz, Tutmozis, że nawet i urzędnicy są wierni — mówił książę. — Co mówię, nawet Fenicjanie!... Chociaż na wielu innych stanowiskach są zdrajcy...

— Przez bogi, ciszej!... — szepnął Tutmozis i lękliwie wyjrzał do drugiej komnaty.

— Oho!... — śmiał się książę — skądże ta trwoga? Więc i dla ciebie nie jest tajemnicą, że mamy zdrajców...

— Wiem, o kim wasza dostojność mówisz — odparł Tutmozis — bo zawsze byłeś źle uprzedzony...

— Do kogo?...

— Do kogo!... Domyślam się. Ale sądziłem, że po ugodzie z Herhorem, po długim pobycie w świątyni...

— Cóż świątynia?... I tam, i w całym zresztą kraju przekonywałem się zawsze o jednym, że najlepsze ziemie, najdzielniejsza ludność i niezmierne bogactwa nie są własnością faraona...

— Ciszej!... ciszej!... — szeptał Tutmozis.

— Ależ ciągle milczę, ciągle mam twarz pogodną, więc pozwól mi się wygadać choć ty... Zresztą nawet w najwyższej radzie miałbym prawo powiedzieć, że w tym Egipcie, który niepodzielnie należy do mego ojca, ja, jego następca i namiestnik, musiałem pożyczyć sto talentów od jakiegoś tyryjskiego książątka... Nie jestże to hańba!...

— Ale skądże ci to dziś przyszło?... — szeptał Tutmozis, pragnąc jak najrychlej zakończyć niebezpieczną rozmowę.

— Skąd?... — powtórzył książę i umilkł, aby znowu pogrążyć się w zadumie.

„Niewiele jeszcze znaczyłoby — myślał — gdyby tylko mnie oszukiwali: jestem dopiero następcą faraona i nie do wszystkich tajemnic mogę być dopuszczany. Ale kto mi powie, że oni w taki sam sposób nie postępowali z moim czcigodnym ojcem?... Trzydzieści kilka lat ufał im nieograniczenie, korzył się przed cudami, składał hojne ofiary bogom, po to... ażeby jego majątek i władza przeszła w ręce ambitnych filutów... I nikt mu oczu

nie otworzył... Boć faraon nie może, jak ja, wchodzić w nocy do świątyń fenickich, bo w końcu do jego świątobliwości nikt nie ma przystępu...

A kto mnie dziś zapewni, że kapłaństwo nie dąży do obalenia tronu, jak to powiedział Hiram?... Wszakże ojciec ostrzegł mnie, że Fenicjanie są najprawdomówniejsi, gdy mają w tym interes. I z pewnością, że mają interes, ażeby nie być wypędzonymi z Egiptu i nie dostać się pod władzę Asyrii... Asyria, stado wściekłych lwów!... Kędy oni przejdą, nic nie zostanie oprócz zwalisk i trupów, jak po pożarze!..."

Nagle Ramzes podniósł głowę: z daleka doleciał go odgłos fletów i rogów.

— Co to znaczy? — zapytał Tutmozisa.

— Wielka nowina!... — odparł dworak z uśmiechem. — Azjaci witają znakomitego pielgrzyma, aż z Babilonu...

— Z Babilonu?... Kto on?...

— Nazywa się Sargon...

— Sargon?... — przerwał książę. — Sargon!... acha! cha!... — zaczął się śmiać. — Czymże on jest?...

— Ma być wielkim dostojnikiem na dworze króla Assara. Prowadzi ze sobą dziesięć słoni, stada najpiękniejszych rumaków pustynnych, tłumy niewolników i sług.

— A po co on tu przyjeżdża?

— Pokłonić się cudownej bogini Astoreth, którą czci cała Azja — odparł Tutmozis.

— Cha!... cha!... cha!... — śmiał się książę, przypomniawszy sobie zapowiedź Hirama o przyjeździe asyryjskiego posła. — Sargon... cha!... cha!... Sargon, powinowaty króla Assara, zrobił się nagle tak pobożnym, że na całe miesiące puszcza się w niewygodną podróż, byle uczcić boginią Astoreth w Pi-Bast... Ależ w Niniwie znalazłby większych bogów i uczeńszych kapłanów... Cha!... cha!... cha!...

Tutmozis ze zdumieniem patrzył na księcia.

— Co tobie, Ramzesie?...

— Oto cud! — mówił książę — jakiego chyba nie zapisały kroniki żadnej świątyni... Tylko pomyśl, Tutmozisie... W chwili gdy najbardziej zastanawiasz się nad pytaniem: w jaki sposób złapać złodzieja, który cię wciąż okrada? — w takiej chwili — ów złodziej znowu pakuje ręce do twojej skrzyni, w twoich oczach, przy tysiącu świadków... Cha! cha! cha!... Sargon — pobożny pielgrzym!...

— Nic nie rozumiem... — szeptał zakłopotany Tutmozis.

— I nie potrzebujesz rozumieć — odparł namiestnik. — Zapamiętaj tylko, że Sargon przyjechał tu na pobożne praktyki, do świętej Astoreth...

— Zdaje mi się, że wszystko, o czym mówisz — rzekł zniżając głos Tutmozis — że wszystko to są rzeczy bardzo niebezpieczne...

— Toteż nie wspominaj o nich nikomu.

— Że ja nie wspomnę, tego chyba jesteś pewny, ale czy ty, książę, sam się nie zdradzisz... Jesteś prędki jak błyskawica...

Następca położył mu rękę na ramieniu.

— Bądź spokojny — rzekł, patrząc mu w oczy. — Obyście mi tylko dochowali wierności, wy, szlachta i wojsko, a zobaczycie dziwne wypadki i... skończą się dla was ciężkie czasy!...

— Wiesz, że zginiemy na twój rozkaz — odparł Tutmozis, kładąc rękę na piersiach.

Na jego obliczu była tak niezwykła powaga, iż książę zrozumiał, wreszcie nie po raz pierwszy, że w tym rozhukanym elegancie kryje się dzielny mąż, na którego mieczu i rozumie można polegać.

Od tej pory książę nigdy już nie prowadził z Tutmozisem tak dziwnej rozmowy. Ale wierny przyjaciel i sługa odgadł, że poza przyjazdem Sargona kryją się jakieś wielkie interesa państwowe, samowolnie rozstrzygane przez kapłanów.

Zresztą od pewnego czasu cała egipska arystokracja, nomarchowie, wyżsi urzędnicy i dowódcy, bardzo cicho, ale to bardzo cicho, szeptali między sobą, że nadchodzą ważne wypadki. Fenicjanie bowiem pod przysięgą dochowania tajemnicy opowiadali im o jakowychś traktatach z Asyrią, przy których Fenicja zginie, a Egipt okryje się hańbą i bodaj że kiedyś stanie się lennikiem Asyrii.

Wzburzenie między arystokracją było ogromne, lecz nikt się nie zdradził. Owszem, zarówno na dworze następcy, jak i u nomarchów Dolnego Egiptu, bawiono się doskonale.

Można było sądzić, że wraz z gorącem spadło na nich szaleństwo nie tylko zabaw, ale rozpusty. Nie było dnia bez igrzysk, uczt i triumfalnych pochodów, nie było nocy bez iluminacji i wrzasków. Nie tylko w Pi-Bast, ale w każdym mieście wytworzyła się moda przebiegania ulic z pochodniami, muzyką, a nade wszystko z pełnymi dzbanami. Wpadano do domów i wyciągano śpiących mieszkańców na pijatykę; a że Egipcjanie mieli duży pociąg do hulanek, więc bawił się, kto żył.

Przez czas pobytu Ramzesa w świątyni Hator Fenicjanie zdjęci jakimś panicznym strachem spędzali dnie na modlitwach i wszystkim odmawiali kredytu. Lecz po rozmowie Hirama z namiestnikiem pobożność i ostrożność nagle opuściła Fenicjan, i zaczęli panom egipskim hojniej udzielać pożyczek aniżeli kiedykolwiek.

Takiej obfitości złota i towarów, jaka zapanowała w Dolnym Egipcie, a nade wszystko tak małych procentów, nie pamiętali najstarsi ludzie.

Surowy i mądry stan kapłański zwrócił uwagę na szaleństwa najwyższych klas społecznych. Lecz omylili się w ocenianiu jego źródeł, a święty Mentezufis, który co kilka dni wysyłał raport do Herhora, wciąż donosił mu, że następca, znudzony praktykami religijnymi w świątyni Hator, bawi się teraz bez pamięci, a wraz z nim cała arystokracja.

Dostojny minister nawet nie odpowiadał na te wzmianki, co dowodziło, że hulatykę księcia uważa za rzecz naturalną, a może nawet pożyteczną.

Przy takim nastroju najbliższego otoczenia Ramzes zyskał dużo swobody. Prawie każdego wieczora, gdy przepici winem dworzanie zaczynali tracić świadomość, książę — wymykał się z pałacu.

Okryty ciemnym burnusem oficera, przebiegał puste ulice i wydostawał się za miasto, do ogrodów świątyni Astoreth.

Tam odnajdywał swoją ławkę naprzeciw pałacyku Kamy i ukryty między drzewami patrzył na płonące pochodnie, słuchał śpiewu wielbicieli kapłanki i — marzył o niej.

Księżyc wschodził coraz później, zbliżając się do nowiu, noce były szare, efekta[230] świetlne przepadły, ale Ramzes mimo to wciąż widział jasność owej pierwszej nocy i słyszał namiętne strofy Greka.

Nieraz powstawał z ławki, ażeby wprost pójść do mieszkania Kamy; ale ogarniał go wstyd. Czuł on, że nie wypada następcy tronu ukazywać się w domu kapłanki, którą odwiedzał każdy pielgrzym, byle złożył hojniejszą dla świątyni ofiarę. Co dziwniejsza — bał się, ażeby widok Kamy, otoczonej dzbanami i nieszczęśliwymi wielbicielami, nie zatarł mu cudownego obrazu księżycowej nocy.

Wówczas gdy ją przysłał Dagon, ażeby odwrócić gniew księcia, Kama wydała się Ramzesowi młodą dziewczyną, dosyć powabną, dla której jednak można nie stracić głowy. Lecz gdy pierwszy raz w życiu on, wódz i namiestnik, musiał siedzieć pod domem kobiety, gdy go rozmarzyła noc, gdy usłyszał gorące oświadczyny innego mężczyzny, wtedy, także pierwszy raz w życiu zrodziło się w nim szczególne uczucie: mieszanina pożądania, tęsknoty i zazdrości.

Gdyby mógł mieć Kamę na każde zawołanie, sprzykrzyłaby się mu bardzo prędko, a może nawet nie ubiegałby się za nią. Ale śmierć stojąca na progu jej sypialni, zakochany śpiewak, a nareszcie to upakarzające stanowisko najwyższego dostojnika wobec kapłanki, wszystko to wytwarzało sytuację Ramzesowi dotychczas nie znaną, a więc ponętną.

I oto dlaczego, prawie co wieczór, od dziesięciu dni przychodził do ogrodów bogini Astoreth, zasłaniając twarz wobec przechodniów.

Pewnego wieczoru, kiedy na uczcie w swoim pałacu wypił dużo wina, Ramzes wymknął się ze stanowczym zamiarem. Powiedział sobie, że dzisiaj wejdzie do mieszkania Kamy, a jej wielbiciele — niech sobie śpiewają pod oknami.

Szedł prędko przez miasto, lecz w ogrodach należących do świątyni zwolnił kroku: znowu bowiem uczuł wstyd.

„Czy słyszano kiedykolwiek — myślał — ażeby następca faraona biegał za kobietami jak biedny pisarz, który znikąd nie może pożyczyć dziesięciu drachm? Wszystkie przychodziły do mnie, więc i ta powinna przyjść..."

I już chciał wrócić.

„A jednak ta nie może przyjść — mówił w duchu — gdyż zabiliby ją..."

[230] *efekta* — dziś popr.: efekty.

Stanął i wahał się.

„Kto by ją zabił?... Hiram, który w nic nie wierzy, czy Dagon, który już sam nie wie, czym jest?... Tak, ale jest tu mnóstwo innych Fenicjan i przewijają się setki tysięcy pielgrzymów fanatycznych i dzikich. W oczach tych głupców Kama, odwiedzając mnie, popełniłaby świętokradztwo..."

Więc znowu poszedł w stronę pałacyku kapłanki. Ani pomyślał, że jemu grozić tu może niebezpieczeństwo. Jemu, który nie wydobywając miecza, samym spojrzeniem cały świat może powalić do swych stóp. On, Ramzes, i niebezpieczeństwo!...

Gdy książę wyszedł spośród drzew, spostrzegł, że dom kapłanki jest bardziej oświetlony i hałaśliwszy niż zwykle. Istotnie w pokojach i na tarasach było pełno gości, a i dokoła pałacyku kręcił się tłum.

„Co to za banda?" — pomyślał książę.

Zebranie było niecodzienne. Niedaleko stał ogromny słoń dźwigający na grzbiecie złoconą lektykę z purpurowymi firankami. Obok słonia rżało, kwiczało i w ogóle niecierpliwiło się kilkanaście koni o grubych szyjach i nogach, z przewiązanymi u dołu ogonami, z metalowymi niby hełmami na głowach.

Między niespokojnymi, prawie dzikimi zwierzętami kręciło się kilkudziesięciu ludzi, jakich Ramzes jeszcze nie widział. Mieli oni kudłate włosy, wielkie brody, spiczaste czapki z klapami na uszach. Jedni byli odziani w długie szaty z grubego sukna, spadające do kostek, inni w krótkie surduty i spodnie, a niektórzy — w buty z cholewami. Wszystko to było uzbrojone w miecze, łuki i włócznie.

Obcy, Patriota

Na widok tych cudzoziemców, silnych, niezgrabnych, śmiejących się ordynaryjnie, cuchnących łojem i gadających nieznanym a twardym językiem, w księciu zagotowało się. Jak lew, kiedy zobaczy obce zwierzę, choć niegłodny, zabiera się jednak do skoku, tak Ramzes, chociaż ludzie ci nic mu nie zawinili, uczuł do nich straszną nienawiść. Drażnił go ich język, ich ubiory, ich zapach, nawet ich konie. Krew uderzyła mu do głowy i sięgnął po miecz, aby wpaść na tych ludzi i wymordować ich i ich zwierzęta. Ale ocknął się.

„Set rzucił na mnie urok?..." — pomyślał.

W tej chwili przeszedł koło niego nagi Egipcjanin w czepcu na głowie i opasce dokoła bioder. Książę czuł, że ten człowiek jest mu miły, nawet drogi w tej chwili, bo to Egipcjanin. Wydobył z worka złoty pierścionek wartości kilkunastu drachm i dał go niewolnikowi.

— Słuchaj — spytał — co to za ludzie?...

— Asyryjczycy — szepnął Egipcjanin i nienawiść błysnęła mu w oczach.

— Asyryjczycy!... — powtórzył książę. — Więc to są Asyryjczycy?... A co oni tu robią?...

— Ich pan, Sargon, zaleca się do kapłanki, do świętej Kamy, a oni go pilnują... Oby ich trąd stoczył, świńskich synów...

— Możesz odejść.

Nagi człowiek nisko ukłonił się Ramzesowi i pobiegł zapewne do kuchni.

„Więc to są Asyryjczycy?... — myślał książę, przypatrując się dziwacznym postaciom i wsłuchując w nienawistny, choć niezrozumiały język. — Więc Asyryjczycy już są nad Nilem, ażeby zbratać się z nami czy oszukać nas, a ich dostojnik Sargon zaleca się do Kamy?..."

Zawrócił do domu. Jego rozmarzenie zgasło przy blasku nowej, choć dopiero budzącej się namiętności. On, człowiek szlachetny i łagodny, poczuł śmiertelną nienawiść do odwiecznych wrogów Egiptu, z którymi zetknął się po raz pierwszy.

Kiedy po opuszczeniu świątyni Hator i rozmowie z Hiramem począł rozmyślać o rozpoczęciu wojny z Azją, to były tylko rozmyślania. Egipt potrzebował ludzi, a faraon skarbów, a że wojna była najłatwiejszym sposobem zdobycia ich, że wreszcie dogadzała jego potrzebie sławy, więc projektował sobie wojnę.

Ale w tej chwili nie obchodziły go skarby, niewolnicy ani sława, bo odezwał się w nim potężniejszy nad wszystko głos nienawiści. Faraonowie tak długo walczyli z Asyryjczykami, obie strony tyle przelały krwi, walka tak głębokie zapuściła korzenie w serca, że książę na sam widok żołnierzy asyryjskich chwytał za miecz. Zdawało się, że wszystkie duchy poległych wojowników, wszystkie ich trudy i cierpienia zmartwychwstały w duszy królewskiego dziecięcia i wołały o zemstę.

Gdy książę wrócił do pałacu, wezwał Tutmozisa. Jeden z nich był przepity, drugi wściekły.

— Czy wiesz, com teraz widział? — rzekł książę do ulubieńca.

— Może który z kapłanów... — szepnął Tutmozis.

— Widziałem Asyryjczyków... O bogowie!... com ja uczuł... Cóż to za podły lud... Ciała ich, od stóp do głów okręcone wełną jak dzikich zwierząt, śmierdzą starym łojem, a co to za mowa, jakie brody, włosy!...

Szybko chodził po komnacie, zadyszany, rozgorączkowany.

— Myślałem — mówił Ramzes — że pogardzam złodziejstwami pisarzy, obłudą nomarchów, że nienawidzę chytrych i ambitnych kapłanów... Miałem wstręt do Żydów i lękałem się Fenicjan... Ale dziś przekonywam[231] się, że tamto były zabawki. Teraz dopiero wiem, co jest nienawiść, kiedym zobaczył i usłyszał Asyryjczyków, teraz rozumiem, dlaczego pies rozdziera kota, który mu przeszedł drogę...

— Do Żydów i Fenicjan przywykłeś, wasza dostojność, Asyryjczyków spotkałeś po raz pierwszy — wtrącił Tutmozis.

— Głupstwo Fenicjanie!... — ciągnął jakby do siebie książę. — Fenicjanin, Filistyn, Saszu, Libijczyk, nawet Etiopa, to jakby członkowie naszej rodziny. Kiedy nie płacą danin, gniewamy się na nich, gdy zapłacą, zapominamy...

Ale Asyryjczyk jest to coś tak obcego, tak wrogiego, że... Nie będę szczęśliwym, dopóki nie ujrzę pola zasłanego ich trupami, dopóki nie naliczę ze sto tysięcy odciętych rąk...

Tutmozis nigdy nie widział Ramzesa w podobnym nastroju.

ROZDZIAŁ VIII

W parę dni książę wysłał swego ulubieńca z wezwaniem do Kamy. Przybyła natychmiast w szczelnie zasłoniętej lektyce.

Ramzes przyjął ją w osobnym pokoju.

— Byłem — rzekł — jednego wieczora pod twoim domem.

— O Astoreth!... — zawołała kapłanka. — Czemuż zawdzięczam najwyższą łaskę?... I co przeszkodziło ci, dostojny panie, że nie raczyłeś zawołać twojej niewolnicy?...

— Stały tam jakieś bydlęta. Podobno Asyryjczykowie[232].

— Więc wasza dostojność trudziłeś się wieczorem?... Nigdy nie śmiałabym przypuścić, że nasz władca znajduje się o kilka kroków ode mnie pod gołym niebem.

Książę zarumienił się. Jakżeby była zdziwiona dowiedziawszy się, że książę z dziesięć wieczorów przepędził pod jej oknami!

A może ona i wiedziała o tym, gdyby sądzić z jej półuśmiechniętych ust i obłudnie spuszczonych oczu.

— Więc teraz, Kamo — mówił książę — przyjmujesz i u siebie Asyryjczyków?

— To wielki magnat!... — zawołała Kama. — To powinowaty króla, Sargon, który pięć talentów ofiarował naszej bogini...

— A ty mu wywzajemnisz się, Kamo — szydził następca. — I ponieważ jest tak hojnym magnatem, bogowie feniccy nie ukażą cię śmiercią...

— Co mówisz, panie?... — odparła, składając ręce. — Czyli i nie wiesz, że Azjata, choćby mnie znalazł w pustyni, nie podniesie na mnie ręki, gdybym nawet oddała mu się sama. Oni lękają się bogów...

— Po cóż więc przychodzi do ciebie ten śmierdzący... nie — ten pobożny Azjata?

— Chce mnie namówić, ażebym wyjechała do świątyni Astoreth babilońskiej.

— I pojedziesz?...

— Pojadę... jeżeli ty, panie, każesz... — odpowiedziała Kama, zasłaniając twarz welonem.

Książę milcząc ujął ją za rękę. Usta mu drżały.

— Nie dotykaj mnie, panie — szeptała wzruszona. — Jesteś władcą i oporą moją i wszystkich Fenicjan w tym kraju, ale... bądź miłosierny...

Namiestnik puścił ją i zaczął chodzić po pokoju.

---

[231] *przekonywam się* — dziś popr.: przekonuję się.

[232] *Asyryjczykowie* — dziś popr.: Asyryjczycy.

— Gorący dzień, prawda?... — rzekł. — Podobno są kraje, gdzie w miesiącu Mechir spada z nieba na ziemię biały puch, który na ogniu zmienia się w wodę i robi zimno. O, Kamo, poproś twoich bogów, ażeby zesłali mi trochę tego pierza!... Choć, co ja mówię?... Gdyby pokryli nim cały Egipt, wszystek ten puch zamieniłby się na wodę, ale nie ostudziłby mego serca.

— Bo jesteś jak boski Amon, jesteś słońce ukryte w ludzkiej postaci — odparła Kama. — Ciemność pierzcha stamtąd, gdzie zwrócisz twoje oblicze, a pod blaskiem twoich spojrzeń rosną kwiaty...

Książę znowu zbliżył się do niej.

— Ale bądź miłosierny — szepnęła. — Przecieżeś ty dobry bóg, więc nie możesz zrobić krzywdy twojej kapłance...

Książę znowu odsunął się i otrząsnął, jakby pragnąc zrzucić z siebie ciężar. Kama patrzyła na niego spod opuszczonej powieki i uśmiechnęła się nieznacznie.

Gdy milczenie trwało zbyt długo, spytała:

— Kazałeś mnie wezwać, władco. Oto jestem i czekam, abyś mi objawił wolę twoją.

— Aha!... — ocknął się książę. — Powiedz no mi, kapłanko... Aha!... Kto to był ten, tak podobny do mnie, którego widziałem w waszej świątyni, wówczas?...

Kama położyła palec na ustach.

— Święta tajemnica... — szepnęła.

— Jedno jest tajemnicą, drugiego nie wolno — odparł Ramzes. — Niechże przynajmniej dowiem się, kto on taki: człowiek czy duch?...

— Duch.

— A jednak ten duch wyśpiewywał pod twoimi oknami...

Kama uśmiechnęła się.

— Nie chcę gwałcić tajemnic waszej świątyni... — ciągnął książę.

— Przyrzekłeś to, panie, Hiramowi — wtrąciła kapłanka.

— Dobrze... dobrze!... — przerwał rozdrażniony namiestnik. — Dlatego ani z Hiramem, ani z kim innym, nie będę rozmawiał o tym cudzie, tylko z tobą... Otóż, Kamo, powiedz duchowi czy człowiekowi, który jest tak do mnie podobny, ażeby jak najprędzej wyjeżdżał z Egiptu i nikomu nie pokazywał się. Bo widzisz... w żadnym państwie nie może być dwu następców tronu...

Nagle uderzył się w czoło. Dotychczas mówił tak, ażeby zakłopotać Kamę, lecz teraz przyszła mu myśl całkiem poważna.

— Ciekawym — rzekł, ostro patrząc na Kamę — dlaczego twoi rodacy pokazali mi mój żywy wizerunek?... Czy chcą ostrzec, że mają dla mnie zastępcę?... Istotnie, zadziwia mnie ich czyn.

Kama upadła mu do nóg.

— O panie! — szepnęła. — Ty, który nosisz na piersiach nasz najwyższy talizman, czy możesz przypuścić, ażeby Fenicjanie robili co na twoją szkodę?... Ale pomyśl tylko... W wypadku, gdyby groziło ci niebezpieczeństwo albo gdybyś chciał omylić swoich nieprzyjaciół, czy taki człowiek nie przyda się?... Fenicjanie to tylko chcieli pokazać ci w świątyni...

Książę pomyślał i wzruszył ramionami.

„Tak — rzekł do siebie. — Gdybym potrzebował czyjejkolwiek opieki!... Ale czy Fenicjanie sądzą, że ja sam nie dam sobie rady?... W takim razie złego wybrali protektora dla siebie."

— Panie — szepnęła Kama — alboż nie jest ci wiadome, że Ramzes Wielki miał oprócz swojej własnej postaci dwie inne dla wrogów?... I tamte dwa cienie królewskie zginęły, a on żył...

— No, dosyć... — przerwał książę. — Aby zaś ludy Azji wiedziały, że jestem łaskawy, przeznaczam, Kamo, pięć talentów na igrzyska na cześć Astoreth, a kosztowny puchar do jej świątyni. Dziś jeszcze odbierzesz to.

Skinieniem głowy pożegnał kapłankę.

Po jej wyjściu opanowała go nowa fala myśli:

„Zaprawdę, przebiegli są Fenicjanie. Jeżeli ten mój żyjący wizerunek jest człowiekiem, mogą mi zrobić z niego wielki podarunek, a ja czyniłbym kiedyś cuda, o jakich bodaj że nie

słyszano w Egipcie. Faraon mieszka w Memfis, a jednocześnie ukazuje się w Tebach[233] albo w Tanis[234]!... Faraon posuwa się z armią na Babilon, Asyryjczycy tam gromadzą główne siły, a jednocześnie — faraon z inną armią zdobywa Niniwę... Sądzę, że Asyryjczycy byliby bardzo zdumieni takim wypadkiem..."

I znowu obudziła się w nim głucha nienawiść do potężnych Azjatów, i znowu widział swój triumfalny wóz, przejeżdżający pobojowisko pełne asyryjskich trupów i całe kosze odciętych rąk.

Teraz wojna stała się dla jego duszy taką koniecznością jak chleb dla ciała. Bo nie tylko mógł przez nią zbogacić[235] Egipt, napełnić skarb i zdobyć wiecznotrwałą sławę, ale jeszcze — mógł zaspokoić, dotychczas nieświadomy, dziś potężnie rozbudzony instynkt zniszczenia Asyrii.

Dopóki nie zobaczył tych wojowników z kudłatymi brodami, nie myślał o nich. Ale dziś zawadzali mu. Było mu tak ciasno z nimi na świecie, że ktoś musiał ustąpić: oni albo on.

Jaką rolę w obecnym jego nastroju odegrał Hiram i Kama? — z tego nie zdawał sobie sprawy. Czuł tylko, że musi mieć wojnę z Asyrią, jak ptak przelotny czuje, że w miesiącu Pachono musi odejść na północ.

Namiętność wojny szybko ogarniała księcia. Mniej mówił, rzadziej uśmiechał się, przy ucztach siedział zamyślony, a zarazem coraz częściej przestawał z wojskiem i arystokracją. Widząc łaski, jakie namiestnik zlewał na tych, którzy noszą broń, szlachecka młodzież, a nawet ludzie starsi poczęli zaciągać się do pułków. Zwróciło to uwagę świętego Mentezufisa, który wysłał do Herhora list tej treści:

„Od przybycia Asyryjczyków do Pi-Bast następca tronu jest rozgorączkowany, a jego dwór usposobiony bardzo wojowniczo. Piją i grają w kości jak poprzednio, ale wszyscy odrzucili cienkie szaty i peruki i bez względu na straszny upał chodzą w żołnierskich czepcach i kaftanach.

Obawiam się, ażeby ta zbrojna gotowość nie obraziła dostojnego Sargona."

Na co Herhor natychmiast odpowiedział:

„Nic nie szkodzi, że nasza zniewieściała szlachta polubiła wojskowość na czas przyjazdu Asyryjczyków, gdyż ci będą mieli o nas lepsze wyobrażenie. Najdostojniejszy namiestnik, widać oświecony przez bogów, odgadł, że właśnie teraz trzeba dzwonić mieczami, kiedy mamy u siebie posłów tak wojennego narodu.

Jestem pewny, że to dzielne usposobienie naszej młodzieży da Sargonowi do myślenia i zrobi go miększym w układach."

Pozory, Przemiana

Pierwszy raz, jak Egipt Egiptem, zdarzyło się, że młody książę oszukał czujność kapłanów. Co prawda stali za nim Fenicjanie i — wykradziona przez nich tajemnica traktatu z Asyrią, czego kapłani nawet nie podejrzewali.

Najlepszą wreszcie maską następcy wobec kapłańskich dostojników była ruchliwość jego charakteru. Wszyscy pamiętali, jak łatwo w roku zeszłym przerzucił się od manewrów pod Pi-Bailos do cichego folwarku Sary i jak w ostatnich czasach kolejno zapalał się do uczt, zajęć administracyjnych, pobożności, aby znowu powrócić do uczt. Toteż, z wyjątkiem Tutmozisa, nikt by nie uwierzył, że ten zmienny młodzieniec posiada jakiś plan, jakieś hasło, do którego będzie dążył z niepokonanym uporem.

Tym razem nawet nie trzeba było długo czekać na nowy dowód zmienności upodobań Ramzesa.

Do Pi-Bast, pomimo upału, przyjechała Sara z całym dworem i synem. Była trochę mizerna, dziecko trochę niezdrowe czy zmęczone, ale oboje wyglądali bardzo ładnie.

Książę był zachwycony. W najpiękniejszej części pałacowego ogrodu wyznaczył Sarze dom i prawie całe dni przesiadywał przy kolebce swego syna.

Poszły w kąt uczty, manewry i posępne zamyślenia Ramzesa. Panowie z jego świty musieli pić i bawić się sami, bardzo prędko odpasali miecze i przebrali się w najwykwintniejsze szaty. Zmiana kostiumu była dla nich tym niezbędniejszą, że książę po kilku z nich prowadził do mieszkania Sary, aby pokazać im syna, swego syna.

---

[233] *Teby* — największe miasto Górnego Egiptu, ok. 480 km na południe od Memfis.

[234] *Tanis* — miasto w północno-wschodniej części Delty, ok. 140 km na północny wschód od Memfis, stolica 14. nomu Dolnego Egiptu. Za panowania XXI i XX dynastii było stolicą państwa.

[235] *zbogacić* — dziś: wzbogacić.

— Patrz, Tutmozisie — mówił raz do ulubieńca — jakie to piękne dziecko: istny płatek róży. No, i z tego ma kiedyś wyrosnąć człowiek, z tego drobiazgu!... I to różowe pisklę będzie kiedyś chodziło, rozmawiało, nawet uczyło się mądrości w kapłańskich szkołach...

Czy ty widzisz jego ręczyny[236], Tutmozisie?... — wołał zachwycony Ramzes. — Zapamiętaj sobie te drobne ręce, ażebyś opowiedział o nich kiedyś, gdy mu daruję pułk i każę nosić za sobą mój topór... I to jest mój syn, mój syn rodzony!...

Nic dziwnego, że gdy tak mówił pan, jego dworzanie martwili się, że nie mogą zostać niańkami, a nawet mamkami dziecka, które lubo nie miało żadnych praw dynastycznych, było jednak pierwszym synem przyszłego faraona.

Lecz ta sielanka skończyła się bardzo prędko, gdyż — nie dogadzała interesom Fenicjan.

Pewnego dnia dostojny Hiram przybył do pałacu z wielką świtą kupców, niewolników tudzież ubogich Egipcjan, którym dawał jałmużnę, i stanąwszy przed następcą rzekł:

— Miłościwy panie nasz! Ażeby dać dowód, że serce twoje i dla nas Azjatów jest pełne łaski, darowałeś nam pięć talentów celem urządzenia igrzysk na cześć boskiej Astoreth. Wola twoja jest spełniona, igrzyska przygotowaliśmy, a teraz przychodzimy błagać cię, ażebyś raczył zaszczycić je swoją obecnością.

To mówiąc, siwowłosy książę tyryjski uklęknął przed Ramzesem i na złotej tacy podał mu złoty klucz do loży cyrku.

Religia, Polityka

Ramzes chętnie zgodził się na zaprosiny, a święci kapłani Mefres i Mentezufis nic nie mieli przeciw temu, aby książę przyjął udział w uroczystości na cześć bogini Astoreth.

— Przede wszystkim Astoreth — mówił dostojny Mefres do Mentezufisa — jest tym samym, co nasza Izyda tudzież Istar chaldejska. Po wtóre, jeżeli pozwoliliśmy Azjatom wybudować świątynię na naszej ziemi, wypada od czasu do czasu być uprzejmymi dla ich bogów.

— Mamy nawet obowiązek zrobić małą grzeczność Fenicjanom po zawarciu takiego traktatu z Asyrią!... — wtrącił śmiejąc się dostojny Mentezufis.

Cyrk, do którego namiestnik wraz z nomarchą i najprzedniejszymi oficerami udał się o godzinie czwartej po południu, był zbudowany w ogrodzie świątyni Astoreth. Składał się on z okrągłego placu, który otaczał parkan wysoki na dwu ludzi, zaś dokoła parkanu było mnóstwo lóż i ławek wznoszących się amfiteatralnie. Dachu budynek nie posiadał; natomiast nad lożami rozciągały się różnokolorowe płachty w formie motylich skrzydeł, które skrapiano pachnącą wodą i poruszano dla chłodzenia powietrza.

Gdy namiestnik ukazał się w swej loży, zgromadzeni w cyrku Azjaci i Egipcjanie wydali wielki krzyk. Po czym zaczęło się przedstawienie procesją muzyków, śpiewaków i tancerek.

Książę rozejrzał się. Miał po prawej ręce lożę Hirama i najznakomitszych Fenicjan, na lewo lożę fenickich kapłanów i kapłanek, między którymi Kama, zajmująca jedno z pierwszych miejsc, zwracała na siebie uwagę bogatym strojem i pięknością. Miała przezroczystą szatę ozdobioną różnokolorowymi haftami, złote bransolety na rękach i nogach, a na głowie przepaskę z kwiatem lotosu wyrobionym bardzo kunsztownie z drogich kamieni.

Kama, oddawszy wraz z kolegami swymi głęboki ukłon księciu, zwróciła się do loży na lewo i zaczęła ożywioną rozmowę z cudzoziemcem o wspaniałej postawie i nieco szpakowatych włosach. Człowiek ten i jego towarzysze mieli brody i włosy zaplecione w mnóstwo warkoczyków.

Ramzes, który przyszedł do cyrku prawie wprost z pokoju swego syna, był w wesołym usposobieniu. Lecz gdy zobaczył, że Kama rozmawia z jakimś obcym człowiekiem, spochmurniał.

— Czy nie wiesz — zapytał Tutmozisa — co to za drab, do którego wdzięczy się kapłanka?...

— To jest właśnie ów znakomity pielgrzym babiloński, dostojny Sargon.

— Ależ to stary dziad! — rzekł książę.

— Jest zapewne starszy od nas obu, ale to piękny człowiek.

[236] *ręczyny* — dziś: rączyny; małe rączki.

— Czyliż taki barbarzyńca może być pięknym!... — oburzył się namiestnik. — Jestem pewny, że śmierdzi łojem...

Obaj umilkli: książę z gniewu, Tutmozis ze strachu, że ośmielił się pochwalić człowieka, który nie podoba się jego panu.

Tymczasem na arenie widowisko szło za widowiskiem. Kolejno występowali gimnastycy, poskramiacze wężów, tancerze, kuglarze i błazny, wywołując okrzyki widzów.

Ale namiestnik był chmurny. W jego duszy odżyły chwilowo uśpione namiętności: nienawiść do Asyryjczyków i zazdrość o Kamę.

„Jak może — myślał — ta kobieta mizdrzyć się do człowieka starego, który w dodatku ma twarz koloru wyprawnej skóry, niespokojne czarne oczy i brodę capa..."

Raz tylko książę zwrócił pilniejszą uwagę na arenę.

Weszło kilku nagich Chaldejczyków. Najstarszy osadził w ziemi trzy krótkie włócznie ostrzami do góry i za pomocą ruchów rąk uśpił najmłodszego. Po czym inni wzięli go na ręce i położyli na włóczniach w ten sposób, że jedna podpierała mu głowę, druga krzyż, trzecia nogi.

Śpiący był sztywny jak drewno. Wówczas starzec zrobił nad nim jeszcze kilka ruchów rękoma i — wysunął włócznię podpierającą nogi. Po chwili wyjął włócznię, na której leżały plecy, a nareszcie odtrącił tę, na której spoczywała głowa.

I stało się, w jasny dzień, przy kilku tysiącach świadków, że śpiący Chaldejczyk unosił się poziomo w powietrzu, bez żadnej podpory, o parą łokci nad ziemią. Wreszcie starzec popchnął go ku ziemi i rozbudził.

W cyrku panowało zdumienie; nikt nie śmiał krzyknąć ani klasnąć. Tylko z paru lóż rzucono kwiaty.

Ramzes był także zdziwiony. Pochylił się do loży Hirama i szepnął staremu księciu:

— A ten cud potrafilibyście zrobić w świątyni Astoreth?

— Nie znam wszystkich tajemnic naszych kapłanów — odparł zmieszany — ale wiem, że Chaldejczycy są bardzo przebiegli...

— Jednak wszyscy widzieliśmy, że ten młodzian wisiał w powietrzu.

— Jeżeli nie rzucono na nas uroku — rzekł niechętnie Hiram i — stracił humor.

Po krótkiej przerwie, w czasie której po lożach dostojników roznoszono świeże kwiaty, zimne wino i ciastka, rozpoczęła się najważniejsza część widowiska — walka byków.

Przy odgłosie trąb, bębnów i fletów wprowadzono na arenę tęgiego byka z płachtą na głowie, ażeby nic nie widział. Po czym wbiegło kilku ludzi nagich, zbrojnych we włócznie i jeden z krótkim mieczem.

Na znak dany przez księcia uciekli przewodnicy, a jeden ze zbrojnych zdarł bykowi płachtę. Zwierzę przez kilka chwil stało oszołomione, następnie poczęło uganiać się za włóczniarzami, którzy drażnili je kłuciem.

Ta walka jałowa ciągnęła się kilkanaście minut. Ludzie dręczyli byka, a on zapieniony, oblany krwią stawał dęba i gonił po całej arenie swoich nieprzyjaciół, nie mogąc żadnego dosięgnąć.

Wreszcie padł wśród śmiechu publiczności.

Znudzony książę, zamiast na arenę, patrzył na lożę kapłanów fenickich. I widział, że Kama przesiadłszy się bliżej Sargona prowadziła z nim żywą rozmowę. Asyryjczyk pożerał ją wzrokiem, a ona uśmiechnięta i zawstydzona niekiedy szeptała z nim, pochylając się tak, że jej włosy mieszały się z kudłami barbarzyńcy, niekiedy odwracała się od niego z udanym gniewem.

Ramzes uczuł ból w sercu. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że jakaś kobieta innemu mężczyźnie przed nim dawała pierwszeństwo. W dodatku człowiekowi prawie staremu, Asyryjczykowi!...

Tymczasem między publicznością rozległ się szmer. Na arenie człowiek uzbrojony mieczem kazał sobie przywiązać do piersi lewą rękę, inni obejrzeli swoje włócznie i — wprowadzono drugiego byka.

Kiedy jeden zbrojny zerwał mu płachtę z oczu, byk obrócił się i obejrzał wkoło, jakby chcąc porachować przeciwników. A gdy zaczęli go kłuć, cofnął się pod parkan dla zabezpieczenia sobie tyłu. Potem zniżył głowę i spod oka śledził ruchy napastujących go ludzi.

Początkowo zbrojni ostrożnie skradali się z boków, ażeby go ukłuć. Lecz gdy zwierzę wciąż stało nieporuszone, ośmielili się i zaczęli przebiegać mu przed oczyma coraz bliżej.

Byk jeszcze bardziej pochylił głowę, lecz stał jak wkopany w ziemię. Publiczność zaczęła się śmiać, lecz nagle wesołość jej zamieniła się w okrzyk trwogi. Byk wypatrzył chwilę, ciężko podskoczył naprzód, trafił we włóczniarza i jednym uderzeniem rogów wyrzucił go do góry.

Człowiek spadł na ziemię z pogruchotanymi kośćmi, a byk pocwałował na drugą stronę areny i znowu stanął w pozycji obronnej.

Włóczniarze znowu go otoczyli i zaczęli drażnić, a przez ten czas wbiegli ma arenę słudzy cyrkowi, aby podnieść rannego, który jęczał. Byk, pomimo zdwojonych pchnięć włóczniami, stał bez ruchu; lecz gdy trzej słudzy wzięli na ramiona omdlałego bojownika, z szybkością wichru rzucił się na tę grupę, poprzewracał ich i zaczął straszliwie kopać nogami.

Między publicznością powstał zamęt: kobiety płakały, mężczyźni klęli i rzucali na byka, czym kto miał pod ręką. Na arenę zaczęły padać kije, noże, nawet deski z ław.

Wówczas przybiegł do rozjuszonego zwierzęcia człowiek z mieczem. Ale włóczniarze potracili głowy i nie wspierali go należycie, więc byk powalił go i zaczął ścigać innych.

Stała się rzecz niesłychana dotychczas w cyrkach: na arenie leżało pięciu ludzi, inni, źle broniąc się, uciekali przed zwierzęciem, a publiczność ryczała z gniewu lub ze strachu.

Wtem wszystko ucichło, widzowie powstali i wychylili się ze swych miejsc, przerażony Hiram zbladł i rozkrzyżował ręce... Na arenę, z lóż dostojników, wyskoczyli dwaj: książę Ramzes z dobytym mieczem i Sargon z krótką siekierką. Walka

Byk ze spuszczonym łbem i zadartym ogonem biegł wkoło areny wzniecając tuman kurzu. Pędził prosto na księcia, lecz jakby odepchnięty przez majestat królewskiego dziecięcia, wyminął Ramzesa, rzucił się na Sargona i — padł na miejscu. Zręczny a olbrzymio silny Asyryjczyk powalił go jednym uderzeniem toporka między oczy.

Publiczność zawyła z radości i poczęła sypać kwiaty na Sargona i jego ofiarę. Ramzes tymczasem stał z wydobytym mieczem zdziwiony i rozgniewany, patrząc, jak Kama wydzierała swoim sąsiadom kwiaty i rzucała je na Asyryjczyka.

Sargon obojętnie przyjmował objawy publicznego zachwytu. Trącił nogą byka, aby przekonać się, czy jeszcze żyje, a potem zbliżył się na parę kroków do księcia i coś przemówiwszy w swoim języku, ukłonił się z godnością wielkiego pana.

Ramzesowi przed oczyma przesunęła się krwawa mgła: chętnie wbiłby miecz w piersi temu zwycięzcy. Ale opanował się, chwilę pomyślał i, zdjąwszy ze swej szyi złoty łańcuch, podał go Sargonowi.

Asyryjczyk znowu skłonił się, pocałował łańcuch i włożył go sobie na szyję. A książę, z sinawymi rumieńcami na policzkach, skierował się do furtki, którą wchodzili na arenę aktorowie[237], i wśród okrzyków publiczności, głęboko upokorzony, opuścił cyrk.

ROZDZIAŁ IX

Był już miesiąc Tot (koniec czerwca, początek lipca). W mieście Pi-Bast i jego okolicach zaczął zmniejszać się napływ ludności z powodu gorąca. Ale na dworze Ramzesa wciąż jeszcze bawiono się i rozpowiadano o wypadkach w cyrku.

Dworzanie wychwalali odwagę księcia, niezręczni podziwiali siłę Sargona, kapłani z poważnymi minami szeptali, że jednak następca tronu nie powinien był mieszać się do walki z bykami. Od tego bowiem są inni ludzie, płatni i bynajmniej nie cieszący się publicznym szacunkiem.

Ramzes albo nie słyszał tych rozmaitych zdań, albo nie zwracał na nie uwagi. W jego pamięci z widowiska utrwaliły się dwa epizody: Asyryjczyk wydarł mu zwycięstwo nad bykiem i — umizgał się do Kamy, która bardzo życzliwie przyjmowała jego zaloty!

Ponieważ nie wypadało mu sprowadzać do siebie fenickiej kapłanki, więc pewnego dnia wysłał do niej list, w którym donosił, że chce ją zobaczyć, i pytał: kiedy go przyjmie? Przez tego samego posłańca Kama odpowiedziała, że będzie czekać na niego dziś wieczorem.

[237] *aktorowie* — dziś popr.: aktorzy.

Ledwie ukazały się gwiazdy, książę w największej tajemnicy, według swego przekonania, wysunął się z pałacu i poszedł.

Ogród świątyni Astoreth był prawie pusty, szczególniej w okolicach otaczających dom kapłanki. Dom był cichy i paliło się w nim zaledwie parę światełek.

Kiedy książę nieśmiało zapukał, kapłanka otworzyła mu sama. W ciemnym przysionku ucałowała mu ręce szepcząc, że umarłaby, gdyby wtedy, w cyrku, rozjuszone zwierzę zrobiło mu jaką krzywdę.

— Ale teraz musisz być spokojna — odparł z gniewem następca — skoro ocalił mnie twój kochanek...

Kiedy weszli do komnaty oświetlonej, książę spostrzegł, że Kama płacze.

— Cóż to znaczy? — zapytał.

— Odwróciło się ode mnie serce pana mego — rzekła. — A może i słusznie.

Następca gorzko roześmiał się.

— Więc już jesteś jego kochanką, czy dopiero masz nią zostać ty, święta dziewico?...

— Kochanką?... nigdy!... Ale mogę zostać żoną tego strasznego człowieka.

Ramzes zerwał się z siedzenia.

— Śpię?... — zawołał — czy Set rzucił na mnie przekleństwo?... Ty, kapłanka, która pilnujesz ognia przy ołtarzu Astoreth i pod grozą śmierci musisz być dziewicą, ty wychodzisz za mąż?... Zaprawdę, fenickie kłamstwo gorsze jest, aniżeli opowiadają o nim ludzie!...

— Posłuchaj mnie, panie — rzekła, ocierając łzy — i potęp, jeżeli zasłużyłam. Sargon chce mnie pojąć za żonę, za swoją pierwszą żonę. Według naszych ustaw, kapłanka, w bardzo wyjątkowych wypadkach, może zostać żoną, ale tylko mężczyzny pochodzącego ze krwi królewskiej. Sargon zaś jest powinowatym króla Assara...

— I ty wyjdziesz za niego?

— Jeżeli najwyższa rada kapłanów tyryjskich rozkaże mi, co pocznę?... — odparła, znowu zalewając się łzami.

— A cóż tą radę może obchodzić Sargon? — spytał książę.

— Podobno obchodzi ją bardzo wiele — mówiła z westchnieniem. — Fenicję mają podobno zabrać Asyryjczycy a Sargon ma zostać jej satrapą...

— Tyś oszalała!... — zawołał książę.

— Mówię, co wiem. Już w naszej świątyni po raz drugi zaczynają się modły o odwrócenie nieszczęścia od Fenicji...

Pierwszy raz odprawiliśmy je, nimeś ty przyjechał do nas, panie...

— Dlaczego znowu teraz?...

— Bo podobno w tych dniach przybył do Egiptu chaldejski kapłan Istubar z listami, w których król Assar mianuje Sargona swoim posłem i pełnomocnikiem do zawarcia traktatu z wami o zabór Fenicji.

— Ależ ja... — przerwał książę.

Chciał powiedzieć: „nic nie wiem", lecz wstrzymał się. Zaczął się śmiać i odparł:

— Kamo, przysięgam ci na cześć mego ojca, że dopóki ja żyję, Asyria nie zabierze Fenicji. Czy to dość?

— O panie!... panie!... — zawołała, upadając mu do nóg.

— Więc chyba teraz nie zostaniesz żoną tego gbura?

— Och!... — otrząsnęła się. — Czy możesz o to pytać?

— I będziesz moją... — szepnął książę.

— Zatem chcesz mojej śmierci?... — odparła przerażona. — Ha!... jeżeli tego chcesz, jestem gotowa...

— Chcę, ażebyś żyła... — szeptał roznamiętniony. — Żyła, należąc do mnie...

— To być nie może...

— A najwyższa rada kapłanów tyryjskich?...

— Może mnie tylko wydać za mąż...

— Wszak wejdziesz do mego domu...

— Gdybym weszła tam nie jako żona twoja — umrę... Ale jestem gotowa... nawet na to, aby nie ujrzeć jutrzejszego słońca...

— Bądź spokojna — odpowiedział z powagą książę. — Kto posiadł moją łaskę, nie dozna krzywdy.

Kama znowu uklękła przed nim.

— Jak się to może stać?... — spytała, składając ręce.

Ramzes był tak podniecony, tak już zapomniał o swoim stanowisku i obowiązkach, iż gotów był przyrzec kapłance małżeństwo. Powstrzymał go od tego kroku nie rozsądek, ale jakiś głuchy instynkt.

— Jak to może być?... Jak to może być?... — szeptała Kama, pożerając go wzrokiem i całując jego nogi.

Książę podniósł ją, posadził z daleka od siebie i odparł z uśmiechem:

— Pytasz, jak to być może?... Zaraz cię objaśnię. Ostatnim moim nauczycielem, zanim doszedłem do pełnoletności, był pewien stary kapłan, który umiał na pamięć mnóstwo dziwnych historii z życia bogów, królów, kapłanów, nawet niskich urzędników i chłopów.

Starzec ten, słynny z pobożności i cudów, nie wiem dlaczego, nie lubił kobiet, nawet obawiał się ich. Toteż najczęściej opisywał przewrotność kobiecą, a raz, aby dowieść mi, jak potężną macie władzę nad męskim rodzajem, opowiedział taką historię:

Młody i ubogi pisarz, nie mający w torbie miedzianego utena, tylko jęczmienny placek, wędrował z Tebów do Dolnego Egiptu szukać zarobku. Mówiono mu, że w tej części państwa mieszkają najbogatsi panowie i kupcy i byle dobrze trafił, może znaleźć posadę, na której zrobi duży majątek.

Szedł tedy brzegiem Nilu (za miejsce na statku nie miałby czym zapłacić) i myślał:

„Jakże nieopatrznymi są ludzie, którzy odziedziczywszy po ojcach talent, dwa talenty, nawet dziesięć, zamiast rozmnożyć skarb, bądź za pomocą handlu towarami, bądź wypożyczania na wysokie procenta, marnują, nie wiadomo na co, swój majątek! Ja gdybym miał drachmę... No, drachma za mało... Ale gdybym miał talent albo lepiej kilka zagonów ziemi, zwiększałbym to z roku na rok, a pod koniec życia byłbym tak bogaty jak najbogatszy nomarcha.

Lecz co począć!... — mówił z westchnieniem. — Bogowie snadź opiekują się tylko głupimi; mnie zaś napełnia mądrość od peruki do bosych pięt. A jeżeli i w moim sercu kryje się jakieś ziarno głupstwa, to chyba pod tym jednym względem, że zaprawdę! nie umiałbym strwonić fortuny, a nawet nie wiedziałbym: jak zabrać się do spełnienia podobnie bezbożnego czynu?"

Tak medytując, ubogi pisarz mijał lepiankę, przed którą siedział jakiś człowiek niemłody i niestary z bardzo bystrym spojrzeniem, które sięgało aż do głębi serca. Pisarz, mądry jak bocian, zaraz zmiarkował, że to musi być któryś z bogów, i skłoniwszy się, rzekł:

— Pozdrawiam cię, czcigodny właścicielu tego pięknego domu, i martwię się, że nie posiadam wina ani mięsa, aby podzielić je z tobą na znak, że cię szanuję i że wszystko, co mam, należy do ciebie.

Amonowi (on to był w ludzkiej postaci) podobała się uprzejmość młodego pisarza. Popatrzył więc na niego i spytał:

— O czym myślałeś, idąc tutaj? Widzę bowiem mądrość na twoim czole, a należę do tych, którzy, jak kuropatwa pszenicę, zbierają słowa prawdy.

Pisarz westchnął.

— Myślałem — mówił — o mojej nędzy i o tych lekkomyślnych bogaczach, którzy nie wiadomo na co i jakim sposobem trwonią majątki.

— A ty byś nie strwonił? — zapytał bóg, wciąż mający na sobie ludzką figurę.

— Spojrzyj na mnie, panie — rzekł pisarz. — Mam dziurawą płachtę i zgubiłem w drodze sandały, ale papirus i kałamarz ciągle noszę ze sobą jak własne serce. Albowiem wstając i kładąc się spać powtarzam, że lepszą jest uboga mądrość niż głupie bogactwo.

Jeżeli więc jestem taki, jeżeli umiem wysłowić się dwoma pismami i wykonać najzawilszy rachunek, jeżeli znam wszystkie rośliny i wszystkie zwierzęta, jakie tylko są pod niebem, to — czy możesz sądzić, abym ja, który posiadam taką mądrość, był zdolny do zmarnowania majątku?

Bożek zamyślił się i rzekł:

— Wymowa twoja płynie wartko jak Nil pod Memfisem, lecz jeżeli naprawdę jesteś

Mądrość, Mędrzec

tak mądry, to napisz mi dwoma sposobami: Amon.

Pisarz wydobył kałamarz, pędzel i w niedługim czasie na drzwiach lepianki napisał dwoma sposobami: Amon, tak wyraźnie, że nawet nieme stworzenia zatrzymywały się, aby złożyć hołd Panu.

Bożek był kontent i dodał:

— Jeżeli jesteś równie biegły w rachunkach jak w piśmiennictwie, to wyrachuj mi następującą sprawę handlową. Gdy za jedną kuropatwę dają mi cztery kurze jaja, to za siedem kuropatw ile powinni dać kurzych jaj?

Pisarz zebrał kamyki, układał je w rozmaite szeregi i nim słońce zaszło, odpowiedział, że za siedem kuropatw należy się — dwadzieścia osiem jaj kurzych.

Wszechmocny Amon aż uśmiechnął się, że widzi przed sobą mędrca tak niepospolitej miary, więc rzekł:

— Poznaję, żeś mówił prawdę o swojej mądrości. Jeżeli zaś okażesz się równie wytrwałym w cnocie, uczynię tak, że będziesz do końca życia szczęśliwym, a po śmierci synowie twoi umieszczą twój cień w pięknym grobowcu. A teraz powiedz: jakiego chcesz bogactwa, którego byś nie tylko nie strwonił, ale jeszcze pomnożył?

Pisarz upadł do nóg miłosiernemu bóstwu i odparł:

— Gdybym choć posiadał tę lepiankę i ze cztery miary gruntu, byłbym bogaty.

— Dobrze — mówi bóg — ale pierwej rozejrzyj się, czy ci to wystarczy.

Zaprowadził go do chaty i prawił:

— Masz tu cztery czepce i fartuszki, dwie płachty na niepogodę i dwie pary sandałów. Tu masz ognisko, tu ławę, na której można sypiać, stępę do tłuczenia pszenicy i dzieżę do ciasta...

— A to co jest? — zapytał pisarz, wskazując na jakąś figurę okrytą płótnem.

— Otóż to jedno jest — odparł bóg — czego nie powinieneś dotykać, bo stracisz cały majątek.

— Aj!... — krzyknął pisarz. — Może to sobie stać przez tysiąc lat i nie zaczepię go... Za pozwoleniem waszej czci: co to za folwark widać tam?...

I wychylił się przez okno lepianki.

— Mądrze powiedziałeś — rzekł Amon. — Jest to bowiem folwark, i nawet piękny. Ma obszerny dom, pięćdziesiąt miar gruntu, kilkanaście sztuk bydła i dziesięciu niewolników. Gdybyś wolał posiadać tamten folwark...

Pisarz upadł do nóg bogu.

— Jestże — spytał — taki człowiek pod słońcem, który zamiast jęczmiennego placka nie wolałby bułki pszennej?...

Usłyszawszy to, Amon wymówił zaklęcie, i w tejże chwili obaj znaleźli się w okazałym domu folwarcznym.

— Masz tu — mówił bóg — rzeźbione łoże, pięć stolików i dziesięć krzeseł. Masz tu haftowane szaty, stągwie i szklanki na wino, masz tu oliwną lampę i lektykę...

— A to co jest? — zapytał pisarz, wskazując na figurę, która stała w kącie okryta muślinem.

— Tego jednego — odparł bóg — nie zaczepiaj, bo stracisz cały majątek.

— Choćbym dziesięć tysięcy lat żył — zawołał pisarz — nie tknę tej rzeczy!... Uważam bowiem, że po mądrości najlepszym jest bogactwo.

— Ale co to tam widać? — spytał po chwili, wskazując na ogromny pałac w ogrodzie.

— To są dobra książęce — odparł bóg. — Jest pałac, pięćset miar ziemi, stu niewolników i paręset sztuk bydła. Wielki to majątek, lecz jeżeli sądzisz, że podoła mu twoja mądrość...

Pisarz znowu upadł do nóg Amonowi, zalewając się łzami radości.

— O panie!... — wołał. — A gdzie jest taki szaleniec, który zamiast kubka piwa nie wolałby kadzi wina?

— Słowa twoje godne są mędrca, który rozwiązuje najtrudniejsze rachunki — rzekł Amon.

Wymówił wielkie słowa zaklęcia i obaj z pisarzem znaleźli się w pałacu.

— Masz tu — mówił dobry bóg — salę jadalną, w niej złocone kanapy i krzesła tudzież stoliki wykładane różnokolorowym drzewem. Pod spodem jest kuchnia dla

pięciu kucharzy, spiżarnia, gdzie znajdziesz wszelkie mięsiwo, ryby i ciasta, wreszcie piwnica z najdoskonalszym winem. Masz tu sypialnię z ruchomym dachem, którym twoi niewolnicy będą chłodzili cię podczas snu. Zwracam twoją uwagę na łoże, które jest z cedrowego drzewa i opiera się na czterech lwich łapach, kunsztownie odlanych z brązu. Masz tu szatnię pełną lnianych i wełnianych szat; zaś w skrzyniach znajdziesz pierścienie, łańcuchy i bransolety...

— A to co jest?... — zapytał nagle pisarz wskazując na figurę, okrytą welonem haftowanym złotymi i purpurowymi nićmi.

— Toć jest właśnie, czego najbardziej strzec się powinieneś — odparł bóg. — Jeżeli tego dotkniesz, twój ogromny majątek przepadnie. A zaprawdę mówię ci, że niewiele jest podobnych dóbr w Egipcie. Muszę ci bowiem dodać, że w skarbcu leży dziesięć talentów złotem i drogimi kamieniami.

— Władco mój!... — krzyknął pisarz. — Pozwól, ażeby w tym pałacu na pierwszym miejscu stanął twój święty posąg, przed którym trzy razy dziennie paliłbym wonności...

— Ale tamtego unikaj! — odparł Amon, wskazując na figurę okrytą welonem.

— Chyba straciłbym rozum i byłbym gorszy od dzikiej świni, dla której wino znaczy tyle co pomyje — rzekł pisarz. — Niech ta figura w welonie pokutuje tu sto tysięcy lat, a nie dotknę jej, jeżeli taka twoja wola...

— Pamiętaj, że straciłbyś wszystko!... — zawołał bóg i zniknął.

Uszczęśliwiony pisarz zaczął chodzić po swoim pałacu i wyglądać oknami. Obejrzał skarbiec i zważył w rękach złoto: było ciężkie; przypatrzył się drogim kamieniom — były prawdziwe. Kazał sobie podać jedzenie: natychmiast wbiegli niewolnicy, wykąpali go, ogolili i ubrali w cienkie szaty.

Najadł się i napił jak nigdy: jego głód bowiem łączył się z doskonałością potraw w jeden smak przedziwny. Zapalił wonności przed posągiem Amona i ubrał go w świeże kwiaty. Później siadł w oknie.

Na dziedzińcu rżało parę koni zaprzęgniętych do rzeźbionego wozu. W innym miejscu gromada ludzi z włóczniami i sieciami uspakajała niesforne psy myśliwskie rwące się do polowania. Przed spichrzem jeden pisarz odbierał ziarno od rolników, przed oborą drugi pisarz przyjmował rachunek od dozorcy pastuchów.

W dali widać było gaj oliwny, wysokie wzgórze zarośnięte winogradem, łany pszenicy, a po wszystkich polach gęsto rozsadzone palmy daktylonośne.

„Zaiste! — rzekł — do siebie — jestem dziś bogaty tak właśnie, jak mi się należało. I jedno dziwi mnie, że tyle lat mogłem wytrzymać w upodleniu i nędzy! Muszę też wyznać — ciągnął w duchu — że nie wiem, czy potrafię zwiększyć ten ogromny majątek, bo i nie potrzebuję więcej, i nie będę miał czasu uganiać się za spekulacjami."

Zaczęło mu jednak nudzić się w pokojach, więc obejrzał ogród, objechał pola, porozmawiał ze sługami, którzy padali przed nim na brzuchy, choć byli tak ubrani, że on wczoraj jeszcze uważałby sobie za zaszczyt całować ich ręce. Lecz że i tam było mu nudno, więc wrócił do pałacu i przypatrywał się zapasom swojej spiżarni i piwnicy tudzież sprzętom w komnatach.

„Ładne to — mówił do siebie — ale piękniejsze byłyby sprzęty z samego złota, a dzbany z drogich kamieni."

Oczy jego machinalnie zwróciły się w ten kąt, gdzie stała figura okryta haftowanym welonem i — wzdychała.

„Wzdychaj sobie, wzdychaj!" — myślał, biorąc kadzielnicę, aby spalić wonności przed posągiem Amona.

„Dobry to bóg — myślał — który ocenia przymioty mędrców, nawet bosych, i wymierza im sprawiedliwość. Jaki on mi dał piękny majątek!... No, prawda, że i ja go uczciłem, wypisując podwójnym pismem imię Amon — na drzwiach tej chałupy. Albo jak ja mu to pięknie wyrachowałem: ile dostanie kurzych jaj za siedem kuropatw? Mieli słuszność moi mistrze twierdząc, że mądrość nawet bogom otwiera usta."

Spojrzał znowu w kąt. Postać okryta welonem znowu westchnęła.

„Ciekawy jestem — mówił do siebie pisarz — dlaczego mój przyjaciel Amon zabronił mi dotykać tej oto sztuczki, co tam stoi w kącie? No, za taki majątek miał prawo nakładać mi warunki; chociaż ja nic podobnego nie zrobiłbym mu. Bo jeżeli cały ten pałac jest

moją własnością, jeżeli wszystkiego, co tu jest, mogę używać, dlaczego tamtej rzeczy nie miałbym nawet dotknąć?...

Tak się mówi: nie wolno dotykać! Wolno wreszcie zobaczyć..." Kobieta, Kobieta demoniczna

Zbliżył się do figury, zdjął ostrożnie welon, patrzy... jest coś bardzo ładnego. Niby piękny młody chłopiec, ale nie chłopiec... Ma włosy długie do kolan, drobne rysy i pełne słodyczy spojrzenie.

— Co ty jesteś? — mówi do figury.

— Ja jestem kobieta — odpowiada mu postać głosem tak cienkim, że wniknął mu w serce jak sztylet fenicki.

„Kobieta?... — myśli pisarz. — Tego mnie nie uczono w kapłańskiej szkole." — Kobieta?... — powtórzył. — A co masz o tutaj?...

— To moje oczy.

— Oczy?... Cóż ty zobaczysz takimi oczami, które od lada światła mogą się rozpłynąć.

— Bo moje oczy nie są do tego, żebym ja nimi patrzyła, tylko żebyś ty w nie patrzył — odpowiedziała figura.

„Dziwne oczy!" — rzekł do siebie pisarz, chodząc po pokoju.

Znowu przystanął przed postacią i zapytał:

— A to co masz?

— To moje usta.

— Przez bogi! umrzesz z głodu — zawołał — bo tak małymi ustami najeść się nie można...

— One też nie są do jedzenia — odparła figura — tylko żebyś ty je całował.

— Całował? — powtórzył pisarz. — I tego nie uczono mnie w kapłańskiej szkole... A to o... co to masz?

— To moje rączki.

— Rączki?... Dobrześ nie powiedziała, że to ręce, bo takimi rękoma nic byś zrobić nie potrafiła, nawet udoić owcy.

— Moje rączki nie są do roboty.

— Tylko do czego? — zdziwił się pisarz, rozstawiając jej palce...

(Jak ja twoje, Kamo — rzekł następca, pieszcząc drobną rączkę kapłanki.)

— Tylko do czego są takie ręce? — pytał pisarz figury.

— Ażebym nimi ciebie obejmowała za szyję.

— Chcesz mówić: za kark?... — wrzasnął przerażony pisarz, którego kapłani zawsze chwytali za kark, gdy miał otrzymać plagi.

— Nie za kark — rzekła postać — tylko o tak...

I objęła go — ciągnął książę — rękoma za szyję, o tak... (Tu otoczył się rękoma kapłanki.) — I przytuliła go do swej piersi o tak, o... (Tu przytulił się do Kamy.)

— Panie, co robisz?... — szepnęła Kama. — Wszakże to śmierć moja...

— Bądź spokojna — odparł książę — ja ci tylko pokazuję, co tamta postać robiła z pisarzem...

...Wtem zadrżała ziemia, pałac zniknął, znikły psy, konie i niewolnicy. Wzgórze pokryte winogradem zmieniło się w opokę, drzewa oliwne w cierń, a pszenica w piasek...

Pisarz, gdy ocknął się w objęciach kochanki, zrozumiał, że jest takim nędzarzem, jakim był wczoraj na gościńcu. Ale nie żałował swoich bogactw, ponieważ miał kobietę, która kochała go i pieściła! Miłość

— Więc wszystko znikło, a ona nie znikła!... — zawołała naiwnie Kama.

— Litościwy Amon zostawił mu ją na pociechę — rzekł książę.

— O, to Amon był tylko dla pisarza litościwym — odparła Kama. — Ale co ma znaczyć ta historia?

— Zgadnij. Wreszcie słyszałaś, czego biedny pisarz wyrzekł się za pocałunek kobiety...

— Ale tronu nie wyrzekłby się! — przerwała kapłanka. Interes, Rozczarowanie

— Kto wie?... gdyby go bardzo o to poproszono — szeptał namiętnie Ramzes.

— O nie!... — zawołała Kama, wydzierając mu się z objęć. — Tronu niech się nie wyrzeka, bo w takim razie cóż by zostało z jego obietnic dla Fenicji...

Oboje spojrzeli sobie w oczy długo... długo... W tej chwili książę uczuł niby ranę w sercu i niby że z tej rany uciekło mu jakieś uczucie. Nie namiętność, bo namiętność została, ale — szacunek i wiara w Kamę.

„Dziwne te Fenicjanki — pomyślał następca — można za nimi szaleć, lecz niepodobna im ufać..."

Uczuł się znużonym i pożegnał Kamę. Spojrzał po komnacie, jakby trudno mu było rozstać się z nią, i odchodząc, rzekł do siebie:

„A jednak ty zostaniesz moją i bogowie feniccy nie zabiją cię, jeżeli dbają o swoje świątynie i kapłanów."

Ledwie Ramzes opuścił willę Kamy, do pokoju kapłanki wpadł młody Grek, uderzająco piękny i uderzająco podobny do egipskiego księcia. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

— Lykon!... — zawołała przerażona Kama. — Co tu robisz?...

— Podła gadzino!... — odparł Grek dźwięcznym głosem. — Jeszcze miesiąc nie upłynął od wieczora, kiedy przysięgłaś, że mnie kochasz, że uciekniesz ze mną do Grecji, a już drugiemu kochankowi rzucasz się na szyję... Czy pomarli bogowie, czy uciekła od nich sprawiedliwość?...

— Szalony zazdrośniku — przerwała kapłanka — ty mnie zabijesz...

— Z pewnością, że ja cię zabiję, nie twoja skamieniała bogini... Tymi rękoma — wołał, wyciągając ręce jak szpony — uduszę cię, gdybyś została kochanką...

— Czyją?...

— Albo ż ja wiem!... Zapewne obu: tego starego Asyryjczyka i tego książątka, któremu kamieniem łeb rozwalę, jeżeli będzie się tu włóczył... Książę!... ma wszystkie niewiasty z całego Egiptu i... jeszcze mu się zachciewa cudzych kapłanek... Kapłanki są dla kapłanów, nie dla obcych...

Kama odzyskała już zimną krew.

— A ty nie jesteś dla nas obcy? — rzekła wyniośle.

— Żmijo!... — wybuchnął Grek powtórnie. — Ja nie mogę być obcym dla was, gdy dar mego głosu, którym ozdobili mnie bogowie, obracam na służbę waszym bogom... A ileż to razy za pomocą mej postaci oszukiwaliście głupich Azjatów, że następca egipskiego tronu potajemnie wyznaje waszą wiarę?...

— Cicho!... cicho!... — zasyczała kapłanka, zamykając mu ręką usta.

Coś w jej dotknięciu musiało być czarującego, gdyż Grek uspokoił się i począł mówić ciszej:

— Słuchaj, Kama. W tych czasach przypłynie do Zatoki Sebenickiej grecki statek prowadzony przez mego brata. Postarajże się, aby cię arcykapłan wysłał do Pi-Uto, skąd uciekniemy nareszcie do północnej Grecji, w takie miejsce, które jeszcze nie widziało Fenicjan...

Namiętność, Interes

— Zobaczy ich, jeśli ja się tam skryję — przerwała kapłanka.

— Gdyby tobie włos spadł — szeptał rozwścieczony Grek — przysięgam, że Dagon... że wszyscy tutejsi Fenicjanie oddadzą głowy lub zdechną w kopalniach! Poznają oni, co może Grek...

— A ja ci mówię — odparła tym samym głosem kapłanka — że dopóki nie zbiorę dwudziestu talentów, nie ruszę się stąd... A mam dopiero osiem...

— Skądże weźmiesz resztę?

— Dadzą mi Sargon i namiestnik.

— Na Sargona zgoda, ale księcia nie chcę!...

— Głupi Lykonie, czyli nie widzisz, dlaczego trochę podoba mi się ten młodzik?... Ciebie przypomina!...

Grek zupełnie uspokoił się.

— No, no!... — mruczał. — Rozumiem, że gdy kobieta ma do wyboru między następcą tronu i takim jak ja śpiewakiem, nie mam potrzeby lękać się... Ale jestem zazdrosny i gwałtowny, więc proszę cię, ażebyś go jak najmniej spoufalała do siebie.

Ucałował ją, wymknął się z willi i zniknął w ciemnym ogrodzie.

Kama wyciągnęła za nim zaciśniętą pięść.

— Nikczemny pajacu!... — szepnęła — który zaledwie mógłbyś być u mnie śpiewającym niewolnikiem...

ROZDZIAŁ X

Kiedy Ramzes przyszedł nazajutrz odwiedzić swego syna, znalazł Sarę rozpływającą się we łzach. Zapytał o powód. Z początku odpowiedziała, że nic jej nie jest, potem, że jej smutno, wreszcie — upadła do nóg Ramzesowi z wielkim płaczem.

— Panie... panie mój!... — szeptała. — Wiem, że mnie już nie kochasz, ale przynajmniej siebie nie narażaj...

— Kto powiedział, że cię już nie kocham? — spytał zdziwiony książę.

— Masz przecie trzy nowe kobiety w swym domu... panny wielkich rodów...

— A... więc o to chodzi...

— I jeszcze narażasz się dla czwartej... dla przewrotnej Fenicjanki...

Książę zmieszał się. Skąd Sara mogła dowiedzieć się o Kamie i odgadnąć, że jest przewrotna?...

— Jak pył wciska się do skrzyni, tak niegodziwe wieści wpadają do najspokojniejszych domów — rzekł Ramzes. — Któż ci mówił o Fenicjance?

— Czy ja wiem kto? Zła wróżba i serce moje.

— Więc są nawet i wróżby?...

— Straszne! Jedna stara kapłanka dowiedziała się, podobno z kryształowej kuli, że wszyscy zginiemy przez Fenicjan, a przynajmniej ja i... mój syn!... — wybuchnęła Sara.

— I ty, która wierzysz w Jedynego, w Jehowę, ty lękasz się bajań jakiejś głupiej staruchy, a może intrygantki?... Gdzież twój wielki Bóg?...

— Mój Bóg jest tylko moim, a tamci — twoimi, więc muszę ich szanować.

— Zatem ta stara mówiła ci o Fenicjanach? — pytał Ramzes.

— Ona wróżyła mi dawniej, jeszcze pod Memfisem, że powinnam wystrzegać się Fenicjanki — odparła Sara. — Ale dopiero tu wszyscy mówią o jakiejś kapłance fenickiej. Czy ja wiem, może tylko coś majaczy mi się w stroskanej głowie. Powiadali nawet, że gdyby nie jej uroki, nie skoczyłbyś, panie, wtedy do areny... Ach, gdyby cię byk zabił!... Jeszcze i teraz, kiedy myślę o nieszczęściu, jakie cię mogło spotkać, serce we mnie zastyga...

— Śmiej się z tego, Saro — przerwał wesoło książę. — Kogo ja przygarnę do siebie, stoi tak wysoko, że go żaden strach nie powinien dosięgać... Tym mniej głupie wieści.

— A nieszczęście? Czyliż jest dość wysoka góra, na którą nie doleciałby jego pocisk?...

— Macierzyństwo zmęczyło cię, Saro — rzekł książę — a gorąco rozstraja twoje myśli, i dlatego frasujesz się bez powodu. Bądź spokojna i czuwaj nad moim synem. Człowiek — mówił w zamyśleniu — kimkolwiek on jest: Fenicjaninem czy Grekiem, może szkodzić tylko podobnym sobie istotom, ale nie nam, którzy jesteśmy bogami tego świata.

— Co powiedziałeś o Greku?... Jaki Grek?... — spytała niespokojnie Sara.

— Ja powiedziałem: Grek?... Nic o tym nie wiem. Może wymknął mi się podobny wyraz, a może ty przesłyszałaś się.

Ucałował Sarę i swego syna i pożegnał ich. Ale nie odpędził niepokoju.

„Raz trzeba sobie powiedzieć — myślał — że w Egipcie nie ukryje się żadna tajemnica. Mnie śledzą kapłani i moi dworzanie nawet wówczas, gdy są czy tylko udają pijanych, a nad Kamą czuwają wężowe źrenice Fenicjan. Jeżeli dotychczas nie ukryli jej przede mną, niewiele muszą dbać o jej cnotę. Zresztą wobec kogo?... Wobec mnie, któremu sami odsłonili oszustwa swojej świątyni!... Kama będzie należała do mnie... Zbyt wiele mają w tym interesu, ażeby chcieli ściągać mój gniew na siebie..."

W parę dni przyszedł do księcia święty kapłan Mentezufis, pomocnik dostojnego Herhora w ministerium wojny. Ramzes patrząc na bladą twarz i spuszczone oczy proroka odgadł, że i ten już wie o Fenicjance, a może nawet, z kapłańskiego stanowiska, zechce mu robić wymówki. Ale Mentezufis tym razem nie dotknął sercowych spraw następcy.

Przywitawszy księcia z urzędową miną, prorok usiadł na wskazanym miejscu i zaczął:

— Z memfijskiego pałacu pana wieczności zawiadomiono mnie, że w tych czasach przyjechał do Pi-Bast wielki kapłan chaldejski Istubar, nadworny astrolog i doradca jego miłości króla Assara...

Książę chciał podpowiedzieć Mentezufisowi cel przybycia Istubara, ale przygryzł wargi i zmilczał.

— Zaś znakomity Istubar — ciągnął kapłan — przywiózł ze sobą dokumenta, na mocy których dostojny Sargon, powinowaty i satrapa jego miłości króla Assara, zostaje u nas posłem i pełnomocnikiem tegoż potężnego króla...

Ramzes o mało nie wybuchnął śmiechem. Powaga, z jaką Mentezufis raczył odsłonić cząstkę tajemnic od dawna znanych księciu, napełniła go wesołością i — pogardą.

„Więc ten kuglarz — myślał następca — nawet nie przeczuwa w sercu swoim, że ja znam wszystkie ich szalbierstwa?..."

— Dostojny Sargon i czcigodny Istubar — mówił Mentezufis — udadzą się do Memfis ucałować nogi jego świątobliwości. Pierwej jednak wasza dostojność, jako namiestnik, raczysz przyjąć łaskawie obu tych dygnitarzy tudzież ich świtę.

— Bardzo chętnie — odparł książę — a przy sposobności spytam ich: kiedy Asyria zapłaci nam zaległe daniny?

— Wasza dostojność zrobiłbyś to? — rzekł kapłan, patrząc mu w oczy.

— Przede wszystkim to!... Nasz skarb potrzebuje danin...

Mentezufis nagle powstał z siedzenia i uroczystym choć zniżonym głosem rzekł:

— Namiestniku pana naszego i rozdawcy życia: w imieniu jego świątobliwości zabraniam ci mówić z kimkolwiek o daninach, a nade wszystko z Sargonem, Istubarem i kimkolwiek z ich świty.

Książę pobladł.

— Kapłanie — rzekł również powstając — na jakiej zasadzie przemawiasz do mnie tonem zwierzchnika?...

Mentezufis odchylił szatę i zdjął ze szyi łańcuszek, na którym był jeden z pierścieni faraona.

Namiestnik obejrzał go, pobożnie ucałował i zwróciwszy kapłanowi, odparł:

— Spełnię rozkazy jego świątobliwości, mego pana i ojca.

Znowu obaj usiedli i książę zapytał kapłana:

— Czy wasza dostojność nie mógłbyś mnie objaśnić: dlaczego Asyria nie ma nam płacić danin, które od razu wydobyłyby skarb państwa z kłopotów?

— Bo my nie mamy sił zmusić Asyrii do płacenia nam danin — odparł zimno Mentezufis. — Mamy sto dwadzieścia tysięcy wojska, Asyria zaś około trzystu tysięcy. Mówię to waszej dostojności całkiem poufnie, jako wysokiemu urzędnikowi państwa.

— Rozumiem. Ale dlaczego ministerium wojny, w którym służysz, zmniejszyło naszą waleczną armię o sześćdziesiąt tysięcy ludzi?

— Ażeby dochody na dwór jego świątobliwości powiększyć o dwanaście tysięcy talentów — rzekł kapłan.

— Aha!... Powiedzże mi, wasza dostojność — ciągnął książę — w jakim tedy celu jedzie Sargon do stóp faraona?

— Nie wiem.

— Aha!... Ale dlaczego ja nie mam wiedzieć, ja, następca tronu?...

— Bo są tajemnice państwa, które zna zaledwie kilku dostojników...

— I których mógłby nawet nie znać mój najczcigodniejszy ojciec?...

— Z pewnością — odparł Mentezufis — że są rzeczy, o których mógłby nie wiedzieć nawet jego świątobliwość, gdyby nie posiadał najwyższych święceń kapłańskich.

— Dziwna rzecz! — mówił książę po namyśle. — Egipt jest własnością faraona i mimo to mogą dziać się w państwie sprawy nie znane faraonowi?... Wytłumacz mi to, wasza dostojność.

— Egipt jest przede wszystkim, a nawet jedynie i wyłącznie własnością Amona — rzekł kapłan. — Jest zatem konieczne, aby ci tylko znali najwyższe tajemnice, którym Amon objawia swoją wolę i plany.

Książę słuchając doznawał takich uczuć, jakby go przewracano na łożu wybitym sztyletami i jeszcze podkładano ogień.

Mentezufis chciał podnieść się, namiestnik zatrzymał go.

— Jeszcze słowo — mówił łagodnie. — Jeżeli Egipt jest tak słabym, że nie wolno nawet wspomnieć o asyryjskich daninach...

Zadyszał się.

— ...Jeżeli jest tak nędznym — ciągnął — to jakaż pewność, że nas nie napadną Asyryjczycy?

— Od tego można zabezpieczyć się traktatami — odparł kapłan.

Następca machnął ręką.

— Nie ma traktatów dla słabych! — rzekł. — Nie zasłonią granic srebrne tablice zapisane ugodami, jeżeli za nimi nie staną włócznie i miecze.

— A któż waszej dostojności powiedział, że u nas nie staną?

— Ty sam. Sto dwadzieścia tysięcy ludzi muszą[238] ustąpić przed trzystoma tysiącami. No, a gdyby Asyryjczycy raz do nas weszli, z Egiptu zostałaby pustynia...

Mentezufisowi zapłonęły oczy.

— Gdyby weszli do nas — zawołał — kości ich nigdy nie zobaczyłyby swej ziemi!... Uzbroilibyśmy całą szlachtę, pułki robotnicze, nawet przestępców z kopalń... Wydobylibyśmy skarby ze wszystkich świątyń... I spotkałaby się Asyria z pięciomaset[239] tysiącami egipskich wojowników...

Ramzes był zachwycony tym wybuchem patriotyzmu kapłana. Schwycił go za rękę i rzekł:

— Więc jeżeli możemy mieć taką armię, dlaczego nie napadamy na Babilon?... Czyliż wielki wojownik Nitager nie błaga nas o to od kilku lat?... Czyliż jego świątobliwość nie niepokoi się wrzeniem Asyrii?... Gdy im pozwolimy zebrać siły, walka będzie trudniejsza, ale gdy rozpoczniemy sami...

Kapłan przerwał mu.

— Czy ty wiesz, książę — mówił — co to jest wojna, i to jeszcze taka wojna, do której trzeba iść przez pustynię? Kto zaręczy, że nim dotarlibyśmy do Eufratu, połowa naszej armii i tragarzy nie wyginęłaby z trudów?

— Wyrównalibyśmy to jedną bitwą — wtrącił Ramzes.

— Bitwa!... — powtórzył kapłan. — A czy wiesz, książę, co to jest bitwa?...

— Spodziewam się! — odparł dumnie następca, uderzając w miecz.

Mentezufis wzruszył ramionami.

— A ja mówię ci, panie, że ty nie wiesz, co to jest bitwa. Owszem, masz nawet o niej całkiem fałszywe pojęcie z manewrów, na których zawsze bywałeś zwycięzcą, choć nieraz powinieneś być zwyciężonym...

Książę spochmurniał. Kapłan wsunął rękę za swoją szatę i nagle spytał:

— Zgadnij, wasza dostojność, co trzymam?

— Co?... — powtórzył zdziwiony książę.

— Zgadnij prędko i dobrze — nalegał kapłan — bo jeżeli omylisz się, zginą dwa twoje pułki...

— Trzymasz pierścień — odparł rozweselony następca.

Mentezufis otworzył rękę: był w niej kawałek papirusa.

— A teraz co mam?... — spytał znowu kapłan.

— Pierścień.

— Otóż nie pierścień, tylko amulet boskiej Hator — rzekł kapłan.

— Widzisz, panie — mówił dalej — to jest bitwa. W czasie bitwy los co chwila wyciąga do nas rękę i każe jak najśpieszniej odgadywać zamknięte w niej niespodzianki. Mylimy się lub zgadujemy, ale biada temu, kto częściej omylił się, aniżeli odgadł... A stokroć biada tym, przeciw komu los odwraca się i zmusza do omyłek!...

— A jednak ja wierzę, ja czuję tu... — zawołał następca, bijąc się w piersi — że Asyria musi być zdeptana!

— Oby przez usta twoje przemawiał bóg Amon — rzekł kapłan. — I tak jest — dodał — Asyria będzie poniżona, może nawet twoimi rękoma, panie, ale nie zaraz... nie zaraz...

Mentezufis pożegnał go, książę został sam. W jego sercu i głowie huczało.

„A więc miał słuszność Hiram, że oni nas oszukują — myślał Ramzes. — Teraz i ja już jestem pewny, że nasi kapłani zawarli z chaldejskimi jakąś umowę, którą jego świątobliwość będzie musiał zatwierdzić. Będzie musiał!... czy słyszano o podobnej potworności?... On, pan żyjącego i zachodniego świata, on musi podpisywać umowy wymyślone przez intrygantów!..."

---

[238] *Sto dwadzieścia tysięcy ludzi muszą* — dziś popr.: Sto dwadzieścia tysięcy ludzi musi.

[239] *pięciomaset* — dziś raczej: pięciuset.

Tchu mu brakło.

„Swoją drogą święty Mentezufis zdradził się. Więc to tak jest, że w razie potrzeby Egipt może wystawić półmilionową armię?... Nawet nie marzyłem o podobnej sile!... i oni myślą, że ja będę lękał się ich bajek o losie, który nam każe rozwiązywać zagadki... Niechbym miał tylko dwieście tysięcy wojska, wymusztrowanego jak nasze greckie i libijskie pułki, a podejmę się rozwiązać wszystkie zagadki na ziemi i niebie."

Zaś czcigodny prorok Mentezufis, wracając do swej celi, mówił w sobie:

„Zapalona to głowa, kobieciarz, awanturnik, ale potężny charakter. Po słabym dzisiejszym faraonie bodaj że ten przypomni nam czasy Ramzesa Wielkiego. Za dziesięć lat złe gwiazdy odmienią się, on dojrzeje i skruszy Asyrię. Z Niniwy zostaną gruzy, święty Babilon odzyska należne dostojeństwo, a jeden najwyższy Bóg, Bóg egipskich i chaldejskich proroków, zapanuje od pustyni Libijskiej aż het do najświętszej rzeki Gangesu...

Byle tylko nasz młodzik nie ośmieszył się nocnymi wędrówkami do kapłanki fenickiej!... Gdyby go zobaczono w ogrodzie Astoreth, lud mógłby myśleć, że następca tronu nakłania uszu do fenickiej wiary... A Dolnemu Egiptowi już niewiele potrzeba, aby wyprzeć się starych bogów... Cóż to za mieszanina narodów!..."

W kilka dni później dostojny Sargon urzędownie[240] zawiadomił księcia o swej roli asyryjskiego posła, oświadczył chęć powitania następcy tronu i prosił o orszak egipski, który by go odprowadził ze wszelkim bezpieczeństwem i honorami do stóp jego świątobliwości faraona.

Książę zatrzymał się z odpowiedzią dwa dni i wyznaczył Sargonowi posłuchanie znowu po upływie dwu dni. Asyryjczyk, przywykły do wschodniej powolności w podróżach i interesach, wcale się tym nie martwił i nie marnował czasu. Pił od rana do wieczora, grał w kości z Hiramem i innymi azjatyckimi bogaczami, a w chwilach wolnych, podobnie jak Ramzes, wymykał się do Kamy.

Tam, jako człowiek starszy i praktyczny, za każdą wizytą ofiarowywał kapłance bogate podarunki. Swoje zaś uczucia dla niej wyrażał w ten sposób:

— Co ty, Kama, siedzisz w Pi-Bast i chudniesz? Dopókiś młoda, bawi cię służba przy ołtarzach bogini Astoreth; ale gdy się zestarzejesz, nędzna czeka cię dola. Obedrą z ciebie kosztowne szaty, na twoje miejsce przyjmą młodszą, a ty musisz zarabiać na garstkę prażonego jęczmienia wróżbami lub dozorowaniem położnic.

Ja — ciągnął Sargon — gdyby bogowie za karę stworzyli mnie kobietą, wolałbym sam być położnicą aniżeli pielęgnować takowe.

Oświadczyny, Obyczaje

Dlatego mówię ci, jak człowiek mądry, rzuć świątynię i przystań do mego haremu. Dam za ciebie dziesięć talentów złotem, czterdzieści krów i sto mierzyc pszenicy. Kapłani z początku będą obawiali się kary bogów, ażeby więcej wyłudzić ode mnie. Ale że ja nie postąpię już ani drachmy, co najwyżej dorzucę kilka owieczek, więc odprawią uroczyste nabożeństwo i zaraz objawi się im niebieska Astoreth, która zwolni cię od ślubów, bylem[241] jeszcze dorzucił złoty łańcuch albo puchar.

Kama, słuchając tych poglądów, gryzła wargi ze śmiechu, a on ciągnął:

— Gdy zaś pojedziesz ze mną do Niniwy, zostaniesz wielką panią. Dam ci pałac, konie, lektykę, służebne i niewolników. Przez jeden miesiąc więcej wylejesz na siebie wonności, aniżeli tu przez cały rok ofiarujecie ich bogini.

A kto wie — kończył — może spodobasz się królowi Assarowi i on zechce cię wziąć do haremu? W takim razie i ty byłabyś szczęśliwsza, i ja odzyskałbym to, co wydam na ciebie.

W dniu wyznaczonym na posłuchanie dla Sargona pod pałacem następcy tronu stanęły wojska egipskie i tłum ludu chciwego widowisk.

Około południa, w czasie największego skwaru, ukazał się orszak asyryjski. Przodem szli uzbrojeni w miecze i kije policjanci, za nimi kilku nagich szybkobiegaczy i trzej konni. Byli to — trębacze i woźny. Na rogu każdej ulicy trębacze wygrywali sygnał, a po nich odzywał się wielkim głosem woźny:

---

[240] *urzędownie* — dziś: oficjalnie, urzędowo.

[241] *bylem dorzucił* (daw.) — byle bym dorzucił; jeżeli tylko dorzucę.

— Oto zbliża się poseł i pełnomocnik potężnego króla Assara, Sargon, powinowaty królewski, pan wielkich włości, zwycięzca w bitwach, rządca prowincji. Ludu, oddaj mu hołd należny, jako przyjacielowi jego świątobliwości władcy Egiptu!...

Za trębaczami jechało kilkunastu kawalerzystów asyryjskich w spiczastych czapkach, w kurtkach i obcisłych spodniach. Ich kudłate a wytrwałe konie na łbach i piersiach miały mosiężne zbroje w rybią łuskę.

Później szła piechota w kaskach i długich płaszczach do ziemi. Jeden oddziałek zbrojny był w ciężkie maczugi, następny w łuki, trzeci we włócznie i tarcze. Prócz tego każdy miał miecz i zbroję.

Za żołnierstwem szły konie, wozy i lektyki Sargona otoczone służbą w szatach białych, czerwonych, zielonych... Potem ukazało się pięć słoni z lektykami na grzbietach: na jednym jechał Sargon, na drugim chaldejski kapłan Istubar.

Pochód zamykali znowu piesi i konni żołnierze i przeraźliwa muzyka asyryjska, złożona z trąb, bębnów, blach i piskliwych fletów.

Książę Ramzes w otoczeniu kapłanów, oficerów i szlachty, odzianej barwnie i bogato, czekał na posła w wielkiej sali audiencjonalnej, która była ze wszystkich stron otwarta. Następca był wesół, wiedząc, że Asyryjczycy niosą z sobą podarunki, które w oczach egipskiego ludu mogą uchodzić za wypłatę daniny. Ale gdy na dziedzińcu usłyszał ogromny głos woźnego wychwalający potęgę Sargona, książę spochmurniał. Gdy zaś doleciało go zdanie, że król Assar jest przyjacielem faraona, rozgniewał się. Nozdrza rozszerzyły mu się jak rozdrażnionemu bykowi, a w oczach zapłonęły iskry. Widząc to oficerowie i szlachta zaczęli robić groźne miny i poprawiać miecze. Święty Mentezufis spostrzegł ich nieukontentowanie i zawołał:

— W imieniu jego świątobliwości rozkazuję szlachcie i oficerom, aby dostojnego Sargona przyjęli z szacunkiem, jaki należy się posłowi wielkiego króla!...

Następca tronu zmarszczył brwi i począł niecierpliwie chodzić po estradzie, na której stał jego namiestnikowski fotel. Ale karni oficerowie i szlachta uciszyli się, wiedząc, że z Mentezufisem, pomocnikiem ministra wojny, nie ma żartów.

Tymczasem na dziedzińcu ogromni, ciężko odziani żołnierze asyryjscy stanęli trzema szeregami naprzeciw półnagich i zwinnych żołnierzy egipskich. Obie strony patrzyły na siebie jak stado tygrysów na stado nosorożców. W sercu tych i tamtych tliła się starodawna nienawiść. Ale nad nienawiścią górowała komenda.

W tej chwili wtoczyły się słonie, wrzasnęły trąby egipskie i asyryjskie, oba wojska w górę podniosły broń, lud upadł na twarz, a dygnitarze asyryjscy, Sargon i Istubar, zstąpili z lektyk na ziemię.

W sali książę Ramzes zasiadł na wzniesionym fotelu pod baldachimem, a u wejścia ukazał się woźny.

— Najdostojniejszy panie! — zwrócił się do następcy. — Poseł i pełnomocnik wielkiego króla Assara, znakomity Sargon i jego towarzysz, pobożny prorok Istubar, pragną powitać ciebie i złożyć cześć tobie, namiestnikowi i następcy faraona, który oby żył wiecznie!...

— Poproś tych dostojników, ażeby weszli i ucieszyli serce moje swym widokiem — odparł książę.

Ze szczękiem i brzękiem wszedł do sali Sargon, w długiej zielonej szacie, gęsto wyszytej złotem. Obok, w płaszczu śnieżnej białości, kroczył pobożny Istubar, a za nimi strojni panowie asyryjscy nieśli dary dla księcia.

Sargon zbliżył się do podwyższenia i rzekł w języku asyryjskim, co natychmiast tłumacz powtórzył w egipskim:

Grzech, Obyczaje, Duma

— Ja, Sargon, wódz, satrapa i powinowaty najpotężniejszego króla Assara, przychodzę pozdrowić cię, namiestniku najpotężniejszego faraona, i na znak wiecznej przyjaźni ofiarować ci dary...

Następca oparł dłonie na kolanach i siedział nieporuszony jak posągi jego królewskich przodków.

— Tłumaczu — rzekł Sargon — czy źle powtórzyłeś księciu moje uprzejme powitanie?

Mentezufis stojący obok wzniesienia pochylił się ku Ramzesowi.

— Panie — szepnął — dostojny Sargon czeka na łaskawą odpowiedź...

— Więc mu odpowiedz — wybuchnął książę — iż nie rozumiem, na mocy jakiego prawa przemawia do mnie niby równy mi dostojeństwem?...

Mentezufis zmieszał się, co jeszcze więcej rozgniewało księcia, któremu wargi zaczęły drżeć i znowu zapłonęły oczy. Ale Chaldejczyk Istubar, rozumiejąc po egipsku, rzekł prędko do Sargona:

— Upadnijmy na twarze!...

— Dlaczego ja mam padać na twarz? — spytał oburzony Sargon.

— Upadnij, jeżeli nie chcesz stracić łaski naszego króla, a może i głowy...

To powiedziawszy, Istubar legł na posadzce jak długi, a obok niego Sargon.

— Dlaczego ja mam leżeć na moim brzuchu przed tym chłystkiem? — mruczał oburzony.

— Bo to namiestnik — odparł Istubar.

— A ja nie byłem namiestnikiem pana mego?...

— Ale on będzie królem, a ty nim nie będziesz.

— O co spierają się posłowie najpotężniejszego króla Assara? — zapytał już udobruchany książę tłumacza.

— O to, czy mają waszej dostojności pokazać dary, przeznaczone dla faraona, czy tylko oddać przesłane dla was — odparł zręczny tłumacz.

— Owszem, chcę widzieć dary dla mego świątobliwego ojca — rzekł książę — i pozwalam posłom wstać.

Sargon podniósł się, czerwony z gniewu czy zmęczenia, i usiadł, podwinąwszy pod siebie nogi, na podłodze.

— Nie wiedziałem — zawołał — że ja, krewny i pełnomocnik wielkiego Assara, będę musiał szatami moimi wycierać pył z posadzki egipskiego namiestnika!...

Mentezufis, który umiał po asyryjsku, nie pytając Ramzesa, kazał natychmiast przynieść dwie ławki pokryte dywanami, na których wnet zasiedli: zadyszany Sargon i spokojny Istubar.

Wysapawszy się, Sargon kazał podać wielki szklany puchar, stalowy miecz i przyprowadzić przed ganek dwa konie okryte złocistymi rzędami. A gdy spełniono jego rozkazy, podniósł się i z ukłonem rzekł do Ramzesa:

Broń

— Pan mój, król Assar, przysyła ci, książę, parę cudnych koni, które oby nosiły cię tylko do zwycięstw. Przysyła kielich, z którego niech zawsze radość spływa ci do serca, i — miecz, jakiego nie znajdziesz poza zbrojownią najpotężniejszego władcy.

Wydobył z pochwy dość długi miecz błyszczący niby srebro i począł zginać go w ręku. Miecz wygiął się jak łuk, a potem nagle wyprostował się.

— Zaiste! cudna to broń... — rzekł Ramzes.

— Jeżeli pozwolisz, namiestniku, okażę ci jeszcze inną jej zaletę — mówił Sargon, który, mogąc pochwalić się wyborną na owe czasy bronią asyryjską, zapomniał o gniewie.

Na jego żądanie jeden z egipskich oficerów wydobył swój miecz spiżowy i trzymał go jak do ataku. Wtedy Sargon podniósł miecz stalowy, uderzył i odciął kawałek broni przeciwnika.

W sali rozległ się szmer zdziwienia, a na twarz Ramzesa wystąpiły silne rumieńce.

„Ten cudzoziemiec — myślał książę — odebrał mi byka w cyrku, chce ożenić się z Kamą i pokazuje mi broń, która kraje nasze miecze jak wióry!..."

I jeszcze gorszą poczuł nienawiść do króla Assara, do wszystkich Asyryjczyków w ogóle, a do Sargona w szczególności.

Mimo to usiłował panować nad sobą i z całą uprzejmością poprosił posła o pokazanie mu darów dla faraona.

Wnet przyniesiono ogromne paki z wonnego drzewa, z których wyżsi urzędnicy asyryjscy wydobywali sztuki wzorzystych materii, puchary, dzbany, stalową broń, łuki z rogów koziorożca, złociste zbroje i puklerze wysadzane drogimi kamieniami.

Najwspanialszym jednak darem był model pałacu króla Assara, wyrobiony ze srebra i złota. Wyglądał on jak cztery gmachy, coraz mniejsze, postawione jeden na drugim, z których każdy był otoczony gęsto kolumnami, a zamiast dachu posiadał taras. Każdego wejścia pilnowały lwy albo skrzydlate byki z ludzkimi głowami. Po obu stronach schodów stały posągi lenników króla niosących dary, po obu stronach mostu były rzeźbione konie

w najrozmaitszych postawach. Sargon odsunął jedną ścianę modelu i ukazały się bogate pokoje zapełnione bezcennymi sprzętami. Szczególny zaś podziw obudziła sala audiencjonalna, gdzie znajdowały się figurki przedstawiające króla na wysokim tronie tudzież jego dworzan, żołnierzy i lenników składających hołdy.

Cały model miał długość dwu ludzi, a wysokość prawie wzrostu człowieka. Egipcjanie szeptali, że ten jeden dar króla Assara wart był ze sto pięćdziesiąt talentów.

Kiedy wyniesiono paki, namiestnik zaprosił obu posłów i ich orszak na ucztę, podczas której goście byli sowicie obdarowani. Ramzes tak daleko posunął swoją uprzejmość, że gdy Sargonowi podobała się jedna z kobiet następcy, książę darował ją posłowi, rozumie się za jej zgodą i przyzwoleniem jej matki.

Był więc grzeczny i hojny, ale czoła swego nie rozchmurzył. A gdy Tutmozis zapytał go: czy nie piękny pałac ma król Assar? — książę odpowiedział:

— Piękniejszymi wydałyby mi się jego gruzy na zgliszczach Niniwy...

Asyryjczycy przy uczcie byli bardzo powściągliwi. Mimo obfitości wina pili mało i nie więcej wydawali okrzyków. Sargon ani razu nie wybuchnął hucznym śmiechem, jak to było w jego zwyczaju; przysłonił powiekami oczy, a w swym sercu głęboko rozmyślał.

Tylko dwaj kapłani, Chaldejczyk Istubar i Egipcjanin Mentezufis byli spokojni jak ludzie, którym dana jest wiedza przyszłości i władza nad nią.

ROZDZIAŁ XI

Po przyjęciu u namiestnika Sargon zatrzymał się jeszcze w Pi-Bast, czekając na listy faraona z Memfisu, a jednocześnie między oficerami i szlachtą zaczęły na nowo krążyć dziwaczne pogłoski.

Fenicjanie opowiadali, pod największym rozumie się sekretem, że kapłani, nie wiadomo z jakiego powodu, nie tylko darowali Asyrii zaległe daniny, nie tylko uwolnili ją raz na zawsze od ich płacenia, ale nadto, ażeby ułatwić Asyryjczykom jakąś wojnę północną, zawarli z nimi traktat pokojowy na długie lata.

— Faraon — mówili Fenicjanie — aż mocniej zachorował dowiedziawszy się o ustępstwach robionych barbarzyńcom. Książę Ramzes martwi się i chodzi smutny, lecz obaj muszą ulegać kapłanom, nie będąc pewni uczuć szlachty i wojska.

To najwięcej oburzało egipską arystokrację.

— Jak to — szeptali między sobą zadłużeni magnaci — więc dynastia już nam nie ufa?... Więc kapłani uwzięli się, ażeby zhańbić i zrujnować Egipt?... Bo przecie jasne jest, że jeżeli Asyria ma wojnę gdzieś na dalekiej północy, to właśnie teraz trzeba ją napaść i zdobytymi łupami podźwignąć zubożały skarb królewski i arystokrację...

Ten i ów z młodych panów ośmielał się zapytywać następcy: co myśli o asyryjskich barbarzyńcach? Książę milczał, ale błysk jego oczu i zacięte usta dostatecznie wyrażały uczucia.

— Oczywiście — szeptali panowie w dalszym ciągu — że dynastia jest opętana przez kapłanów, nie ufa szlachcie, Egiptowi zaś grożą wielkie nieszczęścia...

Ciche gniewy prędko zamieniły się w ciche narady mające nawet pozór spisku. Ale choć bardzo wiele osób brało w tym udział, pewny siebie czy zaślepiony stan kapłański nic o nich nie wiedział, a Sargon, choć przeczuwał nienawiść, nie przywiązywał do niej wagi.

Poznał on, że książę Ramzes jest mu niechętny, ale przypisywał to wypadkowi w cyrku, a więcej — zazdrości o Kamę. Ufny jednak w swoją poselską nietykalność, pił, ucztował i prawie co wieczór wymykał się do fenickiej kapłanki, która coraz łaskawiej przyjmowała jego zaloty i dary.

Taki był nastrój kół najwyższych, gdy pewnej nocy wpadł do mieszkania Ramzesa święty Mentezufis i oświadczył, że natychmiast musi zobaczyć się z księciem.

Dworzanie odpowiedzieli, że u księcia znajduje się jedna z jego kobiet, że więc nie śmią niepokoić swego pana. Lecz gdy Mentezufis coraz natarczywiej nalegał, wywołali następcę.

Książę po chwili ukazał się, nawet nierozgniewany.

— Cóż to — zapytał kapłana — czy mamy wojnę, że wasza cześć trudzisz się do mnie o tak późnej porze?

Mentezufis pilnie przypatrzył się Ramzesowi i głęboko odetchnął.

— Książę nie wychodziłeś cały wieczór? — zapytał.

— Ani na krok.

— Więc mogę dać na to kapłańskie przyrzeczenie?

Następca zdziwił się.

— Zdaje mi się — odparł dumnie — że twoje słowo już nie jest potrzebne, gdy ja dałem moje. Cóż to znaczy?...

Wyszli do osobnego pokoju.

— Czy wiesz, panie — mówił wzburzony kapłan — co zdarzyło się może przed godziną. Jego dostojność Sargona jacyś młodzieńcy napadli i obili kijami...

— Jacy?... gdzie?...

— Pod willą fenickiej kapłanki, nazwiskiem Kamy — ciągnął Mentezufis, pilnie śledząc fizjognomię następcy.

— Odważne chłopaki! — odparł książę, wzruszając ramionami. — Napadać takiego siłacza!... Przypuszczam, że musiała tam pęknąć niejedna kość.

— Ale napadać posła... Uważ, dostojny panie, posła, którego osłania majestat Asyrii i Egiptu... — mówił kapłan.

— Ho! ho!... — roześmiał się książę. — Więc król Assar wysyła swoich posłów nawet do fenickich tancerek?...

Mentezufis stropił się. Nagle uderzył się w czoło i zawołał również ze śmiechem:

— Patrz, książę, jaki ze mnie prostak, nieoswojony z politycznymi ceremoniami. Wszakże ja zapomniałem, że Sargon włóczący się po nocach około domu podejrzanej kobiety nie jest posłem, ale zwyczajnym człowiekiem!...

Lecz po chwili dodał:

— W każdym razie niedobrze się stało... Sargon może nabrać do nas niechęci...

— Kapłanie!... kapłanie!... — zawołał książę, kiwając głową. — Ty zapominasz daleko ważniejszej rzeczy, iż Egipt nie potrzebuje ani lękać się, ani nawet dbać o dobre lub złe usposobienie dla niego nie tylko Sargona, ale nawet króla Assara...

Mentezufis był tak zmieszany trafnością uwag królewskiego młodzieńca, że zamiast odpowiedzieć kłaniał się mrucząc:

— Bogowie obdarzyli cię, książę, mądrością arcykapłanów... niechaj imię ich będzie błogosławione!... Już chciałem wydać rozkazy, aby poszukano i osądzono tych młodych awanturników; lecz teraz wolę zasięgnąć twojej rady, bo jesteś mędrcem nad mędrce.

Powiedz zatem, panie, co mamy począć z Sargonem i tymi zuchwalcami?...

— Przede wszystkim zaczekać do jutra — odparł następca. — Jako kapłan, wiesz najlepiej, że boski sen często przynosi dobre rady.

— A jeżeli i do jutra nic nie obmyślę? — pytał Mentezufis.

— W każdym razie ja odwiedzę Sargona i postaram się zatrzeć w jego pamięci ten drobny wypadek.

Kapłan pożegnał Ramzesa z oznakami czci. Zaś wracając do siebie, myślał:

„Serce dam sobie wydrzeć z piersi, że do tego nie należał książę: ani sam bił, ani namawiał, a nawet nie wiedział o wypadku. Kto tak chłodno i trafnie sądzi sprawę, nie może być współwinnym. A w takim razie mogę zacząć śledztwo i jeżeli nie ułagodzimy kudłatego barbarzyńcy, oddam zawadiaków pod sąd. Piękny traktat przyjaźni między dwoma państwami, który zaczyna się sponiewieraniem posła!..."

Nazajutrz wspaniały Sargon do południa leżał na wojłokowym posłaniu, co wreszcie zdarzało mu się dosyć często, bo po każdej pijatyce. Obok niego, na niskiej sofie siedział pobożny Istubar, z oczyma utkwionymi w sufit, szepcząc modlitwy.

— Istubarze — westchnął dostojnik — czy jesteś pewny, że nikt z naszego dworu nie wie o moim nieszczęściu?

— Któż może wiedzieć, jeżeli cię nikt nie widział?

— Ale Egipcjanie!... — jęknął Sargon.

— Z Egipcjan wie o tym Mentezufis i książę, no i ci szaleńcy, którzy zapewne długo będą pamiętali twoje pięści.

— Może trochę... może!... Ale zdaje mi się, że był między nimi następca i ma nos rozbity, jeżeli nie złamany...

— Następca ma cały nos i on tam nie był, zapewniam cię.

— W takim razie — wzdychał Sargon — powinien książę kilku z nich wbić na pal. Przecieżem ja poseł!... ciało moje jest święte...

— A ja mówię ci — radził Istubar — wyrzuć złość z serca twego i nawet nie skarż się. Bo gdy hultaje pójdą pod sąd, cały świat dowie się, że poseł najdostojniejszego króla Assara wdaje się z Fenicjanami, a co gorsza, odwiedza ich samotny wśród nocy. Co zaś odpowiesz, gdy twój śmiertelny wróg, kanclerz Lik-Bagus zapyta cię: „Sargonie, z jakimiż to widywałeś się Fenicjanami i o czym mówiłeś z nimi pod ich świątynią wśród nocy?..."

Sargon wzdychał, jeżeli można wzdychaniem nazwać odgłosy podobne do mruczenia lwa.

Wtem wpadł jeden z oficerów asyryjskich. Uklęknął, uderzył czołem o podłogę i rzekł do Sargona:

— Światło źrenic pana naszego!... Przed gankiem pełno magnatów i dostojników egipskich, a na ich czele sam następca tronu... Chce tu wejść, widocznie z zamiarem złożenia ci hołdu...

Lecz, nim Sargon zdążył wydać polecenie, we drzwiach komnaty ukazał się książę. Odepchnął olbrzymiego Asyryjczyka, który trzymał wartę, i szybko zbliżył się do wojłoków, kędy zmieszany poseł, szeroko otworzywszy oczy, nie wiedział, co robić ze sobą: uciec nago do innej izby czy schować się pod pościel?

Na progu stało kilku oficerów asyryjskich, zdumionych wtargnięciem następcy wbrew wszelkiej etykiecie. Ale Istubar dał im znak i znikli za kotarą.

Książę był sam; zostawił świtę na dziedzińcu.

— Bądź pozdrowiony — rzekł — pośle wielkiego króla i gościu faraona. Przyszedłem odwiedzić cię i spytać: czy nie masz jakich potrzeb? Jeżeli zaś pozwoli ci czas i ochota, chcę, ażebyś w moim towarzystwie, na koniu ze stajni mego ojca, przejechał się po mieście, otoczony naszą świtą. Jak przystało na posła potężnego Assara, który oby żył wiecznie!

Sargon słuchał, leżąc i nie rozumiejąc ani słowa. Gdy zaś Istubar przetłumaczył mu mowę księcia, poseł wpadł w taki zachwyt, że zaczął bić głową o wojłoki powtarzając wyrazy: „Assar i Ramzes".

Kiedy uspokoił się i przeprosił księcia za nędzny stan, w jakim go znalazł gość tak znakomity i dostojny, dodał:

— Nie miej za złe, o panie, że ziemny robak i podnóżek tronu, jakim ja jestem, w tak niezwykły sposób okazuje radość z twego przybycia. Ale ucieszyłem się podwójnie. Raz, że spadł na mnie nadziemski zaszczyt, po wtóre — żem myślał w moim głupim i nikczemnym sercu, iż to ty, panie, byłeś sprawcą mojej wczorajszej niedoli. Zdawało mi się, że między kijami, które spadały na moje plecy, czuję twój kij, zaprawdę tęgo bijący!...

Spokojny Istubar, wyraz po wyrazie, przetłumaczył to księciu. Na co następca z iście królewską godnością odparł:

— Omyliłeś się, Sargonie. Gdyby nie to, żeś sam poznał swój błąd, kazałbym ci natychmiast wyliczyć pięćdziesiąt kijów, ażebyś zapamiętał, że tacy jak ja nie napadają jednego człowieka gromadą ani po nocy.

Zanim światły Istubar dokończył tłumaczenia tej odpowiedzi, już Sargon przypełznął do księcia i objął jego nogi, wołając:

— Wielki pan!... wielki król!... Chwała Egiptowi, że posiada takiego władcę.

A na to znowu książę:

— Więcej powiem ci, Sargonie. Jeżeli zostałeś napadnięty wczoraj, zapewniam cię, że nie uczynił tego żaden z moich dworzan. Sądzę bowiem, że taki, jakim jesteś, mocarz musiał niejednemu rozbić czaszkę. Zaś moi bliscy są zdrowi.

— Prawdę rzekł i mądrze powiedział! — szepnął Sargon do Istubara.

— Lecz jakkolwiek — ciągnął książę — szpetny czyn stał się nie z mojej i mego dworu winy, jednak czuję się w obowiązku osłabić twój żal do miasta, w którym cię tak niegodnie przyjęto. Dlatego osobiście nawiedziłem twoją sypialnię, dlatego otwieram ci mój dom o każdej porze, ile razy zechcesz mnie odwiedzić. Dlatego... proszę cię, abyś przyjął ode mnie ten mały dar...

To mówiąc, książę sięgnął za tunikę i wydobył łańcuch wysadzany rubinami i szafirami.

Olbrzymi Sargon aż zapłakał, co wzruszyło księcia, lecz nie rozczuliło obojętności Istubara. Kapłan wiedział, że Sargon ma łzy, radość i gniew na każde zawołanie, jako poseł mądrego króla.

Namiestnik posiedział jeszcze chwilę i pożegnał posła. Zaś wychodząc pomyślał, że jednak Asyryjczycy, pomimo barbarzyństwa, nie są złymi ludźmi, skoro umieją odczuć wspaniałomyślność.

Sargon zaś był tak podniecony, że kazał natychmiast przynieść wina i pił, pił od południa aż do wieczora.

Dobrze po zachodzie słońca kapłan Istubar wyszedł na chwilę z komnaty Sargona i — niebawem wrócił, ale ukrytymi drzwiami. Za nim ukazali się dwaj ludzie w ciemnych płaszczach. Gdy zaś odsunęli z twarzy kaptury, Sargon poznał w jednym arcykapłana Mefresa, w drugim proroka Mentezufisa.

— Przynosimy ci, dostojny pełnomocniku, dobrą nowinę — rzekł Mefres.

— Obym mógł wam udzielić podobnej! — zawołał Sargon. — Siadajcie, święci i dostojni mężowie. A choć mam zaczerwienione oczy, mówcie do mnie, jak gdybym był zupełnie trzeźwy... Bo ja i po pijanemu mam rozum, może nawet lepszy... Prawda, Istubarze?...

— Mówcie — poparł go Chaldejczyk.

— Dziś — zabrał głos Mentezufis — otrzymałem list od najdostojniejszego ministra Herhora. Pisze nam, że jego świątobliwość faraon (oby żył wiecznie!) oczekuje na wasze poselstwo w swym cudownym pałacu pod Memfisem i że jego świątobliwość (oby żył wiecznie!) jest dobrze usposobiony do zawarcia z wami traktatu.

Sargon chwiał się na wojłokowych materacach, ale oczy miał prawie przytomne.

— Pojadę — odparł — do jego świątobliwości faraona (oby żył wiecznie!), położę w imieniu pana mego pieczęć na traktacie, byle był spisany na cegłach, klinowym pismem... bo ja waszego nie rozumiem... Będę leżał choćby cały dzień na brzuchu przed jego świątobliwością (oby żył wiecznie!) i traktat podpiszę... Ale jak wy go tam wykonacie... cha!... cha!... cha!... tego już nie wiem... — zakończył grubym śmiechem.

— Jak śmiesz, sługo wielkiego Assara, wątpić o dobrej woli i wierze naszego władcy?... — zawołał Mentezufis.

Sargon nieco wytrzeźwiał.

— Ja nie mówię o jego świątobliwości — odparł — ale o następcy tronu...

— Jest to pełen mądrości młodzian, który bez wahania wykona wolę ojca i najwyższej rady kapłańskiej — rzekł Mefres.

— Cha!... cha!... cha!... — zaśmiał się znowu pijany barbarzyńca. — Wasz książę... o bogowie, powykręcajcie mi stawy członków, jeżeli mówię nieprawdę, że chciałbym, ażeby Asyria miała takiego następcę...

Nasz asyryjski następca to mędrzec, to kapłan... On, zanim wybierze się na wojnę, zagląda naprzód w gwiazdy na niebie, później kurom pod ogony... Zaś wasz zobaczyłby: ile ma wojska? dowiedziałby się: gdzie obozuje nieprzyjaciel? I spadłby mu na kark jak orzeł na barana. Oto wódz!... oto król!... On nie z tych, którzy słuchają rady kapłanów... On radzić się będzie własnego miecza, a wy musicie spełniać jego rozkazy...

I dlatego, choć podpiszę z wami traktat, opowiem memu panu, że poza chorym królem i mądrymi kapłanami kryje się tu młody następca tronu, lew i byk w jednej osobie... który ma miody w ustach, a pioruny w sercu...

— I powiesz nieprawdę — wtrącił Mentezufis. — Bo nasz książę, aczkolwiek popędliwy i trochę hulaka, jak zwyczajnie młody, umie jednak uszanować i radę mędrców, i najwyższe urzędy w kraju.

Sargon pokiwał głową.

— Oj, wy mędrcy!... uczeni w piśmie!... znawcy gwiazdowych obrotów!... — mówił szydząc. — Ja prostak, zwyczajny sobie jenerał[242], który bez pieczęci nie zawsze umiałbym wyżłobić moje nazwisko... Wy mędrcy, ja prostak, ale na brodę mego króla, nie zamieniłbym się na waszą mądrość...

[242] *jenerał* — dziś: generał.

Bo wy jesteście ludźmi, dla których otworzył się świat cegieł i papirusów, ale zamknął się ten prawdziwy, na którym wszyscy żyjemy... Ja prostak! Ale ja mam psi węch. A jak pies z dala wyczuje niedźwiedzia, tak ja moim zaczerwienionym nosem poznam bohatera.

Wy będziecie radzić księciu!... Ależ on was już dzisiaj zaczarował jak wąż gołębie. Ja przynajmniej nie oszukuję samego siebie, i choć książę jest dla mnie dobry jak ojciec rodzony, czuję przez skórę, że mnie i moich Asyryjczyków nienawidzi jak tygrys słonia... Cha!... cha!... Dajcie mu tylko armię, a za trzy miesiące stanie pod Niniwą, byle w drodze rodzili mu się żołnierze, zamiast ginąć...

— Choćbyś mówił prawdę — przerwał Mentezufis — choćby książę chciał iść pod Niniwę, nie pójdzie.

— A któż go powstrzyma, gdy zostanie faraonem?

— My.

— Wy?... wy!... Cha! cha! cha!... — śmiał się Sargon. — Wy wciąż myślicie, że ten młodzik nawet nie przeczuwa naszego traktatu... A ja... a ja... cha!... cha!... cha!... ja pozwolę się obedrzeć ze skóry i wbić na pal, że on już wszystko wie.

Czyliż Fenicjanie byliby tak spokojni, gdyby nie mieli pewności, że młody lew egipski zasłoni ich przed asyryjskim bykiem?

Mentezufis i Mefres spojrzeli na siebie ukradkiem. Ich prawie przeraził geniusz barbarzyńcy, który śmiało wypowiadał to, czego oni wcale nie brali pod rachunek.

I rzeczywiście: co by też było, gdyby następca tronu odgadł ich zamiary, a nawet chciał je powikłać?...

Lecz z chwilowego kłopotu wybawił ich milczący dotychczas Istubar.

— Sargonie — rzekł — mieszasz się w nie swoje sprawy. Twoim obowiązkiem jest zawrzeć z Egiptem traktat, jakiego chce pan nasz. A co wie, czego nie wie, co zrobi, a czego nie zrobi ich następca tronu, to już nie twoja sprawa. Skoro najwyższa, wiecznie żyjąca rada kapłanów zapewnia nas, traktat będzie wykonany. Jakim zaś zrobi się to sposobem? nie naszej głowy rzecz.

Oschły ton, z jakim wypowiedział to Istubar, uspokoił rozhukaną wesołość asyryjskiego pełnomocnika, Sargon pokiwał głową i mruknął:

— W takim razie szkoda chłopca!... Wielki to wojownik, wspaniałomyślny pan...

ROZDZIAŁ XII

Po wizycie u Sargona dwaj święci mężowie, Mefres i Mentezufis, okrywszy się starannie burnusami, wracali zamyśleni do domu.

— Kto wie — rzekł Mentezufis — czy ten pijak Sargon nie ma słuszności co do naszego następcy?...

— W takim razie Istubar będzie miał lepszą słuszność — twardo odpowiedział Mefres.

— Jednak nie uprzedzajmy się. Trzeba pierwej wybadać księcia — odparł Mentezufis.

— Uczyń to, wasza cześć.

Istotnie nazajutrz obaj kapłani, z bardzo poważnymi minami, przyszli do następcy, prosząc go o poufną rozmowę.

— Cóż się stało? — zapytał książę — czy znowu jego dostojność Sargon odbył jakie nocne poselstwo?

— Niestety, nie chodzi nam o Sargona — odparł arcykapłan. — Ale... między ludem krążą pogłoski, że ty, najdostojniejszy panie, utrzymujesz ścisłe stosunki z niewiernymi Fenicjanami...

Po tych słowach książę zaczął już domyślać się celu wizyty proroków i krew w nim zakipiała. Lecz jednocześnie ocenił, że jest to początek gry między nim a stanem kapłańskim, i jak przystało na królewskiego syna, opanował się w jednej chwili. Jego twarz przybrała wyraz zaciekawionej naiwności.

— A Fenicjanie to niebezpieczni ludzie, urodzeni wrogowie państwa!... — dodał Mefres.

Następca uśmiechnął się.

— Gdybyście wy, święci mężowie — odparł — pożyczali mi pieniędzy i mieli przy świątyniach ładne dziewczęta, z wami musiałbym się widywać częściej. A tak z biedy muszę przyjaźnić się z Fenicjanami!

— Mówią, że wasza dostojność odwiedzasz w nocy tę Fenicjankę...

— I muszę tak robić, dopóki dziewczyna, nabrawszy rozumu, nie przeprowadzi się do mego domu. Ale nie bójcie się, chodzę z mieczem i gdyby mi kto zastąpił drogę...

— Przez tę jednak Fenicjankę nabrałeś, wasza dostojność, wstrętu do pełnomocnika asyryjskiego króla.

— Wcale nie przez nią, tylko że Sargon śmierdzi łojem... Wreszcie do czego to prowadzi?... Wy, święci ojcowie, nie jesteście dozorcami moich kobiet; sądzę, że dostojny Sargon nie powierzył wam swoich, więc — czego chcecie?...

Mefres tak zmieszał się, że aż na wygolonym czole zapłonął mu rumieniec.

— Rzekłeś, wasza dostojność, prawdę — odparł — że nie do nas należą wasze miłostki i sposoby, jakich do tego używacie. Ale... jest rzecz gorsza: lud dziwi się, że chytry Hiram tak łatwo pożyczył wam sto talentów, nawet bez zastawu...

Księciu drgnęły usta, lecz znowu rzekł spokojnie:

— Nie moja wina, że Hiram więcej ufa memu słowu aniżeli egipscy bogacze! On wie, że raczej wyrzekłbym się mojej zbroi po dziadzie, niż nie zapłacił mu tego, com winien. A zdaje się, że i o procent musi być spokojny, gdyż wcale mi o nim nie wspominał.

Nie myślę taić przed wami, święci mężowie, że Fenicjanie mają więcej zręczności od Egipcjan. Nasz bogacz, zanimby mi pożyczył sto talentów, robiłby surowe miny, nastękałby się, wytrzymał mnie z miesiąc, a w końcu wziąłby ogromny zastaw i jeszcze większy procent. Zaś Fenicjanie, którzy lepiej znają serca książąt, dają nam pieniądze nawet bez sędziego i świadków.

Arcykapłan był tak zirytowany spokojnym szyderstwem Ramzesa, że umilkł i zaciął usta. Wyręczył go Mentezufis, zapytawszy nagle:

— Co byś, wasza dostojność, rzekł, gdybyśmy zawarli z Asyrią traktat oddający jej północną Azję razem z Fenicją?...

Mówiąc tak, utkwił oczy w twarz następcy. Ale książę odparł całkiem spokojnie:

— Powiedziałbym, że tylko zdrajcy mogliby namawiać faraona do podobnego traktatu.

Obaj kapłani poruszyli się: Mefres podniósł ręce do góry, Mentezufis zacisnął pięści.

— A gdyby wymagało tego bezpieczeństwo państwa?... — nalegał Mentezufis.

— Czego wy ode mnie chcecie?... — wybuchnął książę. — Wtrącacie się do moich długów i kobiet, otaczacie mnie szpiegami, ośmielacie się robić mi wymówki, a teraz jeszcze zadajecie mi jakieś podstępne pytanie. Otóż mówię wam: ja, choćbyście mnie mieli otruć, nie podpisałbym takiego traktatu... Na szczęście, nie zależy to ode mnie, tylko od jego świątobliwości, którego wolę wszyscy musimy spełniać.

— Więc cóż byś zrobił, wasza dostojność, będąc faraonem?...

— To, czego wymagałaby cześć i interes państwa.

— O tym nie wątpię — rzekł Mentezufis. — Ale co wasza dostojność — uważasz za interes państwa?... Gdzie mamy szukać wskazówek?...

— A od czegóż jest najwyższa rada?... — zawołał książę, tym razem z udanym gniewem. — Powiadacie, że składa się z samych mędrców... Więc niechby oni wzięli na swoją odpowiedzialność traktat, który ja uważam za hańbę i zgubę Egiptu...

— Skądże wiesz, wasza dostojność — odparł Mentezufis — że właśnie tak nie postąpił wasz boski rodzic?...

— Więc po co wy mnie o to pytacie?... Co to za śledztwo?... Kto wam daje prawo zaglądać w głąb mego serca...

Ramzes udawał tak mocno oburzonego, że aż uspokoili się obaj kapłani.

— Mówisz, książę — odezwał się Mefres — jak przystało na dobrego Egipcjanina. Przecie i nas bolałby podobny traktat, ale bezpieczeństwo państwa niekiedy wymaga chwilowego poddania się okolicznościom...

— Ale co was zmusza do tego?... — wołał książę. — Czy przegraliśmy wielką bitwę, czy już nie mamy wojsk?...

— Wioślarzami okrętu, na którym Egipt płynie przez rzekę wieczności, są bogowie — odparł uroczystym tonem arcykapłan — a sternikiem Najwyższy Pan wszelkiego

stworzenia. Nieraz zatrzymują oni albo i skręcają statek, ażeby ominąć niebezpieczne wiry, których my nawet nie dostrzegamy. W takich wypadkach z naszej strony potrzebną jest tylko cierpliwość i posłuszeństwo, za które wcześniej lub później spotyka nas hojna nagroda przewyższająca wszystko, co może wymyślić śmiertelny człowiek.

Po tej uwadze kapłani pożegnali księcia, pełni otuchy, że choć gniewa się na traktat, lecz go nie złamie i zapewni Egiptowi czas potrzebnego mu spokoju. Po ich odejściu Ramzes wezwał do siebie Tutmozisa. A gdy znalazł się sam na sam z ulubieńcem, długo hamowany gniew i żal wybuchnął. Książę rzucił się na kanapę, wił się jak wąż, uderzał pięściami w głowę i płakał.

Wylękniony Tutmozis czekał, aż księcia ominie atak wściekłości. Następnie podał mu wody z winem, okadził go kojącymi wonnościami, wreszcie usiadł przy nim i zapytał o przyczynę niemęskiej rozpaczy.

— Siądź tu — rzekł następca, nie podnosząc się. — Czy wiesz, dzisiaj jestem już pewny tego, że nasi kapłani zawarli z Asyrią jakiś haniebny traktat... Bez wojny, nawet bez żadnych żądań z tamtej strony!... Czy domyślasz się, ile tracimy?...

— Mówił mi Dagon, że Asyria chce zagarnąć Fenicję. Lecz Fenicjanie już mniej są zatrwożeni, gdyż król Assar ma wojnę na północno-wschodnich granicach. Siedzą tam ludy bardzo waleczne i mnogie, więc nie wiadomo, jak skończy się wyprawa. W każdym razie Fenicjanie będą mieli parę lat spokoju, co im wystarczy do przygotowania obrony i znalezienia sprzymierzeńców...

Książę niecierpliwie machnął ręką.

— Oto widzisz — przerwał Tutmozisowi — nawet Fenicja uzbroi się, a może i wszystkich sąsiadów, którzy ją otaczają. Na wszelki zaś sposób my stracimy choćby tylko zaległe daniny z Azji, które wynoszą — czy słyszałeś co podobnego?... — wynoszą przeszło sto tysięcy talentów!...

Sto tysięcy talentów... — powtórzył książę. — O bogowie! ależ taka suma od razu wypełniłaby skarb faraona... A gdybyśmy jeszcze napadli Asyrię w porze właściwej, w samej Niniwie, w samym pałacu Assara, znaleźlibyśmy niewyczerpane skarby...

Pomyśl teraz: ilu moglibyśmy zabrać niewolników?... Pół miliona... milion ludzi olbrzymio silnych, a tak dzikich, że niewola w Egipcie, że najcięższa praca przy kanałach lub w kopalniach wydałaby się im zabawką...

Płodność ziemi podniosłaby się w ciągu kilku lat, wynędzniały nasz lud odpocząłby i zanim umarłby ostatni niewolnik, już państwo odzyskałoby dawną potęgę i bogactwa...

I to wszystko zniweczą kapłani za pomocą kilku zapisanych blach srebrnych i kilku cegieł pociętych znakami w formie strzał, których nikt z nas nie rozumie!...

Wysłuchawszy żalów księcia, Tutmozis podniósł się z krzesła, z uwagą przejrzał sąsiednie komnaty, czy kto w nich nie podsłuchuje, potem znowu usiadł przy Ramzesie i zaczął szeptać:

— Bądź dobrej myśli, panie! O ile wiem, cała arystokracja, wszyscy nomarchowie, wszyscy wyżsi oficerowie słyszeli coś o tym traktacie i są oburzeni. Daj więc tylko znak, a rozbijemy traktatowe cegły na łbach Sargona, nawet Assara...

— Ależ to byłby bunt przeciw jego świątobliwości... — równie cicho odparł książę.

Tutmozis zrobił smutną minę.

— Nie chciałbym — rzekł — zakrwawiać ci serca, ale... twój, równy najwyższym bogom, ojciec jest ciężko chory.

— To nieprawda!... — zerwał się książę.

— Prawda, tylko nie zdradź się, że wiesz o tym. Jego świątobliwość jest bardzo zmęczony pobytem na tej ziemi i już pragnie odejść. Lecz kapłani zatrzymują go, a ciebie nie wzywają do Memfisu, ażeby bez przeszkód podpisać umowę z Asyrią...

— Ależ to są zdrajcy!... zdrajcy!... — szeptał rozwścieczony książę.

— Dlatego nie będziesz miał trudności z zerwaniem umowy, gdy obejmiesz władzę po ojcu (oby żył wiecznie!).

Książę zadumał się.

— Łatwiej — rzekł — podpisać traktat aniżeli go zerwać...

— I zerwać łatwo! — uśmiechnął się Tutmozis. — Czyliż w Azji nie ma plemion niesfornych, które wpadną w nasze granice?... Czyliż boski Nitager nie czuwa ze swoją

armią, aby odparł ich i przeniósł wojnę do ich krajów?... A czy myślisz, że Egipt nie znajdzie ludzi do oręża i skarbów na wojnę?... Pójdziemy wszyscy, bo każdy może coś zyskać i jako tako ubezpieczyć sobie życie... Skarby zaś leżą w świątyniach... A w Labiryncie[243]!...

— Kto je wydobędzie stamtąd! — wtrącił z powątpiewaniem książę.

— Kto?... Każdy nomarcha, każdy oficer, każdy szlachcic zrobi to, byle miał rozkaz faraona, a... młodsi kapłani pokażą nam drogę do kryjówek...

— Nie ośmielą się... Kara bogów...

Tutmozis pogardliwie machnął ręką.

— Albożeśmy to chłopi czy pastuchy, ażeby lękać się bogów, z których drwią Żydzi, Fenicjanie i Grecy, a lada najemny żołnierz znieważa ich bezkarnie.

Kapłani to wymyślili brednie o bogach, w których sami nie wierzą. Przecie wiesz, że w świątyniach uznają tylko Jedynego... Oni też robią cuda, z których się śmieją... Chłop po dawnemu bije czołem przed posągami. Ale już robotnicy wątpią o wszechmocności Ozyrysa, Horusa i Seta, pisarze oszukują bogów w rachunkach, a kapłani posługują się nimi jak łańcuchem i zamkiem do zabezpieczenia swoich skarbców.

Oho! minęły te czasy — ciągnął Tutmozis — kiedy cały Egipt wierzył we wszystko, co mu donoszono ze świątyń. Dziś my obrażamy bogów fenickich, Fenicjanie naszych, i jakoś na nikogo nie spadają pioruny...

Namiestnik uważnie przypatrywał się Tutmozisowi.

— Skąd tobie takie myśli przychodzą do głowy? — spytał. — Wszakże nie tak dawno bladłeś na wzmiankę o kapłanach...

— Bo byłem jeden. Ale dziś, gdym poznał, że cała szlachta ma to samo rozumienie, co ja, jest mi raźniej...

— A kto szlachcie i tobie mówił o traktatach z Asyrią?

— Dagon i inni Fenicjanie — odparł Tutmozis. — Oni nawet ofiarowali się, gdy przyjdzie czas, podbuntować azjatyckie plemiona, aby nasze wojska miały pozór do przekroczenia granic. A gdy raz wyjdziemy na drogę do Niniwy, Fenicjanie i ich sprzymierzeńcy połączą się z nami... I będziesz miał armię, jakiej nie posiadał Ramzes Wielki!...

Księciu nie podobała się ta gorliwość Fenicjan; zamilczał jednak o niej. Natomiast spytał:

— A co będzie, jeżeli kapłani dowiedzą się o waszych gadaninach?... Zaprawdę żaden z was nie uniknie śmierci!

— O niczym nie dowiedzą się — wesoło odparł Tutmozis. — Zanadto ufają swej potędze, źle płacą szpiegom i zniechęcili cały Egipt swoją chciwością i pychą. Toteż arystokracja, wojsko, pisarze, robotnicy, nawet niżsi kapłani tylko czekają hasła, ażeby wpaść do świątyń, zabrać skarby i złożyć je u stóp tronu. Gdy im zaś skarbów zabraknie, święci mężowie utracą wszelką władzę. Nawet przestaną robić cuda, bo i do tego potrzebne są złote pierścienie...

Książę skierował rozmowę na inne przedmioty, wreszcie dał znak Tutmozisowi, że może odejść.

Gdy został sam, począł rozmyślać.

Byłby zachwycony wrogim usposobieniem szlachty do kapłanów i wojowniczymi instynktami najwyższych klas, gdyby zapał nie wybuchnął tak nagle i gdyby poza nim nie ukrywali się Fenicjanie.

To kazało następcy być ostrożnym; rozumiał bowiem, że w sprawach Egiptu lepiej ufać patriotyzmowi kapłanów aniżeli przyjaźni Fenicjan.

Lecz przypomniał sobie słowa ojca, że Fenicjanie są prawdomówni i wierni, gdy chodzi o ich interes. Otóż bez kwestii Fenicjanie mieli wielki interes w tym, ażeby nie dostać się pod władzę Asyryjczyków. I można było polegać na nich jako na sprzymierzeńcach w razie wojny, gdyż przegrana Egipcjan odbiłaby się przede wszystkim na Fenicji.

Z drugiej strony Ramzes nie przypuszczał, że kapłani, nawet zawierając tak szpetny traktat z Asyrią, dopuszczali się zdrady. Nie, to nie byli zdrajcy, ale — rozleniwieni dygni-

[243] *Labirynt* — opisywana przez starożytnych historyków ogromna, skomplikowana budowla w oazie Fajum. Podobno liczyła 3000 w zawiły sposób połączonych pomieszczeń. Według Herodota połowa z nich znajdowała się pod ziemią, chowano w nich zmarłych władców oraz święte krokodyle. W XIX wieku we wskazanej okolicy odkryto szczątki otoczonego murem wielkiego kompleksu architektonicznego w sąsiedztwie piramidy Amenemhata III (ok.1860–1814 p.n.e.). Prawdopodobnie była to towarzysząca piramidzie świątynia grobowa.

tarze. Dogadza im pokój, gdyż wśród spokoju mnożą swoje skarby i rozszerzają władzę. Nie chcą wojny, gdyż wojna spotęgowałaby władzę faraona, a ich samych naraziłaby na ciężkie wydatki.

I stało się, że młody książę, pomimo braku doświadczenia, rozumiał, że musi być ostrożnym, nie śpieszyć się, nikogo nie potępiać, ale też i nikomu nie ufać zbytecznie. On już postanowił wojnę z Asyrią, nie dlatego że pragnęła jej szlachta i Fenicjanie, lecz że Egipt potrzebował skarbów i niewolników.

Ale postanowiwszy wojnę, chciał działać rozważnie. Chciał powoli przekonać do niej stan kapłański, a dopiero w razie oporu — zgnieść go za pomocą wojska i szlachty.

I właśnie wówczas, gdy święty Mefres i Mentezufis żartowali z przepowiedni Sargona, że następca nie podda się kapłanom, ale ich zmusi do posłuszeństwa, już wówczas książę miał gotowy plan ujarzmienia ich i widział, jakie posiada do tego środki. Zaś chwilę rozpoczęcia walki i sposób przeprowadzenia jej pozostawiał przyszłości.

„Czas przynosi najlepsze rady!" — rzekł do siebie. Był spokojny i zadowolony jak człowiek, który po długim wahaniu wie, co ma robić, i posiada wiarę we własne siły. Toteż ażeby pozbyć się nawet śladów niedawnego wzburzenia, poszedł do Sary.

Zabawa z synkiem zawsze koiła jego troski i pogodą napełniała mu serce.

Minął ogród, wszedł do willi swej pierwszej kochanki i zastał ją — znowu we łzach.

— O Saro! — zawołał — gdybyś miała Nil w twojej piersi, potrafiłabyś go wypłakać.

— Już nie będę... — odparła, lecz jeszcze obfitszy strumień polał się z jej oczu.

— Cóż to? — spytał książę — czy znowu sprowadziłaś sobie jakąś wróżkę, która straszy cię Fenicjankami?

— Nie Fenicjanek lękam się, ale Fenicji... — rzekła. — O, ty nie wiesz, panie, jacy to nikczemni ludzie...

— Palą dzieci? — roześmiał się namiestnik.

— Myślisz, że nie?... — odpowiedziała, patrząc na niego wielkimi oczyma.

— Bajki! Wiem przecie od księcia Hirama, że to bajki!...

— Hiram?... — krzyknęła Sara. — Hiram, ależ to największy zbrodniarz... Spytaj mego ojca, o, on powie ci, panie, w jaki sposób Hiram zwabia na swoje statki młode dziewczęta dalekich krajów i — rozpiąwszy żagle, uwozi, aby je sprzedać... Była przecie u nas jasnowłosa niewolnica, którą porwał Hiram. Szalała z tęsknoty za swym krajem, ale nie umiała powiedzieć nawet, gdzie leży jej ojczyzna. I umarła!... Takim jest Hiram, takim nędzny Dagon i wszyscy ci nikczemnicy...

— Może być, ale co nas to obchodzi? — spytał książę.

— Bardzo wiele — mówiła Sara. — Ty, panie, słuchasz dzisiaj rad fenickich, a tymczasem nasi Żydzi wykryli, że Fenicja chce wywołać wojnę między Egiptem i Asyrią... Podobno nawet co najprzedniejsi kupcy i bankierzy feniccy zobowiązali się do tego strasznymi przysięgami...

— Na cóż im wojna?... — wtrącił książę z udaną obojętnością.

— Na co!... — zawołała Sara. — Będą wam i Asyryjczykom dostarczać broni, towarów i wiadomości, a za wszystko każą sobie dziesięć razy drożej płacić... Będą obdzierali poległych i ranionych obu stron... Będą od waszych i asyryjskich żołnierzy wykupywać zrabowane przedmioty i niewolników... Czyliż tego mało?... Egipt i Asyria zrujnują się, ale Fenicja pobuduje nowe składy na bogactwa.

— Któż ci wyłożył taką mądrość?... — uśmiechnął się książę.

— Alboż nie słyszę, jak mój ojciec, nasi krewni i znajomi szepcą o tym, trwożnie oglądając się, aby ich kto nie podsłuchał? Czyliż wreszcie ja nie znam Fenicjan? Przed tobą, panie, oni leżą na brzuchach i ty nie widzisz ich obłudnych spojrzeń, ale ja nieraz przypatrywałam się ich oczom, zielonym z chciwości albo żółtym z gniewu.

O, strzeż się, panie, Fenicjan jak jadowitej żmii!...

Ramzes patrzył na Sarę i mimo woli porównywał jej szczerą miłość — z wyrachowaniem Fenicjanki, jej tkliwe wybuchy — z podstępnym chłodem Kamy.

„Zaprawdę! — myślał. — Fenicjanie są jadowitymi gadami. Ale jeżeli Ramzes Wielki posługiwał się na wojnie lwem, dlaczego ja przeciw wrogom Egiptu nie miałbym użyć żmii?"

I im plastyczniej wyobrażał sobie przewrotność Kamy, tym bardziej pożądał jej. Dusze bohaterskie niekiedy szukają niebezpieczeństw.

Pożegnał Sarę i nagle, nie wiadomo skąd, przypomniał sobie, że Sargon jego podejrzewał o udział w napadzie.

Książę uderzył się w czoło.

— Czyby to ten mój sobowtór — rzekł — urządził bijatykę posłowi?... A w takim razie kto go namówił?... Chyba Fenicjanie?... A jeżeli oni chcieli do tak brudnej rzeczy wmieszać moją osobę, więc słusznie mówi Sara, że to są nikczemnicy, których powinienem się wystrzegać...

Znowu odezwał się w nim gniew i książę postanowił kwestię rozstrzygnąć natychmiast. A ponieważ właśnie zapadał wieczór, więc Ramzes, nie wstępując do siebie, poszedł do Kamy.

Mało obchodziło go, że może być poznany; na wypadek zaś niebezpieczeństwa miał przecie miecz...

W pałacyku kapłanki świeciło się, ale ze służby nikt nie kręcił się w przysionku.

„Dotychczas — pomyślał — Kama wyprawiała swoją służbę, kiedy ja miałem przyjść do niej. Dziś — czy przeczuwa mnie, czy może przyjmuje szczęśliwszego ode mnie kochanka?..."

Wszedł na piętro, stanął przed komnatą Fenicjanki i nagle odsunął kotarę. W pokoju była Kama i Hiram i o czymś szeptali.

— O!... w zły czas przychodzę... — roześmiał się następca. — Cóż to, i wy, książę, zalecacie się do kobiety, której pod karą śmierci nie wolno być łaskawą dla mężczyzn?

Hiram i kapłanka oboje zerwali się z taburetów[244].

— Widocznie — rzekł Fenicjanin, kłaniając się — jakiś dobry duch ostrzegł cię, panie, że o tobie mówimy...

— Przygotowujecie mi jaką niespodziankę? — spytał namiestnik.

— Może!... Kto to wie?... — odparła Kama, patrząc na niego w sposób wyzywający.

Ale książę odparł chłodno:

— Oby ci, którzy zechcą nadal robić mi niespodzianki, nie zawadzili własną szyją o topór albo powróz... To by więcej ich zdziwiło aniżeli mnie ich postępki.

Kamie uśmiech zastygł na półotwartych ustach; Hiram pobladł i pokornie odezwał się:

— Czym zasłużyliśmy na gniew pana i opiekuna naszego?

— Chcę wiedzieć prawdę — rzekł książę, siadając i groźnie patrząc na Hirama. — Chcę wiedzieć: kto urządził napad na asyryjskiego posła i wmieszał w tę nikczemność człowieka tak podobnego do mnie, jak moja ręka prawa jest podobna do lewej.

— Widzisz, Kamo — odezwał się struchlały Hiram — mówiłem, że poufałość tego łotra do ciebie może sprowadzić wielkie nieszczęście... A oto masz!... Nawet nie czekaliśmy długo.

Fenicjanka rzuciła się do nóg księciu.

— Wszystko powiem — zawołała, jęcząc — tylko wyrzuć, panie, ze swego serca urazę do Fenicji... Mnie zabij, mnie uwięź, ale nie gniewaj się na nich.

— Kto napadł Sargona?

— Lykon, Grek, który śpiewa w naszej świątyni — odparła wciąż klęcząc Fenicjanka.

— Aha!... więc to on wtedy śpiewał pod twoim domem i on jest tak podobny do mnie?...

Hiram schylił głowę i położył rękę na sercu.

— Hojnie płaciliśmy temu człowiekowi — rzekł — za to, że jest podobnym do ciebie, panie... Sądziliśmy, że nędzna jego figura może przydać ci się na wypadek nieszczęścia...

— I przydał się!... — przerwał następca. — Gdzie on jest? Chcę widzieć tego doskonałego śpiewaka... ten mój żywy obraz...

Hiram rozłożył ręce.

— Uciekł, łotr, ale my go znajdziemy — odparł. — Chyba, że zamieni się w muchę albo glistę ziemną...

— A mnie przebaczysz, panie?... — szepnęła Fenicjanka, opierając się na kolanach księcia.

— Wiele przebacza się kobietom — rzekł następca.

---

[244] *taburet* — dziś popr.: taboret.

— I wy nie będziecie mścili się na mnie?... — trwożnie zapytała Hirama.

— Fenicja — odparł starzec powoli i dobitnie — największy występek zapomni temu, kto posiądzie łaskę pana naszego, Ramzesa — oby żył wiecznie!...

Co się zaś tyczy Lykona — dodał, zwracając się do następcy — będziesz go miał, panie, żywym lub zmarłym...

To powiedziawszy, Hiram nisko ukłonił się i opuścił pokój, zostawiając kapłankę z księciem.

Ramzesowi krew uderzyła do głowy. Objął klęczącą Kamę i szepnął:

— Słyszałaś, co powiedział dostojny Hiram?... Fenicja zapomni ci największy występek!... Zaprawdę, ten człowiek jest mi wierny... A jeżeli on tak powiedział, jaką znajdziesz wymówkę?...

Kama całowała jego ręce, szepcząc:

— Zdobyłeś mnie... jestem twoją niewolnicą... Ale dziś zostaw mnie w spokoju... uszanuj dom, który należy do boskiej Astoreth...

— Więc przeprowadzisz się do mego pałacu? — spytał książę.

— O bogowie, co wyrzekłeś?... Od czasu jak słońce wschodzi i zachodzi, nie było jeszcze wypadku, ażeby kapłanka Astoreth... Ale trudno!... Fenicja, panie, daje ci taki dowód czci i przywiązania, jakiego nigdy nie otrzymał żaden z jej synów...

— Więc... — przerwał książę, tuląc ją.

— Tylko nie dziś i nie tutaj... — błagała.

ROZDZIAŁ XIII

Dowiedziawszy się od Hirama, że Fenicjanie darowali mu kapłankę, następca jak najprędzej chciał ją mieć w swym domu, nie dlatego, ażeby bez niej nie mógł żyć, lecz że stanowiła dla niego nowość.

Ale Kama ociągała się z przybyciem, błagając księcia, aby zostawił ją w spokoju, dopóki nie zmniejszy się napływ pielgrzymów, a nade wszystko dopóki z Pi-Bast nie wyjadą najznakomitsi. Gdyby bowiem za ich bytności została kochanką księcia, mogły zmniejszyć się dochody świątyni, a kapłance groziłoby niebezpieczeństwo.

— Nasi mądrzy i wielcy — mówiła Ramzesowi — przebaczą mi zdradę. Ale pospólstwo będzie wzywać pomsty bogów na moją głowę, a ty, panie, wiesz, że bogowie mają długie ręce...

— Oby ich nie stracili, gdy wsuną je pod mój dach! — odparł książę.

Nie nalegał jednak, mając w tym czasie uwagę bardzo zajętą.

Posłowie asyryjscy: Sargon i Istubar, już wyjechali do Memfis dla podpisania traktatu. Jednocześnie faraon wezwał Ramzesa o złożenie mu raportu z podróży.

Książę kazał pisarzom dokładnie opisać wszystko, co zdarzyło się od chwili, gdy opuścił Memfis, a więc: przeglądy rzemieślników, zwiedzanie fabryk i pól, rozmowy z nomarchami i urzędnikami. Do odwiezienia zaś raportu przeznaczył Tutmozisa.

— Przed obliczem faraona — rzekł do niego książę — będziesz moim sercem i ustami. A oto, co masz zrobić:

Gdy najdostojniejszy Herhor zapyta: co myślę o przyczynach nędzy Egiptu i skarbu? — odpowiedz ministrowi, ażeby zwrócił się do swego pomocnika Pentuera, a on objaśni moje poglądy w ten sam sposób, jak to uczynił w świątyni boskiej Hator.

Gdy Herhor zechce wiedzieć: jakie jest moje zdanie o traktacie z Asyrią? — odpowiedz, że moim obowiązkiem jest spełniać rozkazy naszego pana.

Tutmozis kiwał głową na znak, że rozumie.

— Ale — ciągnął namiestnik — gdy staniesz przed obliczem mego ojca (oby żył wiecznie!) i przekonasz się, że was nikt nie podsłuchuje, upadnij mu do nóg w mym imieniu i powiedz:

Panie nasz, to mówi syn i sługa twój, nędzny Ramzes, któremu dałeś życie i władzę.

Przyczyną klęsk Egiptu jest ubytek ziemi urodzajnej, którą zagarnęła pustynia, i ubytek ludności, która mrze z pracy i niedostatku.

Ale wiedz, o panie nasz, że nie mniejszą szkodę jak mór i pustynia wyrządzają skarbowi twemu kapłani. Gdyż nie tylko świątynie ich są wypełnione złotem i klejnotami, którymi

można by wszystkie długi spłacić, ale jeszcze święci ojcowie i prorocy mają najlepsze folwarki, najdzielniejszych chłopów i robotników, a ziemi daleko więcej niż bóg-faraon.

To ci mówi syn i sługa twój, Ramzes, który przez cały czas podróży miał oczy ciągle otwarte jak ryba i uszy nastawione jak u roztropnego osła.

Książę odpoczął, Tutmozis powtarzał sobie w pamięci jego słowa.

— Gdy zaś — mówił dalej namiestnik — jego świątobliwość spyta: jakie jest moje zdanie o Asyryjczykach? — padnij na twarz i odpowiedz:

Sługa Ramzes, jeżeli pozwolisz, ośmiela się mniemać, że Asyryjczycy są to wielkie i silne chłopy i mają doskonałą broń; ale widać po nich, że są źle musztrowani.

Za piętami Sargona chodzili przecie najlepsi wojownicy asyryjscy: łucznicy, toporni cy, kopijnicy, a jednak nie było takich sześciu, którzy potrafiliby maszerować zgodnie, w jednym szeregu. Przy tym włócznie noszą krzywo, miecze źle przywiązane, topory trzymają jak cieśle albo rzeźnicy. Ich odzież jest ciężka, ich grube sandały odparzają nogi, a ich tarcze, choć mocne, niewiele dadzą im pożytku, gdyż żołnierz jest niezgrabny.

— Prawdę mówisz — wtrącił Tutmozis. — To samo i ja spostrzegłem i to samo słyszę od naszych oficerów, którzy twierdzą, że takie wojsko asyryjskie, jakie tu widzieli, słabszy stawi opór aniżeli hordy libijskie.

— Powiedz też — ciągnął Ramzes — panu naszemu, który nas obdarza życiem, iż cała szlachta i wojsko egipskie burzy się na samą wieść, że Asyryjczycy mogliby zagarnąć Fenicję. Przecie Fenicja to port Egiptu, a Fenicjanie — najlepsi majtkowie naszej floty.

Powiedz wreszcie, jakom słyszał od Fenicjan (o czym jego świątobliwość lepiej musi wiedzieć), że Asyria jest dziś słaba: ma bowiem wojnę na północy i wschodzie, a całą zachodnią Azję ma przeciw sobie. Gdybyśmy więc ją dziś napadli, moglibyśmy zdobyć wielkie skarby i mnóstwo niewolników, którzy naszym chłopom pomagaliby w pracy.

Zakończ jednak, że mądrość ojca mego jest większa aniżeli wszystkich ludzi i że zatem będę postępował tak, jak on mi rozkaże, byle nie oddał Fenicji w ręce Assara, bo inaczej zginiemy. Fenicja to drzwi spiżowe do naszego skarbca, a gdzież jest człowiek, który by złodziejowi oddawał swoje drzwi?

Tutmozis odjechał do Memfisu w miesiącu Paofi (lipiec, sierpień). Nil zaczął mocno przybierać, skutkiem czego zmniejszył się napływ azjatyckich pielgrzymów do świątyni Astoreth. Ludność też miejscowa wyległa na pola, aby czym prędzej uprzątnąć winogrona, len i pewien gatunek rośliny wydającej bawełnę.

Słowem okolica uspokoiła się, a ogrody otaczające świątynię Astoreth były prawie puste.

W tej porze książę Ramzes, wolny od zabaw i obowiązków państwowych, zajął się sprawą swej miłości dla Kamy. Jednego dnia odbył tajemną naradę z Hiramem, który z jego polecenia ofiarował świątyni Astoreth dwanaście talentów w złocie, posążek bogini cudnie wyrzeźbiony z malachitu, pięćdziesiąt krów i sto pięćdziesiąt miar pszenicy. Był to dar tak hojny, że sam arcykapłan świątyni przyszedł do namiestnika, ażeby upaść przed nim na brzuch swój i podziękować za łaskę, o której, jak mówił, po wsze wieki nie zapomną ludy kochające boginię Astoreth.

Załatwiwszy się ze świątynią, książę wezwał do siebie naczelnika policji w Pi-Bast i przepędził z nim długą godzinę. Zaś w kilka dni później całe miasto zatrzęsło się pod wpływem nadzwyczajnej nowiny.

Kama, kapłanka Astoreth, została porwana, gdzieś uprowadzona i — przepadła jak ziarno piasku w pustyni!...

Niesłychany ten wypadek zdarzył się w następnych warunkach.

Arcykapłan świątyni wysłał Kamę do miasta Sabne-Chetam nad jeziorem Menzaleh, z ofiarami dla tamtejszej kaplicy Astoreth. Kapłanka odbywała podróż czółnem w nocy, już to aby uniknąć letniego skwaru, już dla zabezpieczenia się przed ciekawością i hołdami mieszkańców.

Nad ranem, kiedy czterej wioślarze zmęczeni zdrzemnęli się, spomiędzy zarośli nadbrzeżnych wypłynęły nagle czółna prowadzone przez Greków i Chetów[245], otoczyły łódź wiozącą kapłankę i porwały Kamę. Napad był tak szybki, że feniccy wioślarze nie sta-

[245] *Checi* — dziś popr.: Hetyci.

wiali żadnego oporu; kapłance zaś widocznie zatkano usta, nawet bowiem nie zdążyła krzyknąć.

Dokonawszy świętokradzkiego czynu Chetowie i Grecy zniknęli w zaroślach, aby następnie wydobyć się na morze. Celem zaś zabezpieczenia się od pościgu wywrócili czółno należące do świątyni Astoreth.

W Pi-Bast zawrzało jak w ulu: cała ludność mówiła tylko o tym. Nawet domyślano się sprawców zbrodni. Jedni posądzali Asyryjczyka Sargona, który ofiarowywał Kamie tytuł małżonki, byle chciała opuścić świątynię i pojechać z nim do Niniwy. Inni zaś podejrzewali Greka Lykona, który był śpiewakiem Astoreth i od dawna gorzał namiętnością do Kamy. Był też o tyle bogatym, że mógł pozwolić sobie na wynajęcie greckich rabusiów, a o tyle bezbożny, że zapewne nie wahałby się porwać kapłanki.

Rozumie się, że w świątyni Astoreth natychmiast zwołano radę najbogatszych i najpobożniejszych wyznawców. Rada zaś przede wszystkim uchwaliła, ażeby uwolnić Kamę od kapłańskich obowiązków, i zdjąć z niej klątwy grożące dziewicom, które w służbie bogini utraciły niewinność.

Było to rozporządzenie świątobliwe i mądre: jeżeli bowiem ktoś gwałtem porwał kapłankę i pozbawił święceń wbrew jej woli, to nie godziło się jej karać.

W parę dni później, przy odgłosie rogów, ogłoszono wiernym w świątyni Astoreth, że kapłanka Kama umarła i że gdyby kto spotkał kobietę podobną do niej, nie ma prawa mścić się, a nawet czynić jej wyrzutów. Nie ona bowiem, nie kapłanka, opuściła boginię, ale porwały ją złe duchy, za co będą ukarane.

Tego zaś samego dnia dostojny Hiram był u księcia Ramzesa i ofiarował mu, w złotej puszce, pargamin[246] opatrzony mnóstwem pieczęci kapłańskich i podpisami najznakomitszych Fenicjan.

Był to wyrok duchownego sądu Astoreth, który uwalniał Kamę od ślubów i zdejmował z niej klątwę niebios, byle tylko wyrzekła się swego kapłańskiego imienia.

Z tym dokumentem, gdy słońce zaszło, udał się książę do pewnej samotnej willi w swoim ogrodzie. Otworzył drzwi nieznanym sposobem i wszedł na piętro do niewielkiego pokoju.

Przy świetle rzeźbionego kagańca, w którym paliła się wonna oliwa, książę zobaczył Kamę.

— Nareszcie!... — zawołał, oddając jej złotą puszkę. — Masz wszystko, czego chciałaś!

Fenicjanka była rozgorączkowana; płonęły jej oczy. Porwała puszkę i, obejrzawszy ją, rzuciła na podłogę.

— Myślisz, że ona jest złota?... — rzekła. — Oddam mój naszyjnik, że ta puszka jest miedziana i tylko pokryta z dwu stron cienkimi blaszkami!...

— Także[247] mnie witasz?... — spytał zdziwiony książę.

— Bo znam moich braci — odparła. — Oni fałszują nie tylko złoto, ale rubiny i szafiry...

— Kobieto... — przerwał następca — ależ w tej puszce jest twoje bezpieczeństwo...

— Co mi tam bezpieczeństwo!... — odparła. — Nudzę się i boję... Siedzę tu już ze cztery dni jak w więzieniu...

— Brakuje ci czego?...

— Brakuje mi światła... oddechu... śmiechów, śpiewów, ludzi... O mściwa bogini, jakże mnie ciężko karzesz!...

Książę słuchał zdumiony. We wściekłej kobiecie nie mógł poznać tej Kamy, którą widział w świątyni, tej kobiety, nad którą unosiła się namiętna pieśń Greka.

— Jutro — rzekł książę — będziesz mogła wyjść do ogrodu... A gdy pojedziemy do Memfis, do Tebów, będziesz bawiła się jak nigdy... Spojrzyj na mnie. Czyliż nie kocham cię i czyliż kobiecie nie wystarcza zaszczyt, że należy do mnie?...

— Tak — odparła nadąsana — ale cztery miałeś przede mną.

— Jeżeli ciebie kocham najlepiej...

— Gdybyś mnie kochał najlepiej, uczyniłbyś mnie pierwszą, osadziłbyś mnie w pałacu, który zajmuje ta... Żydówka Sara i mnie dałbyś wartę, nie jej... Tam przed posągiem

[246] *pargamin* — dziś popr.: pergamin.
[247] *także* — tu: tak właśnie; (więc) w taki sposób.

Astoreth byłam najpierwszą... Ci, którzy składali hołd bogini, klękając przed nią, patrzyli na mnie... A tu co?... Wojsko bębni i gra na fletach, urzędnicy składają ręce na piersiach i schylają głowy przed domem Żydówki...

— Przed moim pierworodnym synem — przerwał zniecierpliwiony książę — a on nie jest Żydem...

— Jest Żydem!... — wrzasnęła Kama.

Ramzes zerwał się.

— Szalona jesteś?... — rzekł, nagle uspokoiwszy się. — Czy nie wiesz, że mój syn Żydem być nie może...

— A ja ci mówię, że jest!... — krzyczała, bijąc pięścią w stolik. — Jest Żydem, jak jego dziad, jak jego wujowie, i nazywa się Izaak...

— Coś powiedziała, Fenicjanko?... Czy chcesz, ażebym cię wypędził?...

— Dobrze, wypędź mnie, jeżeli kłamstwo wyszło z ust moich... Ale jeżeli rzekłam prawdę, wypędź tamtą... Żydówkę wraz z jej pomiotem i mnie oddaj pałac... Ja chcę, ja zasługuję na to, ażeby być pierwszą w twoim domu... Bo tamta oszukuje cię... drwi z ciebie... A ja dla ciebie wyparłam się mojej bogini... narażam się na jej zemstę...

— Daj mi dowód, a pałac będzie twoim... Nie, to fałsz!... — mówił książę. — Sara nie dopuściłaby się takiej zbrodni... Mój pierworodny syn...

— Izaak!... Izaak!... — krzyczała Kama. — Idź do niej i przekonaj się.

Ramzes na pół nieprzytomny wybiegł od Kamy i skierował się do willi, gdzie mieszkała Sara. Pomimo gwiaździstej nocy zbłądził i przez pewien czas tułał się po ogrodzie. Lecz otrzeźwiło go chłodne powietrze, odnalazł drogę i do domu Sary wszedł prawie spokojny.

Mimo późnego wieczoru czuwano tam. Sara własnymi rękoma prała pieluszki syna, a jej służba skracała sobie czas jedzeniem, piciem i muzyką.

Kiedy Ramzes blady ze wzruszenia stanął na progu, Sara krzyknęła, lecz wnet uspokoiła się.

— Bądź pozdrowiony, panie — rzekła, ocierając zmoczone ręce i chyląc mu się do nóg.

— Saro, jak na imię twemu synowi?... — spytał.

Przerażona schwyciła się za głowę.

— Jak na imię twemu synowi?... — powtórzył.

— Wszak wiesz, panie, że Seti... — odparła ledwie słyszalnym głosem.

— Spojrzyj mi w oczy...

— O Jehowo!... — szepnęła Sara.

— Widzisz, że kłamiesz. A teraz ja ci powiem: mój syn, syn następcy egipskiego tronu, nazywa się Izaak... i jest Żydem... podłym Żydem...

— Boże!... Boże!... miłosierdzia!... — zawołała, rzucając się do nóg księciu.

Ramzes ani na chwilę nie podniósł głosu, tylko twarz jego była szara.

— Ostrzegano mnie — mówił — abym nie brał do mego domu Żydówki... Moje wnętrzności skręcały się, kiedy widziałem folwark napełniony Żydami... Alem powściągnął odrazę, bom tobie ufał. I ty, wraz z twymi Żydami, ukradłaś mi syna, złodziejko dzieci...

— Kapłani rozkazali, ażeby został Żydem... — szepnęła Sara, szlochając u nóg księcia.

— Kapłani?... Jacy?...

— Najdostojniejszy Herhor... najdostojniejszy Mefres... Mówili, że tak trzeba, bo twój syn musi zostać pierwszym królem żydowskim...

— Kapłani?... Mefres?... — powtórzył książę. — Królem żydowskim?... Ależ ja mówiłem ci, że twój syn może zostać dowódcą moich łuczników, moim pisarzem... Ja ci to mówiłem!... a ty, nędzna, myślałaś, że tytuł żydowskiego króla równa się dostojeństwu mego łucznika i pisarza?... Mefres... Herhor!... Niech będą dzięki bogom, że nareszcie zrozumiałem tych dostojników i wiem, jaki los przeznaczają memu potomstwu...

Przez chwilę rozmyślał, gryzł wargi. Nagle zawołał potężnym głosem:

— Hej!... służba... żołnierze!...

W oka mgnieniu komnata zaczęła napełniać się. Weszły płacząc służebnice Sary, pisarz i rządca jej domu, potem niewolnicy, wreszcie kilku żołnierzy z oficerem.

— Śmierć!... — krzyknęła Sara rozdzierającym głosem.

Rzuciła się do kołyski, porwała syna i stanąwszy w kącie komnaty, zawołała:

— Mnie zabijcie... ale jego nie dam!...

Ramzes uśmiechnął się.

— Setniku — rzekł do oficera — weź tą kobietę z jej dzieckiem i zaprowadź do budynku, gdzie mieszczą się niewolnicy mego domu. Ta Żydówka już nie będzie panią, ale sługą tej, która ją zastąpi.

A ty, rządco — dodał, zwracając się do urzędnika — pamiętaj, aby Żydówka nie zapomniała jutro z rana umyć nóg swej pani, która tu zaraz przyjdzie. Gdyby zaś ta służebnica okazała się krnąbrną, na rozkaz swej pani powinna otrzymać chłostę.

Wyprowadzić tę kobietę do izby czeladnej!...

Oficer i rządca zbliżyli się do Sary, lecz zatrzymali się, nie śmiejąc jej dotknąć. Ale też i nie było potrzeby. Sara owinęła płachtą kwilące dziecko i opuściła komnatę, szepcąc:

— Boże Abrahama, Izaaka, Jakuba, zmiłuj się nad nami...

Nisko skłoniła się przed księciem, a z jej oczu płynęły ciche łzy. Jeszcze w sieniach słyszał Ramzes jej słodki głos:

— Boże Abrahama, Iza...

Gdy wszystko uspokoiło się, namiestnik odezwał się do oficera i rządcy:

— Pójdziecie z pochodniami do domu między figowe drzewa...

— Rozumiem — odparł rządca.

— I natychmiast przeprowadzicie tu kobietę, która tam mieszka...

— Stanie się tak.

— Ta kobieta będzie odtąd waszą panią i panią Sary Żydówki, która każdego poranku ma swojej pani myć nogi, oblewać ją wodą i trzymać przed nią zwierciadło. To jest moja wola i rozkaz.

— Stanie się — odparł rządca.

— I jutro z rana powiesz mi, czy nowa sługa nie jest krnąbrną...

Wydawszy te polecenia namiestnik wrócił do siebie, ale całą noc nie spał. W jego głębokiej duszy rozpalał się pożar zemsty.

Czuł, że nie podniósłszy ani na chwile głosu zmiażdżył Sarę, nędzną Żydówkę, która ośmieliła się oszukać go. Ukarał ją jak król, który jednym drgnieniem powieki strąca ludzi ze szczytu — w otchłań służalstwa. Ale Sara była tylko narzędziem kapłanów, a następca miał za wiele poczucia sprawiedliwości, aby połamawszy narzędzie, mógł przebaczyć właściwym sprawcom.

Jego wściekłość potęgowała się tym bardziej, że kapłani byli nietykalni. Książę mógł Sarę z dzieckiem wśród nocy — wypędzić do izby czeladniej, ale nie mógł pozbawić Herhora jego władzy ani Mefresa arcykapłaństwa. Sara padła u nóg jego jak zdeptany robak; ale Herhor i Mefres, którzy wydarli mu pierworodnego syna, wznosili się nad Egiptem i (o wstydzie!) nad nim samym, nad przyszłym faraonem, jak piramidy...

I nie wiadomo, który już raz w tym roku przypominał sobie krzywdy, jakich doznał od kapłanów. W szkole bili go kijami, aż mu grzbiet pękał, albo morzyli głodem, aż brzuch przyrastał mu do krzyża. Na zeszłorocznych manewrach Herhor popsuł mu cały plan, a potem złożył winę na niego i pozbawił dowództwa korpusu. Tenże Herhor przyprawił go o niełaskę jego świątobliwości za to, że wziął do domu Sarę, i nie prędzej przywrócił go do zaszczytów, aż upokorzony książę przepędził parę miesięcy na dobrowolnym wygnaniu.

Zdawało się, że gdy zostanie wodzem korpusu i namiestnikiem, kapłani przestaną uciskać go swoją opieką. Lecz właśnie teraz wystąpili z podwojonymi siłami. Zrobili go namiestnikiem, po co?... Aby usunąć go od faraona i zawrzeć haniebny traktat z Asyrią. Zmusili go, że po informacje o stanie państwa udał się jak pokutnik do świątyni; tam oszukiwali go za pomocą cudów i postrachów i udzielili najzupełniej fałszywych objaśnień.

Potem mieszali się do jego rozrywek, kochanek, stosunków z Fenicjanami, długów, a nareszcie, aby go upokorzyć i ośmieszyć w oczach Egiptu, zrobili mu pierworodnego syna Żydem!...

Gdzie jest chłop, gdzie niewolnik, gdzie więzień z kopalń, Egipcjanin, który nie miałby prawa powiedzieć:

— Jestem lepszy od ciebie, namiestniku, bo żaden mój syn nie był Żydem...

Czując ciężar obelgi, Ramzes jednocześnie pojmował, że nie może jej natychmiast pomścić. Więc postanowił odsunąć sprawę do przyszłości. W szkole kapłańskiej nauczył się panować nad sobą, na dworze nauczył się cierpliwości i obłudy; te przymioty staną się jego tarczą i zbroją w walce z kapłaństwem... Do czasu będzie wprowadzał ich w błąd, a gdy przyjdzie odpowiednia chwila, uderzy tak, że już nie podniosą się więcej.

Na dworze zaczęło świtać. Następca twardo zasnął, a gdy obudził się, pierwszą osobą, którą spostrzegł, był rządca pałacu Sary.

— Cóż Żydówka? — zapytał książę.

— Stosownie do rozkazu waszej dostojności umyła nogi swej nowej pani — odparł urzędnik.

— Czy była krnąbrną?

— Była pełną pokory, ale nie dość zręczną, więc rozgniewana pani uderzyła ją nogą między oczy...

Książę rzucił się.

— I cóż na to Sara?... — zapytał prędko.

— Upadła na ziemię. A gdy nowa pani kazała jej iść precz, wyszła cicho płacząc...

Książę zaczął chodzić po komnacie.

— Jakże noc spędziła?...

— Nowa pani?...

— Nie!... — przerwał następca. — Pytam o Sarę...

— Stosownie do rozkazu Sara poszła z dzieckiem do izby czeladniej. Tam służebne, z litości, odstąpiły jej świeżą matę, ale Sara nie położyła się spać, tylko przesiedziała całą noc z dzieckiem na kolanach.

— A dziecko?... — spytał książę.

— Dziecko jest zdrowe. Dziś z rana, kiedy Żydówka poszła na służbę do nowej pani, inne kobiety wykąpały maleństwo w ciepłej wodzie, a żona pastucha, która także ma niemowlę, dała mu ssać.

Książę stanął przed rządcą.

— Źle jest — rzekł — gdy krowa, zamiast karmić swoje cielątko, idzie do pługa i jest bita kijem. Więc choć ta Żydówka popełniła wielki występek, nie chcę, ażeby cierpiał jej niewinny pomiot... Dlatego Sara nie będzie już myła nóg nowej pani i nie będzie przez nią kopana w oczy. W czeladnim domu dasz jej osobną izbę, parę sprzętów i pokarm, jaki należy się niedawnej położnicy. I niech w spokoju karmi swoje dziecko.

— Obyś żył wiecznie, władco nasz! — odparł rządca i szybko pobiegł spełnić rozkazy namiestnika.

Cała bowiem służba lubiła Sarę, a w ciągu paru godzin miała sposobność znienawidzić gniewną i wrzaskliwą Kamę.

ROZDZIAŁ XIV

Kapłanka fenicka niewiele szczęścia przyniosła Ramzesowi.

Gdy pierwszy raz przyszedł odwiedzić ją w pałacyku, dotychczas zajmowanym przez Sarę, myślał, że będzie powitany z zachwytem i wdzięcznością. Tymczasem Kama przyjęła go prawie z gniewem.

— Cóż to? — zawołała — już po upływie pół dnia przywróciłeś do łask nędzną Żydówkę?...

— Czyliż nie mieszka w izbie czeladniej? — odparł książę.

— Ale mój rządca powiedział, że już nie będzie mi nóg myła....

Pan, słuchając tego, doznał uczucia niesmaku.

— Nie jesteś, widzę, zadowolona — rzekł.

— I nie będę nią!... — wybuchła — dopóki nie upokorzę tej Żydówki... Dopóki służąc mi i klęcząc u moich nóg nie zapomni, że kiedyś była twoją pierwszą kobietą i panią tego domu... Dopóki moja służba nie przestanie patrzeć na mnie ze strachem i nieufnością, a na nią z litością...

Ramzesowi coraz mniej zaczęła podobać się Fenicjanka.

— Kamo — rzekł — rozważ, co ci powiem. Gdyby w moim domu sługa kopnął w zęby sukę, która karmi szczenięta, wygnałbym go... Ty zaś uderzyłaś nogą między oczy

kobietę i matkę... A w Egipcie, Kamo, matka to wielkie słowo, bo dobry Egipcjanin trzy rzeczy najbardziej szanuje na ziemi: bogów, faraona i matkę...

— O biada mi!... — zawołała Kama, rzucając się na łóżko. — Oto mam nagrodę, nędzna, żem zaparła się mojej bogini... Jeszcze tydzień temu składano mi kwiaty u nóg i okadzano wonnościami, a dziś...

Książę cicho wysunął się z komnaty i odwiedził Fenicjankę dopiero po kilku dniach.

Lecz znowu zastał ją w złym humorze.

— Błagam cię, panie — wykrzyknęła — dbaj o mnie trochę więcej!... Bo już i służba zaczyna mnie lekceważyć, żołnierze patrzą spode łba i lękam się, ażeby w kuchni nie zatruł mi kto potraw...

— Byłem zajęty wojskiem — odparł książę — więc nie mogłem odwiedzać cię...

— To prawda!... — odparła gniewnie Kama. — Byłeś wczoraj pod moim gankiem, a następnie poszedłeś ku czeladniej izbie, gdzie mieszka ta Żydówka... Chciałeś mi pokazać...

— Dość! — przerwał następca. — Nie byłem ani pod gankiem, ani pod izbą. Jeżeli więc zdawało ci się, iż widziałaś mnie, to znaczy, że twój kochanek, ten nikczemny Grek, nie tylko nie opuścił Egiptu, ale nawet śmie krążyć po moim ogrodzie...

Fenicjanka słuchała go przerażona.

— O Astoreth!... — krzyknęła nagle — ratuj mnie... O ziemio, ukryj mnie!... Bo jeżeli nędzny Lykon powrócił, grozi mi wielkie nieszczęście...

Książę roześmiał się, ale już nie miał cierpliwości słuchać biadań eks-kapłanki.

— Zostań w spokoju — rzekł, wychodząc — i nie zdziw się, jeżeli w tych dniach przyprowadzę ci twego Lykona związanego jak szakal. Zuchwalec ten już wyczerpał moją cierpliwość.

Wróciwszy do siebie, książę wezwał natychmiast Hirama i naczelnika policji w Pi-Bast. Opowiedział im obydwom, że Lykon, Grek z twarzy podobny do niego, kręci się około pałaców, i rozkazał schwytać go. Hiram przysiągł, że gdy Fenicjanie połączą się z policją, Grek musi wpaść w ich ręce. Ale naczelnik policji począł trząść głową.

— Wątpisz? — spytał go książę.

— Tak, panie. W Pi-Bast mieszka wielu bardzo pobożnych Azjatów, według zdania których, kapłanka rzucająca ołtarz zasługuje na śmierć. Jeżeli więc ten Grek zobowiązał się zabić Kamę, oni będą mu pomagali, ukryją go i ułatwią mu ucieczkę.

— Cóż wy na to, książę? — spytał następca Hirama.

— Dostojny naczelnik policji mądrze mówi — odparł starzec.

— Wszakże uwolniliście Kamę od klątwy! — zawołał Ramzes.

— Za Fenicjan — odparł Hiram — ręczę, że nie tkną Kamy i będą ścigali Greka. Ale co zrobić z innymi wyznawcami Astoreth?...

— Ośmielę się mniemać — rzekł naczelnik policji — że tymczasem kobiecie tej nic nie grozi. Gdyby zaś była odważną, moglibyśmy użyć jej do zwabienia Greka i złapania go tu, w pałacach waszej dostojności.

— Idźże więc do niej — rzekł książę — i przedstaw plan, jaki obmyśliłeś. A jeżeli schwycisz łotra, dam ci dziesięć talentów...

Gdy następca pożegnał ich, Hiram odezwał się do naczelnika:

— Dostojniku, wiem, że znasz oba pisma i nieobcą ci jest kapłańska mądrość. Gdy chcesz, słyszysz przez mury i widzisz w ciemnościach. Z tego powodu znasz myśli zarówno chłopa pracującego kubłem, rzemieślnika, który na targ przynosi sandały, i wielkiego pana, który w otoczeniu swoich sług czuje się bezpiecznym jak dziecko w łonie matki...

— Prawdę mówisz, wasza cześć — odparł urzędnik — że bogowie udzielili mi cudnego daru jasnowidzenia.

— Otóż to — ciągnął Hiram — dzięki nadprzyrodzonym zaletom swoim odgadłeś już zapewne, że świątynia Astoreth wyznaczy ci dwadzieścia talentów, jeżeli złapiesz tego nędznika, który ośmiela się przybierać postawę księcia, pana naszego. Nadto zaś w każdym razie, świątynia ofiaruje ci dziesięć talentów, jeżeli wieść o podobieństwie nędznego Lykona do następcy nie rozgłosi się po Egipcie. Rzecz to bowiem gorsząca i nieprzystojna, ażeby zwykły śmiertelnik przypominał obliczem swoim osoby, które od bogów pochodzą.

Niech więc to, co słyszysz o nędznym Lykonie, i cała nasza gonitwa za bezbożnikiem nie wyjdzie poza serca nasze.

— Rozumiem — odparł urzędnik. — Może się bowiem trafić, że taki zbrodniarz straci życie, zanim oddamy go sądowi...

— Powiedziałeś — rzekł Hiram, ściskając go za rękę. — Wszelka zaś pomoc, jakiej zażądasz od Fenicjan, będzie ci udzielona.

Rozstali się jak dwaj przyjaciele polujący na grubego zwierza, którzy wiedzą, że nie o to chodzi: czyj oszczep trafi, lecz ażeby zdobycz była dobrze trafiona i nie wpadła w cudze ręce.

Po kilku dniach Ramzes znowu odwiedził Kamę, lecz znalazł ją w stanie, który graniczył z obłędem. Kryła się w najciaśniejszej izbie swego pałacu, głodna, nieczesana, nawet niemyta, i wydawała najsprzeczniejsze rozkazy swojej służbie. Raz kazała się zgromadzać wszystkim, drugi raz wypędzała wszystkich od siebie. W nocy wołała do siebie wartę żołnierską, a po chwili uciekła od żołnierzy na strych krzycząc, że ją chcą zabić.

Wobec takich postępków z duszy księcia zniknęła miłość, a zostało tylko uczucie wielkiego kłopotu. Schwycił się za głowę, gdy rządca pałacu i oficer opowiedzieli mu o tych dziwach, i szepnął:

— Zaprawdę, źle uczyniłem, odbierając tę kobietę jej bogini. Gdyż tylko bogini mogła cierpliwie znosić jej kaprysy!...

Mimo to poszedł do Kamy i znalazł ją mizerną, potarganą i drżącą.

— Biada mi!... — zawołała. — Żyję między samymi wrogami. Moja szatna chce mnie otruć, a fryzjerka nabawić jakiej ciężkiej choroby... Żołnierze tylko czekają okazji, ażeby w mej piersi utopić włócznie i miecze, a w kuchni, jestem pewna, że zamiast potraw gotują się czarodziejskie zioła... Wszyscy dybią na moje życie...

— Kamo... — przerwał książę.

— Nie nazywaj mnie tak!... — szepnęła przerażona — bo mi to nieszczęście przyniesie...

— Ale skąd ci te myśli przychodzą do głowy?...

— Skąd!... Czy sądzisz, że w dzień nie widuję obcych ludzi, którzy ukazują się pod pałacem i znikają, nim zdołam zawołać na służbę?... A w nocy czy nie słyszę szeptów za ścianą?...

— Zdaje ci się.

— Przeklęci!... przeklęci!... — zawołała z płaczem. — Wszyscy mówicie, że mi się zdaje... A przecież onegdaj jakaś zbrodnicza ręka podrzuciła mi do sypialni welon, który nosiłam pół dnia, zanim poznałam, że to nie mój... żem nigdy nie miała takiego...

— Gdzież ten welon? — spytał już zaniepokojony książę.

— Spaliłam go, alem go pierwej pokazała moim służebnicom.

— Więc choćby był nie twój, cóż ci się stało?

— Jeszcze nic. Ale gdybym tą szmatę przez parę dni potrzymała w domu, z pewnością otrułabym się albo zapadłabym w nieleczącą się chorobę... Znam Azjatów i ich sposoby!...

Znudzony i zirytowany książę opuścił ją czym prędzej pomimo błagań, aby został. Gdy jednak spytał służbę o ów welon, szatna przyznała, że to nie był welon Kamy, ale został podrzucony przez kogoś.

Następca kazał podwoić warty w pałacu i dokoła pałacu i zdesperowany wracał do swego mieszkania.

„Nigdy bym nie uwierzył — myślał — że jedna słaba kobieta może narobić tyle zamętu!... Cztery świeżo złapane hieny nie dorównają w niespokojności tej Fenicjance!..."

U siebie znalazł książę Tutmozisa, który właśnie przyjechał z Memfis i ledwie miał czas wykąpać się i przebrać po podróży.

— Co mi powiesz? — spytał książę ulubieńca, odgadując, że nie przywiózł dobrych nowin. — Widziałeś jego świątobliwość?

— Widziałem słonecznego boga Egiptu — odparł Tutmozis — a oto, co mi rzekł...

— Mów — wtrącił następca.

— Tak mówił pan nasz — ciągnął Tutmozis, złożywszy ręce na piersiach i schyliwszy głowę. — Tak mówi pan. Przez trzydzieści cztery lata prowadziłem ciężki wóz Egiptu i tak jestem zmęczony, że już tęsknię do moich wielkich przodków, którzy zamieszkują

kraj zachodni. Niebawem opuszczę tą ziemię, a wówczas syn mój, Ramzes, zasiądzie na tronie i czynić będzie z państwem to, co mu podyktuje mądrość...

— Tak powiedział mój świątobliwy ojciec?

— To są jego słowa wiernie powtórzone — odparł Tutmozis. — Po kilka razy wyraźnie mówił mi pan, że nie zostawia ci żadnych rozkazów na przyszłość, abyś mógł rządzić Egiptem, jak sam zechcesz...

— O święty!... Czyliż jego niemoc jest naprawdę tak ciężką?... Dlaczego nie pozwala mi przyjechać do siebie?... — pytał rozżalony książę.

— Musisz być tu, bo tu możesz się przydać.

— A traktat z Asyrią?... — zapytał następca.

— Jest zawarty w tym sensie, że Asyria może bez przeszkód z naszej strony prowadzić wojnę na wschodzie i północy. Ale sprawa Fenicji została w zawieszeniu, dopóki ty nie wstąpisz na tron...

— O błogosławiony!... o święty władco!... — wołał książę. — Od jak strasznej uchroniłeś mnie spuścizny...

— Fenicja więc zostaje w zawieszeniu — prawił Tutmozis. — Lecz obok tego stała się niedobra rzecz, bo jego świątobliwość, aby dać dowód Asyrii, że nie będzie jej przeszkadzać w wojnie z ludami północnymi, rozkazał zmniejszyć naszą armię o dwadzieścia tysięcy wojsk najemnych...

— Co powiedziałeś?... — wykrzyknął zdumiony następca.

Tutmozis chwiał głową na znak smutku.

— Prawdę mówię — rzekł — i już nawet rozpuszczono cztery libijskie pułki...

— Ależ to szaleństwo!... — prawie zawył następca, łamiąc ręce. — Po co my się tak osłabiamy i gdzie pójdą ci ludzie?...

— Otóż to, że już poszli na pustynię Libijską i albo napadną Libijczyków, co nam narobi kłopotu, albo połączą się z nimi i razem uderzą na nasze zachodnie granice...

— Nic o tym nie słyszałem!... Co oni porobili?... i kiedy to zrobili?... Żadna wieść do nas nie doszła... — wołał książę.

— Bo rozpuszczeni najemnicy poszli w pustynią od Memfisu, a Herhor zabronił mówić o tym komukolwiek...

— Więc nawet Mefres i Mentezufis nie wiedzą o tym?... — spytał namiestnik.

— Oni wiedzą — odparł Tutmozis.

— Oni wiedzą, a ja nic!...

Książę nagle uspokoił się, ale pobladł, a na jego młodym obliczu odmalowała się straszna nienawiść. Schwycił za obie ręce swego powiernika i mocno ściskając je, szeptał:

— Słuchaj... Na święte głowy mego ojca i matki... na pamięć Ramzesa Wielkiego... na wszystkich bogów, jeżeli jacy są, przysięgam, że gdy — za moich rządów — kapłani nie ugną się przed moją wolą, zgniotę ich...

Tutmozis słuchał przerażony.

— Ja albo oni!... — zakończył książę. — Egipt nie może mieć dwu panów...

— I zwykle miewał tylko jednego: faraona — wtrącił powiernik.

— Zatem będziesz mi wierny?...

— Ja, cała szlachta i wojsko, przysięgam ci!...

— Dosyć — zakończył następca. — Niechże sobie teraz uwalniają najemne pułki... niech podpisują traktaty... niech kryją się przede mną jak niedoperze[248] i niech oszukują nas wszystkich... Ale przyjdzie czas...

A teraz, Tutmozisie, odpocznij po podróży i bądź u mnie na uczcie dziś wieczór... Ci ludzie tak mnie spętali, że mogę tylko bawić się... Więc będę się bawił... Ale kiedyś pokażę im, kto jest władcą Egiptu: oni czy ja...

Od tego dnia znowu zaczęły się uczty. Książę, jakby wstydząc się wojska, nie odbywał z nim ćwiczeń. Natomiast pałac jego roił się szlachtą, oficerami, sztukmistrzami i śpiewaczkami, a po nocach odbywały się wielkie orgie, wśród których dźwięki arf mieszały się z wrzaskami pijanych biesiadników i spazmatycznym śmiechem kobiet.

Na jedną z tych uczt Ramzes zaprosił Kamę, ale odmówiła. Książę obraził się na nią, co spostrzegłszy, Tutmozis rzekł:

[248] *niedoperz* — dziś popr.: nietoperz.

— Mówiono mi, panie, że Sara straciła twoje łaski?

— Nie wspominaj mi o tej Żydówce — odparł następca. — Wszak chyba wiesz, co zrobiła z moim synem?

— Wiem — mówił ulubieniec — ale zdaje mi się, że stało się to nie z jej winy. Słyszałem w Memfis, że czcigodna matka twoja, pani Nikotris, i dostojny minister Herhor uczynili syna twego Żydem w tym celu, aby kiedyś panował nad Izraelitami...

— Ależ Izraelici nie mają króla, tylko kapłanów i sędziów!... — przerwał książę.

— Nie mają, lecz chcą mieć. Im także obmierzły rządy kapłańskie.

Następca pogardliwie machnął ręką.

— Woźnica jego świątobliwości — odparł — znaczy więcej niźli wszyscy królowie, a tym bardziej jakiś tam król izraelski, którego jeszcze nie ma...

— W każdym razie wina Sary nie jest tak wielką — wtrącił Tutmozis.

— Toteż wiedz, że kiedyś zapłacę i kapłanom.

— W tym wypadku i oni nie są zbyt winni. Na przykład dostojny Herhor uczynił tak, pragnąc zwiększyć sławę i potęgę twojej dynastii. Zresztą działał z wiedzą pani Nikotris...

— A Mefres po co miesza się do moich spraw?... — spytał książę. — Przecie on chyba powinien pilnować tylko świątyni, a nie wpływać na losy faraonowego potomstwa...

— Mefres jest starcem, który już zaczyna dziwaczeć. Cały dwór jego świątobliwości drwi dziś z Mefresa z powodu jego praktyk, o których ja sam nic nie wiedziałem, choć prawie co dzień widywałem i widuję świętego męża...

— A to ciekawe... Cóż on robi?...

— Po kilka razy na dobę — odparł Tutmozis — odprawia solenne nabożeństwa w najtajemniejszej części świątyni i nakazuje swoim kapłanom, aby uważali: czy bogowie nie podnoszą go w powietrze podczas modlitwy?...

— Cha!... cha!... cha!... — zaśmiał się następca — I to wszystko dzieje się tu, w Pi-Bast, pod naszym okiem, a ja nic nie wiem...

— Tajemnica kapłańska...

— Tajemnica, o której mówią wszyscy w Memfisie!... Cha... cha... cha!... W cyrku widziałem chaldejskiego kuglarza, który unosił się w powietrzu...

— I ja widziałem — wtrącił Tutmozis — ale to była sztuka. Tymczasem Mefres chce naprawdę wznieść się nad ziemię na skrzydłach swej pobożności...

— Niesłychane błazeństwo!... — mówił książę. — Cóż na to inni kapłani?

— Podobno w świętych papirusach są wzmianki, że dawnymi czasy bywali u nas prorocy posiadający dar wznoszenia się w powietrze, więc kapłanów nie dziwią chęci Mefresa. A że, jak ci wiadomo, u nas podwładni widzą to, co podoba się zwierzchnikom, więc niektórzy święci mężowie twierdzą, że Mefres naprawdę podnosi się w czasie modlitwy na grubość paru palców nad ziemię...

— Cha!... cha!... cha!... I tą wielką tajemnicą bawi się cały dwór, a my tu jak chłopi albo kopacze nawet nie domyślamy się cudów sprawianych pod naszym bokiem... Nędzna dola następcy egipskiego tronu! — śmiał się książę.

Gdy się zaś uspokoił, na powtórną prośbę Tutmozisa rozkazał przenieść Sarę z dzieckiem z izby czeladniej do pałacyku, który w pierwszych dniach zajmowała Kama.

Służba następcy była zachwycona tym rozporządzeniem pana, a wszystkie służebne, niewolnicy i nawet pisarze odprowadzili Sarę do nowej siedziby z muzyką i okrzykami radości.

Fenicjanka, usłyszawszy hałas, spytała o przyczynę. A gdy jej odpowiedziano, że Sara wróciła już do łask następcy i że z domu niewolnic znowu przeniosła się do pałacu, rozwścieczona eks-kapłanka wezwała do siebie Ramzesa.

Książę przyszedł.

— Więc tak poczynasz sobie ze mną?... — wrzasnęła nie panująca nad sobą Kama. — Więc to tak?... Obiecałeś mi, że będę pierwszą twoją kobietą, lecz zanim księżyc obiegł połowę nieba, złamałeś przyrzeczenie?... Może myślisz, że zemsta Astoreth pada tylko na kapłanki, a nie dosięga książąt?...

— Powiedz twojej Astoreth — odparł spokojnie następca — aby nigdy nie groziła książętom, bo i ona pójdzie do izby czeladniej.

— Rozumiem — wołała Kama. — Ja pójdę do czeladzi, może nawet do więzienia, a ty przez ten czas będziesz spędzał noce u swojej Żydówki!... Za to, żem dla ciebie wyparła się

bogów... ściągnęła na moją głowę przekleństwo... Za to, że nie mam godziny spokojnej, że zmarnowałam dla ciebie młodość, życie, nawet duszę, ty tak mi płacisz...

Książę przyznał w sercu, że istotnie Kama wiele poświęciła dla niego, i uczuł skruchę.

— Nie byłem i nie będę u Sary — odparł. — Ale co tobie szkodzi, że nieszczęśliwa kobieta odzyska wygody i będzie mogła wykarmić swoje dziecko?

Fenicjanka zatrzęsła się. Podniosła w górę zaciśnięte pięści, włosy jej najeżyły się, a w oczach zapłonął brudny ogień nienawiści.

— Także[249] mi odpowiadasz?... Żydówka jest nieszczęśliwą, boś ją wygnał z pałacu; a ja muszę być zadowolona, chociaż bogowie wygnali mnie ze wszystkich swoich świątyń... A dusza moja... dusza kapłanki tonącej we łzach i obawie czyliż nie znaczy więcej u ciebie aniżeli ten żydowski pomiot, to dziecko, które... oby już nie żyło... oby go...

— Milcz!... — krzyknął książę, zamykając jej usta.

Cofnęła się wylękniona.

— Więc nie wolno nawet skarżyć się na moją nędzę?... — spytała. — Lecz jeżeli aż tak dbasz o to dziecko, po cóż wykradłeś mnie ze świątyni, dlaczego obiecywałeś, że będę u ciebie pierwszą kobietą?...

Strzeż się — znowu podniosła głos — ażeby Egipt, poznawszy moją dolę, nie nazwał cię wiarołomcą!...

Książę kręcił głową i uśmiechał się. Wreszcie usiadł i rzekł:

— Zaiste, mój nauczyciel miał słuszność, ostrzegając mnie przed kobietami. Jesteście jak dojrzała brzoskwinia w oczach człowieka, któremu język wysuszyło pragnienie... Lecz tylko na pozór... Bo biada głupcowi, który ośmieli się rozgryźć ten piękny owoc: zamiast chłodzącej słodyczy, znajdzie gniazdo os, które poranią mu nie tylko wargi, ale i serce.

— Już narzekasz?... Nawet tego nie oszczędzasz mi wstydu?... Za to, żem ci poświęciła godność kapłanki i cnotę!...

Następca ciągle trząsł głową i uśmiechał się.

— Nigdy bym nie myślał — rzekł po chwili — ażeby sprawdziła się bajka opowiadana przez chłopów zabierających się do snu. Ale dziś widzę, że tak jest. Posłuchaj więc, Kamo, a może zastanowisz się i nie zmusisz mnie do cofnięcia życzliwości, jaką mam dla ciebie...

— Jemu się chce teraz bajki opowiadać!... — odparła z goryczą kapłanka. — Jużeś mi jedną mówił i dobrzem wyszła, usłuchawszy jej...

— Ta z pewnością wyjdzie ci na pożytek, byleś ją chciała zrozumieć.

— Będzie w niej co o żydowskich bachorach?...

— I o kapłankach, tylko uważnie posłuchaj:

Działo się to już dawno, w tym samym mieście Pi-Bast. Pewnego dnia książę Satni na placu przed świątynią Ptah zobaczył bardzo piękną kobietę. Była ona piękniejszą od wszystkich, jakie dotychczas spotykał, a co więcej miała na sobie dużo złota.

Księciu ogromnie podobała się ta osoba. Dowiedział się, co ona za jedna, a gdy mu powiedziano, że jest to córka arcykapłana w Pi-Bast, posłał do niej swego koniuszego z taką ofiarą:

„Dam ci dziesięć złotych pierścieni, jeżeli przepędzisz ze mną godzinkę."

Koniuszy poszedł do pięknej Tbubui i powtórzył jej słowa księcia Satni. Dama, wysłuchawszy go życzliwie, odpowiedziała, jak przystoi dobrze wychowanej panience:

„Jestem córką arcykapłana, jestem niewinna, a nie żadna podła dziewczyna. Jeżeli więc książę chce mieć przyjemność zapoznania się ze mną, niech przyjdzie do mego domu, gdzie wszystko będzie przygotowane, i nasza znajomość nie narazi mnie na plotki kumoszek z całej ulicy."

Poszedł tedy książę Satni za panną Tbubui na górne piętro do jej pokojów, których ściany były wyłożone lapisem lazuli tudzież bladozielonawą emalią. Było tam wiele łóżek pokrytych królewskim płótnem i niemało jednonożnych stolików zastawionych złotymi pucharami. Jeden z pucharów napełniono winem i podano go księciu, a Tbubui rzekła: „Bądź łaskaw, napij się." Na co książę odparł: „Wiesz przecie, że nie przyszedłem na wino." Niemniej jednak zasiedli do uczty, podczas której Tbubui miała na sobie długą, nieprzezroczystą szatę, zapiętą pod szyję. Gdy zaś odurzony książę chciał ją pocałować, odsunęła go i odparła:

[249] *także* — tu: w taki sposób; więc tak.

„Dom ten będzie twoim domem. Pamiętaj jednak, że nie jestem ulicznicą, lecz kobietą niewinną. Jeżeli więc chcesz, ażebym była ci posłuszną, zaprzysięgnij mi wierność i zapisz twój majątek."

„Więc niech przyjdzie tu pisarz" — zawołał książę. A gdy go przyprowadzono, Satni kazał spisać akt ślubny tudzież akt darowizny, którym wszystkie swoje pieniądze, ruchomości i dobra ziemskie przepisał na imię Tbubui.

W godzinę później służba zawiadomiła księcia, że na dole czekają jego dzieci. Tbubui wówczas opuściła go, lecz wnet wróciła ubrana w suknią z przezroczystej gazy. Satni znowu chciał ją uścisnąć, ale odsunęła go, mówiąc:

„Dom ten będzie twoim. Lecz ponieważ nie jestem ladacznicą, tylko dziewczyną niewinną, jeżeli więc chcesz mnie posiadać, to niech twoje dzieci zrobią akt zrzeczenia się majątku, aby później nie procesowały się z moimi dziećmi."

Satni zawołał dzieci na górę i kazał im podpisać akt zrzeczenia się majątku, co uczyniły. Lecz gdy odurzony długim oporem chciał zbliżyć się do Tbubui, ta go znowu zatrzymała...

„Dom ten będzie twoim — rzekła. — Ale ja nie jestem pierwszą lepszą; jestem czystą dziewicą. Jeżeli więc kochasz mnie, każ pozabijać twoje dzieci, ażeby kiedyś nie wydarły majątku moim..."

— Jakaż to długa historia!... — przerwała niecierpliwie Kama.

— Zaraz się skończy — odparł następca. — I wiesz, Kamo, co odpowiedział Satni:

„Jeżeli pragniesz tego, więc... niech się spełni zbrodnia!..."

Tbubui nie trzeba było dwa razy powtarzać. W oczach ojca kazała pomordować dzieci, a okrwawione ich członki wyrzuciła przez okno psom i kotom. No i dopiero wtedy Satni wszedł do jej pokoju i spoczął na jej hebanowym łożu, wykładanym kością słoniową.[250]

— Tbubui dobrze robiła, nie wierząc zapewnieniom mężczyzn — rzekła zirytowana Fenicjanka.

— Ale Satni — odparł następca — zrobił jeszcze lepiej: obudził się... gdyż jego straszna zbrodnia była tylko snem...

I ty, Kamo, zapamiętaj sobie, że najpewniejszym sposobem obudzenia mężczyzny z miłosnych upojeń jest — miotać klątwy na jego syna...

— Bądź spokojny, panie, już ci nigdy nie wspomnę ani o mojej niedoli, ani o twoim synu — posępnie odpowiedziała Fenicjanka.

— A ja nie cofnę ci moich łask i będziesz szczęśliwą — zakończył Ramzes.

ROZDZIAŁ XV

Już i między ludem miasta Pi-Bast zaczęły rozchodzić się groźne wieści o Libijczykach. Opowiadano, że rozpuszczeni przez kapłanów żołnierze barbarzyńscy, wracając do swej ojczyzny, z początku żebrali, potem kradli, a w końcu zaczęli rabować i palić wsie egipskie, mordując przy tym mieszkańców.

W ten sposób w ciągu kilku dni zostały napadnięte i zniszczone miasta: Chinensu[251], Pimat[252] i Kasa[253] na południe do jeziora Moeris. W ten sposób zginęła karawana kupców i pielgrzymów egipskich wracających z oazy Uit-Mehe. Cała zachodnia granica państwa była w niebezpieczeństwie, a nawet z Terenuthis[254] zaczęli uciekać mieszkańcy. I w tamtej bowiem okolicy od strony morza ukazały się bandy libijskie, jakoby wysłane przez groźnego wodza Musawasę, który podobno w całej pustyni miał ogłosić świętą wojnę przeciw Egiptowi.

Niebezpieczeństwo

Toteż jeżeli którego wieczoru zachodni pas nieba czerwienił się zbyt długo, na miesz-

[250] *Pewnego dnia książę Satni… spoczął na jej hebanowym łożu, wykładanym kością słoniową.* — historyjka autentyczna. [Historia o Setne-Chaemwese zauroczonym piękną Tabubue, jedna z cyklu opowieści o tym bohaterze, pochodzi z papirusu z przełomu II–I w. p.n.e. Red. WL]. [przypis autorski]

[251] *Chinensu* — Henen-Nesut (gr. Herakleopolis Magna), stolica 20. nomu Górnego Egiptu, położona ok. 90 km na południe od Memfis.

[252] *Pimat* — Per-Medżet (gr. Oksyrynchos), stolica 19, nomu Górnego Egiptu. Położona ok. 70 km na południowy wschód od Henen-Nesut (Herakleopolis).

[253] *Kasa* — egipskie Hardai, gr. Kynopolis, stolica 17. nomu Górnego Egiptu, ob. al-Kais. Główny ośrodek kultu Anubisa. Położony ok. 15 km na wschód od Per-Medżet (Oksyrynchos).

[254] *Terenuthis* — Terenouthis, egipskie Mefket, miasto w zachodniej części Delty, w 3. nomie Dolnego Egiptu. Położone ok. 40 km na południowy zachód od dzisiejszego Tanda, 80 km na północny zachód od Memfis.

kańców Pi-Bast padała trwoga. Ludzie gromadzili się po ulicach, niektórzy wchodzili na płaskie dachy lub wdrapywali się na drzewa i stamtąd ogłaszali, że — widzą pożar w Menuf[255] albo w Sechem[256]. Byli nawet i tacy, którzy pomimo zmroku dostrzegali uciekających mieszkańców albo libijskie bandy maszerujące w kierunku Pi-Bast długimi, czarnymi szeregami.

Pomimo wzburzenia ludności rządcy nomesu zachowywali się obojętnie; władza bowiem centralna nie przysłała im żadnych rozkazów.

Książę Ramzes wiedział o niepokoju tłumów i widział obojętność pi-basteńskich dygnitarzy. Wściekły gniew ogarniał go, że nie otrzymuje żadnych poleceń z Memfisu i że ani Mefres, ani Mentezufis nie rozmawiają z nim o tych alarmach zagrażających państwu.

Lecz ponieważ obaj kapłani nie zgłaszali się do niego, nawet jakby unikali rozmowy z nim, więc i namiestnik nie szukał ich ani robił żadnych przygotowań wojskowych.

W końcu przestał odwiedzać stojące pod Pi-Bast pułki, a natomiast, zgromadziwszy do pałacu całą szlachecką młodzież, bawił się i ucztował, tłumiąc w sercu oburzenie na kapłanów i obawę o losy państwa.

— Zobaczysz!... — powiedział raz do Tutmozisa. — Święci prorocy wykierują nas tak, że Musawasa zabierze Dolny Egipt, a my będziemy musieli uciekać do Tebów, jeżeli nie do Sunnu[257], o ile znowu stamtąd nie wypędzą nas Etiopowie[258]...

— Prawdę rzekłeś — odparł Tutmozis — że nasi władcy poczynają sobie, jakby byli zdrajcami.

Pierwszego dnia miesiąca Hator (sierpień — wrzesień) odbywała się w pałacu następcy największa uczta. Zaczęto bawić się od drugiej po południu, a nim słońce zaszło, już wszyscy byli pijani. Doszło do tego, że mężczyźni i kobiety tarzali się po podłodze zlanej winem, zasypanej kwiatami i skorupami potłuczonych dzbanów.

Książę był między nimi najprzytomniejszy. Jeszcze nie leżał, ale siedział na fotelu, trzymając na kolanach dwie piękne tancerki, z których jedna poiła go winem, druga oblewała mu głowę silnymi wonnościami.

W tej chwili wszedł na sale adiutant i przelazłszy przez kilku pijanych biesiadników, zbliżył się do następcy.

— Dostojny panie — szepnął — święci Mefres i Mentezufis pragną natychmiast rozmówić się z wami...

Następca odepchnął dziewczęta i zarumieniony, w poplamionym kaftanie, chwiejnym krokiem potoczył się do swego pokoju, na górę.

Na jego widok Mefres i Mentezufis spojrzeli po sobie.

— Czego chcecie, dostojnicy? — spytał książę, upadając na krzesło.

— Nie wiem, czy wasza dostojność będziesz mógł wysłuchać nas... — odparł zakłopotany Mentezufis.

— A!... myślicie, żem się upił? — zawołał książę. — Nie lękajcie się... Dziś cały Egipt jest tak oszalały czy głupi, że jeszcze w pijakach najwięcej zostało rozsądku...

Kapłani zachmurzyli się, lecz Mentezufis zaczął:

— Wasza dostojność wie, że pan nasz i najwyższa rada postanowili uwolnić dwadzieścia tysięcy wojsk najemnych...

— No niby nie wiem... — przerwał następca. — Nie raczyliście przecież nie tylko zasięgnąć mojej rady w kwestii tak mądrego postanowienia, ale nawet nie raczyliście zawiadomić mnie, że już cztery pułki rozpędzono i że ludzie ci z głodu napadają nasze miasta...

— Zdaje mi się, że wasza dostojność sądzisz rozkazy jego świątobliwości faraona... — wtrącił Mentezufis.

---

[255] *Menuf* — gr. Onufis (Onouphis), miasto na zachodzie Delty, w 4. nomie Górnego Egiptu. Położone ok. 60 km na zachód od Bubastis (w powieści: Pi-Bast).

[256] *Sechem* — gr. Letopolis, stolica miasto 2. nomu Dolnego Egiptu, położona ok. 60 km na południowy zachód od Bubastis.

[257] *Sunnu* — Sunet, gr. Syene, dziś Asuan, miasto w pobliżu I katarakty, w starożytności najdalej wysunięte na południe miasto Egiptu, na granicy z Nubią, w 1. nomie Górnego Egiptu. Znajduje się ok. 660 km na południe od Memfis, 180 km na południe od Teb.

[258] *Etiopowie* — chodzi o mieszkańców Nubii, rejonu na południe I katarakty nilowej, tj. dzisiejszego południowego Egiptu i północnego Sudanu. Starożytni Grecy używali nazw: Etiopia, Etiopowie na określenie wszystkich terenów i ludów na południe od Egiptu.

— Nie jego świątobliwości!... — zawołał książę, tupiąc nogą — ale tych zdrajców, którzy korzystając z choroby mego ojca i władcy chcą zaprzedać państwo Asyryjczykom i Libijczykom...

Kapłani osłupieli. Podobnych wyrazów nie wypowiedział żaden jeszcze Egipcjanin.

— Pozwól, książę, ażebyśmy wrócili za parę godzin... gdy się uspokoisz... — rzekł Mefres.

— Nie ma potrzeby. Wiem, co się dzieje na naszej zachodniej granicy... A raczej nie ja wiem, tylko moi kucharze, chłopcy stajenni i pomywaczki. Może więc zechcecie teraz, czcigodni ojcowie, i mnie wtajemniczyć w wasze plany?...

Mentezufis przybrał obojętną fizjognomię i mówił:

— Libijczycy zbuntowali się i zaczynają zbierać bandy z zamiarem napadu na Egipt.

— Rozumiem.

— Z woli zatem jego świątobliwości — ciągnął Mentezufis — i najwyższej rady, masz, wasza dostojność, zebrać wojska z Dolnego Egiptu i zniszczyć buntowników.

— Gdzie rozkaz?

Mentezufis wydobył z zanadrza pargamin opatrzony pieczęciami i wręczył go księciu.

— Więc od tej chwili jestem naczelnym wodzem i najwyższą władzą w tej prowincji? — spytał następca.

— Tak jest, jak rzekłeś.

— I mam prawo odbyć z wami naradę wojenną?...

— Koniecznie... — odparł Mefres. — Choć w tej chwili...

— Siadajcie — przerwał książę.

Obaj kapłani spełnili rozkaz.

— Pytam się was, bo to potrzebne jest do moich planów: dlaczego rozpuszczono libijskie pułki?...

— I rozpuści się inne — pochwycił Mentezufis. — Otóż rada najwyższa dlatego chce pozbyć się dwudziestu tysięcy najkosztowniejszych żołnierzy, aby skarbowi jego świątobliwości dostarczyć rocznie czterech tysięcy talentów, bez czego dwór królewski może znaleźć się w niedostatku...

— Co jednak nie grozi najnędzniejszemu z egipskich kapłanów!... — wtrącił książę.

— Zapominasz, wasza dostojność, że kapłana nie godzi się nazywać „nędznym" — odparł Mentezufis. — A że nie grozi żadnemu z nich niedostatek, to jest zasługą ich powściągliwego trybu życia.

— W takim razie chyba posągi wypijają wino, co dzień odnoszone do świątyń, i kamienni bogowie stroją swoje kobiety w złoto i drogie klejnoty — szydził książę. — Ale mniejsza o waszą powściągliwość!... Rada kapłańska nie dlatego rozpędza dwadzieścia tysięcy wojska i otwiera bramy Egiptu bandytom, ażeby napełnić skarb faraona...

— Tylko?...

— Tylko dlatego, ażeby przypodobać się królowi Assarowi. A ponieważ jego świątobliwość nie zgodził się na oddanie Asyryjczykom Fenicji, więc wy chcecie osłabić państwo w inny sposób: przez rozpuszczenie najemników i wywołanie wojny na naszej zachodniej granicy...

— Biorę bogów na świadectwo, że zdumiewasz nas, wasza dostojność!... — zawołał Mentezufis.

— Cienie faraonów bardziej zdumiałyby się, usłyszawszy, że w tym samym Egipcie, w którym spętano królewską władzę, jakiś chaldejski oszust wpływa na losy państwa...

— Uszom nie wierzę!... — odparł Mentezufis. — Co wasza dostojność mówisz o jakimś Chaldejczyku?...

Namiestnik śmiał się szyderczo.

— Mówię o Beroesie... Jeżeli ty, święty mężu, nie słyszałeś o nim, zapytaj czcigodnego Mefresa, a gdyby i on zapomniał, niech odwoła się do Herhora i Pentuera...

Oto wielka tajemnica waszych świątyń!... Obcy przybłęda, który jak złodziej dostał się do Egiptu, narzuca członkom najwyższej rady traktat tak haniebny, że moglibyśmy podpisać go dopiero po przegraniu bitew, po utracie wszystkich pułków i obu stolic.

I pomyśleć, że zrobił to jeden człowiek, najpewniej szpieg króla Assara!... A nasi mędrcy tak dali się oczarować jego wymowie, że gdy faraon nie pozwolił im wyrzec się Fenicji, to oni przynajmniej rozpuszczają pułki i wywołują wojnę na granicy zachodniej...

Słyszana rzecz?... — ciągnął już nie panując nad sobą Ramzes. — Gdy jest najlepsza pora zwiększyć armię do trzystu tysięcy ludzi i popchnąć ją do Niniwy, ci pobożni szaleńcy rozpędzają dwadzieścia tysięcy wojsk i podpalają własny dom...

Mefres, sztywny i blady, słuchał tych okrutnych szyderstw. Wreszcie zabrał głos:

— Nie wiem, dostojny panie, z jakiego źródła czerpałeś swoje wiadomości... Oby ono było równie czystym jak serca członków najwyższej rady! Przypuśćmy jednak, że masz słuszność i że jakiś chaldejski kapłan potrafił skłonić radę do podpisania ciężkiej umowy z Asyrią. Otóż gdyby tak się zdarzyło, to skąd wiesz, że ów kapłan nie był wysłannikiem bogów, którzy przez jego usta ostrzegli nas o wiszących nad Egiptem niebezpieczeństwach?...

— Odkądże to Chaldejczycy cieszą się takim zaufaniem u was? — zapytał książę.

— Kapłani chaldejscy są starszymi braćmi egipskich — wtrącił Mentezufis.

— To może i król asyryjski jest władcą faraona? — wtrącił książę.

— Nie bluźnij, wasza dostojność — surowo przerwał Mefres. — Lekkomyślnie szperasz w najświętszych tajemnicach, a to bywało niebezpiecznym nawet dla większych od ciebie!

— Dobrze, nie będę szperał. Po czym jednak można poznać, że jeden Chaldejczyk jest wysłannikiem bogów, a drugi szpiegiem króla Assara?

— Po cudach — odparł Mefres. — Gdyby na twój rozkaz, książę, ten pokój napełnił się duchami, gdyby niewidzialne moce uniosły cię w powietrze, powiedzielibyśmy, żeś jest narzędziem nieśmiertelnych, i słuchalibyśmy twej rady...

Ramzes wzruszył ramionami.

— I ja widziałem duchy: robiła je młoda dziewczyna... I ja widziałem w cyrku leżącego w powietrzu kuglarza...

— Tylkoś nie dojrzał cienkich sznurków, które trzymali w zębach czterej jego pomocnicy... — wtrącił Mentezufis.

Książę znowu roześmiał się i przypomniawszy sobie, co mu Tutmozis opowiadał o nabożeństwach Mefresa, rzekł szyderczym tonem:

— Za króla Cheopsa pewien arcykapłan chciał koniecznie latać po powietrzu. W tym celu modlił się do bogów, a swoim podwładnym kazał uważać: czy go nie podnoszą niewidzialne siły?... I co powiecie, święci mężowie: od tej pory nie było dnia, ażeby prorocy nie zapewniali arcykapłana, że unosi się w powietrzu, wprawdzie niewysoko, bo tylko na palec od podłogi... Ale... co to waszej dostojności? — spytał nagle Mefresa.

Istotnie arcykapłan, słuchając swojej własnej historii, zachwiał się na krześle i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go Mentezufis.

Ramzes zmieszał się. Podał starcowi wody do picia, natarł mu czoło i skronie octem, zaczął go chłodzić wachlarzem...

Wkrótce święty Mefres przyszedł do siebie. Powstał z krzesła i rzekł do Mentezufisa:

— Już chyba możemy odejść?

— I ja tak myślę.

— A ja co mam robić? — spytał książę, czując, że stało się coś złego.

— Spełnić obowiązki naczelnego wodza — odparł zimno Mentezufis.

Obaj kapłani ceremonialnie ukłonili się księciu i wyszli. Namiestnik był już całkiem trzeźwy, ale na serce spadł mu wielki ciężar. W tej chwili zrozumiał, że popełnił dwa ciężkie błędy: przyznał się kapłanom do tego, że zna ich wielką tajemnicę, i — niemiłosiernie zadrwił z Mefresa.

Oddałby rok życia, gdyby można zatrzeć w ich pamięci całą tę pijacką rozmowę. Ale już było za późno.

„Nie ma co — myślał — zdradziłem się i kupiłem sobie śmiertelnych wrogów. Ale trudno. Walka zaczyna się w chwili najniekorzystniejszej dla mnie... Lecz idźmy dalej. Niejeden przecie faraon walczył z kapłaństwem i zwyciężył je, nawet nie mając zbyt silnych sprzymierzeńców."

Tak jednak uczuł niebezpieczeństwo swego położenia, że w tej chwili przysiągł, na świętą głowę ojca, nigdy już nie pić większej ilości wina.

Kazał zawołać Tutmozisa. Powiernik zjawił się natychmiast, zupełnie trzeźwy.

— Mamy wojnę i jestem naczelnym wodzem — rzekł następca.

Tutmozis ukłonił się do ziemi.

— I nigdy już nie będę upijał się — dodał książę. — A wiesz dlaczego?

— Wódz powinien wystrzegać się wina i odurzających woni — odparł Tutmozis.

— Nie pamiętałem o tym i... wygadałem się przed kapłanami...

— Z czym? — zawołał przestraszony Tutmozis.

— Że ich nienawidzę i żartuję z ich cudów...

— Nic nie szkodzi. Oni chyba nigdy nie rachują na ludzką miłość.

— I że znam ich polityczne tajemnice — dodał książę.

— Aj!... — syknął Tutmozis. — To jedno było niepotrzebne...

— Mniejsza o to — mówił Ramzes. — Wyślij natychmiast szybkobiegaczy do pułków, ażeby jutro z rana dowódcy zjechali się na radę wojenną. Każ zapalić sygnały alarmowe, ażeby wszystkie wojska Dolnego Egiptu od jutra maszerowały ku zachodniej granicy. Pójdź do nomarchy i zapowiedz mu, aby uwiadomił innych nomarchów o potrzebie gromadzenia żywności, odzieży i broni.

— Będziemy mieli kłopot z Nilem — wtrącił Tutmozis.

— Toteż niech wszystkie czółna i statki zatrzymają na odnogach Nilowych dla przewozu wojsk. Trzeba też wezwać nomarchów, ażeby zajęli się przygotowaniem pułków rezerwowych...

Tymczasem Mefres i Mentezufis wracali do swych mieszkań, przy świątyni Ptah. Gdy znaleźli się sami w celi, arcykapłan podniósł ręce do góry i zawołał:

— Trójco nieśmiertelnych bogów: Ozyrysie, Izydo i Horusie — ratujcie Egipt od zagłady!... Jak świat światem, żaden faraon nie wypowiedział tylu bluźnierstw, ile dziś usłyszeliśmy od tego dzieciaka... Co mówię — faraon?... Żaden wróg Egiptu, żaden Cheta[259], Fenicjanin, Libijczyk nie ośmieliłby się tak znieważać kapłańskiej nietykalności...

— Wino robi człowieka przezroczystym — odparł Mentezufis.

— Ależ w tym młodym sercu kłębi się gniazdo żmij... Poniewiera stan kapłański, szydzi z cudów, nie wierzy w bogów...

— Najwięcej jednak zastanawia mnie to — rzekł zamyślony Mentezufis — skąd on wie o waszych układach z Beroesem? Bo że wie, na to przysięgnę.

— Dokonano okropnej zdrady — odparł Mefres, chwytając się za głowę.

— Rzecz bardzo dziwna! Było was czterech...

— Wcale nie czterech. Boć o Beroesie wiedziała starsza kapłanka Izydy, dwaj kapłani, którzy mu wskazali drogę do świątyni Seta, i kapłan, który go przyjął u wrót... Czekaj no!... — mówił Mefres. — Ten kapłan wciąż siedział w podziemiach... A jeżeli podsłuchiwał?...

— W każdym razie nie sprzedał tajemnicy dzieciakowi, ale komuś poważniejszemu. A to jest niebezpieczne!...

Do celi zapukał arcykapłan świątyni Ptah, święty Sem.

— Pokój wam — rzekł, wchodząc.

— Błogosławieństwo sercu twemu. — Przyszedłem, bo tak podnosicie głos, jakby stało się jakie nieszczęście. Chyba nie przeraża was wojna z nędznym Libijczykiem?... — mówił Sem.

— Co byś też myślał, wasza cześć, o księciu następcy tronu? — przerwał mu Mentezufis.

— Ja myślę — odparł Sem — że on musi być bardzo kontent z wojny i naczelnego dowództwa. Oto urodzony bohater! Gdy patrzę na niego, przychodzi mi na myśl lew Ramzesa.... Ten chłopak gotów sam rzucić się na wszystkie bandy libijskie i zaprawdę — może je rozproszyć.

— Ten chłopak — odezwał się Mefres — może wywrócić wszystkie nasze świątynie i zmazać Egipt z oblicza ziemi.

Święty Sem szybko wyjął złoty amulet, który nosił na piersiach, i szepnął:

— Ucieknijcie, złe słowa, na pustynię... Oddalcie się i nie róbcie szkody sprawiedliwym. Co też wygaduje wasza dostojność!... — rzekł głośniej, tonem wyrzutu.

— Dostojny Mefres mówi prawdę — odezwał się Mentezufis. — Głowa by cię zabolała i żołądek, gdyby ludzkie wargi mogły powtórzyć bluźnierstwa, jakie dziś usłyszeliśmy od tego młodzieniaszka.

---

[259] *Cheta* — dziś popr.: Hetyta.

— Nie żartuj, proroku — oburzył się arcykapłan Sem. — Prędzej uwierzyłbym, że woda płonie, a powietrze gasi, aniżeli w to, że Ramzes dopuszcza się bluźnierstw...

— Robił to niby po pijanemu — wtrącił złośliwie Mefres.

— Choćby nawet. Nie przeczę, że jest to książę lekkomyślny i hulaka, ale bluźnierca!...

— Tak i myśmy sądzili — mówił Mentezufis. — A tak byliśmy pewni, że znamy jego charakter, iż gdy wrócił ze świątyni Hator, przestaliśmy nawet rozciągać nad nim kontroli...

— Żal ci było złota na opłacanie dozorców — wtrącił Mefres. — Widzisz, jakie skutki pociąga na pozór drobne zaniedbanie!...

— Ale cóż się stało? — pytał niecierpliwie Sem.

— Krótko odpowiem: książę następca drwi z bogów...

— Och!...

— Sądzi rozkazy faraona...

— Czy podobna?...

— Najwyższą radę nazywa zdrajcami...

— Ależ...

— I od kogoś dowiedział się o przybyciu Beroesa, a nawet o jego widzeniu się z Mefresem, Herhorem i Pentuerem w świątyni Seta...

Arcykapłan Sem porwał się oburącz za głowę i począł biegać po celi.

— Niepodobna... — mówił. — Niepodobna!... Chyba rzucił kto urok na tego młodzieńca... Może owa kapłanka fenicka, którą wykradł ze świątyni?...

Mentezufisowi uwaga ta wydała się tak trafną, że spojrzał na Mefresa. Ale rozdrażniony arcykapłan nie dał się zbić z toru.

— Zobaczymy — odparł. — Pierwej jednak trzeba przeprowadzić śledztwo, ażebyśmy dzień po dniu wiedzieli: co robił książę od powrotu ze świątyni Hator? Za dużo miał swobody, za dużo stosunków z niewiernymi i nieprzyjaciółmi Egiptu. A ty, dostojny Semie, pomożesz nam...

Skutkiem tej uchwały, arcykapłan Sem zaraz nazajutrz kazał wzywać lud na uroczyste nabożeństwo do świątyni Ptah.

Stawali tedy na rogach ulic, na placach, nawet na polach heroldowie kapłańscy i zwoływali wszelki lud za pomocą trąb i fletów. A gdy zebrała się dostateczna liczba słuchaczy, donosili im, że w świątyni Ptah przez trzy dni odbywać się będą modły i procesje na intencję, aby dobry bóg błogosławił orężowi egipskiemu i pognębił Libijczyków. Zaś na wodza ich, Musawasę, aby zesłał trąd, ślepotę i szaleństwo.

Stało się, jak chcieli kapłani. Od rana do późnej nocy lud prosty wszelkiego zajęcia gromadził się dokoła murów świątyni, arystokracja i bogaci mieszczanie zbierali się w przysionku zewnętrznym, a kapłani miejscowi i sąsiednich nomesów składali ofiarę bogu Ptah i zanosili modły w kaplicy najświętszej.

Spowiedź

Trzy razy dziennie wychodziła uroczysta procesja, podczas której obnoszono w złotej łodzi zasłoniętej firankami czcigodny posąg bóstwa. Przy czym lud padał na twarz i głośno wyznawał nieprawości swoje, a gęsto rozrzuceni w tłumie prorocy, za pomocą stosownych pytań, ułatwiali mu skruchę. Toż samo działo się w przysionku świątyni. Ponieważ jednak ludzie dostojni i bogaci nie lubili oskarżać się głośno, więc święci ojcowie brali żałujących na stronę i po cichu udzielali im rad i upomnień.

W południe nabożeństwo było najuroczystsze. O tej bowiem godzinie przychodziły wojska maszerujące na zachód, aby otrzymać błogosławieństwo arcykapłana i odświeżyć potęgę swoich amuletów, mających własność osłabiania nieprzyjacielskich ciosów.

Niekiedy w świątyni rozlegały się grzmoty, a w porze nocnej nad pylonami błyskało się. Był to znak, że bożek wysłuchał czyichś modłów albo że rozmawiał z kapłanami.

Kiedy po zakończeniu uroczystości trzej dostojnicy: Sem, Mefres i Mentezufis, zeszli się na poufną naradę, sytuacja była już wyjaśniona.

Nabożeństwo przyniosło świątyni około czterdziestu talentów dochodu; lecz około sześćdziesięciu talentów wydano na prezenta[260] lub spłatę długów rozmaitych osób z arystokracji tudzież wyższych wojskowych.

Wiadomości zaś zebrano następujące:

[260] *prezenta* — dziś popr.: prezenty.

Między wojskiem krążyła pogłoska, że byle książę Ramzes wstąpił na tron, rozpocznie z Asyrią wojnę, która przyjmującym w niej udział zapewni wielkie zyski. Najniższy żołnierz, mówiono, nie wróci z tej wyprawy bez tysiąca drachm, jeżeli nie lepiej. Między ludem szeptano, że gdy faraon po zwycięstwie wróci z Niniwy, wszystkich chłopów obdarzy niewolnikami i na pewną liczbę lat daruje Egiptowi podatki.

Arystokracja zaś sądziła, że nowy faraon przede wszystkim — odbierze kapłanom, a zwróci szlachcie wszystkie dobra, które stały się własnością świątyń, jako pokrycie zaciągniętych długów. Mówiono też, że przyszły faraon będzie rządził samowładnie, bez udziału najwyższej rady kapłańskiej.

W końcu we wszystkich warstwach społecznych panowało przekonanie, że książę Ramzes, aby zapewnić sobie pomoc Fenicjan, nawrócił się do bogini Istar i do niej szczególne okazywał nabożeństwo. W każdym razie było rzeczą pewną, że następca odwiedzał raz świątynię Istar w nocy i widział tam jakieś cuda. Zresztą między bogatymi Azjatami krążyły pogłoski, że Ramzes złożył świątyni wielkie dary, a w zamian dostał stamtąd kapłankę, która miała go utwierdzać w wierze.

Wszystkie te wiadomości zebrał najdostojniejszy Sem i jego kapłani. Zaś ojcowie święci: Mefres i Mentezufis, zakomunikowali mu inną nowinę, która przyszła do nich z Memfisu.

Oto — kapłana chaldejskiego i cudotwórcę, Beroesa, przyjmował w podziemiach świątyni Seta kapłan Osochor, który we dwa miesiące później wydając za mąż swoją córkę obdarował ją bogatymi klejnotami i kupił nowożeńcom duży folwark. A ponieważ Osochor nie miał tak znacznych dochodów, rodziło się więc podejrzenie, że ów kapłan, podsłuchawszy rozmowę Beroesa z egipskimi dostojnikami, sprzedał następnie tajemnicę traktatu Fenicjanom i otrzymał od nich wielki majątek.

Wysłuchawszy tego, arcykapłan Sem rzekł:

— Jeżeli święty Beroes jest naprawdę cudotwórcą, to przede wszystkim jego zapytajcie: czy Osochor zdradził tajemnicę?...

— Pytano się o to cudownego Beroesa — odparł Mefres — ale święty mąż powiedział, że w tej sprawie chce milczeć. Dodał też, że choćby nawet ktoś podsłuchał ich układy i doniósł o tym Fenicjanom, Egipt ani Chaldea nie poniosą żadnej szkody. Gdyby więc znalazł się winowajca, należy okazać mu miłosierdzie.

— Święty!... zaiste święty to mąż!... — szeptał Sem.

— A co wasza dostojność — rzekł Mefres do Sema — sądzisz o księciu następcy i niepokojach, jakie wywołało jego postępowanie?

— Powiem to samo, co Beroes: następca nie zrobi szkody Egiptowi, więc trzeba mieć pobłażliwość...

— Młodzik ten drwi z bogów i cudów, wchodzi do obcych świątyń, buntuje lud... To nie są małe rzeczy!... — mówił z goryczą Mefres, który nie mógł zapomnieć Ramzesowi, że w grubiański sposób zażartował z jego pobożnych praktyk.

Arcykapłan Sem lubił Ramzesa, więc odparł z dobrotliwym uśmiechem:

— Który chłop w Egipcie nie rad by mieć niewolnika, ażeby wyrzec się swojej ciężkiej pracy dla słodkiego próżnowania?

A czy jest na świecie człowiek, który by nie marzył o niepłaceniu podatków? Za to bowiem, co płaci skarbowi, jego żona, on sam i dzieci mogliby sprawić sobie ozdobną odzież i użyć rozmaitych przyjemności.

— Próżniactwo i nadmierne wydatki psują człowieka — odezwał się Mentezufis.

— Który żołnierz — ciągnął Sem — nie chciałby wojny i nie pożądał tysiąca drachm zysku, a nawet i więcej?

Dalej — pytam was, ojcowie: który faraon, który nomarcha, który szlachcic chętnie płaci zaciągnięte długi i nie spogląda krzywym okiem na bogactwa świątyń?...

— Bezbożna to pożądliwość! — szepnął Mefres.

— A nareszcie — mówił Sem — który następca tronu nie marzył o ograniczeniu powagi kapłanów, który faraon, w początkach panowania, nie chciał otrząsnąć się spod wpływu najwyższej rady?

— Słowa twoje są pełne mądrości — rzekł Mefres — ale do czego one mają nas doprowadzić?

— Do tego, abyście nie oskarżali następcy przed najwyższą radą. Bo przecie nie ma sądu, który potępiłby księcia za to, że chłopi radzi by nie płacić podatków albo że żołnierze chcą wojny. Owszem, was mogłaby spotkać wymówka. Bo gdybyście dzień po dniu śledzili księcia i hamowali jego drobne wybryki, nie byłoby dziś piramidy oskarżeń, w dodatku — na niczym nie opartych.

W podobnych sprawach nie to jest złem, że ludzie mają skłonność do grzechu, bo oni mieli ją zawsze. Ale to jest niebezpieczne, że myśmy ich nie pilnowali. Nasza święta rzeka, matka Egiptu, bardzo prędko zamuliłaby kanały, gdyby inżynierowie zaprzestali czuwać nad nią.

— A co powiesz, wasza dostojność, o wymysłach, jakich książę dopuścił się w rozmowie z nami?... Czy przebaczysz ohydne drwiny z cudów?... — spytał Mefres. — Przecie ten młodzik ciężko znieważył moją pobożność...

— Sam się obraża, kto rozmawia z pijakiem — odparł Sem. — Zresztą, wasze dostojności nie mieliście prawa rozmawiać o najważniejszych sprawach państwa z nietrzeźwym księciem... A nawet popełniliście błąd, mianując pijanego człowieka wodzem armii. Wódz bowiem musi być trzeźwy.

— Korzę się przed waszą mądrością — rzekł Mefres — ale głosuję za podaniem skargi na następcę do rady najwyższej.

— A ja głosuję przeciw skardze — odparł energicznie Sem. — Rada musi dowiedzieć się o wszystkich postępkach namiestnika, ale nie w formie skargi, tylko zwykłego raportu.

— I ja jestem przeciw skardze — odezwał się Mentezufis.

Arcykapłan Mefres, widząc, że ma przeciw sobie dwa głosy, ustąpił z żądaniem skargi na księcia. Ale wyrządzoną zniewagę zapamiętał i niechęć ukrył w sercu.

Był to starzec mądry i pobożny, lecz mściwy. I chętniej przebaczyłby, gdyby mu rękę ucięto, aniżeli gdy obrażono jego dostojeństwo kapłańskie.

ROZDZIAŁ XVI

Za radą astrologów główna kwatera miała wyruszyć z Pi-Bast w dniu siódmym Hator. Ten bowiem dzień był „dobry, dobry, dobry". Bogowie w niebie, a ludzie na ziemi cieszyli się ze zwycięstwa Ra nad nieprzyjaciółmi; kto zaś przyszedł na świat w tej dobie, miał umrzeć w późnej starości, otoczony szacunkiem.

Wierzenia

Był to również dzień pomyślny dla brzemiennych kobiet i handlujących tkaninami, a zły dla żab i myszy.

Od chwili mianowania go naczelnym wodzem Ramzes gorączkowo rzucił się do pracy. Sam przyjmował każdy nadciągający pułk, oglądał jego broń, odzież i obozy. Sam witał rekrutów i zachęcał ich do pilnego uczenia się musztry na zgubę wrogów i chwałę faraona. Prezydował na każdej radzie wojennej, był obecnym przy badaniu każdego szpiega i w miarę nadchodzących wiadomości własną ręką oznaczał na mapie ruchy wojsk egipskich i stanowiska nieprzyjaciół.

Przejeżdżał tak prędko z miejsca na miejsce, że wszędzie go oczekiwano, a mimo to spadał nagle jak jastrząb. Z rana był na południe od Pi-Bast i zrewidował żywność; w godzinę później ukazał się na północ od miasta i wykrył, że w pułku Jeb brakuje stu pięćdziesięciu ludzi. Nad wieczorem dogonił przednie straże, był przy przejściu Nilowej odnogi i zrobił przegląd dwustu wozów wojennych.

Święty Mentezufis, który jako pełnomocnik Herhora dobrze znał się na sztuce wojennej, nie mógł wyjść z podziwu.

— Wiecie, dostojnicy — rzekł do Sema i Mefresa — że nie lubię następcy od czasu, gdym odkrył jego złość i przewrotność. Ale niech Ozyrys będzie mi świadkiem, że młodzian ten jest urodzonym wodzem. Powiem wam rzecz niesłychaną: my nad granicą o trzy lub cztery dni wcześniej zgromadzimy siły, aniżeli można było przypuszczać. Libijczycy już przegrali wojnę, choć jeszcze nie słyszeli świstu naszej strzały.

— Tym niebezpieczniejszy dla nas taki faraon... — wtrącił Mefres z zaciętością cechującą starców.

Ku wieczorowi dnia szóstego Hator książę Ramzes wykąpał się i oświadczył sztabowi, że jutro, na dwie godziny przed wschodem słońca, wyruszą.

— A teraz chcę się wyspać — zakończył.

Łatwiej jednak było chcieć aniżeli spać.

W całym mieście roili się żołnierze, a przy pałacu następcy obozował pułk, który jadł, pił i śpiewał, ani myśląc o odpoczynku.

Książę odszedł do najodleglejszego pokoju, lecz i tu nie pozwolono mu rozebrać się. Co kilka minut przylatywał jakiś adiutant z nic nie znaczącym raportem lub po rozkazy w sprawach, które mógł na miejscu rozstrzygnąć dowódca pułku. Przyprowadzano szpiegów, którzy nie przynosili żadnych nowych wiadomości; zgłaszali się wielcy panowie z małym pocztem ludzi, pragnąc księciu ofiarować usługi jako ochotnicy. Dobijali się kupcy feniccy, pragnący wziąć dostawy dla wojska, lub dostawcy, którzy skarżyli się na wymagania jenerałów[261].

Nie brakło nawet wróżbitów i astrologów, którzy w ostatniej chwili przed wymarszem chcieli księciu stawiać horoskopy, tudzież czarnoksiężników, mających do sprzedania niezawodne amulety przeciw pociskom.

Wszyscy ci ludzie po prostu wdzierali się do pokoju księcia: każdy z nich bowiem sądził, że w jego rękach spoczywa los wojny i że w podobnych okolicznościach znika wszelka etykieta.

Następca cierpliwie załatwiał interesantów. Ale gdy za astrologiem wsunęła się do pokoju jedna z książęcych kobiet, z pretensją, że Ramzes snadź jej nie kocha, gdyż się z nią nie pożegnał, i kiedy w kwadrans po tej za oknem rozległ się płacz innej kochanki, następca już nie mógł wytrzymać.

Zawołał Tutmozisa i rzekł mu:

— Siedź w tym pokoju i jeżeli masz ochotę, pocieszaj kobiety mego domu. Ja ukryję się gdzieś w ogrodzie, bo inaczej nie zasnę i jutro będę wyglądał jak kura wydobyta ze studni.

— Gdzież mam cię szukać w razie potrzeby? — spytał Tutmozis.

— Oho! ho!... — roześmiał się następca. — Nigdzie nie szukajcie. Sam się znajdę, gdy zatrąbią pobudkę.

To powiedziawszy, książę narzucił na siebie długi płaszcz z kapturem i wymknął się w ogród.

Ale i po ogrodzie snuli się żołnierze, kuchciki i inna służba następcy: w całym bowiem obszarze pałacowym zniknął porządek, jak zwykle przed wymarszem na wojnę. Spostrzegłszy to Ramzes skręcił w najgęstszą część parku, znalazł jakąś altankę zarośniętą winem i kontent rzucił się na ławę.

— Tu już nie znajdą mnie — mruknął — ani kapłani, ani baby...

Wnet zasnął jak kamień.

Od kilku dni Fenicjanka Kama czuła się niezdrową. Do rozdrażnienia przyłączyło się jakieś szczególne niedomaganie i bóle w stawach. Przy tym swędziła ją twarz, a szczególniej czoło nad brwiami.

Drobne te przypadłości wydały się jej tak niepokojącymi, że przestała obawiać się, ażeby jej nie zabito, a natomiast ciągle siedziała przed lustrem, zapowiedziawszy sługom, że mogą robić, co im się podoba, byle ją zostawili w spokoju. W tych czasach nie myślała ani o Ramzesie, ani o nienawistnej Sarze; cała jej bowiem uwaga była zajęta — plamami na czole, których nienawykłe oko nie mogłoby nawet dostrzec.

„Plama... tak, są plamy... — mówiła do siebie pełna bojaźni. — Dwie... trzy... O Astoreth, przecie w taki sposób nie zechcesz ukarać swej kapłanki!... Lepsza śmierć... Ale co znowu za głupstwo... Gdy czoło pocieram palcami, plamy robią się czerwieńsze... Widocznie coś mnie pokąsało albo namaściłam się nieczystą oliwą... Umyję się, a do jutra plamy zginą..."

Przyszło jutro, ale plamy nie zginęły.

Zawołała służącą.

— Słuchaj — rzekła — spojrzyj na mnie...

Lecz powiedziawszy to, usiadła w mniej oświetlonej części pokoju.

— Słuchaj i patrz... — mówiła zduszonym głosem. — Czy... czy na mojej twarzy widzisz jakie plamy?... Tylko... nie zbliżaj się!...

— Nie widzę nic — odparła służąca.

---

[261] *jenerał* — dziś: generał.

— Ani pod lewym okiem?... ani nad brwiami?... — pytała z wzrastającym rozdrażnieniem Fenicjanka.

— Niech pani raczy łaskawie usiąść boskim obliczem do światła — rzekła służąca.

Naturalne to żądanie do wściekłości doprowadziło Kamę.

— Precz, nędznico!... — zawołała — i nie pokazuj mi się...

A gdy służąca uciekła, jej pani rzuciła się gorączkowo do swej tualety[262] i otworzywszy parę słoików, za pomocą pędzelka umalowała sobie twarz na różowy kolor.

Nad wieczorem, czując wciąż ból w stawach i gorszy od bólu niepokój, kazała wezwać do siebie lekarza. Gdy powiedziano jej, że przyszedł, spojrzała w lustro i — napadł ją nowy atak jakby szaleństwa. Rzuciła lustro na podłogę i zawołała z płaczem, że nie chce lekarza.

W ciągu szóstego Hator cały dzień nie jadła i nie chciała się z nikim widzieć.

Gdy po zachodzie słońca weszła niewolnica ze światłem, Kama położyła się na łóżku, owinąwszy głowę szalem. Kazała czym prędzej wynosić się niewolnicy, potem usiadła na fotelu z daleka od kagańca i przepędziła kilka godzin w półsennym odrętwieniu.

„Nie ma żadnych plam — myślała — a jeżeli są, to przecież nie te... To nie trąd..."

— Bogowie!... — krzyknęła, rzucając się na ziemię — nie może być, ażebym ja... Bogowie, ratujcie!... Wrócę do świątyni... odpokutuję całym życiem...

I znowu uspokoiła się, i znowu myślała:

„Nie ma żadnych plam... Od kilku dni trę sobie skórę, więc jest zaczerwieniona... Skądże by znowu?... Czy kto słyszał, ażeby kapłanka i kobieta następcy tronu mogła zachorować na trąd... O bogowie!... Tego nigdy nie było, jak świat światem... Tylko rybacy, więźniowie i nędzni Żydzi... O, ta podła Żydówka!... na nią spuśćcie trąd, moce niebieskie..."

W tej chwili w oknie, które było na pierwszym piętrze, mignął jakiś cień. Potem rozległ się szelest i ze dworu na środek pokoju skoczył książę Ramzes.

Kama osłupiała. Nagle schwyciła się za głowę, a w jej oczach odmalował się — strach bezgraniczny.

— Lykon?... — szepnęła, chwytając się za głowę. — Lykon, tyś tu?... Zginiesz!... Ścigają cię...

— Wiem — odparł Grek, śmiejąc się szyderczo. — Ścigają mnie wszyscy Fenicjanie i cała policja jego świątobliwości...

Mimo to — dodał — jestem u ciebie i byłem u twego pana...

— Byłeś u księcia?...

— Tak, w jego własnej komnacie... I zostawiłbym sztylet w piersi, gdyby złe duchy nie usunęły go... Widocznie twój kochanek poszedł do innej kobiety, nie do ciebie...

— Czego tu chcesz?... Uciekaj!... — szeptała Kama.

— Ale z tobą — odparł. — Na ulicy czeka wóz, którym dojedziemy do Nilu, a tam moja barka...

— Oszalałeś!... Ależ miasto i drogi pełne wojska...

— Właśnie dlatego mogłem wejść do pałacu i oboje wymkniemy się najłatwiej — mówił Lykon. — Zabierz wszystkie kosztowności... Wnet wrócę i zabiorę cię...

— Gdzie idziesz?...

— Poszukam twego pana — odparł. — Nie odejdę przecie bez zostawienia mu pamiątki...

— Tyś szalony...

— Milcz!... — przerwał blady z gniewu. — Jeszcze go chcesz bronić?...

Fenicjanka zadumała się, zacisnęła pięści, a w jej oczach błysnęło złowrogie światło.

— A jeżeli nie znajdziesz go?... — spytała.

— To zabiję paru śpiących jego żołnierzy... podpalę pałac...

Zresztą — czy ja wiem, co zrobię?... Ale bez pamiątki nie odejdę...

Wielkie oczy Fenicjanki miały tak okropny wyraz, że Lykon zdziwił się.

— Co tobie?... — spytał.

— Nic. Słuchaj. Nigdy nie byłeś tak podobny do księcia jak dziś!... Jeżeli więc chcesz zrobić coś dobrego...

Zbliżyła twarz do jego ucha i zaczęła szeptać.

---

[262] *tualeta* — dziś popr.: toaleta; tu: toaletka, mebel, w którym trzyma się kosmetyki.

Grek słuchał zdumiony.

— Kobieto — rzekł — najgorsze duchy mówią przez ciebie... Tak, na niego zwróci się podejrzenie...

— To lepsze aniżeli sztylet — odparła ze śmiechem. — Co?...

— Nigdy nie wpadłbym na taki pomysł!... A może oboje?...

— Nie!... Ona niech żyje... To będzie moja zemsta...

— Cóż to za przewrotna dusza!... — szepnął Lykon. — podobasz mi się... Po królewsku zapłacimy im...

Cofnął się do okna i zniknął. Kama wychyliła się za nim i rozgorączkowana, zapomniawszy o sobie, słuchała.

Może w kwadrans po odejściu Lykona w stronie gaju figowego rozległ się przeraźliwy krzyk kobiecy. Powtórzył się parę razy i ucichł.

Fenicjankę, zamiast spodziewanej radości, ogarnął strach. Upadła na kolana i obłąkanymi oczyma wpatrywała się w ciemny ogród.

Na dole rozległ się cichy bieg, zatrzeszczał słup ganku i w oknie znowu ukazał się Lykon w ciemnym płaszczu. Gwałtownie dyszał i ręce mu drżały.

— Gdzie klejnoty?... — szepnął.

— Daj mi spokój — odparła.

Grek pochwycił ją za kark.

— Nędznico!... — rzekł — czy nie rozumiesz, że nim słońce wejdzie, uwięzą cię i za parę dni uduszą?...

— Jestem chora...

— Gdzie klejnoty?...

— Stoją pod łóżkiem.

Lykon wszedł do komnaty, przy świetle kaganka wydobył ciężką skrzyneczkę, zarzucił na Kamę płaszcz i targnął ją za ramię.

— Zabieraj się. Gdzie są drzwi, którymi wchodzi do ciebie ten... ten twój pan?...

— Zostaw mnie...

Grek pochylił się nad nią i szeptał:

— Aha!... myślisz, że cię tu zostawię?... Dziś tyle dbam o ciebie, co o sukę, która węch straciła... Ale musisz iść ze mną... Niech dowie się twój pan, że jest ktoś lepszy od niego. On wykradł kapłankę bogini, a ja zabieram kochankę jemu...

— Mówię ci, że jestem chora...

Grek wydobył cienki sztylet i oparł jej na karku. Zatrzęsła się i szepnęła:

— Już idę...

Przez ukryte drzwi wyszli do ogrodu. Od strony książęcego pałacu dolatywał ich szmer żołnierzy, którzy palili ognie. Tu i owdzie, między drzewami, widać było światła; od czasu do czasu minął ich ktoś ze służby następcy. W bramie zatrzymała ich warta:

— Kto jesteście?

— Teby — odparł Lykon.

Bez przeszkody wyszli na ulicę i zniknęli w zaułkach cudzoziemskiego cyrkułu Pi-Bast.

Na dwie godziny przed świtem w mieście odezwały się trąby i bębny. Tutmozis jeszcze leżał, pogrążony w głębokim śnie, kiedy książę Ramzes ściągnął z niego płaszcz i zawołał z wesołym śmiechem:

— Wstawaj, czujny wodzu!... Już pułki ruszyły.

Tutmozis usiadł na łóżku i przetarł zaspane oczy.

— Ach, to ty, panie?... — spytał ziewając. — Cóż, wyspałeś się?

— Jak nigdy! — odparł książę.

— A ja bym jeszcze spał.

Wykąpali się obaj, włożyli kaftany i półpancerze i dosiedli koni, które rwały się z rąk masztalerzom.

Wnet następca z małą świtą opuścił miasto, wyprzedzając po drodze leniwie maszerujące kolumny wojsk. Nil bardzo rozlał i książę chciał być obecnym przy przechodzeniu kanałów i brodów.

Gdy słońce weszło, ostatni wóz obozowy był już daleko za miastem, a dostojny nomarcha Pi-Bast mówił do swojej służby:

— Teraz idę spać i biada temu, kto zbudzi mnie przed ucztą wieczorną! Nawet boskie słońce odpoczywa po każdym dniu, ja zaś od pierwszego Hator nie kładłem się.

Zanim dokończył pochwały swojej czujności, wszedł oficer policyjny i poprosił go o osobne posłuchanie w bardzo ważnej sprawie.

— Bodaj was ziemia pochłonęła! — mruknął dostojny pan.

Niemniej kazał wezwać oficera i spytał go opryskliwie:

— Nie można to zaczekać kilku godzin?... Przecie chyba Nil nie ucieka...

— Stało się wielkie nieszczęście — odparł oficer. — Syn następcy tronu zabity...

— Co?... jaki?... — krzyknął nomarcha.

— Syn Sary Żydówki.

— Kto zabił?... kiedy?...

— Dziś w nocy.

— Ale kto to mógł zrobić?...

Oficer schylił głowę i rozłożył ręce.

— Pytam się, kto zabił?... — powtórzył dostojnik, więcej przerażony aniżeli rozgniewany.

— Sam, panie, racz przeprowadzić śledztwo. Usta moje nie powtórzą tego, co słyszały uszy.

Przerażenie nomarchy wzrosło. Kazał przyprowadzić służbę Sary, a jednocześnie posłał po arcykapłana Mefresa. Mentezufis bowiem, jako przedstawiciel ministra wojny, pojechał z księciem.

Przyszedł zdziwiony Mefres. Nomarcha powtórzył mu wiadomość o zabójstwie dziecka następcy i o tym, że oficer policyjny nie śmie dawać żadnych objaśnień.

— A świadkowie są? — spytał arcykapłan.

— Czekają na rozkazy waszej dostojności, ojcze święty.

Wprowadzono odźwiernego Sary.

— Słyszałeś — zapytał go nomarcha — że dziecko twej pani zabite?

Człowiek upadł na ziemię i odpowiedział:

— Nawet widziałem dostojne zwłoki rozbite o ścianę i zatrzymałem naszą panią, która krzycząc wybiegła na ogród.

— Kiedy się to stało?

— Dziś po północy. Zaraz po przyjściu do naszej pani najdostojniejszego księcia następcy... — odparł stróż.

— Jak to, więc książę był w nocy u waszej pani? — spytał Mefres.

— Rzekłeś, wielki proroku.

— To dziwne! — szepnął Mefres do nomarchy.

Drugim świadkiem była kucharka Sary, trzecim dziewczyna służebna. Obie twierdziły, że po północy książę następca wszedł na piętro do pokoju Sary, bawił tam chwilę, potem prędko wybiegł do ogrodu, a wnet po nim ukazała się pani Sara, strasznie krzycząc.

— Ależ książę następca przez całą noc nie wychodził ze swej komnaty w pałacu... — rzekł nomarcha.

Oficer policyjny pokręcił głową i oświadczył, że czeka w przedpokoju kilku ludzi ze służby pałacowej.

Wezwano ich, święty Mefres zadał im pytania i okazało się, że następca tronu nie spał w pałacu. Opuścił swoją komnatę przed północą i wyszedł do ogrodu; wrócił zaś, gdy odezwały się pierwsze trąbki grające pobudkę.

Gdy wyprowadzono świadków, a dwaj dostojnicy zostali sami, nomarcha z jękiem rzucił się na podłogę i zapowiedział Mefresowi, że jest ciężko chory i że woli stracić życie aniżeli prowadzić śledztwo. Arcykapłan był bardzo blady i wzruszony, ale odparł, że sprawę zabójstwa trzeba wyświetlić, i rozkazał nomarsze w imieniu faraona, ażeby poszedł z nim do mieszkania Sary.

Do ogrodu następcy było niedaleko, i dwaj dostojnicy niebawem znaleźli się na miejscu zbrodni.

Wszedłszy do pokoju na piętrze zobaczyli Sarę klęczącą przy kołysce w takiej postawie, jakby karmiła niemowlę. Na ścianie i na podłodze czerwieniły się krwawe plamy.

Nomarcha osłabł tak, że musiał usiąść, ale Mefres był spokojny. Zbliżył się do Sary, dotknął jej ramienia i rzekł:

— Pani, przychodzimy tu w imieniu jego świątobliwości...

Sara nagle zerwała się na równe nogi, a zobaczywszy Mefresa zawołała strasznym głosem:

— Przekleństwo wam!... Chcieliście mieć żydowskiego króla, a oto król... O, czemużem, nieszczęsna, usłuchała waszych rad zdradzieckich...

Zatoczyła się i znowu przypadła do kołyski, jęcząc:

— Mój synek... mój mały Seti!... Taki był piękny, taki mądry... Dopiero co wyciągał do mnie rączki... Jehowo!... — krzyknęła — oddaj mi go, wszakże to w twojej mocy... Bogowie egipscy, Ozyrysie... Horusie... Izydo, Izydo, przecie ty sama byłaś matką... Nie może być, ażeby w niebiosach nikt nie wysłuchał mojej prośby... Takie malutkie dziecko... hiena ulitowałaby się nad nim...

Arcykapłan ujął ją pod ramiona i postawił na nogach. Pokój zapełniła policja i służba.

— Saro — rzekł arcykapłan — w imieniu jego świątobliwości pana Egiptu wzywam cię i rozkazuję, ażebyś odpowiedziała: kto zamordował twego syna?

Patrzyła przed siebie jak obłąkana i tarła czoło. Nomarcha podał jej wody z winem, a jedna z obecnych kobiet skropiła ją octem.

— W imieniu jego świątobliwości — powtórzył Mefres — rozkazuję ci, Saro, ażebyś powiedziała nazwisko zabójcy.

Obecni zaczęli się cofać ku drzwiom, nomarcha rozpaczliwym ruchem zasłonił sobie uszy.

— Kto zabił?... — rzekła Sara zduszonym głosem, topiąc wzrok w twarzy Mefresa. — Kto zabił, pytasz?... Znam ja was, kapłani!... Znam waszą sprawiedliwość...

— Więc kto?... — nalegał Mefres.

— Ja!... — krzyknęła nieludzkim głosem Sara. — Ja zabiłam moje dziecko za to, że zrobiliście je Żydem...

— To fałsz! — syknął arcykapłan.

— Ja... ja!... — powtarzała Sara. — Hej, ludzie, którzy mnie widzicie i słyszycie — zwróciła się do świadków — wiedzcie o tym, że ja zabiłam... ja... ja... ja!... — krzyczała, bijąc się w piersi.

Na tak wyraźne oskarżenie samej siebie nomarcha oprzytomniał i ze współczuciem patrzył na Sarę; kobiety szlochały, odźwierny ocierał łzy. Tylko święty Mefres zaciskał sine usta. Wreszcie rzekł dobitnym głosem, patrząc na urzędników policyjnych:

— Słudzy jego świątobliwości, oddaję wam tę kobietę, którą macie odprowadzić do gmachu sądowego...

— Ale syn mój ze mną!... — wtrąciła Sara, rzucając się do kołyski.

— Z tobą... z tobą, biedna kobieto — rzekł nomarcha i zasłonił twarz.

Dostojnicy wyszli z komnaty. Oficer policyjny kazał przynieść lektykę i z oznakami najwyższego szacunku sprowadził na dół Sarę. Nieszczęśliwa wzięła z kołyski krwią poplamione zawiniątko i bez oporu siadła do lektyki.

Cała służba poszła za nią do gmachu sądowego.

Gdy Mefres z nomarchą wracali do siebie przez ogród, naczelnik prowincji odezwał się wzruszony:

— Żal mi tej kobiety!...

— Słusznie będzie ukarana... za kłamstwo — odparł arcykapłan.

— Wasza dostojność myślisz...

— Jestem pewny, że bogowie znajdą i osądzą prawdziwego mordercę...

Przy furcie ogrodowej zabiegł im drogę rządca pałacu Kamy, wołając:

— Nie ma Fenicjanki!... Zniknęła tej nocy...

— Nowe nieszczęście... — szepnął nomarcha.

— Nie lękaj się — rzekł Mefres — pojechała za księciem...

Z tych odzywań się dostojny nomarcha poznał, że Mefres nienawidzi księcia, i — serce w nim zamarło. Jeżeli bowiem dowiodą Ramzesowi, że zabił własnego syna, następca nigdy nie wstąpi na tron ojcowski, a twarde jarzmo kapłańskie jeszcze mocniej zacięży nad Egiptem.

Smutek dostojnika powiększył się, gdy mu powiedziano wieczorem, że dwaj lekarze ze świątyni Hator obejrzawszy trup dziecięcia wyrazili przekonanie, iż zabójstwo mógł spełnić tylko mężczyzna. Ktoś — mówili — schwycił prawą ręką za obie nóżki chłopczyka

i rozbił mu głowę o ścianę. Ręka zaś Sary nie mogła objąć obu nóżek, na których wreszcie znać było ślady dużych palców.

Po tym objaśnieniu arcykapłan Mefres, w towarzystwie arcykapłana Sema, poszedł do więzienia do Sary i zaklinał ją na wszystkie bogi egipskie i cudzoziemskie, aby oświadczyła, że ona nie jest winną śmierci dziecka, i ażeby opisała: jak wygląda sprawca zbrodni?

— Zawierzymy słowom twoim — mówił Mefres — i zaraz będziesz wolną.

Ale Sara, zamiast wzruszyć się tym dowodem życzliwości, wpadła w gniew.

— Szakale — wołała — nie dość wam dwu ofiar, że jeszcze pożądacie nowych?... Ja to zrobiłam, nieszczęsna, ja... bo któż inny byłby tak nikczemnym, ażeby zabijać dziecko?... Małe dzieciątko, które nikomu nie szkodziło...

— A czy wiesz, uparta kobieto, co ci grozi? — zapytał święty Mefres. — Przez trzy dni będziesz na rękach trzymała zwłoki twego dziecka, a potem pójdziesz do więzienia na piętnaście lat.

— Tylko trzy dni? — powtórzyła. — Ależ ja na wieki nie chcę się z nim rozłączyć, z moim małym Setim... I nie do więzienia, ale do grobu pójdę za nim, a pan mój razem każe nas pochować...

Gdy arcykapłani opuścili Sarę, odezwał się najpobożniejszy Sem:

— Zdarzyło mi się widzieć matki dzieciobójczynie i sądzić je; ale żadna nie była podobna do tej.

— Bo też ona nie zabiła swego dziecka — odparł gniewnie Mefres.

— Więc kto?...

— Ten, którego widziała służba, kiedy wpadł do domu Sary i w chwilę później uciekł... Ten, który idąc na nieprzyjaciela zabrał ze sobą fenicką kapłankę Kamę, która splugawiła ołtarz... Ten wreszcie — dokończył z uniesieniem Mefres — który wygnał z domu Sarę i uczynił ją niewolnicą za to, że jej syn został Żydem...

— Okropne są twoje słowa! — odparł zatrwożony Sem.

— Zbrodnia jest gorszą i pomimo uporu tej głupiej kobiety zostanie odkryta.

Ani przypuszczał święty mąż, że bardzo prędko spełni się jego proroctwo.

A stało się to następującym sposobem.

Jeszcze książę Ramzes, wyruszając z wojskiem z Pi-Bast, nie zdążył opuścić pałacu, kiedy naczelnik policji już wiedział o zabiciu dziecka Sary, o ucieczce Kamy i o tym, że służba Sary widziała księcia wchodzącego w nocy do jej domu. Naczelnik policji był człowiek bystry; domyślił się, kto mógł popełnić zbrodnię, i zamiast prowadzić na miejscu śledztwo, popędził za miasto ścigać winnych, uprzedziwszy o tym, co zaszło, Hirama.

I otóż w tym czasie, gdy Mefres usiłował wydobyć zeznanie Sary, najdzielniejsi agenci pi-basteńskiej policji tudzież wszyscy Fenicjanie, pod przewództwem Hirama, już ścigali Greka Lykona i kapłankę Kamę.

Jakoż trzeciej nocy po wymaszerowaniu księcia naczelnik policji wrócił do Pi-Bast, prowadząc ze sobą dużą, okrytą płótnem klatkę, w której jakaś kobieta krzyczała wniebogłosy. Nie kładąc się spać, naczelnik wezwał oficera, który prowadził śledztwo, i z uwagą wysłuchał jego raportu.

O wschodzie słońca dwaj arcykapłani, Sem i Mefres, tudzież pi-basteński nomarcha otrzymali najpokorniejsze wezwanie, aby raczyli natychmiast, jeżeli taka będzie ich wola, przybyć do naczelnika policji. Jakoż wszyscy trzej zeszli się o tej samej godzinie; zaś naczelnik policji, nisko kłaniając się, począł błagać ich, aby mu opowiedzieli wszystko, co wiedzą o zabójstwie dziecka następcy tronu.

Nomarcha, choć wielki dostojnik, pobladł, usłyszawszy to pokorne wezwanie i odpowiedział, że nic nie wie. Prawie to samo powtórzył arcykapłan Sem, dodając od siebie uwagę, że Sara wydaje mu się niewinną. Gdy zaś przyszła kolej na świętego Mefresa, ten rzekł:

— Nie wiem, czy wasza dostojność słyszałeś, że w nocy, kiedy spełniono zbrodnię, uciekła jedna z książęcych kobiet imieniem Kama?

Naczelnik policji zdawał się być mocno zdziwionym.

— Nie wiem również — ciągnął Mefres — czy powiedziano waszej dostojności, że następca tronu nie nocował w pałacu i że był w domu Sary. Odźwierny i dwie służące poznały go, gdyż noc była dość widna.

Podziw naczelnika policji zdawał się dosięgać szczytu.

— Wielka szkoda — zakończył arcykapłan — że waszej dostojności nie było parę dni w Pi-Bast...

Naczelnik bardzo nisko ukłonił się Mefresowi i zwrócił się do nomarchy.

— Czy wasza cześć nie raczyłbyś łaskawie powiedzieć mi: jak był ubrany książę owego wieczora?...

— Miał biały kaftan i purpurowy fartuszek obszyty złotymi frędzlami — odparł nomarcha. — Dobrze pamiętam, gdyż byłem jednym z ostatnich, którzy rozmawiali z księciem owego wieczora.

Naczelnik policji klasnął w ręce i do biura wszedł odźwierny Sary.

— Widziałeś księcia — zapytał go — kiedy wchodził w nocy do domu twej pani?

— Otwierałem furtkę jego dostojności, oby żył wiecznie!...

— A pamiętasz, jak był ubrany?...

— Miał kaftan w pasy żółte i czarne, taki sam czepek i fartuszek niebieski z czerwonym — odpowiedział odźwierny.

Teraz obaj kapłani i nomarcha zaczęli się dziwić. Gdy zaś wprowadzono po kolei obie sługi Sary, które dokładnie powtórzyły opis ubioru księcia, oczy nomarchy zapłonęły radością, a na twarzy świętego Mefresa widać było zmieszanie.

— Przysięgnę — wtrącił dostojny nomarcha — że książę miał biały kaftan i purpurowy ze złotym fartuszek...

— A teraz — odezwał się naczelnik policji — raczcie, najczcigodniejsi, udać się ze mną do więzienia. Zobaczymy tam jeszcze jednego świadka...

Zeszli na dół, do podziemnej sali, gdzie pod oknem stała wielka klatka przykryta płótnem. Naczelnik policji odrzucił kijem płótno, a obecni zobaczyli w kącie leżącą kobietę.

— Ależ to jest pani Kama!... — zawołał nomarcha.

Była to istotnie Kama, chora i bardzo zmieniona. Gdy na widok dostojników podniosła się i stanęła w świetle, obecni zobaczyli jej twarz pokrytą miedzianymi plamami. Oczy miała jak obłąkane.

— Kamo — rzekł naczelnik policji — bogini Astoreth dotknęła cię trądem...

— To nie bogini!... — odezwała się zmienionym głosem. — To nikczemni Azjaci podrzucili mi zatruty welon... O, ja nieszczęśliwa!...

— Kamo — ciągnął naczelnik policji — nad nędzą twoją ulitowali się najznakomitsi nasi arcykapłani, święci Sem i Mefres. Jeżeli odpowiesz prawdę, pomodlą się za ciebie i — może wszechmocny Ozyrys odwróci od ciebie klęskę. Jeszcze czas, choroba dopiero się zaczyna, a nasi bogowie dużo mogą...

Chora kobieta upadła na kolana i przyciskając twarz do kraty, mówiła złamanym głosem:

— Ulitujcie się nade mną... Wyrzekłam się bogów fenickich i służbę moją do końca życia poświęcę wielkim bogom Egiptu... Tylko oddalcie ode mnie...

— Odpowiedz, ale prawdę — pytał naczelnik policji — a bogowie nie odmówią ci swej łaski: kto zabił dziecko Żydówki Sary?...

— Zdrajca Lykon, Grek... Był śpiewakiem przy naszej świątyni i mówił, że mnie kocha... A teraz rzucił mnie, nikczemnik, zabrawszy moje klejnoty!...

— Dlaczego Lykon zabił dziecko?

— Chciał zabić księcia, lecz nie znalazłszy go w pałacu, pobiegł do domu Sary i...

— Jakim sposobem zbrodniarz dostał się do pilnowanego domu?

— Albo to nie wiesz, panie, że Lykon jest podobny do księcia?... Podobni są jak dwa liście jednej palmy...

— Jak był ubrany Lykon tej nocy?... — pytał dalej naczelnik policji.

— Miał... miał kaftan w żółte i czarne pasy... takiż czepek i fartuszek czerwony z niebieskim... Już nie męczcie mnie... wróćcie mi zdrowie... Zlitujcie się... będę wierna waszym bogom... Czy już wychodzicie?... O, niemiłosierni!...

— Biedna kobieto — odezwał się arcykapłan Sem — przyślę ci tu potężnego cudotwórcę i może...

— O, niech was błogosławi Astoreth... Nie, niech was błogosławią wasi bogowie wszechmocni i litościwi... — szeptała okrutnie znękana Fenicjanka.

Dostojnicy wyszli z więzienia i wrócili do biura. Nomarcha, widząc, że arcykapłan Mefres ma wciąż spuszczone oczy i zacięte usta, zapytał go:

— Czy nie cieszysz się, mężu święty, z tych cudownych odkryć, jakie porobił nasz sławny naczelnik policji?

— Nie mam powodu do radości — odparł szorstko Mefres. — Sprawa, zamiast uprościć, wikła się... Bo przecież Sara wciąż twierdzi, że ona zabiła dziecko, a zaś Fenicjanka tak odpowiada, jakby ją wyuczono...

— Nie wierzysz zatem, wasza dostojność?... — wtrącił naczelnik policji.

— Bo nigdy nie widziałem dwu ludzi tak podobnych do siebie, ażeby jeden mógł być wzięty za drugiego. Tym bardziej zaś nie słyszałem, ażeby w Pi-Bast istniał człowiek mogący udawać naszego następcę tronu (oby żył wiecznie!...).

— Człowiek ten — rzekł naczelnik policji — był w Pi-Bast przy świątyni Astoreth. Znał go tyryjski książę Hiram i na własne oczy widział go nasz namiestnik. Owszem, niezbyt dawno wydał mi rozkaz schwytania go i nawet obiecał wysoką nagrodę.

— Ho! ho!... — zawołał Mefres. — Widzę, dostojny naczelniku policji, że około ciebie zaczynają skupiać się najwyższe tajemnice państwa. Pozwól jednak, że dopóty nie uwierzę w owego Lykona, dopóki go sam nie zobaczę...

I rozgniewany opuścił biuro, a za nim święty Sem, wzruszając ramionami.

Kiedy w korytarzu ucichły ich kroki, nomarcha spojrzawszy bystro na naczelnika policji rzekł:

— Co?...

— Zaprawdę — odparł naczelnik — święci prorocy zaczynają się dziś mieszać nawet do tych rzeczy, które nigdy nie podchodziły pod ich władzę...

— I my to musimy cierpieć!... — szepnął nomarcha.

— Do czasu — westchnął naczelnik policji. — Gdyż, o ile znam ludzkie serca, wszyscy wojskowi i urzędnicy jego świątobliwości, cała wreszcie arystokracja oburza się samowolą kapłanów. Wszystko musi mieć kres...

— Rzekłeś wielkie słowa — odpowiedział nomarcha, ściskając go za rękę — a jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że jeszcze ujrzę cię najwyższym naczelnikiem policji przy boku jego świątobliwości.

Znowu upłynęło parę dni. Przez ten czas paraszytowie ubezpieczyli od zepsucia zwłoki Ramzesowego synka, a Sara wciąż przebywała w więzieniu, czekając na sąd, pewna, że ją potępią.

Kama również siedziała w więzieniu, w klatce; obawiano się jej bowiem, jako dotkniętej trądem. Wprawdzie odwiedził ją cudowny lekarz, odmówił przy niej modlitwy i dał jej do picia wszystkoleczącą wodę. Mimo to Fenicjanki nie opuszczała gorączka, miedziane plamy nad brwiami i na policzkach robiły się coraz wyraźniejsze. Więc z biura nomarchy wyszedł rozkaz wywiezienia jej na pustynię wschodnią, gdzie, odsunięta od ludzi, istniała kolonia trędowatych.

Pewnego wieczora do świątyni Ptah przyszedł naczelnik policji, mówiąc, że chce rozmówić się z arcykapłanami. Naczelnik miał ze sobą dwu ajentów i człowieka od stóp do głów odzianego w wór.

Po chwili odpowiedziano mu, że arcykapłani oczekują go w izbie świętej, pod posągiem bóstwa.

Naczelnik zostawił ajentów przed bramą, wziął za ramię człowieka odzianego w wór i prowadzony przez kapłana udał się do świętej izby. Gdy wszedł tam, zastał Mefresa i Sema ubranych w arcykapłańskie szaty, ze srebrnymi blachami na piersiach.

Wówczas upadł przed nimi na ziemię i rzekł:

— Stosownie do waszego rozkazu przyprowadzam wam, święci mężowie, zbrodniarza Lykona. Czy chcecie zobaczyć jego twarz?

A gdy zgodzili się, naczelnik policji powstał i z towarzyszącego mu człowieka zerwał wór.

Obaj arcykapłani krzyknęli ze zdumienia. Grek rzeczywiście tak był podobny do następcy tronu, Ramzesa, że nie było można oprzeć się złudzeniu.

— Tyżeś to jest Lykon, śpiewak pogańskiej świątyni Astoreth?... — zapytał skrępowanego Greka święty Sem.

Lykon uśmiechnął się pogardliwie.

— I ty zamordowałeś dziecko księcia?... — dodał Mefres.

Grek posiniał z gniewu i usiłował zerwać pęta.

— Tak! — zawołał — zabiłem szczenię, bom nie mógł znaleźć jego ojca, wilka... Oby spalił go ogień niebieski!...

— Co ci winien książę, zbrodniarzu?... — spytał oburzony Sem.

— Co winien!... Porwał mi Kamę i wtrącił ją w chorobę, z której nie ma wyjścia... Byłem wolny, mogłem uciec z majątkiem i życiem, ale postanowiłem zemścić się, i oto macie mnie... Jego szczęście, że wasi bogowie mocniejsi są od mojej nienawiści... Dziś możecie mnie zabić... Im prędzej, tym lepiej.

— Wielki to zbrodniarz — odezwał się arcykapłan Sem.

Mefres milczał i wpatrywał się w pałające wściekłością oczy Greka. Podziwiał jego odwagę i rozmyślał. Nagle rzekł do naczelnika policji.

— Możesz, dostojny panie, odejść; ten człowiek należy do nas.

— Ten człowiek — odparł oburzony naczelnik — należy do mnie... Ja go schwyciłem i ja otrzymam od księcia nagrodę.

Mefres powstał i wydobył spod ornatu złoty medal.

— W imieniu najwyższej rady, której jestem członkiem — mówił Mefres — rozkazuję ci oddać nam tego człowieka. Pamiętaj, że jego istnienie jest najwyższą tajemnicą państwową, i zaprawdę, stokroć lepiej będzie dla ciebie, jeżeli całkiem zapomnisz, żeś go tu zostawił...

Naczelnik policji znowu upadł na ziemię i — wyszedł, tłumiąc gniew.

„Zapłaci wam za to pan nasz, książę następca, gdy zostanie faraonem!... — myślał. — A że i ja oddam wam moją cząstkę, zobaczycie..."

Agenci stojący przed bramą zapytali go: gdzie jest więzień?...

— Na więźniu — odparł — spoczęła ręka bogów.

— A nasze wynagrodzenie?... — nieśmiało odezwał się starszy agent.

— I na waszym wynagrodzeniu spoczęła ręka bogów — rzekł naczelnik. — Wyobraźcie więc sobie, że wam śnił się ten więzień, a będziecie czuli się bezpieczniejsi w waszej służbie i zdrowiu.

Agenci, milcząc, spuścili głowy. Ale w sercach zaprzysięgli zemstę kapłanom pozbawiającym ich tak pięknego zarobku.

Po odejściu naczelnika policji Mefres zawołał kilku kapłanów i najstarszemu szepnął coś do ucha. Kapłani otoczyli Greka i wyprowadzili go z izby świętej. Lykon nie opierał się.

— Myślę — rzekł Sem — że człowiek ten, jako zabójca, powinien być wydany sądowi.

— Nigdy! — odparł stanowczo Mefres. — Na człowieku tym cięży nierównie gorsza zbrodnia: jest podobny do następcy tronu...

— I co z nim zrobisz, wasza dostojność?

— Zachowam go dla najwyższej rady — mówił Mefres. — Tam, gdzie następca tronu zwiedza pogańskie świątynie i wykrada z nich kobiety, gdzie kraj jest zagrożony niebezpieczną wojną, a władza kapłańska buntem, tam — Lykon może się przydać...

Nazajutrz w południe arcykapłan Sem, nomarcha i naczelnik policji przyszli do więzienia Sary. Nieszczęśliwa nie jadła od kilku dni i była tak osłabiona, że nawet nie podniosła się z ławy na widok tylu dygnitarzy.

— Saro — odezwał się nomarcha, którego znała dawniej — przynosimy ci dobrą nowinę.

— Nowinę?... — powtórzyła apatycznym głosem. — Syn mój nie żyje, oto nowina!... Mam piersi przepełnione pokarmem, a serce jest jeszcze pełniejsze smutku...

— Saro — mówił nomarcha — jesteś wolna... Nie ty zabiłaś dziecię.

Martwe jej rysy ożywiły się. Zerwała się z ławy i krzyknęła:

— Ja... ja zabiłam... tylko ja!

— Syna twego, uważaj, Saro, zabił mężczyzna, Grek, nazwiskiem Lykon, kochanek Fenicjanki Kamy...

— Co mówisz?... — wyszeptała, chwytając go za ręce. — O, ta Fenicjanka!... Wiedziałam, że nas zgubi... Ale Grek?... Ja nie znam żadnego Greka... Cóż wreszcie mógłby zawinić Grekom mój syn...

— Nie wiem o tym — ciągnął nomarcha. — Grek ten już nie żyje. Ale uważaj, Saro: ten człowiek był tak podobny do księcia Ramzesa, że gdy wszedł do twego pokoju, myślałaś, że to nasz pan... I wolałaś oskarżyć samą siebie aniżeli swego i naszego pana.

— Więc to nie był Ramzes?... — zawołała, chwytając się za głowę. — I ja, nędzna, pozwoliłam, ażeby obcy człowiek wywlókł syna mego z kolebki... Cha!... cha!... cha!...

Zaczęła się śmiać coraz ciszej. Nagle, jakby jej nogi podcięto, runęła na ziemię, rzuciła parę razy rękoma i w śmiechu skonała.

Ale na twarzy jej pozostał wyraz niezgłębionego żalu, którego nawet śmierć nie mogła odegnać.

ROZDZIAŁ XVII

Zachodnią granicę Egiptu na długości przeszło sto mil geograficznych stanowi ściana pagórków wapiennych, nagich, poprzerywanych wąwozami, wysokich na paręset metrów. Biegnie ona wzdłuż Nilu, od którego oddala się na milę, niekiedy na kilometr.

Gdyby kto wdrapał się na który z pagórków i zwrócił twarz ku północy, zobaczyłby jedno z najosobliwszych widowisk. W dole, na prawo, miałby wąską, ale zieloną łąkę, przerzniętą Nilem; zaś na lewo ujrzałby nieskończoną równinę barwy żółtej, urozmaiconą plamami białymi albo ceglastymi.

Jednostajność widoku, drażniąca żółtość piasku, upał, a nade wszystko — bezmiar nieskończony, oto najogólniejsze cechy Pustyni Libijskiej rozciągającej się na zachód od Egiptu.

Przy bliższym jednak rozejrzeniu się pustynia wydałaby się mniej jednostajną. Jej piasek nie układa się płasko, ale tworzy szeregi zwałów przypominających ogromne fale na wodzie. Jest to jakby rozkołysane morze, które zakrzepło.

Kto by jednak miał odwagę iść po tym morzu godzinę, dwie, niekiedy cały dzień, wciąż na zachód, zobaczyłby nowy widok. Na horyzoncie ukazują się wzgórza, niekiedy skały i urwiska najdziwniejszych form. Pod nogami piasek staje się coraz płytszym i poczyna wynurzać się spod niego skała wapienna niby ląd.

Pustynia

Istotnie jest to ląd, a nawet kraj, wśród piaszczystego morza. Obok wapiennych pagórków widać doliny, na nich koryta rzek i strumieni, dalej równinę, a wśród niej jezioro z powyginaną linią brzegów i dnem zaklęśniętym.

Ale na tych równinach i wzgórzach nie rośnie ani źdźbło trawy, w jeziorze nie ma kropli wody, korytem rzeki nie płynie nic. Jest to krajobraz nawet bardzo urozmaicony pod względem form ziemi, ale krajobraz, z którego wszystka woda uciekła, najmniejsza wilgoć wyschła, krajobraz martwy, gdzie nie tylko wyginęła wszelka roślinność, ale nawet urodzajna warstwa gruntu roztarła się w pył lub wsiąknęła w opokę.

W tych miejscach trafił się wypadek najokropniejszy, o jakim można pomyśleć: natura skonała, został z niej tylko szkielet i prochy, które do reszty rozkłada upał i z miejsca na miejsce przerzuca wiatr gorący.

Za tym zmarłym, a nie pochowanym lądem ciągnie się znowu morze piasku, na którym tu i owdzie widać spiczaste stożki, wznoszące się niekiedy na piętro wysokości. Każdy szczyt takiego pagórka kończy się pęczkiem listków szarych, zapylonych, o których trudno powiedzieć, że żyją; one tylko nie mogą zwiędnąć.

Dziwaczny stożek oznacza, że w tym miejscu woda jeszcze nie wyschła, ale przed spiekotą skryła się pod ziemię i jako tako podtrzymuje wilgoć gruntu. Na to miejsce upadło nasienie tamaryndusu i z wielkim trudem poczęła wzrastać roślina.

Lecz władca pustyni, Tyfon, dostrzegł ją i z wolna począł zasypywać piaskiem. A im więcej roślinka pnie się w górę, tym wyżej podnosi się stożek duszącego ją piasku. Zabłąkany w pustyni tamaryndus wygląda jak topielec na próżno wyciągający dłonie do nieba.

I znowu rozwala się nieskończone żółte morze, ze swymi falami piasku i nie mogącymi skonać rozbitkami świata roślinnego. Nagle ukazuje się skalista ściana, w niej szczeliny niby bramy...

Rzecz nie do uwierzenia! Poza jedną z tych bram widać rozległą dolinę barwy zielonej, mnóstwo palm, błękitne wody jeziora. Widać nawet pasące się owce, bydło i konie, między

nimi uwijają się ludzie; z daleka na stokach skał piętrzy się całe miasteczko, a na szczytach bieleją mury świątyń.

Jest to oaza, niby wyspa wśród piaszczystego oceanu.

Takich oaz za czasów faraonów było bardzo wiele, może kilkadziesiąt. Tworzyły one łańcuch wysp pustynnych wzdłuż zachodniej granicy Egiptu. Leżały w odległości dziesięciu, piętnastu lub dwudziestu mil jeograficznych[263] od Nilu, a obejmowały po kilkanaście i kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni.

Buntownik

Opiewane przez arabskich poetów oazy naprawdę nigdy nie były przedsionkami raju. Ich jeziora są najczęściej bagnami; z podziemnych źródlisk wypływa woda ciepła, niekiedy cuchnąca i obrzydliwie słona; roślinność ani mogła porównywać się z egipską. Niemniej ustronia te wydawały się cudem dla pustynnych wędrowców, którzy znajdowali w nich trochę zieloności dla oka tudzież odrobinę chłodu, wilgoci i daktylów.

Ludność tych wysp wśród piaszczystego oceanu była bardzo rozmaitą: od kilkuset osób do kilkunastu tysięcy, zależnie od przestrzeni. Byli to wszystko awanturnicy lub ich potomkowie egipscy, libijscy, etiopscy. W pustynię bowiem uciekali ludzie nie mający już nic do stracenia: więźniowie z kopalń, przestępcy ścigani przez policję, chłopi przeciążeni pańszczyzną lub robotnicy, którzy woleli niebezpieczeństwo aniżeli pracę.

Większa część tych zbiegów marnie ginęła w pustyni. Niektórym po nieopisanych męczarniach udawało się dotrzeć do oazy, gdzie pędzili żywot nędzny, lecz swobodny, i zawsze byli gotowi wpaść do Egiptu na nieuczciwy zarobek.

Między pustynią i Morzem Śródziemnym ciągnął się bardzo długi, choć niezbyt szeroki pas ziemi żyznej, zamieszkały przez rozmaite plemiona, które Egipcjanie nazywali Libijczykami. Jedne z tych plemion zajmowały się rolnictwem, inne rybactwem i morską żeglugą; w każdym z nich jednak była gromada dzikusów, którzy woleli kradzież, wojnę i rozbój aniżeli systematyczną pracę. Bandycka ta ludność nieustannie ginęła wśród nędzy albo wojennych przygód, lecz i ciągle powiększała się regularnym dopływem Szardana (Sardyńczyków) i Szakalusza (Sycylijczyków), którzy w owej epoce byli jeszcze większymi barbarzyńcami i zbójami aniżeli rodowici Libijczycy.

Ponieważ Libia stykała się z zachodnią granicą Dolnego Egiptu, barbarzyńcy więc często grabili ziemię jego świątobliwości i — bywali strasznie karceni. Przekonawszy się jednak, że wojna z Libijczykami nie prowadzi do niczego, faraonowie, a raczej kapłani, chwycili się innej polityki. Prawowitym rodzinom libijskim pozwalali osiedlać się na nadmorskich bagnach Dolnego Egiptu, zaś bandytów i awanturników werbowali do wojska i mieli z nich wybornych żołnierzy.

W ten sposób państwo zabezpieczyło sobie spokój na zachodniej granicy. Dla utrzymania zaś w porządku pojedynczych rabusiów libijskich wystarczała policja, straż polowa i parę pułków regularnych ustawionych wzdłuż kanopijskiej odnogi Nilu.

Taki stan rzeczy trwał blisko sto osiemdziesiąt lat; ostatnią bowiem wojnę z Libijczykami prowadził jeszcze Ramzes III, który uciął ogromne stosy rąk poległym nieprzyjaciołom i przywiódł do Egiptu trzynaście tysięcy niewolników. Od tej pory nikt nie lękał się napadu ze strony Libii i dopiero przy schyłku panowania Ramzesa XII dziwna polityka kapłanów na nowo zapaliła w tamtych stronach pożar walki.

Wybuchła zaś ona z następujących powodów:

Jego dostojność Herhor, minister wojny i arcykapłan, skutkiem oporu jego świątobliwości faraona nie mógł zawrzeć z Asyrią traktatu o podział Azji. Pragnąc jednak, stosownie do przestróg Beroesa, utrzymać z Asyryjczykami dłuższy spokój, Herhor zapewnił Sargona, że Egipt nie przeszkodzi im w prowadzeniu wojny z Azjatami wschodnimi i północnymi.

Polityka, Interes

A ponieważ pełnomocnik króla Assara zdawał się nie ufać przysięgom, więc Herhor postanowił złożyć mu materialny dowód życzliwości i w tym celu wydał rozkaz natychmiastowego uwolnienia dwudziestu tysięcy wojsk najemnych, przeważnie Libijczyków.

Dla uwolnionych, a nic niewinnych i zawsze wiernych żołnierzy postanowienie to było nieszczęściem nieomal równającym się karze śmierci. Przed Egiptem otwierało się niebezpieczeństwo wojny z Libią, która w żaden sposób nie mogła dać przytułku takiej

[263] *jeograficzny* — dziś: geograficzny.

masie ludzi, przywykłych tylko do musztry i wygód, nie zaś do pracy i nędzy. Ale Herhor i kapłani nie krępowali się drobiazgami, gdy chodziło o wielkie interesa[264] państwowe.

Naprawdę bowiem wypędzenie najemników libijskich przynosiło duże korzyści.

Przede wszystkim Sargon i jego towarzysze podpisali i zaprzysięgli tymczasowy traktat z Egiptem na lat dziesięć, przez który to czas, według proroctw chaldejskich kapłanów, miały ciążyć nad ziemią świętą złe losy.

Po wtóre — wypędzenie dwudziestu tysięcy ludzi z wojska przynosiło skarbowi królewskiemu cztery tysiące talentów oszczędności, co było bardzo ważne.

Po trzecie — wojna z Libią na zachodniej granicy była upustem dla bohaterskich instynktów następcy tronu i na długi czas mogła odwrócić jego uwagę od spraw azjatyckich i od granicy wschodniej. Jego dostojność Herhor i rada najwyższa bardzo mądrze przypuszczali, że upłynie kilka lat, zanim Libijczycy, zużywszy się w partyzanckich walkach, zechcą prosić o pokój.

Plan był rozsądny, lecz autorowie[265] jego popełnili jeden błąd: nie przeczuli, że w księciu Ramzesie tkwi materiał na genialnego wojownika.

Rozpuszczone pułki libijskie, rabując po drodze, bardzo prędko dotarły do swej ojczyzny; tym łatwiej, że Herhor nie kazał stawiać im przeszkód. Najpierwsi zaś spomiędzy wypędzonych stanąwszy na libijskiej ziemi niestworzone rzeczy opowiadali swoim rodakom.

Według ich relacji, dyktowanych przez gniew i interes osobisty, Egipt był dziś tak osłabiony jak w epoce najścia Hyksosów, przed dziewięciuset laty. Skarb faraona był tak pusty, że równy bogom władca musiał rozpuścić ich, Libijczyków, którzy przecie stanowili najlepszą, jeżeli nie jedyną część armii. Armii zresztą prawie nie było, chyba garstka na wschodniej granicy, a i to lada jakich żołnierzy.

Oprócz tego między jego świątobliwością i kapłanami panowała niezgoda; robotnikom nie wypłacano zasług, a chłopów wprost duszono podatkami, przez co masy ludu były gotowe do buntu, byle znalazła się pomoc. I jeszcze nie dosyć: albowiem nomarchowie, którzy kiedyś byli niezależnymi władcami i od czasu do czasu przypominali sobie swoje prawa, dziś, widząc słabość rządu, przygotowują się do obalenia i faraona, i najwyższej rady kapłańskiej.

Wieści te jak stado ptaków rozleciały się po libijskim wybrzeżu i — natychmiast znalazły wiarę. Bandyci i barbarzyńcy zawsze byli gotowi do napadu, a tym więcej dziś, gdy eks-żołnierze i eks-oficerowie jego świątobliwości zapewniali ich, że zrabowanie Egiptu jest rzeczą bardzo łatwą. Zamożni i rozsądni Libijczycy również uwierzyli wypędzonym legionistom; od wielu już bowiem lat nie było dla nich tajemnicą, że szlachta egipska ubożeje, że faraon nie ma władzy, że chłopi i robotnicy dopuszczają się z nędzy buntów.

I otóż w całej Libii wybuchnął zapał. Wypędzonych żołnierzy i oficerów witano jak głosicieli dobrej nowiny. A ponieważ kraj był ubogi i nie miał zapasów do podejmowania gości, uchwalono więc natychmiast wojnę z Egiptem, ażeby jak najrychlej pozbyć się przybyszów.

Nawet chytry i mądry książę libijski, Musawasa, dał się porwać ogólnemu prądowi. Jego jednak nie przekonali imigranci, ale jacyś ludzie poważni i dostojni, a według wszelkiego prawdopodobieństwa — agenci najwyższej rady egipskiej.

Ci dygnitarze, niby to niezadowoleni ze stanu rzeczy w Egipcie, niby to obrażeni na faraona i kapłanów, przyjechali do Libii od strony morza, kryli się przed gawiedzią, unikali stosunków z wypędzonymi żołnierzami, a Musawasie tłumaczyli pod największym sekretem i z dowodami w rękach, że — teraz właśnie powinien napaść na Egipt.

— Znajdziesz tam — mówili — bezdenny skarbiec i spiżarnię dla siebie, dla swoich ludzi i dla wnuków waszych wnuków.

Musawasa — choć przebiegły wódz i dyplomata — dał się złapać. Jako człowiek energiczny, natychmiast ogłosił przeciw Egiptowi świętą wojnę i — mając pod ręką tysiące dzielnych wojowników, pchnął pierwszy korpus ku wschodowi, pod dowództwem swego syna, dwudziestoletniego Tehenny.

---

[264] *interesa* — dziś popr.: interesy.

[265] *autorowie* — dziś popr.: autorzy.

Stary barbarzyniec[266] znał wojnę i rozumiał, że kto chce zwyciężyć, musi działać szybko, zadawać pierwsze ciosy.

Przygotowania libijskie trwały bardzo krótko. Eks-żołnierze jego świątobliwości wprawdzie przyszli bez broni, lecz znali swoje rzemiosło, a w owych czasach o broń nie było trudno. Parę rzemyków czy parę kawałków sznurka na procę, włócznia albo zaostrzony kij, topór albo ciężka pałka, jedna torba kamyków a druga — daktylów, oto wszystko.

Oddał więc Musawasa dwa tysiące eks-żołnierzy i ze cztery tysiące libijskiej hołoty swemu synowi, Tehennie, zalecając mu, ażeby czym prędzej wpadł do Egiptu, zrabował, co się da, i przygotował zapasy dla właściwej armii. Sam zaś, gromadząc poważniejsze siły, rozesłał gońców po oazach i wzywał wszystkich, którzy nie mają nic do stracenia, pod swoje sztandary.

Dawno w pustyni nie panował taki ruch jak dzisiaj. Z każdej oazy wychodziła gromada za gromadą tak strasznych proletariuszów, że choć już byli prawie nadzy, jeszcze zasługiwali na nazwę oberwańców.

Opierając się na zdaniu swoich doradców, którzy jeszcze miesiąc temu byli oficerami jego świątobliwości, Musawasa całkiem rozsądnie przypuszczał, że jego syn pierwej zrabuje kilkaset wsi i miasteczek od Terenuthis do Senti-Nofer[267], zanim spotka jakieś poważniejsze siły egipskie. Wreszcie doniesiono mu, że na pierwszą wieść o ruchu Libijczyków nie tylko uciekli wszyscy robotnicy z wielkiej huty szklannej[268], ale nawet, że cofnęło się wojsko zajmujące forteczki w Sochet-Hemau, nad Jeziorami Sodowymi[269].

Była to bardzo dobra wróżba dla barbarzyńców: huta bowiem szklanna stanowiła poważne źródło dochodów dla faraonowego skarbca.

Otóż Musawasa popełnił błąd taki sam jak najwyższa rada kapłańska: nie przeczuł wojennego geniuszu w Ramzesie. I stała się rzecz nadzwyczajna: zanim pierwszy korpus libijski dotarł do okolicy Sodowych Jezior, już w tym miejscu znalazła się dwa razy liczniejsza armia następcy tronu.

Nie można nawet zarzucać Libijczykom nieprzezorności.

Tehenna i jego sztab utworzyli bardzo porządną służbę wywiadowczą. Ich szpiegowie[270] niejednokrotnie byli w Melcatis[271], Naucratis[272], Sai[273], Menuf, Terenuthis i przepływali kanopijskie i bolbityńskie ramiona Nilu. Nigdzie jednak nie spotkali wojsk, których ruchy musiał paraliżować wylew, a zaś prawie wszędzie widzieli popłoch ludności osiadłej, która po prostu uciekała ze wsi pogranicznych.

Przynosili więc swemu dowódcy jak najlepsze wiadomości. A tymczasem armia księcia Ramzesa, pomimo wylewu, w osiem dni po uruchomieniu dotarła brzegu pustyni i zaopatrzona w wodę i żywność przepadła między górami Sodowych Jezior.

Gdyby Tehenna mógł jak orzeł wzbić się ponad stanowiska swojej bandy, struchlałby, zobaczywszy, że we wszystkich wąwozach tej okolicy kryją się egipskie pułki i — że lada chwilę korpus jego zostanie otoczony.

ROZDZIAŁ XVIII

Od chwili kiedy wojska Dolnego Egiptu wyszły z Pi-Bast, towarzyszący księciu prorok Mentezufis odbierał i wysyłał po kilka depesz dziennie.

---

[266] *barbarzyniec* — dziś: barbarzyńca.

[267] *Senti-Nofer*, *Senti-Nefer* — miasto w północno-zachodniej Delcie, w 7. nomie Dolnego Egiptu. Położone prawdopodobnie w okolicach dzisiejszego Idku, ok. 100 km na północny zachód od Terenouthis.

[268] *szklanny* — dziś popr.: szklany; *huta szklanna* — huta szkła.

[269] *Jeziora Sodowe* — grupa jezior wzdłuż zachodniej części Delty, na terenie doliny zwanej dziś Wadi an-Natrun, ok. 120 km na północny wschód od Memfis. Ich woda zawiera duże ilości węglanu sodu, czyli sody naturalnej.

[270] *szpiegowie* — dziś popr.: szpiedzy.

[271] *Melcatis* — zapewne gr. Metelis, egipskie Per Ha-Nereb, miasto w zachodniej części Delty, stolica 7. nomu Dolnego Egiptu, położona ok. 60 km na północ od Memfis.

[272] *Naucratis* — Naukratis, miasto nad kanopskim ramieniem Nilu, w zachodniej części Delty, założona w VI w. p.n.e. pierwsza i przez długi czas jedyna grecka kolonia w Egipcie. Położone w połowie drogi pomiędzy dzisiejszą Tantą a Aleksandrią, ok. 130 km na północny wschód od Memfis.

[273] *Sai* — egipskie Sa, gr. Sais, miasto w zachodniej części Delty, stolica 5. nomu Dolnego Egiptu, greckie centrum handlu, za panowania XXIV i XXVI dynastii stolica państwa.

Jedną korespondencję prowadził z ministrem Herhorem. Mentezufis posyłał raporta[274] do Memfisu o posuwaniu się wojsk i o działalności następcy, dla której nie ukrywał podziwu; zaś dostojny Herhor robił uwagi w tym sensie, ażeby następcy tronu zostawiono wszelką swobodę i — że gdyby Ramzes przegrał pierwszą potyczkę, rada najwyższa nie byłaby tym zmartwiona.

„Niewielka przegrana — pisał Herhor — byłaby nauką ostrożności i pokory dla księcia Ramzesa, który już dziś, choć jeszcze nic nie zrobił, uważa się za równego najdoświadczeńszym wojownikom."

Gdy zaś Mentezufis odpowiedział, że trudno przypuścić, aby następca doznał porażki, Herhor dał mu do zrozumienia, że w takim razie triumf nie powinien być zanadto wielki.

„Państwo — mówił — nic na tym nie straci, jeżeli wojowniczy i popędliwy następca tronu będzie miał przez kilka lat zabawkę na zachodniej granicy. On sam nabierze biegłości w sztuce wojennej, a rozprożniaczeni i zuchwali nasi żołnierze znajdą właściwe dla siebie zajęcie."

Drugą korespondencję prowadził Mentezufis ze świętym ojcem Mefresem, i ta wydawała mu się ważniejszą. Mefres, obrażony kiedyś przez księcia, dziś z okazji sprawy o zabicie dziecka Sary bez ogródek oskarżał następcę o dzieciobójstwo dokonane pod wpływem Kamy. A gdy w ciągu tygodnia wyszła na jaw niewinność Ramzesa, arcykapłan, jeszcze bardziej rozdrażniony, nie przestawał twierdzić, że książę jest zdolny do wszystkiego, jako nieprzyjaciel ojczystych bogów i sprzymierzeniec nędznych Fenicjan.

Sprawa zabójstwa dziecka Sary tak podejrzanie wyglądała w pierwszych dniach, że nawet rada najwyższa z Memfisu zapytała Mentezufisa: co o tym sądzi? Mentezufis jednak odpowiedział, że całymi dniami przypatruje się księciu, lecz ani na chwilę nie przypuszcza, ażeby on był mordercą.

Takie to korespondencje, niby stado drapieżnych ptaków, krążyły dokoła Ramzesa, podczas gdy on rozsyłał zwiady w kierunku nieprzyjaciela, naradzał się z wodzami lub zachęcał wojska do szybkiego pochodu.

Dnia czternastego cała armia następcy tronu skoncentrowała się na południe od miasta Terenuthis. Ku wielkiej radości księcia przyszedł Patrokles z greckimi pułkami, a wraz z nim kapłan Pentuer, wysłany przez Herhora na drugiego dozorcę przy wodzu naczelnym.

Obfitość kapłanów w obozie (byli bowiem jeszcze i inni) wcale nie zachwycała Ramzesa. Postanowił jednak nie zwracać na nich uwagi, a podczas narad wojennych wcale nie pytał ich o opinię.

I jakoś ułagodziły się stosunki; Mentezufis bowiem, stosownie do rozkazu Herhora, nie narzucał się księciu. Pentuer zaś zajął się organizowaniem pomocy lekarskiej dla rannych.

Gra wojenna zaczęła się.

Przede wszystkim Ramzes, za pośrednictwem swoich agentów, w wielu wsiach pogranicznych rozpuścił pogłoskę, że Libijczycy posuwają się w ogromnych masach, że będą niszczyć i mordować. Skutkiem tego przestraszona ludność zaczęła uciekać na wschód i — wpadła na egipskie pułki. Wówczas książę zabrał mężczyzn do dźwigania ciężarów za wojskiem, a kobiety i dzieci posłał w głąb kraju.

Następnie naczelny wódz wyprawił szpiegów naprzeciw zbliżającym się Libijczykom, aby zbadać ich liczbę i porządek. Szpiegowie[275] niebawem wrócili, przynosząc dokładne wskazówki co do miejsca pobytu, a bardzo przesadzone co do liczby nieprzyjaciół. Mylnie też twierdzili, choć z wielką pewnością siebie, że na czele band libijskich idzie sam Musawasa w towarzystwie swego syna Tehenny.

Książę-wódz aż zarumienił się z radości na myśl, że w pierwszej wojnie będzie miał tak doświadczonego przeciwnika jak Musawasa.

Przeceniał więc niebezpieczeństwo starcia i podwajał ostrożność. Aby zaś mieć wszelkie szanse za sobą, uciekł się jeszcze do podstępu. Posłał naprzeciw Libijczykom ludzi zaufanych, kazał im udawać zbiegów, wejść do nieprzyjacielskiego obozu i — odciągnąć od Musawasy jego największą siłę: wypędzonych żołnierzy libijskich.

---

[274] *raporta* — dziś popr.: raporty.

[275] *szpiegowie* — dziś popr.: szpiedzy.

— Powiedzcie im — mówił Ramzes do swych agentów — powiedzcie im, że mam topory dla zuchwałych, a miłosierdzie dla pokornych. Jeżeli w nadchodzącej bitwie rzucą broń i opuszczą Musawasę, przyjmę ich na powrót do wojsk jego świątobliwości i każę wypłacić żołd zaległy, jak gdyby nigdy nie wychodzili ze służby.

Patrokles i inni jenerałowie[276] uznali środek ten za bardzo roztropny; kapłani milczeli, a Mentezufis wysłał depeszę do Herhora i w ciągu doby otrzymał odpowiedź.

Okolica Sodowych Jezior była to dolina mająca kilkadziesiąt kilometrów długości, zamknięta między dwoma pasmami wzgórz biegnących od południowego wschodu ku północnemu zachodowi. Największa jej szerokość nie przechodziła dziesięciu kilometrów; były zaś miejsca znakomicie węższe, prawie wąwozy.

Na całej długości doliny ciągnęły się, jedno za drugim, z dziesięć jezior bagnistych napełnionych wodą gorzkosłoną. Rosły tu nędzne krzaki i zioła, ciągle zasypywane piaskiem, ciągle więdnące, których żadne zwierzę nie chciało wziąć do pyska. Po obu stronach sterczały poszarpane wzgórza wapienne lub ogromne piaszczyste zaspy, w których można było utonąć.

Cały krajobraz, o barwach żółtych i białych, miał charakter strasznej martwoty, którą potęgowało gorąco i cisza. Żaden ptak nie odzywał się tutaj, a jeżeli kiedy rozległ się jaki szelest, to chyba staczającego się kamienia.

Mniej więcej w połowie doliny wznosiły się dwie grupy budynków oddalonych od siebie na kilka kilometrów; były nimi — od wschodu forteczka, od zachodu huty szklane, do których opału dostarczali handlarze libijscy. Obie te miejscowości skutkiem wojennych niepokojów zostały opuszczone. Korpus Tehenny miał obowiązek zająć i osadzić oba te punkta[277], które armii Musawasy ubezpieczały drogę do Egiptu.

Libijczycy z wolna posuwali się od miasta Glaukus[278] ku południowi i wieczorem dnia czternastego Hator znaleźli się u wejścia do doliny Sodowych Jezior, pewni, że przejdą ją dwoma marszami, bez przeszkód. Tegoż dnia, równo z zachodem słońca, armia egipska ruszyła ku pustyni i uszedłszy po piaskach przeszło czterdzieści kilometrów w ciągu dwunastu godzin, następnego ranka stanęła na wzgórzach między forteczką a hutami i ukryła się w licznych wąwozach.

Gdyby owej nocy powiedział kto Libijczykom, że w dolinie Sodowych Jezior wyrosły palmy i pszenica, mniej zdziwiliby się aniżeli temu, że armia egipska zastąpiła im drogę.

Po krótkim wypoczynku, w czasie którego kapłanom udało się odkryć i wykopać kilka studzienek dosyć znośnej wody do picia, armia egipska poczęła zajmować północne wzgórki ciągnące się wzdłuż doliny.

Plan następcy tronu był prosty. Chciał on odciąć Libijczyków od ich ojczyzny i zepchnąć ku południowi, w pustynię, gdzie gorąco i głód wytępiłby rozproszonych.

W tym celu ustawił armię na północnej stronie doliny i podzielił wojska na trzy korpusy. Prawym skrzydłem, najbardziej posuniętym ku Libii, dowodził Patrokles i on miał odciąć najezdnikom odwrót do ich miasta Glaukus. Lewym skrzydłem, najbardziej zbliżonym do Egiptu, komenderował Mentezufis, ażeby zagrodzić Libijczykom marsz naprzód. Wreszcie kierunek nad korpusem środkowym, około hut szklanych, objął następca tronu, mając przy sobie Pentuera.

Dnia piętnastego Hator, około siódmej rano, kilkudziesięciu konnych Libijczyków ostrym kłusem przejechało dolinę. Chwilę odpoczęli około hut, rozejrzeli się, a nie spostrzegłszy nic podejrzanego, zawrócili do swoich.

O dziesiątej przed południem wśród wielkiego skwaru, który zdawał się wypijać pot i krew z ludzi, Pentuer rzekł do następcy:

— Libu już weszli w dolinę i mijają oddział Patroklesa. Za godzinę będą tutaj.

— Skąd wiesz o tym? — spytał zdziwiony książę.

— Kapłani wszystko wiedzą!... — odparł z uśmiechem Pentuer.

Potem ostrożnie wszedł na jedną ze skał, wydobył z torby bardzo połyskujący przedmiot i zwróciwszy się w stronę oddziału świętego Mentezufisa począł dawać ręką jakieś znaki.

---

[276] *jenerał* — dziś popr.: generał.

[277] *punkta* — dziś popr.: punkty.

[278] *Glaukus*, *Glaukos* — miasto portowe czasów hellenistyczno-rzymskich, nad Morzem Śródziemnym, ok. 100 km na zachód od Aleksandrii.

— Już i Mentezufis jest zawiadomiony — dodał.

Książę nie mógł wyjść z podziwu i odezwał się:

— Mam oczy lepsze od twoich, a słuch chyba nie gorszy, i pomimo to nic nie widzę ani słyszę. Jakim więc sposobem ty dostrzegasz nieprzyjaciół i porozumiewasz się z Mentezufisem?

Pentuer kazał księciu spojrzeć na jedno odległe wzgórze, na szczycie którego majaczyły krzaki tarniny. Ramzes wpatrzył się w ten punkt i nagle zasłonił oczy: w krzakach bowiem coś mocno błysnęło.

— Cóż to za nieznośny blask?... — wykrzyknął. — Oślepnąć można!...

— To kapłan asystujący dostojnemu Patroklesowi daje nam znaki — odrzekł Pentuer. — Widzisz więc, dostojny panie, że i my możemy przydać się na wojnie...

Umilkł, z głębi doliny przyleciał do nich szmer, z początku cichy, stopniowo coraz wyraźniejszy. Na ten odgłos przytuleni do stoku pagórka żołnierze egipscy poczęli zrywać się, oglądać broń, szeptać... Ale krótki rozkaz oficerów uspokoił ich i znowu nad północnymi skałami zapanowała martwa cisza.

Tymczasem szmer w głębi doliny potęgował się i przeszedł w zgiełk, wśród którego, na tle rozmów tysięcy ludzi, można było odróżnić śpiewy, głosy fletów, skrzyp wozów, rżenie koni i krzyki dowódców. Ramzesowi serce zaczęło bić gwałtownie; już nie mógł pohamować ciekawości i wdrapał się na skalisty cypel, skąd było widać znaczną część doliny.

Otoczony kłębami żółtawego kurzu, z wolna posuwał się libijski korpus niby kilkuwiorstowy wąż upstrzony niebieskimi, białymi i czerwonymi plamami.

Na czele maszerowało kilkunastu jeźdźców, z których jeden odziany w białą płachtę siedział na koniu jak na ławie, zwiesiwszy obie nogi na lewą stronę. Za jeźdźcami szła gromada procarzy w szarych koszulach, potem jakiś dostojnik w lektyce, nad którą niesiono duży parasol. Dalej oddział kopijników, w bluzach niebieskich i czerwonych, potem wielka banda ludzi prawie nagich, zbrojnych w maczugi, znowu procarze i kopijnicy, i znowu procarze, a za nimi czerwony oddział z kosami i toporami. Szli mniej więcej po czterech w szeregu; ale mimo krzyku oficerów porządek ten ciągle łamał się i następujące po sobie czwórki zbijały się w gromady.

Śpiewając i rozmawiając hałaśliwie, wąż libijski z wolna wypełznął w najszerszą część doliny, naprzeciw hut i jezior. Tu porządek zwichrzył się jeszcze bardziej. Maszerujący naprzód stanęli; mówiono im bowiem, że w tym miejscu będzie wypoczynek; a tymczasem dalsze kolumny przyśpieszyły kroku, ażeby prędzej dojść do celu i odpocząć. Niektórzy wybiegali z szeregu i położywszy broń rzucali się w jezioro lub dłonią czerpali jego cuchnącą wodę; inni, zasiadłszy na ziemi, wydobywali z torby daktyle albo z glinianych butelek pili wodę z octem.

Wysoko, nad obozem, krążyło kilka sępów.

Ramzesa na ten widok ogarnął nieopisany żal i strach. Przed oczyma zaczęły mu latać muszki, stracił przytomność i przez mgnienie oka zdawało mu się, że oddałby tron, byle nie znajdować się w tym miejscu i nie widzieć tego, co nastąpi. Zsunął się z cypla i obłąkanymi oczyma patrzył przed siebie.

Wtem zbliżył się do niego Pentuer i mocno targnął go za ramię.

— Ocknij się, wodzu — rzekł. — Patrokles czeka na rozkazy...

— Patrokles?... — powtórzył książę i obejrzał się.

Przed nim stał Pentuer, blady, ale spokojny. O parę kroków dalej równie blady Tutmozis w drżących rękach trzymał oficerską świstawkę. Zza pagórka wychylali się żołnierze, na których twarzach widać było głębokie wzruszenie.

— Ramzesie — powtórzył Pentuer — wojsko czeka...

Książę z rozpaczliwą determinacją spojrzał na kapłana i zduszonym głosem szepnął:

— Zaczynać...

Pentuer podniósł do góry swój błyszczący talizman i nakreślił nim kilka znaków w powietrzu. Tutmozis cicho świsnął, świst ten powtórzył się w dalszych wąwozach na prawo i na lewo i — na wzgórza poczęli wdrapywać się egipscy procarze.

Było około dwunastej w południe.

Ramzes powoli ochłonął z pierwszych wrażeń i uważniej począł oglądać się dokoła. Widział swój sztab, oddział kopijników i toporników pod dowództwem starych oficerów, wreszcie procarzy leniwie wchodzących na skałę... I był pewny, że ani jeden z tych ludzi nie tylko nie pragnie zginąć, ale nawet nie chciałby walczyć i ruszać się pod straszliwą spiekotą.

Nagle ze szczytu któregoś pagórka rozległ się ogromny głos, potężniejszy od lwiego ryku:

— Żołnierze jego świątobliwości faraona, rozbijcie tych psów libijskich!... Bogowie są z wami!...

Nadnaturalnemu głosowi odpowiedziały dwa nie mniej potężne: przeciągły okrzyk egipskiej armii i niezmierny zgiełk Libijczyków...

Książę, już nie potrzebując ukrywać się, wszedł na pagórek, skąd dobrze było widać nieprzyjaciół. Przed nim ciągnął się długi łańcuch procarzy egipskich jakby wyrosłych spod ziemi, a o paręset kroków rojący się śród tumanów pyłu obóz libijski. Odezwały się trąbki, świstawki i przekleństwa barbarzyńskich oficerów nawołujących do porządku. Ci, którzy siedzieli, zerwali się, którzy pili wodę, schwyciwszy broń biegli do swoich, chaotyczne tłumy poczęły rozwijać się w szeregi, a wszystko wśród wrzasków i tumultu.

Tymczasem procarze egipscy wyrzucali po kilka pocisków na minutę, spokojnie, porządnie, jak na musztrze. Dziesiętnicy wskazywali swoim oddziałkom gromady nieprzyjacielskie, w które należało trafiać, a żołnierze w ciągu paru minut zasypywali je gradem ołowianych kul i kamieni. Książę widział, że po każdej takiej salwie gromadka Libijczyków rozpraszała się, a bardzo często jeden zostawał na miejscu.

Mimo to libijskie szeregi uformowały się i cofnęły za linię pocisków, wysunęli się zaś naprzód ich procarze i z równą szybkością i spokojem zaczęli odpowiadać Egipcjanom. Czasami wśród łańcucha ich wybuchały śmiechy i okrzyki radości, a wówczas padał jakiś procarz egipski.

Niebawem nad głową księcia i jego orszaku zaczęły warczeć i świstać kamienie. Jeden, zręczniej rzucony, uderzył w ramię adiutanta i złamał mu kość, drugi strącił hełm innemu adiutantowi, trzeci padł u nóg księcia, rozbił się o skałę i twarz wodza zasypał okruchami gorącymi jak ukrop.

Libijczycy głośno śmieli się, coś wykrzykując; prawdopodobnie złorzeczyli wodzowi.

Strach, a nade wszystko żal i litość, wszystko to w jednej chwili uciekło z duszy Ramzesa. Nie widział już przed sobą ludzi zagrożonych cierpieniem i śmiercią, ale szeregi dzikich zwierząt, które trzeba wytępić lub obezwładnić. Machinalnie sięgnął do miecza, aby poprowadzić czekających na rozkaz kopijników, ale wstrzymała go pogarda. On miałby plamić się krwią tej hołoty!... Od czegóż są żołnierze?

Tymczasem walka trwała dalej, a mężni procarze libijscy, wykrzykując, nawet śpiewając, zaczęli posuwać się naprzód. Z obu stron pociski burczały jak chrabąszcze, brzęczały jak rój pszczół, niekiedy uderzały się nawzajem w powietrzu z trzaskiem, a co parę minut, po tej i po tamtej stronie, jakiś wojownik cofał się na tyły, jęcząc, albo martwy padał na miejscu. Innym jednak nie psuło to humoru: walczyli ze złośliwą radością, która stopniowo przeradzała się we wściekły gniew i zapomnienie o sobie.

Wtem z daleka, na prawym skrzydle, rozległy się głosy trąbek i wielokrotnie powtarzane okrzyki. To nieustraszony Patrokles, pijany już od świtu, zaatakował tylną straż nieprzyjacielską.

— Uderzyć!... — zawołał książę.

Natychmiast rozkaz ten powtórzyła trąbka jedna, druga... dziesiąta, i po chwili ze wszystkich wąwozów poczęły wysuwać się egipskie setnie. Rozsypani na wzgórzach procarze zdwoili wysiłki, a tymczasem w dolinie bez pośpiechu, ale i bez nieporządku, ustawiały się naprzeciw Libijczykom czteroszeregowe kolumny kopijników i toporników egipskich, z wolna posuwając się naprzód.

— Wzmocnić środek — rzekł następca.

Trąbka powtórzyła rozkaz. Za dwoma kolumnami pierwszej linii stanęły dwie nowe kolumny. Nim Egipcjanie ukończyli ten manewr, wciąż pod gradem pocisków, już Libijczycy, naśladując ich, uszykowali się w osiem szeregów naprzeciw głównego korpusu.

— Podsunąć rezerwy — rzekł książę. — Spojrzyj no — zwrócił się do jednego z adiutantów — czy lewe skrzydło już gotowe.

Adiutant, ażeby lepiej ogarnąć wzrokiem dolinę, pobiegł między procarzy i — nagle padł, ale dawał znaki ręką. W jego zastępstwie wysunął się inny oficer i niebawem przybiegł, oświadczając, że oba skrzydła książęcego oddziału już stoją uszykowane.

Od strony oddziału Patroklesa zgiełk wzmacniał się i naraz podniosły się nad wzgórza gęste, czarne kłęby dymu. Do księcia przybiegł oficer od Pentuera z doniesieniem, że greckie pułki zapaliły obóz Libijczyków.

— Rozbić środek — rzekł książę.

Kilkanaście trąbek, jedna po drugiej, zagrały hasło do ataku, a gdy umilkły, w środkowej kolumnie rozległa się komenda, rytmiczny łoskot bębnów i szmer nóg piechoty maszerującej z wolna, do taktu.

— Raz... dwa!... raz... dwa!... raz... dwa!...

Teraz komendę powtórzono na prawym i na lewym skrzydle; znowu zawarczały bębny i skrzydłowe kolumny ruszyły naprzód: raz... dwa!... raz... dwa!...

Libijscy procarze zaczęli cofać się, zasypując kamieniami maszerujących Egipcjan. Ale choć coraz upadał jakiś żołnierz, kolumny szły, ciągle szły z wolna, porządnie: raz... dwa!... raz... dwa!...

Żółte tumany, wciąż gęstniejące, znaczyły pochód egipskich batalionów. Procarze nie mogli już miotać kamieni i nastała względna cisza, wśród której rozlegały się jęki i szlochania ranionych wojowników.

— Rzadko kiedy tak dobrze maszerowali na musztrach! — zawołał książę do sztabu.

— Nie boją się dziś kija — mruknął stary oficer.

Odległość między obłokiem kurzu ze strony Egipcjan a — Libijczykami zmniejszała się z każdą chwilą; lecz barbarzyńcy stali nieporuszeni, a poza ich linią ukazał się tuman. Oczywiście jakaś rezerwa wzmacniała kolumnę środkową, której groził najmocniejszy atak.

Następca zbiegł z pagórka i dosiadł konia; z wąwozów wylały się ostatnie rezerwy egipskie i uszykowawszy się, czekały na rozkaz. Za piechotą wysunęło się kilkuset azjatyckich jeźdźców na koniach drobnych, ale wytrwałych.

Książę pogonił za maszerującymi do ataku i o sto kroków dalej znalazł nowy pagórek, niewysoki, lecz pozwalający ogarnąć całe pole bitwy. Orszak, azjatyccy kawalerzyści i kolumna rezerwowa podążyły za nim.

Książę niecierpliwie spojrzał ku lewemu skrzydłu, skąd miał przyjść Mentezufis, lecz nie przychodził. Libijczycy stali nieporuszeni, sytuacja wyglądała coraz poważniej.

Korpus Ramzesa był najmocniejszy, ale też miał przeciw sobie prawie całą siłę libijską. Ilościowo obie strony równoważyły się, książę nie wątpił o zwycięstwie, ale zaniepokoił się o ogrom strat wobec tak mężnego przeciwnika.

Walka, Przywódca

Zresztą bitwa ma swoje kaprysy. Nad tymi, którzy już poszli do ataku, skończył się wpływ naczelnego wodza. On już nie ma ich; on ma tylko pułk rezerwowy i garstkę jeźdźców. Gdyby więc jedna z kolumn egipskich została rozbita albo gdyby nieprzyjacielowi przybyły znienacka nowe posiłki...

Książę potarł czoło: w tej chwili odczuł całą odpowiedzialność naczelnego wodza. Był jak gracz, który, wszystko postawiwszy, rzucił już kości i pyta: jak one się ułożą?...

Egipcjanie byli o kilkadziesiąt kroków od libijskich kolumn. Komenda... trąbki... bębny warknęły śpieszniej i wojska ruszyły biegiem: raz — dwa — trzy!... raz — dwa — trzy!... Ale i po stronie nieprzyjaciół odezwała się trąbka, zniżyły się dwa szeregi włóczni, uderzono w bębny... Biegiem!... Wzniosły się nowe kłęby pyłu, potem zlały się w jeden ogromny tuman... Ryk ludzkich głosów, trzask włóczni, szczękanie kos, niekiedy przeraźliwy jęk, który wnet tonął w ogólnej wrzawie...

Na całej linii bojowej już nie było widać ludzi, ich broni, nawet kolumn, tylko żółty pył rozciągający się w formie olbrzymiego węża. Gęstszy tuman oznaczał miejsce, gdzie starły się kolumny, rzadszy — gdzie była przerwa.

Po kilku minutach szatańskiej wrzawy następca spostrzegł, że kurzawa na lewym skrzydle bardzo powoli wygina się w tył.

— Wzmocnić lewe skrzydło! — zawołał.

Połowa rezerwy pobiegła we wskazanym kierunku i znikła w tumanach; lewe skrzydło wyprostowało się, podczas gdy prawe z wolna szło naprzód, a środek, najmocniejszy i najważniejszy, ciągle stał w miejscu.

— Wzmocnić środek — rzekł książę.

Druga połowa rezerwy poszła naprzód i zniknęła w kurzawie. Krzyk na chwilę powiększył się, ale ruchu naprzód nie było widać.

— Ogromnie biją się ci nędznicy!... — odezwał się do następcy stary oficer z orszaku. — Wielki czas, ażeby przyszedł Mentezufis...

Książę wezwał dowódcę azjatyckiej kawalerii.

— Spojrzyj no tu na prawo — rzekł — tam musi być luka. Wjedź tam ostrożnie, ażebyś nie podeptał naszych żołnierzy, i wpadnij z boku na środkową kolumnę tych psów...

— Muszą być na łańcuchu, bo coś za długo stoją — odparł, śmiejąc się, Azjata.

Zostawił przy księciu ze dwudziestu swoich kawalerzystów, a z resztą pojechał kłusem, wołając:

— Żyj wiecznie, wodzu nasz!...

Spiekota była nieopisana. Książę wytężył wzrok i ucho, starając się przeniknąć ścianę pyłu. Czekał... czekał... Nagle wykrzyknął z radości: środkowy tuman zachwiał się i posunął trochę naprzód.

Znowu stanął, znowu posunął się i zaczął iść powoli, bardzo powoli, ale naprzód...

Wrzawa kotłowała się tak straszna, że nie można było zorientować się, co oznacza: gniew, triumf czy klęskę.

Wtem prawe skrzydło zaczęło w dziwaczny sposób wyginać się i cofać. Poza nim ukazał się nowy tuman kurzu. Jednocześnie nadbiegł konno Pentuer i zawołał:

— Patrokles zajmuje tyły Libijczykom!...

Zamęt na prawym skrzydle powiększał się i zbliżał się ku środkowi pola walki. Było widoczne, że Libijczycy zaczynają się cofać i że popłoch ogarnia nawet główną kolumnę.

Cały sztab księcia, wzburzony, rozgorączkowany, śledził ruchy żółtego pyłu. Po kilku minutach niepokój odbił się i na lewym skrzydle. Tam już Libijczycy zaczęli uciekać.

— Niech nie zobaczę jutro słońca, jeżeli to nie jest zwycięstwo!... — zawołał stary oficer.

Przyleciał goniec od kapłanów, którzy z najwyższego pagórka śledzili przebieg bitwy, i doniósł, że na lewym skrzydle widać szeregi Mentezufisa i że Libijczycy są z trzech stron otoczeni.

— Uciekaliby już jak łanie — mówił zadyszany poseł — gdyby nie przeszkadzały im piaski.

— Zwycięstwo!... Żyj wiecznie, wodzu!... — krzyknął Pentuer.

Było dopiero po drugiej.

Azjatyccy jeźdźcy zaczęli wrzaskliwie śpiewać i puszczać w górę strzały na cześć księcia. Sztabowi oficerowie zsiedli z koni, rzucili się do rąk i nóg następcy, wreszcie zdjęli go z siodła i podnieśli w górę, wołając:

— Oto wódz potężny!... Zdeptał nieprzyjaciół Egiptu!... Amon jest po jego prawej i po lewej ręce, więc któż mu się oprze?...

Tymczasem Libijczycy, wciąż cofając się, weszli na południowe pagórki piaszczyste, a za nimi Egipcjanie. Teraz co chwilę wynurzali się z obłoków kurzu jezdni[279] i przybiegali do Ramzesa.

— Mentezufis zabrał im tyły!... — krzyczał jeden.

— Dwie setki poddały się!... — wołał drugi.

— Patrokles zajął im tyły!...

— Wzięto Libijczykom trzy sztandary: barana, lwa i krogulca...

Koło sztabu robiło się coraz tłumniej: otaczali go ludzie pokrwawieni i obsypani pyłem.

— Żyj wiecznie!... żyj wiecznie, wodzu!...

Książę był tak rozdrażniony, że na przemian śmiał się, płakał i mówił do swego orszaku:

— Bogowie zlitowali się... Myślałem, że już przegramy... Nędzny jest los wodza, który nie wydobywając miecza, a nawet nic nie widząc, musi odpowiadać za wszystko...

— Żyj wiecznie, zwycięski wodzu!... — wołano. Przywódca

[279] *jezdny* — jeździec, żołnierz na koniu.

— Dobre mi zwycięstwo!... — zaśmiał się książę. — Nawet nie wiem, w jaki sposób zostało odniesione...

— Wygrywa bitwy, a potem dziwi się!... — krzyknął ktoś z orszaku.

— Mówię, że nawet nie wiem, jak wygląda bitwa... — tłumaczył się książę.

— Uspokój się, wodzu — odparł Pentuer. — Tak mądrze rozstawiłeś wojska, że nieprzyjaciele musieli być rozbici. A w jaki sposób?... to już nie należy do ciebie, tylko do twoich pułków.

— Nawet miecza nie wydobyłem!... Jednego Libijczyka nie widziałem!... — biadał książę.

Na południowych wzgórzach jeszcze kłębiło się i wrzało, lecz w dolinie pył zaczął opadać, tu i owdzie jak przez mgłę widać było gromadki żołnierzy egipskich z włóczniami już podniesionymi w górę.

Następca zwrócił konia w tamtą stronę i wjechał na opuszczone pole bitwy, gdzie dopiero co stoczyła się walka środkowych kolumn. Był to plac szeroki na kilkaset kroków, skopany głębokimi jamami, zarzucony ciałami rannych i poległych. Od strony, z której zbliżał się książę, leżeli w długim szeregu, co kilka kroków, Egipcjanie, potem nieco gęściej Libijczycy, dalej Egipcjanie i Libijczycy pomieszani ze sobą, a jeszcze dalej prawie sami Libijczycy.

W niektórych miejscach zwłoki leżały przy zwłokach: niekiedy w jednym punkcie zgromadziło się trzy i cztery trupy. Piasek był popstrzony brunatnymi plamami krwi; rany były okropne: jeden wojownik miał odcięte obie ręce, drugi rozwaloną głowę do tułowia, z trzeciego wychodziły wnętrzności. Niektórzy wili się w konwulsjach, a z ich ust, pełnych piasku, wybiegały przekleństwa albo błagania, ażeby ich dobito.

Następca szybko minął ich, nie oglądając się, choć niektórzy ranni na jego cześć wydawali słabe okrzyki.

Niedaleko od tego miejsca spotkał pierwszą gromadę jeńców. Ludzie ci upadli przed nim na twarze, błagając o litość.

— Zapowiedzcie łaskę dla zwyciężonych i pokornych — rzekł książę do swego orszaku.

Kilku jeźdźców rozbiegło się w rozmaitych kierunkach. Niebawem odezwała się trąbka, a po niej donośny głos:

— Z rozkazu jego dostojności księcia naczelnego wodza ranni i niewolnicy nie mają być zabijani!...

W odpowiedzi na to odezwały się pomieszane krzyki, zapewne jeńców.

— Z rozkazu naczelnego wodza — wołał śpiewającym tonem inny głos, w innej stronie — ranni i niewolnicy nie mają być zabijani!...

A tymczasem na południowych wzgórzach walka ustała i dwie największe gromady Libijczyków złożyły broń przed greckimi pułkami.

Mężny Patrokles, skutkiem gorąca, jak sam mówił, czy też rozpalających trunków, jak mniemali inni, ledwie trzymał się na koniu. Przetarł załzawione oczy i zwrócił się do jeńców:

— Psy parszywe! — zawołał — którzy podnieśliście grzeszne ręce na wojsko jego świątobliwości (oby was robaki zjadły!), wyginiecie jak wszy pod paznogciem pobożnego Egipcjanina, jeżeli natychmiast nie odpowiecie: gdzie podział się wasz dowódca, bodaj mu trąd stoczył nozdrza i wypił kaprawe oczy!...

W tej chwili nadjechał następca. Jenerał[280] powitał go z szacunkiem, ale nie przerywał śledztwa:

— Pasy każę z was drzeć!... powbijam na pale, jeżeli natychmiast nie dowiem się, gdzie jest ta jadowita gadzina, ten pomiot dzikiej świni rzucony w mierzwę...

— A, o gdzie nasz wódz!... — zawołał jeden z Libijczyków, wskazując na gromadkę konnych, którzy z wolna posuwali się w głąb pustyni.

— Co to jest? — zapytał książę.

— Nędzny Musawasa ucieka!... — odparł Patrokles i o mało nie spadł na ziemię.

Ramzesowi krew uderzyła do głowy.

— Więc Musawasa jest tam i uciekł?... Hej! kto ma lepsze konie, za mną!...

[280] *jenerał* — dziś popr.: generał.

— No — rzekł, śmiejąc się, Patrokles — teraz sam beknie ten złodziej baranów!...

Pentuer zastąpił drogę księciu.

— Wasza dostojność nie możesz ścigać zbiegów!...

— Co?... — wykrzyknął następca. — Przez całą bitwę nie podniosłem na nikogo ręki i jeszcze teraz mam wyrzec się wodza libijskiego?... Cóż by powiedzieli żołnierze, których wysłałem pod włócznie i topory?...

— Armia nie może zostać bez wodza...

— A czyliż tu nie ma Patroklesa, Tutmozisa, wreszcie Mentezufisa? Od czegóż jestem wodzem, gdy mi nie wolno zapolować na nieprzyjaciela?... Są od nas o kilkaset kroków i mają zmęczone konie.

— Za godzinę wrócimy z nimi... Tylko rękę wyciągnąć... — szemrali jezdni Azjaci.

— Patrokles... Tutmozis... zostawiam wam wojsko... — zawołał następca. — Odpocznijcie, a ja tu zaraz wrócę... — Spiął konia i pojechał truchtem, grzęznąc w piasku, a za nim ze dwudziestu jezdnych i Pentuer.

— Ty tu po co, proroku? — zapytał go książę. — Prześpij się lepiej... Oddałeś nam dzisiaj ważne usługi...

— Może jeszcze się przydam — odparł Pentuer.

— Ale zostań... rozkazuję ci...

— Najwyższa rada poleciła mi na krok nie odstępować waszej dostojności.

Następca gniewnie otrząsnął się.

— A jeżeli wpadniemy w zasadzkę? — spytał.

— I tam nie opuszczę cię, panie — rzekł kapłan.

ROZDZIAŁ XIX

W jego głosie było tyle życzliwości, że zdziwiony książę zamilkł i pozwolił mu jechać.

Byli w pustyni, mając o paręset kroków za sobą armię, o kilkaset kroków przed sobą uciekających. Lecz pomimo bicia i zachęcania koni do biegu zarówno ci, którzy uciekali, jak i ci, co ich gonili, posuwali się z wielkim trudem. Z góry zalewał ich straszliwy żar słoneczny, w usta, nos, a nade wszystko w oczy wciskał się im drobniutki, lecz ostry pył, a pod nogami koni, na każdym kroku, zapadał się rozpalony piasek. W powietrzu panował zabijający spokój.

— Przecież ciągle tak nie będzie — rzekł następca.

— Będzie coraz gorzej — odpowiedział Pentuer. — Widzisz, wasza dostojność — wskazał na uciekających — że tamte konie po kolana brną w piasku...

Książę roześmiał się, w tej chwili bowiem wjechali na grunt nieco twardszy i ze sto kroków jechali kłusem. Wnet jednak zabiegło im drogę morze piaszczyste i znowu musieli posuwać się noga za nogą.

Ludzie ociekali potem, na koniach zaczęła ukazywać się piana.

— Gorąco! — szepnął następca.

— Słuchaj, panie — odezwał się Pentuer — niedobry to dzień dla gonitw na pustyni. Dziś od rana święte owady zdradzały wielki niepokój, a następnie wpadły w letarg. Równie mój nożyk kapłański bardzo płytko zanurzył się w glinianej pochwie, co oznacza niezwykłe gorąco. Oba zaś te zjawiska: upał i letarg owadów, mogą zapowiadać burzę. Wróćmy więc, bo już nie tylko obóz straciliśmy z oczu, ale nawet nie dolatują nas jego szmery.

Ramzes spojrzał na kapłana prawie z pogardą.

— I ty myślisz, proroku — rzekł — że ja, raz zapowiedziawszy schwytanie Musawasy, mogę powrócić z niczym, ze strachu przed gorącem i burzą?

Jechali wciąż. W jednym miejscu grunt znowu stwardniał, dzięki czemu zbliżyli się do uciekających na rzut z procy.

— Hej, wy tam!... — zawołał następca — poddajcie się...

Libijczycy nawet nie spojrzeli za siebie, z wytężeniem brnąc po piasku. Przez chwilę można było sądzić, że zostaną dosięgnięci. Wnet jednak oddział następcy znowu trafił na głęboki piasek, a tamci przyśpieszyli kroku i znikli za wypukłością gruntu.

Azjaci klęli, książę zaciął zęby.

Nareszcie konie zaczęły coraz mocniej zapadać się i ustawać; jezdni więc musieli zsiąść i iść piechotą. Nagle jeden z Azjatów zaczerwienił się i padł na piasku. Książę kazał go okryć płachtą i rzekł:

— Zabierzemy go z powrotem.

Z wielką pracą dosięgli wierzchołka piaszczystej wyniosłości i zobaczyli Libijczyków. Ale i dla nich droga była zabójczą, ustały bowiem dwa konie.

Obóz wojsk egipskich stanowczo ukrył się za falami gruntu, i gdyby Pentuer i Azjaci nie umieli kierować się słońcem, już teraz nie trafiliby na miejsce.

W orszaku księcia padł drugi jeździec, wyrzucając ustami krwawą pianę. Zostawiono i tego razem z koniem. Na domiar na tle piasków ukazała się grupa skał, wśród których zniknęli Libijczycy.

— Panie — rzekł Pentuer — tam może być zasadzka...

— Niech będzie śmierć i niech mnie zabierze!... — odparł następca zmienionym głosem.

Kapłan spojrzał na niego z podziwem: nie przypuszczał w nim podobnej zaciętości.

Do skał nie było daleko, lecz droga nad wszelki opis uciążliwa. Trzeba było nie tylko iść samym, ale jeszcze wyciągać z piasku konie. Wszyscy brnęli, zanurzeni powyżej kostek; zdarzały się jednak miejsca, gdzie można było zapaść się po kolana.

A na niebie wciąż płonęło słońce, straszne słońce pustyni, którego każdy promień nie tylko piekł i oślepiał, ale jeszcze kłuł. Najwytrwalsi Azjaci upadali ze znużenia: jednemu spuchł język i wargi, drugi miał szum w głowie i czarne płatki w oczach, innego ogarniała senność, wszyscy czuli ból w stawach i zatracili wrażenie upału. I gdyby zapytano którego: czy na dworze jest gorąco? — nie potrafiłby odpowiedzieć.

Grunt znowu pod nogami stwardniał i orszak Ramzesa wszedł między skały. Książę, najprzytomniejszy ze wszystkich, usłyszał chrapanie konia, skręcił na bok i w cieniu rzuconym przez pagórek zobaczył gromadę ludzi leżących, jak który padł. Byli to Libijczycy.

Jeden z nich, człowiek młody, dwudziestoletni, miał na sobie purpurową koszulkę haftowaną, złoty łańcuch na szyi i miecz bogato oprawny. Zdawał się leżeć bez czucia; miał oczy wywrócone białkami do góry i trochę piany w ustach. Ramzes poznał w nim dowódcę. Zbliżył się, zerwał mu łańcuch z szyi i odczepił miecz.

Jakiś stary Libijczyk, który zdawał się być mniej zmęczonym od innych, widząc to, odezwał się:

— Choć jesteś zwycięzcą, Egipcjaninie, uszanuj książęcego syna, który był wodzem naczelnym.

— To jest syn Musawasy? — spytał książę.

— Prawdę rzekłeś — odparł Libijczyk — to jest Tehenna, syn Musawasy, nasz wódz, który godzien był zostać nawet egipskim księciem.

— A gdzie Musawasa?

— Musawasa jest w Glaukus i zbiera wielką armię, która nas pomści.

Inni Libijczycy nie odzywali się; nawet nie raczyli spojrzeć na swoich zwycięzców. Na rozkaz księcia Azjaci rozbroili ich bez trudności i — sami usiedli w cieniu skały.

W tej chwili nie było tu przyjaciół ani wrogów, lecz śmiertelnie znużeni ludzie. Śmierć czyhała na wszystkich, ale oni chcieli tylko odpocząć.

Pentuer widząc, że Tehenna wciąż jest nieprzytomny, ukląkł przy nim i pochylił mu się nad głową, tak że nikt nie mógł dostrzec, co robi. Wnet jednak Tehenna zaczął wzdychać, rzucać się i otworzył oczy; potem usiadł, trąc czoło, jak przebudzony z twardego snu, który jeszcze nie odszedł.

— Tehenno, wodzu Libijczyków — rzekł Ramzes — ty i twoi ludzie jesteście jeńcami jego świątobliwości faraona.

— Lepiej zabij mnie od razu — mruknął Tehenna — jeżeli mam utracić wolność.

— Gdy ojciec twój, Musawasa, upokorzy się i zawrze pokój z Egiptem, jeszcze będziesz wolny i szczęśliwy...

Libijczyk odwrócił głowę i położył się obojętny na wszystko. Ramzes usiadł przy nim i po chwili zapadł w jakiś letarg; prawdopodobnie zasnął.

Ocknął się po upływie kwadransa, nieco rzeźwiejszy. Spojrzał na pustynię i krzyknął z zachwytu: na horyzoncie widać było zielony kraj, wodę, gęste palmy, a nieco wyżej miasteczka i świątynie...

Dokoła niego wszyscy spali — Azjaci i Libijczycy. Tylko Pentuer stojąc na złamie skały przysłonił ręką oczy i gdzieś patrzył.

— Pentuerze!... Pentuerze!... — zawołał Ramzes. — Czy widzisz tę oazę?...

Zerwał się i przybiegł do kapłana, który miał troskę na twarzy.

— Widzisz oazę?...

— To nie oaza — odparł Pentuer — to błąkający się w pustyni duch jakiegoś kraju, którego już nie ma na świecie... Ale tamto — tam... jest naprawdę!... — dodał wskazując ręką w stronę południa.

— Góry?... — zapytał książę.

— Przypatrz się lepiej.

Książę wpatrywał się, nagle rzekł:

— Zdaje mi się, że ta ciemna masa podnosi się... Muszę mieć zmęczony wzrok.

— To jest Tyfon — szepnął kapłan. — Tylko bogowie mogą nas uratować, jeżeli zechcą...

Istotnie Ramzes uczuł na twarzy powiew, który nawet wśród pustynnego upału wydał mu się ciepły. Powiew ten, zrazu bardzo delikatny, wzmagał się, był coraz cieplejszy, a jednocześnie ciemna smuga podnosiła się na niebie z zadziwiającą szybkością.

— Cóż zrobimy? — spytał książę.

— Te skały — odparł kapłan — zasłonią nas przed zasypaniem, ale nie odpędzą ani kurzu, ani gorąca, które wciąż rośnie. A za dzień lub dwa...

— Więc Tyfon tak długo wieje?

— Czasami trzy i cztery dni... Tylko niekiedy zrywa się na parę godzin i nagle pada jak sęp przeszyty strzałą. Ale trafia się to bardzo rzadko...

Książę sposępniał, choć nie stracił odwagi. Kapłan zaś, wydobywszy spod szaty mały flakonik z zielonego szkła, mówił dalej:

— Masz tu eliksir... Powinien wystarczyć ci na kilka dni... Ile razy uczujesz senność albo strach, wypij kropelkę tego. Tym sposobem wzmocnisz się i przetrzymasz...

— A ty?... a inni?...

— Los mój jest w rękach Jedynego. Reszta zaś ludzi... Oni nie są następcami tronu!

— Nie chcę tego płynu — rzekł książę, odsuwając flakonik.

— Musisz go wziąć!... — krzyknął Pentuer. — Pamiętaj, że w tobie lud egipski złożył swoje nadzieje... Pamiętaj, że nad tobą czuwa jego błogosławieństwo...

Czarna chmura podniosła się już do połowy nieba, a gorący wicher dął tak gwałtownie, że książę i kapłan musieli zejść pod skałę.

— Lud egipski?... błogosławieństwo?... — powtarzał Ramzes. Nagle zawołał:

— To ty rok temu przemawiałeś do mnie w nocy z ogrodu?... Było to zaraz po manewrach... Nagroda

— Tego dnia, kiedy litowałeś się nad chłopem, który powiesił się z rozpaczy, że mu kanał zepsuto — odparł kapłan.

— Ty uratowałeś mój folwark i Żydówkę Sarę przed tłumem, który chciał ją ukamienować?...

— Ja — rzekł Pentuer. — Ale ty wkrótce uwolniłeś z więzienia niewinnych chłopów i nie pozwoliłeś Dagonowi dręczyć ludu twego nowymi podatkami.

Za ten lud — mówił kapłan — za miłosierdzie, jakie zawsze okazywałeś mu, dziś jeszcze błogosławię ciebie... Może tylko ty jeden ocalejesz tutaj, ale pomnij... pomnij, że ocala cię uciśniety lud egipski, który od ciebie czeka zbawienia...

Wtem pociemniało, od południa sypnął deszcz gorącego piasku i zerwał się wicher tak gwałtowny, że przewrócił konia stojącego w nieosłoniętym miejscu. Azjaci i libijscy jeńcy, wszyscy obudzili się; ale każdy tylko wcisnął się lepiej pod skałę i milczał zdjęty trwogą.

W naturze działo się coś okropnego. Na ziemi zaległa noc, a na niebie w szalonym pędzie goniły się rude lub czarne obłoki piasku. Zdawało się, że piasek z całej pustyni ożył, zerwał się w górę i leciał gdzieś z szybkością kamieni rzucanych procą.

Gorąco było takie jak w łaźni: na rękach i twarzy pękała skóra, język usychał, oddech sprawiał kłucie w piersiach. Drobne ziarna piasku parzyły jak iskry.

Pentuer gwałtem zbliżył flakonik do ust księcia. Ramzes wypił parę kropel i uczuł dziwną zmianę: ból i gorąco przestały go dręczyć, myśl odzyskała swobodę.

— I to może ciągnąć się parę dni?...

— Cztery — odparł kapłan.

— A wy, mędrcy, powiernicy bogów, nie posiadacie sposobu uratowania ludzi z takiej burzy?...

Pentuer zamyślił się i rzekł:

— Na świecie jest tylko jeden mędrzec, który mógłby walczyć ze złymi duchami... Ale jego tu nie ma!...

Tyfon dął już od pół godziny z niepojętą siłą. Zrobiła się prawie noc. Chwilami wiatr słabnął, czarne kłęby rozsuwały się i było widać na niebie krwawe słońce, a na ziemi złowrogie światło rudej barwy.

Lecz wnet potężniał wicher gorący, duszny; kłęby kurzu gęstniały, trupie światło gasło, a w powietrzu rozlegały się niepokojące szelesty i szmery, jakich nie nawykło chwytać ludzkie ucho.

Niewiele już brakło do zachodu, a gwałtowność burzy i nieznośny upał wciąż rosły. Od czasu do czasu nad horyzontem ukazywała się olbrzymia krwawa plama, jak gdyby zaczynał się pożar świata.

Nagle książę spostrzegł, że nie ma przy nim Pentuera. Wytężył ucho i usłyszał głos wołający:

— Beroes!... Beroes!... jeżeli nie ty, któż nam pomoże?... Beroes!... w imię Jedynego, Wszechmocnego, który nie ma początku ani końca, wzywam cię...

W północnej stronie pustyni odezwał się grzmot. Książę struchlał; dla Egipcjanina bowiem grzmoty były prawie tak rzadkim zjawiskiem jak ukazanie się komety.

— Beroes!... Beroes!... — powtarzał wielkim głosem kapłan.

Następca wytężył wzrok w tym kierunku i ujrzał — ciemną figurę ludzką z podniesionymi rękoma. Z głowy, palców, a nawet z odzienia tej figury, co chwilę wyskakiwały jasnobłękitne iskry.

— Beroes!... Beroes!...

Przeciągły grzmot odezwał się bliżej, a wśród tumanów piasku mignęła błyskawica, oblewając pustynię czerwonym światłem. Nowy grzmot i nowa błyskawica.

Książę uczuł, że gwałtowność wichru słabnie i gorąco zmniejsza się. Skłębiony w górze piasek zaczął spadać na ziemię, niebo zrobiło się popielate, potem rude, potem mlecznej barwy. Potem wszystko ucichło, a za chwilę znowu runął grzmot i zawiał chłodny wiatr z północy.

Znękani upałem Azjaci i Libijczykowie ocknęli się.

— Wojownicy faraona — nagle odezwał się stary Libijczyk — a słyszycie wy ten szum w pustyni?...

— Znowu burza?

— Nie, to deszcz pada!...

Istotnie z nieba upadło kilka chłodnych kropli, potem coraz więcej, aż w końcu zerwała się ulewa, której towarzyszyły pioruny.

Między żołnierzami Ramzesa i ich jeńcami zapanowała szalona radość. Nie zważając na błyskawice i gromy, ludzie, przed chwilą spaleni żarem, spragnieni, biegali jak dzieci pod strumieniami deszczu. Po ciemku myli siebie i konie, łapali wodę w czapki i skórzane wory, a nade wszystko — pili, pili!...

— Nie jestże to cud?... — zawołał książę Ramzes. — Gdyby nie deszcz błogosławiony, zginęlibyśmy w pustyni, w gorących uściskach Tyfona.

— Zdarza się tak — odparł stary Libijczyk — że południowy wicher piaszczysty drażni wiatry przechadzające się nad morzem i sprowadza ulewę.

Ramzesa niemile dotknęły te słowa; przypisywał bowiem nawałnicę modlitwom Pentuera. Zwróciwszy się więc do Libijczyka, spytał:

— A czy zdarza się i to, ażeby z ludzkiej postaci tryskały iskry?

— Zawsze tak bywa, gdy wieje wiatr pustynny — rzekł Libijczyk. — Przecie i tym razem widzieliśmy iskry wyskakujące nie tylko z ludzi, ale i z koni.

W głosie jego brzmiała taka pewność, że książę, zbliżywszy się do oficera swej jazdy, szepnął:

— A zważajcie na Libijczyków...

Ledwie to powiedział, coś zakotłowało się wśród ciemności, a po chwili rozległ się tętent. Gdy zaś błyskawica rozświetliła pustynię, zobaczono człowieka, który uciekał na koniu.

— Wiązać tych nędzników! — krzyknął książę — i zabić, jeżeli który będzie opierał się... Biada ci, Tehenno, gdyby ten łotr sprowadził na nas twoich braci!... Zginiesz w ciężkich męczarniach ty i twoi...

Pomimo deszczu, piorunów i ciemności żołnierze Ramzesa szybko powiązali Libijczyków nie stawiających zresztą żadnego oporu.

Może czekali na rozkaz Tehenny, ale ten był tak zgnębiony, że nie myślał nawet o ucieczce.

Powoli burza uspakajała się, a miejsce dziennego upału zajął w pustyni chłód przejmujący. Ludzie i konie napili się do syta i worki napełnili wodą; daktylów i sucharów było dosyć, więc panowało dobre usposobienie. Grzmoty osłabły, ciche błyskawice zapalały się coraz rzadziej; na północnym niebie poczęły rozdzierać się obłoki, tu i owdzie zapłonęły gwiazdy.

Pentuer zbliżył się do Ramzesa.

— Wracajmy ku obozowi — rzekł. — Możemy tam dojść za parę godzin, zanim ten, który uciekł, naprowadzi nam nieprzyjaciół.

— Jakże trafimy wśród takiej ciemności? — spytał książę.

— Czy macie pochodnie? — zwrócił się kapłan do Azjatów.

Pochodnie czyli długie sznury nasycone materiałami palnymi, były; ale nie było ognia. Drewniane bowiem krzesiwka służące do zapalania przemokły.

— Musimy czekać do rana — rzekł niecierpliwy książę.

Pentuer nie odpowiedział. Wydobył ze swej torby małe naczynie, wziął od żołnierza pochodnię i odszedł na bok. Po chwili rozległo się ciche syczenie i pochodnia... zapaliła się.

— Wielki jest czarnoksiężnik ten kapłan!... — mruknął stary Libijczyk.

— W oczach moich sprawiłeś już drugi cud — rzekł książę do Pentuera. — Czy możesz mi objaśnić, jak się to robi?...

Kapłan potrząsnął głową.

— O wszystko pytaj mnie, panie — odparł — a odpowiem ci, na ile mi starczy mądrości. Tylko nigdy nie żądaj, abym ci wyjaśniał tajemnice naszych świątyń.

— Nawet gdybym cię mianował moim doradcą?

— Nawet i wówczas. Nigdy nie będę zdrajcą, a choćbym i śmiał nim zostać, odstraszyłyby mnie kary...

— Kary?... — powtórzył książę. — Aha!... Pamiętam w świątyni Hator człowieka schowanego w podziemiu, na którego kapłani wylewali roztopioną smołę. Czyżby to robili naprawdę?... I ów człowiek naprawdę skonał w mękach?...

Czary, Wiedza

Pentuer milczał, jakby nie słysząc pytania, i powoli wydobył ze swej cudownej torby mały posążek bóstwa z rozkrzyżowanymi rękoma. Posążek ten wisiał na sznurku; kapłan puścił go wolno i szepcąc modlitwę uważał. Posążek po pewnej liczbie wahań i kręceń się zawisnął spokojnie.

Ramzes przy świetle pochodni ze zdziwieniem przypatrywał się tym praktykom.

— Co to robisz? — spytał kapłana.

— Tyle tylko mogę powiedzieć waszej dostojności — rzekł Pentuer — że bóstwo jedną ręką wskazuje gwiazdę Eshmun[281]. Ona to w czasie nocy prowadzi przez morza fenickie okręty.

— Więc i Fenicjanie mają tego boga?

— Nawet nie wiedzą o nim. Bóg, który zawsze zwraca jedną rękę do gwiazdy Eshmun, jest znany tylko nam i kapłanom chaldejskim. Przy jego zaś pomocy każdy prorok, dniem i nocą, w pogodę i niepogodę, może odkryć swoją drogę na morzu czy w pustyni.

[281] *gwiazda Eshmun* — Gwiazda Polarna. [przypis autorski]

Na rozkaz księcia, który z zapaloną pochodnią szedł obok Pentuera, orszak i jeńcy ruszyli za kapłanem w kierunku północno-wschodnim. Bożek zawieszony na sznurku chwiał się, lecz niemniej wyciągniętą ręką wskazywał, gdzie leży święta gwiazda, opiekunka zbłąkanych podróżników.

Szli pieszo, prowadząc konie, dobrym krokiem. Zimno było tak ostre, że nawet Azjaci chuchali w ręce, a Libijczycy drżeli.

Wtem coś zaczęło chrupać i trzeszczeć pod nogami. Pentuer przystanął i schylił się. Wiedza, Mądrość

— W tym miejscu — rzekł — deszcz na opoce utworzył płytką kałużę. A z wody, patrz, dostojny panie, co się zrobiło...

Mówiąc to, podniósł i pokazał księciu jakby tafelkę szklaną, która topniała mu w rękach.

— Gdy jest bardzo zimno — dodał — woda staje się przezroczystym kamieniem.

Azjaci potwierdzili słowa kapłana, dodając, że daleko na północy woda bardzo często zamienia się w kamień, a para w białą sól, która jednak nie ma żadnego smaku, tylko szczypie w palce i wywołuje ból w zębach.

Książę coraz bardziej podziwiał mądrość Pentuera.

Tymczasem w północnej stronie niebo wyjaśniło się, odsłaniając Niedźwiedzicę, a w niej gwiazdę Eshmun. Kapłan, znowu odmówiwszy modlitwę, schował do torby przewodniczącego bożka i kazał zgasić pochodnie, a zostawić tylko tlący się sznur, który utrzymywał ogień i stopniowym upalaniem się znaczył godziny.

Książę zalecił czujność swemu oddziałowi i wziąwszy Pentuera, wysunął się o kilkadziesiąt kroków naprzód.

— Pentuerze — odezwał się — od tej chwili mianuję cię moim doradcą i na teraz, i wówczas gdy podoba[282] się bogom oddać mi koronę Górnego i Dolnego Egiptu...

— Czymże zasłużyłem na tą łaskę?

— W oczach moich spełniałeś czyny, które świadczą o wielkiej twojej mądrości i potędze nad duchami. Nadto zaś byłeś gotów ocalić mi życie. Więc choć postanowiłeś ukrywać wiele rzeczy przede mną...

— Wybacz, dostojny panie — przerwał kapłan. — Zdrajców, gdy będą ci potrzebni, znajdziesz za złoto i klejnoty nawet między kapłanami. Ale ja nie chcę należeć do nich. Bo pomyśl: czy zdradzając bogów dawałbym ci pewność, że i z tobą tak nie postąpię?

Ramzes zamyślił się.

— Mądrze powiedziałeś — odparł. — Lecz dziwno mi, skąd ty, kapłan, masz dla mnie życzliwość w sercu? Rok temu — błogosławiłeś mnie, a dziś nie pozwoliłeś samemu jechać w pustynię i oddajesz mi wielkie usługi.

— Bo ostrzegli mnie bogowie, że ty, dostojny panie, gdy zechcesz, możesz wydobyć z nędzy i poniżenia nieszczęsny lud egipski.

— Cóż lud ciebie obchodzi?

— Spośród niego wyszedłem... Mój ojciec i bracia po całych dniach czerpali wodę z Nilu i dostawali kije...

— W czymże ja mogę pomóc ludowi? — spytał następca.

Pentuer ożywił się.

— Lud twój — mówił wzruszony — za wiele pracuje, za duże płaci podatki, cierpi nędzę i prześladowania. Ciężką jest dola chłopa!...

„Robak pożarł połowę jego zbioru, nosorożec drugą; na polach mnóstwo myszy, spadła szarańcza, bydło wygniotło, ukradły wróble. Co jeszcze zostało na klepisku, temu złodzieje zrobili koniec. O nędzo rolnika! Teraz dopiero przybywa pisarz na brzeg i upomina się o zbiór, towarzysze jego przynieśli kije, a Murzyni palmowe rózgi. Mówią: daj tu zboże!

— Nie ma żadnego. — Biją go wtenczas, rozciągają jak długi i wiążą, rzucają do kanału, gdzie się topi, głową na dół. Żonę jego wiążą przed nim i dzieci takoż. Sąsiedzi uciekają, ratując swoje zboże..."[283]

[282] *podoba się* — tu: spodoba się.

[283] *Robak pożarł połowę jego zbioru...* — opis autentyczny. [przypis autorski]

— Sam to widziałem — odparł zamyślony książę — i nawet odpędziłem jednego podobnego pisarza. Lecz czyliż mogę być wszędzie obecnym, ażeby zapobiegać niesprawiedliwości?

— Możesz, panie, rozkazać, ażeby nie dręczono ludzi bez potrzeby. Możesz zniżyć podatki, wyznaczyć chłopom dni wypoczynku. Możesz w końcu obdarować każdą rodzinę choćby zagonem ziemi, z której zbiór należałby tylko do nich i służył do ich wykarmienia. W razie przeciwnym będą i nadal karmili się: lotosem, papirusem i zdechłymi rybami, i w końcu twój lud zmarnieje... Ale jeżeli ty okażesz mu swoją łaskę, podźwignie się.

— I zaprawdę uczynię tak! — zawołał książę. — Dobry gospodarz nie pozwala, ażeby jego inwentarz marł z głodu, pracował nad siły lub odbierał niesłuszne plagi... To musi się zmienić!...

Pentuer zatrzymał się.

— Przyrzekasz mi to, dostojny panie?...

— Przysięgam! — odparł Ramzes.

— A więc i ja ci przysięgam, że będziesz najsławniejszym faraonem, wobec którego zblednie Ramzes Wielki! — zawołał już nie panujący nad sobą kapłan.

Książę zamyślił się.

— Co poczniemy we dwu przeciw kapłanom, którzy mnie nienawidzą?...

— Oni boją się ciebie, panie — odpowiedział Pentuer. — Boją się, ażebyś zbyt wcześnie nie zaczął wojny z Asyrią...

— Cóż im zależy na tym, jeżeli wojna będzie wygrana?...

Kapłan schylił głowę i rozłożył ręce, lecz milczał.

— Więc ja tobie powiem!... — krzyknął rozdrażniony książę. — Oni nie chcą wojny, gdyż lękają się, ażebym nie wrócił z niej zwycięzcą, obładowany skarbami, pędząc przed sobą niewolników... Oni tego boją się, ponieważ chcą, ażeby każdy faraon był słabym narzędziem ich ręki, bezużytecznym sprzętem, który można odrzucić, kiedy im się podoba...

Ale ze mną tego nie będzie!... I albo zrobię to, co chcę, do czego mam prawo, jako syn i spadkobierca bogów, albo... zginę... Słowo

Pentuer cofnął się i wyszeptał zaklęcie.

— Nie mów tak, dostojny panie — rzekł zmieszany — aby złe duchy krążące nad pustynią nie pochwyciły twoich słów... Słowo, zapamiętaj to, władco, jest jak kamień rzucony z procy; gdy trafi na ścianę, odbije się i zwróci przeciw tobie samemu...

Książę pogardliwie machnął ręką.

— Wszystko jedno — odparł. — Nie ma wartości takie życie, w którym każdy krępowałby moją wolę... Jeżeli nie bogowie, to wichry pustynne; jeżeli nie złe duchy, to kapłani... I takaż ma być władza faraona?... Chcę robić to, co ja chcę, i zdawać sprawę tylko przed wiekuistymi przodkami, a nie przed lada ogolonym łbem, który niby tłumaczy zamiary bogów, a naprawdę zagarnia władzę i napełnia swoje skarbce moimi dostatkami!...

Wtem o kilkadziesiąt kroków od nich rozległ się dziwny krzyk, środkujący między rżeniem a beczeniem, i — przebiegł olbrzymi cień. Pędził jak strzała i o ile można było dojrzeć, miał długą szyję i tułów garbaty.

Wśród książęcego orszaku rozległ się szmer zgrozy.

— To gryf!... Wyraźnie widziałem skrzydła!... — mówili Azjaci. Potwór, Zwierzę

— Pustynia roi się potworami!... — dodał stary Libijczyk.

Ramzes był stropiony; jemu także zdawało się, że przebiegający cień miał głowę węża i coś na kształt krótkich skrzydeł.

— Czy w rzeczy samej — zapytał kapłana — w pustyni ukazują się potwory?

— Zapewne — rzekł Pentuer — że w miejscu tak odludnym snują się niedobre duchy w najosobliwszych postaciach. Zdaje mi się jednak, że to, co przeszło obok nas, jest raczej zwierzęciem. Podobne ono jest do osiodłanego konia, tylko większe i prędsze w biegu. Mówią zaś mieszkańcy oazów[284], że zwierzę to może wcale nie pić wody, a przynajmniej bardzo rzadko. Gdyby tak było, przyszłe pokolenia mogłyby używać do przebiegania pustyń tej dziwnej istoty, która dziś tylko strach budzi.

[284] *oazów* — dziś popr. forma D. lm: oaz.

— Nie śmiałbym siąść na grzbiecie takiej poczwary! — odparł książę, potrząsając głową.

— Toż samo nasi przodkowie mówili o koniu, który Hyksosom pomógł zdobyć Egipt, a dziś stał się niezbędnym dla naszej armii. Czas bardzo zmienia ludzkie sądy!... — rzekł Pentuer.

Na niebie znikły ostatnie chmury i zaczęła się noc jasna. Pomimo braku księżyca było tak widno, że na tle białego piasku można było poznać ogólne zarysy przedmiotów, nawet drobnych czy bardzo odległych.

Przejmujący chłód także zmniejszył się. Przez jakiś czas orszak maszerował w milczeniu, po kostki grzęznąc w piaskach. Nagle między Azjatami znowu wszczął się tumult i rozległy się wołania:

— Sfinks!... patrzcie, sfinks!... Już nie wyjdziemy żywi z pustyni, kiedy ciągle pokazują się nam widziadła... Zabobony

Rzeczywiście na białym pagórku wapiennym bardzo wyraźnie rysowała się sylwetka sfinksa. Lwie ciało, ogromna głowa w czepcu egipskim i jakby ludzki profil.

— Uspokójcie się, barbarzyńcy — rzekł stary Libijczyk. — To przecie nie sfinks, tylko lew, i nic wam nie zrobi, gdyż zajęty jest jedzeniem.

— Zaprawdę jest to lew! — potwierdził książę, zatrzymując się. — Ale jak on podobny do sfinksa...

— On też jest ojcem naszych sfinksów — wtrącił półgłosem kapłan. — Jego twarz przypomina rysy człowiecze, a jego grzywa perukę...

— Czy i nasz wielki sfinks, ten, który pod piramidami?...

— Na wiele wieków przed Menesem — mówił Pentuer — kiedy jeszcze nie było piramid, rosła w tym miejscu skała podobna do lwa leżącego, jakby bogowie tym sposobem chcieli oznaczyć: gdzie zaczyna się pustynia.

Ówcześni święci kapłani kazali mistrzom dokładniej obrobić skałę i braki jej dopełnić za pomocą sztucznego muru. Mistrze zaś, częściej widując ludzi aniżeli lwy, wyrzeźbili twarz ludzką i tak urodził się pierwszy sfinks...

— Któremu oddajemy cześć boską... — uśmiechnął się książę.

— I słusznie — odparł kapłan. — Pierwsze bowiem zarysy tego dzieła zrobili bogowie, a ludzie wykończyli je także pod natchnieniem bogów. Nasz sfinks ogromem i tajemniczością przypomina pustynię, ma postać duchów błąkających się w pustyni i tak przeraża ludzi jak ona. Jest on zaprawdę synem bogów i ojcem trwogi.

— A swoją drogą wszystko ma ziemski początek — odparł książę. — Nil nie wypływa z nieba, ale z jakichś gór leżących poza Etiopią. Piramidy, o których mówił mi Herhor, że są obrazem naszego państwa, są budowane na wzór skalistych szczytów. A i nasze świątynie z ich pylonami i obeliskami, z ich ciemnością i chłodem, czyliż nie przypominają pieczar i gór ciągnących się wzdłuż Nilu?... Ile razy na polowaniu zabłąkałem się między wschodnimi skałami, zawszem trafiał na jakieś osobliwe nagromadzenie kamieni, które przywodziło mi na myśl świątynię. Nawet nieraz na ich chropowatych ścianach widziałem hieroglify pisane ręką wichrów i deszczu... Wiara, Rozum

— W tym, wasza dostojność, masz dowód, że nasze świątynie były wznoszone według planu, który nakreślili sami bogowie — rzekł kapłan. — A jak drobna pestka rzucona w ziemię rodzi niebotyczne palmy, tak obraz skały, pieczary, lwa, nawet lotosu, zasiany w duszę pobożnego faraona, rodzi aleje sfinksów, świątynie i ich potężne kolumny. Boskie to są czyny, nie ludzkie, i szczęśliwy ten władca, który patrząc naokoło siebie potrafi w rzeczach ziemskich odkryć myśl bożą i w zrozumiały sposób przedstawić ją następnym pokoleniom.

— Tylko władca taki musi mieć władzę i duży majątek — wtrącił zgryźliwie Ramzes — nie zaś zależeć od kapłańskich przywidzeń...

Przed nimi ciągnęło się długie wzgórze piaszczyste, na którym w tej chwili ukazało się paru jeźdźców.

— Nasi czy Libijczycy?... — rzekł książę.

Ze wzgórza odezwał się głos rogu, na który odpowiedziano z orszaku księcia. Konni zjechali szybko, o ile na to pozwalał głęboki piasek. Zbliżywszy się, jeden z nich zawołał:

— Czy jest następca tronu?...

— Jest, i zdrów! — odpowiedział Ramzes.

Zsiedli z koni i upadli na twarze.

— O erpatre! — mówił dowódca przybyłych. — Wojsko twoje rozdziera szaty i prochem posypuje głowy, myśląc, żeś zginął... Cała kawaleria rozbiegła się po pustyni, ażeby znaleźć twoje ślady, i dopiero nam, niegodnym, pozwolili bogowie, że witamy cię pierwsi...

Książę mianował go setnikiem i rozkazał, aby nazajutrz przedstawił do nagrody swoich podwładnych.

ROZDZIAŁ XX

W pół godziny później ukazały się gęste ognie armii egipskiej, a niebawem orszak księcia znalazł się w obozie. Ze wszystkich stron odezwały się trąbki na alarm, żołnierze chwycili broń i krzycząc stawali w szeregach. Oficerowie padali księciu do nóg i jak wczoraj po zwycięstwie, podniósłszy go na rękach, zaczęli obchodzić z nim oddziały. Ściany wąwozu drżały od okrzyków: „Żyj wiecznie, zwycięzco!... Bogowie opiekują się tobą!..."

Otoczony pochodniami zbliżył się święty Mentezufis. Następca, zobaczywszy go, wydarł się z rąk oficerów i pobiegł naprzeciw kapłana.

— Wiesz, ojcze święty — zawołał Ramzes — schwytaliśmy libijskiego wodza Tehennę!...

— Marna zdobycz — odparł surowo kapłan — dla której naczelny wódz nie powinien był rzucać armii. Szczególniej wówczas, gdy lada chwilę nowy nieprzyjaciel może nadciągnąć.

Książę odczuł całą sprawiedliwość zarzutu, lecz właśnie dlatego zerwał się w nim gniew. Zacisnął pięści, zabłyszczały mu oczy...

— Na imię matki twej, milcz, panie!... — szepnął stojący za nim Pentuer.

Następcę tak zdziwiło nieoczekiwane odezwanie się jego doradcy, że w jednej chwili ochłonął, a ochłonąwszy zrozumiał, że najwłaściwiej będzie przyznać się do błędu.

— Prawdę mówisz, wasza dostojność — odparł. — Ani armia wodza, ani wódz armii nigdy nie powinien opuszczać. Sądziłem jednak, że zastąpisz mnie ty, święty mężu, który tu jesteś przedstawicielem ministra wojny...

Spokojna odpowiedź ułagodziła Mentezufisa, więc kapłan już nie przypomniał księciu zeszłorocznych manewrów, na których namiestnik tak samo opuścił wojska i — wpadł w niełaskę u faraona.

Wtem z wielkim krzykiem zbliżył się do nich Patrokles. Grecki wódz znowu był pijany i z daleka wołał do księcia:

— Patrz, następco, co zrobił święty Mentezufis... Ty ogłosiłeś przebaczenie dla wszystkich żołnierzy libijskich, którzy opuszczą najezdników i wrócą do armii jego świątobliwości... Do mnie ci ludzie zbiegli się i ja dzięki temu rozbiłem lewe skrzydło nieprzyjacielskie... Tymczasem dostojny Mentezufis kazał wszystkich wymordować... Zginęło blisko tysiąc jeńców, samych naszych eks-żołnierzy, którzy mieli otrzymać łaskę!...

Księciu znowu krew uderzyła do głowy, ale wciąż stojący za nim Pentuer szepnął:

— Milcz, przez bogi, milcz!...

Lecz Patrokles nie miał doradcy, więc krzyczał dalej:

— Od tej chwili raz na zawsze straciliśmy zaufanie u obcych, no — i u swoich... Bo w końcu i nasza armia musi rozprzęgnąć się, gdy pozna, że na jej czoło wdzierają się zdrajcy...

— Nędzny najmito — odparł zimno Mentezufis — także to śmiesz odzywać się o wojsku i zaufanych jego świątobliwości?... Jak świat światem, nie słyszano jeszcze podobnego bluźnierstwa!... I lękam się, czy bogowie nie pomszczą wyrządzonej sobie zniewagi...

Patrokles grubo roześmiał się.

— Dopóki śpię między Grekami, nie lękam się zemsty nocnych bogów... A gdy czuwam, nic mi nie zrobią dzienni...

— Idź spać, idź... między twoich Greków, pijanico — rzekł Mentezufis — aby z twej winy na nasze głowy grom nie spadł...

— Na twój, dusigroszu, ogolony łeb nie spadnie, bo będzie myślał, że to co innego!... — odparł nieprzytomny Grek. Lecz widząc, że książę nie daje mu poparcia, cofnął się do swego obozu.

— Czy naprawdę — spytał Ramzes kapłana — czy naprawdę kazałeś, święty mężu, pobić jeńców wbrew mojej obietnicy, że otrzymają łaskę?...

— Wasza dostojność nie byłeś w obozie — odparł Mentezufis — więc na ciebie nie spada odpowiedzialność za ten czyn. Ja zaś pilnuję się naszych praw wojennych, które nakazują tępić zdradzieckich żołnierzy. Żołnierze, którzy poprzednio służyli jego świątobliwości, a następnie połączyli się z nieprzyjaciółmi, mają być natychmiast zabijani — oto ustawa.

— A gdybym ja był tutaj?...

— Jako naczelny wódz i syn faraona, możesz zawieszać wykonywanie pewnych ustaw, których ja muszę słuchać — odparł Mentezufis.

— Nie mógłżeś więc zaczekać do mego powrotu?

— Ustawa każe zabijać *natychmiast*, więc spełniłem jej wymagania.

Książę był tak oszołomiony, że przerwał dalszą rozmowę i udał się do swego namiotu. Tam dopiero upadłszy na fotel, rzekł do Tutmozisa:

— Ależ ja już dziś jestem niewolnikiem kapłanów!... Oni mordują jeńców, oni grożą moim oficerom, oni nawet nie szanują moich zobowiązań... Nic żeście nie mówili Mentezufisowi, kiedy kazał zabijać tych nieszczęsnych?...

— Zasłaniał się prawem wojennym i nowymi rozkazami Herhora...

— Ależ właściwie ja tu jestem wodzem, choć wyjechałem na pół dnia.

— Wyraźnie zdałeś dowództwo w ręce moje i Patroklesa — odparł Tutmozis. — Gdy zaś nadjechał święty Mentezufis, musieliśmy mu ustąpić, gdyż jest wyższy od nas...

Książę pomyślał, że jednak schwytanie Tehenny było okupione zbyt wielkimi nieszczęściami. Jednocześnie z całą siłą odczuł doniosłość przepisu, który nie pozwala wodzowi opuszczać wojska. Musiał w sobie przyznać, że nie ma słuszności, ale to jeszcze bardziej drażniło jego dumę i napełniało nienawiścią do kapłanów.

„Otóż — mówił — jestem w niewoli pierwej nawet, nim zdążyłem zostać faraonem (oby mój świątobliwy ojciec żył wiecznie!). Więc już dzisiaj muszę zacząć wydobywać się z niej, a przede wszystkim — milczeć... Pentuer ma słuszność: milczeć, zawsze milczeć, a gniewy swoje jak drogocenne klejnoty składać w skarbcu pamięci. Dopiero gdy zbierze się... O, prorocy, wy mi wówczas zapłacicie!..."

— Nie pytasz, wasza dostojność, o rezultat bitwy? — spytał Tutmozis.

— Aha, właśnie... Cóż jest?

— Przeszło dwa tysiące jeńców, więcej niż trzy tysiące zabitych, a ledwie kilkuset uciekło.

— Jakaż więc była armia libijska? — rzekł zdziwiony książę.

— Sześć do siedmiu tysięcy ludzi.

— To być nie może... Czy podobna, aby w takiej potyczce zginęło prawie całe wojsko?...

— A przecież tak jest, to była straszna bitwa — odparł Tutmozis. — Otoczyłeś ich ze wszech stron, resztę zrobili żołnierze, no... i dostojny Mentezufis... O takiej klęsce nieprzyjaciół Egiptu nie mówią nagrobki najsławniejszych faraonów.

— Idź już spać, Tutmozisie, jestem zmęczony — przerwał książę, czując, że pycha zaczyna mu bić do głowy.

„Więc to ja odniosłem takie zwycięstwo?... Niepodobna!..." — pomyślał.

Rzucił się na skóry, ale pomimo śmiertelnego znużenia zasnąć nie mógł.

Dopiero czternaście godzin upłynęło od chwili, gdy wydał hasło rozpoczęcia bitwy... Dopiero czternaście godzin?... Niepodobna!...

On wygrał taką bitwę?... Ależ on nawet nie widział bitwy, tylko żółty, gęsty tuman, skąd potokami wylewały się nieludzkie wrzaski. Oto i teraz widzi ów tuman, słyszy wrzawę, czuje spiekotę, a przecie żadnej bitwy nie ma...

Potem zobaczył niezmierną pustynię, wśród której z bolesnym trudem posuwał się po piasku. On i jego ludzie mieli najlepsze konie z całej armii, a pomimo to pełzali jak żółwie... A co za spiekota!... Niepodobna, ażeby człowiek mógł wytrzymać taki żar...

A oto zrywa się Tyfon, zasłania świat, pali, gryzie, dusi... Z figury Pentuera sypią się blade iskry... Nad ich głowami rozlegają się grzmoty, zjawisko, którego nie widział jeszcze nigdy... Potem cicha noc w pustyni... Pędzący gryf, ciemna sylwetka sfinksa na wapiennym wzgórzu...

„Tylem widział, tylem przeżył — myśli Ramzes — byłem przy budowaniu naszych świątyń, a nawet przy urodzinach wielkiego sfinksa, który już nie ma wieku, i... to wszystko miałoby zdarzyć się w ciągu czternastu godzin?..."

Jeszcze ostatnia myśl błysnęła księciu: „Człowiek, który tyle przeżył, nie może długo żyć...

Przebiegło go zimno od stóp do głów i — zasnął.

Nazajutrz ocknął się w parę godzin po wschodzie słońca. Kłuły go oczy, bolały wszystkie kości, trochę kaszlał, ale umysł miał jasny i serce pełne odwagi.

We drzwiach namiotu stał Tutmozis.

— Cóż?... — spytał książę.

— Szpiegowie[285] od granicy libijskiej przynoszą dziwne wieści — odparł ulubieniec. — Ku naszemu wąwozowi zbliża się wielki tłum, ale to nie jest wojsko, lecz bezbronni, kobiety i dzieci, a na ich czele Musawasa i najprzedniejsi Libijczycy...

— Cóż by to znaczyło?

— Widać chcą prosić o pokój.

— Po jednej bitwie?... — zdziwił się książę.

— Ale jakiej!... Przy tym strach mnoży w ich oczach nasze wojska... Czują się słabymi i lękają się najazdu i śmierci...

— Zobaczymy, czy to nie jest podstęp wojenny!... — odparł książę po namyśle. — A jakże nasi?

— Zdrowi, syci, napojeni, wypoczęci i weseli. Tylko...

— No?...

— Patrokles umarł w nocy — szepnął Tutmozis.

— Jakim sposobem?... — zawołał książę zrywając się.

— Jedni mówią, że zapił się, drudzy... że to kara bogów... Twarz miał siną, a usta pełne piany...

— Jak tamten niewolnik w Atribis, pamiętasz go?... Nazywał się Bakura i wpadł do sali uczty ze skargami na nomarchę... Rozumie się, że tej samej nocy umarł z pijaństwa!... Co?...

Tutmozis spuścił głowę.

— Musimy być bardzo ostrożni, panie mój... — szepnął.

— Postaramy się — odparł książę spokojnie. — Nie będę się nawet dziwił śmierci Patroklesa... Bo i co osobliwego może być w tym, że umarł jakiś pijaczyna, który obrażał bogów, ba!... nawet kapłanów...

Ale Tutmozis w tych drwiących słowach odczuł groźbę.

Książę bardzo kochał wiernego jak pies Patroklesa. Mógł zapomnieć wiele własnych krzywd, ale jego śmierci nie przebaczy nigdy.

Przed południem do książęcego obozu nadciągnął z Egiptu świeży pułk tebański, a oprócz tego parę tysięcy ludzi i kilkaset osłów przyniosły wielkie zapasy żywności i namioty. Jednocześnie od strony Libii znowu nadbiegli szpiegowie[286] donosząc, że banda ludzi bezbronnych, idących ku wąwozowi, wciąż powiększa się.

Tajemnica, Wiedza

Z rozkazu następcy gęste oddziałki jazdy we wszystkich kierunkach zbadały okolicę: czy nie ukrywa się gdzie nieprzyjacielska armia? Nawet kapłani, wziąwszy ze sobą małą kapliczkę Amona, weszli na szczyt najwyższego wzgórza i odprawili tam nabożeństwo. A wróciwszy do obozu zapewnili następcę, że wprawdzie nadciąga kilkutysięczny tłum bezbronnych Libijczyków, ale armii nie ma nigdzie, co najmniej w trzymilowym promieniu.

Książę zaczął się śmiać z raportu.

— Mam dobre oko — rzekł — ale w takiej odległości nie dojrzałbym wojska.

---

[285] *szpiegowie* — dziś popr.: szpiedzy.

[286] *szpiegowie* — dziś popr.: szpiedzy.

Kapłani, naradziwszy się między sobą, oświadczyli księciu, że jeżeli obowiąże się nie rozmawiać z ludźmi niewtajemniczonymi o tym, co zobaczy, przekona się, że można widzieć bardzo daleko.

Ramzes przysiągł. Wówczas kapłani ustawili na jednym wzgórzu ołtarz Amona i rozpoczęli modlitwy. A gdy książę, umywszy się, zdjął sandały i ofiarował bogu złoty łańcuch i kadzidło, wprowadzili go do ciasnej skrzyni, zupełnie ciemnej, i kazali patrzeć na ścianę.

Po chwili zaczęły się pobożne śpiewy, w czasie których ukazało się na wewnętrznej ścianie skrzyni jasne kółko. Wnet jasna barwa zmętniała; książę zobaczył piaszczystą równinę, wśród niej skały, a przy nich azjatyckie placówki.

Kapłani zaczęli śpiewać żywiej i obraz zmienił się. Było widać inny kawałek pustyni, a w niej tłum ludzi nie większych od mrówek. Mimo to ruchy, ubiory, a nawet twarze osób były tak wyraźne, że książę mógł je opisać.

Zdumienie następcy nie miało granic. Przecierał oczy, dotykał poruszającego się wizerunku... Nagle odwrócił głowę, obraz zniknął i została ciemność.

Kiedy wyszedł z kaplicy, zapytał go starszy kapłan:

— Cóż, erpatre, wierzysz teraz w potęgę bogów egipskich?

— Zaprawdę — odparł — jesteście tak wielkimi mędrcami, że cały świat powinien wam składać ofiary i hołdy. Jeżeli w równym stopniu potraficie widzieć przyszłość, nic wam się nie oprze.

Na te słowa jeden z kapłanów wszedł do kaplicy, zaczął się modlić i niebawem odezwał się stamtąd głos mówiący:

— Ramzesie!... zważone są losy państwa, a zanim druga pełnia nadejdzie, zostaniesz jego władcą...

— Bogowie!... — zawołał przerażony książę — azaliż ojciec mój jest tak chory?...

Upadł twarzą na piasek, a jeden z asystujących kapłanów spytał go: czy nie chce jeszcze czego dowiedzieć się.

— Powiedz, ojcze Amonie — odparł — czy spełnią się moje zamiary?

Po chwili rzekł głos z kaplicy:

— Jeżeli nie rozpoczniesz wojny ze Wschodem, będziesz składał ofiary bogom i szanował ich sługi, czeka cię długi żywot i pełne sławy panowanie...

Po tych cudach, które zdarzyły się w jasny dzień, na otwartym polu, książę wzburzony wrócił do swego namiotu.

„Nic nie oprze się kapłanom!..." — myślał z trwogą.

W namiocie zastał Pentuera.

— Powiedz mi, mój doradco — rzekł — czy wy, kapłani, możecie czytać w ludzkim sercu i odsłaniać jego tajemne zamiary?

Pentuer potrząsnął głową.

— Prędzej — odparł — człowiek dojrzy, co mieści się we wnętrzu skały, aniżeli zbada cudze serce. Ono nawet jest dla bogów zamknięte i dopiero śmierć odkrywa jego myśli.

Książę głęboko odetchnął, ale nie mógł pozbyć się niepokoju. Gdy zaś ku wieczorowi trzeba było zwołać radę wojenną, zaprosił na nią Mentezufisa i Pentuera.

Nikt nie wspominał o nagle zmarłym Patroklesie; może dlatego, że były pilniejsze sprawy. Przyjechali bowiem libijscy posłowie błagając w imieniu Musawasy o litość nad jego synem Tehenną i ofiarując Egiptowi poddanie się i wieczny spokój.

— Źli ludzie — mówił jeden z posłów — oszukali naród nasz mówiąc, że Egipt jest słaby, a jego faraon cieniem władcy. Wczoraj jednak przekonaliśmy się, jak mocne jest wasze ramię, i poczytujemy za rzecz roztropniejszą poddać się wam i płacić daniny aniżeli narażać ludzi na pewną śmierć, a nasze majątki na zniszczenie.

Gdy rada wojenna wysłuchała tej mowy, kazano Libijczykom wyjść z namiotu, a książę Ramzes wprost zapytał o zdanie świętego Mentezufisa, co nawet zdziwiło jenerałów.

— Jeszcze wczoraj — rzekł dostojny prorok — radziłbym odrzucić prośbę Musawasy, przenieść wojnę do Libii i zniszczyć gniazdo rozbójników. Dziś jednak otrzymałem tak ważne wiadomości z Memfisu, że będę głosował za litością dla pokonanych.

— Czy mój świątobliwy ojciec jest chory? — zapytał wzruszony książę.

— Jest chory. Lecz dopóki nie skończymy z Libijczykami, wasza dostojność nie powinieneś o tym myśleć...

A gdy następca smutnie spuścił głowę, Mentezufis dodał:

— Muszę spełnić jeszcze jeden obowiązek... Wczoraj, dostojny książę, ośmieliłem się zrobić ci uwagę, że dla tak marnej zdobyczy, jak Tehenna, wódz nie powinien był opuszczać armii. Dziś widzę, że myliłem się: gdybyś bowiem nie schwycił, panie, Tehenny, nie mielibyśmy tak prędko pokoju z Musawasą... Mądrość twoja, naczelny wodzu, okazała się wyższą nad wojskowe ustawy...

Księcia zastanowiła skrucha Mentezufisa.

„Dlaczego on tak mówi?... — pomyślał. — Widać nie tylko Amon wie, że mój świątobliwy ojciec jest chory..."

I w duszy następcy znowu zbudziły się stare uczucia: pogarda dla kapłanów i — nieufność do ich cudów.

„Więc nie bogowie wróżyli mi, że rychło zostanę faraonem, ale przyszła wiadomość z Memfisu i kapłani oszukali mnie w kaplicy. A jeżeli kłamali w jednym, kto zaręczy, że i te widoki pustyni ukazywane na ścianie nie były także oszustwem?..."

Ponieważ książę ciągle milczał, co przypisywano jego smutkowi z powodu choroby faraona, a jenerałowie także nie śmieli odzywać się po stanowczych słowach Mentezufisa, więc radę wojenną ukończono. Zapadło jednomyślne postanowienie, ażeby wziąć jak największą daninę z Libijczyków, posłać im egipską załogę i — przerwać wojnę.

Teraz już wszyscy spodziewali się, że faraon umrze. Egipt zaś, aby sprawić władcy przystojny pogrzeb, potrzebował głębokiego spokoju.

Opuściwszy namiot rady wojennej, książę spytał Mentezufisa:

— Dzielny Patrokles zgasł tej nocy: czy, święci mężowie, myślicie uczcić jego zwłoki?

— Był to barbarzyńca i wielki grzesznik — odparł kapłan. — Tak znakomite jednak oddał usługi Egiptowi, że należy zapewnić mu życie za grobem. Jeżeli więc pozwolisz, wasza dostojność, dziś jeszcze odeślemy ciało tego męża do Memfisu, ażeby zrobić jego mumię i odwieźć ją na wieczne mieszkanie do Tebów między królewskie przybytki.

Książę zgodził się z ochotą, ale podejrzenia jego wzrosły.

„Wczoraj — myślał — Mentezufis gromił mnie jak leniwego ucznia, i jeszcze łaska bogów, że nie obił mi grzbietu kijem, a dziś przemawia do mnie jak posłuszny syn do ojca i prawie pada na brzuch swój. Nie jestże to znakiem, że do namiotu mego zbliża się władza tudzież godzina rachunku?..."

Tak rozmyślając, książę wzrastał w dumę, a serce jego wypełniał coraz silniejszy gniew przeciw kapłanom. Gniew tym gorszy, że cichy jak skorpion, który ukrywszy się w piasku, jadowitym żądłem kaleczy nieostrożną nogę.

ROZDZIAŁ XXI

W nocy warty dały znać, że tłum żebrzących o łaskę Libijczyków już wszedł do wąwozu. Jakoż nad pustynią widać było łunę ich ognisk.

O wschodzie słońca odezwały się trąby i cała armia egipska stanęła pod bronią, w najszerszym miejscu doliny. Stosownie do rozkazu księcia, który chciał jeszcze bardziej nastraszyć Libijczyków, między szeregami wojska ustawiono spokojnych tragarzy, a wśród konnicy pomieszczono oślarzy na osłach. I stało się w onym dniu, że Egipcjanie byli mnodzy jak piasek w pustyni, a Libijczycy trwożni jak gołębie, nad którymi krąży jastrząb.

O dziewiątej rano przed namiot księcia zajechał jego złocisty wóz wojenny. Konie ubrane w strusie pióra rwały się tak, że każdego z nich musiało pilnować dwu masztalerzy.

Ramzes wyszedł z namiotu, siadł na wóz i sam ujął cugle, a miejsce woźnicy zajął przy nim kapłan Pentuer, doradca. Jeden z jenerałów[287] roztoczył nad księciem duży, zielony parasol, a z tyłu i po obu stronach wozu szli greccy oficerowie w pozłocistych zbrojach. W pewnej odległości za orszakiem księcia posuwał się mały oddział gwardii, a wśród niego Tehenna, syn libijskiego wodza Musawasy.

O kilkaset kroków od Egipcjan, przy wyjściu z glaukońskiego wąwozu, stała smutna gromada Libijczyków błagających zwycięzcy o miłosierdzie.

[287] *jenerał* — dziś popr.: generał.

Kiedy Ramzes wjechał ze swoją świtą na wzgórze, kędy miał przyjmować nieprzyjacielskie poselstwo, armia ku jego czci podniosła taki okrzyk, że chytry Musawasa zmartwił się jeszcze bardziej i szepnął do libijskiej starszyzny:

— Zaprawdę mówię wam, jest to krzyk wojska, które miłuje swego wodza!...

Wówczas jeden z niespokojniejszych książąt libijskich, wielki bandyta, rzekł do Musawasy:

— Czy nie myślisz, że w takiej chwili roztropniej uczynimy, ufając chyżości naszych koni, aniżeli łasce faraonowego syna?... Ma to być wściekły lew, który nawet głaszcząc zdziera skórę; my zaś jesteśmy jako jagnięta oderwane od cycków swej matki.

— Czyń, jak chcesz — odparł Musawasa — całą pustynię masz przed sobą. Ale mnie lud wysłał na odkupienie swoich grzechów, a nade wszystko mam syna Tehennę, nad którym książę rozleje swój gniew, jeżeli nie potrafię go przebłagać.

Do gromady Libijczyków przycwałowali dwaj jezdni Azjaci, donosząc, że pan czeka na ich pokorę.

Musawasa gorzko westchnął i poszedł ku pagórkowi, na którym stał zwycięzca. Nigdy jeszcze nie odbył on równie ciężkiej podróży!... Grube, pokutnicze płótno źle okrywało jego grzbiet; nad głową obsypaną popiołem znęcał się żar słoneczny, bose nogi gryzł mu żwir, a serce gniótł smutek i własny, i zwyciężonego ludu.

Przeszedł zaledwie kilkaset kroków, ale parę razy musiał zatrzymywać się i odpocząć. Często też oglądał się za siebie, aby sprawdzić, czy nadzy niewolnicy, którzy nieśli dary dla księcia, nie kradną złotych pierścieni, a co gorsze — klejnotów. Musawasa bowiem, jako mąż doświadczony, wiedział, że ludzie najchętniej korzystają z cudzego nieszczęścia.

„Dziękuję bogom — pocieszał się w swej nędzy chytry barbarzyńca — że na mnie padł los upokorzenia się przed księciem, który lada dzień włoży faraonowską czapkę. Władcy Egiptu są wspaniałomyślni, szczególniej w chwili zwycięstwa. Jeżeli więc potrafię wzruszyć pana mego, umocni on moje znaczenie w Libii i pozwoli mi pobierać duże podatki. Prawdziwy zaś cud, że sam następca tronu złapał Tehennę; nie tylko bowiem nie uczyni mu krzywdy, ale jeszcze obsypie go dostojeństwami..."

Tak myślał, a wciąż oglądał się. Niewolnik bowiem, choć nagi, może ukradziony klejnot schować w usta, a nawet połknąć.

Na trzydzieści kroków przed wozem następcy tronu Musawasa i towarzyszący mu najprzedniejsi Libijczycy upadli na brzuchy swoje i leżeli w piasku, dopóki adiutant książęcy nie kazał im wstać. Zbliżywszy się o kilka kroków znowu padli i uczynili tak trzy razy, a zawsze Ramzes musiał rozkazywać im, ażeby się podnieśli.

Przez ten czas Pentuer stojący na książęcym wozie szeptał swojemu panu:

— Niech oblicze twoje nie pokaże im ani srogości, ani uciechy. Raczej bądź spokojny jak bóg Amon, który pogardza swymi wrogami i nie cieszy się z lada jakich triumfów...

Nareszcie pokutujący Libijczycy stanęli przed obliczem księcia, który ze złocistego wozu patrzył na nich jak srogi hipopotam na kaczęta nie mające gdzie ukryć się przed jego mocą.

— Tyżeś to — nagle odezwał się Ramzes — tyżeś to jest Musawasa, mądry wódz libijski?

— Jam jest twój sługa — odparł zapytany i znowu rzucił się na ziemię.

Gdy mu kazano wstać, książę mówił:

— Jak mogłeś dopuścić się tak ciężkiego grzechu i podnieść rękę na ziemię bogów? Czyliżby opuściła cię dawna roztropność?

— Panie! — odparł chytry Libijczyk — żal pomieszał rozumy wygnanym żołnierzom jego świątobliwości, więc biegli na własną zgubę, ciągnąc za sobą mnie i moich. I wiedzą bogowie, jak długo ciągnęłaby się ta brzydka wojna, gdyby na czele armii wiecznie żyjącego faraona nie stanął sam Amon w twojej postaci. Jak pustynny wicher spadłeś, kiedy cię nie oczekiwano, tam, gdzie cię nie oczekiwano, a jak byk łamie trzcinę, tak ty skruszyłeś zaślepionego nieprzyjaciela. Po czym wszystkie ludy nasze zrozumiały, że nawet straszne pułki libijskie dopóty są coś warte, dopóki rzuca nimi twoja ręka.

— Mądrze mówisz, Musawaso — rzekł książę — a jeszcze lepiej uczyniłeś, żeś wyszedł naprzeciw armii boskiego faraona, nie czekając, aż ona przyjdzie do was. Rad bym jednak dowiedzieć się: o ile prawdziwą jest wasza pokora?

— „Rozjaśnij oblicze, wielki mocarzu egipski — odpowiedział na to Musawasa. — Przychodzimy do ciebie jako poddani, ażeby imię twoje było wielkim w Libii i ażebyś był naszym słońcem, jak jesteś słońcem dziewięciu ludów.

Rozkaż tylko podwładnym twoim, aby byli sprawiedliwymi dla zawojowanego i do potęgi twej przyłączonego ludu. Niech twoi naczelnicy rządzą nami sumiennie i sprawiedliwie, a nie według złych chęci swoich, donosząc o nas fałszywie i pobudzając niełaskę twoją przeciw nam i dzieciom naszym. Rozkaż im, namiestniku dobrotliwego faraona, aby rządzili nami według woli twojej, oszczędzając swobodę, mienie, język i obyczaje ojców i przodków naszych.

Niech prawa twoje będą dla wszystkich poddanych ci ludów równe, niech urzędnicy twoi nie pobłażają jednym, a nie będą zbyt srogimi dla drugich. Niech wyroki ich będą dla wszystkich jednakie. Niech pobierają opłatę przeznaczoną na twe potrzeby i twój użytek, lecz nie podnoszą od nas innej w tajemnicy przed tobą, takiej, która nie wejdzie do skarbca twego, lecz wzbogaci tylko sługi twoje i sługi sług twoich.

Każ rządzić nami bez krzywdy dla nas i dla dzieci naszych, wszak jesteś bogiem naszym i władcą na wieki. Naśladuj słońce, które dla wszystkich rozsiewa swój blask dający siłę i życie. Błagamy cię o twe łaski, my, libijscy poddani, i padamy czołem przed tobą, następco wielkiego i potężnego faraona."[288]

Tak mówił przebiegły książę libijski Musawasa i skończywszy, znowu upadł brzuchem na ziemię. A następcy faraona, kiedy słuchał tych mądrych słów, błyszczały oczy i rozszerzały się nozdrza jak młodemu ogierowi, który po sytnej paszy wybiega na łąkę między klacze.

— Powstań, Musawaso — odezwał się książę — i posłuchaj, co ci odpowiem. Los twój i twoich narodów nie zależy ode mnie, lecz od miłościwego pana, który tak wznosi się ponad nami wszystkimi jak niebo nad ziemią. Radzę ci więc, ażebyś ty i starszyzna libijska udali się stąd do Memfisu i tam, upadłszy na twarz przed władcą i bogiem tego świata, powtórzyli pokorną mowę, której tu wysłuchałem.

Nie wiem, jaki będzie skutek waszych próśb; lecz ponieważ bogowie nigdy nie odwracają się od skruszonych i błagających, więc przeczuwam, że nie będziecie źle przyjęci.

A teraz pokażcie mi dary przeznaczone dla jego świątobliwości, abym osądził, czy poruszą serce wszechmocnego faraona.

W tej chwili Mentezufis dał znak stojącemu na wozie księcia Pentuerowi. A gdy ten zeszedł i zbliżył się ze czcią do świętego męża, Mentezufis szepnął:

— Boję się, ażeby młodemu panu naszemu triumf nie za mocno uderzył do głowy. Czy nie sądzisz, że byłoby roztropnym przerwać w jaki sposób uroczystość?...

— Przeciwnie — odparł Pentuer — nie przerywajcie uroczystości, a ja wam ręczę, że podczas triumfu nie będzie miał wesołej twarzy.

— Zrobisz cud?

— Czyliżbym potrafił? Pokażę mu tylko, że na tym świecie wielkiej radości towarzyszą wielkie strapienia.

— Czyń, jak chcesz — rzekł Mentezufis — gdyż bogowie dali ci mądrość godną członka najwyższej rady.

Odezwały się trąby i bębny i rozpoczęto pochód triumfalny.

Na czele szli nadzy niewolnicy z darami, pilnowani przez możnych Libijczyków. Więc niesiono złote i srebrne bogi, szkatułki napełnione wonnościami, emaliowane naczynia, tkaniny, sprzęty, wreszcie złote misy zasypane rubinami, szafirami i szmaragdami. Niewolnicy niosący je mieli ogolone głowy i opaski na ustach, ażeby który nie ukradł cennego klejnotu.

Duma, Pycha, Kondycja ludzka

Książę Ramzes wsparł obie ręce o krawędź wozu i z wysokości pagórka patrzył na Libijczyków i swoje wojsko jak żółtogłowy orzeł na pstre kuropatwy. Duma wypełniała go od stóp do głów i wszyscy czuli, że nie można być potężniejszym nad tego zwycięskiego wodza.

W jednej chwili oczy księcia utraciły swój blask, a na twarzy odmalowało się przykre zdziwienie. To stojący za nim Pentuer szepnął:

[288] *Rozjaśnij oblicze, wielki mocarzu egipski…* — napis na nagrobku faraona Horem-hepa z roku 1470 przed Chrystusem. [Horemheb (1319–1292 p.n.e.), ostatni faraon XVIII dynastii, faktycznie żył półtora wieku wcześniej niż podaje autor. Red. WL]. [przypis autorski]

— Nakłoń, panie, ucha twego... Od czasu kiedy opuściłeś miasto Pi-Bast, zaszły tam dziwne wydarzenia... Twoja kobieta, Kama Fenicjanka, uciekła z Grekiem Lykonem...

— Z Lykonem?... — powtórzył książę.

— Nie poruszaj się, panie, i nie okazuj tysiącom twoich niewolników, że masz smutek w dniu triumfu...

W tej chwili przechodził u stóp księcia bardzo długi sznur Libijczyków niosących w koszach owoce i chleby, a w ogromnych dzbanach wino i oliwę dla wojska. Na ten widok wśród karnego żołnierstwa rozległ się szmer radości, ale Ramzes nie spostrzegł tego, zajęty opowiadaniem Pentuera.

— Bogowie — szeptał prorok — ukarali zdradziecką Fenicjankę...

— Złapana?... — spytał książę.

— Złapana, ale musiano ją wysłać do wschodnich kolonii... Spadł bowiem na nią trąd...

— O bogowie!... — szepnął Ramzes. — Czy aby mnie on nie grozi?...

— Bądź spokojny, panie: gdybyś się zaraził, już byś go miał...

Książę poczuł zimno we wszystkich członkach. Jakże łatwo bogom z najwyższych szczytów zepchnąć człowieka w przepaść najgłębszej nędzy!...

— A tenże nikczemny Lykon?...

— Jest to wielki zbrodniarz — mówi Pentuer — zbrodniarz, jakich niewielu wydała ziemia...

— Znam go. Jest podobny do mnie jak obraz odbity w lustrze... — odparł Ramzes.

Teraz nadciągnęła gromada Libijczyków prowadzących osobliwe zwierzęta. Na czele szedł jednogarbny wielbłąd z białawym włosem, jeden z pierwszych, jakiego złapano w pustyni. Za nim dwa nosorożce, stado koni i oswojony lew w klatce. A dalej mnóstwo klatek z różnobarwnymi ptakami, małpkami i małymi pieskami, przeznaczonymi dla dam dworskich. W końcu pędzono wielkie stada wołów i baranów na mięso dla wojska.

Książę ledwo rzucił okiem na wędrujący zwierzyniec i pytał kapłana:

— A Lykon schwytany?...

— Teraz powiem ci najgorszą rzecz, nieszczęśliwy panie — szeptał Pentuer. — Pamiętaj jednak, aby nieprzyjaciele Egiptu nie dostrzegli smutku w tobie...

Syn, Ojciec, Przywódca, Wierność, Zwycięstwo, Cierpienie

Następca poruszył się.

— Twoja druga kobieta, Sara Żydówka...

— Czy także uciekła?...

— Zmarła w więzieniu...

— O bogowie!... Któż śmiał ją wtrącić?...

— Sama oskarżyła się o zabójstwo syna twego...

— Co?...

Wielki krzyk rozległ się u stóp księcia: maszerowali jeńcy libijscy wzięci podczas bitwy, a na ich czele smutny Tehenna.

Ramzes miał w tej chwili serce tak przepełnione bólem, że skinął na Tehennę i rzekł:

— Stań przy ojcu twoim, Musawasie, ażeby widział i dotknął cię, że żyjesz...

Na te słowa wszyscy Libijczycy i całe wojsko wydało potężny okrzyk; ale książę nie słuchał go.

— Syn mój nie żyje?... — pytał kapłana. — Sara oskarżyła się o dzieciobójstwo?... Czy szaleństwo padło na jej duszę?...

— Dziecko zabił nikczemny Lykon...

— O bogowie, dajcie mi siły!... — jęknął książę.

— Hamuj się, panie, jak przystało na zwycięskiego wodza...

— Czyliż podobna zwyciężyć taką boleść!... O niemiłosierni bogowie!...

— Dziecko zabił Lykon, Sara zaś oskarżyła się, ażeby ciebie ocalić... Widząc bowiem mordercę w nocy, myślała, że to ty sam byłeś...

— A ja ją wygnałem z mego domu!... A ja zrobiłem ją służebnicą Fenicjanki!... — szeptał książę.

Teraz ukazali się egipscy żołnierze, niosący pełne kosze rąk uciętych poległym Libijczykom.

Na ten widok książę Ramzes zasłonił twarz swoją i gorzko zapłakał.

Natychmiast jenerałowie otoczyli wóz, pocieszając pana. Zaś święty prorok Mentezufis podał wniosek, który przyjęto bez namysłu, ażeby od tej pory wojsko egipskie już nigdy nie ucinało rąk poległym w boju nieprzyjaciołom.

Tym nieprzewidzianym wypadkiem zakończył się pierwszy triumf następcy egipskiego tronu. Ale łzy, jakie wylał nad uciętymi rękoma, mocniej aniżeli zwycięska bitwa przywiązały do niego Libijczyków. Nikt też nie dziwił się, że dokoła ognisk zasiedli w zgodzie żołnierze egipscy i Libijczycy, dzieląc się chlebem i pijąc wino z tych samych kubków. Miejsce wojny i nienawiści, które miały trwać całe lata, zajęło głębokie uczucie spokoju i zaufania.

Ramzes polecił, ażeby Musawasa, Tehenna i najprzedniejsi Libijczycy natychmiast jechali z darami do Memfisu, i dał im eskortę, nie tyle do pilnowania ich, ile dla bezpieczeństwa ich osób i wiezionych skarbów. Sam zaś ukrył się w namiocie i nie pokazał się przez kilka godzin. Nie przyjął nawet Tutmozisa, jak człowiek, któremu boleść starczy za najmilsze towarzystwo.

Ku wieczorowi przyszła do księcia deputacja greckich oficerów pod dowództwem Kaliposa. Kiedy następca zapytał: czego chcą?... Kalipos odparł:

— Przychodzimy błagać cię, panie, ażeby ciało naszego wodza, a twego sługi, Patroklesa, nie było wydane egipskim kapłanom, lecz spalone według greckiego obyczaju. Pogrzeb, Obyczaje, Zemsta

Książę zdziwił się.

— Chyba wiadomo wam — rzekł — że ze zwłok Patroklesa kapłani chcą zrobić mumię pierwszej klasy i umieścić ją przy grobach faraonów. Czy może większy zaszczyt spotkać człowieka na tym świecie?

Grecy wahali się, wreszcie Kalipos, zebrawszy odwagę, odpowiedział:

— Panie nasz, pozwól otworzyć serce przed tobą. Dobrze wiemy, że zrobienie mumii jest dla człowieka korzystniejszym niż spalenie go. Gdy bowiem dusza spalonego natychmiast przenosi się do krajów wiekuistych, dusza zabalsamowanego może tysiące lat żyć na tej ziemi i cieszyć się jej pięknością.

Ale egipscy kapłani, wodzu (niech to nie obraża twoich uszu!), nienawidzili Patroklesa. Któż więc nas zapewni, że kapłani, zrobiwszy jego mumię, nie w tym celu zatrzymają duszę na ziemi, aby ją poddać udręczeniom?... I co my bylibyśmy warci, gdybyśmy, podejrzewając zemstę, nie uchronili od niej duszy naszego ziomka i dowódcy?...

Zdziwienie Ramzesa jeszcze bardziej wzrosło.

— Czyńcie — rzekł — jak uważacie za potrzebne.

— A jeżeli nie wydadzą nam ciała?...

— Tylko przygotujcie stos, a resztą sam się zajmę.

Grecy wyszli, książę posłał po Mentezufisa.

ROZDZIAŁ XXII

Kapłan spod oka przypatrzył się następcy i znalazł go bardzo zmienionym. Ramzes był blady, prawie schudł w kilka godzin, a jego oczy straciły blask i zapadły się pod czoło.

Usłyszawszy, o co chodzi Grekom, Mentezufis ani chwili nie wahał się z wydaniem zwłok Patroklesa.

— Grecy mają słuszność — rzekł święty mąż — że moglibyśmy udręczać po śmierci cień Patroklesa. Ale są głupcami przypuszczając, że którykolwiek kapłan egipski czy chaldejski dopuściłby się podobnej zbrodni.

Niech zabiorą ciało swego ziomka, jeżeli sądzą, że pod opieką ich obyczajów będzie szczęśliwszy po śmierci!...

Książę natychmiast wysłał oficera ze stosownym rozkazem, ale Mentezufisa zatrzymał. Widocznie chciał mu coś powiedzieć, choć wahał się.

Po dłuższym milczeniu Ramzes nagle zapytał:

— Zapewne wiesz, święty proroku, że jedna z moich kobiet, Sara, umarła, a jej syn został zamordowany?... Wiadomość, Przywódca, Wojna, Ojciec

— Stało się to — odparł Mentezufis — tej samej nocy, kiedy opuściliśmy Pi-Bast...

Książę zerwał się.

— Przez wiekuistego Amona!... — krzyknął. — Stało się tak dawno, a wy nic nie wspomnieliście mi?... Nawet o tym, że ja byłem posądzony o zabicie mego dziecka?...

— Panie — rzekł kapłan — naczelny wódz w przededniu bitwy nie ma ani ojca, ani dziecka, ani nikogo zgoła, tylko — swoją armię i nieprzyjaciół. Mogliżeśmy cię w tych ważnych czasach niepokoić podobnymi wiadomościami?

— To prawda — odparł książę po namyśle. — Gdyby nas dzisiaj zaskoczono, nie wiem, czy potrafiłbym dobrze pokierować wojskiem... I w ogóle nie wiem, czy już kiedykolwiek zdołam odzyskać spokój...

Takie małe... takie piękne dziecko!... Albo i ta kobieta, która poświęciła się za mnie, gdy ja ciężko ją skrzywdziłem. Nigdy nie myślałem, że mogą zdarzać się podobne nieszczęścia i że przenosi je ludzkie serce.

— Czas wszystko leczy... Czas i modlitwa — szepnął kapłan.

Książę pokiwał głową i znowu w namiocie zaległa taka cisza, że słychać było piasek wysypujący się z klepsydry. Następca znowu ocknął się.

— Powiedz mi — rzekł — ojcze święty, jeżeli nie należy to do wielkich tajemnic, jaka jest naprawdę różnica między spaleniem zmarłego i zrobieniem z niego mumii? Bo chociaż słyszałem coś w szkole, nie rozumiem jednak tej kwestii, do której Grecy tak wielką przywiązują wagę.

— My przywiązujemy daleko większą, największą... — odparł kapłan. — Świadczą o tym nasze miasta zmarłych, które zajęły cały skraj pustyni zachodniej. Świadczą piramidy, które są grobami faraonów starego państwa, i mnemonie, olbrzymie groby, kute w skałach, dla królów naszej epoki.

Pogrzeb i grób to wielka sprawa, to największa sprawa ludzka. Bo gdy w formie cielesnej żyjemy pięćdziesiąt albo sto lat, nasze cienie trwają dziesiątki tysięcy lat, aż do zupełnego oczyszczenia.

Asyryjscy barbarzyńcy śmieją się z nas, że więcej poświęcamy zmarłym niż żyjącym; ale zapłakaliby nad swoim niedbalstwem o zmarłych, gdyby znana im była, jak nam, tajemnica śmierci i grobu...

Książę otrząsnął się.

— Przestraszasz mnie — rzekł. — Czyliż zapomniałeś, że między zmarłymi ja mam dwie miłe istoty, które nie są pochowane według egipskiego rytuału.

— Owszem. Teraz właśnie robią ich mumie. A zarówno Sara, jak i twój syn będą mieli wszystko, cokolwiek przydać im się może w długiej wędrówce.

— Doprawdy?... — spytał, jakby ucieszony, Ramzes.

— Zaręczam, że tak jest — odparł kapłan — i że zrobione będzie wszystko, co potrzeba, abyś znalazł ich, panie, szczęśliwymi, gdy i tobie kiedyś uprzykrzy się ziemski żywot.

Następca, słuchając tego, był bardzo wzruszony.

— Więc myślisz, święty mężu — spytał — że odnajdę kiedyś mego syna i będę mógł powiedzieć tej kobiecie: Saro, ja wiem, że byłem dla ciebie zbyt surowy?...

— Jestem tak pewny, jak tego, że widzę cię, dostojny panie.

— Mów... mów o tym!... — zawołał książę. — Człowiek dopóty nie dba o groby, dopóki nie złoży w nich cząstki samego siebie... A mnie spotkała ta niedola, i właśnie wówczas, gdym myślał, że z wyjątkiem faraona, nie ma potężniejszego nade mnie!

— Zapytywałeś, panie — zaczął Mentezufis — jaka jest różnica między spaleniem zmarłego i zrobieniem z niego mumii? Taka sama jak między zniszczeniem szaty a schowaniem jej do komory. Gdy szata jest przechowana, może się niejednokrotnie przydać; a gdy masz tylko jedną, byłoby szaleństwem palić ją...

— Tego nie rozumiem — wtrącił książę. — Tego nie wykładacie nawet w wyższej szkole...

— Ale możemy powiedzieć następcy faraona.

Wasza dostojność wiesz — ciągnął kapłan — że ludzka istota składa się z trzech części: ciała, iskry bożej i cienia, czyli *Ka*, który łączy ciało z iskrą bożą.

Gdy człowiek umiera, jego cień tudzież iskra odłączają się od ciała. Gdyby człowiek żył bez grzechu, jego iskra boża wraz z cieniem natychmiast poszłaby między bogów, na wiekuiste życie. Ale każdy człowiek grzeszy, plami się na tym świecie, skutkiem czego jego cień, *Ka*, musi się oczyszczać, niekiedy przez tysiące lat. Zaś oczyszcza się w ten sposób, że niewidzialny błąka się po naszej ziemi, pomiędzy ludźmi, i spełnia dobre uczynki. Chociaż

cienie zbrodniarzy nawet w zagrobowym życiu dopuszczają się występków i ostatecznie gubią i siebie, i zawartą w nich iskrę bożą.

Duch, Wampir, Pogrzeb, Grób

Otóż, co dla waszej dostojności nie jest chyba tajemnicą, ów cień, *Ka*, jest zupełnie podobny do człowieka, tylko wygląda, jakby był utkany z bardzo delikatnej mgły. Cień ma głowę, ręce i tułów, może chodzić, mówić, rzucać lub podnosić przedmioty, ubiera się jak człowiek, a nawet, osobliwie przez kilkaset pierwszych lat po śmierci, musi od czasu do czasu nieco posilać się. Później bowiem wystarczają mu wizerunki pokarmów...

Główną jednak siłę swoją cień czerpie z ciała, które po nim zostaje na ziemi. Gdy więc ciało rzucimy do grobu, ono prędko psuje się i cień musi nasycać się prochem i zgnilizną. Gdy ciało spalimy, cień ma tylko popioły do krzepienia się. Ale gdy z ciała zrobimy mumię, czyli gdy ciało zabalsamujemy na tysiące lat, cień *Ka* zawsze jest zdrów i silny i epokę swego oczyszczenia przepędza spokojnie, nawet przyjemnie.

— Dziwne rzeczy!... — szepnął następca.

— O życiu zagrobowym kapłani, w ciągu tysiącletnich badań, dowiedzieli się bardzo ważnych szczegółów. Przekonano się, że gdy w ciele zmarłego zostają wnętrzności, jego cień *Ka* ma ogromny apetyt, potrzebuje tyleż pokarmów, co człowiek; a gdy pokarmu zabraknie, wówczas rzuca się na żyjących i wysysa z nich krew. Lecz gdy usuwa się ze zwłok wnętrzności, jak my to robimy, wówczas cień prawie obywa się bez pokarmu: jego własne ciało, zabalsamowane i napełnione silnie pachnącymi ziołami, wystarcza mu na miliony lat.

Również sprawdzono, że gdy grób zmarłego jest pusty, cień tęskni za światem i włóczy się po ziemi bez potrzeby. Lecz gdy w kaplicy pośmiertnej złożymy odzienie, sprzęty, broń, naczynia i narzędzia, które zmarły lubił, gdy ściany pokryjemy malowidłami przedstawiającymi: uczty, polowania, nabożeństwa, wojny i w ogóle wypadki, w których nieboszczyk przyjmował udział, gdy jeszcze dodamy mu posążki osób z jego rodziny, służby, koni, psów i bydła, wówczas cień nie wychodzi bez potrzeby na świat, gdyż znajduje go w swym domu zmarłych.

Nareszcie przekonano się, że wiele cieniów, nawet po odbyciu pokuty, nie może wejść do krainy wiecznego szczęścia, ponieważ nie znają stosownych modlitw, zaklęć i rozmów z bogami. Zapobiegamy temu owijając mumię w papirusy, na których są wypisane sentencje, i — kładąc im do trumien Księgę Zmarłych[289].

Jednym słowem nasz rytuał pogrzebowy zapewnia cieniowi siły, chroni go od niewygód i tęsknoty za ziemią, ułatwia mu wejście między bogów i — zabezpiecza żywych ludzi od szkód, jakie mogłyby im wyrządzić cienie. Nasza wielka troskliwość o zmarłych to właśnie ma na celu; dlatego stawiamy im prawie pałace, a w nich — najozdobniejsze mieszkania.

Książę rozmyślał, wreszcie rzekł:

— Rozumiem, że wyświadczacie wielką łaskę bezsilnym i bezbronnym cieniom, zaopatrując ich w ten sposób. Lecz... kto mi powie, że cienie istnieją...

O tym, że jest bezwodna pustynia — ciągnął książę — wiem, bo ją widzę, bom tonął w jej piaskach i doświadczyłem jej żarów. O tym, że są krainy, w których woda kamienieje, a para zamienia się na białe puchy, także wiem, bo mówili wiarogodni[290] świadkowie...

Ale skąd wy wiecie o cieniach, których nikt nie widział, i o ich życiu pośmiertnym, skoro stamtąd nie wrócił żaden człowiek?

— Mylisz się, wasza dostojność — odparł kapłan. — Cienie ukazywały się ludziom nieraz, a nawet opowiadały im swoje tajemnice.

Można mieszkać w Tebach dziesięć lat i nie widzieć deszczu; można żyć na ziemi sto lat i nie spotkać cienia. Ale kto by mieszkał przez setki lat w Tebach albo żył tysiące lat na ziemi, zobaczyłby niejeden deszcz i niejednego cienia!...

— A któż to żył tysiące lat?... — zapytał książę.

[289] *Księga Zmarłych*, dziś częściej: *Księga Umarłych* — używane od czasów Nowego Państwa zbiory tekstów pogrzebowych o charakterze religijno-magicznym, zawierających opis drogi zmarłego w świecie pozagrobowym oraz niezbędne wskazówki, modlitwy i zaklęcia, umożliwiające pokonanie wszystkich niebezpieczeństw i zapewniające pomyślną ocenę na sądzie Ozyrysa. Spisywaną na papirusie *Księgę Umarłych* sporządzano na zamówienie, poszczególne egzemplarze różniły się doborem i kolejnością tekstów; znacząca kanonizacja nastąpiła dopiero w czasach XXVI dynastii.

[290] *wiarogodny* — dziś: wiarygodny.

— Żył, żyje i żyć będzie święty stan kapłański — odpowiedział Mentezufis. — On to przed trzydziestoma tysiącami lat osiedlił się nad Nilem, on przez ten czas badał niebo i ziemię, on stworzył naszą mądrość i nakreślił plany wszystkich pól, tam, kanałów, piramid i świątyń...

— To prawda — przerwał książę. — Stan kapłański jest mądry i potężny, ale — gdzie są cienie?... Kto je widział i z nimi rozmawiał?...

— Wiedz o tym, panie — prawił Mentezufis — że cień jest w każdym żyjącym człowieku. A jak są ludzie odznaczający się ogromną siłą lub arcybystrym wzrokiem, tak są i tacy ludzie, którzy posiadają niezwykły dar, że — mogą za życia wydzielać swój własny cień...

Duch

Nasze tajemne księgi pełne są najwiarogodniejszych[291] opowiadań w tej sprawie. Niejeden prorok umiał zapadać w sen podobny do śmierci. Wówczas jego cień oddzieliwszy się od ciała w jednej chwili przenosił się do Tyru, Niniwy, Babilonu, oglądał rzeczy potrzebne, przysłuchiwał się naradom obchodzącym nas i — po przebudzeniu się proroka — zdawał jak najdokładniejsze sprawozdanie. Niejeden zły czarownik również zasnąwszy wysyłał swój cień do domu nienawidzonego człowieka, a tam wywracał lub niszczył sprzęty i straszył całą rodzinę.

Zdarzało się, że człowiek napastowany przez cienia czarnoksiężnika uderzał go włócznią lub mieczem. Wówczas w domu nawiedzanym ukazywały się krwawe ślady, a czarnoksiężnik miał na swym ciele tę właśnie ranę, którą zadano cieniowi.

Niejednokrotnie też cień żyjącego człowieka ukazywał się razem z nim, o kilka kroków od niego...

— Znam ja takie cienie!... — szepnął ironicznie książę.

— Muszę dodać — ciągnął Mentezufis — że nie tylko ludzie, ale — zwierzęta, rośliny, kamienie, budowle i sprzęty mają takie same cienie. Tylko (dziwna rzecz!) cień przedmiotu martwego nie jest martwy, ale posiada życie: rusza się, przesuwa się z miejsca na miejsce, nawet myśli i objawia to za pomocą rozmaitych znaków, najczęściej — pukania.

Gdy człowiek umrze, cień jego żyje i ukazuje się ludziom. W naszych księgach zapisano tysiące podobnych wypadków. Jedne cienie upominały się o jadło, inne chodziły po mieszkaniu, pracowały w ogrodzie albo polowały w górach z cieniami swoich psów i kotów. Inne cienie straszyły ludzi, niszczyły ich majątek, wypijały ich krew, nawet pociągały żyjących do rozpusty... Bywały jednak cienie dobre: matki opiekujące się dziećmi, poległych żołnierzy ostrzegających o zasadzce nieprzyjacielskiej, kapłanów, którzy odkrywali nam ważne tajemnice.

Jeszcze za osiemnastej dynastii cień faraona Cheopsa (który pokutuje za ucisk ludu przy wznoszeniu piramidy dla siebie) ukazywał się w nubijskich kopalniach złota i litując się nad cierpieniami pracujących więźniów, wskazał im nowe źródło wody.

— Opowiadasz ciekawe rzeczy, święty mężu — odparł Ramzes — pozwól więc, że i ja ci coś powiem. Jednej nocy, w Pi-Bast, pokazano mi „mój cień"... Był zupełnie podobny do mnie i nawet tak ubrany jak ja. Wnet jednak przekonałem się, że to nie jest żaden cień, ale żywy człowiek, niejaki Lykon, nikczemny morderca mego syna...

Występki swoje zaczął od tego, że straszył Fenicjankę Kamę. Wyznaczyłem nagrodę za schwytanie go... Ale nasza policja nie tylko nie pojmała go, lecz nawet pozwoliła mu wykraść tą samą Kamę i zabić niewinne dziecko.

Dziś słyszę, że schwytano Kamę; ale o tym nędzniku nic nie wiem. Zapewne żyje na swobodzie zdrów, wesół i zasobny w skradzione skarby; może nawet sposobi się do nowej zbrodni!...

— Zbyt wiele osób ściga tego nikczemnika, ażeby w końcu nie został pojmany — rzekł Mentezufis. — A gdy raz wpadnie w nasze ręce, Egipt zapłaci mu za zgryzoty, jakie uczynił jego następcy tronu. Wierzaj mi, panie, możesz mu z góry przebaczyć wszystkie występki, kara bowiem odpowie ich wielkości.

— Wolałbym go sam mieć w rękach — odparł książę. — Zawsze to niebezpieczna rzecz taki „cień" za życia!...[292]

---

[291] *najwiarogodniejszy* — dziś: najwiarygodniejszy, najbardziej wiarygodny.

[292] *Zawsze to niebezpieczna rzecz taki „cień" za życia!...* — rzecz szczególna, że teoria „cieniów", na której prawdopodobnie opierała się nadzwyczajna troskliwość Egiptu o zmarłych, że teoria ta odżyła w naszych czasach

Nie bardzo zbudowany podobnym zakończeniem swego wykładu, święty Mentezufis pożegnał księcia. Po nim wszedł do namiotu Tutmozis, zawiadamiając, że Grecy już układają stos dla swojego wodza i że kilkanaście libijskich kobiet zgodziło się płakać w czasie pogrzebowego obchodu.

— Będziemy przy tym — odparł następca. — Czy wiesz, że zabito mego syna?... Takie małe dziecko!... Gdy nosiłem go, śmiał się i wyciągał do mnie rączki!... Niepojęta rzecz, ile nikczemności może pomieścić ludzkie serce! Gdyby ten podły Lykon targnął się na moje życie, jeszcze rozumiałbym, nawet przebaczył... Ale mordować dziecko...

— A o poświęceniu Sary mówiono ci, panie? — spytał Tutmozis.

— Tak. Zdaje mi się, że była to najwierniejsza z moich kobiet i że niesłusznie postąpiłem z nią... Ale jak to może być — zawołał książę, bijąc pięścią w stół — ażeby dotychczas nie schwytano nędznika Lykona?... Przysięgli mi na to Fenicjanie... obiecałem nagrodę naczelnikowi policji...

W tym musi coś być!...

Tutmozis zbliżył się do księcia i szepnął:

— Był u mnie posłaniec od Hirama, który obawiając się gniewu kapłanów kryje się, zanim opuści Egipt... Otóż Hiram podobno dowiedział się od naczelnika policji w Pi-Bast, że... Lykon został schwytany... Ale cicho!... — dodał wylękniony Tutmozis.

Książę na chwilę wpadł w gniew, lecz wnet się opanował.

— Schwytany?... — powtórzył. — Dlaczegóż ta tajemnica?...

— Bo naczelnik policji musiał oddać go świętemu Mefresowi na jego rozkaz w imieniu najwyższej rady...

— Aha... aha!... — powtarzał następca. — Zatem czcigodnemu Mefresowi i najwyższej radzie potrzebny jest człowiek tak bardzo podobny do mnie?... Aha!... Memu dziecku i Sarze mają sprawić piękny pogrzeb... balsamują ich zwłoki... Ale mordercę ukrywają w bezpiecznym miejscu... Aha!...

I święty Mentezufis jest wielkim mędrcem. Opowiedział mi dziś wszystkie tajemnice zagrobowego życia, wytłumaczył mi cały pogrzebowy rytuał, jakbym ja sam był kapłanem co najmniej trzeciego stopnia... Ale o schwytaniu Lykona i o ukryciu tego zabójcy przez Mefresa ani wspomniał!... Widocznie święci ojcowie troskliwsi są o drobne sekreta następcy tronu aniżeli o wielkie tajemnice przyszłego życia... Aha!...

— Zdaje się, panie, że dziwić cię to nie powinno — wtrącił Tutmozis. — Wiesz, że kapłani już podejrzewają cię o niechęć i mają się na ostrożności... Tym więcej...

— Co tym więcej?...

— Że jego świątobliwość jest bardzo chory. Bardzo...

— Aha!... ojciec mój chory, a ja tymczasem na czele wojska muszę pilnować pustyni, ażeby z niej piaski nie uciekły... Dobrze, żeś mi to przypomniał!... Tak, jego świątobliwość musi być ciężko chory, gdyż kapłani są bardzo czuli dla mnie... Wszystko mi pokazują i o wszystkim mówią, wyjąwszy tego, że Mefres ukrył Lykona.

Tutmozis — rzekł nagle książę — czy i dziś sądzisz, że mogę rachować na wojsko?

— Na śmierć pójdziemy, tylko rozkaż...

— I za szlachtę ręczysz?...

— Jak za wojsko.

— Dobrze — odparł następca. — Możemy teraz oddać ostatnią usługę Patroklesowi.

ROZDZIAŁ XXIII

W ciągu kilku miesięcy, podczas których książę Ramzes pełnił obowiązki namiestnika Dolnego Egiptu, jego świątobliwy ojciec coraz bardziej zapadał na zdrowiu. I zbliżała się chwila, w której pan wieczności, budzący radość w sercach, władca Egiptu i wszystkich krajów, jakie tylko oświetla słońce, miał zająć miejsce obok czcigodnych poprzedników swoich, w tebańskich katakumbach, które leżą po drugiej stronie miasta Teb.

Nie był jeszcze zbyt podeszły wiek równego bogom mocarza, który rozdawał życie poddanym i miał władzę zabierania mężom ich żon według pragnień serca swego. Ale

---

w Europie. Wykłada ją obszernie Adolf d'Assier w książce: *Essai sur l'humanité posthume et le spiritisme, par un positiviste*. [przypis autorski]

trzydziestokilkuletnie rządy tak go zmęczyły, że już sam chciał wypocząć, odnaleźć młodość i piękność swoją w zachodniej krainie, gdzie każdy faraon bez trosk panuje wiecznie nad ludami, tak szczęśliwymi, że nikt i nigdy nie chciał stamtąd powracać.

Jeszcze pół roku temu świątobliwy pan spełniał wszystkie czynności przywiązane do jego stanowiska, na którym opierało się bezpieczeństwo i pomyślność całego widzialnego świata.

Rankiem, ledwo kur zapiał, kapłani budzili władcę hymnem na cześć wschodzącego słońca. Faraon podnosił się z łoża i w złocistej wannie brał kąpiel z wody różanej. Po czym boskie ciało jego było natarte bezcennymi wonnościami, wśród szmeru modłów mających własność odpędzania złych duchów.

Tak oczyszczony i okadzony przez proroków szedł pan do kapliczki. Odrywał glinianą pieczęć ode drzwi i wchodził sam jeden do sanktuarium, gdzie na łożu ze słoniowej kości spoczywał cudowny posąg bożka Ozyrysa. Bożek miał ten nadzwyczajny dar, że na każdą noc odpadały mu ręce, nogi i głowa odcięte niegdyś przez złego boga Seta; lecz po modlitwie faraona wszystkie członki zrastały się na powrót, bez żadnej przyczyny.

Gdy jego świątobliwość przekonał się, że Ozyrys znowu jest cały, wydobywał posąg z łoża, kąpał go, ubierał w drogocenne szaty i — posadziwszy na malachitowym tronie, okadzał go wonnościami. Ceremonia to nader ważna: gdyby bowiem którego poranku boskie członki Ozyrysa nie zrosły się, byłby to znak, że Egiptowi, jeżeli nie całemu światu, grozi wielkie nieszczęście.

Po wskrzeszeniu i ubraniu bóstwa jego świątobliwość zostawiał otwarte drzwi kaplicy, aby przez nie na kraj spływały błogosławieństwa. Zarazem wyznaczał kapłanów, którzy przez cały dzień mieli pilnować sanktuarium nie tyle przed złą wolą, ile przed lekkomyślnością ludzką. Nieraz bowiem zdarzało się, że niebaczny śmiertelnik, zbliżywszy się zanadto do najświętszego miejsca, narażał się na niewidzialne uderzenie, które pozbawiało go przytomności, a nawet życia.

Po odprawieniu nabożeństwa szedł pan, otoczony śpiewającymi kapłanami, do wielkiej sali jadalnej, gdzie stał fotel i stoliczek dla niego i dziewiętnaście innych stoliczków przed dziewiętnastu posągami wyobrażającymi dziewiętnaście poprzednich dynastii. Gdy zaś władca usiadł, wbiegały młode chłopcy i dziewczęta ze srebrnymi talerzami, na których było mięso i ciasta, tudzież z dzbanami wina. Kapłan dozorujący potraw kosztował z pierwszego talerza i pierwszego dzbanka, które następnie na klęczkach podawano faraonowi, a inne talerze i dzbany stawiano przed posągami przodków. Gdy zaś władca, zaspokoiwszy głód, opuścił salę, potrawy przeznaczone dla przodków mieli prawo zjadać książęta albo kapłani.

Z jadalni udawał się pan do nie mniej wielkiej sali audiencjonalnej. Tu padali przed nim na twarz najbliżsi dostojnicy państwa i najbliższa rodzina, po czym minister Herhor, najwyższy skarbnik, najwyższy sędzia i najwyższy naczelnik policji składali mu raporty o sprawach państwa. Czytanie było przerywane religijną muzyką i tańcem, w czasie wykonywania których tron zasypywano wieńcami i bukietami.

Po audiencji jego świątobliwość udawał się do obocznego gabinetu i położywszy się na kanapie chwilę drzemał. Następnie składał bogom ofiary z wina i kadzideł i opowiadał kapłanom swoje sny, wedle których mędrcy układali najwyższe rozporządzenia w sprawach, które jego świątobliwość miał rozstrzygać.

Niekiedy jednak, gdy snów nie było albo gdy ich tłumaczenie wydało się faraonowi niewłaściwym, jego świątobliwość uśmiechał się dobrotliwie i — rozkazywał w danej sprawie postąpić tak a tak. Rozkaz ten był prawem, którego nikt nie mógł zmieniać, chyba tylko w wykonaniu szczegółów.

W godzinach popołudniowych jego świątobliwość niesiony w lektyce ukazywał się na dziedzińcu swojej wiernej gwardii, a potem wstępował na taras i spoglądał ku czterem okolicom świata, aby udzielić im swego błogosławieństwa. Wówczas ze szczytu pylonów wywieszano chorągwie i odzywały się potężne głosy trąb. Ktokolwiek usłyszał je, w mieście czy w polu, Egipcjanin czy barbarzyńca, padał na twarz, ażeby i na jego głowę spłynęła cząstka łaski najwyższej.

W takiej chwili nie było wolno uderzyć człowieka ani bydlęcia: kij podniesiony nad grzbietem sam opadał. Jeżeli zaś przestępca skazany na śmierć dowiódł, że czytano mu

wyrok w czasie ukazania się pana nieba i ziemi, zmniejszano mu karę. Albowiem przed faraonem chodzi moc, a za nim miłosierdzie.

Uszczęśliwiwszy lud swój, władca wszystkich rzeczy, jakie tylko są pod słońcem, zstępował do swoich ogrodów, między palmy i sykomory, i tu siedział najdłużej, odbierając hołdy od swych kobiet i przypatrując się zabawom dzieci swojego domu. Gdy które z nich pięknością czy zręcznością zwróciło jego uwagę, przywoływał je do siebie i pytał:

— Kto ty jesteś, mój maleńki?

— Jestem książę Binotris, syn jego świątobliwości — odpowiadał chłopczyk.

— A jakże nazywa się twoja matka?

— Moja matka jest pani Ameces, kobieta jego świątobliwości.

— Cóż ty umiesz?

— Umiem już liczyć do dziesięciu i napisać: „Niech żyje wiecznie ojciec i bóg nasz, świątobliwy faraon Ramzes!..."

Pan wieczności dobrotliwie uśmiechał się i swoją delikatną, prawie przezroczystą ręką dotykał kędzierzawej głowy czupurnego chłopca. Wówczas dziecko naprawdę zostawało księciem, pomimo że jego świątobliwość wciąż uśmiechał się w sposób zagadkowy.

Ale kogo raz dotknęła boska ręka, ten nie mógł zaznać niedoli w życiu i musiał być wywyższonym nad innych.

Na obiad szedł władca do drugiej sali jadalnej i dzielił się posiłkiem z bogami wszystkich nomesów Egiptu, których posągi stały wzdłuż ścian. Czego zaś nie zjedli bogowie, to dostawało się kapłanom i najwyższym osobom dworu.

Ku wieczorowi jego świątobliwość przyjmował wizytę pani Nikotris, matki następcy tronu, patrzył na religijne tańce i przysłuchiwał się koncertowi. Po czym udawał się znowu do kąpieli i oczyszczony wstępował do kaplicy Ozyrysa, ażeby rozebrać i ułożyć do snu bóstwo cudowne. Dokonawszy tego, zamykał i pieczętował drzwi kaplicy i otoczony procesją kapłanów szedł do sypialni.

Kapłani do wschodu słońca w sąsiedniej izbie odprawiali ciche modły do duszy faraona, która podczas snu znajduje się między bogami. Wówczas przedstawiali jej prośby o pomyślne załatwienie bieżących spraw państwa, o opiekę nad granicami Egiptu i nad grobami królów, ażeby żaden złodziej nie śmiał do nich wchodzić i naruszać wiekuistego spoczynku mocarzy pełnych chwały. Modły kapłańskie jednak, zapewne skutkiem nocnego zmęczenia, nie zawsze były skuteczne: kłopoty bowiem państwa rosły, a i groby święte okradano, nie tylko wynosząc z nich rzeczy kosztowne, lecz nawet mumie faraonów.

Był to skutek osiedlenia się w kraju różnych cudzoziemców i pogan, od których lud nauczył się lekceważenia egipskich bogów i miejsc najświętszych.

Spoczynek pana nad pany przerywał się raz, o północy. W tej bowiem godzinie astrologowie budzili jego świątobliwość i zawiadamiali go: w której kwadrze znajduje się księżyc, które planety świecą nad horyzontem, jaka konstelacja przechodzi przez południk i czy w ogóle na niebie nie zdarzyło się nic szczególnego? Niekiedy bowiem ukazywały się chmury, spadały gwiazdy częściej niż zwykle albo przelatywały nad ziemią kule ogniste.

Pan wysłuchał raportu astrologów, w razie jakiegoś niezwykłego zjawiska uspokajał ich o bezpieczeństwo świata i — wszystkie spostrzeżenia kazał zapisać do odnośnych tablic, które co miesiąc odsyłano kapłanom świątyni Sfinksa, największym mędrcom, jakich posiadał Egipt. Mężowie ci z powyższych tablic wyprowadzali wnioski, lecz najważniejszych nie objawiali nikomu, chyba kolegom swoim, chaldejskim kapłanom w Babilonie.

Po północy jego świątobliwość mógł już spać do zapiania rannych kogutów, jeżeli uważał za stosowne.

Taki pobożny i pracowity żywot jeszcze pół roku temu prowadził dobry bóg, rozdawca opieki, życia i zdrowia, dniem i nocą czuwając nad ziemią i niebem, nad widzialnym i niewidzialnym światem. Ale od pół roku wiecznie żyjąca dusza jego coraz częściej zaczęła przykrzyć sobie ziemskie sprawy i cielesną powłokę. Bywały dnie, że nic nie jadł, i noce, w czasie których wcale nie sypiał. Niekiedy podczas audiencji na łagodnym jego obliczu ukazywał się wyraz głębokiej boleści, a bardzo często, coraz częściej zdarzało się, że wpadał w omdlenia.

Przerażona królowa Nikotris, najdostojniejszy Herhor i kapłani niejednokrotnie zapytywali władcę: czy mu co nie dolega? Ale pan wzruszał ramionami i milczał, wciąż pełniąc swoje uciążliwe obowiązki.

Wówczas lekarze dworscy nieznacznie zaczęli podsuwać mu najmocniejsze środki dla przywrócenia sił. Mieszano mu w winie i potrawach naprzód popioły konia i byka, później — lwa, nosorożca i słonia, ale potężne leki zdawały się nie wywierać żadnego skutku. Jego świątobliwość tak często omdlewał, że już zaprzestano odczytywać mu raportów.

Jednego dnia dostojny Herhor wraz z królową i kapłanami, padłszy na twarze, ubłagali pana, że pozwolił zbadać mędrcom swoje boskie ciało. Pan zgodził się, lekarze zbadali go i opukali, lecz oprócz wielkiego wychudnięcia nie znaleźli żadnej groźnej wskazówki.

— Jakich uczuć doznaje wasza świątobliwość? — zapytał w końcu najmędrszy lekarz. Choroba

Faraon uśmiechnął się.

— Czuję — odparł — że pora mi wrócić do słonecznego ojca.

— Tego wasza świątobliwość zrobić nie może bez największej szkody dla swoich ludów. — pośpiesznie wtrącił Herhor.

— Zostawię wam syna, Ramzesa, który jest lwem i orłem w jednej osobie — rzekł pan. — I zaprawdę, jeżeli go słuchać będziecie, zgotuje on Egiptowi taki los, o jakim od początku świata nie słyszano.

Świętego Herhora i innych kapłanów aż zimno przeszło od tej obietnicy. Oni wiedzieli, że następca tronu jest lwem i orłem w jednej osobie i że słuchać go muszą. Woleliby jednak jeszcze przez długie lata mieć tego oto łaskawego pana, którego serce pełne litości było jak wiatr północny przynoszący deszcz polom i ochłodę ludziom.

Dlatego wszyscy, niby jeden mąż, padli na ziemię jęcząc i dopóty leżeli na brzuchach swoich, aż faraon zgodził się poddać kuracji.

Wtedy lekarze na cały dzień wynieśli go do ogrodu między pachnące drzewa iglaste, karmili go siekanym mięsem, poili mocnymi rosołami, mlekiem i starym winem. Dzielne te środki na jakiś tydzień wzmocniły jego świątobliwość; wnet jednak przyszło nowe osłabienie, dla zwalczania którego zmuszono pana, ażeby pił świeżą krew cieląt pochodzących od Apisa.

Lecz i krew nie na długo pomogła, i trzeba było odwołać się do porady arcykapłana świątyni — złego boga Seta.

Wśród powszechnej trwogi ponury kapłan wszedł do sypialni jego świątobliwości, spojrzał na chorego i zalecił straszne lekarstwo.

— Trzeba — rzekł — dawać faraonowi do picia krew z niewinnych dzieci, co dzień po kubku... Lek, Krew

Kapłani i magnaci zapełniający pokój oniemieli na taką radę. Potem zaczęli szeptać, że do tego celu najlepsze będą dzieci chłopskie; dzieci bowiem kapłańskie i wielkich panów już w niemowlęctwie tracą niewinność.

— Wszystko mi jedno, czyje to będą dzieci — odparł okrutny kapłan — byle jego świątobliwość miał co dzień świeżą krew.

Pan, leżąc na łóżku z zamkniętymi oczyma, słuchał tej krwawej rady i lękliwych szeptów dworu. A gdy jeden z lekarzy nieśmiało spytał Herhora: czy można zająć się wyszukaniem odpowiednich dzieci?... faraon ocknął się. Wlepił mądre oczy w obecnych i rzekł:

— Krokodyl nie pożera swoich małych, szakal i hiena oddaje życie za swe szczenięta, a ja miałbym pić krew egipskich dzieci, które są moimi dziećmi?... Zaprawdę, nigdy bym nie przypuszczał, że ośmieli mi się kto zalecić niegodne lekarstwo...

Kapłan złego boga upadł na ziemię, tłumacząc się, że krwi dziecięcej nikt nigdy nie pił w Egipcie, lecz że moce piekielne tym sposobem mają przywracać zdrowie. Taki przynajmniej środek używa się w Asyrii i Fenicji.

— Wstydź się — odparł faraon — w pałacu mocarzy egipskich wspominać tak obmierzłe rzeczy. Czy nie wiesz, że Fenicjanie i Asyryjczycy są głupimi barbarzyńcami? Ale u nas najciemniejszy chłop nie uwierzy, aby krew niewinnie rozlana mogła komu wyjść na pożytek...

Tak mówił równy nieśmiertelnym. Dworacy zasłonili twarze pokalane wstydem, a arcykapłan Seta po cichu wyniósł się z komnaty.

Wówczas Herhor, aby uratować gasnące życie władcy, uciekł się do ostatecznego środka i powiedział faraonowi, że kryje się w jednej z tebańskich świątyń Chaldejczyk, Beroes, najmędrszy kapłan z Babilonu i niezrównany cudotwórca.

— Dla waszej świątobliwości — mówił Herhor — obcy to człowiek i nie ma prawa udzielać tak ważnych rad naszemu panu. Ale pozwól, królu, ażeby spojrzał na ciebie, bo jestem pewny, że znajdzie dla twej choroby lekarstwo, a w żadnym wypadku nie obrazi twojej świętości bezbożnymi słowami.

Faraon i tym razem uległ namowom wiernego sługi. A we dwa dni Beroes, wezwany jakimś tajemnym sposobem, przypłynął do Memfisu.

Mądry Chaldejczyk, nawet nie oglądając szczegółowo faraona, taką dał radę:

— Trzeba znaleźć w Egipcie człowieka, którego modły dosięgają tronu Najwyższego. A gdy on szczerze pomodli się na intencję faraona, władca odzyska zdrowie i będzie żył długie lata.

Usłyszawszy te słowa, pan spojrzał na gromadę otaczających go kapłanów i rzekł:

— Widzę tu tylu mężów świętych, że gdy który zechce pomyśleć o mnie, będę zdrów...

I uśmiechnął się nieznacznie.

— Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi — wtrącił cudotwórczy Beroes — więc dusze nasze nie zawsze mogą wznieść się do podnóżka Przedwiecznego. Dam jednak waszej świątobliwości nieomylny sposób odkrycia człowieka, który modli się najszczerzej i najskuteczniej.

— Owszem, odkryj mi go, ażeby został moim przyjacielem w ostatniej godzinie życia.

Po przychylnej odpowiedzi pana Chaldejczyk zażądał komnaty mającej tylko jedne drzwi i przez nikogo nie zamieszkiwanej. I tego samego dnia, na godzinę przed zachodem słońca, kazał przenieść tam jego świątobliwość.

W oznaczonej porze czterech najwyższych kapłanów ubrali[293] faraona w nową, lnianą szatę, odmówili nad nim wielką modlitwę, która stanowczo odpędzała złe moce, i usadowiwszy go w prostą lektykę z cedrowego drzewa, zanieśli pana do owej pustej komnaty, gdzie znajdował się tylko mały stolik.

Był tam już Beroes i zwrócony do wschodu modlił się.

Kiedy kapłani wyszli, Chaldejczyk zamknął ciężkie drzwi izby, włożył na ramiona purpurową szarfę, a na stoliku przed faraonem postawił szklaną kulę czarnej barwy. W lewą rękę wziął ostry sztylet z babilońskiej stali, w prawą — laskę pokrytą tajemniczymi znakami i tąż laską dookoła siebie i faraona zakreślił w powietrzu krąg. Potem zwracając się kolejno ku czterem okolicom świata szeptał:

— Amorul, Taneha, Latisten, Rabur, Adonay... Miej litość nade mną i oczyść mnie, Ojcze niebieski, łaskawy i miłosierny... Zlej na niegodnego sługę swoje święte błogosławieństwo i wyciągnij wszechmocne ramię na duchy uparte i buntownicze, ażebym mógł rozważać w spokoju twoje święte dzieła...

Przerwał i zwrócił się do faraona:

— Mer-amen-Ramzesie, arcykapłanie Amona, czy w tej czarnej kuli dostrzegasz iskrę?...

— Widzę białą iskierkę, która zdaje się poruszać jak pszczoła nad kwiatem...

— Mer-amen-Ramzesie, patrz w tę iskrę i nie odrywaj od niej oczu... Nie spoglądaj ani na prawo, ani na lewo, ani na nic, cokolwiek wychylałoby się z boków...

I znowu szeptał:

— Baralanensis, Baldachiensis, przez potężnych książąt Genio, Lachiadae, ministrów piekielnego państwa, wywołuję was i wzywam mocą najwyższego Majestatu, którą jestem obdarzony, zaklinam was i rozkazuję...

W tym miejscu faraon wstrząsnął się ze wstrętem.

— Mer-amen-Ramzesie, co widzisz? — zapytał Chaldejczyk.

— Spoza kuli wychyla się jakaś okropna głowa... Rude włosy jeżą się... twarz zielonkowatej barwy... źrenice wywrócone na dół, że tylko białka oczu widać... Usta szeroko otwarte, jakby chciały krzyczeć...

— To trwoga — rzekł Beroes i zwrócił ponad kulę ostrze sztyletu.

Nagle faraon aż zgiął się ku ziemi.

[293] *czterech najwyższych kapłanów ubrali faraona* — dziś popr.: czterech najwyższych kapłanów ubrało faraona.

— Dosyć!... — zawołał — dlaczego mnie tak męczysz?... Strudzone ciało chce spocząć, dusza ulecić w krainę wiecznego światła... A wy nie tylko nie pozwalacie mi umrzeć, ale jeszcze wymyślacie nowe udręczenia... Ach!... nie chcę...

— Co widzisz?...

— Od sufitu co chwilę spuszczają się niby dwie nogi pajęcze, straszliwe... Grube jak palmy, kosmate, zakończone hakami... Czuję, że nad moją głową unosi się potwornej wielkości pająk i osnuwa mnie siecią z lin okrętowych...

Beroes zwrócił sztylet w górę.

— Mer-amen-Ramzesie — rzekł znowu — ciągle patrz w iskrę i nie oglądaj się na boki...

— Oto znak, który podnoszę w waszej obecności... — szeptał. — Otom jest potężnie uzbrojony w pomoc boską, przewidujący i nieustraszony, który wywołuję was przez zaklęcia... Aye, Saraye, Aye, Saraye, Aye, Saraye... przez imię wszechmocnego i wiecznie żyjącego Boga...

W tej chwili na twarzy faraona ukazał się spokojny uśmiech.

— Zdaje mi się — rzekł pan — że widzę Egipt... cały Egipt... Tak, to jest Nil... pustynia... Tu Memfis, tam Teby...

Istotnie widział Egipt, cały Egipt, ale nie większy od alei, która ciągnęła się przez ogród jego pałacu. Dziwny obraz miał jednak tę własność, że gdy faraon skierował na jaki punkt baczniejszą uwagę, punkt ten rozrastał się w okolicę prawie naturalnej wielkości.

Słońce już zachodziło, oblewając ziemię złotawo-purpurowym światłem. Dzienne ptaki zasiadały do snu, nocne — budziły się w kryjówkach. W pustyni ziewały hieny i szakale, a drzemiący lew przeciągał potężne cielsko, gotując się do pościgów za łupem.

Nilowy rybak śpiesznie wywłóczył sieci, wielkie statki transportowe przybijały do brzegów. Znużony rolnik odejmował od żurawia kubeł, którym przez cały dzień czerpał wodę, inny powoli wracał z pługiem do swej lepianki. W miastach zapalano światła, w świątyniach kapłani zbierali się na nabożeństwo wieczorne. Na gościńcach opadał kurz i milknęły skrzypiące koła wozów. Ze szczytu pylonów odezwały się jękliwe głosy wzywające naród do modlitwy.

W chwilę później faraon spostrzegł ze zdziwieniem niby stado srebrzystych ptaków unoszących się nad ziemią. Wylatywały one ze świątyń, pałaców, ulic, fabryk, statków nilowych, chat wieśniaczych, nawet z kopalń. Z początku każdy z nich pędził w górę jak strzała, lecz wnet spotykał pod niebem innego srebrnopiórego ptaka, który zabiegał mu drogę, uderzał go z całej siły i — obaj martwi upadali na ziemię.

Były to niezgodne modlitwy ludzkie, które nawzajem przeszkadzały sobie wzbić się do tronu Przedwiecznego...

Faraon wytężył słuch... Z początku dolatywał go tylko szelest skrzydeł; niebawem jednak mógł odróżniać wyrazy.

I oto słyszał chorego, który modlił się o powrót do zdrowia, a jednocześnie lekarza, który błagał, ażeby jego pacjent chorował jak najdłużej. Gospodarz prosił Amona o czuwanie nad jego spichrzem i oborą; złodziej wyciągał ręce do nieba, ażeby bez przeszkody mógł wyprowadzić cudzą krowę i napełnić wory cudzym ziarnem.

Modlitwy ich roztrącały się jak kamienie wyrzucone z procy.

Wędrowiec w pustyni upadał na piasek, żebrząc o wiatr północny, który by mu przyniósł kroplę wody; morski żeglarz bił czołem o pokład, ażeby jeszcze przez tydzień wiały wiatry ze wschodu. Rolnik chciał, aby prędzej wysychały bagna po wylewie; ubogi rybak żądał, by bagna nie wysychały nigdy.

I ich modły rozbijały się wzajemnie i nie dosięgły boskich uszu Amona.

Największy zgiełk panował nad kamieniołomami, gdzie przestępcy, skuci w łańcuchy, za pomocą klinów moczonych wodą rozsadzali ogromne skały. Tam partia robotników dziennych błagała o noc, aby spać się położyć, podczas, gdy budzeni przez dozorców robotnicy partii nocnej bili się w piersi, aby nigdy nie zachodziło słońce. Tam kupcy, którzy nabywali odłupane i obrobione kamienie, modlili się, ażeby jak najwięcej było w kopalni przestępców, podczas gdy dostawcy żywności leżeli na brzuchach wzdychając, ażeby pomór tępił robotników i umożliwił dostawcom większe zyski.

Więc i modły ludzi z kopalń nie dolatywały do nieba.

Na zachodniej granicy ujrzał faraon dwie armie gotujące się do boju. Obie leżały na piaskach wzywając Amona o wytępienie nieprzyjaciół. Libijczycy życzyli hańby i śmierci Egipcjanom; Egipcjanie miotali przekleństwa na Libijczyków.

Modły tych i tamtych, jak dwa stada jastrzębi, starły się nad ziemią i spadły na pustynię. Amon nawet ich nie dojrzał.

Modlitwa

I gdziekolwiek zwrócił faraon umęczoną źrenicę, wszędzie było to samo. Chłopi modlili się o wypoczynek i zniżenie podatków; pisarze — aby rosły podatki i nigdy nie kończyła się praca. Kapłani błagali Amona o długie życie dla Ramzesa XII i wytępienie Fenicjan, którzy psuli im operacje pieniężne; nomarchowie wzywali bóstwa, aby zachowało Fenicjan i prędzej pozwoliło wejść na tron Ramzesowi XIII, gdyż ten ukróci samowolę kapłanów. Lwy, szakale i hieny dyszały głodem i pożądaniem świeżej krwi; jelenie, sarny i zające z trwogą opuszczały kryjówki, myśląc o zachowaniu nędznego życia jeszcze przez jedną dobę. Choć mówiło doświadczenie, że i tej nocy kilkunaścioro[294] ich musi zginąć, ażeby nie pomarły drapieżniki.

I tak na całym świecie panowała rozterka. Każdy chciał tego, co lękiem napełniało innych; każdy prosił o własne dobro, nie pytając, czy nie zrobi szkody bliźniemu.

Przeto modlitwy ich, chociaż były jak srebrzyste ptaki wzbijające się ku niebu, nie dosięgły przeznaczenia. I boski Amon, którego nie dochodził żaden głos z ziemi, oparłszy ręce na kolanach, coraz więcej zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej boskości, a na świecie coraz częściej rządziła ślepa moc i przypadek.

Wtem faraon usłyszał głos kobiecy:

— Psujak!... Psujaczek!... wracaj, zbytniku, do chaty, bo już pora na modlitwę...

— Zaraz... zaraz!... — odpowiedział głos dziecięcy.

Władca spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył ubogą lepiankę pisarza od bydła. Właściciel jej przy blaskach zachodzącego słońca kończył pisać swój rejestr, jego żona rozbijała kamieniem pszenicę na placki, a przed domem, jak młody koziołek, biegał i skakał sześcioletni chłopczyna, śmiejąc się nie wiadomo z czego.

Widać upajało go pełne woni powietrze wieczorne.

— Psujak!... Psujaczek... chodź mi tu na modlitwę... — powtarzała kobieta.

— Zaraz!... zaraz!....

I znowu biegał, i cieszył się jak szalony.

Nareszcie matka, widząc, że słońce zaczyna pogrążać się w piaskach pustyni, odłożyła swój kamień i wyszedłszy na dziedziniec, schwyciła biegającego chłopca jak źrebaka. Opierał się, lecz w końcu uległ przemocy. Matka zaś, wciągnąwszy go do lepianki, czym prędzej posadziła go na podłodze i przytrzymała ręką, ażeby jej znowu nie uciekł.

— Nie kręć się — mówiła — podwiń nogi i siedź prosto, a ręce złóż i podnieś do góry... A niedobre dziecko!...

Chłopak wiedział, że już nie wykręci się od modlitwy, więc aby jak najprędzej wyrwać się znowu na podwórze, wzniósł pobożnie oczy i ręce do nieba i cieniutkim, a krzykliwym głosem prawił zadyszany:

Modlitwa

— Dziękuję ci, dobry boży Amonie, żeś tatkę chronił dzisiaj od przygód, a mamie dał pszenicy na placki... I jeszcze co?... Żeś stworzył niebo i ziemię i zesłał jej Nil, który nam chleb przynosi... I jeszcze co?... Aha, już wiem!... I jeszcze dziękuję ci, że tak pięknie na dworze, że rosną kwiaty, śpiewają ptaki i że palma rodzi słodkie daktyle. A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię jak ja i chwalą lepiej ode mnie, bom jeszcze mały i nie uczyli mnie mądrości. No, już dosyć...

— Złe dziecko! — mruknął pisarz od bydła schylony nad swoim rejestrem. — Złe dziecko niedbale oddaje cześć Amonowi...

Ale faraon w czarodziejskiej kuli dostrzegł zupełnie co innego. Oto modlitwa rozzbytkowanego chłopczyny jak skowronek wzbiła się ku niebu i trzepocąc skrzydłami wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż do tronu, gdzie wiekuisty Amon, z rękoma na kolanach, zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej wszechmocy.

Potem wzniosła się jeszcze wyżej aż na wysokość głowy bóstwa i śpiewała mu cienkim dziecięcym głosikiem:

— A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię jak ja...

[294] *kilkunaścioro* — dziś: kilkanaścioro, tu (o zwierzętach): kilkanaście.

Na te słowa pogrążone w sobie bóstwo otworzyło oczy i padł z nich na świat promień szczęścia. Od nieba do ziemi zaległa niezmierna cisza. Ustał wszelki ból, wszelki strach, wszelka krzywda. Świszczący pocisk zawisnął w powietrzu, lew zatrzymał się w skoku na łanię, podniesiony kij nie spadł na plecy niewolnika. Chory zapomniał o cierpieniu, zbłąkany w pustyni o głodzie, więzień o łańcuchach. Ucichła burza i stanęła fala morska gotowa zatopić okręt. I na całej ziemi zapanował taki spokój, że słońce, już ukryte pod widnokręgiem, znowu podniosło promieniejącą głowę...

Faraon ocknął się. Zobaczył przed sobą mały stolik, na nim czarną kulę, a obok Chaldejczyka Beroesa.

Modlitwa, Zwątpienie

— Mer-amen-Ramzesie — spytał kapłan — znalazłżeś człowieka, którego modły trafią do podnóżka Przedwiecznego?

— Tak — odparł faraon.

— Jestże on księciem, rycerzem, prorokiem czy może tylko zwyczajnym pustelnikiem?

— Jest to mały, sześcioletni chłopczyk, który o nic Amona nie prosił, lecz za wszystko dziękował.

— A wiesz, gdzie on mieszka? — pytał Chaldejczyk.

— Wiem, ale nie chcę wykradać dla siebie potęgi jego modlitw. Świat, Beroesie, jest to olbrzymi wir, w którym ludzie miotają się jak piasek, a rzuca nimi nieszczęście. Zaś dziecko swoją modlitwą daje ludziom to, czego ja nie potrafię: krótką chwilę zapomnienia i spokoju. Zapomnienie i spokój... rozumiesz, Chaldejczyku?

Beroes milczał.

ROZDZIAŁ XXIV

O wschodzie słońca dwudziestego pierwszego Hator do obozu nad Sodowymi Jeziorami przyszedł z Memfisu rozkaz, według którego trzy pułki miały pomaszerować do Libii i stanąć załogami w miastach, reszta zaś armii egipskiej wraz z księciem miała wrócić do domu.

Wojska okrzykami radości powitały to rozporządzenie; kilkudniowy bowiem pobyt w pustyni już zaczynał im dokuczać. Pomimo dowozów i z Egiptu, i z upokorzonej Libii nie było nadmiaru żywności; woda w studniach naprędce wykopanych wyczerpała się; żar słoneczny wypalał ciała, a rudy piasek raził płuca i oczy. Żołnierze poczęli chorować na dysenterię[295] i złośliwe zapalenie powiek.

Ramzes kazał zwinąć obóz. Trzy pułki rodowitych Egipcjan wyprawił do Libii, zalecając żołnierzom, aby łagodnie traktowali mieszkańców i — nigdy nie włóczyli się pojedynczo. Właściwą zaś armię skierował do Memfisu, zostawiając małą załogę w forteczce i hutach szklanych.

O dziewiątej rano, mimo spiekoty, oba wojska były już w drodze; jedni na północ, drudzy na południe.

Wówczas zbliżył się do następcy święty Mentezufis i oświadczył:

— Byłoby dobrze, gdybyś, wasza dostojność, mógł wcześniej dojechać do Memfisu. W połowie drogi będą świeże konie...

— Więc mój ojciec jest ciężko chory?... — zawołał Ramzes.

Kapłan schylił głowę.

Książę zdał Mentezufisowi naczelne dowództwo, prosząc go, aby w niczym nie zmieniał już wydanych rozporządzeń bez naradzenia się ze świeckimi jenerałami. Sam zaś, wziąwszy Pentuera, Tutmozisa i dwudziestu najlepszych jeźdźców azjatyckich, wyciągniętym kłusem pojechał do Memfisu.

W pięć godzin przebyli połowę drogi i jak zapowiedział Mentezufis, znaleźli świeże konie i nowy orszak. Azjaci zostali tutaj, a książę ze swymi dwoma towarzyszami i nową eskortą, po krótkim odpoczynku, pojechał dalej.

— Biada mi! — jęczał elegancki Tutmozis. — Nie dość, że od pięciu dni nie kąpię się i nie znam różanego olejku, ale jeszcze muszę odbyć dwa forsowne marsze w jeden

[295] *dysenteria*, dziś *dyzenteria* — czerwonka, krwawa biegunka.

dzień!... Jestem pewny, że gdy staniemy na miejscu, żadna tancerka nie zechce na mnie spojrzeć...

— Cóżeś lepszego od nas? — spytał książę.

— Jestem wątlejszy! — westchnął Tutmozis. — Ty, książę, przywykłeś do konnej jazdy jak Hyksos, a Pentuer mógłby podróżować nawet na rozpalonym mieczu. Ale ja taki delikatny...

O zachodzie słońca podróżni wjechali na wysoki pagórek, skąd roztoczył się niezwykły obraz. Z daleka przed nimi widać było zielonawą dolinę Egiptu, a na jej tle, niby szereg czerwonych płomieni, jaśniały trójkątne piramidy. Trochę na prawo od piramid, również zdawały się płonąć wierzchołki pylonów Memfisu owiniętego w niebieskawą mgłę.

— Jedźmy, jedźmy!... — nalegał książę.

W chwilę później znowu otoczyła ich ruda pustynia i znowu zajaśniał sznur piramid, dopóki wszystko nie rozpłynęło się w bladej pomroce.

Gdy zapadła noc, podróżni dotarli do olbrzymiej krainy zmarłych, która po lewej stronie rzeki, na wzgórzach, ciągnęła się na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst.

Tu za Starego Państwa chowano na wieczne czasy Egipcjan: królów w ogromnych piramidach, książąt i dostojników w mniejszych piramidach, prostaków w lepiankach. Spoczywało tu miliony mumii nie tylko ludzi, ale psów, kotów, ptaków, słowem — wszystkich stworzeń, które za życia miłymi były człowiekowi.

Za czasów Ramzesa królewski i magnacki cmentarz przeniesiono do Tebów, a w sąsiedztwie piramid grzebano tylko chłopów i wyrobników z najbliższych okolic.

Między rozpierzchniętymi grobami książę i jego orszak spotkał gromadkę ludzi przesuwających się jak cienie.

— Kto wy jesteście? — zapytał dowódca eskorty.

— Jesteśmy biedni słudzy faraona, a wracamy od naszych zmarłych... Zanieśliśmy im trochę róż, piwa i placków...

— A może zaglądaliście do cudzych grobów?

— O bogowie! — zawołał jeden z gromady — czyliż jesteśmy zdolni do podobnego świętokradztwa?... To tylko przewrotni tebańczycy (oby im ręce poschły!) niepokoją zmarłych, aby w szynkach przepić ich własność.

— Co znaczą te ogniska tam, na północ? — wtrącił książę.

— Musisz, panie, z daleka jechać, kiedy nie wiesz — odpowiedziano. — Wszakże to jutro nasz następca wraca ze zwycięskim wojskiem... Wielki wódz!... W jednej bitwie zawojował nędznych Libijczyków... Toteż lud z Memfisu wyszedł, aby go uroczyście powitać... Trzydzieści tysięcy głów... Dopieroż będą krzyczeli!

— Rozumiem — szepnął książę do Pentuera. — Święty Mentezufis wysłał mnie naprzód, abym nie odbył triumfalnego pochodu... Ale niech i tak będzie, na dzisiaj...

Konie były pomęczone i należało wytchnąć. Posłał więc książę paru jezdnych, aby zamówili statki na rzece, a resztę orszaku zatrzymał pod kępą palm, które wówczas rosły między grupą piramid i sfinksem.

Grupa ta stanowi północny kraniec niezmiernego cmentarzyska. Na placu mającym około kilometra kwadratowego powierzchni, porosłym w owych czasach pustynną roślinnością, tłoczy się mnóstwo grobów i małych piramid, nad którymi górują trzy piramidy największe: Cheopsa, Khefrena i Mykerina[296], tudzież sfinks. Kolosalne te budowle są oddalone jedna od drugiej ledwo na kilkaset kroków. Trzy piramidy stoją w jednym rzędzie od północo-wschodu ku południo-zachodowi, na wschód zaś od tej linii, najbliżej Nilu, leży sfinks, u stóp którego ciągnęła się podziemna świątynia Horusa.

Piramidy, a szczególniej Cheopsa, jako utwór ludzkiej pracy przeraża swoją wielkością. Jest to kamienny pagórek szpiczasty, wysoki na trzydzieści pięć piątr[297] (sto trzydzieści siedem metrów), stojący na podstawie kwadratowej, której każdy bok ma około trzystu pięćdziesięciu kroków (dwustu dwudziestu siedmiu metrów) długości. Piramida

[296] *Cheops, Khefren i Mykerin* — Cheops, Chefren, Mykerinos: greckie wersje imion władców IV dynastii, egipskie: Chufu (ok. 2620–2580 p.n.e.), Chafre (ok.2570–2530 p.n.e.) i Menkaure (2530–2510 p.n.e.), budowniczych trzech największych piramid.

[297] *piątr* — dziś popr. forma D.: pięter.

zajmuje dziesięć morgów[298] powierzchni, a jej cztery trójkątne ściany pokryłyby siedemnastomorgową przestrzeń. Na budowę jej zużyto takie mnóstwo kamieni, że można by wznieść mur wyższy od wzrostu człowieka, szeroki na pół metra, długi na dwa tysiące pięćset kilometrów!...

Kiedy orszak książęcy rozłożył się pod mizernymi drzewami, kilku żołnierzy zajęło się wyszukaniem wody, inni wydobyli suchary, a Tutmozis upadł na ziemię i zasnął. Książę zaś i Pentuer zaczęli przechadzać się rozmawiając.

Noc była o tyle jasna, że można było widzieć z jednej strony niezmierne sylwetki piramid, z drugiej figurę sfinksa, który w porównaniu z nimi wydawał się małym.

— Jestem tu już czwarty raz — rzekł następca — a zawsze moje serce napełnia się zdumieniem i żalem. Kiedym był jeszcze uczniem wyższej szkoły, myślałem, że wstąpiwszy na tron wzniosę coś dostojniejszego aniżeli piramida Cheopsa. Ale dzisiaj śmiać mi się chce z mego zuchwalstwa, kiedy pomyślę, że wielki faraon przy budowie swego grobowca zapłacił tysiąc sześćset talentów[299] za same jarzyny dla robotników... Skądbym ja wziął tysiąc sześćset talentów, a choćby tylko ludzi!...

— Nie zazdrość, panie, Cheopsowi — odparł kapłan. — Inni faraonowie lepsze zostawili po sobie dzieła: jeziora, kanały, gościńce, świątynie i szkoły...

— Alboż te rzeczy można porównać z piramidami?

— Z pewnością, że nie — spiesznie odpowiedział kapłan. — W oczach moich i całego ludu każda piramida jest wielkim występkiem, a największym — Cheopsowa...

— Unosisz się — zreflektował go książę.

Praca, Grób, Chłop, Cierpienie

— Wcale nie. Swój wielki grób budował faraon przez lat trzydzieści, w ciągu których sto tysięcy ludzi pracowało co roku po trzy miesiące. I jaki z tej pracy pożytek?... Kogo ona wykarmiła, uleczyła, odziała?... Ale za to co rok przy tej robocie marniało dziesięć do dwudziestu tysięcy ludzi... Czyli — na grób Cheopsa złożyło się z pół miliona trupów, a ile krwi, łez, bólów, kto rachuje?

Dlatego nie dziw się, panie, że chłop egipski po dziś dzień z trwogą patrzy na zachód, gdzie nad horyzontem krwawią się lub czernieją trójkątne postacie piramid. Toż to świadkowie jego mąk i jałowej pracy...

I pomyśleć, że tak będzie zawsze, dopóki te dowody ludzkiej pychy w proch się nie rozsypią. Ale kiedy to nastąpi? Od trzech tysięcy lat straszą nas swoim widokiem, i jeszcze ściany ich są gładkie, a ogromne napisy czytelne.

— Tamtej nocy, w pustyni, mówiłeś inaczej — wtrącił książę.

— Bom nie patrzył na nie. Ale kiedy je mam, jak teraz, przed oczyma, otaczają mnie łkające duchy zamęczonych chłopów i szepcą: „Patrz, co zrobiono z nami!... A przecie i nasze kości czuły ból, i nasze serca tęskniły do odpoczynku..."

Ramzes był w przykry sposób dotknięty tym wybuchem.

— Mój świątobliwy ojciec — rzekł po chwili — inaczej przedstawił mi te sprawy. Kiedy byliśmy tutaj przed pięcioma laty, boski pan opowiedział mi taką historię:

Za faraona Tutmozisa I[300] przyjechali posłowie etiopscy umawiać się o wysokość płaconych przez siebie danin. Hardy to był naród! Mówili, że jedna przegrana wojna nic nie stanowi, w drugiej bowiem los na nich może być łaskaw — i przez parę miesięcy targowali się o haracz.

Na próżno mądry król, chcąc łagodnie oświecić ich, pokazywał im nasze gościńce i kanały. Odpowiadali, że w ich kraju wodę mają darmo, gdzie chcą. Na próżno odsłaniano im skarbce świątyń: mówili, że ich ziemia kryje daleko więcej złota i klejnotów aniżeli cały Egipt. Nadaremnie pan musztrował wobec nich swoje wojska, gdyż twierdzili, że Etiopów jest bez porównania więcej, aniżeli jego świątobliwość ma żołnierzy.

Wówczas faraon przywiózł ich w te oto miejsca, gdzie stoimy, i pokazał piramidy.

---

[298] *mórg* a. *morga* (daw., z niem. *morgen*) — jednostka powierzchni ziemi, używana w Europie w XIX w., ok. 0,5 ha.

[299] *tysiąc sześćset talentów* — około 10 milionów franków. [przypis autorski]

[300] *Tutmozis I*, *Totmes I* (1506–1493 p.n.e.) — władca Egiptu z XVIII dynastii. W ekspedycjach wojskowych dotarł aż nad Eufrat. Podjął również wyprawy wojskowe do Nubii, poszerzając posiadłości egipskie na południu o tereny pomiędzy II a III kataraktą. Podczas pierwszej z ekspedycji osobiście zabił w bitwie króla Nubijczyków. Krwawo stłumił powstanie nubijskie, które wybuchło na świeżo podbitych terenach.

Posłowie etiopscy obeszli je wkoło, przeczytali napisy i — na drugi dzień zawarli traktat, jakiego od nich żądano.

Ponieważ nie zrozumiałem tej historii — ciągnął Ramzes — więc mój święty ojciec objaśnił mi ją.

Synu — mówił — te piramidy są wiekuistym dowodem nadludzkiej potęgi Egiptu. Gdyby jaki człowiek chciał sobie wznieść piramidę, ułożyłby drobny stos kamieni i rzuciłby po kilku godzinach swoją pracę zapytawszy: na co mi ona? Dziesięciu, stu i tysiąc ludzi nagromadziliby trochę więcej kamieni, zsypaliby je nieporządnie i — znowu porzuciliby ją po upływie kilku dni. Bo na co im ta robota?

Ale kiedy faraon egipski, kiedy państwo egipskie umyśli sobie zgromadzić stos kamieni, to spędza krocie tysięcy ludzi i buduje choćby przez kilkadziesiąt lat, dopóki roboty nie skończy.

Nie o to bowiem chodzi: czy były potrzebne piramidy? Ale o to, ażeby wola faraona, gdy ją raz wypowiedziano, była spełniona.

Tak, Pentuerze, piramida to nie grób Cheopsa, lecz — *wola* Cheopsa. Wola, która posiada tylu wykonawców, jak żaden król na świecie, a taki porządek i wytrwałość w działaniu, jak bogowie. Władza

Jeszcze w szkołach uczono mnie, że wola ludzka to wielka siła, największa siła pod słońcem. A przecie wola ludzka może podnieść ledwie jeden kamień. Jakże wielką zatem jest wola faraona, który wzniósł górę kamieni tylko dlatego, że mu się tak podobało, że on tak chciał choćby nawet bez celu.

— Czy i ty, panie, chciałbyś w podobny sposób dowodzić swojej potęgi?... — nagle zapytał go Pentuer.

— Nie — odparł książę bez wahania. — Gdy faraonowie raz okazali siłę, mogą już być miłosiernymi. Chyba że kto próbowałby opierać się ich rozkazom.

„A przecież ten młodzieniec ma dopiero dwadzieścia trzy lat!" — rzekł do siebie zatrwożony kapłan.

Zwrócili w stronę rzeki i jakiś czas szli milcząc.

— Połóż się, panie — rzekł kapłan — zaśnij. Odbyliśmy nie lada podróż.

— Alboż mogę zasnąć?... — odparł książę. — Raz otaczają mnie te krocie chłopów, którzy, według twego zdania, zginęli przy budowie piramid (jak gdyby bez owych piramid mieli żyć wiecznie!...). To znowu myślę o moim świątobliwym ojcu, który może w tej chwili dogorywa... Chłopi cierpią!... chłopi rozlewają krew!... Kto mi dowiedzie, że mój boski ojciec nie więcej męczy się na swym kosztownym łożu aniżeli twoi chłopi dźwigając rozpalone kamienie?...

Chłopi! zawsze chłopi!... Dla ciebie, kapłanie, tylko ten zasługuje na litość, kogo wszy jedzą. Cały szereg faraonów wstąpił do grobu, niektórzy konali w boleściach, niektórych zamordowano. Ale ty o nich nie pamiętasz, tylko o chłopach, których zasługą jest, że rodzili innych chłopów, czerpali błoto nilowe albo wpychali w usta swoim krowom — jęczmienne gałki.

A mój ojciec... a ja?... Czyliż nie zabito mi syna i kobiety z mego domu? Czy był dla mnie miłosiernym Tyfon w pustyni albo kości nie bolą mnie po długiej podróży?... A pociski procarzy libijskich nie świstały mi nad głową?... Mamże ja traktat z chorobą czy z boleścią, czy ze śmiercią, ażeby były dla mnie łaskawsze niż dla twojego chłopa?...

Spojrzyj tam... Azjaci śpią i cisza zalega ich piersi: ale ja, ich pan, mam serce pełne trosk wczorajszych i niepokojów o jutro. Zapytaj stuletniego chłopa, czy przez cały swój czas doznał tylu goryczy, ile ja w ciągu kilkumiesięcznej władzy namiestnika i wodza?...

Przed nimi z wolna, z głębi nocy, wynurzał się dziwny cień. Była to budowla długa na pięćdziesiąt kroków, wysoka na trzy piętra, mająca z boku niby pięciopiętrową wieżę niezwykłej formy.

— Otóż i sfinks — mówił rozdrażniony książę — czysto kapłańska robota!... Ile razy widziałem go, w dzień czy w nocy, zawsze męczyło mnie pytanie: co to jest i na co to jest?...

Piramidy — rozumiem. Potężny faraon chciał okazać swoją siłę, a może, co rozsądniej, chciał zabezpieczyć sobie wieczne życie w spokoju, którego nie naruszyłby żaden wróg czy złodziej. Ale ten sfinks!... Oczywiście jest to nasz święty stan kapłański, który ma bardzo wielką i mądrą głowę, a pod nią lwie pazury...

Wstrętny posąg, pełen dwuznaczności, który zdaje się pysznić tym, że wyglądamy przy nim jak szarańcza. Ani to człowiek, ani zwierzę, ani skała... Więc czymże on jest, jakie ma znaczenie?... Albo ten jego uśmiech... Podziwiasz wiecznotrwałość piramid — on się uśmiecha; idziesz porozmawiać z grobami — on także się uśmiecha. Czy zazielenią się pola Egiptu, czy Tyfon rozpuści swoje ogniste rumaki, czy niewolnik szuka wolności w pustyni, czy Ramzes Wielki spędza zwyciężone narody — on dla wszystkich ma jeden i ten sam martwy uśmiech.

Dziewiętnaście królewskich dynastii minęło jak cienie, ale on uśmiechał się i uśmiechałby się nawet wówczas, gdyby Nil wysechł, a Egipt zginął pod piaskami.

Nie jestże to potwór, tym okropniejszy, że ma łagodną twarz ludzką. Sam wiekuisty, nigdy nie zaznał żalu nad znikomością świata — przepełnionego nędzami.

— Nie pamiętasz, panie, oblicza bogów — wtrącił Pentuer — albo nie widziałeś mumii? Wszyscy nieśmiertelni z takim samym spokojem patrzą na rzeczy mijające. Nawet i człowiek, o ile już sam minął.

— Bogowie niekiedy słuchają naszych próśb — mówił jakby do siebie książę — ale on niczym się nie wzrusza. Nie jest litością, ale olbrzymim szyderstwem i strachem. Gdybym wiedział, że w jego ustach kryje się wróżba dla mnie albo sposób podźwignięcia państwa, jeszcze nie śmiałbym go zapytać. Zdaje mi się, że usłyszałbym jakąś straszną rzecz wypowiedzianą z nieubłaganym spokojem. On taki jest, ten utwór i obraz kapłanów. Gorszy od człowieka, bo ma lwi korpus; gorszy od zwierzęcia, bo ma ludzką głowę; gorszy od skały, bo kryje się w nim niepojęte życie.

W tej chwili doleciały ich jękliwe i stłumione głosy, których źródła nie można było oznaczyć.

— On śpiewa?... — spytał zdziwiony książę.

— To w podziemnej świątyni — odparł kapłan. — Ale dlaczego oni modlą się o tej porze?

— Powiedz lepiej: dlaczego oni w ogóle modlą się, kiedy ich nikt nie słyszy?

Pentuer, szybko zorientowawszy się, poszedł w stronę, skąd dolatywały śpiewy. Książę znalazł jakiś kamień z oparciem i usiadł znużony. Rozciągnął ręce za siebie, odchylił się w tył i patrzył w olbrzymią twarz sfinksa.

Pomimo braku światła wyraźnie było widać nadludzkie rysy, którym właśnie cień dodawał charakteru i życia. Książę zaś, im dłużej wpatrywał się w to oblicze, tym silniej odczuwał, że był uprzedzony i że jego niechęć jest niesłuszna.

Na twarzy sfinksa nie było okrucieństwa, prędzej rezygnacja. W jego uśmiechu nie było szyderstwa, prędzej melancholia. On nie wytrząsał się nad nędzą i znikomością ludzką, raczej nie widział ich.

Jego pełne wyrazu, gdzieś pod niebem osadzone oczy patrzyły za Nil, do krain, które dla ludzkich spojrzeń giną pod nieboskłonem. Czy śledził niepokojący wzrost monarchii asyryjskiej? czy natrętną bieganinę Fenicjan? czy narodziny Grecji, a może przyszłe zdarzenia gotujące się nad Jordanem?... — któż zgadnie.

Książę jednego był pewny, że — on patrzy, myśli i oczekuje na coś ze spokojnym uśmiechem, godnym nadprzyrodzonej istoty. I jeszcze zdawało mu się, że gdy to coś ukaże się na horyzoncie, sfinks powstanie i pójdzie naprzeciw.

Co to ma być i kiedy nastąpi?... Tajemnica, której doniosłość wyraźnie malowała się na twarzy wiekuistego. Musi się to jednak stać nagle, skoro sfinks od wieków ani na chwilę nie zmrużył oka i patrzy, wciąż patrzy...

Tymczasem Pentuer znalazł okno, przez które z podziemiów rozlewała się jękliwa pieśń kapłańska:

Chór I. „Wstawaj, promieniejący jak Izis, jak wstaje Sotis na firmamencie rano, z początkiem stałego roku.

Chór II. Bóg Amon-Ra[301] był po prawicy i po lewicy mojej. Sam oddał mi w ręce panowanie nad całym światem, przyczyniając się do upadku nieprzyjaciół moich.

[301]*Amon-Ra* a. *Amon-Re* — bóg słońca, stwórca i władca świata, strażnik ładu i sprawiedliwości. Jego kult powstał przez utożsamienie tebańskiego boga-stwórcy Amona, który w czasach Nowego Państwa zyskał rangę bóstwa państwowego, ze słonecznym bogiem Re, popularnym na terenie całego Egiptu od czasów Starego Państwa.

Chór I. Byłeś jeszcze młody, nosiłeś splecione włosy[302], lecz w Egipcie nic nie działo się bez twego rozkazu i nie położono kamienia węgielnego pod żaden gmach bez twojej obecności.

Chór II. Przyszedłem do Ciebie, władco bogów, wielki bogu, panie słońca. Tum obiecuje mi, że ukaże się słońce i że będę podobny do niego, a Nil, że osięgnę tron Ozyrysa i będę go posiadał na wieki.

Chór I. Wróciłeś w spokoju szanowany przez bogów, władco dwu światów, Ra-Mer--amen-Ramzesie. Zapewniam ci panowanie wieczne, królowie zbliżą się do ciebie i złożą ci hołdy.

Chór II. O ty, ty! Ozyrys-Ramzesie, wiecznie żyjący synu nieba, zrodzony z bogini Nut. Niech matka twoja otoczy cię tajemnicą nieba i niech zezwoli, abyś został bogiem, o ty, ty, Ozyrys-Ramzesie."[303]

„A więc pan świątobliwy już umarł!..." — rzekł do siebie Pentuer.

Odszedł od okna i zbliżył się do miejsca, gdzie siedział następca pogrążony w marzeniach.

Kapłan ukląkł przed nim, upadł na twarz i zawołał:

— Bądź pozdrowiony, faraonie, władco świata!...

— Co mówisz?!... — zawołał książę, zrywając się.

— Niech Bóg jedyny i wszechmocny zleje na ciebie mądrość i siłę, a szczęście na lud twój...

— Wstań, Pentuerze... Więc ja... więc ja...

Nagle wziął za ramię kapłana i obrócił go ku sfinksowi.

— Spojrzyj na niego — rzekł.

Ale ani w obliczu, ani w postawie kolosa nie zaszła żadna zmiana. Jeden faraon przestąpił granicę wieczności, drugi wschodził jak słońce, lecz kamienna twarz boga czy potwora pozostała taką samą. Na ustach łagodny uśmiech dla ziemskich potęg i chwały, we wzroku oczekiwanie na coś, co ma przyjść, lecz nie wiadomo, kiedy przyjdzie.

Wkrótce od przewozu wrócili dwaj posłańcy z zawiadomieniem, że czółna będą gotowe.

Pentuer wszedł między palmy i zawołał:

— Ocknij się!... ocknij się!...

Czujni Azjaci natychmiast zerwali się i zaczęli kiełznać konie. Podniósł się i Tutmozis, szkaradnie ziewający.

— Brr!... — mruknął — jakie zimno... Sen dobra rzecz!... Ledwie się zdrzemnąłem i już mogę jechać, bodaj na koniec świata, byle znowu nie do Sodowych Jezior... Brr!... Już zapomniałem smaku wina i zdaje mi się, że ręce zaczęły mi porastać włosem jak szakalowi... A do pałacu mamy jeszcze ze dwie godziny.

Szczęśliwi chłopi!... Śpi gałgan jeden z drugim do tej pory, nie czuje potrzeby kąpania się i nie pójdzie do roboty, dopóki żona nie napasie go jęczmiennym kleikiem. A ja, wielki pan, muszę jak złodziej tułać się nocą po pustyni nie mając w ustach kropli wody...

Konie były gotowe i Ramzes wsiadł na swego. Wówczas Pentuer zbliżył się, ujął za cugle rumaka władcy i prowadził go, sam idąc pieszo.

— Co to?... — spytał zdziwiony Tutmozis. Wnet jednak opamiętał się, podbiegł i wziął Ramzesowego konia za cugle z drugiej strony. I tak szli wszyscy milcząc, zdziwieni zachowaniem się kapłana, choć czuli, że stało się coś ważnego. Po kilkuset krokach nagle skończyła się pustynia, a przed podróżnymi wyciągnął się gościniec wśród pól.

— Siadajcie na konie — rzekł Ramzes — musimy pośpieszać.

— Jego świątobliwość rozkazuje siąść na koń! — zawołał Pentuer.

Obecni osłupieli. Ale Tutmozis prędko odzyskał przytomność i położywszy rękę na mieczu wykrzyknął:

— Niech żyje wiecznie, wszechmocny i łaskawy wódz nasz, faraon Ramzes!

— Niech żyje wiecznie!... — zawyli Azjaci, potrząsając bronią.

— Dziękuję wam, wierni żołnierze moi — odrzekł pan.

---

[302] *Byłeś jeszcze młody, nosiłeś splecione włosy* — w starożytnym Egipcie dzieciom golono głowy, pozostawiając jeden długi, zapleciony pukiel z boku głowy. Po uzyskaniu dojrzałości taki pukiel młodości obcinano.

[303] *Wstawaj, promieniejący jak Izis…* — napisy grobowe. [przypis autorski]

W chwilę później konny orszak pędził w stronę rzeki.

Faraon

TOM III

ROZDZIAŁ I

Czy prorocy podziemnej świątyni sfinksa widzieli nowego władcę Egiptu, jak obozował pod piramidami, czy dali o nim znać do królewskiego pałacu, i — w jaki uczynili to sposób? — nie wiadomo. Dość, że gdy Ramzes zbliżał się do przewozu, najdostojniejszy arcykapłan Herhor kazał obudzić służbę pałacową, a gdy pan przepływał Nil, wszyscy kapłani, jenerałowie[304] i dostojnicy cywilni już zgromadzili się w wielkiej sali.

Równo ze wschodem słońca Ramzes XIII na czele drobnego orszaku wjechał w pałacowy dziedziniec, gdzie służba upadła przed nim na twarz, a gwardia sprezentowała broń przy odgłosie trąb i bębnów.

Powitawszy wojsko, jego świątobliwość udał się do łazienki i wziął kąpiel przesyconą wonnościami. Następnie pozwolił uporządkować boskie włosy; lecz gdy fryzjer najpokorniej zapytał go: czy każe ogolić głowę i — zarost? — pan odrzekł:

— Nie potrzeba. Nie jestem kapłanem, tylko żołnierzem.

Słowa te w chwilę później przeszły do sali audiencjonalnej, w godzinę obiegły pałac, około południa rozniosły się po mieście Memfis, a nad wieczorem znane były we wszystkich świątyniach państwa, od Tami-n-hor[305] i Sabne-Chetam[306] na północy do Suunu[307] i Pilak[308] na południu.

Na tę wieść nomarchowie, szlachta, wojsko, lud i cudzoziemcy szaleli z radości, ale święty stan kapłański tym gorliwiej obchodził żałobę po zmarłym faraonie.

Wyszedłszy z kąpieli, jego świątobliwość przywdział krótką koszulę żołnierską w czarne i żółte pasy, na nią złoty napierśnik, na nogi sandały przywiązane rzemieniami, a na głowę płytki hełm z kolcem. Potem przypasał stalowy miecz asyryjski, który mu towarzyszył w bitwie przy Sodowych Jeziorach, i — otoczony wielką świtą jenerałów, z chrzęstem i brzękiem wszedł na salę audiencjonalną.

Tam zastąpił mu drogę arcykapłan Herhor, mając przy sobie świętych arcykapłanów: Sema, Mefresa i innych, a za sobą: wielkich sędziów z Memfisu i Teb, kilkunastu najbliższych nomarchów, wielkiego podskarbiego tudzież naczelników: domu zbóż, domu bydła, domu szat, domu niewolników, domu srebra i złota, i mnóstwo innych dygnitarzy.

Herhor skłonił się przed Ramzesem i rzekł wzruszony:

— Panie! Wiecznie żyjącemu ojcu waszemu podobało się odejść do bogów, gdzie kosztuje wiekuistego szczęścia. Na ciebie zaś spada obowiązek troszczyć się losem osieroconego państwa.

Bądź więc pozdrowiony, panie i władco świata, i — niech żyje wiecznie jego świątobliwość faraon Cham-sam-merer-amen-Ramesses-neter-hog-an[309]!...

Obecni z zapałem powtórzyli ten okrzyk. Spodziewano się, że nowy władca okaże jakieś wzruszenie lub zakłopotanie. Na podziw jednak wszystkich pan tylko zmarszczył brwi i odparł:

— Zgodnie z wolą świątobliwego ojca i prawami Egiptu, obejmuję rządy i spełniać je będę na chwałę państwa i szczęście ludu...

Nagle pan zwrócił się do Herhora i bystro patrząc mu w oczy zapytał:

---

[304] *jenerał* — dziś: generał.

[305] *Tami-n-hor* a. *Demi en Hor*, gr. *Hermopolis Mikra* — dziś Damanhur, miasto w zachodniej części Delty Nilu, położone ok. 150 km na północny zachód od Memfis, nad kanałem łączącym kanopskie ramię Nilu z jeziorem Mareotis (dziś Buhajrat Marjut). Stolica 7. nomu Dolnego Egiptu.

[306] *Sabne-Chetam* — biblijne Soan, gr. Tanis, miasto w północno-wschodniej części Delty, ok. 140 km na północny wschód od Memfis. Stolica 14. nomu Dolnego Egiptu. Za panowania XXI i XX dynastii było stolicą państwa.

[307] *Suunu* a. *Sunet*, gr. *Syene* — dziś Asuan, miasto w pobliżu I katarakty, w 1. nomie Górnego Egiptu, ok. 660 km na południe od Memfis, 180 km na południe od Teb.

[308] *Pilak* — eg. Pa-iu-rek, gr. File, wyspa na Nilu na I katarakcie (dziś na Jeziorze Nasera), w 1. nomie Górnego Egiptu, przy granicy z Nubią, ok. 670 km na południe od Memfis. Uważana za jedno z miejsc pochówku Ozyrysa.

[309] *Cham-sam-merer-amen-Ramesses-neter-hog-an* — właśc. Ramessisu Chaem-Uaset Meri-Amon Neczer-Heka-Junu („Syn-Re, Który-ukazał-się-w-Tebach, Umiłowany-przez-Amona, Bóg-Władca-Heliopolis"), pełne imię faraona Ramzesa XI, dawniej przez egiptologów uważane za imię Ramzesa XIII, którego istnienie jest dziś negowane.

— Na infule[310] waszej dostojności widzę złotego węża. Dlaczego przywdziałeś symbol władzy królewskiej?

Śmiertelna cisza zaległa zgromadzenie. Najzuchwalszy człowiek w Egipcie nigdy by nie przypuścił, że młody pan rozpocznie rządy swoje od podobnego pytania do osoby najpotężniejszej w państwie. Bodaj że potężniejszej aniżeli zmarły faraon.

Ale za młodym panem stało kilkunastu jenerałów, w dziedzińcu błyszczały spiżowe pułki gwardii, a przez Nil już przeprawiała się armia znad Sodowych Jezior, upojona triumfem, zakochana w swym wodzu.

Potężny Herhor zbladł jak wosk i z zaciśniętej krtani nie mógł wydobyć głosu.

— Pytam się waszej dostojności — spokojnie powtórzył faraon — jakim prawem na twojej infule znajduje się wąż królewski?

— To jest infuła dziada waszego, świętego Amenhotepa — cicho odparł Herhor. — Najwyższa rada nakazała mi przywdziewać ją w ważnych okolicznościach.

— Święty dziad mój — mówił faraon — był ojcem królowej i w drodze łaski otrzymał prawo ozdabiania swej infuły ureuszem. Lecz o ile mi wiadomo, jego uroczysty strój znajduje się między relikwiami świątyni Amona.

Herhor już ochłonął.

— Racz pamiętać, wasza świątobliwość — objaśnił — że przez całą dobę Egipt był pozbawiony prawego władcy. Tymczasem musiał ktoś budzić i układać do snu boga Ozyrysa[311], udzielać błogosławieństwa ludowi i składać hołdy przodkom królewskim.

Na tak ciężki czas najwyższa rada kazała mi odziać się w świętą relikwię, aby rząd państwa i służba bogom nie ulegały opóźnieniu. Z chwilą jednak gdy mamy prawego i potężnego władcę, składam cudowną relikwię...

To powiedziawszy Herhor zdjął z głowy infułę ozdobioną ureuszem i podał ją arcykapłanowi Mefresowi.

Groźna twarz faraona wypogodziła się i pan — skierował kroki swoje do tronu.

Nagle zastąpił mu drogę święty Mefres i schyliwszy się do ziemi rzekł:

— Racz, świątobliwy panie, wysłuchać najpokorniejszej prośby...

Ale ani w głosie, ani w oczach jego nie było pokory, kiedy wyprostowawszy się mówił dalej:

— Te są słowa najwyższej rady wszystkich arcykapłanów...

— Powiedz — odparł faraon.

— Wiadomo waszej świątobliwości — ciągnął Mefres — że faraon, który nie otrzyma arcykapłańskich święceń, nie może spełniać najwyższych ofiar tudzież ubierać ani rozbierać cudownego Ozyrysa.

— Rozumiem — przerwał pan. — Ja jestem faraonem, który nie posiada arcykapłańskiego dostojeństwa.

— Z tej przyczyny — mówił dalej Mefres — najwyższa rada pokornie błaga waszą świątobliwość o wyznaczenie arcykapłana, który mógłby was zastępować w pełnieniu religijnych obrządków.

Słuchając tej mowy stanowczej, arcykapłani i cywilni dostojnicy drżeli i kręcili się jak na rozpalonych kamieniach, a jenerałowie niby niechcący poprawiali miecze. Ale święty Mefres z nieukrywaną pogardą spojrzał na nich i — znowu utopił zimny wzrok w obliczu faraona.

Lecz pan świata i tym razem nie okazał zakłopotania.

— Dobrze — odparł — żeś mi, wasza dostojność, przypomniał o tym ważnym obowiązku. Wojenne rzemiosło i sprawy państwa nie pozwolą mi zajmować się obrzędami naszej świętej religii, więc muszę wyznaczyć do nich zastępcę...

To mówiąc pan począł rozglądać się między zebranymi.

---

[310] *infuła* — w starożytnym Rzymie opaska na głowę będąca odznaką godności lub władzy; później nazwa wysokiego, ceremonialnego nakrycia głowy noszonego przez chrześcijańskich dostojników kościelnych. Tu: nakrycie głowy dostojnika.

[311] *Ozyrys* — jeden z najważniejszych bogów starożytnego Egiptu. Brat i mąż Izydy, panował jako władca ziemi. Zabity przez swego brata, Seta, został wskrzeszony przez Izydę, z którą przed powtórną śmiercią spłodził Horusa. Jako zmarły władca panował w świecie pozagrobowym, sądząc zmarłych. Odradzał się w swoim synu Horusie, który przejął po nim władzę ziemską. Jako umierający i powracający do życia był bogiem wegetacji, odradzającej się przyrody i wiecznego życia. Przedstawiany w postaci człowieka w koronie władcy i insygniami królewskimi, owiniętego w bandaże na kształt mumii.

Z lewej strony Herhora stał święty Sem. Faraon wpatrzył się w jego twarz łagodną i uczciwą i nagle spytał:

— Kto i czym jesteś, wasza dostojność?

— Nazywam się Sem, a jestem arcykapłanem świątyni Ptah w Pi-Bastis.

— Ty będziesz moim zastępcą w religijnych obrządkach — rzekł pan, wskazując na niego palcem.

Między zebranymi przeleciał szmer podziwu. Trudno było po najdłuższych rozmyślaniach i naradach wybrać na tak wysoki urząd godniejszego kapłana.

Ale Herhor pobladł jeszcze bardziej, a Mefres zacisnął sine usta i przysłonił powiekami oczy.

W chwilę później nowy faraon zasiadł na tronie, który zamiast nóg miał rzeźbione postacie książąt i królów dziewięciu narodów.

Niebawem Herhor na złotej tacy podał panu białą i czerwoną koronę[312] otoczoną złotym wężem. Władca milcząc włożył je na głowę, a obecni upadli na ziemię.

Nie była to jeszcze uroczysta koronacja, tylko objęcie władzy.

Gdy kapłani okadzili faraona i odśpiewali hymn do Ozyrysa, aby zlał na niego wszelkie błogosławieństwa, cywilni i wojskowi dygnitarze zostali dopuszczeni do ucałowania najniższego stopnia tronu. Potem pan wziął złotą łyżkę i powtarzając modlitwy, które głośno odmawiał święty Sem, ofiarował kadzidła posągom bogów uszykowanym po obu stronach jego królewskiej stolicy.

— Co teraz mam robić? — zapytał władca.

— Ukazać się ludowi — odparł Herhor.

Przez złocone, szeroko otwarte drzwi po marmurowych schodach jego świątobliwość wszedł na taras i podniósłszy ręce zwrócił się kolejno ku czterem okolicom świata. Odezwały się głosy trąb i ze szczytu pylonów wywieszono chorągwie. Kto był w polu, na dziedzińcu czy na ulicy — padał na twarz; kij podniesiony nad grzbietem bydlęcia czy niewolnika opuszczał się bez szkody, a wszyscy przestępcy państwowi, jakich skazano tego dnia, otrzymali ułaskawienie. Schodząc z tarasu, władca zapytał:

— Czy mam jeszcze co do spełnienia?

— Oczekuje na waszą świątobliwość posiłek i sprawy państwa — odezwał się Herhor.

— Więc mogę odpocząć — rzekł faraon. — Gdzie są zwłoki mego świątobliwego ojca?

— Oddane balsamistom... — szepnął Herhor.

Faraonowi oczy wezbrały łzami i drgnęły usta. Ale pohamował się i milcząc patrzył w ziemię. Było rzeczą nieprzystojną, ażeby słudzy widzieli wzruszenie tak potężnego władcy.

Chcąc zwrócić uwagę pana na inny przedmiot, Herhor wtrącił:

— Czy wasza świątobliwość raczy przyjąć należny hołd od królowej matki?

— Ja?... ja mam przyjmować hołdy od mojej matki?... — rzekł zdławionym głosem faraon. Matka

A chcąc koniecznie uspokoić się, dodał z przymuszonym uśmiechem:

— Wasza dostojność zapomniałeś, co mówi mędrzec Eney[313]?... Może święty Sem powtórzy nam te piękne słowa o matce...

— „Pamiętaj — cytował Sem — że urodziła cię i na wszystkie sposoby karmiła..."

— Mów dalej... mów!... — nalegał pan, wciąż usiłując zapanować nad sobą.

— „Gdybyś o tym zapomniał, ona podniesie ręce swoje do boga, a on skargę jej usłyszy. Długo nosiła cię pod sercem, jak wielki ciężar, i porodziła po upłynięciu twoich miesięcy. Nosiła cię potem na plecach i przez trzy lata pierś swą wkładała w twoje usta. Tak cię wychowała, nie brzydząc się twego niechlujstwa. A gdy poszedłeś do szkół i w pismach

[312] *biała i czerwona korona* — faraonowie nosili podwójną koronę symbolizującą władzę nad dwoma zjednoczonymi krainami: połączenie wysokiej białej korony Górnego Egiptu oraz niższej czerwonej korony Dolnego Egiptu.

[313] *co mówi mędrzec Eney* — dziś: mędrzec Ani. Reprezentujący literaturę mądrościową moralizatorsko-dydaktyczny tekst znany pod nazwą *Nauka Ani* został napisany przez pisarza Ani żyjącego za panowania XVIII dynastii.

byłeś ćwiczony, przed twoim przełożonym stawała co dzień z chlebem i piwem domu swego[314]."

Faraon głęboko odetchnął i rzekł spokojniej:

— Widzicie więc, że nie godzi się, aby mnie witała matka moja. Ja to raczej pójdę do niej...

I poszedł przez szereg sal wykładanych marmurem, alabastrem i drzewem, malowanych jaskrawymi farbami, rzeźbionych i złoconych, a za nim — jego ogromna świta. Lecz zbliżywszy się do przedpokoju matki, dał znak, aby go zostawiono samego.

Minął przedpokój, chwilę zatrzymał się pode drzwiami, potem zapukał i wszedł cicho.

W izbie o nagich ścianach, w której zamiast sprzętów był niski tapczan i nadtłuczony dzban z wodą, wszystko na znak żałoby, siedziała na kamieniu matka faraona, królowa Nikotris. Była w grubej koszuli, boso; miała czoło umazane błotem z Nilu i popiół w poplątanych włosach.

Zobaczywszy Ramzesa, czcigodna pani schyliła się, aby mu upaść do nóg. Ale syn pochwycił ją w objęcia i rzekł z płaczem:

— Jeżeli ty, matko, zniżysz się przede mną do ziemi, ja przed tobą będę musiał zejść chyba pod ziemię...

Królowa przytuliła jego głowę do piersi, otarła mu łzy rękawem swojej grubej koszuli, a potem wzniósłszy ręce szepnęła:

— Niechaj wszyscy bogowie... niechaj duch ojca i dziada twego otoczą cię opieką i błogosławieństwem... O Izydo[315], nigdy nie skąpiłam ci ofiar, ale dziś robię największą... Oddaję ci mego miłego syna... Niech ten mój syn królewski stanie się niepodzielnie twoim synem, a jego sława i potęga niech pomnożą twoje boskie dziedzictwo...

Pan po wiele razy uściskał i ucałował królowę[316], wreszcie usadowił ją na tapczanie, a sam usiadł na kamieniu.

— Czy zostawił mi ojciec jakie rozkazy? — zapytał.

— Prosił cię tylko o pamięć, a do najwyższej rady powiedział te słowa: „Zostawiam wam następcę, który jest lwem i orłem w jednej osobie: słuchajcie go, a podźwignie Egipt do niebywałej potęgi."

— Myślisz, że kapłani będą mi posłuszni?

— Pamiętaj — rzekła matka — że godłem faraona jest wąż. A wąż to roztropność, która milczy i nie wiadomo kiedy kąsa śmiertelnie... Jeżeli czas weźmiesz za sprzymierzeńca, pokonasz wszystko.

— Herhor jest strasznie zuchwały... Dziś ośmielił się włożyć infułę świętego Amenhotepa... Rozumie się, kazałem mu ją zdjąć i usunę go od rządu... Jego i kilku członków najwyższej rady...

Królowa potrząsnęła głową.

— Egipt jest twój — mówiła — a bogowie obdarzyli cię wielką mądrością. Gdyby nie to, strasznie lękałabym się zatargu z Herhorem...

— Nie spieram się z nim. Ja go wypędzam.

— Egipt jest twój — powtórzyła matka — ale boję się walki z kapłanami. Prawda, że nad miarę łagodny ojciec uzuchwalił tych ludzi, lecz nie można doprowadzać ich do rozpaczy srogością. Zresztą — pomyśl: kto ci zastąpi ich radę?... Oni znają wszystko, co było, jest i będzie na ziemi i w niebie; oni widzą najskrytsze myśli ludzkie i kierują sercami, jak wiatr liśćmi. Bez nich nie tylko nie będziesz wiedział, co się dzieje w Tyrze i Niniwie, ale nawet w Memfisie i Tebach.

— Nie odpycham mądrości, ale chcę służby — odparł faraon. — Wiem, że ich rozum jest wielki, ale musi być kontrolowany, aby nie oszukiwał, i kierowany, ażeby nie rujnował państwa... Sama powiedz, matko, co oni w ciągu trzydziestu lat zrobili z Egiptem?... Lud cierpi nędzę albo buntuje się, wojska mało, skarb pusty, a tymczasem o parę miesięcy od nas jak ciasto na drożdżach rośnie Asyria i już dziś — narzuca nam traktaty!...

---

[314] *Pamiętaj, że urodziła cię […] przed twoim przełożonym stawała co dzień z chlebem i piwem domu swego* — autentyczne. [przypis autorski]

[315] *Izyda* — egipska bogini macierzyństwa, rodziny, sztuki i magii. Siostra i żona Ozyrysa, matka Horusa. Przedstawiana jako kobieta z symbolem tronu na głowie.

[316] *królowę* — dziś popr. forma: królową.

— Czyń, jak chcesz. Ale pamiętaj, że symbolem faraona jest wąż, a wąż — to milczenie i roztropność.

— Prawdę mówisz, matko, ale wierzaj mi, że w pewnych razach wyższą jest odwaga. Już dziś wiem, że kapłani wojnę libijską rozkładali na całe lata. Jam ją skończył w ciągu kilkunastu dni i tylko dlatego, że co dzień popełniałem jakiś krok szalony, ale stanowczy. Gdybym nie wybiegł naprzeciw nim w pustynię, co przecież było wielką nieroztropnością, dziś mielibyśmy Libijczyków pod Memfisem...

— Wiem, goniłeś Tehennę i zaskoczył was Tyfon[317] — rzekła królowa. — O nierozważne dziecko... nie pomyślałeś o mnie!...

Pan uśmiechnął się.

— Bądź spokojnego serca — odparł. — Kiedy faraon walczy, po lewej i po prawej ręce jego staje Amon. A któż mu dorówna?...

Jeszcze raz uściskał królowę i wyszedł.

ROZDZIAŁ II

Ogromna świta jego świątobliwości wciąż stała w sali poczekalnej, ale jakby rozłupana na dwie części. Z jednej strony Herhor, Mefres i kilku arcykapłanów starszych wiekiem, z drugiej — wszyscy jenerałowie, wszyscy urzędnicy cywilni i przeważna ilość młodszych kapłanów.

Orli wzrok faraona w jednej chwili dostrzegł ten rozdział dostojników i w sercu młodego władcy zapaliła się radosna duma.

„I otóż nie dobywając miecza, odniosłem zwycięstwo!..." — pomyślał.

A cywilni i wojskowi dostojnicy coraz dalej i wyraźniej odsuwali się od Herhora i Mefresa. Nikt bowiem nie wątpił, że obaj arcykapłani, dotychczas najpotężniejsi w państwie, nie posiadają łaski nowego faraona.

Teraz pan przeszedł do sali jadalnej, gdzie przede wszystkim zastanowiła go liczba usługujących kapłanów i — półmisków.

— Ja mam to wszystko zjeść? — zapytał, nie ukrywając zdziwienia.

Wówczas kapłan czuwający nad kuchnią objaśnił faraona, że potrawy, których nie zużytkuje jego świątobliwość, idą na ofiarę dla dynastii.

I to mówiąc wskazał na szereg posągów ustawionych wzdłuż sali.

Pan spojrzał na posągi, które wyglądały, jakby im nic nie dawano, potem na kapłanów, których cera była świeża, jakby oni wszystko zjadali, i — zażądał piwa tudzież żołnierskiego chleba z czosnkiem.

Starszy kapłan osłupiał, ale powtórzył rozkaz młodszemu. Młodszy zawahał się, ale powtórzył zlecenie chłopcom i dziewczętom. Chłopcy w pierwszej chwili, zdawało się, że nie wierzą własnym uszom; wnet jednak rozbiegli się po całym pałacu.

Zaś w kwadrans później wrócili wystraszeni, szepcząc kapłanom, że nigdzie nie ma żołnierskiego chleba i czosnku...

Faraon uśmiechnął się i zapowiedział, ażeby od tej pory nie brakło w jego kuchniach prostych potraw. Potem zjadł gołąbka, kawałek ryby, pszenną bułkę i popił to winem.

Przyznał w duchu, że jedzenie było zrobione dobrze, a wino cudowne. Nie mógł jednak opędzić się myśli, że kuchnia dworska musi pochłaniać nadzwyczajne sumy.

Spaliwszy kadzidła na cześć przodków, władca udał się do królewskiego gabinetu celem wysłuchania raportów.

Pierwszym był Herhor. Skłonił się przed panem daleko niżej, aniżeli zrobił to witając go, i z wielkim wzruszeniem powinszował zwycięstwa nad Libijczykami.

— Rzuciłeś się — mówił — wasza świątobliwość, na Libijczyków jak Tyfon na nędzne namioty błąkających się po pustyni. Wygrałeś wielką bitwę z bardzo małymi stratami i jednym zamachem boskiego miecza zakończyłeś wojnę, której końca my, ludzie zwyczajni, nie umieliśmy dopatrzeć.

Faraon czuł, że jego niechęć do Herhora zaczyna słabnąć.

---

[317] *Tyfon* (mit. gr.) — najstraszliwszy z potworów, syn Gai i Tartaru. Kojarzony z egipskim Setem, bogiem burz, pustyń i obcych krajów, zabójcą Ozyrysa, który po czasach Nowego Państwa i zawładnięciu Egiptem przez obce ludy w Trzecim Okresie Przejściowym i Okresie Późnym, został zdemonizowany i uznany za boga zła i chaosu.

— Dlatego — ciągnął arcykapłan — najwyższa rada błaga waszą świątobliwość, abyś dla walecznych pułków przeznaczył dziesięć talentów nagrody... Ty zaś sam, naczelny wodzu, pozwól, ażeby obok imienia twego kładziono napis: „Zwycięski!"...

Licząc na młodość faraona, Herhor przesadził w pochlebstwie. Pan ochłonął z upojenia i nagle odparł:

— Jakiż przydomek dalibyście mi, gdybym zniósł armię asyryjską i zapełnił świątynie bogactwami Niniwy i Babilonu?...

„Więc on wciąż myśli o tym?..." — rzekł w sobie arcykapłan.

Faraon zaś, jakby na potwierdzenie jego obaw, zmienił przedmiot rozmowy i zapytał:

— Ile też mamy wojska?...

— Tu, pod Memfisem?...

— Nie, w całym Egipcie.

— Wasza świątobliwość miał dziesięć pułków... — mówił arcykapłan. — Dostojny Nitager na granicy wschodniej ma piętnaście... Dziesięć jest na południu, gdyż zaczyna niepokoić się Nubia... Zaś pięć stoją[318] garnizonami po całym kraju.

— Razem czterdzieści — rzekł po namyśle faraon. — Ileż to będzie żołnierzy?

— Około sześćdziesięciu tysięcy...

Pan zerwał się z fotelu.

— Sześćdziesiąt zamiast stu dwudziestu?... — krzyknął. — Co to znaczy?... Co wy zrobiliście z moją armią?...

— Nie ma środków na utrzymanie większej liczby...

— O bogowie!... — mówił faraon chwytając się za głowę. — Ależ nas za miesiąc napadną Asyryjczycy!... Przecież my jesteśmy rozbrojeni...

— Z Asyrią mamy wstępny traktat — wtrącił Herhor.

— Kobieta mogłaby tak powiedzieć, ale nie minister wojny — uniósł się pan. — Co znaczy traktat, za którym nie stoi armia?... Przecież dziś zgniotłaby nas połowa wojsk, jakimi rozporządza król Assar.

— Racz uspokoić się, świątobliwy panie. Na pierwszą wieść o zdradzie Asyryjczyków mielibyśmy pół miliona wojowników...

Faraon roześmiał mu się w twarz.

— Co?... Skąd?... Ty oszalałeś, kapłanie!.... Grzebiesz się w papirusach, ale ja siedem lat służę w wojsku i prawie nie ma dnia, ażebym nie odbywał musztry czy manewrów... Jakim sposobem w ciągu paru miesięcy będziesz miał półmilionową armię?...

— Cała szlachta wystąpi...

— Co mi po twojej szlachcie!... Szlachta to nie żołnierze. Dla półmilionowej armii trzeba co najmniej stu pięćdziesięciu pułków, a my, jak sam mówisz, mamy ich czterdzieści... Gdzież więc ci ludzie, którzy dziś pasą bydło, orzą ziemię, lepią garnki albo piją i próżnują w swoich dobrach, gdzie nauczą się wojskowego rzemiosła?... Egipcjanie są lichym materiałem na żołnierzy, wiem o tym, bo przecież widuję ich co dzień... Libijczyk, Grek, Cheta[319], już dzieckiem będąc, strzela z łuku i procy i doskonale włada maczugą; zaś po upływie roku uczy się porządnie maszerować. Ale Egipcjanin dopiero po trzech latach pracy maszeruje jako tako. Prawda, że z mieczem i włócznią oswaja się we dwa lata, ale na trafne rzucanie pocisków i czterech mu za mało...

Więc po upływie kilku miesięcy moglibyście wystawić nie armię, lecz półmilionową bandę, którą w oka mgnieniu rozbiłaby druga banda, asyryjska. Bo choć pułki asyryjskie są liche i źle wymusztrowane, lecz żołnierz asyryjski umie miotać kamienie i strzały, rąbać i kłuć, a nade wszystko posiada impet dzikiego zwierzęcia, czego łagodnemu Egipcjaninowi całkiem brakuje. My rozbijamy nieprzyjaciół tym, że nasze karne i wyćwiczone pułki są jak tarany: trzeba wybić połowę żołnierzy, nim zepsuje się kolumna. Lecz gdy nie ma kolumny, nie ma egipskiej armii.

— Mądrą prawdę mówi wasza świątobliwość — rzekł Herhor do zadyszanego faraona. — Tylko bogowie posiadają taką znajomość rzeczy... Ja także wiem, że siły Egiptu są słabe, że dla stworzenia ich trzeba wielu lat pracy... Z tego właśnie powodu chcę zawrzeć traktat z Asyrią.

---

[318] *pięć [pułków] stoją garnizonami* — dziś popr.: pięć [pułków] stoi garnizonami.

[319] *Cheta* — dziś: Hetyta.

— Przecie już zawarliście...

— Tymczasowy. Sargon bowiem, widząc chorobę waszego ojca, a lękając się waszej świątobliwości, odłożył zawarcie właściwego traktatu do waszego wstąpienia na tron.

Faraon znowu wpadł w gniew.

— Co?... — zawołał. — Więc oni naprawdę myślą o zagarnięciu Fenicji?... I sądzą, że ja podpiszę hańbę mojego panowania?... Złe duchy opętały was wszystkich!...

Audiencja była skończona. Herhor tym razem upadł na twarz, a wracając od pana rozważał w sercu swoim:

„Jego świątobliwość wysłuchał raportu, więc nie odrzuca moich usług... Powiedziałem mu, że musi podpisać traktat z Asyrią, więc najcięższa sprawa skończona... Namyśli się, zanim Sargon znowu do nas przyjedzie...

Ależ to lew, a nawet nie lew, ale słoń rozhukany, ten młodzieniec... A przecież dlatego tylko został faraonem, że jest wnukiem arcykapłana!... Jeszcze nie zrozumiał, że te same ręce, które go wzniosły tak wysoko..."

W przedsionku dostojny Herhor zatrzymał się, dumał nad czymś, w końcu, zamiast do siebie, poszedł do królowej Nikotris.

W ogrodzie nie było kobiet ani dzieci, tylko z rozrzuconych pałacyków dochodziły jęki. To kobiety należące do domu zmarłego faraona opłakiwały tego, który odszedł na Zachód.

Żal ich, zdaje się, był szczery.

Tymczasem do gabinetu nowego władcy przyszedł najwyższy sędzia.

— Co mi powiesz, wasza dostojność? — zapytał pan.

— Kilka dni temu zdarzył się niezwykły wypadek pod Tebami — odparł sędzia. — Jakiś chłop zamordował żonę i troje dzieci i sam utopił się w poświęconej sadzawce.

— Oszalał?

— Zdaje się, że zrobił to z głodu.

Faraon się zamyślił.

— Dziwny wypadek — rzekł — ale ja chciałbym usłyszeć co innego. Jakie występki zdarzają się najpospoliciej w tych czasach?

Najwyższy sędzia wahał się.

— Mów śmiało — rzekł pan, już zniecierpliwiony — i niczego nie ukrywaj przede mną. Wiem, że Egipt zapadł w bagnisko, chcę go wydobyć, a więc muszę znać wszystko złe...

— Najczęstszymi... najzwyklejszymi występkami są bunty... Ale tylko pospólstwo buntuje się... — pośpieszył dodać sędzia.

— Słucham — wtrącił pan.

— W Kosem[320] — mówił sędzia — zbuntował się pułk mularzy i kamieniarzy, którym na czas nie dano rzeczy potrzebnych. W Sochem[321] chłopstwo zabiło pisarza zbierającego podatki... W Melcatis[322] i Pi-Hebit[323] także chłopi zburzyli domy fenickich dzierżawców... Pod Kasa[324] nie chcieli poprawiać kanału twierdząc, że za tą robotę należy im się płaca od skarbu... Wreszcie w kopalniach porfiru skazańcy pobili dozorców i chcieli gromadą uciekać w stronę morza...

— Wcale nie zaskoczyły mnie wiadomości — odparł faraon. — Ale co ty myślisz o nich?

— Przede wszystkim trzeba ukarać winnych...

— A ja myślę, że przede wszystkim trzeba dawać pracującym to, co im się należy — rzekł pan. — Głodny wół kładzie się na ziemi, głodny koń chwieje się na swych nogach

[320] *Kosem* — Per-Sopdu, (dziś: Saft al-Henna), miasto we wschodniej części Delty, ok. 105 km na wschód od dzisiejszego Az-Zakazik, stolica 20. nomu Dolnego Egiptu.

[321] *Sochem* — Sechem, gr. Letopolis, miasto na południu Delty, ok. 30 km na północ od Memfis, stolica 2. nomu Dolnego Egiptu.

[322] *Melcatis* — zapewne Metelis (gr.), egipskie Per Ha-Nereb, miasto w zachodniej części Delty, ok. 60 km na północ od Memfis, stolica 7. nomu Dolnego Egiptu.

[323] *Pi-Hebit* — Per-Hebit, dziś Behbeit el-Hagar, miasto w środkowej części Delty, kilka km na północ od Sebennytos, w 12. nomie Dolnego Egiptu.

[324] *Kasa* — egipskie Hardai, gr. Kynopolis, dziś al-Kais, miasto na południe od oazy Fajum, ok. 160 km na południe od Memfis. Stolica 17. nomu Górnego Egiptu, główny ośrodek kultu Anubisa.

i wzdycha... Możnaż więc żądać, aby głodny człowiek pracował i nie objawiał, że mu jest źle?...

— Zatem wasza świątobliwość...

— Pentuer utworzy radę do zbadania tych rzeczy — przerwał faraon. — Tymczasem nie chcę, aby karano...

— Ależ w takim razie wybuchnie bunt ogólny!... — zawołał przerażony sędzia.

Faraon oparł brodę na rękach i rozważał.

— Ha! — rzekł po chwili — niechże więc sądy robią swoje, tylko... jak najłagodniej. A Pentuer niech jeszcze dziś zbierze radę.

Zaiste! — dodał po chwili — łatwiej decydować się w bitwie aniżeli w tym nieporządku, jaki opanował Egipt...

Po wyjściu najwyższego sędziego faraon wezwał Tutmozisa. Kazał mu w swym imieniu powitać wojsko wracające znad Sodowych Jezior i rozdzielić dwadzieścia talentów między oficerów i żołnierzy.

Następnie pan rozkazał przyjść Pentuerowi, a tymczasem przyjął wielkiego skarbnika.

— Chcę wiedzieć — rzekł — jaki jest stan skarbu.

— Mamy — odparł dostojnik — w tej chwili za dwadzieścia tysięcy talentów wartości w spichrzach, oborach, składach i skrzyniach. Ale podatki co dzień wpływają...

— I bunty robią się co dzień — dodał faraon. — A jakież są nasze ogólne dochody i wydatki?

— Na wojsko wydajemy rocznie dwadzieścia tysięcy talentów... Na świątobliwy dwór dwa do trzech tysięcy talentów miesięcznie...

— No?... Cóż dalej?... A roboty publiczne?...

— W tej chwili wykonywają się darmo — rzeki wielki skarbnik, spuszczając głowę.

— A dochody?...

— Ile wydajemy, tyle mamy... — szepnął urzędnik.

— Więc mamy czterdzieści lub pięćdziesiąt tysięcy talentów rocznie — odparł faraon. — A gdzie reszta?...

— W zastawie u Fenicjan, u niektórych bankierów i kupców, wreszcie u świętych kapłanów...

— Dobrze — odparł pan. — Ale jest przecie nienaruszalny skarb faraonów w złocie, platynie, srebrze i klejnotach. Ile to wynosi?

— To już od dziesięciu lat naruszone i wydane...

— Na co?... komu?...

— Na potrzeby dworu — odpowiedział skarbnik — na podarunki dla nomarchów i świątyń...

— Dwór miał dochody z płynących podatków, a czyliż podarunki mogły wyczerpać skarbiec mojego ojca?...

— Ozyrys-Ramzes, ojciec waszej świątobliwości, był hojny pan i składał wielkie ofiary...

— Niby... jak wielkie?... Chcę o tym raz dowiedzieć się... — mówił niecierpliwie faraon.

— Dokładne rachunki są w archiwach, ja pamiętam tylko liczby ogólne...

— Mów!...

— Na przykład świątyniom — odparł wahając się skarbnik — dał Ozyrys-Ramzes w ciągu szczęśliwego panowania około stu miast, ze sto dwadzieścia okrętów, dwa miliony sztuk bydła, dwa miliony worów zboża, sto dwadzieścia tysięcy koni, osiemdziesiąt tysięcy niewolników, piwa i wina ze dwieście tysięcy beczek, ze trzy miliony sztuk chlebów, ze trzydzieści tysięcy szat, ze trzysta tysięcy kruż miodu, oliwy i kadzideł... A prócz tego tysiąc talentów złota, trzy tysiące srebra, dziesięć tysięcy lanego brązu, pięćset talentów ciemnego brązu, sześć milionów kwiecistych wieńców, tysiąc dwieście posągów boskich i ze trzysta tysięcy sztuk drogich kamieni...[325] Innych liczb na razie nie pamiętam, ale wszystko to jest zapisane...

[325] *A prócz tego tysiąc talentów złota, trzy tysiące srebra, dziesięć tysięcy lanego brązu, pięćset talentów ciemnego brązu, sześć milionów kwiecistych wieńców, tysiąc dwieście posągów boskich i ze trzysta tysięcy sztuk drogich kamieni* — dary Ramzesa III dla świątyń były nierównie większe. [przypis autorski]

Faraon ze śmiechem podniósł ręce do góry, a po chwili wpadł w gniew i uderzając pięścią w stół zawołał:

— Niesłychana rzecz, ażeby garstka kapłanów zużyła tyle piwa, chleba, wieńców i szat, mając własne dochody!... Ogromne dochody, które kilkaset razy przewyższają potrzeby tych świętych...

— Wasza świątobliwość raczył zapomnieć, że kapłani wspierają dziesiątki tysięcy ubogich, leczą tyluż chorych i utrzymują kilkanaście pułków na koszt świątyń.

— Na co im pułki?... Przecież faraonowie korzystają z nich tylko w czasie wojny. Co się tyczy chorych, prawie każdy płaci za siebie albo odrabia, co winien świątyni za kurację. A ubodzy?... Wszakże oni pracują na świątynie: noszą bogom wodę, przyjmują udział w uroczystościach, a przede wszystkim — należą do robienia cudów. Oni to pod bramami świątyń odzyskują rozum, wzrok i słuch, im leczą się rany, ich nogi i ręce odzyskują władzę, a lud, patrząc na podobne dziwowiska, tym żarliwiej modli się i hojniejsze składa ofiary bogom...

Ubodzy są jakby wołami i owcami świątyń; przynoszą im czysty zysk...

— Toteż — ośmielił się wtrącić skarbnik — kapłani nie wydają wszystkich ofiar, ale je zgromadzają i powiększają fundusz...

— Na co?

— Na jakąś nagłą potrzebę państwa...

— Któż widział ten fundusz?

— Ja sam — rzekł dostojnik. — Skarby złożone w Labiryncie nie ubywają, ale mnożą się z pokolenia na pokolenie, ażeby w razie...

— Ażeby — przerwał faraon — Asyryjczycy mieli co brać, gdy zdobędą Egipt tak pięknie rządzony przez kapłanów!...

Dziękuję ci, wielki skarbniku — dodał. — Wiedziałem, że majątkowy stan Egiptu jest zły. Ale nie przypuszczałem, że państwo jest zrujnowane... W kraju bunty, wojska nie ma, faraon w biedzie... Lecz skarbiec w Labiryncie powiększa się z pokolenia na pokolenie!...

Gdyby tylko każda dynastia, tylko dynastia, składała tyle podarunków świątyniom, ile im dał mój ojciec, już Labirynt posiadałby dziewiętnaście tysięcy talentów złota, około sześćdziesięciu tysięcy talentów srebra, a ile zbóż, bydła, ziemi, niewolników i miast, ile szat i drogich kamieni, tego nie zliczy najlepszy rachmistrz!...

Wielki skarbnik pożegnał władcę zgnębiony. Lecz i faraon nie był kontent: po chwilowym bowiem namyśle zdawało mu się, że zbyt otwarcie rozmawiał ze swymi dostojnikami.

ROZDZIAŁ III

Straż czuwająca w przedpokoju zameldowała Pentuera. Kapłan upadł na twarz przed faraonem i zapytał o rozkazy.

— Nie rozkazywać, ale prosić cię chcę — rzekł pan. — Wiesz, w Egipcie bunty!... Bunty chłopów, rzemieślników, nawet więźniów... Bunty od morza do kopalń!... Brakuje tylko, aby zbuntowali się moi żołnierze i ogłosili faraonem... na przykład Herhora!...

— Żyj wiecznie, wasza świątobliwość — odparł kapłan. — Nie ma w Egipcie człowieka, który nie poświęciłby się za ciebie i nie błogosławił twego imienia.

— Ach, gdyby wiedzieli — mówił z gniewem władca — jak faraon jest bezsilny i ubogi, każdy nomarcha zechciałby być panem swego nomesu!... Myślałem, że odziedziczywszy podwójną koronę, będę coś znaczył... Lecz już w pierwszym dniu przekonywam się, że jestem tylko cieniem dawnych władców Egiptu! Bo i czym może być faraon bez majątku, bez wojska, a nade wszystko bez wiernych sług... Jestem jak posągi bogów, którym kadzą i składają ofiary... Ale posągi są bezsilne, a ofiarami tuczą się kapłani... Ale prawda, ty trzymasz z nimi!...

— Boleśnie mi — odrzekł Pentuer — że wasza świątobliwość mówi tak w pierwszym dniu swego panowania. Gdyby wieść o tym rozeszła się po Egipcie...

— Komuż powiem, co mi dolega?... — przerwał pan. — Jesteś moim doradcą i ocaliłeś mi, a przynajmniej chciałeś ocalić życie, chyba nie po to, ażeby rozgłaszać: co się dzieje w królewskim sercu, które przed tobą otwieram... Ale masz słuszność.

Pan przeszedł się po komnacie i po chwili rzekł znacznie spokojniejszym tonem:

— Mianowałem cię naczelnikiem rady, która ma wyśledzić przyczyny nieustannych buntów w moim państwie. Chcę, ażeby karano tylko winnych, a czyniono sprawiedliwość nieszczęśliwym...

— Niech Bóg wspiera cię łaską swoją!... — szepnął kapłan. — Zrobię, panie, co każesz. Ale powody buntów znam i bez śledztwa...

— Powiedz.

— Nieraz o tym mówiłem waszej świątobliwości: lud pracujący jest głodny, ma za dużo roboty i płaci za wielkie podatki. Kto dawniej robił od wschodu do zachodu słońca, dziś musi zaczynać na godzinę przed wschodem, a kończyć w godzinę po zachodzie. Nie tak dawno co dziesiąty dzień prosty człowiek mógł odwiedzać groby matki i ojca, rozmawiać z ich cieniami i składać ofiary. Ale dziś nikt tam nie chodzi, bo nie ma czasu.

Dawniej chłop zjadał w ciągu dnia trzy placki pszenne, dziś nie stać go na jęczmienny. Dawniej roboty przy kanałach, groblach i gościńcach liczyły się między podatkami; dziś podatki trzeba płacić swoją drogą, a roboty publiczne wykonywać darmo.

Oto przyczyny buntów.

— Jestem najbiedniejszy szlachcic w państwie! — zawołał faraon, targając sobie włosy. — Lada właściciel folwarku daje swoim bydlętom przystojne jadło i odpoczynek; ale mój inwentarz jest wiecznie głodny i znużony!...

Więc co mam robić, powiedz, ty, który prosiłeś mnie, abym poprawił los chłopów?...

— Rozkazujesz, panie, abym powiedział?...

— Proszę... każę... jak wreszcie chcesz... tylko mów mądrze.

— Błogosławione niech będą twoje rządy, prawdziwy synu Ozyrysa! — odparł kapłan. — A oto co czynić należy...

Przede wszystkim rozkaż, panie, aby płacono za roboty publiczne, jak było dawniej...

— Rozumie się.

— Dalej — zapowiedz, ażeby praca rolna trwała tylko od wschodu do zachodu słońca... Potem spraw, jak było za dynastii boskich, ażeby lud wypoczywał co siódmy dzień; nie co dziesiąty, ale co siódmy. Potem nakaż, aby panowie nie mieli prawa zastawiać chłopów, a pisarze bić i dręczyć ich według swego upodobania.

A nareszcie daj — dziesiątą lub choćby dwudziestą część ziemi chłopom na własność, aby nikt jej odebrać ani zastawiać nie mógł. Niechaj rodzina chłopa ma choćby tyle ziemi, co podłoga tej komnaty, a już nie będzie głodna. Daj, panie, chłopom pustynne piaski na własność, a w kilka lat wyrosną tam ogrody...

— Pięknie mówisz — wtrącił faraon — ale mówisz to, co widzisz w swym sercu, nie na świecie. Ludzkie pomysły, choćby najlepsze, nie zawsze zgadzają się z naturalnym biegiem rzeczy...

— Wasza świątobliwość, ja już widywałem podobne zmiany i ich skutki — odrzekł Pentuer.

Przy niektórych świątyniach dokonywają się różne próby; nad leczeniem chorych, uczeniem dzieci, hodowlą bydła i roślin, wreszcie nad poprawą ludzi. A oto, co się zdarzało:

Gdy chłopu leniwemu i chudemu dawano dobre jadło i odpoczynek co siódmy dzień, człowiek ten robił się tłustym, chętnym do pracy i więcej skopywał pola niż dawniej. Robotnik płatny jest weselszy i więcej wykonywa[326] roboty aniżeli niewolnik, choćby go bić żelaznymi prętami. Ludziom sytym rodzi się więcej dzieci niż głodnym i spracowanym; potomstwo ludzi wolnych jest zdrowe i silne, a niewolników — wątłe, ponure i skłonne do kradzieży i kłamstwa.

Przekonano się wreszcie, że ziemia, którą uprawia jej właściciel, daje półtora raza więcej ziarn[327] i jarzyn niż ziemia obsługiwana przez niewolników.

Ciekawszą rzecz powiem waszej świątobliwości: gdy oraczom przygrywa muzyka, ludzie i woły robią lepiej, prędzej i mniej męczą się aniżeli bez muzyki.

Wszystko to sprawdzono w naszych świątyniach.

Faraon uśmiechał się.

---

[326] *wykonywa* — dziś popr. forma: wykonuje.

[327] *ziarn* — dziś raczej: ziaren.

— Muszę ja na moich folwarkach i w kopalniach zaprowadzić muzykę — rzekł. — Jeżeli jednak kapłani przekonali się o takich dziwach, jakie mi opowiadasz, to dlaczego w swoich majątkach nie postępują w ten sposób z chłopstwem?...

Pentuer opuścił głowę.

— Bo — odparł wzdychając — nie wszyscy kapłani są mędrcami i mają serca szlachetne...

— Otóż to!... — zawołał pan.

A teraz powiedz mi, ty, który jesteś synem chłopów i wiesz, że między kapłanami znajdują się hultaje i głupcy, powiedz: dlaczego nie chcesz mi służyć w walce przeciw nim?... Bo przecie rozumiesz, że ja nie poprawię losu chłopskiego, jeżeli pierwej nie nauczę kapłanów posłuszeństwa dla mojej woli...

Pentuer załamał ręce.

— Panie — odparł — bezbożna to i niebezpieczna sprawa walka z kapłaństwem!... Niejeden faraon rozpoczynał ją i... nie mógł dokończyć...

— Bo go nie popierali tacy, jak ty, mędrcy!... — wybuchnął pan. — I zaprawdę, nigdy nie zrozumiem: dlaczego mądrzy i zacni kapłani wiążą się z bandą łotrów, jakimi jest większość tej klasy?...

Pentuer trząsł głową i zaczął mówić powoli:

Kapłan, Mądrość

— Od trzydziestu tysięcy lat święty stan kapłański pielęgnuje Egipt i on zrobił kraj tym, czym jest dziś: dziwem dla całego świata. A dlaczego kapłanom, pomimo ich wad, udało się tak zrobić?... Gdyż oni są kagańcem, w którym płonie światło mądrości.

Kaganiec może być brudny, nawet śmierdzący, niemniej jednak przechowuje boski ogień, bez którego między ludźmi panowałaby ciemność i dzikość.

Mówisz, panie, o walce z kapłaństwem — ciągnął — Pentuer. — Co może z niej wyniknąć dla mnie?... Jeżeli ty przegrasz, będę nieszczęśliwy, bo nie poprawisz losu chłopom. A gdybyś wygrał?... O, bodajbym nie doczekał tego dnia!... Bo gdybyś rozbił kaganiec, kto wie, czy nie zgasiłbyś tego ognia mądrości, który od tysięcy lat płonie nad Egiptem i światem...

Oto, panie mój, powody, dla których nie chcę mieszać się do twej walki ze świętym stanem kapłańskim... Czuję, że ona się zbliża, i cierpię, że taki robak, jakim jestem, nie mogę jej zapobiec. Ale wdawać się w nią nie będę, bo musiałbym zdradzić albo ciebie, albo Boga, który jest twórcą mądrości...

Słuchając tego, faraon chodził po komnacie zamyślony.

— Ha — rzekł bez gniewu — czyń, jak chcesz. Nie jesteś żołnierzem, więc nie mogę wyrzucać ci braku odwagi... Nie możesz być jednak moim doradcą... Choć proszę cię, abyś utworzył sąd do rozpatrzenia chłopskich buntów i gdy cię wezwę, mówił, co nakazuje mądrość.

Pentuer ukląkł, żegnając pana.

— W każdym razie — dodał faraon — wiedz o tym, że ja nie chcę gasić boskiego światła... Niech kapłani pielęgnują mądrość w swoich świątyniach, ale — niech mi nie marnują wojska, nie zawierają haniebnych traktatów i... niech nie okradają — mówił już z uniesieniem — królewskich skarbców...

Czy może myślą, że ja jak żebrak będę wystawał pod ich bramami, aby raczyli mi dostarczyć funduszów do podźwignięcia państwa zrujnowanego przez ich głupie i nikczemne rządy?... Cha!... cha!... Pentuerze... ja bym bogów nie prosił o to, co stanowi moją moc i prawo.

Możesz odejść.

Kapłan, cofając się tyłem, wyszedł wśród ukłonów i jeszcze we drzwiach upadł twarzą na ziemię.

Pan został sam.

„Ludzie śmiertelni — myślał — są jak dzieci. Herhor jest przecie mądry, wie, że Egipt na wypadek wojny potrzebuje pół miliona żołnierzy, wie, że te wojska trzeba ćwiczyć, a mimo to — zmniejszył liczbę i komplet pułków...

Wielki skarbnik jest także mądry, lecz wydaje mu się rzeczą całkiem naturalną, że wszystkie skarby faraonów przeszły do Labiryntu!...

Wreszcie Pentuer... Co to za dziwny człowiek!... Chce obdarowywać chłopów jadłem, ziemią i nieustającymi świętami... Dobrze, ależ to wszystko zmniejszy moje dochody,

które i tak już są za małe. Lecz gdybym mu powiedział: pomóż mi odebrać kapłanom królewskie skarby, nazwałby to bezbożnością i gaszeniem światła w Egipcie!...

Osobliwy człowiek... Rad by całe państwo przewrócić do góry nogami, o ile chodzi o dobro chłopów, a nie śmiałby wziąć za kark arcykapłana i odprowadzić go do więzienia. Z największym spokojem każe mi wyrzec się może połowy dochodów, ale jestem pewny, że nie odważyłby się wynieść miedzianego utena z Labiryntu..."

Faraon uśmiechał się i znowu medytował:

„Każdy pragnie być szczęśliwym; ale gdy zechcesz zrobić, ażeby wszyscy byli szczęśliwi, każdy będzie cię chwytał za ręce, jak człowiek, któremu chory ząb wyjmują...

I dlatego władca musi być stanowczym... I dlatego boski mój ojciec niedobrze czynił, zaniedbując chłopstwo, a bez granic ufając kapłanom... Ciężkie zostawił mi dziedzictwo, ale... dam sobie radę...

U Sodowych Jezior także była trudna sprawa... Trudniejsza niż tu... Tutaj są tylko gadacze i strachopłochy, tam byli ludzie zbrojni i zdecydowani na śmierć...

Jedna bitwa szerzej otwiera nam oczy aniżeli dziesiątki lat spokojnych rządów... Kto sobie powie: złamię przeszkodę! złamie ją. Ale kto się zawaha, musi ustąpić..."

Mrok zapadł. W pałacu zmieniono warty i w dalszych salach zapalano pochodnie. Tylko do pokoju faraona nikt nie śmiał wejść bez rozkazu.

Pan, zmęczony bezsennością, wczorajszą podróżą i dzisiejszymi zajęciami, upadł na fotel. Zdawało mu się, że już setki lat jest faraonem, i nie mógł wierzyć, że od tej godziny, kiedy był pod piramidami, nie upłynęła jeszcze doba.

„Doba?... Niepodobna!..."

Potem przyszło mu na myśl, że może być, iż w sercu następcy osiedlają się dusze poprzednich faraonów. Chyba tak jest, bo inaczej — skądże by wzięło się w nim jakieś uczucie starości czy dawności?... I dlaczego rządzenie państwem dziś wydaje mu się rzeczą prostą, choć jeszcze parę miesięcy temu truchlał myśląc, że nie potrafi rządzić.

„Jeden dzień?... — powtarzał w duchu. — Ależ ja tysiące lat jestem w tym miejscu!..."

Nagle usłyszał przytłumiony głos:

— Synu mój!... synu...

Faraon zerwał się z fotelu.

— Kto tu jest?... — zawołał.

— Ja jestem, ja... Czyliżbyś już o mnie zapomniał?...

Władca nie mógł zorientować się: skąd głos pochodzi? Z góry, z dołu czy może z dużego posągu Ozyrysa, który stał w kącie.

— Synu mój — mówił znowu głos — szanuj wolę bogów, jeżeli chcesz otrzymać ich błogosławioną pomoc... O, szanuj bogów, gdyż bez ich pomocy największa potęga ziemska jest jako proch i cień... O, szanuj bogów, jeżeli chcesz, ażeby gorycz twoich błędów nie zatruła mi pobytu w szczęśliwej krainie Zachodu...

Głos umilkł, pan kazał przynieść światło. Jedne drzwi komnaty były zamknięte, przy drugich stała warta. Nikt obcy nie mógł tu wejść.

Gniew i niepokój szarpały serce faraona. Co to było?... Czy naprawdę przemawiał do niego cień ojca, czy też ów głos był tylko nowym oszustwem kapłanów?

Lecz jeżeli kapłani mogą przemawiać do niego z odległości bez względu na grube mury, w takim razie mogą i podsłuchiwać. A wówczas on, pan świata, jest jak dzikie zwierzę obsaczony ze wszystkich stron.

Prawda, w pałacu królewskim podsłuchiwanie było rzeczą zwyczajną. Faraon jednak sądził, że przynajmniej ten gabinet jest wolny i że zuchwalstwo kapłanów zatrzymuje się u progu najwyższego władcy.

A jeżeli to był duch?...

Pan nie chciał jeść kolacji, lecz udał się na spoczynek. Zdawało mu się, że nie zaśnie; lecz zmęczenie wzięło górę nad rozdrażnieniem.

W kilka godzin obudziły go dzwonki i światło. Była już północ i kapłan-astrolog przyszedł złożyć panu raport o stanowisku ciał niebieskich. Faraon wysłuchał sprawozdania, a w końcu rzekł:

— Czy nie mógłbyś, czcigodny proroku, od tej pory składać swoich raportów dostojnemu Semowi?... On jest przecie moim zastępcą w rzeczach dotyczących religii...

Kapłan-astrolog bardzo zdziwił się obojętności pana dla rzeczy niebieskich.

— Wasza świątobliwość — spytał — raczy zrzekać się wskazówek, jakie władcom dają gwiazdy?...

— Dają? — powtórzył faraon. — Zatem powiedz, jakie są ich obietnice dla mnie?

Astrolog widocznie spodziewał się tej kwestii, odparł bowiem bez namysłu:

— Horyzont chwilowo jest zaćmiony... Pan świata nie trafił jeszcze na drogę prawdy, która prowadzi do poznania woli bogów. Ale prędzej czy później znajdzie ją, a na niej długie życie i szczęśliwe, pełne chwały panowanie...

— Aha!... Dziękuję ci, mężu święty. Skoro już wiem: czego powinienem szukać, zastosuję się do wskazówek, a ciebie znowu proszę, abyś odtąd komunikował się z dostojnym Semem. On jest moim zastępcą i jeżeli coś ciekawego wyczytasz kiedy w gwiazdach, opowie mi o tym z rana.

Kapłan opuścił sypialnię, potrząsając głową.

— Wybili mnie ze snu!... — rzekł pan z wyrazem niezadowolenia.

— Najczcigodniejsza królowa Nikotris — odezwał się nagle adiutant — godzinę temu rozkazała mi prosić waszą świątobliwość o posłuchanie...

— Teraz?... o północy?... — spytał pan.

— Właśnie mówiła, że o północy wasza świątobliwość obudzi się...

Faraon pomyślał i odpowiedział adiutantowi, że będzie czekać na królowę[328] w sali złotej. Sądził, że tam nikt nie podsłucha ich rozmowy.

Pan narzucił na siebie płaszcz, włożył niewiązane sandały i rozkazał dobrze oświetlić złotą salę. Potem wyszedł, zalecając służbie, aby mu nie towarzyszyła.

Matkę już zastał w sali, w szatach z grubego płótna na znak żałoby. Zobaczywszy faraona, czcigodna pani chciała znowu upaść na kolana, ale syn podniósł ją i uściskał.

— Czy zdarzyło się coś ważnego, matko, że trudzisz się o tej godzinie? — spytał.

— Nie spałam... modliłam się... — odparła. — O synu mój, mądrze odgadłeś, że sprawa jest ważną!... Słyszałam boski głos twego ojca...

— Doprawdy? — rzekł faraon czując, że gniew go napełnia.

— Nieśmiertelny twój ojciec — ciągnęła królowa — mówił mi pełen smutku, że wchodzisz na błędną drogę... Wyrzekasz się z pogardą arcykapłańskich święceń i źle traktujesz sługi boże.

„Któż zostanie przy Ramzesie — mówił twój boski ojciec — jeżeli zniechęci bogów i opuści go stan kapłański?... Powiedz mu... powiedz mu — powtarzał czcigodny cień — że tym sposobem zgubi Egipt, siebie i dynastię..."

— Oho! — zawołał faraon — więc już tak mi grożą, zaraz w pierwszym dniu panowania?... Moja matko, pies najgłośniej szczeka, kiedy się boi, więc i pogróżki są złą wróżbą, ale tylko dla kapłanów!

— Ależ to twój ojciec mówił... — powtórzyła stroskana pani.

— Nieśmiertelny ojciec mój — odparł faraon — i święty dziad Amenhotep, jako czyste duchy, znają moje serce i widzą opłakany stan Egiptu. A ponieważ serce moje chce podźwignąć państwo przez ukrócenie nadużyć, oni więc nie mogliby przeszkadzać mi do spełnienia zamiarów...

— Więc ty nie wierzysz, że duch ojca daje ci rady? — spytała coraz bardziej przerażona.

— Nie wiem. Ale mam prawo przypuszczać, że te głosy duchów, rozlegające się w różnych kątach naszego pałacu, są jakimś figlem kapłańskim. Tylko kapłani mogą lękać się mnie, nigdy bogowie i duchy... Więc nie duchy straszą nas, matko...

Królowa zadumała się i było widać, że słowa syna robią na niej wrażenie. Widziała ona wiele cudów w swym życiu i niektóre jej samej wydawały się podejrzanymi.

— W takim razie — rzekła z westchnieniem — nie jesteś ostrożny, mój synu!... Po południu był u mnie Herhor, bardzo niezadowolony z posłuchania u ciebie... Mówił, że chcesz usunąć kapłanów ze dworu...

— A oni mi na co?... Czy ażeby moja kuchnia i piwnica miały duże rozchody?... Czy może na to, ażeby słuchali, co mówię, i patrzyli, co robię?...

— Cały kraj wzburzy się, gdy kapłani ogłoszą, że jesteś bezbożnikiem... — wtrąciła pani.

---

[328] *królowę* — dziś popr. forma B. lp: królową.

— Kraj już się burzy, ale z winy kapłanów — odparł faraon. — A i o pobożności egipskiego ludu zaczynam mieć inne wyobrażenie... Gdybyś, matko, wiedziała, ile w Dolnym Egipcie jest procesów o znieważanie bogów, a w Górnym — o okradanie zmarłych, przekonałabyś się, że dla naszego ludu sprawy kapłańskie już przestały być świętymi.

— To wpływ cudzoziemców, którzy zalewają Egipt — zawołała pani. — Zwłaszcza Fenicjanie...

— Wszystko jedno, czyj wpływ; dość, że Egipt już nie uważa ani posągów, ani kapłanów za istoty nadludzkie... A gdybyś jeszcze, matko, posłuchała szlachty, oficerów, żołnierzy, zrozumiałabyś, że nadszedł czas postawienia władzy królewskiej na miejscu kapłańskiej, jeżeli wszelka władza nie ma upaść w tym kraju.

— Egipt jest twój — westchnęła królowa. — Mądrość twoja jest nadzwyczajna, więc czyń, jak chcesz... Ale postępuj ostrożnie... O, ostrożnie!... Skorpion, nawet zabity, jeszcze może ranić nieostrożnego zwycięzcę...

Uściskali się i pan wrócił do swej sypialni. Ale tym razem naprawdę nie mógł zasnąć.

Walka

Już jasno widział, że między nim i kapłanami rozpoczęła się walka, a raczej coś wstrętnego, co nawet nie zasługiwało na nazwę walki i z czym on, wódz, w pierwszej chwili nie umiał sobie poradzić.

Bo gdzie tu jest nieprzyjaciel?... Przeciw komu ma wystąpić jego wierne wojsko?... Czy przeciw kapłanom, którzy upadają przed nim na ziemię? Czy przeciw gwiazdom, które mówią, że faraon nie wszedł jeszcze na drogę prawdy? Co i kogo tu zwalczać?...

Może owe głosy duchów rozlegające się wśród pomroki? Czy własną matkę, która, przerażona, błaga go, ażeby nie rozpędzał kapłanów?...

Faraon wił się na swym łożu w poczuciu bezsilności. Nagle przyszła mu myśl: „Co mnie obchodzi nieprzyjaciel, który rozłazi się jak błoto w garści?... Niech sobie gadają w pustych salach, niech gniewają się na moją bezbożność...

Ja będę wydawał rozkazy, a kto ośmieli się nie spełnić ich, ten jest moim wrogiem i przeciw temu zwrócę policję, sąd i wojsko..."

ROZDZIAŁ IV

Tak tedy w miesiącu Hator, po trzydziestu czterech latach panowania, umarł faraon Mer-amen-Ramzes XII, władca dwu światów, pan wieczności, rozdawca życia i wszelakiej uciechy.

Umarł, ponieważ czuł, że ciało jego staje się mdłe i nieużyteczne. Umarł, ponieważ tęsknił do wiekuistej ojczyzny, a rządy ziemskiego państwa pragnął powierzyć młodszym rękom. Umarł wreszcie, bo tak chciał, bo taką była jego wola. Boski duch odleciał niby jastrząb, który długo krążąc nad ziemią, w końcu rozpływa się w błękitnych przestworach.

Jak jego życie było pobytem nieśmiertelnej istoty w krainie znikomości, tak i śmierć była tylko jednym z momentów nadludzkiego istnienia.

Pan zbudził się o wschodzie słońca i wsparty na dwu prorokach, otoczony chórem kapłanów, udał się do kaplicy Ozyrysa. Tam, jak zwykle, wskrzesił bóstwo, umył je i ubrał, złożył ofiarę i podniósł ręce do modlitwy.

Przez ten czas kapłani śpiewali:

Chór I. „Cześć tobie, który wznosisz się na horyzoncie i przebiegasz niebo...

Chór II. Gościńcem twej świętości jest pomyślność tych, na których oblicza padają twe promienie...

Chór I. Mógłżebym iść, jako ty idziesz, bez zatrzymywania się, o słońce!...

Chór II. Wielki wędrowcze przestrzeni, który nie masz pana i dla którego setki milionów lat są tylko oka mgnieniem...

Chór I. Ty zachodzisz, ale trwasz. Mnożysz godziny, dnie i noce i trwasz sam, według praw twoich własnych...

Chór II. Oświetlasz ziemię, ofiarowując własnymi rękoma samego siebie, kiedy pod postacią Ra wschodzisz na widnokręgu.

Chór I. O gwiazdo, wynurzająca się, wielka przez swoją światłość, ty sama kształtujesz swoje członki...

Chór II. I nie urodzony przez nikogo rodzisz sam siebie na horyzoncie."

Śmierć

A w tym miejscu odezwał się faraon:

— „O promieniejący na niebie! Pozwól, ażebym wstąpił do wieczności, połączył się z czcigodnymi i doskonałymi cieniami wyższej krainy. Niechaj wraz z nimi oglądam twoje blaski z rana i wieczorem, kiedy łączysz się z twoją matką Nut[329]. A gdy zwrócisz ku zachodowi twe oblicze, niech moje ręce składają się do modlitwy na cześć usypiającego za górami życia[330]."

Tak z podniesionymi rękoma mówił pan otoczony chmurą kadzideł. Nagle umilkł i rzucił się w tył, w ramiona asystujących kapłanów.

Już nie żył.

Wieść o śmierci faraona jak błyskawica obiegła pałac. Słudzy opuścili swoje zajęcia, dozorcy przestali czuwać nad niewolnikami, zaalarmowano gwardię i obsadzono wszystkie wejścia.

Na głównym dziedzińcu począł zbierać się tłum: kucharzy, piwniczych, masztalerzy, kobiet jego świątobliwości i ich dzieci. Jedni zapytywali: czy to prawda? inni dziwili się, że jeszcze słońce świeci na niebie, a wszyscy razem krzyczeli wniebogłosy:

— „O panie!... o nasz ojcze!... o ukochany!... Czy to może być, ażebyś już odchodził od nas?... O tak, już idzie do Abydos[331]!... Na Zachód, na Zachód, do ziemi sprawiedliwych!... Miejsce, które ukochałeś, jęczy i płacze po tobie!...[332]"

Straszny wrzask rozlegał się po wszystkich dziedzińcach, po całym parku. Odbijał się od gór wschodnich, na skrzydłach wiatru przeleciał Nil i zatrwożył miasto Memfis.

Tymczasem kapłani, wśród modłów, usadowili ciało zmarłego w bogatej, zamkniętej lektyce. Ośmiu stanęło przy drągach, czterej wzięli do rąk wachlarze ze strusich piór, inni kadzidła i gotowali się do wyjścia.

Na tę chwilę przybiegła królowa Nikotris, a zobaczywszy zwłoki już w lektyce, rzuciła się do nóg zmarłego.

— „O mężu mój! o bracie mój! o ukochany mój! — wołała, zanosząc się od płaczu. — O ukochany, zostań z nami, zostań w twoim domu, nie oddalaj się od tego miejsca na ziemi, w którym przebywasz..."

— „W pokoju, w pokoju, na Zachód — śpiewali kapłani — o wielki władco, idź w pokoju na Zachód..."

— „Niestety! — mówiła królowa — śpieszysz do przewozu, aby przeprawić się na drugi brzeg! O kapłani, o prorocy, nie śpieszcie się, zostawcie go; bo przecież wy wrócicie do domów, ale on pójdzie do kraju wieczności..."

— „W pokoju, w pokoju, na Zachód!... — śpiewał chór kapłański. — Jeżeli podoba się Bogu, kiedy dzień wieczności nadejdzie, ujrzymy cię znowu, o władco, bo oto idziesz do kraju, który łączy między sobą wszystkich ludzi[333]."

Na znak dany przez dostojnego Herhora służebnice oderwały panią od nóg faraona i gwałtem odprowadziły do jej komnat.

Lektyka niesiona przez kapłanów ruszyła, a w niej władca ubrany i otoczony jak za życia. Na prawo i na lewo, przed nim i za nim szli: jenerałowie, skarbnicy, sędziowie, wielcy pisarze, nosiciel topora i łuku, a nade wszystko — tłum kapłanów różnego stopnia.

Na podwórzu służba upadła na twarz jęcząc i płacząc, ale wojsko sprezentowało broń i odezwały się trąby, jakby na powitanie żyjącego króla.

I istotnie, pan jak żywy niesiony był do przewozu. A gdy dosięgnięto Nilu, kapłani ustawili lektykę na złocistym statku, pod purpurowym baldachimem, jak za życia.

Tu lektykę zasypano kwiatami, naprzeciw niej ustawiono posąg Anubisa[334] i — statek królewski ruszył ku drugiemu brzegowi Nilu, żegnany płaczem służby i dworskich kobiet.

---

[329] *Nut* — egipska bogini nieba, córka boga powietrza Szu i bogini wilgoci Tefnut. Siostra i żona boga ziemi Geba. Uważana również za matkę-opiekunkę zmarłych. Matka Izydy, Nefrydy, Ozyrysa i Seta. Przedstawiana jako kobieta wygięta w łuk ponad ziemią, wspierająca się o nią dłońmi i stopami.

[330] *O promieniejący na niebie! […] usypiającego za górami życia* — hymn autentyczny. [przypis autorski]

[331] *Abydos* — egipskie Abdżu, miasto na zachodnim brzegu Nilu, 50 km na południe od dzisiejszego Sohag. Stolica 8. nomu Górnego Egiptu, z wielką nekropolią, zawierająca groby królewskie z czasów I i II dynastii. W egipskiej religii miejsce, w którym Izyda pochowała szczątki Ozyrysa, centrum misteriów ozyryjskich. W sformułowaniach religijnych wyrażenie „odejść do Abydos" było znaczyło „odejść do Krainy Zmarłych".

[332] *O panie […] Miejsce, które ukochałeś, jęczy i płacze po tobie!* — autentyczne. [przypis autorski]

[333] *O mężu mój! […] który łączy między sobą wszystkich ludzi* — autentyczne. [przypis autorski]

[334] *Anubis* — egipski bóg mumifikacji, przewodnik i obrońca zmarłych w ich wędrówce przez świat pozagrobowy. Decydował o losie dusz, na sądzie pośmiertnym ważył serce zmarłego, jego uczynki. Przedstawiany jako spoczywający czarny szakal lub człowiek z głową szakala.

O dwie godziny od pałacu, za Nilem, za kanałem, za urodzajnymi polami i gajami palm między Memfisem a „Płaskowzgórzem Mumii" leżała oryginalna dzielnica. Wszystkie jej budowle były poświęcone zmarłym, a zamieszkane tylko przez kolchitów[335] i paraszytów, którzy balsamowali zwłoki.

Dzielnica ta była niby przedsionkiem właściwego cmentarza, mostem, który łączył żyjące społeczeństwo z miejscem wiecznego spoczynku. Tu przywożono nieboszczyków i robiono z nich mumie; tu rodziny układały się z kapłanami o cenę pogrzebu. Tu przygotowywano święte księgi i opaski, trumny, sprzęty, naczynia i posągi dla zmarłych.

Dzielnicę tą, oddaloną od Memfisu na parę tysięcy kroków, otaczał długi mur, tu i ówdzie opatrzony bramami. Orszak niosący zwłoki faraona zatrzymał się przed bramą najwspanialszą, a jeden z kapłanów zapukał.

— Kto tam? — spytano ze środka.

— Ozyrys-Mer-amen-Ramzes, pan dwu światów, przychodzi do was i żąda, abyście przygotowali go do wiekuistej podróży — odparł kapłan.

— Czy podobna, ażeby zagasło słońce Egiptu?... Ażeby umarł ten, który sam był oddechem i życiem?...

— Taką była jego wola — odpowiedział kapłan. — Przyjmijcież tedy pana z należytą czcią i wszystkie usługi oddajcie mu, jak się godzi, ażeby nie spotkały was kary w doczesnym i przyszłym życiu.

— Uczynimy, jak mówicie — rzekł głos ze środka.

Teraz kapłani zostawili lektykę pod bramą i śpiesznie odeszli, ażeby nie padło na nich nieczyste tchnienie zwłok nagromadzonych w tym miejscu. Zostali tylko urzędnicy cywilni pod przewodnictwem najwyższego sędziego i skarbnika.

Po niemałej chwili czekania brama otworzyła się i wyszło z niej kilkunastu ludzi. Mieli kapłańskie szaty i zasłonięte oblicza.

Na ich widok sędzia odezwał się:

— Oddajemy wam ciało pana naszego i waszego. Czyńcie z nim to, co nakazują przepisy religijne, i niczego nie zaniedbajcie, ażeby ten wielki zmarły nie doznał z winy waszej niepokoju na tamtym świecie.

Skarbnik zaś dodał:

— Użyjcie złota, srebra, malachitu, jaspisu, szmaragdów, turkusów i najosobliwszych wonności dla tego oto pana, aby mu nic nie brakło i aby wszystko miał w jak najlepszym gatunku. To mówię wam ja, skarbnik. A gdyby znalazł się niegodziwiec, który zamiast szlachetnych metalów[336] chciałby podstawić nędzne falsyfikaty, a zamiast drogich kamieni — szkło fenickie, niech pamięta, że będzie miał odrąbane ręce i wyjęte oczy.

— Stanie się, jak żądacie — odpowiedział jeden z zasłoniętych kapłanów.

Po czym inni podnieśli lektykę i weszli z nią w głąb dzielnicy zmarłych śpiewając:

— „Idziesz w pokoju do Abydos!... Obyś doszedł w pokoju do Zachodu tebańskiego!... Na Zachód, na Zachód, do ziemi sprawiedliwych!"

Brama zamknęła się, a najwyższy sędzia, skarbnik i towarzyszący im urzędnicy zawrócili się do przewozu i pałacu.

Przez ten czas zakapturzeni kapłani odnieśli lektykę do ogromnego budynku, gdzie balsamowano tylko królewskie zwłoki oraz tych najwyższych dostojników, którzy pozyskali wyjątkową łaskę faraona. Zatrzymali się w przysionku, gdzie stała złota łódź na kółkach, i zaczęli wydobywać nieboszczyka z lektyki.

— Patrzcie! — zawołał jeden z zakapturzonych — nie sąż to złodzieje?... Faraon przecie umarł pod kaplicą Ozyrysa, więc musiał być w paradnym stroju... A tu — o!... Zamiast złotych bransolet — mosiężne, łańcuch także mosiężny, a w pierścieniach fałszywe klejnoty...

— Prawda — odparł inny. — Ciekawym, kto go tak oporządził: kapłani czy pisarze?

— Z pewnością kapłani... O bodaj wam poschły ręce, gałgany!... I taki łotr jeden z drugim śmie nas upominać, ażebyśmy dawali nieboszczykowi wszystko w najlepszym gatunku...

— To nie oni żądali, tylko skarbnik...

---

[335] *kolchici* — właśc. choachyci (od gr. *choachytes*), grupa kapłanów odpowiedzialnych za sprawowanie kultu grobowego, regularne składanie ofiar zmarłemu.

[336] *metalów* — dziś popr. forma: metali.

— Wszyscy są złodzieje...

Tak rozmawiając, balsamiści zdjęli z nieboszczyka odzież królewską, włożyli na niego tkany złotem szlafrok i przenieśli zwłoki do łodzi.

— Bogom niech będą dzięki — mówił któryś z zasłoniętych — że już mamy nowego pana. Ten z kapłaństwem zrobi porządek... Co wzięli rękoma, zwrócą gębą...

— Uuu!... mówią, że to będzie ostry władca — wtrącił inny. — Przyjaźni się z Fenicjanami, chętnie przestaje z Pentuerem, który przecie nie jest rodowity kapłan, tylko z takich biedaków jak my... A wojsko, powiadają, że dałoby się spalić i wytopić za nowego faraona...

— I jeszcze w tych dniach sławnie pobił Libijczyków...

— Gdzież on jest, ten nowy faraon?... — odezwał się inny. — W pustyni!... Otóż lękam się, ażeby zanim wróci do Memfis, nie spotkało go nieszczęście...

— Co mu kto zrobi, kiedy ma wojsko za sobą! Niech nie doczekam uczciwego pogrzebu, jeżeli młody pan nie zrobi z kapłaństwem tak jak bawół z pszenicą...

— Oj ty głupi! — wtrącił milczący dotychczas balsamista. — Faraon podoła kapłanom!...

— Czemuż by nie?...

— A czy widziałeś kiedy, ażeby lew poszarpał piramidę?...

— Także gadanie!...

— Albo bawół roztrącił ją?

— Rozumie się, że nie roztrąci.

— A wicher obali piramidę?

— Co on dzisiaj wziął na wypytywanie?...

— No, więc ja ci mówię, że prędziej lew, bawół czy wicher przewróci piramidę, aniżeli faraon pokona stan kapłański... Choćby ten faraon był lwem, bawołem i wichrem w jednej osobie...

— Hej tam, wy! — zawołano z góry. — Gotów nieboszczyk?...

— Już... już... tylko mu szczęka opada — odpowiedziano z przysionka.

— Wszystko jedno... Dawać go tu prędzej, bo Izyda za godzinę musi iść do miasta...

Po chwili złota łódź, wraz z nieboszczykiem, za pomocą sznurów została podniesiona w górę, na balkon wewnętrzny.

Z przysionka wchodziło się do wielkiej sali pomalowanej na kolor niebieski i ozdobionej żółtymi gwiazdami. Przez całą długość sali do jednej ze ścian był przyczepiony niby ganek w formie łuku, którego końce wznosiły się na piętro, środek na półtora piętra wysoko.

Sala wyobrażała sklepienie niebieskie, ganek drogę słońca na niebie, zmarły zaś faraon miał być Ozyrysem, czyli słońcem, które posuwa się od wschodu ku zachodowi.

Na dole sali stał tłum kapłanów i kapłanek, którzy oczekując na uroczystość, rozmawiali o rzeczach obojętnych.

— Gotowe!... — zawołano z balkonu.

Rozmowy umilkły. W górze rozległ się trzykrotny dźwięk spiżowej blachy i — na balkonie ukazała się złocista łódź słońca, w której jechał nieboszczyk.

Na dole zabrzmiał hymn na cześć słońca:

„Oto ukazuje się w obłoku, aby oddzielić niebo od ziemi, a później je połączyć...

Nieustannie ukryty w każdej rzeczy, on jeden żyjący, w którym wiekuiście istnieją wszystkie rzeczy..."

Łódź stopniowo posuwała się w górę łuku, wreszcie stanęła na najwyższym szczycie.

Wówczas na dolnym krańcu łuku ukazała się kapłanka przebrana za boginią Izydę, z synem Horusem[337], i również wolno zaczęła wchodzić pod górę. Był to obraz księżyca, który posuwa się za słońcem.

Teraz łódź ze szczytu łuku zaczęła opuszczać się ku zachodowi, a na dole znowu odezwał się chór:

[337] *Horus* — egipski bóg nieba, czczony pod postacią sokoła, jeden z najstarszych i najważniejszych bogów Egiptu. Syn Ozyrysa i Izydy, który po śmierci ojca jako następca tronu walczył z Setem o władzę nad światem żywych. Jako bóstwo królewskie był opiekunem faraonów i państwa egipskiego. Według innych wierzeń, syn boga słońca Re, czczony wspólnie z nim jako bóstwo solarne.

„Bóg wcielony we wszystkie rzeczy, duch Szu[338] we wszystkich bogach. On jest ciałem żyjącego człowieka, twórcą drzewa, które nosi owoce, on jest sprawcą użyźniających wylewów. Bez niego nic nie żyje w ziemskim kręgu[339]."

Łódź znikła na zachodnim końcu balkonu, Izyda z Horusem stanęli na szczycie łuku. Wówczas do łodzi przybiegła gromada kapłanów, wydobyli zwłoki faraona i położyli je na marmurowym stole, niby Ozyrysa na spoczynek po dziennym trudzie.

Pogrzeb

Teraz do nieboszczyka zbliżył się paraszyta przebrany za bożka Tyfona. Na głowie miał okropną maskę, rudą kudłatą perukę, na plecach skórę dzika, a w ręku — kamienny nóż etiopski.

Nożem tym zaczął prędko odrzynać podeszwy nieboszczykowi.

— Co robisz śpiącemu, bracie Tyfonie? — zapytała go z balkonu Izyda.

— Oskrobuję nogi memu bratu Ozyrysowi, aby ziemskim pyłem nie zanieczyścił nieba — odpowiedział paraszyta przebrany za Tyfona.

Oderznąwszy podeszwy paraszyta porwał zgięty drut, zanurzył go w nosie zmarłego i zaczął wydobywać mózg. Następnie rozciął mu brzuch i tym otworem szybko wyciągnął wnętrzności, serce i płuca.

Przez ten czas pomocnicy Tyfona przynieśli cztery wielkie urny ozdobione głowami bogów: Hape, Emset, Duamutf i Quebhsneuf[340], i w każdy z tych dzbanów złożyli jakiś wewnętrzny organ zmarłego.

— A co tam robisz, bracie Tyfonie? — zapytała po raz drugi Izyda.

— Oczyszczam brata mego, Ozyrysa, z rzeczy ziemskich, ażeby stał się piękniejszym — odpowiedział paraszyta.

Obok marmurowego stołu znajdowała się sadzawka wody nasyconej sodą. Paraszyci, oczyściwszy zwłoki, rzucili je następnie w sadzawkę, gdzie miały moknąć przez siedemdziesiąt dni.

Tymczasem Izyda, przeszedłszy cały balkon, zbliżyła się do komnaty, w której paraszyta otworzył i oczyścił królewskie zwłoki. Spojrzała na marmurowy stół, a widząc, że był pusty, zapytała przestraszona:

— Gdzie mój brat?... gdzie mój boski małżonek?...

Wtem ryknął grzmot, odezwały się trąby i spiżowe blachy, a paraszyta przebrany za Tyfona wybuchnął śmiechem i zawołał:

— Piękna Izydo, która pospołu z gwiazdami rozweselasz noce, nie ma już twego małżonka!... Już nigdy promieniejący Ozyrys nie usiądzie na złocistej łodzi, już nigdy słońce nie ukaże się na firmamencie... Ja to uczyniłem, ja, Set, i ukryłem go tak głęboko, że go żaden z bogów ani wszyscy razem nie odnajdą!...

Na te słowa bogini rozdarła szaty, zaczęła jęczeć i rwać sobie włosy. Znowu odezwały się trąby, grzmoty i dzwony, wśród kapłanów i kapłanek wszczął się szmer, potem krzyk, klątwy i — nagle wszyscy rzucili się na Tyfona, wołając:

— Przeklęty duchu ciemności!... Który podniecasz wichry pustynne, burzysz morze, zaćmiewasz światło dzienne!... Obyś zapadł w otchłań, z której sam ojciec bogów nie potrafiłby cię uwolnić... Przeklęty!... przeklęty Set!... Niech imię twoje będzie postrachem i obrzydliwością!...

Tak przeklinając, wszyscy rzucili się na Tyfona z pięściami i kijami, a rudowłosy bożek począł uciekać i w końcu wybiegł z sali.

Trzy nowe dźwięki spiżowej blachy i — uroczystość skończyła się.

— No dosyć! — zawołał najstarszy kapłan do gromady, która już naprawdę zaczęła się bić między sobą. — Ty, Izydo, możesz iść do miasta, a reszta do innych nieboszczyków,

[338] *duch Szu* — egipski bóg powietrza powstały z tchnienia Amuna; jego imię znaczy dosł.: *pustka*. Wspierający niebo ojciec boga ziemi Geba i bogini nieba Nut. Dawca ożywczego tchnienia i orzeźwiającego wiatru.

[339] *Bóg wcielony […] Bez niego nic nie żyje w ziemskim kręgu* — hymn autentyczny. [przypis autorski]

[340] *Hape, Emset, Duamutf i Quebhsneuf*, właśc.: *Hapi, Imset, Duamutef, Kebehsenuf* — w mit. egipskiej czterej synowie Horusa sprawujący pieczę nad organami ciała zmarłego. Przed mumifikacją ciała wyjmowano z niego wnętrzności, które balsamowano i składano w urnach, każdy organ w osobnej (tzw. urny kanopskie). Imset opiekował się wątrobą, Hapi płucami, Duamutef żołądkiem, zaś Kebehsenuf jelitami. Każdy z tych bogów opiekuńczych był z kolei chroniony przez jedną z bogiń: Izydę, Neftydę, Neit i Selkit. Od czasów Nowego Państwa często pokrywy każdej z urn zdobiono głową odpowiedniego boga: głowa ludzka symbolizowała Imseta, głowa pawiana Hapiego, głowa szakala Duamutefa, głowa sokoła Kebehsenufa.

którzy czekają na nas... Nie zaniedbujcie zwyczajnych zmarłych, bo nie wiadomo, jak nam za tego zapłacą...

— Z pewnością niewiele! — wtrącił balsamista. — Mówią, że w skarbie nie ma nic, a Fenicjanie grożą, że przestaną pożyczać, jeżeli nie otrzymają nowych praw.

— Bodaj śmierć wytępiła tych waszych Fenicjan!... Niedługo człowiek będzie musiał żebrać u nich o placek jęczmienny, tak już wszystko zagarnęli...

— Ale jeżeli oni nie dadzą faraonowi pieniędzy, za pogrzeb nic nie dostaniemy...

Stopniowo rozmowy ucichły i obecni opuścili niebieską salę. Tylko przy jeziorku, gdzie mokły zwłoki faraona, została warta.

Cała ta uroczystość odtwarzająca legendę o zabiciu Ozyrysa (słońce) przez Tyfona (bożek nocy i występku) służyła do tego, ażeby rozciąć i oczyścić zwłoki faraona, i tym sposobem przygotować je do właściwego balsamowania.

Przez siedemdziesiąt dni leżał nieboszczyk w wodzie nasyconej sodą, zdaje się, na pamiątkę, że zły Tyfon utopił ciało brata w Sodowych Jeziorach. Przez wszystkie te dni, rano i wieczór, kapłanka przebrana za Izydę przychodziła do niebieskiej sali. Tam jęcząc i rwąc sobie włosy, wypytywała obecnych: czy kto nie widział boskiego jej małżonka i brata?

Po upływie tego czasu żałoby zjawił się w sali Horus, syn i następca Ozyrysa, ze swoją świtą i — oni dopiero spostrzegli wannę z wodą.

— Może by tu poszukać zwłok mego ojca i brata? — spytał Horus.

Jakoż poszukali, znaleźli i wśród ogromnej radości kapłanów, przy dźwiękach muzyki wydobyli ciało faraona z umacniającej kąpieli.

Ciało to włożono do kamiennej rury, przez którą kilka dni przepływało gorące powietrze, i po wysuszeniu oddano balsamistom.

Teraz zaczęły się ceremonie najważniejsze, które nad nieboszczykiem dokonywali najwyżsi kapłani dzielnicy zmarłych.

Ciało nieboszczyka zwrócone głową do południa obmywano poświęconą wodą, a jego wnętrze winem palmowym. Na posadzce osypanej popiołem zasiadały płaczki i szarpiąc sobie włosy, drapiąc twarze opłakiwały zmarłego. Dokoła śmiertelnego łoża zgromadzili się kapłani przebrani za bożków. Więc naga Izis w koronie faraonów, młodzieńczy Horus, Anubis z głową szakala, Tot[341] z głową ptasią a tabliczkami w rękach i wielu innych.

Pod dozorem tego czcigodnego grona specjaliści zaczęli napełniać wnętrze zmarłego silnie pachnącymi ziołami, trocinami i nawet wlewać tam wonne żywice, wszystko wśród modłów. Potem, zamiast jego własnych, włożyli mu oczy szklanne[342], oprawione w brąz.

Następnie całe ciało obsypano proszkiem sody.

Teraz przystąpił inny kapłan i wyłożył obecnym, że ciało zmarłego jest ciałem Ozyrysa i jego własności są własnościami Ozyrysa. „Czarodziejskie własności jego lewej skroni są własnościami skroni boga Tumu[343], a jego prawe oko jest okiem boga Tumu, którego promienie przebijają ciemność. Jego lewe oko jest okiem Horusa, które tępi wszystkie stworzenia żyjące, warga górna to Izis[344], a warga dolna Nefthys[345]. Szyja zmarłego jest boginią, ręce są boskimi duszami, palce niebieskimi wężami, synami bogini Selkit[346]. Boki

[341] *Tot*, właśc. *Thot* — egipski bóg księżyca, panujący nad czasem. Wynalazca pisma i kalendarza, według mitów stworzył też astronomię, astrologię, matematykę, geometrię, medycynę oraz rytuały religijne i magiczne. Bóg wiedzy i mądrości. Opiekun skrybów i lekarzy. Przedstawiany jako człowiek z głową ibisa, jako ibis lub pawian.

[342] *szklanny* — dziś popr.: szklany.

[343] *Tumu* a. *Atum* — bóg stwórca, bóstwo solarne powiązane z Re.

[344] *Izis* a. *Izyda* — w mit. egipskiej siostra Neftydy, Ozyrysa i Seta. Żona Ozyrysa, matka Horusa. Patronka macierzyństwa, rodziny, sztuki i magii. Na trumnach często przedstawiana w parze z siostrą, Neftydą, jako uskrzydlone postacie broniące zmarłego.

[345] *Nefthys* (gr.) — dziś popr.: Neftyda, siostra Izydy, Ozyrysa i Seta. Według tradycji żona Seta. Pomogła siostrze w poszukiwaniach części ciała Ozyrysa. Po jego powtórnej śmierci i objęciu przez niego władzy nad światem pozagrobowym stała się boginią Zaświatów, opiekunką zmarłych. W rytuałach pogrzebowych występuje na ogół w parze z siostrą, Izydą.

[346] *Selkit* — egipska bogini-skorpion, broniąca przed jadowitymi żądłami skorpionów i ukąszeniami węży oraz lecząca zatrute rany. Przedstawiana jako kobieta ze skorpionem na głowie lub jako skorpion. Obok Izydy, Neftydy i Neit, jedna z czterech bogiń strażniczek sarkofagu.

jego to dwa pióra Amona, grzbiet jest kością pacierzową Sibu[347], zaś brzuch jest bogiem Nue[348]."

Inny kapłan mówi:

— „Dano mi usta do mówienia, nogi do chodzenia, ręce, abym obalał nieprzyjaciół moich. Zmartwychwstaję, istnieję, otwieram niebo; robię to, co mi nakazano w Memfis[349]."

A tymczasem na szyi zmarłego wieszają wizerunek chrząszcza skarabeusza zrobiony z drogiego kamienia, na którym jest napis:

— „O serce moje, serce, którem otrzymał od matki, które miałem, kiedym był na ziemi, o serce, nie powstań przeciw mnie i nie daj złego świadectwa w dzień sądu[350]."

Teraz każdą rękę i nogę, każdy palec zmarłego owijają kapłani taśmami, na których wypisane są modlitwy i zaklęcia. Taśmy te podkleja się gumą i balsamami. Na piersiach zaś i na szyi kładą się całe rękopisy Księgi Zmarłych z następnymi medytacjami, które nad nieboszczykiem głośno odmawiają kapłani:

— „Jestem ten, któremu żaden bóg nie stawia przeszkód.

Kto to jest?...

On jest Tum na swej tarczy, on jest Ra na swej tarczy, która wznosi się na wschodzie nieba.

Jestem Wczoraj i znam Jutro.

Kto to jest?

Wczoraj — jest to Ozyrys, Jutro — jest to Ra, w tym dniu, kiedy zniweczy nieprzyjaciół Pana, który jest nad wszystkim, i kiedy poświęci syna swego Horusa. Innymi słowy: w dniu, kiedy trumnę Ozyrysa spotka jego ojciec Ra. On zwalczy bogów na rozkaz Ozyrysa, pana góry Amenti.

Co to jest?

Amenti jest to tworzenie dusz bogów na rozkaz Ozyrysa, pana góry Amenti. Innymi słowy: Amenti jest to podniecenie wzbudzone przez Ra; każdy bóg, który tam przybywa, stacza walkę. Znam wielkiego boga, który tam mieszka.

Ja jestem z mego kraju, przychodzę z mojego miasta, niszczę złe, usuwam niedobre, oddalam brud od siebie. Dostaję się do kraju mieszkańców na niebie, wstępuję przez potężną bramę.

O wy, towarzysze, podajcie mi rękę, gdyż będę jednym z Was[351]."

Gdy każdy członek zmarłego został już owinięty modlitewnymi taśmami i zaopatrzony w amulety, gdy posiada już dostateczny zasób medytacji, które pozwolą mu orientować się w krainie bogów, należy pomyśleć o dokumencie, który by otworzył wrota do owej krainy.

Albowiem między mogiłą i niebem czeka na zmarłego czterdziestu dwu straszliwych sędziów, którzy, pod prezydencją Ozyrysa, badają jego ziemskie życie. Dopiero gdy serce nieboszczyka, zważone na wadze sprawiedliwości okaże się równym bogini prawdy, gdy bóg Dutes zapisujący na tabliczkach czyny zmarłego uważa je za dobre, dopiero wtedy Horus bierze duszę za rękę i prowadzi ją przed tron Ozyrysa.

Otóż, ażeby zmarły mógł usprawiedliwić się przed sądem, należy jego mumię owinąć w papirus, na którym jest wypisana — spowiedź powszechna. Podczas spowijania w ten dokument kapłani mówią dobitnie i wyraźnie, aby zmarły niczego nie zapomniał:

„Władcy prawdy, przynoszę wam samą prawdę.

Nie zrobiłem złego w sposób zdradziecki żadnemu człowiekowi. — Nie uczyniłem nieszczęśliwym nikogo z moich bliźnich. — Nie dopuściłem się sprośności ani zelżywego słowa w domu prawdy. — Nie miałem zażyłości ze złem. — Nie czyniłem złego. — Jako zwierzchnik, nie nakazywałem moim podwładnym pracować ponad siły. — Nikt z mojej

[347] *Sibu* (daw. błędne odczytanie), właśc. *Geb* — bóg ziemi, patron roślinności. Syn boga powietrza Szu i bogini wilgoci Tefnut. Brat i mąż bogini nieba Nut, ojciec Izydy, Neftydy, Ozyrysa i Seta. Przedstawiany jako leżący mężczyzna o ciele pokrytym zielenią.

[348] *Boki jego to dwa pióra Amona, grzbiet jest kością pacierzową Sibu, zaś brzuch jest bogiem Nue* — Maspero [Gaston Maspero (1846–1916), fr. egiptolog. Red. WL]. [przypis autorski]

[349] *Dano mi usta [...] robię to, co mi nakazano w Memfis* — autentyczne. [przypis autorski]

[350] *O serce moje [...] nie daj złego świadectwa w dzień sądu* — autentyczne. [przypis autorski]

[351] *Jestem ten, któremu żaden bóg nie stawia przeszkód [...] podajcie mi rękę, gdyż będę jednym z Was — Księga Zmarłych.* [przypis autorski]

winy nie stał się lękliwym, ubogim, cierpiącym ani nieszczęśliwym. — Nie czyniłem nic takiego, czym by pogardzali bogowie. — Nie dręczyłem niewolnika. — Nie morzyłem go głodem. — Nie wyciskałem mu łez. — Nie zabiłem. — Nie kazałem zabijać zdradziecko. — Nie kłamałem. — Nie rabowałem majątku świątyń. — Nie zmniejszałem dochodów poświęconych bogom. — Nie zabierałem chleba ani opasek mumiom. — Nie popełniłem grzechu z kapłanem mego okręgu. — Nie zabierałem mu ani zmniejszałem majętności. — Nie używałem fałszywej wagi. — Nie oderwałem niemowlęcia od piersi jego karmicielki. — Nie dopuszczałem się bestialstwa. — Nie chwytałem w sieci ptaków poświęconych bogom. — Nie szkodziłem przyborowi wody. — Nie odwracałem biegu kanałów. — Nie gasiłem ognia w porze niewłaściwej. — Nie okradałem bogów z ofiar, które wybrali. — Jestem czysty... Jestem czysty... Jestem czysty[352]."

Gdy nieboszczyk już umiał, dzięki Księdze Zmarłych, radzić sobie w krainie wiekuistej, a przede wszystkim — gdy wiedział, jak usprawiedliwić się przed sądem czterdziestu dwu bogów, wówczas kapłani zaopatrywali go jeszcze w przedmowę do tej księgi i — ustnie tłumaczyli mu jej niezmierną doniosłość.

Pogrzeb

W tym celu balsamiści otaczający świeżą mumię faraona odsuwali się, a przychodził arcykapłan tej dzielnicy i szeptał zmarłemu do ucha:

„Wiedz o tym, że posiadając tą księgę, będziesz należał do żyjących i pozyskasz wielkie znaczenie między bogami. Wiedz o tym, że dzięki jej nikt nie ośmieli się sprzeciwiać tobie. Sami bogowie zbliżą się do ciebie i uściskają cię, albowiem — będziesz należał do ich grona.

Wiedz o tym, że ta księga da ci poznać: co było na początku. Żaden człowiek jej nie głosił, żadne oko nie widziało, żadne ucho nie słyszało jej. Księga ta jest samą prawdą, ale nikt i nigdy jej nie znał. Niechże ona będzie widzianą tylko przez ciebie i tego, który cię w nią zaopatrzył. Nie rób do niej komentarzy, jakie mogłaby ci nasunąć twoja pamięć albo wyobraźnia. Pisze się ona całkowicie w sali, gdzie balsamują zmarłych. Jest to wielka tajemnica, której nie zna żaden pospolity człowiek, żaden w świecie.

Książka ta będzie twym pokarmem w niższej krainie duchów, dostarczy twej duszy środków pobytu na ziemi, da jej życie wieczne i sprawi, że nikt nie będzie miał władzy nad tobą[353]."

Zwłoki królewskie ubrano w kosztowne szaty, w złotą maskę na twarz, w pierścienie i bransolety na rękach, które złożono na krzyż. Pod głowę dano mu z kości słoniowej podpórkę, na jakiej zwykli byli sypiać Egipcjanie. Wreszcie zamknięto ciało w trzech trumnach: papierowej, okrytej napisami, cedrowej złoconej i — marmurowej. Kształt dwu pierwszych odpowiadał dokładnie formie ciała zmarłego; nawet rzeźbiona twarz była podobna, tylko uśmiechnięta.

Po trzech miesiącach pobytu w dzielnicy zmarłych mumia faraona była gotowa do uroczystego pogrzebu. Więc — odniesiono ją na powrót do królewskiego pałacu.

ROZDZIAŁ V

Przez siedemdziesiąt dni, w ciągu których czcigodne zwłoki mokły w wodzie nasyconej sodą, Egipt obchodził żałobę.

Świątynie były zamknięte, nie odprawiano procesji. Wszelka muzyka umilkła, nie urządzano uczt, tancerki zamieniły się na płaczki i zamiast tańcować, rwały sobie włosy, co również przynosiło im dochód.

Nie pijano wina, nie jadano mięsa. Najwięksi dostojnicy chodzili w grubych szatach, boso. Nikt nie golił się (z wyjątkiem kapłanów), najgorliwsi zaś nawet nie myli się, lecz namazywali błotem twarze, a włosy obsypywali popiołem.

Od Morza Śródziemnego do pierwszej katarakty na Nilu, od Libijskiej Pustyni do półwyspu Synaj, panowała cisza i smutek. Zgasło słońce Egiptu, odszedł na Zachód i opuścił sługi swoje pan, który dawał radość i życie.

[352] *Władcy prawdy […] Jestem czysty* — rozdział 75 *Księgi Zmarłych*. Jest to jeden z najwznioślejszych dokumentów, jakie zostawiła starożytność. [przypis autorski]

[353] *Wiedz o tym, że posiadając tą księgę, będziesz należał do żyjących […] nikt nie będzie miał władzy nad tobą* — *Księga Zmarłych*. Rozdz. 148. [przypis autorski]

W wyższych towarzystwach najmodniejszymi były rozmowy o powszechnym żalu, który udzielał się nawet naturze.

— Czy nie zauważyłeś — mówił dostojnik do dostojnika — że dni są krótsze i ciemniejsze?

— Nie śmiałem zwierzyć się z tego przed tobą — odparł drugi — ale tak jest w rzeczy samej. Spostrzegłem nawet, że mniej gwiazd świeci podczas nocy i że pełnia trwała krócej, a nów dłużej niż zwykle.

— Pasterze mówią, że bydło na pastwisku nie chce jeść, tylko ryczy...

— A ja słyszałem od myśliwych, że zapłakane lwy nie rzucają się już na sarny, bo nie jedzą mięsa.

— Okropny czas!... Przyjdź do mnie dziś wieczorem, a wypijemy po szklance żałobnego płynu, który wymyślił mój piwniczy. Alkohol, Żałoba

— Wiem, pewnie masz czarne piwo sydońskie?...

— Niech bogowie bronią, ażebyśmy w tym czasie używali trunków rozweselających! Płyn, który wynalazł mój piwniczy, nie jest piwem... Porównałbym go raczej do wina nasyconego piżmem i wonnymi ziołami.

— Bardzo stosowny napój, gdy pan nasz przebywa w dzielnicy zmarłych, nad którą ciągle unosi się woń piżma i ziół balsamicznych.

Tak przez siedemdziesiąt dni martwili się dygnitarze.

Pierwsze drgnienie radości przebiegło Egipt wówczas, gdy z dzielnicy zmarłych dano znać, że ciało władcy wydobyto z kąpieli sodowej i że balsamiści i kapłani już spełniają nad nim obrządki.

W tym dniu po raz pierwszy ostrzyżono włosy, usunięto błoto z twarzy, a kto miał ochotę, umył się. I w rzeczy samej, już nie było powodu do martwienia się: Horus bowiem znalazł zwłoki Ozyrysa, władca Egiptu, dzięki sztuce balsamistów, odzyskiwał życie, a dzięki modłom kapłanów i Księdze Zmarłych stawał się równy bogom.

Od tej chwili nieboszczyk faraon Mer-amen-Ramzes urzędownie nazywał się Ozyrysem; nieurzędownie bowiem nazywano go tak natychmiast po śmierci.

Wrodzona wesołość ludu egipskiego zaczęła brać górę nad żałobą, szczególniej wśród wojska, rzemieślników i chłopów. Radość ta przybierała niekiedy nieprzystojne formy pomiędzy ludem prostym.

Nie wiadomo bowiem, skąd zaczęły krążyć pogłoski, że nowy faraon, którego cały lud już kochał instynktownie, że młody pan chce zająć się poprawieniem doli chłopów, robotników, a nawet niewolników.

Z tego powodu zdarzało się (rzecz niesłychana!), że mularze, stolarze i garncarze, zamiast pić spokojnie i rozmawiać o swoim fachu lub interesach rodzinnych, ośmielali się w szynkowniach nie tylko narzekać na podatki, ale nawet sarkać na władzę kapłanów. Chłopi zaś, zamiast czas wolny od roboty poświęcać modlitwom i pamięci przodków, mówili między sobą: jak by to było dobrze, gdyby każdy z nich posiadał kilka zagonów gruntu na własność i mógł odpoczywać co siódmy dzień!

O wojsku, a szczególniej o cudzoziemskich pułkach, nie ma co wspominać. Ludzie ci wyobrażali sobie, że są najznakomitszą klasą w Egipcie, a jeżeli nie są, to wnet będą, po jakiejś tam szczęśliwej wojnie, która ma wybuchnąć.

Za to nomarchowie, szlachta siedząca w wiejskich majątkach, a nade wszystko arcykapłani różnych świątyń, uroczyście obchodzili żałobę po zmarłym panu, bez względu, że można było już cieszyć się, gdy faraon został Ozyrysem.

Ściśle rzeczy biorąc, nowy władca dotychczas nikomu nie zrobił krzywdy, więc przyczyną smutku dostojników były tylko pogłoski, te same, które radowały lud prosty. Nomarchowie i szlachta cierpli na myśl, że ich chłop może próżnować przez pięćdziesiąt dni w roku, a co gorsza — posiadać na własność ziemię, choćby tylko w rozmiarach wystarczających na zbudowanie grobu. Kapłani bledli i zaciskali zęby, patrząc na gospodarstwo Ramzesa XIII i sposób, w jaki ich traktował.

Rzeczywiście w pałacu królewskim zaszły ogromne zmiany.

Faraon mieszkanie swoje przeniósł do jednego z gmachów skrzydłowych, w którym prawie wszystkie pokoje zajęli jenerałowie. W suterynach pomieścił żołnierzy greckich, na piętrze gwardię, w pokojach znajdujących się wzdłuż muru — Etiopów. Wartę dokoła

pałacyku trzymali Azjaci, a przy komnatach jego świątobliwości kwaterował ten szwadron, którego żołnierze towarzyszyli panu w czasie pościgu za Tehenną przez pustynię.

Co gorsze — jego świątobliwość, pomimo tak niedawnego buntu Libijczyków, przywrócił im swoją łaskę, żadnego nie skazał na karę, owszem — obdarzał ich zaufaniem.

Prawda, że korpus kapłański, który był w głównym pałacu, został w nim i odprawiał obrządki religijne pod przewodnictwem dostojnego Sema. Ale ponieważ kapłani nie towarzyszyli faraonowi przy śniadaniu, obiedzie i kolacji, więc ich żywność stała się bardzo niewykwintną.

Na próżno święci mężowie przypominali, że muszą karmić przedstawicieli dziewiętnastu dynastii i mnóstwo bogów. Skarbnik zmiarkowawszy intencje faraona odpowiadał kapłanom, że dla bogów i przodków wystarczą kwiaty i wonności, a że sami prorocy, jak nakazuje moralność, powinni jadać jęczmienne placki i popijać wodą lub piwem. Dla poparcia swoich grubiańskich teorii skarbnik powoływał się na przykład arcykapłana Sema, który żył jak pokutnik, a co gorsze, mówił im, że jego świątobliwość, wraz z jenerałami, prowadzi żołnierską kuchnię.

Wobec tego kapłani pałacowi w milczeniu poczęli zastanawiać się: czy nie lepiej zrobią, gdy opuszczą skąpy dom królewski, a przeniosą się do własnych schronień obok świątyń, gdzie będą mieli lżejsze obowiązki i głód nie będzie im skręcał wnętrzności?

I może uczyniliby tak natychmiast, gdyby najdostojniejsi Herhor i Mefres nie rozkazali im wytrwać na miejscu.

Ale i położenie Herhora przy nowym panu nie mogło nazywać się pomyślnym. Do niedawna wszechwładny minister, który prawie nie opuszczał pokojów królewskich, siedział dziś samotny w swoim pałacyku i nieraz nie widywał nowego faraona przez całe dekady. Był on jeszcze ministrem wojny, ale już prawie nie wydawał rozkazów. Wszystkie bowiem interesa[354] wojskowe faraon załatwiał sam. Sam czytał raporty jenerałów, sam rozstrzygał wątpliwe kwestie, a jego adiutanci brali z ministerium wojny potrzebne dokumenta[355].

Jego dostojność Herhor, jeżeli kiedy był wezwany przez władcę, to chyba po to, ażeby usłyszeć wymówkę.

Niemniej wszyscy dostojnicy przyznawali, że nowy faraon bardzo pracuje.

Ramzes XIII wstawał przed wschodem słońca, kąpał się i spalał kadzidło przed posągiem Ozyrysa. Natychmiast potem słuchał raportów: najwyższego sędziego, najwyższego pisarza stodół i obór w całym kraju, najwyższego skarbnika, wreszcie — naczelnika swoich pałaców. Ten ostatni cierpiał najwięcej: nie było bowiem dnia, ażeby pan nie mówił mu, że utrzymanie dworu za dużo kosztuje i że jest w nim za wiele osób.

Istotnie, mieszkało w pałacu królewskim kilkaset kobiet zmarłego faraona z odpowiednią ilością dzieci i służby. Ciągle upominany naczelnik dworu z dnia na dzień wypędzał po kilkanaście osób, a innym ograniczał wydatki. Skutkiem czego po upływie miesiąca wszystkie damy dworu z krzykiem i płaczem pobiegły do mieszkania królowej Nikotris, błagając o ratunek.

Jakoż czcigodna pani natychmiast udała się do władcy i upadłszy na twarz prosiła go, aby ulitował się nad kobietami swego ojca i nie pozwolił umierać z niedostatku.

Faraon wysłuchał jej ze zmarszczonym czołem i rozkazał naczelnikowi dworu już nie posuwać dalej oszczędności. Zarazem jednak powiedział najczcigodniejszej pani, że po pogrzebie ojca kobiety będą usunięte z pałacu i rozesłane po folwarkach.

— Nasz dwór — mówił — kosztuje około trzydziestu tysięcy talentów rocznie, czyli o połowę więcej aniżeli całe wojsko. Takiej sumy nie mogę wydawać bez zrujnowania siebie i państwa.

— Czyń, jak chcesz — odparła królowa. — Egipt jest twój. Lękam się jednak, że rozpędzeni ludzie dworscy staną się twymi wrogami.

Na to pan milcząc wziął matkę za rękę, poprowadził ją do okna i wskazał las włóczni musztrującej się na dziedzińcu piechoty.

---

[354] *interesa* — dziś popr. forma: interesy.

[355] *dokumenta* — dziś popr. forma: dokumenty.

Ten czyn faraona wywołał nieoczekiwany skutek. Oczy królowej, przed chwilą zalane łzami, błysnęły dumą. Nagle pochyliła się i pocałowała syna w rękę, mówiąc wzruszonym głosem:

— Zaprawdę, jesteś synem Izydy i Ozyrysa i dobrze uczyniłam, odstępując cię bogini... Nareszcie Egipt ma władcę!...

Od tej pory czcigodna pani nigdy w żadnej sprawie nie wstawiała się do syna. A gdy ją proszono o protekcję, odpowiadała:

— Jestem sługą jego świątobliwości i radzę wam spełniać rozkazy pana bez oporu. Wszystko bowiem, co on robi, pochodzi z natchnienia bogów; a któż oprze się bogom?...

Po śniadaniu faraon zajmował się sprawami ministerium wojny i skarbowością, a około trzeciej po południu, otoczony wielką świtą, wyjeżdżał do wojsk obozujących pod Memfisem i przypatrywał się musztrze.

Rzeczywiście największe zmiany zaszły w sprawach wojskowych państwa.

W ciągu niespełna dwu miesięcy jego świątobliwość uformował pięć nowych pułków, a raczej — wskrzesił te, które zwinięto za poprzedniego panowania. Usunął oficerów oddających się pijaństwu i kosterstwu[356] tudzież takich, którzy udręczali żołnierzy.

Do biur ministerium wojny, gdzie pracowali sami kapłani, wprowadził swoich najzdolniejszych adiutantów, którzy bardzo prędko opanowali ważne dokumenta dotyczące armii. Kazał zrobić spis wszystkich mężczyzn w państwie, którzy należeli do stanu wojskowego, lecz od kilkunastu lat nie spełniali żadnych obowiązków, tylko gospodarowali. Otworzył dwie nowe szkoły oficerskie dla dzieci od dwunastu lat i odnowił już zaniedbany zwyczaj, by młodzież wojskowa dopiero po odbyciu trzygodzinnego marszu w liniach i kolumnach, otrzymywała śniadanie.

Wreszcie żadnemu oddziałowi wojska nie wolno było mieszkać po wsiach, ale w koszarach lub w obozie. Każdy pułk miał wyznaczony plac na ćwiczenia, na którym po całych dniach rzucano kamienie z procy lub strzelano z łuku do tarcz, odległych o sto do dwustu kroków.

Wyszło też polecenie do rodzin stanu wojskowego, aby mężczyźni ich wprawiali się w rzucaniu pocisków, pod kierunkiem oficerów i dziesiętników armii regularnej. Rozkaz wykonano natychmiast, skutkiem czego Egipt, już we dwa miesiące po śmierci Ramzesa XII, wyglądał jak obóz.

Albowiem nawet wiejskie i miejskie dzieci, które dotychczas bawiły się w pisarzy i kapłanów, teraz, naśladując starszych, zaczęły bawić się w wojsko. Więc na każdym placu i w każdym ogrodzie od rana do wieczora świstały kamienie i pociski z łuków, a sądy zawalone były skargami o uszkodzenia cielesne.

I stało się, że Egipt był jakby odmieniony i że, pomimo żałoby, panował w nim wielki ruch, a wszystko za sprawą nowego władcy.

Sam zaś faraon rósł w dumę widząc, jak całe państwo stosuje się do jego królewskiej woli.

Przyszła jednak chwila, że i on się zasępił.

W tym samym dniu, kiedy balsamiści wydobyli ciało Ramzesa XII z sodowej kąpieli, wielki skarbnik składając zwykły raport rzekł do faraona:

— Nie wiem, co począć... Mamy bowiem w skarbie dwa tysiące talentów, a na pogrzeb zmarłego pana trzeba co najmniej tysiąc...

— Jak to dwa tysiące?... — zdziwił się władca. — Kiedym obejmował rządy, mówiłeś, że mamy dwadzieścia tysięcy...

— Wydaliśmy osiemnaście...

— We dwa miesiące?...

— Mieliśmy ogromne rozchody...

— Prawda — odparł faraon — ależ co dzień wpływają podatki...

— Podatki — rzekł skarbnik — nie wiem dlaczego, znowu zmniejszyły się i nie napływają w takiej ilości, jak rachowałem. Ale i one rozeszły się... Racz, wasza świątobliwość, pamiętać, że mamy pięć nowych pułków. Więc około ośmiu tysięcy ludzi porzuciło swoje zajęcia i żyją na koszt państwa...

Faraon zamyślił się.

---

[356] *kosterstwo* (daw.) — hazard; częste granie w kości lub w karty, rujnujące grającego lub nieuczciwe.

— Musimy — odpowiedział — zaciągnąć nową pożyczkę. Porozumiej się z Herhorem i Mefresem, aby nam dały świątynie.

— Mówiłem o tym... Świątynie nic nam nie dadzą.

— Obrazili się prorocy!... — uśmiechnął się faraon. — W takim razie musimy wezwać pogan... Przyślij do mnie Dagona.

Nad wieczorem przyszedł bankier fenicki. Upadł na ziemię przed panem i ofiarował mu złoty puchar wysadzany klejnotami.

— Teraz już mogę umrzeć!... — zawołał Dagon — kiedy mój najłaskawszy władca zasiadł na tronie...

— Zanim jednak umrzesz — rzekł do klęczącego faraon — Wystaraj mi się o kilka tysięcy talentów.

Fenicjanin struchlał, czy może tylko udawał wielkie zakłopotanie.

— Niech wasza świątobliwość każe mi lepiej szukać pereł w Nilu — odparł — gdyż zginę od razu i pan mój nie posądzi mnie o złe chęci... Ale taką sumę znaleźć dzisiaj!...

Ramzes XIII zdziwił się.

— Jak to?... — spytał — więc Fenicjanie nie mają dla mnie pieniędzy?...

— Krew i życie nasze i dzieci naszych oddamy waszej świątobliwości — rzekł Dagon. — Ale pieniądze... Skąd my weźmiemy pieniędzy?...

Dawniej świątynie udzielały nam pożyczek na piętnaście lub dwadzieścia procentów[357] rocznie. Lecz od czasu gdy wasza świątobliwość, jeszcze jako następca tronu, był w świątyni Hator[358], tam, pod Pi-Bast, kapłani zupełnie odmówili nam kredytu.

Oni, gdyby mogli, dziś wygnaliby nas z Egiptu, a jeszcze chętniej wytępiliby... Ach, co my cierpimy z ich łaski!... Chłopi robią, jak chcą i kiedy chcą... na podatek oddają, co im z nosa spadnie... Gdy którego uderzyć, buntują się, a gdy nieszczęśliwy Fenicjanin pójdzie o pomoc do sądu, albo przegrywa sprawę, albo musi się strasznie opłacać...

Godziny nasze na tej ziemi są policzone!... — mówił z płaczem Dagon.

Faraon sposępniał.

— Zajmę ja się tymi sprawami — odparł — i sądy będą wymierzały wam sprawiedliwość. Tymczasem jednak potrzebuję około pięciu tysięcy talentów...

— Skąd weźmiemy panie?... — jęczał Dagon. — Wskaż nam, wasza świątobliwość, kupców, a sprzedamy im wszystkie nasze ruchomości i nieruchomości, byle spełnić twoje rozkazy...

Lecz gdzie są ci kupcy?... Chyba kapłani, którzy otaksują nasze majątki za bezcen i — jeszcze nie zapłacą gotowizną.

— Poślijcie do Tyru, Sydonu... — wtrącił pan. — Przecież każde z tych miast mogłoby pożyczyć nie pięć, ale sto tysięcy talentów...

— Tyr i Sydon!... — powtórzył Dagon. — Dziś cała Fenicja gromadzi złoto i klejnoty, ażeby opłacić się Asyryjczykom... Kręcą się już po naszym kraju wysłańcy króla Assara i mówią, że byleśmy składali co roku hojny okup, to król i satrapowie nie tylko nie będą nas ciemiężyli, ale jeszcze nastręczą nam większe zarobki niż te, jakie mamy dziś z łaski waszej świątobliwości i Egiptu...

Władca pobladł i zacisnął zęby. Fenicjanin spostrzegł się i dodał prędko:

— Wreszcie, co ja mam zabierać waszej świątobliwości czas moim głupim gadaniem?... Jest tu, w Memfisie, książę Hiram... On może lepiej objaśni wszystko memu panu, bo to mędrzec i członek najwyższej rady naszych miast...

Ramzes ożywił się.

— A dawajże mi tu prędzej Hirama — odparł. — Bo ty, Dagonie, rozmawiasz ze mną nie jak bankier, ale jak pogrzebowa płaczka.

Fenicjanin jeszcze raz uderzył czołem w posadzkę i spytał:

— Czy dostojny Hiram nie mógłby zaraz tu przyjść?... Prawda, że już późno... Ale on tak boi się kapłanów, że wolałby o nocnej porze złożyć hołd waszej świątobliwości...

Faraon przygryzł usta, ale zgodził się na ten projekt. Wysłał nawet z bankierem Tutmozisa, aby ten przyprowadził Hirama do pałacu tajemnymi wejściami.

---

[357] *dwadzieścia procentów* — dziś popr.: dwadzieścia procent.

[358] *Hator*, właśc. *Hathor* — egipska bogini nieba, miłości i radości. Żona Horusa z Edfu, utożsamiana z Izydą. Przedstawiana jako krowa lub kobieta z krowimi rogami.

ROZDZIAŁ VI

Około dziesiątej wieczór stanął przed panem Hiram odziany w ciemną szatę memfijskiego przekupnia.

— Czegóż się tak skradasz, wasza dostojność?... — zapytał go niemile dotknięty faraon. — Czyliż mój pałac jest więzieniem albo domem trędowatych?...

— Ach, władco nasz! — westchnął stary Fenicjanin. — Od chwili gdy zostałeś panem Egiptu, zbrodniarzami są ci, którzy ośmielają się widywać ciebie i nie zdawać sprawy z tego, o czym raczysz mówić...

— Przed kimże to musicie powtarzać moje słowa?... — spytał pan.

Hiram podniósł oczy i ręce do góry.

— Wasza świątobliwość znasz swoich wrogów!... — odparł.

— Mniejsza o nich — rzekł faraon. — Wasza dostojność wiesz, po co cię wezwałem? Chcę pożyczyć kilka tysięcy talentów...

Hiram syknął i tak zachwiał się na nogach, że pan pozwolił mu usiąść w swojej obecności, co było najwyższym zaszczytem.

Rozsiadłszy się wygodnie i odpocząwszy, Hiram rzekł:

— Po co wasza świątobliwość ma pożyczać, kiedy może mieć duże skarby...

— Wiem, gdy zdobędę Niniwę — przerwał faraon. — To dalekie czasy, a pieniądze potrzebne mi są dziś...

— Ja nie mówię o wojnie — odparł Hiram. — Ja mówię o takiej sprawie, która natychmiast przyniesie skarbowi duże sumy i — stały roczny dochód...

— Jakim sposobem?

— Niech wasza świątobliwość pozwoli nam i pomoże wykopać kanał, który by połączył Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym...

Faraon zerwał się z fotelu.

— Żartujesz, stary człowieku?... — zawołał. — Któż taką pracę wykona i kto chciałby narazić Egipt?... Przecie morze zalałoby nas...

— Jakie morze?... Bo chyba ani Czerwone, ani Śródziemne — spokojnie odparł Hiram. — Ja wiem, że egipscy kapłani-inżynierowie badali ten interes i wyrachowali, że to jest bardzo dobry interes, najlepszy w świecie... Tylko oni sami wolą go zrobić, a raczej nie chcą, ażeby zrobił to faraon.

— Gdzie masz dowody? — spytał Ramzes.

— Ja nie mam dowodów, ale ja przyślę waszej świątobliwości takiego kapłana, który całą sprawę objaśni planami i rachunkiem...

— Kto jest ten kapłan?...

Hiram zamyślił się i rzekł po chwili:

— Czy mam obietnicę waszej świątobliwości, że o nim nikt nie będzie wiedział oprócz nas?... On wam, panie mój, większe odda usługi aniżeli ja sam... On zna dużo tajemnic i... dużo niegodziwości kapłańskich...

— Przyrzekam — odparł faraon.

— Ten kapłan to jest Samentu... On służy w świątyni Seta pod Memfisem... On jest wielkim mędrcem, tylko potrzebuje pieniędzy i jest bardzo ambitny. A ponieważ arcykapłani poniżają go, więc on mi powiedział, że gdy wasza świątobliwość zechce, to on... to on obali stan kapłański... Bo on wie dużo sekretów... O, dużo!...

Ramzes głęboko zamyślił się. Zrozumiał, że ten kapłan jest wielkim zdrajcą, ale i oceniał, jak ważne może mu oddać usługi.

— Owszem — rzekł faraon — pomyślę o tym Samentu. A teraz na chwilę przypuśćmy, że można zbudować taki kanał: cóż ja będę miał z niego?

Hiram podniósł lewą rękę i na jej palcach zaczął rachować.

— Przede wszystkim — mówił — Fenicja odda waszej świątobliwości pięć tysięcy talentów zaległych danin...

Po drugie — Fenicja zapłaci waszej świątobliwości pięć tysięcy talentów za prawo wykonywania robót...

Po trzecie — gdy zaczną się roboty, będziemy płacili tysiąc talentów rocznego podatku i jeszcze tyle talentów, ile Egipt dostarczy nam dziesiątek robotników.

Po czwarte — za każdego inżyniera egipskiego damy waszej świątobliwości talent na rok.

Po piąte — gdy skończą się roboty, wasza świątobliwość odda nam kanał w dzierżawę na sto lat, a my będziemy płacili za to po tysiąc talentów rocznie.

Czy to są małe zyski?... — spytał Hiram.

— A teraz, a dziś — rzekł faraon — dalibyście mi owe pięć tysięcy haraczu?...

— Jeżeli dziś będzie zawarta umowa, damy dziesięć tysięcy i jeszcze dołożymy ze trzy tysiące jako podatek za trzy lata z góry...

Ramzes XIII zamyślił się. Nieraz już Fenicjanie proponowali władcom Egiptu budowę tego kanału, lecz zawsze trafiali na nieugięty opór kapłanów. Egipscy mędrcy tłumaczyli faraonom, że kanał ten narazi państwo na zalew wód od strony Morza Śródziemnego i Czerwonego.

Ale znowu Hiram twierdził, że wypadek podobny nie nastąpi, o czym wiedzą kapłani!...

— Obiecujecie — odezwał się faraon po długiej chwili — obiecujecie płacić po tysiąc talentów rocznie przez sto lat. Mówicie, że ów kanał, wygrzebany w piaskach, jest najlepszym w świecie interesem. Ja tego nie rozumiem i przyznam się, Hiramie, podejrzewam...

Fenicjaninowi zapłonęły oczy.

— Panie — odparł — powiem ci wszystko, ale zaklinam cię na twoją koronę... na cień twego ojca... ażebyś przed nikim nie odsłonił tej tajemnicy... Jest to największa tajemnica kapłanów chaldejskich i egipskich, a nawet Fenicji... Od niej zależy przyszłość świata!...

— No, no... Hiramie!... — odparł faraon z uśmiechem.

— Tobie, królu — ciągnął Fenicjanin — dali bogowie mądrość, energię i szlachetność, więc tyś nasz... Ty jeden z władców ziemskich możesz być wtajemniczony, bo ty jeden potrafisz wykonywać wielkie rzeczy... Toteż zdobędziesz taką potęgę, jakiej jeszcze nie dosięgnął żaden człowiek...

Faraon odczuł w sercu słodycz dumy, ale opanował się.

— Ty mnie nie chwal — rzekł — za to, czego jeszcze nie zrobiłem, ale mi powiedz: jakie korzyści spłyną na Fenicję i na moje państwo z wykopania kanału?

Hiram poprawił się na fotelu i zaczął mówić zniżonym głosem:

— Wiedz o tym, panie nasz, że na wschód, południe i północ od Asyrii i Babilonu nie ma ani pustyni, ani bagien zamieszkałych przez dziwne potwory, ale są olbrzymie... olbrzymie kraje i państwa... Kraje to tak wielkie, że piechota waszej świątobliwości, słynna z marszów, musiałaby prawie dwa lata iść wciąż ku wschodowi, zanim dosięgłaby ich granic...

Ramzes podniósł brwi w górę jak człowiek, który pozwala komuś kłamać, ale wie o kłamstwie.

Hiram lekko wzruszył ramionami i prawił:

— Na wschód i na południe od Babilonu, nad wielkim morzem, mieszka ze sto milionów ludzi, którzy mają potężnych królów, kapłanów mędrszych niż egipscy, stare księgi, biegłych rzemieślników... Ludy te umieją wyrabiać nie tylko tkaniny, sprzęty i naczynia, równie piękne jak Egipcjanie, ale od niepamiętnych czasów mają podziemne i nadziemne świątynie — większe, wspanialsze i bogatsze aniżeli Egipt...

— Mów dalej... mów!... — wtrącił pan. Ale z twarzy jego nie można było poznać: czy jest zaciekawiony opisem, czy oburzony kłamstwem.

— W krajach tych są perły, drogie kamienie, złoto, miedź... Są najosobliwsze zboża, kwiaty i owoce... Są wreszcie lasy, po których całe miesiące można błądzić między drzewami grubszymi od waszych kolumn w świątyniach, wyższymi od palm... Ludność zaś tych okolic jest prosta i łagodna... I gdybyś, wasza świątobliwość, posłał tam na okrętach dwa swoje pułki, mógłbyś zdobyć obszar ziemi większy od całego Egiptu, bogatszy niż skarbiec w Labiryncie...

Jutro, jeżeli wasza świątobliwość pozwoli, przyślę wam próbki tamtejszych tkanin, drzewa i brązów... Przyślę też dwa ziarnka tamtejszych cudownych balsamów, które gdy połknie człowiek, otwierają się przed nim bramy wieczności i może doznać szczęścia, które jest udziałem samych tylko bogów...

— Bardzo proszę o próbkę tkanin i wyrobów — wtrącił faraon. — Co zaś do balsamów... mniejsza o nie!... Dosyć nacieszymy się wiecznością i bogami po śmierci...

— Zaś daleko, bardzo daleko, na wschód od Asyrii — mówił Hiram — leżą jeszcze większe kraje, mające ze dwieście milionów ludności...

— Jak wam łatwo o miliony!... — uśmiechnął się pan. Hiram położył rękę na sercu.

— Przysięgam — rzekł — na duchy przodków moich i na moją cześć, że mówię prawdę!...

Faraon poruszył się: zastanowiła go tak wielka przysięga.

— Mów... mów dalej... — rzekł.

— Otóż kraje te — ciągnął Fenicjanin — są bardzo dziwne. Zamieszkują je ludy o skośnych oczach i żółtej cerze. Ludy te mają pana, który nazywa się Synem Nieba i rządzi nimi za pośrednictwem mędrców, którzy jednak nie są kapłanami i nie mają takiej władzy jak w Egipcie...

A przy tym ludy te są podobne do Egipcjan... Czczą zmarłych przodków i bardzo dbają o ich zwłoki. Używają pisma, które przypomina wasze, kapłańskie... Lecz — noszą długie szaty z tkanin wcale u was nie znanych, mają sandały podobne do małych ławeczek, a głowy zakrywają spiczastymi pudełkami... Także dachy ich domów są spiczaste i zadarte na brzegach...

Te nadzwyczajne ludy mają zboże plenniejsze niż egipska pszenica i robią z niego napitek mocniejszy niż wino. Mają też roślinę, której liście dają tęgość członkom, wesołość umysłowi, a nawet pozwalają obchodzić się bez snu. Mają papier, który umieją ozdabiać różnokolorowymi obrazami, i mają glinę, która po wypaleniu prześwieca jak szkło, a dźwięczy jak metal...

Jutro, gdy wasza świątobliwość pozwoli, przyślę próbki wyrobów tego ludu...

— Dziwy opowiadasz, Hiramie... — rzekł faraon. — Nie widzę jednak związku między tymi osobliwościami a kanałem, który chcecie kopać...

— Odpowiem krótko — odparł Fenicjanin. — Gdy będzie kanał, cała fenicka i egipska flota przepłynie na Morze Czerwone, z niego dalej i — w ciągu paru miesięcy dosięgnie tych bogatych krajów, do których lądem prawie niepodobna się dostać.

A czy wasza świątobliwość — mówił z błyszczącymi oczyma — nie widzi skarbów, jakie tam znajdziemy?... Złota, kamieni, zbóż, drzewa?... Przysięgam ci, panie — ciągnął z uniesieniem — że wówczas o złoto będzie ci łatwiej aniżeli dzisiaj o miedź, drzewo będzie tańsze od słomy, a niewolnik od krowy...

Pozwól tylko, panie, wykopać kanał i wynajmij nam z pięćdziesiąt tysięcy twoich żołnierzy...

Ramzes także się zapalił.

— Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy — powtórzył. — A ileż dacie mi za to?...

— Mówiłem już waszej świątobliwości... Tysiąc talentów rocznie za prawo robót i pięć tysięcy za robotników, których sami będziemy karmili i wynagradzali...

— I zamęczycie mi ich robotą?...

— Niech bogowie bronią!... — zawołał Hiram. — To przecie żaden interes, gdy giną robotnicy... Żołnierze waszej świątobliwości nie będą więcej pracować przy kanale aniżeli dziś przy fortyfikacjach albo gościńcach... A jaka sława dla was, panie!... jakie dochody dla skarbu!... jaki pożytek dla Egiptu!... Najuboższy chłop może mieć drewnianą chałupę, kilkoro bydła, sprzęty i bodajże niewolnika... Żaden faraon nie podniósł państwa tak wysoko i nie dokonał tak niezmiernego dzieła...

Bo czymże martwe i nieużyteczne piramidy będą wobec kanału, który ułatwi przewóz skarbów całego świata?...

— No — dodał faraon — i pięćdziesiąt tysięcy wojska na wschodniej granicy...

— Naturalnie!... — zawołał Hiram. — Wobec tej siły, której utrzymanie nie będzie nic kosztowało waszą świątobliwość, Asyria nie ośmieli się wyciągać ręki ku Fenicji...

Plan był tak olśniewający i tyle obiecywał zysków, że Ramzes XIII uczuł się odurzonym. Lecz panował nad sobą.

— Hiramie — rzekł — piękne robisz obietnice... Tak piękne, że lękam się, czy za nimi nie ukrywasz jakichś mniej pomyślnych następstw. Dlatego muszę i sam głęboko zastanowić się, i — naradzić z kapłanami.

— Oni nigdy dobrowolnie nie zgodzą się!... — zawołał Fenicjanin. — Choć... (niech bogowie wybaczą mi bluźnierstwo) jestem pewny, że gdyby dziś najwyższa władza w państwie przeszła w ręce kapłanów, za parę miesięcy oni wezwaliby nas do tej budowy...

Ramzes spojrzał na niego z chłodną pogardą.

— Starcze — rzekł — mnie zostaw troskę o posłuszeństwo kapłanów, a sam złóż dowody, że to, co mówiłeś, jest prawdą. Byłbym bardzo lichym królem, gdybym nie potrafił usunąć przeszkód wyrastających pomiędzy moją wolą a interesami państwa.

— Zaprawdę, jesteś wielkim władcą, panie nasz — szepnął Hiram, schylając się do ziemi.

Było już późno w nocy. Fenicjanin pożegnał faraona i wraz z Tutmozisem opuścił pałac. Na drugi zaś dzień przysłał przez Dagona skrzynkę z próbkami bogactw nieznanych krajów.

Pan znalazł w niej posążki bogów, tkaniny i pierścienie indyjskie, małe kawałki opium, a w drugiej przegrodzie — garstkę ryżu, listki herbaty, parę porcelanowych czarek ozdobionych malowidłami i — kilkanaście rysunków wykonanych farbami i tuszem na papierze.

Obejrzał to z największą uwagą i przyznał, że podobne okazy były mu nieznane. Ani ryż, ani papier, ani wizerunki ludzi, którzy mieli spiczaste kapelusze i skośne oczy.

Już nie wątpił o istnieniu jakiegoś nowego kraju, w którym wszystko było inne niż w Egipcie: góry, drzewa, domy, mosty, okręty...

„I taki kraj istnieje zapewne od wieków — myślał — nasi kapłani wiedzą o nim, znają jego bogactwa, lecz nic nie wspominają o nich... Oczywiście, są to zdrajcy, którzy chcą ograniczyć władzę i zubożyć faraonów, aby następnie zepchnąć ich z wysokości tronu...

Ale... o przodkowie i następcy moi — mówił w duchu — was wzywam na świadectwo, że tym nikczemnościom kres położę. Podźwignę mądrość, ale wytępię obłudę i dam Egiptowi czasy wytchnienia..."

Myśląc tak, pan podniósł oczy i spostrzegł Dagona oczekującego na rozkazy.

— Skrzynia twoja jest bardzo ciekawa — rzekł do bankiera — ale... Ja nie tego chciałem od was.

Fenicjanin zbliżył się na palcach i uklęknąwszy przed faraonem szepnął:

— Gdy wasza świątobliwość raczy podpisać umowę z dostojnym Hiramem, Tyr i Sydon u stóp waszych złożą wszystkie swoje skarby...

Ramzes zmarszczył brwi. Nie podobało mu się zuchwalstwo Fenicjan, którzy ośmielali się stawiać mu warunki. Odparł więc chłodno:

— Zastanowię się i dam Hiramowi odpowiedź. Możesz odejść, Dagonie.

Po wyjściu Fenicjanina Ramzes znowu zamyślił się. W jego duszy zaczęła budzić się reakcja.

„Ci handlarze — mówił w sercu — uważają mnie za jednego ze swoich... ba!... śmią ukazywać mi z daleka wór złota, ażeby wymusić traktat!... Nie wiem, czy który z faraonów dopuścił ich kiedy do podobnej poufałości?...

Muszę to zmienić. Ludzie, którzy upadają na twarze przed wysłannikami Assara, nie mogą mówić do mnie: podpisz, a dostaniesz... Głupie szczury fenickie, które zakradłszy się do królewskiego pałacu, uważają go za swój chlewik!..."

Im dłużej myślał, im dokładniej przypominał sobie zachowanie Hirama i Dagona, tym silniejszy gniew go ogarniał.

„Jak oni śmią... Jak oni śmią stawiać mi warunki?..."

— Hej!... Tutmozis... — zawołał.

Wnet stanął przed nim ulubieniec.

— Co rozkażesz, panie mój?

— Poślij którego z młodszych oficerów do Dagona, ażeby zawiadomił go, że przestaje być moim bankierem. Za głupi on jest na tak wysokie stanowisko...

— A komu wasza świątobliwość przeznaczysz ten zaszczyt?

— W tej chwili nie wiem... Trzeba będzie znaleźć kogo między egipskimi albo greckimi kupcami... W ostateczności — odwołamy się do kapłanów.

Wiadomość ta obiegła wszystkie pałace królewskie i przed upływem godziny doleciała do Memfisu. Po całym mieście opowiadano, że Fenicjanie wpadli w niełaskę u faraona, a ku wieczorowi lud już zaczął rozbijać sklepy znienawidzonym cudzoziemcom.

Kapłani odetchnęli. Herhor złożył nawet wizytę świętemu Mefresowi i rzekł mu:

— Serce moje czuło, że pan nasz odwróci się od tych pogan pijących krew ludu. Myślę, że należy okazać mu wdzięczność z naszej strony...

— I może otworzyć drzwi do naszych skarbców?... — spytał szorstko święty Mefres. — Nie śpiesz się, wasza dostojność... Odgadłem już tego młodzika i — biada nam — jeżeli raz pozwolimy mu wziąć górę nad sobą...

— A gdyby zerwał z Fenicjanami?...

— To sam na tym zyska, bo im nie spłaci długów — rzekł Mefres.

— Moim zdaniem — odezwał się po namyśle Herhor — jest to chwila, w której możemy odzyskać łaskę młodego faraona. W gniewie zapalczywy, umie on jednak być wdzięcznym... Doświadczyłem tego...

— Co wyraz, to błąd!... — przerwał zacięty Mefres. — Bo naprzód książę ten nie jest jeszcze faraonem, gdyż nie koronował się w świątyni... Po wtóre — nigdy nie będzie prawdziwym faraonem, gdyż pogardza arcykapłańskimi święceniami...

A nareszcie — nie my potrzebujemy jego łaski, ale on łaski bogów, których na każdym kroku znieważa!...

Zadyszany z gniewu Mefres odpoczął i mówił dalej:

— Był miesiąc w świątyni Hator, słuchał najwyższej mądrości i wnet potem wdał się z Fenicjanami. Ba!... odwiedzał bożnicę[359] Astarty[360] i stamtąd wziął kapłankę, co uchybia zasadom wszystkich religii...

Potem drwił publicznie z mojej pobożności... spiskował z takimi jak sam lekkoduchami i za pomocą Fenicjan wykradał państwowe tajemnice... A gdy wszedł na tron, źle mówię: ledwo wszedł na pierwsze stopnie tronu, już zohydza kapłanów, wichrzy chłopstwo i żołdactwo i odnawia śluby ze swoimi przyjaciółmi Fenicjanami...

Czy, dostojny Herhorze, zapomniałbyś o tym wszystkim?... A jeżeli pamiętasz, czy nie rozumiesz niebezpieczeństw, jakie grożą nam od tego młokosa?... Wszak on ma pod ręką wiosło nawy państwowej, która posuwa się między wirami i skałą. Kto mi zaręczy, że ten szaleniec, który wczoraj — wezwał do siebie Fenicjan, a dziś — pokłócił się z nimi, nie spełni jutro czegoś, co narazi państwo na zgubę?...

— A więc... co... — spytał Herhor, bystro patrząc mu w oczy.

— To, że nie mamy powodu okazywać mu wdzięczności, a naprawdę — słabości. A ponieważ chce gwałtem pieniędzy, nie damy pieniędzy!...

— A... a potem co?... — pytał Herhor.

— Potem będzie sobie rządził państwem i powiększał armię bez pieniędzy — odparł rozdrażniony Mefres.

— A... a jeżeli jego wygłodzona armia zechce zrabować świątynie?... — wciąż pytał Herhor.

— Cha!... cha!... cha!... — wybuchnął śmiechem Mefres.

Nagle spoważniał i kłaniając się, rzekł ironicznym tonem:

— To już należy do waszej dostojności... Człowiek, który przez tyle lat, jak wy, rządził państwem, winien był przygotować się na podobne niebezpieczeństwo.

— Przypuśćmy — mówił powoli Herhor — przypuśćmy, że ja znalazłbym środki przeciw niebezpieczeństwom, które by groziły państwu. Ale czy wasza dostojność, który jesteś najstarszym arcykapłanem, potrafiłbyś zapobiec zniewadze stanu kapłańskiego i świątyń?...

Przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy.

— Pytasz: czybym potrafił? — rzekł Mefres. — Czy potrafię?... Ja nawet nie będę trafiał. Bogowie złożyli w moich rękach piorun, który zniszczy każdego świętokradcę.

— Psyt!... — szepnął Herhor. — Niechże się tak stanie...

— Za zgodą czy bez zgody najwyższej rady kapłanów — dodał Mefres. — Kiedy czółno wywraca się, nie czas na rozprawianie z wioślarzami.

Rozeszli się obaj w posępnym nastroju. Zaś tego samego dnia wieczorem wezwał ich faraon.

---

[359] *bożnica* (daw.) — świątynia.

[360] *Astarte* a. *Asztarte*, hebr. *Astoreth* — zachodniosemicka bogini miłości, płodności i wojny, królowa niebios, utożsamiana z mezopotamską boginią Isztar.

Przyszli o naznaczonej porze, każdy oddzielnie. Złożyli głęboki ukłon panu i — każdy stanął w innym kącie, nie patrząc na drugiego.

„Czyby się poróżnili ze sobą?... — pomyślał Ramzes. — Nic to nie szkodzi..."

W chwilę później wszedł święty Sem i prorok Pentuer. Wtedy Ramzes usiadł na wzniesieniu, wskazał czterem kapłanom niskie taborety naprzeciw siebie i rzekł:

— Święci ojcowie! Nie wzywałem was do tej pory na radę, ponieważ wszystkie moje rozkazy odnosiły się wyłącznie do spraw wojskowych...

— Miałeś prawo, wasza świątobliwość — wtrącił Herhor.

— Zrobiłem też, com mógł, w czasie tak niedługim, ażeby wzmocnić obronne siły państwa. Utworzyłem dwie nowe szkoły oficerskie i wskrzesiłem pięć zwiniętych pułków...

— Miałeś prawo, panie — odezwał się Mefres.

— O innych wojskowych ulepszeniach nie mówię, gdyż was, ludzi świętych, rzeczy te nie obchodzą...

— Masz słuszność, panie — rzekli razem Mefres i Herhor.

— Ale jest inna sprawa — mówił faraon, zadowolony potakiwaniem dwu dostojników, od których spodziewał się opozycji. — Zbliża się dzień pogrzebu boskiego ojca mego, lecz skarb nie posiada dostatecznych funduszów...

Mefres podniósł się z taboretu.

— Ozyrys-Mer-amen-Ramzes — rzekł — był sprawiedliwym panem, który ludowi swemu zapewnił wieloletni spokój, a bogom chwałę. Pozwól więc, wasza świątobliwość, aby pogrzeb tego pobożnego faraona odbył się na koszt świątyń.

Ramzes XIII zdziwił się i wzruszył hołdem oddanym jego ojcu. Przez chwilę milczał, jakby nie mogąc znaleźć odpowiedzi, wreszcie odparł:

— Bardzo jestem wam wdzięczny za cześć okazaną równemu bogom ojcu memu. Zezwalam na taki pogrzeb i jeszcze raz — bardzo wam dziękuję...

Przerwał, wsparł głowę na ręku i rozmyślał, jakby ze sobą samym staczając walkę. Nagle podniósł głowę: twarz jego była ożywiona, oczy błyszczały.

— Jestem wzruszony — rzekł — dowodem waszej życzliwości, święci ojcowie. Jeżeli tak drogą jest wam pamięć mego ojca, więc chyba nie możecie być niechętni dla mnie...

— Czy wasza świątobliwość wątpi o tym?... — wtrącił arcykapłan Sem.

— Mówisz prawdę — ciągnął faraon — niesłusznie was posądzałem o uprzedzenie do mnie... Ale chcę to naprawić, więc będę z wami szczerym...

— Niech bogowie błogosławią waszą świątobliwość!... — rzekł Herhor.

— Będę szczerym. Boski ojciec mój, skutkiem wieku, choroby, a może i zajęć kapłańskich, nie mógł tyle sił i czasu poświęcać sprawom państwa, ile ja mogę. Ja jestem młody, zdrów, wolny, więc chcę i będę rządził sam. Jak wódz musi prowadzić swoją armię na własną odpowiedzialność i według własnego planu, tak ja będę kierował państwem. Oto jest moja wyraźna wola i od tego nie odstąpię.

Ale rozumiem, że choćbym był najdoświadczeńszy, nie obejdę się bez wiernych sług i mądrych doradców. I dlatego będę niekiedy zapytywał was o opinię w rozmaitych sprawach...

— Po toż jesteśmy najwyższą radą przy tronie waszej świątobliwości — wtrącił Herhor.

— Owszem — mówił wciąż ożywiony faraon — będę korzystał z waszych usług, nawet od tej chwili, zaraz...

— Rozkazuj, panie — rzekł Herhor.

— Chcę poprawić byt ludu egipskiego. Ale ponieważ w podobnych sprawach zbyt szybkie działanie może tylko przynieść szkody, więc na początek ofiaruję im rzecz drobną: po sześciu dniach pracy — siódmy dzień odpoczynku...

— Tak było przez ciąg panowania osiemnastu dynastii... Prawo to jest stare jak sam Egipt — odezwał się Pentuer.

— Odpoczynek co siódmy dzień da pięćdziesiąt dni rocznie na każdego robotnika, czyli jego panu ujmie pięćdziesiąt drachm. A na milionie robotników państwo straci z dziesięć tysięcy talentów rocznie... — rzekł Mefres. — Myśmy to już rachowali w świątyniach!... — dodał.

— Tak jest — żywo odparł Pentuer — straty będą, ale tylko w pierwszym roku. Bo gdy lud wzmocni swoje siły wypoczynkami, w następnych latach odrobi wszystko z przewyżką...

— Prawdę mówisz — odpowiedział Mefres — w każdym jednak razie trzeba mieć dziesięć tysięcy talentów na ów pierwszy rok. Ja zaś myślę, że i dwadzieścia tysięcy talentów nie zawadziłoby...

— Masz słuszność, dostojny Mefresie — zabrał głos faraon. — Przy zmianach, jakie chcę zaprowadzić w moim państwie, dwadzieścia, a nawet trzydzieści tysięcy talentów nie będzie sumą zbyt wielką.

Dlatego — dodał szybko — od was, święci mężowie, będę potrzebował pomocy...

— Każdy zamiar waszej świątobliwości gotowi jesteśmy popierać modłami i procesjami — rzekł Mefres.

— Owszem, módlcie się i zachęcajcie do tego naród. Ale prócz tego dajcie państwu trzydzieści tysięcy talentów — odpowiedział faraon.

Arcykapłani milczeli. Pan chwilę czekał, w końcu zwrócił się do Herhora:

— Milczysz, wasza dostojność?

— Sam powiedziałeś, władco nasz, że skarb nie ma funduszu nawet na pogrzeb Ozyrysa-Mer-amen-Ramzesa. Nie mogę więc nawet odgadnąć: skąd wzięlibyśmy trzydzieści tysięcy talentów?...

— A skarbiec Labiryntu?...

— To są skarby bogów, które można by naruszyć tylko w chwili największej potrzeby państwa — odparł Mefres.

Ramzes XIII zakipiał gniewem.

— Jeżeli nie chłopi — zawołał, uderzając pięścią w poręcz — więc ja potrzebuję tej sumy!...

— Wasza świątobliwość — odparł Mefres — może w ciągu roku zyskać więcej niż trzydzieści tysięcy talentów, a Egipt dwa razy tyle...

— Jakim sposobem?...

— Bardzo prostym — mówił Mefres. — Każ, władco, wypędzić z państwa Fenicjan...

Zdawało się, że pan rzuci się na zuchwałego arcykapłana: zbladł, drżały mu usta i oczy wyszły z orbit. Lecz w jednej chwili pohamował się i rzekł na podziw spokojnym tonem:

— No, dosyć... Jeżeli tylko takich rad potraficie mi udzielać, obejdę się bez nich... Przecież Fenicjanie mają nasze podpisy, że im wiernie spłacimy zaciągnięte długi!... Czy nie przyszło ci to na myśl, Mefresie?...

— Daruj, wasza świątobliwość, ale w tej chwili zajmowały mnie inne myśli. Twoi przodkowie, panie, nie na papirusach, ale na brązie i kamieniach rzeźbili, że dary, złożone przez nich bogom i świątyniom, należą i wiecznie będą należały do bogów i do świątyń.

— I do was — rzekł szyderczo faraon.

— O tyle do nas — odparł zuchwały arcykapłan — o ile państwo należy do ciebie, władco. Pilnujemy tych skarbów i pomnażamy je, ale trwonić ich — nie mamy prawa...

Dyszący gniewem pan opuścił zebranie i poszedł do swego gabinetu. Jego położenie przedstawiło mu się okrutnie jasno.

O nienawiści kapłanów do siebie już nie wątpił. To byli ci sami oszołomieni pychą dostojnicy, którzy w roku zeszłym nie dali mu korpusu Menfi i dopiero zrobili go namiestnikiem, gdy zdawało im się, że spełnił akt pokory, usuwając się z pałacu. Ci sami, którzy kontrolowali każdy jego ruch, składali o nim raporty, ale jemu, następcy tronu, nie powiedzieli nawet o traktacie z Asyrią. Ci sami, co oszukiwali go w świątyni Hator, a nad Sodowymi Jeziorami wymordowali jeńców, którym on przyobiecał łaskę.

Faraon przypomniał sobie ukłony Herhora, spojrzenia Mefresa i ton głosu obydwu. Spod pozorów uprzejmości co chwilę wynurzała się ich duma i lekceważenie jego. On potrzebuje pieniędzy, a oni obiecują mu modlitwy, ba!... ośmielają się mówić, że nie jest wyłącznym władcą Egiptu.

Młody pan mimo woli uśmiechnął się: przyszły mu bowiem na myśl wynajęte pastuchy, którzy właścicielowi trzody mówią, że on nie ma prawa robić z nią tego, co chce!...

Lecz obok strony śmiesznej była tu strona groźna. W skarbie znajdowało się może tysiąc talentów, które według dotychczasowej normy wydatków mogły starczyć na siedem

do dziesięciu dni. A co potem?... Jak zachowają się urzędnicy, służba, a przede wszystkim — wojsko nie tylko nie pobierające żołdu, ale wprost głodne?...

Arcykapłani znali to położenie faraona, a jeżeli nie śpieszą mu z pomocą, więc chcą go zgubić... I to zgubić w ciągu kilku dni, nawet przed pogrzebem ojca.

Ramzes przypomniał sobie pewien wypadek z dzieciństwa.

Był w szkole kapłańskiej, kiedy na święto bogini Mut, między innymi zabawami, sprowadzono najsławniejszego w Egipcie błazna.

Artysta ten udawał nieszczęśliwego bohatera. Gdy rozkazywał — nie słuchano go, na jego gniewy odpowiadano śmiechem; a gdy dla ukarania szyderców schwycił za topór, topór złamał mu się w rękach.

W końcu wypuszczono na niego lwa, a — gdy bezbronny bohater zaczął uciekać, okazało się, że nie goni go lew, ale świnia w lwiej skórze.

Uczniowie i nauczyciele śmieli[361] się do łez z tych przygód; ale mały książę siedział posępny: jemu żal było człowieka, który rwał się do rzeczy wielkich, lecz padał okryty szyderstwem.

Scena ta i uczucia, jakich doznał podówczas, dziś odżyły w pamięci faraona.

„Takim chcą mnie zrobić!..." — rzekł do siebie.

Ogarnęła go rozpacz, bo uczuł, że jednocześnie z wydaniem ostatniego talentu skończy się jego władza, a razem z nią i życie.

Tu jednak nastąpił nagły zwrot. Pan stanął na środku komnaty i rozmyślał.

„Co mnie może spotkać?... Tylko śmierć... Odejdę do moich sławnych przodków, do Ramzesa Wielkiego... A im przecież nie mogę powiedzieć, żem zginął, nie broniąc się... Po nieszczęściach życia ziemskiego spotkałaby mnie hańba wiekuista..."

Jak to, on, zwycięzca znad Sodowych Jezior, miałby ustąpić przed garścią obłudników, z którymi jeden azjatycki pułk nie miałby wielkiego zajęcia?... Więc dlatego, że Mefres i Herhor chcą rządzić Egiptem i faraonem, jego wojska mają cierpieć głód, a milion chłopów nie otrzymać łaski odpoczynku?...

Alboż nie jego przodkowie powznosili te świątynie?... Alboż nie oni wypełnili je łupami?... A kto wygrywał bitwy: kapłani czy żołnierze?... Więc kto ma prawo do skarbów: kapłani czy faraon i jego armia?

Młody pan wzruszył ramionami i wezwał do siebie Tutmozisa. Mimo późnej nocy królewski ulubieniec zjawił się natychmiast.

— Czy wiesz? — rzekł faraon — kapłani odmówili mi pożyczki, pomimo że skarb jest pusty.

Tutmozis wyprostował się.

— Każesz, wasza świątobliwość, zaprowadzić ich do więzienia?... — odparł.

— Zrobiłbyś to?...

— Nie ma w Egipcie oficera, który zawahałby się spełnić rozkaz naszego pana i wodza.

— W takim razie... — mówił powoli faraon — w takim razie... nie trzeba więzić nikogo. Za wiele mam potęgi dla siebie, a pogardy dla nich. Padliny, którą człowiek spotkał na gościńcu, nie zamyka w okutej skrzyni, tylko ją obchodzi...

— Ale hienę sadza się do klatki — szepnął Tutmozis.

— Jeszcze za wcześnie — odparł Ramzes. — Muszę być łaskawym dla tych ludzi przynajmniej do pogrzebu ojca mego. Gdyż inaczej gotowi jego czcigodnej mumii zrobić jakie łotrostwo i zakłócić spokój duszy... A teraz, pójdź jutro do Hirama i powiedz, ażeby przysłał mi tego kapłana, o którym mówiliśmy.

— Tak się stanie. Muszę jednak wspomnieć waszej świątobliwości, że dzisiaj lud napadał domy memfijskich Fenicjan...

— Oho?... To było niepotrzebne.

— Zdaje mi się też — ciągnął Tutmozis — że od czasu kiedy wasza świątobliwość kazałeś Pentuerowi zbadać położenie chłopów i robotników, kapłani podburzają nomarchów i szlachtę... Mówią, panie, że chcesz zrujnować szlachtę dla chłopów...

— I szlachta wierzy temu?...

— Są tacy, którzy wierzą. Ale są i tacy, którzy wręcz odpowiadają, że to jest intryga kapłańska przeciw waszej świątobliwości.

---

[361] *śmieli się* — dziś: śmiali się.

— A gdybym naprawdę chciał poprawić dolę chłopów?... — spytał faraon.

— Uczynisz, panie, to, co ci się podoba — odparł Tutmozis.

— O, taką odpowiedź rozumiem! — zawołał wesoło Ramzes XIII. — Bądź spokojny i powiedz szlachcie, że nie tylko nic nie stracą, spełniając moje rozkazy, ale jeszcze byt ich i znaczenie poprawi się. Bogactwa Egiptu muszą nareszcie być wydarte z rąk niegodnych, a oddane wiernym sługom.

Faraon pożegnał ulubieńca i zadowolony udał się na spoczynek. Jego chwilowa desperacja wydawała mu się teraz rzeczą godną śmiechu.

Nazajutrz, około południa, zameldowano jego świątobliwości, że przyszła deputacja fenickich kupców.

— Czy może chcą skarżyć się za napad na ich domy?... — spytał faraon.

— Nie — odparł adiutant — chcą złożyć hołd.

Istotnie kilkunastu Fenicjan, pod przewodnictwem Rabsuna, przyszli z darami. Gdy pan ukazał im się, upadli na ziemię, po czym Rabsun oświadczył, że starym obyczajem ośmielają się złożyć nikczemną ofiarę u stóp władcy, który im daje życie, a ich majątkom bezpieczeństwo.

Po czym składali na stołach złote misy, łańcuchy i puchary napełnione klejnotami. Zaś Rabsun położył na stopniach tronu tacę z papirusem, gdzie Fenicjanie zobowiązali się dać dla wojska wszelkich rzeczy potrzebnych za dwa tysiące talentów.

Był to dar zacny: wszystko bowiem, co ofiarowali Fenicjanie, przedstawiało sumę trzech tysięcy talentów.

Pan odpowiedział wiernym kupcom bardzo łaskawie, obiecując im swoją opiekę. Pożegnali go uszczęśliwieni.

Ramzes XIII odetchnął: bankructwo skarbu, a więc i konieczność użycia gwałtownych środków przeciw kapłanom odsunęła się na dalsze dziesięć dni.

Wieczorem, znowu pod opieką Tutmozisa, stanął w gabinecie jego świątobliwości dostojny Hiram. Tym razem nie skarżył się na zmęczenie, ale upadł na twarz i jękliwym głosem przeklinał głupiego Dagona.

— Dowiedziałem się — mówił — że ten parch śmiał przypominać waszej świątobliwości naszą umowę o kanał do Morza Czerwonego... Niech on zmarnieje!... niech jego trąd stoczy!... niech jego dzieci zostaną świnopasami, a wnuki Żydami...

Ty zaś, władco, tylko rozkazuj, a ile ma bogactw Fenicja, wszystkie złoży u stóp twoich bez żadnego kwitu i traktatu... Czy to my Asyryjczycy albo... kapłani — dodał szeptem — ażeby nie wystarczało nam jedno słowo tak potężnego mocarza?...

— A gdybym ja, Hiramie, naprawdę zażądał wielkiej sumy? — spytał faraon.

— Jakiej?...

— Na przykład... trzydziestu tysięcy talentów...

— Czy natychmiast?

— Nie, w ciągu roku.

— Będzie ją miał wasza świątobliwość — odpowiedział bez namysłu Hiram.

Pan zdumiał się tej hojności.

— No, ale muszę wam dać zastaw...

— To tylko dla formy — odparł Fenicjanin — da nam wasza świątobliwość na zastaw kopalnie, ażeby nie obudzić podejrzeń kapłanów... Gdyby nie to, Fenicja cała odda się wam bez zastawów i kwitów...

— A kanał?... Czy mam zaraz traktat podpisać? — spytał faraon.

— Wcale nie. Wasza świątobliwość zawrze z nami traktat, kiedy sam zechce...

Ramzesowi zdawało się, że jest podniesiony w górę. W tej chwili dopiero poznał słodycz królewskiej władzy, i to — dzięki Fenicjanom!

— Hiramie! — rzekł, już nie panując nad sobą. — Dziś daję wam, Fenicjanom, pozwolenie na budowę kanału, który połączy Morze Śródziemne z Czerwonym...

Starzec upadł do nóg faraona.

— Jesteś największym królem, jakiego widziano na ziemi! — zawołał.

— Do czasu nie wolno ci mówić o tym nikomu, bo wrogowie mojej sławy czuwają. Abyś jednak miał pewność, daję ci ten oto mój pierścień królewski...

Zdjął z palca pierścień ozdobiony czarodziejskim kamieniem, na którym było wyryte imię Horusa, i włożył go na palec Fenicjaninowi.

— Majątek całej Fenicji jest na twoje rozkazy! — powtarzał głęboko wzruszony Hiram. — Dokonasz, panie, dzieła, które będzie ogłaszało imię twoje, dopóki nie zagaśnie słońce...

Faraon uścisnął jego siwą głowę i kazał mu usiąść.

— A więc jesteśmy sprzymierzeńcami — rzekł po chwili pan — i mam nadzieję, że wyniknie stąd pomyślność dla Egiptu i dla Fenicji...

— Dla całego świata! — wtrącił Hiram.

— Powiedz mi jednak, książę, skąd masz taką ufność we mnie?...

— Znam szlachetny charakter waszej świątobliwości. Gdybyś, władco, nie był faraonem, po kilku latach zostałbyś najznakomitszym kupcem fenickim i naczelnikiem naszej rady...

— Przypuśćmy — odparł Ramzes. — Ależ ja, aby dotrzymać wam obietnic, muszę pierwej zgnieść kapłanów. Jest to walka, a skutek walki niepewny...

Hiram uśmiechnął się.

— Panie — rzekł — gdybyśmy byli tak nikczemni, żebyśmy cię opuścili dzisiaj, kiedy twój skarb jest pusty, a nieprzyjaciele hardzi, przegrałbyś walkę. Bo człowiek pozbawiony środków łatwo traci odwagę, a od ubogiego króla odwraca się i jego armia, i poddani, i dygnitarze...

Ale jeżeli ty, panie, masz nasze złoto i naszych agentów, a swoje wojsko i jenerałów, to z kapłanami tyle będziesz miał kłopotu, ile słoń ze skorpionem. Ledwie postawisz nogę na nich, i już będą rozmiażdżeni...

Wreszcie — to nie moja rzecz. W ogrodzie czeka arcykapłan Samentu, któremu wasza świątobliwość kazałeś przyjść. Ja się usuwam; teraz jego pora... Ale od dostarczania pieniędzy to ja się nie usuwam i do wysokości trzydziestu tysięcy talentów niech wasza świątobliwość rozkazuje...

Hiram znowu upadł na twarz i wyszedł obiecując, że natychmiast przyśle Samentu.

W pół godziny zjawił się arcykapłan. Nie golił on rudej brody i kudłatych włosów, jak przystało na czciciela Seta; twarz miał surową, ale oczy pełne mądrości. Ukłonił się bez zbytniej pokory i spokojnie wytrzymał sięgające do głębi duszy spojrzenie faraona.

— Siądź — rzekł pan.

Arcykapłan usiadł na posadzce.

— Podobasz mi się — mówił Ramzes. — Masz postawę i fizjognomię Hyksosa, a oni są najwaleczniejszymi żołnierzami mojej armii.

Potem nagle zapytał:

— Ty powiedziałeś Hiramowi o traktacie naszych kapłanów z Asyryjczykami?...

— Ja — odparł Samentu, nie spuszczając oka.

— Byłeś uczestnikiem tej niegodziwości?

— Nie. Podsłuchałem tą umowę... W świątyniach, jak w pałacach waszej świątobliwości, mury są podziurawione kanałami, za pośrednictwem których nawet ze szczytu pylonów można słyszeć: co mówi się w podziemiach...

— A z podziemiów[362] można przemawiać do osób mieszkających w górnych komnatach?... — wtrącił faraon.

— I udawać rady bogów — dodał poważnie kapłan.

Faraon uśmiechnął się. Więc przypuszczenie, że to nie duch ojca przemawiał do niego i do matki, tylko kapłani — było prawdziwe!

— Dlaczego powierzyłeś Fenicjanom wielką tajemnicę państwa? — zapytał Ramzes.

— Bo chciałem zapobiec haniebnemu traktatowi, który szkodził zarówno nam, jak i Fenicji.

— Mogłeś ostrzec kogo z dostojnych Egipcjan...

— Kogo?... — zapytał kapłan. — Czy takich, którzy wobec Herhora byli bezsilni, czy takich, którzy by mnie oskarżyli przed nim i narazili na śmierć w męczarniach?... Powiedziałem Hiramowi, bo on stykał się z naszymi dostojnikami, których ja nie widuję nigdy.

[362] *podziemiów* — dziś popr. forma D.: podziemi.

— A dlaczego Herhor i Mefres zawarli podobną umowę? — badał faraon.

— Są to, moim zdaniem, ludzie słabej głowy, których nastraszył Beroes, wielki kapłan chaldejski. Powiedział im, że nad Egiptem przez dziesięć lat będą srożyły się złe losy i że gdybyśmy w ciągu tego czasu rozpoczęli wojnę z Asyrią, zostalibyśmy pobici.

— I oni uwierzyli temu?

— Podobno Beroes pokazywał im cuda... Nawet wzniósł się nad ziemię... Niewątpliwie jest to rzecz dziwna; ale ja nigdy nie zrozumiem: dlaczego mielibyśmy za to stracić Fenicję, że Beroes umie latać nad ziemią?

— Więc i ty nie wierzysz w cuda?...

— Jak w jakie — odparł Samentu. — Zdaje się, że Beroes naprawdę wykonywa[363] rzeczy niezwykłe, ale — nasi kapłani tylko oszukują, zarówno lud, jak i władców.

— Nienawidzisz kapłańskiego stanu?

Samentu rozłożył ręce.

— Oni mnie także nie cierpią, a co gorsze, poniewierają mną niby z tej racji, że służę Setowi. Tymczasem co mi to za bogowie, którym za pomocą sznurków trzeba poruszać głowę i ręce?... Albo co mi to za kapłani, którzy udając pobożnych i powściągliwych mają po dziesięć kobiet, wydatkują po kilkanaście talentów rocznie, kradną ofiary składane na ołtarzach i są mało co mędrsi od uczniów wyższej szkoły?

— Ale ty bierzesz datki od Fenicjan?

— Od kogóż mam brać? Jedni Fenicjanie naprawdę czczą Seta i boją się, aby nie zatapiał im okrętów. U nas zaś szanują go tylko biedacy. Gdybym poprzestawał na ich ofiarach, umarłbym z głodu — ja i moje dzieci.

Faraon pomyślał, że jednak ten kapłan nie jest złym człowiekiem, choć zdradza tajemnice świątyń. A przy tym wydaje się być mądry i mówi prawdę.

— Słyszałeś co — spytał znowu pan — o kanale, który ma połączyć Morze Śródziemne z Czerwonym?

— Znam tą sprawę. Już od kilkuset lat nasi inżynierowie obrobili ten projekt.

— A dlaczego nie wykonano go dotychczas?

— Gdyż kapłani boją się, aby nie napłynęły do Egiptu ludy obce, które mogłyby podkopać naszą religię, a wraz z nią ich dochody.

— A czy prawda jest, co mówił Hiram o ludach mieszkających na dalekim wschodzie?

— Najzupełniejsza. Od dawna wiemy o nich i nie ma dziesiątka lat, ażebyśmy z tamtych krajów nie otrzymali jakiegoś klejnotu, rysunku czy wyrobu.

Faraon znowu zamyślił się i nagle spytał:

— Będziesz mi wiernie służył, gdy zrobię cię moim doradcą?...

— Służyć będę waszej świątobliwości na życie i śmierć. Ale... gdybym został doradcą tronu, oburzyliby się kapłani, którzy mnie nienawidzą.

— Nie sądzisz, że można ich obalić?...

— I bardzo łatwo! — odparł Samentu.

— Jakiż byłby twój plan, gdybym musiał pozbyć się ich?

— Należałoby opanować skarbiec Labiryntu — wykładał kapłan.

— Trafiłbyś do niego?

— Mam już wiele wskazówek, resztę — znajdę, bo wiem, gdzie szukać.

— Cóż dalej? — pytał faraon.

— Należałoby wytoczyć Herhorowi i Mefresowi proces o zdradę państwa za tajemne stosunki z Asyrią...

— A dowody?...

— Znajdziemy je przy pomocy Fenicjan — odparł kapłan.

— Czy nie wynikłyby stąd jakie niebezpieczeństwa dla Egiptu?

[363] *wykonywa* — dziś popr. forma: wykonuje.

— Żadnych. Czterysta lat temu faraon Amenhotep IV obalił władzę kapłanów ustanowiwszy wiarę w jednego tylko bożka[364] Re Harmachis[365]. Rozumie się, że przy tej sposobności zabrał skarby ze świątyń innych bogów... Otóż wówczas ani lud, ani wojsko, ani szlachta nie ujęli się za kapłanami... Cóż dopiero dziś, gdy dawna wiara bardzo osłabła!...

— Kto to pomagał Amenhotepowi? — zapytał faraon.

— Prosty kapłan Ey[366].

— Ale który po śmierci Amenhotepa IV został dziedzicem jego tronu — rzekł Ramzes, bystro patrząc w oczy kapłanowi.

Lecz Samentu odpowiedział spokojnie:

— Wypadek ten dowodzi, że Amenhotep był niedołężnym władcą, który więcej dbał o cześć Re aniżeli o państwo.

— Zaprawdę, jesteś prawdziwym mędrcem!... — rzekł Ramzes.

— Do usług waszej świątobliwości.

— Mianuję cię moim doradcą — mówił faraon. — No, ale w takim razie nie możesz odwiedzać mnie po kryjomu, tylko zamieszkasz u mnie...

— Wybacz, panie, ale dopóki członkowie najwyższej rady nie osiądą w więzieniu za umawianie się z nieprzyjaciółmi państwa, moja obecność w pałacu przyniesie więcej szkody aniżeli dobrego...

Będę więc służył i radził waszej świątobliwości, ale — potajemnie...

— I znajdziesz drogę do skarbca w Labiryncie?

— Mam nadzieję, że nim wrócisz, panie, z Tebów, uda mi się ta sprawa.

A gdy przeniesiemy skarb do waszego pałacu, gdy sąd potępi Herhora i Mefresa, których wasza świątobliwość może potem ułaskawić, wówczas za waszym pozwoleniem wystąpię jawnie... I przestanę być kapłanem Seta, który tylko ludzi odstrasza ode mnie...

— I myślisz, że wszystko dobrze pójdzie?...

— Życie stawiam!... — zawołał kapłan. — Lud kocha waszą świątobliwość, więc łatwo go podburzyć przeciw zdradzieckim dostojnikom... Wojsko jest wam posłuszne jak żadnemu z faraonów od czasu Ramzesa Wielkiego... Więc któż się oprze?... A w dodatku wasza świątobliwość ma za sobą Fenicjan i pieniądze, największą siłę na świecie!...

Gdy Samentu żegnał faraona, pan zezwolił mu ucałować swoje nogi i darował ciężki złoty łańcuch tudzież bransoletę, ozdobioną szafirami.

Nie każdy dostojnik zdobywał podobne łaski w ciągu całych lat służby.

Odwiedziny i obietnice Samentu nową otuchą napełniły serce faraona.

Gdybyż udało się pozyskać skarb Labiryntu!... Za drobną jego część można by uwolnić szlachtę od fenickich długów, poprawić dolę chłopów i wykupić zastawione majątki dworskie.

A jakimi budowlami wzbogaciłoby się państwo...

Tak, fundusze Labiryntu mogły usunąć wszystkie kłopoty faraona. Bo i cóż z tego, że Fenicjanie ofiarowują mu wielką pożyczkę? Pożyczkę trzeba kiedyś spłacić wraz z pro-

---

[364] *Czterysta lat temu faraon Amenhotep IV obalił władzę kapłanów, ustanowiwszy wiarę w jednego tylko bożka* — Amenhotep IV Echnaton (1352–1336 p.n.e.), faraon XVIII dynastii, wprowadził kult jedynego boga: Atona, bóstwa słońca. Zmienił swoje dotychczasowe powiązane z Amonem imię na imię odwołujące się do Atona, tak samo swoje tytuły królewskie. Przeniósł stolicę państwa z Teb, siedziby Amona, do nowo wybudowanego miasta Achetaton („Horyzont Atona"). Zarzucił finansowanie świątyń tradycyjnych bogów. Zaprzestał wspominania w tekstach państwowych i religijnych imion innych bogów i nakazał ich wymazywanie z istniejących inskrypcji, szczególnie imienia Amona. Niedługo po śmierci Echnatona reforma upadła. Przywrócono tradycyjne kulty, świątynie Atona zniszczono, a wszelkie ślady po Echnatonie starano się wymazać. Akcja powieści rozgrywa się ok. 1085 p.n.e., więc oszacowanie czasu podane przez autora jest błędne.

[365] *Re Harmachis* (gr.), *Re Horachte* — „Re [jako] Horus Horyzontów", połączenie jednego z naczelnych egipskich bogów, bóstwa słońca w pełni dnia, Re, z Horachte, czyli Horusem w jego solarnym (słonecznym) aspekcie. Używane na określenie przejawu boga-słońca podróżującego po niebie. W czasach reformy Echnatona imię Re Horachte występuje jako element oficjalnego opisowego tytułu jedynego boga Atona, często skracanego do określenia Ra-Horus-Aton.

[366] *Prosty kapłan Ey* — Aj (lub Eje), którego pochodzenie nie jest znane, był być może synem pary dostojników Juja i Czuju. Pełnił wysokie funkcje państwowe za panowania Amenhotepa IV Echnatona oraz jego następców: Semenechkare i Tutenchamona. Za panowania małoletniego Tutenchamona wspólnie z dowódcą wojska Horemhebem został regentem i sprawował faktyczną władzę. Po bezpotomnej śmierci Tutenchamona ogłosił się faraonem (1327–1323 p.n.e.).

centami i prędzej czy później oddać w zastaw resztę królewskich majątków. Było to więc tylko odsunięciem ruiny, ale nie zapobieżeniem jej.

ROZDZIAŁ VII

W połowie miesiąca Famenut (styczeń) zaczęła się wiosna. Cały Egipt zielenił się wschodzącą pszenicą, na czarnych zaś płatach ziemi snuły się gromady chłopów siejących łubin, bób, fasolę i jęczmień. W powietrzu unosił się zapach pomarańczowego kwiatu. Woda bardzo opadła i co dzień odsłaniała nowe kawałki gruntów.

Przygotowania do pogrzebu Ozyrys-Mer-amen-Ramzesa były ukończone.

Czcigodna mumia króla była już zamknięta w białym pudle, którego górna część doskonale odtwarzała rysy nieboszczyka. Faraon zdawał się patrzeć emaliowymi oczyma, a boska twarz wyrażała smutek łagodny, nie za światem, który opuścił, lecz nad ludźmi jeszcze skazanymi na utrapienie doczesnego żywota.

Na głowie wizerunek faraona miał czepiec egipski w białe i szafirowe pasy, na szyi sznury klejnotów, na piersiach obraz człowieka klęczącego z rozkrzyżowanymi rękoma, na nogach wizerunki bożków, świętych ptaków i oczu nie osadzonych w żadnej twarzy, lecz jakby wyglądających z przestrzeni.

Tak opakowane zwłoki króla spoczywały na kosztownym łożu, w małej cedrowej kaplicy, której ściany były pokryte napisami opiewającymi żywot i czyny zmarłego. Nad zwłokami unosił się cudowny jastrząb z ludzką głową, a przy łożu, dniem i nocą, czuwał kapłan przebrany za Anubisa, bożka pogrzebu, z głową szakala.

Prócz tego przygotowano ciężki, bazaltowy sarkofag, który stanowił zewnętrzną trumnę mumii. Sarkofag miał także formy i rysy zmarłego faraona, był pokryty napisami i wizerunkami modlących się ludzi, świętych ptaków tudzież skarabeuszów.

Siedemnastego Famenut mumię wraz z jej kaplicą i sarkofagiem przeniesiono z dzielnicy zmarłych do królewskiego pałacu i ustawiono w największej sali.

Salę tą wnet zapełnili kapłani śpiewający hymny żałobne, dworzanie i słudzy zmarłego króla, a nade wszystko jego kobiety, które jęczały tak głośno, że ich krzyki słychać było aż na drugiej stronie Nilu.

— O panie!... o panie nasz!... — wołały — dlaczego nas opuszczasz?... Ty taki piękny, taki dobry?... Który tak chętnie rozmawiałeś z nami, teraz milczysz, i dlaczego?... Przecie lubiłeś nasze towarzystwo, a dziś tak daleko jesteś od nas?...

A przez ten czas kapłani śpiewali:

Chór I. „Ja jestem Tum, który jedynym jest...

Chór II. Jestem Re w pierwszym jego blasku...

Chór I. Jestem bogiem, który sam siebie stwarza...

Chór II. Który sam sobie daje imię, a nikt go nie wstrzyma między bogami...

Chór I. Znam imię wielkiego boga, który tam jest...

Chór II. Gdyż ja jestem wielki ptak Benu[367], który próbuje to, co jest[368]."

Po dwu dniach jęków i nabożeństw zajechał przed pałac wielki wóz w formie łodzi. Jej końce były ozdobione baranimi głowami i wachlarzami z piór strusich, a nad kosztownym baldachimem unosił się orzeł i wąż ureus, symbol władzy faraona.

Na ten wóz włożono świątobliwą mumię, pomimo gwałtownego oporu kobiet dworskich. Jedne z nich czepiały się trumny, inne zaklinały kapłanów, ażeby nie zabierali im dobrego pana, inne drapały sobie oblicza i targały włosy, a nawet biły ludzi niosących zwłoki.

Krzyk był straszliwy.

Nareszcie wóz, przyjąwszy boskie ciało, ruszył wśród mnóstwa ludu, który zaległ ogromną przestrzeń od pałacu do Nilu. I tu byli ludzie pomazani błotem, podrapani, okryci żałobnymi płachtami, którzy zawodzili wniebogłosy. A obok nich, zgodnie z rytuałem żałobnym, na całej drodze były rozrzucone chóry.

---

[367]*ptak Benu* — święty ptak czczony w Heliopolis. Powstał sam z siebie na początku świata i unosił się ponad prawodami, a następnie spoczął na pierwszym pagórku stałego lądu, który się z tych wód wyłonił. Pierwowzór feniksa.

[368]*Ja jestem Tum [...] Gdyż ja jestem wielki ptak Benu, który próbuje to, co jest — Księga Zmarłych.* [przypis autorski]

Chór I. „Na Zachód, do mieszkania Ozyrysa, na Zachód idziesz ty, który byłeś najlepszym z ludzi, który nienawidziłeś fałszu.

Chór II. Na Zachód! nie zakwitnie już człowiek, który tak kochał prawdę i miał w obrzydzeniu kłamstwo.

Chór woźniców. Na Zachód, woły, które ciągniecie wóz żałobny, na Zachód!... Pan wasz idzie za wami.

Chór III. Na Zachód, na Zachód, do ziemi sprawiedliwych. Miejsce, które ukochałeś, jęczy i płacze po tobie.

Tłum ludu. Idź w pokoju do Abydos!... Idź w pokoju do Abydos!... Obyś doszedł w pokoju do Zachodu tebańskiego!...

Chór płaczek. O panie nasz, o panie nasz, kiedy ty odchodzisz na Zachód, sami bogowie płaczą.

Chór kapłanów. On jest szczęśliwy, najszanowniejszy między ludźmi, ponieważ los pozwala mu odpocząć w grobie, który sam przygotował...

Chór woźniców. Na Zachód, woły, które ciągniecie wóz żałobny, na Zachód!... Pan wasz idzie za wami...

Tłum ludu. Idź w pokoju do Abydos... Idź w pokoju do Abydos, ku Morzu Zachodniemu[369]!"

Co paręset kroków stał oddział wojska witający pana głuchym łoskotem bębnów i żegnający go przeraźliwym odgłosem trąb. Nie był to pogrzeb, ale marsz triumfalny do kraju bogów.

W pewnej odległości za wozem szedł Ramzes XIII otoczony wielką świtą jenerałów[370], a za nim królowa Nikotris oparta na dwu damach dworskich. Ani syn, ani matka nie płakali, ponieważ im było wiadomo (o czym nie wiedział lud prosty), że zmarły pan już znajduje się u boku Ozyrysa i z pobytu w ojczyźnie szczęśliwości jest tak zadowolony, że nie chciałby wrócić na ziemię.

Po parugodzinnym pochodzie, któremu towarzyszył nieustanny krzyk, zwłoki zatrzymały się nad brzegiem Nilu.

Tu zdjęto je z wozu w formie łodzi i przeniesiono na prawdziwy statek złocony, rzeźbiony, pokryty malowidłami, zaopatrzony w białe i purpurowe żagle.

Dworskie kobiety jeszcze raz próbowały odebrać mumię kapłanom; jeszcze raz odezwały się wszystkie chóry i wszystkie muzyki wojskowe. Potem na statek wiozący mumię królewską weszła pani Nikotris i kilkunastu kapłanów, lud począł rzucać bukiety i wieńce i — zaszumiały wiosła...

Ramzes XII po raz ostatni opuścił swój pałac, dążąc Nilem do grobu w Tebach. Po drodze zaś, jako troskliwy władca, miał wstępować do wszystkich słynnych miejscowości, aby pożegnać się z nimi.

Podróż ciągnęła się bardzo długo. Do Tebów było ze sto mil, płynęło się w górę rzeki, wzdłuż której mumia musiała odwiedzić kilkanaście świątyń i przyjmować udział w uroczystych nabożeństwach.

W kilka dni po wyjeździe Ramzesa XII na wiekuisty spoczynek wyruszył za nim Ramzes XIII, aby widokiem swoim wskrzesić martwe z żalu serca poddanych, przyjąć ich hołdy i złożyć ofiary bogom.

Za zmarłym panem odjechali, każdy na własnym statku, wszyscy arcykapłani, wielu starszych kapłanów, najbogatsi właściciele ziemscy i większa część nomarchów. Toteż nowy faraon myślał nie bez goryczy, że jego orszak będzie bardzo nieliczny.

Stało się jednak inaczej. Przy boku Ramzesa XIII znaleźli się wszyscy jenerałowie, bardzo wielu urzędników, mnóstwo drobnej szlachty i — całe niższe duchowieństwo, co bardziej nawet zdziwiło, aniżeli ucieszyło faraona.

Był to dopiero początek. Gdy bowiem statek młodego pana wypłynął na Nil, wyjechała naprzeciw niego taka masa większych i mniejszych, ubogich i bogatych czółen, że prawie zasłoniły wodę. Siedziały w nich nagie rodziny chłopów i rzemieślników, strojni kupcy, jaskrawi Fenicjanie, zwinni żeglarze greccy, a nawet Asyryjczycy i Hetyci.

---

[369] *Na Zachód, do mieszkania Ozyrysa [...] Idź w pokoju do Abydos, ku Morzu Zachodniemu* — autentyczne wyrażenia. [przypis autorski]

[370] *jenerał* — dziś popr.: generał.

Tłum ten już nie krzyczał, ale wył; nie cieszył się, ale szalał. Co chwilę na statek królewski wdzierała się jakaś deputacja, aby ucałować pokład, którego dotykały nogi pańskie, i złożyć dary: garstkę zboża, kawałek tkaniny, prosty gliniany dzbanek, parę ptaszków, a nade wszystko wiązankę kwiatów. Toteż zanim faraon ominął Memfis, jego statek trzeba było kilka razy opróżnić z podarunków, ażeby nie zatonął.

Młodsi kapłani mówili między sobą, że oprócz Ramzesa Wielkiego żaden faraon nie był witany z tak olbrzymim zapałem.

W podobny sposób odbyła się cała podróż od Memfisu do Tebów, a szał ludu, zamiast słabnąć, potęgował się. Chłopi rzucili swoje pola, a rzemieślnicy warsztaty, aby nacieszyć się widokiem nowego władcy, o którego zamiarach już utworzyły się legendy. Spodziewano się ogromnych zmian, choć nikt nie wiedział jakich. To tylko było pewne, że surowość urzędników złagodniała, że Fenicjanie w mniej bezwzględny sposób wybierali podatki i że pokorny zazwyczaj lud egipski zaczął podnosić głowę wobec kapłanów.

— Niech tylko faraon pozwoli — mówiono w szynkowniach, na polach i na rynkach — a zaraz ład zrobimy ze świętymi mężami... Oni to są winni, że płacimy wielkie podatki, że rany nigdy nie goją się na naszych plecach!...

O siedem mil na południe od Memfisu leżał między rozgałęzieniami gór libijskich kraj Piom albo Fajum, dziwny tym, że stworzyły go ludzkie ręce.

Kiedyś w tym miejscu była pustynia zaklęśnięta i otoczona amfiteatrem gór nagich. Dopiero faraon Amenhemat na 3500 lat przed Chrystusem[371] powziął zuchwały projekt zamienienia jej na żyzną okolicę.

W tym celu oddzielił od reszty wschodnią część zaklęśnięcia i otoczył ten kawałek potężną groblą. Miała ona wysokość piętrowego domu, grubości w podstawie około stu kroków i przeszło czterdzieści kilometrów długości.

Tym sposobem utworzono zbiornik mogący pomieścić ze trzy miliardy metrów kubicznych, trzy kilometry sześcienne wody, której powierzchnia zajmowała około trzystu kilometrów kwadratowych. Rezerwoar[372] ten służył do nawadniania czterechset tysięcy morgów gruntu, a oprócz tego, w czasach przyboru rzeki, wchłaniał w siebie nadmiar wody i znaczną część Egiptu zabezpieczał od nagłego zalewu.

To olbrzymie nagromadzenie wód nazywano jeziorem Moeris i zaliczano je do cudów świata. Dzięki niemu pustynna dolina zamieniła się na żyzny kraj Piom, gdzie żyło w dobrobycie około dwustu tysięcy mieszkańców. W prowincji tej, obok palm i pszenicy, hodowano najpiękniejsze róże, z których olejek rozchodził się po całym Egipcie i za jego granicami.

Istnienie jeziora Moeris było związane z innym cudem pracy egipskich inżynierów, z kanałem Józefa[373].

Kanał ten, szeroki na dwieście kroków, ciągnął się przez kilkadziesiąt mil na zachodniej stronie Nilu. Odległy od rzeki o dwie mile, służył do nawadniania gruntów sąsiadujących z górami libijskimi i — prowadził wodę do jeziora Moeris.

Dokoła kraju Piom wznosiło się kilka starych piramid i mnóstwo mniejszych grobów. Zaś na jego wschodniej granicy, w pobliżu Nilu, stał słynny Labirynt (Lope-ro-hunt). Był on również zbudowany przez Amenhemata, a miał formę olbrzymiej podkowy, która zajmowała kawał gruntu na tysiąc kroków długi i sześćset szeroki.

Gmach ten był największą skarbnicą Egiptu. W nim spoczywały mumie wielu sławnych faraonów, znakomitych kapłanów, wodzów i budowniczych. Tu również leżały zwłoki czczonych zwierząt, a przede wszystkim krokodylów. Tu nareszcie chronił się nagromadzony w ciągu wieków majątek państwa egipskiego, o którym trudno mieć dziś pojęcie.

---

[371] *faraon Amenhemat na 3500 lat przed Chrystusem* — Amenemhat III (1855–1808 p.n.e.) z XII dynastii, budowniczy i organizator. Wzniósł tamę na kanale łączącym Nil i jezioro Moeris, ulepszył system irygacyjny oazy Fajum. Rozbudował kopalnie i kamieniołomy i wprowadził stały system ich nadzoru. W datowaniu autor powieści oparł się na uznawanej przez część uczonych w jego czasach, tzw. „długiej chronologii" Egiptu, współcześnie odrzuconej.

[372] *rezerwoar* — dziś popr.: rezerwuar.

[373] *kanał Józefa* — Bahr Jusuf (aramejskie), kanał łączący Nil z położonym w centrum oazy Fajum jeziorem Moeris. Zbudowany za panowania XII dynastii w naturalnym obniżeniu terenu utworzonym w czasach prehistorycznych przez wielkie wylewy Nilu. Budowie kanału, pracom melioracyjnym i zagospodarowaniu oazy poświęcił swoje panowanie Senuseret II (1880–1874 p.n.e.), zakończył ją jego wnuk Amenemhat III (1855–1808 p.n.e.).

Labirynt nie był ani niedostępny z zewnątrz, ani zbyt pilnowany. Strzegł go mały oddział wojsk kapłańskich i kilku kapłanów wypróbowanej uczciwości. Bezpieczeństwo skarbca polegało właściwie na tym, że z wyjątkiem owych kilku osób nikt nie wiedział, gdzie go szukać wśród Labiryntu, który dzielił się na dwa piętra: nadziemne i podziemne, i — w każdym z nich — liczył po tysiąc pięćset komnat...

Bogactwo, Świętokradztwo, Tajemnica

Każdy faraon, każdy arcykapłan, nareszcie każdy wielki skarbnik i najwyższy sędzia miał obowiązek natychmiast po objęciu urzędu własnymi oczyma obejrzeć majątek państwa. Lecz mimo to żaden z dostojników nie tylko nie trafiłby tam, ale nawet nie mógł zmiarkować: gdzie leży skarbiec? W korpusie głównym czy w którym ze skrzydeł, nad ziemią czy pod ziemią.

Byli tacy, którym zdawało się, że skarbiec naprawdę mieści się pod ziemią, daleko za obrębem właściwego Labiryntu. Nie brakło zaś i takich, którzy sądzili, że skarbiec leży pod dnem jeziora, aby w razie potrzeby można go wodą zalać. Wreszcie żaden dostojnik państwa nie lubił zajmować się tą kwestią, wiedząc, że pokuszenie się na majątek bogów pociąga za sobą zgubę świętokradcy.

Może zresztą niewtajemniczeni potrafiliby odkryć tam drogę, gdyby myśli ich nie paraliżowała obawa. Śmierć doczesna i wieczna groziła człowiekowi i jego rodzinie, który ośmieliłby się bezbożnym umysłem odsłaniać podobne tajniki.

Przybywszy w te strony, Ramzes XIII zwiedził przede wszystkim prowincję Fajum. Wyglądała ona jak wnętrze głębokiej misy, której dnem było jezioro, a brzegami wzgórza. Gdzie zwrócił oczy, wszędzie spotykał soczystą zieloność traw upstrzonych kwiatami, kępy palm, gaje fig i tamaryndusów, wśród których od wschodu do zachodu słońca rozlegał się śpiew ptaków i wesołe głosy ludzkie.

Był to bodajże najszczęśliwszy kąt Egiptu.

Lud przyjął faraona z ogromnym zapałem. Jego i świtę zasypywano kwiatami, ofiarowano mu kilka dzbanków najkosztowniejszych perfum i za dziesięć talentów złota i drogich kamieni.

Dwa dni zabawił pan w rozkosznej okolicy, gdzie radość zdawała się wykwitać z drzew, pływać w powietrzu, przeglądać w wodzie jeziora. Lecz przypomniano mu, że musi zwiedzić Labirynt.

Opuścił Piom z westchnieniem i jadąc oglądał się z drogi. Wnet jednak uwagę jego pochłonął olbrzymi gmach szarej barwy, majestatycznie rozsiadający się na wzgórzu.

Przy bramie wiekopomnego Lope-ro-hunt powitała go gromadka kapłanów o ascetycznej powierzchowności tudzież mały oddziałek wojska, w którym każdy żołnierz był zupełnie ogolony.

— Ci ludzie wyglądają jak kapłani!... — zawołał Ramzes.

— Bo też każdy z nich odebrał niższe święcenia, a setnicy wyższe — odpowiedział arcykapłan gmachu.

Przypatrzywszy się uważniej fizjognomiom tych dziwnych żołnierzy, którzy nie jadali mięsa i żyli w celibacie, faraon dojrzał w nich bystrość i spokojną energię. Poznał też, że jego święta osoba żadnego wrażenia nie wywołuje w tym miejscu.

„Bardzom ciekawy, w jaki sposób trafi tutaj Samentu?..." — rzekł do siebie pan.

Zrozumiał, że tych ludzi nie można ani nastraszyć, ani przekupić. Taka biła od nich pewność siebie, jakby każdy miał do swego rozporządzenia niezwalczone pułki duchów.

„Zobaczymy — pomyślał — czy ulękną się tych bogobojnych mężów moi Grecy i Azjaci?... Na szczęście są oni tak dzicy, że nawet nie poznają się na uroczystych minach..."

Na prośbę kapłanów świta Ramzesa XIII została przed bramą, jakby pod dozorem żołnierzy z ogolonymi głowami.

— Czy i miecz mam tu zostawić? — zapytał faraon.

— Nic on nam nie zaszkodzi — odparł najwyższy dozorca.

Młody pan miał ochotę przynajmniej wypłazować pobożnego męża za taką odpowiedź. Ale pohamował się.

Przez ogromny dziedziniec, między dwoma szeregami sfinksów, faraon i kapłani weszli do głównego korpusu. Tu, w sieni bardzo obszernej, lecz nieco przyćmionej, było ośmioro drzwi, a dozorca zapytał:

— Którymi drzwiami wasza świątobliwość chce dostać się do skarbca?

— Tymi, które doprowadzą nas najprędzej.

Każdy z pięciu kapłanów wziął po dwa pęki pochodni, ale zapalił światło tylko jeden. Obok niego stanął najwyższy dozorca, trzymając w rękach duży sznur paciorków, na których wypisane były jakieś znaki. Za nimi zaś szedł Ramzes otoczony przez trzech pozostałych kapłanów.

Arcykapłan z paciorkami zwrócił się na prawo i wszedł do wielkiej sali, której ściany i kolumny były pokryte napisami i figurami. Stamtąd dostali się do ciasnego korytarza, który prowadził pod górę, i znaleźli się w innej sali odznaczającej się wielką ilością drzwi. Tu usunęła się przed nimi tafla w podłodze, odsłaniając otwór, przez który zeszli na dół, i — znowu przez ciasny korytarz podążyli do komnaty, która nie miała żadnych drzwi.

Ale przewodnik dotknął jednego hieroglifu i — usunęła się przed nim ściana.

Ramzes chciał zdać sobie sprawę z kierunku, w jakim idą; lecz wnet splątała mu się uwaga. Widział tylko, że śpiesznie przechodzą duże sale, małe komnaty, ciasne korytarze, że wdrapują się pod górę lub zbiegają na dół, że niektóre sale mają mnóstwo drzwi, a inne wcale ich nie posiadają. Zarazem spostrzegł, że przewodnik przy każdym nowym wejściu przesuwa jedno ziarnko swego długiego różańca, a niekiedy przy blasku pochodni porównywa[374] znaki na paciorkach ze znakami na ścianach.

— Gdzież teraz jesteśmy — nagle zapytał faraon — w podziemiu czy na górze?...

— Jesteśmy w mocy bogów — odparł jego sąsiad.

Po kilku zakrętach i przejściach faraon znowu odezwał się:

— Ależ myśmy tu już byli, bodajże ze dwa razy!...

Kapłani milczeli, tylko niosący pochodnią oświetlił kolejno ściany, a Ramzes przypatrzywszy się wyznał w duchu, że chyba tu jeszcze nie byli.

W małej komnacie bez drzwi zniżono pochodnię i faraon spostrzegł na ziemi wyschłe, czarne zwłoki, owinięte zbutwiałą szatą.

— To — rzekł dozorca gmachu — jest trup pewnego Fenicjanina, które za szesnastej dynastii probował wedrzeć się do Labiryntu i doszedł aż tutaj.

— Zabito go? — spytał faraon.

— Umarł z głodu.

Labirynt

Szli już z pół godziny, gdy kapłan niosący pochodnią oświetlił framugę korytarza, gdzie równie leżały wysuszone zwłoki.

— To — mówił dozorca — jest trup kapłana nubijskiego, który za czasów dziada waszej świątobliwości probował tu wejść...

Faraon nie pytał, co się z nim stało. Miał wrażenie, że znajduje się w jakiejś głębi i że gmach przygniata go swym ciężarem. O zorientowaniu się wśród setek korytarzy, sal i komnat już nie myślał. A nawet nie pragnął wyjaśnić sobie: jakim cudem rozstępują się przed nimi kamienne ściany lub zapadają posadzki.

„Samentu nic nie zrobi!... — mówił w duchu. — Albo zginie jak ci dwaj, o których muszę mu nawet powiedzieć."

Bohaterstwo, Niebezpieczeństwo

Takiego zgnębienia, takiego uczucia niemocy i nicości nigdy jeszcze nie doznał. Chwilami zdawało mu się, że kapłani zostawią go w jednej z ciasnych komnat pozbawionych drzwi. Wówczas ogarniała go rozpacz: sięgał do miecza i gotów był ich porąbać. Ale wnet przypominał sobie, że bez ich pomocy nie wyjdzie stąd, i — spuszczał głowę.

O, gdyby choć na chwilę zobaczyć światło dzienne!... Jakże straszną musi być śmierć między trzema tysiącami tych komnat wypełnionych mrokiem lub ciemnością!...

Dusze bohaterskie miewają chwile głębokiego znękania, jakich nawet nie domyśla się człowiek zwykły.

Pochód trwał blisko godzinę, gdy nareszcie weszli do niskiej sali wspartej na ośmiokątnych słupach. Trzej kapłani otaczający faraona rozpierzchli się, przy czym Ramzes spostrzegł, że jeden z nich przytulił się do kolumny i — jakby znikł w jej wnętrzu.

Po chwili w jednej ze ścian odsłonił się wąski otwór, kapłani wrócili na swoje miejsca, a ich przewodnik kazał zapalić cztery pochodnie. Po czym wszyscy skierowali się do owego otworu i ostrożnie przecisnęli się przezeń.

— Oto są komory... — rzekł dozorca gmachu.

[374] *porównywa* — dziś popr.: porównuje.

Kapłani szybko zapalili pochodnie przytwierdzone do kolumn i ścian i Ramzes zobaczył szereg ogromnych izb przepełnionych najrozmaitszymi wyrobami bezcennej wartości. W zbiorze tym każda dynastia, jeżeli nie każdy faraon składał, co miał najosobliwszego i najdroższego.

Więc były wozy, czółna, łóżka, stoły, skrzynie i trony złote lub złotą blachą obite tudzież inkrustowane: kością słoniową, perłową masą i kolorowym drzewem tak ozdobnie, że drobiazgi te artyści-rzemieślnicy wyrabiali przez dziesiątki lat. Były zbroje, hełmy, tarcze i kołczany lśniące od drogich kamieni. Były szczerozłote dzbany, misy i łyżki, kosztowne szaty i baldachimy.

Wszystko to, dzięki suchości i czystości powietrza, od wieków przechowywało się bez zmiany.

Między osobliwościami faraon zauważył srebrny model asyryjskiego pałacu, ofiarowany Ramzesowi XII przez Sargona. Arcykapłan objaśniając faraonowi, który dar od kogo pochodzi, pilnie przypatrywał się jego fizjognomii. Ale zamiast podziwu dla skarbów dostrzegł niezadowolenie.

— Powiedz mi, wasza dostojność — zapytał faraon nagle — jaka jest korzyść z tych skarbów zamkniętych w ciemnicy?...

— Jest w nich wielka siła na wypadek, gdyby Egipt znalazł się w niebezpieczeństwie — odparł arcykapłan. — Za kilka tych hełmów, wozów, mieczów możemy kupić sobie życzliwość wszystkich asyryjskich satrapów. A może nie oparłby się i król Assar, gdybyśmy mu dostarczyli sprzętów do sali tronowej lub zbrojowni.

— Myślę, że oni woleliby zabrać wszystko mieczem od nas aniżeli trochę — życzliwością dla nas — wtrącił pan.

— Niech spróbują!... — rzekł kapłan.

— Rozumiem... Macie widać sposoby zniszczenia skarbów. Ale w takim razie już nikt z nich nie skorzysta.

— Nie mój w tym rozum — odparł najwyższy dozorca. — Pilnujemy, co nam oddano, i czynimy, jak kazano.

— Czy nie lepiej byłoby użyć cząstki tych skarbów na zasilenie kasy państwa i podźwignięcie Egiptu z niedoli, w jakiej jest dziś pogrążony? — spytał faraon.

— To nie zależy od nas.

Faraon zmarszczył brwi. Jakiś czas oglądał przedmioty bez wielkiego zresztą zapału, wreszcie znowu zapytał:

— Dobrze. Te kunsztowne wyroby przydać się mogą na zjednanie życzliwości asyryjskich dostojników. Ale gdyby wybuchła wojna z Asyrią, czym wydobylibyśmy: zboże, ludzi i broń od narodów, które nie znają się na osobliwościach?

— Otworzyć skarbiec — rzekł arcykapłan.

I tym razem kapłani rozbiegli się: dwaj znikli jakby we wnętrzu kolumn, a jeden po drabince wszedł na ścianę i coś robił około rzeźbionej figurki.

Znowu usunęły się ukryte drzwi i Ramzes wszedł do właściwego skarbca.

I to była rozległa komnata przepełniona bezcennymi materiałami. Stały w niej gliniane beczki pełne złotego piasku, bryły złota ułożone jak cegły i złote sztaby w wiązkach. Srebrne bryły ustawione pod jedną ścianą tworzyły niby mur szeroki na parę łokci, wysoki do sufitu.

We framugach i na kamiennych stołach leżały drogie kamienie wszystkich barw: rubiny, topazy, szmaragdy, szafiry, diamenty, wreszcie perły wielkości orzechów, a nawet ptasich jaj. Za niejeden z tych klejnotów można było kupić miasto.

— Oto jest nasz majątek na wypadek nieszczęścia — rzekł kapłan-dozorca.

— Na jakie wy nieszczęścia czekacie? — zapytał faraon. — Lud biedny, szlachta i dwór zadłużeni, armia do połowy zmniejszona, faraon nie ma pieniędzy... Czy kiedykolwiek Egipt znajdował się w gorszym położeniu?...

— Był w gorszym, kiedy go podbili Hyksosi.

— Za kilkanaście lat — odparł Ramzes — podbiją nas nawet Izraelici, jeżeli nie uprzedzą ich Libijczycy i Etiopowie. A wówczas te piękne kamienie, rozbite na okruchy, pójdą na przyozdobienie żydowskich i murzyńskich sandałów...

— Bądź spokojnym, wasza świątobliwość. W razie potrzeby nie tylko skarbiec, ale nawet Labirynt zniknie bez śladu, razem ze swymi dozorcami.

Ramzes ostatecznie zrozumiał, że ma przed sobą fanatyków, którzy myślą tylko o jednym: ażeby nikogo nie dopuścić do owładnięcia skarbem.

Faraon usiadł na stosie złotych cegieł i rzekł:

— Więc majątek ten zachowujecie na złe czasy Egiptu?

— Prawdę mówisz, świątobliwy panie.

— Dobrze. Ale kto was, dozorców, przekona, że takie czasy nadeszły, gdyby nadeszły?

— Do tego musi być zwołane nadzwyczajne zgromadzenie rodowitych Egipcjan, w którym zasiądzie: faraon, trzynastu kapłanów wyższego stopnia, trzynastu nomarchów, trzynastu szlachty, trzynastu oficerów i po trzynastu kupców, rzemieślników i chłopów.

— Więc takiemu zgromadzeniu oddalibyście skarby? — spytał faraon.

— Dalibyśmy sumę potrzebną, gdyby całe zgromadzenie jak jeden mąż uchwaliło, że — Egipt jest w niebezpieczeństwie i...

— I co?...

— I gdyby posąg Amona w Tebach potwierdził tę uchwałę.

Ramzes spuścił głowę, ażeby ukryć wyraz wielkiego zadowolenia. Już miał plan.

„Zgromadzenie takie potrafię zebrać i skłonić go[375] do jednomyślności... — mówił sobie. — Również zdaje mi się, że boski posąg Amona potwierdzi uchwałę, gdy jego kapłanów otoczę moimi Azjatami..."

— Dziękuję wam, pobożni mężowie — rzekł głośno — za pokazanie cennych rzeczy, których jednak wielka wartość nie przeszkadza mi być najuboższym z królów świata. A teraz proszę, ażebyście mnie wyprowadzili stąd krótszą i wygodniejszą drogą.

— Życzymy waszej świątobliwości — odparł dozorca — abyś drugie tyle bogactw dołożył Labiryntowi... Co się zaś tyczy drogi do wyjścia stąd, jest tylko jedna i tą samą musimy wracać.

Jeden z kapłanów podał Ramzesowi trochę daktyli, drugi flaszę wina zaprawionego wzmacniającą substancją. Po czym faraon odzyskał siły i szedł wesoło.

— Dużo bym dał — mówił, śmiejąc się — ażeby zrozumieć wszystkie zakręty tej dziwacznej drogi!...

Kapłan przewodniczący zatrzymał się.

— Zapewniam waszą świątobliwość — rzekł — że my sami nie rozumiemy ani pamiętamy tej drogi, choć każdy z nas odbywał ją po kilkanaście razy...

— Więc jakim sposobem trafiacie tu?

— Korzystamy z pewnych wskazówek. Lecz gdyby nam bodaj w tej chwili zginęła która, pomarlibyśmy tu z głodu...

Nareszcie wyszli do przysionka, a z niego na dziedziniec. Faraon zaczął oglądać się dokoła i kilka razy odetchnął.

— Za wszystkie skarby Labiryntu nie chciałbym ich pilnować! — zawołał. — Strach pada mi na piersi, gdy pomyślę, że można umrzeć w tych kamiennych ciemnicach...

— Ale można się i przywiązać do nich — odparł z uśmiechem arcykapłan.

Faraon podziękował każdemu ze swych przewodników i zakończył:

— Rad bym udzielić wam jakiejś łaski, żądajcie więc...

Ale kapłani słuchali obojętnie, a ich naczelnik rzekł:

— Wybacz mi, panie, zuchwalstwo, ale... czegóż moglibyśmy pragnąć?... Nasze figi i daktyle są tak słodkie jak z twego ogrodu; woda tak dobra jak z twojej studni. Gdyby zaś ciągnęły nas bogactwa, czyliż nie mamy ich więcej aniżeli wszyscy królowie?...

„Tych niczym nie przejednam — pomyślał faraon — ale... dam im uchwałę zgromadzenia i wyrok Amona."

ROZDZIAŁ VIII

Opuściwszy Piom faraon i jego orszak kilkanaście dni posuwali się na południe, w górę Nilu, otoczeni chmurą łódek, pozdrawiani okrzykami, zasypywani kwiatami.

Po obu brzegach rzeki, na tle zielonych pól, ciągnęły się nieprzerwanym szeregiem gliniane chłopskie chaty, ligowe gaje, bukiety palm. Co godzinę ukazywała się grupa białych domów jakiegoś miasteczka albo większe miasto z kolorowymi budowlami, z ogromnymi pylonami świątyń.

[375] *go* — dziś popr. forma B. lp r.n.: je.

Od zachodu ściana gór libijskich rysowała się niezbyt wyraźnie; za to od wschodu pasmo arabskie coraz bardziej zbliżało się do rzeki. I można było widzieć strome, poszarpane skały barwy ciemnej, żółtej lub różowej przypominające kształtami zwaliska fortec czy świątyń zbudowanych przez olbrzymów.

Na środku Nilu spotykano wysepki, które jakby wczoraj wynurzyły się spod wody, a już dziś zostały pokryte bujną roślinnością i zamieszkałe przez niezliczone stada ptaków. Kiedy nadpływał burzliwy orszak faraona, wystraszone ptaki zrywały się i krążąc nad statkami, łączyły swoje krzyki z potężnym głosem ludu. Nad tym wszystkim unosiło się przeczyste niebo i światło tak pełne życia, że w jego powodzi czarna ziemia nabierała blasku, a kamienie barw tęczowych.

Schodził więc faraonowi czas wesoło. Z początku trochę drażniły go nieustanne krzyki, lecz później tak przywykł do nich, że już nie zwracał uwagi. Mógł odczytywać dokumenta[376], naradzać się, nawet spać.

O trzydzieści do czterdziestu mil od Piom, na lewym brzegu Nilu leżało duże miasto Siut[377], w którym Ramzes XIII parę dni odpoczął. Wypadało nawet zatrzymać się, gdyż mumia zmarłego króla jeszcze przebywała w Abydos, gdzie przy grobie Ozyrysa odprawiano uroczyste modły.

Siut było jednym z bogatszych miast Górnego Egiptu. Tu wyrabiano słynne naczynia z białej i czarnej gliny i tkano płótna; tu było główne targowisko, na które przywożono towary z oaz rozrzuconych w pustyni. Tu wreszcie była sławna świątynia Anubisa, bożka z wilczą głową.

Drugiego dnia pobytu w tym miejscu zgłosił się do jego świątobliwości kapłan Pentuer, naczelnik komisji badającej położenie ludu.

— Masz jakie nowiny? — zapytał pan.

— Mam te, że cały Egipt błogosławi waszą świątobliwość. Wszyscy, z kimkolwiek rozmawiałem, są pełni otuchy i mówią, że wasze panowanie odrodzi państwo...

— Chcę — odparł faraon — ażeby moi poddani byli szczęśliwi, a lud odetchnął. Chcę, ażeby Egipt miał, jak niegdyś, osiem milionów ludności i odzyskał grunta[378], które wydarła mu pustynia. Chcę, ażeby człowiek pracowity odpoczywał co siódmy dzień i ażeby każdy rolnik posiadał kawałek ziemi na własność...

Pentuer upadł na twarz przed dobrotliwym panem.

— Podnieś się — mówił Ramzes. — Powiem ci jednak, że miałem godziny ciężkiego smutku. Widzę bowiem niedolę mego ludu, pragnę go podźwignąć, a jednocześnie donoszą mi, że skarb jest pusty. Sam zaś wiesz najlepiej, że nie posiadając kilkudziesięciu tysięcy talentów gotowizną, nie mógłbym ważyć się na podobne ulepszenia.

Ale dziś jestem spokojny: mam środek na wydobycie potrzebnych funduszów z Labiryntu...

Pentuer spojrzał na władcę zdziwiony.

— Dozorca skarbu objaśnił mnie: co mam robić — ciągnął faraon. — Muszę zwołać ogólne zgromadzenie wszystkich stanów, po trzynastu ludzi z każdego stanu. A gdy oni oświadczą, że Egipt jest w potrzebie, Labirynt dostarczy mi skarbów...

Bogowie! — dodał — za parę... za jeden z tych klejnotów, jakie tam leżą, można dać ludowi pięćdziesiąt odpoczynków na rok... Nigdy chyba nie zostaną one lepiej użytymi...

Pentuer potrząsnął głową.

— Panie — rzekł — sześć milionów Egipcjan, a ja i moi przyjaciele przed innymi zgodzimy się, ażebyś czerpał z tamtego skarbca. Ale... nie łudź się, wasza świątobliwość!... Bo stu najwyższych dostojników państwa oprą[379] się temu, a wówczas Labirynt nic nie wyda...

— Więc oni chcą, ażebym chyba został żebrakiem przy której ze świątyń?... — wybuchnął faraon.

---

[376] *dokumenta* — dziś popr.: dokumenty.

[377] *Siut* — egipskie Sauti, gr. Lykopolis, dziś Asjut, miasto na zachodnim brzegu Nilu w połowie odległości pomiędzy Memfis a Tebami, stolica 13. nomu Górnego Egiptu. Ośrodek kultu Anubisa.

[378] *grunta* — dziś popr.: grunty.

[379] *stu najwyższych dostojników państwa oprą się temu* — dziś popr.: stu najwyższych dostojników państwa oprze się temu.

— Nie — odparł kapłan. — Oni lękać się będą, ażeby nie opróżnił się skarbiec raz napoczęty. Oni będą posądzali najwierniejsze sługi waszej świątobliwości o udział w zyskach płynących z tego źródła... A wówczas zazdrość podszepnie im: dlaczego i wy nie mielibyście coś zyskać?... Nie niechęć do ciebie, panie, ale wzajemna nieufność, ale chciwość popchną ich do oporu...

Pan, wysłuchawszy tego, uspokoił się, a nawet uśmiechnął.

— Jeżeli tak jest, kochany Pentuerze, jak mówisz, więc bądź spokojny — rzekł. — W tej chwili dokładnie zrozumiałem: w jakim celu Amon ustanowił władzę faraona i dał mu nadludzką potęgę... Dlatego, widzisz, ażeby stu choćby najdostojniejszych łotrów nie mogli zgubić[380] państwa.

Ramzes podniósł się z krzesła i dodał:

— Powiedz memu ludowi, niech pracuje i będzie cierpliwy... Powiedz wiernym mi kapłanom, ażeby służyli bogom i uprawiali mądrość, która jest słońcem świata. A owych opornych i podejrzliwych dostojników mnie zostaw... Biada im, jeżeli rozgniewają moje serce.

— Panie — rzekł kapłan — jestem twoim wiernym sługą...

Ale gdy pożegnawszy się wychodził, na jego obliczu widać było troskę.

O piętnaście mil od Siutu, w górę rzeki, dzikie skały arabskie prawie dotykają Nilu; natomiast góry libijskie odsunęły się od niego tak daleko, że tamtejsza dolina jest bodaj najszerszą w Egipcie.

W tym właśnie miejscu, tuż obok siebie, stały dwa czcigodne miasta: Tinis[381] i Abydos. Tam urodził się Menes, pierwszy faraon Egiptu; tam przed stoma tysiącami lat złożono do grobu święte zwłoki bożka Ozyrysa, którego w zdradziecki sposób zamordował brat Tyfon.

Tam wreszcie na pamiątkę owych wielkich wydarzeń wiekopomny faraon Seti[382] wybudował świątynię, do której zbiegali się pielgrzymi z całego Egiptu. Każdy prawowierny musiał choć raz w życiu dotknąć czołem tej błogosławionej ziemi. Prawdziwie zaś szczęśliwym był ten, czyja mumia mogła odbyć podróż do Abydos i choć z daleka zatrzymać się pod murami świątyni.

Mumia Ramzesa XII przemieszkała tam parę dni; był to bowiem władca odznaczający się pobożnością. Nic też dziwnego, że i Ramzes XIII rozpoczynał rządy od złożenia hołdu grobowi Ozyrysa.

Świątynia Setiego nie należała do najstarszych ani najwspanialszych w Egipcie, lecz odznaczała się czystością egipskiego stylu. Jego świątobliwość Ramzes XIII zwiedzał ją i złożył w niej ofiary w towarzystwie arcykapłana Sema.

Grunta należące do świątyni zajmowały przestrzeń stu pięćdziesięciu morgów, na których były rybne sadzawki, ogrody kwiatowe, owocowe i warzywne, wreszcie domy, a raczej pałacyki kapłanów. Wszędzie rosły: palmy, figi, pomarańcze, topole, akacje, które tworzyły albo aleje idące w kierunku głównych okolic świata, albo łany drzew sadzonych regularnie i mających prawie jednakową wysokość. Ogród, Natura, Drzewo

Nawet świat roślinny, pod bacznym okiem kapłanów, nie rozwijał się według własnego popędu tworząc nieprawidłowe, ale malownicze skupienia; nawet on szykował się według linii prostych, linii równoległych albo skupiał się w geometryczne figury.

Palmy, tamaryndusy, cyprysy i mirty byli to żołnierze uszykowani szeregami lub kolumnami. Trawa był to dywan strzyżony i ozdobiony malowidłami z kwiatów, nie byle jakiej barwy, ale tej, która była potrzebna. Lud, z góry przypatrując się gazonom świątyń, widział na nich kwitnące obrazy bogów lub świętych zwierząt; mędrzec znajdował aforyzmy wypisane hieroglifami.

Środkową część ogrodów zajmował prostokąt na dziewięćset kroków długi a trzysta szeroki. Prostokąt ten był zamknięty niezbyt wysokim murem, który posiadał jedną

[380] *aby stu […] łotrów nie mogli zgubić państwa* — dziś popr.: aby stu [...] łotrów nie mogło zgubić państwa.

[381] *Tinis* — miasto w Górnym Egipcie, stolica państwa w czasach pierwszych dwóch dynastii. Dokładne położenie nie jest znane, przypuszczalnie w pobliżu dzisiejszego Dżirdża (Girga), ok. 15 km na północ od Abydos.

[382] *wiekopomny faraon Seti* — najpewniej Seti I (1294–1279 p.n.e.), faraon XIX dynastii, ojciec Ramzesa Wielkiego. Przeprowadził wyprawy wojenne w Palestynie i Syrii, pokonując bunty i odzyskując dla Egiptu tereny utracone na rzecz Hetytów za czasów Echnatona. Rozbił plemiona libijskie, które najechały Deltę. Uważany za odnowiciela imperialnej świetności Egiptu.

bramę widoczną i kilkanaście ukrytych furtek. Przez tę bramę lud pobożny wchodził na dziedziniec otaczający przybytek Ozyrysa.

Dopiero na środku dziedzińca, który był wyłożony kamienną posadzką, stała świątynia: gmach prostokątny o czterystu pięćdziesięciu krokach długości i stu pięćdziesięciu szerokości.

Od bramy ludowej do świątyni prowadziła aleja sfinksów ze lwimi ciałami i ludzkimi głowami. Stały one w dwu szeregach, po dziesięciu w każdym, i patrzyły sobie w oczy. Między nimi przechodzić mogli tylko najwyżsi dostojnicy.

W końcu alei sfinksów, ciągle naprzeciw bramy ludowej, wznosiły się dwa obeliski, czyli cienkie a wysokie kolumny czworoboczne z granitu, na których wypisano historię faraona Seti.

Dopiero za obeliskami wznosiła się potężna brama świątyni mająca z obu boków olbrzymie gmachy w kształcie piramid ściętych, zwanych *pylonami*. Były to jakby dwie wieże barczyste, na których ścianach znajdowały się malowidła przedstawiające zwycięstwa Setiego albo ofiary, jakie składał bogom.

Pozycja społeczna

Tej bramy już nie wolno było przekraczać chłopom, tylko bogatemu mieszczaństwu i klasom uprzywilejowanym. Przez nią wchodziło się do *perystylu*, czyli dziedzińca otoczonego korytarzem wspartym na mnóstwie kolumn. Perystyl mógł pomieścić z dziesięć tysięcy pobożnych.

Z dziedzińca osoby stanu szlacheckiego mogły jeszcze wchodzić do pierwszej sali, *hipostylu*; miała ona sufit oparty na dwu szeregach wysokich kolumn i mogła pomieścić ze dwa tysiące uczestników nabożeństwa. Sala ta była ostatnim kresem dla ludzi świeckich. Najwięksi dostojnicy, lecz którzy nie otrzymali święceń, mieli prawo modlić się tylko tutaj i z tego miejsca patrzeć na zasłonięty posąg boga, który wznosił się w sali „boskiego objawienia".

Wierzenia

Za salą „objawienia" leżała komnata „stołów ofiarnych", gdzie kapłani składali bogom dary przyniesione przez wiernych. Następną była komnata „odpoczynku", gdzie wypoczywał bożek wracający lub idący na procesję, ostatnią — kaplica, czyli sanktuarium, gdzie bożek mieszkał.

Kaplica była zwykle bardzo małą i ciemną, niekiedy wyciosaną z jednej sztuki kamienia. Ze wszystkich stron otaczały ją kapliczki równie małe, zapełnione szatami, sprzętami, naczyniami i klejnotami bożka, który w swym niedostępnym ukryciu spał, kąpał się, namaszczał perfumami, jadał i pijał, a zdaje się, że nawet przyjmował odwiedziny młodych i ładnych kobiet.

Do sanktuarium wchodził tylko arcykapłan i panujący faraon, o ile otrzymał święcenia. Zwykły śmiertelnik, dostawszy się tam, mógł stracić życie.

Ściany i kolumny każdej sali były pokryte napisami i malowidłami objaśniającymi. W korytarzu otaczającym dziedziniec (perystyl) były nazwiska i portrety wszystkich faraonów od Menesa, pierwszego władcy Egiptu, do Ramzesa XII. W hipostylu, czyli sali szlacheckiej, przedstawiono w sposób poglądowy jeografię[383] i statystykę Egiptu tudzież podbitych ludów. W sali „objawienia" znajdował się kalendarz i rezultaty obserwacji astronomicznych; w komnacie „stołów ofiarnych" i „odpoczynku" figurowały obrazy dotyczące religijnych obrządków, a w sanktuarium — przepisy wywoływania istot zaziemskich i opanowania zjawisk natury.

Ten ostatni rodzaj wiedzy nadludzkiej zawierał się w tak powikłanych zdaniach, że nawet kapłani z czasów Ramzesa XII nie rozumieli ich. Dopiero Chaldejczyk Beroes miał wskrzesić obumierającą mądrość.

Odpocząwszy dwa dni w rządowym pałacu w Abydos, Ramzes XIII wybrał się do świątyni. Miał na sobie białą koszulę, złoty pancerz, fartuszek w pomarańczowe i niebieskie pasy, stalowy miecz przy boku i złoty hełm na głowie. Wsiadł na wóz, którego konie, przybrane w pióra strusie, prowadzili nomarchowie, i z wolna pojechał do domu Ozyrysa otoczony świtą.

Gdziekolwiek spojrzał: na pola, na rzekę, na dachy domów, nawet na konary fig i tamaryndusów, wszędzie tłoczyła się ciżba ludu i rozlegał się nie milknący okrzyk podobny do ryku burzy.

[383] *jeografia* — dziś popr: geografia.

Dojechawszy do świątyni, faraon zatrzymał konie i wysiadł przed bramą ludową, co bardzo podobało się pospólstwu, a ucieszyło kapłanów. Piechotą przeszedł aleje sfinksów i powitany przez świętych mężów spalił kadzidło przed posągami Seti siedzącymi z obu stron bramy wielkiej.

W perystylu arcykapłan zwrócił uwagę jego świątobliwości na misterne portrety faraonów i wskazał miejsce przeznaczone na jego wizerunek. W hipostylu objaśnił mu znaczenie map jeograficznych i statystycznych tablic. W komnacie „boskiego objawienia" Ramzes ofiarował kadzidło olbrzymiemu posągowi Ozyrysa, a arcykapłan wskazał mu słupy poświęcone oddzielnym planetom: Merkuremu, Wenerze, Księżycowi, Marsowi, Jowiszowi i Saturnowi. Stały one dokoła posągu słonecznego bóstwa w liczbie siedmiu.

— Mówisz mi — spytał Ramzes — że jest sześć planet, a tymczasem widzę siedem słupów...

Tajemnica, Wiedza

— Ten siódmy przedstawia Ziemię, która także jest planetą — szepnął arcykapłan.

Zdziwiony faraon zażądał objaśnień; ale mędrzec milczał wskazując na migi, że dla dalszych objaśnień ma zapieczętowane usta.

W komnacie „stołów ofiarnych" odezwała się cicha, lecz piękna muzyka, podczas której chór kapłanek wykonał uroczysty taniec. Faraon zdjął swój złoty hełm i pancerz wielkiej wartości i oboje oddał Ozyrysowi żądając, aby dary te zostały w boskim skarbcu i nie były odnoszone do Labiryntu.

Dar

W zamian za hojność arcykapłan ofiarował władcy najpiękniejszą piętnastoletnią tancerkę, która wydawała się bardzo zadowoloną ze swego losu.

Gdy faraon znalazł się w sali „odpoczynku", usiadł na tronie, a jego zastępca religijny, Sem, przy dźwiękach muzyki i wśród dymu kadzideł, wszedł do sanktuarium, ażeby wynieść stamtąd bożka.

W pół godziny, przy ogłuszającym dźwięku dzwonków, ukazała się w mroku komnaty złota łódź, okryta zasłonami, które niekiedy poruszały się, jakby za nimi siedziała żywa istota.

Bóg, Wierzenia, Tajemnica, Wiara

Kapłani upadli na twarz, a Ramzes pilniej wpatrzył się w przezroczyste zasłony. Jedna uchyliła się i faraon ujrzał nadzwyczajnej piękności dziecko, które spojrzało na niego tak mądrymi oczyma, że władca Egiptu uczuł nieomal trwogę.

— Oto jest Horus — szeptali kapłani — Horus, wschodzące słońce... Jest on synem i ojcem Ozyrysa, i mężem swej matki, która jest jego siostrą.

Rozpoczęła się procesja, ale tylko po wewnętrznej świątyni. Naprzód szli harfiarze i tancerki, potem biały wół ze złotą tarczą między rogami. Dalej dwa chóry kapłanów i arcykapłani niosący bożka, potem znowu chóry i nareszcie faraon w lektyce dźwiganej przez ośmiu kapłanów.

Gdy procesja obeszła wszystkie sale i korytarze świątyni, bożek i Ramzes obaj wrócili do komnaty „odpoczynku". Wówczas zasłony okrywające łódź świętą odchyliły się po raz drugi i piękne dziecko — uśmiechnęło się do faraona.

Po czym łódź i bożka Sem odniósł do kaplicy.

„Może by zostać arcykapłanem?" — pomyślał władca, któremu dziecko tak się podobało, że rad był widywać je jak najczęściej.

Lecz gdy wyszedł ze świątyni, zobaczył słońce i niezmierny tłum radującego się ludu, przyznał w duchu, że — nic nie rozumie. Ani skąd wzięło się owe[384] dziecko niepodobne do żadnego z egipskich? ani skąd ta nadludzka mądrość w jego oczach? ani — co to wszystko oznacza?...

Nagle przyszedł mu na myśl jego zamordowany synek, który mógł być równie pięknym, i władca Egiptu wobec stu tysięcy poddanych — rozpłakał się.

— Nawrócony!... nawrócony faraon!... — mówili kapłani. — Ledwie wstąpił do przybytku Ozyrysa, i oto poruszyło się jego serce!...

Tego samego dnia jeden ślepy i dwóch paralityków modlących się za murem świątyni odzyskało zdrowie. Więc rada kapłańska uchwaliła, ażeby dzień ten zaliczyć do rzędu cudownych i na zewnętrznej ścianie gmachu wymalować obraz przedstawiający zapłakanego faraona i uzdrowionych kaleków.

[384] *owe* — dziś popr. forma M. lp r.n.: owo; to.

Dobrze po południu Ramzes wrócił do swego pałacu, aby wysłuchać raportów. Gdy zaś wszyscy dostojnicy opuścili gabinet pana, przyszedł Tutmozis mówiąc:

— Kapłan Samentu pragnie złożyć hołd waszej świątobliwości.

— Dobrze, wprowadź go.

— On błaga cię, panie, ażebyś przyjął go w namiocie, wśród wojskowego obozu, i twierdzi, że mury pałaców lubią podsłuchiwać...

— Ciekawym, czego chce?... — rzekł faraon i zapowiedział dworzanom, że noc przepędzi w obozie.

Przed zachodem słońca pan odjechał z Tutmozisem do swoich wiernych wojsk i znalazł tam królewski namiot, przy którym z polecenia Tutmozisa wartę trzymali Azjaci.

Wieczorem przyszedł Samentu odziany w płaszcz pielgrzyma i ze czcią powitawszy jego świątobliwość, szepnął:

— Zdaje mi się, że przez całą drogę szedł za mną jakiś człowiek, który zatrzymał się nie opodal boskiego namiotu. Może to wysłannik arcykapłanów?...

Na rozkaz faraona wybiegł Tutmozis i rzeczywiście znalazł obcego oficera.

— Kto jesteś? — zapytał.

— Jestem Eunana, setnik pułku Izydy... Nieszczęśliwy Eunana, wasza dostojność nie pamięta mnie?... Więcej niż rok temu na manewrach pod Pi-Bailos odkryłem święte skarabeusze...

— Ach, to ty!... — przerwał Tutmozis. — Twój pułk przecież nie stoi w Abydos?

— Woda prawdy płynie z ust waszych. Stoimy w nędznej okolicy pod Mena, gdzie kapłani rozkazali nam poprawiać kanał, jak chłopom albo Żydom...

— Skądżeś się tu wziął?

— Ubłagałem starszych o kilkudniowy odpoczynek — odparł Eunana — i jak spragniony jeleń do źródła przybiegłem tutaj dzięki chyżości moich nóg.

— Więc czego chcesz?

— Chcę żebrać miłosierdzia u jego świątobliwości przeciw ogolonym łbom, którzy nie dają mi awansu dlatego, że jestem tkliwy na cierpienia żołnierzy.

Tutmozis markotny wrócił do namiotu i powtórzył faraonowi rozmowę z Eunaną.

— Eunana?... — powtórzył pan. — Prawda, pamiętam go... Narobił nam kłopotu skarabeuszami, ale też i dostał pięćdziesiąt kijów z łaski Herhora. I mówisz, że skarży się na kapłanów?... Daj go tu!...

Faraon kazał odejść Samentowi do drugiego przedziału w namiocie, a swego ulubieńca wysłał po Eunanę.

Niebawem ukazał się nieszczęśliwy oficer. Upadł twarzą na ziemię, a potem klęcząc i wzdychając, mówił:

— „Co dzień modlę się do Re Harmachis przy jego wschodzie i zachodzie i do Amona, i Re, i Ptaha, i do innych bogów i bogiń: Obyś ty zdrów był, władco Egiptu! Obyś został przy życiu! Oby ci się dobrze wiodło, a ja ażebym mógł choć blaski twoich pięt oglądać...[385]"

— Czego on chce? — spytał faraon Tutmozisa, pierwszy raz przestrzegając etykiety.

— Jego świątobliwość raczy zapytywać: czego chcesz? — powtórzył Tutmozis.

Obłudny Eunana, wciąż klęcząc, zwrócił się do ulubieńca i prawił:

— Jesteś, wasza dostojność, uchem i okiem pana, który daje nam radość i życie, a więc odpowiem ci jak na sądzie Ozyrysa:

Służę w kapłańskim pułku boskiej Izydy dziesięć lat, walczyłem sześć lat na wschodnich kresach. Rówieśnicy moi zostali już pułkownikami, ale ja wciąż jestem tylko setnikiem i wciąż biorę kije z polecenia bogobojnych kapłanów.

I za co dzieje mi się taka krzywda?

„W dzień obracam serce moje do książek, a w nocy czytam; bo głupiec, który opuszcza książki tak prędko jak uciekająca gazela, jest podłego umysłu, równy osłowi[386], który bierze cięgi, równy głuchemu, który nie słyszy i do którego trzeba mówić ręką. Mimo tę moją chęć do nauk, nie jestem zarozumiałym z własnej wiedzy, lecz radzę się wszystkich, bo od każdego coś nauczyć się można, a czcigodnych mędrców otaczam szacunkiem..."

[385] *Co dzień modlę się [...] a ja ażebym mógł choć blaski twoich pięt oglądać* — autentyczne. [przypis autorski]

[386] *osłowi* — dziś popr. forma: osłu.

Faraon poruszył się niecierpliwie, lecz słuchał dalej, wiedząc, że prawy Egipcjanin uważa gadulstwo za swój obowiązek i najwyższą cześć dla przełożonych.

— Oto jaki jestem — prawił Eunana. — „W obcym domu nie oglądam się za kobietami, czeladzi jeść daję, co należy, ale gdy o mnie chodzi, nie sprzeczam się przy podziale. Mam zawsze zadowoloną twarz, a wobec zwierzchników zachowuję się z szacunkiem i nie siądę, gdy starszy człowiek stoi. Nie jestem natrętnym, a nieproszony, nie wchodzę do obcych domów. Co moje oko ujrzy, o tym milczę, bo wiem, że głuchymi jesteśmy dla tych, którzy wielu słów używają.

Mądrość uczy, że ciało człowieka podobne jest do spichrza, pełne rozmaitych odpowiedzi. Dlatego zawsze wybieram dobrą i mówię dobrą, a złą chowam zamkniętą w ciele moim. Cudzych też oszczerstw nie powtarzam, a już co się tyczy poselstwa, zawsze spełniam je jak najlepiej...[387]"

I co mam za to?... — kończył Eunana podniesionym głosem. — Cierpię głód, chodzę w łachmanach, a na grzbiecie leżeć nie mogę, tak jest zbity. Czytam w księgach, że stan kapłański wynagradzał męstwo i roztropność. Zaprawdę! musiało tak być kiedyś i już bardzo dawno. Bo dzisiejsi kapłani tyłem odwracają się od roztropnych, a męstwo i siłę wypędzają z oficerskich kości...

— Ja zasnę przy tym człowieku! — rzekł faraon.

— Eunano — dodał Tutmozis — przekonałeś jego świątobliwość, że jesteś biegły w księgach, a teraz — powiedz jak najkrócej: czego pragniesz?

— Strzała tak prędko nie dobiega celu, jak moja prośba doleci do boskich pięt jego świątobliwości — odparł Eunana. — Tak obmierzła mi służba u ogolonych łbów, taką goryczą kapłani napełnili moje serce, że — jeżeli nie będę przeniesiony do wojsk faraona, przebiję się własnym mieczem, przed którym nie raz i nie sto razy drżeli wrogowie Egiptu.

Wolę być dziesiętnikiem, wolę być prostym żołnierzem jego świątobliwości aniżeli setnikiem w kapłańskich pułkach. Świnia albo pies może im służyć, nie prawowierny Egipcjanin!...

Ostatnie frazesy Eunana wypowiedział z takim wściekłym gniewem, że faraon rzekł po grecku do Tutmozisa:

— Weź go do gwardii. Oficer, który nie lubi kapłanów, może nam się przydać.

— Jego świątobliwość, pan obu światów, kazał przyjąć cię do swej gwardii — powtórzył Tutmozis.

— Zdrowie i życie moje należy do pana naszego Ramzesa... Oby żył wiecznie! — zawołał Eunana i ucałował dywan leżący pod królewskimi stopami.

Gdy uszczęśliwiony Eunana cofał się tyłem z namiotu, co parę kroków padając na twarz i błogosławiąc władcę, faraon rzekł:

— W gardle łaskotało mnie jego gadulstwo... Muszę ja nauczyć żołnierzy i oficerów egipskich, aby wyrażali się krótko, nie zaś jak uczeni pisarze.

— Bodajby on miał tylko tę jedną wadę!... — szepnął Tutmozis, na którym Eunana niemiłe zrobił wrażenie.

Pan wezwał do siebie Samentu.

— Bądź spokojny — powiedział do kapłana. — Ten oficer, który szedł za tobą, nie śledził cię. Jest on za głupi do spełniania tego rodzaju zleceń... Ale może mieć ciężką rękę na wypadek potrzeby!...

No — dodał faraon — a teraz powiedz: co cię skłania do podobnej ostrożności?

— Prawie już znam drogę do skarbca w Labiryncie — odparł Samentu.

Pan potrząsnął głową.

— Ciężka to rzecz — szepnął. — Godzinę biegałem po rozmaitych korytarzach i salach, jak mysz, którą kot goni. I przyznam ci się, że nie tylko nie rozumiem tej drogi, ale nawet nie wybrałbym się na nią sam. Śmierć na słońcu może być wesołą; ale śmierć w tych norach, gdzie kret zabłąkałby się... brr!...

— A jednak musimy znaleźć i opanować tę drogę — rzekł Samentu.

— A jeżeli dozorcy sami oddadzą nam potrzebną część skarbów?... — spytał faraon.

— Nie zrobią tego, dopóki żyje Mefres, Herhor i ich poplecznicy. Wierzaj mi, panie, że tym dostojnikom chodzi o to, ażeby owinęli cię w powijaki jak niemowlę...

[387]...zawsze spełniam je jak najlepiej — staroegipskie maksymy. [przypis autorski]

Faraon pobladł z gniewu.

— Obym ja nie zawinął ich w łańcuchy!... Jakim sposobem chcesz odkryć drogę?

— Tu, w Abydos, w grobie Ozyrysa znalazłem cały plan drogi do skarbca — rzekł kapłan.

— A skąd wiedziałeś, że on tu jest?

— Objaśniły mnie o tym napisy w mojej świątyni Seta.

— Kiedyżeś znalazł plan?

— Gdy mumia wiecznie żyjącego ojca waszej świątobliwości była w świątyni Ozyrysa — odparł Samentu. — Towarzyszyłem czcigodnym zwłokom i będąc na nocnej służbie w sali „odpoczynku", wszedłem do sanktuarium.

— Tobie być jenerałem, nie arcykapłanem!... — zawołał śmiejąc się Ramzes. — I już rozumiesz drogę Labiryntu?...

— Rozumiałem ją od dawna, a teraz zebrałem wskazówki do kierowania się.

— Czy możesz mi to objaśnić?

— Owszem, nawet przy okazji pokażę waszej świątobliwości plan.

Droga ta — ciągnął Samentu — przechodzi w zygzak cztery razy przez cały Labirynt; zaczyna się na najwyższym piętrze, kończy w najniższym podziemiu i posiada jeszcze mnóstwo zakrętów. Dlatego jest tak długa.

— A jakże trafisz z jednej sali do drugiej, gdzie jest mnóstwo drzwi?... Labirynt

— Na każdych drzwiach prowadzących do celu znajduje się cząstka zdania: Zabobony, Wierzenia

„Biada zdrajcy, który usiłuje przeniknąć najwyższą tajemnicę państwa i wyciągnąć świętokradzką rękę na majątek bogów. Zwłoki jego będą jak padlina, a duch nie zazna spokoju, lecz będzie się tułał po miejscach ciemnych, szarpany przez własne grzechy..."

— I ciebie nie odstrasza ten napis?

— A waszą świątobliwość odstrasza widok libijskiej włóczni?... Groźby dobre są dla pospólstwa, nie dla mnie, który sam potrafiłbym napisać jeszcze groźniejsze przekleństwa...

Faraon zamyślił się.

— Masz słuszność — rzekł. — Włócznia nie zaszkodzi temu, kto potrafi ją odbić, a mylna droga nie obłąka mędrca, który zna słowo prawdy...

Jakże jednak sprawisz, ażeby ustępowały przed tobą kamienie w ścianach i ażeby kolumny zamieniały się na drzwi wchodowe?...

Samentu pogardliwie wzruszył ramionami.

— W mojej świątyni — odparł — są także niedostrzegalne wejścia, nawet trudniej otwierające się aniżeli w Labiryncie. Kto zna słowo tajemnicy, wszędzie trafi, jak słusznie powiedziałeś, wasza świątobliwość.

Faraon oparł głowę na ręku i wciąż dumał.

— Żal by mi cię było — rzekł — gdybyś na tej drodze spotkał nieszczęście...

— W najgorszym wypadku spotkam śmierć, a czyliż ona nie grozi nawet faraonom?... Czy wreszcie wasza świątobliwość nie szedłeś śmiało nad Jeziora Sodowe, choć nie byłeś pewny, że stamtąd powrócisz?...

Nie myśl też, panie — ciągnął kapłan — że ja będę musiał przejść całą drogę, po której chodzą zwiedzający Labirynt. Znajdę bliższe punkta i w ciągu jednej modlitwy do Ozyrysa dostanę się tam, gdzie ty idąc mogłeś odmówić ze trzydzieści modlitw...

— Alboż tam są inne wejścia?

— Niezawodnie są, a ja muszę je znaleźć — odparł Samentu. — Nie wejdę przecież, jak wasza świątobliwość, w dzień ani główną bramą...

— Więc jak?...

— Są w murze zewnętrznym niewidoczne furtki, które znam, a których mądrzy dozorcy Labiryntu nigdy nie pilnują... Na dziedzińcu warty w nocy są nieliczne i tak ufają opiece bogów czy trwodze pospólstwa, że najczęściej śpią... Prócz tego trzy razy między zachodem i wschodem słońca kapłani idą na modlitwę do świątyni, a ich żołnierze odbywają praktyki nabożne pod niebem... Zanim skończą jedno nabożeństwo, ja będę w gmachu...

— A jeżeli zabłądzisz?... Labirynt,

— Mam plan. Niebezpieczeństwo

— A jeżeli plan jest fałszywy? — mówił faraon, nie mogąc ukryć troski.

— A jeżeli wasza świątobliwość nie pozyska skarbów Labiryntu?... Jeżeli Fenicjanie, rozmyśliwszy się, nie dadzą przyobiecanej pożyczki?... Jeżeli wojsko będzie głodne, a nadzieje pospólstwa zostaną zawiedzione?...

Racz mi wierzyć, panie mój — ciągnął kapłan — że ja wśród korytarzy Labiryntu będę bezpieczniejszy aniżeli ty w twoim państwie...

— Ale ciemność... ciemność... I mury, których nie można przebić, i głębia, i te setki dróg, gdzie człowiek musi się zabłąkać... Wierz mi, Samentu, że walka z ludźmi to zabawka; ale szamotanie się z cieniem i nieświadomością to straszna rzecz!...

Samentu uśmiechnął się.

— Wasza świątobliwość — odparł — nie zna mego życia... Kiedym miał lat dwadzieścia pięć, byłem kapłanem Ozyrysa...

— Ty?... — zdziwił się Ramzes.

— Ja, i zaraz powiem, dlaczego przeszedłem do służby Seta. Wyprawiono mnie na półwysep Synaj, aby tam wybudować małą kaplicę dla górników. Budowa ciągnęła się sześć lat, ja zaś, mając dużo wolnego czasu, włóczyłem się między górami i zwiedzałem tamtejsze pieczary.

Czego ja tam nie widziałem!... Korytarze długie na kilka godzin; ciasne wejścia, przez które trzeba było pełzać na brzuchu; izby tak ogromne, że w każdej zmieściłaby się świątynia. Oglądałem podziemne rzeki i jeziora, gmachy z kryształów, jaskinie zupełnie ciemne, w których nie było widać własnej ręki, albo znowu tak widne, jakby w nich świeciło drugie słońce...

Ile razy zbłąkałem się w niezliczonych przejściach, ile razy zgasła mi pochodnia, ile razy stoczyłem się w niewidzialną przepaść!... Bywało, żem po kilka dni spędzał w podziemiach, karmiąc się prażonym jęczmieniem, liżąc wilgoć z mokrych skał, niepewny, czy wrócę na świat.

Za to nabrałem doświadczenia, wzrok zaostrzył mi się i nawet polubiłem te piekielne krainy. A dziś, gdy pomyślę o dziecinnych skrytkach Labiryntu, śmiać mi się chce... Gmachy ludzkie są kretowiskami wobec niezmiernych budowli wzniesionych przez ciche i niewidzialne duchy ziemi.

Raz jednak spotkałem rzecz straszną, która wpłynęła na zmianę mego stanowiska.

Na zachód od kopalni Synaj leży węzeł wąwozów i gór, wśród których często odzywają się podziemne grzmoty, ziemia drży, a niekiedy widać płomienie. Zaciekawiony, wybrałem się tam na czas dłuższy, szukałem i dzięki niepozornej szczelinie odkryłem cały łańcuch olbrzymich pieczar, pod których sklepieniami mogłaby pomieścić się największa piramida.

Kiedy się tam błąkałem, doleciał mnie bardzo silny zapach zgnilizny, tak przykry, że chciałem uciec. Przemógłszy się jednak, wszedłem do pieczary, skąd pochodził, i zobaczyłem...

Racz wyobrazić sobie, panie, człowieka, który ma nogi i ręce o połowę krótsze niż my, ale grube, niezgrabne i zakończone pazurami. Dodaj temu kształtowi szeroki, z boków spłaszczony ogon, na wierzchu powycinany jak grzebień koguci; dodaj bardzo długą szyję, a na niej — psią głowę. Nareszcie ubierz tego potwora w zbroję pokrytą na grzbiecie zagiętymi kolcami...

Teraz pomyśl, że figura ta stoi na nogach, rękoma i piersiami oparta o skałę...

— Coś bardzo brzydkiego — wtrącił faraon. — Zaraz bym to zabił...

— To nie było brzydkie — mówił kapłan wstrząsając się. — Bo pomyśl, panie, że ten potwór był wysoki jak obelisk...

Ramzes XIII zrobił gest niezadowolenia.

— Samentu — rzekł — zdaje mi się, żeś twoje pieczary zwiedzał we śnie...

— Przysięgam ci, panie, na życie moich dzieci — zawołał kapłan — że mówię prawdę!... Tak jest, ten potwór w skórze gada, okryty kolczastą zbroją, gdyby leżał na ziemi, miałby wraz z ogonem z pięćdziesiąt kroków długości... Pomimo trwogi i odrazy kilkakrotnie wracałem do jego jaskini i obejrzałem go jak najuważniej...

— Więc on żył?

— Nie. To już był trup, bardzo dawny, ale tak zachowany jak nasze mumie. Utrzymała go wielka suchość powietrza, a może nie znane mi sole ziemi.

Było to moje ostatnie odkrycie — ciągnął Samentu. Nie wchodziłem już do jaskiń, alem dużo rozmyślał. Ozyrys — mówiłem — tworzy wielkie istoty: lwy, słonie, konie... zaś Set rodzi węża, nietoperza, krokodyla... Potwór, którego spotkałem, jest na pewno tworem Seta, a ponieważ przerasta wszystko, co znamy pod słońcem, więc Set jest mocniejszym bogiem aniżeli Ozyrys.

Wówczas nawróciłem się do Seta, a przyjechawszy do Egiptu, osiadłem w jego świątyni. Gdym zaś opowiedział kapłanom o moim odkryciu, objaśnili mnie, że znają nierównie więcej takich potworów.

Samentu odpoczął i mówił dalej:

— Jeżeli kiedy wasza świątobliwość zechce odwiedzić naszą świątynię, pokażę wam w grobach dziwne i straszne istoty: gęsi z jaszczurczymi głowami a skrzydłami nietoperza, jaszczurki podobne do łabędzi, lecz większe od strusiów, krokodyla trzy razy dłuższego aniżeli te, które mieszkają w Nilu, żabę wielkości psa...

Są to albo mumie, albo szkielety znalezione w jaskiniach i przechowujące się w naszych grobach. Lud myśli, że my im cześć składamy, a tymczasem my tylko badamy ich budowę i chronimy od zepsucia.

— Uwierzę ci, gdy sam zobaczę — odparł faraon. — Ale powiedz mi, skąd mogłyby się wziąć podobne istoty w jaskiniach?...

— Panie mój — mówił kapłan — świat, na którym żyjemy, ulega wielkim zmianom. Już w samym Egipcie znajdujemy gruzy miast i świątyń głęboko ukryte w ziemi. Był czas, że miejsce Dolnego Egiptu zajmowała odnoga morska, a Nil płynął całą szerokością naszej doliny. Jeszcze dawniej tu, gdzie jest nasze państwo, było morze... Nasi zaś przodkowie zamieszkiwali krainę, którą dziś zajęła pustynia zachodnia...

Jeszcze dawniej, przed dziesiątkami tysięcy lat, nie było ludzi takich jak my, ale stworzenia podobne do małp, które jednak umiały budować szałasy, podtrzymywać ogień, walczyć maczugami i kamieniami. Wówczas nie było koni ani wołów; ale słonie, nosorożce i lwy — trzy lub cztery razy przechodziły wzrostem dzisiejsze zwierzęta mające tę samą postać.

Lecz i olbrzymie słonie nie są najstarszymi potworami. Dawniej bowiem od nich żyły niezmierne gady: latające, pływające i chodzące. Przed gadami na tym świecie były tylko ślimaki i ryby, a przed nimi — same rośliny, ale takie, jakich dziś już nie ma[388]...

— A jeszcze dawniej?... — spytał Ramzes.

— Jeszcze dawniej ziemia była pusta i próżna, a Duch Boży unosił się nad wodami...[389]

— Coś słyszałem o tym — rzekł faraon — ale nie prędzej uwierzę, aż mi pokażesz mumie potworów, jakie mają spoczywać w waszej świątyni.

— Za pozwoleniem waszej świątobliwości, dokończę, com zaczął — mówił Samentu. — Otóż kiedy w pieczarze Synaj zobaczyłem owego ogromnego trupa, zdjął mnie strach i przez parę lat nie byłbym poszedł do żadnej jaskini. Ale gdy kapłani Seta wytłumaczyli mi, skąd się wzięły tak dziwne istoty, trwoga moja znikła, a ciekawość wzmogła się. I dziś nie ma dla mnie milszej zabawy jak błąkać się po podziemiach i szukać dróg wśród ciemności. Z tego powodu Labirynt nie sprawi mi więcej trudów jak przechadzka po królewskim ogrodzie.

— Samentu — rzekł pan — bardzo cenię twoją nadludzką odwagę i mądrość. Opowiedziałeś mi tyle ciekawych rzeczy, że zaprawdę sam nabrałem ochoty do oglądania jaskiń i kiedyś może popłynę razem z tobą do Synaj.

Niemniej jednak obawiam się, czy poradzisz sobie z Labiryntem, i na wszelki wypadek zwołam zgromadzenie Egipcjan, aby upoważniło mnie do korzystania ze skarbca.

— To nigdy nie zawadzi — odparł kapłan. — Ale moja praca niemniej będzie potrzebną, bo Mefres i Herhor nie zgodzą się na wydanie skarbu.

— I masz pewność, że ci się uda?... — uporczywie zapytywał faraon.

---

[388] *miejsce Dolnego Egiptu zajmowała odnoga morska [...] Przed gadami na tym świecie były tylko ślimaki i ryby, a przed nimi — same rośliny* — autor przypisuje starożytnym Egipcjanom znajomość geologii i paleontologii, którą faktycznie osiągnięto dopiero w czasach nowożytnych.

[389] *ziemia była pusta i próżna, a Duch Boży unosił się nad wodami...* — cytat z biblijnego opisu stworzenia świata (*Księga Rodzaju* 1,2).

— Jak Egipt Egiptem — przekonywał go Samentu — nie było człowieka, który by posiadał tyle środków, co ja, do zwyciężenia w tej walce, która dla mnie nie jest nawet walką, ale zabawą.

Jednych straszy ciemność, którą ja lubię, a nawet widzę wśród niej. Inni nie potrafią kierować się pomiędzy licznymi komnatami i kurytarzami[390], ja robię to z łatwością. Jeszcze inni nie znają tajemnic otwierania drzwi utajonych, z czym ja jestem obeznany.

Gdybym nic więcej nie posiadał nad to, co wyliczyłem, już w ciągu miesiąca lub dwu odkryłbym drogi w Labiryncie. Ale ja mam jeszcze plan szczegółowy tych przejść i znam wyrazy, które przeprowadzą mnie z sali do sali. Co mi więc może przeszkodzić?...

— A jednak na dnie serca twego leży wątpliwość: zląkłeś się bowiem oficera, który zdawał się iść za tobą...

Kapłan wzruszył ramionami.

— Ja niczego i nikogo nie lękam się — odparł spokojnie — tylko jestem ostrożny. Przewiduję wszystko i jestem nawet na to przygotowany, że mnie złapią... Ambicja

— Straszne czekałyby cię męki!... — szepnął Ramzes.

— Żadne. Prosto z podziemiów Labiryntu otworzę sobie drzwi do krainy, gdzie panuje wieczne światło.

— I nie będziesz miał do mnie żalu?...

— Za co?... — spytał kapłan. — Dojdę do wielkiego celu: chcę w państwie zająć miejsce Herhora...

— Przysięgam, że je zajmiesz!...

— O ile nie zginę — odparł Samentu. — A że na szczyty gór wchodzi się nad przepaściami, że w tej wędrówce może się poślizgnąć noga i spadnę, cóż to znaczy? Ty, panie, zajmiesz się losem moich dzieci.

— A więc idź — rzekł faraon. — Jesteś godzien być najprzedniejszym moim pomocnikiem.

ROZDZIAŁ IX

Opuściwszy Abydos, Ramzes XIII popłynął, wciąż w górę rzeki, do miasta Tan-ta-ren (Dendera)[391] i Kaneh[392], które leżały prawie naprzeciw siebie: jedno na wschodnim, drugie na zachodnim brzegu Nilu.

W Tan-ta-ren były dwa miejsca znakomite: sadzawka, w której hodowano krokodyle, i świątynia Hator posiadająca wyższą szkołę. Tu uczono medycyny, pieśni pobożnych, sposobów odprawiania nabożeństw, wreszcie astronomii.

Faraon był tu i tam. Zirytował się, gdy mu kazano palić kadzidła przed świętymi krokodylami, które uważał za gady śmierdzące i głupie. A gdy jeden z nich w czasie ofiary, zanadto wysunąwszy się, chwycił pana zębami za szatę, Ramzes tak trzasnął go w łeb brązową łyżką, że gad na chwilę zamknął oczy i rozstawił łapy; potem cofnął się i wlazł w wodę, jakby zrozumiawszy, że młody władca nawet ze strony bogów nie lubi poufałości. Religia, Wierzenia, Zwierzęta, Zabobony, Wiedza, Mądrość

— A może popełniłem świętokradztwo? — zapytał arcykapłana.

Dostojnik spojrzał spod oka, czy kto nie podsłuchuje, i odparł:

— Gdybym wiedział, że wasza świątobliwość taką zrobisz mu ofiarę, podałbym wam maczugę, a nie kadzielnicę. Ten krokodyl to najnieznośniejsze bydlę w całej świątyni... Raz porwał dziecko...

— I zjadł?

— Rodzice byli kontenci[393]!... — rzekł kapłan.

---

[390] *kurytarz* — dziś popr.: korytarz.

[391] *Tan-ta-ren (Dendera)* — gr. Tenthiris, Dendera, miasto na lewym brzegu Nilu, stolica 6. nomu Górnego Egiptu. Słynne z jednego z najlepiej zachowanych egipskich kompleksów świątynnych, z główną świątynią poświęconą bogini Hathor. Ok. 50 km na północ od Teb.

[392] *Kaneh* — Caene, Kainepolis (gr.), ob. Kina, miasto w Górnym Egipcie na wschodnim brzegu Nilu. Ok. 20 km od bardziej znanego starożytnego miasta Koptos (eg. Gebtu, ob. Kift), stolicy 5. nomu Górnego Egiptu. Z okolic Koptos wiodła starożytna trasa na wschód, przez dolinę Wadi Hammamat, do kamieniołomów i kopalń złota na Pustyni Arabskiej i dalej nad wybrzeże Morza Czerwonego, skąd wyprawiano się do kraju Punt, a w późniejszych czasach do Indii.

[393] *kontent* (daw.) — zadowolony.

— Powiedz mi — spytał po namyśle faraon — jakim sposobem wy, ludzie mądrzy, możecie składać hołdy zwierzętom, które w dodatku, gdy nie ma widzów, okładacie kijami!...

Arcykapłan jeszcze raz obejrzał się, a widząc, że w bliskości nie ma nikogo, odpowiedział:

— Przecie chyba ty, władco, nie posądzisz wyznawców Jedynego Boga o wiarę w świętość zwierząt... To, co się robi, robi się dla motłochu... Byk Apis, którego niby czczą kapłani, jest najpiękniejszym bykiem w całym Egipcie i utrzymuje naszą rasę bydła. Ibisy i bociany oczyszczają z padliny nasze pola; dzięki kotom — myszy nie niszczą nam zapasów zboża, a dzięki krokodylom mamy dobrą wodę w Nilu, którą bez ich pomocy trulibyśmy się...

Tymczasem lekkomyślne i ciemne pospólstwo nie rozumie pożytku z tych zwierząt i wytępiłoby je w ciągu roku, gdybyśmy nie zabezpieczyli ich bytu ceremoniami religijnymi.

Oto sekret naszych świątyń przeznaczonych dla zwierząt i naszego nabożeństwa do nich. Okadzamy to, co lud powinien szanować, bo ma z tego pożytek.

W świątyni Hator faraon prędko przebiegł dziedzińce szkoły medycznej i bez wielkiego zapału wysłuchał wróżb, jakie stawiali mu astrologowie. Gdy zaś arcykapłan-astronom pokazał mu złotą tablicę, na której była wyrytowana mapa nieba, pan zapytał:

— Jak też często sprawdzają się wasze przepowiednie, które odczytujecie w gwiazdach?

— Czasem sprawdzają się.

— A gdybyście wróżyli ludziom z drzew, kamieni albo biegu wody, to także sprawdzałoby się?

Arcykapłan zakłopotał się.

— Wasza świątobliwość nie chciej uważać nas za oszustów. Przepowiadamy ludziom przyszłość, bo ona ich obchodzi i, co prawda, tyle rozumieją z astronomii.

— A co wy rozumiecie?

— Znamy — mówił kapłan — budowę sklepienia niebieskiego i ruchy gwiazd...

— Cóż z tego przyjdzie komu?...

— Niemałe usługi oddaliśmy Egiptowi. My wskazujemy główne kierunki, według których wznoszą się budowle i kopią kanały. Bez pomocy naszej nauki okręty pływające po morzu nie mogłyby oddalać się od brzegów. My wreszcie układamy kalendarz i obrachowujemy przyszłe zjawiska na niebie. Ot, i teraz niedługo będziemy mieli zaćmienie...

Ale Ramzes już go nie słuchał; odwrócił się i wyszedł.

„Jak można — myślał faraon — budować świątynie dla tak dziecinnej zabawki i jeszcze rezultaty jej ryć na złotych tablicach?... Święci mężowie już nie wiedzą, czego się chwytać z próżniactwa!..."

Krótko zabawiwszy w Tan-ta-ren, władca przeprawił się na drugą stronę Nilu, do miasta Kaneh.

Tam nie było sławnych świątyń, okadzanych krokodylów i złotych tablic z gwiazdami. Natomiast kwitnęło garncarstwo i handel. Stamtąd szły dwa trakty do portów Morza Czerwonego: Koseir[394] i Berenice[395], tudzież gościniec do gór porfirowych, skąd przywożono posągi i wielkie bryły budulca.

Kaneh roiło się też Fenicjanami, którzy z ogromnym zapałem przyjęli władcę i ofiarowali mu rozmaitych kosztowności za dziesięć talentów.

Mimo to faraon ledwie jeden dzień zabawił w Kaneh; dano mu bowiem z Tebów znać, że czcigodna mumia Ramzesa XII już znajduje się w pałacu Luksor[396] i czeka na pogrzeb.

---

[394] *Koseir* — gr. Leukos Limen, dziś Al-Kusajr, miasto portowe nad Morzem Czerwonym, 160 km na wschód od Kina (powieściowe Kaneh). W czasach hellenistyczno-rzymskich ważny punkt morskiej trasy handlowej do Indii. 50 km dalej znajdował się port Sauu (dziś Mersa Gawasis), skąd w czasach Średniego i Nowego Państwa wyprawiano się do kraju Punt.

[395] *Berenice* — Berenike (gr.), dziś Barnis, port handlowy nad Morzem Czerwonym założony przez Ptolemeusza II (285–246 p.n.e.), położony 370 km na południowy wschód od Kina (powieściowe Kaneh), 270 km od portu Al-Kusajr.

[396] *Luksor* — współczesne miasto na wschodnim brzegu Nilu, w miejscu południowej części starożytnych Teb, z wielką świątynią Amona.

W owej epoce Teby były miastem ogromnym i zajmowały około dwunastu kilometrów kwadratowych powierzchni. Posiadały one największą w Egipcie świątynię Amona tudzież mnóstwo gmachów publicznych i prywatnych. Główne ulice były szerokie, proste i wyłożone kamiennymi płytami, brzegi Nilu obulwarowane, domy cztero- i pięciopiętrowe.

Ponieważ każda świątynia i pałac miała ogromną bramę z pylonami, nazywano więc Teby miastem „stubramowym". Właściwie były one miastem — z jednej strony bardzo przemysłowym i handlowym, z drugiej — jakby progiem do wieczności. Albowiem na zachodnim brzegu Nilu, w górach i między górami, znajdowała się niezliczona ilość grobów kapłańskich, magnackich i królewskich.

Wspaniałość swoją Teby zawdzięczały dwom faraonom: Amenofisowi III, czyli Memnonowi, który zastał „miasto gliniane, a zostawił kamienne", i Ramzesowi II, który wykończył i uzupełnił gmachy rozpoczęte przez Amenofisa.

Na wschodnim brzegu Nilu, w stronie południowej miasta, była cała dzielnica ogromnych budowli królewskich: pałaców, willi, świątyń, na których gruzach dziś wznosi się miasteczko Luksor. W tej dzielnicy zwłoki faraona oczekiwały na ostateczne ceremonie.

Gdy przyjechał Ramzes XIII, całe Teby wyległy na powitanie go; w domach zostali tylko starcy i kalecy, a w zaułkach złodzieje... Tu po raz pierwszy lud wyprzągł konie z królewskiego wozu i sam go ciągnął. Tu również po raz pierwszy faraon usłyszał krzyki i złorzeczenia przeciw kapłanom, co go ucieszyło, tudzież wołania, aby każdy siódmy dzień był świętem, co zastanowiło władcę. Pragnął on dać taki podarunek pracującemu Egiptowi, ale nie myślał, że jego zamiary stały się już głośnymi i naród oczekuje ich spełnienia.

Milowa podróż ciągnęła się parę godzin wśród zbitych tłumów. Wóz królewski bardzo często zatrzymywał się między ciżbą i nie prędzej ruszał, aż gwardii jego świątobliwości udało się podnieść tych, którzy leżeli plackiem na ziemi.

Dobiwszy się wreszcie do pałacowych ogrodów, gdzie zajął jedną z mniejszych willi, faraon był tak zmęczony, że tego dnia nie zajmował się interesami państwa. Zaś na drugi dzień spalił kadzidła przed mumią ojca, która stała w królewskim gmachu głównym, i powiedział Herhorowi, że można zwłoki przeprowadzić do grobów.

Nie odbyło się to jednak natychmiast.

Z pałacu przewieziono zmarłego do świątyni Ramzesa, gdzie dobę odpoczywał. Następnie z ogromnym przepychem wyprowadzono mumię do świątyni Amona-Ra.

Szczegóły obrzędu pogrzebowego były takie same jak w Memfis, choć w nierównie większych proporcjach.

Pałace królewskie, które na prawym brzegu Nilu leżały w stronie południowej miasta, ze świątynią Amona-Ra, która znajdowała się w północnej jego części, łączyła jedyna w swoim rodzaju droga. Była to aleja długa na dwa kilometry, bardzo szeroka, wysadzona nie tylko ogromnymi drzewami, ale jeszcze podwójnym rzędem sfinksów. Jedne z nich miały przy lwich ciałach głowy ludzkie, inne — głowy baranie. Posągów tych wzdłuż drogi stało kilkaset.

Po obu stronach alei cisnęły się nieprzebrane tłumy ludu z Teb i okolic; środkiem zaś gościńca posuwał się orszak pogrzebowy. Więc szły muzyki rozmaitych pułków, oddziały płaczek, chóry śpiewaków, wszystkie cechy rzemieślnicze i kupieckie, deputacje kilkudziesięciu nomesów ze swoimi bogami i chorągwiami, deputacje kilkunastu narodów utrzymujących stosunki z Egiptem... I znowu muzyka, płaczki i chóry kapłańskie.

I tym razem mumia królewska jechała w złotej łodzi, ale nierównie kosztowniejszej niż w Memfisie. Wóz, który ją dźwigał, zaprzężony w osiem par białych wołów, miał ze dwa piętra wysokości i prawie znikał pod stosami wieńców, bukietów, strusich piór i drogocennych tkanin. Otaczały go gęste kłęby dymu z kadzideł, co robiło wrażenie, iż Ramzes XII ukazuje się swojemu narodowi już jako bóg w obłokach.

Z pylonów wszystkich świątyń tebańskich odzywały się odgłosy podobne do grzmotu tudzież potężne a rzewne dźwięki blach spiżowych.

Pomimo że aleja sfinksów była wolna i szeroka, mimo że pochód odbywał się pod kierunkiem egipskich jenerałów, a więc w największym porządku, niemniej na przejście owych dwu kilometrów oddzielających pałace od gmachów Amona orszak zużył trzy godziny.

Dopiero gdy mumię Ramzesa XII wniesiono do świątyni, z pałacu, na złotym wozie ciągnionym przez parę dzielnych koni, wyjechał Ramzes XIII. Lud stojący wzdłuż alei, który w czasie procesji zachowywał się spokojnie, na widok ukochanego władcy wybuchnął tak ogromnym okrzykiem, że w nim rozpłynęły się grzmoty i dźwięki ze szczytu świątyń.

Była chwila, że uniesione zapałem pospólstwo chciało wybiec na środek alei i otoczyć pana. Ale Ramzes jednym znakiem reki powstrzymał żyjącą powódź i zapobiegł świętokradztwu.

W ciągu kilkunastu minut faraon przejechał gościniec i stanął przed olbrzymimi pylonami najwspanialszej świątyni w Egipcie.

Jak Luksor był całą dzielnicą pałaców królewskich w południowej, tak Karnak[397] był dzielnicą bogów w północnej stronie miasta. Głównym zaś ogniskiem Karnaku była świątynia Amona-Ra.

Sam ten gmach zajmował cztery morgi powierzchni, a otaczające go ogrody i stawy około czterdziestu morgów. Przed świątynią stały dwa pylony, wysokie na dziesięć piątr[398]. Podwórze, otoczone wspartym na kolumnach kurytarzem[399], zajmowało blisko dwie morgi, zaś sala kolumnowa, w której gromadziły się stany uprzywilejowane, miała morgę rozległości. Nie był to już gmach, ale — okolica.

Owa sala, czyli hipostyl, miała przeszło sto pięćdziesiąt kroków długości i siedemdziesiąt pięć szerokości, jej zaś sufit opierał się na stu trzydziestu czterech kolumnach. Spomiędzy nich dwanaście środkowych słupów miało po piętnaście kroków obwodu i pięć do sześciu piętr[400] wysokości!...

Posągi rozmieszczone w świątyni, obok pylonów i nad świętym stawem, miały odpowiednie proporcje.

W olbrzymiej bramie czekał na faraona dostojny Herhor, arcykapłan tej świątyni. Otoczony całym sztabem kapłanów, Herhor powitał władcę prawie dumnie, a paląc przed nim kadzidło, nie patrzył na niego. Potem przez dziedziniec zaprowadził faraona do hipostylu i wydał rozkaz wpuszczenia deputacji w obręb świątyniowego[401] muru.

Na środku hipostylu stała łódź z mumią zmarłego władcy, a po obu jej stronach, naprzeciw siebie — dwa jednakowo wysokie trony. Na jednym zasiadł Ramzes XIII otoczony przez jenerałów i nomarchów, na drugim — Herhor otoczony przez kapłanów. Po czym arcykapłan Mefres podał Herhorowi infułę Amenhotepa, a młody faraon po raz drugi na głowie Herhora zobaczył złotego węża, symbol władzy królewskiej.

Ramzes pobladł z gniewu i pomyślał:

„Obym nie potrzebował zdjąć ci ureusza razem z twoją głową!..."

Ale milczał, wiedząc, że w tej największej świątyni egipskiej Herhor jest panem równym bogom i mocarzem bodaj czy nie wyższym od samego faraona.

Przez ten czas, gdy lud napełniał dziedziniec, a za purpurową zasłoną oddzielającą od śmiertelnych resztę świątyni odezwały się arfy i ciche śpiewy, Ramzes przypatrywał się sali. Cały las potężnych kolumn, od góry do dołu okrytych malowidłami, tajemnicze oświetlenie, sufit zawieszony gdzieś pod niebem, przytłaczające wywarło na nim wrażenie.

„Co to znaczy — myślał — wygrać bitwę nad Sodowymi Jeziorami?... Zbudować taki gmach to jest dzieło!... A przecież oni go wznieśli..."

W tej chwili odczuł potęgę kapłańskiego stanu. Czyliż on, jego wojsko, a nawet cały lud potrafiłby obalić tę świątynię?... A jeżeli trudno poradzić sobie z gmachem, czy będzie łatwiej uporać się z jego budowniczymi?...

Z przykrych medytacji wyrwał go głos arcykapłana Mefresa.

— Wasza świątobliwość — mówił starzec — ty, najdostojniejszy powierniku bogów (tu ukłonił się Herhorowi), wy nomarchowie, pisarze, rycerze i ludu pospolity!

[397] *Karnak* — współczesna miejscowość w pobliżu północnej części Teb. Nazwa często odnoszona do położonego na terenie starożytnych Teb monumentalnego zespołu świątyń, kaplic, obelisków i innych budowli wznoszonych od czasów Średniego Państwa, szczególnie w epoce Nowego Państwa za panowania XVIII dynastii, kiedy Teby były stolicą Egiptu. Główne miejsce kultu Amona, Mut i Chonsu, trójcy bogów tebańskich.

[398] *piątr* — dziś popr.: pięter.

[399] *kurytarz* — dziś popr.: korytarz.

[400] *piętr* — dziś raczej: pięter.

[401] *świątyniowy* — dziś popr.: świątynny.

Najdostojniejszy arcykapłan tej świątyni, Herhor, wezwał nas, abyśmy starym obyczajem osądzili ziemskie postępki zmarłego faraona i odmówili mu lub przyznali — prawo pogrzebu...

Gniew uderzył do głowy faraonowi. Nie dość, że jego lekceważą w tym miejscu, ale jeszcze śmią rozprawiać o czynach ojca, decydować o pogrzebie!...

Ale uspokoił się. Była to tylko formalność, tak wreszcie stara jak egipskie dynastie. Nie chodziło w niej naprawdę o sąd, ale o pochwałę dla zmarłego.

Na znak dany przez Herhora arcykapłani zasiedli na taboretach. Ale nomarchowie ani jenerałowie otaczający tron Ramzesa nie usiedli: dla nich bowiem nie było krzeseł.

Faraon zapamiętał i tę zniewagę; ale już tak panował nad sobą, że nie można było poznać, czy dostrzegł lekceważenie swoich bliskich.

Tymczasem święty Mefres zastanawiał się nad życiem zmarłego pana.

— Ramzes XII — mówił — nie popełnił żadnego z czterdziestu dwóch grzechów, więc sąd bogów wyda dla niego wyrok łaskawy. A że nadto mumia królewska, dzięki wyjątkowej troskliwości kapłanów, jest zaopatrzona we wszystkie amulety, modlitwy, przepisy i zaklęcia, zatem nie ulega kwestii, że zmarły faraon jest już w mieszkaniu bogów, zasiada obok Ozyrysa i jest sam Ozyrysem.

Boska natura Ramzesa XII objawiała się już w ziemskim życiu. Panował przeszło trzydzieści lat, dał narodowi głęboki spokój i wybudował lub dokończył wielu[402] świątyń. Prócz tego sam był arcykapłanem i najpobożniejszych kapłanów prześcigał pobożnością. W jego panowaniu pierwsze miejsce zajmowała cześć bogów i podźwignięcie świętego stanu kapłańskiego. Za co też kochały go moce niebieskie, a jeden z tebańskich bożków, Chonsu, na prośbę faraona raczył udać się do kraju Buchten i tam wypędził złego ducha z córki królewskiej.

Mefres odpoczął i znowu mówił dalej:

— Gdy dowiodłem wam, dostojnicy, że Ramzes XII był bogiem, zapytacie: w jakim celu ta wyższa istota zstąpiła na ziemię egipską i kilkadziesiąt lat spędziła na niej?

Oto w tym celu, ażeby poprawić świat, który jest bardzo zepsuty skutkiem upadku wiary.

Kto bowiem dziś zajmuje się pobożnością, kto myśli o spełnianiu woli bogów?

Na dalekiej północy widzimy duży naród asyryjski, który wierzy tylko w siłę miecza, a zamiast mądrością i nabożeństwem, zajmuje się podbijaniem ludów. Bliżej nas siedzą Fenicjanie, dla których bogiem jest złoto, a nabożeństwem oszukiwanie i lichwa. Inne wreszcie ludy, jak Chetowie[403] na wschodzie, Libijczycy na zachodzie, Etiopowie na południu i Grecy na Morzu Śródziemnym, są to barbarzyńcy i rabusie. Zamiast pracować kradną, a zamiast ćwiczyć się w mądrości piją, grają w kości albo wysypiają się jak strudzone bydlęta.

Upadek

Na świecie jest jeden tylko naród prawdziwie pobożny i mądry — egipski; lecz zobaczcie, co się i tutaj dzieje?

Skutkiem napływu cudzoziemców, pozbawionych wiary, religia u nas upadła. Szlachta i dostojnicy przy kubkach wina drwią z bogów i wiecznego życia, a lud obrzuca błotem święte posągi i nie składa ofiar świątyniom.

Miejsce pobożności zajął zbytek, mądrości — rozpusta. Każdy chce nosić ogromne peruki, namaszczać się osobliwymi woniami, posiadać tkane złotem koszule i fartuszki, stroić się w łańcuchy i bransolety wysadzane drogimi kamieniami. Placek pszenny już mu nie wystarcza: on chce ciastka z mlekiem i miodem; piwem myje nogi, zaś pragnienie gasi zagranicznymi winami.

Skutkiem tego cała szlachta jest zadłużona, lud bity i przeciążony pracą, tu i ówdzie wybuchają bunty. Co mówię: tu i ówdzie?... Od pewnego czasu, jak długi i szeroki Egipt, dzięki tajemniczym burzycielom, słyszymy okrzyk:

„Dajcie nam co sześć dni odpoczynek!... Nie bijcie nas bez sądu!... Darujcie nam po zagonie ziemi na własność!..."

Jest to zapowiedź ruiny naszego państwa, przeciw której trzeba znaleźć ratunek. Ratunek zaś jest tylko w religii, która uczy nas, że lud powinien pracować, mężowie święci,

[402] *wybudował lub dokończył wielu świątyń* — dziś popr.: wybudował lub dokończył wiele świątyń.
[403] *Chetowie* — dziś: Hetyci.

jako znający wolę bogów, powinni mu wskazywać pracę, a faraon i jego dostojnicy winni czuwać, ażeby praca była rzetelnie spełniana.

Tego nas uczy religia; według tych zasad rządził państwem równy bogom Ozyrys-Ramzes XII. My zaś, arcykapłani, uznając jego pobożność, ten napis wyryjemy mu na grobie i w świątyniach:

„Horus wół, Apis silny, który połączył korony królestwa, krogulec złoty rządzący szablą, zwycięzca dziewięciu narodów, król Wyższego i Niższego Egiptu, władca dwu światów, syn słońca Amen-mer-Ramessu, ukochany przez Amon-Ra, pan i władca Tebaidy, syn Amon-Ra, przybrany za syna przez Horusa, a spłodzony przez Hormacha, król Egiptu, władca Fenicji, panujący nad dziewięcioma narodami[404]."

Gdy wniosek ten zebrani zatwierdzili okrzykiem, wybiegły spoza zasłony tancerki i wykonały przed sarkofagiem święty taniec, a kapłani zapalili kadzidła. Po czym zdjęto mumię z łodzi i wniesiono do sanktuarium Amona, dokąd Ramzes XIII już nie miał prawa wchodzić.

Niebawem nabożeństwo skończyło się i zebrani opuścili świątynię.

Wracając do pałacu Luksor, młody faraon był tak pogrążony w myślach, że prawie nie dostrzegał niezmiernego tłumu i nie słyszał jego okrzyków.

„Nie mogę oszukiwać własnego serca — mówił do siebie Ramzes. — Arcykapłani lekceważą mnie, co nie spotkało dotychczas żadnego faraona; ba! nawet wskazują mi, w jaki sposób mogę odzyskać ich łaskę. Oni chcą rządzić państwem, a ja mam pilnować, ażeby wykonywano ich rozkazy...

Otóż będzie inaczej: ja rozkazuję, a wy musicie spełniać... I albo zginę, albo na waszych karkach oprę moją królewską nogę..."

Przez dwa dni czcigodna mumia Ramzesa XII przebywała w świątyni Amona-Ra, w miejscu tak boskim, że z wyjątkiem Herhora i Mefresa, nawet arcykapłani wchodzić tam nie mogli. Przed zmarłym świeciła się jedna tylko lampa, której płomień podniecany cudownym sposobem nigdy nie gasnął. Nad zmarłym unosił się symbol duszy, krogulec z ludzką głową. Czy to była machina, czy naprawdę żywa istota, nikt nie wiedział. To pewne, że kapłani, którzy mieli odwagę spojrzeć ukradkiem za zasłonę, widzieli, że istota owa wisiała w powietrzu bez podparcia poruszając przy tym ustami i oczyma.

Nastąpił dalszy ciąg pogrzebu i łódź złota powiozła zmarłego już na drugą stronę Nilu. Pierwej jednak, otoczona ogromnym orszakiem: kapłanów, płaczek, wojska i ludu, wśród kadzideł, muzyki, płaczu i śpiewu przejechała główną ulicą Tebów.

Była to chyba najpiękniejsza ulica w egipskim państwie: szeroka, gładka, wysadzona drzewami. Cztero-, a nawet pięciopiętrowe domy jej od góry do dołu były wyłożone mozaiką lub pokryte kolorowanymi płaskorzeźbami. Co wyglądało tak, jakby na owych budowlach zawieszono olbrzymie, barwne dywany lub zasłonięto je kolosalnymi obrazami, które przedstawiały pracę kupców, rzemieślników, żeglarzy tudzież dalekie kraje i ludy.

Słowem, była to nie ulica, ale raczej niezmierna galeria obrazów, barbarzyńskich pod względem rysunku, jaskrawych pod względem kolorów.

Orszak pogrzebowy posuwał się około dwu kilometrów z północy na południe. Mniej więcej we środku miasta zatrzymał się, a potem skręcił na zachód ku Nilowi.

W tym miejscu wśród rzeki znajdowała się duża wyspa, do której prowadził most zbudowany na czółnach. Ażeby uniknąć wypadku, jenerałowie komenderujący procesją jeszcze raz uszykowali orszak, ustawili po czterech ludzi w szeregu i nakazali im posuwać się bardzo wolno, unikając rytmicznych stąpań. W tym celu muzyki idące na czele gromady intonowały pieśni, każdą w innym takcie.

Po paru godzinach procesja przeszła pierwszy most, potem wyspę, potem drugi most i — znalazła się na lewym, zachodnim brzegu Nilu.

Jeżeli wschodnią połowę Tebów można nazwać miastem bogów i królów, to zachodnia była dzielnicą pamiątkowych świątyń i grobów.

Orszak posuwał się od Nilu w stronę gór, drogą środkową. Na południe od tej drogi stała na wzgórzu świątynia upamiętniająca zwycięstwa Ramzesa III, której ściany były po-

[404]...*panujący nad dziewięcioma narodami* — nagrobek autentyczny. [przypis autorski]

kryte wizerunkami ludów podbitych: Chetów[405], Amorejczyków, Filistynów, Etiopów, Arabów, Libijczyków. Trochę poniżej wznosiły się dwa kolosalne posągi Amenhotepa II, których wysokość, mimo siedzącej postawy, odpowiada pięciu piętrom. Jedna z tych statui odznaczała się cudowną własnością: gdy padły promienie wschodzącego słońca, posąg wydawał dźwięki niby arfa[406], której struny zrywają.

Jeszcze bliżej drogi, wciąż na lewo od niej, stało Rameseum, niezbyt wielka, ale piękna świątynia Ramzesa II. Jej przysionku pilnowały cztery posągi stojące, z królewskimi insygniami w rękach. Na dziedzińcu zaś wznosił się również posąg Ramzesa II, wysoki na cztery piętra.

Droga szła wciąż łagodnie pod górę i coraz wyraźniej widać było bardzo spadziste wzgórza podziurawione jak gąbka: były to groby egipskich dostojników. Przy wejściu do nich, między stromymi skałami, leżała bardzo oryginalna świątynia królowej Hatasu[407]. Budynek ten miał czterysta pięćdziesiąt kroków długości. Z dziedzińca otoczonego murem wchodziło się po schodach na dziedziniec otoczony kolumnami, pod którym była świątynia podziemna. Z dziedzińca zaś kolumnowego wchodziło się znowu po schodach do świątyni już wykutej w skale, pod którą były znowu podziemia.

Tym sposobem świątynia miała dwie kondygnacje: niższą i wyższą, z których jeszcze każda dzieliła się na górną i dolną. Schody były ogromne, opatrzone zamiast poręczy dwoma rzędami sfinksów; wejścia na każde schody pilnowały po dwa siedzące posągi.

Od świątyni Hatasu zaczynał się ponury wąwóz, który od grobów dygnitarzy prowadził do grobów królewskich. Zaś między dwoma tymi dzielnicami znajdował się wykuty w skale grób arcykapłana Retemenofa[408]: komnaty i korytarze tworzące go zajmowały około dwu morgów podziemnej powierzchni.

Droga w wąwozie staje się tak stromą, że wołom ciągnącym muszą pomagać ludzie i popychać łódź żałobną. Orszak posuwa się jakby po gzymsie wykutym z boku skały, wreszcie zatrzymuje się na obszernym placu o kilkanaście piętr[409] nad dnem wąwozu.

Tu znajdują się drzwi prowadzące do podziemnego grobu, który budował sobie faraon przez trzydzieści lat panowania. Grób ten to cały pałac z komnatami dla pana, rodziny i służby, z jadalnią, sypialnią i łazienką, z kaplicami poświęconymi różnym bogom, a nareszcie — ze studnią, na dnie której znajduje się mały pokoik, gdzie na wieki spocznie mumia faraona.

Przy blasku jaskrawych pochodni widać ściany wszystkich komnat pokryte modlitwami i obrazami, które odtwarzają wszystkie zajęcia i rozrywki zmarłego: polowania, budowę świątyń i kanałów, triumfalne przejazdy, uroczystości odprawiane na cześć bogów, walki wojsk z nieprzyjaciółmi, pracę ludu...

Nie dość na tym: pokoje bowiem nie tylko są zastawione sprzętami, naczyniami, wozami i bronią, kwiatami, mięsem, ciastem i winem, ale jeszcze znajduje się w nich mnóstwo posągów. Są to liczne wizerunki Ramzesa XII, jego kapłanów, ministrów, kobiet, żołnierzy i niewolników. Pan bowiem i na tamtym świecie nie może obejść się bez kosztownych sprzętów, wykwintnego jadła i wiernej służby.

Gdy wóz żałobny zatrzymał się u wejścia do grobu, kapłani wyjęli mumię królewską z sarkofagu i postawili ją na ziemi opartą plecami o skałę. Wówczas Ramzes XIII spalił przed zwłokami ojca kadzidło, a królowa Nikotris, objąwszy mumię za szyję, poczęła mówić z płaczem:

---

[405] *Chetowie* — dziś: Hetyci.

[406] *arfa* — dziś: harfa.

[407] *świątynia królowej Hatasu* — świątynia grobowa kobiety-faraona Hatszepsut (1473–1458 p.n.e.) z XVIII dynastii. Zbudowana w dolinie Deir el-Barahi, przylegająca do wielkiego skalnego zbocza, złożona z trzech kaskadowych tarasów, częściowo wykuta w skale. Unikatowy zabytek architektury egipskiej, częściowo odbudowany przez polską misję archeologiczno-konserwatorską.

[408] *grób arcykapłana Retemenofa* — dziś popr.: grobowiec Pedamenopeta, wysokiego rangą kapłana żyjącego na przełomie XXV i XXVI dynastii. Największy z grobowców w nekropoli tebańskiej, składa się z 22 połączonych korytarzami pomieszczeń, położonych na trzech poziomach. Setki metrów ścian pokryto freskami i tekstami religijnymi. Zbadany i obszernie opisany w XIX w., powstał czterysta lat po wydarzeniach przestawianych w powieści.

[409] *piętr* — dziś raczej: pięter.

— „Jam jest siostra twoja, żona twoja Nikotris, nie opuszczaj mnie, o wielki! Czy istotnie pragniesz, mój dobry ojcze, abym się oddaliła? A jeżeli ja odejdę, zostaniesz sam, i czy ktokolwiek będzie z tobą?...[410]"

W tej chwili arcykapłan Herhor spalił kadzidło przed mumią, a Mefres rozlał wino i rzekł:

— „Twemu sobowtórowi ofiarujemy to, Ozyrysie-Mer-amen-Ramzesie, władco Górnego i Dolnego Egiptu, którego głos jest sprawiedliwy przed wielkim bogiem..."

Po czym odezwały się płaczki i chóry kapłanów:

Chór I. „Skarżcie się, skarżcie, płaczcie, płaczcie, bez ustanku płaczcie, tak głośno, jak tylko możecie...

Płaczki. O dostojny podróżniku, który kierujesz swe kroki do ziemi wieczności, jakże prędko wydzierają nam ciebie!...

Chór II. Jakże pięknym jest, co mu się dzieje! Ponieważ on bardzo kochał Chonsu z Teb, więc bóg pozwolił mu osiągnąć Zachód, w świecie pokoleń sług jego.

Płaczki. O ty, którego otaczało tylu sług, będziesz teraz w ziemi, która nakazuje samotność... Ty, który miałeś cienkie szaty i lubiłeś czystą bieliznę, leżysz teraz we wczorajszej odzieży!...

Chór I. W pokoju, w pokoju na Zachód, o panie nasz, idź w pokoju... Ujrzymy cię znowu, gdy dzień wieczności nadejdzie, albowiem idziesz do kraju, który łączy z sobą wszystkich ludzi[411]."

Zaczęły się ostateczne ceremonie.

Przyprowadzono wołu i antylopę, które powinien był zabić Ramzes XIII, ale zabił jego zastępca wobec bogów, arcykapłan Sem. Niżsi kapłani szybko oprawili zwierzęta, po czym Herhor i Mefres, wziąwszy udźce ich, kolejno przykładali je do ust mumii. Ale mumia jeść nie chciała, była bowiem jeszcze nie ożywiona, a usta jej zamknięte.

Aby usunąć tę przeszkodę, Mefres obmył ją świętą wodą i okadził wonnościami i ałunem, mówiąc:

— „Oto stoi mój ojciec, oto stoi Ozyrys-Mer-amen-Ramzes. Ja jestem twoim synem, jestem Horusem, przychodzę do ciebie, aby cię oczyścić i zrobić żywym... Składam na powrót twoje kości, spajam, co było przecięte, gdyż jestem Horus, mściciel ojca mojego... Zasiadasz na tronie Re i dajesz rozkazy bogom. Gdyż ty jesteś Re, który z Nut pochodzi, które rodzi Re każdego poranku, który rodzi Mer-amen-Ramzesa codziennie tak jak Re[412]."

Mówiąc tak, arcykapłan dotykał amuletami ust, piersi, rąk i nóg mumii.

Teraz znowu odezwały się chóry.

Chór I. „Ozyrys-Mer-amen-Ramzes będzie odtąd jadał i pijał wszystko, co jedzą i piją bogowie. Zasiada na ich miejscu, jest zdrów i silny jak oni...

Chór II. Ma władzę we wszystkich członkach swoich; nienawistnym mu jest, gdy będąc głodnym, jeść nie może, i gdy jest spragnionym, a pić nie może.

Chór I. O bogowie, użyczcie Ozyrysowi-Mer-amen-Ramzesowi tysiące tysięcy kruż wina, tysiące szat, chlebów i wołów...

Chór II. O wy, żyjący na ziemi, którzy tędy przechodzić będziecie, jeżeli wam życie miłe, a śmierć obrzydła, jeżeli pragniecie, ażeby dostojeństwa wasze przeszły na wasze potomstwo, odmawiajcie tę modlitwę, za pochowanym tu nieboszczykiem...

Mefres. O wy wielcy, wy prorocy, wy książęta, pisarze i faraonowie, wy inni ludzie, którzy za milion lat po mnie przyjdziecie, gdyby kto z was na miejscu mego nazwiska położył swoje, Bóg go skarze zniszczeniem jego osoby na tej ziemi...[413]"

Po tym zaklęciu kapłani zapalili pochodnie, wzięli mumię królewską i znowu włożyli ją do skrzyni, a ze skrzynią do kamiennego sarkofagu, który w ogólnych zarysach miał ludzką formę. Następnie pomimo krzyku, rozpaczy i oporu płaczek zanieśli ogromny ten ciężar do grobu.

---

[410] *Jam jest siostra twoja [...] i czy ktokolwiek będzie z tobą?* — autentyczne. [przypis autorski]

[411] *Twemu sobowtórowi ofiarujemy [...] łączy z sobą wszystkich ludzi* — autentyczne. [przypis autorski]

[412] *Oto stoi mój ojciec [...] który rodzi Mer-amen-Ramzesa codziennie tak jak Re* — autentyczne. [przypis autorski]

[413] *Ozyrys-Mer-amen-Ramzes będzie odtąd jadał i pijał wszystko, co jedzą i piją bogowie. [...] Bóg go skarze zniszczeniem jego osoby na tej ziemi* — autentyczne. [przypis autorski]

Minąwszy przy świetle pochodni kilka korytarzy i komnat, zatrzymali się w jednej, gdzie była studnia. W otwór ten spuścili sarkofag i sami weszli za nim do podziemiów[414] dolnych. Tam ustawili sarkofag w ciasnym pokoiku i szybko zamurowali otwór tak, że najwprawniejsze oko nie odkryłoby wejścia do grobu. Następnie wrócili na górę i z równą starannością zamurowali wejście do studni.

Wszystko to wykonali sami kapłani, bez świadków, a wykonali tak dokładnie, że mumia Ramzesa XII po dziś dzień spoczywa w swym tajemniczym mieszkaniu, zarówno bezpieczna od złodziejów, jak i od nowożytnej ciekawości. W ciągu dwudziestu dziewięciu wieków wiele mogił królewskich zgwałcono, ale ta została nie tkniętą.

Przez ten czas, gdy jedna grupa kapłanów ukrywała zwłoki pobożnego faraona, inna grupa, oświetliwszy podziemne komnaty, zaprosiła żyjących na ucztę.

Weszli do sali jadalnej: Ramzes XIII, królowa Nikotris, arcykapłani Herhor, Mefres i Sem tudzież kilkunastu cywilnych i wojskowych dostojników. Na środku komnaty stały stoły zapełnione potrawami, winem i kwiatami, a pod ścianą siedział wykuty z porfiru posąg zmarłego pana. Zdawał się on patrzeć na obecnych i z melancholijnym uśmiechem zapraszać ich, aby jedli.

Uczta zaczęła się świętym tańcem, któremu towarzyszył śpiew jednej z najwyższych kapłanek:

„Używajcie dni szczęścia, bo życie trwa tylko jedną chwilę... Używajcie szczęścia, bo gdy wejdziecie do grobu, spoczniecie tam na wieki, na całą długość każdego dnia!...[415]"

Po kapłance wystąpił prorok i przy akompaniamencie arf mówił śpiewającym głosem:

„Świat jest ciągłą zmianą i ciągłym odnawianiem. Mądry to układ losu, godne podziwu postanowienie Ozyrysa, że w miarę jak ciało z ubiegłych czasów ulega zniszczeniu i ginie, zostają po nim inne ciała...

Faraonowie, ci bogowie, którzy byli przed nami, spoczywają w swych piramidach; mumie i sobowtóry ich zostały. Choć pałace, które zbudowali, nie znajdują się już na dawnych miejscach, nie ma ich wcale...

Nie rozpaczaj więc, ale oddaj się swoim żądzom i szczęściu, i nie zużywaj twego serca, aż przyjdzie dla ciebie dzień, kiedy błagać będziesz, a Ozyrys, bóg, którego serce już nie bije, nie zechce wysłuchać próśb i błagań...

Żale całego świata nie wrócą szczęścia człowiekowi, który leży w mogile; używaj więc dni szczęścia i nie bądź leniwym w radości. Zaprawdę, nie ma człowieka, który by mógł zabrać z sobą dobro swoje na tamten świat — zaprawdę nie ma człowieka, który by tam poszedł i wrócił!...[416]"

Uczta skończyła się i dostojne zebranie, jeszcze raz okadziwszy posąg zmarłego, zabrało się z powrotem do Tebów. W świątyni grobowej zostali tylko kapłani, aby regularnie składać panu ofiary, tudzież straż pilnująca grobu przeciw świętokradzkim pokuszeniom złodziejów.

Odtąd Ramzes XII został sam w swej tajemnej komnacie. Przez małe a ukryte w skale okienko ledwie wdzierał się mrok. Zamiast piór strusich nad panem szeleściły skrzydła ogromnych nietoperzy; zamiast muzyki rozlegały się w nocnej porze jękliwe wycia hien i kiedy niekiedy potężny głos lwa, który ze swej pustyni pozdrawiał faraona w grobie.

ROZDZIAŁ X

Po pogrzebie faraona Egipt wrócił do zwykłego trybu życia, a Ramzes XIII do spraw państwowych. Nowy władca w miesiącu Epifi (kwiecień — maj) zwiedził miasta położone za Tebami wzdłuż Nilu. Był więc w Sni[417], mieście bardzo przemysłowym i handlowym, gdzie znajdowała się świątynia Knepha[418], czyli „duszy świata". Zwiedził Edfu[419], którego

[414] *podziemiów* — dziś popr. forma D.: podziemi.

[415] *Używajcie dni szczęścia […] na całą długość każdego dnia!* — autentyczne. [przypis autorski]

[416] *Świat jest ciągłą zmianą […] który by tam poszedł i wrócił!* — autentyczne. [przypis autorski]

[417] *Sna* — Esna, eg. Junet, gr. Latonpolis, miasto na południu Egiptu na zachodnim brzegu Nilu, ok. 50 km na południe od Teb, stolica 3. nomu Górnego Egiptu, centrum kultu bogini Neith i boga Chnuma.

[418] *Kneph* — egipski bóg Chnum, opiekun wylewów Nilu, stwórca ludzi, których uformował z gliny na kole garncarskim.

[419] *Edfu* — miasto w południowym Egipcie na zachodnim brzegu Nilu, ok. 90 km na południe od Teb, 100 km na północ od Asuanu. Ośrodek kultu Horusa, stolica 2. nomu Górnego Egiptu.

świątynia, o dziesięciopiętrowych pylonach[420], posiadała ogromną bibliotekę papirusów, a na ścianach miała wypisaną i wymalowaną jakby encyklopedię ówczesnej jeografii[421], astronomii i teologii. Wstąpił do łomów kamienia w Chennu[422]; w Nubii, czyli Kom Ombo[423], złożył ofiary Horusowi, bogu światła, i Sebekowi, który jest duchem ciemności[424]. Był na wyspie Ab[425], która między czarnymi skałami wyglądała jak szmaragd, rodziła najlepsze daktyle i nazywała się stolicą słoniów: tam bowiem koncentrował się handel kością słoniową. Wstąpił wreszcie do miasta Sunnu[426], położonego przy pierwszej katarakcie Nilowej, i zwiedził olbrzymie kopalnie granitu tudzież sjenitu[427], w których łupano skały za pomocą klinów napojonych wodą i wyciosywano obeliski na dziewięć piętr[428] wysokie.

Gdziekolwiek ukazał się nowy pan Egiptu, poddani witali go z szalonym zapałem. Nawet pracujący w kopalniach przestępcy, których ciało było pokryte nie zagojonymi ranami, nawet ci zaznali szczęścia: faraon bowiem na trzy dni kazał uwolnić ich od roboty.

Ramzes XIII mógł być zadowolony i dumny: żaden bowiem faraon nawet w czasie triumfalnego wjazdu nie był przyjmowany tak jak on w swojej pokojowej przejażdżce. Toteż nomarchowie, pisarze i arcykapłani, widząc bezgraniczne przywiązanie ludu do nowego faraona, ugięli się przed jego władzą i między sobą szeptali:

— Pospólstwo jest jak stado byków, a my jak roztropne i gospodarne mrówki. Czcijmy więc nowego pana, abyśmy cieszyli się zdrowiem i ochronili nasze domy od zniszczenia...

Tym sposobem opozycja dostojników, jeszcze przed kilkoma miesiącami bardzo silna, dziś umilkła i ustąpiła miejsca nieograniczonej pokorze. Cała arystokracja, całe kapłaństwo upadło na twarz przed Ramzesem XIII; tylko Mefres i Herhor pozostali nieugięci.

Toteż kiedy faraon wrócił z Sunnu do Tebów, zaraz pierwszego dnia wielki skarbnik przyniósł mu dwie niepomyślne wiadomości.

— Wszystkie świątynie — rzekł — odmówiły skarbowi kredytu i najpokorniej błagają waszą świątobliwość, aby w ciągu dwu lat rozkazał wypłacić pożyczone od nich sumy...

— Rozumiem — odparł władca — to robota świętego Mefresa!... Ileż jesteśmy im winni?

— Z pięćdziesiąt tysięcy talentów.

— Pięćdziesiąt tysięcy talentów mamy spłacić w ciągu dwu lat!... — powtórzył faraon. — No, a co jeszcze?...

— Podatki wpływają bardzo opieszale — mówił skarbnik. — Od trzech miesięcy dostajemy zaledwie czwartą część tego, co nam się należy...

— Cóż się to stało?...

Skarbnik był zakłopotany.

— Słyszałem — rzekł — iż jacyś ludzie tłumaczą chłopom, że za panowania waszej świątobliwości mogą nie płacić podatków...

---

[420] *świątynia, o dziesięciopiętrowych pylonach* — zachowana do dziś ogromna świątynia Horusa w Edfu została zbudowana na miejscu starszej, mniejszej świątyni, w epoce hellenistycznej, w latach 237–57 p.n.e., tysiąc lat po wydarzeniach opisywanych w powieści.

[421] *jeografia* — dziś popr.: geografia.

[422] *Chennu* — Chenu (eg.), dziś Gebel el-Silsila, wielkie kamieniołomy piaskowca, położone po obu brzegach Nilu pomiędzy Edfu a Kom Ombo, eksploatowane od epoki Średniego Państwa aż do czasów rzymskich. Na zachodnim brzegu znajdują się niewielkie, wycięte w skale świątynie faraonów XVIII dynastii.

[423] *w Nubii, czyli Kom Ombo* — własc. egipskie Nebyt, gr. Omboi, miasto w południowym Egipcie, w I. nomie Górnego Egiptu, ok. 140 km na południe od Teb, 40 km na północ od Asuanu. Ośrodek kultu Sobka i Horusa, słynny ze świętych krokodyli oraz nietypowej, podwójnej świątyni zbudowanej w czasach hellenistycznych, kiedy miasto stało się stolicą nomu.

[424] *Horusowi, bogu światła, i Sebekowi, który jest duchem ciemności* — głównymi bogami Kom Ombo byli: Horus, czczony jako Horus Starszy (gr. Haroeris), bóg światła i mąż Hathor, oraz Sobek, bóg krokodyl, władający wodą.

[425] *wyspa Ab* — egipskie Abu, gr. Elefantyna, wyspa na Nilu przed I kataraktą, gdzie przebiegała granica pomiędzy Egiptem a Nubią; również nazwa wzniesionego na wyspie fortu granicznego; stolica I. nomu Górnego Egiptu; ośrodek kultu Chnuma, boga wylewów Nilu, ze słynnym, odkrytym w XIX wieku nilometrem. Egipskie *abu* oraz gr. *elephas* oznaczają słonia.

[426] *Sunnu* — egipskie Sunet, gr. Syene, dziś Asuan, miasto przy I katarakcie, przy granicy Egiptu z Nubią, w I. nomie Górnego Egiptu. Ok. 660 km na południe od Memfis, 180 km na południe od Teb.

[427] *kopalnie granitu tudzież sjenitu,* — w pobliżu dzisiejszego Asuanu znajdowały się kamieniołomy twardej skały głębinowej, którą od greckiej nazwy tej miejscowości, Syene, nazwano sjenitem.

[428] *piętr* — dziś raczej: pięter.

— Oho! ho!... — zawołał, śmiejąc się, Ramzes — owi jacyś ludzie wydają mi się bardzo podobnymi do dostojnego Herhora... Cóż to, chce on mnie zamorzyć głodem?... Czymże pokrywacie wydatki bieżące? — spytał.

— Z rozkazu Hirama pożyczają nam Fenicjanie — odpowiedział skarbnik. — Wzięliśmy już osiem tysięcy talentów...

— Ale kwity dajecie im?

— I kwity, i zastawy... — westchnął skarbnik. — Oni mówią, że to prosta formalność; niemniej osiedlają się na folwarkach waszej świątobliwości i zabierają chłopom, co się da...

Upojony przyjęciem ze strony ludu i pokorą magnatów, faraon już nawet nie gniewał się na Herhora i Mefresa. Czas gniewów minął, nadeszła chwila działania, i Ramzes tego samego dnia ułożył plan.

Nazajutrz wezwał ludzi najbardziej zaufanych: arcykapłana Sema, proroka Pentuera, ulubieńca Tutmozisa i Fenicjanina Hirama. A gdy zebrali się, rzekł:

— Zapewne wiecie, że świątynie zażądały, abym zwrócił im fundusze, które pożyczył od nich mój wiecznie żyjący ojciec. Każdy dług jest świętym, ten zaś, który należy się bogom, rad bym spłacić najpierwej. Ale skarb mój jest pusty, bo nawet podatki nieregularnie wpływają...

Z tego powodu uważam, że państwo jest w niebezpieczeństwie, i — jestem zmuszony zwrócić się po fundusze do skarbów przechowywanych w Labiryncie...

Dwaj kapłani niespokojnie poruszyli się.

— Wiem — ciągnął faraon — że według naszych świętych praw, mój dekret nie wystarczy do otworzenia nam piwnic Labiryntu. Lecz kapłani tamtejsi objaśnili mnie: co powinienem zrobić. Oto — muszę zwołać przedstawicieli wszystkich stanów Egiptu, po trzynastu ludzi z każdego stanu, i uzyskać od nich potwierdzenie mojej woli...

Faraon w tym miejscu uśmiechnął się i zakończył:

— Dziś wezwałem was, abyście mi pomogli zwołać to zgromadzenie stanów, i oto, co wam rozkazuję:

Ty, dostojny Semie, wybierzesz mi trzynastu kapłanów i trzynastu nomarchów... Ty, pobożny Pentuerze, sprowadzisz z różnych nomesów trzynastu rolników i trzynastu rzemieślników... Tutmozis dostarczy trzynastu oficerów i trzynastu szlachty, a książę Hiram zajmie się tym, ażebym miał trzynastu kupców.

Życzę sobie, ażeby zgromadzenie to jak najprędzej zebrało się w moim pałacu w Memfis i nie tracąc czasu na próżnym gadaniu uznało, że Labirynt powinien dostarczyć funduszów memu skarbowi...

— Ośmielę się przypomnieć waszej świątobliwości — wtrącił arcykapłan Sem — że na tym zgromadzeniu muszą być: dostojny Herhor i dostojny Mefres, i że służy im prawo, a nawet mają obowiązek sprzeciwiać się naruszeniu skarbca w Labiryncie.

— Owszem, zgadzam się na to najzupełniej! — żywo odparł faraon. — Oni powiedzą swoje powody, ja moje. Zaś zgromadzenie osądzi: czy może istnieć państwo bez pieniędzy i czy jest rozsądnie dusić skarby w piwnicach, podczas gdy rządowi grozi bankructwo?

— Kilkoma szafirami z tych, jakie leżą w Labiryncie, można by spłacić wszystkie długi fenickie!... — rzekł Hiram. — Ja zaraz idę między kupców i wnet dostarczę nie trzynastu, ale trzynaście tysięcy takich, którzy będą głosowali na rozkazy waszej świątobliwości...

To powiedziawszy, Fenicjanin upadł na ziemię i pożegnał władcę.

Gdy Hiram wyszedł, arcykapłan Sem odezwał się:

— Nie wiem, czy dobrze stało się, że na tej naradzie był cudzoziemiec?...

— Musiał być!... — zawołał faraon. — Bo on nie tylko ma wielki wpływ na naszych kupców, ale, co ważniejsza, on dziś dostarcza nam pieniędzy... Chciałem go przekonać, że myślę o jego należnościach i mam środki do pokrycia ich...

Nastało milczenie, z którego skorzystał Pentuer, mówiąc:

— Jeżeli wasza świątobliwość pozwoli, ja zaraz wyjadę, ażeby zająć się zgromadzeniem rolników i rzemieślników. Wszyscy oni będą głosowali za naszym panem, ale spośród mnóstwa trzeba wybrać najmędrszych.

Pożegnał faraona i wyszedł.

— A ty, Tutmozisie?... — spytał Ramzes.

— Panie mój — rzekł ulubieniec — jestem tak pewny twojej szlachty i wojska, że zamiast mówić o nich, ośmielę się zanieść do ciebie moją własną prośbę...

— Chcesz pieniędzy?

— Wcale nie. Chcę żenić się...

— Ty?... — zawołał faraon. — Któraż kobieta zasłużyła u bogów na podobne szczęście?

— Jest to piękna Hebron, córka najdostojniejszego nomarchy tebańskiego — Antefa... — odparł, śmiejąc się, Tutmozis. — Jeżeli wasza świątobliwość raczysz oświadczyć mnie tej czcigodnej rodzinie... Chciałem powiedzieć, że moja miłość dla was zwiększy się... ale dam spokój, bo skłamałbym...

Faraon poklepał go po ramieniu.

— No... no!... tylko mnie nie zapewniaj o tym, czego jestem pewny — rzekł. — Pojadę jutro do Antefa i przez bogi, zdaje mi się, że w ciągu kilku dni urządzę ci wesele. A teraz możesz iść do swojej Hebron...

Zostawszy z jednym tylko Semem, jego świątobliwość zapytał:

— Oblicze twoje jest ponure... Czy wątpisz, aby znalazło się trzynastu kapłanów gotowych spełnić moje rozkazy?...

— Jestem pewny — odpowiedział Sem — że prawie wszyscy kapłani i nomarchowie zrobią to, co będzie potrzebne do szczęścia Egiptu i zadowolenia waszej świątobliwości... Racz jednak nie zapominać, panie, że gdy chodzi o skarbiec Labiryntu, ostateczną decyzję wyda Amon...

— Posąg Amona w Tebach?...

— Tak.

Faraon pogardliwie machnął ręką.

— Amon — rzekł — to Herhor i Mefres... że oni nie zgodzą się, o tym wiem; ale też nie myślę dla uporu dwu ludzi poświęcać państwa.

— Myli się wasza świątobliwość — odparł z powagą Sem. — Prawda, że bardzo często posągi bogów robią to, czego chcą ich arcykapłani, ale... nie zawsze!... W naszych świątyniach, panie, dzieją się niekiedy rzeczy nadzwyczajne i tajemnicze... Posągi bogów niekiedy same robią i mówią, co chcą...

— W takim razie jestem spokojny — przerwał mu faraon. — Bogowie znają stan państwa i czytają w moim sercu... Chcę, ażeby Egipt był szczęśliwym, a ponieważ tylko do tego celu dążę, więc żaden mądry i dobry bóg nie może mi przeszkadzać.

— Oby sprawdziły się słowa waszej świątobliwości!... — szepnął arcykapłan.

— Ty jeszcze chcesz mi coś powiedzieć — rzekł Ramzes widząc, że jego religijny zastępca ociąga się z pożegnaniem.

— Tak jest, panie. Mam obowiązek przypomnieć ci, że każdy faraon, zaraz po objęciu władzy i pogrzebaniu swego poprzednika, musi pomyśleć o wzniesieniu dwu budowli: grobu dla siebie i świątyni dla bogów.

— Otóż właśnie! — zawołał pan. — Nieraz już myślałem o tym, ale nie mając pieniędzy, nie śpieszę się z wydawaniem rozkazów. Bo rozumiesz — dodał z ożywieniem — że jeżeli zbuduję coś, to coś wielkiego, coś, co by kazało Egiptowi nieprędko zapomnieć o mnie...

— Chcesz mieć wasza świątobliwość piramidę?...

— Nie. Nie zbuduję przecie większej piramidy niż Cheopsa ani większej świątyni aniżeli Amona w Tebach. Moje państwo jest za słabe do wykonywania dzieł ogromnych... Muszę więc zrobić coś zupełnie nowego, gdyż powiem ci, że nasze budowle już mnie nudzą. Wszystkie są podobne jak ludzie między sobą, a różnią się jedna od drugiej chyba tylko wymiarami, jak człowiek dorosły i dziecko.

— Więc?... — zapytał zdziwiony arcykapłan.

— Mówiłem z Grekiem Dionem, który jest u nas najznakomitszym architektem, i on pochwalił mój plan — ciągnął faraon. — Otóż na grób dla siebie chcę zbudować wieżę okrągłą, ze schodami zewnętrznymi, taką, jak była w Babelu... Wzniosę też świątynię nie dla Ozyrysa lub Izydy, ale dla Jedynego Boga, w którego wierzą wszyscy: Egipcjanie, Chaldejczycy, Fenicjanie i Żydzi... Chcę zaś, aby świątynia ta była podobną do pałacu króla Assara, którego model Sargon przywiózł mojemu ojcu...

Arcykapłan potrząsnął głową.

— Wielkie to są zamiary, panie mój — odparł — ale wykonać ich nie można... Wieże babilońskie, z powodu swojej formy, są nietrwałe i łatwo przewracają się; tymczasem nasze gmachy muszą przetrwać wieki... Świątyni Jedynemu Bogu stawiać nie można, gdyż On nie potrzebuje ani odzieży, ani jadła, ani napoju, a cały świat jest Jego mieszkaniem. Gdzież więc świątynia, która by Go pomieściła, gdzie kapłan, który ośmieliłby się składać Mu ofiary?...

— Ha, więc zbudujemy przybytek dla Amona-Ra — wtrącił faraon.

— Owszem, byle nie taki jak pałac króla Assara. Gdyż jest to gmach asyryjski, a nam, Egipcjanom, nie przystoi naśladować barbarzyńców...

— Nie rozumiem cię... — przerwał nieco rozdrażniony władca.

Naród, Sztuka

— Wysłuchaj mnie, panie nasz — mówił Sem. — Przypatrz się ślimakom, z których każdy ma inną skorupę: jeden zwiniętą, ale płaską, drugi zwiniętą, a podłużną, jeszcze inny — podobną do pudełka... Tak samo każdy naród buduje inne gmachy, zgodne z jego krwią i usposobieniem.

Racz także pamiętać, że gmachy egipskie są tak różne od asyryjskich, jak Egipcjanie od Asyryjczyków.

U nas zasadniczym kształtem każdego gmachu jest piramida ścięta, najtrwalsza ze wszystkich form, jak Egipt jest najtrwalszym ze wszystkich państw. Zaś u Asyryjczyków zasadniczą formą jest sześcian, który łatwo psuje się i ulega zniszczeniu.

Pyszny i lekkomyślny Asyryjczyk stawia swoje sześciany jeden na drugim i buduje gmach wielopiętrowy, pod którego ciężarem usuwa się ziemia. Pokorny zaś i roztropny Egipcjanin ustawia swoje ścięte piramidy jedna za drugą. Tym sposobem u nas nic nie wisi w powietrzu, ale każda część gmachu opiera się na ziemi.

Stąd wynika, że nasze budowle są długie i wiecznotrwałe, a asyryjskie — wysokie i kruche jak ich państwo, które dziś szybko wznosi się, a za parę wieków zostaną po nim tylko gruzy.

Asyryjczyk jest wrzaskliwym samochwalcą, więc w swoich budowlach wszystko wystawia na zewnątrz: kolumny, obrazy i rzeźby. Skromny zaś Egipcjanin najpiękniejsze rzeźby i kolumny kryje wewnątrz świątyń, jak mędrzec, który wzniosłe myśli, uczucia i pragnienia chowa w głębi serca, lecz nie ozdabia nimi swoich piersi i pleców. U nas wszystko, co piękne, jest ukryte, u nich wszystko robi się na pokaz. Asyryjczyk, gdyby mógł, rozciąłby sobie żołądek, ażeby pokazać światu, jakie osobliwe jada potrawy...

— Mów... mów dalej!... — wtrącił Ramzes.

— Niewiele zostaje mi do powiedzenia — ciągnął Sem. — Chcę tylko jeszcze zwrócić, panie, twoją uwagę na ogólną formę naszych i asyryjskich gmachów.

Kiedy, będąc przed laty w Niniwie, przyglądałem się hardo wyskakującym nad ziemię asyryjskim wieżom, zdawało mi się, że to rozhukane konie, które zerwawszy wędzidła, stają dęba, ale — wnet upadną, jeżeli jeszcze nóg sobie nie połamią.

Tymczasem spróbuj, wasza świątobliwość, spojrzeć z jakiego wzniesionego punktu na egipską świątynię. Co ona przypomina?... Oto — człowieka, który modli się, leżąc na ziemi.

Dwa pylony to dwie dłonie wzniesione ku niebu. Dwa mury opasujące dziedziniec — to ramiona. Sala „kolumn, czyli niebiańska" — to głowa; komnaty: „boskiego objawienia" i „stołów ofiarnych" — to piersi, a „tajemny przybytek boga" — to serce pobożnego Egipcjanina.

Nasza świątynia uczy nas, jakimi być powinniśmy.

„Miej dłonie potężne jak pylony — mówi do nas — a ramiona silne jak mury. Miej w głowie rozum tak obszerny i bogaty jak przysionek świątyni, duszę czystą jak komnaty »objawienia« i »ofiar«, a w sercu miej boga — o Egipcjaninie!..."

Zaś asyryjskie gmachy przemawiają do swego ludu:

„Wspinaj się nad ludzi, Asyryjczyku, zadzieraj głowę wyżej niż inni!... Nie zdziałasz nic wielkiego na świecie, ale przynajmniej zostawisz wiele gruzów..."

Miałżebyś, panie, odwagę — zakończył arcykapłan — wznosić u nas budowle asyryjskie, naśladować naród, którym Egipt brzydzi się i pogardza?...

Ramzes zamyślił się. Pomimo wykładu Sema i teraz sądził, że jednak pałace asyryjskie są piękniejsze od egipskich. Ale tak nienawidził Asyryjczyków, że jego serce poczęło się chwiać.

— W takim razie — odparł — zaczekam z budową świątyni i mego grobu. Wy zaś, mędrcy, którzy jesteście mi życzliwi, obmyślcie plany takich gmachów, które by imię moje przekazały najdalszym pokoleniom.

„Nieludzka duma wypełnia duszę tego młodzieńca!..." — rzekł do siebie arcykapłan i smutny pożegnał faraona.

ROZDZIAŁ XI

Tymczasem Pentuer wybierał się z powrotem do Dolnego Egiptu, aby z jednej strony znaleźć po trzynastu delegatów stanu rolniczego i rzemieślniczego dla faraona, z drugiej zaś — aby zachęcić ludność pracującą do upominania się o ulgi, jakie przyobiecał nowy władca. W jego bowiem przekonaniu największą sprawą dla Egiptu było: usunąć krzywdy, jakich doznawały, i nadużycia, jakim ulegały klasy pracujące.

Niemniej Pentuer był kapłanem i nie tylko nie pragnął upadku swego stanu, ale nawet nie chciał zrywać węzłów, jakie go z nim łączyły.

Toteż aby zaznaczyć swoją wierność, Pentuer poszedł z pożegnaniem do Herhora.

Potężny niegdyś dostojnik przyjął go z uśmiechem.

— Rzadki gość... rzadki gość... — zawołał Herhor. — Od czasu jak mogłeś zostać doradcą jego świątobliwości, nie pokazujesz mi się... Co prawda, nie ty jeden!... Ale cokolwiek nastąpi, nie zapomnę twoich usług, choćbyś mnie jeszcze bardziej unikał.

— Ani jestem doradcą pana naszego, ani unikam waszej dostojności, którego łasce zawdzięczam to, czym dziś jestem... — odparł Pentuer.

— Wiem, wiem! — przerwał Herhor. — Nie przyjąłeś wysokiego dostojeństwa, aby nie pracować na zgubę świątyń. Wiem, wiem!... choć może i szkoda, że nie zostałeś doradcą rozbrykanego młokosa, który niby to nami rządzi... Z pewnością nie pozwoliłbyś mu otaczać się zdrajcami, którzy go zgubią...

Pentuer, nie chcąc rozmawiać o tak drażliwych kwestiach, opowiedział Herhorowi, po co jedzie do Dolnego Egiptu.

— Owszem — odparł Herhor — niechaj Ramzes XIII zwołuje zebranie wszystkich stanów... Ma do tego prawo.

Ale — dodał nagle — szkoda mi, że ty się w to mieszasz... Duże zmiany zaszły w tobie!... Pamiętasz, co mówiłeś w czasie owych manewrów pod Pi-Bailos do mego adiutanta?... Przypomnę ci: mówiłeś, że potrzeba ograniczyć nadużycia i rozpustę faraonów. A dziś... sam popierasz dziecinne pretensje największego rozpustnika, jakiego miał kiedy Egipt.

— Ramzes XIII — przerwał mu Pentuer — chce poprawić dolę ludu. Byłbym więc głupim i nikczemnym, gdybym ja, syn chłopów, nie służył mu w tej sprawie.

— Nie pytasz jednak, czy to nie zaszkodzi nam, kapłaństwu?...

Pentuer zdziwił się.

— Wszakże sami dajecie wielkie ulgi chłopom należącym do świątyń! — zawołał. — Mam zresztą wasze pozwolenie...

— Co?... jakie?... — spytał Herhor.

— Przypomnij sobie, wasza dostojność, tę noc, podczas której, w świątyni Seta, witaliśmy najświątobliwszego Beroesa. Mefres mówił wtedy, że Egipt upadł skutkiem poniżenia się stanu kapłańskiego, a ja twierdziłem, że nędza ludu jest przyczyną niedoli państwa. Na co ty, o ile pamiętam, odpowiedziałeś:

„Niech Mefres zajmuje się podźwignięciem kapłanów, a Pentuer poprawą losu chłopstwa... Ja zaś będę zapobiegał zgubnej wojnie między Egiptem i Asyrią..."

— A widzisz — przerwał arcykapłan — więc masz obowiązek działać z nami, nie z Ramzesem.

— Alboż on chce wojny z Asyrią?... — odparł energicznie Pentuer. — Czy może przeszkadza kapłanom w nabywaniu mądrości?... Chce dać ludowi siódmy dzień na odpoczynek, a później obdarzyć każdą rodzinę chłopską małym kawałkiem gruntu... I nie

mów mi, wasza dostojność, że faraon chce złego: bo przecie na folwarkach świątyń sprawdzono, że chłop wolny i mający swój zagon bez porównania lepiej pracuje aniżeli niewolnik.

— Ależ ja nic nie mam przeciw ulgom dla pospólstwa! — zawołał Herhor. — Tylko jestem przekonany, że Ramzes nie zrobi nic dla ludu.

— Z pewnością — nie, jeżeli odmówicie mu pieniędzy...

— Choćbyśmy mu dali piramidę złota i srebra, a drugą klejnotów, nic nie zrobi, bo to rozhukany dzieciak, którego asyryjski poseł Sargon nigdy nie nazywał inaczej, tylko — chłystkiem...

— Faraon ma wielkie zdolności...

— Ale nic nie wie, niczego nie umie! — mówił Herhor. — Ledwie trochę zawadził o wyższą szkołę, z której czym prędzej uciekł. Toteż dziś w sprawach rządu jest jak ślepy, jest jak dziecko, które śmiało przestawia warcaby, ale nie ma pojęcia o grze w warcaby. Władza, Mądrość

— Jednak rządzi...

— Co to za rządy, Pentuerze! — odparł z uśmiechem arcykapłan. — Pootwierał nowe szkoły wojskowe, pomnożył liczbę pułków, zbroi cały naród, obiecuje święta pospólstwu... Ale jak on to wykona?... Trzymasz się z daleka od niego, więc nic nie wiesz; lecz ja zapewniam cię, że on, wydając rozkazy, wcale nie zastanawia się: kto to zrobi? czy są środki? jakie będą następstwa?...

Tobie się zdaje, że on rządzi. To ja rządzę, ja ciągle rządzę, ja, którego on wypędził od siebie... Ja robię to, że dziś mniej wpływa podatków do skarbu, ale ja też zapobiegam buntowi chłopstwa, który już by wybuchnął; ja sprawiam, że nie porzucono robót przy kanałach, groblach i gościńcach. Ja w końcu już dwa razy powstrzymałem Asyrię od wypowiedzenia nam wojny, którą ten szaleniec wywołuje wojskowymi rozporządzeniami...

Ramzes rządzi!... On tylko robi zamęt. Miałeś próbę jego gospodarki w Dolnym Egipcie: pił, hulał, sprowadzał coraz nowe dziewczęta i — niby to zajmował się administracją nomesów, ale nic, zupełnie nic nie rozumiał. Co zaś najgorsze: wdał się z Fenicjanami, ze zbankrutowaną szlachtą i rozmaitego gatunku zdrajcami, którzy pchają go do zguby...

— A zwycięstwo nad Sodowymi Jeziorami?... — spytał Pentuer.

— Przyznaję mu energię i znajomość sztuki wojskowej — odparł Herhor. — To jedno on umie. Lecz powiedz sam, czy wygrałby bitwę nad Sodowymi Jeziorami, gdyby nie pomoc twoja i innych kapłanów?... Przecież wiem, że zawiadamialiście go o każdym ruchu libijskiej bandy... A teraz pomyśl, czy Ramzes, nawet z waszą pomocą, mógłby wygrać bitwę, na przykład — przeciw Nitagerowi?... Nitager to mistrz, Ramzes to dopiero czeladnik.

— Więc czym skończy się wasza nienawiść? — zapytał Pentuer.

— Nienawiść!... — powtórzył arcykapłan. — Alboż ja mogę nienawidzieć chłystka, który w dodatku jest tak obsaczony jak jeleń w wąwozach przez myśliwców. Muszę jednak przyznać, iż jego rządy są tak szkodliwe dla Egiptu, że gdyby Ramzes miał brata albo gdyby Nitager był młodszy, już usunęlibyśmy dzisiejszego faraona...

— A wasza dostojność zostałbyś jego następcą!... — wybuchnął Pentuer.

Herhor wcale nie obraził się.

— Dziwnie zgłupiałeś, Pentuerze — odparł, wzruszając ramionami — od czasu gdy robisz politykę na własny rachunek. Rozumie się, że gdyby zabrakło faraona, ja miałbym obowiązek zostać nim, jako arcykapłan Amona tebańskiego i naczelnik najwyższej rady kapłańskiej. Ale na co mi to? Czyliż od kilkunastu lat nie mam większej władzy aniżeli faraonowie?... Albo czy dziś ja, wypędzony minister wojny, nie robię w państwie tego, co uważam za potrzebne?...

Ci sami arcykapłani, skarbnicy, sędziowie, nomarchowie, a nawet jenerałowie[429], którzy mnie teraz unikają, muszą przecie spełniać każdy tajemny rozkaz najwyższej rady, opatrzony moją pieczęcią. Czy jest w Egipcie człowiek, który by takich zleceń nie spełnił?... Czy ty sam ośmielibyś się im opierać?...

[429] *jenerał* — dziś popr.: generał.

Pentuer zwiesił głowę. Jeżeli pomimo śmierci Ramzesa XII utrzymała się najwyższa, tajna rada kapłańska, to Ramzes XIII albo musi jej ulec, albo stoczyć z nią walkę na życie i śmierć.

Faraon miał za sobą cały naród, całe wojsko, wielu kapłanów i większość cywilnych dostojników. Rada mogła rachować ledwo na parę tysięcy stronników, na swoje skarby i niesłychanie mądrą organizację. Siły najzupełniej nierówne, ale wynik walki — bardzo wątpliwy.

— Więc wy postanowiliście zgubić faraona!... — szepnął Pentuer.

— Wcale nie. Chcemy tylko uratować państwo.

— W takim razie: cóż powinien robić Ramzes XIII?...

— Co on zrobi?... nie wiem — odparł Herhor. — Ale wiem, co robił jego ojciec.

Ramzes XII również zaczął rządy od nieuctwa i samowoli; lecz gdy zabrakło mu pieniędzy, a najgorliwsi stronnicy poczęli go lekceważyć, zwrócił się do bogów. Otoczył się kapłanami, uczył się od nich, ba! nawet ożenił się z córką arcykapłana Amenhotepa... I po kilkunastu latach doszedł do tego, że sam został arcykapłanem nie tylko pobożnym, ale nawet bardzo uczonym.

— A jeżeli faraon nie usłucha tej rady? — spytał Pentuer.

— To obejdziemy się bez niego — rzekł Herhor.

Po chwili zaś ciągnął dalej:

— Posłuchaj mnie, Pentuerze. Ja wiem nie tylko, co robi, ale nawet: o czym myśli ten twój faraon, który zresztą nie odbył jeszcze uroczystej koronacji, więc dla nas jest niczym. Ja wiem, że on chce zrobić kapłanów swoimi sługami, a siebie — jedynym panem Egiptu.

Ale taki zamiar jest głupstwem, a nawet zdradą. Nie faraonowie — o czym dobrze wiesz — stworzyli Egipt, lecz bogowie i kapłani. Nie faraonowie oznaczają przybór Nilu i regulują jego wylewy; nie faraonowie nauczyli lud siać, zbierać płody, hodować bydło. Nie faraonowie leczą choroby mieszkańców i czuwają nad bezpieczeństwem państwa od zewnętrznych wrogów...

Cóż by zatem było, sam powiedz, gdyby nasz stan wydał Egipt na łaskę faraonów? Najmędrszy z nich ma za sobą doświadczenie z lat kilkudziesięciu; ale stan kapłański badał i uczył się przez dziesiątki tysięcy lat... Najpotężniejszy władca ma jedną parę oczu i rąk — przy sobie; podczas gdy my posiadamy tysiące oczu i rąk we wszystkich nomesach i nawet w obcych państwach...

Czy więc działalność faraona może porównywać się z naszą i — w razie różnicy zdań — kto powinien ustąpić: my czy on?...

— A cóż ja teraz mam robić? — wtrącił Pentuer.

— Rób, co ci każe ten młodzik, byleś nie zdradził świętych tajemnic. A resztę... zostaw czasowi... Szczerze pragnę, ażeby młodzieniec, nazywany Ramzesem XIII, upamiętał się, i przypuszczam, że zrobiłby to, gdyby... Gdyby nie związał się z obmierzłymi zdrajcami, nad którymi już zawisła ręka bogów.

Pentuer pożegnał arcykapłana, pełen smutnych przeczuć. Nie upadł jednak na duchu, wiedząc, że cokolwiek dziś zdobędzie dla poprawienia bytu ludowi, to już zostanie, choćby faraon ugiął się przed potęgą kapłanów.

„W najgorszym położeniu — myślał — trzeba robić, co możemy i co do nas należy. Kiedyś poprawią się stosunki, a teraźniejszy zasiew wyda owoce."

Niemniej jednak postanowił wyrzec się agitacji między ludem. Owszem, gotów był uspakajać niecierpliwych, aby nie powiększali kłopotów faraonowi.

W parę tygodni później Pentuer wjeżdżał w granice Dolnego Egiptu, upatrując po drodze najrozsądniejszych chłopów i rzemieślników, spomiędzy których można by wybrać delegatów do zgromadzenia, które zwoływał faraon.

Wszędzie na drodze spotykał oznaki najwyższego wzburzenia: zarówno chłopi, jak rzemieślnicy domagali się, aby im dano siódmy dzień wypoczynku i płacono za wszelkie publiczne roboty, jak było dawniej. A tylko upomnieniom kapłanów różnych świątyń należało zawdzięczać, że nie wybuchnął bunt ogólny, a przynajmniej, że robót nie przerywano.

Zarazem uderzyło go kilka nowych zjawisk, których miesiąc temu nie dostrzegał.

Przede wszystkim lud podzielił się na dwie partie. Jedni byli stronnikami faraona i wrogami kapłanów, drudzy — burzyli się przeciw Fenicjanom. Jedni dowodzili, że ka-

płani powinni wydać faraonowi skarby Labiryntu, drudzy szeptali, że — faraon zanadto proteguje cudzoziemców.

Najdziwniejszą jednak była pogłoska, nie wiadomo skąd powstała, że Ramzes XIII — zdradza objawy obłąkania jak jego brat przyrodni i starszy, który właśnie dlatego został usunięty od tronu. O wieści tej mówili kapłani, pisarze, nawet chłopi.

— Kto wam opowiada takie kłamstwa?... — zapytał Pentuer jednego ze znajomych inżynierów.

— To nie kłamstwo — odparł inżynier — ale smutna prawda. W pałacach tebańskich widziano faraona, jak biegał nagi po ogrodach... A pewnego wieczora jego świątobliwość w nocy, pod oknami królowej Nikotris, wlazł na drzewo i rozmawiał z nią samą.

Pentuer zapewnił go, że nie dawniej jak przed pół miesiącem widział faraona, który cieszy się najlepszym zdrowiem. Wnet jednak poznał, że inżynier nie ufa mu.

„To już sprawa Herhora!... — pomyślał. — Zresztą tylko kapłani mogliby mieć tak szybkie wiadomości z Tebów..."

Na chwilę stracił chęć do zajmowania się wyborem delegatów, lecz znowu odzyskał energię, wciąż powtarzając sobie, że — co lud dziś pozyska, tego nie straci jutro... Chyba gdyby zaszły jakieś nadzwyczajne wypadki!

Za Memfisem, na północ od piramid i sfinksa, wznosiła się już na granicy piasków niewielka świątynia bogini Nut. Mieszkał tam stary kapłan Menes, największy w Egipcie znawca gwiazd, zarazem inżynier.

Gdy trafiła się w państwie budowa dużego gmachu albo nowego kanału, Menes schodził na grunt i wytykał kierunek. Poza obrębem tego żył ubogi i samotny w swej świątyni, nocami badając gwiazdy, w dzień pracując nad osobliwymi przyrządami.

Od kilku lat Pentuer nie był w tym miejscu, toteż uderzyło go opuszczenie i ubóstwo. Ceglany mur walił się, w ogrodzie poschły drzewa, na dziedzińcu wałęsała się chuda koza i parę kur.

Przy świątyni nie było nikogo. Dopiero gdy Pentuer zaczął wołać, z pylonu wyszedł stary człowiek. Miał bose nogi, na głowie brudny czepiec, jak chłopi, dokoła bioder łachman opaski, a na plecach panterczą skórę, z której szerść wypełzła. Mimo to jego postawa była pełna godności, a oblicze rozumu. Bystro przypatrzył się gościowi i rzekł:

— Albo mi się zdaje, albo jesteś Pentuerem?...

— Jestem nim — odrzekł przybysz i serdecznie uściskał starca.

— Ho!... ho!... — zawołał Menes, on to był bowiem — widzę, że zmieniłeś się na dostojnych posadzkach! Masz gładką skórę, bielsze ręce i złoty łańcuch na szyi. Na taką ozdobę długo musi czekać bogini oceanu niebieskiego, matka Nut!...

Pentuer chciał zdjąć łańcuch; ale Menes powstrzymał go z uśmiechem.

— Daj pokój! — rzekł. — Gdybyś wiedział, jakie klejnoty mamy na niebie, nie kwapiłbyś się z ofiarowaniem złota... Cóż, przychodzisz do nas osiedlić się?...

Pentuer potrząsnął głową.

— Nie — odparł. — Przyszedłem tylko pokłonić się tobie, boski nauczycielu.

— A potem znowu do dworu?... — śmiał się starzec. — Oj, wy, wy!... gdybyście wiedzieli, co tracicie, porzucając mądrość dla pałaców, bylibyście najsmutniejszymi ludźmi...

— Sam jesteś, nauczycielu?

— Jak palma w pustyni, szczególniej dziś, kiedy mój głuchoniemy poszedł z koszem do Memfisu użebrać co dla matki Re i jej kapłana.

— I nie przykro ci?...

— Mnie?... — zawołał Menes. — Przez czas kiedyśmy się nie widzieli, wydarłem bogom kilka tajemnic, których nie odstąpiłbym za obie korony Egiptu!...

— Czy to sekret?... — zapytał Pentuer.

— Co za sekret!... Przed rokiem dokończyłem pomiarów i rachunków odnoszących się do wielkości ziemi...

— Co to znaczy?

Menes obejrzał się i zniżył głos.

— Przecież wiadomo ci — mówił — że ziemia nie jest płaską jak stół, ale — jest olbrzymią kulą, na powierzchni której znajdują się morza, kraje i miasta...

— To wiadomo — rzekł Pentuer.

— Nie wszystkim — odparł Menes. — A już wcale nie było wiadomo: jak wielką może być ta kula...

— A ty wiesz? — zapytał prawie wylękniony Pentuer.

— Wiem. Nasza piechota maszeruje na dzień około trzynastu mil egipskich[430]. Otóż kula ziemska jest tak ogromna, że nasze wojska obeszłyby ją dokoła w ciągu pięciu lat...

— Bogowie!... — rzekł Pentuer. — Czy nie lękasz się, ojcze, myśleć o podobnych rzeczach?...

Menes wzruszył ramionami.

— Mierzyć wielkość, cóż w tym strasznego? — odparł. — Mierzyć wielkość piramidy czy ziemi, wszystko jedno. Robiłem trudniejsze rzeczy, bo wymierzyłem odległość naszej świątyni od pałacu faraona, nie przechodząc przez Nil...

— Strach!... — szepnął Pentuer.

— Co za strach?... Odkryłem ja rzecz, której naprawdę będziecie się lękać... Ale o tym nie mów nikomu. Wiesz, w miesiącu Paofi (lipiec — sierpień) będziemy mieli zaćmienie słońca... w dzień zrobi się noc... I niech umrę śmiercią głodową, jeżeli chybiłem w rachunku bodaj o dwudziestą część godziny...

Pentuer dotknął amuletu, który miał na piersiach, i odmówił modlitwę. Potem rzekł:

— Czytałem w świętych księgach, że już nieraz, ku utrapieniu ludzi, robiła się noc w południe. Ale co to jest? nie rozumiem.

— Widzisz piramidy? — spytał nagle Menes, wskazując ku pustyni.

— Widzę.

— A teraz postaw rękę przed oczyma... Widzisz piramidy?... Nie widzisz. Otóż zaćmienie słońca jest tym samym: między słońcem a nami staje księżyc, zasłania ojca światła i robi noc...

— I to stanie się u nas? — spytał Pentuer.

— W miesiącu Paofi. Pisałem o tym do faraona myśląc, że w zamian złoży jaką ofiarę dla naszej zaniedbanej świątyni. Ale on, odczytawszy list, wyśmiał mnie i kazał memu posłańcowi zanieść tę nowinę do Herhora...

— A Herhor?

— Dał nam trzydzieści miar jęczmienia. Ten jeden człowiek w Egipcie szanuje mądrość; ale młody faraon jest lekkomyślny.

— Nie bądź surowym dla niego, ojcze — wtrącił Pentuer. — Ramzes XIII chce poprawić dolę chłopów i rzemieślników: da im co siódmy dzień odpoczynek, zabroni bić ich bez sądu, a może obdaruje ziemią...

— A ja ci mówię, że on jest lekkoduch — odparł rozdrażniony Menes. — Dwa miesiące temu posłałem mu wielki plan ulżenia pracy chłopom i... także wyśmiał mnie!... To nieuk i pyszałek.

— Uprzedzasz się, ojcze... Ale powiedz mi twój plan, a może pomogę wykonać go.

— Plan!... — powtórzył starzec. — To już nie plan, ale rzecz...

Powstał z ławy i obaj z Pentuerem poszli do sadzawki w ogrodzie, nad którą stała altana doskonale zasłonięta pnącymi się roślinami.

W tym budynku znajdowało się wielkie koło osadzone na poziomej osi, z mnóstwem wiaderek na obwodzie. Menes wszedł wewnątrz koła i zaczął poruszać nogami. Koło obracało się, a wiaderka czerpały wodę z sadzawki i wlewały ją w koryto stojące wyżej.

— Ciekawy przyrząd! — rzekł Pentuer.

— A czy zgadniesz: co on może zrobić dla ludu egipskiego?

— Nie...

— Więc pomyśl, że to koło jest pięć albo i dziesięć razy większe i że w jego wnętrzu, zamiast człowieka, chodzi kilka par wołów...

— Coś... coś wydaje mi się — wtrącił Pentuer — ale jeszcze niedobrze rozumiem.

— A to takie proste! — odparł Menes. — Za pomocą tego koła woły lub konie mogłyby czerpać wodę z Nilu i wlewać ją do coraz wyżej leżących kanałów... W takim zaś wypadku pół miliona ludzi, którzy dziś pracują przy wiadrach, mogliby odpoczywać... Teraz widzisz, że mądrość więcej robi dla ludzkiego szczęścia aniżeli faraonowie.

Pentuer potrząsnął głową.

---

[430]*mila egipska* — trzy mile jeograficzne. [przypis autorski]

— Ileż by na to potrzeba drzewa — rzekł — ile wołów, ile paszy!... Zdaje mi się, ojcze, że twoje koło nie zastąpi siódmego dnia odpoczynku.

— Widzę — odpowiedział Menes wzruszając ramionami — że nie wyszły ci na pożytek dostojeństwa. Ale choć straciłeś bystrość, którą w tobie podziwiałem, pokażę ci jeszcze coś... Może kiedy znowu nawrócisz się do mądrości i gdy ja umrę, zechcesz pracować nad ulepszeniem i upowszechnieniem moich wynalazków.

Wrócili do pylonu, a Menes podłożył nieco paliwa pod miedziany kociołek. Rozdmuchał płomień i wkrótce woda zaczęła się gotować.

Z kociołka wychodziła pionowa rura zakryta ciężkim kamieniem. Gdy w kotle zasyczało, Menes rzekł:

— Stań w tej framudze i patrz...

Poruszył korbę przytwierdzoną do rury i — w jednej chwili ciężki kamień wyleciał w powietrze, a komnata napełniła się kłębami pary.

— Dziwo!... — krzyknął Pentuer. Lecz wnet uspokoiwszy się zapytał:

— No, a ten kamień w czym poprawi byt ludu?

— Kamień w niczym — odpowiedział już zniecierpliwiony mędrzec. — Ale zaprawdę, powiadam ci, i o tym pamiętaj: przyjdzie czas, że koń i wół zastąpią pracę ludzką, a zaś gotująca się woda zastąpi konia i wołu.

— Ale co chłopom z tego przyjdzie? — nalegał Pentuer.

— Biada mi! — zawołał Menes chwytając się za głowę. — Nie wiem, zestarzałeś się czy zgłupiałeś, ale już chłopi zasłonili przed tobą cały świat, zaćmili ci umysł.

Tymczasem gdyby mędrcy mieli tylko chłopów na względzie, powinni by rzucić księgi i rachunki i zostać pastuchami!...

— Każda rzecz musi przynosić pożytek — wtrącił onieśmielony Pentuer.

— Wy, ludzie dworscy — rzekł z goryczą Menes — często posługujecie się dwoma miarami! Kiedy Fenicjanin przyniesie wam rubin lub szafir, nie pytacie, jaki z tego pożytek, lecz kupujecie klejnot i zamykacie go w skrzyni. Ale gdy mędrzec przyjdzie do was z wynalazkiem, który mógłby zmienić postać świata, zaraz pytacie: jaki z tego pożytek?... Widać strach was ogarnia, ażeby badacz nie zażądał garści jęczmienia za przedmiot, którego nie pojmuje wasz umysł.

— Gniewasz się, ojcze?... Czyliż chciałem zrobić tobie przykrość?...

— Nie gniewam się, lecz ubolewam. Jeszcze przed dwudziestoma laty było nas w tej świątyni pięciu pracujących nad odkryciem nowych tajemnic. Dziś zostałem ja sam i, przez bogi! nie mogę znaleźć nie tylko następcy, ale nawet człowieka, który by mnie rozumiał.

— Z pewnością, ojcze, zostałbym tu do śmierci, aby poznać boskie twoje pomysły — rzekł Pentuer. — Powiedz jednak, czy mogę zamykać się dziś w świątyni, gdy ważą się losy państwa, szczęście ludu prostego — i gdy mój udział...

— Wpłynie na losy państwa i kilku milionów ludu?... — przerwał szyderczo Menes. — O wy, dorosłe dzieci w infułach i łańcuchach dostojników!... Dlatego że wolno wam zaczerpnąć wody z Nilu, zaraz wam się zdaje, że możecie powstrzymać przybór albo odpływ rzeki.

Zaprawdę, inaczej nie myśli owca, która idąc za stadem wyobraża sobie, że ona je popędza!

— Ależ pomyśl tylko, nauczycielu. Młody faraon ma serce pełne szlachetności, chce dać ludowi siódmy dzień wypoczynku, sprawiedliwy sąd, a nawet ziemię...

Menes potrząsnął głową.

— Wszystko to — mówił — są rzeczy znikome. Młodzi faraonowie starzeją się, a lud... Lud miał już nieraz siódmy dzień odpoczynku i ziemię, a potem je tracił... Ach, gdybyż tylko to zmieniało się!... Ileż od trzech tysięcy lat przesunęło się nad Egiptem dynastii i kapłanów, ile miast i świątyń upadło w gruzy, ba! nawet narosły nowe warstwy ziemi...

Mądrość, Przemijanie, Historia, Wiedza

Wszystko zmieniło się z wyjątkiem tego, że: dwa i dwa jest cztery, że trójkąt jest połową prostokąta, że księżyc może zakryć słońce, a gotująca się woda wyrzuca kamień w powietrze...

W znikomym świecie trwa i zostaje sama tylko mądrość. I biada temu, kto dla rzeczy mijających jak obłoki opuszcza wiekuiste! Jego serce nigdy nie zazna spokoju, a umysł będzie kołysał się jak czółno podczas wichru.

— Bogowie mówią przez twoje usta, nauczycielu — odparł po namyśle Pentuer — ale zaledwo jeden człowiek na miliony może stać się ich naczyniem... I dobrze tak jest. Bo co by było, gdyby chłopi całe noce patrzyli w gwiazdy, żołnierze robili rachunki, a dostojnicy i faraon, zamiast rządzić, wyrzucali kamienie za pomocą gotującej się wody? Zanim księżyc raz obszedłby ziemię, wszyscy musieliby pomrzeć z głodu... Żadne też koło ani kociołek nie obroniłby kraju przed napadem barbarzyńców ani wymierzyłby sprawiedliwości pokrzywdzonym.

Więc — zakończył Pentuer — chociaż mądrość jest jak słońce, krew i oddech, nie możemy jednak wszyscy być mędrcami.

Na te słowa Menes już nic nie odpowiedział.

Kilka dni przepędził Pentuer w świątyni boskiej Nut, lubując się już to widokiem piaszczystego morza, już to żyznej doliny Nilu. Razem z Menesem przypatrywał się gwiazdom, oglądał koło do czerpania wody, czasami chodził w stronę piramid. Podziwiał ubóstwo i geniusz swego nauczyciela, lecz w duchu mówił:

„Menes jest niezawodnie bogiem wcielonym w człowieczą postać i dlatego nie dba o życie ziemskie. Jego zaś koło do czerpania wody nie przyjmie się w Egipcie, bo naprzód brak nam drzewa, a po wtóre do poruszania takich kół trzeba by mieć ze sto tysięcy wołów. A gdzie dla nich pasza, choćby w Górnym Egipcie?..."

ROZDZIAŁ XII

Przez ten czas, kiedy Pentuer objeżdżał państwo, wybierając delegatów, Ramzes XIII mieszkał w Tebach i żenił swego ulubieńca Tutmozisa.

Przede wszystkim władca dwu światów, otoczony wspaniałym orszakiem, pojechał na złocistym wozie do pałacu najdostojniejszego Antefa, nomarchy Teb. Magnat wybiegł naprzeciw pana aż przed bramę i zdjąwszy z nóg kosztowne sandały, na klęczkach pomógł Ramzesowi wysiąść.

W zamian za ten hołd faraon podał mu do ucałowania rękę i oświadczył, że od tej pory Antef staje się jego przyjacielem i ma prawo wchodzić w obuwiu nawet do sali tronowej.

Gdy zaś znaleźli się w ogromnej komnacie pałacu Antefa, pan wobec całego orszaku odezwał się:

— Wiem, dostojny Antefie, że jak czcigodni przodkowie twoi mieszkają w najpiękniejszych grobach, tak ty, potomek ich, jesteś najprzedniejszym między nomarchami Egiptu. Tobie zaś zapewne wiadomo, że na moim dworze i w wojsku, jak również w moim królewskim sercu, pierwsze miejsce zajmuje ulubieniec mój i dowódca gwardii — Tutmozis.

Według zdania mędrców: źle czyni bogacz, który najdroższego klejnotu nie osadza w najpiękniejszy pierścień. A że twój ród, Antefie, jest mi najdroższy, a Tutmozis najmilszy, więc umyśliłem — połączyć was ze sobą. Co łatwo może się stać, jeżeli córka twoja, piękna i mądra Hebron, przyjmie za małżonka Tutmozisa.

Na co dostojny Antef odparł:

— Wasza świątobliwość, władco żywego i zachodniego świata! Jak cały Egipt i wszystko, co w nim jest, należy do ciebie, tak ten dom i wszyscy jego mieszkańcy są twoją własnością. Skoro zaś pragniesz w swym sercu, aby moja córka, Hebron, została żoną ulubieńca twego, Tutmozisa, więc niech tak będzie...

Teraz faraon opowiedział Antefowi, że Tutmozis ma dwadzieścia talentów rocznej płacy ze skarbu i znaczne dobra własne w różnych nomesach. Zaś dostojny Antef oświadczył, że jego jedyna córka Hebron będzie miała pięćdziesiąt talentów rocznie tudzież prawo korzystania z dóbr ojca w tych nomesach, w których na dłuższy czas zatrzyma się dwór królewski.

A ponieważ Antef nie miał syna, więc cały jego ogromny i nie zadłużony majątek musiał kiedyś przejść na Tutmozisa wraz z urzędem nomarchy Teb, o ile zgadzałoby się to z wolą jego świątobliwości.

Po ukończeniu układów wszedł z dziedzińca Tutmozis i podziękował Antefowi naprzód za to, że takiemu jak on nędzarzowi oddaje swoją córkę, a po wtóre — że ją tak pięknie wychował. Zarazem umówiono się, że ceremonia zaślubin odbędzie się w ciągu kilku dni. Tutmozis bowiem, jako dowódca gwardii, nie ma czasu na zbyt długie uroczystości wstępne.

— Życzę ci szczęścia, mój synu — zakończył z uśmiechem Antef — tudzież wielkiej cierpliwości. Albowiem ukochana córka moja, Hebron, ma już dwadzieścia lat, jest pierwszą elegantką w Tebach i przywykła posiadać swoją wolę.

Na bogi!... mówię ci, że moja władza nad Tebami zawsze kończyła się przy furcie ogrodów mojej córki. I lękam się, że twoje jeneralstwo nie większe zrobi na niej wrażenie.

Z kolei szlachetny Antef zaprosił swoich gości na wspaniałą ucztę, w czasie której ukazała się piękna Hebron z wielkim orszakiem towarzyszek.

W sali jadalnej stało mnóstwo stolików na dwie i cztery osoby tudzież jeden większy stół na wzniesieniu dla faraona. Aby uczcić Antefa i swego ulubieńca, jego świątobliwość zbliżył się do Hebron i zaprosił ją do swego stołu.

Panna Hebron była rzeczywiście piękna, a robiła wrażenie osoby doświadczonej, co w Egipcie nie stanowiło osobliwości. Ramzes prędko spostrzegł, że narzeczona wcale nie zwraca uwagi na przyszłego małżonka, ale za to posyła wymowne spojrzenia w stronę jego, faraona.

I to także nie było dziwem w Egipcie.

Gdy goście zasiedli przy stolikach, gdy odezwała się muzyka, a tancerki zaczęły roznosić między biesiadnikami wino i kwiaty, Ramzes odezwał się:

— Im dłużej patrzę na ciebie, Hebron, tym więcej zdumiewam się. Gdyby tu wszedł kto obcy, uważałby cię za boginię albo arcykapłankę, ale nigdy za szczęśliwą narzeczoną.

— Mylisz się, panie — odparła. — W tej chwili jestem szczęśliwą, ale nie z mego narzeczeństwa...

— Jak to może być?... — przerwał faraon.

— Małżeństwo nie nęci mnie i z pewnością wolałabym zostać arcykapłanką Izydy aniżeli żoną...

— Więc dlaczego wychodzisz za mąż?

— Robię to dla ojca, który koniecznie chce mieć spadkobiercę swej sławy... Głównie zaś dlatego, że ty tak chcesz, panie...

— Mógłżeby ci się nie podobać Tutmozis?

— Tego nie mówię. Tutmozis jest piękny, jest pierwszym elegantem w Egipcie, ładnie śpiewa i bierze nagrody na igrzyskach. Jego zaś stanowisko dowódcy gwardii waszej świątobliwości należy do najpierwszych w kraju.

Mimo to, gdyby nie prośby ojca i twój rozkaz, panie, nie zostałabym jego żoną... Choć i tak nie będę nią!... Tutmozisowi wystarczy mój majątek i tytuły po moim ojcu, a resztę znajdzie u tancerek.

— I on wie o swoim nieszczęściu?

Hebron uśmiechnęła się.

— On od dawna wie, że choćbym nie była córką Antefa, ale ostatniego paraszyty, jeszcze nie oddałabym się człowiekowi, którego nie kocham. A pokochać mogłabym tylko wyższego od siebie.

— Mówisz to naprawdę?... — dziwił się Ramzes.

— Mam przecie dwadzieścia lat, więc już od sześciu lat otaczają mnie wielbiciele. Prędko jednak poznałam ich wartość... A dziś wolę słuchać rozmowy uczonych kapłanów aniżeli śpiewów i oświadczyn eleganckiej młodzieży.

— W takim razie nie powinienem siedzieć przy tobie, Hebron, bo nawet nie jestem elegantem, a już wcale nie posiadam mądrości kapłańskiej...

— O, ty, panie, jesteś czymś większym... — odparła, mocno rumieniąc się. — Ty jesteś wódz, który odniósł zwycięstwo... Ty jesteś porywczy jak lew, bystry jak sęp... Przed tobą miliony upadają na twarz, a państwa drżą... Alboż nie wiemy, jaką trwogę budzi w Tyrze i Niniwie twoje imię? Bogowie mogliby zazdrościć twojej potęgi...

Ramzes zmieszał się.

— O Hebron, Hebron... Gdybyś wiedziała, jaki niepokój zasiewasz w moim sercu!...

— Dlatego — mówiła — godzę się na małżeństwo z Tutmozisem... Będę bliższą waszej świątobliwości i choć co kilka dni będę widywała ciebie, panie...

To powiedziawszy — wstała od stolika i odeszła.

Postępek jej spostrzegł Antef i wylękniony przybiegł do Ramzesa.

— O panie! — zawołał — czy moja córka nie powiedziała czego niestosownego?... To niepohamowana lwica...

— Uspokój się — odparł faraon. — Twoja córka jest pełna mądrości i powagi. Wyszła zaś, bo spostrzegła, że wino waszej dostojności zbyt silnie rozwesela biesiadników.

Rzeczywiście w sali jadalnej panował wielki hałas, tym bardziej że Tutmozis, porzuciwszy rolę wicegospodarza, zrobił się najbardziej ożywionym biesiadnikiem.

— Poufnie rzeknę waszej świątobliwości — szepnął Antef — że biedny Tutmozis bardzo będzie musiał pilnować się wobec Hebron...

Ta pierwsza uczta przeciągnęła się do rana. Wprawdzie faraon zaraz wyjechał, lecz inni zostali — z początku na krzesłach, później na posadzkach... Aż wreszcie musiał Antef wozami rozesłać ich do domów, niby rzeczy martwe.

W kilka dni odbyła się uroczystość zaślubin.

Do pałacu Antefa zeszli się arcykapłani Herhor i Mefres, nomarchowie sąsiednich nomesów i najwyżsi dostojnicy miasta Tebów. Później przyjechał na dwukolnym wozie Tutmozis otoczony oficerami gwardii, a na końcu — jego świątobliwość Ramzes XIII.

Towarzyszyli panu: wielki pisarz, naczelnik łuczników, naczelnik konnicy, wielki sędzia, wielki skarbnik, arcykapłan Sem i generałowie-adiutanci.

Gdy wspaniałe to zgromadzenie znalazło się w sali przodków najdostojniejszego Antefa, ukazała się Hebron w białych szatach, z licznym orszakiem przyjaciółek i służebnic. Wówczas ojciec jej, spaliwszy kadzidło przed Amonem, posągiem swego ojca i — siedzącym na wzniesieniu Ramzesem XIII, oświadczył, że córkę swoją Hebron uwalnia spod opieki i ofiaruje jej posag. Przy czym podał jej w złotej puszce odnośny akt spisany na papirusie wobec sądu.

Po krótkiej przekąsce panna młoda wsiadła do kosztownej lektyki niesionej przez ośmiu urzędników nomesu. Przed nią szła muzyka i śpiewacy, dokoła lektyki dostojnicy, a za nimi wielki tłum ludu. Cały ten orszak posuwał się ku świątyni Amona, przez najpiękniejsze ulice Tebów, wśród tłumu tak licznego jak na pogrzebie faraona.

W świątyni lud został za murem, a państwo młodzi, faraon i dygnitarze weszli do sali kolumnowej. Tu Herhor spalił kadzidła przed zasłoniętym posągiem Amona, kapłanki wykonały święty taniec, a Tutmozis przeczytał z papirusa akt następujący:

„Ja, Tutmozis, dowódca gwardii jego świątobliwości Ramzesa XIII, biorę ciebie, Hebron, córkę monarchy tebańskiego, Antefa, za żonę. Daję ci zaraz sumę dziesięciu talentów za to, żeś żoną moją być zechciała. Na ubranie twoje przeznaczam ci trzy talenty rocznie, a na wydatki domowe po talencie co miesiąc. Z dzieci, które mieć będziemy, syn najstarszy będzie spadkobiercą majątku, jaki dziś posiadam i w przyszłości nabyć mogę. Jeżelibym nie żył z tobą, rozwiódł się i inną pojął żonę, będę obowiązanym do wypłacania ci czterdziestu talentów, jakową sumę opieram na majątku moim. Syn nasz, gdy obejmie majątek, będzie obowiązany płacić ci piętnaście talentów rocznie. Dzieci zaś spłodzone z inną żoną nie będą miały prawa do majątku pierworodnego syna naszego."[431]

Teraz wystąpił wielki sędzia i w imieniu Hebron przeczytał akt, w którym młoda pani obiecuje: dobrze karmić i odziewać małżonka swego, dbać o jego dom, rodzinę, służbę, inwentarz i niewolników, i powierza temuż małżonkowi zarząd majątkiem, jaki otrzymała i otrzyma od ojca.

Po odczytaniu aktów Herhor podał Tutmozisowi puchar wina.

Pan młody wypił połowę, panna Hebron umoczyła usta, po czym oboje spalili kadzidła przed purpurową zasłoną.

Opuściwszy świątynię Amona tebańskiego państwo młodzi i ich wspaniały orszak udali się przez aleję sfinksową do królewskiego pałacu. Gromady ludu i żołnierzy witały ich okrzykami, rzucając na drogę kwiaty.

[431] *Ja, Tutmozis, dowódca gwardii […] nie będą miały prawa do majątku pierworodnego syna naszego…* — autentyczne. [przypis autorski]

Tutmozis dotychczas mieszkał w komnatach faraona. Lecz w dniu wesela pan darował mu piękny pałacyk, w głębi ogrodów, otoczony lasem fig, mirtów i baobabów, gdzie młodzi małżonkowie mogli przepędzać dni szczęścia, ukryci przed ludzkim okiem, jakby odcięci od świata. W spokojnym tym zakątku tak rzadko pokazywali się ludzie, że nawet ptaki nie uciekały przed nimi.

Gdy nowożeńcy i goście znaleźli się w nowym mieszkaniu, nastąpiła ceremonia ślubu ostateczna.

Tutmozis ujął za rękę Hebron i podprowadził ją do ognia płonącego przed posągiem Izydy. Wtedy Mefres wylał na głowę panny łyżkę świętej wody, Hebron dotknęła ręką ognia, a Tutmozis podzielił się z nią kawałkiem chleba i na palec włożył jej swój pierścień na znak, że od tej pory zostaje panią majątku, sług, trzód i niewolników pana młodego.

Przez ten czas kapłani śpiewali hymny weselne i obnieśli posąg boskiej Izydy po całym domu. Kapłanki zaś wykonały święte tańce.

Dzień ten zakończył się widowiskami i wielką ucztą, podczas której wszyscy spostrzegli, że Hebron ciągle towarzyszyła faraonowi, a Tutmozis trzymał się od niej z daleka i tylko częstował gości.

Gdy zeszły gwiazdy, święty Herhor opuścił ucztę, a wkrótce po nim wymknęło się kilku najwyższych dostojników. Zaś około północy w podziemiach świątyni Amona zebrały się następujące czcigodne osoby: arcykapłani Herhor, Mefres i Mentezufis, najwyższy sędzia Tebów tudzież naczelnicy nomesów Abs, Horti i Emsuch[432].

Mentezufis obejrzał grube kolumny, zamknął drzwi, pogasił światła, i została w niskiej komnacie tylko jedna lampa płonąca przed posążkiem Horusa. Dostojnicy zasiedli na trzech kamiennych ławach, a nomarcha Absu rzekł:

— Gdyby mi kazano określić charakter jego świątobliwości Ramzesa XIII, zaiste! nie potrafiłbym tego uczynić...

— Wariat! — wtrącił Mefres.

— Czy wariat, nie wiem — odparł Herhor. — W każdym razie człowiek bardzo niebezpieczny. Asyria już dwa razy przypominała nam o ostatecznym traktacie, a dziś, jak słyszę, zaczyna niepokoić się zbrojeniem Egiptu...

— O to mniejsza — rzekł Mefres. — Gorsze bowiem jest, że ten bezbożnik naprawdę myśli naruszyć skarby Labiryntu...

— A ja bym sądził — odezwał się nomarcha Emsuchu — że gorsze są obietnice porobione chłopom. Dochody państwa i nasze stanowczo zachwieją się, jeżeli pospólstwo zacznie świętować co siódmy dzień... A gdyby jeszcze faraon nadał im grunta!...

— On gotów to zrobić — szepnął najwyższy sędzia.

— Czy aby gotów?... — spytał nomarcha Horti. — Mnie się zdaje, że on tylko chce pieniędzy. Gdyby mu więc ustąpić coś ze skarbów Labiryntu...

— Nie można — przerwał Herhor. — Państwu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, tylko faraonowi, a to — nie wszystko jedno. Po wtóre — jak grobla póty jest mocna, dopóki nie przeniknie jej choćby strumyk wody, tak Labirynt dopóty jest pełen, dopóki nie ruszymy z niego pierwszej sztaby złota. Po niej wszystko pójdzie...

Wreszcie — kogóż zasilimy skarbami bogów i państwa?... Oto młodzieńca, który pogardza wiarą, upokarza kapłanów i buntuje lud. Nie jestże on gorszym od Assara?... Bo ten jest wprawdzie barbarzyńcą, ale szkody nam nie robi.

— Nieprzystojną jest rzeczą, aby faraon tak jawnie zalecał się do żony swego ulubieńca, już w dniu ślubu... — odezwał się zamyślony sędzia.

— Hebron sama go ciągnie! — rzekł nomarcha Horti.

— Każda kobieta wabi wszystkich mężczyzn — odpowiedział nomarcha Emsuchu. — Lecz na to dany jest rozum człowiekowi, aby nie popełniał grzechu...

— Alboż faraon nie jest mężem wszystkich kobiet w Egipcie? — szepnął nomarcha Abs. — Grzechy wreszcie należą do sądu bogów, a nas obchodzi tylko państwo...

— Niebezpieczny!... niebezpieczny!... — mówił nomarcha Emsuchu, trzęsąc rękoma i głową. — Nie ma żadnej wątpliwości, że pospólstwo jest już rozzuchwalone i lada chwilę

[432] *nomesy Abs, Horti i Emsuch* — trzy nomy położone na północ od Teb: *Abs* to Abdżu, 8. nom Górnego Egiptu, ze stolicą w Abydos, *Horti* to Herui, 5. nom Górnego Egiptu, ze stolicą w Koptos, *Emsuch* to „Krokodyl", 6. nom Górnego Egiptu, ze stolicą w Denderze.

podniesie bunt. A wówczas żaden arcykapłan ani nomarcha nie będzie pewny nie tylko władzy i majątku, ale nawet życia...

— Na bunt mam sposób — wtrącił Herhor.

— Jaki?

— Przede wszystkim — odezwał się Mefres — buntowi można zapobiec, jeżeli mędrszych spomiędzy pospólstwa oświecimy, że ten, który obiecuje im wielkie ulgi, jest wariatem...

— Najzdrowszy człowiek pod słońcem! — szepnął nomarcha Horti. — Trzeba tylko wyrozumieć: o co mu chodzi?

— Wariat! wariat! — powtarzał Mefres. — Jego przyrodni brat starszy już udaje małpę i pije z paraszytami, a on zacznie to robić lada dzień...

— Jest to zły i niedorzeczny sposób ogłaszać za wariata człowieka przytomnego — zabrał głos nomarcha Horti. — Bo gdy lud zmiarkuje kłamstwo, przestanie nam wierzyć we wszystkim, a wówczas nic nie powstrzyma buntu.

— Jeżeli ja mówię, że Ramzes jest wariatem, muszę mieć na to dowody — rzekł Mefres. — A teraz posłuchajcie.

Dostojnicy poruszyli się na ławach.

— Powiedzcie mi — ciągnął Mefres — czy człowiek zdrowego rozumu ośmieli się, będąc następcą tronu, walczyć publicznie z bykiem wobec kilku tysięcy Azjatów? Czy rozsądny książę, Egipcjanin, będzie po nocy włóczył się do świątyni fenickiej?... Czy bez powodu zepchnie do rzędu niewolnic pierwszą swoją kobietę, co nawet było przyczyną śmierci jej i dziecka?...

Obecni zaszemrali ze zgrozy.

— Wszystko to — mówił arcykapłan — widzieliśmy w Pi-Bast, jak również ja i Mentezufis byliśmy świadkami pijackich uczt, na których już półobłąkany następca bluźnił bogom i znieważał kapłanów...

— Tak było — wtrącił Mentezufis.

— A jak mniemacie — prawił zapalając się Mefres — czy człowiek zdrowy na umyśle, będąc naczelnym wodzem, opuści armię, ażeby uganiać się po pustyni za kilkoma libijskimi bandytami?

Pomijam mnóstwo rzeczy drobniejszych, choćby pomysł nadania chłopom świąt i ziemi, lecz pytam was: czy mogę nazywać przytomnym człowieka, który popełnił tyle występnych niedorzeczności, bez powodu, oto tak sobie!...

Obecni milczeli, nomarcha Horti był zafrasowany.

— Nad tym trzeba zastanowić się — wtrącił najwyższy sędzia — ażeby nie stała się krzywda człowiekowi...

Tu odezwał się Herhor.

— Święty Mefres wyrządza mu łaskę — rzekł stanowczym tonem — poczytując go za wariata. W przeciwnym bowiem razie musielibyśmy uważać Ramzesa za zdrajcę...

Obecni poruszyli się z niepokojem.

— Tak, człowiek nazywany Ramzesem XIII jest zdrajcą, bo nie tylko wybiera sobie szpiegów i złodziei, ażeby odkryli drogę do skarbów Labiryntu, nie tylko odmawia traktatu z Asyrią, którego Egipt koniecznie potrzebuje...

— Ciężkie oskarżenia! — rzekł sędzia.

— Ale jeszcze, słuchajcie mnie, układa się z podłymi Fenicjanami o przekopanie kanału między Morzem Czerwonym i Śródziemnym. Otóż kanał ten jest największą groźbą dla Egiptu, albowiem kraj nasz w jednej chwili może być zalany przez wodę!...

Tu już nie chodzi o skarby Labiryntu, ale o nasze świątynie, domy, pola, o sześć milionów, wprawdzie głupich, ale niewinnych ludzi, a w końcu o życie nasze i naszych dzieci...

— Jeżeli tak jest... — westchnął nomarcha Horti.

— Ja i dostojny Mefres zaręczamy, że tak jest i że ten jeden człowiek takie w swych rękach nagromadził niebezpieczeństwa, jakie jeszcze nigdy nie groziły Egiptowi... Dlatego zebraliśmy was, czcigodni mężowie, ażeby obmyśleć środki ratunku... Ale musimy działać śpiesznie, bo zamiary tego człowieka pędzą naprzód jak wicher pustyni i — bodajby nie zasypały nas!...

Na chwilę w mrocznej komnacie zaległa cisza.

— Cóż tu radzić? — odezwał się nomarcha Emsuch. — My siedzimy w nomesach, daleko od dworu, i wreszcie nie tylko nie znamy zamiarów tego szaleńca, ale nawet nie domyślaliśmy się ich, prawie nie wierzymy...

Dlatego sądzę, że najlepiej pozostawić tę sprawę tobie, dostojny Herhorze, i Mefresowi. Odkryliście chorobę, obmyślcie teraz lekarstwo i zastosujcie... A jeżeli niepokoi was ogrom odpowiedzialności, dobierzcie sobie do pomocy najwyższego sędziego...

— Tak! tak!... prawdę mówi!... — potwierdzili wzburzeni dostojnicy.

Mentezufis zapalił pochodnię i położył na stole przed posągiem boga papirus, na którym spisano akt tej treści, że: wobec niebezpieczeństw grożących państwu władza rady tajnej przechodzi w ręce Herhora, któremu do pomocy dodani są: Mefres i najwyższy sędzia.

Akt ten, stwierdzony podpisami obecnych dostojników, zamknięto w puszkę i schowano w skrytce pod ołtarzem.

Nadto — każdy z siedmiu uczestników zobowiązał się pod przysięgą spełniać wszystkie rozkazy Herhora i wciągnąć do spisku po dziesięciu dygnitarzy. Herhor zaś obiecał im złożyć dowody, że Asyria nalega o traktat, że faraon nie chce go podpisać, że układa się z Fenicjanami o budowę kanału i że w zdradziecki sposób chce dostać się do Labiryntu.

— Życie moje i cześć jest w waszych rękach — zakończył Herhor. — Jeżeli to, co powiedziałem, jest nieprawdą, skażcie mnie na śmierć, a ciało moje na spalenie...

Teraz już nikt nie wątpił, że arcykapłan mówi szczerą prawdę. Żaden bowiem Egipcjanin nie naraziłby ciała swego na spalenie, czyli — duszy na zgubę.

Kilka dni po weselu Tutmozis przepędził w towarzystwie Hebron w pałacyku darowanym mu przez jego świątobliwość. Ale każdego wieczora przychodził do koszar gwardii, gdzie w towarzystwie oficerów i tancerek bardzo wesoło przepędzał noce.

Z tego zachowania koledzy domyślili się, że Tutmozis poślubił Hebron tylko dla posagu, co wreszcie nikogo nie dziwiło.

Po pięciu dniach Tutmozis przyszedł do faraona i oświadczył, że może na powrót objąć służbę. Skutkiem czego odwiedzał swoją małżonkę tylko przy świetle słonecznym, a w nocy czuwał przy komnacie pana.

Jednego wieczora rzekł mu faraon:

— Pałac ten ma tyle kątów do podglądania i podsłuchiwania, że każda moja czynność jest śledzona. Nawet do czcigodnej matki mojej znowu odzywają się tajemnicze głosy, które już umilkły były w Memfis, gdym rozpędził kapłanów...

Tym sposobem — ciągnął pan — nie mogę nikogo przyjmować u siebie, ale muszę opuszczać pałac i w miejscu bezpiecznym naradzać się ze sługami moimi...

— Mam iść za waszą świątobliwością? — spytał Tutmozis widząc, że faraon ogląda się za płaszczem.

— Nie. Musisz zostać tutaj i pilnować, aby nikt nie wchodził do mojej komnaty. Nikogo też nie wpuszczaj, choćby to była matka moja, a nawet cień wiecznie żyjącego ojca... Powiesz, że śpię i że nie chcę widzieć się z nikim.

— Stanie się, jak rzekłeś — odparł Tutmozis, wkładając na pana płaszcz z kapturem.

Potem zgasił światło w sypialni, a faraon wyszedł bocznymi korytarzami.

Znalazłszy się w ogrodzie, Ramzes przystanął i z uwagą rozejrzał się w okolicy. Następnie widać zorientowawszy się, począł szybko iść w stronę pałacyku ofiarowanego Tutmozisowi.

Po kilku minutach drogi w cienistej alei ktoś przed nim stanął i zapytał:

— Kto idzie?...

— Nubia — odpowiedział faraon.

— Libia — rzekł pytający i nagle cofnął się, jakby przestraszony.

Był to oficer gwardii. Władca przypatrzył mu się i zawołał:

— Ach, to Eunana!... Co tu robisz?

— Obchodzę ogrody. Robię to każdej nocy po parę razy, gdyż zakradają się niekiedy złodzieje.

Faraon pomyślał i rzekł:

— Roztropnie czynisz. Lecz zapamiętaj sobie, że pierwszym obowiązkiem gwardzisty jest milczeć... Złodzieja wypędź, ale gdybyś spotkał jaką dostojną osobę, nie zaczepiaj jej i milcz, zawsze milcz... Choćby to... był sam arcykapłan Herhor...

— O panie! — zawołał Eunana — tylko nie rozkazuj mi składać w nocy hołdu Herhorowi albo Mefresowi... Nie wiem, czy na ich widok miecz sam nie wydarłby mi się z pochwy...

Ramzes uśmiechnął się.

— Twój miecz jest moim — odparł — i tylko wtedy może wyjść z pochwy, kiedy ja rozkażę...

Skinął głową Eunanie i poszedł dalej.

Po kwadransie błądzenia mylnymi ścieżkami faraon znalazł się w pobliżu altany ukrytej w gąszczach. Zdawało mu się, że usłyszał szelest i cicho zapytał:

— Hebron?...

Naprzeciw niemu wybiegła figura odziana również w ciemny płaszcz. Przypadła do Ramzesa i zawisła mu na szyi szepcząc:

— To ty, panie?... to ty?... Jakże długo czekałam...

Faraon poczuł, że wysuwa mu się z objęć; wziął ją na ręce i zaniósł do altany. W tej chwili spadł z niego płaszcz. Ramzes przez chwilę ciągnął go, lecz w końcu zostawił.

Na drugi dzień czcigodna pani Nikotris wezwała do siebie Tutmozisa. Ulubieniec faraona aż zląkł się, spojrzawszy na nią. Królowa była strasznie blada; oczy miała zapadnięte, prawie błędne.

— Siądź — rzekła wskazując mu stołeczek obok swego fotelu.

Tutmozis zawahał się.

— Siądź!... i... przysięgnij, że nikomu nie powtórzysz tego, co ci powiem...

— Na cienie mego ojca... — rzekł.

— Słuchaj — mówiła królowa cicho — byłam dla ciebie prawie matką... Gdybyś więc zdradził tajemnicę, bogowie skaraliby... Nie... Oni tylko zwaliliby na twoją głowę część tych klęsk, jakie wiszą nad moim rodem...

Tutmozis słuchał zdumiony.

„Obłąkana?..." — pomyślał z trwogą.

— Spojrzyj na to okno — ciągnęła — na to drzewo... Czy wiesz, kogo dziś w nocy widziałam na tym drzewie, za oknem?...

— Miałżeby przyjechać do Tebów przyrodni brat jego świątobliwości?...

— To nie był tamten — szeptała łkając. — To był on sam... mój syn... mój Ramzes!...

— Na drzewie?... dziś w nocy?...

— Tak!... światło pochodni doskonale padało na jego twarz i postać... Miał kaftan w białe i niebieskie pasy... obłąkane spojrzenie... Śmiał się dziko jak tamten nieszczęsny jego brat i mówił: „Patrz, matko, ja już umiem latać, czego nie potrafił ani Seti, ani Ramzes Wielki, ani Cheops... Patrz, jakie wyrastają mi skrzydła!..."

Wyciągnął do mnie rękę, i ja, nieprzytomna z żalu, dotykałam przez okno jego rąk, jego twarzy oblanej zimnym potem... Wreszcie zsunął się z drzewa i uciekł...

Tutmozis słuchał przerażony. Nagle uderzył się w czoło.

— To nie był Ramzes! — odparł stanowczo. — To był człowiek bardzo podobny do niego, podły Grek, Lykon, który zabił mu syna, a dziś znajduje się w mocy arcykapłanów... To nie Ramzes!... To występek tych nikczemników, Herhora i Mefresa...

Na twarzy królowej błysnęła nadzieja, lecz tylko na chwilę.

— Czyliżbym nie poznała mego syna?...

— Lykon ma być nadzwyczajnie podobny — rzekł Tutmozis. — To sprawa kapłanów... Nikczemni!... Śmierci za mało dla nich...

— Więc faraon spał dzisiejszą noc w domu? — nagle zapytała pani.

Tutmozis zmieszał się i spuścił oczy.

— Więc nie spał?...

— Spał... — odrzekł niepewnym głosem ulubieniec.

— Kłamiesz!... Ale powiedz mi przynajmniej, czy nie miał kaftana w białe i niebieskie pasy?...

— Nie pamiętam... — szepnął Tutmozis.

— Znowu kłamiesz... A ten płaszcz... powiedz, że to nie jest płaszcz mego syna... Mój niewolnik znalazł go na tym samym drzewie...

Pani zerwała się i wydobyła ze skrzyni brunatny płaszcz z kapturem. Jednocześnie Tutmozis przypomniał sobie, że faraon wrócił po północy bez płaszcza, a nawet tłumaczył się przed nim, że płaszcz zginął mu gdzieś w ogrodzie...

Wahał się, myślał, w końcu odparł stanowczo:

— Nie, królowo. To nie był faraon... To był Lykon i zbrodnia kapłanów, o której natychmiast trzeba powiedzieć jego świątobliwości...

— A jeżeli to Ramzes?... — znowu spytała pani, choć w jej oczach już było widać iskrę nadziei.

Tutmozis stropił się. Domysł jego co do Lykona był mądry i mógł być słuszny; lecz nie brakło poszlak, że królowa widziała Ramzesa. Wszak wrócił do swego mieszkania po północy, miał kaftan w białe i niebieskie pasy, zgubił płaszcz... Wszakże jego brat już był obłąkany, a wreszcie — czy w tym wypadku mogłoby omylić się serce matki?...

I oto naraz w duszy Tutmozisa zbudziły się wątpliwości skłębione i zmotane jak gniazdo jadowitych wężów.

Szczęściem, w miarę jak on wahał się, w serce królowej wstępowała otucha.

— Dobrze, że przypomniałeś mi tego Lykona... Pamiętam!... Przez niego Mefres posądził Ramzesa o dzieciobójstwo, a dziś — może posługuje się nędznikiem do zniesławienia pana...

W każdym razie ani słowa nikomu o tym, co ci powierzyłam... Gdyby Ramzes... gdyby naprawdę uległ takiemu nieszczęściu, może to być chwilowe... Niepodobna upakarzać go rozgłaszaniem podobnych wieści, a nawet niepodobna zawiadamiać go o tym!... Jeżeli zaś jest to zbrodnia kapłanów, musimy być również ostrożni. Chociaż... ludzie, którzy uciekają się do takich oszustw, nie mogą być silni...

— Wyśledzę ja to — przerwał Tutmozis — ale gdy się przekonam...

— Tylko nie mów Ramzesowi, zaklinam cię na cienie ojców!... — zawołała pani, składając ręce. — Faraon nie przebaczyłby im, oddałby ich pod sąd, a wówczas musiałoby nastąpić jedno z dwu nieszczęść. Albo skazano by na śmierć najwyższych kapłanów państwa, albo sąd uwolniłby ich... A co potem?...

Natomiast Lykona ścigaj i zabij bez miłosierdzia jak drapieżne zwierzę... jak żmiję...

Tutmozis pożegnał królowę znacznie uspokojoną, choć jego obawy wzrosły.

„Jeżeli ten podły Grek Lykon żyje jeszcze pomimo kapłańskiego więzienia — myślał — to przede wszystkim, zamiast łazić po drzewach i pokazywać się królowej — wolałby uciec... Ja sam ułatwiłbym mu ucieczkę i obsypałbym bogactwami, gdyby wyznał mi prawdę i szukał opieki przeciw tym łotrom... Ale skąd kaftan, płaszcz?... Dlaczego myliłaby się matka?..."

Od tej pory Tutmozis unikał faraona i nie śmiał patrzeć mu w oczy. A że i Ramzes był jakiś nieswój, więc zdawało się na pozór, że serdeczne ich stosunki ochłodły.

Lecz pewnego wieczora pan znowu wezwał ulubieńca.

— Muszę — rzekł — pogadać z Hiramem o ważnych sprawach, więc wychodzę. Czuwaj tu, przy mojej sypialni, a gdyby kto chciał mnie widzieć, nie dopuść...

Gdy Ramzes zniknął w tajemnych korytarzach pałacu, Tutmozisa ogarnął niepokój.

„Może — myślał — kapłani otruli go jakim szalejem, a on czując, że zbliża się wybuch choroby, ucieka ze swego domu?... Ha, zobaczymy."

Jakoż zobaczył. Faraon wrócił dobrze po północy do swych komnat i wprawdzie miał na sobie płaszcz, ale... nie swój, tylko żołnierski.

Tutmozis zatrwożył się i nie spał do rana oczekując, rychło znowu wezwie go królowa. Królowa jednak nie wezwała go. Natomiast, w czasie rannego przeglądu gwardii, oficer Eunana poprosił swego naczelnika o chwilę rozmowy.

Gdy znaleźli się we dwu w osobnej komnacie, Eunana upadł Tutmozisowi do nóg błagając, aby nikomu nie powtórzył tego, co on mu powie.

— Cóż się stało?... — zapytał Tutmozis czując chłód w sercu.

— Wodzu — mówił Eunana — wczoraj, około północy, dwaj moi żołnierze schwycili w ogrodzie człowieka, który biegał nagi i krzyczał nieludzkim głosem...

Przyprowadzili go do mnie i wodzu... zabij mnie!...

Eunana upadł znowu do nóg Tutmozisowi.

— ...Ten człowiek nagi... ten... Nie mogę powiedzieć...

— Kto był?... — zapytał przerażony Tutmozis.

— Już nic nie powiem... — jęknął Eunana. — Zdjąłem mój płaszcz i okryłem świętą nagość... Chciałem odprowadzić do pałacu, ale... ale pan kazał mi zostać i milczeć... milczeć...

— I gdzie poszedł?...

— Nie wiem... nie patrzyłem i nie pozwoliłem patrzeć żołnierzom... Zniknął gdzieś w gąszczach ogrodu... Zapowiedziałem moim ludziom, że... nic nie widzieli... nic nie słyszeli... A gdyby który widział lub słyszał cokolwiek, będzie natychmiast uduszony.

Tutmozis tymczasem zdołał zapanować nad sobą.

— Nie wiem — rzekł chłodno — nie wiem i nie rozumiem nic z tego, coś mi opowiedział. Ale pamiętaj o jednym, że — ja sam biegałem nago, gdym raz wypił za dużo wina, i... hojnie nagrodziłem tych, którzy mnie nie spostrzegli.

Chłopi, Eunano, chłopi i robotnicy zawsze chodzą nago. Wielcy zaś tylko wówczas, gdy im się tak podoba. I gdyby mnie czy któremu z dostojników przyszła ochota stanąć na głowie, mądry i pobożny oficer nie powinien się temu dziwić.

— Rozumiem — odparł Eunana bystro patrząc w oczy wodzowi. — I nie tylko powtórzę to moim żołnierzom, ale nawet zaraz dzisiejszej nocy będę chodził nago po ogrodach, aby wiedzieli, że starsi mają prawo robić to, co chcą...

Bez względu jednak na małą liczbę osób, które widziały faraona czy jego sobowtóra w stanie obłędu, wieść o tych dziwnych wypadkach rozeszła się bardzo prędko. W kilka dni wszyscy mieszkańcy Teb, od paraszytów i nosiwodów do kupców i pisarzy, szeptali, że Ramzes XIII dotknięty jest nieszczęściem, które jego starszych braci usunęło od tronu.

Obawa i cześć dla faraona były tak wielkie, że lękano się mówić głośno, osobliwie między ludźmi obcymi. Niemniej jednak wszyscy o tym wiedzieli — z wyjątkiem samego Ramzesa.

Najszczególniejsze jednak było to, że pogłoska bardzo prędko obiegła całe państwo, co było dowodem, że rozchodziła się za pośrednictwem świątyń. Tylko bowiem kapłani posiadali tajemnicę porozumiewania się w ciągu kilkunastu godzin z jednego krańca Egiptu na drugi.

Tutmozisowi nikt bezpośrednio nie wspominał o szkaradnych wieściach. Lecz dowódca faraonowej gwardii na każdym kroku czuł ich istnienie. Z zachowania się ludzi, z którymi łączyły go stosunki, odgadywał, że służba, niewolnicy, żołnierze, dostawcy dworu mówią o szaleństwie pana, milknąc tylko na tę chwilę, kiedy mógłby usłyszyć ktoś starszy.

Nareszcie zniecierpliwiony i zatrwożony Tutmozis zdecydował się na rozmowę z nomarchą tebańskim.

Przyszedłszy do jego pałacu, zastał Antefa leżącego na kanapie w pokoju, którego połowa była jakby ogródkiem zapełnionym osobliwymi roślinami. Na środku tryskała fontanna różanej wody; w kątach stały posągi bogów, na ścianach była wymalowana historia czynów znakomitego nomarchy. Stojący w głowach czarny niewolnik chłodził pana wachlarzem ze strusich piór; na posadzce siedział pisarz nomesu i czytał raport.

Tutmozis miał minę tak zafrasowaną, że nomarcha natychmiast wyprawił pisarza i niewolnika, a podniósłszy się z kanapy przejrzał wszystkie kąty pokoju, aby sprawdzić, czy kto nie podsłuchuje.

— Dostojny ojcze pani Hebron, mojej czcigodnej małżonki — odezwał się Tutmozis — z twego zachowania się widzę, że odgadujesz: o czym chcę mówić...

— Nomarcha Teb zawsze musi być przezornym — odparł Antef. — Domyślam się również, że naczelnik gwardii jego świątobliwości nie mógł zaszczycić mnie odwiedzinami w błahym interesie.

Przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Tutmozis usiadł obok swego teścia i szepnął:

— Czy słyszałeś nikczemne wieści, które wrogowie państwa rozgłaszają o naszym władcy?...

— Jeżeli chodzi o moją córkę Hebron — śpiesznie odezwał się nomarcha — oświadczam ci, że dziś ty jesteś jej panem i nie możesz mieć do mnie żalu...

Tutmozis niedbale machnął ręką.

— Jacyś niegodni ludzie — mówił zięć — rozgłaszają, że faraon jest obłąkany... Słyszałeś o tym, mój ojcze?...

Antef kiwał i kręcił głową, co mogło równie dobrze oznaczać potwierdzenie, jak i zaprzeczenie. Wreszcie rzekł:

— Głupstwo jest wielkie jak morze, wszystko w sobie pomieści.

— To nie głupstwo, ale występek kapłanów, którzy posiadają człowieka podobnego do jego świątobliwości i posługują się nim do podłych czynów.

I opowiedział nomarsze historią Greka Lykona tudzież jego zbrodnię w Pi-Bast.

— O tym Lykonie, który zabił dziecko księcia następcy słyszałem — odparł Antef. — Ale gdzie masz dowody, że Mefres uwięził Lykona w Pi-Bast, że przywiózł go do Teb i że wypuszcza go do ogrodów królewskich, aby tam udawał obłąkanego faraona?...

— Właśnie dlatego pytam waszą dostojność: co robić?... Jestem przecie naczelnikiem gwardii i muszę czuwać nad czcią i bezpieczeństwem naszego pana.

— Co robić?... co robić?... — powtarzał Antef. — Ha! przede wszystkim pilnować, ażeby te wieści bezbożne nie dosięgnęły uszu faraona...

— Dlaczego?...

— Bo stanie się wielkie nieszczęście. Gdy nasz pan usłyszy, że Lykon w jego imieniu udaje wariata, wpadnie w gniew... straszny gniew!... Naturalnie zwróci się przeciw Herhorowi i Mefresowi. Może ich tylko zelży, może uwięzi, może nawet zabije... Cokolwiek zaś zrobi, zrobi bez żadnego dowodu, a wtedy co?... Dzisiejszy Egipt już nie lubi składać ofiar bogom, ale jeszcze ujmie się za niewinnie pokrzywdzonymi kapłanami... A wtedy co?... Bo ja myślę — dodał zbliżywszy usta do ucha Tutmozisowi — bo ja myślę, że byłby to koniec dynastii...

— Więc cóż robić?...

— Ciągle jedno! — zawołał Antef. — Znajdź owego Lykona, dowiedź, że Mefres i Herhor ukrywali go i kazali mu udawać obłąkanego faraona... To możesz zrobić, jeżeli chcesz utrzymać łaskę pana. Dowodów, jak najwięcej dowodów!... U nas nie Asyria, arcykapłanów bez najwyższego sądu krzywdzić nie można, a żaden sąd nie skaże ich bez namacalnych dowodów...

Gdzie masz zresztą pewność, że faraonowi nie podsunięto jakiejś odurzającej trucizny?... Przecie to byłoby prostsze aniżeli wysyłanie po nocy człowieka, który nie zna ani haseł, ani pałacu, ani ogrodu... Mówię ci: O Lykonie słyszałem z pewnych ust, bo od Hirama. Ale nie rozumiem, w jaki sposób Lykon mógłby w Tebach wyprawiać takie dziwy.

— Ale, ale!... — przerwał Tutmozis. — A gdzie jest Hiram?

— Zaraz po waszym weselu pojechał ku Memfisowi, a w tych dniach był już w Hiten.

Tutmozis znowu zakłopotał się.

„Tej nocy — myślał — kiedy do Eunany przyprowadzono nagiego człowieka, faraon mówił, że idzie zobaczyć się z Hiramem. A ponieważ Hirama nie było w Tebach, więc co?... Więc jego świątobliwość już o tej godzinie sam nie wiedział, co mówi!"

Tutmozis wrócił do siebie oszołomiony. Już nie tylko nie pojmował: co robić w tym niesłychanym położeniu, ale nawet — co o nim myśleć? O ile bowiem w rozmowie z królową Nikotris był pewny, że w ogrodach ukazywał się Lykon, wysłany przez arcykapłanów, o tyle dziś jego wątpliwości rosły.

A jeżeli tak było z Tutmozisem, ulubieńcem, który ciągle widywał Ramzesa, cóż musiało dziać się w sercach ludzi obcych?... Najgorliwsi stronnicy faraona i jego zamiarów mogli zachwiać się słysząc ze wszystkich stron, że władca jest obłąkanym!

Był to pierwszy cios zadany Ramzesowi XIII przez kapłanów. Drobny sam w sobie, pociągał nieobrachowane skutki.

Tutmozis nie tylko wahał się, ale i cierpiał. Pod lekkomyślnymi pozorami miał on charakter szlachetny i energiczny. Więc dziś, kiedy godzono na cześć i władzę jego pana, Tutmozisa gryzła bezczynność. Zdawało mu się, że jest komendantem twierdzy, którą podkopuje nieprzyjaciel, a on patrzy na to bezczynny!...

Myśl ta tak dręczyła Tutmozisa, że pod wpływem jej wpadł na śmiały pomysł. Mianowicie spotkawszy raz arcykapłana Sema, rzekł mu:

— Wasza dostojność słyszałeś — pogłoski, jakie krążą o naszym panu?...

— Faraon jest młody, więc mogą o nim krążyć bardzo rozmaite plotki — odparł Sem, dziwnie patrząc na Tutmozisa. — Ale sprawy takie nie do mnie należą: zastępuję jego świątobliwość w służbie bogów, spełniam to, jak umiem najlepiej, o resztę nie dbam.

— Wiem, że wasza dostojność jesteś wiernym sługą faraona — mówił Tutmozis — i nie mam zamiaru mieszać się do kapłańskich tajemnic. Muszę jednak zwrócić waszą uwagę na jeden drobiazg...

Oto dowiedziałem się z pewnością, że święty Mefres przechowuje niejakiego Lykona, Greka, na którym ciążą dwa występki: jest on mordercą faraonowego syna i — jest zanadto podobny do jego świątobliwości...

Niech więc dostojny Mefres nie ściąga hańby na czcigodny stan kapłański i czym prędzej wyda mordercę sądom. Jeżeli bowiem my znajdziemy Lykona, przysięgam, że Mefres utraci nie tylko swój urząd, ale i głowę. W naszym państwie nie można bezkarnie opiekować się zbójami i ukrywać ludzi podobnych do najwyższego władcy!...

Sem, w którego obecności Mefres odebrał policji Lykona, zmieszał się, może z obawy, aby go nie posądzono o wspólnictwo. Niemniej jednak odparł:

— Postaram się ostrzec świętego Mefresa o tych uwłaczających mu podejrzeniach. Czy jednak wasza dostojność wie: jak odpowiadają ludzie oskarżający kogoś o zbrodnię?

— Wiem i przyjmuję odpowiedzialność. Tak przecie jestem pewny swego, że o następstwa moich podejrzeń wcale się nie troszczę. Niepokój zostawiam czcigodnemu Mefresowi i życzę mu, abym nie potrzebował od przestróg — przejść do czynów.

Rozmowa wywołała skutek: od tej pory ani razu nikt nie widział faraonowego sobowtóra.

Ale pogłoski nie ucichły, a Ramzes XIII nie wiedział o nich. Nawet bowiem Tutmozis, lękając się ze strony pana gwałtownych wystąpień przeciw kapłanom, nie zawiadomił go o niczym.

ROZDZIAŁ XIII

W początkach miesiąca Paofi (lipiec — sierpień) jego świątobliwość, królowa Nikotris i dwór powrócili z Tebów do pałacu pod Memfisem.

Przy końcu podróży, która i tym razem odbywała się Nilem, Ramzes XIII często wpadał w zamyślenie, a raz rzekł do Tutmozisa:

— Spostrzegam dziwny objaw... Lud gromadzi się na obu brzegach tak gęsto, a może nawet gęściej niż wówczas, gdyśmy płynęli w tamtą stronę. Ale okrzyki są znacznie słabsze, czółen jedzie za nami mniej i kwiatów rzucają skąpo...

— Boska prawda płynie z ust twoich, panie — odparł Tutmozis. — Istotnie lud wygląda, jakby był zmęczony, co jednak pochodzi ze strasznych upałów...

— Mądrze powiedziałeś!... — pochwalił go faraon i rozjaśnił oblicze.

Ale Tutmozis nie wierzył własnym słowom. On czuł, a co gorsze, czuł cały orszak królewski, że masy ludu nieco ochłodły w miłości swej do pana.

Czy był to skutek wieści o nieszczęsnej chorobie Ramzesa, czy jakich innych praktyk? Tutmozis nie wiedział. Był jednak pewny, że na to ochłodnięcie wpłynęli kapłani.

„Oto głupi motłoch! — myślał nie hamując w swym sercu pogardy. — Niedawno tonęli, byle tylko ujrzeć oblicze jego świątobliwości, a dziś żałują krzyku... Czyby już zapomnieli i o siódmym dniu odpoczynku, i o ziemi na własność?..."

Natychmiast po przyjeździe do pałacu faraon wydał rozkaz zgromadzenia delegatów, którzy mieli postanowić o naruszeniu skarbów Labiryntu. Jednocześnie polecił oddanym sobie urzędnikom i policji, aby rozpoczęto agitacją przeciw kapłanom i za siódmym dniem odpoczynku.

Niebawem znowu zaczęło w Dolnym Egipcie wrzeć jak w ulu. Chłopi upominali się nie tylko o święta, ale i o płacenie im gotówką za roboty publiczne. Rzemieślnicy w szynkach i na ulicach złorzeczyli kapłanom, którzy chcą ograniczyć świętą władzę faraona. Liczba przestępstw wzrosła, ale przestępcy nie chcieli odpowiadać przed sądem. Pisarze spokornieli i żaden nie śmiał uderzyć człowieka prostego wiedząc, że spotka się z odwetem. Do świątyń rzadziej składano ofiary, bogi pilnujące granic nomesów coraz częściej były obrzucane kamieniami i błotem, a nawet obalane.

Strach padł na kapłanów, nomarchów i ich popleczników. Na próżno sędziowie ogłaszali na rynkach i gościńcach, że według starych praw rolnik i rzemieślnik, a nawet kupiec, nie powinien zajmować się plotkami, które odciągają go od pracy chlebodajnej; pospólstwo bowiem wśród śmiechu i krzyku obrzucało woźnych zgniłymi jarzynami i pestkami daktylów.

Wówczas arystokracja zaczęła gromadzić się w pałacu i leżąc u nóg faraona błagać go o ratunek.

— Jesteśmy — wołali — jakby ziemia rozpadała się pod naszymi stopami... jakby świat kończył się!... Żywioły są zmieszane, umysły w rozterce i jeżeli nie uratujesz nas ty, panie, godziny życia naszego są policzone!...

— Mój skarb jest pusty, armia nieliczna, policja od dawna nie widzi żołdu — odparł faraon. — Jeżeli więc chcecie mieć trwały spokój i bezpieczeństwo, musicie dostarczyć mi funduszów.

Ponieważ jednak moje królewskie serce trapi wasz niepokój, wiec zrobię, co będę mógł, i mam nadzieję, że uda mi się przywrócić porządek.

Jakoż jego świątobliwość nakazał ściągnąć wojska i ustawić je w najważniejszych punktach kraju. Jednocześnie posłał rozkaz do Nitagera, aby ten zostawił granicę wschodnią swemu pomocnikowi, a sam z pięcioma najlepszymi pułkami maszerował do Memfisu.

Tak czynił pan, nie tyle dla osłonienia arystokracji przed pospólstwem, ile dlatego, ażeby mieć pod ręką duże siły na wypadek, gdyby arcykapłani podburzyli Górny Egipt i pułki należące do świątyń.

Dziesiątego Paofi w zamku królewskim i jego okolicach zapanował wielki ruch. Zebrali się delegaci mający przyznać faraonowi prawo czerpania ze skarbu w Labiryncie tudzież — mnóstwo ludzi, którzy chcieli przynajmniej patrzeć na miejsce, gdzie odbywała się niezwykła w Egipcie uroczystość.

Procesja delegatów zaczęła się z rana. Przodem szli nadzy chłopi w białych czepcach i opaskach; każdy miał w ręku grubą płachtę dla okrycia grzbietu w obecności faraona. Za nimi posuwali się rzemieślnicy, ubrani jak chłopi, od których różnili się nieco cieńszymi płachtami i wąziutkimi fartuszkami pokrytymi różnobarwnym haftem.

Następowali kupcy, niektórzy w perukach, wszyscy w długich koszulach i pelerynach. Tu już można było widzieć na rękach i nogach bogate bransolety, a na palcach pierścienie. Potem szli oficerowie w czepcach i kaftanach w pasy: czarne i żółte, niebieskie i białe, niebieskie i czerwone. Dwaj, zamiast kaftanów, mieli na piersiach mosiężne półpancerze.

Po dłuższej przerwie ukazało się trzynastu szlachty w wielkich perukach i białych szatach do ziemi. Za nimi sunęli nomarchowie w szatach oblamowanych purpurową taśmą i w koronach na głowie. Pochód zamykali kapłani z ogolonymi głowami i twarzami, w panterczych skórach przez plecy.

Delegaci weszli do wielkiej sali pałacu faraonów, gdzie stało siedem ław jedna za drugą: najniższa dla chłopów, najwyższa dla stanu kapłańskiego.

Niebawem ukazał się, niesiony w lektyce, jego świątobliwość Ramzes XIII, wobec którego delegaci upadli na ziemię. Gdy pan obu światów zasiadł na wysokim tronie, pozwolił wstać i zająć miejsce na ławach swoim wiernym poddanym. Po czym weszli i siedli na niższych tronach arcykapłani Herhor, Mefres i — dozorca Labiryntu ze szkatułką w rękach. Świetny orszak jenerałów[433] otoczył faraona, poza którym dwaj wyżsi urzędnicy stanęli z wachlarzami z piór pawich.

— Prawowierni Egipcjanie! — odezwał się władca obu światów. — Wiadomo wam, że mój dwór, moje wojsko i moi urzędnicy znajdują się w potrzebie, której zubożały skarb wydołać nie może. O wydatkach na moją świętą osobę nie mówię, gdyż jadam i ubieram się jak żołnierz, a każdy jenerał lub wielki pisarz ma więcej służby i kobiet aniżeli ja.

Między zebranymi odezwał się szmer potakujący.

— Dotychczas było we zwyczaju — ciągnął Ramzes — że gdy skarb potrzebował funduszów, nakładało się większe podatki na pracujące pospólstwo. Ja jednak, który znam mój lud i jego nędzę, nie tylko nie chciałbym go na nowo obciążać, ale jeszcze rad bym udzielić mu pewnych ulg...

[433] *jenerał* — dziś popr.: generał.

— Żyj wiecznie, panie nasz! — zawołano z kilku niższych ławek.

— Na szczęście dla Egiptu — mówił faraon — państwo nasze ma skarby, za pomocą których można podźwignąć armią, wynagrodzić urzędników, obdarzyć lud, a nawet spłacić wszystkie długi, jakie winniśmy bądź świątyniom, bądź Fenicjanom. Skarb ten, zebrany przez pełnych chwały przodków moich, leży w piwnicy Labiryntu. Lecz może być naruszony tylko wówczas, jeżeli wy wszyscy, prawowierni, jak jeden mąż, uznacie, że Egipt jest w potrzebie, a ja, pan, mam prawo rozporządzać skarbami moich poprzedników...

— Uznajemy!... Błagamy, ażebyś wziął, panie, ile potrzeba!... — wołano ze wszystkich ław.

— Dostojny Herhorze — zwrócił się do niego władca — czy święty stan kapłański ma coś do powiedzenia w tej sprawie?...

— Bardzo niewiele — odparł arcykapłan powstając. — Według odwiecznych praw skarb Labiryntu może być tylko wówczas naruszony, gdyby państwo nie posiadało żadnych innych środków... Ale dziś tak nie jest. Gdyby bowiem rząd zmazał wierzytelności fenickie powstałe z niegodziwej lichwy, nie tylko napełniłby się skarb waszej świątobliwości, ale i pospólstwo, dziś pracujące dla Fenicjan, odetchnęłoby w swym ciężkim trudzie...

Na ławach delegatów znowu odezwał się szmer przychylny.

— Pełna mądrości jest rada twoja, święty mężu — rzekł spokojnie faraon — ale niebezpieczna. Gdyby mój skarbnik, dostojni nomarchowie i szlachta raz nauczyli się przekreślać cudze należności, dziś nie zapłaciliby długów Fenicjanom, a jutro mogliby zapomnieć o długach należnych faraonowi i świątyniom. Kto mi zaś powie, czy i pospólstwo, zachęcone przykładem wielkich, nie pomyśli, że i ono ma prawo zapomnieć o swoich obowiązkach względem nas?...

Cios był tak silny, że najdostojniejszy Herhor aż pochylił się na swoim krześle i — umilkł.

— A ty, najwyższy dozorco Labiryntu, chcesz co nadmienić? — spytał faraon.

— Mam tu szkatułkę — odparł — z białymi i czarnymi kamykami. Każdy delegat otrzyma obie gałki i jedną z nich rzuci do dzbana. Kto chce, abyś wasza świątobliwość naruszył skarbiec Labiryntu, włoży czarny kamyk; kto woli, ażeby nie tykano własności bogów, położy biały.

— Nie zgadzaj się, panie, na to — szepnął skarbnik do władcy. — Niech raczej każdy delegat jasno powie: co ma w swej duszy?...

— Uszanujmy dawne zwyczaje — wtrącił Mefres.

— Owszem, niech rzucają kamyki do dzbana — rozstrzygnął pan. — Serce moje jest czyste, a zamiary niezłomne.

Święci Mefres i Herhor zamienili spojrzenia.

Nadzorca labiryntu, w asystencji dwu jenerałów, zaczął obchodzić ławy i wręczać delegatom po dwa kamyki: czarny i biały. Biedacy z pospólstwa byli bardzo zmieszani widząc przed sobą tak wielkich dostojników. Niektórzy chłopi upadali na ziemię, nie śmieli brać gałek i z wielką trudnością pojmowali, że mogą rzucić do dzbana tylko jeden kamyk: czarny lub biały.

— Ja przecie chciałbym dogodzić i bogom, i jego świątobliwości... — szeptał stary pastuch.

W końcu udało się dostojnikom wytłumaczyć, a chłopom zrozumieć: czego od nich żądano. I zaczęło się oddawanie głosów. Każdy delegat przychodził do dzbana i wpuszczał swój kamyk w taki sposób, że inni nie widzieli, jakiej barwy gałkę rzuca.

Przez ten czas wielki skarbnik klęcząc za tronem szeptał do władcy:

— Wszystko zgubione!... Gdyby głosowali jawnie, mielibyśmy jednomyślność, ale teraz, bodaj mi ręka uschła, jeżeli w dzbanie nie znajdzie się ze dwadzieścia białych kamyków!...

— Uspokój się, wierny sługo — z uśmiechem odparł Ramzes. — Mam pod ręką więcej pułków, aniżeli będzie głosów przeciw nam.

— Ale po co to?... po co?... — wzdychał skarbnik. — Przecież bez jednomyślności nie otworzą nam Labiryntu...

Ramzes wciąż uśmiechał się.

Skończyła się procesja delegatów. Nadzorca Labiryntu podniósł dzban i jego zawartość wysypał na złotą tacę.

Na dziewięćdziesięciu jeden głosujących było osiemdziesiąt trzy kamyków czarnych, a tylko osiem białych.

Jenerałowie i urzędnicy struchleli, arcykapłani patrzyli na zgromadzenie z triumfem, ale wnet ogarnął ich niepokój; Ramzes bowiem miał wesołą fizjognomię.

Nikt nie śmiał oznajmić głośno, że projekt jego świątobliwości upadł. Lecz faraon odezwał się z całą swobodą:

— Prawowierni Egipcjanie, dobrzy słudzy moi! Spełniliście mój rozkaz i łaska moja jest z wami. Przez dwa dni będziecie gośćmi mojego domu. Gdy zaś otrzymacie podarunki, wrócicie do swoich rodzin i zajęć. Pokój z wami i błogosławieństwo.

To powiedziawszy pan opuścił salę wraz ze świtą, zaś arcykapłani Herhor i Mefres z trwogą spojrzeli po sobie.

— On wcale nie zmartwił się — szepnął Herhor.

— A mówiłem, że jest to wściekłe zwierzę!... — odparł Mefres. On nie cofnie się przed gwałtem i jeżeli go nie uprzedzimy...

— Bogowie obronią nas i swoje przybytki...

Wieczorem w komnacie Ramzesa XIII zgromadzili się najwierniejsi jego słudzy: wielki skarbnik, wielki pisarz, Tutmozis i Kalipos, naczelny wódz Greków.

— O panie — jęknął skarbnik — dlaczego nie uczyniłeś jak twoi wiecznie żyjący przodkowie?... Gdyby delegaci głosowali jawnie, już mielibyśmy prawo do skarbu w Labiryncie!...

— Prawdę mówi jego dostojność — wtrącił wielki pisarz.

Faraon potrząsnął głową.

— Mylicie się. Choćby cały Egipt krzyknął: oddajcie skarbowi fundusze Labiryntu! arcykapłani nie oddadzą...

— Więc po co zaniepokoiliśmy ich zwołaniem delegatów?... Ten królewski czyn bardzo wzburzył i rozzuchwalił pospólstwo, które jest dzisiaj jak wzbierająca woda...

— Nie lękam się przyboru — rzekł pan. — Moje pułki będą dla niego groblami... Mam zaś oczywistą korzyść z delegacji, które mi pokazały niemoc przeciwników: osiemdziesiąt trzy kamyki za nami, osiem za nimi!... Znaczy to, że gdy oni mogą liczyć na jeden korpus, ja na dziesięć...

Nie oddawajcie się złudzeniom — ciągnął faraon. — Między mną i arcykapłanami już zaczęła się wojna. Oni są fortecą, którą wezwaliśmy do poddania się. Odmówili, więc musimy przypuścić szturm.

— Żyj wiecznie!... — zawołali Tutmozis i Kalipos.

— Rozkazuj, panie — rzekł wielki pisarz.

— A oto moja wola — mówił Ramzes. — Ty, skarbniku, rozdasz sto talentów między policję, oficerów robotniczych i sołtysów w nomesach: Seft, Neha-chent, Neha-pechu, Sebt-Het, Aa, Ament, Ka... W tych samych miejscach wydasz szynkarzom i oberżystom, jęczmień, pszenicę, i wino, jakie jest pod ręką, aby pospólstwo miało darmo żywność i jadło. Uczynisz to natychmiast, aby do dwudziestego Paofi zapasy były, gdzie trzeba.

Skarbnik schylił się do ziemi.

— Ty, pisarzu, napisz i każ jutro ogłosić na ulicach stolic nomesów, że barbarzyńcy z pustyni zachodniej wielkimi siłami chcą napaść boską prowincję Fayum...

Ty, Kaliposie, wyślesz cztery greckie pułki na południe. Dwa staną pod Labiryntem, dwa posuną się aż do Hanes[434]. Gdyby milicja kapłańska szła od Tebów, odepchniecie ją i nie dopuścicie do Fayumu. A gdy lud, oburzony na kapłanów, zagrozi Labiryntowi, twoi Grecy niech go zajmą...

— A gdyby dozorcy zamku oparli się? — wtrącił Kalipos.

— Byłby to bunt — odrzekł faraon i mówił dalej: — A ty, Tutmozisie, wyślesz trzy pułki do Memfisu i ustawisz je w pobliżu świątyń: Ptah, Izydy i Horusa. Gdy wzburzony

[434]*Hanes* — prawdopodobnie Henen-Nesut (gr. Herakleopolis), miasto w pobliżu wejścia do oazy Fajum, stolica 20. nomu Górnego Egiptu, w Pierwszym Okresie Przejściowym, za panowania IX i X dynastii stolica północnej części kraju. Ok. 20 km na południe od ob. Hawary, gdzie znajdowała się piramida Amenemhata III i towarzyszący jej kompleks architektoniczny utożsamiany z Labiryntem.

lud zechce je szturmować, pułkownicy otworzą sobie bramy, nie dopuszczą pospólstwa do miejsc świętych i zabezpieczą osoby arcykapłanów od zniewagi.

I w Labiryncie, i w memfijskich świątyniach znajdą się kapłani, którzy wyjdą naprzeciw wojska z zielonymi gałązkami. Pułkownicy zapytają mężów tych o hasło i będą radzić się ich...

— A jeżeli kto ośmieli się stawić opór? — spytał Tutmozis.

— Tylko buntownicy nie spełnią rozkazów faraona — odparł Ramzes.

— Świątynie i Labirynt muszą być zajęte przez wojska dwudziestego trzeciego Paofi — ciągnął faraon, zwracając się do wielkiego pisarza. — Lud zatem zarówno w Memfis, jak i w Fayum może zbierać się już osiemnastego, z początku małymi garściami, potem coraz liczniej. Gdyby więc około dwudziestego zaczęły się drobne rozruchy, już nie należy im przeszkadzać. Szturmować jednak do świątyń mogą dopiero w dniach dwudziestym drugim i dwudziestym trzecim. A gdy wojsko zajmie te punkta, wszystko musi uspokoić się.

— Czy nie lepiej byłoby natychmiast uwięzić Herhora i Mefresa? — zapytał Tutmozis.

— Po co?... Mnie nie chodzi o nich, tylko o świątynie i Labirynt, do zajęcia których wojsko nie jest jeszcze gotowe. Zresztą Hiram, który przejął listy Herhora do Asyryjczyków, wróci dopiero około dwudziestego... Więc dopiero w dniu dwudziestym pierwszym Paofi będziemy mieli w rękach dowody, że arcykapłani są zdrajcami, i ogłosimy to ludowi.

— Zatem mam jechać do Fayum?... — spytał Kalipos.

— O nie. Ty i Tutmozis zostaniecie przy mnie z wyborowymi pułkami... Trzeba mieć przecie rezerwy na wypadek, gdyby arcykapłani odciągnęli od nas część ludu.

— Nie lękasz się, panie, zdrady? — spytał Tutmozis.

Faraon niedbale machnął ręką.

— Zdrada ciągle sączy się jak woda z pękniętej beczki. Jużci arcykapłani trochę odgadują moje zamiary, a i ja znam ich chęci... Ponieważ jednak uprzedziłem ich w gromadzeniu sił, więc już będą słabsi. W ciągu kilkunastu dni nie formuje się pułków...

— A czary?... — spytał Tutmozis.

— Nie ma czarów, których by nie rozproszył topór!... — zawołał śmiejąc się Ramzes.

Tutmozis chciał w tej chwili opowiedzieć faraonowi o praktykach arcykapłanów z Lykonem. Ale i tym razem powstrzymała go uwaga, że gdy pan bardzo rozgniewa się, utraci spokój, który dziś robi go potężnym.

Wódz przed bitwą nie może myśleć o niczym, tylko o bitwie. A na sprawę Lykona będzie czas, gdy kapłani znajdą się w więzieniu.

Na znak jego świątobliwości Tutmozis został w komnacie, trzej zaś inni dygnitarze złożywszy panu niskie ukłony wyszli.

— Nareszcie — westchnął wielki pisarz, gdy ze skarbnikiem znaleźli się w przedsionku — nareszcie skończy się władza ogolonych łbów...

— Zaprawdę jest czas — dodał skarbnik. — Przez dziesięć lat ostatnich lada prorok więcej znaczył aniżeli nomarcha Tebów albo Memfisu.

— Ja myślę, że Herhor po cichu gotuje sobie czółenko, ażeby uciec przed dwudziestym trzecim Paofi — wtrącił Kalipos.

— Co mu będzie! — rzekł pisarz. — Jego świątobliwość, dziś groźny, przebaczy im, gdy się upokorzą...

— A nawet za wstawieniem się królowej Nikotris zostawi im majątki — dopełnił skarbnik. — W każdym razie nastanie w państwie jakiś ład, którego już zaczynało braknąć.

— Zdaje mi się tylko, że jego świątobliwość zbyt wielkie robi przygotowania — mówił pisarz. — Ja bym wszystko zakończył greckimi pułkami, nie tykając pospólstwa...

— Młody... lubi ruch, hałas... — dorzucił skarbnik.

— Jak to widać, że nie jesteście żołnierzami! — odezwał się Kalipos. — Kiedy chodzi o walkę, trzeba zgromadzić wszystkie siły, bo zawsze znajdą się niespodzianki.

— Zapewne, gdybyśmy nie mieli za sobą pospólstwa — odparł pisarz. — A tak, co może zdarzyć się nieoczekiwanego?... Bogowie nie zejdą bronić Labiryntu.

— Tak mówisz, wasza dostojność, bo jesteś spokojny — rzekł Kalipos — bo wiesz, że naczelny wódz czuwa i wszystko stara się przewidzieć. Inaczej może cierpłaby ci skóra.

— Nie widzę niespodzianek — upierał się pisarz. — Chyba arcykapłani znowu rozpuszczą wieść, że faraon oszalał...

— Będą oni probowali różnych sztuk — wtrącił ziewając wielki skarbnik — ale zaprawdę sił im nie starczy... W każdym razie dziękuję bogom, że postawili mnie w królewskim obozie... No, idźmy spać...

Po wyjściu dostojników z komnaty faraona Tutmozis w jednej ze ścian otworzył drzwi ukryte i wprowadził Samentu. Pan przyjął Setowego arcykapłana z wielką radością, podał do ucałowania rękę i uścisnął mu głowę.

— Pokój tobie, dobry sługo — rzekł władca. — Co przynosisz?...

— Byłem dwa razy w Labiryncie — odparł kapłan.

— I już znasz drogę?...

— Znałem ją dawniej, ale teraz odkryłem jedną rzecz. Skarbiec może się zapaść, pozabijać ludzi i zniszczyć klejnoty, które są największym bogactwem...

Faraon zmarszczył brwi.

— Dlatego — ciągnął Samentu — wasza świątobliwość raczy przygotować kilkunastu ludzi pewnych. Z nimi wejdę do Labiryntu w nocy poprzedzającej szturm i obsadzę komnaty, które sąsiadują ze skarbcem... Osobliwie górną...

— Wprowadzisz ich?...

— Tak. Chociaż pójdę do Labiryntu jeszcze raz sam i ostatecznie sprawdzę: czy nie uda mi się zapobiec ruinie bez cudzej pomocy? Ludzie, choćby najwierniejsi, są niepewni, a wprowadzanie ich może zwrócić uwagę tych psów dozorujących...

— Jeżeli cię już nie śledzą... — wtrącił faraon.

— Wierz mi, panie — odparł kapłan kładąc rękę na piersiach — że aby mnie wyśledzić, trzeba by cudu. Ich zaślepienie jest prawie dziecinne. Czują już bowiem, że ktoś chce wedrzeć się do Labiryntu, lecz głupcy podwajają straże przy widocznych furtkach. Tymczasem ja sam, w ciągu miesiąca, poznałem trzy wejścia ukryte, o których oni zapomnieli czy może zgoła nie wiedzą. Chyba jaki duch mógłby ich ostrzec, że chodzę po Labiryncie, albo wskazać komnatę, w której będę. Między trzema tysiącami komnat i korytarzy jest to niemożliwe.

— Mówi prawdę dostojny Samentu — odezwał się Tutmozis. — I bodaj że już za daleko posuwamy przezorność wobec arcykapłańskich gadzin.

— Tego nie mów, wodzu — rzekł kapłan. — Siły ich przy jego świątobliwości są garścią piasku wobec pustyni, ale Herhor i Mefres są bardzo mądrzy!... I bodaj że użyją przeciw nam takich orężów i obrotów, wobec których oniemiejemy ze zdziwienia... Nasze świątynie są pełne tajemnic, które zastanawiają nawet mędrców, a ścierają na proch duszę pospólstwa.

— Powiedzże nam co o tym? — zapytał faraon.

— Z góry mówię, że żołnierze waszej świątobliwości spotkają dziwy w świątyniach. To pogasną im światła, to znowu otoczą ich płomienie i szkaradne poczwary... To mur zastąpi im drogę albo pod nogami otworzy się przepaść. W niektórych korytarzach zaleje ich woda, w innych niewidzialne ręce będą rzucały kamieniami... A jakie grzmoty, jakie głosy rozlegać się będą dokoła nich!...

— W każdej świątyni mam życzliwych mi kapłanów młodszych, a w Labiryncie ty będziesz — rzekł faraon.

— I nasze topory — wtrącił Tutmozis. — Lichy to żołnierz, który cofa się przed płomieniami czy straszydłami albo marnuje czas na przysłuchiwanie się tajemniczym głosom.

— Dobrze mówisz, wodzu! — zawołał Samentu. — Gdy tylko będziecie szli dzielnie naprzód, strachy pierzchną, głosy umilkną, a płomienie przestaną parzyć.

Teraz ostatnie słowo, panie nasz — zwrócił się kapłan do Ramzesa. — Gdybym zginął...

— Nie mów tak!... — żywo przerwał mu faraon.

— Gdybym zginął — mówił ze smutnym uśmiechem Samentu — przyjdzie do waszej świątobliwości młody kapłan Seta z moim pierścieniem. Niech więc wojsko zajmie Labirynt i wypędzi dozorców i niech już nie opuszcza gmachu, bo ów młodzieniec, może

w ciągu miesiąca, a może i wcześniej, znajdzie drogę do skarbów, przy wskazówkach, jakie mu zostawię...

Ale, panie — mówił klękając — błagam cię o jedno: gdy zwyciężysz, pomścij mnie, a nade wszystko nie przebaczaj Herhorowi i Mefresowi. Ty nie wiesz: jacy to są nieprzyjaciele!... Gdyby oni wzięli górę, zginiesz nie tylko ty sam, ale i twoja dynastia...

— Alboż zwycięzcy nie godzi się być wspaniałomyślnym?... — spytał pochmurnie władca.

— Żadnej wspaniałomyślności!... żadnej łaski!... — wołał Samentu. — Dopóki oni będą żyli, tobie i mnie, panie, grozi śmierć, hańba, nawet zniewaga naszych trupów.

Można ugłaskać lwa, kupić Fenicjanina, przywiązać Libijczyka i Etiopa, można ubłagać chaldejskiego kapłana, bo on jak orzeł unosi się na wysokościach i bezpieczny jest od pocisków...

Ale egipskiego proroka, który zakosztował zbytku i władzy, nie zjednasz niczym. I tylko śmierć ich albo twoja może zakończyć walkę.

— Prawdę mówisz, Samentu — odpowiedział Tutmozis. — Na szczęście, nie jego świątobliwość, ale — my, żołnierze, będziemy rozstrzygali odwieczny spór między kapłanami i faraonem.

ROZDZIAŁ XIV

Dwunastego Paofi z różnych świątyń egipskich rozeszły się niepokojące wieści.

W ciągu paru dni ostatnich w świątyni Horusa wywrócił się ołtarz, w świątyni Izydy posąg bóstwa płakał. Zaś u Amona tebańskiego i u grobu Ozyrysa w Denderach wypadły bardzo złe wróżby. Z nieomylnych oznak wywnioskowali kapłani, że Egiptowi grozi jakieś wielkie nieszczęście jeszcze przed upływem miesiąca.

Skutkiem tego arcykapłani Herhor i Mefres nakazali procesje dokoła świątyń i składanie ofiar w domach.

Zaraz nazajutrz, trzynastego Paofi, odbyła się w Memfis wielka procesja: bóg Ptah wyszedł ze swojej świątyni, a bogini Izyda ze swojej. Oba bóstwa podążały ku środkowi miasta, w bardzo nielicznym gronie wiernych, przeważnie kobiet. Musiały jednak cofnąć się: mieszczanie bowiem egipscy drwili z nich, a innowiercy posunęli się do rzucania kamieni na święte łodzie bogów.

Policja wobec tych nadużyć zachowała się obojętnie, a nawet niektórzy jej członkowie przyjęli udział w nieprzystojnych żartach. Od południa zaś jacyś nieznani ludzie zaczęli opowiadać tłumom, że stan kapłański nie pozwala na żadne ulgi dla pracujących i chce podnieść bunt przeciw faraonowi.

Ku wieczorowi pod świątyniami zbierały się gromadki robotników z gwizdaniem i złorzeczeniami na kapłanów. Jednocześnie ciskano kamienie do bram, a jakiś zbrodniarz publicznie odbił nos Horusowi pilnującemu swojej świątyni.

W parę godzin po zachodzie słońca zebrali się arcykapłani i ich najwierniejsi stronnicy w świątyni Ptah. Był dostojny Herhor, Mefres, Mentezufis, trzech nomarchów i najwyższy sędzia z Tebów.

— Straszne czasy! — odezwał się sędzia. — Wiem z pewnością, że faraon chce podburzyć motłoch do napadu na świątynie...

— Słyszałem — odezwał się nomarcha Sebes — że wysłano rozkaz do Nitagera, ażeby przybiegł czym prędzej z nowymi wojskami, jakby już i tych nie było dosyć!...

— Komunikacja między Dolnym i Górnym Egiptem przecięta od wczoraj — dodał nomarcha Aa. — Na gościńcach stoi wojsko, a galery jego świątobliwości rewidują każdy statek płynący Nilem...

— Ramzes XIII nie jest „świątobliwością" — wtrącił oschle Mefres — gdyż nie otrzymał koron z rąk bogów.

— Wszystko to byłyby drobiazgi — odezwał się najwyższy sędzia. — Gorszą jest zdrada... Mam poszlaki, że wielu młodszych kapłanów sprzyja faraonowi i o wszystkim donosi mu...

— Są nawet tacy, którzy podjęli się ułatwić wojsku zajęcie świątyń — dodał Herhor.

— Wojsko ma wejść do świątyń?!... — zawołał nomarcha Sebes.

— Taki ma przynajmniej rozkaz na dwudziestego trzeciego — odparł Herhor.

— I wasza dostojność mówisz o tym spokojnie?... — zapytał nomarcha Ament.

Herhor wzruszył ramionami, a nomarchowie zaczęli spoglądać po sobie.

— Tego już nie rozumiem!... — odezwał się prawie z gniewem nomarcha Aa. — Świątynie mają zaledwie kilkuset żołnierzy, kapłani zdradzają, faraon odcina nas od Tebów i podburza lud, a dostojny Herhor mówi o tym, jakby nas zapraszał na ucztę... Albo brońmy się, jeżeli jeszcze można, albo...

— Poddajmy się jego świątobliwości?... — spytał ironicznie Mefres. — Na to zawsze będziecie mieli czas!...

— Ale my chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o środkach obrony... — rzekł nomarcha Sebes.

— Bogowie ocalą swoich wiernych — odpowiedział Herhor.

Nomarcha Aa załamał ręce.

— Jeżeli mam otworzyć moje serce, to i mnie dziwi wasza obojętność — odezwał się najwyższy sędzia. — Prawie całe pospólstwo jest przeciw nam...

— Pospólstwo jak jęczmień na polu, idzie za wiatrem — rzekł Herhor.

— A wojsko?...

— Któreż wojsko nie upadnie przed Ozyrysem?

— Wiem — przerwał niecierpliwie nomarcha Aa — ale nie widzę ani Ozyrysa, ani tego wiatru, który do nas zwróci pospólstwo... Tymczasem faraon już dziś przywiązał ich do siebie obietnicami, a jutro wystąpi z darowizną...

— Od obietnic i podarunków mocniejszą jest trwoga — odparł Herhor.

— Czego oni mają się bać?... Tych trzystu żołnierzy, jakich mamy?

— Ulękną się Ozyrysa.

— Ale gdzież on jest?... — pytał wzburzony nomarcha Aa.

— Zobaczycie go wszyscy. A szczęśliwym byłby ten, kto by na ów dzień oślepnął.

Słowa te wypowiedział Herhor z takim niezachwianym spokojem, że w zgromadzeniu zaległa cisza.

— Ostatecznie cóż jednak robimy?... — zapytał po chwili najwyższy sędzia.

— Faraon — mówił Herhor — chce, ażeby lud napadł na świątynie dwudziestego trzeciego. My zaś musimy sprawić, aby napadnięto nas dwudziestego Paofi.

— Wiecznie żywi bogowie! — znowu zawołał nomarcha Aa wznosząc ręce. — A my po co mamy ściągać nieszczęście na nasze głowy, w dodatku o dwa dni wcześniej?...

— Słuchajcie Herhora — odezwał się stanowczym głosem Mefres — i na wszelki sposób starajcie się, ażeby napad miał miejsce dwudziestego Paofi, od rana.

— A jak nas naprawdę rozbiją?... — spytał zmieszany sędzia.

— Jeżeli nie poskutkują zaklęcia Herhora, wówczas ja wezwę bogów na pomoc — odparł Mefres, a w oczach błysnął mu złowrogi ogień.

— Ha! wy arcykapłani macie swoje tajemnice, których nam odsłaniać nie wolno — rzekł wielki sędzia. — Zrobimy więc, co każecie, wywołamy napad dwudziestego... Ale pamiętajcie, że nasza i dzieci naszych krew spadnie na wasze głowy...

— Niech spadnie!...

— Niech się tak stanie!... — zawołali jednocześnie obaj arcykapłani. Po czym dodał Herhor:

— Od dziesięciu lat rządzimy państwem i przez ten czas nikomu z was nie stała się krzywda, a każdej obietnicy dotrzymaliśmy. Bądźcież więc cierpliwi i wierni jeszcze przez kilka dni, aby zobaczyć moc bogów i otrzymać nagrodę.

Niebawem nomarchowie pożegnali arcykapłanów, nie usiłując nawet ukrywać smutku i niepokoju. Zostali tylko Herhor i Mefres.

Po dłuższym milczeniu Herhor odezwał się:

— Tak, ten Lykon był dobry, dopóki udawał szalonego. Ale ażeby można go podstawić zamiast Ramzesa!...

— Jeżeli matka nie poznała się na nim — odparł Mefres — więc już musi być bardzo podobny... A siedzieć na tronie, przemówić parę słów do otoczenia to chyba potrafi. Zresztą my będziemy przy nim...

— Strasznie głupi komediant!... — westchnął Herhor trąc czoło.

— Mędrszy on od milionów innych ludzi, gdyż ma podwójny wzrok i wielkie może oddać usługi państwu...

— Ciągle wasza dostojność mówisz mi o tym podwójnym wzroku — odparł Herhor. — Nareszcie niechże ja sam przekonam się o tym...

— Chcesz?... — spytał Mefres. — Więc idźmy... Ale, na bogi, Herhorze, o tym, co zobaczysz, nie wspominaj nawet przed własnym sercem...

Zeszli do podziemiów świątyni Ptah i znaleźli się w obszernej piwnicy oświetlonej kagańcem. Przy słabym blasku Herhor dojrzał człowieka, który siedząc za stołem jadł. Człowiek miał na sobie kaftan gwardii faraona.

— Lykonie — rzekł Mefres — najwyższy dostojnik państwa chce przekonać się o zdolnościach, jakimi obdarzyli cię bogowie...

Grek odepchnął misę z jedzeniem i począł mruczeć:

— Przeklęty dzień, w którym moje podeszwy dotknęły waszej ziemi!.. Wolałbym pracować w kopalniach i być bity kijami...

— Na to zawsze będzie czas — wtrącił surowo Herhor.

Grek umilkł i nagle zaczął drżeć zobaczywszy w ręce Mefresa kulkę z ciemnego kryształu. Pobladł, spojrzenie zmętniało mu, na twarz wystąpił pot kroplisty. Jego oczy były utkwione w jeden punkt, jakby przykute do kryształowej kuli.

— Już śpi — rzekł Mefres. — Nie dziwneż to?

— Jeżeli nie udaje.

— Uszczypnij go... ukłuj... nawet sparz... — mówił Mefres.

Herhor wydobył spod białej szaty sztylet i zamierzył się, jakby chcąc uderzyć Lykona między oczy. Ale Grek nie poruszył się, nawet nie drgnęły mu powieki.

— Spojrzyj tu — mówił Mefres zbliżając do Lykona kryształ. — Czy widzisz tego, który porwał Kamę?...

Grek zerwał się z krzesła, z zaciśniętymi pięściami i śliną na ustach.

— Puśćcie mnie!... — wołał chrapliwym głosem. — Puśćcie mnie, abym napił się jego krwi...

— Gdzież on jest teraz? — pytał Mefres.

— W pałacyku, w stronie ogrodu najbliższej rzeki... Jest z nim piękna kobieta... — szeptał Lykon.

— Nazywa się Hebron i jest żoną Tutmozisa — podpowiedział Herhor. — Przyznaj, Mefresie — dodał — że ażeby o tym wiedzieć, nie trzeba podwójnego wzroku...

Mefres zaciął wąskie usta.

— Jeżeli to nie przekonywa waszej dostojności, pokażę coś lepszego — odparł. — Lykonie, znajdź teraz zdrajcę, który szuka drogi do skarbca Labiryntu...

Śpiący Grek usilniej wpatrzył się w kryształ i po chwili odpowiedział:

— Widzę go... Jest odziany w płachtę żebraka...

— Gdzie on jest?...

— Leży na dziedzińcu oberży, ostatniej przed Labiryntem... Z rana będzie tam...

— Jak on wygląda?...

— Ma rudą brodę i włosy... — odpowiedział Lykon.

— A co?... — spytał Mefres Herhora.

— Wasza dostojność masz dobrą policję — rzekł Herhor.

— Ale za to dozorcy Labiryntu źle go pilnują! — mówił gniewnie Mefres. — Jeszcze dziś w nocy pojadę tam z Lykonem, aby ostrzec miejscowych kapłanów... Lecz gdy uda mi się ocalić skarb bogów, wasza dostojność pozwolisz, że ja zostanę jego dozorcą...

— Jak wasza dostojność chcesz — odparł Herhor obojętnie. A w sercu swym dodał:

„Nareszcie pobożny Mefres zaczyna pokazywać zęby i pazury... Sam pragnie zostać — tylko — dozorcą Labiryntu, a swego wychowańca Lykona zrobić — tylko — faraonem!...

Zaprawdę, że dla nasycenia chciwości moich pomocników bogowie musieliby stworzyć dziesięć Egiptów..."

Gdy obaj dostojnicy opuścili podziemia, Herhor, wśród nocy, piechotą wrócił do świątyni Izydy, gdzie miał mieszkanie, a Mefres kazał przygotować parę konnych lektyk. Do jednej młodzi kapłani włożyli śpiącego Lykona w worku na głowie, do drugiej arcykapłan wsiadł sam i otoczony garstką jeźdźców, tęgim kłusem pojechał do Fayum.

W nocy z czternastego na piętnasty Paofi arcykapłan Samentu, stosownie do obietnicy danej faraonowi, wszedł, sobie tylko znanym korytarzem, do Labiryntu. Miał w rękach pęk pochodni, z których jedna paliła się, a na plecach niewielki koszyk z przyborami.

Samentu bardzo łatwo przechodził z sali do sali, z korytarza na korytarz, jednym dotknięciem usuwając kamienne tafle w kolumnach i ścianach, gdzie były drzwi ukryte. Niekiedy wahał się, lecz wówczas odczytywał tajemnicze znaki na ścianach i porównywał je ze znakami na paciorkach, które miał na szyi.

Po półgodzinnej podróży znalazł się w skarbcu, skąd usunąwszy taflę w podłodze dostał się do sali leżącej pod spodem. Sala była niska, lecz obszerna, a jej sufit opierał się na mnóstwie przysadkowatych kolumn.

Samentu położył koszyk i zapaliwszy dwie pochodnie przy ich świetle zaczął odczytywać napisy ścienne.

„Mimo podłej postaci — mówił jeden napis — jestem prawdziwy syn bogów, gdyż gniew mój jest straszny.

Na dworze zamieniam się w słup ognia i czynię błyskawicę. Zamknięty, jestem grzmotem i zniszczeniem, i nie ma budowli, która oparłaby się mojej potędze.

Ułagodzić mnie może tylko święta woda, która odbiera mi moc. Ale gniew mój tak dobrze rodzi się z płomienia, jak i z najmniejszej iskry.

Wobec mnie wszystko skręca się i upada. Jestem jak Tyfon, który obala najwyższe drzewo i podnosi kamienie."

„Słowem, każda świątynia ma swoją tajemnicę, której inne nie znają!..." — rzekł do siebie Samentu.

Otworzył jedną kolumnę i wydobył z niej duży garnczek. Garnczek miał pokrywę przylepioną woskiem tudzież otwór, przez który przechodził długi i cienki sznurek, nie wiadomo gdzie kończący się wewnątrz kolumny.

Samentu odciął kawałek sznurka, przytknął go do pochodni i spostrzegł, że sznur spala się bardzo prędko, wydając syczenie.

Teraz ostrożnie zdjął nożem pokrywę i zobaczył wewnątrz garnka niby piasek i kamyki popielatej barwy. Wydobył parę kamyków i odszedłszy na bok przytknął pochodnię. W jednej chwili buchnął duży płomień i kamyki znikły zostawiając po sobie gęsty dym i przykry zapach.

Samentu wyjął znowu trochę popielatego piasku, wysypał na posadzkę, umieścił wśród niego kawałek sznura, który znalazł przy garnku, i — wszystko to nakrył ciężkim kamieniem. Potem zbliżył pochodnię, sznur zatlił się i po chwili — kamień wśród płomieni podskoczył do góry.

— Mam już tego syna bogów!... — rzekł z uśmiechem Samentu. — Skarbiec nie zapadnie się...

Zaczął chodzić od kolumny do kolumny, otwierać tafle i z wnętrza wydobywać ukryte garnki. Przy każdym był sznur, który Samentu przecinał, a garnki odstawiał na bok...

— No — mówił kapłan — jego świątobliwość mógłby darować mi połowę tych skarbów, a przynajmniej... syna mego zrobić nomarchą!... I z pewnością zrobi, gdyż jest to wspaniałomyślny władca... Mnie zaś należy się co najmniej świątynia Amona w Tebach...

Zabezpieczywszy w ten sposób salę dolną, Samentu wrócił do skarbca, a stamtąd wszedł do sali górnej. Tam również były napisy na ścianach, liczne kolumny, a w nich garnki zaopatrzone w sznury i napełnione kamykami, które przy zetknięciu się z ogniem wybuchały.

Samentu poprzecinał sznury, powydobywał garnki z wnętrza kolumn i — szczyptę popielatego piasku zawiązał w gałganek.

Potem zmęczony usiadł. Wypaliło mu się sześć pochodni; noc musiała się już zbliżać ku końcowi.

„Nigdy bym nie przypuszczał — mówił do siebie — że tutejsi kapłani mają tak dziwny materiał?... Przecie można by rozwalać nim asyryjskie fortece!... No, my także nie wszystko ogłaszamy naszym uczniom..."

Strudzony począł marzyć. Teraz był pewny, że zajmie najwyższe stanowisko w państwie, potężniejsze od tego, jakie zajmował Herhor.

Co wtedy zrobi?... Bardzo wiele. Zabezpieczy mądrość i majątek swoim potomkom. Postara się o wydobycie tajemnic ze wszystkich świątyń, co w nieograniczony sposób umocni jego władzę, a Egiptowi zapewni przewagę nad Asyrią.

Młody faraon drwi z bogów, to ułatwi mu ustanowienie czci dla jednego boga, na przykład Ozyrysa, i połączenie Fenicjan, Żydów, Greków i Libijczyków w jedno państwo — z Egiptem.

Współcześnie przystąpi do robót nad kanałem, który ma połączyć Morze Czerwone ze Śródziemnym. Gdy wzdłuż kanału pobuduje się fortece i nagromadzi dużo wojska, cały handel z nieznanymi ludami Wschodu i Zachodu wpadnie w ręce Egipcjan.

Trzeba też posiadać własną flotę i majtków egipskich... A nade wszystko trzeba zgnieść Asyrią, która z każdym rokiem staje się niebezpieczniejsza... Trzeba ukrócić zbytki i chciwość kapłanów... Niechaj będą mędrcami, niech mają dostatek, ale niech służą państwu zamiast, jak dziś, wyzyskiwać je na swoją korzyść...

„Już w miesiącu Hator — mówił w sobie — będę władcą!... Młody pan zanadto lubi kobiety i wojsko, aby mógł zajmować się rządami... A jeżeli nie będzie miał synów, wówczas mój syn, mój syn..."

Ocknął się. Jeszcze jedna pochodnia spłonęła i był wielki czas do opuszczenia podziemiów.

Podniósł się, zabrał swój koszyk i opuścił salę nad skarbcem.

„Nie potrzebuję pomocników... — myślał uśmiechając się. — Sam wszystko zabezpieczyłem... ja sam... pogardzany kapłan Seta!..."

Minął już kilkadziesiąt komnat i korytarzy, gdy nagle stanął... Zdawało się, że na posadzce sali, do której wszedł, widać cienką smugę światła...

W jednej chwili ogarnęła go tak straszna trwoga, że zgasił pochodnię. Lecz i smuga na posadzce znikła.

Samentu wytężył słuch, ale słyszał tylko bicie tętna we własnej głowie.

— Przywidziało mi się!... — rzekł.

Drżącymi rękoma wydobył z kosza małe naczynie, gdzie powoli tliła się hubka, i znowu zapalił pochodnią.

„Jestem bardzo senny!..." — pomyślał.

Rozejrzał się po sali i poszedł do ściany, w której były ukryte drzwi. Nacisnął gwóźdź, drzwi nie uchyliły się. Drugi... trzeci nacisk — nic...

„Co to znaczy?" — rzekł do siebie zdumiony.

Już zapomniał o świetlnej smudze. Zdawało mu się, że spotkał go nowy, niesłychany wypadek. Tyle setek drzwi ukrytych otwierał w swym życiu, tyle ich otworzył w Labiryncie, że wprost nie mógł pojąć obecnego oporu.

Wtem znowu ogarnął go strach. Zaczął biegać od ściany do ściany i wszędzie próbować ukrytych drzwi. Wreszcie jedne ustąpiły. Samentu głęboko odetchnął i znalazł się w ogromnej sali, jak zwykle przepełnionej kolumnami. Jego pochodnia rozświetlała zaledwie część przestrzeni, której ogromna reszta ginęła w gęstym mroku.

Ciemność, las kolumn, a nade wszystko nieznajomość sali — dodała kapłanowi otuchy. Na dnie jego trwogi zbudziła się iskra naiwnej nadziei: zdawało mu się, że ponieważ on nie zna tego miejsca, więc i nikt go nie zna, nikt tu nie trafi.

Uspokoił się nieco i uczuł, że nogi gną się pod nim. Więc usiadł. Lecz znowu zerwał się i począł oglądać się dokoła, jak gdyby chcąc sprawdzić: czy istotnie grozi mu niebezpieczeństwo i — skąd?... Z którego z tych ciemnych kątów wyjdzie ono, aby rzucić się na niego?

Samentu, jak nikt w Egipcie, był oswojony z podziemiami, ciemnością, zbłąkaniem... Przechodził też różne niepokoje w życiu. Ale to, czego doznawał obecnie, było czymś zupełnie nowym i tak strasznym, że kapłan bał się nadać temu właściwego nazwiska.

W końcu z wielkim wysiłkiem zebrał myśli i rzekł:

— Gdybym naprawdę widział światło... gdyby naprawdę ktoś pozamykał drzwi, byłbym zdradzony... A w takim razie co?...

„Śmierć!..." — szepnął mu głos ukryty gdzieś na dnie duszy.

Śmierć?!...

Pot wystąpił mu na twarz; zatamował mu się oddech. I nagle opanowało go szaleństwo strachu. Zaczął biegać po sali i uderzać pięścią w mury szukając wyjścia. Już zapomniał, gdzie jest i jak się tu dostał; stracił kierunek, a nawet możność orientowania się za pomocą paciorków.

Zarazem poczuł, że jest w nim jakby dwu ludzi: jeden prawie obłąkany, drugi spokojny i mądry. Ten mądry tłumaczył sobie, że wszystko może być przywidzeniem, że nikt go nie odkrył, nikt go nie szuka i że wyjdzie stąd, byle nieco ochłonął. Ale ten pierwszy, obłąkany, nie słuchał głosu rozsądku, owszem, z każdą chwilą brał górę nad swoim antagonistą wewnętrznym.

O, gdyby można było ukryć się w której kolumnie!... Niechby wówczas szukali... Choć zapewne nikt by go nie szukał i nie znalazł, a on przespawszy się odzyskałby panowanie nad sobą.

— Cóż mnie tu może spotkać? — mówił wzruszając ramionami. — Bylem uspokoił się, mogą mnie gonić po całym Labiryncie... Wszak do przecięcia mi wszystkich dróg trzeba by kilku tysięcy ludzi, a do wskazania: w której sali jestem — chyba cudu!...

No, ale przypuśćmy, że łapią mnie... Więc i cóż!... Biorę ten oto flakonik, przykładam do ust i w jednej chwili uciekam tak, że mnie już nikt nie złapie... Nawet bogowie...

Lecz pomimo rozumowań znowu schwyciła go tak straszna trwoga, że po raz drugi zgasił pochodnią i drżąc, szczękając zębami wcisnął się pod jedną z kolumn.

„Jak można... jak można było wchodzić tutaj!... — mówił do siebie. — Alboż nie miałem czego jeść... na czym wesprzeć głowy?... Prosta rzecz, że jestem odkryty... Przecież Labirynt posiada mnóstwo czujnych jak psy dozorców, i tylko dziecko albo głupiec mógłby myśleć o oszukaniu ich...

Majątek... władza!... Gdzież jest taki skarb, za który warto by oddać jeden dzień życia?... I oto ja, człowiek w sile wieku, naraziłem moje..."

Zdawało mu się, że usłyszał ciężkie stuknięcie. Zerwał się i w głębi sali — zobaczył blask.

Tak jest: blask rzeczywisty, nie złudzenie... W odległej ścianie, gdzieś na końcu, stały otwarte drzwi, przez które w tej chwili ostrożnie wchodziło kilku zbrojnych ludzi z pochodniami.

Na ten widok kapłan uczuł zimno — w nogach, w sercu, w głowie... Już nie wątpił, że nie tylko został odkryty, ale że jest ścigany i otoczony.

Kto mógł go zdradzić?... Rozumie się, że tylko jeden człowiek: młody kapłan Seta, którego wtajemniczył dość szczegółowo w swoje plany. Zdrajca sam z miesiąc musiałby szukać drogi w Labiryncie; ale gdyby porozumiał się z dozorcami, mogli Samentu wytropić w jeden dzień...

W tej chwili arcykapłan doznał wrażeń znanych tylko ludziom, którzy stają w obliczu śmierci. Przestał się bać, gdyż jego urojone trwogi pierzchły wobec rzeczywistych pochodni... I nie tylko odzyskał panowanie nad sobą, ale nawet poczuł się nieskończenie wyższym od wszystkiego, co żyje... Za chwilę już nie będzie mu groziło żadne... żadne niebezpieczeństwo!...

Myśli przebiegały mu przez głowę z szybkością i jasnością błyskawic. Ogarnął całe swoje istnienie: prace, niebezpieczeństwa, nadzieje i ambicje, i — wszystko to wydawało mu się drobiazgiem. Bo i co by mu przyszło, gdyby w tej chwili był nawet faraonem albo posiadał klejnoty wszystkich skarbców królewskich?...

Wszystko to marność, pył a nawet gorzej, bo złudzenie. Jedna tylko rzecz jest wielka i prawdziwa — śmierć...

Tymczasem ludzie z pochodniami pilnie oglądając kolumny i zakątki doszli już do połowy ogromnej sali. Kapłan widział połyskujące ostrza ich włóczni i poznał, że wahają się, że posuwają się naprzód ze strachem i niechęcią. O kilka kroków za nimi szła inna grupa osób oświetlona jedną pochodnią.

Samentu nawet nie czuł do nich niechęci, tylko ciekawość: kto mógł go zdradzić? Ale i ta kwestia nie bardzo go obchodziła; wydawało mu się bowiem nierównie ważniejszym pytanie: dlaczego człowiek musi umierać i — po co rodził się?... Gdyż, wobec faktu śmierci, całe życie skraca się w jedną chwilkę bolesną, choćby było najdłuższym i najbogatszym w doświadczenia.

— Po co to?... Na co to?...

Otrzeźwił go głos jednego ze zbrojnych.

— Tu nikogo nie ma i być nie może!...

Zbrojni stanęli. Samentu poczuł, że kocha tych ludzi, którzy nie chcą iść dalej, i — serce w nim uderzyło.

Powoli nadciągnęła druga grupa osób, w której spierano się.

— Jak nawet wasza dostojność może przypuszczać, że tu ktoś wszedł?... — mówił głos drgający gniewem. — Przecież wszystkie wejścia są pilnowane, osobliwie teraz. A gdyby nawet kto zakradł się, to chyba po to, ażeby umrzeć z głodu...

— A jednak patrz, wasza dostojność, na zachowanie się Lykona — odparł drugi głos. — Śpiący wciąż wygląda tak, jakby nieprzyjaciela czuł blisko...

„Lykon?... — myślał Samentu. — Ach, to ten Grek podobny do faraona... Co widzę?... Mefres go tu przyprowadził!..."

W tej chwili śpiący Grek rzucił się naprzód i stanął przed kolumną, za którą ukrywał się Samentu. Zbrojni pobiegli za nim, a blask ich pochodni oświetlił ciemną figurę kapłana.

— Kto tu?... — krzyknął chrapliwym głosem dowódca.

Samentu wysunął się. Jego widok zrobił tak silne wrażenie, że ludzie z pochodniami cofnęli się. Mógł był przejść między przerażonymi i nikt by go nie zatrzymał; ale kapłan już nie myślał o ucieczce.

— A co, czy mylił się mój jasnowidzący?... — zawołał Mefres wyciągając rękę. — Oto zdrajca!...

Samentu zbliżył się do niego z uśmiechem i rzekł:

— Poznałem cię po tym okrzyku, Mefresie. Gdy nie możesz być oszustem, jesteś tylko głupcem...

Obecni osłupieli; Samentu mówił ze spokojną ironią:

— Choć prawda, że w tej chwili jesteś i oszustem, i głupcem. Oszustem, bo wmawiasz w dozorców Labiryntu, że ten łotr ma dar podwójnego widzenia; a głupcem, bo myślisz, że ci uwierzą. Lepiej od razu powiedz, że i w świątyni Ptah znajdują się dokładne plany Labiryntu...

— To fałsz!... — zawołał Mefres.

— Zapytaj tych ludzi, komu wierzą: tobie czy mnie? Ja jestem tutaj, gdyż znalazłem plany w świątyni Seta; ty przyszedłeś z łaski nieśmiertelnego Ptah... — zakończył Samentu śmiejąc się.

— Zwiążcie tego zdrajcę i kłamcę!... — krzyknął Mefres.

Samentu cofnął się parę kroków. Szybko wydobył spod odzieży flakonik i podnosząc go do ust rzekł:

— Mefresie, ty do śmierci będziesz głupi... Spryt masz tylko wówczas, gdy chodzi o pieniądze...

Przytknął do ust flakonik i upadł na posadzkę.

Zbrojni rzucili się na niego, podnieśli, ale już leciał im przez ręce.

— Niechże tu zostanie jak inni... — rzekł dozorca Labiryntu.

Cały orszak opuścił salę i starannie zamknął ukryte drzwi. Niebawem wyszli z podziemiów Labiryntu.

Gdy dostojny Mefres znalazł się na dziedzińcu, kazał swoim kapłanom przygotować konne lektyki i natychmiast razem ze śpiącym Lykonem odjechał do Memfisu.

Dozorcy Labiryntu, oszołomieni niezwykłymi wypadkami, spoglądali to na siebie, to na eskortę Mefresa, która już znikała w żółtym tumanie pyłu.

— Nie mogę uwierzyć — rzekł arcykapłan dozorca — że był za naszych dni człowiek, który wdarł się do podziemiów...

— Wasza dostojność zapomina, że dzisiaj było trzech takich — wtrącił jeden z młodszych kapłanów obrzucając go ukośnym spojrzeniem.

— A... a... prawda!... — odparł arcykapłan. — Czyliż bogowie pomieszali mi rozsądek?... — dodał, trąc czoło i ściskając zawieszony na piersiach amulet.

— I dwaj uciekli — podpowiedział młodszy kapłan — komediant Lykon i świątobliwy Mefres.

— Dlaczegóż nie zwróciłeś mi uwagi tam... w podziemiu!... — wybuchnął zwierzchnik.

— Nie wiedziałem, że się tak stanie...

— Biada mojej głowie!... — wołał arcykapłan. — Nie naczelnikiem, ale odźwiernym tego gmachu powinienem być... Ostrzegano nas, że ktoś zakrada się do Labiryntu, i nie zapobiegłem temu... A teraz znowu wypuściłem dwu najniebezpieczniejszych, którzy sprowadzą tu, kogo im się podoba... O biada!...

— Nie potrzebuje wasza dostojność rozpaczać — odezwał się inny kapłan. — Prawo nasze jest wyraźne... Niech więc wasza dostojność wyśle do Memfisu czterech albo sześciu naszych ludzi i zaopatrzy ich w wyroki. Reszta należyć będzie do nich...

— Ależ ja straciłem rozum! — narzekał arcykapłan.

— Co się stało, to się stało — przerwał nie bez ironii młodszy kapłan. — Jedno jest pewne, że: ludzie, którzy nie tylko trafili do podziemiów, ale nawet chodzili po nich jak po własnym domu, że ludzie ci żyć nie mogą...

— Więc wyznaczcie sześciu z naszej milicji...

— Rozumie się!... Trzeba z tym skończyć... — potwierdzili kapłani-dozorcy.

— Kto wie, czy Mefres nie działał w porozumieniu z najdostojniejszym Herhorem? — szepnął ktoś.

— Dosyć! — zawołał arcykapłan. — Gdy Herhora znajdziemy w Labiryncie, postąpimy według prawa. Ale domyślać się ani posądzać kogokolwiek — nie wolno... Niech pisarze przygotują wyroki dla Mefresa i Lykona, wybrani niech najśpieszniej jadą za nimi, a milicja niech pomnoży warty. Trzeba także zbadać wnętrze gmachu i odkryć, którędy wszedł Samentu... Choć jestem pewny, że nieprędko znajdzie naśladowców...

W parę godzin później sześciu ludzi wyjechało do Memfisu.

ROZDZIAŁ XV

Już dnia osiemnastego Paofi w Egipcie zapanował chaos. Komunikacja między dolnym i górnym państwem została przerwana, handel ustał, po Nilu krążyły tylko statki strażnicze, drogi lądowe były zajęte przez wojska, które dążyły ku miastom posiadającym sławniejsze świątynie.

Na polach pracowali tylko kapłańscy chłopi. Zaś w majątkach szlachty, nomarchów, a osobliwie faraona, len nie był wyrwany, koniczyna nie tknięta, winogron nie miał kto zrywać. Chłopi nie robili nic, tylko włócząc się bandami śpiewali, jedli, pili i odgrażali się bądź kapłanom, bądź Fenicjanom.

W miastach sklepy były pozamykane, a pozbawieni zajęcia rzemieślnicy po całych dniach radzili nad przeobrażeniem państwa. Gorszące to zjawisko już nie było nowym dla Egiptu, ale wystąpiło w tak groźnych rozmiarach, że poborcy, a nawet sędziowie zaczęli się kryć; tym bardziej iż policja bardzo łagodnie traktowała nadużycia prostego ludu.

Jedna jeszcze rzecz zasługiwała na uwagę, oto — obfitość pokarmów i wina. W szynkowniach i garkuchniach, szczególnie fenickich, zarówno w Memfis, jak na prowincji, mógł jeść i pić, kto chciał i ile chciał, za bardzo niską opłatą lub bez opłaty.

Mówiono, że jego świątobliwość wyprawia swemu ludowi ucztę, która ciągnąć się ma przez cały miesiąc.

Z powodu utrudnionych, a nawet poprzerywanych komunikacji, miasta niedobrze wiedziały, co się dzieje u ich sąsiadów. I tylko faraon, a jeszcze lepiej kapłani zdawali sobie sprawę z ogólnego położenia kraju.

Położenie to cechował przede wszystkim rozłam między Górnym, czyli Tebańskim, i Dolnym, czyli Memfijskim Egiptem. W Tebach miało przewagę stronnictwo kapłanów, w Memfis — faraonowe. W Tebach mówiono, że Ramzes XIII oszalał i chce sprzedać Egipt Fenicjanom; w Memfisie dowodzono, że kapłani chcą otruć faraona i naprowadzić do kraju Asyryjczyków.

Lud prosty, zarówno na północy, jak i na południu, czuł instynktowny pociąg do Ramzesa. Ale lud była to siła bierna i chwiejna. Gdy przemawiał agitator rządowy, chłopi gotowi byli uderzyć na świątynie i bić kapłanów; lecz gdy wystąpiła procesja, padali na twarze i truchleli słuchając zapowiedzi jakichś klęsk, które już w tym miesiącu groziły Egiptowi.

Przerażona szlachta i nomarchowie prawie wszyscy zjechali do Memfisu błagać faraona o ratunek przeciw buntującym się chłopom. Lecz ponieważ Ramzes XIII zalecał im cierpliwość i nie gromił pospólstwa, więc magnaci zaczęli naradzać się ze stronnictwem kapłańskim.

Prawda, że Herhor milczał albo także zalecał cierpliwość; ale inni arcykapłani dowodzili panom, że Ramzes jest szalony, i napomykali o potrzebie usunięcia go od władzy.

W samym Memfisie krążyły obok siebie dwie partie. Bezbożnicy, którzy pili, hałasowali i obrzucali błotem mury świątyń, a nawet posągi — i — pobożni, przeważnie starcy i kobiety, którzy modlili się na ulicach, głośno zapowiadając nieszczęścia i błagając bogów o ratunek. Bezbożnicy co dzień popełniali jakieś nadużycie; między pobożnymi co dzień jakiś chory lub kaleka odzyskiwał zdrowie.

Lecz dziwna rzecz: obie partie, pomimo rozkołysanych namiętności, nie robiły sobie krzywdy, a tym mniej — nie porywały się do czynów gwałtownych. Co pochodziło stąd, że każda z nich robiła zamieszanie pod kierunkiem i według planu obmyślanego w wyższych sferach.

Faraon, nie zgromadziwszy jeszcze wszystkich wojsk i dowodów przeciw kapłanom, nie dawał hasła do stanowczego napadu na świątynie; kapłani zdawali się czekać na coś. Było jednak widoczne, że już dziś nie czują się oni tak słabymi jak w pierwszych dniach po głosowaniu delegatów. A i sam Ramzes XIII zamyślał się, gdy mu ze wszystkich stron donoszono, że chłopi kapłańscy prawie wcale nie mieszają się do zaburzeń, lecz pracują.

„Co to znaczy? — sam siebie zapytywał faraon. — Czy gołe łby sądzą, że nie ośmielę się zaczepić świątyń, czyli też mają jakieś nie znane mi środki obrony?"

Dziewiętnastego Paofi policja zawiadomiła władcę, że upłynionej nocy lud zaczął psuć mury otaczające świątynią Horusa.

— Kazaliście im to robić?... — spytał faraon naczelnika.

— Nie. Rzucili się z własnego popędu.

— Powstrzymujcie ich łagodnie... powstrzymujcie... — rzekł pan. — Za kilka dni będą mogli robić, co im się podoba. Ale teraz jeszcze niech nie występują zbyt gwałtownie...

Ramzes XIII, jako wódz i zwycięzca znad Sodowych Jezior, wiedział, że gdy raz tłumy wyruszą do ataku, już nic ich nie powstrzyma: muszą rozbić albo zostać rozbite. Gdyby świątynie nie broniły się, pospólstwo da im radę, ale — jeżeli zechcą bronić się?...

W takim wypadku lud ucieknie i trzeba na jego miejsce posłać wojska, których było wprawdzie dużo, lecz nie tyle, ile potrzeba według rachunków faraona.

Nadto — Hiram jeszcze nie wrócił z Pi-Bast z listami dowodzącymi zdrady Herhora i Mefresa. A co ważniejsze — przychylni faraonowi kapłani mieli dać pomoc wojsku dopiero dwudziestego trzeciego Paofi. Jakimże więc sposobem uprzedzić ich w tylu świątyniach odległych jedna od drugiej? I czy sama ostrożność nie nakazywała unikać z nimi stosunków, które mogły ich zdradzić?

Z tych powodów Ramzes XIII nie życzył sobie wcześniejszego napadania świątyń przez lud.

Tymczasem wbrew woli faraona wzburzenie rosło. Około świątyni Izydy zabito kilku pobożnych, którzy zapowiadali nieszczęścia dla Egiptu lub cudownym sposobem odzyskali zdrowie. Około świątyni Ptah pospólstwo rzuciło się na procesją, zbiło kapłanów i potłukło święte czółno, w którym podróżował posąg boga. Prawie współcześnie nadleciały sztafety z miast Sochem i Anu, że lud wdzierał się do świątyń, a w Cherau nawet wdarł się i znieważył miejsce najświętsze.

Nad wieczorem przyszła prawie ukradkiem do pałacu jego świątobliwości deputacja kapłanów. Czcigodni prorocy z płaczem upadli panu do nóg wołając, aby zasłonił bogów i świątynie.

Ten wcale nieoczekiwany wypadek napełnił serce Ramzesa wielką radością, a jeszcze większą dumą. Kazał powstać delegatom i łaskawie odpowiedział, że jego pułki zawsze gotowe są bronić świątyń, byle — zostały tam wprowadzone.

— Nie wątpię — mówił — że sami burzyciele cofną się zobaczywszy przybytki bogów zajęte przez wojsko.

Delegaci wahali się.

— Waszej świątobliwości wiadomo — odparł najstarszy z nich — że wojsko nie może wchodzić nawet za mur świątyń... Musimy więc zapytać o zdanie arcykapłanów...

— Owszem, naradźcie się — rzekł pan. — Nie umiem robić cudów i z odległości mego pałacu nie obronię świątyń.

Delegaci zasmuceni opuścili faraona, który po ich wyjściu zwołał radę poufną. Był przekonany, że kapłani poddadzą się jego woli, i ani mu przez myśl nie przeszło, że delegacja jest sztuką urządzoną przez Herhora, aby go w błąd wprowadzić.

Gdy w komnacie królewskiej zebrali się cywilni i wojskowi dostojnicy, Ramzes pełen dumy zabrał głos.

— Chciałem — rzekł — dopiero dwudziestego trzeciego Paofi zająć memfijskie świątynie... Uważam jednak, że lepiej będzie zrobić to jutro...

— Nasze wojska jeszcze nie zebrały się... — wtrącił Tutmozis.

— I nie mamy listów Herhora do Asyrii — dodał wielki pisarz.

— Mniejsza o to! — odparł faraon. — Niech lud jutro dowie się, że Herhor i Mefres są zdrajcami, a nomarchom i kapłanom okażemy dowody za parę dni, gdy wróci Hiram z Pi-Bast.

— Nowy rozkaz waszej świątobliwości bardzo zmienia plan pierwotny — rzekł Tutmozis. — Jutro nie zajmiemy Labiryntu... A gdyby i w Memfis świątynie ośmieliły się stawić opór, nie mamy nawet taranów do wybicia bram...

— Tutmozisie — odpowiedział pan — mógłbym nie tłumaczyć się z moich rozkazów... Ale chcę przekonać was, że serce moje głębiej ocenia bieg wypadków...

Jeżeli lud — ciągnął — już dziś napada świątynie, to jutro zechce wedrzeć się do nich. Jeżeli go nie poprzemy, zostanie odparty, a w każdym razie za trzy dni zniechęci się do śmiałych czynów.

A jeżeli kapłani już dziś wysyłają delegacją, muszą być słabi. Tymczasem za kilka dni może powiększyć się liczba ich stronników między ludem...

Zapał i strach jest jak wino w dzbanku: o ile wylewa się, o tyle go ubywa i ten tylko może się napić, kto w porę podsunie swój kubek. Gdy więc lud dziś jest przygotowany do napadu, a nieprzyjaciele wystraszeni, zużytkujmy to, gdyż, jak powiadam, szczęście za kilka dni może opuścić nas, jeżeli nie zwrócić się przeciw nam...

— I żywność kończy się — wtrącił skarbnik. — Za trzy dni pospólstwo musi wracać do roboty, bo nie będziemy mieli czym karmić ich darmo...

— O, widzisz!... — mówił faraon do Tutmozisa. — Ja sam rozkazałem naczelnikowi policji, ażeby hamował pospólstwo. Lecz gdy powściągnąć go nie można, trzeba skorzystać z ruchu. Doświadczony żeglarz nie walczy z prądem ani z wiatrem, ale pozwala im unosić się w obranym przez siebie kierunku...

W tej chwili wszedł kurier z doniesieniem, że lud rzucił się na cudzoziemców. Napadli Greków, Syryjczyków, nade wszystko Fenicjan... Wiele sklepów zrabowano i kilku ludzi zabito.

— Oto dowód — zawołał oburzony władca — że tłumów nie należy sprowadzać z drogi raz wytkniętej!... Jutro niech wojska będą w pobliżu świątyń... I niech natychmiast wkraczają do nich, jeżeli lud zacznie wdzierać się tam, albo... Albo gdyby zaczął cofać się pod naciskiem...

Prawda, że winogrona powinny być zrywane w miesiącu Paofi. Lecz czyliż jest ogrodnik, który gdyby owoce dojrzały o miesiąc wcześniej, zostawiłby je na łozach?...

Powtarzam: chciałem opóźnić ruch pospólstwa aż do ukończenia naszych przygotowań. Ale gdy odkładać tych rzeczy nie można, więc korzystajmy z gotowego wiatru i — rozepnijmy żagle!...

Jutro Herhor i Mefres powinni być uwięzieni i przyprowadzeni do pałacu. A z Labiryntem skończymy za kilka dni.

Członkowie rady uznali, że postanowienie faraona jest dobre, i rozeszli się podziwiając jego stanowczość i mądrość. Nawet jenerałowie oświadczyli, że lepiej korzystać z gotowej okazji aniżeli gromadzić siły na ten czas, kiedy okazja minie.

Była już noc. Nadbiegł drugi kurier od Memfisu z doniesieniem, że udało się policji ochronić cudzoziemców. Ale lud jest rozjuszony i nie wiadomo, do czego posunie się jutro.

Od tej chwili kurier przychodził za kurierem. Jedni przynosili wiadomości, że wielkie masy chłopstwa uzbrojonego w topory i pałki ze wszystkich stron podążają do Memfisu. Skądinąd donoszono, że lud w okolicach Peme, Sochem i On ucieka w pole krzycząc, że jutro będzie koniec świata. Inny kurier przywiózł list od Hirama, że wnet przybywa. Inny zawiadamiał o przekradaniu się pułków świątyniowych do Memfisu i co ważniejsza, że z Górnego Egiptu posuwają się mocne oddziały ludu i wojska, wrogo usposobione dla Fenicjan, a nawet dla jego świątobliwości.

„Nim tamci nadejdą — myślał faraon — ja już będę miał w rękach arcykapłanów i nawet pułki Nitagera... Spóźnili się o kilka dni!..."

Donoszono wreszcie, że tu i owdzie na gościńcach wojsko schwytało przebranych kapłanów, którzy usiłowali dostać się do pałacu jego świątobliwości, zapewne z niedobrymi zamiarami.

— Niech ich przyprowadzą do mnie — odparł ze śmiechem faraon. — Chcę widzieć tych, którzy ośmielili się mieć względem mnie złe zamiary!...

Około północy czcigodna królowa Nikotris zażądała posłuchania u jego świątobliwości.

Dostojna pani była blada i drżąca. Kazała wyjść oficerom z królewskiej komnaty, a zostawszy sam na sam z faraonem rzekła płacząc:

— Synu mój, przynoszę ci bardzo złe wróżby...

— Wolałbym, królowo, usłyszeć dokładne wiadomości o sile i zamiarach moich nieprzyjaciół...

— Dziś wieczorem posąg boskiej Izydy w mojej modlitewni odwrócił się twarzą do ściany, a woda w świętej cysternie poczerwieniała jak krew...

— To dowodzi — odparł faraon — że wewnątrz pałacu mamy zdrajców. Nie są oni jednak zbyt niebezpieczni, jeżeli umieją tylko brudzić wodę i odwracać posągi.

— Cała nasza służba — ciągnęła pani — cały lud jest przekonany, że gdy wojska twoje wkroczą do świątyń, na Egipt spadnie wielkie nieszczęście...

— Większym nieszczęściem — rzekł pan — jest zuchwalstwo kapłanów. Wpuszczeni przez mego wiecznie żyjącego ojca do pałacu, myślą dziś, że zostali jego właścicielami... Ależ, na bogi, czymże ja w końcu zostanę wobec ich wszechmocy!... I czy nie wolno mi upomnieć się o moje królewskie prawa?...

— Przynajmniej... przynajmniej — odezwała się pani po namyśle — bądź miłosierny... Tak, prawa musisz odzyskać, ale nie pozwalaj twoim żołnierzom, aby gwałcili święte przybytki lub krzywdzili kapłanów... Pamiętaj, że łaskawi bogowie zsyłają radość na Egipt, a kapłani mimo swych błędów (któż ich nie ma!) niezrównane usługi oddają temu krajowi... Pomyśl tylko, że gdybyś ich zubożył i rozpędził, zniszczyłbyś mądrość, która nad inne ludy wywyższyła nasze państwo...

Faraon wziął matkę za obie ręce, ucałował ją i śmiejąc się odparł:

— Kobiety zawsze muszą przesadzać!... Ty, matko, przemawiasz do mnie, jak gdybym był wodzem dzikich Hyksosów, a nie faraonem. Czyliż ja chcę krzywdy kapłanów?... Czy nienawidzę ich mądrości, choćby nawet tak jałowej jak śledzenie obrotu gwiazd, które i bez nas chodzą po niebie nie zbogacając nas o jednego utena?...

Nie drażni mnie ich rozum ani pobożność, ale nędza Egiptu, który wewnątrz chudnie z głodu, a na zewnątrz boi się lada asyryjskich pogróżek. Tymczasem kapłani, pomimo swoją mądrość, nie tylko nie chcą mi pomagać w moich królewskich zamiarach, ale w najbezczelniejszy sposób stawiają opór.

Pozwól więc, matko, abym przekonał ich, że nie oni, lecz ja jestem panem mego dziedzictwa. Nie umiałbym mścić się nad pokornymi, ale — podepczę karki zuchwalców.

Oni wiedzą o tym, ale jeszcze nie dowierzają i — w braku sił rzeczywistych — chcą zastraszyć mnie zapowiedzią jakowychś klęsk. Jest to ich ostatnia broń i ucieczka... Gdy więc zrozumieją, że nie lękam się strachów, upokorzą się, a w takim razie nie upadnie ani jeden kamień z ich świątyń, nie ubędzie ani jeden pierścień z ich skarbców.

Znam ja ich!... Dziś robią wielkie miny, bo jestem od nich daleko. Lecz gdy wyciągnę spiżową rękę, padną na twarz i — cały ten zamęt skończy się spokojem i ogólną pomyślnością.

Królowa objęła nogi władcy i wyszła ukojona zakląwszy jednak Ramzesa, aby szanował bogów i miał miłosierdzie nad ich sługami.

Po odejściu matki faraon wezwał Tutmozisa.

— Jutro tedy — rzekł pan — wojska moje zajmą świątynie. Zapowiedz jednak pułkownikom, niech wiedzą, że wolą moją jest, aby święte przybytki były nie tknięte i aby nikt nie podnosił ręki na kapłanów...

— Nawet na Mefresa i Herhora?... — spytał Tutmozis.

— Nawet na nich — odparł faraon. — Dość będą mieli kary, gdy usunięci z dzisiejszych stanowisk osiądą przy uczonych świątyniach, ażeby modlić się tam i badać mądrość bez przeszkód...

— Stanie się, jak rozkazuje wasza świątobliwość... Chociaż...

Ramzes podniósł w górę palec na znak, że nie chce słuchać żadnych przedstawień. A następnie, aby zmienić temat rozmowy, rzekł z uśmiechem:

— Pamiętasz, Tutmozisie, manewry pod Pi-Bailos?... Już minęło dwa lata!... Kiedy wówczas gniewałem się na zuchwalstwo i chciwość kapłanów, czy mogłeś pomyśleć, że tak prędko zrobię z nimi rachunek?...

A biedna Sara... A mały synek mój... Jaki on był piękny...

Dwie łzy stoczyły się po twarzy faraona.

— Zaprawdę — mówił — gdybym nie był synem bogów, którzy są litościwi i wspaniałomyślni, wrogowie moi przeżyliby jutro ciężkie godziny... Ile oni zadali mi upokorzeń... Ile razy płacz zaćmiewał mi oczy z ich winy!...

ROZDZIAŁ XVI

Dnia dwudziestego Paofi — Memfis wyglądało jakby podczas uroczystego, święta. Ustały wszelkie zajęcia, nawet tragarze nie nosili ciężarów. Cały lud wysypał się na place i ulice albo skupiał się dokoła świątyń. Głównie około bożnicy Ptah, która była najwarowniejszą i gdzie zebrali się dostojnicy duchowni tudzież świeccy, pod przewództwem Herhora i Mefresa.

W pobliżu świątyń stały wojska w luźnym szyku, aby żołnierze mogli porozumiewać się z ludem.

Między pospólstwem i między wojskiem krążyli mnodzy przekupnie z koszami chleba, z dzbanami i skórzanymi workami, w których było wino. Częstowali oni lud darmo. Gdy zaś spytał ich kto, dlaczego nie biorą zapłaty? jedni odpowiadali, że — to jego świątobliwość częstuje swoich poddanych, a drudzy mówili:

— Jedzcie i pijcie, prawowierni Egipcjanie, gdyż nie wiadomo, czy doczekamy jutra!...

Byli to przekupnie kapłańscy.

Agentów kręciło się mnóstwo. Jedni głośno dowodzili słuchaczom, że kapłani buntują się przeciw panu, a nawet chcą go otruć za to, że obiecał ludowi siódmy dzień odpoczynku. Inni szeptali, że faraon oszalał i sprzysiągł się z cudzoziemcami na zgubę świątyń i Egiptu. Tamci zachęcali lud, ażeby napadł na świątynię, gdzie kapłani z nomarchami radzą nad uciemiężeniem rzemieślników i chłopów. Ci wyrażali obawę, że gdyby świątynie napadnięto, mogłoby zdarzyć się wielkie nieszczęście...

Mimo to, nie wiadomo skąd, pod murem świątyni Ptah znalazło się kilka potężnych belek i stosy kamieni.

Poważni kupcy memfijscy przechadzający się między tłumami nie mieli żadnej wątpliwości, że ludowy zamęt był wywołany sztucznie. Drobni pisarze, policjanci, oficerowie robotników i przebrani dziesiętnicy wojskowi już nawet nie kryli się ani ze swoimi urzędowymi stanowiskami, ani z tym, że chcą popchnąć lud do zdobycia świątyń. Z drugiej strony: paraszytowie, żebracy, słudzy świątyń i niżsi kapłani choć pragnęli ukryć się, nie mogli, a każdy obdarzony zmysłami widział, że i oni zachęcają pospólstwo do gwałtu!...

Toteż rozsądni mieszczanie memfijscy byli zdumieni takim postępowaniem kapłańskiego stronnictwa, a lud — poczynał ostygać z wczorajszego zapału. Rodowici Egipcjanie nie mogli zrozumieć: o co tu chodzi i kto naprawdę wywołuje zaburzenia? Chaos powiększał się dzięki półobłąkanym bigotom, którzy nago przebiegając ulice ranili sobie ciało do krwi i wołali:

— Biada Egiptowi!... Bezbożność przebrała miarę i zbliża się godzina sądu!... Bogowie okażą swoją moc nad zuchwalstwem nieprawości!...

Wojsko zachowywało się spokojnie, czekając, aż lud zacznie wdzierać się do świątyń. Z jednej bowiem strony taki rozkaz wyszedł z królewskiego pałacu; z drugiej zaś — oficerowie przewidywali zasadzki w świątyniach i woleli, ażeby ginęło pospólstwo aniżeli żołnierze. Żołnierze i tak będą mieli dosyć zajęcia.

Ale tłum, pomimo krzyku agitatorów i wina rozdawanego darmo, wahał się. Chłopi oglądali się na rzemieślników, rzemieślnicy na chłopów, a wszyscy oczekiwali czegoś.

Nagle, około pierwszej w południe, z bocznych ulic wylała się ku świątyni Ptah pijana banda, zbrojna w topory i drągi. Byli to rybacy, greccy majtkowie, pastusi, libijskie włóczęgi, nawet więźniowie z kopalni w Turra. Na czele bandy szedł robotnik olbrzymiego wzrostu, z pochodnią. Stanął on przed bramą świątyni i ogromnym głosem począł wołać do ludu:

— A wiecież wy, prawowierni, nad czym tu radzą arcykapłani i nomarchowie?... Oto chcą zmusić jego świątobliwość Ramzesa, ażeby robotnikom odjął po placku jęczmiennym na dzień, a chłopów obłożył nowym podatkiem, po drachmie od każdej głowy...

Dlatego mówię wam, że popełniacie głupstwo i nikczemność stojąc tu z założonymi rękoma!... Trzeba nareszcie wyłapać świątyniowych szczurów i oddać ich w ręce faraonowi, panu naszemu, na którego krzywdę zmawiają się bezbożnicy!... Bo gdyby władca nasz musiał ulec radzie kapłańskiej, któż wtedy ujmie się za uczciwym ludem?...

— Prawdę mówi!... — odezwano się w tłumie.

— Pan kazał dać nam siódmy dzień wypoczynku...

— I obdarzy nas ziemią...

— Zawsze miał litościwe serce dla prostaków!... Pamiętacie, jak dwa lata temu uwolnił chłopów oddanych pod sąd za napaść na folwark Żydówki?...

— Ja sam widziałem, jak przed dwoma laty zbił pisarza, który ściągał z chłopów niesprawiedliwy podatek...

— Niech żyje wiecznie pan nasz, Ramzes XIII, opiekun uciśnionych!...

— Patrzajcie ino — odezwał się głos z daleka — samo bydło wraca z pastwisk, jakby zbliżał się wieczór...

— Co tam bydło!... Dalejże na kapłanów!...

— Hej, wy! — krzyczał olbrzym pod bramą świątyni. — Otwórzcie nam dobrowolnie, ażebyśmy przekonali się: nad czym radzą arcykapłani z nomarchami?...

— Otwórzcie!... bo wywalimy bramę!...

— Dziwna rzecz — mówiono z daleka — ptaki kładą się spać... A przecież to dopiero południe...

— Dzieje się coś niedobrego w powietrzu!...

— Bogowie! już noc nadchodzi, a ja jeszcze nie narwałam sałaty na obiad... — dziwiła się jakaś dziewczyna.

Lecz uwagi te zagłuszył wrzask pijanej bandy i łoskot belek uderzających w miedzianą bramę świątyni.

Gdyby tłum mniej był zajęty gwałtami napastników, już spostrzegłby, że w naturze zachodzi jakieś niezwykłe zjawisko. Słońce świeciło, na niebie nie było ani jednej chmurki, a mimo to jasność dzienna poczęła się zmniejszać i powiał chłód.

— Dajcie tu jeszcze jedną belkę!... — wołali napastnicy na świątynią. — Brama ustępuje!...

— Mocno!... Jeszcze raz!...

Przyglądający się tłum huczał jak burza... Tu i owdzie poczęły odrywać się od niego małe grupy i łączyć z napastnikami. Wreszcie cała masa ludu z wolna podsunęła się ku murom świątyni.

Na dworze, mimo południa, wzrastał mrok; w ogrodach świątyni Ptah zaczęły piać koguty. Ale wściekłość tłumu była już tak wielka, że mało kto dostrzegał te zmiany.

— Patrzcie! — wołał jakiś żebrak — oto zbliża się dzień sądu... Bogowie...

Chciał mówić dalej, lecz uderzony kijem w głowę padł na miejscu.

Na mury świątyni poczęły wdzierać się nagie, lecz uzbrojone postacie. Oficerowie wezwali żołnierzy pod broń, pewni, że niebawem trzeba będzie wesprzeć atak pospólstwa.

— Co to znaczy?... — szeptali żołnierze przypatrując się niebu. — Nie ma chmur, a jednakże świat wygląda jak podczas burzy.

— Bij!... łam!... — krzyczano pod świątynią. Łoskot belek odzywał się coraz częściej.

W tej chwili na tarasie stojącym nad bramą ukazał się Herhor, otoczony orszakiem kapłanów i dygnitarzy świeckich. Najdostojniejszy arcykapłan miał na sobie złoty ornat i czapkę Amenhotepa otoczoną królewskim wężem.

Herhor spojrzał po ogromnych masach ludu, który otaczał świątynię, i schyliwszy się do szturmującej bandy rzekł:

— Kimkolwiek jesteście, prawowiernymi czy poganami, w imię bogów wzywam was, ażebyście świątynię zostawili w spokoju...

Gwar ludu nagle ucichnął i tylko słychać było tłuczenie belek o miedzianą bramę. Lecz wnet i belki ustały.

— Otwórzcie bramę! — zawołał z dołu olbrzym. — Chcemy przekonać się, czy nie knujecie zdrady przeciw naszemu panu...

— Synu mój — odparł Herhor — upadnij na twarz i błagaj bogów, aby przebaczyli ci świętokradztwo...

— To ty proś bogów, ażeby cię zasłonili!... — krzyknął dowódca bandy i wziąwszy kamień rzucił go w górę, ku arcykapłanowi.

Jednocześnie z okna pylonu wyleciał cieniutki strumyk, niby wody, na twarz olbrzyma. Bandyta zachwiał się, zatrzepotał rękoma i upadł.

Jego najbliżsi wydali okrzyk trwogi, na co dalsze szeregi, nie wiedząc, co się stało, odpowiedziały śmiechem i przekleństwami.

— Wyłamujcież bramę!... — wołano od końca i grad kamieni posypał się w stronę Herhora i orszaku.

Herhor wzniósł do góry obie ręce. A gdy tłum znowu ucichnął, arcykapłan zawołał silnym głosem:

— Bogowie! pod waszą opiekę oddaję święte przybytki, przeciw którym występują zdrajcy i bluźniercy...

A w chwilę później, gdzieś nad świątynią, rozległ się nadludzki głos:

— Odwracam oblicze moje od przeklętego ludu i niech na ziemię spadnie ciemność...

I stała się rzecz okropna: w miarę jak głos mówił, słońce traciło blask. A wraz z ostatnim słowem zrobiło się ciemno jak w nocy. Na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, a zamiast słońca stał czarny krąg otoczony obrączką płomieni.

Niezmierny krzyk wydarł się ze stu tysięcy piersi. Szturmujący do bramy rzucili belki, chłopi upadli na ziemię...

— Oto nadszedł dzień sądu i śmierci!... — zawołał jękliwy głos w końcu ulicy.

— Bogowie!... litości... święty mężu, odwróć klęskę!... — zawołał tłum.

— Biada wojskom, które spełniają rozkazy bezbożnych naczelników!... — zawołał wielki głos ze świątyni.

W odpowiedzi — już cały lud upadł na twarz, a w dwu pułkach stojących przed świątynią powstało zamieszanie. Szeregi połamały się, żołnierze poczęli rzucać broń i bez pamięci uciekać w stronę rzeki. Jedni pędząc jak ślepi wśród ciemności rozbijali się o ściany domów; inni padali na bruk deptani na śmierć przez swoich towarzyszów. W ciągu paru minut, zamiast zwartych kolumn wojska, leżały na placu porozrzucane włócznie i topory, a przy wejściu do ulic — piętrzyły się stosy rannych i trupów.

Żadna przegrana bitwa nie skończyła się podobną klęską.

— Bogowie!... bogowie!... — jęczał i płakał lud — zmiłujcie się nad niewinnymi...

— Ozyrysie!... — zawołał z tarasu Herhor — ulituj się i okaż oblicze swoje nieszczęśliwemu ludowi...

— Po raz ostatni wysłucham modlitwy moich kapłanów, bom jest miłosierny... — odpowiedział nadludzki głos ze świątyni.

I w tejże samej chwili ciemność pierzchnęła, a słońce odzyskało swój blask.

Nowy krzyk, nowy płacz, nowe modlitwy rozległy się między tłumem. Pijani radością ludzie witali zmartwychwstające słońce. Nieznajomi padali sobie w objęcia, kilka osób zmarło, a wszyscy na klęczkach pełzali do świątyni, aby całować jej błogosławione mury.

Na szczycie bramy stał najdostojniejszy Herhor, zapatrzony w niebo, a dwaj kapłani podtrzymywali jego święte ręce, którymi rozpędził ciemność i uratował lud swój od zagłady.

Takie same sceny, z pewnymi odmianami, miały miejsce w całym Dolnym Egipcie. W każdym mieście, dwudziestego Paofi, lud od rana zbierał się pod świątyniami i w każdym mieście około południa jakaś banda szturmowała do bramy świętej. Wszędzie nad bramą, około pierwszej, ukazywał się arcykapłan świątyni z orszakiem, przeklinał bezbożników i robił ciemność. A gdy tłum uciekał w popłochu albo padał na ziemię, arcykapłani modlili się do Ozyrysa, aby ukazał swoje oblicze, i — dzienna światłość znowu powracała na ziemię.

Tym sposobem, dzięki zaćmieniu słońca, pełne mądrości stronnictwo kapłańskie już i w Dolnym Egipcie zachwiało powagę Ramzesa XIII. W ciągu kilku minut rząd faraona stanął, nawet nie wiedząc o tym, nad brzegiem przepaści. Ocalić go mógł tylko wielki rozum i dokładna znajomość sytuacji. Tego jednak zabrakło w królewskim pałacu, gdzie właśnie w ciężkiej chwili zaczęło się wszechmocne panowanie przypadku.

Dwudziestego Paofi jego świątobliwość wstał równo ze wschodem słońca i ażeby być bliżej teatru działań, przeniósł się z głównego gmachu do willi, która zaledwie o godzinę drogi pieszej leżała od Memfisu. Willa ta miała z jednej strony koszary wojsk azjatyckich, z drugiej — pałacyk Tutmozisa i jego małżonki, pięknej Hebron. Wraz z panem przyszli tutaj wierni Ramzesowi dygnitarze i — pierwszy pułk gwardii, w którym faraon pokładał nieograniczone zaufanie.

Ramzes XIII był w doskonałym humorze. Wykąpał się, zjadł z apetytem śniadanie i — zaczął przesłuchiwać gońców, którzy co kwadrans nadlatywali z Memfisu.

Raporta ich były jednostajne aż do znudzenia. Arcykapłani i kilku nomarchów, pod przewództwem Herhora i Mefresa, zamknęli się w świątyni Ptah. Wojsko jest pełne otuchy, a lud wzburzony. Wszyscy błogosławią faraona i czekają na rozkaz do ataku.

Kiedy o godzinie dziewiątej czwarty kurier powtórzył te same słowa, faraon zmarszczył brwi.

— Na co oni czekają?... — zapytał pan. — Niech atakują natychmiast.

Goniec odpowiedział, że jeszcze nie zebrała się główna banda, która ma napaść świątynię i wyłamać miedzianą bramę.

Objaśnienie to nie podobało się panu. Potrząsnął głową i wysłał do Memfisu oficera, ażeby przyśpieszyć atak.

— Co znaczy ta zwłoka?... — mówił. — Myślałem, że moje wojsko obudzi mnie wiadomością o zdobyciu świątyni... W podobnych wypadkach szybkość działań jest warunkiem powodzenia.

Oficer odjechał, ale pod świątynią Ptah nie zmieniło się nic. Lud czekał na coś, a głównej bandy nie było jeszcze na placu.

Można było sądzić, że jakaś inna wola opóźnia wykonywanie rozkazów.

O dziewiątej rano do willi zajmowanej przez faraona przybyła lektyka królowej Nikotris. Czcigodna pani prawie gwałtem wdarła się do synowskiej komnaty i z płaczem upadła do nóg panu.

— Czego żądasz, matko? — rzekł Ramzes, z trudem ukrywając niecierpliwość. — Czy zapomniałaś, że dla kobiet nie ma miejsca w obozie?...

— Dzisiaj nie ruszę się stąd, nie opuszczę cię ani na chwilę!... — zawołała. — Prawda, że jesteś synem Izydy i ona otacza cię swoją opieką... Ale mimo to umarłabym z niepokoju.

— Cóż mi grozi? — spytał faraon wzruszając ramionami.

— Kapłan, który śledzi gwiazdy — mówiła z płaczem królowa — odezwał się do jednej ze służebnic, że jeżeli dzisiaj... jeżeli dzisiejszy dzień upłynie ci szczęśliwie, będziesz żył i panował sto lat...

— Aha!... Gdzież jest ten znawca moich losów?

— Uciekł do Memfisu... — odparła pani.

Faraon zamyślił się, potem rzekł śmiejąc się:

— Jak Libijczycy nad Sodowymi Jeziorami wyrzucali na nas pociski, tak dziś kapłaństwo miota na nas groźby... Bądź spokojna, matko! Gadulstwo, nawet kapłanów, jest mniej niebezpieczne aniżeli strzały i kamienie.

Od Memfisu nadleciał nowy kurier z doniesieniem, że wszystko jest dobrze, lecz — główna banda jeszcze nie gotowa.

Na pięknej twarzy faraona ukazały się znaki gniewu. Pragnąc uspokoić władcę, odezwał się Tutmozis:

— Pospólstwo nie jest wojskiem. Nie umie zebrać się na oznaczoną godzinę; idąc ciągnie się jak błoto i — nie słucha komendy. Gdyby pułkom powierzono zajęcie świątyń, już by tam były...

— Ależ co mówisz, Tutmozisie?... — zawołała królowa. — Gdzie kto słyszał, ażeby wojsko egipskie...

— Zapomniałeś — wtrącił Ramzes — że, według moich rozkazów, wojsko nie miało napadać, ale bronić świątyń przed napaścią pospólstwa...

— Przez to też opóźniają się działania — odparł niecierpliwie Tutmozis.

— Oto są królewscy doradcy!... — wybuchnęła królowa. — Pan robi mądrze, występując jako obrońca bogów, a wy, zamiast łagodzić, zachęcacie go do gwałtu...

Tutmozisowi krew uderzyła do głowy. Na szczęście wywołał go z komnaty adiutant donosząc, że w bramie zatrzymano starego człowieka, który chce mówić z jego świątobliwością.

— U nas dzisiaj — mruczał adiutant — każdy dobija się tylko do pana; jakby faraon był właścicielem karczmy...

Tutmozis pomyślał, że jednak za Ramzesa XII nikt nie ośmieliłby się w ten sposób wyrażać o władcy... Ale udał, że nie uważa.

Starym człowiekiem, którego zatrzymała warta, był fenicki książę Hiram. Miał na sobie okryty kurzem płaszcz żołnierski, a sam był zmęczony i zirytowany.

Tutmozis kazał przepuścić tyryjczyka, a gdy obaj znaleźli się w ogrodzie, rzekł mu:

— Sądzę, że wasza dostojność wykąpiesz się i przebierzesz, zanim wyjednam ci posłuchanie u jego świątobliwości?

Hiramowi najeżyły się siwe brwi i jeszcze mocniej krwią nabiegły oczy.

— Po tym, co już widziałem — odparł twardo — mogę nawet nie żądać posłuchania...

— Masz przecie listy arcykapłanów do Asyrii...

— Na co wam te listy, skoro pogodziliście się z kapłanami?...

— Co wasza dostojność wygadujesz? — rzucił się Tutmozis.

— Ja wiem, co mówię!... — rzekł Hiram. — Dziesiątki tysięcy talentów wydobyliście od Fenicjan, niby na uwolnienie Egiptu z mocy kapłańskiej, a dziś za to rabujecie nas i mordujecie... Zobacz, co się dzieje od morza do pierwszej katarakty: wszędzie wasze pospólstwo ściga Fenicjan jak psów, bo taki jest rozkaz kapłanów...

— Oszalałeś, tyryjczyku!... W tej chwili nasz lud zdobywa świątynię Ptah w Memfis...

Hiram machnął ręką.

— Nie zdobędzie jej! — odparł. — Oszukujecie nas albo sami jesteście oszukani... Mieliście przede wszystkim zdobyć Labirynt i jego skarbiec, i to dopiero w dniu dwudziestym trzecim Paofi... Tymczasem dziś marnujecie siły pod bożnicą Ptah, a Labirynt przepadł...

Co się to dzieje?... Gdzież tu rozum?... — ciągnął wzburzony Fenicjanin. — Na co te szturmy do pustych gmachów?... Napadacie je chyba w tym celu, ażeby wzmocniono dozór nad Labiryntem.

— I Labirynt weźmiemy — przerwał Tutmozis.

— Nic nie weźmiecie, nic!... Labirynt mógł wziąć tylko jeden człowiek, któremu przeszkodzą dzisiejsze awantury w Memfisie...

Tutmozis stanął na drodze.

— O co tobie chodzi?... — krótko spytał Hirama.

— O nieład, jaki panuje u was... O to, że już nie jesteście rządem, ale kupą oficerów i dostojników, którą kapłani pędzą, gdzie chcą i kiedy chcą... Od trzech dni w całym Dolnym Egipcie panuje tak straszny zamęt, że pospólstwo rozbija nas, Fenicjan, waszych jedynych przyjaciół... A dlaczego tak jest?... Bo rządy wymknęły się z waszych rąk i już pochwycili je kapłani.

— Mówisz tak, bo nie znasz położenia — odparł Tutmozis. — Prawda, że kapłani brużdżą nam i urządzają napaści na Fenicjan. Ale władza jest w ręku faraona, ogólny bieg wypadków idzie według jego rozkazów...

— I dzisiejszy napad na świątynię Ptah? — spytał Hiram.

— Tak. Sam byłem na poufnej radzie, podczas której faraon rozkazał opanować świątynie dzisiaj zamiast dwudziestego trzeciego...

— No — przerwał Hiram — więc oświadczam ci, naczelniku gwardii, że jesteście zgubieni... Bo ja z pewnością wiem, że dzisiejszy napad został uchwalony na posiedzeniu arcykapłanów i nomarchów, które odbyło się w Świątyni Ptah trzynastego Paofi.

— Po cóż by oni uchwalali napad na samych siebie? — spytał drwiącym tonem Tutmozis.

— Muszą mieć w tym jakiś interes. A że oni lepiej prowadzą swoje interesa aniżeli wy, o tym już przekonałem się.

Dalszą rozmowę przerwał adiutant wzywający Tutmozisa do jego świątobliwości.

— Ale!... ale!... — dodał Hiram. — Wasi żołnierze zatrzymali na drodze kapłana Pentuera, który ma coś ważnego powiedzieć faraonowi...

Tutmozis schwycił się za głowę i natychmiast posłał oficerów, ażeby znaleźli Pentuera. Następnie pobiegł do faraona, a po chwili wrócił i kazał Fenicjaninowi iść za sobą.

Kiedy Hiram wszedł do królewskiej komnaty, zastał w niej: królowę Nikotris, wielkiego skarbnika, wielkiego pisarza i kilku jenerałów. Ramzes XIII, zirytowany, szybko chodził po sali.

— Oto jest nieszczęście faraona i Egiptu! — zawołała królowa wskazując na Fenicjanina.

— Czcigodna pani — odparł niezmieszany tyryjczyk, kłaniając się — czas pokaże, kto był wiernym, a kto złym sługą jego świątobliwości.

Ramzes XIII nagle stanął przed Hiramem.

— Masz listy Herhora do Asyrii?... — zapytał.

Fenicjanin wydobył spod odzienia paczkę i milcząc oddał ją faraonowi.

— Tego było mi potrzeba! — zawołał z triumfem władca. — Trzeba natychmiast ogłosić ludowi, że arcykapłani zdradzili państwo...

— Synu mój — wtrąciła błagalnym głosem królowa — na cień ojca... na nasze bogi zaklinam cię, wstrzymaj się parę dni z tym ogłoszeniem... Z darami Fenicjan trzeba być bardzo ostrożnym...

— Wasza świątobliwość — wtrącił Hiram — może nawet spalić te listy. Mnie nic na nich nie zależy.

Faraon pomyślał i schował paczkę za kaftan.

— Cóż słyszałeś w Dolnym Egipcie? — zapytał pan.

— Wszędzie biją Fenicjan — odparł Hiram. — Domy nasze są burzone, sprzęty rozkradane i już kilkudziesięciu ludzi zabito.

— Słyszałem!... To robota kapłanów — rzekł pan.

— Lepiej powiedz, mój synu, że są to skutki bezbożności i zdzierstwa Fenicjan — wtrąciła królowa.

Hiram odwrócił się do pani bokiem i mówił:

— Od trzech dni siedzi w Memfisie naczelnik policji z Pi-Bast z dwoma pomocnikami i — już są na tropie mordercy i oszusta Lykona...

— Który wychował się w fenickich świątyniach! — zawołała królowa Nikotris.

— ...Lykona — ciągnął Hiram — którego arcykapłan Mefres wykradł policji i sądom... Lykona, który w Tebach, udając waszą świątobliwość, biegał nago po ogrodzie jako wariat...

— Co mówisz?... — krzyknął faraon.

— Niech wasza świątobliwość zapyta się najczcigodniejszej królowej, gdyż ona go widziała... — odparł Hiram.

Ramzes zmieszany spojrzał na matkę.

— Tak — rzekła królowa — widziałam tego nędznika, lecz nie wspominałam nic, ażeby oszczędzić ci boleści... Muszę jednak objaśnić, że nikt nie ma dowodu na to, ażeby Lykon był nasadzony przez arcykapłanów, gdyż równie dobrze mogli to zrobić Fenicjanie...

Hiram uśmiechnął się szyderczo.

— Matko... matko!... — odezwał się z żalem Ramzes — czyliż w twoim sercu kapłani nawet ode mnie są lepsi?...

— Ty jesteś mój syn i pan najdroższy — mówiła z uniesieniem królowa — ale nie mogę ścierpieć, ażeby człowiek obcy... poganin... miotał oszczerstwa na święty stan kapłański, z którego oboje pochodzimy...

O Ramzesie!... — zawołała padając na kolana — wypędź złych doradców, którzy cię popychają do znieważania świątyń, do podnoszenia ręki na następcę dziada twego Amenhotepa!... Jeszcze czas... jeszcze czas do zgody... do ocalenia Egiptu...

Nagle wszedł do komnaty Pentuer w poszarpanej odzieży.

— No, a ty co powiesz? — zapytał z dziwnym spokojem faraon.

— Dziś, może zaraz — odparł wzruszony kapłan — będzie zaćmienie słońca...

Faraon aż się cofnął ze zdziwienia.

— Cóż mnie obchodzi zaćmienie słońca, jeszcze w tej chwili?...

— Panie — mówił Pentuer — ja tak samo myślałem, dopókim nie przeczytał w dawnych kronikach opisów zaćmień... Jest to tak przerażające zjawisko, że należałoby o nim ostrzec cały naród...

— Otóż jest!... — wtrącił Hiram.

— Dlaczegożeś wcześniej nie dał znać?... — zapytał kapłana Tutmozis.

— Dwa dni więzili mnie żołnierze... Narodu już nie ostrzeżemy, lecz zawiadomcie przynajmniej wojska przy pałacu, ażeby choć one nie uległy popłochowi.

Faraon klasnął w ręce.

— Ach, źle się stało!... — szepnął i dodał głośno: — Cóż to ma być i kiedy?...

— W dzień zrobi się noc... — mówił kapłan. — Ma trwać podobno tyle czasu, ile potrzeba na przejście pięciuset kroków... A zacznie się w południe... Tak mi mówił Menes...

— Menes? — powtórzył faraon. — Znam to nazwisko, ale...

— On pisał list o tym do waszej świątobliwości... Ależ dajcie znać wojsku...

Wnet odezwały się trąbki. Gwardia i Azjaci stanęli pod bronią i faraon otoczony sztabem zawiadomił wojsko o zaćmieniu dodając, aby się nie lękali, gdyż ciemność zaraz przejdzie, a on sam będzie przy nich.

— Żyj wiecznie! — odpowiedziały zbrojne szeregi.

Jednocześnie wysłano kilku najroztropniejszych jeźdźców do Memfisu.

Jenerałowie stanęli na czele kolumn, faraon przechadzał się po dziedzińcu zamyślony, cywilni dostojnicy po cichu szeptali z Hiramem, a królowa Nikotris zostawszy sama w komnacie upadła na twarz przed posągiem Ozyrysa.

Było już po pierwszej i istotnie słoneczne światło poczęło zmniejszać się.

— Naprawdę będzie noc? — spytał faraon Pentuera.

— Będzie, lecz bardzo krótko...

— Gdzież podzieje się słońce?

— Ukryje się za księżyc...

— Muszę przywrócić do łaski mędrców, którzy badają gwiazdy... — wtrącił do siebie pan.

Mrok szybko powiększał się. Konie Azjatów zaczęły się niepokoić, roje ptastwa spadły na ogród i z głośnym świergotem obsiadły wszystkie drzewa.

— Odezwijcież się!... — zawołał Kalipos do Greków.

Zadudniły bębny, zagwizdały flety i przy tym akompaniamencie pułk grecki zaśpiewał skoczną piosenkę o córce kapłana, która tak bała się strachów, że mogła sypiać tylko w koszarach.

Wtem na żółte wzgórza libijskie padł złowrogi cień i z błyskawiczną szybkością zakrył Memfis, Nil i pałacowe ogrody. Noc ogarnęła ziemię, a na niebie ukazała się czarna jak węgiel kula, otoczona wieńcem płomieni.

Niezmierny wrzask zagłuszył pieśń greckiego pułku. To Azjaci wydali okrzyk wojenny wypuszczając ku niebu chmurę strzał dla odstraszenia złego ducha, który chciał pożreć słońce.

— Mówisz, że ten czarny krąg to księżyc? — pytał faraon Pentuera.

— Tak utrzymuje Menes...

— Wielki to mędrzec!... I ciemność zaraz się skończy?...

— Z pewnością...

— A gdyby ten księżyc oderwał się od nieba i spadł na ziemię?...

— To być nie może... Otóż i słońce!... — zawołał z radością Pentuer.

Wszystkie zgromadzone pułki wydały okrzyk na cześć Ramzesa XIII.

Faraon uścisnął Pentuera.

— Zaprawdę — rzekł pan — widzieliśmy dziwne zdarzenie... Ale nie chciałbym widzieć go po raz drugi... Czuję, że gdybym nie był żołnierzem, trwoga opanowałaby moje serce.

Hiram zbliżył się do Tutmozisa i szepnął:

— Wyślijże, wasza dostojność, natychmiast gońców do Memfisu, gdyż obawiam się, że arcykapłani zrobili wam coś niedobrego...

— Myślisz?...

Hiram pokiwał głową.

— Nie rządziliby tak długo państwem — rzekł — nie pogrzebaliby dziewiętnastu waszych dynastii, gdyby nie umieli korzystać z podobnych dzisiejszemu wypadków...

Podziękowawszy wojskom za dobrą postawę wobec niezwykłego zjawiska faraon wrócił do willi. Był wciąż zamyślony, przemawiał spokojnie, nawet łagodnie, ale na pięknej twarzy jego malowała się niepewność.

Istotnie w duszy Ramzesa toczyła się ciężka walka. Zaczynał rozumieć, że kapłani mają w rękach siły, których on nie tylko nie brał w rachubę, ale nawet nie zastanawiał się nad nimi, nie chciał o nich słuchać.

Kapłani śledzący ruchy gwiazd w ciągu kilku minut niezmiernie urośli w jego oczach. I faraon mówił w sobie, że jednak należy poznać tę dziwną mądrość, która w tak straszny sposób miesza ludzkie zamiary.

Goniec za gońcem wylatywał z pałacu do Memfisu, aby dowiedzieć się: co tam zaszło podczas zaćmienia? Ale gońcy nie wracali i nad królewskim orszakiem niepewność roztoczyła czarne skrzydła. Że pod świątynią Ptah zdarzyło się coś złego, o tym nie tylko nikt nie wątpił, ale nawet nie śmiał snuć własnych domysłów. Zdawało się, że i faraon, i jego zaufani radzi są z każdej minuty, jaka upłynęła im bez wiadomości stamtąd.

Tymczasem królowa Nikotris usiadłszy obok pana szeptała mu:

— Pozwól mi działać, Ramzesie... Kobiety naszemu państwu niejedną oddały usługę... Tylko przypomnij sobie królowę Nikotris[435] za szóstej dynastii albo Makarę[436], która stworzyła flotę na Morzu Czerwonym!... Naszej płci nie brak ani rozumu, ani energii, więc pozwól mi działać... Jeżeli świątynia Ptah nie została zdobyta, a kapłani skrzywdzeni, pogodzę cię z Herhorem. Pojmiesz za żonę jego córkę i panowanie twoje będzie pełne chwały... Pamiętaj, że twój dziad, święty Amenhotep, był również arcykapłanem i namiestnikiem faraona i że ty sam, kto wie, czy panowałbyś dzisiaj, gdyby święty stan kapłański nie pragnął mieć własnej krwi na tronie... Także wywdzięczasz się im za władzę?...

Faraon słuchał jej, ale wciąż myślał, że jednak mądrość kapłanów jest ogromną siłą, a walka z nimi trudna!...

Dopiero o trzeciej zjawił się pierwszy goniec z Memfisu, adiutant pułku, który stał pod świątynią. Powiedział on faraonowi, że świątyni nie zdobyto z powodu gniewu bogów; że lud uciekł, kapłani triumfują, a nawet w wojsku powstał nieporządek podczas tej strasznej, choć krótkiej nocy.

Potem zaś wziąwszy na bok Tutmozisa adiutant oświadczył mu bez ogródki, że wojsko jest zdemoralizowane i że skutkiem ucieczki w popłochu ma tylu rannych i zabitych, jak po bitwie.

— Cóż się teraz dzieje z wojskiem?... — zapytał struchlały Tutmozis.

— Naturalnie — odparł adiutant — że udało się nam zgromadzić i uszykować żołnierzy. Ale o użyciu ich przeciw świątyniom nawet mowy być nie może... Szczególniej teraz, gdy kapłani zajęli się opatrywaniem rannych. Teraz żołnierz na widok ogolonego

[435] *królowa Nikotris* — popr.: Nitokris, legendarna pierwsza kobieta na tronie starożytnego Egiptu, ostatni władca VI dynastii. Barwną historię o Nitokris przekazał Herodot (Dzieje, II, 100), zaś Maneton uważał, że zbudowała trzecią z największych piramid w Gizie. Współcześnie jej istnienie poddaje się w wątpliwość.

[436] *Makara* — popr. Maat-Ka-Re, imię tronowe królowej Hatszepsut (1473–1458 p.n.e.) z XVIII dynastii. Po śmierci męża najpierw rządziła jako regentka w imieniu nieletniego pasierba, Totmesa III, następnie koronowała się na faraona. Wzniosła wiele monumentalnych świątyń i obelisków, zorganizowała wielką wyprawę handlową pięciu statków przez Morze Czerwone do kraju Punt.

łba i panterczej skóry gotów padać na ziemią i dużo czasu upłynie, zanim który odważyłby się przekroczyć świętą bramę...

— A cóż kapłani?...

— Błogosławią żołnierzy, karmią ich, poją i udają, że wojsko nie winno napadowi na świątynię, że to była robota Fenicjan...

— I wy pozwalacie na to demoralizowanie pułków?... — zawołał Tutmozis.

— Przecież jego świątobliwość rozkazał nam bronić kapłanów przeciw pospólstwu... — odparł adiutant. — Gdyby nam pozwolono zająć świątynie, bylibyśmy w nich od dziesiątej z rana, a arcykapłani siedzieliby w piwnicach.

W tej chwili oficer dyżurny zawiadomił Tutmozisa, że znowu jakiś kapłan przybyły od Memfisu chce mówić z jego świątobliwością.

Tutmozis obejrzał gościa. Był to człowiek jeszcze dość młody z twarzą jakby wyrzeźbioną w drzewie. Powiedział, że przychodzi do faraona od Samentu.

Ramzes natychmiast przyjął kapłana, który upadłszy na ziemię podał władcy pierścień, na widok którego faraon pobladł.

— Co to znaczy?... — zapytał pan.

— Samentu nie żyje... — odpowiedział posłannik.

Ramzes przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie rzekł:

— Jak się to stało?...

— Zdaje się — mówił kapłan — że Samentu został odkryty w jednej z sal Labiryntu i sam się otruł, aby uniknąć mąk... I zdaje się, że odkrył go Mefres, przy pomocy jakiegoś Greka, który ma być bardzo podobny do waszej świątobliwości...

— Znowu Mefres i Lykon!... — zawołał z gniewem Tutmozis. — Panie — zwrócił się do faraona — czyliż nigdy nie uwolnisz się od tych zdrajców?...

Jego świątobliwość znowu zwołał poufną radę do swej komnaty. Wezwał na nią Hirama tudzież kapłana, który przyszedł z pierścieniem Samentu. Pentuer nie chciał w naradzie przyjmować udziału, a czcigodna królowa Nikotris sama na nią przyszła.

— Widzę — szepnął Hiram do Tutmozisa — że po wypędzeniu kapłanów baby zaczną rządzić Egiptem...

Gdy zebrali się dostojnicy, faraon dał głos posłannikowi Samentu. Młody kapłan nie chciał nic mówić o Labiryncie. Natomiast szeroko rozwodził się nad tym, że świątynia Ptah wcale nie jest bronioną i że dość byłoby kilkudziesięciu żołnierzy, aby zabrać wszystkich, którzy w niej się ukrywają.

— Ten człowiek jest zdrajcą!... — krzyknęła królowa. — Sam kapłan namawia was do gwałtu nad kapłanami...

Ale w twarzy posłannika nie drgnął żaden muskuł.

— Czcigodna pani — odparł — jeżeli Mefres zgubił mego opiekuna i mistrza Samentu, byłbym psem, gdybym nie szukał zemsty. Śmierć za śmierć...

— Podoba mi się ten młody! — szepnął Hiram.

Rzeczywiście w zebraniu powiało jakby świeższe powietrze. Jenerałowie wyprostowali się, cywilni dostojnicy patrzyli na kapłana z ciekawością, nawet twarz faraona ożywiła się.

— Nie słuchaj go, synu mój!... — błagała królowa.

— Jak myślisz — odezwał się nagle faraon do młodego kapłana — co uczyniłby teraz święty Samentu, gdyby żył?...

— Jestem pewny — odparł energicznie kapłan — że Samentu wszedłby do świątyni Ptah, bogom spaliłby kadzidło, ale ukarałby zdrajców i morderców...

— A ja powtarzam, że ty jesteś najgorszy zdrajca!... — zawołała królowa.

— Spełniam tylko mój obowiązek — odparł niewzruszony kapłan.

— Zaprawdę, ten człowiek jest uczniem Samentu!... — wtrącił Hiram. — On jeden jasno widzi, co nam pozostaje do zrobienia...

Wojskowi i cywilni dostojnicy przyznali Hiramowi słuszność, a wielki pisarz dodał:

— Skoro zaczęliśmy walkę z kapłanami, należy jej dokończyć, tym bardziej dziś, gdy mamy listy dowodzące, że Herhor układa się z Asyryjczykami, co jest wielką zdradą państwa...

— On prowadzi politykę Ramzesa XII — wtrąciła królowa.

— Ależ ja jestem Ramzes XIII!... — już niecierpliwie odpowiedział faraon.

Tutmozis podniósł się z krzesła.

— Panie mój — rzekł — pozwól mi działać. Jest rzeczą bardzo niebezpieczną przeciągać ten stan niepewności, jaki panuje w rządzie, a byłoby zbrodnią i głupotą nie skorzystać z okazji. Skoro mówi ten kapłan, że świątynia nie jest broniona, pozwól mi, abym poszedł do niej z garstką ludzi, których sam wybiorę...

— Ja z tobą — wtrącił Kalipos. — Według mego doświadczenia nieprzyjaciel triumfujący jest najsłabszy. Jeżeli więc zaraz wpadniemy do świątyni Ptah...

— Nie potrzebujecie wpadać, ale wejść tam jako wykonawcy rozkazów faraona, który poleca wam uwięzić zdrajców — odezwał się wielki pisarz. — Na to nie potrzeba nawet siły... Ileż to razy jeden policjant rzuca się na gromadę złodziejów i chwyta, ilu chce...

— Syn mój — odezwała się królowa — ustępuje pod naciskiem waszych rad... Ale on nie chce gwałtu, zabrania wam...

— Ha, jeżeli tak — odezwał się młody kapłan Seta — więc powiem jego świątobliwości jeszcze jedną rzecz...

Parę razy odetchnął głęboko, lecz mimo to dokończył stłumionym głosem:

— Na ulicach Memfisu stronnictwo kapłańskie ogłasza, że...

— Że co?... mów śmiało — wtrącił faraon.

— Że wasza świątobliwość jesteś obłąkany, że nie masz święceń arcykapłańskich ani nawet królewskich i że... można złożyć was z tronu...

— Tego właśnie obawiam się — szepnęła królowa.

Faraon zerwał się z fotelu.

— Tutmozisie! — zawołał głosem, w którym było czuć odzyskaną energię. — Bierz wojska, ile chcesz, idź do świątyni Ptah i — przyprowadź mi Herhora i Mefresa oskarżonych o wielkie zdrady. Jeżeli usprawiedliwią się, powrócę im moją łaskę; w razie przeciwnym...

— Czy zastanowiłeś się?... — przerwała królowa.

Tym razem oburzony faraon nie odpowiedział jej, a dostojnicy poczęli wołać:

— Śmierć zdrajcom!... Od kiedyż to w Egipcie faraon ma poświęcać wierne sługi dla wyżebrania sobie łaski nikczemników!...

Ramzes XIII wręczył Tutmozisowi paczkę listów Herhora do Asyrii i rzekł uroczystym głosem:

— Aż do uśmierzenia buntu kapłanów przelewam moją władzę na osobę naczelnika gwardii, Tutmozisa. Teraz jego słuchajcie, a ty, czcigodna matko, do niego zwracaj się ze swymi uwagami.

— Mądrze i sprawiedliwie czyni pan!... — zawołał wielki pisarz. — Faraonowi nie wypada borykać się z buntem, a brak energicznej władzy może nas zgubić...

Wszyscy dostojnicy schylili się przed Tutmozisem. Królowa Nikotris z jękiem upadła synowi do nóg.

Tutmozis w towarzystwie jenerałów wyszedł na dziedziniec. Kazał uformować się pierwszemu pułkowi gwardii i rzekł:

— Potrzebuję kilkudziesięciu ludzi, którzy gotowi są zginąć za sławę pana naszego...

Wysunęło się więcej niż trzeba żołnierzy i oficerów, a na ich czele Eunana.

— Czy jesteście przygotowani na śmierć? — spytał Tutmozis.

— Umrzemy, panie, z tobą dla jego świątobliwości!... — zawołał Eunana.

— Nie umrzecie, ale zwyciężycie podłych zbrodniarzy — odparł Tutmozis. — Żołnierze należący do tej wyprawy zostaną oficerami, a oficerowie awansują o dwa stopnie wyżej. Tak mówię wam ja, Tutmozis, z woli faraona wódz naczelny.

— Żyj wiecznie!...

Tutmozis kazał zaprząc dwadzieścia piąć dwukolnych wozów ciężkiej kawalerii i wsadzić na nie ochotników. Sam w towarzystwie Kaliposa wsiedli na konie i niebawem — cały orszak skierowany ku Memfisowi zniknął w kurzawie.

Widząc to z okna królewskiej willi, Hiram schylił się przed faraonem i szepnął:

— Teraz dopiero wierzę, iż wasza świątobliwość nie byłeś w spisku z arcykapłanami...

— Oszalałeś?... — wybuchnął pan.

— Wybacz, władco, ale dzisiejszy napad na świątynię był ułożony przez kapłanów. Jakim zaś sposobem wciągnęli do niego waszą świątobliwość? nie rozumiem.

Była już godzina piąta po południu.

ROZDZIAŁ XVII

W tym samym czasie, co do minuty, kapłan czuwający na pylonie świątyni Ptah w Memfisie zawiadomił obradujących w sali arcykapłanów i nomarchów, że — pałac faraona daje jakieś znaki.

— Zdaje się, że jego świątobliwość będzie nas prosił o zgodę — rzekł śmiejąc się jeden z nomarchów.

— Wątpię!... — odparł Mefres.

Herhor wyszedł na pylon: do niego bowiem sygnalizowano z pałacu. Wkrótce wrócił i rzekł do zebranych:

— Nasz młody kapłan sprawił się bardzo dobrze... W tej chwili jedzie Tutmozis z kilkudziesięcioma ochotnikami, ażeby nas uwięzić albo zabić...

— I ty jeszcze będziesz śmiał bronić Ramzesa?... — krzyknął Mefres.

— Bronić go muszę i będę, gdyż uroczyście zaprzysiągłem to królowej... Gdyby zaś nie czcigodna córka świętego Amenhotepa, nasze położenie nie byłoby takim, jak jest.

— No, ale ja nie przysięgałem!... — odparł Mefres i opuścił salę zebrań.

— Co on chce robić? — spytał jeden z nomarchów.

— Zdziecinniały starzec!... — odparł Herhor wzruszając ramionami.

Przed szóstą wieczorem oddział gwardii nie zatrzymywany przez nikogo zbliżył się do świątyni Ptah, a dowódca zapukał w bramę, którą natychmiast otworzono. Był to Tutmozis ze swoimi ochotnikami.

Kiedy naczelny wódz wszedł na dziedziniec świątyni, zdziwił się widząc, że naprzeciw niego wystąpił Herhor w infule Amenhotepa, otoczony tylko kapłanami.

— Czego żądasz, synu mój? — zapytał arcykapłan wodza, nieco zmieszanego tym wypadkiem.

Ale Tutmozis prędko zapanował nad sobą i rzekł:

— Herhorze, arcykapłanie Amona tebańskiego! Na mocy listów, które pisałeś do Sargona, satrapy asyryjskiego, a które to listy mam przy sobie, jesteś oskarżony o zdradę państwa i musisz usprawiedliwić się przed faraonem...

— Jeżeli młody pan — spokojnie odparł Herhor — chce dowiedzieć się o celach polityki wiecznie żyjącego Ramzes XII, niech zgłosi się do naszej najwyższej rady, a otrzyma objaśnienia.

— Wzywam cię, ażebyś natychmiast szedł za mną, jeżeli nie chcesz, abym cię zmusił — zawołał Tutmozis.

— Synu mój, błagam bogów, aby ochronili cię od gwałtu i kary, na jaką zasługujesz...

— Idziesz? — spytał Tutmozis.

— Czekam tu na Ramzesa — odparł Herhor.

— A więc zostań tu, oszuście!... — krzyknął Tutmozis.

Wydobył miecz i rzucił się na Herhora. W tej chwili stojący za wodzem Eunana podniósł topór i z całej siły uderzył Tutmozisa między szyję i prawy obojczyk, aż krew trysnęła na wszystkie strony. Ulubieniec faraona padł na ziemię, prawie na pół rozcięty.

Kilku żołnierzy z pochylonymi włóczniami podskoczyli do Eunany, lecz po krótkiej walce z towarzyszami polegli. Spomiędzy ochotników trzy czwarte było na żołdzie kapłańskim.

— Niech żyje świątobliwy Herhor, pan nasz! — zawołał Eunana wywijając zakrwawionym toporem.

— Niech żyje wiecznie! — powtórzyli żołnierze i kapłani i — wszyscy padli twarzą na ziemię. Najdostojniejszy Herhor wzniósł ręce i błogosławił ich.

Opuściwszy dziedziniec świątyni Mefres zstąpił do podziemiów, gdzie zamieszkiwał Lykon. Arcykapłan zaraz na progu wydobył z zanadrza kryształową kulę, na widok której Grek wpadł w gniew.

— Bodaj was ziemia pochłonęła!... Bodaj trupy wasze nie zaznały spokoju!... — złorzeczył Lykon coraz cichszym głosem.

W końcu umilkł i zasnął.

— Weź ten sztylet — mówił Mefres podając Grekowi wąziutką stal. — Weź ten sztylet i idź do pałacowego ogrodu... Tam stań w figowym klombie i czekaj na tego, który zabrał ci i uwiódł Kamę...

Lykon począł zgrzytać zębami w bezsilnej złości.

— A gdy go ujrzysz, obudź się... — zakończył Mefres.

Potem narzucił na Greka oficerski płaszcz z kapturem, do ucha szepnął mu hasło i z podziemiów, przez ukrytą furtkę świątyni, wyprowadził go na pustą ulicę Memfisu.

Następnie Mefres z żywością młodzieńca pobiegł na szczyt pylonu i wziąwszy do rąk kilka różnobarwnych chorągiewek począł dawać znaki w kierunku pałacu faraona. Dostrzeżono go widać i zrozumiano, gdyż na pargaminowej twarzy arcykapłana błysnął przykry uśmiech.

Mefres złożył chorągiewki, opuścił taras pylonu i z wolna począł schodzić na dół. Wtem, gdy już był na pierwszym piętrze, otoczyło go kilku ludzi w brunatnych opończach, którymi zasłaniali kaftany w czarne i białe pasy.

— Oto jest najdostojniejszy Mefres — rzekł jeden z nich.

I wszyscy trzej uklękli przed arcykapłanem, który machinalnie podniósł rękę jakby do błogosławieństwa. Lecz nagle opuścił ją pytając:

— Kto wy jesteście?...

— Dozorcy Labiryntu.

— Czegóż zastąpiliście mi drogą? — rzekł, a jednocześnie zaczęły mu drżeć ręce i wąskie usta.

— Nie potrzebujemy ci przypominać, święty mężu — mówił jeden z dozorców wciąż klęcząc — że kilka dni temu byłeś w Labiryncie, do którego wiesz drogę tak dobrze jak my, choć nie jesteś wtajemniczonym... Jesteś zaś zbyt wielkim mędrcem, ażebyś nie miał znać i naszych praw w podobnych wypadkach...

— Co to znaczy?... — zawołał podniesionym głosem Mefres. — Jesteście zbójcy, nasłani przez Her...

Nie dokończył. Jeden z napastników schwytał go za ręce, drugi zarzucił mu chustkę na głowę, a trzeci skropił mu twarz przezroczystym płynem. Mefres rzucił się kilka razy i upadł. Jeszcze raz pokropiono go, a gdy skonał, dozorcy położyli go we framudze, w martwą rękę wsunęli jakiś papirus i — znikli w korytarzach pylonu.

Trzej tak samo ubrani ludzie uganiali się za Lykonem prawie od chwili, gdy wypuszczony ze świątyni przez Mefresa, znalazł się na pustej ulicy.

Ludzie ci kryli się niedaleko furtki, przez którą przeszedł Grek, i z początku przepuścili go wolno. Lecz wnet jeden z nich dostrzegł w jego ruchach coś podejrzanego, więc wszyscy poczęli iść za nim.

Dziwna rzecz! uśpiony Lykon, jakby przeczuwając gonitwę, nagle skręcił w ulicę ruchliwą, potem na plac, gdzie krążyło mnóstwo ludzi, a potem ulicą Rybacką pobiegł do Nilu. Tu, w jakimś zaułku, znalazł małe czółenko, skoczył w nie i z niesłychaną szybkością zaczął przeprawiać się na drugą stronę rzeki.

Był już o paręset kroków oddalony od brzegu, gdy wysunęła się za nim łódź z jednym przewoźnikiem i trzema podróżnymi. Ledwie zaś ci odbili, ukazała się druga łódź, mająca dwu przewoźników i znowu trzech podróżnych.

Obie łodzie zawzięcie ścigały Lykona.

W tej, która miała tylko jednego wioślarza, siedzieli dozorcy Labiryntu i pilnie przypatrywali się swoim współzawodnikom, o ile pozwalał na to zmierzch prędko zapadający po zachodzie słońca.

— Co to za jedni tamci trzej?... — szeptali między sobą dozorcy z Labiryntu. — Od onegdaj krążyli dokoła świątyni, a dziś gonią za nim... Czyby go chcieli zasłonić przed nami?...

Drobna łódka Lykona przybiła do drugiego brzegu. Uśpiony Grek wyskoczył z niej i szybkim krokiem począł iść ku pałacowym ogrodom. Niekiedy zataczał się, stawał i chwytał się za głowę; lecz po chwili znowu szedł jakby ciągniony przez niepojętą siłę.

Dozorcy Labiryntu również wylądowali na drugim brzegu, ale już zostali uprzedzeni przez swoich współzawodników.

I zaczął się jedyny w swoim rodzaju wyścig. Lykon pędził ku pałacowi królewskiemu jak szybkobiegacz, za nim trzej ludzie nieznani, a na końcu trzej dozorcy Labiryntu.

O kilkaset kroków od ogrodu obie goniące grupy zetknęły się ze sobą. Była już noc, ale jasna.

— Kto wy jesteście, ludzie? — zapytał nieznajomych dozorca Labiryntu.

— Jestem naczelnikiem policji z Pi-Bast i z dwoma moimi setnikami ścigam wielkiego zbrodniarza...

— A my jesteśmy dozorcy Labiryntu i również ścigamy tego człowieka...

Obie grupy przypatrywały się sobie z rękoma na mieczach lub nożach.

— Co chcecie z nim zrobić? — spytał wreszcie naczelnik policji.

— Mamy przeciw niemu wyrok...

— A trupa zostawicie?

— Ze wszystkim, co ma na sobie — odparł starszy dozorca.

Policjanci szeptali między sobą.

— Jeżeli mówicie prawdę — rzekł wreszcie naczelnik policji — nie będziemy wam przeszkadzali. Owszem, pożyczymy go wam na chwilę, gdy wpadnie w nasze ręce...

— Przysięgacie?

— Przysięgamy...

— No to możemy iść razem...

Połączyli się, ale Grek zniknął im z oczu.

— Przekleństwo!... — zawołał naczelnik policji. — Znowu umknął...

— Znajdzie się — odparł dozorca z Labiryntu — a może nawet tędy będzie wracał.

— Po cóż by szedł do królewskiego ogrodu? — spytał naczelnik.

— Arcykapłani używają go do jakichś swoich interesów, ale on wróci do świątyni, wróci!... — mówił dozorca.

Postanowili tedy czekać i działać wspólnie.

— Trzecią noc marnujemy! — rzekł jeden z policjantów ziewając.

Owinęli się w burnusy i legli na trawie.

Natychmiast po wyjeździe Tutmozisa czcigodna pani Nikotris milcząc, z zaciśniętymi z gniewu ustami opuściła komnaty syna. A gdy Ramzes chciał ją uspokoić, ostro przerwała mu:

— Żegnam faraona i proszę bogów, ażeby pozwoliły mi jutro powitać cię jeszcze jako faraona...

— Wątpisz o tym, matko?

— O wszystkim można zwątpić wobec człowieka, który słucha rad szaleńców i zdrajców!...

Rozeszli się, oboje zagniewani.

Wkrótce jego świątobliwość odzyskał dobry humor i wesoło rozmawiał z dostojnikami. Ale już o szóstej począł go trapić niepokój.

— Tutmozis powinien by przysłać do nas gońca... — mówił pan. — Bo jestem pewny, że sprawa, tak czy owak, już się rozstrzygnęła...

— Tego nie wiem — odparł wielki skarbnik. — Mogli nie znaleźć statków u przewozu... Mogą w świątyni stawiać opór...

— A gdzie jest ten młody kapłan?... — spytał nagle Hiram.

— Kapłan?... wysłannik zmarłego Samentu?... — powtarzali zmieszani dostojnicy. — To prawda, gdzie on być może?...

Rozesłano żołnierzy, aby przeszukali ogród. Żołnierze obiegli wszystkie ścieżki, ale kapłana nie było.

Wypadek ten źle usposobił dostojników. Każdy siedział milcząc, pogrążony w niespokojnych myślach.

O zachodzie słońca wszedł do komnaty pokojowiec faraona i szepnął, że pani Hebron ciężko zachorowała i błaga, ażeby jego świątobliwość raczył ją odwiedzić.

Dostojnicy znając stosunek, jaki łączył pana z piękną Hebron, spojrzeli po sobie. Ale gdy faraon oświadczył zamiar wyjścia na ogród, nie protestowali. Ogród, dzięki gęstym strażom, był równie bezpieczny jak pałac. Nikt też nie uważał za stosowne choćby z daleka czuwać nad faraonem wiedząc, że Ramzes nie lubi, ażeby zajmowano się nim w pewnych chwilach.

Gdy pan zniknął w korytarzu, wielki pisarz rzekł do skarbnika:

— Czas wlecze się jak wozy w pustyni. Może Hebron ma wiadomość od Tutmozisa?...

— W tej chwili — odparł skarbnik — jego wyprawa w kilkudziesięciu ludzi na świątynię Ptah wydaje mi się niepojętym szaleństwem...

— A czy rozsądniej zrobił faraon nad Sodowymi Jeziorami, kiedy całą noc uganiał się za Tehenną?... — wtrącił Hiram. — Odwaga więcej znaczy aniżeli liczba.

— A ten młody kapłan?... — zapytał skarbnik.

— Przyszedł bez naszej wiedzy i odszedł nie pytając — rzekł Hiram. — Każdy z nas postępuje jak spiskowiec.

Skarbnik pokręcił głową.

Ramzes szybko przebiegł odległość dzielącą jego willę od pałacyku Tutmozisa. Gdy wszedł do pokoju, Hebron z płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Umieram z trwogi!... — zawołała.

— Lękasz się o Tutmozisa?

— A cóż on mnie obchodzi? — odparła Hebron robiąc pogardliwy grymas ustami. — Ty jeden obchodzisz mnie... o tobie jednym myślę... o ciebie się lękam...

— Błogosławioną niech będzie twoja trwoga, która choć na chwilę uwolniła mnie od nudów... — rzekł śmiejąc się faraon. — Bogowie! jakiż to ciężki dzień... Gdybyś słyszała nasze narady, gdybyś widziała miny moich doradców!... I jeszcze, na domiar wszystkiego, podobało się czcigodnej królowej uczcić nasze zebranie swoją obecnością... Nigdy nie przypuszczałem, że dostojeństwo faraona może mi tak dokuczyć...

— Nie wymawiaj tego zbyt głośno — ostrzegła Hebron. — Co poczniesz, jeżeli Tutmozisowi nie uda się opanować świątyni?

— Odbiorę mu naczelne dowództwo i schowam do skrzyni moją koronę, a włożę hełm oficerski — odpowiedział Ramzes. — Jestem pewny, że gdy sam wystąpię na czele wojska, bunt upadnie...

— Który?... — spytała Hebron.

— Ach, prawda, że mamy aż dwa bunty! — zaśmiał się Ramzes. — Pospólstwo przeciw kapłanom, kapłani przeciw mnie...

Pochwycił Hebron w objęcia i zaprowadził na kanapę szepcząc:

— Jakaś ty dziś piękna!... Ile razy widzę cię, zawsze wydajesz mi się zupełnie inną i coraz piękniejszą...

— Puść mnie!... — szepnęła Hebron. — Czasami lękam się, ażebyś mnie nie ugryzł...

— Ugryźć... nie... ale mógłbym cię zacałować na śmierć... Ty nawet nie wiesz, jaka jesteś piękna...

— Po ministrach i jenerałach... No, puść...

— Chciałbym przy tobie zamienić się w krzak granatu... Chciałbym mieć tyle ramion, ile drzewo ma konarów, ażeby cię ściskać... Tyle dłoni, ile jest liści, i tyle ust, ile kwiatów, ażebym w jednej chwili mógł całować twoje oczy, usta, piersi...

— Jak na władcę, którego tron jest zagrożony, masz myśli dziwnie swobodne...

— Na łożu nie dbam o tron — przerwał. — Dopóki mam miecz, będę miał władzę.

— Wojsko twoje jest rozbite — mówiła broniąc się Hebron.

— Jutro przybędą świeże pułki, a pojutrze zgromadzę rozbitych... Powtarzam ci, nie zaprzątaj się marnościami... Chwila pieszczot więcej warta niż rok władzy...

W godzinę po zachodzie słońca faraon opuścił mieszkanie Hebron i powoli wracał do swego pałacyku. Był rozmarzony, senny i myślał, że arcykapłani są wielkimi głupcami stawiając mu opór. Jak Egipt Egiptem, nie byłoby lepszego pana niż on.

Nagle spomiędzy kępy figowej wysunął się człowiek w ciemnym płaszczu i zastąpił drogę faraonowi. Pan, aby mu się lepiej przypatrzyć, zbliżył twarz do jego twarzy i nagle zawołał:

— Ach, to ty, nędzniku?... Chodźże na odwach...

Był to Lykon. Ramzes schwycił go za kark; Grek syknął i ukląkł na ziemi. Jednocześnie faraon uczuł piekący ból z lewej strony brzucha.

— Jeszcze kąsasz? — zawołał Ramzes. Oburącz potężnie ścisnął za szyję Greka, a gdy usłyszał chrobot łamanych kręgów, odrzucił go ze wstrętem.

Lykon upadł miotając się w przedśmiertnych konwulsjach.

Faraon odszedł parę kroków. Dotknął się i namacał rączkę sztyletu.

— Ranił mnie?...

Wyciągnął ze swego boku wąziutką stal i przycisnął ranę.

„Ciekawym — myślał — czy który z moich doradców ma plaster?..."

Uczuł mdłości i przyśpieszył kroku.

Tuż pod pałacykiem zabiegł mu drogę jeden z oficerów wołając:

— Tutmozis nie żyje... Zabił go zdrajca Eunana!...

— Eunana?... — powtórzył faraon. — A cóż inni?...

— Prawie wszyscy ochotnicy, którzy pojechali z Tutmozisem, byli zaprzedani kapłanom.

— No, muszę już z tym skończyć! — rzekł pan. — Zatrąbcie na azjatyckie pułki...

Odezwała się trąbka i Azjaci zaczęli wysypywać się z koszar, ciągnąc za sobą konie.

— Podajcie i mnie konia — rzekł faraon. Ale uczuł silny zawrót głowy i dodał:

— Nie — podajcie mi lektykę... Nie chcę się męczyć...

Nagle zatoczył się na ręce oficerów.

— O mało nie zapomniałem... — mówił gasnącym głosem... — Przynieście hełm i miecz... ten stalowy miecz... znad Jezior... Idziemy do Memfisu...

Z pałacyku wybiegli dostojnicy i służba z pochodniami. Faraon, podtrzymywany przez oficerów, miał szarą twarz i oczy zachodziły mu mgłą. Wyciągnął rękę jakby szukając broni, poruszył ustami i wśród ogólnej ciszy przestał oddychać, on, pan dwu światów: doczesnego i zachodniego.

ROZDZIAŁ XVIII

Od śmierci Ramzesa XIII aż do dnia jego pogrzebu rządził państwem, jako arcykapłan Amona tebańskiego a namiestnik zgasłego króla — najdostojniejszy San-amen-Herhor.

Kilkumiesięczna władza namiestnika była wielce pomyślną dla Egiptu[437]. Herhor uspokoił bunty pospólstwa i jak było dawnymi czasy, pozwolił co siódmy dzień wypoczywać ludziom pracującym. Zaprowadził surową karność między kapłanami, otoczył opieką cudzoziemców, a szczególniej Fenicjan, i zawarł traktat z Asyrią nie odstępując jednak Fenicji, która pozostała hołdowniczką Egiptu.

W ciągu tych krótkich rządów sprawiedliwość wypełniała się szybko, ale bez okrucieństwa, i lada kto nie śmiał bić egipskiego chłopa, który mógł odwoływać się do sądu, jeżeli miał dosyć czasu i świadków.

Herhor zajął się też spłatą długów obciążających majątki faraona i państwa. W tym celu skłonił Fenicjan do zrzeczenia się pewnej części sum należących im od skarbu, a na pokrycie reszty podniósł z Labiryntu ogromną kwotę trzydziestu tysięcy talentów.

Dzięki tym środkom w ciągu trzech miesięcy nastał w państwie spokój i dobrobyt, a ludzie mówili:

— Błogosławione niech będą rządy namiestnika San-amen-Herhora! Zaprawdę, bogowie przeznaczyli go na władcę, aby uwolnił Egipt od klęsk zadanych mu przez Ramzesa XIII, lekkoducha i łowcy kobiet...

Kilkadziesiąt dni wystarczyło, aby naród zapomniał, że wszystkie dzieła Herhora były tylko spełnieniem zamiarów młodego i szlachetnego faraona.

W miesiącu Tobi (październik — listopad), gdy mumię Ramzesa XIII już złożono w królewskich pieczarach, do świątyni Amona tebańskiego zeszło się wielkie zgromadzenie najdostojniejszych osób. Byli tam prawie wszyscy arcykapłani, nomarchowie i jenerałowie wojsk, a w ich liczbie okryty chwałą sędziwy wódz armii wschodniej — Nitager.

W tej samej olbrzymiej sali kolumnowej, gdzie przed pół rokiem kapłani sądzili Ramzesa XII i okazywali niechęć Ramzesowi XIII, w tym samym miejscu dziś zgromadzili się dostojnicy, aby pod przewodnictwem Herhora rozstrzygnąć najważniejszą sprawę państwową. Jakoż dnia dwudziestego piątego Tobi, w samo południe, Herhor w infule Amenhotepa zasiadł na tronie, inni na krzesłach, i odbyła się narada.

Trwała dziwnie krótko, jakby rezultat jej z góry był przygotowany.

[437] *Kilkumiesięczna władza namiestnika była wielce pomyślną dla Egiptu* — według źródeł historycznych kilkuletnie rządy Herhora Egipcjanie nazwali później oficjalnie „Erą Odrodzenia", gdyż po skoncentrowaniu pełni władzy cywilnej i wojskowej przywrócił ład i porządek w rządzonym przez siebie Górnym Egipcie.

— Arcykapłani, nomarchowie i wodzowie! — zaczął Herhor. — Zebraliśmy się tu w sprawie smutnej i ważnej. Wraz ze śmiercią wiecznie żyjącego Ramzesa XIII, którego krótkie i burzliwe panowanie skończyło się w tak nieszczęśliwy sposób...

Tu Herhor westchnął.

— ...Wraz ze śmiercią Ramzesa XIII nie tylko zgasł faraon, ale i pełna sławy dynastia dwudziesta...

Między zebranymi przeleciał szmer.

— Dynastia nie skończyła się — wtrącił prawie szorstko potężny nomarcha memfijski. — Żyje przecie czcigodna królowa Nikotris, więc tron należy do niej...

Po chwili milczenia odpowiedział Herhor:

— Najdostojniejsza małżonka moja, królowa Nikotris...

Teraz w zebraniu rozległ się nie szmer, ale krzyk i trwał kilka minut. Gdy ucichło, Herhor spokojnie i dobitnie mówił dalej:

— Moja najdostojniejsza małżonka, królowa Nikotris, nieutulona w żalu po śmierci syna, zrzekła się tronu...

— Pozwólcie!... — zawołał nomarcha memfijski. — Najdostojniejszy namiestnik mianuje królowę swoją małżonką... Jest to wiadomość zupełnie nowa, którą przede wszystkim należy sprawdzić...

Na znak Herhora najwyższy sędzia tebański wydobył ze złotej puszki i głośno odczytał akt ślubu zawartego przed dwoma dniami między najdostojniejszym arcykapłanem Amona San-amen-Herhorem i królową Nikotris, wdową po Ramzesie XII, matką Ramzesa XIII.

Po tym wyjaśnieniu nastała grobowa cisza. Herhor zaś mówił:

— Ponieważ małżonka moja i jedyna dziedziczka tronu zrzekła się swoich praw, ponieważ tym sposobem skończyło się panowanie dwudziestej dynastii, musimy więc wybrać nowego władcę...

Władcą tym — ciągnął Herhor — powinien być człowiek dojrzały, energiczny i biegły w sprawowaniu rządów. Z tego powodu radzę wam, dostojnicy, ażebyśmy na najwyższe stanowisko wybrali...

— Herhora!... — krzyknął ktoś.

— ...Ażebyśmy wybrali najsławniejszego Nitagera, wodza armii wschodniej — dokończył Herhor.

Nitager długą chwilę siedział z przymkniętymi oczyma, uśmiechając się. Wreszcie powstał i rzekł:

— Nigdy chyba nie zabraknie ludzi chętnych do tytułu faraona. Może nawet mielibyśmy ich nad potrzebę. Szczęściem, sami bogowie usuwając niebezpiecznych współzawodników ukazali nam człowieka najgodniejszego władzy. I zdaje mi się, że uczynię roztropnie, gdy zamiast przyjmować łaskawie ofiarowaną mi koronę, odpowiem:

Niech żyje wiecznie jego świątobliwość San-amen-Herhor, pierwszy faraon nowej dynastii!...

Obecni, z małymi wyjątkami, powtórzyli okrzyk, a jednocześnie najwyższy sędzia przyniósł na złotej tacy dwie czapki: białą — Górnego i czerwoną — Dolnego Egiptu. Jedną z nich wziął arcykapłan Ozyrysa, drugą arcykapłan Horusa i doręczyli je Herhorowi, który ucałowawszy złotego węża włożył je sobie na głowę.

Po czym rozpoczęła się ceremonia składania hołdu przez obecnych, która ciągnęła się parę godzin. Następnie spisano odnośny akt, uczestnicy wyboru przyłożyli na nim swoje pieczęcie i od tej chwili San-amen-Herhor został rzeczywistym faraonem, panem obu światów tudzież życia i śmierci swoich poddanych.

Nad wieczorem jego świątobliwość wrócił zmęczony jeszcze do swych arcykapłańskich pokojów; gdzie zastał Pentuera. Kapłan zmizerniał, a na jego chudej twarzy malowało się znękanie i smutek.

Kiedy Pentuer upadł na twarz, pan podniósł go i rzekł z uśmiechem:

— Nie podpisałeś mego wyboru, nie złożyłeś mi hołdu, i lękam się, czy nie będę musiał oblegać cię kiedy w świątyni Ptah...

Cóż, nie namyśliłeś się zostać przy mnie? Wolisz Menesa?...

— Wybacz, wasza świątobliwość — odpowiedział kapłan — ale życie dworskie tak mnie znużyło, że jedynym dziś moim pragnieniem jest — uczyć się mądrości.

— Nie możesz zapomnieć Ramzesa? — spytał Herhor. — A jednak znałeś go bardzo krótko, podczas gdy u mnie pracowałeś kilka lat.

— Nie potępiaj mnie, wasza świątobliwość... Ale Ramzes XIII był pierwszym faraonem, który odczuł niedolę ludu egipskiego...

Herhor uśmiechnął się.

— Oj, wy uczeni... — rzekł chwiejąc głową. — To przecież ty, ty sam, zwróciłeś uwagę Ramzesowi na położenie pospólstwa. A teraz nosisz po nim żałobę w sercu, chociaż on dla ludu nic nie zrobił... To ty zrobiłeś, nie on...

Zabawni z was ludzie mimo potężnego umysłu — ciągnął Herhor. — Tak samo i Menes... Kapłan ten uważa się za najspokojniejszego człowieka w Egipcie, choć on to obalił dynastią, a mnie utorował drogę do władzy...

Gdyby nie jego list o zaćmieniu słońca w dniu dwudziestym Paofi, może obaj z nieboszczykiem Mefresem łamalibyśmy kamienie w kopalni...

No, idź już, idź, i pozdrów ode mnie Menesa. Pamiętaj też, że umiem być wdzięcznym, co stanowi wielką tajemnicę władzy. Powiedz Menesowi, że spełnię każdą jego prośbę, byle mi na przykład nie kazał wyrzec się tronu... Sam też wróć do mnie, gdy wypoczniesz, a zachowam dla ciebie poważne stanowisko.

I dotknął ręką pokornie schylonej głowy kapłana.

EPILOG

W miesiącu Mechir (listopad — grudzień) Pentuer przybył do świątyni za Memfisem, gdzie Menes prowadził wielkie prace nad niebiosami i ziemią.

Stary, w myślach pogrążony mędrzec znowu nie poznał Pentuera. Opamiętawszy się jednak uściskał go i zapytał:

— Cóż, znowu idziesz niepokoić chłopów dla wzmocnienia władzy faraona?...

— Przyszedłem, by zostać z tobą i służyć ci — odpowiedział Pentuer.

— Ho! ho!... — zawołał Menes przypatrując mu się z uwagą. — Ho! ho!... czy naprawdę masz już dosyć dworskiego życia i dostojeństw?... Błogosławiony to dzień!... Kiedy z wierzchołka mego pylonu zaczniesz oglądać świat, przekonasz się, jakie to małe i brzydkie.

Ponieważ Pentuer nic nie odpowiedział, więc Menes udał się do swych zajęć. Wróciwszy zaś po kilku godzinach zastał ucznia siedzącego na tym samym miejscu, z okiem utkwionym w punkt, gdzie w oddali majaczył pałac faraonów.

Menes dał mu jęczmienny placek, garnuszek mleka i zostawił go w spokoju.

Trwało tak kilka dni. Pentuer jadał niewiele, mówił jeszcze mniej, niekiedy zrywał się w nocy, a dni przepędzał bez ruchu, patrząc nie wiadomo gdzie.

Ten tryb życia nie podobał się Menesowi. Więc pewnego razu zająwszy na kamieniu miejsce obok Pentuera rzekł:

— Czyś ty zupełnie oszalał, czy duchy ciemności tylko chwilowo opanowały twoje serce?...

Pentuer zwrócił na niego zamglone oczy.

— Spojrzyj no dokoła siebie — mówił starzec. — Wszakże to najmilsza pora roku. Noce długie i gwiaździste, dni chłodne, ziemia okryta kwiatami i nową trawą. Woda jest przezroczystsza od kryształu, pustynia leży cicha, ale za to powietrze jest przepełnione śpiewem, piskiem, brzęczeniem...

Jeżeli wiosna takie cudy wywołuje na martwej ziemi, jakże skamieniałą musi być dusza twoja, która nie odczuwa podobnych dziwów?... Mówię ci, ocknij się, bo wyglądasz jak trup w pośrodku żywej natury. Pod tym słońcem jesteś podobny do zeschłej kupy błota i prawie że cuchniesz między narcyzami i fiołkami.

— Mam duszę chorą — odparł Pentuer.

— Cóż ci jest?

— Im dłużej rozmyślam, tym większą czuję pewność, że gdybym nie opuścił Ramzesa XIII, gdybym mu oddał moje usługi, żyłby dotychczas ten najszlachetniejszy z faraonów.

Otaczały go setki zdrajców; ale ani jeden dobry człowiek nie wskazał mu środków ocalenia!...

— I tobie naprawdę zdaje się, że mogłeś go uratować? — zapytał Menes. — O pycho niedouczonego mędrca!... Wszystkie rozumy nie ocaliłyby sokoła zaplątanego między wrony, a ty, niby jaki bożek, chciałeś odmienić los człowieka?...

— Alboż Ramzes musiał zginąć?...

— Z pewnością, że tak. Przede wszystkim był on faraonem wojennym, a dzisiejszy Egipt brzydzi się wojownikami. Woli złotą bransoletę aniżeli miecz, choćby stalowy; woli dobrego śpiewaka lub tanecznika aniżeli nieustraszonego żołnierza; woli zysk i mądrość niż wojnę.

Gdyby w miesiącu Mechir dojrzała oliwka albo fiołek zakwitnął w miesiącu Tot, jedno i drugie musiałoby zginąć, jako płody spóźnione lub przedwczesne. Ty zaś chcesz, ażeby w epoce Amenhotepów i Herhorów utrzymał się faraon należący do epoki Hyksosów. Każda rzecz ma swój czas, w którym dojrzewa, i taki — w którym marnieje. Ramzes XIII zdarzył się w epoce niewłaściwej, więc musiał ustąpić.

— I myślisz, że nic by go nie uratowało? — spytał Pentuer.

— Nie widzę takiej potęgi. On nie tylko nie godził się ze swoją epoką i stanowiskiem, lecz jeszcze trafił na czas upadku państwa i był jak młody liść na próchniejącym drzewie.

— Tak spokojnie mówisz o upadku państwa? — zdziwił się Pentuer.

— Widzę go od kilkudziesięciu lat, a już widzieli go i moi poprzednicy w tej świątyni... Można się było przyzwyczaić!

— Macie podwójny wzrok?...

— Wcale nie — mówił Menes — ale mamy miarę. Z ruchów chorągiewki poznasz: jaki wiatr wieje, studnia nilowa mówi: czy rzeka wzbiera, czy opada... A nas od wieków o niemocy państwa uczy ten oto sfinks...

I wskazał ręką w kierunku piramid.

— Nic nie wiem o tym... — szepnął Pentuer.

— Czytaj stare kroniki naszej świątyni, a przekonasz się, że — ile razy Egipt kwitnął, jego sfinks był cały i wysoko wznosił się nad pustynię. Lecz gdy państwo chyliło się do upadku, sfinks pękał, kruszył się, a piaski sięgały mu do nóg.

I dziś od paru wieków sfinks kruszy się. A im wyżej dokoła niego wznosi się piasek, im głębsze bruzdy ukazują się na jego ciele, tym państwo pochyla się bardziej...

— I zginie?...

— Bynajmniej — odparł Menes. — Jak po nocy następuje dzień, a po niskich wodach przybór Nilu, tak po okresach upadków przychodzą czasy rozkwitu życia. Odwieczna historia!... Z niektórych drzew opadają liście w miesiącu Mechir, lecz po to tylko, aby na nowo wyrosnąć w miesiącu Pachono...

I zaprawdę Egipt jest tysiącoletnim drzewem, a dynastie gałęźmi. W naszych oczach wyrasta dwudziesta pierwsza gałąź, więc z czego się tu smucić?... Z tego, że choć gałęzie upadają, sama roślina żyje?...

Pentuer zamyślił się; ale jego oczy spoglądały przytomniej.

Jeszcze po paru dniach rzekł Menes do Pentuera:

— Ubywa nam żywności. Musimy pójść w stronę Nilu i zaopatrzyć się na jakiś czas.

Wzięli obaj wielkie kosze na plecy i od wczesnego ranka zaczęli obchodzić wsie nadbrzeżne. Zwykle stawali pod chatami chłopów śpiewając nabożne pieśni, po czym Menes pukał do drzwi i mówił:

— Litościwe dusze, prawowierni Egipcjanie, ofiarujcie jałmużnę sługom bogini Mądrości!...

Dawano im (najczęściej baby) tu garstkę pszenicy, owdzie jęczmienia, tam placek albo suszoną rybkę. Niekiedy jednak wypadały na nich złe psy albo dzieci pogan obrzucały ich kamieniami i błotem.

Szczególny był widok tych pokornych żebraków, z których jeden przez kilka lat wpływał na losy państwa, a drugi znajomością najgłębszych tajemnic natury zmienił bieg historii.

W bogatszych wsiach przyjmowano ich lepiej, a w pewnym domu, gdzie odbywało się wesele, dano im jeść, napojono piwem i pozwolono przenocować między gospodarskimi budynkami.

Ani ich ogolone twarze i głowy, ani wyleniała skóra pantercza[438] nie imponowały mieszkańcom. Lud Dolnego Egiptu, pomieszany z różnowiercami, nie odznaczał się nabożeństwem, a już zgoła lekceważył kapłanów bogini Mądrości, o których nie dbało państwo.

Leżąc w szopie na pękach świeżej trzciny, Menes i Pentuer przysłuchiwali się weselnej muzyce, pijackim okrzykom, niekiedy kłótniom radujących się gości.

— Okropna rzecz — odezwał się Pentuer. — Zaledwie kilka miesięcy upłynęło od śmierci pana, który był dobroczyńcą chłopów, a ci już zapomnieli o nim... Zaprawdę, niedługo trwa ludzka wdzięczność...

— Cóżeś chciał, ażeby ludzie do końca wieków obsypywali sobie głowy popiołem? — spytał Menes. — Gdy krokodyl schwyta kobietę lub dziecko, czy myślisz, że zaraz przestają płynąć wody Nilu?... One toczą się bez względu na trupy, a nawet bez względu na spadek lub przybór rzeki.

To samo z życiem ludu. Czy kończy się jedna dynastia, a zaczyna druga, czy państwem wstrząsają bunty i wojna albo czy kwitnie pomyślność, masy ludu muszą jeść, pić, spać, żenić się i pracować, jak drzewo rośnie bez względu na deszcz i posuchę. Pozwól więc im skakać, jeżeli mają zdrowe nogi, albo płakać i śpiewać, gdy piersi ich przepełnia uczucie.

— Przyznaj jednak, że ich radość dziwnie wygląda obok tego, co sam mówiłeś o upadku państwa — wtrącił Pentuer.

— Wcale nie dziwnie, gdyż właśnie oni są państwem, a ich życie życiem państwa. Ludzie zawsze smucą się lub cieszą i nie ma takiej godziny, gdzie by ktoś nie śmiał się lub nie wzdychał. Cały zaś bieg historii polega na tym, że — gdy więcej jest radości między ludźmi, mówimy: państwo kwitnie, a gdy częściej płyną łzy, nazywamy to upadkiem.

Nie trzeba przywiązywać się do wyrazów, ale patrzeć na ludzi. W tej chacie jest radość; tutaj państwo kwitnie, zatem nie masz prawa wzdychać, że upada. Wolno ci tylko starać się, aby coraz więcej i więcej chat było zadowolonych.

Gdy mędrcy powrócili z żebraniny do świątyni, Menes wprowadził Pentuera na szczyt pylonu. Pokazał mu wielką marmurową kulę, na której za pomocą złotych punktów sam oznaczył położenie kilkuset gwiazd, i — kazał mu przez połowę nocy śledzić księżyc na niebie.

Pentuer chętnie podjął się pracy i dziś pierwszy raz w życiu, sprawdzał na własne oczy, że w ciągu kilku godzin sklepienie niebieskie jakby obróciło się ku zachodowi, ale księżyc przesunął się między gwiazdami ku wschodowi.

Te tak proste zjawiska Pentuer doskonale znał, lecz tylko ze słyszenia. Więc gdy pierwszy raz własnymi oczyma zobaczył ruch nieba i cichą wędrówkę księżyca, doznał takiego wzruszenia, że upadł na twarz i zapłakał.

Przed jego duszą odsłonił się nowy świat, którego piękność tym dokładniej oceniał, że już był wielkim mędrcem.

Znowu upłynęło kilka dni, gdy zgłosił się do nich bogaty dzierżawca proponując, aby jako mędrcy wyznaczyli mu na gruncie i wykopali kanał. W zamian ofiarowywał im żywność na czas roboty tudzież kozę z koźlątkiem jako zapłatę.

Ponieważ mleka brakowało w świątyni, Menes zgodził się i poszli obaj z Pentuerem do roboty. Zniwelowali grunt, wykreślili kierunek i kopali.

Przy ciężkim zajęciu Pentuer ożywił się, a nawet gdy był sam z Menesem, rozmawiał. Tylko przy zetknięciu z ludźmi tracił humor; ich śmiechy i śpiewy zdawały się powiększać jego cierpienie.

Menes nie chodził na noc do wsi, ale razem z Pentuerem sypiał w polu, skąd mogli widzieć kwitnące łany i przysłuchiwać się echom ludzkiej radości, nie przyjmując w niej udziału.

Pewnego wieczora polne roboty przerwano wcześniej; do wsi bowiem przyszedł po prośbie ubogi kapłan z małym chłopcem. Chodzili od domu do domu błagając o jałmużnę. Chłopak wygrywał na flecie smutną melodię, a w przerwach jej kapłan śpiewał silnym głosem pieśń na poły świecką, na poły pobożną.

Menes i Pentuer leżąc na pagórku przypatrywali się rozpłomienionemu niebu, na którego złotym tle mocno uwydatniały się czarne trójkąty piramid tudzież brunatne pnie

[438] *pantercza* (daw.) — dziś popr.: panterza, przym. od wyrazu „pantera".

i ciemnozielone bukiety drzew palmowych. Tymczasem kapłan wlókł się od chaty do chaty i wyśpiewywał swoją pieśń odpoczywając dłuższy czas po każdej zwrotce:

— „Jak spokojnym jest ów sprawiedliwy książę! Piękne przeznaczenie spełniło się. Od czasów Re przemijają stare ciała, a na ich miejsce przychodzą młode. Każdego ranka wschodzi słońce i co wieczór kryje się na zachodzie. Mężczyźni płodzą, kobiety poczynają, każda pierś oddycha świeżym powiewem. Ale wszyscy, którzy urodzili się, wszyscy bez wyjątku, idą na miejsce, jakie człowiekowi przeznaczono[439]."

— I po co to?... — nagle odezwał się Pentuer. — Gdyby choć było prawdą, że życie w tym celu stworzono, aby wzrastała cześć bogów i cnota. Ale tak nie jest. Podstępny okrutnik, matka, która zostaje małżonką mordercy swego syna, kochanka, która w chwili pieszczot myśli o zdradzie, ci rosną w pomyślność i potęgę. A mądrzy usychają w bezczynności, a dzielni i szlachetni giną sami i pamięć ich.

— „Spraw sobie wesoły dzień, o książę — śpiewał kapłan — gdyż niewiele ci ich darowano! Postaw maści i kadzideł dla nosa twego, a lotosowe wieńce dla członków, dla ciała siostry, która mieszkając w twym sercu siedzi przy tobie. Niech wam śpiewają i grają. Porzućcie troski i weselcie się, bo wnet zaświta dzień, w którym jedzie się do kraju, kędy panuje milczenie."

— Maści dla nosa, wieńce lotosowe dla członków, a potem... milczenie!... — wtrącił Pentuer. — Zaprawdę, błazen udający rycerza ma więcej sensu aniżeli ten świat, w którym wszyscy coś udajemy, bez żadnego pożytku dla siebie. I żeby choć ten ziemski sen był jednym ciągiem wesołości?... Ale gdzie tam!... Komu głód nie skręca kiszek, tego serce zatruwa pożądanie lub niepokój. A jeżeli kiedy trafi się chwila ciszy, wówczas z jej głębin wynurza się myśl o kraju wiekuistego milczenia i szarpie ludzką duszę.

— „Święć wesoły dzień, o Nefarhotep, mężu z czystymi rękoma! Ja wiem wszystko, co się stało przodkom twoim: ich mury rozpadły się, miast już nie ma, a oni sami są, jakby ich nie było nigdy. Nikt nie przychodzi stamtąd, kto by nam powiedział, jak się miewają, i serca nasze ucieszył. I tak będzie, dopóki sami nie zbliżycie się do miejsca, gdzie oni poszli."

— Widziałeś ty kiedy spokojne morze?... — odezwał się Menes do Pentuera. — Prawda, jakie ono nudne, niby obraz snu, w którym się nic nie śni? Dopiero gdy wicher zaorze gładką powierzchnię, gdy jedna fala spada w otchłań, a druga podnosi się, gdy na powierzchni zagrają światła, a z głębi odezwą się groźne lub jękliwe głosy, wówczas morze robi się pięknym.

Tak samo z rzeką. Dopóki płynie ciągle w jednym kierunku, wygląda martwo; lecz gdy skręca się na lewo i na prawo — nabiera wdzięku. I tak samo z górami: jednostajna wyniosłość jest nudna, ale nierówne szczyty i głębokie wąwozy są piękne...

— „Połóż mirrę na głowę twoją, ustrój się w cienkie płótna i namaść się boskimi darami — śpiewał kapłan. — Ubierz się pięknie, jak możesz, i nie pozwalaj upadać sercu twemu. Żyj dla rozkoszy, dopóki jesteś na ziemi, i nie zasmucaj serca, zanim przyjdzie dla ciebie dzień żalów."

— Tak samo z życiem ludzkim — ciągnął Menes. — Rozkosze są niby fale i szczyty gór, cierpienia — niby głębie i wąwozy, i dopiero wszystkie one razem sprawiają, że życie jest piękne, gdyż rzeźbi się jak poszarpany łańcuch gór wschodnich, na które patrzymy z podziwem.

— „Ale ten, którego serce już nie bije — śpiewał kapłan — nie słyszy żalów i nie smuci się cudzą żałobą. Więc z rozjaśnionym obliczem święć dni wesołe i pomnażaj ich liczbę..."

— Słyszysz? — zapytał Pentuer wskazując w kierunku wsi. — Ten, którego serce już nie bije, nie tylko nie smuci się cudzą żałobą, ale nawet nie cieszy się własnym życiem, choćby było najpiękniej wyrzeźbione... Na cóż więc te rzeźbienia, za które płaci się bólem i krwawymi łzami?...

Noc zapadała. Menes owinął się w opończę i odparł:

— Ile razy zaczną cię napastować podobne myśli, idź do której z naszych świątyń i przypatrz się jej ścianom zatłoczonym obrazami ludzi, zwierząt, drzew, rzek, gwiazd — zupełnie jak ten świat, na którym żyjemy.

---

[439]...*jakie człowiekowi przeznaczono* — pieśń autentyczna. [przypis autorski]

Dla prostaka figury podobne nie mają żadnej wartości i może niejeden zapytywał: na co one?... po co rzeźbią je z tak wielkim nakładem pracy?... Ale mędrzec ze czcią zbliża się do tych figur i ogarnąwszy je spojrzeniem czyta w nich historię dawnych czasów albo tajemnice mądrości.

2 V 1895, godz. 3 po południu

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/faraon

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, Faraon, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1965

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Magdaleny Paul.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: kevin dooley@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.
Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.